

STEPHEN
KING

WILKI Z CALLA



SPIS TREŚCI

STRESZCZENIE9
PROLOG: POKUR	19
CZEŚĆ PIERWSZA: TRANS	51
1. Twarz w wodzie	53
2. Nowojorska dżungla	66
3. Mia	89
4. Narada	105
5. Overholser	139
6. Droga Elda.....	153
7. Trans	180
CZEŚĆ DRUGA: OPOWIEŚCI	...219
1. Namiot221
2. Sucha gałąź	260
3. Opowieść księdza (Nowy Jork)	273
4. Dalszy ciąg opowieści księdza (Ukryte drogi).....	315
5. Opowieść o Szarym Dicku	338
6. Opowieść starego Jaffordsa	363
7. Nokturn, głód.....	389
8. Sklep Tooka; Nieodkryte drzwi.....	406
9. Zakończenie opowieści księdza (nieodkryte).....	436
CZEŚĆ TRZECIA: WILKI	495
1. Sekrety	497
2. Dogan, część 1	528
3. Dogan, część 2	574
4. Szczurołap	602
5. Zebranie mieszkańców	622
6. Przed burzą.....	640
7. Wilki	677
EPILOG: JASKINIA PRZEJŚCIA	721
Od Autora	733
Posłowie	734

STRESZCZENIE

Wilki z Calla to piąty tom długiej opowieści zainspirowanej poematem Roberta Browninga *Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął*. Szósty tom, *Pieśń Susannah*, ukaze się w 2004 roku. Siódmy i ostatni, zatytułowany *Mroczna Wieża*, zostanie wydany pod koniec tego samego roku.

Pierwsza część cyklu, *Roland*, opowiada o tym, jak Roland Deschain z Gilead ściga i w końcu dopada Waltera, człowieka w czerni, który udawał przyjaciela ojca Rolanda, lecz w rzeczywistości służył Karmazynowemu Królowi odległego Końca Świata. Schwytanie półczłowieka Waltera jest dla Rolanda kolejnym krokiem na drodze do Mrocznej Wieży, w której ma nadzieję znaleźć sposób na powstrzymanie lub nawet odwrócenie procesu coraz szybszego rozpadu Świata Pośredniego i powolnej śmierci Promieni.

Kiedy spotykamy Rolanda, Mroczna Wieża jest jego obsesją, Świętym Graalem i jedynym celem w życiu. Dowiadujemy się, jak czarnoksiężnik Marten próbował wykluczyć młodego Rolanda z gry, starając się, by w niełasce odesłano go na Zachód. A jednak Rolandowi udało się pokrzyżować plany Martena, głównie dzięki mądrym wyborowi broni podczas inicjacji.

Steven Deschain, ojciec Rolanda, wysyła swego syna oraz dwóch jego przyjaciół (Cuthberta Allgooda i Alaina Johnsa) do nadmorskiej Baronii Mejis, głównie po to, by chłopiec znalazł się poza zasięgiem Waltera. Tam Roland poznaje Susan Delgado i zakochuje się w niej. Dziewczyna ma groźną nieprzyjaciółkę,

wiedzmę Rheę z Cóos, która zazdrości jej urody i jest szczególnie niebezpieczna, ponieważ ma jedną z kryształowych kul zwanych Tęczą Czarnoksiężnika... lub kryształami. Istnieje trzynaście takich kul, z których najpotężniejszą i najniebezpieczniejszą jest Czarna Trzynastka. Roland i jego przyjaciele przeżywają wiele przygód w Mejis i chociaż uchodzą z nich z życiem (a także z różowym kryształem), Susan Delgado, śliczna dziewczyna w oknie, zostaje spalona na stosie. Tę opowieść zawiera czwarty tom cyklu, *Czarnoksiężnik i kryształ*.

Czytając kolejne tomy *Mrocznej Wieży*, odkrywamy, że świat rewolwerowca jest w ważny i niesamowity sposób powiązany z naszym. Pierwsze z tych powiązań poznajemy, kiedy Jake, chłopiec mieszkający w 1977 roku w Nowym Jorku, spotyka Rolanda w opuszczonym zajeździe na trasie dylizansów, wiele lat po śmierci Susan Delgado. Między światem Rolanda a naszym znajduje się dużo drzwi, a jednymi z nich jest śmierć. Jake trafia do zajazdu na pustyni, po tym jak został wepchnięty pod samochód jadący Czterdziątą Trzecią Ulicą. Kierowcą samochodu był niejaki Enrico Balazar. Popychającym był niebezpieczny psychopata Jack Mort — uosobienie Waltera na nowojorskim poziomie *Mrocznej Wieży*.

Zanim Jake i Roland dopadną Waltera, Jake ginie ponownie... dlatego że rewolwerowiec, postawiony przed okrutnym wyborem między życiem przybranego syna i *Mroczną Wieżą*, wybiera *Wieżę*. Ostatnie słowa Jake'a, zanim chłopiec runie w przepaść, brzmią: „Więc idź. Są światy inne niż ten”.

Do rozstrzygającego spotkania Rolanda z Walterem dochodzi w pobliżu Morza Zachodniego. W czasie długiej nocnej rozmowy człowiek w czerni przepowiada Rolandowi przyszłość za pomocą dziwnej talii kart tarota. Trzy z tych kart — *Więzień*, *Władczyni Mroku* i *Śmierć* („lecz jeszcze nie dla ciebie, rewolwerowcze”) — zwracają szczególną uwagę Rolanda.

Tom drugi, *Powołanie Trójki* rozpoczyna się na brzegu Morza Zachodniego niedługo po tym, jak Roland budzi się po spotkaniu z Walterem. Wyczerpanego rewolwerowca atakuje horda mięsożernych homarokoszmarów i zanim zdoła im uciec, traci dwa palce prawej ręki. Rana jest zainfekowana i ruszając w dalszą drogę wzdłuż brzegu Morza Zachodniego, rewolwerowiec jest chory i bliski śmierci.

W trakcie swej wędrówki napotyka stojące na plaży drzwi. Prowadzą one do Nowego Jorku w trzech różnych „niegdyś”. Z 1987 roku Roland powołuje Eddiego Deana, Więźnia, niewolnika heroiny. Z 1964 roku Odettę Susannah Holmes, kobietę, która straciła nogi, wepchnięta pod skład metra przez psychopatycznego Jacka Morta. To ona jest Władczynią Mroku; w jej umyśle skrywa się druga, skłonna do przemocy osobowość: gwałtowna i sprytna Detta Walker, która zamierza zabić Rolanda i Eddiego, kiedy rewolwerowiec sprowadza ją do Świata Pośredniego.

Roland sądzi, że skompletował Trójkę, powołując Eddiego i Odettę, gdyż Odetta ma podwójną osobowość, gdy jednak Odetta i Detta zmieniają się w Susannah (głównie dzięki miłości i odwadze Eddiego Deana), rewolwerowiec pojmuje swój błąd. Uświadamia sobie jeszcze coś: udrękę, jaką sprawia mu nieustanne wspomnienie Jake'a, chłopca, który w chwili śmierci mówił o innych światach.

Ziemię jałowe zaczynają się od paradoksu: Roland postrzega Jake'a jako postać jednocześnie żywą i martwą. W Nowym Jorku z końca lat siedemdziesiątych Jake'a Chambersa dręczy to samo pytanie: żywy czy martwy? Jaki? Zabiwszy gigantycznego niedźwiedzia zwanego Mirem (przez dawnych ludzi, którzy panicznie się go bali) lub Shardikiem (przez Wielkich Dawnych, którzy go zbudowali), Roland z Eddiem i Susannah, idąc tropem bestii, odkrywają ścieżkę Promienia, znaną jako Shardik do Maturina, Niedźwiedź do Żółwia. Niegdyś było sześć takich Promieni, łączących dwanaście portali znajdujących się na krańcach Świata Pośredniego. W miejscu, gdzie się przecinają, w środku świata Rolanda (i — być może — wszystkich innych światów) wznosi się Mroczna Wieża, centrum wszystkich „gdzieś” i „kiedyś”.

Eddie i Susannah już nie są więźniami świata Rolanda. Zakochani w sobie, znajdujący się na dobrej drodze, aby również zostać rewolwerowcami, stają się pełnoprawnymi uczestnikami wyprawy i dobrowolnie towarzyszą Rolandowi, ostatniemu *seppe-sai* (sprzedawcy śmierci), kroczącemu ścieżką Shardika, drogą Maturina.

W mówiącym kręgu niedaleko Bramy Niedźwiedzia dziura czasowa zostaje załata i pąjadsfepacwiązany przez powołanie prawdziwego Trzeciego. Jake ponownie wkracza do Świata

Pośredniego w wyniku niebezpiecznego rytuału, podczas którego wszyscy czworo — Jake, Eddie, Susannah i Roland — pamiętają oblicza swych ojców i zachowują się z honorem. Wkrótce potem czwórka zmienia się w piątkę, gdy Jake zaprzyjaźnia się z billy-bumblrem. Bumblery, przypominające skrzyżowanie borsuka z szopem i psem, potrafią wypowiadać niektóre słowa. Jake nazywa swego nowego przyjaciela Ejem.

Wędrowcy zmierzają w kierunku Ludu, gdzie zdegenerowani potomkowie dwóch frakcji toczą niekończącą się walkę. W drodze do miasta, w niewielkim River Crossing, spotykają grupkę starych ludzi, pamiętających dawne dni. Ci rozpoznają w Rolandzie rycerza z dawnych czasów, „nim świat poszedł naprzód”, i podejmują ze złością jego wraz z przyjaciółmi. Opowiadają pielgrzymom o jednoszynowym pociągu, który być może w dalszym ciągu jeździ z miasta Lud, przez ziemie jałowe, ścieżką Promienia do Mrocznej Wieży.

Ta wieść przeraża, lecz nie zaskakuje Jake'a, który przed opuszczeniem Nowego Jorku nabył dwie książki w księgarni prowadzonej przez mężczyznę o dającym do myślenia nazwisku Calvin Tower (Wieża). Jedną z nich jest zbiór zagadek z wydartymi rozwiązaniami. Druga, *Chanie Puf-Puf*, to bajka, w której pobrzmiwają groźne echa Świata Pośredniego. Na przykład w Wysokiej Mowie, którą posługiwał się dorastający w Gilead Roland, słowo *char* oznacza śmierć.

Ciotka Talitha, matrona z River Crossing, daje Rolandowi srebrny krzyżyk na łańcuszku i wędrowcy ruszają w dalszą drogę. Podczas przeprawy przez wałący się most nad rzeką Send Jake zostaje porwany przez umierającego (i bardzo niebezpiecznego) bandytę Gashera, który zabiera swego jeńca do podziemnej kryjówki Tik-Taka, ostatniego przywódcy frakcji Siwych.

Podczas gdy Roland i Ej ruszają na ratunek Jake'owi, Eddie i Susannah odnajdują Kolebkę Ludu i budzą Blaine'a Mono. Blaine jest ostatnim naziemnym urządzeniem sterowanym przez ogromny system komputerowy, znajdujący się pod miastem Lud, i interesują go wyłącznie zagadki. Obiecuje zawieźć wędrowców aż do ostatniej stacji swej trasy... jeśli zadadząmu zagadkę, której nie zdoła rozwiązać. W przeciwnym wypadku, powiada Blaine, czeka ich śmierć.

Roland uwalnia Jake'a, pozostawiając umierającego Tik-Taka. Andrew Quick jednak żyje. Na pół oślepiiony, z okropną raną twarzy, zostaje uratowany przez człowieka, który podaje się za Richarda Fannina. Przedstawia się również jako Wieczny Przybysz, demon, przed którym ostrzegano Rolanda.

Wędrowcy opuszczają umierające miasto Lud i podążają dalej, tym razem koleją jednoszynową. Fakt, że kierujący tym pociągiem sztuczny mózg rozpada się wraz z miastem, a różowy superekspres mknie po rozsypującym się torze z szybkością przekraczającą osiemset mil na godzinę, w niczym nie poprawia sytuacji. Tylko zadając Blaine'owi zagadkę, której komputer nie zdoła rozwiązać, bohaterowie mogą ujść z życiem.

Na początku tomu *Czarnoksiężnik i kryształ* Eddie istotnie zadaje taką zagadkę, pokonując Blaine'a typowo ludzką bronią: brakiem logiki. Pociąg zatrzymuje się w mieście Topeka w stanie Kansas, wyludnionym przez zarazę zwaną supergrypą. Kiedy ruszają dalej ścieżką Promienia (teraz będącą apokaliptyczną wersją międzystanowej autostrady 1-70), dostrzegają niepokojące znaki. WYŚLAWIAJCIE KARMAZYNOWEGO KRÓLA, głosi jeden. STRZEŻ SIĘ WĘDRUJĄCEGO GOŚCIA, głosi drugi. A uważni czytelnicy szybko się zorientują, że ów Wędrujący Gość jest bardzo podobny do Richarda Fannina.

Opowiedziawszy swoim przyjaciołom historię Susan Delgado, Roland dociera z nimi do zbudowanego na autostradzie pałacu z zielonego szkła, niezwykle przypominającego ten, którego Dorotka szukała w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*. W sali tronowej tego wielkiego zamczyska spotykają nic Wielkiego i Straszego Oza, lecz Tik-Taka, ostatniego uchodźcę z ginącego miasta Lud. Umierający Tik-Tak zmienia się w prawdziwego Czarnoksiężnika. To odwieczny wróg Rolanda, Marten Broadcloak, w niektórych światach znany jako Randall Flagg, w innych jako Richard Fannin, a w jeszcze innych jako John Farson (Dobry Człowiek). Roland i jego przyjaciele nie są w stanie zabić tej zjawy, która po raz ostatni ostrzega ich, żeby zrezygnowali z wyprawy do Mrocznej Wieży („Przeciwko mnie będziesz miał tylko niewypały, Rolandzie, stary przyjacielu — powiedział rewolwerowcowi”), ale udaje im się ją przegnać.

Po ostatniej wyprawie, której celem było zdobycie kryształu Czarnoksiężnika, i po poznaniu jeszcze jednego przerażającego

faktu — że Roland z Gilead zabił własną matkę, wzięwszy ją za wiedźmę imieniem Rhea — wędrowcy powracają do Świata Pośredniego i na ścieżkę Promienia. Ruszają w dalszą drogę i w tym momencie spotykamy się z nimi na pierwszych stronach *Wilków z Calla*.

Powyższe streszczenie w żadnym razie nie jest wyczerpującym podsumowaniem pierwszych czterech tomów cyklu *Mrocznej Wieży*. Jeśli ich nie czytaliście, radzę zrobić to teraz albo zrezygnować z lektury. Wszystkie te książki są częściami jednej długiej opowieści, którą należy przeczytać od początku do końca, a nie rozpoczynać od środka.

Szanowny panie, nasza specjalność to ołów.
Steve McOucen
u *Siedmiu wspaniałych*

Najpierw uśmiechy, potem kłamstwa. Dopiero potem kule.
Roland Deschain z Gilead

Krew, która płynie w tobie
płynie i we mnie,
ilekroć spojrzę w lustro,
twoją twarz widzę.
Weź mnie za rękę,
Wesprzyj się na mnie.
Jużeśmy prawie wolni,
Mały wędrowcze.

Rodney Cromwell

PROLOG

POKUR

I

Los obdarzył (choć niewielu farmerów użyłoby takiego słowa) Tiana trzema kawałkami ziemi: Nadrzecznym Polem, na którym jego rodzina od niepamiętnych czasów sadziła ryż; Przydrożnym Polem, gdzie Ła-Jaffordsowie uprawiali buraki cukrowe, dynie lub zboże od równie wielu lat i pokoleń, oraz Sukinsynem, czyli ugorem, który dawał tylko skały, pęcherze i zawiedzione nadzieje. Tian nie był pierwszym z JafYordsów, który postanowił zrobić coś z tymi dwudziestoma akrami za ich rodzinnym domem. Jego dziad, we wszystkich innych sprawach przeważnie wykazujący zdrowy rozsądek, był przekonany, że znajdzie tam złoto. Mama Tiana była równie pewna tego, że można uprawiać na tej ziemi *porin*, będący cenną przyprawą. Natomiast Tian miał kręcka na punkcie madrygału. To jasne, że madrygał doskonale obrodzi na Sukinsynie. Po prostu musi tam obrodzić. Tian zdobył tysiąc nasion (które kosztowały go majątek) i schował je pod podłogą swojej sypialni. Teraz, żeby zasiać je w przyszłym roku, musiał tylko rekultywować Sukinsyna. Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

Klan Jaffordsów mógł się poszczycić żywym inwentarzem, między innymi trzema mułami, ale tylko szalenie próbowałby orać mułem Sukinsyna. Nieszczęsne zwierzę, wykorzystane do wykonania tego zadania, zapewne jeszcze przed południem pierwszego dnia padłoby ze złamaną nogą lub użądłone na śmierć. Przed kilkoma laty taki los o mało nie spotkał jednego z wujów Tiana. Przybiegł z powrotem do domu, wrzeszcząc na

całe gardło, ścigany przez olbrzymie zmutowane osy o żądłach ' wielkości gwoździ.

Znaleźli ich gniazdo (a raczej znalazł je Andy, który nie-obawiał się os, choćby nie wiem jak wielkich), polali je naftą i spalili, ale mogły być tam inne. I te dziury. Do licha, były wszędzie, a nie można spalić dziur, no nie? Nie da się. Sukinsyn leżał na czymś, co starzy ludzie nazywali „luźnym gruntem”. Było na nim niemal tyle samo dziur, co głązów, nie mówiąc już o jaskiniach, przynajmniej jednej, z której wydobywały się opary paskudnie cuchnącego gazu. Kto wie, jakie strachy i zjawy mogły czaić się w jej ciemnej gardzieli?

A najgorsze dziury kryły się tam, gdzie człowiek (ani muł) nie mógł ich zauważyć. W żadnym razie, panie szanowny, nie dało się. Zawsze kryły się w niewinnie wyglądających kępach chwastów i wysokiej trawy. Jeśli muł trafił na taką, dawał się słyszeć głośny trzask, jakby pękła gałąź, po czym przekłete zwierzę padało na ziemię, szczerząc zęby, wytrzeszczając ślepia, i ryczało z bólu pod niebiosa. Przynajmniej dopóki nie skróciło się jego cierpienie, a w Calla Bryn Sturgis zwierzęta były bardzo cenne, nawet te rzadko używane jako pociągowe.

Tak więc Tian orał swoją siostrą. A czemu nie? Tia była pokurem, więc właściwie do niczego innego się nie nadawała. Była rosłą dziewczuchą — pokuty często osiągają spore rozmiary — a także chętną, Jezusie-Człowieku miej ją w opiece. Stary Człowiek zrobił jej jezusowe drzewko, które nazywał „krusyfiksem”, a ona nosiła je przez cały czas. Teraz kołysało się i objało o jej spoconą skórę, kiedy ciągnęła pług. Ten był przytroczony do jej ramion rzemienną uprzężą. Idąc za nią, trzymając pług za rączki z żelaznego drzewa i kierując ruchami siostry za pomocą lejców, Tian stękał, szarpał i popychał, gdy lemiesz wchodził zbyt głęboko, grożąc uwięzieniem. Był koniec Pełnej Ziemi, lecz tutaj, na Sukinsynie, było gorąco jak w środku lata. Kombinezon Tii był ciemny od potu i kleił się do jej długich i masywnych ud. Za każdym razem gdy Tian potrząsał głową, żeby odgarnąć spadające na oczy włosy, pot pryskał z nich na wszystkie strony.

— Dawaj, suko! — wrzasnął. — Tamuj leży głąz, co może złamać lemiesz. Ślepa jesteś?

Nie ślepa i nie głucha — po prostu pokur. Skręciła w lewo

energicznie. Idący za nią Tian zachwiał się, gwałtownie szarpnięty, i otarł sobie łydkę o inny głaz, którego nie zauważył i jakimś cudem ominął lemieszem. Czując strużki spływającej mu po nodze krwi, zadał sobie pytanie (nie po raz pierwszy), co za szaleństwo sprowadza tu wiecznie Jaffordsów. W głębi serca przeczuwał, że madrygał nie wszędzie tutaj, tak samo jak kiedyś *porin*, chociaż można było na tym ugorze uprawiać diabelskie ziele. Taak, mógłby mieć to gównu na całych dwudziestu akrach, gdyby chciał. Chodzi jednak o to, żeby do tego nie dopuścić, i od tego zawsze zaczynało prace polowe w sezonie Nowej Ziemi. Diabelskie ziele...

Pług skręcił w prawo, a potem skoczył do przodu, o mało nie wyrwijąc mu rąk ze stawów.

— Auu! — krzyknął. — Spokojnie, dziewczyno! Ręce mi nie odrosną, jak mi je wyrwiesz, no nie?

Tia uniosła szeroką, spoconą twarz ku zasnutemu nisko wiszącym chmurami niebu i ryknęła śmiechem. Panie Jezu, naprawdę ryczała jak osioł. A jednak to był śmiech, ludzki śmiech. Tian czasem mimo woli zastanawiał się, czy ten śmiech rzeczywiście coś wyraża. Czy ona rozumiała choć trochę z tego, co mówił, czy też reagowała tylko na ton jego głosu? Czy któryś z pokurów...

— Dzień dobry, *sai* — rozległ się głośny i beznamiętny głos za jego plecami. Właściciel głosu zignorował zaskoczony okrzyk Tiana. — Miłych i licznych dni na tej ziemi. Przybyłem tu po długiej wędrówce i jestem do twoich usług.

Tian gwałtownie odwrócił się. Zobaczył tuż obok Andy'ego — w całej dwumetrowej okazałości — i o mało nie klapnął na tyłek, gdy siostra zrobiła kolejny energiczny krok do przodu. Gwałtownie szarpnięte lejce wyslizgnęły mu się z dłoni i z głośnym kłaśnięciem owinęły wokół szyi. Tia, nieświadoma niczego, zrobiła kolejny krok. Lejce zacisnęły się na szyi Tiana, pozbawiając go tchu. Zarzęził, rozpaczliwie szarpiąc rzemienie. Andy przyglądał się temu ze swym szerokim i głupawym uśmiechem.

Tia ponownie szarpnęła uprząż, zwalając Tiana z nóg. Wylądował na kamieniu, który boleśnie wbił mu się między pośladki, ale przynajmniej znów mógł oddychać. Przynajmniej przez chwilę. Przekłęte, pechowe pole! Zawsze takie było! I zawsze będzie!

Tian chwycił lejce, zanim znów zacisnęły mu się na szyi, i wrzasnął:

— Stój, ty suko! Zatrzymaj się, jeśli nie chcesz, żebyśmy ukręcił ci te wielkie i bezużyteczne cyce!

Tia posłusznie zatrzymała się i obejrzała, sprawdzając, o co chodzi. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Podniosła muskularną rękę — lśniącą od potu — i wskazała palcem.

— Andy! — powiedziała. — Andy przyszedł.

— Nie jestem ślepy — warknął Tian i wstał, rozcierając sobie pośladki. Czy z nich też płynęła krew? Jezusie-Człowieku, podejrzewał, że tak.

— Dzień dobry, *sai* — zwrócił się do niej Andy i trzykrotnie stuknął trzema palcami w metalową szyję. — Długich dni i przyjemnych nocy.

Chociaż Tia z pewnością słyszała standardową odpowiedź na to powitanie — „A tobie dwakroć tyle” — co najmniej tysiąc razy, zdołała tylko podnieść swą szeroką twarz ku niebu i znów ryknąć tym głupawym śmiechem. Przez moment Tian poczuł zadziwiająco dotkliwy ból, nie ramion, szyi czy pokiereszowanych pośladków, lecz serca. Pamiętał ją jako małą dziewczynkę, śliczną i szybką jak ważka, bystrą jak mało kto. Potem...

Zanim jednak zdołał dokończyć tę myśl, napłynęła następna. Przestraszył się. *Wieści mogły przyjść akurat teraz, kiedy jestem tutaj. Na tym przeklętym polu, gdzie nic się nie udaje i wszystko idzie źle. Przecież to już czas, no nie? To już ten czas.*

— Andy — powiedział.

— Tak! — odparł z uśmiechem Andy. — Andy, wasz przyjaciel! Wróciłem po długiej podróży, aby wam służyć. Chcesz poznać swój horoskop, *sai* Tian? Mamy Pełną Ziemię. Księżyc ma czerwoną barwę. W Świecie Pośrednim nazywano go Księżycem Łowczyńi. Spotkanie z przyjacielem! Powodzenie w interesach! Wpadniesz na dwa pomysły, jeden dobry, drugi zły...

— Tym złym było oranie tego pola — przerwał mu Tian. — Daj spokój cholernemu horoskopowi, Andy. Po co przyszedłeś?

Uśmiech Andy'ego zapewne nie mógł wyrażać zakłopotania — w końcu był robotem, ostatnim w Calla Bryn Sturgis oraz w promieniu wielu mil i kół — a mimo to Tianowi wydał się zakłopotany. Robot wyglądał jak dorosły narysowany przez dzieciaka — niewiarygodnie wysoki i chudy. Nogi i ręce miał

ze srebrzystego metalu. Głowę jak beczka z nierdzewnej stali, i elektroniczne oczy. Tułów, niewiele grubszy od rurki, złocisty. Na środku tego, co u człowieka byłoby torsem, znajdowała się tabliczka:

NORTH CENTRAL POSITRONICS, LTD
WRAZ Z
LaMERK INDUSTRIES
PRODUKT
ANDY

Model: POSŁANIEC (I Wiele Innych Funkcji)
Numer seryjny: DNF-44821 -V-63

Tian nie wiedział i nie dbał o to, dlaczego ten głupek przetrwał, podczas gdy wszystkie inne roboty przestały istnieć — już od wielu pokoleń. Można go było spotkać w każdym zakątku Calla (której granic nie opuszczał), kroczącego na swych niewiarygodnie cienkich srebrzystych nogach, zagląającego wszędzie i od czasu do czasu popiskującego do siebie, gdy magazynował (a może kasował, kto to wie?) informacje. Śpiewał piosenki, roznosił plotki oraz wieści z jednego końca miasta na drugi — gdyż robot Andy był niestrudzonym wędrowcem i Posłańcem — i ze szczególnym upodobaniem zdawał się przekazywać horoskopy, chociaż wszyscy w miasteczku zgodnie twierdzili, że przeważnie bezwartościowe.

Robił jednak coś jeszcze, i to coś bardzo ważnego.

— Po co tu przyszedłeś, ty kupo złomu? Odpowiadaj! Czy to Wilki? Przybywają z Jądra Gromu?

Tian stał, patrząc na głupkowato uśmiechniętą metalową twarz Andy'ego, czując strużkę zimnego potu, spływającą po plecach, i modląc się gorąco, żeby ten dureń zaprzeczył i ponownie zaproponował podanie horoskopu lub zaśpiewanie wszystkich dwudziestu lub trzydziestu zwrotek piosenki *Zieleni się żytko, zieleni*.

Wciąż uśmiechnięty Andy odpowiedział:

— Tak, *sai*.

— Chryste i Jezusie-Człowieku — rzekł Tian (z opowieści Starego Człowieka domyślał się, że te dwa słowa oznaczają to samo, ale nigdy nie próbował tego dociec). — Kiedy?

— Minie jedna pora księżycowa, zanim tu dotrą — odparł wciąż uśmiechnięty Andy.

— Od pełni do pełni?

— Prawie, *sai*.

Zatem trzydzieści dni, mniej więcej. Trzydzieści dni do przybycia Wilków. I nie było sensu się łudzić, że Andy się myli. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób robot z takim wyprzedzeniem wie, kiedy Wilki przybywają z Jądra Gromu, ale wiedział. I nigdy się nie mylił.

— Pieprzyć cię za te parszywe wieści! — wykrzyknął Tian, zły na siebie za drżenie głosu. — Co z ciebie za pożytek?

— Przykro mi, że to złe wieści — rzekł Andy. Coś głośno szczerknęło w jego trzewiach, a oczy rozjarzyły się intensywniejszym błękitem, gdy zrobił krok do tyłu. — Może chcesz poznać swój horoskop? Mamy koniec Pełnej Ziemi, szczególnie sprzyjający czas do zakończenia starych spraw i poznania nowych ludzi...

— I pieprzę twoje fałszywe proroctwa!

Tian pochylił się, podniósł grudę ziemi i cisnął nią w robota. Tkwiący z bryle kamyk z brzękiem odbił się od metalowej powłoki Andy'ego. Tia jęknęła i zaczęła płakać. Andy cofnął się o jeszcze jeden krok, przy czym jego długi cień przesunął się po Sukinsynie. Wciąż się uśmiechał tym zniechęconym, głupkowatym uśmiechem.

— A może piosenkę? Nauczyłem się bardzo zabawnej od Manni na północnym krańcu miasta. Nazywa się *Jak trwoga to do Boga*.

Gdzieś z wnętrza Andy'ego wydobył się drżący brzęk drumli, a potem dźwięki fortepianu.

— Brzmi tak...

Pot sływał Tianowi po policzkach i przylepiał swędzące jądra do ud. Cuchnący zapach jego głupiej obsesji. Tia z tępą miną, rycząca wniebogłosy. I ten zidiociały, przynoszący złe wieści robot, szykujący się do odśpiewania jakiegoś cholernego psalmu Mannich.

— Cicho bądź, Andy — powiedział dość spokojnie, ale przez zaciśnięte zęby.

— *Sai* — zgodził się robot, po czym na szczęście zamilkł.

Tian podszedł do płaczącej siostry, objął ją ramieniem i poczuł jej intensywny (choć nie tak znowu nieprzyjemny) zapach. Nie była to woń obsesji, lecz pracy i posłuszeństwa. Westchnął i pogładził jej drżące ramię.

— Przystań, ty wielka mazgajowata cipo.

Te przykre słowa powiedział niezwykle łagodnie, a ona zareagowała na ton głosu. Zaczęła się uspokajać. Jej brat stał, czując ucisk biodra siostry tuż poniżej żeber (ponieważ była od niego o dobrą stopę wyższa) i przypadkowy przechodzień z pewnością przystanąłby na ich widok, zdumiony podobieństwem twarzy i ogromną różnicą wzrostu. Przynajmniej to podobieństwo wydawało się zupełnie naturalne: byli bliźniakami.

Uspokoił siostrę, łącząc czułe słowa ze zniewagami — od kiedy wróciła ze wschodu jako pokur, Tian Jaffords nie zwracał się do niej inaczej — i wreszcie przestała szlochać. A gdy po niebie przemknął kruk, zataczając kręgi i jak zwykle wydając szereg nieprzyjemnych dźwięków, wskazała ptaka palcem i roześmiała się.

Tiana ogarnęło dziwne uczucie, tak obce jego naturze, że nawet nie potrafił go nazwać.

— To nie w porządku — powiedział. — Nie, ludzie. Na Jezusa-Człowieka i wszystkich innych bogów, nie w porządku.

Spojrzał na wschód, gdzie wzgórza wtapiały się w ścianę nieprzeniknionej ciemności, która mogła być, lecz nie była warstwą chmur. Był to skraj Jądra Gromu.

— To nie w porządku, co z nami robią.

— Na pewno nie chcesz poznać swojego horoskopu, *sai*? Widzę lśniące monety i piękną czarnowłosą damę.

— Czarnowłose damy będą musiały obejść się beze mnie — odparł Tian i zaczął ściągać uprząż z szerokich ramion siostry. — Jestem żonaty, o czym z pewnością dobrze wiesz.

— Wielu żonatych mężczyzn ma kochanki — zauważył Andy. W uszach Tiana zabrzmiało to jak szyderstwo.

— Nie ci, którzy kochają swoje żony. — Tian przerzucił uprząż przez ramię (zrobił ją sam, gdyż w większości zagród zawsze jej brakowało) i ruszył w kierunku domu. — A w każdym razie nie farmerzy. Pokaż mi farmera, którego stać na

kochankę, a ucałuję twoje błyszczące dupsko. Zbieraj się, Tia. Ruszaj nogami.

— Dom? — spytała.

— Właśnie.

— Obiad w domu? — Spojrzała na niego niepewnie, z nadzieją. — Ziemniaki? — I po chwili dodała: — Sos?

— Jasne — powiedział Tian. — Do licha, czemu nie?

Tia radośnie krzyknęła i popędziła w kierunku zabudowań.

Kiedy biegła, miała w sobie coś, co niemal budziło podziw. Jak zauważył kiedyś ich ojciec, niedługo przed tą jesienią, podczas której odszedł, „Bystra czy głupia, ale kawał z niej baby”.

Tian powoli poszedł za nią, ze spuszczoną głową, wypatrując dziur, które jego siostra omijała, nawet nie patrząc na nie, jakby miała w głowie narysowaną mapę, gdzie zaznaczono je wszystkie. To dziwne nowe uczucie wciąż rosnęło. Znał gniew — jak każdy farmer, któremu krowy padły na mleczną chorobę lub letni grad położył pokotem zboże — lecz to uczucie było głębsze. Czuł wściekłość, a ta była dla niego czymś nowym. Szedł powoli, ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Andy idzie za nim, dopóki robot nie powiedział:

— Są jeszcze inne wieści, *sai*. Na północny zachód od miasta, ścieżką Promienia, nadchodzą obcy ze Świata Zewnętrzznego...

— Chrzanić Promień, obcych i ciebie — warknął Tian. — Zostaw mnie w spokoju, Andy.

Robot na chwilę zatrzymał się w miejscu, wśród głązów, chwastów i jałowych pagórków Sukinsyna, tego ugoru należącego do Jaffordsów. Z jego wnętrza wydobywały się ciche piski. Migotał oczami. Potem postanowił pójść i porozmawiać ze Starym Człowiekiem. Ten nigdy nie kazał mu się chrzanić. Stary Człowiek zawsze chciał poznać swój horoskop.

A ponadto interesował się obcymi.

Andy ruszył w kierunku miasta i Naszej Łaskawej Pani.

2

Zalia Jaffords nie widziała, jak mąż i szwagierka wracają z Sukinsyna, nie słyszała, jak Tia raz po raz zanurza głowę

w stojącej przed stodołą beczce z deszczówką, a potem prychnięcie koń. Zalia była po północnej stronie domu, wieszając pranie i pilnując dzieci. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Tian wrócił, dopóki nie zobaczyła, jak patrzy na nią z okna kuchni. Zdziwił ją jego widok, a jeszcze bardziej wyraz twarzy. Był blady jak ściana, nie licząc dwóch jaskrawych plam rumieńców na policzkach i trzeciej, płonącej niczym piętno na środku czoła.

Wrzuciła do kosza na bieliznę kilka klamerek, które wciąż trzymała w ręce, i ruszyła w kierunku domu.

— Gdzie idziesz, muska? — zawołał Heddon, a Hedda zawtórowała: — Gdzie idziesz, mamuśka?

— Nieważne — odrzekła. — Wy miejcie oko na maluchy.

— Czemuuu? — zaskomliła Hedda. Doprowadziła ten skowyt do perfekcji. Pewnego dnia przeciągnie strunę i matka zatłucze cholere.

— Ponieważ jesteście najstarsi — powiedziała.

— Ale...

— Zamknij się, Heddo Jaffords.

— Przypilnujemy ich, muska — obiecał Heddon. Jak zawsze zgodliwy. Może nie tak sprytny jak jego siostra, ale spryt to nie wszystko. Na pewno nie. — Chcesz, żebyśmy rozwiesili pranie?

— Hed-donn...! — znów zaskomliła jego siostra. Zalia jednak nie miała teraz dla nich czasu. Obrzuciła wzrokiem pozostałych: Lymana i Lię, którzy byli pięcioletkami, a także dwuletniego Aarona. Malec siedział goły na ziemi i z upodobaniem postukiwał kamieniem o kamień. On jeden nie był bliźniakiem, jakże zazdrościły go jej inne kobiety z wioski! Dlatego że Aaron zawsze będzie bezpieczny. Podczas gdy pozostałe dzieci: Heddon i Hedda... Lyman i Lia...

Nagle zrozumiała, co mógł oznaczać niespodziewany powrót męża do domu w środku dnia. Modliła się do bogów, żeby tak nie było, ale kiedy weszła do kuchni i zobaczyła, jak spogląda na dzieci, nabrała pewności, że jednak tak jest.

— Powiedz mi, że to nie Wilki — powiedziała sucho i pośpiesznie. — Powiedz, że nie.

— One — odparł Tian. — Trzydzieści dni, jak twierdzi Andy. Od pełni do pełni. A w tej sprawie Andy nigdy...

Zanim zdołał dokończyć, Zalia przycisnęła dłonie do skroni

i krzyknęła. Na podwórku Hedda drgnęła. Już chciała pobiec do domu, ale Heddon powstrzymał ją.

— Przecież nie wezmą takich małych dzieci jak Lyman i Lia, prawda? — zapytała męża. — Może Heddę lub Heddoną, ale nie moje maluchy? Przecież one dopiero za pół roku będą miały sześć lat!

— Wilki zabierają nawet trzyletnie dzieci, o czym dobrze wiesz — rzekł Tian.

Raz po raz otwierał i zaciskał dłonie. To uczucie w nim wciąż rosnęło — uczucie, które było silniejsze od gniewu. Z twarzą zalaną łzami popatrzyła na niego.

— Może nadszedł czas powiedzieć nie — oznajmił Tian głosem, którego sam nie poznał.

— Tylko jak? — szepnęła. — Jak, na wszystkich bogów, możemy to zrobić?

— Nie wiem — odparł. — Podejź tu, kobieto, błagam cię.

Podeszła, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie przez ramię pięćce dzieci na podwórku — jakby upewniając się, że wciąż są tam wszystkie, że Wilki jeszcze ich nie zabrały — po czym przeszła do pokoju stołowego. Na fotelu w kącie przy wygasłym kominku siedział starzec, śpiąc z głową opartą na piersi. Strużka śliny spływała mu z pomarszczonych, bezzębnych ust.

Z tego pokoju widać było stodołę. Tian przyciągnął żonę do okna i wskazał palcem.

— Tam — powiedział. — Widzisz ich, kobieto? Widzisz ich dobrze?

Oczywiście, że widziała. Siostra Tiana, mająca prawie sześć i pół stopy wzrostu, stała w rozpiętym kombinezonie; jej wielkie piersi lśniły od wody, którą piła z beczki z deszczówką. W drzwiach stodoły tkwił Zalman, brat Zalii. Ten miał prawie siedem stóp wzrostu i był wielki jak Lord Perth albo Andy, o twarzy równie pozbawionej wyrazu jak twarz Tii. Na widok dorodnej młodej dziewczyny pokazującej piersi dorodnemu młodzieńcowi mogłaby wyrosnąć buła w spodniach, ale nie Zally'emu. Jemu to się nie zdarzy. Był pokurem.

Zalia odwróciła się do Tiana. Popatrzyli na siebie, mężczyzna i kobieta, którzy nie byli pokurami tylko dzięki ślepemu szczęściu. Oboje wiedzieli, że równie dobrze to Zal i Tia mogli stać

tutaj i patrzeć na stojących przy stodole Tiana i Zahę, o wielkich ciałach i pustych głowach.

— Oczywiście, że widzę — powiedziała mężowi. — Myślisz, że jestem ślepa?

— A czy czasem nie chciałabyś być ślepa? — zapytał. — Żeby ich nie widzieć, co?

Zalia nie odpowiedziała.

— To nie w porządku, kobieto. Nie w porządku. Nigdy nie było w porządku.

— Przecież od niepamiętnych czasów...

— Chrzanić niepamiętne czasy! — zawołał Tian. — To dzieci! Nasze dzieci!

— Chcesz, żeby Wilki puściły Calla z dymem? Poderżnęły nam wszystkim gardła i wypaliły oczy z oczodołów? Bo wiesz, że tak bywało. Dobrze wiesz.

Pewnie, że wiedział. Tylko kto mógł zaprowadzić porządek, jeśli nie mieszkańcy Calla Bryn Sturgis? Przecież w tych stronach nie było żadnych władz, nawet szeryfa. Byli zdani wyłącznie na siebie. Nawet przed laty, gdy w wewnętrznych baroniach panował dobrobyt i ład, tutaj rzadko dostrzegano oznaki tego porządku. Tu, na pograniczu, życie zawsze było ciężkie. Potem zaczęły przybywać Wilki i stało się jeszcze cięższe. Kiedy się to zaczęło? Od ilu pokoleń? Tian nie wiedział, ale uważał, że „niepamiętne czasy” to zbyt długo. Wilki napały pograniczne wioski już wtedy, kiedy starzec był mały, to pewne. Porwały jego brata bliźniaka, kiedy siedział z nim na ziemi, grając w bierki. „Wziane go, bo był bliży drogi” — mówił im dziad (wiele razy). „Gdybym ja wtedy wyszedł pirszy z doma, ja by siedziół bliży drogi i wzieny by mnie. Bóg je dobry!”. A potem całował drewniany krucyfiks, który dał mu Stary Człowiek, unosił go ku niebu i chichotał.

Pradziad jednak mówił, że za jego czasów — czyli pięć lub nawet sześć pokoleń wcześniej, jeśli Tian dobrze to obliczył — nie było Wilków nadciągających na siwych koniach z Jądra Gromu. Tian spytał go kiedyś: „A czy wtedy też prawie wszystkie dzieci rodziły się parami? Czy starzy ludzie coś o tym mówili?”. Dziad długo zastanawiał się nad tym, po czym potrząsnął głową. Nie, nie pamiętał, co starzy ludzie opowiadali mu o tym.

Zalia spoglądała na Tiana z niepokojem.

— Sądzę, że nie jesteś w odpowiednim nastroju, by myśleć o takich sprawach, spędziwszy cały ranek na tym skalistym ugorze.

— Stan mojego umysłu nie ma wpływu na to, kiedy tu przybędą i kogo zabiorą — powiedział Tian.

— Nie popelnisz jakiegoś głupstwa? Nie zrobisz czegoś głupiego na własną rękę?

— Nie — odparł.

Bez wahania. *Już coś planuje* — pomyślała i pozwoliła sobie na nikłą iskierkę nadziei. Tian z pewnością nie mógł nic zrobić przeciw Wilkom — nikt z mieszkańców wioski nie mógł — ale na pewno nie był głupi. W tej wiosce, w której większość mężczyzn potrafiła myśleć tylko o sadzeniu (lub wsadzaniu w sobotni wieczór), Tian był niezwykłym zjawiskiem. Potrafił się podpisać i wypisać słowa, które układały się w napis: KOCHAM CIĘ, ZALLY (czym ją zdobył, chociaż nie umiała odczytać tego, co nakreślił na ziemi), umiał dodawać liczby, a także liczyć od dużych do małych, co jego zdaniem było jeszcze trudniejsze. Czy mógł...?

Wolała nie kończyć tej myśli. A jednak, kiedy jej matczyne serce i umysł znów zwróciły się ku Heddzie i Heddonowi, Lii i Lymanowi, bardzo chciała żywić tę nadzieję.

— Co więc...?

— Zamierzam zwołać zebranie mieszkańców. Roześlę wici.

— Przyjdą?

— Kiedy usłyszą wieści, przyjdą wszyscy. Omówimy to. Może tym razem zechcą walczyć. Może zechcą walczyć o swoje dzieci.

Za ich plecami skrzypiący starczy głos zakrakał:

— Ty głupi pomocie.

Tian i Zalia odwrócili się, trzymając się za ręce, i spojrzeli na starego. „Pomiot” to ostre słowo, ale Tian uznał, że stary patrzy na nich — na niego — dość życzliwie.

— Czemu tak mówisz, dziadku? — zapytał.

— Po takim spotkaniu, co je planujesz, ludzie spaliliby pół okolicy, gdyby byli upici — odparł stary. — Ale trzeźwi... — Pokręcił głową. — Ci nigdy się nie ruszą.

— Myślę, że tym razem możesz się mylić, dziadku — powiedział Tian i zimny strach ścisnął serce Zalii.

A jednak gdzieś głęboko pod nim tliła się ciepła iskierka nadziei.

3

Byłoby mniej narzekań, gdyby uprzedził ich co najmniej dzień wcześniej, lecz Tian nie miał takiego zamiaru. Nie mogli sobie pozwolić na stratę choćby jednego dnia. 1 kiedy posłał Hedдона i Heddę z wiciami, ludzie przyszli. Wiedział, że przyjdą.

Sala posiedzeń znajdowała się na końcu głównej ulicy, za sklepem Tooka i naprzeciw namiotu na placu zabaw, który teraz, pod koniec lata, był zakurzony i ciemny. Wkrótce mieszkanki miasteczka zaczną dekorować go na dożynki, chociaż tych w Calla nigdy nie obchodzono zbyt hucznie. Oczywiście dzieci zawsze cieszyły się, widząc kukły rzucające do ogniska, a co śmielsi młodzieńcy z nadejściem nocy kradli swój przydział całusów, ale to wszystko. Różne potańcówki i festyny mogły pasować w Świecie Pośrednim i innych, ale nie tu. Tutaj mieli poważniejsze sprawy na głowie niż obchodzenie dożynek.

Na przykład Wilki.

Niektórzy mężczyźni — z zasobnych farm na zachodzie i trzech na południu — przyjechali konno. Eisenhart z Rocking B miał nawet karabin i skrzyżowane na piersi pasy z amunicją. (Tian Jaffords wątpił, czy naboje są jeszcze dobre i czy z tej starej flinty udałoby się wystrzelić, nawet gdyby były). Delegacja Mannich przyjechała stłoczona na wozie zaprzężonym w parę zmutowanych rumaków—jeden był trzyoki, a drugi miał wielką różową narośl sterczącą na grzbiecie. Większość mężczyzn z Calla przybyła na mułach i osiołkach, ubrana w białe spodnie i długie, kolorowe koszule. Twardymi od odcisków palcami zdejmowali sombrero, pozostawiając je wiszące na rzemykach na plecach, i wchodzili do sali posiedzeń, niespokojnie popatrując na siebie. Ławy były zrobione z sosnowego drewna. Ponieważ nie było kobiet i pokurów, zebrani zapełnili ledwie trzydzieści z dziewięćdziesięciu ław. Słychać było gwar rozmów, ale żadnych śmiechów.

Tian stał przed budynkiem, trzymając w ręce wici i obserwując, jak słońce opada za horyzont i złocista tarcza powoli zanurza się w chmurach barwy zakąszonej krwi. Kiedy dotknęła horyzontu, jeszcze raz popatrzył na główną ulicę. Była pusta, nie licząc kilku pokurów siedzących na schodach do składu Tooka. Wszyscy byli ogromni i nie nadawali się do niczego prócz wrywania głazów z ziemi. Nie dostrzegł już żadnych mężczyzn nadjeżdżających na mułach. Nabrał powietrza, wypuścił je z płuc, po czym znów zaczerpnął tchu i spojrzał na ciemniejące niebo.

— Jezusie-Człowieku, nie wierzę w ciebie — powiedział. — Jeśli jednak tam jesteś, to pomóż mi teraz. I podziękuj Bogu.

Potem wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi sali narad odrobinę mocniej, niż było to konieczne. Gwar ucichł. Stu czterdziestu mężczyzn, w większości farmerów, patrzyło, jak wychodzi przed nich, łopocząc szerokimi nogawkami białych spodni, stukając buciorami o podłogę z tekowego drewna. Spodziewał się, że w tym momencie będzie przestraszony, może nawet niezdolny powiedzieć słowa. Był farmerem, a nie aktorem czy politykiem. Potem pomyślał o swoich dzieciach i kiedy spojrzał na zgromadzonych, okazało się, że bez trudu może patrzeć im w oczy. Wici w jego ręku nawet nie zdrząły. Gdy przemówił, słowa wydobywające się z jego ust padały płynnie, gładko i sensownie. Może ci ludzie nie zrobią tego, na co liczył — może stary miał co do nich rację — ale wyglądało na to, że chętnie go wysłuchają.

— Wszyscy wiecie, kim jestem — zaczął, stojąc z rękami zaciśniętymi na czerwonym trzonku starych wici. — Tian Jaffords, syn Luke'a, mąż Zalii Hoonik. Mam z nią piątkę, dwie pary i jedynaka.

W tym momencie wśród zebranych rozległy się szepty, zapewne komentujące, jakimi szczęściami są Tian i Zalia, że mają Aarona. Tian zaczekał, aż głosy ucichną.

— Przez całe życie mieszkam w Calla. Dzieliłem z wami *khef*, a wy ze mną. Teraz proszę, żebyście wysłuchali tego, co powiem.

— Dzięki ci, *sai* — mruknęli. Była to zwyczajowa odpowiedź, lecz dodała otuchy Tianowi.

— Przybywają Wilki — rzekł. — Otrzymałem tę wieść od Andy'ego. Będą tutaj za trzydzieści dni, od pełni do pełni.

Znów rozległy się szepty. Tian słyszał w nich przestrach i gniew, lecz nie zdziwienie. Andy był niezwykle skuteczny, gdy chodziło o roznoszenie wiadomości.

— Nawet ci z nas, którzy umieją trochę czytać i pisać, nie mają papieru do pisania — ciągnął Tian — tak więc nie mogę wam dokładnie powiedzieć, kiedy były tu ostatnio. Nie ma żadnych zapisów, rozumiecie, tylko przekazy z ust do ust. Wiem, że byłem już chłopcem, a więc to ponad dwadzieścia lat...

— Dwadzieścia cztery — rozległ się głos z tyłu sali.

— Nii, dwadzieścia trzy — poprawił ktoś siedzący bliżej.

Wstał Reuben Caverra. Był pulchnym mężczyzną o okrągłej, wesołej twarzy. Teraz jednak nie było na niej uśmiechu, tylko niepokój.

— Zabrali Ruth, moją siostrę, wysłuchajcie mnie, proszę.

Odpowiedział mu pomruk — ledwie słyszalne westchnienie — mężczyzn stłoczonych na ławkach. Mogli rozsiaść się po całej sali, ale woleli siedzieć blisko siebie. Czasem niewygodą ma swoje dobre strony, pomyślał Tian.

Reuben mówił:

— Bawiliśmy się pod wielką sosną na podwórku przed domem, kiedy przybyły. Od tego czasu co roku robię znak na korze. Nawet kiedy ją zwrócili, w dalszym ciągu to robiłem. Teraz są tam dwadzieścia trzy nacięcia, to oznacza dwadzieścia trzy lata.

Po tych słowach usiadł.

— Dwadzieścia trzy czy dwadzieścia cztery, to żadna różnica — powiedział Tian. — Ci, którzy byli dziećmi, kiedy Wilki pojawiły się tu ostatnio, są już dorośli i mają swoje dzieci. Te dranie mogą tu zebrać obfite żniwo. Piękny zbiór dzieci. — Zamilkł na moment, dając im szansę domyślenia się tego, co po chwili dorzucił głośno: — Jeśli na to pozwolimy. Jeśli pozwolimy Wilkom zabrać nasze dzieci w góry, a potem odesłać nam jako pokury.

— A co, do diabła, możemy zrobić? — odezwał się mężczyzna siedzący w środkowych ławkach. — To nie są ludzie!

Jego słowom zawtórował głośny (i zgnębiony) pomruk aprobaty.

Jeden z Mannich wstał, zaciskając granatowy płaszcz na kościstych ramionach. Powiódł po zebranych złowrogim wzro-

kiem. Zdaniem Tiana nie było to spojrzenie szaleńca, ale też na pewno nie było to spojrzenie człowieka przy zdrowych zmysłach.

— Wysłuchajcie mnie, proszę — rzekł.

— Dzięki ci, *sai* — odpowiedzieli zebrani z szacunkiem i rezerwą.

Rzadko można było zobaczyć w mieście Manniego, a teraz było ich tu aż ośmiu. Tian był rad, że przybyli. Jeśli coś mogło podkreślić powagę sytuacji, to z całą pewnością pojawienie się Mannich.

Drzwi sali otworzyły się i do środka wślizgnął się jeszcze jeden człowiek. Miał na sobie długi czarny płaszcz. Na czole widniała blizna. Nikt z zebranych, włącznie z Tianem, nie zauważył jego przybycia. Wszyscy obserwowali Mannich.

— Słuchajcie, co mówi Księga Manni: Gdy anioł śmierci przybył nad Ajyip, zabił pierwotnego w każdym domostwie, którego progu nie skropiono krwią ofiarnego jagnięcia. Tak rzecze Księga.

— Chwała Księdze — powiedzieli chórem pozostali Manni.

— Może też powinniśmy tak zrobić — ciągnął ich przedstawiciel. Mówił spokojnie, lecz żyłka na jego czole gwałtownie, pulsowała. — Może powinniśmy zmienić te trzydzieści dni w festiwal radości dla naszych malców, a potem je uśpić i skropić ziemię ich krwią. Niech Wilki zabiorą na wschód ich ciała, jeśli chcą.

— Oszalałeś — zaprotestował Benito Cash, urażony, a jednocześnie niemal rozbawiony. — Ty i twoi ludzie. Nie zamierzamy zabijać naszych dzieci!

— A czy te, które wrócą, nie będą jak martwe? — odparł Manni. — Wielkie bezmyślne stworzenia! Puste skorupy!

— Właśnie, a co z ich braćmi i siostrami? — zapytał Vaughn Eisenhart. — Bo Wilki zabierają tylko po jednym z każdej pary, o czym dobrze wiecie.

Wstał drugi Manni, z jedwabistą siwą brodą spływającą na pierś. Pierwszy mówca usiadł. Stary człowiek, Henchick, spojrział na pozostałych, a potem na Tiana.

— Ty trzymasz wici, młodzieńcze. Czy mogę mówić?

Tian skinieniem głowy udzielił mu głosu. Całkiem niezły początek. Niech przyjrzą się zagrodzie, w której siedzą, niech

dobrze się rozejrzają. Był przekonany, że w końcu znajdą tylko dwa wyjścia: pozwolić Wilkom zabrać po jednym dziecku z każdej pary bliźniąt, tak jak zawsze, albo walczyć. Aby jednak je dostrzec, muszą pojąć, że każde inne wyjście prowadzi w ślepią uliczkę. Starzec mówił spokojnie. Nawet ze smutkiem.

— Tak, to okropny pomysł. Mimo to pomyślcie: gdyby Wilki przybyły i nie znalazły żadnego dziecka, może na zawsze dałyby nam spokój.

— Owszem, może — warknął jeden z drobnych farmerów, który nazywał się Jorge Estrada. — Albo i nie. *Marmi-sai*, czy naprawdę zabiłbyś wszystkie dzieci w mieście z powodu tego, co może się stać?

Zebrani przyjęli to głośnym pomrukiem aprobaty. Wstał inny drobny farmer, Garrett Strong. Na jego twarzy przypominającej buldoga malował się upór. Wepchnął kciuki za pas.

— Lepiej pozabijajmy się wszyscy — oznajmił. — Zarówno dzieci, jak i dorośli.

Manni nie wyglądał na urażonego. Odziani w granatowe płaszcze jego towarzysze również.

— To jedno z możliwych rozwiązań — rzekł stary. — Możemy o nim porozmawiać, jeśli inni zechcą.

Usiadł.

— Ja nie chcę — powiedział Garrett Strong. — To tak, jakbyś obciął sobie ten cholerny łeb, żeby zaoszczędzić na goleniu. Słuchajcie mnie, proszę.

Rozległ się głośny śmiech i okrzyki „słuchamy cię pilnie!”. Garrett usiadł, nieco uspokojony, i zaczął poszeptywać coś z Vaughnem Eisenhartem. Jeden z farmerów, Diego Adams, przysłuchiwał się ich rozmowie. W jego czarnych oczach malowało się głębokie skupienie.

Wstał następny drobny farmer — Bucky Javier. Miał bystre niebieskie oczka, małą głowę i czoło mocno cofnięte w stosunku do porośniętego kozią bródką podbródka.

— A gdybyśmy odeszli stąd na jakiś czas? — zapytał. — Gdybyśmy zabrali nasze dzieci i wrócili na zachód? Może aż nad zachodnią odnogę Wielkiej Rzeki?

Przez moment wszyscy w milczeniu rozważali ten śmiały pomysł. Zachodnia odnoga rzeki Whye znajdowała się prawie w Świecie Pośrednim... gdzie, zdaniem Andy'ego, ostatnio

pojawił się pałac z zielonego szkła, który później znikł. Tian już miał odpowiedzieć mówcy, gdy nagle wyręczył go Eben Took, sklepikarz. Tian przyjął to z ulgą. Miał nadzieję, że będzie mógł milczeć jak najdłużej. Kiedy już się wygadają, powie im, co należy zrobić.

— Oszalałeś? — zapytał Eben. — Wilki przybędą, zobaczą, że nas nie ma, i puszczą wszystko z dymem: farmy i rancza, uprawy i zapasy, buraki i zboże. Nie będziemy mieli do czego wracać.

— A jeśli ruszą za nami?—wtrącił Jorge Estrada. — Myślisz, że takim jak Wilki trudno byłoby nas znaleźć? Spalą wszystko, tak jak mówi Took, a potem dościgną nas i zabiorą nam dzieci!

Jeszcze głośniejsze pomruki aprobaty. Szuranie buciorów o sosnowe deski. I liczne okrzyki: „Słuchajcie go, słuchajcie!”.

— Poza tym — powiedział Neil Faraday, wstając i ściskając przed sobą swoje wielkie i brudne sombrero — nigdy nie zabierają wszystkich naszych dzieci.

Powiedział to wystraszonym i nawołującym do rozsądku głosem, który sprawił, że Tian zacisnął zęby. Tej rady obawiał się najbardziej. Tego fałszywego głosu rozsądku.

Jeden z Mannich, młody i bez brody, parsknął głośnym i wzgardliwym śmiechem.

— Ach, jedno ocalone z dwóch! 1 tak jest dobrze, prawda? Dziękujemy Bogu!

Mówiłby dalej, lecz Henchick zacisnął sękatą dłoń na jego ramieniu. Młodzieniec nie powiedział już nic więcej, ale też nie pochylił pokornie głowy. Miał gniewny błysk w oczach i zaciskał zęby.

— Nie mówię, że tak jest dobrze — rzekł Neil. Zaczął tak szybko obracać w dłoniach sombrero, że Tianowi lekko zakręciło się w głowie. — Musimy jednak stawić czoło rzeczywistości, prawda? No cóż. One nie zabierają wszystkich. Na przykład moja córka Georgina jest dziarska i bystra...

— Tak, a twój syn George to wielki pustogłowy dureń — rzekł Ben Slightman. Był nadzorcą Eisenharta i nie znosił głupców. Zdjął okulary, wytarł je chustką i z powrotem umieścił na nosie. — Widziałem go siedzącego na schodach Tooka, kiedy jechałem ulicą. Dobrze mu się przyjrzałem. Jemu i kilku innym, równie pustogłowym.

— Przecież...

— Wiem — rzekł Slightman. — To trudna decyzja. Może lepiej mieć paru pustogłowych niż same trupy. — I po chwili dodał: — Albo stracić tylko co drugie dziecko, a nie wszystkie.

Ben Slightman usiadł wśród okrzyków „słuchajcie go” i „dzięki ci”.

— Zawsze zostawiają nam dość, żebyśmy przetrwali, prawda? — zapytał farmer, którego gospodarstwo znajdowało się na zachód od domu Tiana, na samym skraju Calla. Nazywał się Louis Haycox i mówił rozważnym, kwaśnym tonem. Pod obwisłym wąsem jego wargi wykrzywił niewesoły uśmiech. — Nie zabijemy naszych dzieci — rzekł, spoglądając na Man-nich. — Niech was Bóg ma w opiece, panowie, ale nie wierzę, żebyście nawet wy potrafili to zrobić, gdyby przyszło co do czego. A przynajmniej nie wszyscy z was. Nie możemy spakować manatków i ruszyć na zachód czy w inną stronę świata, ponieważ opuścilibyśmy nasze gospodarstwa. Spaliliby je, jak nic, a potem dogonili nas i zabrali nam dzieci. Potrzebują ich, bogowie wiedzą do czego. Zawsze wszystko sprowadza się do tego samego: jesteśmy farmerami, większość z nas. Jesteśmy silni, gdy babrzemy się w ziemi, i słabi, gdy tego nie robimy. Ja mam dwoje dzieci, czteroletnich, i bardzo je kocham. Nic chciałbym stracić żadnego z nich. Mimo to poświęciłbym jedno, żeby uratować drugie. I moją farmę.

Jego słowa przyjęto pomrukiem aprobaty.

— A czy mamy inne wyjście? Mówię tak: popełnilibyśmy najstraszliwszy błąd, budząc gniew Wilków. Chyba że moglibyśmy stawić im czoło. Ja stanąłbym przeciwko nim, gdyby to było możliwe. Lecz nie widzę takiej możliwości.

Przy każdym jego słowie Tian podupadał na duchu. Jakie szkody wyrządziło to, co powiedział? Bogowie i Jezusie-Człowieku!

Wayne Overholser wstał z ławy. Był najbogatszym farmerem w Calla Bryn Sturgis, czego dowodził wielki brzuch.

— Słuchajcie mnie, proszę.

— Dzięki ci, *sai* — mruknęli.

— Powiem wam, co zrobimy — rzekł, spoglądając wokół. — Co zawsze robiliśmy, ot co. Czy ktoś z was chce mówić o stawianiu czoła Wilkom? Czy ktoś jest tak szalony? Czym?

Dzidami i kamieniami, kilkoma łukami i pałkami? Albo czterema zardzewiałymi starymi strzelbami, takimi jak ta? Wskazał kciukiem na karabin Eisenharta.

— Nie śmieję się z mojej broni, synu — rzekł Eisenhart, lecz uśmiechnął się przy tym ze smutkiem.

— Przyjdą i zabiorą dzieci — ciągnął Overholser, rozglądając się wokół. — Niektóre. A potem znów zostawią nas w spokoju na całe pokolenie lub dłużej. Tak było i tak będzie i moim zdaniem powinniśmy dać temu spokój.

Po tych słowach nastąpiły nieprzyjazne pomruki, ale Overholser przeczekał je.

— Dwadzieścia trzy czy dwadzieścia cztery, to nieważne — powiedział, kiedy ucichły. — Tak czy owak, to szmat czasu. Długi okres spokoju. Może zapomnieliście o paru sprawach, ludzie. Na przykład o tym, że dzieci są jak plon. Bóg zawsze zsyła następne. Wiem, że to brzmi okropnie. Tak jednak żyliśmy i tak musi być dalej.

Tian nie czekał na dalsze wypowiedzi. Gdyby pozwolił im podążać tą drogą, straciłby wszelkie szanse przekonania zgromadzonych. Podniósł wici.

— Słuchajcie, co powiem! Słuchajcie, proszę! — zawołał.

— Dziękuję ci, *sai* — odpowiedzieli.

Overholser nieufnie spojrzął na Tianą.

I masz rację, że mi nie ufasz — pomyślał farmer. Ponieważ mam już dość takiego tchórzliwego zdrowego rozsądku jak twój.

— Wayne Overholser jest mądrym człowiekiem — rzekł Tian — i dlatego nie chciałbym zaprzeczać jego słowom. Poza tym mógłby być moim ojcem.

— A może nim jest — zawołał jedyny fernal Garretta Stronga, niejaki Rossiter, wywołując chóralny wybuch śmiechu. Nawet Overholser uśmiechnął się, słysząc ten żart.

— Synu, jeśli nie chcesz zaprzeczać moim słowom, to nie rób tego — powiedział.

Uśmiechał się, ale tylko wargami.

— Muszę — odparł Tian. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed ławkami. Wici z rdzawoczerwonych piór kotływały się w jego dłoniach. Podniósł głos, dając im znać, że nie mówi już tylko do wielkiego farmera. — Muszę, ponieważ *sai* Overholser jest w takim wieku, że mógłby być moim ojcem. Jego

dzieci są dorosłe, rozumiecie, i o ile mi wiadomo, ma ich tylko dwoje, dziewczynkę i chłopca. — Zamilkł na moment, po czym wypuścił zabójczy pocisk. — A urodziły się w odstępie dwóch lat.

Innymi słowami, pojedynczo. Obojgu nie groziło nic ze strony Wilków, choć tego nie musiał głośno mówić. Tłum szeptał.

Overholser poczerwieniał z gniewu.

— Taka gadanina to parszywe świństwo! To, co powiedziałem, nie ma nic wspólnego z tym, czy one są bliźniakami, czy nie! Daj mi wici, Jaffords. Mam jeszcze kilka słów do powiedzenia.

Zebrani zaczęli jednak tupać w deski, z początku powoli, potem coraz szybciej, aż tupanie zmieniło się w łoskot przypominający grad. Overholser gniewnie spoglądał wokół, tak czerwony, że prawie purpurowy.

— Chcę mówić! — krzyknął. — Wysłuchajcie mnie, proszę!

Odpowiedziały mu okrzyki: „nie, nie”, „Jaffords ma wici”, „siadaj i słuchaj”. Tian doszedł do wniosku, że Overholser stosunkowo późno dowiedział się, że najlepszy i najbogatszy gospodarz w okolicy nie jest szczególnie lubiany. Ci, którzy mieli mniej umiejętności lub szczęścia (co przeważnie sprowadzało się do tego samego), mogli zdejmować kapelusze, gdy mijał ich w bryczce lub powozie, mogli przysłać ubitą świnię lub krowę w podzięce, gdy bogaty przysyłał swoich robotników do pomocy przy stawianiu domu lub stodoły, mogli go okłaskiwać, kiedy podczas noworocznej zabawy składał się na zakup fortepianu, który teraz stał pod namiotem na placu zabaw. A jednak ci sami mieszkańcy Calla z dziką satysfakcją tupali teraz nogami, zagłuszając Overholsera.

Ten, nienawykły do takiego traktowania — a ściśle mówiąc, takiego lekceważenia — spróbował ponownie.

— Oddaj mi wici, słyszysz, proszę!

— Nie — odparł Tian. — Dam ci je później, nie teraz.

Te słowa wywołały głośne wiwaty, głównie ze strony najmniej zamożnych farmerów i ich robotników. Manni nie przyłączyli się do wrzawy. Skupili się tak ciasno, że wyglądali jak wielki granatowy kleks na środku sali. Byli najwyraźniej zaskoczeni takim obrotem wydarzeń. Tymczasem Vaughn Eisenhart i Diego Adams podeszli do Overholsera i zaczęli mu coś szeptać.

Masz szansę — pomyślał Tian. Wykorzystaj ją jak najlepiej.
Podniósł wici i wszyscy ucichli.

— Każdy będzie miał okazję zabrać głos — powiedział. — Co do mnie, mówię tak: nie możemy dłużej żyć, pochylając głowy i milcząc, kiedy Wilki przybywają i zabierają nasze dzieci. Oni...

— Oni zawsze je oddają — wtrącił cicho Farren Posella.

— Oddają tylko skorupy! — wrzasnął Tian i usłyszał kilka okrzyków: „słuchajcie go”.

Nie dość, ocenił. Zdecydowanie za mało. Na razie. Ponownie zniżył głos. Nie chciał naciskać. Overholser próbował tego i nic nie zdziałał mimo swojego tysiąca akrów.

— Zwracają nam skorupy. A co z nami? Jak to wpływa na nas? Ktoś mógłby rzec, że to nic, że Wilki zawsze były częścią naszego życia w Calla Bryn Sturgis, niczym sporadyczne cyklony lub trzęsienia ziemi. Lecz to nieprawda. Pojawiają się najwyżej od sześciu pokoleń. Tymczasem Calla istnieje od tysiąca lat albo dłużej.

Stary Manni o kościstych ramionach i złowrogim spojrzeniu podniósł się z ławy.

— On mówi prawdę, ludzie. Farmerzy... a wśród nich i Man-ni... byli tutaj, gdy w górach Jądra Gromu jeszcze nie zapano-wały ciemności, nie mówiąc o Wilkach.

Przyjęli tę rewelację spojrzeniami pełnymi podziwu, co najwyraźniej usatysfakcjonowało starego, który skinął głową i usiadł.

— Tak więc Wilki są właściwie czymś nowym — rzekł Tian. — Przybyły tutaj chyba z sześć razy w ciągu stu dwu-dziestu lub stu czterdziestu lat. Kto to wie dokładnie? Gdyż, co wiadomo, czas jakoś zmienił swój bieg.

Ciche pomruki. Kiwanie głowami.

— W każdym razie raz na pokolenie — ciągnął Tian. Zdawał sobie sprawę z tego, że przeciwnicy skupiają się wokół Overholsera, Eisenharta i Adamsa. Ben Slightman mógł przyłączyć się do nich lub nie... pewnie tak. Tych ludzi nie zdołałby poruszyć, gdyby nawet był obdarzony językiem anioła. No cóż, może poradzi sobie bez nich. Jeśli namówi pozostałych. — Przybywają raz na pokolenie i zabierają dzieci. Ile? Trzy tuziny? Cztery? *Sai* Overholser nie ma małych dzieci, ja jednak mam,

i to nie jedną parę, lecz dwie. Heddoną i Heddę, Lymaną i Lię. Kocham wszystkich czworo, ale za miesiąc zabiorą mi dwoje z nich. A kiedy tu wrócą, będą pokurami. Ta iskra, która czyni z człowieka rozumną istotę, zgaśnie w nich na zawsze.

Słuchajcie go, słuchajcie — dało się wyczuć westchnienie zgromadzonych w sali.

— Ilu z was jest ojcami bliźniąt, które mają włosy jedynie na głowach? — zapytał Tian. — Podnieście ręce!

Sześciu mężczyzn podniosło ręce. Potem jeszcze dwóch. I czterech. Ilekroć Tian myślał, że to już wszyscy, znowu ktoś niechętnie podnosił dłoń. W końcu naliczył dwadzieścia dwie osoby, a nie byli to wszyscy, którzy mieli dzieci. Widział, że Overholser stropił się na widok tak licznej grupy. Diego Adams także uniósł dłoń i Tian z zadowoleniem zauważył, że odsunął się od Overholsera, Eisenharta i Slightmana. Trzej Manni też podnieśli ręce. Jorgc Estrada i Louis Haycox również. I wielu innych, których znał, w czym nie było nic dziwnego, gdyż znał tu prawie każdego. Zapewne wszystkich poza kilkoma przybyszami, pracującymi na małych farmach za skromną zapłatę i gorący posiłek.

— Za każdym razem, gdy przybywają i porywają nasze dzieci, zabierają nam trochę serca i ducha — mówił dalej Tian.

— Och, daj spokój, synu — wszedł mu w słowo Eisenhart. — Trochę przesadzasz...

— Zamknij się, ranczerze — rozległ się głos. Należał do mężczyzny, który przyszedł ostatni, tego z bliźnią na czole. Pobrzmiwał gniewem i pogardą. — Ma wici. Niech wypowie się do końca.

Eisenhart gwałtownie się odwrócił, aby zobaczyć, kto śmiał tak do niego mówić. Zobaczył i nic nie odpowiedział. To nie zdziwiło Tiana.

— Dzięki, Pere * — rzekł spokojnie. — Już prawie skończyłem. Wciąż myślę o drzewach. Można oberwać liście ze zdrowego drzewa, a ono przeżyje. Wyryć wiele imion na jego korze, a ta odrośnie i zablizni rany. Można nawet wyciąć z niego rdzeń, a mimo to zdoła przeżyć. Jeśli jednak będziecie wycinać z niego rdzeń raz po raz, przyjdzie taki czas, że nawet najmoc-

* Ojciec duchowy.

niejsze drzewo obumrze. Widziałem to na mojej farmie, i to przykry widok. Obumierają od środka. Widać to po liściach, gdy żółkną od nasady pnia do końców gałęzi. I właśnie to Wilki robią z naszą wioską. Tak dzieje się z Calla.

— Słuchajcie go! — zawołał Freddy Rosario z sąsiedniej farmy. — Słuchajcie go dobrze!

Freddy też miał bliźniaki, choć te były jeszcze przy piersi i zapewne bezpieczne.

— Mówicie, że jeśli stawimy im opór, zabiją nas i spalą wioskę od końca do końca — ciągnął Tian.

— Tak — rzekł Overholser. — Ja tak mówię. I nie tylko ja.

Wokół niego rozległy się pomruki aprobaty.

— A jednak za każdym razem, gdy stoimy z pokornie schyłonymi głowami i opuszczonymi rękami, Wilki odbierają to, co jest nam droższe niż zbiory, domy i zagrody; zabierają coraz więcej drewna z drzewa życia, którym jest nasza wioska! — zawołał donośnie Tian, podnosząc wysoko dłoń, w której ścisnął wici. — Jeśli wkrótce nie zaczniemy walczyć, zginieemy! To wam mówię, ja, Tian Jaffords, syn Luke'a! Jeśli szybko nie stawimy im oporu, sami staniemy się pokurami!

Głośne okrzyki „słuchajcie go”. Donośne tupanie nogami. Nawet oklaski.

George Telford, inny ranczer, szepnął coś do Eisenharta i Overholsera. Wysłuchali go, a potem skinęli głowami. Telford wstał. Był siwowłosy, opalony i przystojny w ogorzały sposób, który podobał się kobietom.

— Powiedziałeś już swoje, synu? — zapytał łagodnie, jakby zwracał się do dziecka, chcąc się dowiedzieć, czy dość się nabawiło i jest gotowe do popołudniowej drzemki.

— Chyba tak — odparł Tian. Nagle wpadł w przygnębienie. Telford nie był gospodarzem równym Vaughnowi Eisenhartowi, ale umiał mówić. Tian podejrzewał, że mimo wszystko przegra.

— Mogę dostać wici?

Tian zastanawiał się nad odmową, ale co by to dało? Powiedział już, co miał do powiedzenia. Próbował. Może on i Zalia powinni spakować manatki i ruszyć na zachód, w kierunku Świata Pośredniego. Według Andy'ego do przybycia Wilków został cały miesiąc. W trzydzieści dni można przebyć szmat drogi.

Oddał wici.

— Wszyscy podziwiamy pasję młodego *sai* Jaffordsa i z pewnością nikt nie wątpi w jego odwagę — rzekł George Telford. Mówiąc, przyciskał wici do piersi... na wysokości serca. Wodził oczami po zebranych, sprawiając wrażenie osoby nawiązującej kontakt wzrokowy z każdym obecnym na sali. — Musimy jednak myśleć nie tylko o tych dzieciach, które zostaną porwane, ale i tych, które pozostaną, prawda? W rzeczy samej, powinniśmy chronić wszystkie dzieci, czy to bliźnięta, czy trojaczki, czy pojedyncze, takie jak Aaron Jaffords. — Teraz Telford zwrócił się do Tiana. — Co powiesz swoim dzieciom, kiedy Wilki zastrzelą ich matkę i może spopiela dziada jednym ze swych świetlnych kijów? Co zrobisz, żeby zagłuszyć ich krzyki? Powiesz, że trzeba osłodzić swąd spalonej skóry i płonących płonów? Że ratujemy dusze czy też rdzeń jakiegoś wymyślonego drzewa?

Odczekał chwilę, dając Tianowi czas na odpowiedź, lecz ten żadnej nie znalazł. Niemal ich przekonał... ale nie wziął pod uwagę Telforda. Złotoustego sukinsyna Telforda, który już dawno osiągnął taki wiek, że nie musiał obawiać się Wilków wjeżdżających na jego podwórze na wielkich siwych koniach.

Telford kiwnął głową, jakby nie oczekiwał od Tiana niczego innego poza milczeniem, i znowu zwrócił się do siedzących na ławach.

— Kiedy przybędą Wilki — rzekł — przyjadą tu z zionącą ogniem bronią, znanymi wam świetlnymi kijami i strzelbami, i latającymi metalowymi rzeczami. Nie pamiętam, jak się nazywają te...

— Brzęczki — zawołał ktoś.

— Bzyczki! — krzyknął ktoś inny.

— Znicze! — wrzasnął trzeci.

Telford kiwał głową i uśmiechał się łagodnie. Jak nauczyciel do zdolnych uczniów.

— Czymkolwiek są, latają w powietrzu, szukając celu, a kiedy go znajdą, rozkładają wirujące ostrza, ostre jak brzytwy. W pięć sekund mogą pokroić człowieka od stóp do głów, zostawiając tylko krąg krwi i włosów. Nie wątpcie w moje słowa, gdyż widziałem to na własne oczy.

— *Słuchajcie go, słuchajcie go dobrze!* — zawołali ludzie na ławach. W ich oczach pojawił się strach.

— Same Wilki są przerażające — ciągnął Telford, gładko

przechodząc od jednej opowieści do drugiej. — Wyglądają trochę jak ludzie, ale nie są ludźmi. Są większe i znacznie groźniejsze. A stwory, którym służą w Jądrze Gromu, są o wiele straszniejsze. Słyszałem, że to wampiry. Być może istoty o łbach ptaków i zwierząt. Na pół martwi roninowie Strzaskanego Hełmu. Wojownicy Szkarłatnego Oka.

Zebrani szeptali. Na wspomnienie Oka nawet Tian poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach niczym stadko szczurów.

— Wilki sam widziałem, o innych mi mówiono — mówił dalej Telford. — I choć nie wszystko musi być prawdą, wierzę jednak w znaczną część tych opowieści. Lecz zostawmy Jądro Gromu i tych, którzy mogą tam mieszkać. Trzymajmy się faktów. Naszym problemem są Wilki i to nam wystarczy. Szczególnie że przybývają tu uzbrojone po zęby! — Z ponurym uśmiechem potrząsnął głową. — Co mamy zrobić? Może strącać je z tych wielkich koni, rzucając podkowami, *sai* Jaffords? Jak uważasz? — Jego słowa przyjęto drwiącym śmiechem. — Nie mamy broni, którą moglibyśmy z nimi walczyć. — Teraz mówił sucho i beznamiętnie, jak człowiek robiący podsumowanie. — A nawet gdybyśmy mieli, jesteśmy farmerami, ranczerami i hodowcami bydła, nie wojownikami. My...

— Skończ z tą tchórzliwą gadaniną, Telford. Powinieneś się wstydzić.

Ta chłodna wypowiedź wywołała głośnie okrzyki zdumienia. Zatrzeszczały ławki i kości, gdy zebrani odwrócili głowy, aby spojrzeć na mówiącego. Wtedy powoli, jakby spełniając ich oczekiwania, siwowłosy spóźnialski w czarnym płaszczu z karbowanym kołnierzykiem podniósł się z ławy na samym końcu sali. Blizna na jego czole — mająca kształt krzyża — była dobrze widoczna w świetle lamp naftowych.

Był to Stary Człowiek.

Telford stosunkowo szybko otrząsnął się z zaskoczenia, lecz kiedy przemówił, Tian wciąż słyszał w jego głosie zdumienie.

— Wybacz, Pere Callahan, ale mam wici i...

— Do diabła z waszymi pogańskimi wiciami i waszą tchórzliwą gadaniną — przerwał mu Pere.

Ruszył głównym przejściem, ostrożnie stawiając zartretyzowane nogi. Nie był tak stary jak Manni, nie mówiąc już o Tia-

nowym dziadku (który podawał się za najstarszego człowieka nie tylko tutaj, ale i w Calla Lockwood na południu), a mimo to wydawał się starszy od nich obu. Starszy niż czas. Częściowo zawdzięczał to oczom ponuro spoglądającym spod blizny na czole (zdaniem Zalii po ranie, którą sam sobie zadał). W jeszcze większym stopniu swojemu głosowi. Choć był tutaj od tylu lat, że zdołał stworzyć ten dziwny kościół Jezusa-Człowieka i przekonać do swej wiary połowę mieszkańców Calla, nawet obcy ani przez chwilę nie pomyślałby, że Pere Callahan pochodzi stąd. O jego odmienności świadczyła beznamiętna i nosowa wymowa oraz często niezrozumiały sposób mówienia, który nazywał „ulicznym slangiem”. Niewątpliwie pochodził z jednego z tych innych światów, o których wciąż gadali Manni, chociaż nigdy o tym nie wspominał, i teraz Calla Bryn Sturgis była jego domem. Cieszył się powszechnym i niekwestionowanym autorytetem, który nie pozwalał podważyć jego prawa do zabierania głosu bez wici.

Mógł być młodszy od dziada Tiana, lecz Pere Callahan mimo to był Starym Człowiekiem.

4

Spojrzał na mężczyzn z Calla Bryn Sturgis, nie zaszczycając nawet zerknięciem George'a Telforda. Temu opadła ręka, w której trzymał wici. Usiadł w pierwszym rzędzie, wciąż je trzymając.

Callahan zaczął od jednego ze swych slangowych wyrażań, lecz wszyscy zebrani byli farmerami, więc nikomu nie musiał wyjaśniać, co to oznacza.

— To kupa kurzego łajna.

Znów powoli zmierzył ich wzrokiem. Większość nie mogła spojrzeć mu w oczy. Po chwili nawet Eisenhart i Adams opuścili wzrok. Overholser trzymał podniesioną głowę, lecz pod nieustępliwym spojrzeniem Starego Człowieka ranczer wyglądał raczej jak naburmuszone dziecko, w każdym razie w jego spojrzeniu nie było nic wyzywającego.

— Kupa kurzego łajna — powtórzył mężczyzna w czarnym płaszczu i karbowanym kołnierzyku, z naciskiem wymawiając

każdą sylabę. Spod rozchyłonego płaszcza błysnął złoty krzyżyk. Drugi, na jego czole — który według Zalii sam wyrzył sobie paznokciem w akcie pokuty za jakiś straszny grzech — lśnił w blasku lamp niczym tatuaż. — Ten młody człowiek nie jest jednym z mojego stadka, ale ma rację i sędzę, że wszyscy o tym wiecie. Wiecie to w głębi waszych serc. Nawet ty, panie Overholser. I ty, George'u Telfordzie.

— Nic podobnego — zaprzeczył Telford, lecz jego głos zabrzmiał słabo, odarty z poprzedniego uniesienia.

— Wszystkie twoje kłamstwa wyjdą ci bokiem, jak powiedziałaby moja matka. — Callahan postąpił Telfordowi nikły uśmiech, którego Tian nie chciałby być adresatem. Potem Callahan zwrócił się do Tiana: — Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś ujął to lepiej niż ty dzisiaj, chłopcze. Dzięki ci, *sai*.

Tian zdołał podnieść rękę, a nawet zdobył się na uśmiech. Czuł się jak postać z jakiejś głupiej jarmarcznej sztuki, ocalony w ostatniej chwili na skutek boskiej interwencji.

— Wiem ja coś o tchórzostwie, o tym, co może z wami zrobić — rzekł Callahan do siedzących na ławach mężczyzn. Podniósł prawą dłoń, zniekształconą i oszpeconą jakimś dawnym oparzeniem, przyjrzał się jej uważnie, a potem znów opuścił. — Można powiedzieć, że znam je z własnego doświadczenia. Wiem, że jedna tchórzliwa decyzja prowadzi do następnej... i jeszcze jednej... i jeszcze... aż jest za późno, by zawrócić, za późno, by coś zmienić. Panie Telford, zapewniam, że drzewo, o którym mówił młody Jaffords, nie jest wymyślone. Calla Bryn Sturgis grozi straszne niebezpieczeństwo. Zagrożone są wasze dusze.

— Zdrowaś Mario, łaski pełna — rzekł ktoś po lewej stronie sali — Pan z Tobą... błogosławiony owoc żywota Twojego, Je...

— Skończ z tym — warknął Callahan. — Zostaw to na niedzielę. — Baczenie zmierzył zebranych roziskrzonymi, zapadniętymi oczami. — Na ten wieczór zapomnijmy o Bogu, Maryi i Panu Jezusie. A także o świetlnych prętach i zniczach Wilków. Musicie walczyć. Jesteście mężczyznami, czyż nie? Zatem postępujcie jak mężczyźni. Przestańcie zachowywać się niczym psy pełzające na brzuchach i liżące buty okrutnego pana.

Słyszając to, Overholser poczerwieniał i zaczął podnosić się z ławy. Diego Adams złapał go za ramię i szepnął coś do ucha.

Cwerholser na moment znieruchomiał w pół ruchu, a potem z powrotem opadł na ławę. Adams wstał.

— To brzmi nieźle, *padrone* — rzekł z ciężkim akcentem. — I odważnie. Może jednak powinniśmy poznać odpowiedzi na kilka pytań. Jedno z nich zadał Haycox. Jak ranczerzy i farmerzy mają stawić czoło uzbrojonym zabójcom?

— Wynajmując własnych uzbrojonych zabójców — odparł Callahan.

Na moment zapadła głucha, zdumiona cisza. Wydawało się, że Stary Człowiek powiedział coś w nikomu nieznanym języku. W końcu Diego Adams odezwał się ostrożnie:

— Nie rozumiem.

— Jasne, że nie rozumiesz — odparł Stary Człowiek. — Tak więc słuchaj i ucz się. Ranczerze Adams i wy wszyscy, słuchajcie i uczcie się. Niecałe sześć dni jazdy na zachód od nas, podążając na południowy wschód ścieżką Promienia, nadchodzą trzej rewolwerowcy i jeden praktykant. — Uśmiechnął się na widok ich zaskoczenia. Potem zwrócił się do Slightmana: — Ten praktykant jest niewiele starszy od twojego chłopaka, Ben, ale już szybki jak wąż i śmiertelnie groźny jak skorpion. Pozostali są o wiele szybsi i groźniejsi. Wiem o tym od Andy'ego, który ich widział. Potrzebujecie broni większego kalibru? Oto ona. Gwarantuję wam to.

Tym razem Overholser zerwał się z ławy. Twarz płonęła mu jak w gorączce. Wielki brzuch trzął się, zdradzając oburzenie właściciela.

— A cóż to za bajki na dobranoc? — spytał. — Jeśli nawet kiedyś byli tacy ludzie, to przestali istnieć wraz z Gilead. A prochy Gilead wiatr rozwiewa już od tysiąca lat.

Jego słowom nie towarzyszyły szepty poparcia ani wzburzenia. Wszyscy milczeli. Tłum zamarł, urzeczony jednym mitycznym słowem: *rewolwerowcy*.

— Mylisz się — rzekł Callahan — ale nie musimy się o to spierać. Możemy pójść i sami sprawdzić. Myślę, że wystarczy mała grupka. Jaffords... ja... i może ty, Cwerholser? Chcesz iść z nami?

— Nie ma żadnych rewolwerowców! — wrzasnął Overholser. Siedzący za nim Jorge Estrada wstał.

— Pere Callahan, niech cię Bóg ma w opiece...

' - I ciebie, Jorge.

— Gdyby nawet byli tam rewolwerowcy, to co mogliby zdziałać przeciwko czterdziestu lub sześćdziesięciu wrogom? I nie przeciwko czterdziestu lub sześćdziesięciu zwyczajnym ludziom, lecz przeciwko Wilkom?

— Słuchajcie go, bo mówi rozsądnie! — zawołał Eben Took, sklepikarz.

— I czemu mieliby za nas walczyć? — ciągnął Estrada. — Jakoś wiążemy koniec z końcem, ale to wszystko. Co moglibyśmy im zaofiarować oprócz kilku gorących posiłków? A kto zgodzi się umierać za obiad?

— Słuchajcie go, słuchajcie! — krzyknęli chórem Telford, Overholser i Eisenhart. Inni rytmicznie tupali w deski podłogi.

Stary Człowiek zaczekał, aż przestaną tupać.

— Na plebanii mam książki. Pół tuzina — powiedział po chwili.

Chociaż większość zebranych o tym wiedziała, wzmianka o książkach — o takiej ilości papieru — wywołała chóralne westchnienie podziwu.

— Według jednej z nich rewolwerowcom nie wolno było przyjmować żadnego wynagrodzenia. Prawdopodobnie dlatego, że wywodzili się od samego Arthura Elda.

— Elda! Elda! — zaczęli szeptać Manni i kilku z nich podniosło w górę pięści z wystawionymi palcami... znak odpędzający demony.

Rusz to stado — pomyślał Stary Człowiek — *i popędź je do Teksasu*. Zdołał powstrzymać śmiech, ale nie uśmiech, który wykrzywił mu wargi.

— Czy mówisz o rycerzach przemierzających ziemię i czyniących dobro? — spytał Telford lekko kpiącym tonem. — Chyba jesteś za stary na takie opowiadki, Pere.

— Nie o rycerzach — sprostował cierpliwie Callahan — lecz rewolwerowcach.

— Jak trzech ludzi mogłoby stawić czoło Wilkom, Pere'? — zapytał Tian.

Według Andy'ego jednym z rewolwerowców była kobieta, lecz Callahan nie widział powodu, by jeszcze bardziej mącić im w głowach (choć łobuzerska strona jego natury mimo wszystko pragnęła to zrobić).

— Na to pytanie może odpowiedzieć ich *dinh*. Zapytamy go. I wiesz, Tian, że oni nie będą walczyć tylko dla stawy. Na pewno nie.

— No to czego mogą żądać? — zapytał Bucky Javier.

Callahan pomyślał, że tamci mogą pragnąć tego, co leżało pod deskami kościoła. To dobrze, gdyż to coś się zbudziło. Staiy Człowiek, który kiedyś uciekł z miasteczka zwanego w innym świecie Salem, chciał się tego pozbyć. Jeśli szybko tego nie zrobi, to coś go zabije.

Ka przyszło do Calla Bryn Sturgis. *Ka* jak wiatr.

— W swoim czasie, panie Javier — odparł Callahan. — Wszystko w swoim czasie, *sai*.

Tymczasem w sali posiedzeń dał się słyszeć szept. Słowo przelatywało z ust do ust między ławkami, podszyte nadzieją i lękiem.

Rewolwerowcy.

Rewolwerowcy na zachodzie, przybyli ze Świata Pośredniego.

I to była prawda, niech ich Bóg ma w opiece. Ostatnie śmiertelnie groźne dzieci Arthura Elda zbliżyły się do Calla Bryn Sturgis, podążając ścieżką Promienia. *Ka* jak wiatr.

— Czas, byście się zachowali jak mężczyźni — rzekł do zebranych Pere Callahan. Pod blizną na czole jego oczy płonęły niczym dwa węgle, lecz w głosie pobrzmiwało współczucie. — Czas powstać, panowie. Pora stanąć do walki.

CZĘŚĆ PIERWSZA

TRANS

TWARZ W WODZIE

1

Czas *jest jak twarz w wodzie* — to powiedzenie z dawnych lat, z odległego Mcjis. Dean nigdy tam nie był.

Chociaż był... w pewien sposób. Roland któreś nocy powiódł całą czwórkę swoich towarzyszy — Eddiego, Susannah, Jake'a i Eja — do Mejis, snując długą opowieść, gdy obozowali na międzystanowej autostradzie, przy zjeździe do Kansas, którego nigdy nie było. Tamtej nocy opowiedział im historię Susan Delgado, swej pierwszej miłości. Może jedynej. A także opowiedział im, jak ją utracił.

Powiedzenie to mogło być prawdziwe, kiedy Roland był chłopcem niewiele starszym od Jake'a Chambersa, lecz Eddie uważał, że jeszcze celniejsze jest teraz, gdy świat rozłaził się jak sprężyna w antycznym zegarku. Roland powiedział im nawet o tym, że w Świecie Pośrednim nie można już ufać wskazaniom kompasu; to, co wczoraj bezsprzecznie leżało na zachodzie, jutro mogło znaleźć się na południowym zachodzie, choć wydawałoby się to szaleństwem. A czas zmieniał się w podobny sposób. Były dni, które zdaniem Eddiego trwały czterdzieści godzin, a po niektórych nadchodziły noce (takie jak noc, kiedy Roland zabrał ich do Mejis) wydające się trwać jeszcze dłużej. Albo zdarzało się popołudnie, gdy miałeś wrażenie, że niemal dostrzegasz rozchodzący się mrok, kiedy noc gnała ci na spotkanie zza horyzontu. Eddie zastanawiał się, czy czas się pogubił.

Opuścili miasto zwane Lud, wiezieni przez Blaine'a Mono (i zagadki). Jake kilkakrotnie mówił, że *Blaine jest cierpieniem*,

lecz ten — a raczej to — okazał się czymś znacznie gorszym. Blaine Mono był szalony. Eddie wykończył go brakiem logiki („To coś, w czym jesteś szczególnie dobry, kochasiu” — powiedziała mu Susannah), po czym wszyscy wysiedli w Topece, która niezupełnie była częścią świata Eddiego, Susannah i Jake'a. I dobrze, gdyż ten świat — w którym zawodowy zespół baseballowy Kansas City nazywano Królami, coca-colę nozz-a-lą, a wielkim japońskim producentem samochodów nie był koncern Honda lecz Takuro — został zniszczony przez jakąś zarazę, która zabiła prawie wszystkich. *Tak więc niechaj ma cię w opiece Takuro Spirit* — pomyślał Eddie.

Kiedy tam był, wyraźnie odczuwał upływ czasu. Przeważnie bał się jak cholera — podejrzewał, że wszyscy czworo się bali, może oprócz Rolanda — ale owszem, wydawało się to realne i wyraziste. Nie miał wrażenia, że czas prześlizguje mu się między palcami, kiedy z nabojami w uszach szli po autostradzie numer siedemdziesiąt, spoglądając na porzucone pojazdy i słysząc jęklivy brzęk tego, co Roland nazywał błoną.

A jednak po spotkaniu w kryształowym pałacu ze starym znajomym Jake'a, Tik-Takiem, oraz starym znajomym Rolanda (Flaggiem... czy też Martenem... a może Maerlynem) czas zmienił swój bieg.

Chociaż nie od razu. Podróżowaliśmy w tej przeklętej różowej kuli... widzieliśmy, jak Roland przez pomyłkę zabił swoją matkę... a kiedy wróciliśmy...

Tak, właśnie wtedy to się stało. Obudzili się na polance, jakieś trzydzieści mil od zielonego pałacu. Wciąż go widzieli, ale wszyscy czworo zdawali sobie sprawę z tego, że znajduje się w innym świecie. Jakaś istota — lub siła — przeniosła ich nad błonę lub przez nią i z powrotem na ścieżkę Promienia. I to coś, a może ktoś, troskliwie zaopatrzyło każdego z nich w lunch i nozz-a-lę do picia oraz znane im ciasteczka Keeblera.

W pobliżu, przyczepiona do gałęzi drzewa, była wiadomość od istoty, której Roland nie zdołał zabić w pałacu. „Wyrzeknijcie się Wieży. To jest ostatnie ostrzeżenie”. Po prostu śmieszne. Roland równie chętnie wyrzekłby się Wieży, jak zabił ukochanego bumble'a Jake'a, żeby upiec go na rożnie na obiad. Nikt z nich nie wyrzekłby się Mrocznej Wieży Rolanda. Będą z nim do końca, niech Bóg ma ich w opiece.

— *Zostało nam jeszcze trochę dnia* — powiedział Eddie, kiedy znaleźli wiadomość od Flagga. — *To co, skorzystamy z niego?*

— *Oczywiście* — odparł Roland z Gilead. — *Skorzystamy.*

I tak też zrobili, podążając ścieżką Promienia przez bezkresne pola, oddzielone od siebie pasami gęstych, irytujących krzaków. Nigdzie nie było widać ludzi. Dzień po dniu i noc po nocy niebo było zasnuwane nisko wiszącymi chmurami. Ponieważ podążali ścieżką Promienia, chmury znajdujące się bezpośrednio nad nimi czasami rozstępowały się, ukazując nieco błękitu, ale nigdy na długo. Pewnej nocy rozstały się na tyle, żeby pokazać tarczę księżycy w pełni, z dobrze widoczną na niej twarzą o paskudnym, ironicznym uśmiechu domokrażcy. To, zdaniem Rolanda, świadczyło, że jest koniec lata, lecz Eddie miał wrażenie, że znaleźli się gdzieś poza czasem, gdzie trawy pożółkły lub całkiem uschły, drzewa (te nieliczne, które tu rosły) były bezlistne, a krzewy karłowate i zbrązowiałe. Zwierzyny było mało i po raz pierwszy od wielu tygodni — od kiedy opuścili las, w którym władał niedźwiedź Shardik, cyborg — czasami kładli się spać z pustymi brzuchami.

A jednak to wszystko, rozmyślał Eddie, nie było tak irytujące jak zatracenie poczucia czasu: niemożność określenia godziny, dnia, tygodnia i pory roku. Być może księżyc powiedział Rolandowi, że jest koniec lata, lecz świat wokół nich wyglądał jak w pierwszym tygodniu listopada, sennie oczekując na zimę. Czas, doszedł wtedy do wniosku Eddie, w znacznej mierze tworzą wydarzenia. Kiedy dzieje się mnóstwo ciekawych rzeczy, czas zdaje się płynąć szybko. Jeśli tkwisz w masie zwyczajnego nudnego gówna, wydaje się zwalniać. A kiedy nic się nie dzieje, czas też robi sobie wakacje. Pakuje manele i jedzie na Coney Island. Upiorne, lecz prawdziwe.

Czy rzeczywiście nic się nie działo? Eddie zastanawiał się nad tym (a nie mając nic do roboty poza popychaniem wózka Susannah przez jedno monotonne pole po drugim, pozostawało mnóstwo czasu na takie rozważania). Jedynym szczególnym wydarzeniem, jakie przychodziło mu do głowy, od kiedy powrócili z zielonego pałacu, było to, co Jake nazywał tajemniczą liczbą, która prawdopodobnie nie miała żadnego znaczenia. Aby dostać się do środka Blaine'a w Kolebce Ludu, musieli

rozwiązać pewną matematyczną zagadkę i Susannah powiedziała, że magiczna liczba była pozostałością po tym wydarzeniu. Eddie wcale nie był pewien, czy to prawda, ale co tam, to tylko teoria. A poza tym, cóż takiego szczególnego jest w liczbie dziewiętnaście? Tajemnicza liczba, rzeczywiście. Po namyśle Susannah orzekła, że to liczba pierwsza, jedna z tych, które otworzyły bramę do Blaine'a Mono. Eddie dodał, że to jedyna liczba, która przy odliczaniu zawsze znajduje się między osiemnaście a dwadzieścia. Jake uśmieł się z tego i powiedział mu, żeby nie zachowywał się jak krety. Eddie, który siedział przy ognisku i rzeźbił królika (który niebawem miał dołączyć do kota i psa, już schowanych w plecaku), odpowiedział, że Jake nie powinien wyśmiewać jego jedyne prawdziwego talentu.

2

Wędrowali ścieżką Promienia przez pięć lub sześć tygodni, kiedy natrafili na dwie stare bruzdy, które kiedyś niewątpliwie były drogą. Ta nie wiodła dokładnie ścieżką Promienia, ale Roland mimo to w nią skręcił. Orzekł, że biegnie dostatecznie blisko Promienia. Eddie myślał, że wędrowka drogą pomoże im się odnaleźć, pozbyć tego denerwującego wrażenia uwięzienia w morskiej ciszy, ale nie. Droga wiodła przez kolejne tarasowo wznoszące się pola. W końcu znaleźli się na szczycie długiej, biegnącej z północy na południe grani. Po drugiej stronie droga schodziła w dół, zagłębiając się w ciemny las. Niemal jak z bajki, pomyślał Eddie, gdy podążali w cieniu drzew.' Drugiego dnia wędrowki przez puszcę (a może trzeciego... lub czwartego) Susannah zastrzeliła jelonka, którego mięso było wyborne po monotonnej diecie vegetariańskich burritos rewolwerowca, lecz w leśnych ostępach nie czaiły się orki ani trolle, ani nawet elfy — z ciasteczek Keeblera czy innych. Nie napotkali też następnego jelonka.

— Wciąż szukam chatki z piernika — rzekł Eddie.

Już od kilku dni wędrowali krętą ścieżką przez stary las. A może od tygodnia. Był pewien tylko tego, że wciąż znajdują się stosunkowo blisko ścieżki Promienia. Mogli stwierdzić to, patrząc na niebo... Czuli to

— Jakiej chatki z piernika? — zapytał Roland. — Czy to też jakaś opowieść? Jeśli tak, chętnie jej posłucham.

Oczywiście. Rewolwerowiec był łasy na opowieści, szczególnie na te, które rozpoczynały się od słów: „Pewnego razu, kiedy wszyscy mieszkali w lesie”. Tylko że słuchał ich w dziwny sposób. Z lekkim roztargnieniem. Eddie wspomniał o tym Susannah, a ta od razu utrafiła w sedno, jak to często się jej udawało. Miała poetycki, niemal niesamowity dar celnego ujmowania uczuć w słowa.

— Dlatego że nie słucha z szeroko otwartymi oczami, jak dziecko, któremu czyta się do poduszki — powiedziała. — A ty chciałbyś, żeby słuchał w taki sposób, kochasiu.

— A jak on słucha?

— Jak antropolog — odparła bez namysłu. — Jak antropolog usiłujący poznać jakąś obcą kulturę na podstawie mitów i legend.

Miała rację. I jeśli sposób, w jaki Roland go słuchał, trochę irytował Eddiego, to zapewne dlatego, że w głębi duszy uważał, że jeśli ktoś miał tu przeprowadzać naukowe analizy, to raczej on, Suze lub Jake. Przecież to oni pochodzili ze znacznie bardziej zaawansowanego „niegdyś”. Czyż nie?

Tak czy inaczej, we czwórkę odkryli mnóstwo opowieści znanych w obu światach. Roland oświadczył, że *Sen Diany* jest niesamowicie podobny do opowiadania *Dama lub tygrys*, które wszyscy troje byli nowojorczyści czytali w szkole. Opowieść o lordzie Perthu trochę przypominała biblijną przypowieść o Dawidzie i Goliacie. Roland słyszał wiele opowieści o Jezusie, który umarł na krzyżu, aby odkupić grzechy tego świata, i powiedział Eddiemu, Susannah oraz Jake'owi, że Pan Jezus ma wielu wyznawców także w Świecie Pośrednim. Ponadto w obu światach znano niektóre piosenki. Jedną z nich była *Beztraska miłość*. Inną *Hey Jude*, chociaż w świecie Rolanda pierwsze słowa brzmiały „Hey Jude, widzę cię, synu”.

Eddie co najmniej godzinę opowiadał Rolandowi historię Jasia i Małgosi, niemal bezwiednie robiąc ze złej, zjadającej dzieci wiedźmy... Rheę z Cóos. Kiedy doszedł do tego, jak próbowała utuczyć dzieci, przerwał i zapytał Rolanda:

— Znasz to? Inną wersję tej historii?

— Nie — odrzekł Roland — ale jest dobra. Opowiedz ją całą, proszę.

Eddie zrobił to, kończąc zwyczajowym „a potem żyli długo i szczęśliwie”, rewolwerowicz zaś pokiwał głową.

— Nikt nie żyje potem długo i szczęśliwie, lecz pozwólmy tym dzieciom, żeby same się o tym przekonały, no nie?

— Taak — mruknął Jake.

Ej dreptał przy nodze chłopca, jak zwykle spoglądając nań z uwielbieniem swymi ślepkami w złocistych obwódkach.

— Taak — powiedział, doskonale naśladowując ponury pomruk chłopca.

Eddie położył rękę na ramieniu Jake'a.

— Szkoda, że jesteś tutaj, a nie w Nowym Jorku — zauważył. — Gdybyś był tam, Jakey, zapewne miałbyś teraz własnego psychiatrę. Pracowałby z tobą nad twoimi pretensjami do rodziców. Dotarł do sedna nierozwiązanych konfliktów. Może przepisałby ci jakieś porządne lekarstwa. Ritalinę albo coś podobnego.

— Prawdę mówiąc, wolę być tutaj — odpowiedział Jake i spojrzął na Ej'a.

— Taak — mruknął Eddie. — Nie mam ci tego za złe.

— Takie opowieści nazywano „bajkami dla dzieci” — głośno myślał Roland.

— Zgadza się — potwierdził Eddie.

— W tej historii nie było nic dziecinnego.

— Racja — przytaknął Eddie. — To raczej kategoria literatury. W naszym świecie była literatura kryminalna i przygodowa... literatura fantastycznonaukowa... opowieści z Dzikiego Zachodu... i bajki dla dzieci. Rozumiesz?

— Tak — odparł Roland. — Czy ludzie w waszym świecie zawsze chcieli poczuć tylko j eden smak? Słuchać tylko j ednego' rodzaju opowieści?

— Podejrzewam, że jesteś bliski prawdy — powiedziała Susannah.

— Nikt nie jadał gulaszu? — spytał Roland.

— Może czasem na kolację — oświadczył Eddie — lecz jeśli chodzi o rozrywkę, to rzeczywiście wolimy trzymać się jednego rodzaju i nie pozwalamy, aby na kulturalnym talerzu jeden rodzaj mieszał się z innym. Chociaż wydaje się to nudne, kiedy ujmujesz sprawę w taki sposób.

— Ile bajek znajduje się w tym zbiorze? Bez wahania — i niewątpliwie bez namysłu — Eddie, Susan-

nah i Jake jednocześnie wypowiedzieli to samo słowo: „Dziwiętnaście”!

A w chwilę później Ej powtórzył chrapliwym głosem:

— Dziwiętnaście!

Popatrzyli po sobie i roześmiali się, ponieważ słowo „dziwiętnaście” stało się ich prywatnym żartem, zastępując inne chwytliwe słowo, nadużywane przez Eddiego i Jake'a. W tym śmiechu jednak była odrobina niepewności, ponieważ cała ta historia z dziwiętnastką wydawała się trochę niesamowita. Eddie bezwiednie wyrzył tę liczbę na boku swojego najnowszego drewnianego zwierzęcia, niczym znak głoszący: *Hej, kolego, witaj na naszej ziemi! Nasze ranczo nazywamy B-19*, Susannah i Jake przyznali się, że znoszą drewno na ognisko w naręczach po dziwiętnaście gałęzi. Oboje nie potrafili wyjaśnić dlaczego. Po prostu to wydawało im się właściwe.

Pewnego ranka Roland zatrzymał ich na skraju lasu, przez który wędrowali. Wskazał na niebo, ku któremu jedno szczególnie stare drzewo wyciągało sękate konary. Te gałęzie układały się na tle nieba w liczbę dziwiętnaście. Wyraźnie dziwiętnaście. Wszyscy to widzieli, lecz Roland dostrzegł to pierwszy.

Mimo to Roland, dla którego złe znaki i przepowiednie były czymś równie zwyczajnym jak kiedyś dla Eddiego żarówki i alkaliczne baterie, wykazywał dziwną skłonność do ignorowania niezwykłego i nagłego zainteresowania swych towarzyszy liczbą dziwiętnaście. *Stali się sobie bliscy, myślał, tak bliscy jak tylko to możliwe w ka-tet, tak więc wzajemnie zarażali się swymi myślami, zwyczajami i lekkimi obsesjami, niczym grypą*. Uważał, że w pewnym stopniu zawdzięczają to obecności Jake'a.

— Masz taki dar, Jake — powiedział. — Nie jestem pewien, czy równie silny jak u mojego dawnego przyjaciela Alaina, lecz klnę się na bogów, że chyba tak.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł Jake, marszcząc brwi ze zdziwienia.

Eddie wiedział — tak jakby — i podejrzewał, że Jake z czasem też to zrozumie. Przynajmniej wtedy, kiedy czas znów zacznie płynąć w normalny sposób.

Co stało się w dniu, w którym Jake przyniósł drożdżowe kule.

Zatrzymali się na posiłek (znów te utrapione wegetariańskie burritos, bo jelenie mięso już się skończyło, a ciasteczka Keeblera były zaledwie słodkim wspomnieniem). Eddie zauważył, że Jake znikł, więc zapytał rewolwerowca, czy wie, gdzie podział się chłopak.

— Odłączył się. Uszliśmy od tego momentu jakies pół kółka — odparł Roland, wskazując na drogę dwoma pozostałymi palcami prawej dłoni. — Nic mu nie jest. Wszyscy poczulibyśmy, gdyby było inaczej.

Roland spojrzął na swoje burrito, po czym bez entuzjazmu ugryzł kawałeczek. Eddie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ubiegła go Susannah.

— O, już jest. Hej, kochasiu, co tam masz?

Jake niósł stertę jakichś okrągłych przedmiotów, podobnych do piłek tenisowych. Tylko że te piłki nie odbiłyby się od ziemi, gdyż sterczały z nich małe kolce. Kiedy chłopiec podszedł bliżej, Eddie poczuł ich zapach — cudowną woń świeżo upieczonego chleba.

— Sądzę, że chyba nadaję się do jedzenia — oznajmił Jake. — Pachną jak świeży chleb, który moja matka lub pani Shaw... nasza gosposia... kupowały u Zabara. — Spojrzął na Susannah oraz Eddiego i uśmiechnął się. — Znacie piekarnię Zabara?

— Ja na pewno tak — odparła Susannah. — Wszystko najlepsze, mniam. Rzeczywiście pięknie pachną. Jeszcze żadnej nie zjadłeś, prawda?

— Skądże.

Spojrzał pytająco na Rolanda. Rewolwerowiec rozwał wszelkie wątpliwości, biorąc jeden owoc, obrywając kolce i wgrzyzając się w miąższ.

— Drożdżowe kule — rzekł. — Nie widziałem ich od nie wiem jak dawna. Są cudowne. — Jego niebieskie oczy rozbłysły. — Nie jedzcie kolców. Nie są trujące, ale kwaśne. Możemy usmażyć te owoce, jeśli zostało nam trochę jeleniego sadła. Wtedy smakowałyby jak mięso.

— Wydaje się, że to dobry pomysł — rzekł Eddie. — Obżerajcie się. Co do mnie, to chyba daruję sobie te grzyby, czy cokolwiek to jest.

— To wcale nie są grzyby — zauważył Roland. — Raczej rodzaj jagód.

Susannah wzięła jeden owoc, spróbowała, a potem ugryzła większy kęs.

— Lepiej nie rezygnuj, kochany — poradziła. — Przyjacieli mojego taty, Pop Mose, powiedziałby, że są „pierwsza klasa”.

Wzięła od Jake'a następny owoc i przesunęła kciukiem po jego jedwabistej powierzchni.

— Możliwe — odparł Eddie — ale w liceum czytałem taką książkę, zdaje się, że miała tytuł *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*, w której stuknięta dziewczucha otruła czymś takim całą swoją rodzinę. — Nachylił się do Jake'a, podnosząc brwi i rozciągając usta w uśmiechu, który miał być przerażający. — Struła całą rodzinę i wszyscy umarli w męczarniach!

Eddie spadł z pnia, na którym siedział, i zaczął tarzać się po szpilkach i zeschniętych liściach, robiąc okropne miny i wydając zduszone dźwięki. Ej biegali wokół niego, nawołując Eddiego i przeraźliwie warcząc.

— Przestańcie — powiedział Roland. — Gdzie je znalazłeś, Jake?

— Kawalek stąd — odparł. — Na polance, którą zobaczyłem z drogi. Tam jest tego pełno. Ponadto, jeśli macie apetyt na mięso... bo ja mam... jest tam mnóstwo śladów. Siadów... pozostawionych niedawno. — Poszukał wzrokiem spojrzenia Rolanda. — Bardzo... niedawno.

Mówił powoli, jak ktoś, kto nie potrafi płynnie mówić w obcym języku.

Roland uśmiechnął się kącikiem ust.

— Mów spokojnie i wyraźnie — rzekł. — Co cię niepokoi, Jake?

Chłopiec odpowiedział, ledwie poruszając wargami:

— Jacyś ludzie obserwowali mnie, kiedy zrywałem te kule. — Zamilkł i zaraz dodał: — Teraz też nas obserwują.

Susannah wzięła jeden owoc, przyjrzała mu się z upodobaniem. A potem podniosła i powąchała go jak kwiat.

— Przy drodze, którą przyszliśmy? Po prawej stronie?

— Tak — odparł Jake.

Eddie przycisnął do ust zaciśniętą pięść, jakby tłumiał kaszel.

— Ilu? — spytał.

— Chyba czterech.

— Pięciu — poprawił Roland. — Może nawet sześciu. W tym jedna kobieta. I chłopiec niewiele starszy od Jake'a.

Jake spojrział na niego zaskoczony.

— Od jak dawna tu są? — zaciekawiał się Eddie.

— Idą za nami od wczoraj — odparł Roland. — Nadeszli od wschodu.

— I nic nam nie powiedziałaś? — zdziwiła się Susannah. Mówiła śmiało, nie usiłując zasłonić ust i zamaskować słów.

Roland spojrział na nią i leciutko mrugnął.

— Byłem ciekaw, kto z was wyczuje ich pierwszy. Prawdę (mówiąc, stawiałem na ciebie, Susannah.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem i nic nie powiedziała. Eddie pomyślał, że w tym spojrzeniu było wiele Detty Walker, i ucieszył się, że nie popatrzyła tak na niego.

— I co z nimi zrobimy? — zapytał Jake.

— Na razie nic — odparł rewolwerowiec. Jake'owi wyraźnie się to nie spodobało.

— A co będzie, jeśli oni sąjak *ka-tet* Tik-Taka? Jak Gasher, Hoots i inni?

— Nie są.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ już by na nas napadli i stali się żerem dla much.

Na to nie było dobrej odpowiedzi, więc ponownie ruszyli w drogę. Wiodła przez gęste cienie, wijąc się między wiekowymi drzewami. Zanim minęło dwadzieścia minut, Eddie usłyszał odgłosy śledzących (lub tropiących) ich ludzi: trzask łamanych gałązek, szelest poszycia, a raz nawet cichy głos. Drewnianonodzy, mówiąc słowami Rolanda. Eddie z niesmakiem myślał o tym, że tak długo nie zauważył ich obecności. Zastanawiał się też, z czego żyli ci ludzie. Jeśli z tropienia i łapania zwierzyny, to nie byli w tym zbyt dobrzy.

Eddie Dean pod wieloma względami, czasem tak subtelny, że sam nie zdawał sobie z tego sprawy, stał się częścią Świata Pośredniego, lecz wciąż odmierzał odległość w milach, a nie w kołach. Domyślał się, że uszli ich prawie piętnaście od miejsca, gdzie Jake dołączył do nich, przynosząc drożdżowe kule i wieści, zanim Roland zarządził postój. Zatrzymali się na

środku drogi, jak robili to zawsze, od kiedy weszli do tego lasu. W ten sposób zmniejszali ryzyko wzniesienia pożaru.

Eddie i Susannah naznosili sporo suchych gałęzi, podczas gdy Roland i Jake rozbili obóz i zabrali się do obierania przyniesionych przez chłopca owoców. Susannah bez trudu przetaczała swój wózek pod prastarymi drzewami, układając gałęzie na podółku. Eddie krążył w pobliżu, podśpiewując pod nosem.

— Zerknij no w lewo, kochasiu — powiedziała Susannah. Zrobił to i w oddali dostrzegł pomarańczowy błysk. Ogień.

— Nie są zbyt dobrzy, co?

— Nie. Prawdę mówiąc, trochę mi ich żal.

— Domyślasz się, czego chcą?

— Hm, nie, ale przypuszczam, że Roland ma rację... powiedzą nam, kiedy będą gotowi. Albo dojdą do wniosku, że nie jesteśmy tymi, o których im chodzi, i zmyją się. No, wracajmy.

— Chwileczkę. — Podniósł jeszcze jedną gałąź, zawahał się, a potem wziął następną. Teraz dobrze. — W porządku—oznajmił.

Kiedy wracali, policzył swoje gałęzie i te na podółku Susannah. Oboje mieli po dziewiętnaście.

— Suze — rzekł, a gdy spojrzała na niego, dodał: — czas znów zaczął płynąć.

Nie spytała, co ma na myśli, tylko skinęła głową.

4

Eddie nie wytrwał długo w postanowieniu niejedzenia drożdżowych kul; pachniały zbyt ładnie, gdy skwierczały w jelenim tłuszczu, który Roland (ten skrupulatny, przezorny facet) schował do swojej starej, sfatygowanej torby. Eddie nałożył sobie porcję na jeden z antycznych talerzy, które znaleźli w lasach Shardika, i pochłonął ją.

— Są równie smaczne jak homar — rzekł i natychmiast przypomniał sobie te potwory z plaży, które odcięły Rolandowi palce. — Chciałem powiedzieć, że równie dobre jak hot dogi od Nathana. Przepraszam, że żartowałem z ciebie, Jake.

— Nie szkodzi — odparł z uśmiechem chłopiec. — Twoje żarty nigdy nie są złośliwe.

— Powinniście wiedzieć o jednym — powiedział Roland.

Uśmiechał się... ostatnio uśmiechał się znacznie częściej... ale patrzył na nich z powagą. — Wszyscy. Drożdżowe kule czasem sprowadzają bardzo żywe sny.

— Chcesz powiedzieć, że można się nimi zaprawić? — zapytał niespokojnie Jake. Myślał o swoim ojcu. Elmer Chambers korzystał z najróżniejszych przyjemności.

— Zaprawić? Nie wiem, czy...

— Zaćpać. Odlecieć. Mieć wizje. Jak wtedy, kiedy zażyłeś meskalinę i wszedłeś do kamiennego kręgu, w którym to coś prawie... no wiesz, prawie zrobiło mi krzywdę.

Roland zastanowił się, wspominając. W tym kamiennym kręgu był uwięziony jakiś rodzaj sukuba. Gdyby pozostawili mu wolną rękę, niewątpliwie dokonałby seksualnej inicjacji Jake'a Chambersa, a potem zapieprzył go na śmierć. Roland zmusił stwora, żeby przemówił, a demon, żeby go ukarać, zesłał mu obraz Susan Delgado.

— Rolandzie?

Jake patrzył na niego z niepokojem.

— Nie przejmuj się, Jake. To grzyby powodują takie efekty, o jakich myślisz... wpływają na świadomość, wyostrajają ją... a nie drożdżowe kule. To tylko jadalne jagody. Jeśli wasze sny będą zbyt żywe, po prostu przypomnijcie sobie, że to tylko sen.

Eddie uznał to za bardzo dziwną przemowę. Przede wszystkim taka troska o ich zdrowie psychiczne nie leżała w charakterze Rolanda. Ponadto rewolwerowiec nie zwykł gadać po próżnicy.

Wydarzenia znowu przyspieszyły bieg i on też o tym wie, pomyślał Eddie. Przez chwilę byliśmy poza czasem, lecz teraz zegar znów ruszył. Zaczyna się gra, jak powiadają.

— Będziemy kolejno stać na warcie, Rolandzie? — zapytał Eddie.

— Nie ma potrzeby — odparł beztrąsko rewolwerowiec i zaczął przygotowywać sobie skręta.

— Naprawdę nie uważasz ich za niebezpiecznych, prawda? — odezwała się Susannah i spojrzała na las, którego poszczególne drzewa zaczynały gubić się w wieczornym mroku. Blask ogniska, który zauważyli wcześniej, już zgasł, lecz idący za nimi ludzie wciąż tam byli. Susannah wyczuwała ich obecność. Wcale się nie zdziwiła, kiedy spojrzała na Eja i zobaczyła, że bumbler patrzy w tym samym kierunku.

— Sądzę, że właśnie na tym może polegać ich problem — rzekł Roland.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Eddie, ale Roland nie wyjaśnił swoich słów. Wyciągnął się na drodze, podłożywszy sobie pod głowę zrolowaną jelenią skórę, spoglądał w ciemne niebo i palił.

Po chwili *ka-tet* Rolanda pogrążyło się we śnie. Nie wystawili warty i nikt ich nie niepokoił.

5

Sny, kiedy przyszły, wcale nie były snami. Wszyscy o tym wiedzieli, może poza Susannah, której tak naprawdę tej nocy wcale tam nie było.

Mój Boże, znów jestem w Nowym Jorku, pomyślał Eddie. I zaraz potem: *Wróciłem do Nowego Jorku. To dzieje się naprawdę.*

I tak było. Znalazł się w Nowym Jorku. Na Drugiej Alei.

Właśnie wtedy Jake i Ej wyszli zza rogu Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy.

— Cześć, Eddie — powiedział z uśmiechem Jake. — Witaj w domu.

To gra, pomyślał Eddie. *Zaczyna się gra.*

Rozdział 2

NOWOJORSKA DŻUNGLA

1

Jake zasnął, spoglądając w głęboką ciemność — na zachmurzonym niebie nie było tej nocy gwiazd ani księżyca. Zapadając w sen, miał wrażenie, że spada. Rozpoznał to z niepokojem, gdyż w swym poprzednim życiu tak zwanego normalnego dziecka często śnił o spadaniu, szczególnie w porze egzaminów. Te sny jednak ustały od czasu jego gwałtownych ponownych narodzin w Świecie Pośrednim.

Potem uczucie spadania minęło. Usłyszał dźwięczną melodię, która wydawała się aż nazbyt piękna: już po trzech nutkach pragnęłaś, by ucichła, i zdawało ci się, że umrzesz, jeśli nie zamilknie. Przy każdej nucie jego kości jakby wibrowały. *Brzmi z hawajska, prawda?* — pomyślał, bo choć ta melodia wcale nie była podobna do złowrogiego brzęczenia błony, to w jakiś sposób je przypominała. A jakże.

Nagle, kiedy już wydawało mu się, że dłużej tego nie zniesie, te straszne i cudowne dźwięki ucichły. Ciemność za jego zaciśniętymi powiekami nagle rozświetliła się jaskrawym szkarłatem. Ostrożnie otworzył oczy w ostrym słońcu.
I rozdziawił usta.

W Nowym Jorku.

Taksówki przemykały obok, lśniąc jasnożółto w promieniach słońca. Czarnoskóry młodzian ze słuchawkami w uszach przeszedł obok Jake'a, przytupując obutymi w sandały stopami w rytm muzyki i pośpiewując pod nosem: „Cza-ba-da, cza-ba-

-bum!". Huk młota pneumatycznego rozdzierał uszy. Kawały cementu uderzały o przyczepę ciężarówki z trzaskiem, który odbijał się gromowym echem od jednego urwiska budynku do drugiego. Świat był pełen zgiełku i hałasu. Jake nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak przyzwyczał się do głuchoj ciszy Świata Pośredniego. Nie, to było coś więcej. Pokochał tę ciszę. Pomimo to ten hałas i zamieszanie wzbudziły jego zainteresowanie i Jake nie mógł temu zaprzeczyć. Znow w dżungli Nowego Jorku. Poczuł, że usta wykrzywił mu nikły uśmiezek. — Ej! Ej! — usłyszał cichy, wyraźnie zaniepokojony głos. Jake rozejrzał się i zobaczył siedzącego na krawężniku Eja, z elegancko podwiniętym ogonem. Billy-bumbler nie nosił czerwonych bucików, a Jake nie miał na nogach czerwonych półbutów (dzięki Bogu), ale i tak przypominało to ich pierwszą wizytę w Rolandowym Gilead, do którego dotarli, podróżując w różowym czarodziejskim kryształ. Tej szklanej kuli, która spowodowała tyle kłopotów i nieszczęść.

Tym razem nie było kryształu... po prostu zasnął. To jednak nie był sen. Wizja była bardziej realistyczna od jakiegokolwiek snu i bardziej szczegółowa. A ponadto...

Ponadto ludzie omijali Jake'a i Eja, którzy stali na lewo od baru o nazwie Kansas City Blues, znajdującego się w centrum miasta. W chwili gdy Jake doszedł do tego wniosku, jakaś kobieta po prostu przeszła nad Ejem, nieco unosząc przy tym sukienkę nad kolano. Skupiona twarz (*Jestem mieszkanką Nowego Jorku i pilnuję swojego nosa, więc odczep się ode mnie, mówiła jej mina*) zupełnie nie zmieniła przy tym wyrazu.

Nie widzą nas, ale jakoś wyczuwają naszą obecność. A skoro tak, to naprawdę tu jesteśmy.

Pierwsze logiczne pytanie brzmiało: „Jak to możliwe?”. Jake zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym odłożył te rozważania na później. Podejrzewał, że jeszcze znajdzie odpowiedź. A tymczasem dlaczego nie miałby cieszyć się Nowym Jorkiem?

— Chodź, Ej — powiedział i skrzył za róg. Billy-bumbler, najwyraźniej nienawykły do miasta, trzymał się tak blisko, że Jake czuł jego ciepły oddech na kostce nogi. *Druga Aleja*, pomyślał. I zaraz dodał: *Mój Boże...* Zanim zdążył dokończyć tę myśl, zobaczył Eddiego Deana

stojącego przed sklepem Barcelona Luggage, lekko oszołomionego i wyglądającego dziwnie w starych džinsach oraz koszuli i mokasynach z jeleniej skóry. Włosy miał czyste, lecz opadające na ramiona w sposób wyraźnie zdradzający, że od dawna nie widziały fryzjera. Jake zdał sobie sprawę z tego, że sam wygląda niewiele lepiej. On także nosił koszulę z jeleniej skóry oraz resztki spodni, które miał na sobie wtedy, kiedy na dobre opuścił dom, wyruszając w kierunku Brooklynu, Dutch Hill i innego świata. *Dobrze, że nikt nas nie widzi*, pomyślał i zaraz doszedł do wniosku, że właściwie to źle. Gdyby ludzie mogli ich dostrzec, zapewne do południa uzbierałyby stertę drobniaków. Uśmiechnął się na samą myśl.

— Hej, Eddie — powiedział. — Witaj w domu. Eddie z rozbawioną miną kiwnął głową.

— Widzę, że przyprowadziłeś przyjaciela. Jake wyciągnął rękę i czule poklepał Eja.

— To moja odmiana American Express Card. Nie wracam do domu bez niego.

Miał zamiar coś dodać — czuł, że ma do powiedzenia mnóstwo zabawnych i ciekawych uwag — gdy ktoś wyszedł zza rogu, minął ich, nie patrząc (jak wszyscy), i wszystko się zmieniło. Był to chłopiec w džinsach, które wyglądały jak te Jake'a, gdyż należały do niego. Nie była to ta para, którą miał na sobie, ale to naprawdę były jego spodnie. I tenisówki. Te same, które Jake stracił na Dutch Hill. Tynkowy stwór pilnujący drzwi między światami zdarł mu je z nóg.

Chłopiec, który właśnie przeszedł ulicą, był Johnem Chambersem, był Jakiem, tylko wyglądającym łagodnie, niewinnie i boleśnie młodo. *Jak zdołałeś przetrwać?* — rzucił pytanie za odchodzącym. *Jak przetrwałeś stres utraty zmysłów, ucieczkę z domu i pobyt w tym strasznym budynku na Brooklynie? A przede wszystkim jak przeżyłeś spotkanie z dozorcą? Musisz być twardszy, niż wyglądasz.*

Eddie zaskoczył z tak zabawnym opóźnieniem, że Jake roześmiał się mimo szoku i zdumienia. Przypomniały mu się komiksy, w których Archie lub Dzbanogłowy usiłuje spoglądać w dwie strony jednocześnie. Popatrzył w dół i dostrzegł, że pyszczek Eja ma podobny wyraz. W jakiś sposób z tego powodu zdarzenie wydawało się zabawniejsze.

— Co jest, kurwa? — spytał Eddie.

— Obraz z playbacku — odparł Jake i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zabrzmiało to cholernie idiotycznie, ale nie przejmował się tym. *Czuł się* idiotycznie. — To tak jak wtedy, kiedy obserwowaliśmy Rolanda w wielkiej sali Gilead, tylko że to jest Nowy Jork i trzydziesty pierwszy maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku! To dzień, kiedy poszedłem na wagary! Obraz z playbacku, facet!

— Waga...? — zaczął Eddie, lecz Jake nie dał mu dokończyć. Nagle uderzyło go jeszcze coś. Chociaż „uderzyło” to zbyt łagodne określenie. To coś przytłoczyło go niczym wielka fala przyływu spadająca na człowieka spacerującego po plaży. Poczerwieniał tak, że Eddie bezwiednie cofnął się o krok.

— Róża! — szepnął Jake. Nie był w stanie powiedzieć tego głośniej, w gardle zaschło mu jak po burzy piaskowej. — Eddie, ta róża!

— Co z nią?

— To dzień, w którym ją zobaczyłem! — Wyciągnął drżącą dłoń i dotknął ramienia Eddiego. — Idę do księgarni... a potem na opuszczoną parcelę. Chyba kiedyś stały na niej delikatesy.

Eddie pokiwał głową i też wyglądał na podekscytowanego.

— Artystyczne Delikatesy Toma i Jerry'ego, róg Drugiej i Czterdziestej Szóstej...

— Delikatesy znikły, ale róża tam jest! Ta moja wersja, która idzie ulicą, zobaczy ją i my też możemy ją zobaczyć!

Na myśl o tym Eddiemu rozbłyły oczy.

— No to chodź — powiedział. — Nie chcemy cię zgubić. Czy też jego. Kimkolwiek jest.

— Nie martw się — pocieszył go Jake. — Ja wiem, dokąd on idzie.

2

Ten Jake przed nimi — nowojorski, wiosenny Jake z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku — szedł powoli, rozglądając się, najwyraźniej ciesząc się dniem. Jake ze Świata Pośredniego dobrze pamiętał, co czuł tamten chłopiec: nagłą ulgę, gdy głosy spierające się w jego myślach

(Umarłem)

(Nie. Wcale nie)

w końcu przestały paplać. Było to przy ogrodzeniu, gdzie dwaj biznesmeni grali w kółko i krzyżyk piórem Mark Cross. I oczywiście ulgę, że wyrwał się z Piper School i szaleństwa pracy egzaminacyjnej z angielskiego, pisanej przez klasę pani Avery. Za to wypracowanie można było zdobyć dokładnie dwadzieścia pięć procent punktów składających się na ocenę końcową, co dobitnie stwierdziła pani Avery, a praca Jake'a była kompletnie nieskładna. Fakt, że nauczycielka postawiła mu za nią najwyższą ocenę, niczego nie zmieniał, dowodził jedynie, że nie tylko on tracił zmysły, ale całemu światu odbiło, łupnęło dziewiętnaście.

Dobrze było oderwać się od tego wszystkiego — choć na chwilę. Nic dziwnego, że cieszył się dniem.

Tylko że ten dzień jest jakby nie taki, pomyślał Jake — ten Jake, który szedł za swoim dawnym wcieleniem. *Coś z nim jest...*

Rozejrzył się, lecz nie zdołał pojąć, o co chodzi. Koniec maja, jasno świecące słońce, na Drugiej Alei mrowie przechodniów i spacerowiczów, mnóstwo taksówek, czasem czarne limuzyny. Na oko wszystko w porządku.

A jednak nie.

Nie wszystko było w porządku.

3

Eddie poczuł, że chłopak szarpie go za rękaw.

— Co tu jest nie tak? — zapytał Jake.

Eddie rozejrzył się. Pomimo kłopotów z przystosowaniem się (powrócił do Nowego Jorku z okresu najwyraźniej o kilka lat poprzedzającego jego *niegdyś*), zrozumiał, co Jake ma na myśli. Coś było nie tak.

Spojrzał na chodnik, nagle pewien tego, że nie zobaczy swojego cienia. Zgubili swoje cienie, tak jak dzieci w pewnym opowiadaniu... jednej z tych dziewiętnastu bajek... a może czymś nowszym, jak *Lew, czarownica i stara szafa* lub *Piotruś Pani* Jednej z tych opowieści, które można by nazwać współczesnymi baśniami?

Tak czy inaczej, to nieważne, ponieważ ich cienie tam były.

A nie powinny, pomyślał Eddie. Nie powinny być widoczne, gdy jest tak ciemno.

Głupia myśl. Przecież wcale nie jest ciemno. Jest rano, na rany boskie, pogodny majowy poranek, i słońce odbija się od chromu przejeżdżających aut oraz wystaw na wschodniej stronie Drugiej Alei, zmuszając do mrużenia oczu. A mimo to, nie wiedzieć czemu, Eddiemu wydawało się, że jest ciemno, jakby to wszystko było tylko cienką powłóczką, płócienną kurtyną na teatralnej scenie. „O wschodzie słońca ujrzymy las w Ardenach”. Albo zamek w Danii. Albo kuchnię w domu Willy'ego Lomana. W tym wypadku zobaczymy Drugą Aleję w centrum Nowego Jorku.

Tak, właśnie. Tylko że za tą płócienną kurtyną nie znajdziesz warsztatu ani magazynów, lecz gęstą ciemność. Ogromny martwy wszechświat, w którym Wieża Rolanda już runęła.

Proszę, niech to będzie pomyłka, pomyślał Eddie. Proszę, niech to będzie przypadek szoku kulturowego lub zwyczajnego hysia.

A jednak wcale nie uważał, że tak jest.

— Jak się tu znaleźliśmy? — zapytał Jake'a. — Nie było żadnych drzwi... — Zamilkł, a potem dodał z odrobiną nadziei w głosie: — Może to sen?

— Nie — odparł Jake. — To raczej tak jak wtedy, kiedy podróżowaliśmy w kryształach czarnoksiężnika. Tylko że tym razem nie ma kryształu. — Nagle coś przyszło mu do głowy. — Może słyszałeś muzykę? Dzwonki? Na moment przed tym, zanim się tu znalazłeś?

Eddie skinął głową.

— Była przytłaczająca. Aż łzy stanęły mi w oczach.

— Racja — powiedział Jake. — No właśnie.

Ej obwąchiwał hydrant. Eddie i Jake przystanęli, czekając, aż zwierzątko podniesie nogę i doda swoją notatkę do niewątpliwie gęsto zapisanej tablicy ogłoszeń. Przed nimi drugi Jake — chłopak z siedemdziesiątego siódmego roku — wciąż szedł powoli, rozglądając się. Eddiemu przypominał turystę z Michigan. Nawet wykręcał szyję, spoglądając na szczyty budynków, i Eddie pomyślał, że gdyby przytapała cię na czymś takim Nowojorska Komisja Cynizmu, to z pewnością odebrałaby ci kartę stałego klienta Bloomingdale'a. Wcale nie narzekał na takie powolne tempo marszu. Dzięki temu łatwo było śledzić chłopca.

W tej samej chwili, kiedy ta myśl wpadła mu do głowy, chłopak z siedemdziesiątego siódmego roku znikł.

— — Gdzie się podziałeś? Chryste, gdzie zniknąłeś?

— Spokojnie — rzekł Jake. (Idący przy jego nodze Ej dodał swoje: „Ojnie!”). Chłopiec uśmiechał się. — Po prostu wszedłem do księgarni. Nazywa się... hm... Manhattańska Restauracja Ducha.

— To tam kupiłeś *Charliego Puf-Pufi* książką z zagadkami?

— Właśnie.

Eddie uwielbiał ten intrygujący, zdumiony uśmiech na ustach Jake'a, gdyż rozpromieniał twarz chłopca.

— Pamiętasz, jaki podekscytowany był Roland, kiedy podałem mu nazwisko właściciela?

Eddie pamiętał. Właścicielem Manhattańskiej Restauracji Ducha był niejaki Calvin Tower (Wieża).

— Pospiesz się — ponaglił Jake. — Chcę to zobaczyć. Nie musiał powtarzać. Eddie też chciał to widzieć.

4

Jake przystanął w progu księgarni. Uśmiech na jego **ustach** nie zgaś, ale lekko przygaś.

— Co jest? — spytał Eddie. — Coś nie tak?

— Nie wiem. Myślę, że coś jest inaczej. Po prostu... tyle się wydarzyło od czasu, kiedy tutaj byłem...

Spoglądał na czarną tablicę na wystawie. Eddie pomyślał, że to sprytny sposób na sprzedawanie książek. Wyglądała jak jedna z tych, które widuje się przed restauracjami lub na targu rybnym.

SPECJAŁY DNIA

Z Missisipi! Dobrze wysmażony William Faulkner wydania specjalne w cenie hurtowej
egzemplarze biblioteczne po 75 centów

Z Maine! Mrozący krew Stephen King
wydania specjalne w cenie hurtowej
egzemplarze klubowe
wydania broszurowe po 75 centów

Eddie zajrzał do środka i zobaczył drugiego Jake'a — tego nieopalonego i o mniej bystrym spojrzeniu — stojącego przy niewielkim stoliku. Książeczki dla dzieci. Zapewne Dziewiętnaście Starych i Współczesnych Baśni.

Przestań, powiedział sobie. *To objaw nerwicy natręctw, i dobrze o tym wiesz.*

Być może, ale zacny stary Jake z siedemdziesiątego siódmego roku zamierzał nabyć tu książki, które miały zmienić — i zapewne uratować — ich życie. Później będzie martwił się liczbą dziewiętnaście. Albo wcale, jeśli tylko zdoła.

— Chodź — powiedział do Jake'a. — Wejdzmy do środka.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca.

— O co chodzi? — zapytał Eddie. — Tower nie zdoła nas zobaczyć, jeśli to cię niepokoi.

— Tower nie — zgodził się Jake — ale on?

Wskazał na swoje wcielenie, które dopiero miało spotkać Gashera, Tik-Taka i starych ludzi z River Crossing. To, które jeszcze nie poznało Blaine'a Mono i Rhei z Cóos.

Jake z lekkim przestachem i zaciekawieniem spoglądał na Eddiego.

— A jeśli zobaczę sam siebie?

Eddie podejrzewał, że to mogło się zdarzyć. Do licha, wszystko mogło się zdarzyć. To jednak nie zmieniało jego odczuć.

— Sądzę, że powinniśmy tam wejść, Jake.

— Taak... — westchnął przeciągle chłopiec. — Ja też tak myślę.

5

Weszli, nie zostali zauważeni i Eddie z ulgą naliczył dwadzieścia jeden książek na stoliku, który przyciągnął uwagę chłopca. Tylko że kiedy Jake wybrał te dwie, które chciał kupić — *Charliego Puf-Pufi* książkę z zagadkami — zostało ich dziewiętnaście.

— Znalazłeś coś, synu? — rozległ się łagodny głos. Należał do grubego mężczyzny w rozpiętej pod szyją, białej koszuli. Za nim, przy ladzie wyglądającej jak sprzęt ściągnięty ze starej restauracji, trzej starzy mężczyźni pili kawę i zajadali ciasteczka. Na marmurowym blacie stała szachownica z rozstawionymi figurkami.

— Facet siedzący na końcu to Aaron Deepneau — szepnął Jake. — Zaraz wyjaśni mi zagadkę Samsona.

— Cii! — rzekł Eddie. Chciał posłuchać rozmowy Calvina Towera z dzieciakiem z siedemdziesiątego siódmego roku. Nagle wydała mu się bardzo ważna... tylko dlaczego tu jest tak cholernie ciemno?

Przecież wcale nie jest ciemno. O tej porze na wschodniej stronie ulicy świeci słońce, którego blask wpada do środka przez otwarte drzwi. Jak możesz twierdzić, że jest ciemno?

Dlatego że było ciemno. Słońce — kontrastująca z mrokiem jasność — tylko pogłębiało to wrażenie. A fakt, że właściwie nie dało się dostrzec tej ciemności, jeszcze pogarszał sytuację... Nagle Eddie zdał sobie sprawę z czegoś okropnego: ci ludzie byli w niebezpieczeństwie. Tower, Deepneau, chłopak z siedemdziesiątego siódmego. Zapewne on też, tak samo jak Jake ze Świata Pośredniego i Ej.

Wszyscy.

6

Jake patrzył, jak jego młodsze wcielenie cofa się o krok od właściciela księgarni, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. *Ponieważ ten facet nazywa się Wieża, pomyślał Jake. To mnie zaskoczyło. Nie ze względu na Wieżę Rolanda — o tej wtedy jeszcze nie wiedziałem — lecz z powodu zdjęcia, które umieściłem na ostatniej stronie mojego wypracowania.*

Na ostatniej stronie wkleił zdjęcie Krzywej Wieży w Pizie, a potem zamalował ją czarną kredką, starając się zaciemnić. Tower zapytał, jak się nazywa. Jake z siedemdziesiątego siódmego roku powiedział mu i Wieża przez chwilę żartował z niego. Robił to w sympatyczny sposób, jak dorosły, który nie ma nic przeciwko dzieciom.

— Nieźle brzmi, współniku. Jak nazwisko włóczykija z powieści z Dzikiego Zachodu. Tego, który wpada do Black Fork w Arizonie, robi porządek w miasteczku i rusza dalej. To chyba Wayne D. Overholser...

Jake zrobił krok w kierunku swego dawnego ja (myśląc o tym, jak wspaniale wyglądałoby to w *Sobotniej nocy na żywo*) i nagle szeroko otworzył oczy.

— Eddie! — powiedział szeptem, chociaż wiedział, że ludzie w księgarni nie mogą...

A może jednak mogli. Przypomniał sobie tamtą kobietę z Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, podciągającą spódnicę powyżej kolan, żeby przejść przez Eja. A teraz Calvin Tower zerknął w ich stronę, zanim wrócił do rozmowy z jego wcieleniem.

— Może lepiej nie zwracać na siebie uwagi — mruknął mu do ucha Eddie.

— Wiem — odparł Jake — ale spójrz na *Charliego Puf-Puf*.

Eddie zrobił to, lecz przez moment niczego nie dostrzegął — oprócz Charliego Puf-Puf, oczywiście. Charliego z jednym okiem reflektora i fałszywym uśmiechem poganiacza krów. Potem Eddie uniósł brwi.

— Myślałem, że *Charliego Puf-Puf* napisała niejaka Beryl Evans — szepnęła.

Jake kiwnął głową.

— Ja też tak sądziłem.

— No to kto... — Eddie przyjrzał się uważniej. — Kim jest ta Claudia y Inez Bachman?

— Nie mam pojęcia — odparł Jake. — Nigdy w życiu o niej nie słyszałem.

7

Jeden ze starych mężczyzn podniósł się od kontuaru i ruszył ku nim. Eddie i Jake cofnęli się. Gdy to robili, zimny dreszcz przebiegł Eddiemu po krzyżu. Jake był bardzo blady, a przestraszony Ej cicho skomlił. Coś tu naprawdę było nie w porządku. W pewien sposób zgubili swoje cienie. Eddie nie miał pojęcia, jak to się stało.

Dzieciak z siedemdziesiątego siódmego roku wyjął portfel

i zapłacił za dwie książki. Po chwili rozmowy i dobrodusznego śmiechu skierował się do drzwi. Gdy Eddie chciał ruszyć za nim, Jake złapał go za ramię.

— Nie, jeszcze nie. Zaraz tu wrócę.

— Nie obchodzi mnie to, co tutaj mówiłeś — odparł Eddie. — Zaczekajmy na zewnątrz.

Jake zastanowił się, przygryzł wargę, a potem skinął głową. Ruszyli do drzwi, ale zaraz przystanęli i zeszli z drogi wracającemu Jake'owi. Trzymał otwartą książeczkę z zagadkami. Calvin Tower pochylał się nad ustawioną na ladzie szachownicą. Odwrócił się z przyjaznym uśmiechem.

— Zmienilesz zdanie w kwestii tej filiżanki kawy, o hiperborejski wędrowcze?

— Nie. Chciałem tylko zapytać...

— Teraz będzie o zagadce Samsona — rzekł Jake ze Świata Pośredniego. — Nie sądzę, żeby miała jakieś znaczenie. Chociaż ten Deepneau zaśpiewa bardzo ładną piosenkę. Jeśli chcesz posłuchać...

— Odpuszczę sobie — odparł Eddie. — Chodź.

Wyszli. Mimo że na Druhej Alei wciąż było jakoś nie tak — to wrażenie bezkresnej ciemności za wszystkim, nawet za niebem — poczuli się tu lepiej niż w Manhattańskiej Restauracji Ducha. Przynajmniej byli na świeżym powietrzu.

— Wiesz co — rzekł Jake. — Pójdźmy teraz na róg Druhej i Czterdziestej Szóstej. — Ruchem głowy wskazał na swoje wcielenie słuchające piosenki Aarona Deepneau. — Dogonię nas.

Eddie rozważył to, a potem pokręcił głową. Jake'owi trochę wydłużyła się mina.

— Nie chcesz zobaczyć róży?

— Możesz założyć się o swój tyłek, że chcę — odrzekł Eddie. — Bardzo tego chcę.

— No to...

— Odnoszę wrażenie, że jeszcze mamy tu coś do zrobienia. Nie wiem dlaczego, ale tak mi się zdaje.

Jake — jego wersja z roku siedemdziesiątego siódmego — wchodząc do środka, zostawił otwarte drzwi, więc Eddie przeszedł przez nie. Aaron Deepneau zadał Jake'owi zagadkę, którą później wypróbowali na Blainie Mono: „Ma początek, lecz

tmtno go znaleźć, ma bieg, lecz nie chodzi wcale". Tymczasem Jake ze Świata Pośredniego znowu spoglądał na tablicę ogłoszeń w oknie wystawowym {*Dobrze wysmażony William Faulkner, Raymond Chandler na twardo*}. Marszczył brwi, raczej z powątpiewaniem i niepokojem niż gniewnie.

— To też wygląda inaczej — orzekł.

— Pod jakim względem?

— Nie pamiętam.

— Czy to ważne?

Jake odwrócił się do niego. Postąpił mu udręczone spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

— Nie wiem. To kolejna zagadka. Nienawidzę zagadek!

Eddie doskonale go rozumiał. *Kiedy Beryl nie jest Beryl?*

— Kiedy jest Claudią — rzekł.

— Hę?

— Nieważne. Lepiej się cofnij, Jake, albo wpadniesz na siebie.

Chłopiec obrzucił spłoszonym wzrokiem nadchodzącego Jake'a Chambersa, po czym zrobił to, co proponował Eddie. A kiedy chłopak z siedemdziesiątego siódmego roku poszedł Drugą Aleją, niosąc w lewej ręce świeżo nabyte książki, Jake ze Świata Pośredniego uśmiechnął się ze znużeniem do Eddiego.

— Pamiętani jedno — rzekł. — Gdy opuściłem tę księgarnię, byłem pewien, że już nigdy tu nie wrócę. A jednak wróciłem.

— Wziąwszy pod uwagę, że jesteśmy bardziej duchami niż ludźmi, powiedziałbym, że to dyskusyjne stwierdzenie. — Eddie przyjaźnie klepnął Jake'a w plecy. — A jeśli zapomniałeś o czymś istotnym, to może Roland pomoże ci to sobie przypomnieć. Jest w tym dobry.

Słyszając to, Jake uśmiechnął się z ulgą. Z własnego doświadczenia wiedział, że rewolwerowiec naprawdę był w tym dobry. Przyjaciół Rolanda, Alain, może najłatwiej kontaktował się z innymi ludźmi, a Cuthbert miał największe poczucie humoru w ich *ka-tet*, lecz w ciągu tych długich lat Roland stał się doskonałym hipnotyzerem. Zbiłby fortunę w Las Vegas.

— Czy teraz możemy pójść za tamtym mną? — spytał. — Obejrzeć różę? — Z lekkim niepokojem rozejrzał się po Druhej Alei, która jednocześnie wydawała się jasna i mrocz-

na. — Tam pewnie jest lepiej. Róża sprawia, że wszystko jest lepsze.

Eddie już miał się zgodzić, gdy przed księgarnią Calvina Towera zatrzymał się ciemnoszary lincoln. Bez wahania zaparkował przy żółtym krawężniku i przed hydrantem. Drzwiczki z przodu otworzyły się i kiedy Eddie zobaczył, kto wysiadł z samochodu, chwycił Jake'a za ramię.

— Au! — krzyknął Jake. — Człowieku, to boli!

Eddie nie zwrócił na to uwagi. Prawdę mówiąc, jeszcze mocniej ścisnął ramię chłopca.

— Chryste — szepnął. — Dobry Boże, co to ma znaczyć? Co to jest, do diabła?

8

Jake zobaczył, że twarz Eddiego zmienia kolor — z bladej na popielatoszarą. Oczy wyszły mu z orbit. Jake z trudem uwolnił się z jego uścisku. Eddie usiłował pokazać coś, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Opadła i z głuchym klaśnięciem uderzyła o udo.

Mężczyzna, który siedział obok kierowcy, wysiadł i zajął stanowisko na chodniku, natomiast szofer obszedł wóz i otworzył tylne drzwi od strony krawężnika. Nawet Jake uznał, że ich ruchy wyglądały na wielokrotnie wyćwiczone, niemal jak figury tańca. Gość, który opuścił tylne siedzenie, miał na sobie drogi garnitur, co nie zmieniało faktu, że i tak był tłustym kurduplem z obwisłym brzuchem i siwiejącymi włosami. Obasypanymi łupieżem, sądząc po przyprószonej na ramionach marynarce.

Jake'owi ten dzień wydał się nagle jeszcze mroczniejszy. Spojrzał w niebo, sprawdzając, czy słońce nie schowało się za chmury. Nie, lecz miał wrażenie, że wokół jego złocistej tarczy tworzy się czarna obwódka, jak tusz wokół zdziwionego oka.

W połowie drogi do następnego skrzyżowania jego wcielenie z siedemdziesiątego siódmego roku zerknęło w okno restauracji. Jake przypomniał sobie jej nazwę: Mama Mniam-Mniam. Nieco dalej znajdowała się Wieża Mocnych Nagrań, przy której

pomyślał, że tego dnia łatwo o wieże. Gdyby Jake z siedemdziesiątego siódmego roku obejrzał się, zobaczyłby szarego lincolna... ale nie zrobił tego. Był zajęty rozmyślaniami o przyszłości.

— To Balazar — powiedział Eddie.

— Co?

Eddie wskazywał na grubasa, który przystanął, żeby poprawić jedwabny krawat. Dwaj pozostali zajęli miejsca po jego bokach. Wyglądali na rozluźnionych, a jednocześnie czujnych.

— Enrico Balazar. I wygląda znacznie młodziej. Boże, jest jeszcze w średnim wieku!

— Mamy tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy rok — przypomniał mu Jake. A kiedy to dotarło do Eddiego, dodał: — To ten facet, którego ty i Roland zabiście?

Eddie opowiedział Jake'owi o strzelaninie w klubie Balazara w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, pomijając co bardziej krwawe szczegóły. Na przykład to, jak Kevin Blake cisnął głowę brata Eddiego do gabinetu Balazara, usiłując wywabić Eddiego i Rolanda. Głowę Henry'ego Deana, wielkiego mędrca i wybitnego ćpuna.

— Taak — potwierdził Eddie. — To ten gość, którego zabiliśmy z Rolandem. A ten, który prowadzi wóz, to Jack Andolini. Nazywano go Jeszcze Brzydszym, chociaż tylko za plecami. Przeszedł ze mną przez jedno z tych drzwi, zanim zaczęła się strzelanina.

— Roland zabił i jego. Prawda?

Eddie skinął głową. Tak było łatwiej, niż gdyby próbował wyjaśnić, w jaki sposób Jack Andolini zginął na plaży, oślepiony i zmasakrowany przez stado uzbrojonych w ostre kleszcze i szczęki homarokoszmarów.

— Drugi goryl to George Biondi. Wielki Nochal. Tego ja zabiłem. A raczej zabiję. Za dziesięć lat.

Eddie wyglądał tak, jakby zaraz miał zemleć.

— Eddie, dobrze się czujesz?

— Chyba tak. Chyba powinienem.

Odeszli od drzwi księgarni. Ej wciąż dreptał przy nodze Jake'a. Drugie wcielenie Jake'a, jego wcześniejsze ja, znikło na Drugiej Alei. *Teraz biegnę, pomyślał Jake. Może przeskakuję przez wózek listonosza. Pędzę w kierunku delikatesów, ponieważ*

*jestem pewien, że tamtędy mogę wrócić do Świata Pośredniego.
Z powrotem do niego.*

Balazar zerknął na swoje odbicie w oknie wystawowym obok tablicy z wypisanymi SPECJALAMI DNIA, jeszcze raz przyglądził końcami palców włosy sterczące za uszami, po czym wszedł w otwarte drzwi. Andolini i Biondi weszli za nim.

— Twardzi faceci — rzekł Jake.

— Najtwardsi — przytaknął Eddie.

— Z Brooklynu.

— No, tak.

— Co twardziele z Brooklynu robią w antykwaracie na
Manhattanie?

— Sądzę, że właśnie mamy się tego dowiedzieć. Jake, zrobił ci sińca na ramieniu?

— Nic mi nie jest. Ale nie mam ochoty tam wracać.

— Ja też nie. Jednakże chodźmy tam.

Weszli z powrotem do Manhattańskiej Restauracji Ducha.

Ej wciąż dreptał przy nodze Jake'a i cicho skamlał. Jake'owi nie podobał się ten dźwięk, lecz rozumiał go. W księgarni unosił się wyraźnie wyczuwalny odór strachu. Deepneau siedział przy szachownicy, spoglądając niespokojnie na CaWina Towera i nowo przybyłych, którzy wcale nie wyglądali na bibliofili poszukujących jakiegoś rzadkiego pierwszego wydania. Pozostali dwaj starcy przy ladzie pospiesznie dopijali swoją kawę, z minami ludzi, którzy właśnie przypomnieli sobie o niezwykle ważnym spotkaniu.

Tchórze, pomyślał Jake z pogardą, w której nie rozpoznał zupełnie nowego uczucia w tym swoim życiu. Płazy. Trochę usprawiedliwia ich podeszły wiek, ale nie całkiem.

— Mam kilka spraw do omówienia, panie Toren — rzekł Balazar. Mówił cichym, spokojnym, rozsądnym tonem, bez śladu akcentu. — Proszę, może przejdziemy do pańskiego biura...

— Nie łączą nas żadne interesy — rzekł Tower. Co chwila zerkał na Andoliniego. Jake chyba wiedział dlaczego. Jack

Andolini wyglądał jak wymachujący toporem psychol z horroru. — Piętnastego lipca, może się to zmieni. Może. Tak więc będziemy mogli porozmawiać po czwartym. Chyba. Jeśli będzie pan chciał. — Uśmiechnął się, pokazując, że stara się być rozsądny. — Ale teraz? Rany, po prostu nie widzę sensu. Jeszcze nawet nie zaczął się czerwiec. A przy okazji informuję pana, że nie nazywam się...

— On nie widzi sensu — powiedział Balazar. Popatrzył na Andoliniego, spojrzął na faceta z wielkim nosem, podniósł ręce na wysokość ramion i znowu je opuścił. *Co jest z tobą nie tak?* — zdawał się mówić jego gest. — Jack? George? Ten człowiek wziął ode mnie czek... na którym widniała jedynka z pięcioma zerami... a teraz powiada, że rozmowa ze mną nie ma sensu.

— Niewiarygodne — rzekł Biondi. Andolini nic nie powiedział. Po prostu patrzył na Calvina Towera mętными brązowymi oczkami, skrytymi pod brzydko sterczącym wałem nadoczodołowym, niczym złośliwe zwierzątko zerkające z jamy. Jake podejrzewał, że mając taką twarz, nie trzeba nic mówić, żeby przekonać oponenta. Sam jej widok wystarczał.

— Tylko że ja chcę z panem porozmawiać — ciągnął Balazar. Mówił cierpliwie i rozsądnie, lecz ani na moment nie odrywał oczu od twarzy Towera. — Dlaczego? Dlatego że moi pracodawcy chcą, żebym o tym z panem porozmawiał. I to mi wystarczy. I wie pan co? Myślę, że sto patyków jest warte chwili pogawędki. No nie?

— Tych stu tysięcy już nie ma — odparł pośpiesznie Tower. — O czym z pewnością wie ten, kto pana wynajął.

— To mnie nie obchodzi — oznajmił Balazar. — Bo i czemu miałoby obchodzić? To były pańskie pieniądze. Mnie obchodzi tylko to, czy pójdzie pan z nami na zaplecze, czy nie. Jeśli nie, będziemy musieli przeprowadzić tę rozmowę tutaj, na oczach całego świata.

Ten cały świat składał się teraz z Aarona Deepneau, jednego hilly-bumblera oraz dwóch byłych nowojorczyków, których nie mógł dostrzec żaden z obecnych w księgarni mężczyzn. Szachowi przeciwnicy Aarona Deepneau czmychnęli jak płazy, którymi w istocie byli.

Tower spróbował jeszcze raz.

— Nie mam nikogo, kto przypilnowałby interesu. Nadchodzi pora lunchu, a wtedy zwykle zjawia się kilku klientów...

— Ta księgarnia nie przynosi pięćdziesięciu dolarów dziennie — rzekł Andolini — i wszyscy to wiemy, panie Toren. Jeśli naprawdę martwi się pan, że może przegapić interes swego życia, niech pan pozwoli stanąć za ladą jemu.

Przez jedną okropną sekundę Jake myślał, że ten, którego Eddie nazwał Jeszcze Brzydszym, ma na myśli jego, Johna „Jake'a” Chambersa. Potem uświadomił sobie, że Andolini pokazuje kogoś innego — Aarona Deepneau.

Tower ustąpił. Czy też Toren.

— Aaronie? — zapytał. — Zechcesz?

— Nie, jeśli ty tego nie chcesz — rzekł Deepneau. Był zaniepokojony. — Na pewno masz ochotę porozmawiać z tymi facetami?

Biondi zmierzył go wzrokiem. Jake pomyślał, że Deepneau wytrzymał jego spojrzenie dość dobrze. W dziwny sposób był dumny ze starego.

— Taak — mruknął Tower. — Taak, w porządku.

— Bez obawy, nie straci swego pieczołowicie hołubionego dziewictwa, obrabiając ci kasę — powiedział Biondi i zaśmiał się.

— Uważaj, co mówisz, znajdujesz się w przybytku kultury — skarcił go Balazar, lecz Jake'owi wydało się, że z lekkim uśmieszkiem. — Chodźmy, Toren. Pogawędzimy chwilę.

— Nie nazywam się Toren! Zmieniłem nazwisko na...

— To nieważne — rzekł uspokajająco Balazar. Poklepał Towera po ramieniu. Jake wciąż usiłował oswoić się z myślą, że to wszystko... cały ten melodramat... wydarzył się tutaj wkrótce po tym, jak opuścił tę księgarnię z dwiema nowymi książkami (nowymi przynajmniej dla niego) i poszedł dalej. To wszystko działo się za jego plecami.

— Skandynaw zawsze zostanie Skandynawem, no nie, szefie? — zapytał jowialnie Biondi. — To po prostu Holender. Obojętnie jak się teraz zwie.

— Jeśli zechcę, żebyś coś gadał, George, powiem ci, co masz mówić. Kapujesz?

— W porządku — odparł Biondi. A potem, zapewne doszedłszy do wniosku, że to nie zabrzmiało zbyt entuzjastycznie, dorzucił: — Tak! Jasne.

— Dobrze.

Trzymając go za ramię, które przed chwilą klepnął, skierował Towera na tyły księgarni. Wszędzie tam były sterty książek, a powietrze wydawało się gęste od zapachu milionów spleśniałych stronic. Szli w kierunku drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Tower wyjął pęk kluczy, które cicho zabrzączały, gdy szukał właściwego.

— Trzęsą mu się ręce — mruknął Jake. Eddie kiwnął głową.

— Mnie też by się trzęsły.

Tower znalazł klucz, którego szukał, przekręcił go w zamku i otworzył drzwi. Jeszcze raz spojrzął na trzech mężczyzn, którzy do niego przyszli — twardzieli z Brooklynu — po czym wprowadził ich do pokoju na zapleczu. Drzwi zamknęły się za nimi i Jake usłyszał trzask zasuwanego rygla. Wątpił w to, że zasunął go Tower.

Jake spojrzął na wypukłe lustro umocowane w kącie sklepu i zobaczył, że Deepneau podnosi słuchawkę stojącego przy kasie telefonu, zastanawia się i odkłada ją z powrotem.

— Co robimy? — spytał Jake.

— Zamierzam spróbować pewnej sztuczki — odparł Eddie. — Widziałem to kiedyś na jakimś filmie. — Stanął przed zamkniętymi drzwiami, po czym mrugnął do Jake'a. — Zaczynam. Jeśli nie uda mi się i tylko walnę się w głowę, możesz nazwać mnie dupkiem.

I zanim Jake zdążył się dowiedzieć, o czym właściwie mówi, Eddie ruszył na drzwi. Jake zobaczył, jak zamknął oczy i zacisnął usta. Była to mina człowieka, który spodziewa się rąbnąć w coś głową.

A jednak nie rąbnął. Po prostu przeszedł przez drzwi. Przez moment sterczała z nich jedna jego obuta w mokasyn stopa, a potem i ona znikła. Towarzyszył temu cichy szmer, jakby ktoś przesunął dłonią po szorstkim drewnie. Jake pochylił się i podniósł Ej a.

— Zamknij oczy — powiedział.

— Oczy — zgodził się bumbler, lecz w dalszym ciągu z cichym uwielbieniem spoglądał na Jake'a. Chłopiec mocno zacisnął powieki. Kiedy znów je otworzył, Ej naśladował go. Nie tracąc czasu, Jake wszedł w drzwi z napisem TYLKO DLA

PERSONELU. Na moment zapadł w mrok i zapach drewna. Z podświadomości znów napłynęły niepokojące dźwięki. W następnej chwili znalazł się po drugiej stronie.

10

Był to składzik, znacznie większy, niż Jake oczekiwał — niemal magazyn zastawiony książkami. Ocenił, że niektóre ze stert, podtrzymywane przez pary drewnianych belek, które bardziej były stemplami niż regałami, miały czternaście, a nawet szesnaście stóp wysokości. Pomędzy nimi biegły wąskie, kręte przejścia. W dwóch z nich zauważył drabiny na kółkach, przypominające ruchome schody, jakie widuje się na lotniskach. Tutaj, tak samo jak od frontu, unosił się zapach starych książek, ale znacznie silniejszy, niemal obezwładniający. Pod sklepieniem wisały liczne blaszane lampy, rzucające żółtawe, rozproszone światło. Cienie Towera, Balazara i goryli tego ostatniego groteskowo podsłakiwały na ścianie po lewej. Tower skręcił tam, prowadząc swoich gości do kąta, w którym mieściło się jego biuro: stało tam biurko z maszyną do pisania i kolonotatnikiem, trzy stare szafki na akta oraz regał pełen różnych artykułów papierniczych. Na ścianie wisi kalendarz, w maju opatrzony zdjęciem jakiegoś dziewiętnastowiecznego jegomościa, którego Jake od razu nie rozpoznał... dopiero po chwili. Robert Browning. Jake cytował go w swojej pracy egzaminacyjnej.

Tower usiadł na krześle za swoim biurkiem i natychmiast zdawał się żałować, że to zrobił. Jake współczuł mu. Sposób, w jaki tamci trzej pochyłali się nad nim, nie był zbyt przyjemny. Ich cienie urosły na ścianie za biurkiem niczym cienie gargulców.

Balazar sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę papieru. Rozprostował ją i położył na biurku Towera.

— Poznaje pan to?

Eddie ruszył do przodu. Jake przytrzymał go.

— Nie podchodź! Wyczują twoją obecność!

— Nie dbam o to — rzekł Eddie. — Muszę zobaczyć ten dokument.

84

Jake poszedł za nim, nie wiedząc, co innego mógłby zrobić. Ej wiercił się w jego ramionach i skomlał. Jake uciszył go i bumbler zamrugał.

— Przykro mi, kolego — rzekł Jake — ale musisz być cicho.

Czy jego wcielenie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku było już na opuszczonej parceli? Znalazł się tam, wcześniejszy Jake poślizgnął się na czymś i upadł, tracąc przytomność. Czy to już się stało? Nie było sensu zastanawiać się nad tym. Eddie miał rację. Jake'owi nie podobało się to, ale wiedział, że powinni być tutaj, a nie tam, a także powinni poznać treść dokumentu, który Balazar pokazywał teraz Calvinowi Towerowi.

11

Eddie przeczytał kilka pierwszych linijek, zanim Jack Andolini powiedział:

— Szefie, to mi się nie podoba. Coś tu śmierdzi. Balazar kiwnął głową.

— Racja. Czy jest tu ktoś oprócz nas, panie Toren?

Wciąż mówił spokojnie i uprzejmie, lecz rozbieganym spojrzeniem szukał w wielkim pomieszczeniu potencjalnych kryjówek.

— Nie — odparł Tower. — No cóż, jest Sergio. To sklepowy kot. Pewnie dostał się tutaj jakoś i...

— To nie jest sklep — przerwał mu Biondi — tylko dziura, w którą wrzucasz pieniądze. Nawet jeden z tych fikuśnych projektantów mody z trudem zarobiłby tyle, żeby utrzymać taki metraż, a co dopiero księgarnia? Człowieku, kogo ty oszukujesz?

Siebie, ot kogo, pomyślał Eddie. Sam siebie oszukuje.

Jakby przywołane przez tę myśl, znów rozległy się te straszliwe dźwięki. Gangsterzy obecni w składzie Towera ich nie słyszeli, ale Jake i Ej tak. Eddie poznał to po udręczonych minach przyjaciół. Nagle w pomieszczeniu, i tak już mrocznym, zrobiło się jeszcze ciemniej.

Wracamy, pomyślał Eddie. Jezu, wracamy! Tylko nie zanim...

Pochylił się między Andolinim i Balazarem, świadomy tego, że obaj czujnie rozglądają się szeroko otwartymi oczami. Nie

przejmował się tym. Interesował go tylko dokument. Ktoś wynajął Balazara, żeby najpierw podpisał umowę (prawdopodobnie), a następnie w odpowiedniej chwili podsunął ją pod nos Towera/Torena. W większości wypadków // *Roche* poprzestały na wysłaniu z taką misją paru swoich twardzieli — których nazywał „dżentelmenami”. Najwidoczniej jednak to zadanie było tak ważne, że wymagało jego osobistego udziału. Eddie chciał poznać powód.

UMOWA

Niniejszy dokument jest umową pomiędzy panem Calvinem Towerem, mieszkańcem Nowego Jorku i posiadaczem nieruchomości będącej pustą parcelą, oznaczoną jako parcela numer 298 w kwartale numer 19, zlokalizowaną...

Dźwięki znów rozbrzmiewały w jego głowie, wywołując dreszcze. Tym razem były głośniejsze. Cienie zgęstniały i uniosły się wyżej na ścianach pomieszczenia. Ciemność, którą Eddie wyczuwał na ulicy, wdzierала się do środka. Może zaraz zostaną przeniesieni z powrotem, a to byłoby niedobrze. Mogli utonąć w ciemności, a to byłoby jeszcze gorsze; utonięcie w niesamowitym mroku z pewnością jest okropnym rodzajem śmierci.

A jeśli w ciemności kryły się jakieś stwory? Wyglądniałe stwory, takie jak dozorca strzegący przejścia?

One tam są. To odezwał się Henry. Po raz pierwszy od prawie dwóch miesięcy. Eddie mógł wyobrazić sobie Henry'ego, stojącego tuż za nim i uśmiechającego się tępych grymasem ćpuna, z przekrwionymi oczami i pożółkłymi, zaniedbanymi zębami. *Wiesz, że są. Kiedy jednak słyszysz melodię, musisz tam iść, bracie, i myślę, że dobrze o tym wiesz.*

— Eddie! — zawołał Jake. — To wraca! Słyszysz?

— Chwyć mnie za pasek — polecił Eddie. Przemykał wzrokiem po dokumencie, który Balazar trzymał w swoich pulchnych łapach. Balazar, Andolini i Wielki Nochal wciąż rozglądali się po magazynie. Biondi nawet wyjął pistolet.

— Twój...?

— Może nie zostaniemy rozdzieleni — rzekł Eddie. Dźwięki

były głośniejsze niż kiedykolwiek. Jęknął. Słowa umowy rozmywały mu się w oczach. Zmrużył je, skupiając wzrok na druku.

...oznaczoną jako parcela numer 298 w kwartale numer 19, zlokalizowaną na Manhattanie, w mieście Nowy Jork, na Czterdziestej Szóstej Ulicy i Drugiej Alei, a Sombra Corporation, firmą prowadzącą interesy ze stanem Nowy Jork. W dniu dzisiejszym, tzn. 15 lipca 1976 roku Sombra udzieli Calvinowi Towerowi bezzwrotnej pożyczki w kwocie 100 000 dolarów, której zabezpieczeniem jest rzeczona nieruchomości. W zamian Calvin Tower zgadza się nie...

Piętnastego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Niecały rok temu.

Eddie czuł spowijającą ich ciemność i gorączkowo usiłował przemknąć oczami po pozostałej części tekstu, przekazując informacje do mózgu. Chociażby w takim stopniu, żeby pojąć, co się tutaj dzieje. Gdyby zdołał tego dokonać, byłby to przynajmniej kolejny krok na drodze do zrozumienia, co to wszystko oznacza dla nich.

Jeśli te dźwięki nie doprowadzą mnie do szaleństwa. Jeśli stwory z ciemności nie pożą nas w powrotne; drodze.

— Eddie!

To Jake. Przestraszony, sądząc po tonie głosu. Eddie zignorował go.

...Calvin Tower zgadza się nie sprzedawać, nie wynajmować ani w jakikolwiek inny sposób nie cedować wyżej wymienionej nieruchomości przez okres jednego roku, poczynając od dnia dzisiejszego aż do 15 lipca 1977 roku. W rozumieniu niniejszej umowy Sombra Corporation ma prawo pierwokupu wyżej wymienionej nieruchomości, jak podano poniżej.

W tym czasie Calvin Tower będzie w pełni przestrzegał i chronił prawa Sombra Corporation do wyżej wymienionej nieruchomości i nie udostępni jej żadnym dzierżawcom ani podnajemcom...

Było tego więcej, lecz teraz dźwięki wydawały się odrażające i ogłuszające. Przez chwilę Eddie w pełni pojmował — do diabła, nawet widział — jak cienki stał się ten świat. I zapewne wszystkie inne światy. Cienki i poprzecierany jak jego dżinsy. Odczytał jeszcze jedno zdanie umowy:

...jeśli warunki zostaną spełnione, uzyska prawo do odsprzedaży lub innego rodzaju przekazania nieruchomości Sombra Corporation lub dowolnemu nabywcy.

Potem słowa znikły, wszystko znikło, porwane przez czarny wir. Jake jedną ręką trzymał pasek Eddiego, a drugą Eja. Bumbler teraz głośno warczał i Eddie przez moment znów ujrział niewyraźny obraz Dorotki przenoszanej do krainy Oz.

W ciemności kryły się stwory: ciemne kształty o upiornie fosforyzujących ślepiach, jakie widuje się na filmach o eksploracji najgłębszych rowów oceanicznych. Tylko że w tych filmach badacze zawsze siedzą w stalowych dzwonach do nurkowania, podczas gdy on i Jake...

Dźwięki jeszcze bardziej przybrały na sile. Eddie czuł się tak, jakby ktoś wepchnął go pod Big Bena wybijającego północ. Wrzeszczał, lecz sam siebie nie słyszał. A potem dzwonięcie ucichło i wszystko znikło: Jake, Ej i Świat Pośredni, a on unosił się gdzieś poza gwiazdami i galaktykami.

Susannah!, krzyknął. *Gdzie jesteś, Suze?*

Żadnej odpowiedzi. Tylko ciemność.

Rozdział 3

MIA

1

1¹awno temu, w latach sześćdziesiątych (zanim świat poszedł naprzód), żyła sobie kobieta zwana Odettą Holmes, miła i naprawdę dostosowana społecznie młoda kobieta, która była bogata, urodziwa i otwarta na potrzeby innych — mężczyzn i kobiet. Nie zdając sobie z tego sprawy, dzieliła jedno ciało ze znacznie mniej przyjemną istotą, niejaką Dettą Walker. Detta miała gdzieś potrzeby innych — mężczyzn i kobiet. Rhea z Cóos rozpoznałaby w niej siostrzaną duszę. Roland z Gilead, ostatni rewolwerowiec, przeciągnął tę kobietę na drugą stronę Świata Pośredniego i stworzył z niej trzecią, która była znacznie lepsza i silniejsza od dwóch poprzednich. Była to kobieta, którą pokochał Eddie Dean. Nazwał go swoim mężem i przyjęła nazwisko jego ojca. Ponieważ ominęły ją feministyczne biadolenia ostatnich dziesięcioleci, zrobiła to dość ochoczo. Jeśli nie zwała się Susannah Dean z dumą i satysfakcją, to tylko dlatego, że matka nauczyła ją, iż duma to prosta droga do upadku.

Teraz powstała czwarta kobieta. Zrodziła się z trzeciej w czasie kolejnej ciężkiej próby i przemiany. Nie obchodził ją los Odetty, Detty czy Susannah. Nie dbała o nic poza nowym mężczyzną, który miał przyjść na ten świat. Tego chłopca trzeba było nakarmić. Sala bankietowa znajdowała się w pobliżu. Tylko to było ważne i nic poza tym.

Ta nowa kobieta, na swój sposób pod każdym względem równie niebezpieczna jak Detta Walker, zwała się Mia. Nie

nosiła imienia jakiegokolwiek ojca, tylko przydomek, który w Wysokiej Mowie znaczy „matka”.

2

Szła powoli długimi kamiennymi korytarzami w kierunku sali biesiadnej. Mijała zrujnowane komnaty, puste przejścia i nisze, zapomniane galerie z opuszczonymi pokojami, z których żaden nie był tym. Gdzieś w zamku stał stary tron, skąpany we krwi. Gdzieś znajdowały się stopnie wiodące do lochów o wyłożonych kośćmi ścianach, ciągnących się nie wiadomo jak głęboko. A jednak było tu życie: życie i pożywienie. Mia zdawała sobie z tego sprawę równie dobrze jak z istnienia niosących ją nóg i ocierających się o nie wielu warstw krochmalonych sukien. Pożywienie. Życie twoje i owocu twego łona, jak mówiono. A była taka głodna. Nic dziwnego! Czy nie jadła za dwoje?

Dotarła do szerokich schodów. Do jej uszu doleciał dźwięk, cichy, lecz wyraźny: miarowe dudnienie silników skrytych w głębi ziemi pod najgłębszymi z lochów. One jej nie interesowały, tak samo jak North Central Positronics Ltd., która je stworzyła i uruchomiła przed dziesiątkami tysięcy lat. Nie były dla niej ważne komputery dipolame, drzwi, Promienie czy Mroczna Wieża, która stała w centrum wszystkiego.

Interesowały ją tylko zapachy. Te napływały... zawiesiste i cudowne. Zapachy kurczaka, sosu i wieprzowej pieczeni, polanej szklistym tłustym sosem. Płatów krwistej wołowiny, kręgów pleśniowego sera, ogromnych krewetek z Calla Fundy, przypominających pulchne ćwiartki pomarańczy. Smażonych ryb o czarnych oczach i brzuchach skrzących się sosem. Wielkich mis *zjambalaya ifanata*, gęstymi gulaszami z dalekiego południa. Dodaj do tego zapach stu owoców i tysiąca słodczy, a i tak będzie to dopiero początek! Przystawki! Pierwsze kęsy pierwszych dań!

Mia zbiegła po szerokich środkowych schodach, muskając jedwabistą dłońią poręcz, wybijając pantofelkami nierówny rytm na stopniach. Kiedyś śniło jej się, że jakiś okropny człowiek wepchnął ją pod metro i koła obcięły jej obie nogi na

wysokości kolan. Sny są głupie. Przecież ma całe stopy i nogi, prawda? Oczywiście! I dziecko w jej brzuchu. Chłopiec czekający na posiłek. Był głodny i ona też.

3

Na dole schodów szeroki korytarz wyłożony czarnym marmurem wiódł do podwójnych wysokich drzwi, znajdujących się dziewięćdziesiąt stóp dalej. Mia pospieszyła do nich. Wiodła unoszące się pod nią odbicie i elektryczne lampy płonące w marmurze jak pochodnie pod wodą, lecz nie zauważyła mężczyzny, który podążał za nią, zbiegającego po krętych schodach, nienoszącego lakierków, lecz stare i sfatygowane buciory. Zamiast wieczorowego stroju miał na sobie wyblakłe dżinsy i sfatygowaną niebieską koszulę. Przy jego lewym boku wisiał rewolwer z wytartą rękojeścią z sandałowego drzewa, w kaburze przywiązanej rzemieniem do uda. Twarz miał poraną bruzdami i ogorzałą. Włosy czarne, lecz już usiane pasemkami siwizny. Najbardziej uderzającą cechą wyglądu były jego oczy — niebieskie, chłodne i nieruchome. Detta Walker nie bała się żadnego mężczyzny, nawet tego, lecz obawiała się tych przenikliwych oczu.

Tuż przed podwójnymi drzwiami był przedsionek wyłożony płytami czerwonego i czarnego marmuru. Na pokrytych boazerią ścianach wisiały wyblakłe portrety dawnych dżentelmenów i dam. Na środku stał posąg zrobiony z różowego marmuru i chromowanej stali. Wydawał się przedstawiać rycerza ze wzniesionym nad głową mieczem lub sześciostrzałowcem. Chociaż jego twarz nie miała wyraźnych rysów — rzeźbiarz zaledwie je zaznaczył — Mia i tak wiedziała, kto to jest. Kto to musi być.

— Pozdrawiam cię, Arthurze Eldzie — powiedziała i nisko przed nim dygnęła. — Proszę, pobłogosław te dary, które zamierzam spożywać. I mojego chłopca. Życzę ci miłego wieczoru.

Nie życzyła mu długich dni na tej ziemi, gdyż jego dni — i większości jemu podobnych — już minęły. Zamiast tego dotknęła swych uśmiechniętych warg czubkami palców i posłała mu całusa. Dopełniwszy formalności, poszła do sali biesiadnej.

Ta miała czterdzieści jardów szerokości i siedemdziesiąt długości. Po obu stronach ciągnęły się rzędy jasnych elektrycznych pochodni w kryształowych kloszach. Setki krzesel stały przy ogromnym stole z żelaznego drzewa, zastawionym zimnymi i gorącymi przysmakami. Przed każdym krzesłem stał biały talerz z delikatnym błękitnym wzorem, talerz z *okazji*. Krzesła były puste, bankietowe talerze z *okazji* również i kieliszki do wina też, chociaż wino czekało w złotych dzbanach rozstawionych w regularnych odstępach na stole, schłodzone i gotowe. Wiedziała, że tak będzie, tak jak widziała to w swych najmilszych i najwyraźniejszych marzeniach, jak było raz po raz i jak będzie, dopóki ona (i chłopiec) będą tego potrzebować. Gdziekolwiek się znalazła, ten zamek zawsze był w pobliżu. A jeśli nawet czuła wilgoć i stęchliznę, to co z tego? Jeśli w mroku pod stołem słychać było jakieś szmery — może pierzchających szczurów czy nawet zuchwałych łasic — czemu miałyby się tym przejmować? Na stole wszystko było cudowne i oświetlone, aromatyczne, smaczne i gotowe do zjedzenia. Niech cienie pod stołem same zadbają o siebie. To nie jej sprawa, nie, nie jej.

— Oto nadchodzi Mia, córka niczyja! — zawołała wesoło do milczącej komnaty z jej setkami zapachów mięs, sosów, kremów i owoców. — Jestem głodna i będę nakarmiona! Co więcej, nakarmię mojego chłopca! Jeśli ktoś ma coś przeciwko temu, niech wystąpi! Niechaj go zobaczę, a on mnie!

Oczywiście, nikt nie wystąpił. Ci, którzy mogli tu niegdyś ucztować, już dawno odeszli. Teraz pozostało tylko basowe, senne pomrukiwanie silników (oraz te ciche i nieprzyjemne odgłosy z Krainy Podstola). Za jej plecami rewolwerowiec stał w milczeniu, obserwując. Nie po raz pierwszy. Nie widział zamku, tylko ją; widział ją bardzo dobrze.

— Milczenie oznacza zgodę! — zawołała. Przycisnęła dłońią brzuch, który zaczął rosnąć. Wystawać. Potem krzyknęła ze śmiechem: — A więc tak! Oto Mia przybywa na ucztę! Niech dobrze posłuży jej i chłopcu, który w niej rośnie! Niechaj pójdzie im obojgu na zdrowie!

I ucztowała, lecz nie na jednym krześle i nie używając żadnego z tych talerzy. Nienawidziła ich, tych biało-niebieskich talerzy z *okazji*. Nie wiedziała dlaczego i nie chciała wiedzieć.

Interesowało ją tylko pożywienie. Szła wzdłuż stołu jak kobieta przy największym na świecie bufecie, biorąc jedzenie palcami i wrzucając je do ust, czasem odrywając zębami gorące i delikatne mięso od kości, po czym odrzucając ogryzione z powrotem na półmiski. Czasem nie trafiała i kawałki mięsa toczyły się po białym lnianym obrusie, pozostawiając plamy sosu, jak krople krwi z nosa. Jedna z toczących się kości przewróciła sosjerkę. Inna rozbiła kryształową miskę z galaretką z żurawin. Trzecia spadła po drugiej stronie stołu i Mia usłyszała, jak coś wciągnęło kość w mrok. Rozległy się głośne piski, a potem bolesny skowyt, gdy jakieś stworzenie zatopiło zęby w innym. Później zapadła cisza. Trwała krótko, przerwana przez śmiech Mii. Wytarła zatłuszczone palce o suknię, robiąc to powoli. Ciesząc się tym, jak plamy tłuszczu z mięs i sosów powiększają się na drogim jedwabiu. Ciesząc się pełnią swych piersi i wypukłościami sutków, stwardniałych z podniecenia.

Powoli podążała wzdłuż stołu, mówiąc do siebie wieloma głosami, tworzącymi szaleńczy jazgot.

Jak leci, kochanie?

Och, fajnie, piękne dzięki, że pytasz, Mia.

Naprawdę wierzysz, że Oswald działał sam, kiedy zastrzelił Kennedy'ego?

Nigdy w życiu, moja droga. To była robota CIA. Ich albo tych stukniętych milionerów ze stalowego zagłębia w Alabamie.

Spędź bombowe wakacje w Alabamie, no nie?

Słyszałeś ostatnią płytę Joan Baez?

Mój Boże, czy ona nie śpiewa jak anioł? Słyszałem, że ona i Bob Dylan mają się pobrać...

I tak dalej, ple-ple. Roland słyszał kulturalny głos Odetty i chropowate, lecz malownicze przekleństwa Detty. Słyszał głos Susannah i wielu innych. Ile kobiet było w jej głowie? Ile osobowości... ukształtowanych i na pół sformowanych? Patrzył, jak sięgała nad pustymi talerzami, których tam nie było, i pustymi kieliszkami (których nie było tam również), jedząc prosto z półmisków, żując wszystko z tym samym niesłabnącym zapalem; patrzył na jej twarz coraz bardziej świecąca od tłuszczu, na suknię (której nie widział, lecz wyczuwał jej istnienie) ciemniejącą w miejscach, gdzie raz po raz ocierała palce, przyciskając je do materiału i piersi — ruchami zbyt wyrazis-

tymi, aby mógł się mylić. I przy każdym przystanku, zanim poszła dalej, chwyciła pusty talerz, którego nie mógł dostrzec, po czym rozbijała go o podłogę u swych stóp... lub ścianę, którą zapewne widziała w swoim śnie.

Masz! — krzyczała ochryplym głosem Detty Walker. A masz, ty parszywa Niebieska Kobieto! Znowu go rozbiłam. Rozbiłam twój pieprzony talerzyk, i jak ci się to podoba? Jak ci się podoba?

Potem, podchodząc do następnego krzesła, śmiała się perliście, lecz dyskretnie, i pytała kogoś, jak ich chłopak radzi sobie w Morehouse i czy to nie cudownie, że jest taka dobra szkoła dla kolorowych. To po prostu *cudownie!* A jak tam twoja mama, kochanie? Och, przykro mi to słyszeć, wszyscy będziemy się modlić o jej wyzdrowienie.

Mówiąc, sięgała nad kolejnym z tych wymagowanych talerzy. Chwytała wielki półmisek pełen błyszczącego czarnego kawioru i plasterków cytryny. Wpychała weń twarz, jak świnia pysk do koryta. Obżerając się. Znowu podniosła głowę, uśmiechając się delikatnie i wyzywająco w blasku elektrycznych pochodni, a rybie jajeczka niczym czarny pot znaczyły jej brązową skórę, rozsiane na policzkach i czole, oblepiając niczym strupki jej nozdrza... *Och tak, sądzę, że czynimy wspa- niałe postępy, tacy ludzie jak ten Buli Connor są już skazani na wymarcie i najlepszą zemstą jest to, że dobrze o tym wiedzą...* A potem nagle ciskała półmisek za siebie, jak szalony koszykarz, przy czym trochę kawioru obsypywało jej włosy (Roland prawie to widział) i gdy półmisek uderzył o kamienną ścianę, jej uprzejma czyż-to-nie-cudowne-przyjecie mina nagle zmieniła się w upiorny grymas Detty Walker, a z ust wyrwał się krzyk: *Masz, ty parszywa Niebieska Kobieto, jak ci się to podoba? Może chcesz wepchnąć sobie trochę tego kawioru do wyschniętej cipy? Nie krępuj się! No, dalej! Poczujesz się lepiej!* I znów przechodziła do następnego miejsca. I następnego. I jeszcze. Posilając się w tej wielkiej sali biesiadnej. Karmiąc siebie i swojego chłopca. Nigdy nie odwracając się, żeby popatrzeć na Rolanda. Nie zdając sobie sprawy, że, ściśle mówiąc, to miejsce wcale nie istnieje.

Roland był daleki od tego, żeby martwić się lub niepokoić o Eddiego i Jake'a, gdy wszyscy czworo (lub pięcioro, licząc Eja) ułożyli się do snu po zjedzeniu pieczonych drożdżowych kul. Skupił się na Susannah. Rewolwerowiec był pewien, że ona tej nocy znowu wyruszy, a wtedy pójdzie za nią. Nie po to, żeby sprawdzić, co robiła: to wiedział z góry.

Nie, głównie po to, żeby jej strzec.

Wczesnym popołudniem, mniej więcej wtedy, kiedy Jake wrócił, przynosząc jedzenie, Susannah znowu zdradzała dobrze znane Rolandowi objawy: urywane i krótkie wypowiedzi, nieco zbyt gwałtowne ruchy, skłonność do bezwiednego pocierania lewej skroni lub lewego łuku brwiowego, jakby coś ją tam bolało. *Czy Eddie nie dostrzega tych objawów?* — zastanawiał się Roland. Istotnie, Eddie był kiepskim obserwatorem, kiedy go poznał, lecz od tego czasu bardzo się zmienił, więc...

I kochał ją. *Kochał*. Jak mógł nie dostrzegać tego, co widział Roland? Te objawy nie były tak oczywiste jak wtedy, gdy byli na brzegu Morza Zachodniego i Detta zamierzała zaatakować, żeby mieć kontrolę nad Odettą, ale były równie wyraźne i niewiele różniły się od tamtych.

Z drugiej strony matka Rolanda mawiała: *miłość zaślepia*. Może Eddie po prostu był za blisko Odetty, żeby to dostrzec. *Albo nie chce*, doszedł do wniosku Roland. *Nie chce pogodzić się z myślą, że znów będziemy musieli przez to przejść. Znowu doprowadzić do tego, żeby stawiała czoło sama sobie i swojej dwoistej naturze.*

Tylko że tym razem nie chodziło o nią. Roland podejrzewał to od dłuższego czasu — jeszcze przed rozmową z ludźmi z River Crossing — a teraz był tego pewien. Nie, nie chodziło o nią.

Tak więc leżał tam, słuchając, jak oddychają coraz bardziej miarowo, gdy jedno po drugim zapadało w sen: Ej, potem Jake i Susannah. Eddie ostatni.

No... właściwie nie ostatni. Roland słyszał cichy, bardzo cichy pomruk rozmowy ludzi po drugiej stronie tamtego wzgórza na południu, tych którzy podążali za nimi i obserwowali ich. Zapewne zbierając odwagę, żeby wyjść z ukrycia i pokazać się. Roland

miał wyostrzony słuch, lecz nie aż tak, żeby dosłyszeć, o czym rozmawiali. Zamienili mniej więcej tuzin zdań, zanim ktoś uciszył ich głośnym syknięciem. Potem zapadła cisza, przerywana tylko cichym, nieregularnym szelestem wiatru w koronach drzew. Roland leżał nieruchomo, spoglądając w bezgwiezdną ciemność, czekając, aż Susannah wstanie. W końcu zrobiła to. Wcześniej jednak Jake, Eddie i Ej zapadli w trans.

.5

Roland i jego towarzysze dowiedzieli się o transie (tego, co powinni wiedzieć) od Vannaya, nadwornego nauczyciela, w odległej przeszłości, kiedy byli młodzi. Na początku było ich pięciu: Roland, Alain, Cuthbert, Jamie i Wallace, syn Vannaya. Wallace, bardzo inteligentny, lecz słabowity, umarł powalony zarazą zwaną czasem królewskim grzechem. Zostało ich czterech pod parasolem prawdziwego *ka-tet*. Vannay też to wiedział i świadomość tego faktu z pewnością była jednym z powodów jego udręki.

Cort nauczył ich podróżować według słońca i gwiazd. Vannay pokazał im kompas, kwadrant oraz sekstans i nauczył matematyki niezbędnej do posługiwania się tymi przyrządami. Cort pokazał im, jak walczyć. Za pomocą historii, logiki i wykładów z dziedziny, którą nazywał „uniwersalnymi prawdami”, Vannay pokazał im, jak czasem unikać walki. Cort nauczył ich zabijać w razie potrzeby. Vannay ze swym krzywym i miłym, lecz roztargnionym uśmiechem uczył ich, że przemoc znacznie częściej mnoży problemy, niż rozwiązuje. Nazywał ją pustą komnatą, w której wszystkie dźwięki są zniekształcone przez echa. Uczył ich fizyki — a przynajmniej jej podstaw. A także chemii — na tyle, na ile jeszcze ją znano. Uczył ich kończyć takie zdania: „to drzewo jest jak...”, „kiedy biegnę, jestem szczęśliwy jak...” i „nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu, ponieważ...”. Roland nienawidził tych zajęć, ale Vannay nie pozwalał mu ich opuszczać.

— Twoja wyobraźnia jest w opłakanym stanie, Rolandzie — powiedział mu kiedyś, gdy Roland miał jedenaście lat. — Nie pozwolę ci jej zagłodzić.

Uczył ich Siedmiu Tarcz Magii, nie wyjaśniając, czy sam w nie wierzy, i Roland miał wrażenie, że to podczas jednej z tych lekcji Yannay wspomniał o transie. A może należało używać dużej litery, może był to Trans. Roland nie był tego pewien. Wiedział, że Vannay wspominał o sekcje Manni, której członkowie odbywali dalekie wędrówki. Czyż nie wspominał także o Tęczy Czarnoksiężnika?

Wydawało mu się, że wspominał, ale dwukrotnie miał w rękę różowy łuk Tęczy, raz jako chłopiec, a raz jako mężczyzna, i chociaż w obu wypadkach podróżował w nim — po raz drugi wraz z przyjaciółmi — nigdy nie wpadł przy tym w trans.

A skąd wiesz? — zadał sobie pytanie. Skąd możesz to wiedzieć, Rolandzie, skoro byłeś w środku?

Bo Cuthbert i Alain powiedzieliby mu o tym, oto dlaczego.

Jesteś pewien?

W duszy rewolwerowca zbudziło się jakieś dziwne, nieznane uczucie — czy była to uraza? Zgroza? Może nawet poczucie zdrady? — gdy uświadomił sobie, że nie, wcale nie jest pewien. Wiedział tylko, że ta kula wciągnęła go w głąb siebie i miał szczęście, że zdołał się z niej wydostać.

Tutaj nie ma żadnej kuli, pomyślał i znów odpowiedział mu tamten głos — suchy, charakterystyczny głos starego nauczyciela, który nigdy nie przestał opłakiwać swego jedyne go syna — tymi samymi słowami:

Jesteś pewien?

Czy jesteś tego pewien, rewolwerowcze?

Zaczęło się od cichego poskrzypywania. W pierwszej chwili Roland myślał, że to trzask obozowego ogniska: ktoś z nich nieopatrznie wrzucił w ogień mokrą świerkową gałąź i płonące szpilki wydawały te trzaski. A jednak...

Odgłos przybierał na sile, przypominając brzęczenie dzwonka elektrycznego. Roland usiadł i spojrzał poza dogasające ognisko. Szeroko otworzył oczy i serce zaczęło mu mocniej bić.

Susannah odwróciła się plecami do Eddiego i trochę odsunęła. Rddie wyciągnął rękę i Jake też. Ich dłonie zetknęły się. I za-

częli raz po raz znikać z oczu patrzącego na to Rolanda i znowu się pojawiać. Ej również. Kiedy znikali, na ich miejscu ukazywała się ciemnoszara poświata, zachowująca przybliżone kształty i pozycje ich ciał, jakby coś zastępowało każdego z nich w tej rzeczywistości. Każdemu ich pojawieniu się towarzyszyły trzaski. Roland widział, jak gałki oczne poruszają się pod zaciśniętymi powiekami.

Śnili. Lecz nie był to zwykły sen. Był to trans, przejście między dwoma światami. Podobno Manni potrafili to robić. I podobno niektóre części Tęczy Czarnoksiężnika mogły wprawić cię w taki stan, czy tego chciałeś, czy nie. A szczególnie jedna z tych części.

Mogązostać uwięzieni pomiędzy światami i przepaść, pomyślał Roland. Vannay mówił i o tym. Powiedział, że zapadającym w trans grozi wiele niebezpieczeństw.

Co jeszcze powiedział? Roland nie zdążył sobie przypomnieć, gdyż w tym momencie Susannah usiadła, wsunęła na kikuty nóg ochraniacze z miękkiej skóry, które dla niej zrobił, po czym wgramoliła się na fotel inwalidzki. W chwilę później jechała już w stronę starych drzew na północnym skraju drogi. Podążała w kierunku przeciwnym do kryjówki śledzących ich ludzi. Przynajmniej za to należało dziękować losowi.

Roland przez chwilę nie ruszał się z miejsca, nie wiedząc, co robić. Nie miał wielkiego wyboru. Nie mógł ich zbudzić, kiedy byli w transie — byłoby to ogromnie ryzykowne. Mógł tylko podążać za Susannah, tak jak w inne noce, i mieć nadzieję, że nie wpakuje się w tarapaty.

Mógłbyś także pomyśleć o tym, co będzie dalej. Znowu rozpoznał suchy, belferski głos Vannaya. Stary nauczyciel wrócił i najwidoczniej zamierzał pozostać jakiś czas. Rozsądek nigdy nie był twoją mocną stroną, a mimo to musisz to zrobić. Oczywiście będziesz musiał zaczekać, aż wasi goście się ujawnią — aż upewnisz się, czego właściwie chcą — ale w końcu, Rolandzie, będziesz musiał działać. Najpierw jednak dobrze się zastanów. Im prędzej, tym lepiej.

Taak, zawsze im prędzej, tym lepiej.

Rozległ się kolejny donośny, przeciągły trzask. Eddie i Jake wrócili. Jake obejmował ramieniem Eja, lecz zaraz znów zniknęli, pozostawiając po sobie zaledwie to słabe migotanie okto-

plazmy. No trudno. On powinien podążać za Susannah. Co do Eddiego i Jake'a, poradzą sobie, jeśli Bóg pozwoli.

A jeśli wrócisz tu, a ich nie będzie? To się zdarza, tak mówił Yannay. Co jej powiesz, kiedy się zbudzi i stwierdzi, że ich obu nie ma, jej męża i przybranego syna?

Teraz nie mógł się tym przejmować. W tym momencie musiał zatroszczyć się o Susannah i zapewnić jej bezpieczeństwo.

7

Po północnej stronie ulicy stare drzewa o potwornie grubych pniach stały w sporych odległościach od siebie. Ich gałęzie mogły spleść się i tworzyć w górze zwarty baldachim, lecz tuż nad ziemią było sporo miejsca dla wózka Susannah, więc podążała naprzód w niezłym tempie, lawirując między ogromnymi żelaznymi drzewami i sosnami, jadąc po wonnym kobiercu mchu i igliwia.

Nie Susannah. I nie Detta czy Odetta. Ta zwie się Mia.

Roland nie dbał o to, choćby nawet nazywała się Królową Zielonych Dni, byle wróciła cała i zdrowa, a pozostali dwaj towarzysze czekali na nich w obozie.

Poczuł zapach świeższej, młodej zieleni: trzciny i roślin wodnych. Temu zapachowi towarzyszył smród błota, rechet żab, sarkastyczne pohukiwanie sowy i plusk wody, do której coś skoczyło. Jednocześnie rozległ się przeraźliwy skowyt ginącego stworzenia, może skaczącego, a może tego, na które coś skoczyło. Poszycie zaczęło wyrastać wyżej, z początku kępami, a potem coraz gęściej. Las rzedniał. Bzyczały moskity i inne owady. Ważki śmigły w powietrzu. Zapach bagna nasilał się.

Koła wózka przetaczały się po zielonym kobiercu, nie pozostawiając żadnego śladu. Gdy zbutwiałe liście zastąpiło niskie poszycie, Roland zaczął dostrzegać połamane gałązki i zerwane liście, znaczące jej drogę. Potem, gdy dotarła na mniej więcej równy teren, koła poczęły grzęznąć w coraz bardziej miękkiej ziemi. Po następnych dwudziestu krokach zobaczył wodę zbierającą się w koleinach. Kobieta była jednak zbyt sprytna i zręczna, żeby tu utknąć. Po kolejnych dwudziestu krokach znalazł opuszczony wózek. Na siedzeniu leżały jej spodnie i koszula.

Poszła na bagna nago, tylko w skórzanych ochraniaczach zakrywających kikuty jej nóg.

Nad kałużami wody snuły się pasma mgły. Tu i ówdzie wznosiły się porośnięte trawą pagórki. Na jednym z nich, przywiązana do postawionego pionowo pnia uschniętego drzewa, tkwiła postać, którą Roland w pierwszej chwili wziął za starego chochoła. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że to ludzki szkielet. Czaszka był wgnieciona z przodu i nad pustymi oczodołami ział czarny trójkąt pustki. Niewątpliwie tę ranę zadano uderzeniem maczugi, a ciało (a raczej jego gnijące resztki) pozostawiono jako znak graniczny jakiegoś plemienia. Ci ludzie zapewne już dawno temu wymarli lub opuścili tę okolicę, ale lepiej zachować ostrożność. Roland wyjął broń i poszedł dalej tropem kobiety, idąc od pagórka do pagórka, czasem krzywiąc się z bólu w prawym biodrze. Musiał skupić całą swoją uwagę i użyć wszystkich umiejętności, żeby za nią nadążyć. Dlatego że w przeciwieństwie do niego nie starała się unikać zamoczenia. Była naga jak rusałka i poruszała się jak ona, doskonale czując się na tym błotnistym i bagnistym terenie. Przeczolgiwała się przez większe wzgórki, zapadała w wodę między nimi, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby poodrywać pijawki. W ciemności jej ruchy zdawały się stapiać w rodzaj zwinnego pełzania, zwinnego i niepokojącego.

Brnęła dalej w coraz głębsze bagno, a rewolwerowiec cierpliwie podążał za nią. Starał się poruszać jak najciszej, chociaż wątpił, czy to konieczne. Susannah, która widziała, czuła i myślała, pozostała daleko stąd.

W końcu zatrzymała się, stając na kikutach nóg i obiema rękami przytrzymując się gałęzi krzaków, żeby utrzymać równowagę. Z podniesioną głową spoglądała na czarną toń sadzawki. Rewolwerowiec nie potrafił powiedzieć, czy ten staw był duży, czy mały, gdyż jego brzegi gineły we mgle. A jednak było tu światło, rodzaj słabej i rozproszonej poświaty, która zdawała się sączyć tuż spod powierzchni wody, może emanując z zatopionych i powoli butwiejących pni.

Kobieta stała tam, spoglądając na bagnisty staw jak królowa patrząca na... co takiego? Co właściwie widziała? Salę biesiadną? Tak mu się wydawało. Niemal mógł to zobaczyć. Słyszał szept jej mózgu, a zachowanie i słowa Mii jeszcze to potwier-

dzwały. Sala bankietowa była podjętą przez jej umysł próbą oddzielenia Susannah od Mii, tak jak przez tyle lat oddzielał Odettę od Detty. Mia mogła mieć mnóstwo powodów, aby utrzymywać swoje istnienie w tajemnicy, lecz niewątpliwie najważniejszym z nich było to życie, które nosiła w sobie.

Nazywała go chłopcem, małym.

Nagle i tak niespodziewanie, że zaskoczyła go (choć już też widział), zaczęła polować, przemykając w upiornej ciszy najpierw wzdłuż brzegu stawu, a potem na jego środku. Roland przyglądał się jej z lekką zgrozą i zazdrością, gdy śmigła między trzciniami i kępami tataraku. Teraz zamiast odrywać pijawki i odrzucać, wrzucała je do ust, jak ciasteczka. Mięśnie jej ud falowały. Brązowa skóra lśniła niczym mokry jedwab. Kiedy zawróciła (Roland do tego czasu zdążył się już schować za drzewo i wtopić w cień), zobaczył, jak nabrzmiały jej piersi.

Problem oczywiście znacznie wykraczał poza „chłopca”. Trzeba było także wziąć pod uwagę reakcję Eddiego. *Do diabła, Rolandzie, co się z tobą dzieje? —jakby już go słyszał rewolwerowiec. Przecież to może być nasze dziecko. Chcę powiedzieć, że nie masz pewności, iż nie jest. Tak, tak, wiem, że coś miało ją, kiedy przeciągaliśmy Jake 'a przez przejście, ale to wcale nie musi oznaczać...*

I tak dalej, ple-ple-ple, jakby powiedział sam Eddie. Dlaczego? Dlatego że ją kochał i chciał mieć z nią dziecko. I dlatego że spieranie się było dla Eddiego Deana czymś równie naturalnym jak oddychanie. Cuthbert był taki sam.

W trzcinach naga kobieta błyskawicznie wyciągnęła rękę i złapała sporą żabę. Ścisnęła ją i żaba pękła, a wnętrzności i błyszczący skrzek przeciekły między jej palcami. Łeb też pękł. Kobieta podniosła dłoń do ust i łapczywie zjadła wciąż poruszającą zielonkavo-białymi nogami żabę, po czym zlizwała z palców krew i resztki tkanki. Później udała, że czymś rzuca, i zawołała: *I jak ci się to podoba, śmierdząca Niebieska Kobieto?* chrapliwym, gardłowym głosem, na którego dźwięk Rolanda przeszedł dreszcz. Był to głos Detty Walker. Detty w jej najgorszym i najgroźniejszym nastroju.

Niemal natychmiast podjęła na nowo łowy. Złapała rybkę... potem drugą żabę... a w końcu prawdziwy rarytas: wodnego szczura, który piszcząc, wił się i próbował ją ugryźć. Wydusiła

z niego życie, a później wepchnęła go do ust, całego. W chwilę później pochyliła się i zwróciła niestrawne resztki — zbitą masę sierści i połamanych kości.

Więc pokaż mu to — zakładając, że on i Jake powrócą ze swojej podróży. I powiedz: Wiem, że kobiety w ciąży miewają najdziwniejsze zachcianki, Eddie, ale czy to nie wydaje się trochę zbyt dziwaczne? Spójrz na nią, jak poluje w trzcinach i szlamie, niczym jakiś ludzki aligator. Spójrz na nią i powiedz, że robi to, żeby wykarmić wasze dziecko. Ludzkie dziecko.

Eddie mimo to spierałby się. Roland dobrze o tym wiedział. Natomiast nie miał pojęcia, co mogłaby zrobić Susannah, gdyby powiedział jej, że rośnie w niej coś, co w środku nocy domaga się mięsa. I jakby nie dość było zmartwień, teraz jeszcze doszedł trans. I obcy, którzy podążali za nimi. Ci obcy jednak byli najmniejszym z problemów Rolanda. Prawdę mówiąc, ich obecność była niemal krzepiąca. Nie wiedział, czego chcą, ale domyślał się. Spotykał ich już... wielokrotnie. Zawsze chcieli tego samego.

8

Kobieta, która nazywała się Mia, zaczęła mówić do siebie. Roland znał i tę część rytuału; mimo to przejmował go dreszczem. Spoglądał na nią i z trudem mógł uwierzyć, że wszystkie te głosy wydobywały się z jednego gardła. Pytała siebie, jak jej leci. Odpowiedziała sobie, że fajnie, piknę dzięki. Mówiła o kimś imieniem Bill, a może Buli. Spytała o czyjąś matkę. Pytała kogoś o jakieś miejsce zwane Morehouse, a potem niskim, basowym głosem — niewątpliwie męskim — powiedziała sobie, że nie pójdzie do Morehouse ani gdziekolwiek indziej. Zaśmiała się hałaśliwie, więc musiał to być jakiś żart. Kilkakrotnie przedstawiła się (tak samo jak w inne noce) jako Mia, imię doskonale znane Rolandowi z jego dawnych czasów w Gilead. To imię było prawie święte. Dwukrotnie dygnęła, unosząc niewidzialne spódnice w sposób, na widok którego Rolandowi ścisnęło się serce. Po raz pierwszy widział takie dygnięcie w Mejis, dokąd on i jego przyjaciele, Alain i Cuthbert, zostali wysłani przez swoich ojców.

Dotarła z powrotem na skraj

(sali)

stawu, lśniąca i mokra. Pozostała tam w bezruchu przez pięć, a potem dziesięć minut. Sowa znów wydała swój drwiący okrzyk — *u-hu!* — i jakby w odpowiedzi księżyc wyrzał zza chmur, żeby rozejrzeć się wokół. W tym momencie znikł cień skrywający jakieś zwierzątko. Próbowало umknąć kobiecie, lecz ta pewnym ruchem złapała je i zatopiła zęby w jego drgającym brzuchu. Rozległ się cichy chrzęst, a potem kilka młaśnień. W blasku księżyca przyjrzała się resztkom, trzymając je w ciemnych dłoniach, teraz jeszcze ciemniejszych od krwi. Rozerwała zdobycz na dwoje i pochłonęła ją. Później głośno beknęła i zanurzyła się w wodzie. Tym razem zrobiła to z pluskiem i Roland zrozumiał, że wieczorny bankiet się skończył. Zjadła nawet kilka chrząszczy, z łatwością łapiąc je w powietrzu. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie zje niczego, co mogłoby jej zaszkodzić. Dotychczas nie zaszkodziło.

Podczas gdy robiła pospieszną toaletę, obmywając się z błota i krwi, Roland wycofał się po swoich śladach, ignorując coraz dotkliwsze kłucie w biodrze i poruszając się równie zwinnie jak zawsze. Śledził ją już trzykrotnie, a jeden raz w zupełności mu wystarczyło, żeby przekonać się, jak bardzo wyostrzone są jej zmysły.

Przystanął przy fotelu inwalidzkim, upewniając się, że nie zostawił żadnych śladów. Dostrzegł odcisk buta i wygładził go, a potem jeszcze przykrył kilkoma liśćmi. Tylko kilkoma. Zbyt wiele wyglądałoby podejrzenie. Zrobiwszy to, poszedł w kierunku drogi i obozu, już się nie spiesząc. Ona jeszcze się zatrzyma, żeby oczyścić fotel. Zastanawiał się, co będzie widziała Mia, czyszcząc wózek inwalidzki Susannah? Jakiś mały, mechaniczny powozik? To nie było ważne. Natomiast bardzo istotne wydawało się to, że była sprytna. Gdyby nie obudził się, żeby oddać mocz akurat wtedy, kiedy wyruszyła na swoje pierwsze łowy, zapewne w dalszym ciągu nie miałby pojęcia o jej wyprawach, a przecież był w tym dobry.

Nie tak dobry jak ona, robaku. Jakby nie wystarczył duch Vannaya, teraz jeszcze zjawił się Cort, żeby prawić mu kazania. *Już ci tego dowiodła, no nie?*

Tak. Pokazała mu spryt trzech kobiet. Teraz pojawiła się czwarta.

Kiedy Roland ujrzał przed sobą przerwę między drzewami — drogę, którą wędrowali, i miejsce, gdzie rozbili nocny obóz — dwukrotnie głęboko odetchnął. Te oddechy miały go uspokoić, lecz nie spełniły swego zadania.

Wszystko w ręku Boga, przypomniał sobie. *W naprawdę ważnych sprawach nie masz nic do powiedzenia, Rolandzie.*

Niezbýt to pocieszające, szczególnie dla człowieka pełniącego taką misję, ale jakoś nauczył się z tym żyć.

Zrobił jeszcze jeden głęboki wdech, po czym wyszedł na drogę. Z przeciągłym westchnieniem ulgi wypuścił powietrze, gdy ujrzał Eddiego i Jake'a, leżących przy wygasłym ognisku i pogrążonych we śnie. Prawa ręka Jake'a, ściskająca lewą dłoń Eddiego, kiedy rewolwerowiec wyruszał w ślad za Susannah, teraz obejmowała Eja.

Bumbler otworzył jedno oko i spojrzał na Rolanda. Potem znów je zamknął.

Roland nie słyszał, jak nadchodziła, ale wyczuł ją. Pospiesznie położył się, obrócił na bok i schował twarz w zgięciu łokcia. W tej pozycji patrzył, jak fotel wyjeżdża pomiędzy drzew. Oczyszcza go pospiesznie, lecz dokładnie. Roland nie dostrzegł na nim ani śladu błota. Szprychy błyszcząły w świetle księżyca.

Zaparkowała fotel w tym samym miejscu, gdzie stał poprzednio, zwinnie zsunęła się z niego i ruszyła do śpiącego Eddiego. Roland z lekkim niepokojem obserwował, jak zbliżała się do pogrążonego we śnie męża. *Każdy, kto spotkał Dettę Walker*, pomyślał Roland, *odczuwałby niepokój*. Ponieważ ta kobieta, która mówiła o sobie „matka”, po prostu za bardzo przypominała Dettę.

Leżąc zupełnie nieruchomo, niczym pogrążony w głębokim śnie, Roland przygotował się do ataku.

Ona jednak tylko odgarnęła włosy z twarzy Eddiego i ucałowała jego skroń. Ten czuły gest powiedział rewolwerowcowi wszystko, co chciał wiedzieć. Teraz mógł spokojnie zasnąć. Zamknął oczy i pozwolił, aby pochłonęła go ciemność.

Rozdział 4

NARADA

Gdy Roland obudził się rano, Susannah jeszcze spała, ale Eddie i Jake już wstali. Eddie rozpałił nowe ognisko na spopiełonych resztkach starego. Razem z chłopcem grzał się w jego ciepłe, zajadając to, co nazywał burritos rewolwerowca. Obaj wyglądali na podekscytowanych i zaniepokojonych.

— Rolandzie — rzekł. — Sądzę, że powinniśmy porozmawiać. Zeszłej nocy coś się nam przydarzyło...

— Wiem — przerwał mu Roland. — Widziałem. Wpadliście w trans.

— W trans? — spytał Jake. — Co to takiego?

Roland już chciał im wyjaśnić, ale pokręcił głową.

— Jeśli mamy się naradzić, Eddie, to lepiej obudź Susannah. W ten sposób niczego nie będziemy musieli powtarzać. — Zerknął na południe. — Miejmy nadzieję, że nasi przyjaciele nie przerwą nam, dopóki nie skończymy. To ich nie dotyczy.

A jednak wcale nie był tego pewien.

Patrzył z zainteresowaniem, jak Eddie budzi żonę. Roland był przekonany, lecz nie do końca, że kobietą, która otworzy oczy, będzie Susannah. Była. Usiadła, przeciągnęła się i przysłuchiwała palcami niesforne kędziory.

— W czym problem, kochanie? Pospałabym jeszcze co najmniej z godzinkę.

— Musimy porozmawiać, Suze — rzekł Eddie.

— Ile tylko chcesz, ale jeszcze nie teraz — odparła. — Boże, cała zeszywniałam.

— Zawsze tak jest, kiedy śpi się na ziemi — zauważył Eddie. *Nie wspominając o polowaniu nago na bagnach i moczarach,* pomyślał Roland.

— Nalej mi trochę wody, słodki. — Wyciągnęła złożone dłonie i Eddie napełnił je wodą z jednego z bukłaków. Obmyła sobie policzki i oczy, krzyknęła przy tym cicho i powiedziała: — Zimna! Słabo się starasz!

— Stara! — powtórzył Ej.

— Jeszcze nie — odrzekła bumberowi — ale kilka takich miesięcy jak te ostatnie, a będę. Rolandzie, twoi ludzie ze Świata Pośredniego mają kawę, co?

Roland potwierdził.

— Z plantacji na Łuku Zewnętrzny. Na południu.

— Jeśli natrafimy na jakąś, zaopatrzmy się, dobrze? Obiecay mi to teraz.

— Obiecuje — rzekł Roland.

Tymczasem Susannah przyglądała się Eddiemu.

— Co się dzieje? Nie wyglądacie najlepiej, chłopcy.

— Znów miałem sny — rzekł Eddie.

— Ja też — dodał Jake.

— To nie sny — powiedział rewolwerowiec. — A jak ty spałaś, Susannah?

Popatrzyła na niego z uśmiechem. W jej odpowiedzi Roland nie wyczuł nawet cienia kłamstwa.

— Jak kamień, jak zwykle. Jediną zaletą całej tej podróży jest to, że można zapomnieć o cholernym nembutalu.

— O co chodzi z tym transferem, Rolandzie? — zapytał Eddie.

— Transem — poprawił go rewolwerowiec i wyjaśnił im to najlepiej, jak umiał. Z nauk Vannaya zapamiętał, że Manni długo pościli, aby osiągnąć odpowiedni stan umysłu, a także wiele wędrowali, szukając odpowiednich miejsc, w których mogli wpaść w trans. Odnajdywali je za pomocą magnesów i dużych rur, wbijanych w ziemię.

— Mam wrażenie, że ci faceci doskonale pasowaliby do Parku Igieł — zauważył Eddie.

— Albo Greenwich Village — dodała Susannah.

— Brzmi z hawajska, no nie? — powiedział Jake poważnym, basowym głosem i wszyscy parsknęli śmiechem. Nawet Roland się zaśmiał.

— Trans to inny sposób podróżowania — rzekł Eddie, kiedy śmiech ucichł. — Tak jak drzwi. Albo szklane kule. Mam rację?

Roland już miał potwierdzić, ale zawahał się.

— Myślę, że wszystko to może stanowić różne wersje tej samej rzeczy — powiedział. — A według Vannaya szklane kule... kawałki Tęczy Czarnoksiężnika... ułatwiają zapadnięcie w trans. Czasem aż za bardzo.

— Czy my naprawdę migotaliśmy... j ak żarówki? Jak j arzeniówki? — zapytał Jake

— Tak. Pojawialiście się i znikaliście. Kiedy was nie było, w miejscu waszych ciał pojawiała się słaba poświata, niemal jakby ktoś je dla was rezerwował.

— Jeśli tak, to Bogu dzięki — westchnął Eddie. — Kiedy to się skończyło... kiedy znów usłyszeliśmy te dźwięki i uwolniliśmy się... szczerze mówiąc, nie sądziłem, że uda nam się wrócić.

— Ja też nie — powiedział cicho Jake. Niebo znów zasnuły chmury i w posępnym porannym blasku chłopiec był bardzo blady. — Zgubiłem cię.

— Nigdy w życiu tak się nie ucieszyłem jak wtedy, gdy otworzyłem oczy i zobaczyłem tę drogę — wyznał Eddie. — I ciebie obok mnie, Jake. Nawet miło mi było zobaczyć tego łobuza. — Zerknął na Eja, a potem na Susannah. — A tobie nie przydarzyło się nic takiego, złotko?

— Widzielibyśmy ją — rzekł Jake.

— Gdyby znalazła się w jakimś innym miejscu, nie — sprostował Eddie.

Susannah z zakłopotaną miną potrząsnęła głową.

— Spałam spokojnie przez całą noc. A ty, Rolandzie?

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł Roland. Jak zwykle, zatrzymał to, co wiedział, dla siebie, dopóki instynkt nie podpowie mu, że czas podzielić się tą wiedzą z pozostałymi. A poza tym właściwie nie skłamał. Bacznie spojrzął na Eddiego i Jake'a. — Mamy kłopoty, prawda?

Eddie i Jake popatrzyli po sobie, a potem znów na Rolanda. Eddie westchnął.

— Taak, zapewne.

— Jak poważne? Wiecie?

— Nie potrafię ocenić. A ty, Jake?

Chłopiec potrząsnął głową.

— Mam jednak pewne podejrzenia — ciągnął Eddie — i jeśli się nie mylę, rzeczywiście to problem. Wielki problem.

Przetknął ślinę. Z trudem. Jake dotknął jego dłoni, a rewolwerowiec zauważył, że Eddie szybko i mocno uściśnął rękę chłopca. Roland wyciągnął swoją i ujął w nią dłoń Susannah. Przez moment widział dłoń chwytającą żabę i wyciskającą z niej życie. Zaraz odepchnął od siebie tę wizję. Kobiety, która to zrobiła, nie było tu teraz.

— Opowiedzcie nam — rzekł do Eddiego i Jake'a. — Opowiedzcie nam wszystko. Chętnie wysłuchamy.

— Co do słowa — poparła go Susannah. — Ze względu na pamięć waszych ojców.

2

Opowiedzieli o tym, co przydarzyło im się w Nowym Jorku z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Roland i Susannah słuchali ich, zafascynowani, gdy mówili o tym, jak szli za Jakiem do księgarni i zobaczyli podjeżdżających przed nią Balazara oraz jego goryli.

— Ha! — zawołała Susannah. — Znów ci źli faceci! To niemal jak w powieści Dickensa!

— Kim jest Dickens i co to jest powieść? — zapytał Roland.

— Powieść to długie opowiadanie zamieszczone w książce — odparła. — Dickens napisał ich około tuzina. Był chyba jednym z najlepszych powieściopisarzy. W jego powieściach bohaterowie z wielkiego miasta zwanego Londynem wciąż spotykają ludzi, których poznali w innych miejscach lub dawno temu. W college'u miałam nauczyciela, który tego nie znosił. Twierdził, że w powieściach Dickensa roi się od łatwych zbiegów okoliczności.

— Ten nauczyciel nic nie wiedział o *ka* albo nie wierzył w przeznaczenie — rzekł Roland.

Eddie pokiwał głową.

— Tak, tak, to jest *ka*, jak nic. Niewątpliwie.

— Bardziej niż ten powieściopisarz Dickens interesuje mnie kobieta, która napisała *Charliego Puf-Puf* — zauważył Roland. — Jake, zastanawiam się, czy...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał mu Jake, rozpinając plecak. Z niemal nabożną czcią wyjął podniszczoną książeczkę o przygodach lokomotywy Charlie i jej przyjaciela, maszynisty Boba. Wszyscy spojrzeli na okładkę. Pod obrazkiem widniało nazwisko Beryl Evans.

— Ludzie! — westchnął Eddie. — Chcę powiedzieć, że to niesamowite. Nie chciałem sprowadzać rozmowy na inny tor... — Zamilkł na moment, uświadomiwszy sobie, że właśnie powiedział żart związany z koleją, po czym mówił dalej. Rolanda i tak nie interesowały żarty i gry słowne. — A jednak to dziwne. Ta, którą kupił Jake... ten z siedemdziesiątego siódmego roku... była napisana przez jakąś Claudię Bachman.

— Inez — uściślił Jake. — Było tam też „y”. Małe „y”. Czy ktoś z was wie, co to oznacza?

Nikt nie wiedział, lecz Roland powiedział im, że w Mejis zdarzały się takie nazwiska.

— Sądzę, że był to jakiś rodzaj zaszczytnego przydomka. I nie jestem pewien, czy rzeczywiście ma dla nas znaczenie. Jake, powiedziałeś, że ogłoszenie na wystawie wyglądało trochę inaczej. Pod jakim względem?

— Nie pamiętam. Ale wiesz co? Myślę, że gdybyś znów ranie zahipnotyzował... no wiesz, kulą... mógłbym sobie przypomnieć.

— Może jeszcze to zrobię — rzekł Roland — lecz dziś rano mamy mało czasu.

Znów wróciliśmy do czasu, pomyślał Eddie. Wczoraj jakby nie istniał, a teraz mamy go mało. Przecież wszystko sprowadza się do czasu, czyż nie? Dawne czasy Rolanda, nasze i teraźniejszość. Cała ta groźna teraźniejszość.

— Dlaczego? — zapytała Susannah.

— Nasi przyjaciele — Roland wskazał na południe. — Mam wrażenie, że wkrótce się nam pokażą.

— Czy rzeczywiście są naszymi przyjaciółmi? — spytał Jake.

— To wcale nie jest istotne — odparł rewolwerowiec i ponownie zadał sobie pytanie, czy tak jest naprawdę. — Na razie skupmy myśli naszego *khef* na tej Księgarni Ducha, czy jak się tam ona nazywa. Widzieliście opryszków z Krzywej Wieży, nękających właściciela, tak? Tego Towera czy Torena.

— Mówisz o naciskaniu, prawda? — zapytał Eddie. — Przypieraniu do ściany?

— Tak.

— Jasne, że to robili.

— Jasne — wtrącił Ej. — Robili.

— Założę się, że Tower i Toren oznacza to samo — za-
wyrokowała Susannah. — Zapewne *toren* to po flamandzku
„wieża”. — Zauważyła, że Roland chce coś powiedzieć i po-
wstrzymała go, unosząc dłonie. — W naszej części wszechświata
ludzie często tak robią, Rolandzie... zmieniają cudzoziemskie
nazwisko na... bardziej... cóż... amerykańskie.

— Taak — potwierdził Eddie. — A więc Stempowicz zmie-
nia się w Stamper... Jaków staje się Jacobem... albo...

— Albo Beryl Evans staje się Claudią y Inez Bachman —
wtrącił Jake. Roześmiał się, ale niezbyt wesoło.

Eddie wyjął z ogniska nadpalony patyk i zaczął kreślić nim
w pyłe. Jedna po drugiej duże litery tworzyły słowo: C... L...
A... U.

— Wielki Nochal nawet mówił, że Tower jest Holendrem.
„Skandynaw zawsze zostanie Skandynawem, no nie, szefie?”.

Spojrzał na chłopca, szukając potwierdzenia. Jake skinął
głową, a potem wziął od niego patyk i dokończył: D... I... A.

— Jeśli on jest Holendrem, to wszystko nabiera sensu,
wicie? — powiedziała Susannah. — W swoim czasie do
Holendrów należało pół Manhattanu.

— Chcesz następnego podobieństwa do powieści Dicken-
sa? — zapytał Jake. Nakreślił na ziemi „y” po imieniu CLAU-
DIA, a potem spojrzał na Susannah. — A co z tym nawiedzonym
domem, przez który dostałem się do tego świata?

— Z Rezydencją — mruknął Eddie.

— Rezydencją na Dutch Hill — przypomniał Jake.

— Holenderskie Wzgórze. No tak, racja. Do licha.

— Przejdźmy do sedna — rzekł Roland. — Sądzę, że jest
nim ta umowa, którą widzieliście. I czujeś, że musisz poznać
jej treść, prawda?

Eddie kiwnął głową. Myślał o tym, w jaki sposób chmury
płyną wzdłuż Promienia, cienie układają się wzdłuż niego,
a gałęzie wszystkich drzew zdają się ku niemu wyciągać.
Wszystko służy Promieniowi, powiedział im Roland i koniec-

ność poznania treści dokumentu, który Balazar położył przed Calvinem Towerem, wydawała się takim samym nieodpartym nakazem.

— Powiedz mi, jak brzmiała.

Eddie przygryzł wargę. Nie obawiał się tego tak jak rzeźbienia klucza, który w końcu pozwolił im uratować Jake'a i przeciągnąć go na ten świat, ale prawie tak samo. Ponieważ, podobnie jak tamten klucz, to było ważne. Jeśli o czymś zapomni, te dwa światy mogą się zderzyć.

— Człowieku, nie pamiętam wszystkiego, nie co do słowa...

Roland niecierpliwie machnął ręką.

— W razie potrzeby mogę cię zahipnotyzować i usłyszeć co do słowa.

— Sądzisz, że to takie ważne? — zapytała Susannah.

— Myślę, że to najważniejsze — odparł.

— A jeśli nie zdołasz mnie zahipnotyzować? Jeśli nie jestem dobrym... medium?

— Zostaw to mnie — odrzekł Roland.

— Dziewiętnaście — powiedział nagle Jake. Wszyscy odwrócili się do niego. Spoglądał na litery, które on i Eddie nakreślili na ziemi przy wygasłym ognisku. — Claudia y Inez Bachman. Dziewiętnaście liter.

3

Roland zastanawiał się przez chwilę, po czym przeszedł nad tym do porządku dziennego. Jeśli liczba dziewiętnaście była częścią tej zagadki, dowiedzą się o tym w swoim czasie. Teraz mieli inne problemy.

— Ten dokument — rzekł. — Na razie trzymajmy się tego. Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz.

— No cóż, to była umowa notarialna, z pieczęcią na dole i podpisami.

Eddie zamilkł, gdyż nagle zadał sobie podstawowe pytanie. Roland zapewne rozumiał to — w końcu był kiedyś kimś w rodzaju przedstawiciela prawa — ale nie zaszkodzi się upewnić.

— Słyszałeś o prawnikach, prawda?

Roland odparł sucho i zwięźle:

— Zapominasz, że pochodzę z Gilead, Eddie. Najbardziej wewnętrznej z Baronii Wewnętrznych. Sądzę, że kupców, farmerów i fabrykantów było u nas więcej niż prawników, ale niewiele więcej.

Susannah zaśmiała się.

— Przypomniała mi się pewna scena ze sztuki Szekspira, Rolandzie. Dwie postacie... chyba Falstaff i książę Hal, nie jestem pewna... rozmawiały o tym, co zrobią, kiedy wygrają wojnę i obejmą władzę. 1 jeden z nich mówi: „Najpierw zabijemy wszystkich prawników”.

— Byłby to dobry początek — rzekł Roland i Eddie pomyślał, że powiedział to dość chłodnym tonem. Potem rewolwerowiec znów zwrócił się do niego. — Mów dalej. Jeśli możesz coś dodać, Jake, mów, proszę. I odprężcie się obaj, na pamięć waszych ojców. Na razie chcę tylko usłyszeć zwięźły opis.

Eddie chyba o tym wiedział, a jednak poczuł się lepiej, kiedy usłyszał to z jego ust.

— W porządku. To była UMOWA. Taki napis widniał na samej górze, dużymi literami. Na samym dole dostrzegłem „wyrażam zgodę” i dwa podpisy. Jeden Calvina Towera. Drugi jakiegoś Richarda. Pamiętasz, Jake?

— Sayre — rzekł Jake. — Richard Patrick Sayre. — Zamilkł na moment, poruszając wargami, a potem skinął głową. — Dziewiętnaście liter.

— I co głosiła ta umowa? — zapytał Roland.

— Niezbyt wiele, jeśli chcesz znać prawdę — odparł Eddie. — A przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zasadniczo głosiła, że Tower jest posiadaczem opuszczonej parceli na rogu Czterdziestej Szóstej Ulicy i Drugiej Alei...

— *Tej* opuszczonej parceli — dodał Jake. — *Tej*, na której rosła róża.

— No tak, właśnie. W każdym razie Tower podpisał tę umowę piętnastego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Sombra Corporation zapłaciła mu sto tysięcy. Z tego, co zrozumiałem, on obiecał im nie sprzedawać jej przez rok nikomu innemu, dbać o nią... płacić podatki i tym podobne... i przyznawał Sombra Corporation pierwszeństwo w kwestii

zakupu, jeśli wcześniej nie sprzeda im jej. Czego nie zrobił do czasu, kiedy tam byliśmy, ale umowa była ważna jeszcze półtora miesiąca.

— Pan Tower mówił, że wydał te sto tysięcy — dodał Jake.

— Czy w umowie wyraźnie zaznaczono, że Sombra Corporation ma prawo pierwokupu? — spytała Susannah.

Eddie i Jake zastanowili się, spojrzeli po sobie, a potem pokręcili głowami.

— Na pewno? — upewniała się.

— Nie na sto procent, ale prawie — odrzekł Eddie. — Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

— Nie wiem — odparła. — Taki rodzaj umowy, o jakiej mówisz... Cóż, bez prawa pierwokupu taka umowa wydaje się bez sensu. No bo do czego się sprowadza, jeśli dobrze się nad tym zastanowić? „Ja, Calvin Tower, zgadzam się zastanowić nad sprzedażą mojej parceli. Zapłacicie mi sto tysięcy dolarów, a ja będę myślał o tym przez cały rok. Przynajmniej wtedy, kiedy nie będę pił kawy i grał w szachy z przyjaciółmi. A po upływie roku może wam ją sprzedam, a może nie, albo może odstąpię ją temu, kto da najwięcej. A jeśli wam się to nie podoba, pajace, możecie się wypchać”.

— Zapominasz o czymś — powiedział spokojnie Roland.

— O czym?

— Ta Sombra nie jest zwyczajną przestrzegającą prawa firmą. Zadaj sobie pytanie, czy zwyczajna przestrzegająca prawa firma wynajęłaby kogoś takiego jak Balazar, żeby ją reprezentował.

— Tu masz rację — przyznał Eddie. — Tower był bardzo przestraszony.

— W każdym razie — dodał Jake — to wyjaśnia kilka innych spraw. Na przykład tablicy, którą widziałem na parceli. Ta Sombra Corporation za swoje sto tysięcy uzyskała także prawo do „reklamowania tam projektów”. Doczytałeś się tego, Eddie?

— Chyba tak. Zaraz po paragrafie niezezwalającym Towerowi na wynajem lub dzierżawę swej własności, ze względu na „żywotne interesy” Sombra Corporation, prawda?

— Prawda — potwierdził Jake. — Tablica, którą widziałem na parceli, głosiła... — Zamilkł, zastanawiając się, po czym podniósł rękę i spojrzął między nimi, jakby czytając napis,

który tylko on widział: — MILLS CONSTRUCTION I SOM-BRA REAL ESTATE ASSOCIATES WCIAŻ MODERNIZUJĄ OBLICZE MANHATTANU! A potem: WKRÓTCE W TYM MIEJSCU STANĄ LUKSUSOWE APARTAMENTY ZATOKI ŻÓŁWIA!

— A więc do tego jest im potrzebna — mruknął Eddie. — Pod kondominia. Lecz...

— Jakie kondominia? — przerwała mu Susannah, marszcząc brwi. — To brzmi jak z reklamy nowego stojaka na przyprawy.

— To rodzaj spółdzielczych budynków mieszkalnych — wyjaśnił Eddie. — Zapewne budowano je już w twoich czasach, tylko wtedy nazywano inaczej.

— Taak — nieco szorstko potwierdziła Susannah. — Nazywaliśmy je blokami. A jeśli stały w centrum miasta, zespołami mieszkalnymi.

— To nieważne, ponieważ wcale nie chodziło o kondominia — rzekł Jake. — To nie miało nic wspólnego z budynkami, które rzekomo zamierzali tam postawić. Wszystko to było tylko... no wiecie, jakie to słowo?

— Kamuflażem? — podsunął Roland.
Jake uśmiechnął się.

— No właśnie, kamuflażem! Chodziło o różę, nie budynki! A nie mogli jej dostać, dopóki nie wejdą w posiadanie ziemi, na której ona rośnie. Jestem tego pewien.

— Możesz mieć rację, mówiąc, że te budynki nie mają żadnego znaczenia — powiedziała Susannah — ale Zatoka Żółwia brzmi całkiem znajomo, nieprawdaż? — Popatrzyła na rewolwerowca. — Ta część Manhattanu jest nazywana Zatoką Żółwia, Rolandzie.

Skinął głową bez cienia zdumienia. Żółw był jednym z dwunastu Strażników i niemal na pewno czekał na końcu Promienia, po którym teraz podróżowali.

— Ludzie z Mills Construction mogą nic nie wiedzieć o róży — powiedział Jake — ale założę się, że ci z Sombra Corporation wiedzą.

Położył dłoń na karku Ej a, gdzie futro było tak gęste, że palce chłopca całkiem się w nim skryły.

— Sądzę, że gdzieś w Nowym Jorku, zapewne w jakimś biurowcu, może nad Zatoką Żółwia w East Side, znajdują się

drzwi z napisem SOMBRA CORPORATION. I gdzieś za tymi drzwiami znajdują się inne drzwi. Takie, przez które można dostać się tu.

Przez chwilę siedzieli, zastanawiając się nad tym — myśląc o światach wirujących w śmiertelnej harmonii wokół jednej osi — i nic nie mówiąc.

4

— Oto co moim zdaniem się dzieje — odezwał się Eddie. — Suze, Jake, możecie mi przerywać, jeśli będziecie uważali, że się mylę. Ten cały Cal Tower jest kimś w rodzaju opiekuna róży. Może nie zdaje sobie z tego sprawy, ale musi nim być. On, a przed nim cała jego rodzina. To wyjaśnia nazwisko.

— Tylko że on jest ostatni — rzucił Jake.

— Nie możesz być tego pewien, kochanie — wtrąciła się Susannah.

— Nie nosi obrączki — wyjaśnił chłopiec i Susannah skinęła głową, przynajmniej częściowo przyznając mu rację.

— Może niegdyś było mnóstwo Torenów, którzy posiadali wiele nieruchomości w Nowym Jorku — rzekł Eddie — ale te czasy minęły. Teraz między Sombra Corporation a różą stoi tylko jeden bliski pląjty grubas, który zmienił nazwisko. On jest... Jak nazywa się kogoś, kto kocha książki?

— Bibliofilem — podsunęła Susannah.

— No właśnie, jednym z nich. A Gorge Biondi może nie jest Einsteinem, ale kiedy podsłuchiwaliśmy, powiedział przynajmniej jedną mądrą rzecz. Stwierdził, że księgarnia Towera to nie prawdziwy sklep, ale dziura do wrzucania pieniędzy. To, co tam się dzieje, to dobrze znana historia w świecie, z którego my pochodzimy, Rolandzie. Kiedy moja mama widziała w telewizji jakiegoś bogatego gościa, na przykład Donalda Trumpa...

— Kogo? — zdziwiła się Susannah.

— Nie znasz go, w latach sześćdziesiątych był jeszcze dzieckiem. Nieważne. „Zarękawki od trzech pokoleń”, mawiała matka. „Oto amerykańska droga do sukcesu, chłopcy”. Tak więc mamy tu Towera, który jest kimś w rodzaju Rolanda... ostatnim w swoim fachu. Ód czasu do czasu sprzedaje

jakąś nieruchomości, zarabiając na podatki i czynsz, na pokrycie kart kredytowych i rachunków od lekarza, na zakup towaru. No tak, to tylko moje domysły, ale wydają się bardzo prawdopodobne.

— Owszem — rzekł Jake cichym, zafascynowanym głosem. — Bardzo.

— Może dzieliłeś z nim *khef* — powiedział Roland. — Bardziej prawdopodobne, że go dotknąłeś. Tak jak kiedyś mój przyjaciel Alain. Mów dalej, Eddie.

— I co roku mówi sobie, że ta księgarnia jeszcze przyniesie kasę. Zrobi się modna, jak to czasem bywa w Nowym Jorku. Przestanie przynosić straty i wyjdzie spod kreski. W końcu zostaje mu do sprzedania tylko jedna parcela: numer dwieście dziewięćdziesiąt osiem w Zatoce Żółwia.

— Dwa, dziewięć i osiem to razem dziewiętnaście — dodała Susannah. — Chciałabym wiedzieć, czy to coś oznacza, czy to tylko syndrom niebieskiego samochodu.

— Co to jest syndrom niebieskiego samochodu? — spytał Jake.

— Kiedy kupisz niebieski samochód, wszędzie widzisz niebieskie samochody.

— Nie tu, tu ich nie ma — stwierdził Jake.

— Nie tu — wtrącił Ej i wszyscy spojrzeli na niego. Mijały dni, czasem tygodnie, a Ej tylko od czasu do czasu powtarzał po nich słowa. Nagle mówił coś, co wydawało się wyrażać oryginalną myśl. A jednak trudno było to ocenić. Nie miało się pewności. Nawet Jake nie wiedział na pewno.

Tak jak nie mamy pewności co do liczby dziewiętnaście, pomyślała Susannah i poklepała bumblera po łbie. Ej odpowiedział przyjaznym mrugnięciem.

— Będzie trzymał tę parcelę aż do smutnego końca — rzekł Eddie. — Chcę powiedzieć, że nawet nie jest właścicielem tego budynku, w którym znajduje się księgarnia. Tylko wynajmuje lokal.

Jake przejął pałeczkę.

— Artystyczne Delikatesy Toma i Jerry'ego splajtowały i Tower kazał je zburzyć. Ponieważ ma ochotę sprzedać parcelę. Nieraz wydaje mu się, że byłby szalony, gdyby tego nie zrobił. — Jake zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad myślami,

jakie czasem przychodzą człowiekowi do głowy w środku nocy. Szalone myśli, szalone pomysły i głosy, które nie chcą zamilknąć. — Lecz inna jego część, inny głos...

— Głos Żółwia — wtręciła cicho Susannah.

— Tak, Żółwia lub Promienia — przytaknął Jake. — To zapewne jedno i to samo. I ten głos mówi mu, że powinien za wszelką cenę zatrzymać parcelę. — Spojrzał na Eddiego. — Sądzisz, że on wie o róży? Myślisz, że czasem chodzi tam i patrzy na nią?

— A czy królik sra w lesie? — odparł Eddie. — Jasne, że chodzi. I na pewno wie. W pewien sposób musi wiedzieć. Ponieważ narożna parcela na Manhattanie... Ile coś takiego może być warte, Susannah?

— W moich czasach zapewne milion dolców — odparła. — W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, kto wie? — Wzruszyła ramionami. — Wystarczyłoby, żeby *sai* Tower mógł sprzedawać książki do końca życia, jeśli zachowałby rozsądek, inwestując swój kapitał.

— Wszystko świadczy o tym, że niechętnie sprzedaje parcelę — oświadczył Eddie. — Chcę powiedzieć, że Suzc już zwróciła uwagę na to, jak niewiele Sombra otrzymała za swoje sto kawałków.

— Coś jednak dostali — rzekł Roland. — Coś ważnego.

— Zdobyli przyciótek — powiedział Eddie.

— Masz rację. A teraz, kiedy zbliża się termin wygaśnięcia umowy, posyłają waszą wersję Łowców Trumien. Twardych chłopaków. Jeśli chciwość lub konieczność nic skłoni Towera do sprzedaży ziemi z rosnącą na niej różą, będą próbowali go zastraszyć.

— Taak — przytaknął Jake. I kto stanie po stronie Towera? Może Aaron Deepneau. Może nikt. — Co więc robimy?

— Sami ją kupimy — odparła bez namysłu Susannah. — Oczywiście.

5

Na moment zapadła głucha cisza, a potem Eddie w zadumie pokiwał głową.

— Jasne, czemu nie? Umowa nie gwarantuje Sombra Corporation prawa pierwokupu. Zapewne próbowali je uzyskać, ale Tower się nie zgodził. No jasne, kupimy parcelę. Jak myślisz, ile jelenich skór za nią zażąda? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Jeśli umie się targować, może dorzucimy kilka pamiątek po Dawnych Ludziach. No wiecie, kubków, talerzy i grotów strzał. Te będą wspaniałym tematem do rozmów na przyjęciach.

Susannah spojrzała na niego karcąco.

— W porządku, może to nie jest śmieszne — przyznał Eddie. — Ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy, kochanie. Jesteśmy bandą obdartych włóczęgów, obecnie obozujących w innej rzeczywistości. Chcę powiedzieć, że to już nawet nie jest Świat Pośredni.

— A ponadto — dodał przepaszająco Jake — nie jesteśmy tam, przynajmniej nie w taki sposób, jak po przejściu przez drzwi. Mogą nas wyczuć, lecz zasadniczo jesteśmy niewidzialni.

— Nie wszystko naraz — powiedziała Susannah. — Jeśli mowa o pieniądzach, to mam ich mnóstwo. Oczywiście gdybyśmy tylko zdołali się do nich dostać.

— Ile? — zapytał Jake. — Wiem, że to niegrzecznie pytać, a moja mama zemdłałaby, gdyby usłyszała, że kogoś o to pytam, ale...

— Mamy zbyt wiele zmartwień, żeby przejmować się takimi konwenansami — odparła Susannah. — Prawdę mówiąc, słodziki, sama nie wiem. Mój ojciec wymyślił kilka nowych sposobów plombowania zębów i dobrze je wykorzystał. Założył firmę Holmes Dental Industries i sam zajmował się jej finansami aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku.

— W tym roku Mord wpełznął cię pod skład metra — przypomniał Eddie.

Kiwnęła głową.

— To się zdarzyło w sierpniu. Mniej więcej sześć tygodni później mój ojciec miał atak serca... pierwszy z wielu. Częściowo zapewne w wyniku stresu wywołanego tym, co mi się przydarzyło, lecz nie tylko z mojej winy. Po prostu za bardzo się eksploatował.

— Ty nie ponosisz żadnej winy — rzekł Eddie. — Przecież nie skoczyłaś pod ten skład metra, Suze.

— Wiem. Tylko że to, co czujesz i jak długo to czujesz, nie

zawsze ma coś wspólnego z prawdą. Mamy już nie było, więc to ja powinnam się nim zająć, a ponieważ sobie z tym nie radziłam, zawsze miałam wrażenie, że to moja wina.

— Było, minęło — mruknął bez szczególnego współczucia Roland.

— Dzięki, słodki — powiedziała sucho Susannah. — Potrafisz ustawić sprawy we właściwej perspektywie. W każdym razie po pierwszym ataku serca ojciec przekazał finansowe sprawy firmy swojemu księgowemu, staremu przyjacielowi, Mosesowi Carverowi. Kiedy ojciec zmarł, stary Mose zajął się wszystkim. Oceniam, że gdy Roland ściągnął mnie z Nowego Jorku na to uroczne zadupie, byłam warta około ośmiu lub dziesięciu milionów dolarów. Czy to by wystarczyło na parcelę pana Towera, zakładając oczywiście, że zechciałby ją nam sprzedać?

— Zapewne sprzedałby ją za jelenią skórę, jeśli Eddie ma rację co do Promienia — zauważył Roland. — Wierzę, że część umysłu i duszy pana Towera... ka, które kazało mu tak długo opiekować się parcelą... czekała na nas.

— Na przybycie kawalerii — powiedział z krzywym uśmiechem Eddie. — Jak Fort Ord podczas ostatnich dziesięciu minut filmu Johna Wayne'a.

Roland spojrzął na niego bez cienia rozbawienia.

— Czekaj na Białych.

Susannah podniosła brązowe dłonie na wysokość twarzy i popatrzyła na nie.

— Zatem podejrzewam, że nie czeka na mnie — stwierdziła.

— Owszem — powiedział Roland. — Czekaj.

I przez chwilę zastanawiał się, jakiej barwy skórę ma ta czwarta. Mia.

— Potrzebne nam drzwi — oznajmił Jake.

— Potrzebujemy co najmniej dwojga — dodał Eddie. — Oczywiście jedno będą potrzebne, aby załatwić sprawę z Towerem. Zanim jednak to zrobimy, musimy wrócić do rzeczywistości Susannah. W dodatku jak najbliżej tego czasu, z którego zabrał ją Roland. Byłoby kiepsko, gdybyśmy wrócili do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, skontaktowali się z tym Carverem i odkryli, że Odetta Holmes została sądownie uznana za zmarłą w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym

pierwszym. A cały jej majątek został przekazany krewnym w Green Bay lub San Berdoo.

— Albo wrócić do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku i odkryć, że pan Carver znikł — zauważył Jake. — Przełał wszystkie aktywa na swoje konto i przeszedł na emeryturę na Costa del Sol.

Susannah spojrzała na niego z zaszokowaną miną, która w innych okolicznościach byłaby zabawna.

— Pop Mose nigdy nie zrobiłby czegoś takiego! Przecież jest moim chrzestnym!

Jake stropił się.

— Przepraszam. Czytam mnóstwo powieści kryminalnych... Agathy Christie, Rexa Stouta, Eda McBaina... i takie rzeczy wciągają się w nich zdarzają.

— Ponadto — dodał Eddie — duże pieniądze potrafią robić z ludźmi dziwne rzeczy.

Obrzuciła go chłodnym i przenikliwym spojrzeniem, które dziwnie do niej nie pasowało. Roland, który wiedział coś, o czym Eddie i Jake nie mieli pojęcia, uznał to za spojrzenie łowczyni żab.

— A skąd ty o tym wiesz? — zapytała. I niemal natychmiast dodała: — Och przepraszam, kochanie. To było paskudne.

— W porządku — powiedział Eddie. Uśmiechnął się. Ten uśmiech był jednak trochę wymuszony i niepewny. — Nadmiar emocji.

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i ucisnął. Odpowiedziała tym samym. Uśmiech na ustach Eddiego poszerzył się i zaczął wyglądać naturalnie.

— Ja po prostu znam Mosesa Carvera. Jest uczciwy do szpiku kości.

Eddie podniósł rękę, nie tyle dając jej znać, że w to wierzy, ile nie chcąc rozwijać tego tematu.

— Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem — rzekł Roland. — Wszystko zależy od tego, czy zdołamy powrócić do Nowego Jorku nie w jednym punkcie niegdyś, lecz dwóch.

Zapadła krótka cisza, w której przetrawiali to, a potem Eddie skinął głową.

— Racja. Na początek do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Susannah jest nieobecna od kilku miesięcy,

lecz jeszcze nikt nie stracił nadziei na jej powrót... ani nic takiego. Jeśli wróci, wszyscy temu przyklasną. Powrót córki marnotrawnej. Zdobędziemy forszę, chociaż to może trochę potrwać...

— Trudno będzie przekonać Popa Mose'a, żeby wypuścił ją z ręki — powiedziała Susannah. — On po prostu nie znosi podejmowania pieniędzy z banku. I jestem pewna, że w głębi duszy wciąż uważa mnie za ośmioletnie dziecko.

— Ale prawnie te pieniądze są twoje, tak? — zapytał Eddie. Roland widział, że zachowywał ostrożność. Jeszcze nie doszedł do siebie po żarcie: „A skąd ty o tym wiesz?” i spojrzeniu, które towarzyszyło tym słowom. — Chcę powiedzieć, że on nie może powstrzymać cię od ich podjęcia. Mam rację?

— Nie, kochanie — odparła. — Mój ojciec i Pop Mose ustanowili fundusz powierniczy, ale stracił ważność w pięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy skończyłam dwadzieścia pięć lat. — Popatrzyła na niego ciemnymi oczami, zdumiewająco pięknymi i niezglębionymi. — No i masz. Teraz już nie będziesz mnie męczył o mój wiek, no nie? Jeśli umiesz odejmować, sam możesz sobie go obliczyć.

— To nieistotne — odparł Eddie. — Czas jest jak twarz w wodzie.

Rolanda przeszły ciarki. Gdzieś — być może na tym płonącym polu róż barwy krwi, znajdującym się tak daleko stąd — ktoś właśnie przeszedł po jego grobie.

6

— To musi być gotówka — oznajmił Jake suchym, rzeczowym tonem.

— Hm? — Eddie z trudem oderwał wzrok od Susannah.

— Gotówka — powtórzył chłopiec. — Nikt nie zrealizuje czeku, nawet potwierdzonego przez bank, sprzed trzynastu lat. Szczególnie czeku wystawionego na kilka milionów dolarów.

— A ty skąd o tym wiesz, złotko? — zapytała Susannah.

Jake wzruszył ramionami. Czy mu się to podobało, czy nie (zazwyczaj nie), był synem Elmera Chambersa. A Elmer Chambers nie był jednym z najzaciejszych facetów na świecie —

Roland nigdy nie uznałby go za część Bieli — ale był mistrzem tego, co zarządy sieci medialnych nazywały „łowami”. *Wielki Łowca Trumien w TV-Landzie*, pomyślał Jake. Może to było trochę niesprawiedliwe, ale zdecydowanie można było rzec, iż Elmer Chambers znał wszystkie paskudne sztuczki. A on, Jake, był jego synem. Nie zapomniał oblicza swego ojca, chociaż czasem wolałby go nie pamiętać.

— Gotówka, jak najbardziej — odezwał się Eddie, przerywając ciszę. — Taka transakcja musi być opłacona gotówką. Jeśli to będzie czek, zrealizujemy go w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, a nie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym. Wepchniemy forsy do sportowej torby... czy _ w sześćdziesiątym czwartym roku były sportowe torby, Suze? Nieważne. To nie ma znaczenia. Upchniemy ją w worku i zabierzemy do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Nie musi to być ten sam dzień, w którym Jake kupił *Charliego Puf-Pufi* książkę z zagadkami, ale mniej więcej w tym czasie.

— I nie po piętnastym lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku — przypomniał Jake.

— Boże, nie — przyznał Eddie. — Prawdopodobnie okaże się, że Balazar już nakłonił Towera do sprzedaży, a tu zjawimy się my, z workiem forsy, pokazując wystawiony palec i szerokie uśmiechy.

Na chwilę zapadła cisza, w której być może przetrawiali ten ponury obraz, po czym Roland rzekł:

— Przedstawiasz to jak najprostszą rzecz pod słońcem, i czemu nie? Dla was koncepcja drzwi pomiędzy tym światem a waszym światem podatków, astyny i fotografii wydaje się czymś równie zwyczajnym jak dla mnie jazda na mule. Lub przypasywanie sześciostrzałowca. I uważacie tak nie bez powodu. Każde z was już przechodziło przez takie drzwi. Eddie nawet w obie strony... do tego świata i z powrotem.

— Muszę ci powiedzieć, że powrót do Nowego Jorku wcale nie był zabawny — powiedział Eddie. — Za dużo ołowiu w powietrzu.

Nie wspominając już o odrąbanej głowie mojego brata, toczącej się po podłodze gabinetu Balazara.

— Tak samo jak przejście przez drzwi na Dutch Hill — dodał Jake.

Roland skinął głową, przyjmując to do wiadomości.

— Zawsze akceptowałem to, co mi powiedziałeś, kiedy znałem cię po raz pierwszy, Jake... kiedy umierałeś.

Jake spuścił oczy, pobał i nie odpowiedział. Nie lubił wspominać tego wydarzenia (na szczęście owianego mgłą niepamięci) i wiedział, że Roland też. / *dobrze!* — pomyślał. *Nie powinieneś pamiętać! Puścisz mnie! Pozwolisz mi umrzeć!*

— Powiedziałeś, że są jeszcze inne światy — rzekł Roland — i naprawdę są. Nowy Jork ze swym mnóstwem „niegdys” jest tylko jednym z wielu. Fakt, że wracamy do niego raz po raz, musi mieć coś wspólnego z różą. Nie wątpię w to, tak jak w jakiś niezrozumiały sposób nie wątpię, że ta róża jest Mroczną Wieżą. Albo...

— Albo następnymi drzwiami — mruknęła Susannah. — Prowadzącymi do Mrocznej Wieży.

Roland przytaknął.

— Ta myśl też nieraz przychodziła mi do głowy. W każdym razie Manni wiedzieli o istnieniu światów i w jakimś stopniu poświęcili im swoje życie. Oni wierzą, że trans jest najświętszym z rytuałów i największym zaszczytem. Jak wam już mówiłem, mój ojciec i jego przyjaciele od dawna wiedzieli o kryształowych kulach. Domyśliliśmy się już, że Tęcza Czarnoksiężnika, trans i te magiczne drzwi to jedno i to samo.

— Do czego zmierzasz, kochasiu? — zapytała Susannah.

— Ja tylko przypominam wam, że długo wędrowałem — odparł Roland. — Ze względu na zmiany czasu... rozmiękczenie czasu, którego skutki z pewnością odczuliście sami... poszukuję Mrocznej Wieży od tysiąca lat, czasem przelatując przez całe pokolenia, jak mewa z grzywy jednej fali na drugą, zaledwie mocząc sobie przy tym nogi w morskiej pianie. Przez cały ten czas nigdy nie natrafiłem na drzwi między światami, dopóki nie znalazłem ich na plaży na brzegu Morza Zachodniego. Nie miałem pojęcia, do czego służą, chociaż mógłbym opowiedzieć wam co nieco o transie i łukach Tęczy. — Spojrzał na nich poważnie. — Mówicie o tym tak, jakby w moim świecie było tyle magicznych drzwi, ile w waszym jest... — zastanowił się i dokończył: — samolotów lub autobusów. Tak nie jest.

— Miejsce, w którym się znaleźliśmy, jest niepodobne do żadnego z tych, w których byłeś, Rolandzie — przypomniała

mu Susannah. Delikatnie dotknęła jego mocno opalonej ręki. — Już nie jesteśmy w twoim świecie. Sam tak powiedziałeś, kiedy znaleźliśmy się w Topece i Blaine o mało nie eksplodował.

— Racj a—przyznał Roland. — Chciałem tylko wam przypomnieć, że takie drzwi mogą występować znacznie rzadziej, niż sądzicie. A mówicie nie o jednych, lecz dwojgu drzwi. 1 o przechodzeniu do wybranego okresu, jakbyście celowali z rewolweru.

Nie będę celował dłonią, pomyślał Eddie i lekko się wzdrygnął.

— Kiedy ujmujesz to w taki sposób, Rolandzie, to rzeczywiście brzmi trochę głupio.

— No to co robimy? — zapytał Jake.

— Może ja będę w stanie wam pomóc — rozległ się głos. Wszyscy się odwrócili. Tylko Roland nie był zaskoczony.

W trakcie rozmowy słyszał kroki nadchodzącego. Mimo to rewolwerowiec spojrział na niego z zaciekawieniem. Wystarczył mu jeden rzut oka na człowieka stojącego dwadzieścia stóp od drogi, żeby stwierdzić, że przybysz pochodzi ze świata jego nowych przyjaciół albo bardzo podobnego.

— Kim jesteś? — zapytał Eddie.

— Gdzie twoi towarzysze? — spytała Susannah.

— Skąd przybywasz? — zapytał Jake z oczami roziskrzonymi ciekawością.

Przybysz nosił rozpięty czarny płaszcz i ciemną koszulę z karbowanym kołnierzem. Włosy miał długie i siwe, sterczące na wszystkie strony, jakby zjeżone ze strachu. Na czole miał bliznę w kształcie litery T.

— Moi towarzysze czekają kawałek drogi stąd — odparł i niedbałym gestem wskazał kciukiem na las za swoimi plecami. — Teraz nazywam moim domem Calla Bryn Sturgis. Przedtem było nim Detroit w stanie Michigan, gdzie pracowałem w schronisku dla bezdomnych, gotując zupki i prowadząc spotkania Anonimowych Alkoholików. Znam się dobrze na tej pracy. Jeszcze przedtem, chociaż niedługo, pracowałem w Topece, w stanie Kansas.

Z lekkim rozbawieniem zauważył, że troje młodych drgnęło na te słowa.

— Wcześniej w Nowym Jorku. A jeszcze wcześniej w miasteczku Salem w stanie Maine.

— Jesteś z naszego świata — powiedział z westchnieniem Eddie. — Boże święty, naprawdę jesteś z naszego świata!

— Tak, chyba tak — odparł mężczyzna w karbowanym kołnierzyku. — Nazywam się Donald Callahan.

— I jesteś kapłanem — dodała Susannah. Powiodła wzrokiem od krzyżyka na jego piersi... małego i niepozornego, ale błyszczącego złotem... do większego i szerszego, znaczącego blizną jego czoło.

Callahan potrząsnął głową.

— Już nie. Kiedyś. Może pewnego dnia znów będę, jeśli Bóg pozwoli, ale nie teraz. Teraz jestem tylko jedną z Jego owieczek. Mogę spytać... skąd jesteście?

— Z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego — powiedziała Susannah.

— Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego — rzekł Jake.

— Z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego — odparł Eddie.

Callahanowi rozbłysły oczy, gdy to usłyszał.

— Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem. A ja przybyłem tu z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, według ówczesnego kalendarza. Zatem powiedz mi coś, młodzieńcze, coś bardzo ważnego. Czy Red Sox zdobyli puchar, zanim się tu przeniosteś?

Eddie potrząsnął głową i parsknął śmiechem. Ten dźwięk wyrażał zdumienie i radość.

— Nie, człowieku, przykro mi. W ubiegłym roku byli o krok od zwycięstwa... na stadionie Shea, w meczu z Metsami... ale ten Bill Buckner, który grał na pierwszej bazie, przepuścił łatwe podanie. Nie mógł tego przeboleć. Chodź i usiądź tu przy mnie, co? Nie mamy kawy, ale Roland... to ten sterany facet po mojej prawej... parzy doskonałą herbatę z kory.

Callahan spojrział na Rolanda, a potem zrobił coś zdumiewającego: przyklęknął, pochylił głowę i przycisnął pięść do okaleczonego czoła.

— *Hile*, rewolwerowcze, niechaj będzie to dobre spotkanie.

— *Mile* — odparł Roland. — Podejź tu, zacny przybyszu i powiedz, czego chcesz.

Callahan spojrział na niego ze zdziwieniem. Roland odpowiedział spokojnym spojrzeniem i skinął głową.

— Dobrze spotkanie czy złe, być może znajdziesz to, czego szukasz.

— I ty także — rzekł Callahan.

— Zatem podejź tu — powtórzył Roland. — Podejź i przyłącz się do narady.

8

— Zanim zaczniemy, mogę o coś spytać?—powiedział Eddie. Obok niego Roland rozpałił już ognisko i przetrząsał bagaże w poszukiwaniu glinianego garneczka — odnalezionego w osadzie Dawnych Ludzi — w którym parzył herbatę.

— Oczywiście, młodzieńcze.

— Nazywa się pan Donald Callahan.

— Tak.

— A jak ma pan na drugie imię?

Callahan lekko odchylił głowę na bok i uniósł jedną brew, a potem uśmiechnął się.

— Frank. Po moim dziadku. Czy to ma jakieś znaczenie?

Eddie, Susannah i Jake spojrzeli po sobie, rozumiejąc się bez słów: Donald Frank Callahan. Dziewiętnaście liter.

— Najwidoczniej ma — domyślił się Callahan.

— Może tak — rzekł Roland — a może nie.

Nalał wodę do garneczka, zręcznie manewrując skórzanym bukłakiem.

— Wygląda na to, że miałeś wypadek — rzekł Callahan, patrząc na prawą dłoń Rolanda.

— Jakoś sobie radzę — odparł rewolwerowiec.

— Można by dodać, że z pomocą przyjaciół — powiedział poważnie Jake.

Callahan skinął głową, nie rozumiejąc tego i wiedząc, że nie zdoła: byli *ka-tet*. Mógł nie znać tego określenia, ale słowo nie miało znaczenia. Poznawał to po sposobie, w jaki patrzyli na siebie i poruszali się.

— Wiecie, jak się nazywam — rzekł Callahan. — Czy mógłbym poznać wasze nazwiska?

Przedstawili się: Eddie i Susannah Deanowie z Nowego Jorku, Jake Chambers z Nowego Jorku, Ej ze Świata Pośredniego i Roland Deschain z Gilead. Callahan kłaniał się każdemu z nich po kolei, przyciskając pięść do czoła.

— A do was przyszedł Callahan z Lot — powiedział, kiedy się przedstawili. — Przynajmniej kiedyś tak mnie zwano. Teraz nazywam się Starym Człowiekiem. Pod tym imieniem jestem znany w Calla Bryn Sturgis.

— Czy twoi przyjaciele nie dołączą do nas? — zapytał Roland. — Nie mamy nic do jedzenia, ale możemy ich poczęstować herbatą.

— Może na razie nie.

— Aha — rzekł Roland i kiwnął głową, jakby zrozumiał.

— Poza tym jesteśmy najedzeni — mówił Callahan. — Mielśmy dobry rok w Calla... przynajmniej do tej pory... i chętnie podzielimy się z wami tym, co mamy. — Zamilkł, jakby pomyślał, że trochę się zagalopował, i dodał: — Może. Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

— Jeśli — powtórzył Roland. — Mój stary nauczyciel zwykł mawiać, że to jedyne tysiącliterowe słowo.

Callahan roześmiał się.

— Nieźle! W każdym razie mamy chyba więcej żywności niż wy. Mamy też świeże drożdżowe kule, które znalazła Zalia, ale podejrzewam, że wy również. Mówiła, że krzak, chociaż duży, wyglądał na oberwany.

— Jake je znalazł — wyjaśnił Roland.

— Właściwie Ej — sprostował Jake i pogłaskał bumbera po łbie. — Zdaje się, że to pies na drożdżówki.

— Od jak dawna wiecie o naszej obecności? — zapytał Callahan.

— Od dwóch dni.

Callahan jednocześnie wyglądał na ubawionego i zaskoczonego.

— Innymi słowy, od kiedy za wami idziemy. A tak staraliśmy się robić to niepostrzeżenie.

— Gdybyście nie potrzebowali zręczniejszych od siebie, nie przyslibyście do nas — zauważył Roland.

Callahan westchnął.

— Prawdę mówisz, dzięki ci.

— Przychodzicie po pomoc i wsparcie? — zapytał Roland. W jego głosie słychać było tylko umiarkowane zaciekawienie, lecz Eddiego Deana przeszedł dreszcz. Te słowa jakby zawisły w powietrzu, pełne głębokiego znaczenia. I nie on jeden odniósł takie wrażenie. Susannah chwyciła go za prawą rękę. Po chwili Jake ujął jego lewą dłoń.

— To nie do mnie należy.

Callahan nagle jak gdyby stracił pewność siebie i zaczął się wahać. Może bać.

— Czy wiesz, że przychodzisz do potomków Elda? — zapytał Roland tym samym, dziwnie łagodnym głosem. Wyciągnął rękę, wskazując Eddiego, Susannah i Jake'a. Nawet Eja. — Gdyż oni są moi, bez wątplenia. A ja jestem ich. Jesteśmy kulą i toczymy się. Ty wiesz, kim jesteśmy.

— Jesteście? — spytał Callahan. — Wszyscy?

— Rolandzie, w co ty nas pakujesz? — zapytała Susannah.

— Nic nie trwa wiecznie, nikt nie jest zupełnie wolny — rzekł. — Nie decyduję za was ani wy za mnie. Przynajmniej na razie. Oni jeszcze nie poprosili.

Zrobią to, pomyślał Eddie. Pomijając sny o róży i wizje widziane w transie, nie uważał się za jasnowidza, ale nie trzeba było mieć parapsychoicznych zdolności, aby przewidzieć, że oni — ci ludzie, których przedstawicielem był Callahan — zwrócą się do nich z prośbą. Gdzieś kasztany wpadły do ognia i Roland miał je wyjąć.

Nie sam.

Pomyliłeś się, facet, pomyślał Eddie. *Zupełnie rozumiała pomyłka, ale jednak pomyłka. Nie jesteśmy kawalerią. Ani oddziałem straży obywatelskiej. Ani rewolwerowcami. Jesteśmy po prostu trzema zagubionymi nowojorczykami, którzy...*

A jednak nie. Nie. Od czasu River Crossing, gdzie starzy ludzie klękali na ulicy przed Rolandem, Eddie wiedział, kim są. Do licha, wiedział to, od kiedy w lasach (które w myślach wciąż nazywał Lasami Shardika) Roland nauczył ich celować okiem, strzelać umysłem i zabijać sercem. Nie byli trojgiem ani czworgiem. Byli jednością. To straszne, że Roland zdołał ich tak zmienić, uformować. Był trucizną i ucałował ich zatrutymi

ustami. Zrobił z nich rewolwerowców, i czy Eddie naprawdę sądził, że w tym niemal opustoszałym i wypalonym świecie nie było już nic do roboty dla spadkobierców Arthura Elda? Myślał, że po prostu podrepczą sobie ścieżką Promienia, aż dotrą do Mrocznej Wieży Rolanda i naprawią to, co się zepsuło? No cóż, powinien wiedzieć lepiej.

Jake powiedział to, co Eddie pomyślał, i nie spodobał mu się błysk podniecenia w oczach chłopca. Zapewne mnóstwo chłopców szło na różne wojny z tym samym podekscytowanym wyrazem twarzy, mówiącym „skopimy im tyłki”. Biedak nie wiedział, że został zatruty, a więc był głupi, gdyż powinien był się zorientować.

— Zrobią to — rzekł. — Prawda, panie Callahan? Poproszą.

— Nie wiem — odparł Callahan. — Musicie ich przekonać...

Zamilkł, patrząc na Rolanda. Ten potrząsał głową.

— To nie tak — powiedział rewolwerowiec. — Ponieważ nie jesteś ze Świata Pośredniego, możesz o tym nie wiedzieć, ale to nie tak. My nikogo nie przekonujemy. Nasza specjalność to olów.

Callahan głośno westchnął, a potem kiwnął głową.

— Mam taką książkę. Nosi tytuł *Opowieści arturiańskie*.

Rolandowi rozbłyły oczy.

— Ach tak? Naprawdę ją masz? Chciałbym zobaczyć tę książkę. Bardzo bym chciał.

— Może zobaczysz — powiedział Callahan. — Zawarte w niej opowiadania niewiele przypominają opowieści o rycarzach Okrągłego Stołu, które czytałem jako chłopiec, ale... — Pokręcił głową. — Poprzestańmy na tym, że rozumiem, co chcesz powiedzieć. Są trzy pytania, mam rację? A zadaliście mi dopiero jedno.

— Tak, trzy — potwierdził Roland. — Trzy to potężna liczba.

Eddie pomyślał: *Jeśli potrzebna ci naprawdę potężna liczba, Rolandzie, stary druhu, spróbuj posługiwać się dziewiętnastką.*

— I na wszystkie trzy odpowiedź musi być twierdząca.

Roland skinął głową.

— Jeśli będzie, nie zadasz więcej pytań. Może jesteśmy bezdomnymi wędrowcami, *sai* Callahan, ale nie można nas do niczego zmusić. Postaraj się, żeby twoi ludzie — ruchem głowy wskazał las na południu — to zrozumieli.

— Rewolwerowcze...

— Mów mi Rolandzie. Między nami pokój.

— W porządku, Rolandzie. Wysłuchaj mnie dobrze, błagam. (Gdyż tak mówimy w Calla). Tych, którzy przyszedli do was, jest tylko pół tuzina. Sześcioro nie może decydować. Jedyne cała społeczność Calla Bryn Sturgis może podjąć decyzję.

— Demokracja — rzekł Roland. Zsunął kapelusz na tył głowy, potarł czoło i westchnął.

— Jeśli jednak nasza szóstka się zgodzi, szczególnie *sai* Overholser... — Przerwał i czujnie spojrzął na Jake'a. — Co? Czyżbym powiedział coś niewłaściwego?

Jake przecząco pokręcił głową i dał znak Callahanowi, żeby mówił dalej.

— Jeśli nasza szóstka się zgodzi, to właściwie umowa stoi. Eddie przymknął oczy z zachwytu.

— Powtórz to, kolego.

Callahan spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— Co?

— Umowa stoi. Albo inny taki zwrot z twojego gdzieś i kiedyś. — Zamilkł na moment, po czym dodał: — Z naszej strony wielkiego *ka*.

Callahan rozważył to i uśmiechnął się.

— Nie wiedziałem, czego się złapać — rzekł. — Odbijała mi palma, dymiała mi czasa, odskakiwał mi dekiel, bujałem w obłokach, myślałem o niebieskich migdałach. Coś w tym stylu?

Roland słuchał tego ze zdziwieniem (może nawet lekkim znudzeniem), ale twarz Eddiego Deana wyrażała nieklamany zachwyt. Susannah i Jake wyglądali na lekko rozbawionych, zaskoczonych i trochę zasmuconych.

— Nawijaj dalej, kolego — rzekł ochryłym głosem Eddie, popierając słowa zachęcającym gestem obu rąk. Wydawało się, że powiedział to przez ściśnięte gardło. — Nawijaj dalej.

— Może innym razem — odparł łagodnie Callahan. — Kiedyś siądziemy sobie i porozmawiamy o dawnych miejscach i wyrażeniach. Na przykład o baseballu. Teraz jednak mamy mało czasu.

— Być może mniej, niż przypuszczasz — powiedział Roland. — Czego od nas oczekujecie, *sai* Callahan? Musisz mi odpowiedzieć na to pytanie, gdyż dałem ci jasno do zrozumie-

nia, że nie jesteśmy włóczęgami, których twoi przyjaciele mogą przesłuchiwać i wynająć lub nie, jak to robią z robotnikami lub poganiaczami byłą.

— Na razie proszę tylko, żebyście zostali tu i pozwolili mi przyprowadzić moich towarzyszy — odparł Callahan. — Jest tam Tian Jaffords, który właściwie namówił nas na tę wyprawę, i jego żona Zalia. Jest Overholser, którego trzeba dopiero przekonać, że jesteście nam potrzebni.

— My nie będziemy przekonywać ani jego, ani nikogo — rzekł Roland.

— Rozumiem — zapewnił pospiesznie Callahan. — Jasno dałeś to do zrozumienia. Jest też Ben Slightman i jego syn, Benny. Młodszy Ben to dziwny przypadek. Jego siostra umarła przed czterema laty, kiedy oboje byli dziesięciolatkami. Nikt nie wie, czy w ten sposób Młodszy Ben jest bliźniakiem, czy jedyakiem. — Urwał. — Zboczyłem z tematu. Przepraszam.

Roland machnął ręką na znak, że wszystko w porządku.

— Denerwuję się w waszej obecności, wysłuchajcie mnie, błagam.

— Nie musisz nas o nic błagać, kochasiu — powiedziała Susannah.

Callahan uśmiechnął się.

— To tylko takie nasze powiedzenie. W Calla, spotykając kogoś, można rzec: „Błagam, powiedz, jak się masz od stóp do głów?”. A w odpowiedzi usłyszeć: „Świetnie, jeszcze nie zardzewiałem, dziękować bogom, *sai*”. Nie znacze tego?

Potrząsnęli głowami. I chociaż te słowa były znajome, składały się na wyrażenia podkreślające fakt, że przybyli do miejsca, gdzie mowa była dziwna, a zwyczajnie zapewne jeszcze dziwniejsze.

— Chodzi o to — ciągnął Callahan — że pogranicze jest terroryzowane przez stwory zwane Wilkami, które raz w każdym pokoleniu przybywają z Jądra Gromu i porywają dzieci. Wiele można by o tym mówić, ale na tym polega sedno sprawy. Tian Jaffords, który może stracić niejedno dziecko, lecz dwoje, powiedział dość tego, czas stanąć i walczyć. Inni... tacy jak Overholser... mówią, że to byłoby katastrofalne. Myślę, że (Overholser i jemu podobni) przeforsowaliby swoje, lecz wasze przybycie zmieniło sytuację. — Nachylił się i rzekł z przekonaniem: — Wayne Cwerholser nie jest złym człowiekiem, tylko

przestraszonym. Jest najbogatszym farmerem w Calla, więc ma do stracenia więcej niż inni. Jeśli jednak uda się go przekonać, że możemy odpędzić Wilki... że naprawdę możemy zwyciężyć... wierzę, że on również będzie walczył.

— Mówiłem ci... — zaczął Roland.

— Wy nie przekonujecie — przerwał mu Callahan. — Tak, rozumiem. Jeśli jednak zobaczą was, porozmawiają z wami i sami się przekonają...?

Roland wzruszył ramionami.

— Jeśli Bóg da, będzie woda.
Callahan skinął głową.

— Tutaj też znamy to powiedzenie. Mogę przejść do innej istotnej kwestii?

Roland lekko rozłożył ręce, dając Callahanowi znak, że może mówić, o czym chce.

Przez chwilę mężczyzna z blizną na czole milczał. Kiedy znów się odezwał, mówił ściszym głosem. Eddie musiał się nachylić, żeby go dosłyszeć.

— Mam coś. Coś, co chcecie mieć. Czego możecie potrzebować. Myślę, że to już was dosięgnęło.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytał Roland.

Callahan oblizał wargi, a potem powiedział tylko jedno słowo:

— Trans.

9

— Co z nim? Co z transem?

— Nie wpadliście weń? — Callahan na moment stracił pewność siebie. — Nikt z was?

— Powiedzmy, że wpadliśmy — odparł Roland. — Jakie to ma znaczenie dla ciebie i problemu, który macie w tej wiosce?

Callahan westchnął. Mimo że był dopiero wczesny ranek, wyglądał na zmęczonego.

— To trudniejsze, niż sądziłem — rzekł — i to o wiele. Jesteście znacznie... Jak to powiedzieć? Znacznie powściągliwsi, niż oczekiwałem.

— Spodziewałeś się bandy dobrych do siodła kowbojów o szybkich rękach i pustych głowach, czy tak? — zapytała

gniewnie Susannah. — No cóż, pomyłka, słodziutki. Może i jesteśmy kowbojami, ale nie taszczy my siodeł. Niepotrzebne nam one, skoro nie mamy koni.

— Przeprowadziliśmy wam konie — powiedział Callahan.

Nagle Roland poczuł, że ma tego dosyć. Nie rozumiał wszystkiego, ale uznał, że pojął wystarczająco dużo, żeby trochę wyjaśnić sytuację. Callahan wiedział, że nadchodzą, wiedział, ilu ich jest i że idą, a nie jadą konno. Niektóre z tych informacji mogli przekazać mu szpiedzy, lecz nie wszystkie. A trans... wiedział, że niektórzy z nich wpadli w trans...

— Co do pustych głów, to może nie jesteśmy najbystrzejsi na tej planecie, ale... — Susannah urwała i skrzywiła się. Przycisnęła dłonie do brzucha.

— Suze? — zapytał zatroskany Eddie. — Co ci jest, Suze? Żle się czujesz?

— To tylko niestrawność — powiedziała i uśmiechnęła się. Rolandowi ten uśmiech wydał się nieprzekonujący. Miał wrażenie, że dostrzega maleńkie zmarszczki napięcia w kącikach jej oczu. — Wczoraj wieczorem zjadłam zbyt wiele drożdżowych kul. — I zanim Eddie zdążył zadać następne pytanie, Susannah znowu skupiła uwagę na Callahanie. — Masz coś jeszcze do powiedzenia, złotko, to mów.

— W porządku — rzekł Callahan. — Mam pewien przedmiot posiadający wielką moc. Chociaż znajdujecie się jeszcze o wiele kół od mojego kościoła, w którym ukryty jest ten przedmiot, sądzę, że już was dosięgnął. Jednym w przejawów jego działania jest wywoływanie transu. — Zaczerpnął tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc. — Jeśli udzielicie nam... albowiem Calla jest teraz i moim miastem, rozumiecie, w którym spodziewam się dożyć końca moich dni i zostać pochowany... pomocy, o którą proszę, dam wam tę... rzecz.

— Po raz ostatni proszę cię, żebyś w ten sposób nie mówił — rzekł Roland tak szorstkim tonem, że Jake popatrzył na niego ze zdziwieniem. — To obraża mnie i moje *ka-tet*. Zrobimy to, o co prosisz, jeśli uznamy, że Calla należy do Bieli, a ci, których nazywasz Wilkami, są sługami ciemności. Zabójcami Promienia. Nie możemy przyjąć nagrody za nasze usługi i nie wolno ci jej nam proponować. Gdyby mówił tak jeden z twoich towarzyszy, na przykład ten, którego nazywasz Tianem lub Overholsterem...

(Eddie już miał poprawić rewolwerowca, ale postanowił milczeć. Kiedy Roland był zły, lepiej się nie odzywać).

— ...to co innego. Oni być może znajątylko legendy. Jednak ty, *sai*, masz przynajmniej jedną książkę, która powinna cię czegoś nauczyć. Mówiłem ci, że nasza specjalność to ołów, i tak jest. To jednak nie oznacza, że jesteśmy strzelcami do wynajęcia.

— W porządku, w porządku...

— A co do tej rzeczy, którą masz — mówił dalej Roland, podnosząc głos i zagłuszając Callahana — to chętnie byś się jej pozbył, prawda? Ona cię przeraża. Nawet gdybyśmy postanowili ominąć wasze miasto, błagałbyś nas, żebyśmy to zabrali ze sobą, czyż nie? Czyż nie tak?

— Tak — odparł zgnębiony Callahan. — Prawdę mówisz i dzięki ci. Lecz... przypadkiem słyszałem fragment waszej rozmowy... Dosyć, aby wiedzieć, że chcecie wrócić... przejść, jak mawiają Manni. I nie do jednego miejsca, ale dwóch... a może więcej. Ponadto czas... słyszałem, jak mówiliście o przechodzeniu w inny czas, jakbyście celowali z rewolweru.

Na twarzy Jake'a nagle zrozumienie mieszało się ze zdumieniem i przestraszeniem.

— Który to z nich? — zapytał chłopiec. — Nie może to być ten różowy z Mejis, bo gdy Roland weń wszedł, kryształ nie wpadł go w trans. Zatem który?

Po policzku Callahana spłynęła łza, potem następna. Machinalnie je otarł.

— Nigdy nie odważyłem się go użyć, ale widziałem go. Czuję jego moc. Jezu Chryste dopomóż, mam Czarną Trzynastkę pod podłogą mojego kościoła. I kryształ obudził się. Rozumiecie? — Spojrzał na nich wilgotnymi oczami. — On ożył.

Callahan skrył twarz w dłoniach.

10

Kiedy kapłan z blizną na czole odchodził po swoich towarzyszy, Roland stał nieruchomo i odprowadzał go wzrokiem. Rewolwerowiec wepchnął kciuki za pasek swoich starych po-

łatanych džinsów i wyglądał tak, jakby miał stać w tej pozycji przez całe stulecie. Jednakże zaledwie Callahan znikł im z oczu, Roland odwrócił się do swoich towarzyszy i wykonał pospieszny, niemal szorstki gest, oznaczający: *Podejdźcie do mnie*. Gdy to zrobili, Roland usiadł na ziemi. Eddie i Jake poszli w jego ślady (dla Susannah była to najczęstsza pozycja).

— Mamy mało czasu, więc powiedzcie mi, po kolei i bez ogródek, można mu ufać czy nie? — zapytał wprost.

— Można — odparła bez namysłu Susannah, po czym znów się skrzywiła i potarła klatkę piersiową pod lewą piersią.

— Można — rzekł Jake.

— Ożna — powiedział Ej, chociaż nikt go nie pytał.

— Można — przytaknął Eddie — ale spójrzcie.

Wyjął z ogniska niedopalony patyk, odgarnął warstwę igliwia i nakreślił na czarnej ziemi:

Calla Callahan

— Na żywo czy z taśmy? — mruknął Eddie. I widząc zdziwienie Susannah, wyjaśnił: — Czy to zbieg okoliczności, czy też ten fakt coś oznacza?

— Kto wie? — powiedział Jake. Rozmawiali cicho, pochylając głowy nad napisem na ziemi. — To jak dziewiętnastka.

— Myślę, że to tylko zbieg okoliczności — rzekła Susannah. — Przecież nie wszystko, co spotykamy na naszej drodze, jest *ka*, prawda? Chcę powiedzieć, że nawet nie brzmią tak samo.

I wypowiedziała te słowa: *Calla*, podnosząc język do podniebienia, przeciągle, a *Callahan*, przyciskając go do dolnych zębów, w wyniku czego zabrzmiało to znacznie ostrzej.

— W naszym świecie *Calla* to hiszpańskie słowo... tak jak wiele słów, które pamiętasz z Mejis, Rolandzie. Zdaje się, że oznacza ulice lub skwer, ale nie gwarantuję, bo już dawno zapomniałam tę odrobinę hiszpańskiego, której nauczyłam się w szkole średniej. Jeśli jednak mam rację, to stosowanie tego słowa jako określenia poprzedzającego nazwę miasta... lub wielu miasteczek, co chyba robią w tych stronach... jest jak najbardziej

sensowne. Może nie błyskotliwe, ale niegłupie. Natomiast Callahan... — Wzruszyła ramionami. — Co to za nazwisko? Irlandzkie? Angielskie?

— Na pewno nie jest hiszpańskie — zauważył Jake. — Jednak dziewiętnastka...

— Olać dziewiętnastkę — rzucił szorstko Roland. — To nie czas na gry słowne. On niebawem wróci tu ze swoimi przyjaciółmi, a do tego czasu chcę porozmawiać z wami o czymś innym.

— Sądzisz, że on może mieć rację co do Czarnej Trzynastki? — zapytał Jake.

— Tak — odparł Roland. — Opierając się na tym, co zeszłej nocy przydarzyło się tobie i Eddiemu, myślę, że tak. Jeśli ma rację, posiadanie tego przedmiotu byłoby dla nas niebezpieczne, ale musimy go wziąć. Obawiam się, że w przeciwnym razie Wilki zabrają go do Jądra Gromu. No, nieważne, w tym momencie nie musimy się o to martwić.

Mimo to Roland wyglądał na bardzo zaniepokojonego. Skupił uwagę na Jake'u.

— Drgnąłeś, gdy usłyszałeś nazwisko tego bogatego farmera. Ty również, Eddie, chociaż lepiej to ukryłeś.

— Przepraszam — powiedział Jake. — Zapomniałem oblicze mojego...

— W żadnym razie — przerwał mu Roland. — Nie w większym stopniu niż ja. Ponieważ ja również słyszałem to nazwisko, i to całkiem niedawno. Tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie. — I dodał niechętnie: — Starzeję się.

— W księgarni — powiedział Jake. Wziął swój plecak, nerwowo szarpnął troczki, rozwiązał je. Mówiąc, otworzył klapę plecaka. Jakby chciał się upewnić, że *Chanie Puf-Pufi Zagadeczki* są tam, istnieją. — W Manhattańskiej Restauracji Ducha. To takie niesamowite. Raz mi się to przydarzyło i raz widziałem, jak mi się przydarza. To samo w sobie jest niezłą zagadką.

Roland gwałtownie machnął okaleczoną prawą ręką, dając mu znak, żeby się pospieszył.

— Pan Tower przedstawił mi się — mówił dalej Jake — a ja zrobiłem to samo. Jake Chambers, powiedziałem. A on rzekł...

— „Nieźle brzmi, współniku” — wtrącił się Eddie. — Tak

powiedział. Dodał, że Jake Chambers brzmi jak nazwisko bohatera powieści z Dzikiego Zachodu.

— „Tego, który wpada do Black Fork w Arizonie, robi porządek w miasteczku i rusza dalej” — zacytował Jake. — A potem dodał: „To chyba Wayne D. Overholser”. — Chłopiec popatrzył na Susannah i powtórzył: — *Wayne D. Overholser*. Jeśli mi powiesz, że to tylko zbieg okoliczności, Susannah... — Nagle uśmiechnął się szeroko. — To powiem ci, żebyś pocałowała mnie w moją białą dupę.

Susannah parsknęła śmiechem.

— Nie ma takiej potrzeby, skarbenku. Nie sądzę, żeby to był przypadek. A kiedy spotkamy tego bogatego farmera, o którym mówił Callahan, zamierzam go zapytać, jak ma na drugie imię. I założę się, że nie tylko zaczyna się na D, ale będzie to Dean lub Dane, coś na cztery litery... — Znów przycisnęła dłoń poniżej piersi. — Te gazy! O rany! Co ja bym dała za paczkę tumsów albo buteleczkę... — Znów urwała. — Jake, co jest? Co się stało?

Jake trzymał w rękach *Charliego Puf-Pufi* zrobił się biały jak kreda. Patrzył na książkę szeroko otwartymi oczami. Obok niego Ej niespokojnie zaskomlił. Roland pochylił się, spojrzął i też zrobił wielkie oczy.

— O bogowie — rzekł.

Eddie i Susannah też popatrzeli. Tytuł pozostał ten sam. Obrazek również: antropomorficzna lokomotywa, dymiąc, z szerokim uśmiechem na zderzaku, wjeżdżała na wzgórze, wesóło mrugając jednym okiem. Lecz żółte litery na dole — „Tekst i ilustracje Beryl Evans” — znikły. Nie było w tym miejscu żadnego napisu.

Jake odwrócił książkę w dłoniach i spojrzął na tył okładki. Napisano tam: *Chanie Puf-Puf* McCauley House Publishers. Nic więcej.

Od południa dobiegły ich ludzkie głosy. Zbliżał się Callahan i jego przyjaciele. Callahan z Calla. Callahan z Lot, jak sam się nazywał.

— Strona tytułowa, słodziutki — powiedziała Susannah. — Spójrz na nią, szybko.

Jake zrobił to. I tam był tylko tytuł i nazwa wydawcy, tym razem z kolofonem.

— Spójrz na stronę z notką copyrightu — poradził Eddie.

Jake odwrócił kartkę. Na stroniczce, na odwrocie strony tytułowej i obok następnej, na której zaczynała się opowieść, widniała informacja o prawach autorskich. Tylko że właściwie nie była to informacja.

Copyright 1936

głosiła. Suma cyfr wynosiła dziewiętnaście.

Poniżej było puste miejsce.

Rozdział 5

OYERHOLSER

Susannah wiele zdołała zauważyć tego długiego i interesującego dnia, dlatego że Roland dał jej po temu okazję i dlatego że — kiedy przeszły jej poranne mdłości — znowu poczuła się sobą.

Na moment przed tym, zanim Callahan i jego towarzysze znaleźli się w zasięgu głosu, Roland mruknął do niej:

Trzymaj się blisko mnie i nic nie mów dopóki cię nie zapytam. Jeśli wezmą cię za moją flamę, to trudno.

W innych okolicznościach może powiedziałaaby coś złosliwego na temat tego, że ma występować w roli milczącej paniutki Rolanda, ale jego poważna mina dobitnie świadczyła o tym, że nie jest to ani chwila, ani temat do żartów. Ponadto odpowiadała jej rola milczącej, posłusznej połowicy. Prawdę mówiąc, odpowiadałaby jej każda rola. Kiedy była dzieckiem, najbardziej cieszyło ją udawanie kogoś innego.

Co zapewne mówi o tobie wszystko, co warto wiedzieć, złotko — pomyślała.

— Susannah? — zwrócił się do niej Roland. — Słyszysz mnie?

— Doskonale cię słyszę — odparła. — Nie martw się o mnie.

— Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, oni prawie cię nie zauważą, a ty dobrze im się przyjrzysz.

Jako czarnoskóra kobieta dorastająca w Ameryce drugiej połowy dwudziestego wieku (Odetta śmiała się i klaskała na *Niewidzialnym człowieku* Ralphi Ellisona, często kołyszac się

na swoim fotelu jak ktoś, kto doznał objawienia), Susannah dobrze wiedziała, czego od niej żądał. Spełni jego żądanie. Pewna część jej serca i umysłu — należąca do tej złośliwej Detty Walker — zawsze będzie buntować się przeciwko zwierzchnictwu Rolanda, lecz mimo to rozpoznawała w nim tego, kim był: ostatnim przedstawicielem ginącego gatunku. Może nawet bohaterem.

2

Patrząc, jak Roland przedstawia ich (Susannah na samym końcu, po Jake'u i niemal niedbale), miała czas pomyśleć o tym, jak dobrze się czuje teraz, kiedy ustąpiło spowodowane wzdęciem bolesne klucie w lewym boku. Do ciała, nawet ten dokuczliwy ból głowy przeszedł, choć przyczepił się do niej jak rzep — czasem potylicy, czasem jednej lub drugiej skroni, a czasem tuż nad lewym okiem, jak wykluwająca się migrena — już od ponad tygodnia. I oczywiście były też ranki. Każdego z nich miała mdłości i nogi jak z waty przez godzinę lub dwie. Nie wymiotowała, ale przez pierwszą godzinę niewiele brakowało.

Nie była głupia i rozpoznawała te objawy, lecz wiedziała, że one nic nie znaczą. Miała tylko nadzieję, że nie ośmieszy się pękniętym brzuchem, tak jak to się zdarzyło nie raz, ale dwa razy przyjaciółce jej matki, Jessice. Dwie urojone ciąży i przy każdej ta kobieta wyglądała tak, jakby miała urodzić bliźnięta. A nawet trojaczki. Oczywiście Jessica Beasley przestała miesiączkować, więc łatwo jej było uwierzyć, że jest w ciąży. Susannah wiedziała, że nie jest, z najprostszego z możliwych powodów: miesiączkowała. Okres zaczął jej się tego dnia, kiedy obudzili się znowu na ścieżce Promienia, pozostawiający zielony pałac dwadzieścia pięć lub trzydzieści mil za sobą. Od tego czasu miała już następny. Krwawienia były bardzo obfite, zmuszające do użycia wielu szmat, choć dotychczas zawsze były niewielkie, czasem ograniczające się do kilku czerwonych plamek, które jej matka nazywała „różami damy”. Mimo to nie narzekała, gdyż przed przybyciem do tego świata jej miesiączki były bolesne, czasem nie do zniesienia. Te dwie, które miała od

czasu powrotu na ścieżkę Promienia, wcale nie powodowały bólu. Gdyby nie nasiąknięte krwią szmaty, które dyskretnie zakopywała na uboczu, nie miałyby pojęcia, że ma okres. Może to przez tę czystą wodę.

Oczywiście wiedziała, co to wszystko oznacza. Jak czasem mawiał Eddie, nie trzeba było geniusza, żeby to pojąć. Te zwariowane, pogmatwane sny, których treści nie mogła sobie przypomnieć, poranne osłabienie i mdłości, uporczywe bóle głowy, dziwne wzdęcia i skurcze kończyn sprowadzały się do jednego: chciała mieć z nim dziecko. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła, by w jej brzuchu rósł mały Eddiego Deana.

Natomiast nie chciała, aby jej brzuch wydał się w upokarzającej ciąży urojonej.

Teraz zapomnij o tym, pomyślała, gdy Callahan nadchodził ze swymi towarzyszami. *Teraz masz obserwować. Zobaczyć to, czego nie dostrzegą Roland, Eddie i Jake. W ten sposób niczego nie przeoczymy.* Czuli, że może to zrobić bardzo dobrze.

Naprawdę, nigdy w życiu nie czuła się lepiej.

3

Callahan szedł pierwszy. Za nim kroczyli dwaj mężczyźni. Według Susannah jeden mógł mieć około trzydziestki, a drugi wyglądał na dwa razy starszego. Ten starszy miał puciołowate policzki, które za mniej więcej pięć lat obwisną, oraz dwie bruzdy biegnące po obu stronach nosa do brody. Jej ojciec nazwałby je „liniami despoty” (Dan Holmes miał takie same). Młodszy miał na głowie sfatygowane sombrero, a starszy biały pilśniowy kapelusz, na widok którego Susannah o mało nie parsknęła śmiechem. Sprawiał, że mężczyzna przypominał wyglądem jednego z dobrych facetów ze starego czarno-białego westernu. Pomimo to domyślała się, że takie nakrycie głowy nie jest tanie i noszący je człowiek to Wayne Overholser. „Bogaty farmer” — jak nazywał go Roland. Ten, którego zdaniem Callahana ktoś powinien przekonać.

Ale nie my, pomyślała z ulgą Susannah. Zaciśnięte usta, bystre oczka, a przede wszystkim te bruzdy na twarzy (miał

jeszcze jedną, przecinającą pionowo czoło tuż nad brwiami), sugerowały, że *sai* Overholser potrafi być upierdliwy, kiedy ktoś usiłuje go przekonać.

Tuż za tymi dwoma mężczyznami — a ściśle mówiąc, za młodszym z nich — szła wysoka, urodziwa kobieta, zapewne nie czarna, ale niemal równie ciemnoskóra jak Susannah. Pochód zamykali sympatycznie wyglądający mężczyzna w okularach i stroju farmera oraz podobny do niego chłopiec, zapewne o dwa lub trzy lata starszy od Jake'a. Wyraźne podobieństwo między tymi dwoma przybyszami świadczyło, że byli to Slightmanowie: starszy i młodszy.

Chłopiec może być starszy od Jake'a, pomyślała, *ale wygląda na młodszego niż on*. No cóż, to niekoniecznie wada. Jake widział zdecydowanie za dużo jak na swój wiek. I za dużo przeżył.

Overholser spojrzął na broń (Roland i Eddie nosili po jednym z tych wielkich rewolwerów z rękojeściami z drzewa sandałowego, a pod pachą Jake'a, w kaburze nazywanej przez Rolanda „uściskiem dokera”, tkwił ruger .44), a potem na Rolanda. Wykonał niedbały gest powitania, prawie przytykając na pół zaciśniętą dłoń do czoła. Nie skłonił się. Jeśli Roland poczuł się obrażony, to nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz wyrażała jedynie uprzejme zainteresowanie.

— *Hile*, rewolwerowcze — powiedział mężczyzna idący obok Overholsera i przyklęknął, pochylając głowę i przykładając pięść do czoła. — Jestem Tian Jaffords, syn Luke'a. Ta dama to moja żona Zalia.

— *Hile* — odrzekł Roland. — Zwij mnie Rolandem, jeśli chcesz. Życzę ci wielu dni na tej ziemi, *sai* Jaffords.

— Tianie. Proszę. A ja dwa razy tyle tobie i twoim przyjaciołom...

— Jestem Overholser — przerwał mu szorstko mężczyzna w białym kapeluszu. — Przybyliśmy spotkać się z tobą i twoimi przyjaciółmi na żądanie Callahana i młodego Jaffordsa. Pominę formalności i przejdę jak najprędzej do rzeczy, nie miejcie mi tego za złe, błagam.

— Proszę o wybaczenie, ale to nie tak — rzekł Jaffords. — Było zebranie i mieszkańcy zagłosowali...

Overholser znów mu przerwał. Susannah pomyślała, że taki

już pewnie ma zwyczaj. Podejrzała, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Miasto, właśnie. Calla. Przybyłem tutaj, chcąc spełnić mój obowiązek wobec miasta i moich sąsiadów, ale jestem zajęty, bardzo zajęty...

— *Charyou tree* — powiedział spokojnie Roland i choć znającej głębsze znaczenie tego wyrażenia Susannah dreszcz przeleciał po plecach, Overholserowi zabłyśły oczy. Zaczęła się domyślać, jaki przebieg będzie miał ten pierwszy dzień.

— Już dojrzewa, tak panie, dzięki ci. — Stojący nieco z boku Callahan z wystudiowanym spokojem spoglądał na las. Za plecami Cwerholsera Tian Jaffords i jego żona wymienili zakłopotane spojrzenia. Slighmanowie tylko czekali i patrzyli. — Więc rozumiesz mnie.

— W Gilead byliśmy otoczeni przez farmy i zagrody — odparł Roland. — Miałem zapas siana i zboża w stodole. Owszem, buraków cukrowych też.

Overholser obdarzył Rolanda uśmiechem, który Susannah uznała za obraźliwy. Ten grymas mówił: *Wiemy swoje, prawda, sai? Obaj jesteście światowymi ludźmi.*

— Skąd naprawdę pochodzisz, *sai* Rolandzie?

— Przyjacielu, powinienesz udać się do laryngologa — mruknął Eddie.

Cwerholser spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Słucham?

Eddie znacząco pokiwał głową.

— No właśnie.

— Bądź cicho, Eddie — powiedział Roland, wciąż łagodny jak baranek. — *Sai* Overholser, z pewnością możemy poświęcić chwilkę na przedstawienie się sobie i wymianę uprzejmości. Tak przecież postępują cywilizowani, uprzejmi ludzie, czyż nie? — Roland zamilkł na moment, podkreślając wagę tych słów, po czym dodał: — Ze złoczyńcami może być inaczej, ale wśród nas ich nie ma.

Cwerholser zacisnął wargi i uważnie spojrzał na Rolanda, gotów się obrazić. Z twarzy rewolwerowca nie wyczytał niczego, co dałoby mu po temu powód, więc znów się uspokoił.

— Dzięki — powiedział. — Tian i Zalia Jaffords, jak już mówiłem...

Zalia dygnęła, podciągając niewidoczne suknie wokół wyświechtanych sztruksowych spodni.

— ...a to jest Ben Slightman i jego syn Benny.

Ojciec przyłożył pięść do czoła i skłonił głowę. Jego syn z przejęciem (Susannah podejrzewała, że wywołanym widokiem broni), skłonił się, wystawiając sztywną prawą nogę i nie odrywając pięty od ziemi.

— Starego Człowieka już znacie — zakończył Cwerholser niedbale, we wzgardliwy sposób, który sam uznałby za obraźliwy. Susannah podejrzewała, że jako bogaty farmer przywykł zwracać się do innych tak, jak mu się podoba. Zastanawiała się, jak daleko się posunie z Rolandem, zanim odkryje, że w ten sposób niczego nie wskóra. Niektórzy ludzie nie dają sobą pomiatać. Mogą tolerować to przez jakiś czas, ale potem...

— To moi towarzysze podróży — rzekł Roland. — Eddie Dean i Jake Chambers z Nowego Jorku. A to jest Susannah. — Wskazał na nią, nie patrząc w jej kierunku.

Twarz Overholsera przybrała typowo męski, znaczący wyraz, który Susannah często widywała. Detta Walker potrafiła zetrzeć go z twarzy mężczyzny w sposób, który Overholserowi z pewnością by się nie spodobał.

Mimo to obdarzyła Overholsera i pozostałych powściągliwym uśmiechem i własną wersją dygnięcia. Uznała, że było ono równie eleganckie jak w wykonaniu Zalii Jaffords, choć oczywiście taki ukłon nie może wyglądać tak samo u kogoś, kto nie ma części dolnych kończyn. Rzecz jasna, przybyli zauważyli, że brak jej nóg od kolan w dół, lecz ich zdanie na ten temat wcale jej nie interesowało. Natomiast zastanawiała się, co pomyśleli o wózku inwalidzkim, tym, który Eddie znalazł dla niej w Topece, gdzie Blaine Mono zakończył swój bieg. Ci ludzie nigdy nie widzieli czegoś takiego.

Callahan mógł widzieć, przyszło jej do głowy. Ponieważ Callahan jest z naszej strony. On...

— Czy to bumbler? — zapytał chłopiec.

— Cicho bądź — powiedział Slightman, jakby zaszokowany tym, że jego syn śmiał się odezwać.

— W porządku — rzekł Jake. — Taak, to bumbler. Ej, podejdź do niego.

Wskazał na Młodego Bena. Ej podreptał na tę stronę ogniska,

gdzie stał nowo przybyły, i spojrzął na niego ślepiami ^złocistych obwódkach.

— Jeszcze nigdy nie widziałem oswojonego — rzekł I Ian. — Oczywiście, słyszałem o nich, ale świat poszedł naprzód.

— Może nie pod każdym względem—odparł Roland. Spojrzął na Overholsera. — Może niektóre dawne zwyczaje przetrwały.

— Mogę go pogłaskać? — spytał chłopiec Jake'a. — Nie ugryzie?

— Możesz. Nie ugryzie.

Gdy młodszy Slightman przykucnął przy bumberze, Susannah miała nadzieję, że Jake się nie myli. Gdyby Ej odgryzł nos chłopca, znaleźliby się w nieprzyjemnej sytuacji.

Ej jednak zniósł spokojnie głaskanie, a nawet wyciągnął długą szyję, żeby obwąchać Slightmana. Benny roześmiał się.

— Powiedzieliś, że jak się zwie?

Zanim Jake zdążył odpowiedzieć, bumber sam się przedstawił.

— Ej!

Wszyscy parsknęli śmiechem. I nagle po prostu byli razem, przyjaźnie gawędząc na ścieżce Promienia. Ta więź była krucha, lecz nawet Overholser ją wyczuwał. A kiedy się śmiał, bogaty farmer wyglądał na sympatycznego faceta. Może przestraszonego i na pewno pompatycznego, ale nie złego.

Susannah nie wiedziała, czy się cieszyć, czy obawiać.

4

— Chciałbym zamienić z tobą słowo na osobności, jeśli można — rzekł Overholser.

Obaj chłopcy odeszli na bok z Ejem i młodszy Slightman spytał Jake'a, czy bumber umie liczyć, bo słyszał, że niektóre potrafią.

— Chyba lepiej nie, Wayne — powiedział pospiesznie Jaffords. — Uzgodniliśmy, że wrócimy do naszego obozu, przełamiemy się chlebem i wyjaśnimy tym ludziom, czego chcemy. Jeśli się zgodzą...

— Nie mam nic przeciwko krótkiej rozmowie z *sai* Overholserem — przerwał mu Roland. — A i ty zapewne też nie będziesz miał, *sai* Jaffords. Bo czyż on nie jest waszym rzecznikiem? — A potem, zanim Tian zdążył wytoczyć inny ar-

gument (lub zaprzeczyć) dodał: — Poczęstuj tych ludzi herbatą, Susannah. Eddie, pozwól z nami.

Ten ostatni zwrot, będący dla nich czymś nowym, w ustach Rolanda wydał się najzupełniej naturalny. Susannah podziwiała go. Gdyby ona spróbowała tak powiedzieć, zabrzmiałoby to jak drwina.

— Na południe stąd mamy żywność — powiedziała nieśmiało Zalia. — Żywność, polewkę i kawę. Andy...

— Zjemy z przyjemnością i chętnie napijemy się waszej kawy — nie dał jej dokończyć Roland. — Najpierw jednak skosztowałbym herbaty. To zajmie nam tylko chwilkę, prawda, *sail*

Overholser skinął głową. Rozpogodził się i odprężył. Nie był już taki sztywny. Z drugiej strony drogi (w pobliżu miejsca, w którym poprzedniej nocy kobieta imieniem Mia wymknęła się do lasu) chłopcy zaśmiewali się, bo Ej zrobił coś zabawnego. Benny śmiał się ze zdziwieniem, a Jake z dumą.

Roland wziął Overholsera pod rękę i odprowadził go kawałek drogą. Eddie pomaszerował z nimi. Jaffords zmarszczył brwi i chciał ruszyć ich śladem. Susannah położyła dłoń na jego ramieniu.

— Nie czyń tego — powiedziała cicho. — On wie, co robi. Jaffords przez chwilę spoglądał na nią z powątpiewaniem, a potem ustąpił.

— Może mógłbym na nowo rozniecić ogień — rzekł uprzejmie starszy Slightman, zerkając na jej kalekie nogi. — Widzę jeszcze kilka iskier.

— Bardzo proszę — zgodziła się Susannah, myśląc, jakie to wszystko cudowne. Wspaniałe i dziwne. A także śmiertelnie niebezpieczne, oczywiście, lecz nauczyła się doceniać i to. To właśnie perspektywa ciemności sprawia, że dzień wydaje się taki jasny.

5

Odszedłszy drogą ze dwadzieścia kroków od pozostałych, trzej mężczyźni przystanęli. Overholser przemawiał, od czasu do czasu gwałtownymi gestami podkreślając wagę swych słów. Mówił tak, jakby Roland był jakimś uzbrojonym włóczęgą,

który przywłókł się drogą razem ze swoimi kompanami podejrzanego autoramentu. Wyjaśnił Rolandowi, że Tian Jaffords jest głupcem (choć mającym dobre intencje), który nie zna życia. Powiedział, że Jaffordsa należy powstrzymać, uspokoić, nie tylko w jego najlepiej pojętym interesie, ale dla dobra Calla. Twierdził, że gdyby coś można było zrobić, on, Wayne Overholser, syn Alana, pierwszy stanąłby w kolejce. Nigdy w życiu nie uchylał się od obowiązków, lecz walka z Wilkami to szaleństwo. I dodał, ścisząc głos, jeszcze ten Stary Człowiek. Wszystko w porządku, jeśli pilnuje swojego kościoła i rytuałów. W takich sprawach odrobina szaleństwa jest pomocna. W tej jednak to co innego. Całkiem innego.

Roland słuchał, od czasu do czasu kiwając głową. Niemal się nie odzywał. A kiedy Overholser, najbogatszy farmer Calla Bryn Sturgis, wreszcie skończył, wpatrywał się jak urzeczony w stojącego przed nim rewolwerowca. Głównie w jego wyblakłe niebieskie oczy.

— Jesteś tym, kim mówisz? — zapytał w końcu. — Powiedz prawdę, *sai*.

— Jestem Rolandem z Gilead — rzekł rewolwerowiec.

— Potomkiem Elda? Tak twierdzisz?

— Z krwi i kości — odparł Roland.

— Przecież Gilead... — Overholser urwał. — Gilead już dawno nit ma.

— Ja — powiedział Roland — jestem.

— Czy zabijesz nas wszystkich albo sprowadzisz na nas śmierć? Powiedz, błagam.

— A co ty zrobisz, *sai* Overholser? Nie później, nie jutro, za tydzień lub za miesiąc, ale w tym momencie?

Overholser stał przez długą chwilę, patrząc to na Rolanda, to na Eddiego i znów na rewolwerowca. Był człowiekiem niechętnie zmieniającym zdanie. Jeśli to robił, bolało go jak przepuklina. Z drugiej strony drogi nadleciał śmiech chłopców, gdy Ej przyniósł coś, co rzucił Benny — gałąź prawie tak dużą jak sam bumber.

— Wysłucham — odparł w końcu Overholser. — Zrobię choć tyle, niech bogowie mają mnie w opiece, i dzięki im za to.

— Innymi słowy, dokładnie nam wyjaśnił, dlaczego to jest szaleństwem — powiedział Eddie, rozmawiając z Susannah —

a potem zrobił dokładnie to, czego chciał od niego Roland. To był istny cud.
— Czasem Roland jest cudowny — oznajmiła.

6

Grupka z Calla Bryn Sturgis obozowała na zacisznej polance na szczycie wzgórza, nieco na południe od drogi, ale niedaleko ścieżki Promienia, więc chmury wciąż wisiały nieruchomo na niebie, tak blisko, że wydawało się, iż można by ich dotknąć. Wiodąca przez las droga była starannie oznakowana. Niektóre z nacięć, jak zauważyła Susannah, miały szerokość dłoni. Ci ludzie być może byli doskonałymi farmerami i hodowcami, ale nie ulegało wątpliwości, że w lesie czuli się nieswojo.

— Czy mogę zastąpić cię trochę przy tym fotelu, młodzieńcze? — zapytał Overholser Eddiego, gdy zaczęli piąć się po zboczcu.

Susannah czuła zapach pieczonego mięsa i zastanawiała się, kto też gotuje, jeśli cała grupka Callahana i Overholsera przybyła na spotkanie. Zdaje się, że kobieta wymieniła jakiegoś Andy'ego? Może to sługa? Ona go miała. Służący Overholsera? Zapewne. Z pewnością człowiek, którego było stać na taki prawie nowy kapelusz, mógł sobie pozwolić na służącego.

— Oczywiście — odparł Eddie. Wprawdzie nie dodał przy tym „błagam” (*Wciąż wydaje mu się to głupie*, pomyślała Susannah), ale odsunął się i oddał wózek Overholserowi. Farmer był tęgim mężczyzną, zbocze było strome, a na wózku siedziała kobieta ważąca prawie sto trzydzieści funtów, ale Overholser oddychał miarowo, choć głośno.

— Czy mogę zadać panu pytanie, *sai* Overholser? — spytał Eddie.

— Oczywiście.

— Jak ma pan na drugie imię?

Fotel na moment znieruchomiał. Susannah złożyła to na karb zdumienia.

— Dziwne pytanie, młody człowieku. Dlaczego o to pytasz?

— To takie moje hobby — odparł Eddie. — Prawdę mówiąc, przepowiadam z imion przyszłość.

— 148

Uważaj, Eddie, uważaj, pomyślała Susannah, mimo wszystko jednak o mało nie parsknęła śmiechem.

— Ach tak?

— Tak — potwierdził Eddie. — Na przykład pan. Założę się, że pańskie drugie imię zaczyna się na... — udał, że się zastanawia. — Na literę „D”.

Wymówił to jak *Deh*, w sposób, w jaki w Wysokiej Mowie wymawia się duże litery.

— I powiedziałbym, że jest krótkie. Pięcioliterowe? Cztero? Fotel znowu na moment się zatrzymał.

— Do diaska! — wykrzyknął Overholser. — Skąd wiedziałeś? Powiedz!

Eddie wzruszył ramionami.

— To naprawdę tylko kalkulacje i domysły. Często się myślę.

— Bardzo często — wtrąciła się Susannah.

— Powiem wam, że na drugie mam Dale — rzekł Overholser. — Chociaż gdyby ktoś zapytał mnie dlaczego, nie potrafiłbym wyjaśnić. Straciłem rodziców, kiedy byłem małym chłopcem.

— .Przykro mi — powiedziała Susannah, z zadowoleniem widząc, że Eddie odchodzi. Pewnie przekazać Jake'owi, że miał rację co do drugiego imienia. Wayne Dale Overholser. Dziewiętnaście liter.

— Czy ten młodzieniec jest czarodziejem, czy błaznem? Powiedz mi, błagam, bo sam nie wiem.

— Po trosze jednym i drugim — odparła.

— Co do tego fotela, to nie ma takiej wątpliwości, prawda? Jest równie cudowny jak kompas.

— Dzięki ci za uznanie — odrzekła, skrywając westchnienie ulgi. Zabrzmiało to zupełnie naturalnie, dlatego że powiedziała to bez zastanowienia.

— Skąd pochodzi?

— Spory kawałek drogi stąd. — Niezbyt jej odpowiadała ta zmiana tematu rozmowy. Uważała, że to Roland powinien opowiedzieć ich historię (lub nie). On był ich przywódcą. Ponadto nikt nie odważyłby się powątpiewać w jego słowa. Mimo wszystko uznała, że powinna powiedzieć coś więcej. — Tam jest taka błona. Przybyliśmy z jej drugiej strony, gdzie wszystko wygląda zupełnie inaczej. — Wykręciła szyję, żeby

na niego spojrzeć. Miał czerwone policzki i kark, ale pomyślała, że radzi sobie całkiem nieźle jak na mężczyznę po pięćdziesiątce. — Czy wie pan, o czym mówię?

— Taa — potwierdził, odchrząknął i splunął. — Chociaż nie widziałem i nie słyszałem tego osobiście. Niewiele wędrowałem. Za dużo pracy na farmie. Większość mieszkańców Calla rzadko chodzi do lasu, jak łatwo się domyślić.

Och tak, bardzo łatwo, pomyślała Susannah, dostrzegając kolejne nacięcie wielkości talerza. Okaleczone w ten sposób drzewo będzie miało szczęście, jeśli zdoła przetrwać nadchodzącą zimę.

— Andy wciąż opowiada o tej błonie. Mówi, że ją słysząc, ale nie wiadomo, czym ona jest.

— A kim jest Andy?

— Spotkamy się z nim niebawem, *sai*. Jesteś z Calla Jork, jak twoi przyjaciele?

— Tak — potwierdziła ostrożnie. Objechał fotelem rozłożyste żelazne drzewo. Te rosły tu już rzadziej, a zapach jedzenia przybierał na sile. Mięso... i kawa. Zaburczało jej w brzuchu.

— I nie są rewolwerowcami — rzekł Overholser, ruchem głowy wskazując Jake'a i Eddiego. — Chyba nie powiesz mi, że są?

— Sam będziesz musiał odpowiedzieć sobie na to pytanie, kiedy przyjdzie czas.

Przez długą chwilę milczał. Koła fotela zachrząściły na skalistym podłożu. Ej dreptał między idącymi na przedzie Jakiem i Bennym Slightmanem, którzy z chłopięcą swobodą już się zaprzyjaźnili. Susannah zastanawiała się, czy to dobrze. Byli tak różni. Czas mógł pokazać, jak bardzo, i przynieść im rozczarowanie.

— Przestraszył mnie — rzekł Overholser. Powiedział to prawie szeptem. Jakby do siebie. — To chyba przez te jego oczy. Głównie one to sprawiły.

— A zatem chciałeś zrobić to, co obiecałeś? — spytała Susannah.

Ton jej głosu nie był tak obojętny, jak jej na tym zależało, a mimo to zaskoczyła ją gwałtowna odpowiedź.

— Oszalałaś, kobieto? Oczywiście, że nie... gdybym tylko widział inne wyjście z sytuacji. Słuchaj mnie uważnie! Ten

chłopak — wskazał na Tiana Jaffordsa, który szedł przed nimi /. żoną — ten chłopak właściwie zarzucił mi tchórzostwo. Postarał się, żeby wszyscy usłyszeli, że nie mam dzieci w takim wieku, by porwały je Wilki. W przeciwieństwie do niego. Tylko czy ktoś uważa mnie za głupca, który nie potrafi policzyć kosztów?

— Ja nie — odparła chłodno Susannah.

— A on? Podejrzewam, że tak. — Overholser mówił jak człowiek, w którym duma walczy ze strachem. — Czy ja chcę oddać dzieci Wilkom? Dzieciaki, które wracają potem jako pokury, żeby wałęsać się bez celu po mieście? Nie! Lecz nie chcę też, żeby jakiś twardziel poprowadził nas drogą, z której nie ma powrotu!

Spojrzała na niego przez ramię i zobaczyła coś fascynującego. Teraz chciał się zgodzić. Znaleźć powód, żeby powiedzieć „tak”. Roland dokonał tego, niemal nic nie mówiąc. Po prostu... po prostu na niego patrząc.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

— Jezu Chryste! — zawołał Eddie.

Susannah odruchowo sięgnęła po broń, której nie miała u boku. Znowu odwróciła się na fotelu. Schodząc zboczem w ich kierunku, poruszając się ze sztywną godnością, którą pomimo zaskoczenia uznała za zabawną, nadchodził metalowy człowiek mający co najmniej siedem stóp wzrostu.

Dłoń Jake'a dotknęła kabury i tkwiącego w niej pistoletu.

— Spokojnie, Jake! — powstrzymał go Roland.

Metalowy człowiek, migając niebieskimi oczami, zatrzymał się przed nimi. Stał zupełnie nieruchomo przez jakieś dziesięć sekund, tak że Susannah miała mnóstwo czasu na odczytanie napisu na jego piersi. *North Central Positronics*, pomyślała, *do waszych usług. Nie wspominając już o LaMerk Industries.*

Robot podniósł jedno srebrzyste ramię, przytykając srebrną dłoń do czoła z nierdzewnej stali.

— Witaj, rewolwerowcze, przybywający z daleka — powiedział. — Długich dni i przyjemnych nocy.

Roland też podniósł palce do czoła.

— A tobie dwa razy tyle, *Andy-sai*.

— Dzięki ci.

Z trzewi robota wydobyło się ciche pobrzękiwanie. Nachylił

się do Rolanda, jeszcze intensywniej migając niebieskimi oczami. Susannah zauważyła, że dłoń Eddiego nieznacznie przesuwa się ku obłożonej sandałowym drzewem rękojeści starożytnego rewolweru, który nosił u boku. Roland jednak nawet nie drgnął.

— Przygotowałem boski posiłek, rewolwerowcze. Wiele pysznych darów urodzajnej ziemi.

— Dzięki ci, Andy.

— Niechaj wam służy. — Robot znów zabrzączał. — A tymczasem może chciałbyś poznać swój horoskop?

Rozdział 6

DROGA ELDA

v/koło drugiej po południu tego samego dnia zasiedli w dziesiątkę do czegoś, co Roland nazywał obiadem farmera.

— Podczas porannych prac czekasz nań niecierpliwie — powiedział później swoim przyjaciołom. — Podczas wieczornych tęsknie go wspominasz.

Eddie pomyślał, że Roland żartuje, ale z rewolwerowcem nigdy nie miało się co do tego pewności. Jego poczucie humoru było tak nikle, że niemal szczątkowe.

Posiłek nie był najlepszym, jaki Eddie jadł w swoim życiu, gdyż w tej konkurencji bankiet wydany przez starych ludzi w River Crossing wciąż zajmował zaszczytne pierwsze miejsce, lecz po kilku tygodniach wędrówki przez las i żywienia się burritos rewolwerowca (i mniej więcej dwa razy na tydzień twardymi, błyszczącymi kawałeczkami króliczego tłuszczu), był naprawdę niezły. Andy podał średnio wysmażone, soczyste steki w sosie grzybowym. Do tego fasolę, jakieś zawijane dodatki podobne do *tacos* i pieczoną kukurydzę. Eddie ugryzł kawałek naleśnika, który okazał się twardy, lecz smaczny. Sałatkę z surowej kapusty, jak wyznał Tian Jaffords, zrobiła własnoręcznie jego żona. Był także wspaniały pudding zwany truskawkowym łakociem. I oczywiście kawa. Eddie oceniał, że w czwórkę wypili jej przynajmniej galon. Nawet Ej wypił trochę. Jake postawił przed nim spodek z ciemnym, mocnym napojem. Ej powąchał, powiedział „Awa!”, a potem szybko i sprawnie wylizał spodeczek.

Podczas posiłku niewiele rozmawiano (jedną z licznych mądrości Rolanda było stwierdzenie: Jedzenie i rozmowa nie idą w parze"), a mimo to Eddie sporo się dowiedział od Tiana Jaffordsa i jego żony, głównie o życiu na terenach, które Tian i Zalia nazywali „pograniczem”. Miał nadzieję, że Susannah (siedząca obok Overholsera) i Jake (przy chłopaku, którego w myślach już zaczął nazywać Bennym Kidem) dowiedzieli się równie dużo. Spodziewał się, że Roland usiądzie przy Cal-łahanie, lecz Pere nie usiadł z nimi. Odszedł na bok ze swoją porcją, pobłogosławił ją, a potem zjadł samotnie. I niewiele. Gniewał się na Overholsera, że ten przejął inicjatywę, czy też był z natury samotnikiem? Trudno powiedzieć po tak krótkiej znajomości, lecz gdyby ktoś przyłożył mu lufę do skroni, Eddie wybrałby tę drugą odpowiedź.

Najbardziej uderzyło Eddiego to, jak bardzo cywilizowane były te strony. W porównaniu z nimi Lud z walczącymi ze sobą Siwymi i Młodymi wydawał się wyspą ludożerców z morskiej powieści przygodowej. Ci ludzie mieli drogi, prawo i system sprawowania władzy, który przypominał mu rady mieszkańców w miasteczkach Nowej Anglii. Mieli miejską salę narad oraz wici, które były zarazem symbolem władzy. Jeśli chciałeś zwołać posiedzenie, rozsyłałeś wici. Jeśli wystarczająca liczba osób dotknęła ich, gdy przyniesiono je do domów, odbywało się zebranie. W przeciwnym razie nie dochodziło do spotkania. Z wiciami wysyłano dwóch posłańców i ich obliczeniom ufano bez zastrzeżeń. Eddie wątpił, aby ten system sprawdził się w Nowym Jorku, lecz w takim miasteczku wydawał się doskonałym sposobem załatwiania spraw.

Było co najmniej siedemdziesiąt innych Calla, rozciągniętych półkolem na północ i południe od Calla Bryn Sturgis. Calla Bryn Lockwood na południu i Calla Amity na północy również składały się z farm i gospodarstw. One także były okresowo nawiedzane przez Wilki. Dalej na południu leżały Calla Bryn Bouse i Calla Staffel, obejmujące ogromne obszary pastwisk. Jaffords powiedział, że Wilki napadały i na nie... a przynajmniej tak sądził. Jeszcze dalej na północ leżały Calla Sen Pinder i Calla Sen Chre, gdzie uprawiano ziemię i hodowano owce.

— Tamtejsze farmy są spore — powiedział Tian — ale coraz mniejsze, w miarę jak posuwa się na północ ku terenom,

na których pada śnieg. Przynajmniej tak mi mówiono, bo sam nigdy tam nie byłem. Robią tam wspaniały ser.

— Ci na północy noszą drewniane buty, a przynajmniej tak się mówi — powiedziała Eddiemu Zalia z lekką zazdrością. Sama nosiła ciężkie buciory, które nazywano tu roboczym obuwiem.

Mieszkańcy pogranicza niewiele podróżowali, ale w razie potrzeby mieli do tego drogi, i handel wymienny kwitł. Oprócz dróg była jeszcze Whye, czasem zwana Wielką Rzeką. Płynęła na południe od Calla Bryn Sturgis aż do Mórz Południowych, a przynajmniej tak powiadano. Były Calla górnicze i przemysłowe (gdzie produkowano rzeczy za pomocą maszyn parowych, a nawet elektrycznych!), a także Calla, która zapewniała wszystkie możliwe rozrywki: hazard i przejażdżki, i...

W tym momencie Tian pochwycił spojrzenie Zalii i odszedł na bok, żeby dołożyć sobie fasoli oraz sałatki zrobionej przez żonę.

— Zatem — powiedział Eddie, kreśląc łuk na ziemi — to jest pogranicze. Calla. Tworzące półokrąg, biegnący z południa na północ przez... Jak daleko, Zalia?

— To męskie sprawy — odparła. Potem, ujrawszy, że jej mąż wciąż kręci się przy dogasającym ognisku, zaglądając do garnków, nachyliła się do Eddiego. — Liczysz w milach czy kołach?

— W obu, ale lepiej w milach. Kiwnęła głową.

— Może dwa tysiące mil w tę stronę... — Wskazała na północ. — I dwa razy tyle w tę.

Wyciągnęła rękę na południe. Przez chwilę pozostała w tej pozycji, z rozłożonymi rękami, po czym opuściła je, złożyła na podolku i znów skromnie zamilkła.

— I te miasteczka... te Calla... rozciągają się na całym tym obszarze?

— Tak nam mówiono, za pozwoleniem, a handlarze przez cały czas przychodzą i odchodzą. Na północny zachód stąd Wielka Rzeka rozwidła się. Wschodnią odnogę nazywamy Devar-Tete Whye, albo Małą Whye. Oczywiście więcej łodzi przypluwa tutaj z północy, gdyż rzeka płynie z północy na południe, wiesz.

— Wiem. A na wschodzie?

Spuściła głowę.

— Jądro Gromu — powiedziała tak cicho, że Eddie ledwie to dosłyszał. — Tam nikt nie chodzi.

— Dlaczego?

— Tam jest ciemno — odparła, nie podnosząc głowy. Potem wyciągnęła rękę. W kierunku, z którego nadeszli Roland i jego przyjaciele. W stronę Świata Pośredniego. — Tam — wyjaśniła — kończy się świat. A przynajmniej tak nam mówiono. A tam... — Wskazała na wschód i spojrzała na Eddiego. — Tam, w Jądrze Gromu, już się skończył. A pośrodku znajdujemy się my, którzy chcemy tylko żyć w spokoju. I sądzisz, że to się wam uda?

— Nie.

I Eddie dostrzegł w jej oczach łzy.

2

Wkrótce potem Eddie przeprosił i odszedł na chwilę w gąszcz drzew. Kiedy się podnosił i chciał zerwać garść liści do podtarcia, tuż za plecami usłyszał głos:

— Nie tymi, *sai*, jeśli łaska. To trujące ziele. Jeśli się nimi wytrzesz, będzie bardzo swędziało.

Eddie podskoczył i błyskawicznie odwrócił się, jedną ręką chwytając pasek spodni, a drugą pas z rewolwerem Rolanda, wiszący na gałęzi pobliskiego drzewa. Zaraz jednak poznał mówiącego i trochę się uspokoił.

— Andy, to naprawdę wrednie zaczajać się na człowieka, kiedy wali kupę. — Potem wskazał na kępę niskich krzaków. — A co z tymi? Będę miał kłopoty, jeśli podetrę się nimi?

Robot milczał i pobrażkiwał.

— No co? — spytał Eddie. — Zrobiłem coś nie tak?

— Nie — odparł Andy. — Po prostu przetwarzam informacje, *sai*. *Wrednie*: nieznane słowo. *Zaczajać się*: nie robiłem tego, po prostu przyszedłem. *Walić kupę*: prawdopodobnie slangowe określenie wydalania...

— Taak — przerwał mu Eddie — właśnie tak. Posłuchaj jednak, Andy. Jeśli się nie czałeś, to jak to możliwe, że cię nie

— 156

słyszałem? Chcę powiedzieć, że tu jest poszycie. Większość osób robi choć trochę hałasu, idąc przez krzaki.

— Ja nie jestem osobą, *sai* — rzekł Andy.

Eddie miał wrażenie, że w głosie robota słyszy kpinę.

— No to facetem. Jak taki wielki facet jak ty może poruszać się tak cicho?

— Oprogramowanie — wyjaśnił Andy. — Te liście będą dobre, wiesz.

Eddie przewrócił oczami, po czym zerwał garść.

— No tak. Oprogramowanie. Jasne. Powiniennem wiedzieć. Dzięki, *sai*, długich dni, pocałuj mnie w dupę i idź do nieba.

— Niebo — powiedział Andy. — Miejsce, gdzie idzie się po śmierci, rodzaj raj. Według Starego Człowieka, ci, którzy idą do nieba, zasiądą po prawicy Boga Ojca Wszzechmogącego na wieki wieków.

— Ach tak? A kto zasiądzie po jego lewej ręce? Wszyscy drobni handlarze tandetą?

— Nie wiem, *sai*. Nie znam tego słowa. Chcesz poznać swój horoskop?

— Czemu nie? — powiedział Eddie.

Ruszył z powrotem do obozu, kierując się śmiechem chłopców i powarkiwaniem billy-bumblera. Andy kroczył obok niego, lśniąc pomimo zachmurzonego nieba i poruszając się zupełnie bezgłośnie. Niesamowite.

— Możesz mi podać datę twojego urodzenia, *sai*?

Eddie uznał, że na to pytanie ma gotową odpowiedź.

— Jestem z miesiąca Kozy — powiedział i przypomniał sobie jeszcze coś. — A właściwie brodatego Kozła.

— Zima przynosi śnieżne zamieci oraz silne i nieznośne dzieci — wyrecytował Andy. Teraz w jego głosie wyraźnie było słychać drwinę.

— Silny i nieznośny to cały ja — zauważył Eddie. — Już od miesiąca nie wziąłem porządnej kąpieli, więc możesz mi wierzyć, że mój zapach jest silny i nieznośny. Czego ci jeszcze potrzeba, Andy, staruszk? Chcesz spojrzeć na moją dłoń albo co?

— To nie będzie konieczne, *sai* Eddie.

W głosie robota słychać było zadowolenie i Eddie pomyślał: *Oto ja, niosący radość wszystkim. Nawet roboty mnie kochają. To moje ka.*

— Mamy porę Pełnej Ziemi, za co bądźmy wdzięczni. Księżyc jest czerwony, taki jaki w Świecie Pośrednim nazywano Księżycem Łowczyńi. Będziesz podróżował, Eddie! Będziesz podróżował daleko! Ty i twoi przyjaciele! Jeszcze tej nocy wrócisz do Calla Nowy Jork. Spotkasz czarną damę. I...

— Chcę usłyszeć coś więcej o tej wycieczce do Nowego Jorku — rzekł Eddie, przystając. Tuż przed nim leżało obozowisko. Był tak blisko, że już widział kręcących się w nim ludzi. — Nie żartuj sobie ze mnie, Andy.

— Wpadniesz w trans, Eddie! Ty i twoi przyjaciele. Musisz uważać. Kiedy usłyszycie *kammen...* te dźwięki, które dobrze znacie... musisz skupić się na sobie. Żeby się nie pogubić.

— Skąd ty o tym wiesz? — zapytał Eddie.

— Oprogramowanie — odrzekł Andy. — Koniec horoskopu, *sai*. Bez opłaty. — I zaraz dodał coś, co zdaniem Eddiego było najlepszym podsumowaniem tej surrealistycznej rozmowy: — *Sai Callahan*, czyli Stary Człowiek, jak wiesz, mówi, że nie mam licencji na wróżenie, więc nie mogę pobierać opłat.

— *Sai Callahan* ma rację — powiedział Eddie i kiedy Andy znowu ruszył naprzód, dodał: — Zaczekaj chwilkę, Andy. Zrób to, błagam.

To niesamowite, jak szybko przyswoił sobie tutejszy żargon. Andy posłusznie zatrzymał się i odwrócił do Eddiego, błyskając niebieskimi oczami. Eddie miał co najmniej tysiąc pytań związanych z transem, lecz w tym momencie bardziej interesowało go coś innego.

— Wiedziałeś o tych Wilkach.

— Och tak. Powiedziałem *sai* Tianowi. Był wściekły. Eddie ponownie usłyszał w głosie Andy'ego coś jakby kpinę.

Może jednak tylko mu się tak wydawało? Przecież robot, nawet będący reliktem dawnych dni, nie mógł cieszyć się z ludzkiego nieszczęścia. Prawda?

Szybko zapomniałeś o pociągu, co, złotko? — usłyszał w myślach głos Susannah. A potem Jake'a: *Blaine jest cierpieniem. I swój własny: Eddie, stary draniu, jeśli traktujesz tego faceta jak odpustową maszynę do losowania wróżb, to sam sobie na to zasłużyłeś.*

— Opowiedz mi o Wilkach — zażądał.

— Co chciałbyś wiedzieć, *sai* Eddie?

— Na początek, skąd przybywają? Gdzie wyciągają nogi i spokojnie puszczaają baki? Dla kogo pracują? Dlaczego porywają dzieci? I dlaczego porwane wracają później odmienione? — W następnej chwili przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie. Może najważniejsze. — A także skąd wiesz, kiedy przybywają?

Z wnętrza Andy'ego napłynęło pobrzękiwanie. Intensywne i tym razem trwające prawie minutę. Kiedy robot znów się odezwał, przemówił innym głosem. Eddiemu przypomniał się posterunkowy Bosconi z jego dzielnicy. Bosco Bob patrolował Brooklyn Avenue. Jeśli po prostu go spotkałeś, idącego ulicą i kręcącego pałką, Bosco rozmawiał z tobą jak z człowiekiem i sam też zachowywał się jak człowiek: jak leci, Eddie, jak się ma twoja mama, co u twojego nicponia brata, czy wystąpisz w lidze juniorów, w porządku, do zobaczenia na sali, nie pal, miłego dnia. Jeśli jednak sądził, że coś przeszkrobałeś, Bosco Bob zmieniał się w faceta, którego wolałbyś nie znać. Ten posterunkowy Bosconi nie uśmiechał się, a jego oczy za szklami okularów były jak skute lodem kałuże w lutym (który przypadkiem był miesiącem Kozy po tej stronie tego Wielkiego Czegoś). Bosco Bob nigdy nie uderzył Eddiego, ale kilka razy — na przykład tuż po tym, jak jacyś chłopcy podpalili Woo Kim's Market — był pewien, że ten granatowy sukinyś zdzieliłby go, gdyby Eddie szybko się nie zmył. To nie była schizofrenia — przynajmniej nie w czystym wydaniu Detty/Odetty — ale prawie. Były dwie wersje posterunkowego Bosconiego. Jeden z nich był miłym facetem. Drugi gliniarzem.

Kiedy Andy znów się odezwał, nie mówił już głosem dobrodusznego, lecz głupawego wujaszka, bezgranicznie wierzącego w publikowane na łamach „Inside View” historyjki o chłopcu-krokodylu i Elvisie żyjącym w dalszym ciągu w Buenos Aires. Głos Andy'ego był beznamiętny i suchy. Innymi słowy, był to głos prawdziwego robota.

— Twoje hasło dostępu, *sai* Eddie?

— Co?

— Hasło. Masz dziesięć sekund. Dziewięć... osiem... siedem...

Eddiemu przypomniały się filmy szpiegowskie.

— Czyżbym miał powiedzieć coś takiego jak „Róże zakwitły

w Kairze", na co ty odpowiesz: „Tylko w ogrodzie pani Wilson", na co ja...

— Niewłaściwe hasło, *sai* Eddie. Dwie... jedna... zero.

Z wnętrza Andy'ego wydobył się głuchy łoskot, który Ediemu wydał się bardzo nieprzyjemny. Przypominał dźwięk ostrego tasaka przecinającego mięso i wbijającego się w drewniany pień pod spodem. Po raz pierwszy pomyślał o Dawnych Ludziach, którzy z pewnością skonstruowali Andy'ego (a może zrobili to ludzie żyjący jeszcze wcześniej, Naprawdę Dawni Ludzie, któż to wie?). Jeśli byli tacy jak ich ostatni potomkowie mieszkający w mieście Lud, to Eddie nie miał ochoty ich poznać.

— Możesz spróbować jeszcze jeden raz — rozległ się chłodny głos. Przypominał ten, którym niedawno spytał Eddiego, czy chciałby poznać swój horoskop, ale to podobieństwo w najlepszym razie można było nazwać nikłym. — Chcesz spróbować ponownie, Eddie z Nowego Jorku?

Eddie błyskawicznie się namyślił.

— Nie — odparł — to mi wystarczy. To zastrzeżona informacja, tak?

Znowu pobrząkiwania.

— *Zastrzeżona*: poufna, rozpowszechniana w ustalonych granicach jako informacja w danym dokumencie lub na dysku, do wiadomości osób mających do niej dostęp, które autoryzują się, podając właściwe hasło. — Po kolejnej chwili namysłu Andy odpowiedział: — Tak, Eddie. To zastrzeżona informacja.

— Dlaczego?

Nie spodziewał się odpowiedzi, lecz Andy udzielił jej.

— Dyrektywa dziewiętnasta.

Eddie trącił go w stalowy bok.

— Mój przyjacielu, to wcale mnie nie dziwi. Oczywiście dyrektywa dziewiętnasta.

— Chcesz poznać swój rozszerzony horoskop, *Eddie-sail*

— Myślę, że sobie odpuszczę.

— A może posłuchać piosenki o mleku od wściekłej krowy, które piłem zeszłej nocy? Ma wiele zabawnych zwrotek.

Gdzieś z wnętrza Andy'ego wydobyły się pierwsze piskliwe nuty. Eddie, któremu perspektywa wysłuchania wielu zabawnych zwrotek wydała się nieco przerażająca, przyspieszył kroku.

— Może odłożymy to na później? — powiedział. — Teraz chyba mam ochotę na następny kubek kawy.

— Baw się dobrze, *sai* — rzekł Andy.

Eddie miał wrażenie, że powiedział to ze smutkiem. Jak Mosco Bob w chwili, kiedy usłyszał, że chyba będziesz zbyt zajęty, żeby tego lata grać w drużynie juniorów.

3

Roland siedział na kamieniu, pijąc kawę z kubka. Wysłuchał Eddiego, nie odzywając się i niemal nie zmieniając wyrazu twarzy. Tylko lekko unióśł brwi, kiedy Dean wspomniał o dyrektywie dziewiętnastej.

Po drugiej stronie polany młody Slightman wyjął lufkę, którą puszczał bardzo duże bańki mydlane. Ej uganiał się za nimi i usiłował łapać je zębami, a potem pojął, czego chciał od niego Slightman, i zaczął układać z nich kruchą piramidę światła. Na widok baniek mydlanych Eddiemu przypomniała się Tęcza Czarnoksiężnika — te groźne szklane kule. Czy Callahan naprawdę miał jedną z nich? W dodatku tę najniebezpieczniejszą?

Za chłopcami, na skraju polanki, stał Andy ze srebrzystymi ramionami splecionymi na piersi z nierdzewnej stali. Eddie domyślił się, że robot czeka, żeby posprzątać po posiłku, który przyniósł tu dla nich i przygotował. Idealny sługa. Gotuje, sprząta i przepowiada spotkanie z czarną damą. Tylko nie spodziewaj się, że naruszy dyrektywę numer dziewiętnaście. Przynajmniej nie bez hasła.

— Podejdźcie do mnie, dobrze? — poprosił Roland, lekko podnosząc głos. — Czas na krótką naradę. To nie potrwa długo, co jest korzystne przynajmniej dla nas, gdyż my już się naradziliśmy, zanim przyszedł do nas *sai* Callahan, a po pewnym czasie każdy temat nuży.

Podeszli i usiedli przy nim jak posłuszne dzieci, zarówno ci z Calla, jak i ci, którzy przybyli tu z daleka i mieli odejść jeszcze znacznie dalej.

— Najpierw chciałbym usłyszeć, co wiecie o Wilkach. Eddie mówi mi, że Andy nie może wyjawić, w jaki sposób dowiaduje się o ich przybyciu.

— Prawdę powiadasz — mruknął starszy Slightman. — Albo zabronili mu tego ci, którzy go zrobili, albo ci, którzy przyszli później, chociaż zawsze nas ostrzega. Natomiast na wszystkie inne tematy potrafi gadać bez przerwy.

Roland spojrzął na najbogatszego farmera w Calla Bryn Sturgis.

— Może nas wprowadzisz, *sai* Overholser?

Tian Jaffords wyglądał na lekko rozczarowanego tym, że rewolwerowiec nie zwrócił się do niego. Jego żona wyglądała na rozczarowaną ze względu na niego. Starszy Slightman skinął głową, jakby dokonany przez Rolanda wybór był jedynym możliwym. Wbrew oczekiwaniom Eddiego, Overholser nie nadął się. Zamiast tego przez jakieś trzydzieści sekund spoglądał na swoje skrzyżowane nogi i sfatygowane buciory, w zadumie pocierając brodę. Na polance było tak cicho, że Eddie słyszał chrobot dłoni farmera na dwu- lub trzydniowej szczecinie. W końcu westchnął, kiwnął głową i spojrzął na Rolanda.

— Dzięki wam. Muszę rzec, iż nie jesteś taki, jak sądziłem. I twoje *teł* także. — Overholser zwrócił się do Tiana. — Miałeś rację, sprowadzając nas tutaj, Tianie Jaffordsie. To spotkanie było potrzebne, i dziękuję ci za nie.

— To nie ja was tu sprowadziłem — rzekł Jaffords. — To Stary Człowiek.

Overholser skłonił się Callahanowi. Ten odpowiedział takim samym skinieniem, po czym pooraną bliznami dłonią nakreślił w powietrzu znak krzyża — jakby chciał dać do zrozumienia, pomyślał Eddie, że nie zrobił tego on, lecz Bóg. Być może, ale jeśli chodzi o wyciąganie kasztanów z ognia, na Rolanda z Gilead postawiłby dwa dolary za każdego postawionego na Boga Ojca i Pana Jezusa, tych niebiańskich rewolwerowców.

Roland czekał, spokojnie i uprzejmie.

Wreszcie Overholser zaczął mówić. Mówił przez prawie piętnaście minut, powoli, ale zawsze na temat. Na początek o bliźniętach. Mieszkańcy Calla Bryn Sturgis zdawali sobie sprawę z tego, że w innych stronach i czasach bliźnięta były wyjątkiem, a nie regułą, lecz w tej części Wielkiego Półksiężycza rzadkością były dzieci rodzące się pojedynczo, tak jak Aaron Jaffordsów. Ogromną rzadkością.

I przed około stu dwudziestu laty (a może stu pięćdziesięciu,

bo ze względu na kaprysy czasu trudno było to dokładnie określić) zaczęły się napady Wilków. Nie przybywali w regularnych odstępach czasu i nie w każdym pokoleniu, ale mniej więcej co dwadzieścia parę lat.

Eddie zastanawiał się, czy nie zapytać Overholsera i Slightmana, w jaki sposób Starzy Ludzie mogli zakazać Andy'emu mówić o Wilkach, jeśli te nadciągały z Jądra Gromu dopiero od niecałych dwóch wieków, ale rozmyślił się. Roland powiedziałby mu, że zadawanie pytań, na które nie uzyska się odpowiedzi, to strata czasu. Mimo wszystko to interesująca kwestia, no nie? Ciekawe, kiedy ktoś (lub coś) po raz ostatni zaprogramował Andy'ego Pośląca (I Wiele Innych Funkcji).

A także dlaczego.

Dzieci, powiedział Overholser, po jednym z każdej pary w wieku od trzech do czternastu lat, zabierano na wschód, w góry Jądra Gromu. (Eddie zauważył, że przy tych słowach starszy Slightman położył rękę na ramionach syna). Pozostawały tam stosunkowo krótko — jakieś cztery do ośmiu tygodni. Potem większość z nich wracała. Zakładano, że te nieliczne, które nie wracały, umierały w Kranie Ciemności, gdy jakiś złowrogi rytuał, któremu je poddawano, zabijał je, a nie tylko pozbawiał zmysłów.

Te, które wracały, w najlepszym razie były ograniczone umysłowo. Pięcioletnie dziecko nie pamiętało z trudem nabytej umiejętności mówienia, potrafiąc tylko bełkotać i wyciągać ręce po to, czego chciało. Odstawione dwa lub trzy lata wcześniej pieluchy wracały do łask i były używane, aż taki pokur ukończył dziesięć, a nawet dwanaście lat.

— Do licha, Tia wciąż przynajmniej raz na tydzień zleje się w spodnie, a raz na miesiąc robi pod siebie — rzekł Jaffords.

— Słuchajcie go — przytaknął ponuro Overholser. — Mój brat Welland też taki był, dopóki nie umarł. A ponadto trzeba ich nieustannie pilnować, bo jeśli znajdą coś, co im posmakuje, upchają się, aż pękną. Kto pilnuje twojej siostry, Tian?

— Moja kuzynka — odpowiedziała Zalia, zanim Tian zdążył się odezwać. — Heddon i Hedda też mogą już trochę pomóc, są w takim wieku...

Urwała, uświadomiwszy sobie, co to oznacza. Skrzywiła się i zamilkła. Eddie rozumiał ją. Heddon i Hedda mogli teraz jej

pomóc. W przyszłym roku jedno z nich też będzie pomagało. Lecz drugie...

Porwane dziesięcioletnie dziecko mogło wrócić, pamiętając kilka słów, ale niewiele więcej. Najstarsze z tych, które porywano, w pewnym sensie były w najgorszej sytuacji, gdyż po powrocie zdawały się rozumieć, co im uczyniono. Czego pozbawiono. Te często płakały lub po prostu siadywały nieruchomo i spoglądały na wschód, jak zagubione. Jakby wypatrywały tam swoich biednych umysłów, krążących niczym ptaki po czarnym niebie. W przeszłości kilkoro takich dzieci popełniło samobójstwo. (Przy tych słowach Callahan ponownie się przeżegnał).

Pokury miały dziecinną posturę, właściwy dzieciom sposób mówienia i zachowania, dopóki nie ukończyły szesnastu lat. Wtedy nagle większość z nich gwałtownie rosta, zmieniając się w młode olbrzymy.

— Nie macie pojęcia, jak to jest, jeśli tego nie widzieliście i nie doświadczyliście — powiedział Tian. Spoglądał w popiół ogniska. — Nie macie pojęcia, jak ich to boli. Wiecie, jak płacze dziecko, kiedy wyrzynają mu się zęby?

— Tak — odpowiedziała Susannah.

Tian skinął głową.

— No właśnie, to wygląda tak, jakby całe ciało pokura ząbkowało.

— Słuchajcie go — rzekł Overholser. — Przez szesnaście lub osiemnaście miesięcy mój brat tylko spał, jadł, płakał i rósł. Pamiętam, że krzyczał nawet we śnie. Kiedyś wstałem z łóżka i podszedłem do niego. Usłyszałem szmer dobywający się z jego piersi, rąk i nóg. To był odgłos wydłużających się kości.

Eddie usiłował sobie wyobrazić ten koszmarny widok. Kiedy oglądasz bajki o olbrzymach — na przykład te Disneya — nigdy nie zastanawiasz się, jak stały się olbrzymami. *Jakby całe ciało ząbkowało*, pomyślał Eddie i wzdrygnął się.

— To trwało półtora roku, nie dłużej, ale zastanawiam się, ile to trwało dla nich, niemających poczucia czasu, jak ptaki czy chrząszcze.

— Nieskończenie długo — powiedziała Susannah. Była blada i przejęta. — Z pewnością strasznie im się dłużyło.

— Te nocne szmery ich rosnących kości — ciągnął Overholser. — Bóle głowy, gdy rosły czaszki.

— Raz Zalman krzychał dziewięć dni bez przerwy — wtrąciła Zalia. Powiedziała to beznamiętnie, lecz w jej oczach Eddie dostrzegł przerażenie. Widział je bardzo dobrze. — Rozrastały mu się kości policzkowe. Można to było zobaczyć gołym okiem. Czoło powiększało się i kiedy przyłożyłeś do niego ucho, słychać było trzeszczenie powiększającej się czaszki. Dźwięk przypominający trzask gałęzi pod ciężarem lodu. Krzychał dziewięć dni. Dziewięć. Rano, w południe i w nocy. Wrzeszczał bez końca. Łzy ciekły mu z oczu. Modliliśmy się do wszystkich bogów, żeby ochrypl albo nawet stracił głos, ale nic takiego się nie zdarzyło, dziękować losowi. Gdybyśmy mieli broń, pewnie zastrzelilibyśmy go i skrócilibyśmy jego męki, gdy tak leżał na pryczy. Mój zacny stary ojciec już szykował się, żeby poderżnąć mu gardło, kiedy przestał. Kości wydłużały się jeszcze przez jakiś czas... jego szkielet, rozumiecie... ale czaszka była najgorsza, a ona wreszcie przestała rosnać, dziękować bogom i Jezusowi-Człowiekowi.

Skloniła się Callahanowi. Odpowiedział skinieniem głowy i podniósł rękę, pokazując jej rozstawione palce. Zalia zwróciła się do Rolanda i jego przyjaciół.

— Teraz mam pięcioro dzieci — mówiła dalej. — Aaron jest bezpieczny, dzięki losowi, lecz Heddon i Hedda mają po dziesięć lat, więc w najgorszym wieku. Lyman i Lia mają dopiero pięć, ale to wystarczy. Pięć...

Skryła twarz w dłoniach i nic powiedziała nic więcej.

4

Po zakończeniu okresu gwałtownego wzrostu, wyjaśniał Overholser, niektóre pokury mogą pracować. Inne — większość — nie nadają się nawet do takich prostych prac jak karczowanie pni czy wbijanie palików ogrodzenia. Widzi sieje siedzące na stopniach sklepu Tooka lub włóczące się po okolicy całymi chmarami — młodzieńców i dziewczyny ogromnego wzrostu, ogromnej wagi i głupoty — czasem śmiejące się do siebie i bełkoczące, czasem tylko gapiące się w niebo.

Nie parzą się, za co należy dziękować losowi. Chociaż nie zawsze osiągną tak ogromne rozmiary i są niejednakowo upośledzone umysłowo, pod jednym względem wszystkie są takie same: wracają seksualnie martwe.

— Błagam o wybaczenie, ale powiem bez ogródek — rzekł Cwerholser. — Nie sądzę, żeby po powrocie mojemu bratu Wellandowi stanął choćby przy sikaniu. Zalia? Czy widziałaś kiedyś u brata... no wiesz...

Potrząsnęła głową.

— W jakim byłeś wieku, kiedy przybyli, *sai* Cwerholser? — zapytał Roland.

— Przybyli po raz pierwszy, tak? Welland i ja mieliśmy dziewięć lat.

Overholser mówił teraz pospiesznie. W wyniku tego wydało się, że wygłasza uprzednio przygotowaną przemowę, ale Eddie nie sądził, żeby tak było naprawdę. Overholser był kimś w Calla Bryn Sturgis. Był, niech nas Bóg ma w opiece, bogatym farmerem. Z trudem wracał myślami do czasów, gdy był małym dzieckiem, bezradnym i przestraszonym.

— Nasi rodzice próbowali ukryć nas w piwnicy. A przynajmniej tak mi mówiono. Ja niczego nie pamiętam. Pewnie postarałem się zapomnieć. Taa, na pewno. Niektórzy pamiętają więcej, Rolandzie, ale wszystkie opowieści sprowadzają się do tego samego: jedno dziecko zabierają, drugie zostawiają. Zabrane wraca jako pokur, może nawet zdolny do pracy, lecz martwy poniżej pasa. A potem, po trzydziestce...

Po ukończeniu trzydziestu lat odmienione dzieci gwałtownie się starzeją. Włosy im siwieją i często zupełnie wypadają. Oczy mętnieją. Niegdyś okazałe mięśnie (takie jak teraz ma Tia Jaffords i Zalman Hoonik) wiotczejai zanikają. Czasem pokury umierają spokojnie, we śnie. Częściej jednak ten koniec wcale nie jest spokojny. Dostają wrzodów, czasami na skórze, ale częściej w brzuchu lub w głowie. W mózgu. Wszystkie umierają dużo wcześniej, niż stałoby się to, gdyby nie odmieniły ich Wilki, a wiele z nich w taki sam sposób, w jaki zmieniły się z normalnych dzieci w olbrzymy: krzyżąc z bólu. Eddie zastanawiał się, ilu tych idiotów, umierających prawdopodobnie na chorobę nowotworową, cichcem uduszono lub podano im silny środek nasenny, który uwolnił ich od cierpień, usypiając

na zawsze. Nie było to pytanie, które zadałby głośno, ale domyślał się, że wielu. Roland czasem używał słowa *delah*, któremu zawsze towarzyszyło lekkie machnięcie ręką w kierunku horyzontu.

Wielu.

Ludzie z Calla Bryn Sturgis, którym zagrożenie rozwiązało języki i odświeżyło pamięć, mogliby długo snuć takie ponure wspomnienia, lecz Roland nie pozwolił im na to.

— Teraz opowiedzcie o Wilkach, błagam. Ile ich do was przybywa?

— Czterdzieści — rzekł Tian Jaffords.

— Na całe miasteczko? — spytał starszy Slightman. — Nie, więcej niż czterdzieści. — I lekko przepraszająco rzekł do liana: — Kiedy były tu ostatnio, miałeś zaledwie dziewięć lat, Tian. Ja miałem ponad dwadzieścia. Może w mieście było ich czterdzieści, ale więcej w okolicznych farmach i zagrodach. Powiedziałbym, że było ich sześćdziesiąt, Roland-sa!, może osiemdziesiąt.

Roland spojrział na Overholsera, lekko unosząc brwi.

— Minęły dwadzieścia trzy lata, rozumiesz — rzekł Overholser — ale powiedziałbym, że było ich sześćdziesiąt.

— Nazywacie je Wilkami, lecz kim są naprawdę? Czy to ludzie? A może inne stworzenia?

Cwerholser, Slightman, Tian i Zalia... przez moment Eddie miał wrażenie, że czuje, niemal słyszy, jak dzielą *khef*. Poczul się samotny i odtrącony tak jak wtedy, kiedy widzisz całującą się na ulicy parę, objętą i patrzącą sobie w oczy, zajęta wyłącznie sobą. No cóż, on nie powinien już tak się czuć, no nie? Miał swoje *ka-tet* i *khef*. Nie wspominając już o swojej kobiecie.

Tymczasem Roland niecierpliwie kręcił młynka palcami. Eddie doskonale znał ten gest. *No dalej, ludzie* — oznaczał — *tracimy czas*.

— Trudno powiedzieć, kim są — odparł Overholser. — Wyglądają jak ludzie, ale noszą maski.

— Wilcze maski — podsunęła Susannah.

— Wilcze maski, szare jak ich konie.

— Mówicie, że wszyscy mają siwe konie? — zapytał Roland.

Tym razem milczenie trwało krócej, lecz Eddie znów wyczuł

khafi ka-tet, umysły porozumiewające się w sposób tak pierwotny, że nie można go było nazwać telepatią, gdyż był znacznie od niej starszy.

— Do licha! — rzekł Overholser, co w miejscowym slangu wydawało się oznaczać: *No jasne, do cholery, i nie obrażaj mnie takimi pytaniami.* — Wszyscy na siwych koniach. I noszą szare spodnie, wyglądające jak druga skóra. Czarne buty z wielkimi i ostrymi, stalowymi ostrogami. Zielone płaszcze i kaptury. I te maski. Wiemy, że to maski, ponieważ znaleziono kilka takich, które porzucili. Wyglądają jak ze stali, ale gniją na słońcu jak mięso, obrzydliwość.

— Aha — powiedział Roland.

Overholser obrzucił go kosym spojrzeniem, lekko odchylając głowę na bok, jakby pytał: *Jesteś taki głupi, czy tylko wolno myślisz?*

— Ich konie pędzą jak wicher. Niektóre Wilki trzymają jedno dziecko przed sobą, a drugie z tyłu — dodał starszy Slightman.

— Naprawdę? — mruknął Roland.

Slightman energicznie kiwnął głową.

— Niech nas bogowie mają w opiece. — Zauważył, że Callahan znów robi znak krzyża w powietrzu i wzdycha. — Błagam o wybaczenie, Stary Człowieku.

Callahan wzruszył ramionami.

— Byliście tu przede mną. Wzywajcie takich bogów, jakich chcecie, ale musicie wiedzieć, że są fałszywymi bóstwami.

— I przybywają z Jądra Gromu — rzekł Roland, ignorując tę wymianę zdań.

— Taak — potwierdził Cwerholser. — Widać tę krainę leżącą mniej więcej sto kół stąd. — Wskazał na południowy wschód. — My wyszliśmy z lasów na ostatnią wyżynę przed Półksiężycem. Widać stamtąd całą Wschodnią Równinę, a za nią ciemność jak deszczową chmurę na horyzoncie. Mówi się, Rolandzie, że dawno temu widać tam było góry.

— Jak Góry Skaliste w Nebrasce — westchnął Jake. Overholser zerknął na niego.

— Błagam o wybaczenie, *Jake-soh?*

— Nic, nic — rzucił Jake i obdarzył farmera krzywym uśmiechem. Tymczasem Eddie zanotował w pamięci to, jak

()verholser nazwał chłopca. Nie *sai*, lecz *soh*. Kolejny interesujący fakt.

— Słyszeliśmy o Jądrze Gromu — powiedział Roland. Jego beznamiętny głos był dziwnie przerażający i Eddie się ucieszył, gdy Susannah niepostrzeżenie ujęła dłoń Rolanda.

— To kraina wampirów, strachów i zjaw — dodała Zalia cichym, lekko drżącym głosem. — Oczywiście, to stare opowieści...

— Ale prawdziwe — rzekł Callahan. Jego głos brzmiał szorstko, lecz Eddie usłyszał w nim lęk. Bardzo wyraźnie. — Tam są wampiry, a także zapewne inne stwory, Jądro Gromu jest ich siedzibą. Możemy o tym porozmawiać innym razem, rewolwerowcze, jeśli zechcesz. Teraz uwierz mi, błagam, gdyż sporo wiem o wampirach. Nie mam pojęcia, czy Wilki porywają dzieci dla nich... myślę, że nie... ale owszem, wampiry tam są.

— Dlaczego sądzisz, że w to wątpię? — spytał Roland. Callahan spuścił oczy.

— Ponieważ wielu w to wątpi. Ja kiedyś też wątpiłem. Miałem wiele wątpliwości i... — Załamał mu się głos. Odkasznął i dokończył niemal szeptem: — 1 to mnie zgubiło.

Roland przez chwilę milczał, siedząc w kucki, obejmując rękami kościste kolana i nieznacznie kołysząc się do przodu i do tyłu. Potem zapytał Overholsera:

— O jakiej porze przybywają?

— Kiedy porwali mojego brata Wellanda, był ranek — odparł farmer. — Niedługo po śniadaniu. Pamiętam to, ponieważ Welland zapytał mamę, czy może zabrać do piwnicy kubek z kawą. A ostatnim razem... kiedy przybyły i porwały siostrę Tiana, brata Zalii i wielu innych...

— Ja straciłem dwie siostrzenice i siostrzeńca — rzekł starszy Slightman.

— To było niedługo po południowym dzwonie nad salą zgromadzeń. Wiemy, kiedy przyjadą, gdyż Andy to wie i uprzedza nas. Potem słyszymy łoskot kopyt ich koni, gdy przybywają ze wschodu, i widzimy tuman kurzu, wzbijany...

— Zatem wiecie, że nadjeżdżają — przerwał mu Roland. — W rzeczy samej macie trzy znaki: ostrzeżenie Andy'ego, łoskot kopyt ich koni i tuman wzbijanego przez nie kurzu.

Overholser, zrozumiawszy aluzję, poczerwieniał jak burak, od wydatnych policzków po szyję.

— One przybývają uzbrojone, wiesz. Z karabinami i takimi rewolwerami, jakie ma twój teta, a także granatami i innymi rodzajami broni. Straszliwej broni Dawnych Ludzi. Z kijami świetlnymi, których dotknięcie zabija, oraz latającymi kulami, zwanymi sondami lub chwytaczami. Od kijów świetlnych czerwienieje skóra i serce przestaje bić. Może są elektryczne albo...

Następne wypowiedziane przez Overholsera słowo zabrzmiało w uszach Eddiego jak „anatomowe”. W pierwszej chwili pomyślał, że farmer chciał powiedzieć „anatomiczne”, lecz po chwili zrozumiał, że zapewne chodziło o „atomowe”.

— Kiedy sondy cię wyczują, dopadną cię, choćbyś nie wiem jak szybko uciekał — wtrącił żywo chłopak Slightmana — i uskakiwał. Prawda, tato?

— Tak, do licha — potwierdził starszy Slightman. — A potem wysuwają ostrza, które wirują tak szybko, że wcale ich nie widać, i tną człowieka na plasterki.

— Wszyscy na siwych koniach — głośno myślał Roland. — Każdy rumak tego samego koloru. Co jeszcze?

Najwidoczniej nic. Powiedzieli już wszystko. Wilki przybýwały ze wschodu w dniu przewidzianym przez Andy'ego i przez jedną straszną godzinę — może nieco dłużej — Calla wypełniał gromowy łoskot kopyt siwych koni i krzyki zrozpaczonych rodziców. Powiewały zielone płaszcze. Szczyrzyły się wilcze maski, które wyglądały jak z metalu i gniły na słońcu. Napastnicy porýwali dzieci. Czasem przeoczyli kilkoro, co dowodziło, że nie byli nieomylni. Mimo to musieli mieć piekielnie dobre informacje, pomyślał Eddie, gdyż jeśli dzieci umieszczono u krewnych (co często się zdarzało) lub ukryto w domu (co robiono niemal zawsze), Wilki i tak je znajdowały, i to bardzo szybko. Nawet pod stertą buraków lub siana. Ci mieszkańcy, którzy próbowali stawiać opór, zostawali zastrzeleni, usmażeni kijami świetlnymi (czyżby jakiegoś rodzaju laserami?) lub posiekani na kawałki przez latające sondy. Kiedy próbował wyobrazić sobie te ostatnie, wciąż przypominał mu się krwawy horror, na który zaciągnął go Henry. Film nosił tytuł *Zjawa*. Byli na nim w starym kinie Majestic. Na rogu Brooklyn i Markey. Jak zbyt wiele rzeczy w jego życiu, Majestic śmierdział

170

moczem, prażoną kukurydzą i tanim winem, które sprzedawano zawinięte w torebki z brązowego papieru. Nieraz w przejściach leżały strzykawki. Nędzne kino, a mimo to czasami — zazwyczaj w nocy, kiedy nie mógł zasnąć — jakaś część jego duszy tęskniła za tym dawnym życiem, którego fragmentem było kino Majestic. Tęskniła jak porwany dzieciak za matką. Dzieci zostawały porwane, łoskot kopyt cichł w oddali, gdy napastnicy wracali tam, skąd przybyli. I to był koniec opowieści.

— Nie, chyba nie — powiedział Jake. — Przecież potem przywozili je z powrotem, prawda?

— Nie — zaprzeczył Overholser. — Pokury wracają pociągami. Słuchajcie, jest cała kupa tego złomu, który mógłbym wam pokazać... Co? Co się stało?

Jake'owi opadła szczęka i zbladł jak chusta.

— Niedawno mieliśmy bardzo przykre przejścia w pociągu — wyjaśniła Susannah. — Czy te pociągi, które odwożą wasze dzieci, są jednoszynowe?

Nie. W rzeczy samej, Overholser, Jaffordsowie i Slightmanowie nie mieli pojęcia, co to jest pociąg jednoszynowy. (Callahan, który jako dziecko był w Disneylandzie, wiedział). Pociągi odwożące dzieci były ciągnięte przez zwykłe stare lokomotywy (*mięjmy nadzieję, że żadna z nich nie nazywała się Charlie*, pomyślał Eddie) bez maszynisty i składały się z jednego lub dwóch otwartych wagonów. W nich kulili się dzieci. Zazwyczaj przyjeżdżały zapłakane ze strachu (i oparzeń słonecznych, jeśli na zachód od Jądra Gromu było słonecznie), umazane jedzeniem i odchodami, a w dodatku odwodnione. Na końcu torów nie było żadnej stacji, chociaż zdaniem Overholsera przed wiekami mogła tam jakaś być. Po wyładowaniu dzieci zaprzęgano konie i ściągano krótkie składy z zardzewiałych szyn. Eddie pomyślał, że mogliby ustalić, ile razy Wilki napały na miasteczko, gdyby policzyli zełmowane maszyny, tak jak ustala się wiek drzewa po liczbie słoju jego pnia.

— Czy domyślacie się, jak długą odbywały wycieczkę? — zapytał Roland. — Sądząc po stanie, w jakim przyjeżdżały?

Wzruszyli ramionami i pokiwali głowami.

— Dwa lub trzy dni — rzekł Overholser do Rolanda, mówiąc z nieuzasadnioną pewnością siebie, w porównaniu z reakcją

pozostałych. — Dostatecznie długo, żeby doznać oparzeń słonecznych i zjeść większość racji żywnościowych...

— Albo pomazać się nimi — mruknął Slightman.

— Ale nie tak długo, żeby umrzeć w wyniku udaru lub wyiębienia — dokończył Overholser. — Jeśli chcecie zgadywać, jak daleko zabrano je od Calla, to życzę wam miłej zabawy, bo nikt nie wie, jaką szybkość rozwija pociąg, kiedy jedzie po równinie. Z drugiej strony rzeki pojawia się powoli i statecznie, lecz to o niczym nie świadczy.

— Racja — przyznał Roland. — Nie świadczy. — Zastanowił się. — Zostało nam dwadzieścia siedem dni?

— Teraz już tylko dwadzieścia sześć — poprawił go cicho Callahan.

— Jeszcze jedno, Rolandzie — powiedział Overholser.

Mówił przepaszającym tonem, ale wysunął szczękę. Eddie pomyślał, że znów zmienił się w faceta budzącego instynktową antypatię. Szczególnie jeśli ktoś tak jak Eddie nie lubił apodyktycznych typów.

Roland uniósł brwi w niemym pytaniu.

— Nie powiedzieliśmy „tak”.

Overholser zerknął na starszego Slightmana, jakby szukając u niego poparcia. Slightman kiwnął głową.

— Musicie zrozumieć, że nie mamy żadnego dowodu na to, że jesteście tymi, za których się podajecie — wyjaśnił przepaszającym tonem Slightman. — Moja rodzina wychowała się bez książek, a na ranczu Eisenharta, na którym jestem zarządcą, też nie ma żadnej poza spisami inwentarza, lecz, jak każdy chłopiec, dorastając, słyszałem wiele opowieści o Gilead, rewolwerowcach i potomkach Arthura Elda... o wzgórzu Jericho oraz innych krwawych i heroicznym potyczkach... A jednak nigdy nie słyszałem, żeby rewolwerowiec nie miał dwóch palców, był brązowoskórą kobietą lub chłopcem, który dopiero za kilka lat zacznie się golić.

Jego syn był zaszokowany, a także okropnie zmieszany. Slightman też wyglądał na lekko zmieszanego, ale mówił dalej:

— Błagam o wybaczenie, jeśli was uraziłem, naprawdę...

— Słuchajcie go, słuchajcie go uważnie — mruknął Overholser.

Eddie pomyślał, że jeśli farmer jeszcze odrobinę dalej wysunie dolną szczękę, ta chyba mu pęknie.

— Jednak każda podjęta przez nas decyzja będzie miała poważne konsekwencje. Z pewnością to rozumiecie. Jeśli się pomylimy, może to oznaczać kres naszego miasteczka i wszystkich mieszkańców.

— Nie wierzę własnym uszom! — zawołał z urazą Tian Jaffords. — Uważacie ich za oszustów? Na wszystkich bogów, człowieku, nie przyjrzałeś mu się? Nie widzisz...

Żona tak mocno ścisnęła jego ramię, że na opalonej skórze farmera pozostały białe ślady po czubkach jej palców. Tian spojrzął na nią i zamilkł, mocno zaciskając usta.

Gdzieś w oddali zakrakąta wrona i odpowiedział jej gawron swym nieco cieńszym głosem. Potem zapadła cisza. Jeden po drugim, wszyscy spojrzeli na Rolanda z Gilead, czekając na jego reakcję.

5

Zawsze było tak samo, i miał tego dość. Chcieli pomocy, ale żądali referencji. Najlepiej parady świadków. Chcieli ocalenia bez żadnego ryzyka — raz, dwa i po wszystkim.

Roland powoli zakłósał się do przodu i do tyłu, obejmując rękami kolana. Potem kiwnął głową i spojrzął na Jake'a.

— Jake — odezwał się. — Podejdz do mnie.

Chłopiec zerknął na Benny'ego, swego nowego przyjaciela, po czym wstał i podszedł do Rolanda. Ej truchtał tuż za nim, jak zwykle.

— Andy — rzekł Roland.

— *Sail*

— Przynies mi cztery talerze, z których jedliśmy. — Kiedy Andy poszedł po nie, Roland zwrócił się do Overholsera: — Straciecie kilka naczyń. Kiedy rewolwerowcy przybywają do miasteczka, zawsze są jakieś straty. Tak to już bywa.

— Rolandzie, nie sądzę, żeby to było...

— Cicho — rzucił Roland i chociaż powiedział to bez gniewu, Cwerholser posłusznie zamilkł. — Powiedzieliście już swoje. Teraz kolej na nas.

Cień Andy'ego padł na Rolanda. Rewolwerowiec podniósł wzrok i wziął od niego talerze, jeszcze nieumyte i lśniące od tłuszczu. Potem odwrócił się do Jake'a, w którym zaszła niezwykła przemiana. Siedząc z Bennym Kidem, obserwując popisującego się sztuczka Eja i uśmiechając się z dumą, Jake wyglądał jak zwyczajny dwunastoletni chłopiec — beztroski i wesoły. Teraz, kiedy przestał się uśmiechać, trudno byłoby odgadnąć, ile naprawdę ma lat. Jego niebieskie oczy, którymi spoglądał na Rolanda, miały niemal taką samą barwę jak oczy rewolwerowca. Pod pachą, w „uścisku dokera”, tkwił ruger zabrany przez Jake'a z szuflady ojcowskiego biurka. Spust był zabezpieczony rzemienną pętlą, którą teraz poluzował, nie patrząc. Wystarczyło jedno lekkie pociągnięcie.

— Wyrecytuj swoją lekcję, Jake'u, synu Elmera, i zrób to dobrze.

Roland spodziewał się, że Eddie lub Susannah spróbują się wtrącić, ale nie uczynili tego. Popatrzył na nich. Ich twarze były równie zimne i posępne jak twarz Jake'a. Dobrze.

Głos chłopca był beznamiętny, ale donośny i wyraźny.

— Nie będę celował ręką, gdyż kto celuje ręką, ten zapomniał oblicza swego ojca. Będę celował okiem. Nie będę strzelał ręką...

— Nie widzę do czego to... — zaczął Overholser.

— Zamknij się — rzuciła Susannah, wskazując na niego palcem.

Jake jakby tego nie słyszał. Nie odrywał oczu od Rolanda. Położył prawą dłoń na piersi. Palce trzymał szeroko rozstawione.

— ...gdyż kto strzela ręką, zapomniał oblicza swego ojca. Będę strzelał umysłem. Nie będę zabijał bronią, gdyż kto zabija bronią, zapomniał oblicza swego ojca.

Zamilkł na moment. Nabrał tchu. I wypuścił powietrze, mówiąc:

— Będę zabijał sercem.

— Zabij je — rzekł Roland i bez żadnego innego ostrzeżenia wyrzucił wszystkie cztery talerze wysoko w powietrze. Wzbiły się, wirując i koziołkując, jak cztery czarne ptaki na białym niebie.

Dłoń Jake'a, ta, którą trzymał na piersi, zmieniła się w rozmazaną smugę. Wyrwał rugera z „uścisku dokera”, uniósł lufę

i zaczął naciskać spust, zanim Roland zdążył opuścić dłoń. Talerze nie eksplodowały jeden po drugim, ale jednocześnie. Deszcz kawałków posypał się na polanę. Kilka wpadło do ogniska, wzbijając obłoczki popiołu i iskry. Jeden lub dwa z brzękiem odbiły się od stalowej czaszki Andy'ego.

Roland błyskawicznie uniósł obie ręce nad głowę. Choć im tego nie kazał, Eddie i Susannah zrobili to samo, w chwili gdy ich goście z Calla Bryn Sturgis kulili się, zaskoczeni hukiem strzałów. I szybkością strzałów.

— Spójrzcie na nas, dobrze, i dziękujcie bogom — rzekł Roland.

Wyciągnął ręce. Eddie i Susannah zrobili to samo. Eddie złapał trzy kawałki talerzy, Susannah miała ich pięć (oraz płytkie skaleczenie na opuszcze jednego palca). Roland chwycił aż tuzin spadających odłamków. Wydawało się, że mógłby złożyć z nich cały talerz, gdyby je posklejał.

Sześcioro gości z Calla gapiło się na to z niedowierzaniem. Benny Kid, który wciąż przyciskał dłonie do uszu, powoli je odjął. Patrzył na Jake'a, jakby zobaczył ducha albo inną zjawę.

— Mój... Boże... — wykrztusił Callahan. — To jak cyrkowa sztuczka z Dzikiego Zachodu.

— To nie sztuczka — powiedział Roland — i nie waście się tak myśleć. To Droga Elda. Jesteśmy *an-tet, khefi ka*, z krwi i kości. Rewolwerowcami, rozumiecie? I teraz powiem wam, co zrobimy. — Wbił wzrok w Overholsera. — Co chcemy zrobić, bo nikt nie jest w stanie nas do niczego zmusić. Mimo to sądzę, że to, co powiem, nie sprawi wam przykrości. A jeśli nawet...

Roland wzruszył ramionami. *Jeśli nawet, to trudno*, mówił ten gest.

Upuścił odłamki talerzy pod nogi i otrzepał ręce.

— Gdyby to były Wilki — rzekł — zostałyby ich pięćdziesiąt sześć z sześćdziesięciu. Cztery leżałyby martwe na ziemi, zanim zdążylibyście mrugnąć okiem. Zabite przez chłopca. — Zerknął na Jake'a. — A przynajmniej przez kogoś, kogo wy nazywacie chłopcem. — Po chwili dodał: — Przywykliśmy walczyć z przeważającymi siłami wroga.

— Ten młodzieniec to wspaniały strzelec, przyznaję — rzekł starszy Slightman. — Jest jednak różnica między fajansowymi talerzami a Wilkami na koniach.

— Może dla was, *sai*. Nie dla nas. Nie wtedy, kiedy zaczną się strzelaniny. Kiedy zaczniemy zabijać, będziemy strzelać do wszystkiego, co się rusza. Czy nie dlatego do nas przyszlście?

— A jeśli ich nie można zabić? — zapytał Overholser. — Jeżeli nie mają się ich kule nawet największego kalibru?

— Dlaczego tracimy czas, którego mamy tak mało? — spytał spokojnie Roland. — Przecież wiecie, że można je zabić, inaczej wcale nie zwrócilibyście się do nas. Nie pytałem o to, bo odpowiedź jest oczywista.

Overholser ponownie poczerwieniał.

— Błagam o wybaczenie — powiedział.

Tymczasem Benny spoglądał na Jake'a szeroko otwartymi oczami, i na ten widok Roland poczuł ukłucie smutku. Mimo wszystko ich przyjaźń może przetrwać, lecz to, co się stało, gruntownie ją zmieni w coś niepodobnego do zwyczajnego, beztroskiego chłopięcego *khef*. Szkoda, gdyż Jake został rewolwerowcem, będąc jeszcze dzieckiem. Mniej więcej w tym samym wieku, w jakim był Roland, kiedy poddano go próbie odwagi. Teraz pewnie już niedługo pozostanie dzieckiem. Szkoda.

— Wysłuchajcie mnie — rzekł Roland — i słuchajcie uważnie. Wkrótce opuścimy was i wrócimy do naszego obozu, żeby się narodzić. Jutro, kiedy wjedziemy do waszego miasta, zatrzymamy się u jednego z was...

— Przyjdźcie do Siódmej Mili — zaproponował Cwerholser. — Przyjmijemy was z otwartymi rękami, Rolandzie.

— Nasz dom jest znacznie mniejszy — rzekł Tian — ale Zalia i ja...

— Powitamy was z radością — zapewniła Zalia. Zaczerwieniła się równie mocno jak Overholser. — Tak, na pewno.

— Czy oprócz kościoła macz również dom, *sai* Callahan? — zapytał Roland.

Callahan uśmiechnął się.

— Mam, dzięki Bogu.

— Moglibyśmy zostać u ciebie przez pierwszą noc w Calla Bryn Sturgis — powiedział Roland. — Możemy?

— Oczywiście, będziecie mile widziani.

— Mógłbyś pokazać nam kościół. Wyjawić nam jego tajemnice.

Callahan nawet nie mrugnął okiem.

— Z chęcią to zrobię.

— Później — wyjaśnił z uśmiechem Roland — skorzystamy z gościnności innych mieszkańców miasteczka.

— I nie zawiedziecie się — oświadczył Tian. — Obiecuję wam to.

Overholser i Slightman skinęli głowami.

— Jeśli sędzić po tym posiłku, który właśnie spożyliśmy, to jestem pewien, że tak będzie. Dziękujemy, *sai* Jaffords. Dziękujemy tobie i wam wszystkim. Przez tydzień pozostaniemy w waszym miasteczku, wszędzie wtykając nosy. Może trochę dłużej, ale zapewne tylko tydzień. Obejrzymy sobie teren i usytuowanie zabudowań. Ocenimy sytuację pod kątem napadu Wilków. Porozmawiamy z mieszkańcami, a oni z nami... Obecni tutaj dopilnują tego, dobrze?

Callahan skinął głową.

— Nie mogę mówić w imieniu Mannich, ale jestem pewien, że pozostali bardziej niż chętnie porozmawiają z wami o Wilkach. Bóg i Pan Jezus wiedzą, że to żaden sekret. A mieszkańcy pogranicza śmiertelnie się ich boją. Jeśli dostrzegą choć promyk nadziei, że zdołacie nam pomóc, zrobią dla was wszystko.

— Manni też będą ze mną rozmawiać — rzekł Roland. — Już miałem z nimi do czynienia.

— Nic daj się ponieść entuzjizmowi Starego Człowieka, Rolandzie — powiedział Overholser. Ostrzegawczym gestem podniósł rękę. — W mieście są jeszcze inni, których będziecie musieli przekonać...

— Na przykład Vaughn Eiscnhart — dodał Slightman.

— Albo Eben Took — dorzucił Overholser. — Jego nazwisko widnieje tylko na szyldzie sklepu, ale jest także właścicielem hotelu i restauracji... oraz połowy stajni i ma skrypty dłużne wielu mniejszych gospodarstw. A skoro mowa o mniejszych gospodarstwach, nie możecie lekceważyć Bucky'ego Javiera — zagrzmiał. — Nie jest największym z nich, ale tylko dlatego, że połowę ziemi oddał w prezencie ślubnym swojej młodszej siostrze. — Overholser nachylił się do Rolanda, zamierzając przekazać mu fragment historii miasteczka. — Roberta Javier, siostra Bucky'ego, to szczęściara — ciągnął. — Kiedy Wilki pojawiły się tu ostatnio, ona i jej brat bliźniak mieli zaledwie rok. Nic im się nie stało.

— Brat bliźniak Bucky'ego został porwany poprzednim razem — dodał Slightman. — Bully nie żyje już od prawie czterech lat. Zachorował i umarł. Od tej pory Bucky zrobiłby dla siostry wszystko. Powinieneś z nim porozmawiać, tak. Bucky ma zaledwie osiemdziesiąt akrów, ale jest bystry.

Oni wciąż nie rozumieją, pomyślał Roland.

— Dziękuję — rzekł. — To, co zamierzamy robić, głównie sprowadza się do obserwowania i słuchania. Potem poprosimy tego, kto przechowuje wici, aby rozesłał je, zwołując zebranie. Na tym zebraniu powiemy wam, czy miasto można obronić i jeśli tak, ilu potrzebujemy do tego ludzi. — Roland zauważył, że Overholser zamierza coś powiedzieć, i uciszył go, kręcąc głową. — Jeśli nawet nie będziemy potrzebowali wielu — dodał — jesteśmy rewolwerowcami, nie armią. Myślimy i działamy inaczej niż armie. Może poprosimy o pięciu ludzi. Zapewne mniej... tylko dwóch lub trzech. Możemy jednak potrzebować więcej tych, którzy pomogą nam się przygotować.

— Dlaczego? — spytał Benny.

Roland uśmiechnął się.

— Tego nie mogę powiedzieć, synu, ponieważ jeszcze nie wiem, jak stoją sprawy w Calla. W takich wypadkach najsilniejszą bronią jest zaskoczenie, a zwykle potrzeba wielu ludzi, żeby przygotować dobrą niespodziankę.

— Największą niespodzianką dla Wilków — rzekł Tian — będzie to, że w ogóle stawimy im opór.

— A jeśli dojdziecie do wniosku, że naszego miasta nie da się obronić? — zapytał Overholser. — Powiedzcie mi, błagam.

— Wtedy ja i moi przyjaciele podziękujemy wam za gościnę i odjedziemy — odparł Roland — gdyż mamy własne sprawy, które wzywają nas na ścieżkę Promienia. — Przez chwilę patrzył na przygnębione miny Tiana i Zalii, po czym dodał: — Wiecie, nie sądzę, żeby tak się stało. Zwykle jest jakiś sposób.

— Niech zebranie przyjmie wasz punkt widzenia — zaproponował Overholser.

Roland zawahał się. W tym momencie mógł postawić sprawę zupełnie jasno, gdyby tylko chciał. Jeśli ci ludzie sądzili, że *te* rewolwerowców będzie liczyć się z tym, co uchwalą na publicznym zebraniu farmerzy i ranczerzy, to naprawdę zapomnieli o dawnym kształcie świata. Tylko czy to źle? W ostatecznym

rezultacie czas pokaże i wszystko stanie się częścią długiej historii. Albo nie. Jeśli nie, jego historia i misja zakończy się w Calla Bryn Sturgis, gnijąc pod nagrobkiem. Lub nawet bez niego, jako sterta kości jego i jego przyjaciół, leżących gdzieś na wschód od miasteczka, objedzonych do czysta przez kruki i gawrony. *Ka* pokaże. Jak zawsze.

Tymczasem wszyscy patrzyli na niego.

Roland wstał i skrzywił się, czując przeszywający ból w prawym biodrze. Idąc za jego przykładem, Eddie, Susannah i Jake również się podnieśli.

— To było owocne spotkanie — rzekł Roland. — A w kwestii tego, co nas czeka, będzie woda, jeśli Bóg da.

— Amen — zakończył Callahan.

Rozdział 7

TRANS

1

kjiwe konie — powiedział Eddie.

— Taak — przytaknął Roland.

— Pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, wszyscy na siwych koniach.

— Tak twierdzą.

— 1 nie widzą w tym niczego dziwnego — głośno rozmyślał Eddie.

— Nie. Nie widzą.

— A to jest dziwne?

— Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt koni tej samej maści? Powiedziałbym, że tak.

— Mieszkańcy Calla też hodują konie.

— Właśnie.

— Przyprawdzili nam kilka.

Eddie, który nigdy w życiu nie siedział na koniu, dziękował losowi, że na razie go to ominęło, ale nie powiedział tego głośno.

— Taak, zostawili je uwiązane za wzgórzem.

— Wiesz to na pewno?

— Czuję ich zapach. Sądzę, że doglądał ich robot.

— Dlaczego ci ludzie przyjmują jako rzecz najzupełniej oczywistą pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt koni takiej samej maści?

— Ponieważ oni już nie zastanawiają się nad Wilkami ani nad niczym, co ich dotyczy — rzekł Roland. — Moim zdaniem za bardzo się boją, żeby myśleć.

Eddie zagwizdał pięć nut nieukładających się w żadną melodię. Potem mruknął:

— Siwe konie.

— Siwe konie — powtórzył Roland.

Przez chwilę spoglądali na siebie, a potem parsknęli śmiechem. Eddie uwielbiał, kiedy Roland się śmiał. Jego śmiech był chrapliwy i nieprzyjemny, jak głosy tych olbrzymich czarnych ptaków zwanych gawronami... Mimo to lubił ten dźwięk. Może dlatego, że Roland tak rzadko się śmiał.

Było późne popołudnie. Nad ich głowami chmury rozeszły się na tyle, aby odsłonić wypełzły błękit, będący niemal kolorem nieba. Grupka Overholsera wróciła do swego obozu. Susannah i Jake poszli drogą z powrotem, żeby nazrywać więcej drożdżowych kul. Po obfitym posiłku, jaki spożyli, nikt z nich nic miał ochoty na nic innego. Eddie siedział na zwalonym pniu, strugając. Roland zajął miejsce obok niego i pochylał się nad bronią rozłożoną na części, które poukładał na jeleniej skórze. Oliwił jedną po drugiej, oglądając pod światło komory, bębenki i lufy, zanim odłożył je na bok do ponownego złożenia.

— Powiedziałeś im, że decyzja nie należy już do nich — rzekł Eddie — ale oni nie pojęli tego, podobnie jak tej historii z siwymi końmi. A ty nie naciskałeś.

— Tylko bym ich pognął — odparł Roland. — W Gilead mieliśmy takie powiedzenie: Niech zło poczeka na dzień swojej kłęski.

— Uhm — mruknął Eddie. — Na Brooklynie też mieliśmy podobne powiedzenie: nie sczyścisz smarków z zamszowej kurtki.

Podniósł w górę przedmiot, który rzeźbił. To chyba będzie zabawka dla dziecka, pomyślał Roland. I ponownie zadał sobie pytanie, co Eddie wie o kobiecie, z którą sypia co noc. A właściwie o *kobietach*. Ile wie, a ile wyczuwa?

— Jeżeli uznasz, że możemy im pomóc, to będziemy musieli im pomóc. Do tego zasadniczo sprowadza się Droga Elda, prawda?

— Tak — potwierdził Roland.

— A jeśli nikt z nich nie przyłączy się do nas, będziemy walczyć sami.

— Och, o to się nie martwię — rzekł Roland. Nappełnił

spodek jasną, słodko pachnącą oliwą. Teraz zanurzył w niej róg zamszowej szmatki, podniósł sprężynę spustu rugera Jake'a i zaczął ją oliwić. — W razie potrzeby Tian Jaffords przyłączy się do nas. Z pewnością ma jakichś przyjaciół, którzy uczynią to samo, niezależnie od decyzji zgromadzenia. W ostateczności jest jeszcze jego żona.

— A jeśli przez nas zginą oboje, co z ich dziećmi? Mają pięcioro. Ponadto chyba jest jeszcze jakiś staruszek. Dziadek jednego z nich. Pewnie nim też trzeba się opiekować.

Roland wzruszył ramionami. Kilka miesięcy wcześniej Eddie błędnie uznałby ten gest — i beznamiętną minę rewolwerowca — za obojętność. Teraz wiedział. Roland był w większym stopniu niewolnikiem swoich zasad i tradycji niż niegdyś Eddie heroiny.

— A co się stanie, jeśli zginiemy w tym miasteczku, wpięprzając się w tę awanturę z Wilkami? — zapytał. — Czy twoją ostatnią myślą nie będzie: to nie do wiary, jakim byłem frajerem, poświęcając szansę dotarcia do Mrocznej Wieży, żeby ratować bandę zasmarkanych bachorów? Albo coś w tym stylu.

— Jeśli zabraknie nam odwagi, nigdy nie zbliżymy się nawet na odległość tysiąca mil do Wieży — odparł Roland. — Chcesz mi powiedzieć, że tego nie czujesz?

Eddie nie zamierzał tak twierdzić, ponieważ czuł. I wyczuwał coś więcej: rodzaj żądzы krwi. Chciał znowu walczyć. Chciał wziąć kilka tych Wilków, czymkolwiek były, na muszkę rewolweru Rolanda. Nie było sensu się okłamywać: chciał zdobyć kilka skalpów.

Lub wilczych masek.

— Co tak naprawdę cię niepokoi, Eddie? Powiedz mi, dopóki jesteśmy sami. — Wargi rewolwerowca rozciągnęły się w krzywym uśmiechu. — Powiedz, błagam.

— To widać, co?

Roland wzruszył ramionami i czekał.

Eddie zastanowił się. To było naprawdę istotne pytanie. Rozważając je, czuł rozpacz i bezsilność niemal taką samą jak wtedy, kiedy stanął przed zadaniem wyrzeźbienia klucza otwierającego Jake'owi Chambersowi przejście do ich świata. Tylko że wówczas mógł winić o to ducha swego starszego brata, którego głos wciąż słyszał w myślach. Henry stale po-

wtarzał Eddiemu, że zawsze jest, był i będzie do niczego. I nie chodziło tylko o wagę zadania, jakie postawił przed nim Roland. Niepokoiło go wszystko, wszystko było złe. Wszystko. Może „złe” to niewłaściwe słowo, może należało je odwrócić o sto osiemdziesiąt stopni. Ponieważ pod innym względem wszystko wydawało się aż nazbyt w porządku, zbyt doskonałe, zbyt...

— Eee! — rzekł Eddie. Chwyił się rękami za włosy i pociągnął. — Nie wiem, jak to powiedzieć.

— Zatem powiedz to, co ci przychodzi na myśl. Bez wahania.

— Dziewiętnaście — rzekł Eddie. — To wszystko wina dziewiętnastki.

Wyciągnął się na wonnym poszyciu, zakrył oczy rękami i zaczął kopać nogami jak rozkapryszone dziecko. *Może dojdę do siebie, jak zabiją kilka wilków. Może właśnie tego mi trzeba* — pomyślał.

2

— Lepiej się czujesz? — zapytał po chwili milczenia Roland.

Eddie usiadł.

— Prawdę mówiąc, tak.

Roland kiwnął głową i uśmiechnął się.

— Może więc powiesz mi coś więcej? Jeśli nie chcesz, to nie ma sprawy, ale nauczyłem się szanować twoje przeczucia, Eddie, i to znacznie bardziej, niż przypuszczasz. Tak więc jeśli zechcesz mi o nich powiedzieć, uważnie cię wysłucham.

Mówił prawdę. Początkowo jego uczucia do Eddiego oscylowały między nieufnością a pogardą wobec tego, co uważał za słabość charakteru. Powoli nabrał do niego szacunku. Zaczęło się to w biurze Balazara, gdzie Eddie walczył nago. Niewielu znanych Rolandowi ludzi potrafiłoby to zrobić. Stopniowo zdał sobie sprawę, jak bardzo Eddie jest podobny do Cuthberta. A później, w pociągu, zdesperowany Eddie wykazał się kreatywnością, którą Roland mógł tylko podziwiać, ale nigdy nie potrafiłby się z nim równać. Eddie Dean, tak jak Cuthbert Allgood, miał zawsze zdumiewające i czasem irytujące po-

czucie humoru, a ponadto przebłyski intuicji Alaina Johnsa. Mimo to nie był podobny do żadnego z dawnych przyjaciół Rolanda. Czasem wydawał się słaby i egocentryczny, lecz miał ogromne zasoby odwagi oraz coś, co sam Eddie nazywał „sercem”.

Teraz jednak Roland chciał skorzystać z jego intuicji.

— No dobrze — powiedział Eddie. — Nie przerywaj mi. Nie zadawaj pytań. Tylko słuchaj.

Roland skinął głową. Miał nadzieję, że Susannah i Jake nie wrócą zbyt szybko.

— Patrzę w niebo... w to miejsce, gdzie w tym momencie rozchodzą się chmury... i widzę wypisaną tam liczbę dziewiętnaście.

Roland spojrział w górę. No tak, była tam. On też ją widział. Widział także obłok podobny do żółwia i inną dziurę w rzedniejących chmurach, wyglądającą jak wóz.

— Patrzę na drzewa i widzę dziewiętnaście. W ognisku także. Nazwiska i imiona składające się z dziewiętnastu liter, jak Cwerholsera i Callahana. To potrafię opisać i dostrzec, to mogę zauważyć. — Eddie mówił w gorączkowym pośpiechu, patrząc Rolandowi w oczy. — Jest jednak jeszcze coś. To wiąże się z transem. Wiem, że czasem uważacie, że wszystko kojarzy mi się z narkotykami, i może macie rację, Rolandzie, ale ten trans jest jak odjazd.

Eddie zawsze mówił o tych sprawach tak, jakby Roland w swoim długim życiu nigdy nie wziął do ust czegoś silniejszego niż *graf*, co było dalekie od prawdy. Może przypomni o tym Eddiemu innym razem, ale nie teraz.

— Już sam pobyt w twoim świecie jest jak trans. Ponieważ... człowieku, tak trudno to wyrazić... No wiesz, Rolandzie, wszystko tu jest realne, a zarazem nie jest.

Roland już miał przypomnieć Eddiemu, że to nie jest jego świat, już nie — że dla niego miasto Lud było kresem Świata Pośredniego i początkiem wszystkich leżących dalej tajemnic — lecz ponownie zachował milczenie.

Eddie chwycił garść ściółki, zgarniając wonne szpilki i pozostawiając na ziemi pięć czarnych wgłębień w kształcie dłoni.

— Realne — powtórzył. — Mogę tego dotykać i mogę wąchać. — Przyłożył garść igieł do ust i przesunął po nich

językiem. — Poczuc smak. A jednocześnie to jest równie nierealne jak dziewiętnastka widziana w ogniu lub ta chmura na niebie, która wygląda jak żółw. Rozumiesz, co mówię?

— Rozumiem bardzo dobrze — mruknął Roland.

— Ludzie są realni. Ty... Susannah... Jake... ten cały Gasher, który go porwał... Overholser i Slightmanowie. A jednak sposób, w jaki wciąż ukazują mi się rzeczy z mojego świata, jest nierealny. Nie jest także sensowny i logiczny, lecz nie o tym mówię. To po prostu nierealne. Dlaczego ludzie tutaj śpiewają *Hey Judei* Nie wiem. Ten niedźwiedź-cyborg, Shardik... Skąd znam jego imię? Dlaczego kojarzy mi się z królikami? I całe to gówno z czarnoksiężnikiem z krainy Oz, Rolandzie... to wszystko, co nam się przytrafiło... Wcale nic wątpię, że tak było, a jednocześnie zdaje mi się to nierzeczywiste. Wydaje się transem. Jak dziewiętnastka. I co się z nami dzieje po opuszczeniu zielonego pałacu? No cóż, idziemy do lasu, jak Jaś i Małgosia. Mamy drogę, którą możemy wędrować. Drożdżowe kule do jedzenia. Cywilizacja runęła. Wszystko się rozpada. Sam tak mówiłeś. Widzieliśmy to w mieście Lud. Tylko że wiesz co? Wcale nie! Hura, dupki, znów jesteśmy w siodole! — Eddie parsknął śmiechem. Piskliwym i nieprzyjemnym. Kiedy odgarnął włosy z czoła, pozostawił na nim ciemną smugę ziemi. — Najzabawniejsze jest to, że tutaj, na kompletnym pustkowiu, trafiliśmy na miasto jak z powieści. Cywilizowane. Porządne. Zamieszkane przez ludzi, którzy wydają się znajomi. Może nie wszyscy są sympatyczni... na przykład Ovrholsera trudno strawić... ale masz wrażenie, że ich znasz.

Eddie ma rację i w tej kwestii, pomyślał Roland. Jeszcze nie widział Calla Bryn Sturgis, a już przypominało mu Mcjis. Pod pewnymi względami wydawało się to najzupełniej sensowne — miasteczka farmerów i hodowców wszędzie są podobne do siebie — lecz pod innymi było niepokojące. Niepokojące jak diabli. Na przykład to sombrero, które nosił Slightman. Czy to możliwe, żeby tutaj, tysiące mil od Mejis, ludzie nosili takie same kapelusze? Zapewne tak. Lecz czy to możliwe, żeby sombrero Slightmana tak bardzo przypominało Rolandowi nakrycie głowy noszone przed tyłomałaty przez Miguela, starego *mozo* z nabrzeża Mejis? A może tak tylko podpowiadała mu wyobraźnia?

Której zdaniem Eddiego jestem całkowicie pozbawiony, pomyślał.

— To powieściowe miasteczko ma problem jak z baśni — ciągnął Eddie. — Tak więc powieściowi mieszkańcy zwracają się do filmowych bohaterów, aby obronili ich przed baśniowymi zbrojcami. Wiem, że to się dzieje naprawdę. Zapewne ludzie będą ginąć, poleje się prawdziwa krew, będą prawdziwe krzyki, a później płacz... a jednocześnie wszystko to wydaje mi się nie bardziej rzeczywiste od scenografii.

— A Nowy Jork? — zapytał Roland. — Jaki on ci się wydaje?

— Taki sam — odparł Eddie. — Tylko pomyśl. Dzieciwienście książek zostało na stoliku, kiedy Jake wziął *Charliego Puf-Pufi* książeczkę z zagadkami... A potem ze wszystkich nowojorskich łotrów spotykamy akurat Balazara! Tego fiuta!

— No, no! — zawołała wesoło Susannah za ich plecami. — Koniec przeklinania, chłopcy!

Jake popychał jej wózek po drodze, a na podółku miała pełno drożdżowych kul. Oboje wyglądali na wesołych i zadowolonych. Roland podejrzewał, że miał z tym coś wspólnego spożyty uprzednio posiłek.

— Czasem to wrażenie nierzeczywistości pryska, prawda? — spytał.

— Właściwie to nie jest nierzeczywistość, Rolandzie. Raczej...

— Nie rozdzielajmy włosa na czworo. Czasem pryska. Prawda?

— Tak — przyznał Eddie. — Kiedy jestem z nią.

Podszedł do Susannah. Pochylił się. Pocałował ją. Roland obserwował to zakłopotany.

. 3

Zapadał zmierzch. Siedzieli wokół ogniska, pozwalając mu dogasać. Tę odrobinę apetytu, jaka jeszcze im pozostała, z łatwością zaspokoiili drożdżowymi kulami, które Susannah i Jake przynieśli do obozu. Roland zastanawiał się nad słowami wy-

powiedzianymi przez Slightmana, poświęcając temu chyba więcej czasu, niż powinien. Teraz odsunął na pół przetrawioną myśl i rzekł:

— Niektórzy z nas, a może wszyscy, spotkają się dziś w nocy w Nowym Jorku.

— Mam nadzieję, że tym razem ja też tam będę — powiedziała Susannah.

— Jeśli *ka* pozwoli — odparł spokojnie Roland. — Najważniejsze, byście trzymali się razem. Jeśli tylko jedna osoba uda się w tę podróż, sądzę, że zapewne będziesz nią ty, Eddie. Ten, kto przeniesie się tam sam, powinien... lub powinna... pozostać dokładnie w miejscu, w którym się znajdzie, dopóki znów nie usłyszy dzwonów.

— Tych *kammen* — zauważył Eddie. — Tak nazwał je Andy.

— Czy wszyscy to rozumieją?

Skinęli głowami i patrząc na ich twarze, Roland zrozumiał, że wszyscy rezerwowali sobie prawo do podjęcia w razie potrzeby własnej decyzji, zależnej od okoliczności. Najzupelniej słusznie. W końcu byli rewolwerowcami.

Sam się zdziwił, słysząc swój śmiech.

— Co cię tak śmiesz? — zapytał Jake.

— Myślałem o tym, że długie życie pozwala zawierać dziwne znajomości — odparł Roland.

— Jeśli myślisz o nas — mruknął Eddie — to pozwól, że coś ci powiem, Rolandzie. Ciebie też nietrudno nazwać Normalnym Normanem.

— Pewnie nie — przyznał Roland. — Jeśli przeniesiemy się tam grupą... dwie osoby, trzy albo nawet wszyscy... musimy wziąć się za ręce, gdy zaczną bić dzwony.

— Andy mówił, że powinniśmy skupić uwagę na sobie nawzajem — przypomniał Eddie. — Żeby się nie zgubić.

Susannah zaskoczyła ich śpiewem. Rolandowi bardziej przypominało to nawoływania wioślarzy — monotonna recytację kolejnych zwrotek — niż prawdziwy śpiew. Pomimo to jej głos brzmiał wystarczająco melodyjnie:

Dzieci, gdy słyszycie dźwięki klarnetu... Dzieci, gdy słyszycie dźwięki fletu! Dzieci, gdy słyszycie dźwięki tamburynu... Macie skłonić głowy i wielbić idola!

— Co to za piosenka?

— Ludowa śpiewka — odparła. — Jedna z tych, które moi dziadkowie i pradziadkowie śpiewali, zbierając bawełnę na polu pana. Lecz czasy się zmieniają. — Uśmiechnęła się. — Po raz pierwszy usłyszałam ją w kawiarni w Greenwich House w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku. A mężczyzną, który ją śpiewał, był biały bluesman, niejaki Dave Van Ronk.

— Założę się, że Aaron Deepneau też tam był — westchnął Jake. — Do diabła, założę się, że siedział przy sąsiednim stoliku.

Susannah spojrzała na niego ze zdziwieniem i namyślem.

— Dlaczego tak mówisz, złotko?
Eddie odparł za chłopca:

— Ponieważ podstuchiwał, jak Calvin Tower mówił, że ten cały Deepneau kręcił się po Village od... Od kiedy, Jake?

— Nie po Village, lecz po Bleecker Street — poprawił Jake z uśmiechem. — Pan Wieża powiedział, że pan Deepneau kręcił się po Bleecker Street, kiedy Bob Dylan nie umiał wydobyć ze swojej Hohnerki nic poza G-dur. Pewnie chodziło mu o harmonijkę.

— Z pewnością — potwierdził Eddie — i chociaż nie dałbym głowy za to, co mówi Jake, postawiłbym na to sporą sumkę. Jasne, Deepneau tam był. Nie zdziwiłbym się też, gdyby się okazało, że Jack Andolini stał za barem. Ponieważ tak właśnie dzieje się w Krainie Dziewiętnastki.

— W każdym razie — przypomniał Roland — ci z nas, którzy tam się znajdują, powinni trzymać się razem. Mam na myśli to, że przez cały czas powinni pozostawać w zasięgu ręki.

— Ja chyba się tam nie przeniosę — powiedział Jake.

— Dlaczego tak mówisz? — spytał zdziwiony rewolwerowiec.

— Ponieważ wcale nie zasnę — odparł chłopiec. — Jestem zbyt podekscytowany.

W końcu jednak wszyscy zasnęli.

4

On wie, że to sen sprowadzony przez jedną niewinną uwagę Slightmana, a mimo to nie może przed nim uciec. Zawsze szukajcie tylnych drzwi, zwykł mówić im Cort, lecz jeśli z tego

snu jest jakieś tylne wyjście, to Roland nie potrafi go znaleźć. Słyszałem o wzgórzu Jericho oraz innych krwawych i heroicznym potyczkach, tak powiedział zarządca Eisenharta, lecz dla Rolanda wzgórze Jericho było jak najbardziej realne. A dlaczego nie? Przecież tam był. To był ich koniec. Koniec całego świata.

Dzień jest upalny i duszny, słońce stoi w zenicie, zupełnie nieruchomo, jakby czas się zatrzymał. Poniżej rozciąga się długie zbocze pełne szaroczarnych kamiennych twarzy, rozpadających się posągów pozostałych po dawnych mieszkańcach tej ziemi, i ludzie Grissoma uparcie nacierają między nimi, gdy Roland i kilku jego pozostałych towarzyszy wycofują się w górę, przez cały czas się ostrzeliwując. Wymiana strzałów nie cichnie ani na moment i dźwięk kul rykoszetujących od kamiennych twarzy jest przenikliwym kontrapunktem, który rozbrzmiewa w ich głowach jak krwiożercze brzęczenie moskitów. Jamie DeCurry został zastrzelony przez snajpera, być może sokolokiego syna Grissoma lub samego Grissoma. Alaina spotkał daleko gorszy los: w nocy przed decydującą bitwą został zastrzelony przez swoich dwóch najlepszych przyjaciół. Idiotyczna pomyłka, okropna śmierć. Kolumna DeMulleta wpadła w zasadzkę i została wystrzelana pod Rimrocks, a kiedy Alain przyjechał w nocy, żeby ich zawiadomić, Roland i Cuthbert... huk strzałów... i Alain wołający ich po imieniu...

A teraz są na szczycie wzgórza i już nie mają dokąd uciec. Za nimi na wschodzie jest urwisko z kruchego wapienia, opadające do Solanki — którą pięćset mil na południe stąd nazywają Morzem Czystym. Na zachodzie jest wzgórze kamiennych twarzy i wrzeszczący, nacierający ludzie Grissoma. Roland i jego towarzysze zabili ich setki, lecz pozostało jeszcze dwa tysiące — skromnie licząc. Dwa tysiące ludzi, wyjątych i pomalowanych na niebiesko, niektórzy z kuszami, a kilku nawet z bronią palną... przeciwko tuzinowi. Tylko tylu ich już zostało, na szczycie wzgórza Jericho, pod rozprazonym niebem. Jamie nie żyje, Alain zginął od kul swoich najlepszych przyjaciół — solidny, porządny Alain, który mógł odjechać w bezpieczne miejsce, ale nie zrobił tego — a Cuthbert jest ranny. He razy? Pięć? Sześć? Jego koszula jest szkarłatna od krwi i przyklejona do ciała. Połowę twarzy ma zalaną krwią. Oko po tej stronie jest wybaluszone, ślepe. Mimo to wciąż trzyma róg Rolanda, ten, w który

dął Arthur Eld — a przynajmniej tak powiadają. Nie chciał go oddać.

— Dmę w niego lepiej niż ty — mówi ze śmiechem do Rolanda. — Dostaniesz go z powrotem po mojej śmierci. Nie zapomnij go zabrać, Rolandzie, gdyż należy do ciebie.

Cuthbert Allgood, który kiedyś wjechał na ziemie Mejis z czaszką kruka zatkniętą na łąku siodła.

— To moja czujka — nazywał ją i mówił do niej jak do żywego stworzenia, bo taką miał fantazję. Czasem doprowadzał Rolanda do szału tymi wygłupami, a teraz pod prażącym słońcem chwiejnie idzie ku niemu z dymiącym rewolwerem w jednej, a rogiem Elda w drugiej ręce, zakrwawiony, na pół ślepy i umierający... lecz wciąż się śmieje. O bogowie, śmieje się bez końca.

— Rolandzie! — woła. — Zostaliśmy zdradzeni! Wróg ma przewagę liczebną! Jesteśmy przyparci do morza! Mamy ich na widelcu! Atakujemy?

I Roland pojmuje, że przyjaciel ma rację. Jeśli naprawdę mają zakończyć tutaj, na wzgórzu Jericho, swą podróż do Mrocznej Wieży, zdradzeni przez jednego ze swoich i otoczeni przez resztki barbarzyńskiej armii Johna Farsona, niechaj będzie to wspaniały koniec.

— Tak! — woła. — Tak, doskonale. Załoga zamku, do mnie! Rewolwerowcy, do mnie! Do mnie, mówię!

— Jeśli chodzi o rewolwerowców, Rolandzie — odzywa się Cuthbert — to jestem tu. My dwaj jesteśmy ostatni.

Roland najpierw patrzy na niego, a potem obejmuje go pod tym obrzydliwie rozprażonym niebem. Czuje rozpalone ciało Cuthberta, chude i dygoczące samobójczą pasją. Mimo to Bert śmieje się. Bert wciąż się śmieje.

— W porządku — mówi ochryple Roland, spoglądając na kilku swoich ludzi. — Ruszamy na nich. I nie bierzemy jeńców.

— Nie, żadnych jeńców, nie ma mowy — przytakuje Cuthbert.

— Nie przyjmujemy ich kapitulacji.

— W żadnym razie! — ponownie przytakuje Cuthbert, śmiejąc się jeszcze głośniejsze. — Nawet gdyby wszyscy naraz rzucili broń.

— No to zadmij w ten pieprzony róg.

Cuthbert podnosi róg do zakrwawionych ust i wydobywa

z niego donośny sygnał — ostatni sygnał, bo kiedy róg wypadnie mu z palców minutę później (a może po pięciu lub dziesięciu minutach, gdyż w tej ostatniej bitwie czas nie ma znaczenia), Roland zostawi go w kurzu. Pod wpływem żalu i żądy krwi zupełnie zapomni o rogu Elda.

— A teraz, przyjaciele moi... hile!

— Hile! — krzyczy tuzin pozostałych przy życiu pod tym palącym słońcem. To ich koniec, kres Gilead i wszystkiego, więc Roland już o nic nie dba. Ogarnia go znajomy bitewny szal, zimny jak lód i pozbawiający zmysłów. A więc to już koniec, myśli. Niech więc tak będzie.

— Do mnie! — woła Roland z Gilead. — Naprzód! Za Wieżę!

— Za Wieżę! — krzyczy obok niego chwiejący się Cuthbert. Jedną ręką unosi róg, a drugą rewolwer.

— Nie brać jeńców! — wrzeszczy Roland. — Nie brać jeńców!

Pędzą naprzód i w dół, ku niebieskim gębom hordy Grissoma, on i Cuthbert na przedzie, i gdy mijają pierwsze kamienne twarze pochylone w wysokiej trawie, a wokół przelatują włócznie, strzały i kule, zaczynają bić dzwony. Ta melodia poraża swym pięknem, grozi rozszarpaniem na strzępy.

Nie teraz, myśli Roland, o bogowie, nie teraz, pozwólcie mi to skończyć. Pozwólcie mi zakończyć to u boku przyjaciela i wreszcie zaznać spokoju. Proszę.

Sięga po dłoń Cuthberta. Przez moment czuje dotyk lepkich od krwi palców przyjaciela, tam na wzgórzu Jericho, gdzie zakończył swoje dzielne i wesołe życie... a potem tych palców już nie ma. Jego dłoń przechodzi przez dłoń Berta. Spada, spada, świat ciemnieje, spada bez końca, dzwony biją, to kammen („Brzmi z hawajska, prawda?”), a on spada, nie ma Jericho, nie ma rogu Elda, jest tylko ciemność, a w niej czerwone litery, niektóre z nich to Wielkie Litery, dostatecznie duże, żeby przeczytać napis, głoszący...

5

Głoszący STÓJ. Chociaż Roland zauważył, że ludzie przechodzili przez ulicę mimo tego napisu. Pospiesznie spoglądali w kierunku nadjeżdżających pojazdów, a potem ruszali. Jeden

facet przebiegł tuż przed żółtą taksą. Ta ostro skręciła i zatrąbiła. Przechodzień zuchwale wrzasnął coś pod jej adresem, a potem wystawił środkowy palec prawej ręki i potrząsnął nią za oddalającym się pojazdem. Roland domyślił się, że gestykulujący raczej nie życzył odjeżdżającemu długich dni i przyjemnych nocy.

Była noc w Nowym Jorku i chociaż wszędzie kręcili się ludzie, żaden z nich nie należał do jego *ka-tet*. Roland przyznał w duchu, że nie spodziewał się takiego obrotu spraw: że jedyną osobą, która się tu przeniesie, będzie on sam. Nie Eddie, lecz on. Gdzie, na wszystkich bogów, powinien teraz pójść? I co ma zrobić, kiedy już tam dotrze?

Pamiętaj swoje własne rady, pomyślał. „ *Ten, kto przeniesie się tam sam* ”, *powiedzieliście im*, „*powinien pozostać dokładnie w miejscu, w którym się znajduje* ”.

Tylko czy to oznaczało, że ma tkwić jak słup na... Spojrzał na zieloną tablicę. Na rogu Drugiej Alei i Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, nie robiąc nic, tylko patrząc, jak czerwony znak STÓJ zmienia się na biały IDŹ?

Kiedy zastanawiał się nad tym, za plecami usłyszał głos donośny i radosny:

— *Rolandzie! Mój złoty! Odwróć się i spójrz na mnie! Dobrze mi się przyjrzyj!*

Usłuchał. Wiedział, co zobaczy, a mimo to uśmiechał się. Powtórka przeżyć ze wzgórza Jericho była okropna, lecz cóż to za antidotum: Susannah Dean, biegnąca do niego po Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, śmiejąc się i płacząc ze szczęścia, wyciągając ręce.

— *Moje nogi!* — krzyczała ile sił w płucach. — *Moje nogi! Znowu je mam! Och Rolandzie, skarbieńku, chwalić Pana Jezusa, ZNOWU MAM NOGI!*

6

Rzuciła się w jego ramiona, całując w policzek, szyję, czoło, nos i usta, powtarzając raz po raz:

— *Moje nogi, och Rolandzie, czy widzisz, mogę chodzić, mogę biegać, mam nogi, dzięki Bogu i wszystkim świętym, znowu mam nogi.*

— Ciesz się nimi do woli, serdecznie — rzekł Roland. Jedną z jego starych sztuczek, a może nawyków, było szybkie przyswajanie sobie zwyczajów ludzi, wśród których się znalazł. Teraz byli nimi mieszkańcy Calla. Zapewne jeśli spędzi dłuższy czas w Nowym Jorku, wkrótce zacznie pokazywać środkowy palec taksówkom.

Zawsze jednak będę tu obcy, pomyślał. No cóż, nawet nie potrafię poprawnie wymówić słowa „aspiryna”. Ilekroć próbuję, wychodzi coś innego.

Susannah ujęła jego prawą dłoń, ze zdumiewającą siłą pociągnęła w dół i umieściła na swojej tydce.

— Czujesz to? — zapytała. — Chcę powiedzieć, że nie uroiłam sobie tego, prawda?

Roland roześmiał się.

— Czyż nie przybiegłaś do mnie jak na skrzydłach wichru? Tak, Susannah. — Położył lewą dłoń, tę ze wszystkimi palcami, na jej lewej nodze. — Masz obydwie nogi, prawą i lewą, a także obie stopy. — Zmarszczył brwi. — Powinniśmy jednak postarać się o jakieś buty dla ciebie.

— Po co? Przecież to sen. Nie może być inaczej. Spojrzał na nią poważnie i powoli jej uśmiech zgaś.

— Nie? Naprawdę nie?

— Wpadliśmy w trans. Jesteśmy tu naprawdę. Jeśli skaleczysz się w stopę, Mia, jutro będziesz miała ją skaleczoną, kiedy zbudzisz się przy obozowym ognisku.

To imię wypowiedział niemal — ale nie całkiem — bezwiednie. Teraz czekał, napinając mięśnie, czy ona zwróci na to uwagę. Jeśli tak, przeprosi ją i powie, że właśnie wyrwała go ze snu o kimś, kogo znał dawno temu (choć po Susan Delgado była tylko jedna licząca się kobieta, a ta nie miała na imię Mia).

Ona jednak nie zwróciła na to uwagi, co niespecjalnie zaskoczyło Rolanda.

Bo kiedy zaczęły bić dzwony, szycowała się na następną łowiecką wyprawę —jako Mia. A w przeciwieństwie do Susannah, Mia ma nogi. Biesiaduje w wielkiej sali, gawędzi z przyjaciółmi, nie wybiera się do Morehouse ani gdzie indziej, a ponadto ma nogi. Dlatego ta również je ma. Ona jest obydwiema tymi kobietami, chociaż o tym nie wie.

Nagle Rolandpomyślał z nadzieją, że nie spotkają tu Eddiego.

Ten mógł wyczuć różnicę, jeśli nawet sama Susannah jej nie spostrzeże. A to byłoby niedobre. Gdyby Roland mógł wypowiedzieć trzy życzenia, jak ten młody książę z bajki na dobranoc, w tym momencie wszystkie trzy sprowadzałyby się do tego samego: zakończyć sprawę w Calla Bryn Sturgis, zanim ciąża Susannah — ciąża Mii — stanie się widoczna. Jednoczesne rozwiązanie obu problemów byłoby bardzo trudne.

Może nawet niemożliwe.

Spoglądała na niego pytająco szeroko otwartymi oczami. Nie dlatego że nazwał ją nieznanym jej imieniem, ale dlatego że chciała wiedzieć, co teraz mają zrobić.

— To twoje miasto — rzekł. — Ja odwiedziłbym księgarnię. I tę pustą parcelę. — Po chwili dodał: — Oraz różę. Możesz mnie tam zaprowadzić?

— Cóż — odparła, rozglądając się wokół. — To moje miasto, nie ma co do tego wątpliwości, ale Druga Aleja na pewno nie wygląda tak jak wtedy, kiedy Detta bawiła się, kradnąc u Ma'ego.

— Zatem nie zdołasz znaleźć księgarni i opuszczonej parceli?

Roland był rozczarowany, lecz nie poddawał się. Znajdzie drogę. Zawsze jakoś...

— Och, bez trudu — zapewniła. — Ulice są takie same. Nowojorskie ulice tworzą siatkę, Rolandzie. Aleje biegną w jednym kierunku, a ulice w drugim. To proste jak budowa cepa. Chodź.

Znak znów zmienił się na STÓJ, ale Susannah, szybko zerknąwszy w górę, wzięła Rolanda pod rękę i przeszli na drugą stronę Pięćdziesiątej Czwartej. Kroczyła nieustraszenie mimo bosych stóp. Mijali długie szeregi wystaw sklepowych. Roland nie był w stanie powstrzymać się od oglądania ich, ale mógł sobie pozwolić na ten brak koncentracji. Chociaż na chodnikach było tłoczno, nikt na nich nie wpadał. Roland słyszał stukot swoich obcasów o bruk i widział cienie, jakie oboje rzucali w świetle witryn.

Prawie tu jesteśmy, pomyślał. Gdyby siła, która nas tu przeniosła, była jeszcze potężniejsza, naprawdę bylibyśmy tutaj.

Nagle zdał sobie sprawę, że ta siła istotnie może stać się potężniejsza, zakładając, że Callahan nie mylił się w kwestii tego, co spoczywało ukryte pod podłogą kościoła. W miarę

jak zbliżali się do miasteczka i źródła siły, która odpowiadała za to...

Susannah ścisnęła jego ramię. Roland natychmiast przystanął.

— Bolać cię stopy? — zapytał.

— Nie — powiedziała i zauważył, że była wystraszona. — Dlaczego jest tak ciemno?

— Susannah, _____ jest _____ noc.
Niecierpliwie potrząsnęła jego ręką.

— Wiem o tym, nie jestem ślepa. Czy ty nie... — Zawahała się. — Nie czujesz tego?

Roland uświadomił sobie, że czuje. Po pierwsze, mrok na Drugiej Alei wcale nie był ciemnością. Rewolwerowiec wciąż nie pojmował obojętności, z jaką mieszkańcy Nowego Jorku traktowali te rzeczy, które lud Gilead uważał za najrzadsze i najcenniejsze. Papier, woda, oczyszczony olej, sztuczne oświetlenie. To ostatnie było wszędzie. Blask padał z wystaw (choć większość sklepów była zamknięta, ich witryny pozostały oświetlone), jeszcze jaśniejszy z jadalni zwanej Blimpie's, a nad tym wszystkim świeciły przedziwne lampy elektryczne, zdające się nasączać powietrze swym pomarańczowym światłem. Lecz Susannah miała rację. Mimo pomarańczowych latarń było dziwnie ciemno. Mrok zdawał się otaczać przechodniów. Na ten widok Rolandowi przypomniało się to, co niedawno powiedział Eddie: *Tak właśnie się dzieje w Krainie Dziewiętnastki.*

Jednakże ten mrok, bardziej wyczuwalny niż widzialny, nie miał nic wspólnego z dziewiętnastką. Musiałbyś odjąć od niej sześć, żeby zrozumieć, co się tu dzieje. I po raz pierwszy Roland uwierzył, że Callahan miał rację.

— Czarna Trzynastka — mruknął.

— Co?

— Ona sprowadziła nas tutaj, jesteśmy w transie i wszędzie czujemy jej obecność. To nie jest takie samo uczucie jak wówczas, gdy leciałem w grejfrucie, ale podobne.

— Paskudne uczucie — powiedziała ściszym głosem.

— Bo to jest paskudne — rzekł. — Czarna Trzynastka jest chyba najstraszliwszym reliktem z czasów Elda, jaki pozostał na powierzchni ziemi. Nie ma związku z Tęczą Czarnoksiężnika. Jestem pewien, że istniała wcześniej...

— Rolandzie! Hej, Rolandzie! Suze!

Spojrzeni na wołającego i mimo swych wcześniejszych złych przeczuców Roland z bezgraniczną ulgą zobaczył nie tylko Eddiego, ale także Jake'a i Eja. Stali w połowie drogi do następnej przecznicy. Eddie machał ręką. Susannah radośnie pomachała do niego. Roland przytrzymał ją, zanim zaczęła biec, co najwyraźniej zamierzała zrobić.

— Uważaj na nogi — ostrzegł. — Na pewno nie chcesz złapać jakiejś infekcji i przenieść jej na drugą stronę.

Ograniczyli się do pospiesznego marszu. Eddie i Jake, obaj obuci, wybiegli im na spotkanie. Roland dostrzegł, że przechodnie schodzą im z drogi, nie patrząc i nawet nie przerywając rozmów. Po chwili zauważył, że nie wszyscy. Ujrzał ich jakiś chłopczyk, z pewnością najwyżej trzyletni, drepczący obok matki. Ona zdawała się niczego nie widzieć, lecz małe szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami spoglądał na przechodzących obok Eddiego i Jake'a... a nawet wyciągnął rączkę, jakby chciał pogłaskać truchtającego Eja.

Eddie wyprzedził Jake'a i pierwszy dotarł do towarzyszy. Przytrzymał Susannah na odległość wyciągniętych rąk, przyglądając się jej. Roland pomyślał, że ma głupią minę.

— No? Co o tym myślisz, kochasiu? — powiedziała nerwowo Susannah, jak kobieta wracająca do domu z jakąś nową, ekstrawagancką fryzurą.

— Zdecydowanie lepiej — rzekł Eddie. — Nie potrzebuję ich, żeby cię kochać, ale są nie tylko niezłe... są po prostu doskonałe. Chryste, jesteś teraz centymetr wyższa ode mnie!

Susannah spostrzegła, że to prawda, i roześmiała się. Ej obwąchał kostkę, której nie było, kiedy ostatnio widział tę kobietę, i też się roześmiał. Było to dziwne warknięcie, lecz z całą pewnością oznaczało rozbawienie.

— Podobają mi się twoje nogi, Suze — powiedział Jake i ten niedbały komplement wprowadził ją w dobry nastrój. Chłopiec nie zwrócił na to uwagi, bo już obejrzał się na Rolanda. — Chcesz zobaczyć księgarnię?

— A jest tam coś do oglądania?
Jake spochmurniał.

— Właściwie niewiele. Jest zamknięta.

— Chciałbym zobaczyć opuszczoną parcelę, jeśli zdążymy tam dotrzeć przed powrotem — rzekł Roland. — I różę.

— Bolał cię? — zapytał Eddie Susannah. Przyglądał się jej uważnie.

— Nie, skądże — odparła ze śmiechem. — Czuję się świetnie.

— Wyglądasz inaczej.

— No pewnie! — odpowiedziała i wykonała kilka tanecznych figur. Nie tańczyła od bardzo wielu miesięcy, lecz brak wprawy nadrobiła entuzjazmem. Jakaś kobieta w garsonce i z dyplomatką w ręku, zmierzająca prosto na grupkę wędrowców, gwałtownie skręciła, schodząc na ulicę, żeby ich ominąć. — To oczywiście, przecież mam nogi!

— To jak w piosence — powiedział Eddie.

— Słucham?

— Nieważne — rzekł i objął ją wpół. Mimo to Roland dostrzegł, że obrzucił ją badawczym, pytającym spojrzeniem. *Przy odrobinie szczęścia zaraz o tym zapomni*, pomyślał Roland.

I tak też się stało. Eddie pocałował ją w kącik ust, po czym zwrócił się do Rolanda:

— Zatem chcesz zobaczyć tę słynną parcelę i jeszcze słynniejszą różę? No cóż, ja też. Prowadź, Jake.

7

Jake poprowadził ich Drugą Aleją, przystając tylko na chwilę, żeby mogli rzucić okiem na Manhattańską Restaurację Ducha. Ponieważ nikt nie marnował prądu na jej oświetlenie, więc niewiele było do oglądania. Roland miał nadzieję, że zobaczy wywieszkę z menu, ale została zdjęta.

Czytając w jego myślach z łatwością człowieka dzielącego z nim *khef*, Jake powiedział:

— Pewnie zmienia ją codziennie.

— Może — odparł Roland.

Jeszcze przez chwilę patrzył na wystawę, nie widząc niczego prócz ciemnych półek, kilku stołów i lady opisanej przez Jake'a — tej, przy której starzy ludzie siedzieli, pijąc kawę i grając w znaną na tym świecie wersję zamków. Niczego nie

dostrzegł, lecz coś wyczuł, nawet przez szybę: rozpacz i bezradność. Gdyby miał zapach, pomyślał Roland, byłby on kwaśny i nieświeży. Woń kłęski. Marzeń, które nigdy się nie ziściły. Co czyniło je doskonałym narzędziem w rękach kogoś takiego jak Enrico // *Roche* Balazar.

— Napatrzyłeś się? — zapytał Eddie.

— Tak. Chodźmy.

8

Dla Rolanda wędrówka przez osiem przecznic Drugiej Alei, od rogu Pięćdziesiątej Czwartej do skrzyżowania z Czterdziątą Szóstą, była niczym podróż po krainie, której istnienia dotychczas nie był do końca pewien. *O ileż dziwniejsza musi być dla Jake 'a?* — zastanawiał się. Menel, który prosił chłopca o ćwierć dolara, znikł, lecz restauracja, przed którą siedział, pozostała: Mama Mniam-Mniam. Mieściła się w budynku na rogu Drugiej Alei i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Przecznicę dalej znajdował się sklep muzyczny Wieża Mocnych Nagrań. Był jeszcze czynny — według ulicznego zegara, który pokazywał czas swą wielką podświetlaną tarczą, była dopiero dwudziesta czternaście. Z otwartych drzwi wylewały się głośnie dzwięki. Gitar i bębnow. Muzyka tego świata. Przypominała mu ofiarną muzykę graną przez Siwych w mieście Lud. A czemu nie? Przecież to było miasto Lud... w pewien pokręcony sposób. Co do tego miał pewność.

— To przebój Rolling Stonesów — powiedział Jake — ale , nie ten sam, który grali w dniu, kiedy widziałem różę. Wtedy puszczała *Pomaluj to na czarno*.

— A tego nie znasz? — zapytał Eddie.

— Znam, ale nie pamiętam tytułu.

— A powinienesz — rzekł Eddie. — To *Dziewiętnaste załamanie nerwowe*.

Susannah przystanęła i obejrzała się.

— Jake?

Chłopiec skinął głową.

— On ma rację.

Tymczasem Eddie wziął część gazety z bramy domu sąsied-

dującego z Wieżą Mocnych Nagrań. Były to strony „New York Timesa”.

— Kochanie, czy mama nie nauczyła cię, że szperanie po rynsztokach nie uchodzi w lepszym towarzystwie? — spytała Susannah.

Eddie zignorował ją.

— Spójrzcie na to — powiedział. — Wszyscy.

Roland nachylił się nad gazetą, niemal oczekując kolejnego artykułu o jakiejś zaradzie, lecz nie było to nic tak wstrząsającego. Przynajmniej tak mu się zdawało.

— Przeczytaj mi, co tu napisano — poprosił Jake'a. — Te litery skaczą mi przed oczami. Pewnie dlatego, że jesteśmy w transie, pochwyceni między...

— ARMIA RODEZYJSKA ZACIEŚNIA KONTROLĘ NAD WIOSKAMI MOZAMBIKU — przeczytał Jake. — DWAJ DORADCY CARTERA PRZEWIDUJĄ MILIARDOWE CIĘCIA FUNDUSZU OPIEKI ZDROWOTNEJ. A tutaj CHINY UJAWNIAJĄ, ŻE TRZĘSIENIE ZIEMI W TYSIĄC DZIEWIĘĆSET SIEDEMDZIESIĄTYM SZÓSTYM ROKU POCIĄGNĘŁO ZA SOBĄ NAJWIĘCEJ OFIAR ŚMIERTELNYCH OD CZTERYSTU LAT. A tu...

— Kim jest Carter? — zapytała Susannah. — Czy to prezydent sprawujący władzę przed... Ronaldem Reaganem?

Ostatnim słowom towarzyszyło znaczące mrugnięcie. Eddie do tej pory nie zdołał jej przekonać, że nie żartował mówiąc, że Reagan został prezydentem. Nie uwierzyła też Jake'owi, gdy ten powiedział, że łatwo to zrozumieć, wiedząc, że Reagan był gubernatorem stanu Kalifornia, mimo że wydaje się dziwne. Słyszając to, Susannah roześmiała się i pokiwała głową, jakby podziwiając jego fantazję. Uważała, że Eddie namówił Jake'a, by potwierdził jego bajeczkę, i nie miała zamiaru się na nią nabrać. Zapewne mogłaby strawić Paula Newmana jako prezydenta, a może nawet Henry'ego Fondę, który wyglądał tak dostojnie w *Ocalić Nowy Jork*, ale gwiazdę *Dni w Dolinie Śmierci!* Nigdy w życiu.

— Co tam Carter — rzekł Eddie. — Spójrzcie na datę.

Roland próbował ją odczytać, ale skakała mu w oczach.

Niemal zmieniała się w Wysokie Pismo, które umiał czytać, by zaraz się znów rozmyć w bezsensowną płataninę.

— Co to za data, na pamięć twego ojca?

— Drugi czerwca — odparł Jake. Spojrzał na Eddiego. — Jeśli tutaj jest taki sam czas jak po drugiej stronie, to chyba powinien być pierwszy czerwca?

— Nie jest taki sam — powiedział ponuro Eddie. — Nie jest. Po tej stronie czas biegnie szybciej. Trwa gra. A podczas gry czas płynie szybko.

Roland zastanowił się.

— Jeśli znowu tu wrócimy, za każdym razem będziemy później?

Eddie skinął głową.

— Na każdą minutę, którą spędzamy po drugiej stronie — rzekł Roland na poły do siebie — tam gdzie jest Calla... tutaj mija półtorej minuty. Albo dwie.

— Nie, nie dwie — zaproponował Eddie. — Jestem pewien, że czas nie upływa tu dwa razy prędej.

A jednak zaniepokojone spojrzenie, jakim obrzucił datę na gazecie, świadczyło o tym, że wcale nie jest tego pewien.

— Jeśli nawet masz rację — powiedział Roland — teraz możemy tylko iść naprzód.

— Do piętnastego lipca — podsunęła Susannah. — Kiedy Balazar i jego chłopcy przestaną być mili.

— Może powinniśmy opuścić tych ludzi z Calla — zasugerował Eddie. — Przykro mi to mówić, Rolandzie, ale może powinniśmy zostawić ich własnemu losowi.

— Nie wolno nam tego zrobić, Eddie.

— Dlaczego?

— Dlatego że Callahan ma Czarną Trzynastkę — wyjaśniła Susannah. — Nasza pomoc jest ceną, jaką musimy zapłacić, żeby nam ją oddał. A my jej potrzebujemy.

Roland pokręcił głową.

— I tak by nam ją oddał. Myślałem, że już to wytłumaczyłem. On się jej boi.

— Taak — mruknął Eddie. — Ja też.

— Musimy im pomóc, gdyż taka jest Droga Elda — zwrócił się Roland do Susannah. — Poza tym *ka* nakazuje zawsze wypełniać obowiązki.

Wydało mu się, że dostrzegł błysk w jej oczach, jakby powiedział coś zabawnego. Być może, ale to nie Susannah

rozbawił. To Detta lub Mia uważała jego poglądy za śmieszne. Pytanie tylko, która z nich. A może obie?

— Nie podoba mi się tutaj — powiedziała Susannah. — Ten mrok.

— Na pustej parceli będzie lepiej — obiecał Jake. Ruszył, a pozostali poszli za nim. — Ta róża wszystko zmienia na lepsze. Zobaczycie.

9

Przeszedłszy przez Pięćdziesiątą Ulicę, Jake przyspieszył kroku. Na Czterdziestej Dziewiątej zaczął truchtać. A na rogu Drugiej Alei i Czterdziestej Ósmej już biegł. Nie mógł się powstrzymać. Trochę pomógł mu znak IDŻ na Czterdziestej Ósmej, ale zmienił się na czerwony, jak tylko chłopiec dotarł do krawężnika.

— Jake, zaczekaj! — zawołał za nim Eddie, lecz chłopiec nie usłuchał.

Może nie mógł. Eddie też czuł to przyciąganie, Roland i Susannah również. W powietrzu słychać było pomruk, cichy i słodki. Był wszystkim tym, czym nie był ten ponury, zalegający wokół mrok.

Rolandowi ten pomruk przyniósł wspomnienia Mejis i Susan Delgado. Pocałunków wymienianych na materacu świeżej trawy.

Susannah przypomniała sobie, jak bawiła się z ojcem, kiedy była mała, wspinając się na jego kolana i przyciskając gładką skórę policzka do jego szorstkiego swetra. Przypomniała sobie, jak zamykała wtedy oczy i wdychała charakterystyczny zapach: tytoniu fajkowego, gaulterii i musterolu, którym nacierał sobie przeguby zaatakowane przez artretyzm w wieku dwudziestu pięciu lat. Te zapachy mówiły jej, że wszystko jest w porządku.

Eddie nagle powrócił myślą do wycieczki do Atlantic City, kiedy był małym chłopcem, nie więcej niż pięcio- lub sześćcioletnim. Zabrała ich tam matka i w pewnej chwili odeszła z Henrym, żeby kupić różki lodowe. Pani Dean wskazała na ławkę i powiedziała: *Posadź tam swój tyłek, facet, i nie*

*ruszaj się, dopóki nie wrócimy. I on tak zrobił. Mógłby siedzieć tam przez cały dzień, patrząc na plażę opadającą do szarego, falującego oceanu. Mewy unosiły się tuż nad morską pianą, nawołując wzajemnie. Cofające się fale odsłaniały bezmiar mokrego brązowego piasku, tak lśniącego, że Eddie musiał mrużyć oczy, kiedy nań patrzył. Fale szumiały głośno i usypiająco. Pamiętał, że pomyślał wtedy: *Mógłbym zostać tu na zawsze. Mógłbym pozostać tutaj na zawsze, ponieważ tu jest tak pięknie, spokojnie i... dobrze. Wszystko tu jest w porządku.**

Właśnie tego doznawała teraz cała piątka (Ej także): wrażenia, że coś jest cudowne, piękne i w porządku.

Roland i Eddie wzięli Susannah pod rękę, ledwie wymieniwszy spojrzenia. Unieśli ją w powietrze i ruszyli przed siebie. Na skrzyżowaniu Drugiej Alei z Czterdziątą Siódmą mieli czerwone światło, lecz Roland podniósł wolną rękę w górę i zawołał:

— *Hile! Stójcie w imię Gilead!*

I tak się stało. Usłyszeli pisk hamulców, trzask przedniego zderzaka uderzającego w tylny i brzęk sypiącego się szkła, ale samochody stanęły. Roland i Eddie przeszli przez ulicę w blasku reflektorów i kakofonii klaksonów, niosąc Susannah tak, że jej odzyskane (i już bardzo brudne) nogi nie dotykały jezdnii. Uczucie szczęścia i satysfakcji narastało, w miarę jak zbliżali się do rogu Drugiej Alei i Czterdziestej Szóstej Ulicy. Roland czuł, jak ten upajający pomruk róży rozchodzi się po całym jego ciele.

Tak, pomyślał. Na wszystkich bogów, tak. To jest to. Być może nie tylko drzwi do Mrocznej Wieży, ale sama Wieża. O bogowie, cóż to za siła! Jak mocno przyciąga! Cuthbercie, Ałainie, Jamie — gdybyście tu byli!

Jake stał na rogu Drugiej Alei i Czterdziestej Szóstej Ulicy, spoglądając na parkan z desek, mniej więcej pięciostopowej wysokości. Łzy płynęły mu po policzkach. Z ciemności za płotem dochodził głośny melodyjny pomruk. Dźwięk wielu głosów śpiewających razem. Nucących jedną jedyną nutę. *Oto jest, mówiły te głosy. Oto jest twój maj. Oto uśmiech losu, szczęśliwe spotkanie, gorączka ustępująca przed świtem i pozostawiająca chłodne ciało. Oto spełnione marzenie i wyrozumiałe oko. Oto największa przysługa, którą możesz oddać komuś*

innemu. Oto rozsądek i spokój, uznane za utracone. Tutaj wszystko jest w porządku.

Chłopiec odwrócił się do współtowarzyszy.

— Czujecie to? — zapytał. — Czujecie?

Roland skinął głową. Eddie również.

— Suze? — spytał Jake.

— To niemal najcudowniejsza rzecz na świecie, prawda? — powiedziała.

Niemal, pomyślał Roland. *Powiedziała „niemal”*. Jego uwagi nie uszło także to, że mówiąc te słowa, położyła dłoń na brzuchu i pogłaskała się po nim.

10

Zapamiętane przez Jake'a plakaty wisały tam — OHvii Newton John w Radio City Music Hall, G. Gordona Liddy'ego w miejscu zwanym Mercury Lounge, filmu pod tytułem *Wojna zombi* oraz „Wstęp wzbroniony”. A jednak...

— To wygląda inaczej — rzekł, wskazując na ciemnoróżowy napis. — Ma ten sam kolor i litery wydają się narysowane tą samą ręką, lecz kiedy byłem tu poprzednio, był wiersz o Żółwiu. „Spójrzcie na Żółwia o ogromnej skorupie! Co na swych plecach całą Ziemię niesie”. A potem coś o po-dążaniu ścieżką Promienia.

Eddie podszedł bliżej.

— „Och Susannah-Mio, moja dziwna dziewczyno, siedzisz w Dixie Pig, zwiedzasz stare kąty, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym” — przeczytał. Spojrzał na Susannah. — Co to ma znaczyć, do diabła? Rozumiesz to, Suze?

Pokręciła głową, robiąc wielkie oczy. *Przestraszone oczy*, pomyślał Roland. Tylko która z nich się bała? Nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że Odetta Susannah Holmes zawsze była odrobinę dziwna, a „mio” brzmi bardzo podobnie jak „Mia”. Pomruk dobiegający z mroku za ogrodzeniem nie pozwalał się skupić. Roland pragnął jak najszybciej dotrzeć do jego źródła. *Potrzebował* tego, jak umierający z pragnienia potrzebuje wody.

— Chodźcie — zachęcał Jake. — Możemy przejść przez płot. To łatwe.

203

Susannah spojrzała na swoje bose, brudne stopy i cofnęła się o krok.

— Ja nie idę — powiedziała. — Nie mogę. Nie mogę bez butów.

Było to najzupełniej rozsądne, lecz Roland pomyślał, że kryje się za tym coś więcej. To Mia nie chciała tam iść. Mia wiedziała, że jeśli to zrobi, może stać się coś okropnego. Jej i jej dziecku. Przez chwilę miał zamiar zmusić ją do tego, pozwolić róży uporać się zarówno z rosnącym w niej stworzeniem, jak i jej kłopotliwą nową osobowością, tak silną, że Susannah przybyła tutaj, mając nogi Mii.

Nie, Rolandzie — usłyszał głos Alaina. Alaina, z którym zawsze miał najsilniejszy kontakt. *Zła pora i złe miejsce.*

— Zostanę tu z nią—oznajmił Jake. Powiedział to z ogromnym żalem, lecz bez wahania i Roland poczuł wzbierającą jak fala miłość do chłopca, któremu kiedyś pozwolił umrzeć. Dochośny głos w ciemności za ogrodzeniem śpiewał o tej miłości. Roland słyszał to. Czy kazał po prostu wybaczyć, a nie zmuszać do dalszego marszu? Tak mu się zdawało.

— Nie — sprzeciwiła się Susannah. — Idź tam, słodziutki. Nic mi nie będzie. — Uśmiechnęła się do nich. — To także moje miasto, wicie. Potrafię zadbać o siebie. A ponadto... — Ściszyła głos, jakby wyjawiała wielką tajemnicę. — Sądzę, że jesteśmy niewidzialni.

Eddie znów spoglądał na nią badawczo, jak gdyby chciał zapytać, dlaczego nie chce pójść razem z nim, boso czy nie, lecz Roland nie przejął się tym. Sekret Mii okazał się bezpieczny, przynajmniej na razie. Zew róży był zbyt silny, by Eddie mógł myśleć o czymś innym niż o tym, żeby pójść dalej.

— Powinniśmy trzymać się razem — rzekł niechętnie Eddie. — Abyśmy się nie pogubili, wracając. Sam tak mówieś, Rolandzie.

— Jak daleko jest stąd do róży, Jake? — zapytał rewolwerowiec.

Trudno było rozmawiać, mając w uszach ten szum. Trudno było zebrać myśli.

— Znajduje się prawie na środku parceli. Jakieś trzydzieści jardów stąd, może mniej.

— Gdy tylko usłyszymy dzwonienie — powiedział Roland — pobiegniemy do płotu, do Susannah. Wszyscy trzej. Zgoda?

— Zgoda — potwierdził Eddie.

— Wszyscy trzej i Ej — dodał Jake.

— Nie. Ej zostanie z Susannah.

Chłopiec zmarszczył brwi, najwyraźniej niezbyt tym zachwycony. Roland nie oczekiwał innej reakcji.

— Jake, Ej także nie ma butów... a przecież mówiłeś, że tam jest mnóstwo potłuczonego szkła?

— Taak — poddał się chłopiec. Niechętnie. Potem przyklęknął i spojrzał w złociste ślepie bumbera. — Zostań z Susannah, Ej.

— Ej! Ać!

Ej miał zostać. To wystarczyło chłopcu. Wstał, spojrzał na Rolanda i skinął głową.

— Suze? — zapytał Eddie. — Jesteś pewna?

— Tak — odparła z naciskiem, bez wahania.

Roland był niemal przekonany, że to Mia panowała nad sytuacją, pociągała za sznurki i naciskała guziki. *Niemal*. Nie miał całkowitej pewności. Pomruk róży nie dawał jakiegokolwiek pewności prócz tej jednej: że wszystko — absolutnie wszystko — będzie dobrze.

Eddie kiwnął głową, pocałował Susannah w policzek, a potem podszedł do płotu z dziwnym wierszykiem „Och Susannah-Mio, moja szalona dziewczyno”. Splótł dłonie, tworząc z nich schodek. Jake stanął na nich i w mgnieniu oka znikł za płotem.

— Ej! — krzyknął Ej i zamilkł, siedząc przy bosych nogach Susannah.

— Teraz ty, Eddie — powiedział Roland.

Splótł pozostałe mu palce, zamierzając pomóc Eddicmu tak, jak ten chłopcu, lecz Eddie chwycił się parkanu i przeskoczył na drugą stronę. Ćpun, którego Roland poznał w samolocie lądującym na lotnisku Kennedy'ego, nigdy by tak nie potrafił.

— Zostańcie tutaj — przykazał Roland. — Oboje.

Mógł mieć na myśli kobietę i billy-bumbera, ale patrzył tylko na nią.

— Nic nam nie będzie — odparła i pochyliła się, żeby pogłaskać Ej a. — Prawda, olbrzymie?

-Ej!

— Idź zobaczyć tę twoją różę, Rolandzie. Dopóki możesz.

Jeszcze raz spojrzął na nią z namysłem, po czym złapał się górnej krawędzi płotu. W następnej chwili znikł za nim, pozostawiając Susannah i Eja samych na tym najbardziej tętniącym życiem rogu ulicy w całym wszechświecie.

11

Kiedy czekała, działy się z nią przedziwne rzeczy.

Nieco dalej, w tym kierunku, z którego przyszli, w pobliżu Wieży Mocnych Nagrań, bankowy zegar na zmianę pokazywał czas i temperaturę: 8.27, 64. 8.27, 64. 8.27, 64. Nagle, niespodziewanie, pokazał 8.34, 64. 8.34, 64. Mogłaby przysiąc, że ani na chwilę nie oderwała od niego oczu. Czyżby coś się zepsuło w maszynierii zegara?

Na pewno, pomyślała. No bo cóż mogłoby to być? Zapewne nic, ale dlaczego nagle wszystko wydawało się inne? Może to w mojej maszynierii coś się zepsuło.

Ej zaskomlił i wyciągnął do niej długą szyję. W tym momencie zrozumiała, dlaczego wszystko wyglądało inaczej. Oprócz tego, że w jakiś niewytłumaczalny sposób zgubiła gdzieś siedem minut, to świat powrócił do swej dawnej, aż nazbyt znajomej perspektywy. Znacznie węższej perspektywy. Była bliżej Eja, ponieważ była bliżej ziemi. Te wspaniałe nogi i stopy, które miała, kiedy otworzyła oczy w Nowym Jorku, znikły.

Jak to się stało? I kiedy? W ciągu tych zgubionych siedmiu minut?

Ej znów zaskomlił. Tym razem było to prawie warknięcie. Spoglądał na coś nad jej ramieniem. Popatrzyła w tym kierunku. Pół tuzina osób przechodziło przez Czterdziestą Szóstą Ulicę, zmierzając ku nim. Pięcioro z nich wyglądało zupełnie zwyczajnie. Szóstą była biała kobieta w sukni porośniętej mchem. Na jej bladej twarzy puste oczodoły ziały czernią. Dolna szczęka opadła prawie na piersi i Susannah dostrzegła zielonego robaka pełzającego po dolnej wardze. Idący obok ludzie unikali zerknięcia się z kobietą, tak samo jak inni przechodnie na Drugiej Alei omijali Rolanda i jego przyjaciół. Susannah odgadła, że

206

w obu wypadkach zwyczajni spacerowicze wyczuwali, że coś jest nie tak, i trzymali się z daleka. Tylko że ta kobieta nie była w transie.

Ta kobieta była martwa.

12

Pomruk narastał, gdy wszyscy trzej szli przez usiane śmieciami i kawałkami cegieł pustkowie opuszczonej parceli. Tak jak przedtem, w każdym zakamarku i cieniu Jake widział twarze. Zobaczył Gashera i Hootsa, Tik-Taka i Flagga, ujrzał oprawców Eldreda Jonasa, Depapego i Reynoldsa, widział swoją matkę i ojca oraz Gretę Shaw, gospodynię, która trochę przypominała Edith Bunker z telewizji i zawsze pamiętała o tym, żeby okrawać skórkę z jego kanapek. Gretę Shaw, która czasem nazywała go Bama, chociaż było to tajemnicą znaną wyłącznie im dwojgu.

Eddie widział ludzi ze swojej starej dzielnicy: kulawego Jimmiego Polia i Tommy'ego Fredericksa, który zawsze strasznie się podniecał, kibicując, i robił dziwne miny, więc dzieci nazywały go Halloween Tommy. Widział Skippera Brannigana, który walczyłby z samym Alem Capone, gdyby ten popełnił błąd i przyszedł do ich dzielnicy, oraz Csabę Drabnika, czyli Szalonego Popieprzonego Węgra. Widział twarz matki w stercie pośluzonych cegieł, jej błyszczące oczy wskrzeszone z odłamków szkła stłuczonej butelki. Zobaczył jej przyjaciółkę, Dorę Bertollo (wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa wołały na nią Cycata Bertollo, ponieważ miała naprawdę wydatne piersi, wielkie jak pieprzone melony). Oczywiście zobaczył Henry'ego. Stał skryty w cieniu, obserwując go. Tylko że nie marszczył brwi, a uśmiechał się i wyglądał na przytomnego. Uniósł jedną rękę, jakby chciał pokazać Eddiemu podniesiony kciuk. *No dalej*, zdawał się szeptać narastający pomruk, teraz głosem Henry'ego Deana. *Więc zrób to, Eddie. Wiedziałem, że cię na to stać, o tak! Pamiętaj, co mówiłem tym dupkom wtedy, za Dahlie ś, pałac papierosy Jimmiego Polia? „Mój młodszy brat potrafiłby namówić diabła, żeby podpalił sobie dupę” — powiedziałem. No nie?*

Tak. Tak było.

I zawsze tak myślałem, szeptał pomruk. Zawsze cię kochałem. Czasem cię zawodziłem, ale zawsze cię kochałem. Byłeś moim małym braciszkiem.

Eddie zaczął płakać. To były dobre łzy.

W tych mrocznych, usianych kawałkami cegieł ruinach Roland ujrzał widma wszystkich osób, które spotkał w swoim życiu, od matki i niańki po gości z Calla Bryn Sturgis. Gdy tak szedł, rosło w nim przekonanie o słuszności tego, co się działo. Pewność, że wszystkie trudne decyzje, cierpienia, straty i przelana krew nie były jednak daremne. Miały sens. I cel. Życie i miłość. Słyszał to wszystko w pieśni róży i zaczął płakać. Głównie z ulgi. Trzeba odbyć trudną podróż, żeby się tu dostać. Wielu zginęło w drodze. A jednak tutaj żyli, tutaj śpiewali z różą. Jego życie nie było niespełnionym marzeniem.

Wzięli się za ręce i chwiejnie szli naprzód, pomagając sobie omijać najeżone gwoździami deski oraz dziury, w których z łatwością można było skręcić, a nawet złamać nogę. Roland nie wiedział, czy w transie można coś sobie złamać, ale nie miał ochoty tego sprawdzać.

— To warte każdego poświęcenia — rzekł ochryplym głosem.

Eddie skinął głową.

— Teraz już się nie zatrzymam. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał.

Jake złączył kciuk ze wskazującym palcem na znak, że wszystko w porządku, po czym roześmiał się. Jego śmiech był jak słodka muzyka dla uszu Rolanda. Na parceli było ciemniej niż na ulicy, lecz pomarańczowe światła lamp przy Drugiej Alei i Czterdziestej Szóstej Ulicy były dostatecznie jasne, żeby odrobinę rozproszyć mrok. Jake pokazał szyld leżący na stercie desek.

— Widzicie? To szyld delikatesów. Wyciągnąłem go z zarośli. Dlatego tutaj leży. — Rozejrzał się i wskazał w innym kierunku. — Patrzcie!

Tablica wciąż tam stała. Roland z Eddiem odwrócili się i przeczytali napis. Chociaż żaden z nich nie widział jej przedtem, obaj doznali silnego *deja vu*.

MILLS CONSTRUCTION I SOMBRA REAL ESTATE
ASSOCIATES

WCIAŻ MODERNIZUJĄ OBLICZE MANHATTANU!

WKRÓTCE W TYM MIEJSCU STANĄ
LUKSUSOWE APARTAMENTY ZATOKI ŻÓŁWIA!
PO INFORMACJE ZADZWOŃ POD 661-6712!
BĘDZIESZ ZADOWOLONY, ŻE TO ZROBIŁEŚ!

Jak opowiadał im Jake, tablica wyglądała na starą, wymagającą odnowienia lub zastąpienia nową. Jake pamiętał napis namalowany w poprzek sprayem, a Eddie przypomniał go sobie z opowieści chłopca, nie żeby przywiązywał do tego wagę, ale po prostu był to dziwny szczegół. Napis był tam, tak jak poprzednio: BANGO SKANK. Wizytówka jakiegoś starego graficiarza.

— Wydaje mi się, że numer telefonu na tablicy się zmienił — powiedział Jake.

— Taak? — mruknął Eddie. — A jaki był poprzedni?

— Nie pamiętam.

— No to skąd możesz mieć pewność, że się zmienił?

W innym miejscu i czasie takie pytanie mogłoby zirytować Jake'a. Teraz, ukojony bliskością róży, tylko się uśmiechnął.

— Nie wiem. Chyba nie mogę. A jednak wydaje mi się inny. Tak samo jak wywieszka na wystawie księgarni.

Roland ledwie go słyszał. Szedł naprzód, depcząc swymi kowbojskimi butami sterty cegieł, desek i potłuczonego szkła, i nawet w mroku widać było, jak błyszczą mu oczy. Ujrzał różę. Obok niej coś leżało, w tym miejscu, gdzie Jake znalazł swoją kopię klucza, lecz Roland nie zwracał na to uwagi. Widział tylko różę wyrastającą z kępy trawy spryskanej na czerwono rozlaną farbą. Opadł przy niej na kolana. Po chwili Eddie dołączył do niego, klękając po jego lewej ręce, a Jake po prawej.

Róża ciasno złożyła już płatki przed nocą. Nagle, gdy przed nią uklękli, zaczęła je rozchyłać, jakby na powitanie. Pomruk rozbrzmiewał wszędzie wokół nich, niczym anielski chór.

13

Z początku Susannah jakoś to zniosła. Trzymała się, chociaż straciła część swego ciała — tę, z którą tutaj przybyła —

209

i musiała przybrać dobrze znaną (i znieawidzoną) pozycję, na pół klęcząc i na pół siedząc na brudnym chodniku. Plecami opierała się o ogrodzenie opuszczonej parceli. Przyszła jej do głowy sardoniczna myśl: *Potrzeba mi tylko tekturowej tabliczki i blaszanego kubka.*

Trzymała się nawet wtedy, kiedy ujrzała martwą kobietę, przechodzącą przez Czterdziestą Szóstą Ulicę. Pomagał jej śpiew — który, jak rozumiała, był głosem róży. Ej też pomógł, przytulając do niej swe ciepłe ciało. Pogłaskała jedwabiste futro bumble-
ra, czerpiąc oparcie z jego istnienia. Raz po raz powtarzała sobie, że nie oszalała. W porządku, zgubiła siedem minut. *Może.* A może ten cholerny zegar po prostu dostał czkawki. No dobrze, widziała martwą kobietę przechodzącą przez ulicę. *Może.* Możliwe, że to był po prostu jakiś nawalony ćpun. Bóg wie, że nie brakuje takich w Nowym Jorku...

Ćpun z zielonym robakiem wypełzającym mu z ust?

— *Może mi się to przywidziało* — powiedziała do bumble-
ra. — No nie?

Ej nerwowo dzielił uwagę między Susannah a światłami pędzących pojazdów, które dla niego mogły wyglądać jak wielkie drapieżne stwory o lśniących ślepiach. Zaskomlił.

— *Ponadto chłopcy wkrótce wrócą.*

— *Pcy* — przytaknął bumble-
ra z nadzieją w głosie.

Dlaczego nie poszłam z nimi? Eddie poniósłby mnie na plecach, przecież robił to już wiele razy, z uprzężą lub bez.

— *Nie mogłam* — szepnęła. — *Po prostu nie mogłam.*

Ponieważ jakaś jej część obawiała się róży. Jej bliskości.

Czy to właśnie ta część kontrolowała bieg rzeczy przez siedem brakujących minut? Susannah obawiała się, że tak. Jeśli nawet, to już po wszystkim. To coś zabrało swoje nogi i odeszło na nich w głąb Nowego Jorku, chyba w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Niedobrze. Zabrało także ze sobą strach przed różą, a to było dobre. Nie chciała obawiać się czegoś, co wydawało się tak wielkie i cudowne.

Inna osobowość? Myślisz, że ta dama, która dała ci nogi, była inną osobowością?

Innymi słowy, następną wersją Detty Walker?

Na samą myśl miała ochotę wrzeszczeć. Myślała, że teraz wie, co czuje kobieta, której mniej więcej po pięciu latach od

uwieńczonej sukcesem operacji usunięcia nowotworu lekarz mówi, że rutynowe prześwietlenie rentgenowskie wykryło plamy na płucu.

— Tylko nie to — mruknęła z rozpaczą, gdy nowa grupka przechodniów przemaszerowała obok. Wszyscy trzymali się z daleka od ogrodzenia, chociaż aby to zrobić, musieli się ścieśnić. — Tylko nie to. To niemożliwe. Jestem cała. Jestem... wyleczona.

Jak długo nie było jej przyjaciół?

Spojrzała na migający uliczny zegar. Pokazywał 8.42, ale nie była pewna, czy można mu ufać. Wydawało jej się, że minęło więcej czasu. Znacznie więcej. Może powinna ich zawołać. Krzyknąć: „Halo. Jak się tam macie?”.

Nie. Żadnych takich. Jesteś rewolwerowcem, dziewczyno. A przynajmniej on tak twierdzi. I myśli. A ty nie chcesz, żeby zmienił zdanie, więc nie będziesz wrzeszczeć jak mała dziewczynka, która zobaczyła zaskrońca pod krzakiem. Będziesz tu siedzieć i czekać. Możesz to zrobić. Masz Ej a do towarzystwa i...

Nagle zauważyła mężczyznę po drugiej stronie ulicy. Stał obok straganu z gazetami. Był nagi. Nierówne nacięcie w kształcie litery „Y”, zaszyte czarną i grubą nicią, biegło od jego krocza, rozwidlając się na wysokości mostka. Patrzył na nią pustymi oczami. Przez jej świat.

Kiedy Ej zaczął szczekać, Susannah zrozumiała, że to nie jest halucynacja. Bumbler spoglądał na nagiego nieboszczyka.

Susannah zawołała Eddiego.

14

Gdy róża się otworzyła, ukazując szkarłatny żar między swymi płatkami i plamkę żółtego światła na środku, Eddie widział już wszystko, co pragnął zobaczyć.

— O mój Boże — westchnął obok niego Jake, ale równie dobrze mógł być tysiąc mil stąd.

Eddie widział wielkie rzeczy i zagrożenia. Alberta Einsteina jako chłopca, o mało nie przejechanego przez pędzący wóz z mlekiem, gdy przechodził przez ulicę. Nastoletniego Alberta Schweitzera, wychodzącego z wanny i o mało nie stojącego na

211

kawałku mydła, leżącym obok wyciągniętej zatyczki. *Oberlejt-nanta* palącego kartkę papieru z datą i miejscem inwazji w Normandii. Zobaczył człowieka, który zamierzał zatruć wodę pitną dostarczaną do Denver, umierającego na atak serca na parkingu przy autostradzie numer osiemdziesiąt w stanie Iowa, z torbą frytek od McDonalda na kolanach. Widział, jak obwieszony materiałem wybuchowym terrorysta nagle oddala się od zatłoczonej restauracji w mieście, które mogło być Jerozolimą. Terrorysta zmienił zdanie pod wpływem nieba i myśli, że ono wisi zarówno nad sprawiedliwymi, jak i nad nieprawymi. Eddie zobaczył, jak czworo ludzi ratuje chłopca przed potworem, którego łeb zdawał się składać z jednego wielkiego oka.

A jednak ważniejsza od tego wszystkiego była ogromna, narastająca waga drobnych spraw, od samolotów, które się nie rozbiły, po kobiety, które we właściwej chwili znalazły się w odpowiednim miejscu i dały początek generacjom. Widział pocałunki wymieniane w bramach, oddawane portfele i mężczyzn, którzy stanęli na rozdrożu i wybrali słuszną drogę. Zobaczył tysiące przypadkowych spotkań, które nie były przypadkowe, dziesiątki tysięcy słuszných decyzji, setki tysięcy prawidłowych odpowiedzi, miliony bezinteresownych uprzejmości. Ujrzał starych ludzi z River Crossing i Rolanda kłęczącego na ziemi i przyjmującego błogosławieństwo Ciotki Talithy — ponownie usłyszał, jak udziela mu go chętnie. Usłyszał, jak kazała mu położyć otrzymany od niej krzyżyk u stóp Mrocznej Wieży i wypowiedzieć imię Talithy Unwin na dalekim końcu świata. Ujrzał samą Wieżę w płonących objęciach róży i przez chwilę pojmował jej znaczenie, to jak rozpościerała nici swej mocy na wszystkie istniejące światy, utrzymując je w wielkiej helisie czasu. Bo za każdą cegłą, która upadła na ziemię, a nie na głowę dziecka, za każdym tornadem, które ominęło pole kempingowe, za każdym niewypałem i człowiekiem, który powstrzymał się od aktu przemocy, stała Wieża.

I ten cichy śpiew róży. Ta pieśń, która obiecywała, że wszystko może być dobrze, wszystko może być dobrze, wszystko jeszcze może być dobrze.

Coś jednak jest z tym nie tak, pomyślał.

W pieśni słychać było drażniący dysonans, ostry jak kawałki szkła. W gorącym sercu róży widać było jakieś paskudne

purpurowe migotanie, zimne światło, którego nie powinno tu być.

— Są dwa ośrodki życia — usłyszał głos Rolanda. — *Dwa!* Tak jak Jake mógł znajdować się tysiąc mil stąd.

— Wieża... i róża. Oba stanowią jedność.

— Jedność — przytaknął Jake.

Jasne światło malowało jego twarz szkarłatną czerwienią i jasną żółcią. Eddiemu jednak wydawało się, że dostrzega jeszcze jedną barwę — migotliwą purpurę, jakby świeżego otarcia. Ten blask tańczył na czole chłopca, na policzku, to wypełniał jeden oczodół, to znikał i znowu się pojawiał na skroni, niczym ucieleśnienie kiepskiego pomysłu.

— Co jest z tym nie tak? — usłyszał swój głos Eddie, lecz nikt mu nie odpowiedział. Ani Roland, ani Jake, ani róża.

Jake podniósł palec i zaczął liczyć. Eddie zobaczył, że chłopiec liczy płatki. Chociaż nie było takiej potrzeby. Wszyscy dobrze wiedzieli, ile róża ich ma.

— Musimy zdobyć ten teren — rzekł Roland. — Wykupić go i chronić. Dopóki Promienie się nie wzmocnią i Wieża nie będzie znów bezpieczna. Bo kiedy Promienie są słabe, właśnie to utrzymuje wszystko razem. A teraz słabnie. Choruje. Czujecie to?

Eddie otworzył usta, żeby potwierdzić, i w tym momencie Susannah zaczęła krzyczeć. Po chwili Ej przyłączył się do niej, głośno szczekając.

Eddie, Jake i Roland spojrzeli po sobie jak ludzie budzący się z głębokiego snu. Eddie pierwszy poderwał się z ziemi. Odwrócił się i chwytając pobiegł w kierunku ogrodzenia oraz Drugiej Alei, nawołując Susannah. Jake popędził za nim, przystając tylko na moment, żeby podnieść coś z kępy łopianów rosnących w miejscu, gdzie poprzednio leżał klucz.

Roland obrzucił ostatnim, udreńczonym spojrzeniem dziką różę, rosnącą tak dzielnie na tym pustkowiu pełnym cegieł, desek, chwastów i śmieci. Zaczęła zwijać swe płatki, skrywając płonące w niej światło.

Wróć tu, powiedział jej. Przysięgam na bogów wszystkich światów, na moją matkę, ojca i przyjaciół, że wrócę.

Mimo to się bał.

Odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku płotu, z niedbałą

zręcznością manewrując między stertami śmieci, nie zważając na ból w biodrze. Gdy biegł, jedna myśl tłukła mu się po głowie, niczym bicie serca: *Dwa. Dwa ośrodki życia. Róża i Wieża. Wieża i róża.*

Wszystko poza tym unosiło się między nimi, wirując w swej kruchej złożoności.

15

Eddie przeskoczył przez płot, stracił równowagę i upadł, podniósł się z ziemi i odruchowo zastonił własnym ciałem Susannah. Ej wciąż szczeakał.

— Suze! Co jest? Co się stało?

Sięgnął po rewolwer Rolanda, ale go nie znalazł. Wyglądało na to, że broń nie wpada w trans.

— Tam! — krzyknęła, wskazując coś po drugiej stronie ulicy. — Tam! Widzisz go? Proszę, Eddie, *powiedz mi, że go widzisz*

Eddie miał wrażenie, że temperatura jego ciała gwałtownie opada. Ujrzał nagiego mężczyznę, który został rozcięty, a następnie zszyty w sposób stosowany przy autopsji. Inny mężczyzna — żywy — kupił gazetę w pobliskim kiosku, rozejrzał się na boki, a potem przeszedł przez Drugą Aleję. Chociaż, idąc, rozłożył gazetę, żeby obejrzeć nagłówki na pierwszej stronie, Eddie zauważył, jak ominął martwego. *Tak samo jak ludzie omijali nas*, pomyślał Eddie.

— To nie jest pierwszy nieboszczyk — szepnęła Susannah. — Wcześniej widziałam kobietę. Szła sobie. I robaka. Zobaczyłam robaka, który wypełził...

— Spójrzcie w prawo — powiedział nerwowo Jake. Przyklęknął i głaskał Ej a, uspokajając go. W drugiej ręce trzymał coś różowego. Twarz miał bladą jak wiejski ser.

Spojrzeli. Jakieś dziecko powoli szło w ich kierunku. Tylko po czerwono-niebieskiej sukience zdolali odgadnąć, że to dziewczynka. Kiedy podeszła bliżej, Eddie zobaczył, że błękit miał być oceanem. Czerwone plamy zmieniły się w żagłówki. Głowa dziewczynki została zmiażdżona w jakimś okropnym wypadku tak bardzo, że była szersza niż dłuższa. Oczywiście przypominały

214

rozgniecione winogrona. Na jednym bladym ramieniu niosła plastikową torebkę. Najlepszą torebkę dziewczynki, w stylu „będę miała wypadek, chociaż nic o tym nie wiem”.

Susannah nabrała tchu, żeby krzyknąć. Ciemność, którą dotychczas tylko wyczuwała, nagle stała się niemal widoczna. A z pewnością namacalna: napierała na nią jak zwały ziemi. Mimo to Susannah mogła krzyżeć. *Musiła* krzyknąć. Inaczej oszaleje.

— Ani słowa — szepnął jej do ucha Roland z Gilead. — Nie przestrasz biedaczki. Bądź cicho, Susannah!

Z przeciągłym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc.

— Oni nie żyją — powiedział Jake ciekim, opanowanym głosem. — Oboje.

— Zbłąkani zmarli — odparł Roland. — Słyszałem o nich od ojca Alaina Johnsa. Musiało to być zaraz po naszym powrocie z Mejis, ponieważ nie upłynęło wiele czasu i... Jak ty to mówisz, Susannah? I wszystko diabli wzięli. W każdym razie to Płonący Chris ostrzegł nas, że jeśli kiedyś wpadniemy w trans, możemy widywać błąkających się zmarłych. — Wskazał na drugą stronę ulicy, gdzie stał nagi nieboszczyk. — Tacy jak ten tam albo zmarli tak nagle, że jeszcze nie zrozumieli, co się z nimi stało, albo po prostu nie chcą przyjąć tego do wiadomości. Prędzej czy później muszą jednak odejść. Nie sądzę, żeby było ich wielu.

— Bogu dzięki — odetchnął Eddie. — Wygląda jak zombi z filmu George'a Romera.

— Susannah, co się stało z twoimi nogami? — spytał Jake.

— Nie wiem — odpowiedziała. — W jednej chwili je miałam, a w następnej byłam taka jak przedtem. — Jakby wyczuła spojrzenie Rolanda, bo popatrzyła na niego. — Widzisz w tym coś zabawnego, złotko?

— Jesteśmy *ka-tet*, Susannah. Powiedz nam, co naprawdę się stało.

— Co sugerujesz, do licha? — niecierpliwit się Eddie.

Może powiedziałby coś więcej, ale zanim zdążył, Susannah ścisnęła jego ramię.

— Przyłapałeś mnie, prawda? — zwróciła się do Rolanda. — W porządku, powiem wam. Według tego tam fikuśnego zegara, czekając na was, chłopcy, straciłam siedem minut. Siedem minut

i moje porządne nowe nogi. Nie chciałam o tym mówić, ponieważ... — Urwała, ale zaraz dokończyła: — Ponieważ obawiałam się, że tracę zmysły.

Nie tego się obawiałaś, pomyślał Roland. Nie tego.

Eddie uścisnął ją i pocałował w policzek. Nerwowo zerknął na drugą stronę ulicy, na nagie zwłoki (dziewczynka ze zmiażdżoną głową na szczęście odeszła Czterdziestą Szóstą Ulicą w kierunku budynku ONZ), a potem znów na rewolwerowca.

— Jeśli to, co mówiłeś, jest prawdą, te poślizgi czasowe to bardzo zła wiadomość. A jeżeli zamiast siedmiu minut stracimy trzy miesiące? Co będzie, jeśli wróciwszy tu następnym razem, odkryjemy, że Calvin Tower sprzedał parcelę? Nie możemy do tego dopuścić. Ponieważ ta róża, człowieku... ta róża...

Łzy stanęły mu w oczach.

— Jest najlepszą rzeczą na tym świecie — dokończył Jake.

— We wszystkich światach — poprawił Roland.

Czy Eddie i Jake uspokoiłoby się, gdyby im powiedział, że ten poślizg czasowy zapewne powstał tylko w głowie Susannah? Mia wróciła na siedem minut, rozejrzała się wokół, a potem wskoczyła z powrotem do swojej dziury, jak Punxsutwaney Phi! w Dniu Świstaka? Zapewne nie. Coś jednak wyczytał z przynębionej twarzy Susannah: albo już wiedziała, co się dzieje, albo zaczęła podejrzewać. *To zapewne jest dla niej okropne, pomyślał.*

— Musimy lepiej się postarać, jeśli naprawdę zamierzamy coś zmienić — oznajmił Jake. — Na razie radzimy sobie niewiele lepiej niż bląkający się zmarli.

— Musimy wrócić do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego — przypomniała Susannah. — Jeśli chcemy położyć rękę na mojej forsie. Możemy to zrobić, Rolandzie? Jeżeli Callahan ma Czarną Trzynastkę, czy ona będzie działać jak drzwi?

Z pewnością narobi zamieszania, pomyślał Roland. Zamieszania i nie tylko. Zanim jednak zdążył to (lub coś innego) powiedzieć, odezwały się dzwony. Przechodnie na Drugiej Alei nie słyszeli ich, tak samo jak nie widzieli stojących przy płocie wędrowców, ale trup po drugiej stronie ulicy powoli podniósł ręce i zakrył nimi uszy, krzywiąc usta w grymasie bólu. I nagle stał się dla nich przezroczysty.

— Weźcie się za ręce — ponaglił Roland. — Jake, chwyć Eja za futro i mocno trzymaj! Nieważne, że go to zaboli!

Jake zrobił to, co polecił Roland. Bicie dzwonów wbijało mu się w mózg. Piękne, lecz bolesne.

— To jak leczenie kanałowe bez nowokainy — mruknęła Susannah. Odwróciła głowę i przez moment widziała, co jest za płotem, który stał się przezroczysty. Zobaczyła różę, już ze złożonymi płatkami, lecz wciąż emanującą spokojną i piękną poświatą. Poczowała, jak Eddie kładzie rękę na jej ramieniu.

— Trzymaj się, Suze, cokolwiek się stanie.

Chwyciła dłoń Rolanda. Jeszcze przez chwilę widziała Drugą Aleję, a potem wszystko znikło. Dzwony pochłonęły ten świat i leciała w nieprzeniknionych ciemnościach, czując obejmującą ją rękę Eddiego i uścisk dłoni Rolanda.

16

Kiedy ciemność uwolniła ich, znaleźli się na drodze, w odległości około czterdziestu stóp od obozu. Jake powoli usiadł, a potem odwrócił się do Eja.

— Hej, wszystko w porządku? — Ej!

Jake poklepał go po łebku. Rozejrzał się wokół, szukając towarzyszy. Byli wszyscy. Odetchnął z ulgą.

— Co to jest? — zapytał Eddie.

Kiedy zaczęły bić dzwony, chwycił chłopca za rękę. Teraz w ich splecionych palcach tkwił pomięty różowy przedmiot. W dotyku był miękki jak wełna i śliski jak metal.

— Nie wiem — odrzekł Jake.

— Podniosłeś go na parceli, zaraz po tym jak Susannah wrzasnęła — powiedział Roland. — Widziałem to.

Jake skinął głową.

— Tak, chyba to zrobiłem. Ponieważ to leżało tam, gdzie przedtem był klucz.

— Co to takiego, złotko?

— Jakaś torebka. — Trzymał ją za rączki. — Powiedziałbym, że to moja torba sportowa, ale ona została w kręglami, z moją kulą w środku. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

217

— Co tam jest napisane na boku? — zapytał Eddie.

Nie zdołali tego odczytać. Chmury znów nadciągnęły i zasłoniły księżyc. Wszyscy razem powoli i chwiejnie jak inwalidzi wrócili do obozu, gdzie Roland rozpałił ognisko. Wtedy zobaczyli napis na znalezionej przez chłopca, różowej torbie sportowej:

ANI CHWILI NUDY W ŚWIECIE POŚREDNIM

— To nie tak — powiedział Jake. — Prawie, ale niedokładnie. Na mojej torbie jest napisane ANI CHWILI NUDY W ŚRÓDMIEŚCIU. Timmy dał mi ją wtedy, kiedy zdobyłem osiemdziesiąt dwa punkty. Powiedział, że jestem już na tyle duży, że może postawić mi piwo.

— Kręglarz rewolwerowiec — mruknął Eddie, kręcąc głową. — Cudom nie ma końca, no nie?

Susannah wzięła torbę i przesunęła po niej palcami.

— Co to za tkanina? W dotyku przypomina metal. I jest ciężka.

Roland, który domyślał się, co to za torba — chociaż nie miał pojęcia, kto ją tam dla nich zostawił — rzekł:

— Schowaj ją do plecaka razem z książkami, Jake. I dobrze jej pilnuj.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Eddie.

— Prześpimy się — odparł Roland. — Sądzę, że przez kilka następnych tygodni będziemy bardzo zajęci. Musimy korzystać z każdej okazji, żeby dobrze się wyspać.

— Ale... — zaczął Eddie.

— Śpij — rzucił krótko Roland i rozłożył swoje poślanie.

Po chwili wszyscy zasnęli i śnili o róży. Wszyscy prócz Mii, która w mroku nocy wstała i wymknęła się na bankiet w wielkiej sali biesiadnej. Tam najadła się do syta. Przecież jadła za dwoje.

CZĘŚĆ DRUGA

OPOWIEŚCI

1

Jeśli było coś, co zadziwiło Eddiego podczas wjazdu do Calla Bryn Sturgis, to jedynie łatwość utrzymywania się na koniu. W przeciwieństwie do Susannah i Jake'a, którzy uczyli się jazdy konnej na letnich obozach, Eddie nigdy nawet nie głaskał konia. Kiedy rankiem po tym, co w myślach nazywał Transem Numer Dwa, usłyszał stuk kopyt zbliżających się zwierząt, był przerażony. Nie bał się jazdy ani wierzchowców, tylko perspektywy — bardzo realnej perspektywy — że zrobi z siebie głupca. Co to za rewolwerowiec, który nigdy nie siedział w siodle?

Zdażył zamienić kilka słów z Rolandem, zanim tamci wjechali do obozu.

— Zeszłej nocy nie było tak jak przedtem.

Roland obrzucił go pytającym spojrzeniem.

— Zeszłej nocy to nie było dziewiętnaście.

— Co przez to rozumiesz?

— Sam nie wiem, jak to rozumieć.

— Ja też nie — wtrącił Jake — ale on ma rację. Zeszłej nocy Nowy Jork wydawał się zupełnie realny. Chcę powiedzieć, że wiem, iż to był trans, ale...

— Realny — myślał głośno Roland.

— Realny jak róża — dodał Jake z uśmiechem.

Tym razem na czele grupki jechali Slightmanowie, prowadząc na długich rzemieniach po dwa wierzchowce. Konie z Calla Bryn Sturgis nie oszałamiały wielkością: z pewnością były inne od tych, które w wyobraźni Eddiego galopowały traktami dawnej Baronii Mejis z opowieści Rolanda. Zwierzęta, które im przyprowadzono, miały krępe, silne nogi, gęstą sierść i duże, inteligentne oczy. Okazały się większe od szetlandzkich kucyków, lecz wcale nie przypominały dzikookich rumaków. Były osiodłane, a do każdego siodła przywiązano zrolowaną derkę.

Gdy Eddie podchodził do swojego wierzchowca (nikt nie musiał mu mówić, że to właśnie kasztanek), nagle zapomniał o wszystkich wątpliwościach i zmartwieniach. Zadał tylko jedno pytanie, kierując je do młodszego Bena Slightmana, po obejrzeniu strzemion.

— One będą dla mnie za krótkie, Ben. Możesz mi pokazać, jak je wydłużyć?

Ben zsiadł, chcąc samemu to zrobić, lecz Eddie pokręcił głową.

— Będzie lepiej, jeśli się nauczę — powiedział bez cienia zmieszania.

Chłopak pokazał mu. Eddie uświadomił sobie, że właściwie nie potrzebował tej lekcji. Pojął, jak się to robi, już w chwili gdy Benny podniósł strzemień, odsłaniając skózaną sprzączkę. Nie była to żadna tajemna, zastrzeżona wiedza i nie wydawała się czymś niepojętym. Stojąc obok ciepłego i wydzielającego silny zapach wierzchowca, natychmiast zrozumiał, jak się obchodzić z uprzężą. Od kiedy znalazł się w Świecie Pośrednim, zdarzyło mu się to już po raz drugi: za pierwszym razem wtedy, gdy przypasał jeden z rewolwerów Rolanda.

— Potrzebujesz pomocy, słodziutki? — spytała Susannah.

— Po prostu pomóż mi wstać, jeśli spadnę z drugiej strony — mruknął, ale oczywiście nic takiego się nie stało. Koń czekał spokojnie i tylko leciutko się zachwiał, kiedy Eddie włożył stopę w strzemień i usiadł w zwyczajnym, czarnym siodle.

Jake zapytał Benny'ego, czy ma poncho. Syn nadzorcy z powątpiewaniem spojrzął na niebo.

— Nie sędzę, żeby miało padać — powiedział. — W porze żniw często tak bywa...

— Potrzebne mi dla Eja — wyjaśnił Jake z niezmałym spokojem i pewnością siebie.

Czuje się dokładnie tak jak ja, pomyślał Eddie. Jakby robił to już tysiąc razy.

Chłopiec wyjął z luków złożoną pelerynę i wręczył ją Jake'owi, który podziękował, nałożył ją, a potem wsadził Eja do obszernej kieszeni z przodu, przypominającej torbę kangura. Bumbler nie protestował. Eddiemu przeszła przez głowę myśl: *Czy gdybym powiedział, że Ej pobiegnie za nami jak owczarek, Jake odparłby, że on zawsze jeździ z nim w taki sposób? Nie... ale mógłby tak pomyśleć.*

Jak tylko ruszyli, Eddie zrozumiał, z czym to wszystko mu się kojarzy: z zasłyszonymi opowieściami o reinkarnacji. Próbował odepchnąć od siebie to spostrzeżenie, przywołać pragmatycznego, twardego brooklyńskiego chłopaka, który dorastał w cieniu Henry'ego Deana, lecz niezupełnie mu się to udało. Myśl o reinkarnacji byłaby mniej niepokojąca, gdyby sformułował ją wyraźniej. Nurtowało go to, że przecież nie może być spokrewniony z Rolandem, z całą pewnością. Chyba że Arthur Eld zatrzymał się kiedyś w Co-Op City. Na przykład na hot doga i ciastko z Dahlie Lundgren's. Choć zdawał sobie sprawę z głupoty wniosków, do których doprowadziła go umiejętność jazdy na ewidentnie spokojnym koniu, myśl ta nawiedzała go jeszcze kilkakrotnie tego dnia i towarzyszyła mu podczas zasypiania. Eld. Potomek Elda.

3

Południowy posiłek zjedli w siodłach. Kiedy chrupali kukurydziane płatki, popijając je zimną kawą, Jake zrównał swego wierzchowca z koniem Rolanda. Ej zerknął na rewolwerowca jasnymi ślepkami z przedniej kieszeni poncha. Chłopiec karmił bumblera płatkami i zwierzątko miało okruszki na wąsach.

— Rolandzie, mogę porozmawiać z tobą jak z moim *dinhl* — spytał lekko zafrasowany Jake.

Oczywiście.

223

Roland dopił kawę i z zaciekawieniem spojrzął na chłopca, kołyszając się w siodle.

— Obaj Slightmanowie, ale głównie młodszy, spytali mnie, czy nie zechciałbym zatrzymać się u nich. Na farmie Rocking B.

— A chcesz?

Chłopiec lekko się zaczerwienił.

— No cóż, pomyślałem sobie, że gdybyście wy byli w mieście u Starego Człowieka, a ja na farmie... no wiesz, na południe od miasta... to widzielibyśmy sprawy z dwóch różnych miejsc. Mój ojciec mówi, że niczego dobrze nie zobaczysz, jeśli patrzysz na coś tylko z jednego punktu.

— To prawda — rzekł Roland i miał nadzieję, że jego głos i mina nie zdradzają smutku i żalu, jaki nagle poczuł.

Oto chłopiec, który wstydzi się tego, że jest chłopcem. Zawarł przyjaźń i przyjaciel zaprosił go do siebie, jak czasem robią przyjaciele. Niewątpliwie obiecał, że Jake będzie mógł pomagać mu karmić zwierzęta, a może postrzelać z jego łuku (albo kuszy, jeśli używali tu bełtów). Benny zechce pokazać mu różne miejsca, kryjówki, w których mógłby chować się ze swoim bratem bliźniakiem. Może domek na drzewie albo ulubiony, skryty w trzcinach staw z rybami lub nadrzeczną łachę, na której podobno dawni piraci zakopywali złoto i kosztowności. Miejsca uwielbiane przez chłopców. Tylko że Jake Chambers wstydził się to robić. Tę część jego duszy zniszczył strażnik na Dutch Hill, Gasher i Tik-Tak. A także on, Roland. Gdyby teraz odmówił chłopcu, ten zapewne już nigdy nie poprosiłby o pozwolenie. I nawet nie miałby tego za złe Rolandowi, co było jeszcze gorsze. A gdyby się zgodził, lecz w niewłaściwy sposób — na przykład choćby z odrobiną pobłażliwości w głosie — Jake by się rozmyślił.

Chłopiec. Rewolwerowiec zrozumiał, jak bardzo chciałby w dalszym ciągu nazywać tak Jake'a i jak niewiele pozostało na to czasu. Miał złe przeczucia co do Calla Bryn Sturgis.

— Na pewno? Bo jeśli sądzisz, że mogę być potrzebny...

— Twój ojciec miał rację. Mój stary nauczyciel...

— Cort czy Vannay?

— Cort. Zwykł mówić nam, że jednooki widzi płasko. Potrzeba dwojga oczu, nieco oddalonych od siebie, aby ujrzeć sprawy takimi, jakimi naprawdę są. Zatem tak. Jedź z nimi.

Zaprzęjażnij się z Młodym Benem, jeśli uznasz to za stosowne. Wygląda na miłego.

— Taak — mruknął Jake, ale rumieniec zaczął znikać z jego policzków. Roland zauważył to z zadowoleniem.

— Spędź z nimi jutrzejszy dzień. I z jego przyjaciółmi, jeśli ich ma.

Jake pokręcił głową.

— Farma leży na uboczu. Ben mówi, że Eisenhart ma wielu robotników i są tam dzieci w jego wieku, lecz nie wolno mu się z nimi bawić. Domyślam się, że dlatego, iż jest synem zarządcy.

Roland skinął głową. To go nie dziwiło.

— Dziś wieczorem ugoszczą nas pod namiotem. Czy muszę ci mówić, że po pierwszym toaście masz pić tylko mrożoną herbatę?

Jake przecząco pokręcił głową. Roland dotknął skroni, warg, kącika oka i znów warg.

— Jasna głowa. Zamknięte usta. Otwarte oczy. Waż każde słowo.

Jake uśmiechnął się i pokazał mu podniesiony kciuk.

— A co z wami?

— My troje dzisiejszą noc spędzimy u księdza. Mam nadzieję, że jutro usłyszymy jego opowieść.

— I zobaczycie... — Zostali nieco z tyłu za pozostałymi, ale Jake mimo to zniżył głos. — Zobaczycie to, o czym nam mówił?

— Tego nie wiem — odparł Roland. — Pojutrze przyjedziemy we troje do Rocking B. Może zjemy południowy posiłek z Eisenhartem i trochę porozmawiamy. Potem, przez kilka następnych dni, rozejrzemy się we czwórkę po mieście i okolicy. Jeśli spodoba ci się na farmie, Jake, chciałbym, żebyś został tam dopóty, dopóki zechcesz i dopóki będziesz tam mile widziany.

— Naprawdę?

Chociaż Jake dobrze skrywał swe uczucia za kamienną twarzą (oczywiście w przenośni), rewolwerowiec wiedział, że bardzo się ucieszył.

— Tak. Z tego, co słyszałem, wynika, że w Calla Bryn Sturgis napotkamy trzech poważnych oponentów. Jednym jest Overholser. Drugim sklepikarz Took. Trzeci to Eisenhart. Z wielkim zainteresowaniem wysłucham tego, co o nim sądzisz.

— Usłyszysz to — obiecał Jake. — I dzięki, *sai*.

Trzykrotnie dotknął krtani. Potem jego poważna twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Chłopięcym uśmiechu. Popędził konia do kłusa i podjechał do swych nowych przyjaciół, aby powiedzieć im, że owszem, może u nich przenocować i może się bawić.

4

— O rany — mruknął Eddie.

Powiedział to cicho i powoli, niemal jak westchnienie postaci z kreskówki. Lecz po niemal dwóch miesiącach spędzonych w guszy ten widok w pełni uzasadniał jego reakcję. Ponadto zaskoczenie pogłębiało efekt. Zaledwie przed chwilą jechali leśnym traktem, przeważnie dwójkami (Overholser podążał sam na czele grupy, a Roland na jej końcu). Nagle drzewa zniknęły i znaleźli się na szczycie pagórka, którego zbocza opadały na północ, południe i wschód. Ujrzeni zapierający dech w piersi obraz miasteczka, którego dzieci mieli uratować.

A jednak w pierwszej chwili Eddie patrzył na coś innego, nie na to, co rozpościerało się poniżej, a kiedy spojrzął na Susannah i Jake'a, zobaczył, że i oni nie patrzą na Calla. Eddie nie musiał zerkać na Rolanda, aby wiedzieć, że i on spogląda gdzieś dalej. *Oto definicja wędrowca*, pomyślał Eddie. *To ktoś, kto zawsze patrzy na to, co jest dalej.*

— No tak, piękny widok, dziękować bogom — rzekł z zadowoleniem Overholser i zerknąwszy na Callahana, dodał: — i Jezusowi-Człowiekowi, oczywiście. Słyszałem, że to nieistotne, któremu bogu się dziękuje. Uważam, że to dobre powiedzenie.

Może plótt coś jeszcze. Zapewne tak; będąc najbogatszym farmerem w okolicy, przyzwyczaił się, że zawsze ma coś do powiedzenia, a inni go słuchają. Eddie nie zwracał na niego uwagi. Skupił ją na rozległym widoku.

Przed nimi wiała się szara wstęga płynącej na południe rzeki. Odnoga Wielkiej Rzeki, zwana Devar-Tete Whye, przypomniał sobie Eddie. Wyptywając z lasu, toczyła wody między wysokimi brzegami, które obniżały się, gdy docierała do pierwszych pól

uprawnych, a potem całkowicie opadały. Zauważył kilka kęp wysokich palm, zielonych i niewiarygodnie egzotycznych. Za średniej wielkości wioską ziemia na zachód od rzeki była jasnozielona, przetykana tu i ówdzie szarymi nitkami. Eddie był pewien, że w słoneczny dzień ta szarość zmieniłaby się w błękit, aż nazbyt oślepiający, kiedy słońce stanie wysoko na niebie. Spoglądał na pola ryżowe. A może tutaj zwano je poletkami.

Dalej i na wschód od rzeki była pustynia, rozciągająca się na wiele mil. Eddie zauważył biegnące po niej dwie równoległe metalowe nitki i domyślił się, że to tory kolejowe.

A za pustynią — może przesłaniając jej pozostałą część — była po prostu ciemność. Wznosiła się ku niebu niczym ściana mgły, zdając się łączyć z nisko wiszącymi chmurami.

— To Jądro Gromu, *sai* — powiedziała Zalia Jaffords. Eddie skinął głową.

— Kraina Wilków. I Bóg wie czego jeszcze.

— Do licha — rzekł młodszy Slightman.

Próbował to powiedzieć raźnie i obojętnie, lecz Eddie miał wrażenie, że chłopiec jest wystraszony, być może bliski łez. Przecież Wilki chyba go nie porwą, bo jeśli jego brat bliźniak umarł, to przecież jest jedynakiem, no nie? No cóż, tak było przecież z Elvisem Presleyem, tylko że Król nie pochodził z Calla Bryn Sturgis. Ani nawet z Calla Lockwood na południu.

— Nie, Król był chłopcem Missisipi — mruknął Eddie.

Tian odwrócił się w siodle i spojrzał na niego.

— Błagam o wybaczenie, *sai*.

Eddie, zdawszy sobie sprawę z tego, że powiedział to na głos, rzekł:

— Przepraszam. Mówiłem do siebie.

Andy Poślaniec (I Wiele Innych Funkcji), nadszedł od strony miasta, wspiąwszy się stromą ścieżką, w samą porę, żeby to usłyszeć.

— Ci, którzy rozmawiają sami ze sobą, mają kiepskich rozmówców. To takie stare powiedzenie w Calla, *sai* Eddie. Nie bierz tego do siebie, błagam.

— A jak już mówiłem i niewątpliwie znów będę musiał powtórzyć, nie da się oczyścić zamszowej kurtki ze smarków, przyjacielu. To stare powiedzenie z Calla Bryn Brooklyn.

Z wnętrza Andy'ego dobiegł cichy pisk. Jego błękitne oczy rozbłyły.

— *Smarki*: wydzielina z nosa. Także niegodna lub nieletnia osoba. *Zamsz*: skórzany materiał, który...

— Nieważne, Andy — przerwała mu Susannah. — Mój przyjaciel wygłupia się. Robi to bardzo często.

— Och tak — potwierdził Andy. — Jest zimowym dzieckiem. Czy chcesz usłyszeć swój horoskop, Susannah-saz? Poznasz przystojnego mężczyznę! Wpadniesz na dwa pomysły, jeden dobry, drugi zły! Będziesz miała ciemnowłose...

— Wynoś się stąd, idioto — warknął Overholser. — Idź prosto do miasta, nie zbaczaj. Sprawdź, czy z namiotem wszystko w porządku. Nikt nie ma ochoty słuchać twoich diabelskich horoskopów. Wybacz mi przekleństwo, Stary Człowieku.

Callahan nie zareagował. Andy skłonił się, trzykrotnie stuknął w swe blaszane gardło i odszedł szlakiem, stromym, lecz dość szerokim. Susannah spoglądała za nim wzrokiem, w którym mogła kryć się ulga.

— Nie byłeś dla niego trochę zbyt szorstki? — spytał Eddie.

— To tylko maszyna — odparł Overholser, cedząc ostatnie słowo, jakby mówił do dziecka.

— I potrafi być irytująca — dodał Tian. — Powiedzcie mi, *sai*, co sądzicie o naszym Calla?

Roland wjechał na koniu między Eddiego i Callahana.

— Jest bardzo piękne — oświadczył. — Obojętnie jacy stworzyli je bogowie, musieli ukochać to miejsce. Widzę zboże, buraki, fasolę i... ziemniaki? Czy to ziemniaki?

— Taa, to są pyry — potwierdził Slightman, wyraźnie zadowolony z pochwały.

— A tam dorodny ryż — rzekł Roland.

— Wszystkie te poletka nad rzeką — wyjaśnił Tian — gdzie woda płynie szeroko i wolno. Dobrze wiemy, że mamy szczęście. Kiedy ryż jest gotowy do sadzenia lub zbioru, wszystkie kobiety idą na pola. Śpiewają przy pracy, a nawet tańczą.

— Chodź, chodź z nami — powiedział Roland.

A przynajmniej to usłyszał Eddie. Tian i Zalia rozpromienili się i zdziwili. Slightmanowie wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się.

— Gdzie słyszałeś *Pieśń ryżu*? — zapytał starszy. — Kiedy?

— W moich stronach — odparł Roland. — Dawno temu.

„Chodź, chodź z nami, albowiem dziś ryż zbieramy”. — Wskażała na zachód, w bok od rzeki. — Tam jest największa farma wśród łąków zbóż. Twoja, *sai* Overholser?

— Tak jest, dziękować bogom.

— A dalej na południe kolejne farmy... a potem rancza. Tam hodują bydło... tam owce... a tam znów bydło... i owce...

— Jak je rozróżniasz z tak daleka? — zapytała Susannah.

— Owce gryzą trawę bliżej ziemi, lady-*sai* — wyjaśnił Overholser. — Tak więc te jasnobrązowe płyty to pastwiska owiec. Na pozostałych, koloru, który chyba nazywa się ochrą, pasie się bydło.

Eddie pomyślał o wszystkich westernach, które widział w kinie Majestic: z Clintem Eastwoodem, Paulem Newmanem, Robertem Redfordem, Lee van Cleefem.

— W mojej krainie opowiadają legendy o wojnach między hodowcami bydła i owiec — rzekł. — Mówiorft), że owce niszczą trawę. Wyjadają ją aż do korzeni, tak że nie odrasta.

— To po prostu zwyczajna bzdura, za pozwoleniem — rzekł Overholser. — Owce rzeczywiście gryzą trawę blisko ziemi, ale my potem przepędzamy tamtędy krowy do wodopoju. W ich odchodach jest mnóstwo nasion.

— Aha — rzucił Eddie.

Nic innego nie przyszło mu do głowy. Z takiego punktu widzenia koncepcja wojen o pastwiska wydawała się rzeczywiście idiotyczna.

— Jedźmy — ponaglił Overholser. — Czas płynie, prawda, a przygotowano dla nas ucztę pod namiotem. Całe miasto przyjdzie tam, żeby was powitać.

/ dobrze się nam przyjrzeć, pomyślał Eddie.

— Prowadź — powiedział Roland. — Dotrzemy tam po południu. A może się mylę?

— Nie — odparł Overholser, po czym spiął gwałtownie swego rumaka, okręcając go. (Na sam widok Eddie się skrzywił). Pojechał ścieżką w dół. Pozostali ruszyli za nim.

5

Eddie miał nigdy nie zapomnieć pierwszego spotkania z mieszkańcami Calla Bryn Sturgis: to wspomnienie zawsze pozostanie

stanie żywe w jego pamięci. Dlatego że wszystko było takie niespodziewane, a w tego rodzaju wypadkach doznania upodabniają się do snu. Zapamiętał, jak migotały pochodnie podczas wygłaszanych przemówień — ich dziwne, zmienne światło. I niespodziankę, jaką sprawił im Ej, pozdrawiając tłum. Uniesione twarze, narastającą w nim samym panikę i gniew na Rolanda. I Susannah wspinającą się na stół przy pianinie, na podium, które miejscowi nazywali *muzyką*. Och tak, to ostatnie wspomnienie zachowa na zawsze. Na pewno. Lecz jeszcze żywsze od obrazu ukochanej było wspomnienie rewolwerowca.

Rolanda tańczącego.

Zanim jednak wszystko to się zdarzyło, była jazda po głównej ulicy miasteczka i złe przeczucia. Czuł, że nadchodzą kiepskie dni.

6

Dotarli do miasta na godzinę przed zachodem słońca. Chmury rozeszły się, przepuszczając ostatnie czerwone światło dnia. Ulica była pusta. Jej nawierzchnię stanowiła ubita ziemia. Kopyta koni głucho postukiwały o zrytą koleinami glinę. Eddie dostrzegł stajnię, lokal pod szyldem Odpoczynek Wędrowca, przypominający połączenie noclegowni z jadłodajnią, a na końcu ulicy duży piętrowy budynek, który z pewnością był salą posiedzeń. Po prawej stronie dostrzegł łunę pochodni i domyślił się, że tam czekają na nich mieszkańcy, natomiast na północnym krańcu miasta, skąd nadjechali, nie było nikogo.

Cisza i puste drewniane chodniki zaczynały działać Eddiemu na nerwy. Przypomniała mu się opowieść Rolanda o Susan Delgado wjeżdżającej do Mejis na wozie, ze związanymi rękami i pętlą na szyi. Wtedy ulica też była pusta. Z początku. Potem, tuż przed skrzyżowaniem Wielkiej Drogi z Silk Ranch Road, Susan i jej oprawcy minęli samotnego farmera, którego Roland nazywał człowiekiem o oczach okrutnego rzeźnika. Później obrzucono ją jarzynami i kijami, a nawet kamieniami, lecz ten samotny farmer był pierwszy. Stał tam, trzymając w rękach kaczany kukurydzy, którymi niemal delikatnie rzucał w nią, gdy mijała go w drodze... no cóż, *charyou tree*... na Plony Dawnych Ludzi.

230

Kiedy wjeżdżali do Calla Bryn Sturgis, Eddie niemal spodziewał się, że zaraz zobaczy tego farmera o oczach okrutnego rzeźnika, trzymającego w rękach suche kaczany kukurydzy. Ponieważ widok tego miasta przejmował go dreszczem. Nie było złe — takie jak Mejis tamtej nocy, gdy zginęła Susan Delgado — lecz po prostu nieszczęśliwe. Wyczuwał tu pecha, błędne decyzje, złe wróżby. Może złe *ka*.

Nachylił się do starszego Slightmana.

— Do licha, gdzie są wszyscy, Ben?

— Tam — odparł Slightman i wskazał na lunę pochodni.

— Dlaczego jest tak cicho?

— Nie wiedzą, czego mają się spodziewać — rzekł Callahan. — Żyjemy tu na uboczu. Bardzo rzadko widzujemy obcych: wędrownych kupców, rabusiów, hazardystów... Och tak, jeszcze czasem w lecie zatrzymują się tu rzeczne straganostaki*

— Co to jest straganostatek? — zapytała Susannah.

Callahan opisał szeroką płaskodeną jednostkę, poruszaną wioślami i jaskrawo pomalowaną, zabudowaną małymi sklepikami. Takie barki pływały po Devar-Tete Whye, przybijając do różnych Calla Środkowego Półksiężycu, aż sprzedano cały towar. Przeważnie same buble, powiedział Callahan, lecz Eddie nie był pewien, czy można mu ufać, przynajmniej w kwestii tych straganostaków, gdyż ksiądz mówił o nich z podświadomą niechęcią głęboko wierzącego człowieka.

— A przybywający stamtąd porywają im dzieci — ciągnął Callahan. Wskazał na lewo, gdzie długi drewniany budynek zajmował prawie pół ulicy. Eddie naliczył nie dwie lub cztery, lecz aż osiem poręczy do wiązania koni. Długich poręczy. — To skład towarów Tooka, do waszych usług — zakończył z lekkim sarkazmem w głosie.

Dotarli do namiotu. Później Eddie oszacował liczbę zebranych tam ludzi na siedemset lub osiemset, lecz w pierwszej chwili — gdy w długich promieniach zachodzącego słońca zobaczył zbitą masę kapeluszy, czepków, buciorów i stwardniałych od ciężkiej pracy rąk — ten tłum wydał mu się nieprzebrany, niezliczony.

Zaraz obrzucą nas tajnem, pomyślał. Zaczną rzucać tajnem i krzyzczyć: charyou tree. Ta myśl była śmieszna, ale nieodparta.

Mieszkańcy Calla rozstąpili się na boki, tworząc porośnięte

zieloną trawą przejście prowadzące do drewnianego podium. Wokół namiotu paliły się pochodnie, osadzone w żelaznych uchwytach. W tym momencie wszystkie rzucały jeszcze zwykłe żółte światło. Eddie wyczuł silny zapach oleju.

Overholser zsiadł z konia. Jego towarzysze również. Eddie, Susannah i Jake spojrzeli na Rolanda. Ten przez chwilę siedział nieruchomo, lekko pochylony do przodu, opierając dłoń o łęk siodła, zatopiony we własnych myślach. Potem zdjął kapelusz i popatrzył na tłum. Trzykrotnie dotknął dłonią gardła. Tłum zaszemrał. Z uznaniem czy zdziwieniem? Eddie nie wiedział. Lecz na pewno nie był to gniew, na pewno, tak więc zapowiadało się dobrze. Rewolwerowiec przełożył nogę nad końskim grzbietem i zwinnie zeskoczył na ziemię. Eddie znacznie ostrożniej zsiadł z konia, świadom tego, że wszyscy na niego patrzą. Wcześniej założył uprząż do transportu Susannah i teraz stanął przy jej wierzchołku, plecami do niego. Ona wprawnie zsunęła się z siodła, prosto w nosidła. Tłum ponownie zaszemrał, widząc, że nie ma obu nóg, obciętych tuż powyżej kolan.

Overholser żwawo ruszył przejściem, uściskawszy po drodze kilka rąk. Callahan szedł tuż za nim, od czasu do czasu kreśląc znak krzyża w powietrzu. Kilka rąk wyciągnęło się z tłumy i chwyciło końskie uzdy. Roland, Eddie i Jake szli ramię w ramię. Ej, w dalszym ciągu w kieszeni obszernego poncha, które Benny pożyczył Jake'owi, z zainteresowaniem rozglądał się wokół.

Eddie uświadomił sobie, że czuje zapach tłumu: potu, włosów, opalanej skóry, a czasem tego, co bohaterowie westernów zazwyczaj nazywali „wodą kwiatową” (z taką samą pogardą, jaka pobrzmiwała w głosie Callahana, kiedy mówił o stragano-
statkach). Wyczuwał także woń jedzenia: wieprzowiny i wołowiny, świeżego chleba, smażonej cebuli, kawy i alkoholu. Zaburczało mu w brzuchu, chociaż nie był głodny. Nie, wcale nie był głodny. Miał wrażenie, że to przejście, którym szli, zaraz zniknie i wszyscy zebrani rzucają się na nich. Było tak cicho! Gdzieś w pobliżu pobrzmiwały jedynie głosy lelków i puszczyka, szykujących się do nocnego koncertu.

Overholser i Callahan weszli na podium. Eddie z niepokojem zauważył, że nie zrobili tego inni członkowie grupki, która wyjechała im na spotkanie. Mimo to Roland bez wahania

pokonał trzy szerokie drewniane stopnie, wiodące na podium. Eddie poszedł za nim na lekko uginających się nogach.

— Wszystko w porządku? — mruknęła mu do ucha Susannah.

— Na razie tak.

Na lewo od podium była okrągła scena, a na niej siedmiu mężczyzn w białych koszulach i niebieskich dżinsach. Eddie rozpoznał instrumenty, które trzymali w dłoniach, i choć na widok mandoliny i bandžo pomyślał, że pewnie będą grali gównianą muzykę, to, że tam byli, dodało mu otuchy. Zwykle nie wynajmuje się muzykantów, żeby grali przy składaniu ofiar z ludzi, no nie? Najwyżej paru doboszy, żeby podkrećli tłum.

Dźwigając na plecach Susannah, Eddie odwrócił się twarzą do widzów. Z niepokojem zauważył, że przejście, zaczynające się w miejscu, gdzie kończyła się ulica, zniknęło. Ludzie lekko unieśli twarze w górę, patrząc na niego. Kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. Twarze niezdradzające żadnych uczuć, niemłode. Twarze ludzi, którzy większość czasu spędzali na powietrzu, czego dowodziły widoczne na nich bruzdy. Eddie wciąż miał złe przeczucia.

Overholser zatrzymał się przed drewnianym stołem. Leżało na nim duże, kolorowe pióro. Farmer wziął je i podniósł w górę. W tłumie, od początku milczącym, teraz zapadła tak niepokojąco głęboka cisza, że Eddie dosłyszał cichy świst, z jakim oddech wydobywał się z czyjejś niemłodej piersi.

— Opuść mnie na ziemię, Eddie — poprosiła cicho Susannah.

Nie spodobało mu się to, ale spełnił prośbę.

— Jestem Wayne Overholser z Siódmej Mili — rzekł farmer, stając na skraju podium i trzymając przed sobą pióro. — Wysłuchajcie mnie, proszę.

— Dzięki ci, *sai* — mruknęli.

Overholser odwrócił się i wyciągnął rękę do Rolanda oraz jego towarzyszy, stojących tam w brudnych podróжных strojach (Susannah właściwie nie stała, ale siedziała między Eddiem i Jakiem, podpierając się ręką). Eddie pomyślał, że jeszcze nigdy nie przyglądano mu się tak uważnie.

— My, mieszkańcy Calla, słyszeliśmy Tiana Jaffordsa, George'a Telforda, Diega Adamsa i wszystkich tych, którzy prze-

mawiali w sali zgromadzeń — ciągnął Overholser. — Ja również zabrałem tam głos. „Przyjdą i zabiorą nasze dzieci — powiedziałem, mając na myśli Wilki, oczywiście — a potem zostawią nas w spokoju przez pokolenie lub dwa. Tak było i tak jest, więc niech tak zostanie”. Teraz myślę, że może powiedziałem to zbyt pochopnie.

W tłumie rozległy się szept, ciche jak szelest liści.

— Na tym samym zebraniu usłyszeliśmy, jak Pere Callahan oświadczył, że na północ od miasta są rewolwerowcy.

Znowu szept. Tym razem głośniejsze. *Rewolwerowcy... Świata Pośredniego... Gilead.*

— Uchwaliliśmy, że kilku z nas powinno pojechać i sprawdzić to. Oto ludzie, których tam spotkaliśmy. Podają się za tych... których zapowiedział Pere Callahan. — Overholser miał teraz niewyraźną minę. Niemal jakby obawiał się pierdnąć. Eddie widywał już taki wyraz twarzy, głównie w telewizji, u polityków zmuszonych zmienić zdanie w obliczu niepodważalnych faktów. — Twierdzą, że są z dawnego świata. Czyli...

No już, Wayne, pomyślał Eddie, wykrztuś to. Przecież potrafisz.

— ...czyli są potomkami Elda.

— Bogom niech będą dzięki! — rozległ się kobiecy głos. — Bogowie zesłali ich nam, żeby uratowali nasze dzieci!

Inni uciszali ją. Cwerholser ze zboląłą miną czekał, aż głosy ucichną.

— Sami mogą mówić za siebie... i zrobią to... — podjął — lecz widziałem dość, aby uwierzyć, że mogą nam pomóc. Noszą dobrą broń, jak sami widzicie, i potrafią się nią posługiwać. Gwarantuję to wam i dziękuję.

Tym razem tłum zaszemrał głośniejsze i Eddie wyczuł w tym pomruku życzliwość. To trochę go uspokoiło.

— W porządku, niech więc staną przed wami jeden po drugim, abyście mogli usłyszeć ich głosy i dobrze obejrzeć twarze. Oto ich *dinh*.

Wskazał dłonią Rolanda.

Rewolwerowiec wystąpił. Zachodzące słońce pomalowało łuną jego lewy policzek; prawy był pomarańczowy od blasku pochodni. Zrobił krok do przodu. W ciszy rozległ się głośny stuk startego obcasa o deski. Nie wiedzieć czemu, ten odgłos skojarzył się Eddiemu z łoskotem pierwszej grudy ziemi ude-

rzającej o wieko trumny. Roland skłonił się tłumowi, pokazując otwarte dłonie.

— Roland z Gilead, syn Stevena — powiedział. — Potomek Elda.

Westchnęli.

— Niech to będzie dobre spotkanie.

Cofnął się i spojrzał na Eddiego. Ten poradził sobie z prezentacją.

— Eddie Dean z Nowego Jorku — rzekł. — Syn Wendela. — *A przynajmniej tak zawsze twierdziła mama*, pomyślał. I niespodziewanie dla samego siebie dodał: — Potomek Elda. *Ka-tet* Dziewiętnaście.

Cofnął się i Susannah przesunęła się na skraj podium. Z podniesioną głową, mierząc tłum spokojnym wzrokiem, oznajmiła:

— Jestem Susannah Dean, żona Eddiego, córka Dana, z linii Elda, *ka-tet* Dziewiętnaście. Niechaj będzie to dobre spotkanie.

Dygnęła, unosząc wymyśloną suknię. Tłum przyjął to śmiechem i oklaskami.

Kiedy się przedstawiała, Roland nachylił się i szepnął coś do ucha Jake'a. Ten skinął głową i z pewną miną wystąpił naprzód. W gasnącym świetle wyglądał bardzo młodo i urodziwie. Szurnął nogą i skłonił się. Poncho zabawnie obwisało pod ciężarem Eja.

— Jestem Jake Chambers, syn Elmera, potomek Elda, *ka-tet* Dziewięćdziesiąt Dziewięć.

Dziewięćdziesiąt dziewięć? Eddie spojrzał na Susannah, która nieznacznie wzruszyła ramionami. *Co to za bzdura z tą dziewięćdziesiątkądziewiątką?* Zaraz jednak pomyślał, że to bez znaczenia. On też nie miał pojęcia, co to jest *ka-tet* Dziewiętnaście, a sam się tak przedstawił.

Jake jednak jeszcze nie skończył. Z kieszeni poncha Beny'ego Slightmana wyjął Eja. Na widok bumbleera tłum westchnął. Jake zerknął na Rolanda. *Jesteś pewien?* — pytał spojrzeniem. Roland skinął głową.

W pierwszej chwili Eddie pomyślał, że ulubieniec Jake'a nic nie zrobi. Mieszkańcy Calla — ludzie — zamilkli i w głębokiej ciszy ponownie słychać było wieczorną pieśń ptaków.

Nagle Ej stanął na tylnych łapach, wysunął jedną do przodu i skłonił się. Lekko się przy tym zachwiał, ale nie stracił

równowagi. Czarne przednie łapki trzymał w górze, tak jak przedtem unióśł swoje ręce Roland. Zebrani powitali to wes-tchnieniami podziwu, śmiechem i oklaskami. Jake oniemiał.

— Ej! — powiedział bumbler. — Eld! Dzięki!

Wyraźnie wymówił wszystkie te słowa. Jeszcze przez moment kłaniał się, po czym opadł na cztery łapy i raźnie podreptał z powrotem do Jake'a. Tłum nagrodził go ogłuszającymi bra-wami. Tym jednym błyskotliwym pomysłem Roland (bo któż inny, pomyślał Eddie, mógł nauczyć tego bumbera) zdobył przyjaźń i podziw tych ludzi. Przynajmniej na ten wieczór.

Tak więc to była pierwsza niespodzianka: Ej kłaniający się zgromadzonym mieszkańcom Calla Bryn Sturgis i przedsta-wiający się jako *an-tet* swych towarzyszy podróży. Druga nastąpiła zaraz potem.

— Nie jestem mówcą—rzekł Roland, ponownie występując do przodu. — Język płacze mi się bardziej niż nogi pijakowi w noc Plonów. Mam jednak pewność, że Eddie przemówi w naszym imieniu.

Eddie oniemiał. Tłum przed nim głośno bił brawo i za-chęcająco tupał nogami. Słysząc było okrzyki: *dzięki, sai, mów dobrze oraz słuchajcie go, słuchajcie*. Nawet orkiestra dała się porwać tej euforii i zagrała nieskładny, lecz głośny akord. Eddie zdążył postać Rolandowi gniewne, rozpaczliwe spojrzenie. *Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy?* Rewolwerowiec zachował niezmacony spokój i założył ręce na piersi.

Owacje ucichły. Gniew Eddiego przeszedł w przerażenie. Overholser obserwował go z zainteresowaniem, złożywszy również ręce na piersi — świadomie lub nieświadomie na-sładowując Rolanda. W tłumie przed sobą Eddie dostrzegł kilka znajomych twarzy... Slightmanów, Jaffordsów. Spojrzał w drugą stronę i zobaczył Callahana patrzącego nań zmrużonymi niebies-kimi oczami. Poszarpana blizna w kształcie krucyfiks-u zdawała się płonąć na jego czole.

Co mam im powiedzieć, do diabła?

Lepiej coś powiedz, Ed, mówił jego brat Henry. Czekają na to.

— Błagam o wybaczenie, że zaczynam tak niespiesznie — rzekł. — Przebyliśmy wiele mil i kół, a potem jeszcze więcej mil oraz kół, i wy jesteście pierwszymi ludźmi, których spoty-kamy od wielu...

Czego? Tygodni, miesięcy, lat, dziesięcioleci?

Eddie roześmiał się. Miał wrażenie, że robi z siebie kompletnego idiotę, faceta, który nie potrafiłby utrzymać w ręku fiuta przy sikaniu, nie mówiąc o rewolwerze.

— Od wielu niebieskich księżyców.

Słyszając to, roześmiali się, rozbawieni. Niektórzy nawet bili brawo. Mimo woli utrafił w ich poczucie humoru. Odprężył się i zaczął mówić zupełnie swobodnie. Przelotnie pomyślał o tym, że nie tak dawno on, uzbrojony rewolwerowiec, stojący w tej chwili przed grupą liczącą siedmiuset przestraszonych i pełnych nadziei ludzi, siedział przed telewizorem w poźółkłych majtkach, naćpany heroiną, zjadając chee-tos i oglądając misia Yogi.

— Przybyliśmy z daleka — powiedział — i wkrótce wyruszymy w dalszą wędrówkę. Niedługo pozostaniemy wśród was, ale zrobimy, co w naszej mocy, wysłuchajcie mnie, proszę.

— Mów dalej, przybyszu! — zawołał ktoś. — Dobrze mówisz.

Ach? — zdziwił się w duchu Eddie. *To dla mnie coś nowego.*

Kilka osób krzyknęło: *ano i mów dalej.*

— Uzdrowiciele w mojej baronii mają takie powiedzenie — ciągnął Eddie. — Po pierwsze nie szkodzić. — Nie był pewien, czy to przykazanie prawników, czy lekarzy, ale słyszał tę kwestię w kilku filmach i programach telewizyjnych. Bardzo dobry tekst. — Nie chcemy wyrządzić szkód, rozumiecie, lecz nikomu nie udało się wyjąć kuli ani nawet drzazgi spod paznokcia, nie przelewając kilku kropel krwi.

W tłumie rozległy się potakujące pomruki. Overholser jednak zachował pokerową minę, a na twarzach niektórych zgromadzonych Eddie dostrzegł powątpiewanie. Zdziwił go gniew, jaki wzbudził w nim ten widok. Nie miał prawa złościć się na tych ludzi, którzy nic mu nie zrobili i (przynajmniej na razie) niczego nie odmówili, ale mimo to nie zdołał opanować gniewu.

— W nowojorskiej baronii mamy również inne powiedzenie — mówił dalej. — Nie ma nic za darmo. Z tego, co wiemy, wynika, że macie poważne kłopoty. Stawianie oporu Wilkom będzie niebezpieczne. Lecz czasem ludzie robią się chorzy i głodni z bezczynności.

— Słuchajcie go, słuchajcie! — rozległ się ten sam głos z tyłu.

Eddie dostrzegł tam Andy'ego, a w jego pobliżu duży wóz pełen ludzi w powiewnych, czarnych lub granatowych płaszczach. Domyślił się, że to Manni.

— Rozejrzemy się tutaj — powiedział — i kiedy zrozumieemy istotę problemu, zobaczymy, co się da zrobić. Jeśli nie znajdziemy rozwiązania, nisko się wam pokłonimy i ruszymy dalej.

W drugim lub trzecim rzędzie zgromadzonych stał mężczyzna w sfatygowanym kowbojskim kapeluszu. Facet miał krzaczaste siwe brwi i wąsy. Eddie pomyślał, że gość przypomina Bena Cartwrighta ze starego serialu telewizyjnego *Bonanza*. Ten patriarcha nie wyglądał na zachwyconego tym, co mówił Eddie.

— Jeśli będziemy w stanie wam pomóc, zrobimy to — podjął Eddie bez cienia emocji. — Ale nie możemy was wyręczyć, ludzie. Słuchajcie mnie, proszę. Słuchajcie bardzo uważnie. Lepiej bądźcie gotowi walczyć o to, na czym wam zależy. Przygotujcie się do walki o swoje.

Po tych słowach skłonił się, wysuwając naprzód jedną nogę, i chociaż obuta w mokasyn stopa nie zadudniła o deski jak o wieko trumny, znowu przypomniał mu się ten dźwięk. Zapadła głucha cisza. Nagle Tian Jaffords zaczął klaskać. Zalia przyłączyła się do męża. Benny również. Ojciec trącił go łokciem, lecz chłopiec klaskał dalej i po chwili starszy Slightman przyłączył się do niego.

Eddie przeszył Rolanda pałającym spojrzeniem. Twarz rewolwerowca pozostała nieprzenikniona. Susannah pociągnęła Ediego za nogawkę spodni i nachylił się do niej.

— Świetnie sobie poradziłeś, złotko.

— Nie dzięki niemu — wskazał na Rolanda. Teraz, kiedy już było po wszystkim, poczuł się zaskakująco dobrze. Poza tym wiedział, że Roland nie jest mówcą. Potrafił przemawiać, jeśli musiał, ale nie lubił tego.

No to już wiesz, czym jesteś, pomyślał. Tubą Rolanda z Gilead. Czy to źle? Czy dawno temu Cuthbert Allgood nie robił tego samego?

Callahan wyszedł z tłumy.

— Może stać nas na coś lepszego, przyjaciele... na prawdziwe powitanie w Calla Bryn Sturgis.

Zaczął bić brawo. Tym razem zebrani natychmiast przyłączyli

się do niego. Owacje były długie i donośne. Okrzyki, gwizdy i tupania (choć te ostatnie ledwie słyszalne bez drewnianej podłogi wzmacniającej dźwięk). Zespół muzyczny odegrał cały szereg akordów. Susannah chwyciła jedną dłoń Eddiego. Jake drugą. Cała czwórka skłoniła się niczym zespół rockowy, kończący szczególnie udany występ, i owacje przybrały na sile. W końcu Callahan uciszył wszystkich, podnosząc ręce.

— Czekaj nas ważne zadanie, ludzie — rzekł. — Mamy ważne sprawy do przemyślenia i ważne rzeczy do zrobienia. Teraz jednak posilmy się. Później tańczmy, śpiewajmy i weselmy się!

Znowu zaczęli wiwatować i Callahan ponownie ich uciszył.

— Dość! — zawołał ze śmiechem. — A wy, Manni, tam z tyłu. Wiem, że wolicie własne pożywienie, ale nie widzę żadnego powodu, żebyście nie mieli zjeść razem z nami. Przyłączcie się do nas! Niechaj wam wyjdzie na zdrowie!

Oby wyszło na zdrowie nam wszystkim, pomyślał Eddie, którego nie opuściły złe przeczucia. Były niczym gość trzymający się na uboczu, tuż poza kręgiem światła pochodni. Były jak dźwięk. Stuk obcasa o drewnianą podłogę. Pięść uderzająca o wieko trumny.

7

Chociaż rozstawiono ławy i stoły na kozłach, tylko starsi ludzie posilali się na siedząco. Był to wspaniały posiłek, składający się z ponad dwustu różnych dań, w większości domowych i smakowitych. Uroczystość zaczęła się od toastu za Calla Bryn Sturgis. Wzniósł go Vaughn Eisenhart, który stał z pełną szklanką w jednej, a piórem w drugiej dłoni. Eddie pomyślał, że to zapewne miejscowa wersja hymnu.

— Niechaj zawsze wam służy! — zawołał ranczer i jednym haustem opróżnił szklankę.

Eddie podziwiał odporność tego faceta. Bimber pędzony w Calla Bryn Sturgis był tak mocny, że sam jego zapach wyciskał łzy z oczu.

— Niechaj! — odkrzyknęli wesoło obywatele miasteczka i wychylili toast.

W tym momencie światło palących się wokół namiotu pochodni przybrało ciemnopurpurową barwę niedawno zachodzącego słońca. Tłum przyjął to ochami i achami oraz głośnym aplauzem. Eddie uznał, że nie jest to żaden krzyk techniki — z pewnością nie w porównaniu z Blaine'em Mono czy dipolarnymi komputerami, które kierowały miastem Lud — lecz pochodnie rzuciły widowiskowy blask i wydawały się najzupełniej nieszkodliwe. Przyłączył się do oklasków. Susannah też. Andy przyniósł jej fotel i uprzejmie rozłożył go dla niej (a także zaproponował, że bliżej opisze jej tego przystojnego nieznanego, którego wkrótce pozna). Teraz manewrowała fotelem wśród grupki ludzi, trzymając na kolanach talerz, to tu, to tam zamieniając kilka słów i odjeżdżając dalej. Eddie domyślał się, że brała udział w wielu podobnych do tego przyjęciach, i trochę zazdrościł jej nieskrępowania.

W tłumie zauważył kilkoro dzieci. Najwidoczniej obywatele miasteczka doszli do wniosku, że przybysze nie zamierzają sięgnąć po broń, żeby rozpocząć masakrę. Najstarszym dzieciom pozwolono poruszać się swobodnie. Kręciły się całymi gromadami, jakie Eddie pamiętał ze swojego dzieciństwa, pochłaniając ogromne ilości jedzenia (lecz nawet żarłoczna młodzież nie była w stanie dokonać poważnego uszczerbku w tym nieprzebranym bogactwie). Obserwowały przybyszów, nie ośmielając się do nich podejść.

Najmłodsze dzieci trzymały się rodziców. Kilkuletnie otoczyły zjeżdżalnię, huśtawki oraz spore drabinki na samym końcu namiotu. Mało które korzystało z nich, przeważnie obserwując przyjęcie zdumionymi oczami przypadkowych widzów. Eddie doskonale je rozumiał. Dostrzegł wśród nich wiele bliźniąt — niewiarygodnie dużo — i odgadł, że właśnie te zaciekawione dzieci, odrobinę za duże, żeby beztrudno bawić się na placu zabaw, będą najliczniejszą grupą wśród ofiar Wilków... Jeśli Wilkom pozwoli się robić to, co robiły dotychczas. Nie dostrzegł żadnego pokura i domyślił się, że nie pozwolono im tu przyjść, żeby nie popsuky zabawy. Rozumiał to, ale miał nadzieję, że one też gdzieś się teraz bawiły. (Później dowiedział się, że właśnie tak było — obżerały się ciastkami i lodami za kościołem Callahana).

Dla Jake'a byłyby odpowiednie dzieci w średnim wieku,

gdyby pochodził z Calla. Oczywiście nie pochodził. I zaprzyjaźnił się z chłopcem, który doskonale do niego pasował: starszym wiekiem, młodszym doświadczeniem. Chodzili od stołu do stołu, kosztując tego i owego. Ej z zadowoleniem dreptał za Jakiem, poruszając łebkiem z boku na bok. Eddie nie wątpił, że gdyby ktoś próbował zaczepiać Jake'a z Nowego Jorku (lub jego nowego przyjaciela Benny'ego z Calla), szybko pożegnałby się z paroma palcami. W pewnej chwili Eddie zauważył, że obaj chłopcy spojrzeli po sobie i choć nie zamienili słowa, jednocześnie parsknęli śmiechem. Ten widok tak bardzo przypominał mu jego własne dzieciństwo, że wywołał dotkliwy ból.

Nie miał czasu na takie rozmyślenia. Z opowiadań Rolanda (a także obserwując go kilkakrotnie w akcji) wiedział, że rewolwerowcy Gilead nie byli tylko przedstawicielami prawa. Byli również posłańcami, buchalterami, czasem szpiegami, a sporadycznie katami. Lecz przede wszystkim byli dyplomatami. Eddie, wykarmiony przez brata i jego kumpli takimi perełkami mądrości jak: „czemu nie wylizasz mi jak twoja siostra” i „pieprzyłem twoją starą i zrobiłem jej dobrze”, nie wspominając już o najbardziej rozpowszechnionym „zamknij paszczę, bo ci naszczę”, nigdy nie uważał się za dyplomata, ale teraz miał wrażenie, że poradził sobie doskonale. Jedynie Telford pozostał sceptycznie nastawiony, lecz orkiestra zagłuszyła go. Na szczęście.

Bóg wie, że stąpali po kruchym lodzie. Mieszkańcy Calla może obawiali się Wilków, ale nie wstydzili się pytać, jak Eddie i pozostali członkowie jego *tet* poradzą sobie z napastnikami. Eddie zrozumiał, że Roland oddał mu przysługę, każąc przemawiać do całego zgromadzenia. To była rozgrzewka.

Mówił wszystkim to samo, raz po raz. Nic jest w stanie podać żadnych szczegółów, dopóki dobrze się nie rozejrzy w miasteczku. Nie może powiedzieć, ilu mieszkańców będą potrzebować do pomocy. Czas pokaże. Muszą przyjrzeć się wszystkiemu w świetle dziennym. Jeśli Bóg da, będzie woda. Uciekał się do różnych banałów, jakie przyszły mu do głowy. (W pewnej chwili miał nawet ochotę obiecać każdemu kawał kiełbasy, kiedy pokonają Wilków, ale zdołał jakoś się powstrzymać). Drobnny farmer Jorge Estrada chciał wiedzieć, co zrobią, jeśli Wilki postanowią podpalić miasteczko. Inny, Garrett

Strong, usiłował zmusić Eddiego do powiedzenia mu, gdzie mogą bezpiecznie ukryć dzieci, kiedy przybędą Wilki.

— Bo nie mogą zostać tutaj, jak z pewnością bardzo dobrze wiesz.

Eddie, który właśnie uświadomił sobie, jak mało wie, mruknął coś pod nosem i pociągnął łyk bimbrow. Niejaki Neil Faraday (Eddie nie wiedział, czy był to drobny farmer, czy tylko robotnik) podszedł do niego i oświadczył, że sprawy zaszły za daleko.

— Przecież oni nigdy nie zabierają wszystkich dzieci — dodał.

Eddie miał ochotę zapytać go, co sądzi o kimś, kto powiedział: „No cóż, tylko dwaj z nich zgwałcili moją żonę”, ale postanowił zatrzymać tę uwagę dla siebie. Ciemnoskóry wąsacz przedstawił się jako Louis Haycox i oznajmił Eddiemu, że Tian Jaffords ma rację i że od zgromadzenia spędził wiele bezsennych nocy, zastanawiając się nad tym, i w końcu postanowił walczyć. Przyłączy się do nich, jeśli go przyjmą. Lęk, ale i determinacja, która malowała się na jego twarzy, poruszyła Eddiego. To nie był lekkomyślny młodzik, niezdający sobie sprawy z powagi sytuacji, lecz dorosły mężczyzna, który aż nazbyt dobrze rozumiał ewentualne konsekwencje.

Przychodzili do niego ze swymi pytaniami i odchodzili bez konkretnych odpowiedzi, a mimo to zadowoleni. Eddie gadał, aż zaschło mu w gardle, po czym zamienił drewniany kubek z bimbrem na taki sam z zimną herbatą, nie chcąc się upić. Nie mógł też nic więcej zjeść — był napchany. Tamci w dalszym ciągu przychodzili. Cash i Estrada. Strong i Echeverria. Winkler i Spalter (kuzyni Overholsera, jak twierdzili). Freddy Rosario i Farren Posejła... a może Freddy Posella i Farren Rosario?

Co dziesięć lub piętnaście minut pochodnie zmieniały kolor. Z czerwonego na zielony, z zielonego na pomarańczowy, z pomarańczowego na niebieski. Krążyły dzbany z bimbrem. Rozmowy były coraz głośniejsze. Śmiechy także. Eddie raz po raz słyszał okrzyki: „Do diaska!” i coś, co brzmiało jak „spadaj!”, czemu zawsze towarzyszył wybuch śmiechu.

Zauważył, że Roland rozmawia ze starym człowiekiem w granatowym płaszczu. Starzec miał najgęstszą, najdłuższą, najbielszą brodę, jaką Eddie widział w życiu, nie licząc telewizyjnego serialu opartego na Biblii. Mówił z przekonaniem, patrząc

na ogorzałą twarz Rolanda. W pewnej chwili dotknął ramienia rewolwerowca i lekko pociągnął go za rękaw. Roland słuchał, kiwał głową i nic nie mówił—przynajmniej wtedy, kiedy patrzył na niego Eddie. *Ale słucha z zaciekawieniem*, pomyślał Eddie. *No tak, opowieści starych ludzi zawsze bardzo go interesują*. Muzycy właśnie wracali na scenę, gdy znowu ktoś podszedł do Eddiego. Był to mężczyzna, który przypominał mu starego Cartwrighta.

— George Telford — przedstawił się. — Niech ci się wiedzie, Eddie z Nowego Jorku.

Niedbale dotknął czoła pięścią, po czym rozchylił dłoń i wyciągnął ją do Eddiego. Nosił nakrycie głowy ranczera — kowbojski kapelusz, a nie sombrero — lecz dłoń miał stosunkowo miękką, nie licząc odcisków u nasady palców. *To od trzymania wodzy*, doszedł do wniosku Eddie, */ pewnie do tego ogranicza się jego praca*.

Skłonił się.

— Długich dni i przyjemnych nocy, *sai* Telford.

Miał ochotę zapytać go, czy Adam, Hoss i Mały Joe wrócili już do Ponderosy, ale ponownie zdołał utrzymać niesforny jęzor za zębami.

— A tobie dwa razy tyle, synu, dwa razy tyle. — Zerknął na rewolwer na biodrze Eddiego, a potem spojrzął mu w oczy. Było to przenikliwe i niezbyt przyjazne spojrzenie. — Zdaje się, że wasz *dinh* nosi drugi taki jak ten.

Eddie uśmiechnął się i nie odpowiedział.

— Wayne Cwerholser mówi, że wasz *ka-baby* dał niesamowity pokaz strzelania z takiej broni. Chyba dziś wieczór nosi ją twoja żona?

— Chyba tak — odparł Eddie, któremu nie spodobała się uwaga o *ka-baby*. Dobrze wiedział, że Susannah miała rugera. Roland uznał, że będzie lepiej, jeśli Jake nie pojedzie uzbrojony do Rocking B Eisenharta.

— Czworo przeciwko czterdziestu to niezbyt wiele, nie uważasz? — spytał Telford. — Ano, niezbyt wiele — ciągnął. — A może nawet przyjeżdża ich ze wschodu sześćdziesięciu. Nikt nie wie dokładnie, bo i skąd? Dwadzieścia trzy lata to długi okres spokoju, Bogu i Jezusowi-Człowiekowi niech będą dzięki.

Eddie uśmiechnął się i milczał, mając nadzieję, że Telford zmieni temat. A może nawet pójdzie sobie. Niestety. Dupki zawsze są upierdliwe; to niemal prawo natury.

— Oczywiście, czworo *uzbrojonych* przeciwko czterdziestu... lub sześćdziesięciu... to trochę więcej niż troje uzbrojonych i jedno z pustymi rękami. Szczególnie czworo dobrze uzbrojonych, wysłuchaj mnie.

— Słyszę cię doskonale — zapewnił Eddie.

Opodal podium, na którym się przedstawiali, Zalia Jaffords opowiadała coś Susannah. Eddie pomyślał, że Suze również wygląda na zaciekawioną. *Ona ma żonę farmera, Roland pieprzonego Władcę Pierścieni, Jake nowego przyjaciela, a ja kogo? Faceta, który wygląda jak stary Cartwright i przestłuchuje mnie jak Perry Mason.*

— Czy macie więcej broni? — zapytał Telford. — Z pewnością musicie mieć, jeśli zamierzacie stanąć przeciwko Wilkom. Ja uważam, że to szaleństwo, i wcale się z tym nie kryję. Vaughn Eisenhart też tak uważa...

— Overholser też tak uważał i zmienił zdanie — wtrącił obojętnie Eddie. Upił łyk herbaty i spojrzał na Telforda znad kubka, mając nadzieję, że zobaczy zmarszczone brwi. Może nawet przelotne zniechęcenie. Nic z tego.

— Wayne jest zmienny jak pogoda — rzekł Telford i zachichotał. — Ano właśnie, raz tak, raz tak. Jeszcze zbytnio na niego nie liczcie, młody *sai*.

Eddie już miał powiedzieć: *Jeśli myślisz, że to wybory, to się mylisz*, ale w ostatniej chwili znów się powstrzymał. Trzymać język za zębami, patrzeć, a nie gadać.

— Może macie szybkostrzelne karabiny? — drążył Telford. — Albo granaty?

— No cóż — odparł Eddie. — Być może.

— Nigdy nie słyszałem o kobiecie rewolwerowcu.

— Nie?

— Ani o chłopcu, skoro o tym mowa. Nawet praktykancie. Skąd mamy wiedzieć, że jesteście tymi, za których się podajeście? Powiedz mi, proszę.

— No cóż, na to pytanie niełatwo odpowiedzieć — rzekł Eddie.

Nie podobał mu się ten Telford, który był w takim wieku, że jego dzieciom z pewnością nic nie groziło.

— Lecz ludzie będą chcieli wiedzieć — upierał się Telford. — Z pewnością zechcą, zanim rozpętają burzę.

Eddie przypomniał sobie słowa Rolanda: *Można nas nakłonić, ale nie zmusić*. Ci ludzie najwyraźniej jeszcze tego nie zrozumieli. Telford na pewno nie rozumiał. Oczywiście na pewne pytania trzeba będzie odpowiedzieć, i to odpowiedzieć twierdząco. Callahan wspomniał o tym i Roland przytaknął. Trzy pytania. Przede wszystkim dotyczące pomocy i odsieczy. Eddie miał wrażenie, że jeszcze nie padły, bo raczej nie było po temu okazji, ale nie sądził, żeby miały być zadane w sali zgromadzeń, gdy przyjdzie czas. Odpowiedzi udzielią zapewne tacy ludzie jak Posella i Rosario, nawet nie wiedząc, że to robią. Ludzie, których dzieci mogą zostać porwane.

— Kim naprawdę jesteś? — pytał Telford. — Powiedz mi, proszę.

— Eddie Dean z Nowego Jorku. Mam nadzieję, że nie kwestionujesz mojej prawdomówności. Klnę się na Boga, że mam taką nadzieję.

Telford cofnął się o krok, przestraszony. Eddie przyjął to z ponurą satysfakcją. Strach to nie to co szacunek, ale i tak lepszy niż nic.

— Nie, skądże, przyjacielu! Proszę! Powiedz mi jednak, czy kiedykolwiek użyłeś broni, którą nosisz? Powiedz mi, błagam.

Eddie zrozumiał, że chociaż Telford się go boi, to jednak mu nie wierzy. Może w jego twarzy i zachowaniu było zbyt wiele dawnego Eddiego Deana, który naprawdę pochodził z Nowego Jorku, aby ten ranczcr-s-fl/ mu uwierzył. Nic wydawało mu się, żeby chodziło o to. Przynajmniej nie tylko o to. Ten mężczyzna postanowił stać i spokojnie patrzeć, jak stwory z Jądra Gromu porywają dzieci jego sąsiadów, i być może taki człowiek nie był w stanie uwierzyć w proste i ostateczne odpowiedzi, na jakie pozwala noszona broń. Eddie jednak musiał poznać te odpowiedzi. A nawet je pokochać. Przypomniał sobie tamten okropny dzień w mieście Lud, gdy pędził, pchając przed sobą fotel Susannah, pod ołowianoszarym niebem, przy dudnieniu bębnow. Przypomniał sobie Franka, Lustera i Topsy'ego Marynarza, i kobietę imieniem Maud, klękającą, żeby pocałować jednego z szaleńców, zastrzelonego przez Eddiego. Co powie-

działa? *Nie powinniście zabijać Winstona. Dziś były jego urodziny.* Coś w tym rodzaju.

— Używałem tego i tamtego rewolweru, a także rugera — rzekł. — I już nigdy, przyjacielu, nie waż się z tego żartować.

— Jeśli cię obraziłem, rewolwerowcze, błagam o wybaczenie.

Eddie nieco się uspokoił. *Rewolwerowcze.* Ten siwowłosy sukinsyn miał przynajmniej tyle sprytu, żeby go tak nazwać, chociaż w to nie wierzył.

Orkiestra znów zaczęła grać. Lider zespołu, trzymając w rękach gitarę, zawołał:

— Chodźcie wszyscy! Dosyć jedzenia! Czas zatańczyć i wypocić się trochę!

Wiwaty i owacje. A także trzask eksplozji, na dźwięk których Eddie położył dłoń na rękojeści rewolweru, tak samo jak to nieraz robił Roland.

— Spokojnie, przyjacielu — powiedział Telford. — To tylko petardy. No wiesz, dzieci świętują dożynki.

— Oczywiście — mruknął Eddie. — Wybacz mi, proszę.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnął się Telford.

Był to ujmujący uśmiech starego Cartwrighta i w tym momencie Eddie zrozumiał, że ten człowiek nigdy nie zostanie ich sprzymierzeńcem. A przynajmniej dopóty, dopóki ostatni Wilk z Jądra Gromu nie będzie leżał martwy pod tym namiotem, wystawiony na widok publiczny. Wtedy Telford powie, że był po ich stronie od samego początku.

8

Tańce trwały do wschodu księżyca, który tej nocy wyszedł zza chmur. Eddie zatańczył z kilkoma damami z miasteczka. Dwukrotnie płaśał z Susannah; kiedy trzeba było zrobić obrót, wykonywała go — w prawo lub w lewo — precyzyjnie i elegancko okręcając swój wózek. W zmieniającym się świetle pochodni jej zarumieniona twarz wyglądała prześlicznie. Roland też tańczył, z wdziękiem (jak ocenił Eddie), ale bez zaangażowania. Nic nie zapowiadało tego, czym miał się zakończyć ten wieczór. Jake i Benny Slightman odeszli gdzieś, lecz w pew-

246

nej chwili Eddie dostrzegł ich klęczących pod drzewem i bawiących się w coś, co podejrzenie przypominało dziesięć pytań.

Po tańcach zaczęły się śpiewy. Na początek smutna ballada oraz kilka przyśpiewek tak przetykanych miejscowym narzeczem, że Eddie nie był w stanie zrozumieć ich sensu. Nie musiał jednak, żeby wiedzieć, że były przynajmniej umiarkowanie zabawne, gdyż mężczyźni witali je okrzykami i wybuchami śmiechu, a kobiety piskami uciechy. Niektóre starsze panie zatykały uszy rękami.

Po tych pierwszych występach zespołu miejsce na podium zajmowali niektórzy mieszkańcy, żeby zaśpiewać z orkiestrą. Eddie nie sądził, żeby ktokolwiek z nich dotarł do finału *Idola*, lecz ich popisy spotkały się z ciepłym (a w wypadku jednej ślicznej panny nawet bardzo gorącym) przyjęciem. Dwie mniej więcej dziesięcioletnie dziewczynki, najwyraźniej bliźniaczki, zaśpiewały balladę pod tytułem *Ulice Campary*, w idealnej harmonii, przy akompaniamencie gitary, na której grała jedna z nich. Eddiego zaskoczyła głęboka cisza, w jakiej zgromadzeni wysłuchali piosenki. Chociaż większość mężczyzn już sobie podpiła, nikt nie przerywał. Nikt nie rzucał petard. A wielu (wśród nich niejaki Haycox) słuchało, roniąc łzy. Gdyby ktoś zapytał go o to wcześniej, Eddie powiedziałby, że oczywiście rozumie, w jakim stresie żyją mieszkańcy miasteczka. Nie rozumiał. Teraz to wiedział.

Kiedy skończyła się pieśń o porwanej kobiecie i umierającym kowboju, zapadła głucha cisza, której nie zakłócał nawet śpiew nocnych ptaków. Potem rozległy się gromkie owacje. Eddie pomyślał: *Gdyby teraz mieli głosować nad tym, co zrobić w sprawie Wilków, nawet stary Cartwright nie odważyłby się stać na uboczu.*

Dziewczynki ukloniły się i zwinnie zeskoczyły na trawę. Eddie sądził, że na tym zakończą się występy, lecz ku jego zdumieniu na podium wyszedł Callahan.

— Oto jeszcze smutniejsza piosenka, której nauczyła mnie matka — oznajmił.

I zaczął śpiewać zabawną irlandzką piosenkę, zatytułowaną *Postaw mi jeszcze jednego, brachu*. Była co najmniej równie sprośna jak ta, którą wcześniej śpiewał zespół, lecz tym razem Eddie rozumiał większość słów. Razem z mieszkańcami mias-

teczka ze śmiechem powtarzał słowa refrenu: „Zanim pošlesz mnie do piachu, postaw mi jeszcze jednego, brachu!”.

Wśród braw, jakimi słuchacze nagrodzili Starogo Człowieka, Susannah podjechała do podium, a ludzie podnieśli jej fotel i postawili na scenie. Powiedziała coś do muzyków, a potem pokazała im kilka chwytów na jednym z instrumentów. Wszyscy skinęli głowami. Eddie odgadł, że znali tę melodie albo jakąś jej wersję.

Tłum czekał z zaciekawieniem, podobnie jak małżonek wykonawczynie. Eddie był zadowolony i bynajmniej niezaskoczony, kiedy wybrała *Maid of Constant Sorrow*, którą czasem śpiewała na szlaku. Susannah nie była Joan Baez, lecz miała niezły głos, pełen uczucia. A czemu nie? To była piosenka o kobiecie, która opuściła dom i wyjechała daleko. Kiedy Susannah skończyła, nie było chwili ciszy, jak po występie duetu bliźniaczek, lecz głośny, entuzjastyczny aplauz. Rozległy się okrzyki: „Brawo!”. „Bis!”. „Jeszcze!”. Susannah nie zaśpiewała następnych zwrotek (ponieważ ich nie znała), tylko skłoniła się nisko. Eddie klaskał, aż rozboleły go dłonie, a potem wepchnął palce do ust i gwizdał.

Później — tego wieczoru cudom nie było końca — Roland wyszedł na scenę, z której ostrożnie zdejmowano siedzącą na fotelu Susannah.

Jake i jego nowy przyjaciel stanęli przy Eddie. Benny Slightman niósł Eja. Dotychczas Eddie był przekonany, że bumbler ugryzłby każdego, kto by spróbował to zrobić, a nie należał do ich *ka-tet*.

— On umie śpiewać? — spytał Jake.

— Jeśli tak, to dla mnie nowina, mały — odparł Eddie. — Zaraz zobaczymy.

Nie miał pojęcia, czego oczekiwać, i trochę rozbawiło go to, że tak mocno bije mu serce.

9

Roland odpiął pas z rewolwerem i podał Susannah, która założyła go sobie na biodra. Gdy to robiła, materiał jej koszuli napiął się i Eddie odniósł wrażenie, że jej piersi jakby się

powiększyły. Zaraz jednak uznał, że w migotliwym świetle wzrok płata mu figle.

Pochodnie rzucały pomarańczowy blask. Roland stał w ich świetle, bez broni, szczupły jak młodzieniec. Przez chwilę tylko spoglądał na skupione twarze milczących ludzi. Eddie poczuł w swojej dłoni rękę Jake'a, wąską i chłodną. Chłopiec nie musiał mu mówić, o czym myśli, gdyż Eddie myślał o tym samym. Jeszcze nigdy nie widział człowieka wyglądającego równie samotnie, tak odizolowanego od tłumu emanującego bliskością. Patrząc na niego teraz, wśród bawiących się ludzi (gdyż to była zabawa mimo powagi sytuacji, która do niej doprowadziła), łatwo było zrozumieć prostą prawdę: był ostatni. Nie było drugiego takiego. Jeśli nawet Eddie, Susanah, Jake i Ej byli z nim spokrewnieni, to było to bardzo dalekie pokrewieństwo. Niemal nieistniejące. Roland bowiem... Roland.

Cii! Lepiej nie myśl o takich sprawach. Nie teraz.

Roland powoli skrzyżował ręce na piersi, trzymając je tak, że mógł położyć prawą dłoń na lewym policzku, a lewą na prawym. Ten gest nic nie mówił Eddiemu, lecz prawie siedmiuset mieszkańców Cal la Bryn Sturgis zareagowało natychmiast radosnym, gromkim okrzykiem, wyrażającym coś więcej niż aprobatę. Eddiemu przypomniał się koncert Rolling Stoneów, na którym był kiedyś. Tłum wydał taki sam ryk, gdy perkusista zespołu, Charlie Watts, zaczął wybijać synkopowany rytm przeboju *Honky Tonk Woman*.

Rewolwerowiec stał nieaichomo, ze skrzyżowanymi rękami i dłońmi na policzkach, aż owacje ucichły.

— Dobrze nas powitano w miasteczku — powiedział. — Słuchajcie mnie, proszę.

— Dzięki ci! — ryknęli. — Słyszymy cię dobrze!

Roland skinął głową i uśmiechnął się.

— Ja i moi przyjaciele przybyliśmy z daleka i wiele mamy jeszcze do zrobienia i zobaczenia. Czy teraz, kiedy tu jesteście, otworzycie się przed nami tak, jak my przed wami?

Zimny dreszcz przebiegł Eddiemu po plecach. Poczuł, że Jake zaciska palce na jego dłoni.
To pierwsze pytanie.

Zanim dokończył tę myśl, chóralnie odpowiedzieli:

— Tak, i dzięki ci!

— Czy wiecie, kim jesteśmy, i akceptujecie to, co robimy?

Teraz *drugie*, pomyślał Eddie i w tym momencie on ścisnął dłoń Jake'a. Zauważył, że Telford wymienił zaniepokojone, znaczące spojrzenia z niejakim Diegiem Adamsem. Były to miny ludzi, którzy uświadomili sobie, że na ich oczach zostaje zawarta umowa, a oni nie są w stanie temu przeszkodzić. *Za późno, chłopcy.*

— Rewolwerowcami! — krzyknął ktoś. — Rewolwerowcami z krwi i kości, dzięki Ci, Panie! Dziękujmy Bogu!

Chóralny ryk aprobaty. Krzyki i oklaski. Okrzyki: „dzięki ci”, „tak”, a nawet „do diaska”.

Kiedy ucichli, Eddie spodziewał się, że Roland zada ostatnie, najważniejsze pytanie: Czy prosicie o pomoc i wsparcie?

Roland nie zapytał.

— Zaraz odejdziemy i udamy się na spoczynek, albowiem jesteśmy zmęczeni. Zanim jednak pójdziemy, zaśpiewam wam jeszcze piosenkę i wystukam jej rytm, który z pewnością dobrze znacie.

Odpowiedział mu chóralny okrzyk. Znali ją na pewno.

— Ja też ją znam i uwielbiam — rzekł Roland z Gilead. — Znam ją z dawnych czasów i nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś usłyszę *Pieśń ryżu* z czyichś ust, a na pewno nie z moich własnych. Teraz jestem starszy, o tak, i mniej zwinny niż kiedyś. Błagam o wybaczenie, jeśli pomylę kroki...

— Rewolwerowcze, dzięki ci! — zawołała jakaś kobieta. — To dla nas taka radosna chwila!

— A czy dla mnie nie? — spytał uprzejmie rewolwerowiec. — Czyż nie daję wam mojej radości oraz wody, którą niosłem siłą mego ramienia i serca?

— *Daje wam obfity plon* — zaśpiewali jak jeden mąż. Eddiego przeszedł dreszcz i łyzy stanęły mu w oczach.

— Mój Boże — westchnął Jake. — On tyle wie...

— Daje wam radość ryżu — ciągnął Roland.

Jeszcze przez moment stał w pomarańczowym blasku, jakby zbierając siły, a potem zaczął tańczyć coś, co wyglądało jak skrzyżowanie skoczno-go jiga ze stepowaniem. Z początku bardzo wolno, czubkami butów i obcasami, czubkami i obcasami. Raz po raz jego pięty uderzały o scenę z trzaskiem

przypominającym bębnienie pięścią o wieko trumny, tyle że rytmiczne. Z początku był to jedynie rytm, lecz w miarę jak stopy rewolwerowca poruszały się coraz szybciej, wybijany rytm stał się rodzajem tańca. Tak nazwał to w myślach Eddie, bo nie pasowało do tego żadne inne określenie.

Podjechała Susannah. Miała szeroko otwarte oczy i zdziwiony uśmiech. Mocno zacisnęła dłonie, przyciskając je do piersi.

— Och, Eddie! — westchnęła. — Czy wiedziałeś, że on to potrafi? Domyślałeś się?

— Nie — odparł. — Nie miałem pojęcia.

10

Stopy rewolwerowca w sfatygowanych i dziurawych starych butach poruszały się coraz szybciej. I jeszcze szybciej. Rytm stawał się coraz wyraźniejszy i Jake nagle zrozumiał, że go zna. Pamiętał, gdzie go słyszał: w Nowym Jorku, do którego przeniósł się, gdy po raz pierwszy zapadł w trans. Zanim spotkał Eddiego, minął go młody czarnoskóry mężczyzna ze słuchawkami walkmana w uszach, postukując obutymi w sandały nogami i nucąc pod nosem „Cza-ba-da, cza-ba-bum!”. I właśnie ten rytm Roland wystukiwał na scenie, a każdemu „bum!” towarzyszył energiczny wymach nogi do przodu i mocne uderzenie piętą w drewno.

Ludzie wokół zaczęli klaskać. Nie do taktu, ale *off-beat*. Tłum zaczął falować. Kobiety w sukniach unosiły ich rąbki i kołysały nimi. Na twarzach wszystkich, od najmłodszych do najstarszych, Jake widział ten sam wyraz czystej radości. / *nie tylko*, pomyślał, przypominając sobie wyrażenie, którego jego nauczycielka angielskiego używała, opisując satysfakcję, jaką przynosi lektura niektórych książek: *Ekstaza pełnego zrozumienia*.

Pot sływał Rolandowi z czoła. Odjął ręce od piersi i zaczął klaskać. Wtedy mieszkańcy Calla Bryn Sturgis zaczęli rytmicznie nucić jedno jedyne słowo: „Chodź!”. „Chodź!”. „Chodź!”. „Chodź!”.

Nagle słowo „chodź” skojarzyło się Jake'owi ze słowem „chuć”. Wątpił, aby było to czysto przypadkowe skojarzenie.

251

Oczywiście, że nie. Tak jak tamten czarnoskóry podskakujący w tym samym rytmie. To wszystko robota Promienia, wszystko to dziewiętnastka.

— „Chodź!”. „Chodź!”. „Chodź!”.

Susannah i Eddie dołączyli do tłumu. Benny również. Jake porzucił jałowe rozmyślenia i poszedł w ich ślady.

11

Eddie niewiele zrozumiał z *Pieśni ryżu*. Nie z powodu dialektu — nie w wypadku Rolanda — ale dlatego że słowa padały zbyt szybko. Kiedyś w telewizji widział licytatora tytoniu z Karoliny Południowej. To było coś podobnego. Ostre rymy, wyraziste, miękkie lub wtrącone — nierymujące się wcale, lecz dodane na końcu zwrotki. Właściwie nie była to piosenka, lecz melorecytacja albo jakiś zwariowany uliczny hip-hop. Tylko tyle rozumiał z tego Eddie. A przez cały czas stopy Rolanda wybijały ten czarujący rytm na deskach podium, a tłum klaskał i nucił: „Chodź, chodź, chodź”.

To, co Eddie zdołał zrozumieć, brzmiało mniej więcej tak:

*Chodź, chodź z nami
Bo dziś ryż zbieramy
Dalej, bracia i siostry
Już pada pokos ostry
Każda łodyga się kiwa
O-riza sativa
Ty, ryżu zielony
Przez wszystkich ceniony
Przez wszystkich jadany
Chodź, chodź z nami!*

<i>Chodź,</i>	<i>chodź</i>	<i>z</i>	<i>nami</i>
<i>Bo</i>	<i>dziś</i>	<i>ryż</i>	<i>zbieramy</i>
<i>W</i>	<i>zielonej</i>		<i>dolinie</i>
<i>Trawa</i>	<i>nigdy</i>	<i>nie</i>	<i>ginie</i>
<i>Pod</i>	<i>nieba</i>		<i> błękitem</i>
<i>Trawy rośnie zbytek</i>			

252

*Dziewka i jej luby
Biorą w trawie śluby
Pieszczą się, ile trzeba
Pod baldachimem nieba
Chodź, chodź z nami
Bo dziś ryż zbieramy!*

Po tych dwóch były jeszcze co najmniej trzy zwrotki. Eddie przestał rozróżniać słowa, ale był pewien, że wychwytał ogólny sens: młody mężczyzna i kobieta sadzili na wiosnę ryż i płodzili dzieci. Śpiewający, od początku nadając karkołomne tempo, jeszcze przyspieszył, aż słowa stały się zupełnie niezrozumiałe, a tłum klaskał tak szybko, że wzrok nie nadążał za ruchem ich dłoni. Eddie nie był w stanie dostrzec obcasów butów Rolanda. A mógłby przysiąc, że nikt nie potrafi tańczyć tak szybko, szczególnie po obfitym posiłku.

Zwolnij, Rolandzie, pomyślał. Tutaj nie wezwiemy 999 jeśli dostaniesz zawatu.

Nagle, jakby reagując na jakiś sygnał, którego Eddie, Susannah i Jake nie zdołali dostrzec, Roland i mieszkańcy Cal la znieruchomieli, podnieśli ręce i wypchnęli biodra naprzód, jak podczas stosunku. CHODŹCIE! — krzyknęli i to był koniec pieśni.

Roland zachwiał się. Pot spływał mu z czoła i skroni. Nagle runął ze sceny w tłum. Eddiemu serce podeszło do gardła. Susannah krzyknęła i pospiesznie potoczyła swój fotel naprzód. Jake zatrzymał ją, chwytając za jedną rączkę wózka.

— Myślę, że to część występu — powiedział.

— Ano, ja też tak sądzę — poparł go Benny Slightman.

Tłum wiwatował i bił brawo. Ochocze ramiona chwyciły Rolanda, unosząc go. Wzniósł ręce do rozgwieżdżonego nieba. Ciężko dyszał. Eddie z lekkim rozbawieniem i niedowierzaniem patrzył, jak tłum niczym wezbrana fala niesie ku nim rewolwerowca.

— Roland śpiewa, Roland tańczy, a do tego wszystkiego — mruknął — spada ze sceny jak Joey Ramonę.

— O czym ty mówisz, kochasiu? — spytała Susannah.

Eddie potrząsnął głową.

— Nieważne. Tego jednak już nic nie przebije. Na tym po prostu musi skończyć się zabawa. Miał rację.

12

Pół godziny później czwórka jeźdźców powoli jechała główną ulicą Calla Bryn Sturgis. Jeden z nich był owinięty grubą *salida*. Przy każdym oddechu z ich ust i końskich pysków wydobywały się kłęby pary. Niebo było pełne lśniących zimno, diamentowych okrucichów, wśród których najjaśniej świeciły Stara Gwiazda i Stara Matka. Jake już pojechał ze Slightmanami na Rocking B, ranczo Eisenharta. Callahan prowadził troje pozostałych wędrowców, jadąc nieco przed nimi. Zanim jednak ruszyli, uparł się, aby okryć Rolanda grubym kocem.

— Mówisz, że do twojego domu nie ma nawet mili... — próbował protestować Roland.

— Nie spieraj się — powiedział Callahan. — Chmury rozeszły się, noc jest tak zimna, jakby miał spaść śnieg, a ty odtańczyłeś taniec ryżu, jakimś nie widziałem tu od lat.

— Czyli od jak dawna? — zapytał Roland. Callahan potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Naprawdę, rewolwerowcze, nie mam pojęcia. Dobrze wiem, kiedy tutaj przybyłem... zimą tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, dziewięć lat po tym, jak opuściłem miasteczko Salem. Dziewięć lat po tym, jak dorobiłem się tego.

Uniósł swą poznaczoną bliznami rękę.

— To wygląda na oparzenie — zauważył Eddie. Callahan skinął głową, ale nie rozwinął tematu.

— W każdym razie tutaj czas płynie inaczej, o czym z pewnością dobrze wiecie.

— Dryfuje — powiedziała Susan. — Tak samo jak strony świata.

Roland, już zakutany w koc, dał Jake'owi na pożegnanie jakąś radę... a także jeszcze coś. Eddie usłyszał brzęk metalu,

gdy jakiś przedmiot przechodził z rąk rewolwerowca do rąk praktykanta. Pewnie kilka monet.

Jake i Benny Slightman razem odjechali w ciemność. Kiedy Jake odwrócił się i pomachał towarzyszom na pożegnanie, Eddie odpowiedział tym samym, ale z niepokojem, który trochę go zaskoczył. *Chryste, przecież nie jesteś jego ojcem*, pomyślał. Co było prawdą, lecz nie zmniejszyło niepokoju.

— Czy nic mu się nie stanie, Rolandzie?

Eddie spodziewał się twierdzącej odpowiedzi, która trochę uśmierzy jego niepokój. Dlatego długie milczenie rewolwerowca zaniepokoiło go jeszcze bardziej.

— Miejmy nadzieję — odparł w końcu Roland.

I nie chciał już więcej mówić o Jake'u Chambersie.

13

Ujrzeni kościół Callahana, niską chatę z bali, z krzyżem przybitym nad drzwiami.

— Pod jakim jest wezwaniem, Pere? — zapytał Roland.

— Naszej Łaskawej Pani.
Roland skinął głową.

— To dobrze.

— Czujecie to? — zapytał Callahan. — Czy ktoś z was to czuje?

Nie musieli im wyjaśniać, o czym mówi. Roland, Eddie i Susannah przez minutę nasłuchiwali w milczeniu. W końcu Roland przecząco pokręcił głową.

— To śpi. — Rzekł Callahan z zadowoleniem. Po chwili dodał: — Bogu dzięki.

— A jednak coś tam jest — odezwał się Eddie. Ruchem głowy wskazał kościół. — To jest jak... Sam nie wiem, niemal jak jakiś ciężar.

— Tak — odparł Callahan. — Jak ciężar. To jest okropne. Lecz dziś wieczór śpi. Bogu niech będą dzięki.

Nakreślił znak krzyża w mroźnym powietrzu.

Na końcu zwykłego żwirowego podjazdu (lecz gładko ubitego i obramowanego starannie przystrzyżonym żywopłotem) wznosił się następny budynek. Dom Callahana. Nazywał go plebanią.

— Czy opowiesz nam dziś swoją historię? — zapytał Roland.

Callahan zerknął na bladą, wymizerowaną twarz rewolwerowca i potrząsnął głową.

— Nie powiem ani słowa, *sai*. Nawet gdybyś był wypoczęty. To nie jest opowieść na noc. Jutro przy śniadaniu, zanim ty i twoi przyjaciele zajmiecie się swoimi sprawami... Czy to będzie odpowiednia pora?

— Tak — zgodził się Roland.

— A jeśli to zbudzi się w nocy? — odezwała się Susannah, ruchem głowy wskazując w kierunku kościoła. — Zbudzi się i wpadniemy w trans?

— Wtedy przeniesiemy się — odparł Roland.

— Masz już jakiś pomysł, co z tym zrobić, prawda? — spytał Eddie.

— Może — powiedział Roland.

Wszyscy razem, włącznie z Callahanem, który zdążył się już do nich dopasować, ruszyli w kierunku domu.

— Czy ma to coś wspólnego z tym starym Mannim, z którym rozmawiałeś? — zapytał Eddie.

— Może — powtórzył rewolwerowiec. Spojrzał na Callahana. — Powiedz mi, Pere, czy ty kiedykolwiek wpadłeś w trans? Wiesz, o czym mówię, prawda?

— Wiem — odparł Callahan. — Dwukrotnie. Raz w tym stanie trafiłem do Meksyku. Do małego miasteczka zwanego Los Zapatos. I raz... chyba... do królewskiego zamku; miałem wówczas dużo szczęścia, że w ogóle udało mi się wrócić.

— Do kogo należał ten zamek? — spytała Susannah. — Do Arthura Elda?

Callahan przecząco pokręcił głową. Blizna na jego czole zabłysła w blasku gwiazd.

— Teraz lepiej nie rozmawiać o tym. Nie w nocy. — Ze smutkiem spojrzął na Eddiego. — Wilki nadciągają. To dostatecznie zła wiadomość. A na dodatek zjawia się ten młodzieniec i mówi mi, że Red Sox znów nie zdobyli pucharu, przegrywając z... z Metsami?

— Obawiam się, że tak — powiedział Eddie i przez resztę drogi do domu zdawał księdzu relację z finałowego meczu

rozgrywek, które Rolandowi wydawały się dziwaczne, chociaż trochę przypominały grę w punkty, przez niektórych zwaną krykietem.

Callahan miał gospodynię. Wprawdzie teraz nie było jej na plebanii, ale zostawiła na piecu garnek z gorącą czekoladą. Kiedy pili napój, Susannah oznajmiła:

— Zalia Jaffords powiedziała mi coś, co może cię zainteresować, Rolandzie.

Rewolwerowiec spojrział pytająco, unosząc brwi.

— Dziadek jej męża mieszka razem z nimi. Jest uważany za najstarszego mieszkańca Calla Bryn Sturgis. Tian i ten stary są w kiepskich stosunkach od lat... od tak dawna, że ona nawet nie wie, dlaczego się tak nie cierpią... ale Zalia całkiem nieźle sobie z nim radzi. Twierdzi, że stary trochę zdziecinniał w ciągu kilku ostatnich lat, ale zdarzają się takie dni, że myśli całkiem trzeźwo. I twierdzi, że widział jednego Wilka. Martwego. — Zamilkła na moment. — Twierdzi, że sam go zabił.

— Na mą duszę! — krzyknął Callahan. — Nie mów!

— Mówię. A właściwie to Zalia...

— Chciałbym usłyszeć tę opowieść — powiedział Roland. — Czy to zdarzyło się wtedy, kiedy Wilki były tutaj ostatni raz?

— Nie — odpowiedziała Susannah. — I nic poprzednim razem, kiedy Cwerholser nie zdążył jeszcze wyrosnąć z pieluch. Wcześniej.

— Skoro pojawiają się co dwadzieścia trzy lata — zauważył Eddie — to prawie siedemdziesiąt lat temu.

Susannah skinęła głową.

— On jednak już wtedy był dorosłym mężczyzną. Powiedział Zalii, że utworzyli ront przy Zachodniej Drodze i czekali na Wilki. Nie wiem, ile osób liczy ront...

— Pięć lub sześć — wyjaśnił Roland, kiwając się nad kubkiem z czekoladą.

— Tak czy inaczej, dziadek Tiana był w tym patrolu. I zabił jednego z Wilków.

— I czym się okazał? — spytał Eddie. — Jak wyglądał bez maski?

— Nie wiedziała — odparła Susannah. — Chyba jej nie powiedział. Powinniśmy jednak...

Przerwało jej chrapanie, przeciągłe i donośne. Eddie i Susan-

nah odwrócili się, zaskoczeni. Rewolwerowiec zasnął. Głowa opadła mu na pierś. Ręce miał skrzyżowane, jakby zasypiając wciąż myślał o tańcu. I o ryżu.

14

Był tylko jeden dodatkowy pokój, więc Roland położył się na łóżku Callahana. W ten sposób Eddie i Susannah mieli coś w rodzaju spóźnionej nocy poślubnej: po raz pierwszy spali sami, pod dachem i na łóżku. Nie byli aż tak zmęczeni, żeby tego nie wykorzystać. Potem Susannah natychmiast zasnęła, a Eddie jeszcze przez chwilę czuwał. Ostrożnie sięgnął myślą w kierunku schludnego kościółka Callahana, próbując dotknąć tego, co kryło się pod podłogą. Zapewne był to kiepski pomysł, ale nie mógł się oprzeć pokusie. Wyczuł tylko pustkę. A właściwie pustkę rozpościerającą się przed czymś.

Mógłbym to zbudzić, pomyślał. Naprawdę mógłbym.

Owszem, tak. Tak samo jak ktoś mógłby wybić sobie młotkiem spróchniały ząb, tylko po co?

W końcu będziemy musieli to zbudzić. Sądzę, że będziemy tego potrzebowali.

Na pewno, ale nie dziś. Teraz trzeba zostawić to coś w spokoju.

Mimo to jeszcze przez jakiś czas nie potrafił tego zrobić. Przed oczami migotały mu obrazy jak kawałki rozbitego lustra w blasku słońca. Calla, rozpościerająca się w dole pod pochmurnym niebem, Devar-Tete Whye niczym szara wstęga. Zielone pola na jej brzegach: dojrzały ryż. Jake i Benny Slightman spoglądający po sobie i zaśmiewający się z czegoś, rozumiejący się bez słów. Pas zielonej trawy między ulicą a namiotem. Różnobarwne światło pochodni. Ej, kłaniający się i bardzo wyraźnie mówiący „Eld! Dzięk!”. Susannah, która śpiewała: „Znałam smutek każdego dnia”.

Najlepiej jednak zapamiętał Rolanda, smukłego i bez broni, stojącego na podium, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i dłońmi przyciśniętymi do policzków, patrzącego tymi niebieskimi oczami na mieszkańców miasteczka. Rolanda zadającego pytania, dwa z trzech. Potem stukanie jego butów o deski, z początku

258

powolne, potem coraz szybsze. Szybciej i szybciej, aż obcasy zmieniły się w dwie rozmazane smugi. Roland klaszczący. Spocony. Uśmiechnięty. Lecz ten uśmiech nie sięgnął jego oczu, tych niebieskich oczu bombardiera... one patrzyły równie chłodno jak zawsze.

A jak on tańczył! Dobry Boże, jak on tańczył przy świetle pochodni.

Chodź, chodź z nami, bo dziś ryż zbieramy, przypomniał sobie Eddie.

Leżąca obok niego Susannah jęknęła przez sen. Odwrócił się do niej. Dotknął dłonią jej piersi. Zdążył jeszcze pomyśleć o Jake'u. Lepiej, żeby dbali o chłopca na tym ranczu. Bo jeśli nie, ta banda poganiaczy krów gorzko tego pożałuje.

Zasnął. Nic mu się nie śniło. A w miarę jak upływała noc i księżyc zaczynał zachodzić, ziemia pogranicza obracała się pod nimi jak zepsuty zegar.

Rozdział 2

SUCHA GAŁĄŻ

1

Na godzinę przed świtem Roland obudził się z kolejnego niedobrego snu o wzgórzu Jericho. Ten róg. Coś, co miało związek z rogiem Arthura Elda. Obok niego na wielkim łożu spał Stary Człowiek, groźnie marszcząc brwi, jakby też męczył go jakiś zły sen. Zmarszczka biegła zygzakiem przez wysokie czoło, wykrzywając ramiona krzyża, który znaczył je blizną.

To ból obudził Rolanda, a nie sen o rogu wysuwającym się z ręki padającego Cuthberta. Ból chwycił go jak żelazna dłoń, sięgając od bioder aż do kostek nóg. Był niczym jasno płonące zaciskające się obręcze. Płacił za nadmierny wysiłek, na który zdobył się minionej nocy. Gdyby jednak chodziło tylko o to, wszystko byłoby w porządku, ale wiedział, że powodem nie jest jedynie zbyt entuzjastycznie wykonany taniec ryżu. Ani reumatyzm, jak wmawiał w siebie przez kilka ostatnich tygodni, okres potrzebny ciału, aby przystosować się do wilgotnej jesiennej pogody. Nie mógł nie zauważyć, że zaczęły mu puchnąć kostki, szczególnie prawa. Dostrzegł również podobną opuchliznę kolan i wyczuwał zmiany tuż pod skórą na prawym biodrze. Nie, to nie był reumatyzm, który tak dokuczał Cortowi w ostatnim roku jego życia, w deszczowe dni zmuszając do pozostania w domu, przy ogniu. To coś znacznie gorszego. Był to artretyzm, w dodatku jego paskudna odmiana — sucha. Niedługo dosięgnie rąk. Roland chętnie oddałby prawą na pastwę choroby, gdyby to ją zadowoliło. Od kiedy homarokosz-

mary odciął mu pierwsze dwa palce, nauczył się całkiem sprawnie nią posługiwać, ale już nigdy nie będzie mu służyła tak jak przedtem. Tylko że z chorobami nie można negocjować, prawda? Nie da się ich ułagodzić ofiarami. Artretyzm przyjdzie, kiedy zechce, i weźmie sobie, co będzie chciał.

Może pozostał mi rok, pomyślał Roland, leżąc w łóżku obok śpiącego księdza ze świata Eddiego, Susannah i Jake'a. *A może dwa.*

Nie, nie dwa. Zapewne nawet niejeden. Jak to czasem mówił Eddie? *Przestań się oszukiwać*. Eddie przyniósł ze swego świata wiele różnych powiedzonek, lecz to było szczególnie dobre. Szczególnie odpowiednie.

Nie miał zamiaru odwoływać wyprawy do Wieży, jeśli Stary Wykręcacz Kości pozbawi go umiejętności strzelania, siodłania konia, przycinania rzemieni, a nawet rąbania drewna na ognisko. Nie, będzie podążał ku niej do końca. Nie podobała mu się jednak perspektywa korzystania z pomocy innych, może nawet wiązania do siodła, kiedy nie będzie już mógł utrzymać w rękach wodzy. I stanie się dla wszystkich ciężarem, jak kotwica, której, zmuszeni do szybkiego odpłynięcia, nie będą mogli podnieść.

Jeśli do tego dojdzie, zabiję się.

Tylko że nawet tego zapewne nie będzie w stanie zrobić. Oto cała prawda. *Przestań się oszukiwać*.

Ta myśl przypomniła mu ponownie Eddiego. Powinien porozmawiać z Deanem o Susannah, i to natychmiast. Może uświadomienie sobie tego warte było bólu. Nie będzie to przyjemna rozmowa, ale trzeba ją przeprowadzić. Czas, żeby Eddie dowiedział się o Mii. Teraz, kiedy są w miasteczku, pod dachem, nie uda jej się tak łatwo wymykać, a będzie musiała to robić. Nie mogła negocjować potrzeb dziecka i swoich, tak jak Roland nie mógł zbagatelizować palących obręczy bólu, które obejmowały jego prawe biodro, kolano i obie kostki, lecz na razie oszczędziły sprawne ręce. Jeśli nie ostrzeże Eddiego, mogą mieć okropne kłopoty. A w tym momencie mieli ich aż za dużo. Kolejne mogły jedynie przynieść im zniszczenie.

Roland leżał na łożu, cierpiąc, i patrzył na szarzejące niebo. Z niepokojem zauważył, że już nie jaśniało dokładnie na wschodzie, tylko trochę na południu.

Słońce także dryfowało.

Gospodyni była przystojną kobietą około czterdziestki. Nazywała się Rosalita Munoz. Kiedy zobaczyła, jak Roland podchodzi do stołu, powiedziała:

— Kubek kawy, a potem pójdziesz ze mną.

Podeszła do pieca po dzbanek, Callahan zaś badawczo spojrzął na Rolanda. Eddie i Susannah jeszcze nie wstali. Książd i rewolwerowiec mieli kuchnię dla siebie.

— Bardzo dokucza?

— To tylko reumatyzm — odparł Roland. — Cierpiała na to cała moja rodzina ze strony ojca. Przejdzie do południa, jeśli będzie słonecznie i sucho.

— Wiem, co to reumatyzm — rzekł Callahan. — Dziękuj Bogu, że to nic gorszego.

— Dziękuję. — Potem zwrócił się do Rosality, która przyniosła wielkie kubki parującej kawy: — Tobie również dziękuję.

Postawiła kubki na stole, dygnęła i obrzuciła go nieśmiałym, lecz badawczym spojrzeniem.

— Nigdy nie widziałam lepiej odtańczonego tańca ryżu, *sai*. Roland uśmiechnął się krzywo.

— Ale dzisiaj płacę za to.

— Pomogę ci — odparła. — Mam kocią maść, to moja specjalność. Najpierw usunie ból, a potem przestaniesz utykać. Pere to potwierdzi.

Roland spojrzął na Callahana, który skinął głową.

— Zatem muszę spróbować. Dzięki ci. Ponownie dygnęła i opuściła ich.

— Potrzebna mi mapa miasteczka — rzekł Roland, kiedy odeszła. — Niekoniecznie artystycznie wykonana, ale musi być szczegółowa i dokładnie podawać odległości. Możesz mi taką narysować?

— Na pewno nie — odparł spokojnie Callahan. — Trochę rysuję, ale nie umiałbym nakreślić mapy, która doprowadziłaby cię choćby do rzeki, nawet gdybyś przystawił mi lufę do głowy. Po prostu nie mam do tego talentu. Wiem jednak, kto może ci pomóc. — Podniósł głos. — Rosalita! Rosie! Pozwól tu na chwilkę, dobrze?

Po dwudziestu minutach Rosalita wzięła Rolanda za rękę, mocno ściskając ją ciepłymi i suchymi palcami. Zaprowadziła go do spiżarni i zamknęła drzwi.

— Ściągnij spodnie, proszę — powiedziała. — Nie wstydź się, gdyż wątpię, żebyś miał coś, czego już nie widziałam, chyba że mężczyźni z Gilead są zbudowani inaczej.

— Nie sądzę, żeby byli inni — odparł Roland i opuścił spodnie.

Słońce już wzeszło, ale Eddie i Susannah wciąż spali. Roland nie spieszył się z budzeniem. Czekają ich wiele wczesnych pobudek — i zapewne późnych spoczynków — więc niech tego ranka nacieszą się dachem nad głową, miękkim materacem pod sobą i miłym poczuciem samotności za drzwiami oddzielającymi ich od reszty świata.

Rosalita, trzymając w dłoni buteleczkę jasnego oleistego płynu, cicho westchnęła na widok prawego kolana Rolanda, a potem lewą ręką dotknęła jego prawego biodra. Mimo woli drgnął, chociaż zrobiła to bardzo delikatnie. Spojrzała na niego. Jej oczy były tak ciemnobrażowe, że prawie czarne.

— To nie reumatyzm. To artretyzm. I to z rodzaju tych szybko postępujących.

— Taak. Tam, skąd pochodzę, zwą go suchą gałęzią — rzekł. — Nie mów o tym Pere ani moim przyjaciółom.

Popatrzyła na niego spokojnie ciemnymi oczami.

— Nie zdołasz długo ukrywać przed nimi tego sekretu.

— Dobrze o tym wiem. Lecz dopóki mogę, chcę zachować to w tajemnicy. A ty mi w tym pomożesz.

— Ano tak — zgodziła się. — Bez obawy. Nie zdradzę cię.

— Dzięki. Czy to mi pomoże?

Spojrzała na buteleczkę i uśmiechnęła się.

— Ano. To mięta i żywica gumowca z bagien. Sekret tkwi jednak w kociej żółci, której dodaje się tylko trzy krople na butelkę. Te skalne koty przychodzą z pustyni, od ciemnej strony. — Przechyliła buteleczkę i naląła sobie trochę cieczy na dłoń. Roland poczuł woń mięty, a także znacznie słabszy i mniej przyjemny zapach czegoś innego. No tak, to mogła być żółć pumy albo kuguara, albo innego zwierzęcia, nazywanego w tych stronach skalnym kotem.

Kiedy pochyliła się i wtarła mu lek w kolana, natychmiast poczuł straszne pieczenie. Po chwili palący żar zelżał, przynosząc ulgę większą, niż Roland się spodziewał.

— I jak się teraz czujesz, rewolwerowcze? — zapytała Rosalita, kiedy skończyła nacieranie.

Miał odpowiedzieć, przyciągnął ją do swego szczupłego, nagiego ciała i mocno uściskał. Odpowiedziała takim samym śmiałym uściskiem i szepnęła mu do ucha:

— Jeśli jesteście tymi, za których się podajecie, nie pozwólcie im zabrać dzieci. Ani jednego. Nieważne, co będą mówić tacy starzy pierdziele jak Eisenhart czy Telford.

— Zrobimy, co w naszej mocy.

— Dobrze. Dzięki. — Cofnęła się i spojrzała w dół. — Widzę tu coś, czego nie tknął artretyzm ani reumatyzm. Coś, co wygląda całkiem zdrowo. Może jakaś dama popatrzy dziś wieczorem na księżyc, rewolwerowcze, i zapragnie towarzystwa.

— Może je znajdzie — powiedział Roland. — Czy dasz mi buteleczkę tego leku, żebym mógł go stosować, jeżdżąc po okolicy, czy też jest dla ciebie zbyt cenny?

— Nie, nie jest zbyt cenny — odrzekła. Flirtując, uśmiechała się. Teraz znów spoważniała. — Myślę jednak, że nie będzie działał zbyt długo.

— Wiem — odparł Roland. — Nieważne. Staramy się jak najlepiej wykorzystywać nasz czas, ale w końcu i tak go tracimy.

— Ano tak — powiedziała. — Tak już jest.

Kiedy wychodził ze spiżarni, zapinając pas, wreszcie usłyszał szmery w sąsiednim pokoju. Pomrukiwanie Eddiego, a potem senny kobiecy śmiech. Callahan stał przy piecu, nalewając sobie kawy. Roland podszedł do niego.

— Po lewej stronie między podjazdem a kościołem widziałem jagody — rzekł pospiesznie.

— Tak. Są dojrzałe. Masz dobre oczy.

— Dajmy spokój moim oczom. Pójdę i nazrywam ich pełny kapelus. Eddie dołączy do mnie, a jego żona usmaży dwa lub trzy jajka. Znajdziesz je dla nas?

- Tak sądzę, ale...
- To dobrze — rzucił Roland i wyszedł.

5

Zanim Eddie do niego dołączył, Roland już nappełnił pół kapelusza pomarańczowymi jagodami, a także zjadł kilka garści. Ból nóg i bioder ustępował ze zdumiewającą szybkością. Zrywając jagody, zastanawiał się, ile Cort zapłaciłby za butelkę kociego olejku Rosaliny Munoz.

— Człowieku, one wyglądają jak sztuczne owoce z wosku, które nasza matka kładła na kredensie w każde Święto Dziękczynienia — zauważył Eddie. — Czy naprawdę są jadalne?

Roland wziął jagodę wielkości czubka swojego palca i wepchnął Eddiemu do ust.

— Czy to smakuje jak wosk?

Eddie ostrożnie skosztował i zrobił wielkie oczy. Przełknął, uśmiechnął się i sięgnął po więcej.

— Jak żurawiny, tylko słodsze. Zastanawiam się, czy Suze umie piec drożdżowe kule? Jeśli nie, to założę się, że gospodyni Callahana...

— Posłuchaj mnie, Eddie. Słuchaj uważnie i trzymaj nerwy na wodzy. Na pamięć twego ojca.

Eddie właśnie sięgał po uginającą się pod ciężarem owoców gałąź. Teraz znieruchomiał i spojrzał spokojnie na Rolanda. W porannym świetle rewolwerowiec zauważył, że Eddie wygląda na znacznie dojrzalszego. To niewiarygodne, jak bardzo spoważniał.

— O co chodzi?

Roland, który trzymał dla siebie ten sekret tak długo, że w końcu wydał mu się bardziej skomplikowany, niż był w rzeczywistości, sam się zdziwił, jak szybko i zwięźle zdołał go wyjawić. Zauważył, że Eddie nie wygląda na zaskoczonego.

— Od jak dawna o tym wiesz?

Rewolwerowiec starał się wychwycić w jego głosie oskarżycielski ton, lecz nie doszukał się.

— Od kiedy jestem pewien? Od momentu gdy pierwszy raz zobaczyłem, jak wymyka się do lasu. Zobaczyłem, jak je... —

Urwał. — To, co tam jadła. Jak rozmawia z ludźmi, których z nią nie było. Podejrzewałem to od dawna. Od czasu Ludu.

— I nie powiedziałaś mi.

— Nie. — Spodziewał się, że Eddie poczęstuje go litanią wymówek i sporą dawką sarkazmu.

Tak się nie stało.

— Chcesz wiedzieć, czy jestem wkurzony, prawda? Czy zamierzam robić z tego problem.

— A zamierzasz?

— Nie. Nie jestem wściekły, Rolandzie. Może trochę zniechęcony i cholernie boję się o Suze, ale dlaczego miałbym się na ciebie gniewać? Czy nie jesteś *dinh* — Teraz Eddie zamilkł na chwilę, a potem wydusił z siebie: — Czy nie jesteś moim *dinh*

— Owszem, tak — potwierdził Roland. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Eddiego. Zdziwiła go nieodparta chęć... niemal potrzeba... wyjaśnienia swojego postępowania. Powstrzymał ją. Jeśli Eddie nazwał go nie tylko *dinh*, ale swoim *dinh*, Roland powinien zachowywać się jak *dinh*. Tak więc rzekł: — Nie wyglądasz na kompletnie zaskoczonego.

— Och, jestem zdziwiony — mówił dalej Eddie. — Raczej niezaskoczony, ale... no cóż... — Zerwał trochę jagód i wrzucił je do kapelusza Rolanda. — Zauważyłem kilka objawów, wiesz? Czasem jest zbyt blada. Czasem krzywi się i przyciska dłoń do brzucha, a jeśli pytam o przyczynę, odpowiada, że to wzdęcie. I ma większe cycki. Jestem tego pewien. Tylko że ona wciąż miesiączkuje, Rolandzie! W zeszłym miesiącu widziałem, jak zakopywała zakrwawione płótno. Nasiąknięte. Jak to możliwe? Jeśli zaszła w ciążę, kiedy sprowadzaliśmy Jake'a... gdy ściągnęła na siebie uwagę demona... zdarzyło się to co najmniej cztery, a nawet pięć miesięcy temu. Uwzględniając poślizg czasu.

Roland skinął głową.

— Wiem, że ona miesiączkuje. Co dowodzi, że to nie jest twoje dziecko. To coś, co nosi w sobie, odrzuca ludzką krew.

Roland przypomniał sobie, jak zmiażdżyła w dłoni żabę. I wypita czarną żółć. Potem zlizwała ją z palców jak syrop.

— Czy to... — Eddie zamierzał zjeść jedną z jagód, ale rozmyślił się i wrzucił ją do kapelusza. Roland pomyślał, że

minie trochę czasu, zanim Eddie odzyska apetyt. — Rolandzie, czy to będzie choć trochę podobne do ludzkiego dziecka?

— Niemal na pewno nie.

— Zatem do czego?

Słowa wyrwały mu się, zanim zdolał je powstrzymać.

— Lepiej nie wymawiać imienia diabła.

Eddie skrzywił się. Jego blada twarz pobladła jeszcze bardziej.

— Dobrze się czujesz? Eddie?

— Nie — odparł. — Z całą pewnością nie czuję się dobrze. Lecz nie zamierzam zemdleć jak dziewczyna na koncercie Andy'ego Gobba. Co zrobimy?

— Na razie nic. Mamy zbyt wiele spraw do załatwienia.

— Istotnie — przyznał Eddie. — Jeśli dobrze policzyłem, Wilki zjawią się tutaj za dwadzieścia cztery dni. Kto wie, jaki to dzień w Nowym Jorku? Szósty czerwca? Dziesiąty? W każdym razie na pewno bliższy dziesiątego lipca niż wczorajszy. Tylko że... Rolandzie, jeśli to, co ona nosi w sobie, nie jest człowiekiem, nie możemy być pewni, że jej ciąża potrwa dziewięć miesięcy. Może urodzić po sześciu. Do licha, może nawet jutro.

Roland skinął głową i czekał. Eddie dotarł tak daleko...
Z pewnością dotrze do końca.
Tak też się stało.

— Jesteśmy w impasie, prawda?

— Tak. Możemy ją obserwować, ale nic poza tym. Nie możemy nawet oszczędzać jej, w nadziei na spowolnienie procesu, gdyż zaraz domyśliłaby się, dlaczego to robimy. Ponadto jest nam potrzebna. Jako strzelec, gdy przyjdzie na to czas. Przedtem musimy nauczyć posługiwać się bronią tych mieszkańców, którzy ją mają. Zapewne okaże się, że posługują się łukami. — Roland skrzywił się. W końcu udało mu się trafić w tarczę na Północnym Polu tyle razy, żeby zadowolić Corta, ale nigdy nie lubił łuku i strzał ani kuszy i beltów. Była to ulubiona broń Jamiego DeCurry'ego, lecz nie jego, Rolanda.

— Naprawdę zamierzamy im pomóc, tak?

— Och tak.

Eddie uśmiechnął się. Mimo wszystko. Taki już był. Roland zrozumiał to i ucieszył się.

Wracali na plebanię Callahana.

— Powiedziałeś mi wszystko, Rolandzie, dlaczego nie powiesz tego jej?— zapytał Eddie.

— Nie wiem, czy to rozumiem.

— Och, sądzę, że rozumiesz — mruknął Edie.

— No dobrze, rozumiem, ale nie spodoba ci się odpowiedź.

— Słyszałem już z twoich ust różne odpowiedzi i myślę, że podobała mi się najwyżej jedna na pięć — odrzekł Eddie. — Nie, to zbyt wiele powiedziane. Raczej jedna na pięćdziesiąt.

— Ta, która nazywa siebie Mią... co w Wysokiej Mowie oznacza matkę... wie, że nosi w sobie dziecko, chociaż wątpię, aby zdawała sobie sprawę z tego, co to za dziecko.

Eddie rozważał jego słowa w milczeniu.

— Mia uznaje to coś za swoje dziecko i będzie bronić je ze wszystkich sił — ciągnął Roland. — Jeśli będzie musiała, przejmie ciało Susannah... tak samo jak Detta Walker przejmowała ciało Odetty Holmes... jeżeli tylko zdoła.

— Zapewne zdoła — powiedział ponuro Eddie. Potem spojrzął na Rolanda. — Wydaje mi się, że próbujesz mi przekazać... popraw mnie, jeśli się mylę... iż nie chcesz powiedzieć Suze, że być może nosi w brzuchu potwora, ponieważ to mogłoby zmniejszyć jej przydatność.

Roland był w stanie podważać słuszność tak surowej oceny, ale nie zrobił tego. W zasadzie Eddie miał rację.

I jak zawsze, kiedy był zły, zaczynał mówić z brooklyńskim akcentem. Jakby głos wydobywał się z nosa, a nie z ust.

— Jeśli w ciągu następnego miesiąca coś się zmieni... jeżeli zaczniesz rodzić i na przykład wyda na świat potwora z Czarnej Laguny... będzie na to kompletnie nieprzygotowana. Zaskoczona.

Roland przystanął około dwadziestu stóp od plebanii. Przez okno widział Callahana rozmawiającego z dwojgiem dzieci, chłopcem i dziewczynką. Nawet z daleka widział, że to bliźniaki.

— Rolandzie?

— Mówisz prawdę, Eddie. Masz w tym jakiś cel? Jeśli tak, to liczę, że go wyjawisz. Czas nie jest już tylko twarzą na wodzie, jak sam powiedziałeś. Stał się niezwykle cenny.

Ponownie spodziewał się, że Eddie Dean wybuchnie i po-

częstuje go takimi wyrażeniami, jak „pocałuj mnie w dupę” albo „wypchaj się tartą bułką”. Lecz Eddie znów go zaskoczył. Tylko patrzył na niego, to wszystko. Uparcie i ze smutkiem. Zasmucony z powodu Susannah i z powodu ich obu. Stali tutaj i spiskowali przeciwko niej, należącej do ich *tet*.

— Posłucham cię — powiedział Eddie — nie dlatego że jesteś *dinh* i nie dlatego że jedno z tych dwojga może wrócić z Jądra Gromu jako warzywko. — Wskazał na dwoje dzieci, z którymi Stary Człowiek rozmawiał w swoim salonie. — Oddałbym wszystkie dzieci w tym miasteczku za to, które nosi Suze. Gdyby to było dziecko. Moje dziecko.

— Wiem, że zrobiłbyś to — odparł Roland.

— Chodzi mi o różę—mówił dalej Eddie. — To jedyna rzecz, dla której warto narazić jej życie. Mimo wszystko musisz mi obiecać, że jeśli coś pójdzie źle... jeśli zacznie rodzić albo ta cała Miabędzie chciała zapanować nad Suze... spróbujemy ją uratować.

— Nigdy nie zostawiłbym jej bez pomocy — rzekł Roland i przed oczami stanął mu koszmarny obraz... przelotny, lecz wyraźny... Jake'a wiszącego nad przepaścią.

— Przysięgasz? — spytał Eddie.

— Tak — odparł Roland.

Napotkał spojrzenie młodzieńca. Myślał jednak o Jake'u spadającym w przepaść.

7

Doszli do drzwi plebanii w chwili, gdy Callahan wypuszczał z niej bliźniaków. Roland pomyślał, że to chyba najładniejsze dzieci, jakie widział w życiu. Miały kruczoczarne włosy, które chłopcu sięgały do ramion, a dziewczynie opadały do pasa, związane białą wstążką. I duże ciemnoniebieskie oczy, kremową skórę i ciemnoczerwone wargi. Na policzkach po kilka ledwie widocznych piegów. Roland miał wrażenie, że nawet te piegi są identyczne. Młodzi spoglądali na niego i Eddiego, a potem znów na Susannah, która stała w drzwiach do kuchni, trzymając w jednej ręce ścierkę do naczyń, a w drugiej kubek z kawą. Na twarzach rodzeństwa malowało się zaciekawienie. Rewolwero-wiec dostrzegł w nich ostrożność, a nie lęk.

— Rolandzie, Eddie, chciałbym przedstawić wam dwoje Taverych, Franka i Francine. Sprowadziła ich tu Rosalita, bo Tavery'owie mieszkają niecałe pół mili stąd. Do południa będziecie mieli waszą mapę i wątplię, czy lepszą widzieliście w życiu. To tylko jeden z ich licznych talentów.

Bliźnięta Tavery przywitały przybyłych: Frank uklonem, a Francine dygnięciem.

— Jeśli nam pomożecie, będziemy wdzięczni — powiedział Roland.

Ich kremowe policzki spłonęły identycznym rumieńcem. Wymamrotali podziękowania i szykowali się do wyjścia. Zanim zdążyli odejść, Roland objął ich szczupłe, lecz kształtne ramiona i odprowadził kawalek. Ujęła go nie tyle ich nieskazitelna uroda, ile błysk inteligencji, którą widział w niebieskich oczach dzieci. Nie wątpił, że sporządzą tę mapę. Nie wątpił też, że Callahan kazał Rosalicie sprowadzić tych dwoje, aby przeprowadzić lekcję poglądową, gdyby takiej potrzebowali; jeśli nie zapobiegna nieszczęściu, jedno z tych pięknych dzieci za miesiąc będzie bezmyślną rośliną.

— Sai? — odezwał się Frank. W jego głosie słychać było teraz niepokój.

— Nie obawiajcie się mnie — rzekł Roland — ale dobrze mnie posłuchajcie.

8

Callahan i Eddie patrzyli, jak Roland powoli idzie z bliźniakami wyłożoną kamieniami ścieżką, w kierunku żwirowego podjazdu. Obaj pomyśleli to samo: Roland wyglądał jak dobroduszny dziadek.

Susannah dołączyła do nich, spojrzała, a potem pociągnęła Eddiego za rękaw.

— Pozwól na minutkę.

Ruszył za nią do kuchni. Rosalita już nie było i mieli całe pomieszczenie dla siebie. Brązowe oczy Susannah były wielkie i błyszczące.

— O co chodzi? — zapytał.

— Podnieś mnie.

Zrobił to

— A teraz pocałuj, dopóki masz okazję.

— To wszystko?

— Nie wystarczy ci? Lepiej, żeby wystarczyło, panie Dean.

Pocałował ją chętnie. Kiedy do niego przywarła, mimo woli zauważył, jak powiększyły się jej piersi. Odsunęła się po chwili, a on przyłapał się na tym, że szuka na jej twarzy rysów innej kobiety. Tej, która w Wysokiej Mowie nazywała się matką. Ujrzał tylko Susannah, ale wiedział już, że od tej pory zawsze będzie szukał. I wciąż próbował zerknąć na jej brzuch. Starał się powstrzymać ten odruch, coś jednak przyciągało jego spojrzenie. Zastanawiał się, w jakim stopniu zmieni się teraz to, co ich łączyło. Nie była to przyjemna myśl.

— Naprawdę lepiej? — zapytał.

— Znacznie. — Uśmiechnęła się, lecz zaraz spoważniała. — Eddie? Czy coś się stało?

Uśmiechnął się i znów ją pocałował.

— Masz na myśli coś więcej niż to, że zapewne wszyscy tu zginiemy? Nie. Zupełnie nic.

Czy już kiedyś ją okłamał? Nie pamiętał, ale chyba nie. A jeśli nawet, to jeszcze nigdy nie zrobił tego z wyrachowaniem. Na zimno.

Niedobrze.

9

Dziesięć minut później, ponownie uzbrojeni w kubki świeżo zaparzonej kawy (oraz miskę jagód), wyszli na niewielkie podwórko na tyłach plebanii. Rewolwerowiec przez chwilę wystawiał twarz do słońca, ciesząc się jego ciepłem. Potem zwrócił się do Callahana:

— Chętnie wysłuchamy teraz twojej historii, Pere, jeśli zechcesz ją opowiedzieć. A potem może pójdziemy do twego kościoła i zobaczymy, co tam jest.

— Chcę, żebyście to zabrali — rzekł Callahan. — Nie zbezczeszcilo świątyni, bo czyż mogło to uczynić, jeśli kościół Naszej Łaskawej Pani nigdy nie został poświęcony? Lecz z pewnością zmieniło wszystko na gorsze. Kiedy kościół był

jeszcze w budowie, czułem w nim ducha bożego. Teraz już nie. To coś wypędziło go. Chcę, żebyście to zabrali.

Roland otworzył usta, żeby powiedzieć coś niezobowiązującego, ale Susannah ubiegła go.

— Rolandzie? Dobrze się czujesz?

Odwrocił się do niej.

— Cóż, tak. Dlaczego pytasz?

— Wciąż masujesz sobie biodro.

Czyżby? No tak, rzeczywiście. Ból znów powrócił pomimo ciepła i kociego olejku Rosality. Sucha gałąź.

— To nic — uspokoił Susannah. — To tylko reumatyzm.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, lecz zdawała się przyjąć to wyjaśnienie. *To kiepski początek, pomyślał Roland, skoro co najmniej dwoje z nas ma własne sekrety. Tak nie może być. Przynajmniej nie na długo.*

Zwrócił się do Callahana:

— Opowiedz nam swoją historię. Skąd masz te blizny, jak się tu znalazłeś i w jaki sposób wszedłeś w posiadanie Czarnej Trzynastki. Wysłuchamy każdego twego słowa.

— Tak — potwierdził Eddie.

— Każdego — zawtórowała mu Susannah.

Wszyscy troje spojrzeli na Callahana — głęboko wierzącego Starego Człowieka, który pozwalał mówić do siebie Pere, ale nie chciał, by nazywano go księdzem. Podniósł okaleczoną dłoń do blizny na czole i potarł ją.

— To przez wódkę — powiedział w końcu. — Tak uważam teraz. Nic przez Boga ani diabła, przeznaczenie czy towarzystwo świętych. Przez picie.

Zamilkł, zastanawiając się, a potem uśmiechnął się do towarzyszy. Rolandowi przypomniał się Nort z Tuli, zjadacz diabelskiego ziela, wskrzeszony przez człowieka w czerni. Nort też się tak uśmiechał.

— Jeśli jednak Bóg stworzył świat, to również alkohol. Tak więc to też jest Jego wola.

Ka, pomyślał Roland.

Callahan siedział w milczeniu, pocierając bliznę na czole, zbierając myśli. Po chwili zaczął opowiadać swoją historię.

1

To przez alkohol, tak zaczął uważać, kiedy w końcu przestał pić i wytrzeźwiał. Nie Bóg, nie szatan, nie jakaś skrywana psychoseksualna walka między jego świętej pamięci matką a świętej pamięci ojcem. Po prostu alkohol. I czy było coś dziwnego w tym, że whiskey chwyciła go za gardło? Był Irlandczykiem, był kapłanem, i to wystarczyło.

Z seminarium w Bostonie trafił do miejskiej parafii w Lowell w stanie Massachusetts. Parafianie uwielbiali go (nic nazywał ich swoim stadkiem, gdyż stadkiem nazwano mewy lecące na wysypisko śmieci), lecz po siedmiu latach spędzonych w Lowell Callahan poczuł niepokój. Rozmawiając w diecezji z biskupem Duganem, użył wszystkich modnych w owym czasie słów, żeby opisać ten niepokój: apatia, choroba cywilizacyjna, narastające zubożenie, poczucie oderwania od życia duchowego. Przed tym spotkaniem wypił łyk w toalecie (po czym przezornie posłał kilka miętowych dropsów), więc był niezwykle elokwentny. Taka elokwencja nie zawsze wypływa z wiary, ale często z butelki. 1 nie kłamał. Naprawdę wierzył w to, co mówił w gabinecie Dugana. W każde słowo. Tak jak wierzył we Freuda, przyszłe msze odprawiane po angielsku, w szlachetne intencje wojny Lyndona Johnsona z ubóstwem oraz w idiotyzm wojny w Wietnamie: tkwili już po pas w bagnie, a ten dureń kazał im brnąć dalej, jak mówiły słowa ludowej piosenki. Wierzył głównie z tego powodu, że te poglądy (jeśli rzeczywiście były poglądami, a nie cczą gadaniną) były wówczas wysoko

notowane na intelektualnej giełdzie. Świadomość społeczna poszła w górę o dwie trzecie, ognisko domowe straciło ćwierć punktu, lecz wciąż należało do podstawowego pakietu akcji. Później wszystko stało się prostsze. Później zaczął rozumieć, że nie pije z powodu duchowego niepokoju, lecz cierpi na duchowy niepokój, ponieważ za dużo pije. Można protestować, mówić, że to niemożliwe, bo zbyt proste. Tak jednak było i tyle. Głos Boga jest cichy i spokojny niczym głos wróbla wśród burzy, jak rzekł prorok Izajasz, i dziękujmy mu. Trudno usłyszeć taki głos, jeśli przez większość czasu jesteś zalany w trupa. Callahan opuścił Amerykę i znalazł się w świecie Rolanda, zanim rewolucja informatyczna zrodziła skrót GIGO — ze śmieci powstają śmieci — ale zdążył jeszcze usłyszeć, jak na zebraniu Anonimowych Alkoholików ktoś zauważył, że jeśli w San Francisco wsadzisz dupka do samolotu lecącego na Wschodnie Wybrzeże, zwykle ten sam duppek wysiada w Bostonie. Zazwyczaj po czterech lub pięciu drinkach. To jednak było później. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku wierzył w to, w co wierzył, i mnóstwo ludzi chciało mu pomóc odnaleźć właściwą drogę. Z Lowell przeniósł się do Spofford w Ohio, podmiejskiej dzielnicy Dayton. Tam został przez pięć lat, po czym ponownie poczuł niepokój i konsekwentnie zaczął o tym mówić. W taki sposób, żeby wysłuchano go w kancelarii diecezjalnej. Ten, który popycha sprawy do przodu. O apatii. O duchowym oderwaniu (tym razem od swoich parafian). Owszem, lubili go (a on ich), a mimo to coś było nie tak. Rzeczywiście coś było nie w porządku, głównie w zacisznym barze na rogu (gdzie wszyscy też go lubili) oraz w barku w salonie plebanii. W większych dawkach alkohol jest trucizną, a Callahan zatruwał się co wieczór. To trucizna w jego krwi, a nie w stanie tego świata czyjego duszy, ciągnęła go w dół. Czy to zawsze było takie oczywiste? Później (na innym spotkaniu AA) usłyszał, jak pewien facet porównywał alkoholizm i narkomanię do słonia w salonie; jak można tego nie zauważyć? Callahan nie odpowiedział mu, gdyż jeszcze nie miał za sobą dziewięćdziesięciu dni abstynencji, co oznaczało, że mógł tylko siedzieć i słuchać. („Wyjmijcie watę z uszu i wepchnijcie ją sobie do ust” — radzili starzy bywalcy; dziękujmy im). Mógł jednak mu to wyjaśnić, naprawdę mógł. Możesz przeoczyć słonia, jeśli to zaczarowany słoń i potrafi — jak Ciebie — zmać

człowiekowi w głowie. Sprawić, że uwierzysz, iż twoje problemy są natury duchowej i intelektualnej, a nie wypływają z nadużycia alkoholu. Jezu Chryste, wystarczyłaby wywołana spożyciem alkoholu bezsenność, żeby kompletnie popieprzyć ci w głowie, ale, nie wiedzieć czemu, nigdy o tym nie myślałeś. Gorzała zmieniała twoje procesy myślowe w coś przypominającego ten cyrkowy numer, w którym wszyscy kłowni po kolei wypadają z samochodziku. Otrząsałeś się, kiedy na trzeźwo przypomniałeś sobie wszystko, co mówiłeś i robiłeś. („Siedziałem w barze, rozwiązując wszelkie problemy tego świata, a potem nie mogłem znaleźć mojego samochodu na parkingu” — opowiadał jeden facet na zebraniu AA; dziękujmy mu). Jeszcze gorsze było to, co myślałeś. Jak można rzygać przez cały ranek, a po południu uwierzyć, że to był kryzys duchowy? On mógł. Jego zwierzchnicy też, być może dlatego, że wielu z nich też miało problemy z zaczarowanym słoniem. Callahan doszedł do wniosku, że mniejszy kościół w jakiejś wiejskiej parafii pomoże mu odnaleźć Boga i siebie. Tak więc na wiosnę tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku znów znalazł się w Nowej Anglii. Tym razem na północy. Zabrał swoje lary i penaty, krucyfiks i stulę, do przyjemnego miasteczka Salem w stanie Maine. Tam spotkał prawdziwe zło. Spojrzał mu w twarz. I zachwiał się.

2

— Przyszedł do mnie pisarz — powiedział. — Niejaki Ben Mears.

— Chyba czytałem jedną z jego książek — zauważył Eddie. — Miała tytuł *Powietrzny taniec*. O człowieku powieszonym za morderstwo, które popełnił jego brat?

Callahan skinął głową.

— To on. Był także nauczyciel, Matthew Burkę, i obaj uważali, że w Salem grasuje wampir. Z rodzaju tych, które zamieniają innych w wampiry.

— A są inne? — spytał Eddie, pamiętający co najmniej sto filmów oglądanych w kinie Majestic i tysiąc komiksów kupionych (a czasem kradzionych) w Dahlie's.

— Są i dojdziemy do tego, ale nie teraz. Chodzi o to, że był tam chłopiec, który wierzył w jego istnienie. Mniej więcej w tym samym wieku co wasz Jake. Nie przekonali mnie... przynajmniej nie od razu... oni jednak wierzyli w to i trudno było odwieść ich od tej wiary. Ponadto w miasteczku Salem coś się działo, to pewne. Znikali ludzie. W mieście panował strach. Trudno to teraz opisać, siedząc w słońcu, lecz tak było. Musiałem odmówić modlitwę nad grobem innego chłopca. Nazywał się Daniel Glick. Wątpię, aby był pierwszą ofiarą wampira w miasteczku i na pewno nie ostatnią, ale pierwszą śmiertelną. W dniu jego pogrzebu moje życie się zmieniło. Nie mówię tu o butelce whiskey dziennie. Coś zmieniło się w mojej głowie. Jakby ktoś przekręcił przełącznik. I chociaż od lat nie miałem alkoholu w ustach, ten przełącznik pozostaje przekreślony.

Właśnie wtedy wpadłeś w trans, ojczyste Callahanie — pomyślała Susannah.

Wtedy uległeś dziewiętnastce, kolego. A może to chodzi o dziewięćdziesiąt dziewięć. Albo o obie te liczby — doszedł do wniosku Eddie.

Roland po prostu nie słuchał. Oczyścił umysł z wszelkich myśli, zmieniając go w idealną maszynę rejestrującą informacje.

— Ten pisarz Mears zakochał się w dziewczynie z miasteczka, Susan Norton. Wampir napadł na nią. Sądzę, że zrobił to nie tylko dlatego, że mógł, ale również dlatego, że chciał ukarać Mearsa za to, że odważył się stworzyć grupę... *ka-tet...* która próbowała wytropić wampira. Udaliśmy się do posiadłości, którą kupił sobie wampir, starej rudery zwanej Marsten House. To coś, co w niej zamieszkiwało, używało nazwiska Barlow. — Callahan przez chwilę milczał, w zadumie patrząc w dal i wspominając dawne dni. W końcu podjął przerwana opowieść. — Barlow znikł, ale zostawił tę kobietę. I list. Był zaadresowany do nas wszystkich, głównie jednak do mnie. W chwili, kiedy zobaczyłem ją leżącą w piwnicy Marsten House, zrozumiałem, że to wszystko prawda. Obecny wśród nas lekarz sprawdził jej tętno i ciśnienie krwi, żeby mieć pewność. Serce dziewczyny nie biło, a ciśnienie spadło do zera. Lecz gdy Ben wbił w nią kolec, ożyła. Broczyła krwią. Wrzeszczała bez końca. Jej ręce... Pamiętam cienie jej rąk na ścianach...

Eddie ucisnął dłoń Susannah. Słuchali ze zgrozą, ani wierząc,

ani powątpiewając. To nie był mówiący pociąg sterowany przez zepsuty komputer i nie byli to zdziczali ludzie. To było coś podobnego do niewidzialnego demona, który atakował ich, kiedy przeciągali Jake'a. Albo dozorca z Dutch Hill.

— I co ten Barlow napisał ci w liście? — spytał Roland.

— Że moja wiara jest słaba, co stanie się moją zgubą. Oczywiście miał rację. Do tego czasu wierzyłem jedynie w whiskey. Tyle że nie zdawałem sobie z tego sprawy. On wiedział. Gorzała to też rodzaj wampira, a swój pozna swego. Chłopiec, który był z nami, nabrał przekonania, że ten książę wampirów teraz chce zabić jego rodziców albo zmienić ich w wampiry. Z zemsty. Widzicie, ten chłopiec był więźniem wampira, ale zdołał uciec i zabić jego współnika, półczłowieka imieniem Straker.

Roland pokiwiał głową, myśląc, że chłopiec coraz bardziej przypomina mu Jake'a.

— Jak nazywał się ten chłopiec?

— Mark Petrie. Poszedłem z nim do jego domu, biorąc ze sobą wszystkie potężne atrybuty wiary, jakie w takich wypadkach zaleca mój Kościół: krzyż, stułę, święconą wodę i oczywiście Biblię. A jednak myślałem o nich jako o symbolach, co było moją piętą Achillesa. Barlow był tam. Dopadł rodziców Petriego. A potem chłopca. Podniosłem krzyż. Rozbłysnął. Zranił wampira. Ten wrzasnął. — Callahan uśmiechnął się na wspomnienie tego krzyku bóleści. Widząc to, Eddie zadrżał. — Powiedziałem mu, że jeśli skrzywdzi Marka, zniszczę go, i w tym momencie mogłem to zrobić. On też to wiedział. Odrzekł, że zanim zdążę tego dokonać, rozszarpie gardło chłopca. I mógł to uczynić.

— Patowa sytuacja — mruknął Eddie, przypominając sobie dzień nad Morzem Zachodnim, gdy w podobnej sytuacji stanął naprzeciw Rolanda. — Meksykański remis.

— I co się stało? — zapytała Susannah.

Uśmiech zgasł Callahanowi na ustach. Potarł poznaczoną bliznami dłoń w taki sam sposób, w jaki rewolwerowiec rozcierał sobie biodro — zupełnie bezwiednie.

— Wampir złożył mi propozycję. Puści chłopca, jeśli ja odłożę krucyfiks, który trzymałem. Zmierzymy się bez broni. Jego wiara przeciwko mojej. Zgodziłem się. Niech mi Bóg dopomoże, zgodziłem się. Ten chłopiec...

Ten chłopiec znikł jak mgła na wodzie. Barlow wydaje się rosnąć. Włosy, zaczesane do tyłu na europejską modłę, jakby unosiły się wokół jego czaszki. Ma na sobie czarny garnitur i jasnoczerwony krawat, nienagannie zawiązany. Callahanowi wydaje się częścią otaczającego go mroku. Rodzice Petriego leżą martwi u jego stóp, z roztrzaskanymi czaszkami.

— Dotrzymaj umowy, szamanie.

Dlaczego miałby to zrobić? Dlaczego nie przepędzić go, nie rozstrzygnąć wszystkiego tej nocy? Albo położyć go trupem? Coś jest nie tak z tym pomysłem, coś nie tak, ale nie możesz zrozumieć co. I słowa-wytrychy, które dotychczas zawsze pomagały mu w kryzysowych sytuacjach, również nie pomagają. To nie jest apatia, brak zrozumienia czy egzystencjalny smutek dwudziestego wieku. To wampir. A...

A jego krzyż, który płonął tak jasno, zaczyna przygasać. Strach ściska mu trzewia wiązką rozżarzonych drutów. Barlow idzie ku niemu przez kuchnię Petrich i Callahan wyraźnie widzi jego kły, gdyż Barlow się uśmiecha. To uśmiech zwycięzcy.

Callahan cofa się o krok. Potem dwa. Jego pośladki uderzają o krawędź stołu, który przesuwają się do ściany i potem nie ma się już gdzie cofnąć.

— Przykro patrzeć, jak człowiek traci wiarę — mówi Barlow i wyciąga rękę.

A dlaczego miałby nie wyciągać? Krzyż, który trzyma Callahan, teraz już zgasł. Teraz to tylko kawałek gipsu, tani gadżet, który jego matka kupiła w dublińskim sklepie z pamiątkami, zapewne po obniżonej cenie. Moc, którą przekazywał jego ramieniu, duchowe napięcie tak potężne, że mogło walić mury i rozbijać głowy, znikła.

Barlow wytuskuje mu go z palców. Callahan krzyczy żalostnie... jak dziecko, które nagle uświadamia sobie, że potwór naprawdę istnieje i przez cały czas czai się w szafie, czekając na okazję. Potem słyszy dźwięk, który będzie prześladował go do końca życia, od Nowego Jorku i amerykańskich autostrad, przez spotkania Anonimowych Alkoholików w Topece, gdzie wreszcie wytrzeźwiał, aż po ostatni przystanek w Detroit i tutaj,

w *Calla Bryn Sturgis*. Będzie pamiętał ten dźwięk, gdy czuje ból ranionego czoła i spodziewa się, że zaraz umrze. Będzie pamiętał ten dźwięk, umierając. Ten dźwięk to dwa suche trzaski, kiedy Barlow łamie ramiona krzyża, i głuchy łoskot, kiedy niedbale rzuca resztki na podłogę. Będzie również pamiętał kosmicznie niewiarygodną myśl, która przeleciała mu przez głowę, gdy Barlow wyciągnął po niego szpony: Boże, muszę się napić.

4

Pere spojrzął na Rolanda, Eddiego i Susannah oczami człowieka, który wspomina zdecydowanie najgorszą chwilę swego życia.

— U Anonimowych Alkoholików słyszy się różne powiedzonka i hasła. Zawsze przypomina mi się jedno z nich, kiedy myślę o tamtej nocy. O Barlowie chwytającym mnie za ramiona.

— Jakie? — zapytał Eddie.

— Uważaj, o co się modlisz — odparł Callahan. — Ponieważ twoje życzenie może się spełnić.

— Dostałeś tego drinka — domyślił się Roland.

— Och tak — potwierdził Callahan. — Dostałem tego drinka.

5

Dłonie Barlowa są silne. Z neodpartą siłą przyciągają Callahana, który nagle pojmuje, co go czeka. Nie śmierć. Ta, w porównaniu z tym, co miało go spotkać, byłaby dobrodziejstwem.

Nie, proszę nie, usiłuje powiedzieć, lecz z jego ust wydobywa się tylko słaby, płaczliwy jęk.

— Teraz, kapłanie — szepcze wampir.

Usta Callahana są przyciśnięte do cuchnącej skóry zimnego gardła wampira. To nie apatia, nieprzystosowanie społeczne, problem etyczny lub rasowy. To po prostu odór śmierci oraz

tętnicy, otwartej i pulsującej zakażoną krwią martwego Barlowa. To nie poczucie egzystencjalnego zagubienia, postmodernistyczny żal po śmierci amerykańskiego systemu wartości ani nawet religijno-psychologiczne poczucie winy mieszkańca Zachodu. Lecz tylko próba jak najdłuższego wstrzymania oddechu, odwrócenia głowy. Daremna. Ma wrażenie, że upływają eony, kiedy rozsmarowuje krew na swych policzkach, czole i brodzie, niczym wojenną barwę. Na próżno. W końcu robi to, co musi zrobić każdy alkoholik, kiedy gorzała weźmie go za gardło: pije. Nokaut. Wypadasz z gry.

6

— Chłopiec uciekł. Przynajmniej tyle. A Barlow puścił mnie. Moja śmierć nie sprawiłaby mu żadnej przyjemności, no nie? Jasne, najzabawniej było pozwolić mi żyć. Przez godzinę lub dłużej błąkałem się po mieście, którego było tam coraz mniej. Wampiry pierwszej kategorii są nieliczne, na całe szczęście, gdyż potrafią wyrządzić ogromne szkody w stosunkowo krótkim czasie. Miasteczko było już w połowie zakażone, lecz ja okazałem się zbyt ślepy... zbyt wstrząśnięty... żeby to zrozumieć. I żaden z nowych wampirów nie zbliżał się do mnie. Barlow pozostawił na mnie swój znak równie wyraźny jak piętno, które Bóg odcisnął na Kainie, zanim odesłał go do krainy Nod. Byłem jego własnością. W zaułku obok apteki Spencera znajdowała się fontanna z wodą pitną, z rodzaju tych, które parę lat później zostały zlikwidowane przez Ministerstwo Zdrowia, lecz wówczas kilka było w każdym miasteczku. Zmyłem w niej krew Barlowa z twarzy i szyi. Próbowałem też zmyć ją z włosów. A potem poszedłem do St Andrews, mojego kościoła. Postanowiłem pomodlić się o drugą szansę. Nie do Boga teologów, którzy wierzą, że wszystko, co święte i grzeszne, pochodzi od nas, lecz do starego Boga. Tego, który oznajmił Mojżeszowi, że nie powinien żyć z czarownicą, i nadał swojemu synowi moc zmartwychwstania. Chciałem tylko drugiej szansy. Byłem gotowy oddać za nią życie. Zanim dotarłem do St Andrews, prawie biegłem. Do wnętrza wiodło troje drzwi. Skierowałem się do środkowych. Gdzieś strzeliła rura wydechowa i ktoś

280

parsknął śmiechem. Bardzo dobrze pamiętam te odgłosy. One są jakby znakiem granicznym mojego życia jako księdza Kościoła rzymskokatolickiego.

— I co się stało, złotko? — spytała Susannah.

— Drzwi nie wpuściły mnie — powiedział Callahan. — Miały żelazną klamkę i kiedy jej dotknąłem, wystrzeliła z niej błyskawica ognia. Zrzuciła mnie ze schodów na cementowy chodnik. Zostawiła mi to.

Uniósł pokiereszowaną prawą dłoń.

— I to? — zapytał Eddie, pokazując na czoło.

— Nie — odparł Callahan. — To stało się później. Podniosłem się z ziemi. Odszedłem. Znow znalazłem się przy aptece Spencera. Tylko że tym razem wszedłem do środka. Kupiłem bandaż. A potem, kiedy za niego płaciłem, zobaczyłem znak. Jedź Wielkim Szarym Psem.

— Ma na myśli Greyhounda, złotko — wyjaśniła Susannah Rolandowi. — To wielka firma przewozowa.

Roland kiwnął głową i zachęcająco zakręcił palcem w powietrzu.

— Panna Coogan powiedziała mi, że następny autobus jedzie do Nowego Jorku, więc kupiłem bilet. Gdyby powiedziała, że to kurs do Jacksonville, Nome czy Hot Burgoo w Dakocie Południowej, pojechałbym do jednej z tych miejscowości. Nie przejmowałem się tym, że śmierć lub los gorszy od śmierci czeka ludzi, którzy byli moimi przyjaciółmi lub parafianami. Chciałem tylko wydostać się z tego miejsca. Możecie to zrozumieć?

— Tak — odparł bez wahania Roland. — Bardzo dobrze.

Callahan spojrzał mu w oczy. To, co w nich zobaczył, najwyraźniej dodało mu otuchy. Podjął opowieść nieco spokojniejszym głosem.

— Loretta Coogan była starą panną. Widocznie przestraszyłem ją, bo powiedziała, żebym poczekał na zewnątrz. Wyszedłem z dworca. W końcu przyjechał autobus. Wsiadłem i podałem kierowcy mój bilet. Zabrał swoją połowę i oddał mi moją. Usiadłem. Autobus ruszył. Przejechaliśmy przez migające żółte światła na środku miasteczka, i to była pierwsza mila. Pierwsza mila drogi, która doprowadziła mnie tutaj. Później... chyba o czwartej trzydzieści, bo na zewnątrz było jeszcze ciemno... autobus zatrzymał się w...

— Hartford — mówi kierowca autobusu. — To Hartford, chłopie. Mamy tu dwudziestominutowy postój. Chcesz pójść i kupić sobie kanapkę albo coś innego?

Callahan obandażowaną ręką niezdarnie wyjmuje z kieszeni portfel i o mało go nie upuszcza. W ustach ma smak śmierci, obrzydliwy kwaśny posmak, jak zgnitego jabłka. Potrzebuje czegoś, żeby splukać ten smak, a jeśli nie splukać, to przynajmniej go zmienić, gdyby zaś nic nie zdołało go zmienić, to czegoś, co zdołałoby go jakoś zamaskować, tak jak kawałkiem taniej wykładziny zasłania się brzydką rysę na drewnianej podłodze.

Podaje kierowcy dwudziestkę.

— Może mi pan kupić butelkę?

— Panie, przepisy...

— I zatrzymać resztę, oczywiście. Wystarczy pół kwatkerki.

— Nie chcę, żeby ktoś rozrabiał w moim autobusie. Za dwie godziny będziemy w Nowym Jorku. Wtedy będzie pan sobie mógł kupić, co tylko pan zechce. — Kierowca autobusu próbuje się uśmiechnąć. — No wie pan, to Miasto Radości.

Callahan —już nie ojciec Callahan, błyskawica ognia tryskająca z klamki rozwiązała przynajmniej tę kwestię — dodaje do dwudziestki dziesiątkę. Teraz trzyma w ręku trzydzieści dolarów. Ponownie mówi kierowcy, że wystarczy mu pół kwatkerki i nie oczekuje reszty. Tym razem kierowca, który nie jest idiotą, bierze pieniądze.

— Tylko niech mi pan nie rozrabia —powtarza. — Nie chcę, żeby ktoś rozrabiał w moim autobusie.

Callahan kiwa głową. Żadnego rozrabiania, zasada numer jeden. Kierowca idzie do sklepu spożywczego, połączonego z monopolowym i barem szybkiej obsługi, który istnieje tu na obrzeżu Hartfordu, na skraju poranka, pod żółtymi sodowymi lampami. W Ameryce są zagubione autostrady, o których nikt nie wie. To miejsce znajduje się przy jednym ze zjazdów prowadzących do płataniny ciemnych dróg, i Callahan wyczuwa to. Poznaje po styropianowych kubkach i zgniecionych opakowaniach po papierosach, turlających się po asfalcie w podmuchach wiatru. Słyszy w szepcie neonu nad dystrybutorami paliwa, tym

głoszącym, że PO ZACHODZIE SŁOŃCA OPŁATA Z GÓRY. Widzi w nastolatku po drugiej stronie ulicy, siedzącym na progu domu o czwartej trzydzieści rano i obejmującym głowę rękami, w cichym eseju cierpienia. Te zagubione autostrady są tam blisko i szepczą do niego. „ Chodź, kolego, mówią. Tu możesz zapomnieć o wszystkim, możesz nawet zapomnieć imię, które nadali ci, kiedy byłeś jeszcze nagim, wrzeszczącym noworodkiem, umazanym krwią matki. Przywiązali ci to imię, jak psu puszkę do ogona, no nie? Tu nie musisz ciągnąć go za sobą. Chodź. Chodź tutaj”.

On jednak nigdzie nie idzie. Czeka na kierowcę autobusu, który wraca niebawem i przynosi kwaterkę old log cabin w brązowej papierowej torebce. Callahan doskonale zna ten trunek, który na tym zadupiu pewnie kosztuje dwa dolary i ćwiartkę, co oznacza, że kierowca właśnie dostał prawie dwudziestoośmioldolarowy napiwek. Nieźle. Przecież to amerykański styl życia, no nie? Dać dużo, żeby otrzymać niewiele. A jeśli log cabin splucze ten okropny smak w ustach — znacznie gorszy od pulsowania poparzonej dłoni — to będzie wart każdego wydanego centa. Do diabła, będzie wart nie trzydzieści, ale tysiąc dolców.

— Żadnego rozrabiania — mówi kierowca. — Jeśli zacznie pan rozrabiać, wysadzę pana na środku Cross Bronx Expressway. Klnę się na Boga.

Kiedy autobus wjeżdża do Port Authority, Don Callahan jest pijany. Lecz nie rozrabia, siedzi spokojnie, aż trzeba wysiąść i dołączyć do ludzkiej rzeki przepływającej o szóstej rano pod zimnym światłem jarzeniówek: ćpunów, taksówkarzy, pucybutów, dziewczynek obciążających za dziesiątaka, przebranych za dziewczynki chłopców obciążających za pięć dolców, gliniarzy machających pałkami, dilerów z tranzystorowymi radioodbiornikami, robotników wracających z New Jersey. Callahan dołącza do nich, pijany, ale spokojny. Wywijający pałkami gliniarze z nocnej zmiany nie zwracają na niego uwagi. Port Authority cuchnie papierosami, marychą i spalinami. Parkujące autobusy warczą. Wszyscy tu wydają się zagubieni. W zimnym świetle jarzeniówek wszyscy wyglądają na martwych.

Nie, myśli, przechodząc pod tablicą z napisem DO WYJŚCIA. Nie są martwi, skądże. Półżywi.

— Człowieku — powiedział Eddie. — Byłeś na wojnie, co? Pierwszej, drugiej i trzydziestoletniej.

Kiedy Stary Człowiek zaczął opowiadać, Eddie miał nadzieję, że szybko skończy i pójdą do kościoła obejrzeć to, co tam jest. Nie spodziewał się, że opowieść go poruszy, a już na pewno nie wstrząśnie, a jednak tak się stało. Callahan znał to, czego nikt poza Eddiem nie mógł znać: smutek styropianowych kubków toczących się po asfalcie, zardzewiałą beznadziejność tablicy nad dystrybutorami paliwa, wyraz ludzkich oczu na godzinę przed świtem.

A przede wszystkim to, że czasem po prostu musisz sobie gołnąć.

— Na wojnie? No, nie wiem — rzekł Callahan. Potem westchnął i kiwnął głową. — Cóż, chyba tak. Ten pierwszy dzień spędziłem w kinach, a pierwszą noc w Washington Square Park. Widziałem, że inni bezdomni przykrywali się gazetami, więc też tak zrobiłem. Oto przykład tego, jak moje życie... jego jakość i bieg... zmieniło się, poczynając od dnia pogrzebu Danny'ego Glicka. Jeszcze tego nie rozumiecie, ale zaraz wam wyjaśnię. — Spojrzał na Eddiego i uśmiechnął się. — 1 nie martw się, synu, nie zamierzam gadać cały dzień. Nie zajmie mi to nawet całego ranka.

— Ależ możesz opowiadać, jak długo sobie życzysz — rzekł Eddie.

Callahan parsknął śmiechem.

— Dzięki ci! Naprawdę, piękne dzięki! Chciałem wam powiedzieć, że nakryłem górną połowę ciała „Daily News”, w której nagłówek na pierwszej stronie głosił: BRACIA HITLER ATAKUJĄ NA QUEENSIE.

— O mój Boże. Bracia Hitler! — zawołał Eddie. — Pamiętam ich. Dwóch idiotów. Napadali... nie pamiętam kogo. Żydów? Czarnych?

— Jednych i drugich — rzekł Callahan. — I wycinali im swastyki na czołach. Nie zdążyli dokończyć mojej. Na szczęście, ponieważ nie zamierzali ograniczyć się do zwykłego pobicia. Poza tym to było dziesięć lat później, kiedy wróciłem do Nowego Jorku.

— Swastyka — odezwał się Roland. — Ten symbol na samolocie, który znaleźliśmy w pobliżu River Crossing? Z trupem Davida Quicka?

— Uhm — przytaknął Eddie i czubkiem buta nakreślił swastykę na trawie. Żdźbła natychmiast się wyprostowały, ale Roland zdążył dostrzec, że owszem, znak na czole Callahana mógł być taki sam. Gdyby został dokończony.

— Tamtego dnia pod koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku — ciągnął Callahan — Bracia Hitler byli tylko nagłówkiem w gazecie, pod którą spałem. Spędziłem większość tego drugiego dnia w Nowym Jorku, spacerując i walcząc z pokusą kupienia butelki. Jakaś część mojego umysłu chciała walczyć, a nie pić. Odpokutować. A jednocześnie czułem krew Barlowa trawiącą moje ciało, wżerającą się coraz głębiej. Świat miał inny zapach, wcale nie lepszy. Wszystko wyglądało inaczej i też nie lepiej. A smak jego krwi wciąż czułem na języku, przypominający śniętą rybę lub skwaśniałe wino. Nie miałem nadziei na zbawienie. Nawet o nim nie myślałem. Lecz w pokucie nie chodzi o zbawienie. Nie o niebo. Chodzi o oczyszczenie sumienia tutaj, na ziemi. I nie możesz tego dokonać po pijanemu. Nawet wtedy nie uważałem się za alkoholika, ale zastanawiałem się, czy zmienił mnie w wampira. Czy słońce zacznie palić moją skórę, a ja zacznę przyglądać się kobiecym szyjom. — Wzruszył ramionami i zachichotał. — Albo męskim. Wiecie, co mówią o księżach: jesteśmy bandą dziwaków biegających i wymachujących krzyżami.

— Nie byłeś wampirem — powiedział Eddie.

— Nawet trzeciej kategorii. Byłem tylko nieczysty. Zepchnięty poza nawias. Odrzucony. Wciąż czułem jego smród i widziałem świat takim, jakim zapewne oglądają go takie stwory jak on... w odcieniach szarości i czerwieni. Czerwień była jedynym jasnym kolorem, jaki widziałem przez całe lata. Wszystkie inne były zaledwie cieniami barw. Chyba szukałem biura ManPower. No wiecie, pośrednictwa pracy. W tamtych czasach byłem jeszcze dość krzepki i oczywiście znacznie młodszy. Nie znalazłem ManPower. Natomiast znalazłem miejsce zwane Domem. Stał przy skrzyżowaniu Pierwszej Alei z Czterdziątą Siódmą Ulicą, niedaleko ONZ.

Roland, Eddie i Susannah spojrzeli po sobie. Czymkolwiek

był ten Dom, znajdował się tylko dwie przecznice od opuszczonej parceli. *Która wtedy nie była opuszczona*, pomyślał Eddie. *Nie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku. Wtedy wciąż stały na niej Artystyczne Delikatesy Toma i Jerry'ego, nasza specjalność to zestawy na przyjęcia.* Nagle pożałował, że nie ma tu Jake'a. Eddie pomyślał, że chłopak podskakiwałby teraz z podniecenia.

— Co to był za sklep, ten Dom? — zapytał Roland.

— Żaden sklep. Schronisko. Dla bezdomnych. Nie mam pewności, czy było jedynym na Manhattanie, ale założę się, że jednym z nielicznych. Wtedy niewiele wiedziałem o schroniskach... tylko trochę z mojej pierwszej parafii... ale z czasem dużo się o nich dowiedziałem. Poznałem system z obu stron. Raz byłem facetem, który nalewał zupę i rozdawał koce o szóstej wieczorem, a raz tym, który zjadał tę zupę i spał pod kocami. Po sprawdzeniu, czy nie mam wszy. Do niektórych schronisk nie wpuszczą cię, jeśli poczują od ciebie gorzałę. Do innych wpuszczą, jeśli powiesz, że od ostatniego drinka minęły co najmniej dwie godziny. W jeszcze innych... nielicznych... wpuszczą cię nawet zalanego w trupa, jeżeli pozwolisz, by zrewidowali cię w drzwiach i zabrali zapasy gorzały. Potem umieszczają cię w zamkniętym pomieszczeniu, razem z innymi takimi wyrzutkami jak ty. Nie możesz zmienić zdania i wyjść stamtąd na kolejnego drinka i nie wystraszysz mniej urąbanych od ciebie, jeśli dostaniesz delirium tremens i zaczniesz widzieć robactwo wylazące ze ścian. Nie wpuszczają tam kobiet, gdyż łatwo mogłyby zostać zgwałcone. To między innymi dlatego na ulicach umiera więcej bezdomnych kobiet niż mężczyzn. Tak twierdził Lupe.

— Lupe? — spytał Eddie.

— Dojdę do niego. Na razie wystarczy, jeśli powiem, że to on był architektem alkoholowej polityki Domu. Tam trzymali pod kluczem gorzałę, a nie pijaków. Mogłeś dostać kielicha, jeśli go potrzebowałeś i obiecałeś być cicho. Kielicha i środek uspokajający. Nie jest to zalecana procedura medyczna. Nie wiem nawet, czy była legalna, gdyż ani Lupe, ani Rowan Magruder nie byli lekarzami... ale wydawała się skuteczna. Trafiłem tam trzeźwy w gorący wieczór i Lupe wzięła mnie do galopu. Przez kilka pierwszych dni pracowałem za darmo,

a potem Rowan poprosił mnie do swojego biura, które było mniej więcej wielkości schowka na szczotki. Zapytał, czy jestem alkoholikiem. Zaprzeczyłem. Spytał, czy poszukuje mnie policja. Powiedziałem, że nie. Zapytał, czy uciekam przed czymś. Odparłem, że tak, przed sobą. Spytał, czy chcę pracować, a ja zacząłem płakać. Uznał to za potwierdzenie. Dziewięć następnym miesiący... do czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku... przepracowałem w Domu. Ścieliłem łóżka, gotowałem w kuchni, chodziłem zbierać fundusze z Lupe'em, a czasem z Rowanem, furgonetką Domu woziłem pijaków na zebrania Anonimowych Alkoholików, podawałem kieliszki wódki facetom, którzy dygotali tak, że sami nie mogli ich utrzymać. Przejąłem księgowość, ponieważ robiłem to lepiej niż Magruder i Lupe, czy którykolwiek z pozostałych pracujących tam facetów. Nie były to najszczęśliwsze dni w moim życiu, wcale tak nie twierdzę, i przez cały czas czułem w ustach smak krwi Barlowa, lecz były to dni łaski. Nie myślałem zbyt wiele. Z pokornie pochyloną głową robiłem to, o co mnie proszono. Zacząłem dochodzić do siebie. Pewnego zimowego dnia zrozumiałem, że się zmieniam. Tak jakbym miał jakiś szósty zmysł. Czasem słyszałem bicie dzwonów. Straszne, a jednocześnie cudowne. Czasami, gdy szedłem ulicą, wszystko wokół ciemniało, chociaż słońce wciąż świeciło jasno. Pamiętam, że patrzyłem pod nogi, sprawdzając, czy mój cień wciąż tam jest. Byłem pewien, że go nie będzie, ale zawsze był. Towarzysze Rolanda wymienili spojrzenia.

— Tym przywidzeniom towarzyszyły wrażenia wężowe. Czułem kwaśny odór, jakby smażonej cebuli i rozgrzanego metalu. Zacząłem podejrzewać, że to rodzaj epilepsji.

— Byłeś u lekarza? — zapytała Susannah.

— Nie. Bałem się tego, co może stwierdzić. Najbardziej prawdopodobny wydawał się nowotwór mózgu. Pokornie pochylałem głowę i pracowałem. A potem pewnej nocy poszedłem do kina przy Times Square. Na dwa westerny z Clintem Eastwoodem. Zdaje się, że nazywali je spaghetti westernami?

— Taak — potwierdził Eddie.

— Usłyszałem dzwony. Bicie dzwonów. Odór przybrał na sile, stał się silniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Rozchodził się skądś przede mną, nieco na lewo. Spojrzałem tam i zoba-

czyłem dwóch mężczyzn, starego i młodego. Łatwo było ich dostrzec, ponieważ kino było prawie puste. Młodszy nachylił się do starszego. Ten ani na chwilę nie oderwał oczu od ekranu, ale objął ramieniem młodszego. Gdybym ujrzał to w innej noc, doskonale wiedziałbym, co się dzieje, ale nie w tę. Obserwowałem ich. I zacząłem dostrzegać ciemnoniebieskie światło, z początku tylko wokół młodszego, a potem wokół ich obu. Nie przypominało żadnego światła, jakie widziałem w życiu. Było jak ciemność, którą czasem wyczuwałem na ulicy, gdy w mojej głowie zaczynały bić dzwony. Jak ten odór. Wiedziałaś, że tego tam nie ma, a jednak było. I rozumiałem. Nie zaakceptowałem... to przyszło dopiero później... ale rozumiałem. Ten młodszy był wampirem. — Zamilkł, zastanawiając się, jak to opowiedzieć. Jak przekazać. — Sądzę, że w naszym świecie występują co najmniej trzy rodzaje wampirów. Pierwszej, drugiej i trzeciej kategorii. Wampiry pierwszej kategorii są rzadkością. Barlow był takim. Są długowieczne i mogą przebywać wiele czasu... pięćdziesiąt, sto, a może nawet dwieście lat... w stanie hibernacji. Gdy są aktywne, mogą tworzyć nowe wampiry, które nazywamy zombi. Te należą do drugiej kategorii. One również mogą produkować nowe wampiry, ale nie są tak sprytnie. — Spojrzał na Eddiego i Susannah. — Widzieliście *Noc żywych trupów*

Susannah zaprzeczyła, Eddie kiwnął głową. — Wampirami w tym filmie były zombi kompletnie bezmyślne. Wampiry drugiej kategorii są trochę inteligentniejsze, ale niewiele. Nie mogą wychodzić na słońce. Jeśli spróbują, zostają oślepione, ciężko poparzone lub giną. Chociaż nie mam co do tego pewności, sądzą, że żyją dość krótko. Nie dlatego że przemiana z żywego człowieka w wampira-zombi skraca życie, lecz dlatego że grożą im liczne niebezpieczeństwa. Wampiry drugiej kategorii przeważnie... co także podejrzewam, lecz nie mogę udowodnić... tworzą inne wampiry drugiej kategorii i na stosunkowo niewielkim obszarze. W tej fazie choroby... gdyż to jest choroba... wampir pierwszej kategorii, król wampirów, zwykle zdążył już się stamtąd wynieść. W Salem udało im się zabić sukinsyna, jednego z tuzina istniejących na całym świecie. W innych wypadkach wampiry drugiej kategorii mogą dać początek wampirom trzeciej kategorii. Te są jak moskity. Nie

mogą tworzyć nowych wampirów, ale mogą się posilać. I robią to. Bez końca.

— Czy dostają AIDS? — zapytał Eddie. — No, chyba wiesz co to takiego?

— Wiem, chociaż nie słyszałem tego określenia do wiosny tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, gdy pracowałem w schronisku Lighthouse w Detroit i mój czas w Ameryce dobiegał końca. Oczywiście od prawie dziesięciu lat wiedzieliśmy, że coś takiego jest. W literaturze naukowej nazywano to GRID (Gay-Related Immune Deficiency). W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku w gazetach zaczęły pojawiać się artykuły o nowej chorobie zwanej „rakiem gejów” i spekulacje na temat możliwości zarażenia się nią. Na ulicy nazywano ją „wrzodzianką”, od owrzodzeń, jakie powodowała. Nie sądzę, żeby była śmiertelna, a nawet dokuczliwa dla wampirów. Mogą jednak ją przenosić. I robią to. O tak. Mam powody, żeby tak sądzić. — Callahan zadrżał, ale zaraz się opanował.

— Kiedy ten wampir-demon zmusił cię do wypicia jego krwi, obdarzył cię zdolnością dostrzegania tych stworów — domyślił się Roland.

— Tak.

— Wszystkich, czy tylko trzeciej kategorii? Tych ostatnich?

— Ostatnich — powtórzył Callahan, po czym prychnął niewesołym śmiechem. — Tak. To mi się podoba. W każdym razie widywałem tylko trzeciej kategorii, przynajmniej od kiedy opuściłem Salem. Oczywiście wampiry pierwszej kategorii, takie jak Barlow, są bardzo rzadkie, a drugiej kategorii krótko żyją. Gubi je ich apetyt. Są zawsze głodne. Jednakże wampiry trzeciej kategorii mogą wychodzić na słońce. A ich głównym pożywieniem jest pokarm, jaki my spożywamy.

— I co zrobiłeś tamtej nocy? — zapytała Susannah. — W kinie?

— Nic — odparł Callahan. — Podczas całego mojego pobytu w Nowym Jorku... pierwszego pobytu... nic nie zrobiłem aż do kwietnia. No wiecie, nie byłem pewien. Chodzi mi o to, że w głębi duszy miałem pewność, ale mój umysł nie chciał przyjąć tego do wiadomości. I przez cały czas powstrzymywała mnie najprostsza ze wszystkich przeszkoda: byłem alkoholikiem na

wyku. Alkoholik też jest wampirem, a ten we mnie był coraz rdziej spragniony, chociaż ze wszystkich sił starałem się o tym ; myśleć. Dlatego powiedziałem sobie, że widziałem parę moseksualistów obmacujących się w kinie, nic więcej. A co reszty... dzwonów, odoru, ciemnoblękitnego światła wokół odszego z dwóch mężczyzn... wmówiłem w siebie, że to ilepsja albo rezultat tego, co zrobił mi Barlow, albo jedno irugie. Oczywiście co do Barlowa miałem rację. Miałem sobie jego krew. To pozwalało mi je widzieć.

— To było coś więcej — rzekł Roland. Callahan spojrział na niego.

— Wpadłeś w trans, Pere. Coś wzywało cię do tego świata, •dejrżewam, że ta rzecz w kościele, chociaż wtedy jeszcze nie ajdowała się w twoim kościółku.

— Nie — powiedział Callahan. Z szacunkiem popatrzył na jlanda. — Nie było jej tam. Skąd wiesz? Powiedz mi, proszę. Roland zignorował prośbę.

— Mów dalej — zażądał. — Co przydarzyło ci się potem?

— Potem był Lupę — odparł Callahan.

9

Nazywał się Delgado.

Roland doskonale ukrył zdziwienie, lecz Eddie i Susannah lali go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, co oznacza to lekkie liesienie brwi. Jednocześnie zaczęli się już prawie przyzwysajać do tych zbiegów okoliczności, które wcale nie były rzypadkowe, oswajając z uczuciem, że każde jest tyknięciem •warzyszającym ruchom ogromnej wskazówki zegara.

Lupę Delgado był trzydziestodwuletnim alkoholikiem, który d prawie pięciu lat nie pił i od tysiąc dziewięćset siedemziesiątego czwartego roku pracował w Domu. To Magruder iłożył placówkę, ale Lupę Delgado ożywił ją i nadał jej rawdziwy sens. W dzień Lupę był członkiem ekipy kon;rwatorskiej w hotelu Plaża przy Piątej Alei. Nocami pracował w schronisku. Pomógł opracować sposób postępowania pijakami i był pierwszą osobą, która powitała Callahana i Domu.

— Za pierwszym razem byłem w Nowym Jorku trochę ponad rok — wyjaśnił Callahan — ale w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego... — Zamilkł, usiłując wyrzucić z siebie to, co wszyscy troje wyczytali z jego twarzy, zaczerwienionej oprócz miejsca, gdzie znajdowała się blizna, która w porównaniu ze skórą wydawała się nieziemsko biała. — No dobrze, dobrze, pewnie można by powiedzieć, że w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku zakochałem się w nim. Czy to czyni mnie pedalem? Gejem? Nie wiem. Powiadają, że każdy nim jest. Niektórzy z całą pewnością. A czemu nie? Mniej więcej co miesiąc pojawia się w gazetach kolejna historia o księżulku, który lubił wsadzać rękę pod komże ministrantów. Co do mnie, nie miałem powodu uważać się za geja. Bóg wie, że nie byłem obojętny na widok ładnych kobiecych nóg, jako kapłan czy nie, więc nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby molestować ministrantów. I między Lupc'em a mną nigdy nie doszło do jakichkolwiek kontaktów fizycznych. Mimo to kochałem go, i nie mówię jedynie o jego umyśle, oddaniu i poświęceniu dla Domu. I nie tylko dlatego, że postanowił pomagać ubogim jak Chrystus. To był pociąg fizyczny. — Callahan zamilkł i po chwili wewnętrznych zmaganiach wypalił: — Boże, on by piękny! *Piękny!*

— I co się z nim stało? — zapytał Roland.

— Przyszedł pewnego śnieżnego wieczoru pod koniec marca. Schronisko było pełne, a pensjonariusze niespokojni. Już zdążyli stoczyć jedną bójkę, po której właśnie sprzątaliśmy. Jakiś gość dostał ataku delirium tremens i Rowan Magruder siedział z nim na zapleczu, pojąc kawę z whiskey. Jak już chyba mówiłem, w Domu nie mieliśmy izolatek. Była pora kolacji, nawet pół godziny po niej, a trzech wolontariuszy nie przyszło z powodu pogody. Radio było włączone i dwie kobiety tańczyły przy muzyce. „Pora karmienia w zoo”, zwyczaj mówić Lupe. Zdejmowałem płaszcz, zmierzając do kuchni... dopadł mnie jeden z gości, niejaki Frank Spinelli... Chciał wiedzieć, kiedy napiszę mu obiecany list polecający... i kobieta, Lisa jakaś tam, która chciała pomocy przy kolejnym stadium leczenia AA. „Sporządziłam listę tych, których skrzywdziliśmy...”. Był młody chłopak, który szukał kogoś, kto napisze mu podanie o pracę, bo umiał trochę czytać, ale nie pisać... Coś zaczęło

palić się na piecyku... okropne zamieszanie. Lubiłem je. W jakiś dziwny sposób pomagało zapomnieć o wszystkim i przetrwać. Nagle jednak przystanąłem w pół kroku. Nie było dzwonów, a jeśli chodzi o zapachy, to unosił się jedynie odór wymiotów pijaka i woń gotującej się zupy... lecz to światło otaczało szyję Lupe'a jak kołnierz. I dostrzegłem na niej ślady. Malaria. Nie większe od ukłuć. Przystanąłem i chyba zachwiałem się, bo Lupę doskoczył do mnie. I wtedy poczułem słaby zapach cebuli i rozgrzanego metalu. Chyba na kilka sekund straciłem przytomność, gdyż nagle znaleźliśmy się obaj w kącie przy szafie, w której trzymaliśmy akta AA, i Lupę pytał mnie, kiedy ostatnio jadłem. Wiedział, że czasem zapomniałem o posiłkach. Zapach znikł. Ta błękitna poświata wokół jego szyi również. I te maleńkie ślady w miejscach, gdzie coś go ukłuło, także zniknęły. Jeśli wampir nie jest prawdziwym opojem, ślady szybko znikają. Wiedziałem jednak. Nie było sensu pytać go, z kim był, kiedy i gdzie. Wampiry, nawet trzeciej kategorii... może szczególnie trzeciej kategorii... mają swoje sposoby. Ślina pijawek zawiera enzym, który zmniejsza krzepliwość krwi, kiedy się pożywiają. Jednocześnie działa znieczulająco, więc jeśli nie zauważysz ataku, to nawet nie wiesz, co się dzieje. Ślina wampirów trzeciej kategorii chyba zawiera jakiś środek powodujący selektywną i krótkotrwałą amnezję. Jakoś go zagadałem. Powiedziałem mu, że przez moment zakręciło mi się w głowie, złożyłem to na karb nagłego przejścia z zimna do jasnego, hałaśliwego i ciepłego pomieszczenia. Przyjął to wyjaśnienie, ale powiedział, że powinienem zwolnić tempo. „Jesteś zbyt cenny, żebyśmy mogli cię stracić, Don”, oznajmił, a potem pocałował mnie. Tutaj. — Poparzoną prawą ręką Callahan dotknął policzka. — Chyba więc skłamałem, mówiąc, że nigdy nie doszło między nami do fizycznego kontaktu, co? Był przecież ten pocałunek, wciąż pamiętam, co wtedy poczułem. Nawet drapanie zarostu nad jego górną wargą... tutaj.

— Szczerze ci współczuję — odezwała się Susannah.

— Dziękuję ci, moja droga. Zastanawiam się, czy wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy? Jak cudownie jest usłyszeć kondolencje z ust osoby z mojego świata? To tak, jakby rozbitek dostał wieści z domu. Albo świeżą źródlaną wodę po latach picia wyłącznie butelkowanej.

Wyciągnął obie ręce, ujął w nie jej dłonie i uściśnął. Eddiemu ten uśmiech wydał się nieco wymuszony, a nawet nieszczerzy. Nagle nawiedziło go okropne przypuszczenie. A jeśli Pere Callahan właśnie poczuł zapach cebuli i rozgrzanego metalu? Jeśli dostrzegł błękitną poświatę, która nie otaczała niczym kołnierz szyi Susannah, lecz opasywała jej brzuch?

Eddie spojrzał na Rolanda, lecz z jego strony nie doczekał się pomocy. Twarz rewolwerowca nie zdradzała żadnych uczuć.

— Miał AIDS, prawda? — zapytał Eddie. — Jakiś gej będący wampirem trzeciej kategorii ugryzł twojego przyjaciela i zaraził go.

— Gej — powtórzył Callahan. — Chcesz mi powiedzieć, że to idiotyczne określenie naprawdę... — Zamilkł, kręcąc głową.

— Taak — potwierdził Eddie. — Drużyna Red Cox nie wygrała pucharu, a pedał to geje.

— Eddie! — skarciła go Susannah.

— Hej — rzekł Eddie — myślisz, że łatwo jest być tym, który ostatni opuścił Nowy Jork i zapomniał zgasić światło? Nie jest. I pozwól, że coś ci powiem. Sam czuję się coraz bardziej nie na czasie. — Znow zwrócił się do Callahana. — W każdym razie tak właśnie było, prawda?

— Tak sądzę. Musicie pamiętać, że wówczas sam niewiele wiedziałem, a tego, co wiedziałem, nie chciałem przyjąć do wiadomości. Z ogromnym zapałem, jak mawiał prezydent Kennedy. Pierwszego wampira trzeciej kategorii... pośledniej... zobaczyłem w kinie pod koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, tuż przed Nowym Rokiem. — Zaśmiał się. — Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że to kino nazywało się Gejsza. Czy to nie zdumiewające? — Zamilkł i popatrzył na ich twarze, szukając zdziwienia. — A jednak nie. Wcale was to nie dziwi.

— Przypadek pojechał na wakacje, kochasiu — powiedziała Susannah. — Teraz żyjemy w rzeczywistości przypominającej tę z powieści Dickensa.

— Nie rozumiem.

— Nie musisz, złociutki. No, dalej. Opowiadaj.

Stary Człowiek przez chwilę chwycił przerwany wątek, po czym podjął opowieść.

— Pierwszego wampira trzeciej kategorii zobaczyłem pod koniec grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Zanim trzy miesiące później zauważyłem błękitną poświata wokół szyi Lupe'a, widziałem pół tuzina innych. Tylko jednego z nich przy żerowaniu. Spotkałem go w zaułku East Village z innym gejem. On... wampir... stał w taki sposób. — Callahan wstał i zademonstrował to, wyciągając ręce, opierając dłonie o niewidzialną ścianę. — Ten drugi... ofiara... znajdował się między jego wyciągniętymi rękami, twarzą do niego. Jakby rozmawiali. Jakby się całowali. Lecz ja wiedziałem... dobrze wiedziałem... że to coś innego. Co do pozostałych... Widziałem dwóch w restauracji, obaj jedli. Ta poświata biła z ich rąk i twarzy, barwiła im usta niczym... niczym sok z elektrycznych jagód, a odór przypalonej cebuli unosił się wokół nich jak perfumy. — Callahan uśmiechnął się krzywo. — Widzę, że każdy mój opis zawiera jakieś porównanie. To dlatego, że nie tylko próbuję opisać, ale także zrozumieć. Wciąż usiłuję zrozumieć. Pojąć, jak to możliwe, że obok znanego mi świata zawsze istniał ten drugi, ukryty.

Roland ma rację, pomyślał Eddie. To trans. Nie może być inaczej. On o tym nie wie, lecz tak jest. Czy to czyni go jednym z nas? Częścią naszego ka-tet?

— Widziałem jednego w kolejce w banku Marinę Midland, w którym Dom miał konto — ciągnął Callahan. — W biały dzień. Ja stałem w kolejce do depozytów, a kobieta w kolejce do wypłat. Ta poświata otaczała ją. Zauważyła, że na nią patrzę, " i uśmiechnęła się. Śmiało spojrziała mi w oczy. Zachęcająco. — Po chwili dodał: — Seksownie.

— Poznawałeś je, ponieważ w twoich żyłach płynie krew wampira-demona — rzekł Roland. — A one ciebie?

— Nie — odparł bez namysłu Callahan. — Gdyby mogły mnie dojrzeć i rozpoznać, moje życie nie byłoby warte złamanego centa. Chociaż dowiedziały się o moim istnieniu. Lecz dopiero później. Chodzi o to, że ja je widziałem. Wiedziałem, że krążą po świecie. A kiedy zobaczyłem, co przydarzyło się Lupe'owi, wiedziałem, czyja to robota. One też to widzą. Wyczuwają. Zapewne też słyszą dzwony. Ich ofiary zostają naznaczone, a potem zlatują się do nich kolejne wampiry, jak ćmy do światła. Albo psy obsikujące ten sam słup telefoniczny.

Jestem pewien, że tamtego marcowego wieczoru Lupę został ugryziony po raz pierwszy, ponieważ wcześniej nigdy nie widziałem wokół niego poświaty... ani śladów na szyi, wyglądających jak dwa zacięcia przy goleniu. Potem jednak był kąsany wielokrotnie. Może miało to coś wspólnego z naszą pracą i kontaktem z alkoholikami. Może odrobina alkoholu we krwi działa na nie jak narkotyk. Kto wie? W każdym razie to z powodu Lupę'a zabiłem po raz pierwszy. I nie ostatni. Było to w kwietniu...

10

Jest kwiecień i powietrze w końcu zaczęło nieść zapach i zapowiedź wiosny. Callahan był w Domu od piątej, najpierw wypisując czeki pokrywające comiesięczne rachunki, a potem przygotowując swój specjał, który nazywa gulaszem z ropuch. Tak naprawdę jest to gulasz z wołowiny, lecz to malownicze porównanie bawi Callahana.

Pilnując kuchni, jednocześnie zmywał stalowe gary, ale nie z konieczności (jedną z niewielu rzeczy, których nie brakuje w Domu, są naczynia). Tego nauczyła go matka: zachowaj czystość w kuchni.

Niesie gar do tylnych drzwi; jedną ręką opiera go o biodro, drugą naciska klamkę. Wychodzi do zaułka, żeby wylać pomyje do studzienki ściekowej, lecz nagle staje jak wryty. Widzi coś, co już kiedyś widział w Village, lecz wówczas tamci dwaj mężczyźni — jeden stojący pod ścianą, a drugi przed nim, pochylający się i opierający dłonie o mur — byli zaledwie cieniami. Tych dwóch widzi wyraźnie w świetle padającym przez otwarte drzwi kuchni. Ten oparty plecami o ścianę, jakby spał z głową odchyloną na bok, odsłaniając szyję, to ktoś, kogo Callahan zna.

To Lupę.

Chociaż światło z otwartych drzwi oświetliło cały zaułek, a Callahan nie starał się zachowywać cicho — a nawet podśpiewywał sobie Take a Walk on the Wild Side Lou Reeda — ci dwaj nie zauważają go. Są jak urzeczeni. Stojący przed Lupę'em mężczyzna jest mniej więcej pięćdziesięcioletni, dobrze ubrany,

295

w garniturze i pod krawatem. Obok niego na bruku stoi droga walizeczka firmy Mark Cross. Mężczyzna ma głowę wysuniętą do przodu i przechyloną. Otwartymi ustami przywiera do szyi Lupe'a. Co tam jest? Tętnica szyjna? Callahan nie pamięta, ale to nie ma żadnego znaczenia. Tym razem nie biją dzwony, lecz odór jest tak silny, że wyciska mu łzy z oczu i drażni śluzówkę nosa. Obu mężczyzn naprzeciw niego otacza błękitna poświata i Callahan widzi jej rytmiczne pulsowanie. To ich oddechy. Ich oddechy poruszają to gówno wokół nich. A zatem to dzieje się naprawdę.

Do jego uszu dociera bardzo ciche cmoknięcie. Taki dźwięk można usłyszeć na filmie, kiedy jakaś para całuje się, robiąc to z prawdziwym zapalem.

Callahan nie zastanawia się. Odstawia gar z mętną, tłustą wodą. Garnek z głośnym brzękiem łąduje na betonie, lecz oparta o ścianę para nie zwraca na to uwagi, zajęta sobą. Callahan cofa się o dwa kroki. Na szajce leży tasak, którym rąbał wołowinę na gulasz. Ostrze lśni jak lustro. Widzi w nim odbicie swojej twarzy i myśli: Cóż, przynajmniej nie jestem jednym z nich, gdyż wciąż widzę moje odbicie. Potem zaciska dłoń na gumowej ręczce. Ponownie wchodzi w ciemną uliczkę. Przystępuje przez gar z pomyj ami. Powietrze jest ciepłe i wilgotne. Gdzieś kapie woda. Gdzieś radio ryczy Someone Saved My Life Tonight. Wilgoć w powietrzu tworzy aureolę wokół latarni na odległym końcu uliczki. Jest kwiecień w Nowym Jorku, a trzy jardy od Callahana... do niedawna kapłana Kościoła katolickiego... wampir wysysa krew ze swej ofiary. Z człowieka, którego Donald Callahan pokochał.

„Niemal wbiłaś we mnie szpony” — śpiewa Elton John, a Callahan rusza naprzód, podnosząc tasak. Opuszcza go, wbijając głęboko w czaszkę wampira. Rozcina ją na dwie połowy, jak jabłko. Wampir gwałtownie podrywa głowę, niczym drapieżnik, który właśnie usłyszał kroki większego i groźniejszego zwierzęcia. Po chwili lekko ugina kolana, jakby zamierzał podnieść walizeczkę, ale zaraz dochodzi do wniosku, że może się bez niej obyć. Odwraca się i powoli idzie w stronę wylotu alejki. W kierunku, z którego dobiega głos Eltona Johna, który teraz śpiewa o tym, że „ktoś ocalił, ktoś ocalił, ktoś dziś wieczorem ocalił mi życie”. Tasak wciąż sterczy z czaszki

wampira. Przy każdym kroku rączka kołysze się do przodu i do tyłu, jak sztywny ogonek. Callahan dostrzega trochę krwi, ale nie taką rzekę, jakiej oczekiwał. W tym momencie jest zbyt wstrząśnięty, żeby się nad tym zastanawiać, ale później dochodzi do wniosku, że te stworzenia mają w sobie bardzo mało krwi, i to coś, co utrzymuje je przy życiu, jest większą magią niż cud krwi. Ta zakrzepła w ich żyłach, jak żółtko ugotowanego na twardo jajka.

Wampir robi kolejny krok, po czym przystaje. Garbi się. Callahan traci z oczu jego głowę, gdy stwór opuszcza ją. A potem nagle jego puste ubranie powoli opada na mokrą nawierzchnię zaułka.

Jak we śnie, Callahan podchodzi do ubrania, żeby je obejrzeć. Lupę Delgado stoi pod ścianą, z odchyloną głową i zamkniętymi oczami, w dalszym ciągu pogrążony w wywołanym przez wampira śnie. Strużka krwi ścieka mu po szyi, cieniutka i ledwie widoczna.

Callahan spogląda na ubranie. Krawat jest zawiązany. Koszula wciąż tkwi w marynarce i spodniach. Wie, że gdyby rozpiął ich rozporek, znalazłby w nich bieliznę. Chwyta za jeden rękaw marynarki, głównie po to, żeby namacalnie potwierdzić to, co widzi, a wtedy z rękawa wypada zegarek wampira i z brzękiem łąduje obok sygnetu z herbem wyglądającym na uczelniany.

Na bruku leżą włosy. I zęby, niektóre z plombami. Po reszcie pana Walizeczki nie ma śladu.

Callahan podnosi ubranie. Elton John wciąż śpiewa *Someone Saved My Life Tonight*, ale może nie ma w tym nic dziwnego. To bardzo długa piosenka, chyba jedna z tych czterominutowych. Callahan zapina zegarek na swoim przegubie i wsuwa sobie sygnet na palec, żeby ich nie zgubić. Znosi ubranie do kuchni, mijając Lupę 'a. Ten wciąż jest pogrążony we śnie. Dziurki w jego szyi, niewiele większe niż po ukłuciach szpilką, już zdążyły się zasklepić.

Na szczęście w kuchni nie ma nikogo. Za nią, po lewej, znajdują się drzwi z napisem *MAGAZYN*. Dalej jest krótki korytarz ze schowkami po obu stronach. Te są zakończone drzwiami z gęstej i grubej siatki, mającej zniechęcić złodziei. Po jednej stronie są puszkę, po drugiej kartony. W następnych ubrania. W jednym schowku koszule. W drugim spodnie. W na-

stępnym suknie i spódnice. W kolejnym płaszczu. Na samym końcu korytarza stoi sfatygowana szafa z napisem RÓŻNE. Callahan bierze portfel wampira i chowa go do kieszeni, obok swojego. Dwa portfele tworzą spore wyrzuczenie. Potem otwiera szafę i wrzuca do niej ubranie wampira. Tak jest łatwiej, niż gdyby próbował je posegregować, chociaż wie, że będzie awantura, kiedy ktoś znajdzie w spodniach bieliznę. Dom nie przyjmuje używanej bielizny.

— Może zajmujemy się ludźmi z samego dna — powiedział kiedyś Callahanowi Rowan Magruder — ale mamy pewne zasady.

Do licha z tymi zasadami. Trzeba coś zrobić z włosami i zębami wampira. Jego zegarkiem, sygnetem, portfelem... O Boże, jeszcze z jego walizką i butami! One na pewno jeszcze tam są!

Nie waż się narzekać, mówi sobie. Przecież facet w dziewięćdziesięciu pięciu procentach znikł, po prostu rozwiął się w powietrzu jak potwór w końcówce horroru. Na razie Bóg miał cię w swej opiece — chyba Bóg — więc nie waż się narzekać.

I nie narzeka. Zbiera włosy i zęby, podnosi walizeczkę, po czym, rozchlapując kałuże, idzie na koniec alejki i przerzuca je przez płot. Po krótkim namyśle wyrzuca tam też zegarek, portfel i sygnet. Ten przez chwilę nie chce zejść mu z palca i Callahan o mało nie wpada w panikę, ale w końcu schodzi i z cichym brzęknięciem łąduje za płotem. Ktoś zaopiekuje się tym wszystkim. Przecież to Nowy Jork. Callahan wraca do Lupę 'a i spozstrzega buty. Są zbyt porządne, żeby je wyrzucać — myśli. Ktoś pochodzi w nich jeszcze długie lata. Podnosi je i wraca do kuchni, niosąc je w dwóch palcach lewej ręki. Stoi z nimi przy kuchence, gdy Lupę wychodzi z ciemnej alejki.

— Don? — odzywa się. Jego głos jest trochę niewyraźny, głos człowieka, który właśnie zbudził się z głębokiego snu. A także lekko rozbawiony. Wskazuje na buty, które Callahan trzyma w palcach. — Chcesz wrzucić je do gulaszu?

— Może miałby lepszy zapach, ale nie, niosę je do magazynu — mówi Callahan. Jest zaskoczony spokojnym tonem swojego głosu. I tętnem! Serce bije mu miarowo, sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt razy na minutę. — Ktoś zostawił je z tyłu. A co ty tam robieś?

Lupę obdarza go uśmiechem, a kiedy się uśmiecha, jest piękniejszy niż zwykle.

— Postąpiłem tam chwilkę i puściłem sobie dymka. Jest tak ładny wieczór, że nie chciało mi się wchodzić. Nie widziałeś mnie?

— Prawdę mówiąc, widziałem — odparł Callahan. — Wyglądałeś na pogrążonego w myślach, więc wolałem ci nie przeszkadzać. Otwórz mi drzwi do magazynu, dobrze?

Lupę otwiera drzwi.

— Wyglądają na całkiem niezłą parę — zauważa. — Bally'ego. Co za pomysł oddawać buty od Bally'ego pijakom?

— Pewnie komuś przestały się podobać — odpowiada Callahan.

Słyszysz dzwony, tę ich trującą słodycz, i zaciska zęby. Świat przez moment wydaje się migotać. Nie teraz, myśli Callahan. Och proszę, nie teraz.

To nie jest modlitwa, ostatnio rzadko się modli, ale może został usłyszany, gdyż bicie dzwonów cichnie. Świat zestala się. W sąsiednim pomieszczeniu ktoś głośno domaga się kolacji. Ktoś inny klnie. Dzień jak co dzień. Callahan potrzebuje drinka. To pragnienie też nie jest niczym nowym, tylko teraz jest silniejsze niż kiedykolwiek. Wciąż pamięta dotyk gumowej rączki tasaka. Jego ciężar. Dźwięk rozłupywanej czaszki. I ten posmak w ustach. Smak krwi Barłowa. To także. Co powiedział wampir w kuchni Petrich, kiedy połamał krucyfiks, który dała Callahanowi matka? „Przykro patrzeć, jak człowiek traci wiarę”.

Pójdę dziś wieczór na zebranie Anonimowych Alkoholików, postanawia, owijając buty od Bally 'ego gumową opaską i rzucając je między inne obuwie. Czasami te spotkania pomagają. Nigdy nie mówi: „Jestem Don i jestem alkoholikiem”, ale czasem mu pomagają.

Kiedy się odwraca, Lupę stoi tak blisko, że Callahan wydaje cichy okrzyk zaskoczenia.

— Spokojnie, chłopcze — mówi z uśmiechem Lupę.

Machinalnie drapie się po szyi. Te ślady wciąż na niej są, ale znikną do rana. Mimo to Callahan wie, że wampiry widzą je. Albo coś wyczuwają. Nie wiadomo co.

— Posłuchaj — mówi do Lupę 'a. — Myślałem o tym, żeby wyjechać z miasta na tydzień lub dwa. Rozerwać się trochę.

Może pojedziemy razem? Moglibyśmy wybrać się gdzieś na wieś. Łowić ryby.

— Odpada — mówi Lupę. — W hotelu mogę wziąć urlop dopiero w czerwcu, a i tu mamy mnóstwo roboty. Jeśli jednak chcesz jechać, załatwię to z Rowanem. Żaden problem. — Lupę przygląda mu się bacznie. — Widzi mi się, że przydałby ci się urlop. Wyglądasz na zmęczzonego. I podenerwowanego.

— Nie, tak tylko mówiłem — odpowiada Callahan. Nigdzie się nie wybiera. Jeśli zostanie, może uda mu się upilnować Lupę 'a. Poza tym właśnie dowiedział się czegoś. Można je zabić równie łatwo jak muchy na ścianie. I niewiele po nich zostaje. Jak po zastosowaniu wywabiacza do plam marki Vanish, reklamowanego w telewizji. Lupę 'owi nic się nie stanie. Wampy trzeciej kategorii, takie jak pan Walizeczka, najwidoczniej nie zabijają swych ofiar i nie przemieniają ich. Przynajmniej na to wygląda w tym krótkim czasie. Callahan będzie czuwał, tyle może zrobić. Pełnić straż. Będzie to skromny akt pokuty za Salem. Lupę 'owi nic się nie stanie.

11

— A jednak coś mu się stało — powiedział Roland. Starannie związał papierosa z resztek tytoniu w kapciuchu.

Papier był łamliwy, a tytoń składał się niemal wyłącznie z pyłu.

— Niestety — przyznał Callahan. — Stało się. Rolandzie, nie mogę ci służyć bibułką do papierosów, ale mam coś lepszego. W tym domu jest dobry tytoń z dalekiego południa. Ja nie palę, ale Rosalita czasem lubi wieczorem zakurzyć fajeczkę.

— Później skorzystam z tej propozycji, i dzięki ci — rzekł rewolwerowiec. — Nie brakuje mi tego tak jak kawy, ale prawie. Dokończ swoją opowieść. Niczego nie opuszczaj, bo sądzę, że powinniśmy usłyszeć ją całą, lecz...

— Wiem. Nie mamy czasu.

— Tak — przyznał Roland. — Nie mamy czasu.

— Zatem krótko mówiąc, mój przyjaciel został zarażony tą chorobą... Zdaje się, że nazwano ją AIDS?

Spojrzał na Eddiego, który skinął głową.

— No cóż — ciągnął Callahan. — To chyba równie dobra

nazwa jak każda, chociaż kojarzy mi się z jakimś dietetycznym ciasteczkiem. Być może wiecie, że ta choroba nie zawsze postępuje szybko, lecz jeśli chodzi o mojego przyjaciela, była jak pożar stodoły. W połowie maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku Lupę Delgado był bardzo chory. Zbladł. Często gorączkował. Czasem przez całą noc siedział w łazience i wymiotował. Rowan zakazałby mu wstępu do kuchni, ale nie musiał... Lupę sam sobie zabronił. A potem zaczęły pojawiać się narośle.

— Zdaje się, że nazywają je mięsakami Kaposiego — rzekł Eddie. — To choroba skóry. Deformacje.

Callahan kiwnął głową.

— Trzy tygodnie po tym, jak pojawiły się narośle, Lupę znalazł się w nowojorskim General Hospital. Rowan Magruder i ja pewnego wieczoru pod koniec czerwca poszliśmy go tam odwiedzić. Do tej pory mówiliśmy sobie, że jego stan się polepszy, że wyjdzie z tego, do licha, przecież jest młody i silny. Tamtego wieczoru jednak, gdy tylko stanęliśmy w drzwiach, zrozumieliśmy, że to już koniec. Leżał pod namiotem tlenowym. Był podłączony do kroplówki. Okropnie cierpiał. Nie chciał, żebyśmy do niego podchodzili. „To może być zaraźliwe”, powiedział. Prawdę mówiąc, nikt nie znał się na tej chorobie.

— Co czyniło ją jeszcze straszniejszą — wtrąciła Susannah.

— Tak. Mówił, że lekarze uważają, iż to choroba krwi roznoszona przez kontakty homoseksualne lub wspólne używanie igieł. Chciał, żebyśmy wiedzieli, i powtarzał nam to raz po raz, że nie brał i badania nie wykryły śladów żadnych narkotyków. „Nie brałem od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego — zapewniał. — Nawet nie wypaliłem skręta. Przysięgam na Boga”. Powiedzieliśmy, że wiemy o tym. Usiedliśmy po obu stronach jego łóżka i trzymaliśmy go za ręce. — Callahan głośno przełknął ślinę. — Nasze dłonie... Kazał nam je umyć przed wyjściem. Na wszelki wypadek. I podziękował nam za wizytę. Powiedział Rowanowi, że Dom był najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się w życiu. Że jeśli o niego chodzi, był to dla niego prawdziwy dom. Nigdy tak bardzo nie chciałem się napić jak tamtego wieczoru po wizycie w General Hospital. Trzymałem się jednak Rowana i razem minęliśmy wszystkie

napotkane bary. Tamtej nocy poszedłem spać trzeźwy, ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. To pierwszy kieliszek robi z ciebie pijanego, tak mawiają Anonimowi Alkoholicy, a mój drink już był gotowy. Gdzieś barman tylko czekał, aż przyjdę, żeby mi go nalać. Lupe umarł dwie noce później. Na pogrzebie było chyba ze trzysta osób, niemal wyłącznie ludzi, którzy jakiś czas spędzili w Domu. Popłynęło wiele łez i padło wiele cudownych słów... część z nich powiedzieli ci, którzy zapewne nie zdołaliby przejść prosto kilku kroków. Kiedy było po wszystkim, Rowan Magruder wziął mnie pod rękę i powiedział: „Nie wiem, kim byłeś, Don, ale wiem kim jesteś... piekielnie porządnym człowiekiem i piekielnie złym pijakiem, który nie pije od... Jak długo?”. Już chciałem wcisnąć mu kit, ale wymagałoby to zbyt dużego wysiłku. Od października ubiegłego roku.

— „Teraz potrzebujesz drinka — rzekł. — Masz to wypisane na twarzy. Dlatego powiem ci coś. Jeśli uważasz, że to przywróci życie Lupe'owi, masz moje pozwolenie. Nawet pójde razem z tobą do Blarneya Stone'a i najpierw przepijemy te pieniądze, które mam w portfelu. W porządku?”. W porządku, przytaknąłem. „Upijając się dzisiaj, zbeczczyłbyś pamięć Lupe'a. Jakbyś nasikał na jego grób”. Miał rację i wiedziałem o tym. Resztę dnia spędziłem tak, jak mój pierwszy dzień w Nowym Jorku: spacerując, walcząc z tym paskudnym posmakiem w ustach, zmagając się z chęcią kupienia butelki i osuszenia jej na ławce w parku. Pamiętam, że szedłem po Broadwayu, potem Dziesiątą Aleją, aż do Park Avenue i Trzynastej Ulicy. Zrobiło się ciemno i samochody jeździły z zapalonymi światłami. Całe niebo na zachodzie było pomarańczowe i różowe, a ulice wypełniły się cudownymi, skośnymi promieniami tego światła. Nagle ogarnął mnie głęboki spokój. „Wygram. Przynajmniej dzisiaj wieczorem, zwyciężę”. I wtedy zaczęły bić dzwony. Głośniejsze niż kiedykolwiek. Miałem wrażenie, że pęknie mi głowa. Aleja falowała w oczach i pomyślałem: *No, to wszystko jest nierealne. Nie ma Park Avenue i tego wszystkiego. To po prostu gigantyczna zmiana dekoracji. Nowy Jork to tylko pejzaż namalowany na płótnie, a za nim...? No cóż, nic. Po prostu nic. Tylko ciemność. Wtem wszystko znowu się uspokoiło. Dzwony zaczęły cichnąć... cichnąć... aż wreszcie*

umilkły. Ruszyłem powoli. Jak człowiek kroczący po cienkim lodzie. Bałem się, że jeśli zbyt energicznie postawię nogę, mogę wypaść z tego świata i runąć w kryjącą się za nim ciemność. Wiem, że to wydaje się bez sensu... do licha, wiedziałem o tym nawet wtedy... lecz taka świadomość nie zawsze pomaga. Prawda?

— Nie zawsze — rzekł Eddie, myśląc o tym, jak wachał heroinę z Henrym.

— Nie — powiedziała Susannah.

— Nie — przyznał Roland, myśląc o wzgórzu Jericho. Myśląc o upuszczonym rogu.

— Przeszedłem jedną przecznicę, potem drugą i trzecią. Zacząłem myśleć, że wszystko będzie dobrze. No wiecie... może czuję paskudny zapach i widuję wampiry trzeciej kategorii, ale potrafię sobie z tym poradzić. Szczególnie że wampiry trzeciej kategorii najwyraźniej mnie nie rozpoznawały. Patrzyłem na nie tak, jak ogląda się podejrzanych przez lustro weneckie w policyjnym pokoju przesłuchań. Lecz tamtej nocy zobaczyłem coś znacznie, znacznie gorszego niż stado wampirów.

— Ujrzałeś prawdziwego nieboszczyka — podpowiedziała Susannah.

Callahan spojrział na nią z niebotycznie zdumioną miną.

— Skąd... skąd to...

— Wiem, ponieważ w transie też przeniosłam się do Nowego Jorku — wyjaśniła Susannah. — Jak my wszyscy. Roland mówi, że te żywe trupy to ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy ze swojej śmierci albo nie przyjmują jej do wiadomości. To... jak ich nazywasz, Rolandzie?

— Zbłąkanymi zmarłymi — odparł rewolwerowiec. — Jest ich niewielu.

— Ja widziałem wielu takich — oświadczył Callahan — i oni wiedzieli o mojej obecności. Okaleczeni ludzie na Park Avenue: mężczyzna bez oczu, poparzona kobieta bez prawej ręki i nogi... oboje patrzyli na mnie, jakby sądzili, że w jakiś sposób mogę ich uzdrowić. Uciekłem. Musiałem przebiec spory kawał drogi, bo kiedy trochę ochłonałem, siedziałem na krawężniku na skrzyżowaniu Drugiej Alei z Dziewiętnastą Ulicą, miałem zwieszoną głowę i sapałem jak lokomotywa. Jakiś stary piernik

podszedł do mnie i zapytał, czy wszystko ze mną w porządku. Zdołałem złapać oddech i powiedzieć mu, że tak. Dodał, że w takim razie powinienem się ruszyć, ponieważ kilka przecznic dalej widzi policyjny radiowóz jadący w naszym kierunku. Na pewno mnie wylegitymują, a może i zgarną. Spojrzałem staremu w oczy i oznajmiłem: „Widziałem wampiry. Nawet zabiłem jednego. I widziałem żywe trupy. Myślisz, że boją się dwóch gliniarzy w radiowozie?”. Cofnął się. Powiedział, że bym trzymał się od niego z daleka. Powiedział, że wyglądałem pocziwie, dlatego chciał oddać mi przysługę. I oto, co z tego ma. „W Nowym Jorku nie ma dobrego uczynku bez kary”, stwierdził i gniewnie odmaszerował ulicą, jak nadąsane dziecko. Zacząłem się śmiać. Wstałem z krawężnika i spojrzałem na siebie. Koszula wyszła mi ze spodni, na których miałem plamę po zderzeniu z czymś... nie pamiętałem z czym. Rozejrzałem się wokół, a tam... na wszystkich świętych i grzeszników... był American Bar. Później dowiedziałem się, że w Nowym Jorku jest ich kilka, ale wtedy pomyślałem, że został przeniesiony prosto z lat czterdziestych. Wszedłem do środka, usiadłem na stołku przy końcu baru, a kiedy barman podszedł do mnie, powiedziałem: „Ma pan coś dla mnie”. „Naprawdę, kolego?”. „Tak”. „No cóż — rzekł — powiedz tylko co, a zaraz to dostaniesz”. „Bushmills, a ponieważ trzymasz ją od października, to może zwrócisz mi procent, nalewając podwójną”. Eddie skrzywił się.

— Kiepski pomysł, człowieku.

— Wtedy wydawał mi się najlepszym pomysłem, jaki kiedykolwiek zrodził się w mózgu śmiertelnika. Zapomnę o Lupie, przestanę widzieć żywe trupy, a może nawet wampiry... moskity, jak nazywałem je w myślach. Do ósmej wieczorem byłem pijany. Do dziewiątej bardzo pijany. O dziesiątej tak pijany, jak jeszcze nigdy w życiu. Niejasno pamiętam, że w końcu barman wyrzucił mnie na ulicę. Nieco lepiej to, że następnego ranka obudziłem się w parku, przykryty gazetami.

— Powrót do początku — mruknęła Susannah.

— Tak, powrót do początku. Prawdę mówisz, pani, dzięki ci. Usiadłem. Miałem wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. Opuściłem ją między kolana i kiedy nie eksplodowała, znów ją podniosłem. Jakieś sześć jardów ode mnie siedziała na ławce

starsza pani... po prostu staruszka w chustce na głowie, karniaca wiewiórki orzeszkami z papierowej torebki. Tylko że jej policzki i czoło spowijała ta niebieska poświata, przy każdym oddechu wpadająca do ust i wydobywająca się z nich. Była moskitem. Żywe trupy znikły, ale wciąż widziałem wampiry trzeciej kategorii. Logicznym rozwiązaniem tego problemu było upić się ponownie, ale z tym był pewien kłopot: nie miałem pieniędzy. Najwidoczniej ktoś okradł mnie, kiedy spałem pod kocem z gazet, no i po balu. — Callahan uśmiechnął się bez cienia wesołości. — Tego dnia rzeczywiście odszukałem biuro pośrednictwa pracy. I nazajutrz, i następnego dnia. Potem upiłem się. Tamtego lata, lata rozładowywanych okrętów, weszło mi to w nawyk: trzy dni pracy na trzeźwo, zwykle popychając taczki na jakiejś budowie albo taszcząc skrzynie dla jakiejś firmy przeprowadzkowej, potem jedna noc pijaństwa i jeden dzień na wytrzeźwienie. I od nowa. Niedziele miałem wolne. Tak wyglądało moje życie w Nowym Jorku owego lata. I wydawało mi się, że wszędzie, gdzie pójdę, słyszę tę piosenkę Eltona Johna *Someone Saved My Life Tonight*. Nie mam pojęcia, czy była przebojem tamtego lata, czy nie. Wiem tylko, że słyszałem ją wszędzie. Kiedyś przepracowałem pięć dni pod rząd dla Covay Mowers. Nazywali się Braterską Firmą. Te pięć dni były w lipcu moim rekordem trzeźwości. Piątego dnia przyszedł do mnie kierownik i zapytał, czy chciałbym zatrudnić się na cały etat. „Nie mogę — powiedziałem. — Umowa z biurem pośrednictwa zabrania mi podejmowania stałej pracy w ciągu pierwszego miesiąca”. „Ach, pieprzyć to — mówi mi. — Wszyscy to olewają. Co ty na to, Donnie? Jesteś porządny facet. I mam wrażenie, że stać cię na coś więcej niż tylko wrzucanie mebli na ciężarówkę. Zastanowisz się nad tym przez noc?”. Zastanowiłem się, a rozmyślając, znów się upiłem, jak zawsze tego lata. Bo z alkoholikami tak już jest. No nic, wróćmy do mnie, siedzącego w jakimś barze niedaleko Empire State Building i słuchającego Eltona Johna z szafy grającej. „Niemał wbiłaś we mnie szpony”. A kiedy wróciłem do pracy, zgłosiłem się do innego biura zatrudnienia, które nawet nie słyszało o pieprzonej Braterskiej Firmie. — Callahan zmełł w ustach słowo „pieprzonej”, jak to robią ludzie, którzy są zmuszeni uciec się do wulgaryzmów jako najdobitniejszego środka wyrazu.

— Piteś, włączyłeś się i pracowałeś — podsumował Roland. — A jednak tamtego lata robiłeś coś jeszcze, prawda?

— Tak. Potrwało chwilę, zanim się do tego zabrałem. Wiedziałem kilkoro z nich... ta kobieta karmiąca w parku wiewiórki była zaledwie pierwszą... ale nie robili nic złego. Chcę powiedzieć, że wiedziałem, kim są, lecz trudno było mi zabijać ich z zimną krwią. Potem, pewnej nocy w Bartery Park, zobaczyłem następnego pożywiającego się. Miałem w kieszeni składany nóż, z którym nigdy się nie rozstawałem. Zaszedłem pijącego krew wampira od tyłu i pchnąłem go cztery razy: w nerki, między żebra, w plecy i w kark. W to ostatnie pchnięcie włożyłem wszystkie siły. Nóż przeszedł na wylot, z jabłkiem Adama nadzianym na ostrze, niczym kawałek mięsa w szaszłyku. Towarzyszył temu nieprzyjemny chrzęst. — Callahan mówił to zupełnie beznamytnie, ale twarz mu pobladła. — Powtórzyło się to, co wydarzyło się w zaułku za Domem... facet znikł, zostawiając tylko ubranie. Spodziewałem się tego, lecz nie byłem pewien, dopóki nie zobaczyłem.

— Jedna jaskółka nie czyni wiosny — zauważyła Susannah. Callahan skinął głową.

— Ofiarą wampira był niespełna piętnastoletni chłopak, wyglądający na Portorykańczyka albo Haitańczyka. Obok niego stało duże radio tranzystorowe. Nie pamiętam, co grało, więc zapewne nie była to *Someone Saved My Life Tonight*. Minęło pięć minut. Już miałem pstryknąć mu palcami przed nosem albo poklepać po policzkach, gdy zamrugnął, zachwiał się, potrząsnął głową i ocknął. Zobaczył mnie stojącego przed nim i natychmiast złapał swoje radio. Przycisnął je do piersi, jak dziecko. Potem spytał: „Czego chcesz, facet?”. Powiedziałem, że nic... nic od niego nie chcę, nic mu nie zrobię i nie ma problemu, tylko zaciekawili mnie te ciuchy leżące obok niego. Chłopak spojrział, przyklęknął i zaczął przetrząsać kieszenie. Pomyślałem, że znajdzie w nich dość... a nawet więcej niż dość... żeby zająć się nimi przez jakiś czas, więc odszedłem. To był mój drugi. Z trzecim poszło łatwiej. Z czwartym jeszcze łatwiej. Pod koniec sierpnia miałem na rozkładzie pół tuzina. Szóstą ofiarą była kobieta, którą widziałem w banku Marinę Midland. Świat jest mały, no nie? Często chodziłem Pierwszą Aleją na róg Czerdziesiątej Szóstej i stawałem naprzeciw Domu.

Czasem zachodziłem tam późnym popołudniem, żeby obserwować pijaków i bezdomnych przychodzących na kolację. Czasem Rowan wychodził i rozmawiał z nimi. Nie palił, ale zawsze miał w kieszeniach papierosy, kilka paczek, i częstował wszystkich. Nigdy nie starałem się chować przed nim, ale jeśli nawet mnie zauważył, to nie dał tego po sobie poznać.

— Do tego czasu musiałeś się zmienić — powiedział Eddie. Callahan skinął głową.

— Miałem włosy do ramion i zacząłem siwieć. I brodę. Ponadto przestałem przejmować się moim ubiorem. Połowę rzeczy, które nosiłem, zabrałem zabitym wampirem. Jeden z nich był gońcem i miał parę doskonałych motocyklowych butów. Nie były to półbuty od Bally'ego, ale prawie nowe i mój rozmiar. Takie buty są niezniszczalne. Do tej pory je mam. — Ruchem głowy wskazał dom. — Nie sądzę jednak, żeby nie poznał mnie przez to. W takim interesie, jaki prowadził Rowan Magruder, zajmując się pijakami, ćpunami i bezdomnymi, ludźmi, którzy jedną nogą stoją w rzeczywistości, a drugą w Strefie Mroku, przyzwyczajasz się do tego, że oni wszyscy wciąż się zmieniają i zwykle nie na lepsze. Uczysz się rozpoznawać ludzi pod świeżymi sińcami i warstwami brudu. Sądzę, że raczej stałem się kimś w rodzaju zbląkanego zmarłego, Rolandzie. Niewidzialnym dla świata. Uważam jednak, że oni... ci byli ludzie... muszą być związani z Nowym Jorkiem...

— Nigdy nie odchodzą daleko — przytaknął Roland. Wypalił papierosa: sucha bibułka i okruchy tytoniu znikły z jego palców po dwóch zaciągnięciach. — Duchy zawsze nawiedzają swój były dom.

— Oczywiście, biedaczyska. A ja chciałem odejść. Słońce codziennie zachodziło odrobinę wcześniej, a ja co dzień silniej odczuwałem zew dróg, tych ukrytych autostrad. Być może po części była to znana podróżna gorączka, na którą niepostrzeżenie zapadłem. To zupełnie irracjonalne, lecz rozpowszechnione mniemanie, że gdzieś indziej wszystko zmieni się na lepsze i autodestrukcyjne tendencje nagle znikną. Niewątpliwie po części była to nadzieja, że w innym miejscu, nowym miejscu, nie będzie wampirów ani żywych trupów. Głównie jednak chodziło o coś innego. No cóż... miałem poważny powód. —

Callahan uśmiechnął się, ale był to tylko grymas odstaniający zęby. — Ktoś zaczął na mnie polować.

— Wampiry — domyślił się Eddie.

— T... tak... — Callahan przygryzł wargę, a potem powtórzył z nieco większym przekonaniem: — Tak. Lecz nie tylko wampiry. Chociaż takie wyjaśnienie wydawało się najbardziej prawdopodobne, niezupełnie tak było. Wiedziałem, że to nie umarli: ci widzieli mnie, ale nie przejmowali się moją obecnością, najwyżej mieli nadzieję, że w jakiś sposób zdołam im pomóc lub skrócić ich męki. Natomiast wampiry trzeciej kategorii nie mogły mnie rozpoznać, jak już wam mówiłem... a przynajmniej niejako ich prześladowcę. Ponadto one niczym nie są w stanie zajmować się długo, tak jakby do pewnego stopnia udzielała im się amnezja, którą wywołują u swoich ofiar. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że mam kłopoty, pewnej nocy przy Washington Square Park, niedługo po tym jak zabiłem kobietę z banku. Ten park stał się niemal moim domem, chociaż Bóg wie, że nie tylko dla mnie. W lecie była to regularna noclegownia pod gołym niebem. Miałem nawet moją ulubioną ławkę, chociaż nie spałem na niej każdej nocy... a nawet nie chodziłem tam co noc. Tamtego wieczoru... dusznego, parnego i burzowego... dotarłem do parku około ósmej. Miałem butelkę w torebce z brązowego papieru i książkę Ezry Pounda. Szedłem w kierunku mojej ławki, gdy na oparciu sąsiedniej zobaczyłem napis sprayem: PRZYCHODZI TUTAJ, MA OPARZENIA NA DŁONI.

— Och, dobry Boże — powiedziała Susannah i podniosła dłoń do ust.

— Natychmiast opuściłem park i spędziłem noc w bocznej uliczce dwadzieścia przecznic dalej. Nie miałem cienia wątpliwości, że ten napis dotyczył mnie. Dwie noce później zobaczyłem go na chodniku przed barem przy Lex, gdzie lubiłem popijać i czasem zjeść kanapkę, jeśli... jak mówią... miałem fundusze. Był nakreślony kredą i niemal zatarty stopami przechodniów, ale wciąż czytelny. Przekazywał tę samą wieść: PRZYCHODZI TUTAJ, MA OPARZENIA NA DŁONI. Wokół napisu były komety i gwiazdy, jakby autor usiłował go ozdobić. Przecznicę dalej znalazłem napis sprayem na zakazie parkowania: MA TERAZ PRAWIE CAŁKIEM SIWE WŁOSY. A na-

stępnego ranka na boku miejskiego autobusu ujrzałem: BYĆ MOŻE NAZYWA SIĘ COLLINGWOOD. Dwa lub trzy dni później zacząłem napotykać ogłoszenia o poszukiwaniu zaginionego zwierzęcia w wielu miejscach, które często odwiedzałem: Needle Parku, w zachodnim Central Parku od strony The Ramble, przed barem City Lights przy Lex, w paru klubach muzycznych i literackich w Village.

— Ogłoszenie o zaginięciu zwierzęcia — głośno myślał Eddie. — No wiesz, to znakomity pomysł.

— Wszystkie były jednakowe — ciągnął Callahan. — CZY WIDZIAŁEŚ NASZEGO ZAGINIONEGO SETERA? TO GŁUPI STARY PIES, ALE KOCHAMY GO. MA OPARZONĄ PRAWĄ PRZEDNIĄ ŁAPĘ. REAGUJE NA IMIĘ KELLY, COLLINS LUB COLLINGWOOD. NA ZNALAZCĘ, CZEKA DUŻA NAGRODA. A potem kilkakrotnie powtórzony symbol dolara.

— Do kogo były skierowane te plakaty? — spytała Sussannah.

Callahan wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Pewnie do wampirów.

Eddie ze znużeniem potarł twarz.

— W porządku, zastanówmy się. Mamy wampiry trzeciej kategorii... i zbłąkane trupy... a teraz jeszcze trzecią grupę. Tę, która rozlepiła lipne ogłoszenia o zaginionym zwierzęciu, a także wypisywała różności na budynkach i chodnikach. Co to za jedni?

— Twardziele — powiedział Callahan. — Czasem sami się tak nazywają, chociaż są wśród nich kobiety. Czasami nazywają się regulatorami. Wielu z nich nosi długie żółte płaszcze... ale nie wszyscy. Wielu ma wytatuowane na dłoniach niebieskie trumny... jednak też nie wszyscy.

— Łowcy Wielkiej Trumny, Rolandzie — mruknął Eddie. Roland skinął głową, lecz nie odrywał oczu od Callahana.

— Pozwól mu mówić, Eddie.

— W rzeczywistości ci ludzie są żołnierzami Karmazynowego Króla — rzekł Callahan.

I przeżegnał się.

;

Eddie drgnął. Susannah znów położyła dłoń na brzuchu i zaczęła go masować. Roland nagle przypomniał sobie spacer po Gage Parku, po tym jak ostatecznie uciekli Blaine'owi. Martwe zwierzęta w ogrodzie zoologicznym. Zapuszczone rosarium. Karuzelę i kolejkę dla dzieci. A potem metalową drogę wiodącą do jeszcze większej metalowej drogi, którą Eddie, Susannah i Jake nazywali płatną autostradą. Tam, na jednej z tablic, ktoś nabazgrał **STRZEŻ SIĘ WĘDRUJĄCEGO GOŚCIA**. A na innej, ozdobionej prymitywnym wizerunkiem oka, następującą wiadomość: **WYŚLAWIAJCIE KARAAAZYNOWEGO KRÓLA!**

— Widzę, że słyszeliście o tym dżentelmenie — zauważył sucho Callahan.

— Powiedzmy, że my też widzieliśmy ślady, jakie po sobie pozostawił — powiedziała Susannah.

Callahan skinął głową w kierunku Jądra Gromu.

— Jeśli wasza misja zaprowadzi was tam — oświadczył — zobaczycie o wiele więcej niż tylko kilka napisów nabazgranych sprayem na murach.

— A co z tobą? — spytał Eddie. — Co wtedy zrobisz?

— Najpierw usiadłem i rozważyłem sytuację. I doszedłem do wniosku, że chociaż postronnym może się to wydawać wymysłem lub przejawem paranoi, naprawdę jestem ścigany i niekoniecznie przez wampiry trzeciej kategorii. Aczkolwiek zdawałem sobie sprawę, że ci, którzy pozostawiali napisy na ścianach i rozlepiali ogłoszenia o zaginionym zwierzęciu, bez skrupułów wykorzystaliby wampiry przeciwko mnie. Pamiętam, że wówczas nie miałem pojęcia, kim mogą być członkowie tej tajemniczej grupy. W Salem Barlow wprowadził się do domu, w którym doszło do krwawych wydarzeń i był uważany za nawiedzony. Ten pisarz Mears twierdził, że zły dom przyciągnął złego człowieka. Zastanawiając się nad moją sytuacją w Nowym Jorku, wróciłem do tej koncepcji. Zaczęłem podejrzewać, że zwabiłem innego króla wampirów, innego wampira pierwszej kategorii, w taki sam sposób, jak Marsten House przyciągnął Barlowa. Czy było to prawdą, czy nie (okazało się, że nie), z ulgą stwierdziłem, że mój umysł... na trzeźwo i po pijaku...

jest zdolny do logicznego myślenia. Przede wszystkim musiałem podjąć decyzję, czy pozostać w Nowym Jorku, czy uciec. Wiedziałem, że jeśli nie ucieknę, dopadną mnie tu, i to raczej prędzej niż później. Mieli mój rysopis z niezwykle pomocnym znakiem charakterystycznym. — Callahan podniósł oparzoną rękę. — Niemal znali moje nazwisko, a z pewnością poznaliby je w ciągu tygodnia lub dwóch. Ustalili miejsca, w których regularnie bywałem i pozostawiałem swój ślad. Mogli znaleźć ludzi, z którymi rozmawiałem, przesiadywałem, grałem w warcaby i karty. Ludzi, z którymi pracowałem na kontraktach z jednego i drugiego biura pośrednictwa pracy. To rozumowanie doprowadziło mnie do wniosku, który powinienem wyciągnąć znacznie wcześniej, nawet po miesiącu picia na umór. Zrozumiałem, że znajdują Rowana Magruderę, Dom oraz rozmaitych ludzi, którzy mnie tam znali. Pracowników, wolontariuszy, dziesiątki klientów. Do diabła, po dziewięciu miesiącach pracy znają mnie tam setki klientów. A poza tym był jeszcze zew tych dróg. — Callahan spojrzął na Eddiego i Susannah. — Czy wiecie, że nad rzeką Hudson biegnie kładka dla pieszych, wiodąca do New Jersey? Praktycznie znajduje się w cieniu GWB *, drewniany mostek, na którym po jednej stronie do tej pory jest kilka poidel dla koni i krów.

Eddie zaśmiał się jak człowiek, który nagle uświadomił sobie, że jeden z jego podwładnych opowiada kompletne bzdury.

— Przykro mi, ojczy, ale to niemożliwe. Przechodziłem po moście George'a Washingtona chyba z pięćset razy. Henry i ja zawsze chodziliśmy tamtędy do Palisades Parku. Nie ma tam żadnego drewnianego mostu.

— A jednak jest — odparł spokojnie Callahan. — Powiedziałbym, że pochodzi z początku dziewiętnastego wieku, choć od tego czasu był kilkakrotnie naprawiany. W rzeczy samej, w połowie jego długości znajduje się tablica z napisem: REMONT Z OKAZJI DWÓCHSETLECIA WYKONAŁA W 1975 FIRMA LAMERK INDUSTRIES. Przypomniałem sobie tę nazwę, jak tylko zobaczyłem robota Andy'ego. Plakietka na jego piersi głosi, że skonstruowała go ta sama firma.

* George Washington Bridge, most Jerzego Waszyngtona.

— My również widzieliśmy już tę nazwę — dodał Eddie. — W mieście Lud. Tylko wtedy brzmiała: Odlewnia LaMerk.

— Zapewne różne filie tej samej firmy — podsunęła Susanah.

Roland nic nie powiedział, tylko niecierpliwie zakręcił dwoma palcami okaleczonej prawej ręki... szybciej, szybciej.

— Ten mostek tam jest, tylko trudno go dostrzec — rzekł Callahan. — Jest ukryty. I to zaledwie pierwsze z sekretnych przejść. One rozchodzą się z Nowego Jorku niczym nici pajęczce.

— Autostrady transu — mruknął Eddie. — Ciekawa koncepcja.

— Nie wiem, czy słuszna, czy nie — ciągnął Callahan. — Wiem tylko, że w ciągu kilku następnych lat wędrówek widziałem nadzwyczajne rzeczy, a także spotkałem wielu dobrych ludzi. Wydaje się niemal zniewagą nazywanie ich zwykłymi lub zwyczajnymi ludźmi, lecz właśnie takimi byli. I z całą pewnością nadają nowego znaczenia takim słowom jak *zwykły* i *zwyczajny*. Nie chciałem opuszczać Nowego Jorku bez pożegnania z Rowanem Magruderem. Zależało mi, żeby wiedział, iż może nasikałem na grób Lupe'a... bo rzeczywiście się upiłem... ale nie spuściłem spodni i nie zrobiłem nic więcej. W ten niezdarny sposób usiłowałem powiedzieć, że nie poddałem się całkowicie. Że postanowiłem nie uciekać jak królik przed światłami nadjeżdżającego samochodu. — Callahan znów zaczął płakać. Otarł oczy rękawem koszuli. — Chyba chciałem także pożegnać się z kimś i usłyszeć słowa pożegnania. Wypowiadając słowa pożegnań i słuchając ich, upewniamy się, że mimo wszystko żyjemy. Chciałem go uściskać i przekazać taki sam pocałunek, jaki otrzymałem od Lupe'a. Oraz tę samą wiadomość: Jesteś zbyt cenny, żeby cię stracić. Ja...

Zobaczył Rosalitę spieszącą ku nim przez trawnik, lekko unoszącą spódnicę, i urwał. Podążyła mu dachówkę, na której coś napisano kredą. Przez moment Eddie wyobrażał sobie wiadomość okoloną gwiazdkami i księżycami: UWAGA! ZAGINAŁ PIES Z OKALECZONĄ PRZEDNIĄ PRAWĄ ŁAPĄ! REAGUJE NA IMIĘ ROLAND! JEST ZŁY I GRYZIE, A MIMO TO GO KOCHAMY!

— To od Eisenharta — rzekł Callahan, odrywając oczy od tabliczki. — Jeśli Overholser jest w tych stronach wielkim

farmerem, a Eben Took wielkim biznesmenem, to Vaughna Eisenharta należy nazwać wielkim ranczerem. Piśze, że on, Slightman młodszy i starszy oraz wasz Jake spotkają się z nami w południe przy kościółku, jeśli łaska. Trudno odczytać te bazgroły, ale chyba chce pokazać wam farmy, gospodarstwa i rancza po drodze do Rocking B, gdzie spędzicie noc. Czy to wam odpowiada?

— Niezupełnie — odparł Roland. — Wolałbym dostać mapę, zanim wyruszę.

Callahan zastanowił się, a potem spojrział na Rosalitę. Eddie doszedł do wniosku, że ta kobieta nie jest tylko zwyczajną gospodynią. Wprawdzie odeszła poza zasięg głosu, ale nie wróciła do domu. *Jak sprawna sekretarka*, pomyślał. Stary Człowiek nie musiał jej wołać — wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby znalazła się obok niego. Porozmawiali chwilę i Rosalita odeszła.

— Sądzę, że zjemy lunch w przykościelnym ogrodzie — rzekł Callahan. — Rośnie tam stare żelazne drzewo, dające przyjemny cień. Zanim skończymy, bliźniaki Tavery na pewno zdążą sporządzić mapę.

Roland z zadowoleniem kiwnął głową. Callahan wstał, skrzywił się, przycisnął dłonie do krzyża i przeciągnął się.

— A teraz chcę wam coś pokazać — oznajmił.

— Nie dokończyłeś opowieści — przypomniała Susannah.

— Nie — przyznał Callahan — ale nie mamy czasu. Mogę mówić, idąc, jeśli zechcecie wysłuchać mnie po drodze.

— Czemu nie — odparł Roland, wstając. Zabolalo go, ale nie tak bardzo. Koci olejek Rosality to specyfik, o którym można napisać do domu. — Lecz zanim ruszymy, odpowiedz mi na dwa pytania.

— Jeśli tylko zdołam, rewolwerowcze. Pytaj.

— Czy widziałeś podczas swych podróży tych od znaków? Callahan powoli pokiwał głową.

— Tak, rewolwerowcze, widziałem. — Spojrzął na Eddiego i Susannah. — Widzieliście kiedyś kolorowe zdjęcie... takie zrobione z lampą błyskową... na którym wszyscy mają czerwone oczy?

— Taak — potwierdził Eddie.

— Ich oczy są właśnie takie. Karmazynowe. A drugie pytanie, Rolandzie?

— Czy to oni są Wilkami, Pere? Ci twardziele? Ci żołnierze Karmazynowego Króla? Czy są Wilkami?

Callahan zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział:

— Nie mam pewności. Nie wiem na sto procent, rozumiecie. Lecz nie sądzę. Chociaż na pewno są porywaczami, to jednak nie porywają tylko dzieci. — I po namyśle dodał: — Może są pewnego rodzaju Wilkami. — Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym rzekł: — Tak, pewnego rodzaju.

Rozdział 4

DALSZY CIĄG OPowieści KSIĘDZA (UKRYTE DROGI)

1

Przejdźcie zza budynku plebanii do frontowych drzwi kościółka Naszej Łaskawej Pani zajęło im zaledwie pięć minut. Z całą pewnością za krótko, by Stary Człowiek opowiedział im o latach, które spędził na włóczędze, zanim w wydawanej w Sacramento „Bee” natrafił na artykuł, który sprowadził go ponownie do Nowego Jorku w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, a mimo to troje rewolwerowców usłyszało całą jego opowieść. Roland podejrzewał, że Eddie i Susannah równie dobrze jak on zdają sobie sprawę z tego, co to oznacza. Kiedy opuszczają Calla Bryn Sturgis — oczywiście zakładając, że nie zginą tutaj — Donald Callahan prawdopodobnie wyruszy razem z nimi. To nie było zwykłe opowiadanie, ale *khef* — dzielenie wody. A nie licząc dotyku, będącego zupełnie czym innym, *khef mogą* dzielić tylko ci, których przeznaczenie złączyło na dobre i złe. Przez członków *ka-tet*.

— Czy znacie takie powiedzenie: „Nie jesteśmy już w Kansas, Toto?” — zapytał Callahan.

— Owszem, to zdanie z czymś się nam kojarzy, kochasiu — odparła sucho Susannah.

— Naprawdę? No tak, czytam to w waszych twarzach. Może pewnego dnia wy opowiecie mi waszą historię. Podejrzewam, że przy niej moja wyda się nieciekawą. W każdym razie kiedy dotarłem na drugi koniec mostu, wiedziałem, że nie jestem już

w Kansas. I wyglądało na to, że nie dotarłem do New Jersey. Przynajmniej nie do takiego, jakie zawsze spodziewałem się zobaczyć po drugiej stronie rzeki Hudson. Zmięta gazeta leżała przy

2

balustradzie mostu — który wyglądał na zupełnie opuszczony, chociaż po wielkim moście wiszącym naprawo od niego ciągnął sznur pojazdów — i Callahan nachyla się i podnosi ją. Wiejący nad rzeką wiatr rozwiewa mu przyprószone siwizną, długie do ramion włosy.

To tylko jedna kartka, lecz jest nią strona tytułowa z „Lea-brook Register”. Callahan nigdy nie słyszał o tej gazecie. Nie mógł słyszeć, bo nie jest intelektualistą z New Jersey, nawet nie był tam, od kiedy w zeszłym roku przybył na Manhattan, ale zawsze sądził, że miasto na drugim końcu George Washington Bridge to Fort Lee.

Potem jego uwagę przyciągają nagłówki. Ten na samej górze wygląda zwyczajnie. W MIAMI ZELŻAŁO NAPIĘCIE NA TLE RASOWYM, głosi. W ostatnich dniach nowojorskie gazety były pełne opisów zamieszek. Tylko co oznacza tytuł WOJNA LATAWCÓWTRWA WTEANECK, HACKENSACK, opatrzony zdjęciem płonącego budynku? Jest również zdjęcie strażaków przyjeżdżających z motopompą i zaśmiewających się! Co oznacza: PREZYDENT AGNEW POPIERA PLANY NASA TERRAFORMOWANIA PLANET? Co to za znak na dole strony, wydrukowany cyrylicą?

Co się ze mną dzieje? — zadaje sobie pytanie Callahan. Przez cały ten czas, mając do czynienia z wampirami i żywymi trupami, a nawet z tymi ogłoszeniami o poszukiwaniach zaginionego zwierzęcia, którym najwyraźniej był on sam, nigdy nie zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Teraz, stojąc na końcu tej nędznej (ale jakże niezwykle!) kładki wiodącej przez rzekę Hudson do New Jersey, zaczyna w nie wątpić. Już sama myśl o tym, że Spiro Agnew mógł zostać prezydentem, wystarczy, żeby każdy człowiek mający choć odrobinę politycznego rozeznania zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Przecież ten człowiek

odszedł kiedyś w niestawie z zajmowanego stanowiska, zanim jeszcze podał się do dymisji jego szef.

Co się ze mną dzieje? — zastanawia się Callahan, ale jeśli oszalał i wszystko to jest tylko jego urojeniem, to wcale nie chce tego wiedzieć.

— Bomby poszły — mamrocze, rzucając czterostronicową resztkę „Leabrook Register” z kładki. Wiatr porywa ją i niesie w kierunku mostu George’a Washingtona. To rzeczywistość, myśli Callahan, to, co tam jest. Te samochody, ciężarówki i kursowe autobusy. Nagle jednak dostrzega wśród nich czerwony pojazd, który porusza się na bardzo wielu kołach. Ten pojazd, chyba równie długi jak szkolny autobus, składa się niemal w całości z karmazynowego, obracającego się cylindra. BANDY, głosi napis z jednej strony. BROOKS — napisano na drugiej. Co za Bandy Brooks, do diabła? Nie ma pojęcia. Nigdy w życiu nie widział takiego wehikułu i nie uwierzyłby, że taki pojazd — rany boskie, tylko spójrzcie na te koła! — zostanie dopuszczony do ruchu.

Tak więc George Washington Bridge też nie jest bezpiecznym miejscem. Już nie.

Callahan chwytą poręcz i mocno zaciska na niej dłonie, gdy ogarnia go fala mdłości, pod wpływem której chwieje się i traci równowagę. Ta poręcz wydaje się dostatecznie rzeczywista. Jest drewniana, nagrzana słońcem i poznaczona gmatwaniną tysięcy inicjałów i napisów. Widzi DK L MB, otoczone symbolem serca. FREDDY & HELENA = PRAWDZIWA M. ZABIĆ WSZYSTKICH MEKSUWI CZARNUCHÓW, głosi napis otoczony swastykami, i Callahan podziwia wtórny analfabetyzm, który nie pozwala ofierze poprawnie napisać ulubionych epitetów. Napisy głoszące miłość i nienawiść, a wszystkie równie realne jak szybkie bicie jego serca lub ciężar kilku monet i banknotów, jakie pozostały mu w prawej kieszeni dzinsów. Głęboko wciąga w płuca rześkie powietrze i ono też jest realne, aż po posmak spalin.

To się dzieje naprawdę, wiem, że tak, myśli. Nie siedzę na oddziale zamkniętym jakiejś kliniki psychiatrycznej. To ja, jestem tutaj i nawet jestem trzeźwy — przynajmniej na razie — a za sobą mam Nowy Jork. Oraz Salem w stanie Maine, z jego niepokojącymi zmarłymi. Przed sobą mam całą Amerykę, z jej możliwościami.

Ta myśl podnosi go na duchu, a następna jeszcze bardziej: nie tylko jedną Amerykę, ale dziesiątki... tysiące... może milion Ameryk. Jeśli zamiast Fort Lee jest tam Leabrook, to może istnieje inna wersja New Jersey z miasteczkiem po drugiej stronie rzeki Hudson, nazywającym się Leeman, Leighman, Lee Bluffs, Lee Palisades albo Leghorn Village. Może zamiast czterdziestu dwóch kontynentalnych stanów po tej stronie rzeki Hudson jest ich cztery tysiące dwieście lub czterdzieści dwa tysiące, wszystkie umieszczone na jednej szerokości przez geograficzny przypadek. Instynktownie przeczuwa, że niemal na pewno tak jest. Natknął się na ogromną, być może bezkresną, koegzystencję światów. One wszystkie są Amerykami, ale różnią się od siebie. Są drogi, które przez nie biegną i on je widzi.

Pospiesznie rusza ku odległemu Leabrook, ale znów przystaje. A jeśli nie znajdę drogi powrotnej? — myśli. Jeśli się zgubię i nigdy nie wrócę do tej Ameryki, w której na zachodnim końcu Washington Bridge znajduje się Fort Lee, a Gerald Ford (akurat on!) jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Potem dochodzi do konkluzji: A jeśli nawet, to co? Jaka to, kurwa, różnica?

Kiedy schodzi z mostu na Jersey, uśmiecha się beztrósko, po raz pierwszy od dnia, gdy odprawił uroczystości pogrzebowe nad grobem Danny 'ego Glicka w miasteczku Salem. Nadchodzą dwaj chłopcy z wędkami.

— Może któryś z was powita mnie w New Jersey? — prosi Callahan, uśmiechając się jeszcze szerzej.

— Witaj w En Jot, człowieku — mówi dość uprzejmie jeden z nich, ale obaj omijają go szerokim łukiem, mierząc czujnymi spojrzeniami. Nie ma im tego za złe i w najmniejszym stopniu nie mąci mu to dobrego humoru. Czuje się jak człowiek, którego w słoneczny dzień wypuszczono z mrocznego i ponurego więzienia. Przyspiesza kroku, nie odwracając się, aby obdarzyć panoramę Manhattanu choćby krótkim pożegnalnym spojrzeniem. Bo i po co? Manhattan to przeszłość. Te mnogie Ameryki, które rozpościerają się przed nim, one są przyszłością.

Jest w Leabrook. Dzwony milczą. Później będą dzwony i wampiry, później będą nowe wieści wypisane kredą na chodnikach i nabazgrane sprayem na murach (nie wszystkie o nim). Później zobaczy cichych w ich okazałych czerwonych cadil-

lacach, zielonych lincolnach i purpurowych mercedesach, cichych z oczami czerwonymi jak błyski flesza, ale nie dziś. Dzisiaj jest słoneczny dzień w nowej Ameryce po zachodniej stronie odrestaurowanej kładki nad rzeką Hudson.

Na Main Street przystaje przed knajpą Domowe Obiady Leabrook i widzi w oknie kartkę z napisem POTRZEBNY KUCHARZ DO BARU SZYBKIEJ OBSŁUGI. Myśli, że być może nadawałby się do tej roboty. Okazuje się, że miał rację, chociaż dopiero po trzech zmianach przypomina sobie umiejętność wbijania na patelnię trzech jajek jednocześnie. Właściciel, dryblas nazwiskiem Dicky Rudebacher, pyta Callahana, czy ma jakieś kłopoty zdrowotne — które określa mianem „czegoś zaraźliwego” — i po prostu kiwa głową, gdy Callahan zaprzecza. Nie każe mu wypełniać żadnych formularzy i nawet nie pyta o numer ubezpieczenia. Chce płacić swojemu nowemu pracownikowi na rękę, jeśli to nie problem. Callahan zapewnia go, że to żaden problem.

— Jeszcze jedno — mówi Dicky Rudebacher i Callahan czeka na druzgoczący cios. Nic go nie zdziwi, lecz Rudebacher stwierdza tylko: — Wyglądasz mi na takiego, co to lubi wypić.

Callahan przyznaje, że czasem zdarza mu się wypić.

— Mnie też — mówi Rudebacher. — W tym interesie tylko tak można zostać przy zdrowych zmysłach, cholera. Nie zamierzam cię obwąchiwać, kiedy będziesz przychodził do pracy... jeśli przyjdiesz na czas. Lecz po drugim spóźnieniu możesz sobie szukać roboty gdzie indziej. Nie będę tego powtarzał.

Callahan pracuje w Domowych Obiadach Leabrook przez trzy tygodnie, podczas których mieszka dwie przecznice dalej, w motelu Zachód Słońca. Tylko że nie zawsze są to Domowe Obiady i Zachód Słońca. Czwartego dnia pobytu w mieście budzi się w motelu Wschód Słońca, a Domowe Obiady Leabrook zmieniają się w Domowe Obiady Fort Lee. Gazeta „Leabrook Register”, którą klienci pozostawiają na kontuarze, staje się „Fort Lee Register-American”. Niezbyt pociesza go wiadomość, że Gerald Ford ponownie sprawuje urząd.

Kiedy Rudebacher płaci mu pod koniec pierwszego tygodnia — w Fort Lee — na pięćdziesiątkach jest Grant, na dwudziestkach Jackson, a na jedynej dziesiątce znajdującej się w kopercie, którą Callahan dostaje od szefa, widnieje Alexander Hamilton. Na koniec drugiego tygodnia — w Leabrook — na

pięćdziesiątkach jest Abraham Lincoln, a na dziesiątce jakiś Chadbourne. Callahan z ulgą stwierdza, że na dwudziestkach wciąż znajduje się Andrew Jackson. Kapa na łóżku w pokoju motelowym jest różowa w Leabrook i pomarańczowa w Fort Lee. To pomaga. Dzięki temu zaraz po przebudzeniu wie, w której z wersji New Jersey się znalazł.

Upija się dwukrotnie. Za drugim razem, po zamknięciu lokalu, Dicky Rudebacher przyłącza się do niego i pije równo z nim.

— To był kiedyś wspaniały kraj — biadoli ta wersja Rudebachera, i Callahan myśli, jak to dobrze, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Najwyraźniej skłonność do narzekania pozostaje niezależnie od upływu czasu.

Jego cień jednak wydłuża się z każdym dniem wcześniej, widział już pierwszego wampira trzeciej kategorii, stojącego w kolejce po bilet do kina, więc pewnego dnia składa wy-mówienie.

— Zdaje się, że powiedziałaś, że nie jesteś chory — mówi Rudebacher do Callahana.

— Przepraszam?

— Cierpisz na ostry świąd stóp, mój przyjacielu. To często towarzyszy tej drugiej chorobie. — Rudebacher czerwona od zmywania naczyń dłonią wykonuje gest przechylania butelki. — Kiedy człowiek dostaje świądu stóp w tak podeszłym wieku, często jest to nieuleczalne. Powiem ci coś. Gdybym nie miał żony, z którą wciąż świetnie mi się kocha, i dwojga dzieciaków w college'u, może spakowałbym manatki i ruszył z tobą.

— Taak? — pyta zafascynowany Callahan.

— Sierpień i wrzesień są zawsze najgorsze — ciągnie z rozmarzeniem Rudebacher. — Po prostu słyszysz ten zew. Ptaki też go słyszą i odlatują.

— Zew?

Rudebacher obrzuca go spojrzeniem mówiącym „nie bądź głupi”.

— Dla nich jest niebo. Dla takich jak my jest droga. Nazwij to pieprzonym zewem drogi. Tacy faceci jak ja, mający dzieciaki w szkole i żonę, która wciąż lubi robić to częściej niż tylko w sobotnie wieczory, puszcza ją głośniej radio i zagłuszają go.

Ty tego nie zrobisz. — Przez chwilę mierzy Callahana bystrym spojrzeniem. — Zostaniesz jeszcze tydzień? Dam ci dwadzieścia pięć dolarów podwyżki. Będziesz bogaty jak Monte Christo.

Callahan zastanawia się, po czym kręci głową. Gdyby Rudebacher miał rację, gdyby była tylko jedna droga, może zostałby jeszcze tydzień... i kolejny... i następny. Ale to nie tylko ta jedna droga. To one wszystkie, wszystkie te ukryte autostrady. Nagle przypomina sobie lekturę z trzeciej klasy i parska śmiechem. Książka nosiła tytuł Drogi wiodące wszędzie.

— Co cię tak śmieszy? — pyta kwaśno Rudebacher.

— Nic — mówi Callahan. — Wszystko. — Klepie szefa w ramię. — Porządny z ciebie gość, Dicky. Zatrzymam się w twojej knajpie, jeśli będę tędy wracał.

— Nie będziesz tędy wracał — odpowiada Dicky Rudebacher, i oczywiście ma rację.

?

— Przez mniej więcej pięć lat byłem w drodze — oznajmił Callahan, kiedy zbliżali się do kościoła, i właściwie tylko tyle powiedział na ten temat. A jednak usłyszeli znacznie więcej. I wcale nie byli zdziwieni, gdy później odkryli, że Jake, jadący do miasta z Eisenhartem i Slightmanami, też usłyszał część tego. W końcu to Jake najłatwiej nawiązywał kontakt.

Pięć lat w drodze, nic więcej.

I cała reszta, rozumiecie: tysiące zaginionych światów róży.

4

Przez pięć lat jest w drodze, prawie, tylko że dróg jest o wiele więcej niż jedna, a w odpowiednich okolicznościach pięć lat może być wiecznością.

Jest droga numer siedemdziesiąt jeden przez Delaware, i jabłko do zrywania. Jest chłopczyk imieniem Lars z zepsutym radiem. Callahan naprawia je, a matka chłopca pakuje mu obfity lunch, który wystarcza na bardzo długo. Jest droga numer trzysta siedemnaście przez wiejskie obszary Kentucky, i praca

grabarza z niejakim Petem Petackim, który za dużo gada. Jakaś dziewczyna przychodzi na nich popatrzeć, śliczna dziewczyna mniej więcej siedemnastoletnia, siedząca na kamiennym murku pod opadającymi na nią jesiennymi liśćmi, i Pete Petacki zastanawia się, jak miło byłoby ściągnąć z niej te sztruksowe spodnie, wepchnąć głowę między uda i porządnie wylizać. Pete Petacki nie widzi otaczającej ją niebieskiej poświaty, a z całą pewnością tego, jak jej ciuchy opadają na ziemię niczym piórka, po tym jak Callahan siada obok niej i przyciąga do siebie, ona przesuwając dłoń po jego udzie i zbliża usta do jego szyi, a on wprawdzie wbija nóż w splot kości, nerwów i chrząstek u nasady jej karku. Zdążył już nabrać w tym wprawy.

Jest droga numer dziewiętnaście przez Wirginię Zachodnią i małe wesołe miasteczko, szukające człowieka, który potrafi naprawić karuzelę i karmić zwierzęta. „Albo odwrotnie — mówi Greg Chumm, mający tłuste włosy właściciel wesołego miasteczka. — No wiesz, karmić karuzele i naprawiać zwierzęta. Cokolwiek trzeba będzie zrobić”. I na pewien czas, kiedy w wyniku zatrucia pokarmowego w wesołym miasteczku brakuje personelu (teraz podążają na południe, usiłując uciec przed zimą), odgrywa rolę Mensa, cudownego wróżbity, w dodatku z zaskakującym sukcesem. Właśnie jako Mensa po raz pierwszy widzi tamtych, nie wampirów czy wstrząśniętych zmarłych, lecz wysokich ludzi o białych, czujnych twarzach, zazwyczaj skrytych pod rondami staromodnych kapeluszy lub bardzo długimi daszkami bejsbolowych czapek. W rzucanym przez nie cieniu ich oczy jarzą się mętną czerwienią, jak ślepiec szopów lub kun złapanych w strumień światła, gdy dobierają się do twojego śmietnika. Czy oni go widzą? Wampiry (przynajmniej te trzeciej kategorii) nie. Martwi tak. A ci ludzie z rękami w kieszeniach długich żółtych płaszczy i bladymi twarzami, lśniąco spod rond kapeluszy? Czy oni go widzą? Callahan nie wie, ale woli nie ryzykować. Trzy dni później, w miasteczku Yazoo City w stanie Missisipi, wieszka na gwoździu czarny kapelusz Mensa, zostawia brudny kombinezon roboczy na podłodze przyczepy mieszkalnej i olewa Cudowną Wędrowną Trupę Chumma, nie odbierając nawet ostatniej wypłaty. Kiedy opuszcza miasteczko, widzi szereg ogłoszeń przybitych do słupów telefonicznych. Typowe dla nich głosi:

ZAGINEŁA! DWULETNIA KOTKA SJAMSKA
REAGUJE NA IMIĘ RUTA
HAŁAŚLIWA, LECZ WESOŁA
NA ZNALAZCĘ CZEKA WYSOKA NAGRODA
\$\$\$\$\$

**ZADZWOŃ POD 764, ZACZEKAJ NA SYGNAŁ I PODAJ SWÓJ NUMER
BÓG ZAPŁAĆ ZA POMOC**

Kim jest Ruta? Callahan nie wie. Wie tylko, że jest HAŁAŚLIWA, lecz WESOŁA. Czy będzie w dalszym ciągu hałaśliwa, kiedy schwyta ją twardziele? Czy wciąż będzie wesola?

Callahan w to wątpi.

Ma swoje własne problemy i może tylko modlić się do Boga, w którego już nie wierzy tak bezgranicznie, żeby ludzie w żółtych płaszczach jej nie złapali.

Później tego dnia, stojąc przy drodze numer trzy w Issaquena County, pod rozgrzanym ołowianoszarym niebem, które nie ma pojęcia o grudniu i nadchodzących świętach, znowu słyszy dzwony. Wypełniają mu czaszkę, grożąc rozerwaniem bębenków i wywołaniem licznych krwiaków w tkance mózgowej. Kiedy cichną, czuje rosnącą pewność: oni nadchodzą. Ci ludzie z czerwonymi oczami, wielkimi kapeluszami i długimi żółtymi płaszczami zbliżają się.

Callahan czmycha z pobocza jak zbiegły więzień, przeskakując przez błotnisty rów niczym Superman — jednym susem. Dalej jest stary płot porośnięty kępami zielska i czegoś, co może być trującym pnączem. Nie przejmuje się, czy to trujący sumak, czy nie. Przeskakuje przez płot, zapada w wysoką trawę i łopiany, po czym zerka na drogę przez dziurę w listowiu.

Przez chwilę czy dwie nic się nie dzieje. Potem drogą numer trzy od strony Yazoo City nadjeżdża, podskakując, białoczerwony cadillac. Pędzi co najmniej setką, a Callahan patrzy przez niewielką dziurę. Mimo to widzi ich doskonale: trzech mężczyźni, dwaj w strojach wyglądających na żółte kitle, a trzeci w lotniczej kurtce. Wszyscy trzech pałą i zamknięta kabina cadillaca jest pełna dymu.

Zobaczą mnie, usłyszą, wyczują, przelatuje Callahanowi przez głowę. Odpycha od siebie tę paniczną myśl, nie dopuszczając jej do świadomości. Stara się myśleć o piosence El tona

Johna: „ Ktoś ocalił, ktoś ocalił, ktoś dziś wieczorem ocalił mi życie ”, i udaje mu się to. Przez jeden straszny, zapierający dech w piersi moment wydaje mu się, że cadillac zwalnia — / już wyobraża sobie, jak ci ludzie ścigają go po tym zarośniętym, zapomnianym polu, dopadają, zaciągają do opuszczonej stodoły lub stajni — lecz wtedy cadillac z rykiem znika za następnym wzgórzem, może kierując się do Natchez. Lub Copiah. Callahan odczekał dziesięć minut. „Człowieku, musisz mieć pewność, że nie robią cię w konia” —jak powiedziałby Lupe. A jednak, czekając, wie, że to tylko formalność. Tamci nie zwodzą go. Po prostu go przeoczyli. Jak to możliwe? Dlaczego? Powoli znajduje odpowiedź — przynajmniej jest to jakieś wyjaśnienie, i niech go licha, jeśli nie wydaje się prawdopodobne. Przeoczyli go, bo leżąc w kępie zielska i bluszczu, zerkając na drogę numer trzy, zdołał przenieść się do innej wersji Ameryki. Może różniącej się tylko kilkoma szczegółami — powiedzmy Lincolnem na jedyńce, Waszyngtonem na piątce, a nie odwrotnie — ale to wystarczyło. Wystarczyło. To dobrze, ponieważ ci faceci nie są bezmózgowcami, jak żywe trupy, i w przeciwieństwie do wampirów mogą go zobaczyć. Ci faceci, kimkolwiek są, wydają się najgroźniejsi ze wszystkich.

W końcu Callahan wraca na drogę. Potem czarnoskóry mężczyzna w słomianym kapeluszu i w kombinezonie nadjeżdża sfatygowanym fordem. Tak bardzo przypomina czarnego farmera z filmów z lat trzydziestych, że Callahan niemal spodziewa się, że zaraz ze śmiechem klepnie się w kolano i zawoła „Jejku, szefie! Czyż to nie szczęśliwy traf?”. Zamiast tego Murzyn wciąga go w dyskusję o polityce, sprowokowaną komentarzem w National Public Radio, którego słucha. A kiedy Callahan wysiada w Shady Grove, czarnoskóry mężczyzna daje mu pięć dolarów i zapasową bejsbolową czapeczkę.

— Mam pieniądze — mówi Callahan, próbując oddać mu piątkę.

— Człowiek, który ucieka, nigdy nie ma ich dość —powiada czarnoskóry. — I proszę, nie mów mi, że ty nie uciekasz. Nie obrażaj mojej inteligencji.

— Dziękuję — mówi Callahan.

— De nada — odpowiada czarnoskóry. — Dokąd zmierzasz? Tak w przybliżeniu.

— Nie mam pojęcia — **mówi Callahan i uśmiecha się.** —
Nawet w przybliżeniu.

'■■'!

5

Zrywanie pomarańczy na Florydzie Machanie miotłą w Nowym Orleanie. Wynoszenie gnoju ze stajni w Lujkin w Teksasie. Rozdawanie na rogach ulic broszurek reklamowych biura sprzedaży nieruchomości w Phoenix w Arizonie. Podejmowanie zajęć płatnych gotówką. Obserwowanie wciąż zmieniających się twarzy na banknotach. Odnotowywanie różnych nazwisk w gazetach. Jimmy Carter wybrany na prezydenta, tak samo jak Ernest „Fritz” Hollings i Ronald Reagan. George Bush również wybrany na prezydenta. Gerald Ford postanawia ponownie kandydować, i też zostaje prezydentem. Nazwiska w gazetach (osobistości zmieniają się najczęściej, o wielu z nich nigdy nawet nie słyszał) nie mają znaczenia. Twarze na banknotach również. Znaczenie ma chorągiewka na dachu na tle zachodzącego na różowo słońca, stukot obcasów na pustej drodze w Utah, świst wiatru na pustyni w Nowym Meksyku, widok dziecka bawiącego się skakanką obok zardzewiałego chevroleta caprice w Fossil w Oregonie. Znaczenie ma skowyt linii wysokiego napięcia przy autostradzie numer pięćdziesiąt na zachód od Elko w Nevadzie i zdechła wrona w rowie przy Rainbarrel Springs. Czasem jest trzeźwy, a czasem pijany. Kiedy leży w opuszczonej szopie — tuż za granicą Kalifornii z Nevadą — pije przez cztery dni pod rząd. Potem przez siedem godzin wymiotuje. Przez pierwszą godzinę wymioty są tak gwałtowne, że jest przekonany, iż zaraz umrze. Później żałuje, że taksie nie stało. Kiedy jest już po wszystkim, przysięga sobie, że koniec z gorzałą, więcej nie będzie pił, wreszcie dostał nauczkę, a tydzień później znów jest pijany i spogląda na obce gwiazdy za restauracją, w której zatrudnił się do zmywania naczyń. Jest zwierzęciem w pułapce, ale nie przejmuje się tym. Czasem spotyka wampiry i czasem je zabija. Najczęściej pozwala im żyć, ponieważ nie chce zwracać na siebie uwagi twardzieli. Czasem zadaje sobie pytanie, co on właściwie wyprawia, i takie pytania zawsze sprawiają, że w pośpiechu idzie szukać butelki.

Bo tak naprawdę zmierza donikąd. Po prostu podąża ukrytymi drogami, wlokąc ze sobą swoją pułapkę, słuchając zewu tych dróg i przeskakując z jednej na drugą. W pułapce czy nie, czasem bywa szczęśliwy, czasem śpiewa w swych okowach jak morze. Chce zobaczyć następną chorągiewkę na dachu, sterzącą na tle różowego zachodu słońca. Chce ujrzeć następny silos rozsypujący się na krańcu północnego pola jakiegoś rozczarowanego farmera, oraz następną warczącą ciężarówkę

z napisem ŻWIR TONOPAHA albo KONSTRUKCJE BUDOWLANE ASPLUNDHA na burcie. Jest w raju włóczęgów, zagubiony w mnogich osobowościach Ameryki. Chce posłuchać wiatru w kanionach i wiedzieć, że jest jedynym, który go słucha. Chce krzyczeć i słyszeć cichnące w oddali echa. Kiedy posmak krwi Barlowa w ustach staje się zbyt silny, chce się napić. I oczywiście, kiedy dostrzega te ogłoszenia o zaginionych ulubieńcach lub wiadomości wypisane kredą na chodnikach, chce się wynieść. Na zachodzie widzi ich mniej i żadna z nich nie podaje jego rysopisu ani nazwiska. Od czasu do czasu widuje krążące wampiry — użycz nam troszkę swojej krwi — ale zostawia je w spokoju. W końcu to tylko moskity, nic więcej.

Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku wjeżdża do Sacramento na pace chyba najstarszej ciężarówki International-Hamest, krążącej po kalifornijskich szosach. Ciśnięcie się razem z trzema tuzinami nielegalnych emigrantów z Meksyku, mają mekskał, tequilę, marychę i kilka butelek wina, wszyscy są pijani, a Callahan chyba najbardziej. Nazwiska i imiona towarzyszy powracają do niego po latach, jak wymówione w gorączkowych majakach: Escobar... Estrada... Javier... Esteban... Rosario... Echeverria... Caverria. Czy są to nazwiska i imiona osób, które później poznał w Calla, czy też wywołane gorzałą złudzenie? A jeśli tak, to co z jego nazwiskiem, tak podobnym do nazwy miasteczka, w którym zakończył wędrówkę? Calla, Callahan. Calla, Callahan. Czasem, kiedy nie może zasnąć na swoim miękkim łożu na plebanii, te dwa słowa wirują mu w głowie, niczym dwa tygrysy goniące się w Little Black Sambo. Czasami przychodzi mu do głowy wers wiersza, parafraza (jak sądzi) Epistle to Be Left in Earth Archibalda MacLeisha. Nie był to głos Boga, lecz tylko huk gromu. Niezupełnie tak,

ale tak to pamięta. Nie Bóg, lecz piorun. A może tylko chce w to wierzyć? Ile razy w ten sposób zaprzeczano Jego istnieniu?

W każdym razie to wszystko przychodzi później. Kiedy wjeżdża do Sacramento, jest pijany i szczęśliwy. Jego umysł nie rodzi żadnych pytań. Nawet następnego dnia jest prawie szczęśliwy mimo kaca. Bez trudu znajduje pracę. Wygląda na to, że praca jest wszędzie, leży i czeka, jak jabłko po przejściu huraganu przez sad. Jeśli tylko nie boisz się ubrudzić sobie rąk, poparzyć ich gorącą wodą lub dostać pęcherzy od siekiery lub łopaty, bo w ciągu długich lat spędzonych w drodze nikt nigdy nie zaproponował mu posady maklera.

W Sacramento dostaje pracę przy rozładowywaniu ciężarówek w ogromnym sklepie meblowym zwanym Śpiący John. Właśnie trwają przygotowania do dorocznej Ma\$\$akry Materacowej i jak rano Callahan wraz z pięcioma innymi ludźmi wnosi pojedyncze, podwójne i ekstraszerekie. W porównaniu z niektórymi dorywczymi zajęciami, jakie wykonywał w ciągu ostatnich lat, ta robota to pestka.

W porze lunchu Callahan i pozostali mężczyźni siedzą w cieniu wiaty. O ile wie, nie ma wśród nich nikogo z ciężarówki International-Hawester, chociaż nie mógłby przysiąc — był wtedy strasznie pijany. Wie tylko to, że kolejny już raz jest wśród nich jedynym białym. Wszyscy jedzą enchiladę od Szalonej Mary za rogiem. Na stercie skrzynek stoi brudne radio grające salsę. Dwaj młodzi ludzie tańczą tango, podczas gdy pozostali — włącznie z Callahanem — odkładają jedzenie, żeby klaskać.

Przychodzi jakaś młoda kobieta w spódniczce i bluzce, z dezaprobatą spogląda na tańczących, a potem na Callahana.

— Jesteś gringo, no nie? — mówi.

— Nie da się ukryć — przyznaje Callahan.

— No to może spodoba ci się to. Bo im na pewno nie. — Podaje mu gazetę — „Sacramento Bee” — a potem spogląda na tańczących Meksykanów. — Fasolarze — dodaje, z podtekstem w tonie głosu: „i co z takimi robić?”.

Callahan ma ochotę wstać i skopać jej ten chudy, nienadający się do tańca, biały tyłek, ale jest południe i za późno, by zdobyć inną pracę, jeśli tę straci. I nawet gdyby nie zamknęli go w kiciu za napaść, to nie dostałby zapłaty. Zadowolona się pokazaniem

palca jej plecóm i śmieje się, gdy mężczyźni biją brawo. Młoda kobieta odwraca się na pięcie, patrzy na nich podejrzliwie, a potem wchodzi do środka. Wciąż uśmiechnięty Callahan otwiera gazetę. Uśmiech natychmiast gaśnie mu na ustach, gdy jego wzrok pada na rubrykę WIADOMOŚCI KRAJOWE. Między informacją o katastrofie kolejowej w Vermoncie i napadzie na bank w Missouri znajduje następującą:

LAUREAT ZWANY „ANIOŁEM ULICY”
W STANIE KRYTYCZNYM

Nowy Jork (AP). Rowan R. Magruder, właściciel i główny dyrektor cieszącego się chyba największą estymą w Ameryce schroniska dla bezdomnych, alkoholików i narkomanów, w stanie krytycznym przebywa w szpitalu po napadzie przez tak zwanych Braci Hitler. Członkowie tej organizacji od co najmniej ośmiu lat działają w pięciu dzielnicach Nowego Jorku. Według rzecznika policji uważa się, że dokonali co najmniej trzydziestu napadów i dwóch zabójstw. W przeciwieństwie do dotychczasowych ofiar, Magruder nie jest Murzynem ani Żydem. Znaleziono go z wyciętą na czole swastyką w bramie niedaleko Domu — schroniska — które założył w 1968 roku. Zadano mu także liczne rany klute.

Dom zyskał ogólnokrajową sławę w 1977 roku po odwiedzinach Matki Teresy, która pomogła podać kolację i pomodliła się z klientami. Nazywany w East Side Aniołem Ulicy, Magruder znalazł się na okładce „Newsweeka” w 1980 roku, kiedy z rąk burmistrza Eda Kocha otrzymał nagrodę Człowieka Roku.

Lekarz specjalizujący się w takich przypadkach ocenił szanse na utrzymanie Magrudera przy życiu jako „nie większe niż trzy na dziesięć”. Stwierdził, że Magruder został nie tylko oszpecony, ale także oślepiiony. „Uważam się za miłosiernego człowieka — powiedział lekarz — ale moim zdaniem winni tej zbrodni zasłużyli na ścięcie”.

Callahan jeszcze raz czyta artykuł, zastanawiając się, czy chodzi o „jego” Rowana Magrudera, czy jakiegoś innego — na przykład Rowana Magrudera ze świata, w którym na zielonych

spotyka się podobiznę niejakiego Chadbourne 'a. Nie wiadomo dlaczego jest przekonany, że chodzi o jego przyjaciela i że specjalnie pokazano mu ten artykuł. Z całą pewnością przebywa teraz w świecie, który uważa za „rzeczywisty”, o czym świadczy nie tylko cienki rulonik banknotów w jego portfelu. To przeczcucie daje mu pewność. Jeśli to prawda (a tak jest, dobrze wie), to ile go ominęło podczas włóczęgi ukrytymi drogami! Matka Teresa złożyła im wizytę! Pomagała nalewać zupę! Do licha, równie dobrze mogła sama ugotować gulasz z ropuch! Bez problemu, gdyż przepis był na kartce przyklejonej przezroczystą taśmą do ściany nad kuchenką. I nagroda! Okładka „Newsweeka”! Przykro mu, że go nie czytał, ale rzadko czytujesz ilustrowane magazyny, kiedy jeździsz z wesołym miasteczkiem, zamiatasz chodniki albo wynosisz gnój ze stajni podczas rodeo w Enid w Teksasie. Jest tak głęboko zawstydzony, że nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Nawet wtedy, gdy Juan Castillo pyta:

— Czego ryczysz, Donnie?

— Ryczę?—pyta, ociera oczy... i rzeczywiście. Płacze. Lecz w tym momencie nie wie, że to ze wstydu. Sądzi, że to szok, i zapewne częściowo tak jest. — No tak, chyba tak.

— Dokąd to? —pyta Juan. — Już prawie koniec lunchu.

— Muszę ruszać — odpowiada Callahan. — Muszę wracać na wschód.

— Jak pójdziesz, nie zapłacą ci centa.

— Wiem — mówi Callahan. — W porządku. Kłamie. Bo nic nie jest w porządku.

Nic.

6

— Miałem kilkaset dolarów zaszytych w plecaku — powiedział Callahan. Siedzieli teraz na stopniach kościoła, grzejąc się w promieniach słońca. — Kupiłem bilet powrotny do Nowego Jorku. Czas odgrywał najważniejszą rolę... oczywiście... lecz nie był to jedyny powód. Musiałem oderwać się od tych ukrytych dróg. — Skinął głową Eddiemu. — To autostrady transu. Wciągają tak samo jak woda...

— Bardziej — powiedział Roland. Zauważył trzy zbliżające

się postaci: Rosalitę prowadzącą bliźniaki Tavery, Franka i Francine. Dziewczynka trzymała w rękach duży arkusz papieru, niosąc go przed sobą z niemal zabawnym szacunkiem. — Sądzę, że wędrówka jest najbardziej wciągającym nałogiem, a każda ukryta droga wiedzie do tuzina innych.

— Prawdę mówisz, dzięki ci — odparł Callahan.

Miał ponurą, smutną minę i Roland pomyślał, że wygląda na nieco zagubionego.

— Pere, chętnie usłyszelibyśmy resztę twojej opowieści, ale wolałbym, żebyś zaczekał z nią do wieczora. Albo do jutrzejszego wieczora, jeśli nie wrócimy wcześniej. Za chwilę będzie tu nasz młody przyjaciel Jake...

— Wiecie o tym? — spytał Callahan z zainteresowaniem, ale bez zdziwienia.

— Tak — potwierdziła Susannah.

— Chciałbym zobaczyć to, co masz nam pokazać, zanim on tu przyjedzie — powiedział Roland. — To, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tej rzeczy, stanowi zapewne część twojej opowieści...

— W istocie — przyznał Callahan. — Myślę, że to najważniejszy jej punkt.

— Więc musi poczekać na odpowiednią chwilę. Teraz wszystko się spiętrzyło...

— Tak to już jest — rzekł Callahan. — Przez całe miesiące, a czasem nawet lata, co próbowałem wam wyjaśnić, czas zdaje się niemal nie istnieć. Potem wszystko dzieje się naraz.

— Prawdę mówisz — odparł Roland. — Chodź ze mną porozmawiać z bliźniakami, Eddie. Zdaje się, że wpadłeś w oko tej młodej pannie.

— Może sobie patrzeć, ile chce — powiedziała dobrodusznie Susannah. — Patrzenie nic nie kosztuje. Ja posiedzę sobie tutaj w słońcu, Rolandzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Minęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz jechałam konno, i przyznaję, że wszystko mnie boli od siodła. Mam wrażenie, że bolą mnie nawet nogi, których nie mam.

— Dobrze ci to zrobi — rzucił Roland, ale wcale tak nie myślał i Eddie dobrze o tym wiedział. Rewolwerowiec chciał, żeby Susannah na razie została na miejscu. Mógł tylko mieć nadzieję, że Susannah nie udzieli się jego nastrój. Gdy szli w kierunku dzieci i Rosality, Roland powiedział do Eddiego, pospiesznie i cicho:

— Sam wejdę z nim do kościoła. Mówię to, żebyś wiedział, że nie ciebie chcę trzymać z daleka od tego, co tam jest. Jeśli to Czarna Trzynastka... a sądzę, że tak właśnie jest... to lepiej, żeby Susannah nie zbliżała się do niej.

— Ze względu na jej odmienny stan, tak? Rolandzie, sądziłem, że ewentualne poronienie Suze byłoby po twojej myśli.

— Nie chodzi o poronienie — odparł. — Obawiam się, że Czarna Trzynastka jeszcze bardziej wzmocni to coś, co w niej jest. — A po chwili dodał: — Może ją także. Nie tylko dziecko, ale i jego nosicielkę.

— Mię.

— Tak, ją.

Rewolwerowiec uśmiechnął się do rodzeństwa Tavery. Francine odpowiedziała mu uprzejmym uśmiechem, rezerwując całe ciepło dla Eddiego.

— Pozwólcie mi zobaczyć wasze dzieło, jeśli łaska — poprosił Roland.

— Mamy nadzieję, że jest dobra — powiedział Frank Tavery. — Może nie być. Baliśmy się ją rysować. Pani dała nam taki wspaniały kawałek papieru, że obawialiśmy się go zniszczyć.

— Najpierw narysowaliśmy ją na ziemi — wyjaśniła Francine. — Potem naszkicowaliśmy węglem. To Frank ją dokończył, bo mi za bardzo trzęsły się ręce.

— Nie ma powodu do obaw — rzekł Roland.

Eddie przysunął się do niego i zerknął mu przez ramię. Mapa doskonale oddawała wszystkie szczegóły, z salą obrad na środku i Wielką Rzeką/Devar-Tete, biegnącą po lewej stronie kartki, która Eddiemu wyglądała na wydartą ze zwykłego notatnika. Jednego z tych, które stertami leżą w każdym sklepie papierniczym Ameryki.

— Dzieciaki, to jest absolutnie fantastyczne! — zawołał i przez moment myślał, że Francine Tavery zemdleje z wrażenia.

— Istotnie — powiedział Roland. — Oddaliście nam wielką przysługę. A teraz zrobię coś, co zapewne wyda wam się bluźnierstwem. Znacie to słowo?

— Tak — odparł Frank. — Jesteśmy chrześcijanami. „Nie będziesz wzywał imienia Pana Boga swego nadaremno”. Bluźnierstwem jest także niszczenie pięknych rzeczy.

Powiedział to bardzo poważnym tonem, ale zdradzającym zaciekawienie zapowiedzianym bluźnierstwem. Jego siostra zareagowała podobnie.

Roland złożył na pół kartkę, którą tych dwoje ledwie śmiało trzymać w palcach mimo swych nadzwyczajnych umiejętności. Dzieci jęknęły. Rosalita Munoz również, chociaż nie tak głośno.

— Takie traktowanie mapy nie jest bluźnierstwem, gdyż to już nie tylko papier — wyjaśnił Roland. — Stał się narzędziem, a o narzędzia należy dbać. Rozumiecie?

— Tak — odparli, lecz najwyraźniej mieli wątpliwości.

Roland przynajmniej częściowo zdołał je rozwiać, niezwykle starannie chowając złożoną mapę do torby.

— Naprawdę wielkie dzięki — dodał. Ujął dłoń Francine lewą, a Franka okaleczoną prawą ręką. — Wasze umiejętności być może ocaliły życie wielu ludzi.

Francine załała się łzami. Frank powstrzymywał je, uśmiechając się. Potem jemu też pociekły po piegowatych policzkach.

7

— Dobre dzieciaki. Uzdolnione — odezwał się Eddie, gdy zbížali się do schodów kościoła.

Roland skinął głową.

— Możesz sobie wyobrazić jedno z nich wracające z Jądra Gromu jako kompletny debil?

Rewolwerowiec, który aż za dobrze mógł to sobie wyobrazić, nie odpowiedział.

Susannah bez sprzeciwów przyjęła decyzję Rolanda, który kazał jej i Eddiemu zostać przed kościołem. Rewolwerowiec przypomniał sobie niechęć Susannah do wejścia na teren opuszczonej parceli. Zastanawiał się, czy podświadomie obawiała się tego samego co on. Jeśli tak było, to bitwa — jej bitwa — już się rozpoczęła.

— Jak długo mam czekać, zanim wejdę tam, żeby cię wyciągnąć? — zapytał Eddie.

— Zanim wejdziemy tam oboje, żeby cię wyciągnąć? — poprawiła męża Susannah.

Roland zastanowił się. To było dobre pytanie. Spojrzał na Callahana, który stał w drzwiach kościoła, ubrany w niebieskie dżinsy i flanelową koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Splótł ręce na piersi. Roland dostrzegł potężne muskuły. Stary Człowiek wzruszył ramionami.

— Ono śpi. Nie powinno być żadnych problemów. Dlatego tę rzecz... — wyciągnął żylastą rękę, wskazując na rewolwer na biodrze Rolanda — zostawiłbym tutaj. Może demon śpi z otwartymi oczami.

Roland odpiął pas i podał go Eddiemu, który miał już swój własny. Potem rewolwerowiec zdjął torbę i wręczył ją Susannah.

— Pięć minut — powiedział. — W razie kłopotów może zdołam was zawołać.

A może nie, dopowiedział w myślach.

— Do tego czasu Jake powinien już tu być — przypomniał Eddie.

— Jeśli przyjadą, zatrzymajcie ich tutaj — nakazał Roland.

— Eisenhart i Slightmanowic nie będą próbowali wejść — dodał Callahan. — Oni wierzą w Orizę. Panią Ryżu.

Grymas na jego twarzy dobitnie świadczył o tym, co myśli o Pani Ryżu i innych drugorzędnych bogach Cal la Bryn Sturgis.

— No to chodźmy — powiedział Roland.

Minęło sporo czasu, od kiedy Roland Deschain ostatni raz czuł nabożny lęk, płynący z głębokiej wiary. Być może nie czuł go od dziecka. Teraz jednak strach ogarnął go, gdy tylko Callahan otworzył drzwi skromnego drewnianego kościółka i przytrzymał je, czekając, aż Roland pierwszy wejdzie do środka.

Znaleźli się w przedsionku z wyblakłym chodnikiem na podłodze. Przed nimi stało otworem dwoje drzwi. Za nimi widać był spore pomieszczenie z ławkami po obu stronach

i klęcznikami. Na jego przeciwnym końcu znajdowało się podwyższenie i coś, co Roland uznał za mównicę, otoczoną białymi kwiatami w donicach. Ich łagodny zapach unosił się w nieruchomym powietrzu. Rewolwerowiec ujrzał wąskie okna z przezroczystymi szybami. Na ścianie za kazalnica wisiał krzyż z żelaznego drzewa.

Słyszał głos ukrytego skarbu Starego Człowieka, nie w uszach, lecz w kościach. Monotonny cichy pomruk. Podobnie jak róża, to buczenie miało w sobie moc, lecz poza tym w niczym jej nie przypominało. Był to szum bezgranicznej pustki. O otchłani takiej jak ta, której istnienie wszyscy wyczuwali tuż pod powierzchnią nowojorskiej rzeczywistości widzianej w transie. Otchłani, która stała się głosem.

Tak, właśnie to nas przeniosło, pomyślał. Zabrało nas do Nowego Jorku — jednego z wielu Nowych Jorków, według Callahana — ale mogło nas przenieść dokądkolwiek i kiedykolwiek. Mogło nas przenieść... albo cisnąć.

Przypomniał sobie zakończenie długiej dyskusji z Walterem, wśród stosów spopieliałych kości. Wtedy również był w transie — teraz to rozumiał. I miał wrażenie, że rośnie, pęcznieje, aż staje się większy od ziemi, gwiazd i całego wszechświata. Ta moc była tutaj, w tej komnacie, i obawiał się jej.

Może bogowie sprawią, że się nie zbudzi. Lecz jednocześnie pojawiła się w jego głowie myśl jeszcze bardziej niepokojąca: prędzej czy później będą musieli to zbudzić. Prawdopodobnie prędzej czy później będą zmuszeni wykorzystać to coś, aby przenieść się do tego Nowego Jorku, który musieli odwiedzić.

Przy drzwiach stała na stojaku misa z wodą. Callahan zanurzył w niej palce, po czym przeżegnał się.

— Już możesz to robić? — spytał Roland głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

— Tak — odparł Callahan. — Bóg przyjął mnie z powrotem, rewolwerowcze. Chociaż sądzę, że tylko na okres próbny. Rozumiesz?

Roland skinął głową. Wszedł za Callahanem do kościoła, nie zanurzając palców w święconej wodzie.

Callahan poprowadził go środkową nawą i chociaż poruszał się szybko i pewnie, Roland wyczuł, że kapłan jest przestraszony może nawet bardziej niż on. Oczywiście kierowała nim chęć

pozbycia się tego magicznego przedmiotu, ale Roland i tak podziwiał jego odwagę.

Na prawo od kazałnicy znajdowały się trzy wąskie schodki. Callahan dotarł do nich.

— Nie ma potrzeby, żebyś na nie wchodził, Rolandzie. Będiesz dobrze widział z miejsca, gdzie teraz stoisz. Rozumiem, że nie chcesz tego zabrać od razu?

— Nie — odparł Roland.
Obaj mówili szeptem.

— To dobrze. — Callahan przyklęknął. Głośno trzasnęło mu przy tym w kolanie i obaj drgnęli. — Nawet nie dotknę pudełka, w którym to jest, jeśli nie będę musiał. Nie dotykałem go, od kiedy tu to złożyłem. Sam zrobiłem tę skrytkę, prosząc Boga o wybaczenie za to, że używam piły w Jego domu.

— Wyjmij to — powiedział Roland.

Był czujny i spięty, nasłuchując i wypatrując najmniejszej zmiany w tym szumie bezkresnej pustki. Brakowało mu znajomego ciężaru rewolweru na biodrze. Czy ludzie, którzy przechodzili tutaj, żeby się modlić, nie wyczuwali obecności tej straszliwej rzeczy, którą ukrył tu Stary Człowiek? Domyślał się, że nic, inaczej trzymaliby się z daleka. I podejrzewał, że dla czegoś takiego nie było lepszej kryjówki, gdyż w tym miejscu głęboka wiara parafian mogła w pewnym stopniu neutralizować moc kryształu. Mogła nawet tę moc uśpić.

On jednak się zbudzi. Zbudzi się i w mgnieniu oka wyśle ich wszystkich do dziewiętnastu różnych miejsc. Była to bardzo niepokojąca myśl, więc Roland pospiesznie odepchnął ją od siebie. Z całą pewnością pomysł wykorzystania tej mocy do ochrony róży wydawał się kiepskim żartem. Roland walczył zarówno z ludźmi, jak i potworami, ale jeszcze nigdy nie stanął przed czymś takim jak to. Emanujące z kryształu zło było straszne, niewyobrażalne. A zięjąca złowroga pustka znacznie gorsza. Callahan wepchnął kciuk w szczelinę między deskami. Rozległ się cichy szcęk i fragment podłogi odchylił się w górę. Callahan zdjął deski, odsłaniając kwadratowy otwór o mniej więcej półtora-stopowych bokach. Przysiadł na piętach, przyciskając deski do piersi. Szum przybrał na sile. Roland przez chwilę wyobraził sobie gigantyczny rój, z sennie łązącymi pszczołami wielkości wozów. Pochylił się i zajrzał do skrytki Starego Człowieka.

To coś było owinięte w biały materiał, wyglądający na lniany.

— Komża ministranta — wyjaśnił Callahan. I widząc, że Roland nie zna tego słowa, dodał: — To taka szata. — Wzruszył ramionami. — Serce odpowiedziało mi, żeby to coś w nią owinać, więc tak zrobiłem.

— Serce dobrze ci odpowiedziało — szepnął Roland.

Myślał o torbie, którą Jake przyniósł z opuszczonej parceli, o torbie z napisem ANI CHWILI NUDY W ŚWIECIE POŚREDNIM. Będzie im potrzebna, na pewno, ale wolał teraz nie zastanawiać się nad tym, jak tę rzecz przetransportują.

Potem odepchnął od siebie wszelkie myśli i obawy i odwinął materiał. Pod warstwą lnu znalazł drewnianą szkatułkę. Walcząc z lękiem, Roland wyciągnął rękę i dotknął ciemnego, gładkiego drewna. *Będzie w dotyku jak lekko naoliwiony metal*, pomyślał i miał rację. Poczul, jak wstrząsa nim niemal erotyczny dreszcz, gdy to coś ucałowało jego strach, niczym dawno niewidzianego kochanka, i znikło.

— Jest z czarnego żelaznego drzewa — szepnął Roland. — Słyszałem o nim, ale nigdy go nie widziałem.

— W moich *Opowieściach arturiańskich* nazywa się widmowym drzewem — odparł szeptem Callahan.

— Ach tak? Naprawdę?

Z całą pewnością szkatułka roztaczała wokół niesamowitą atmosferę porzuconego przedmiotu, który po długiej wędrówce znalazł chwilowe miejsce spoczynku. Rewolwerowiec chętnie dotknąłby jej ponownie — tego ciemnego, twardego drewna, które przyciągało jego dłoń — lecz usłyszał, że dobiegający ze środka szum lekko przybrał na sile, po czym znów przycichł. *Mądry człowiek nie szturcha kijem śpiącego niedźwiedzia*, przestrzegł sam siebie Roland. Szczera prawda, lecz to go nie powstrzymało. Jeszcze raz lekko dotknął drewna. Zrobił to samymi czubkami palców, a potem je powąchał. Poczul woń kamfory i ognia oraz — byłby gotów przysiąc — kwiatów dalekiej północy, tych kwitnących w śniegu.

Na wieku szkatułki były wyrzeźbione trzy symbole: róża, kamień i drzwi. Poniżej drzwi widniał następujący znak:

Roland ponownie wyciągnął rękę. Callahan poruszył się, jakby chciał go powstrzymać, ale porzucił ten zamiar. Roland dotknął symbolu wyrzeźbionego poniżej drzwi. Szum znowu przybrał na sile — pomruk czarnej kuli ukrytej w szkatułce.

— Nie...? — szepnął i powiódł po wypukłych symbolach opuszką kciuka. — Nie... odkryte?

Nie odczytał tego, raczej wyczuł czubkami palców.

— Tak, jestem pewien, że to właśnie głosi ten znak — odpowiedział szeptem Callahan. Miał zadowoloną minę, ale wciąż ścisnął przegub Rolanda, odciągając jego rękę od skrynek. Kropelki potu perlily mu się na czole i przedramionach. — W pewien sposób ma to sens. Liść, kamień i nieodkryte drzwi. To symbole z książki z mojego świata. Nosi tytuł *Spójrz ku domowi, aniele*.

Liść, kamień i drzwi, pomyślał Roland. *Zastąp liść różą. Tak. Na to wygląda.*

— Zabierzesz go? — zapytał Callahan. Teraz lekko podniósł głos i rewolwerowiec pojął, że to prośba

— Widziałeś go, Pere, prawda?

— Tak. Raz. Jest niewyobrażalnie straszny. Niczym żrenica potwora, który wyrósł tam, gdzie nie sięga cień Pana. Weźmiesz go, rewolwerowcze?

— Tak.

— Kiedy?

Roland usłyszał ciche bicie dzwonów — tak piękne i jednocześnie odrażające, że chciało się zgrzytać zębami. Ściany kościoła Callahana zafalowały. Jakby to coś w szkatułce powiedziało do nich: *Widzicie, jak niewiele to wszystko znaczy? Jak szybko i łatwo mogę to wszystko zabrać, jeśli zechcę? Strzeż się, rewolwerowcze! Strzeż się, szamanie! Otchłań otacza was ze wszystkich stron. Przetrwacie lub wpadniecie w nią, jeśli taki będzie mój kaprys.*

W następnej chwili *kammen* umilkły.

— Kiedy? — Callahan wysunął rękę nad spoczywającą w skrytce szkatułką i chwycił Rolanda za koszulę. — Kiedy?

— Wkrótce — — odparł Roland.

Za szybko, odpowiedziało jego serce.

Rozdział 5

OPOWIEŚĆ O SZARYM DICKU

Zostały dwadzieścia trzy, pomyślał Roland tego wieczoru, siedząc na tyłach Rocking B Eisenharta, słuchając okrzyków chłopców i powarkiwania Ej a. W Gilead taki ganek za głównym budynkiem, zwrócony ku stodołom i polom, nazywano „wypoczynkowym”. *Dwadzieścia trzy dni do przybycia Wilków. A ile, zanim Susannah zacznie rodzić?*

W jego głowie zaczęła się formować okropna myśl. A jeśli Mia, ta nowa *ona* w skórze Susannah, urodzi potwora akurat tego dnia, kiedy pojawią się Wilki? Można by sądzić, że to mało prawdopodobne, lecz zdaniem Eddiego przypadek przestał istnieć. Roland uznał, że Dean ma rację. Z całą pewnością nie byli w stanie oszacować, jak długo będzie trwała ciąża. Nawet gdyby to było ludzkie dziecko, dziewięciomiesięczny okres mógł się skrócić lub wydłużyć. Czas tutaj uległ rozmyciu.

— Chłopcy! — ryknął Eisenhart. — Panie Jezu, co powiem mojej żonie, jeśli pozabijacie się, skacząc z tej stodoły?

— Nic nam nie będzie! — odkrzyknął Benny Slightman. — Andy nie pozwoli, żeby coś nam się stało!

Chłopiec, ubrany w drelichowy kombinezon i bosi, stał w otwartych drzwiach poddasza stodoły, tuż nad wrytym na desce napisem ROCKING B.

— No, chyba że... naprawdę mamy przestać, *sail*

Eisenhart zerknął na Rolanda, który zobaczył Jake'a stojącego tuż za Bennym i niecierpliwie czekającego na swoją kolej. Jake też miał na sobie drelichowy kombinezon — niewątpliwie

pożyczony od nowego przyjaciela — i widząc to, Roland uśmiechnął się. Jake nie był chłopcem, którego kojarzyłoby się z takim strojem.

— Jeśli chcecie wiedzieć, to guzik mnie to obchodzi — rzekł Roland.

— Skaczcie sobie! — krzyknął ranczer. Potem skupił uwagę na kawałkach metalu porozkładanych na deskach. — I jak myślisz? Czy któraś z nich wystrzeli?

Eisenhart przyniósł trzy sztuki broni palnej, składające się na jego arsenał, i dał je Rolandowi do przeglądu. Najlepszy był karabin, z którym ranczer przyjechał do miasta tego wieczoru, kiedy Tian Jaffords zwołał zebranie. Pozostałą bronią były rewolwery. Roland i jego koledzy nazywali je w dzieciństwie „bekami” z powodu olbrzymich bębenków, które po każdym strzale trzeba było obracać kantem dłoni. Roland bez słowa rozebrał na części śmiercionośne żelastwo Eisenharta. Ponownie nalał oleju, tym razem do miseczki, a nie do spodka.

— Pytałem...

— Słyszałem cię, *sai* — przerwał mu Roland. — Twój karabin jest najlepszy, jaki widziałem po tej stronie wielkiego miasta. A rewolwery... — pokręcił głową — ten niklowany być może wystrzeli. Ten drugi równie dobrze możesz zakopać w ziemi. Może wyrośnie z niego coś lepszego.

— Przykro mi to słyszeć — rzekł Eisenhart. — Należały do mojego taty, a przedtem do jego taty i co najmniej tylu przed nim. — Pokazał siedem palców i kciuk. — Były w mojej rodzinie, zanim jeszcze pojawiły się Wilki, wiesz? Zawsze trzymano je razem i w testamencie przekazywano najlepszemu synowi. Kiedy to ja je dostałem, a nie mój starszy brat, byłem bardzo zadowolony.

— Miałeś siostrę bliźniaczkę? — zapytał Roland.

— Taak, Vernę — odparł Eisenhart. Uśmiechał się często i szeroko. Teraz też uśmiechnął się pod krzaczastym wąsem, lecz boleśnie, z miną człowieka, który nie chce okazać, że serce mu krwawi. — Była śliczna jak poranek, bez dwóch zdań. Odeszła mniej więcej dziesięć lat temu. Umarta w męczarniach, jak to często zdarza się pokurom.

— Przykro mi.

— Dzięki.

Słońce zachodziło czerwono na południowym zachodzie, rzucając krwawy blask na podwórze. Na ganku stał rząd bujanych foteli. Eisenhart zasiadł na jednym z nich. Roland ze skrzyżowanymi nogami siedział na deskach, konserwując spadek Eisenharta. Fakt, że z tych rewolwerów zapewne nigdy nie uda się wystrzelić, nie miał żadnego znaczenia dla rewolwerowca, który dawno temu nauczył się czyścić broń i wciąż lubił to uspokajające zajęcie. Z szybkością, która wzbudziła podziw ranczera, Roland z powrotem złożył broń, czemu towarzyszył szereg głośnień szczęknięć i trzasków. Odłożył ją na kawałek owczej skóry, wytarł palce szmatą i usiadł na bujaku obok Eisenharta. Domyślał się, że w zwykłe wieczory Eisenhart i jego żona siadywali tutaj obok siebie, obserwując umykające słońce.

Roland poszukał w kieszeni kapciucha, znalazł go i skręcił sobie papierosa ze świeżego, słodkiego tytoniu, otrzymanego od Callahana. Rosalita dodała prezent od siebie: pęczek cieniutkich kukurydzianych listków, które nazywała „zwickami”. Roland uznał, że są równie dobre jak bibułka, i przez chwilę podziwiał papierosa, zanim przytknął jego koniec do płomienia zapalki, którą Eisenhart zapalił, pocierając nią twardy paznokieć kciuka. Rewolwerowiec zaciągnął się głęboko i wypuścił potężny kłęb dymu, który powoli uniośł się w górę w wieczornym powietrzu, nieruchomym i zaskakująco parnym jak na koniec lata.

— Dobry — mruknął, kiwając głową.

— Tak? Niech ci posłuży. Ja nigdy nie nauczyłem się palić.

Stodoła była znacznie większa od domu, długa na co najmniej pięćdziesiąt jardów i wysoka na pięćdziesiąt stóp. Na jej frontowej ścianie wisały dożynkowe ozdoby, a strachy na wróble o głowach z buraków pełniły przy niej straż. Z otworu nad głównymi drzwiami sterczała solidna belka, do której przywiązano sznur. Na podwórku chłopcy ułożyli spory stos słomy. Ej stał po jednej jego stronie, Andy po drugiej, i patrzyli na Benny'ego Slightmana, który chwycił linę, sprawdził ją szarpnięciem, a potem cofnął się, znikając im z oczu w głębi stryszku. Ej zaczął niecierpliwie czekać. Po chwili Benny pojawił się w otworze, rozczochrany i ściskający w rękach sznur.

— *Gilead i Eld!* — krzyknął, po czym skoczył.

Zatoczył łuk w czerwonym od zachodzącego słońca powietrzu, ciągnąc za sobą swój cień.

— *Ben-Ben!* — zawarczał Ej. — *Ben-Ben-Ben!*

Chłopiec puścił linę, spadł na stertę słomy, znikł w niej i zaraz wyłonił się roześmiany. Andy wyciągnął do niego metalową rękę, lecz Benny zignorował go i zwinnie zeskoczył na twardą ziemię. Ej biegał wokół niego, szczekając.

— Zawsze tak wołają podczas zabawy? — zapytał Roland. Eisenhart parsknął śmiechem.

— Skądże! Zwykle wołają Orizę, Jezusa-Człowieka albo „chwala Calla”, albo wszystkie te okrzyki naraz. Myślę, że wasz chłopak naopowiadał różności chłopakowi Slightmanów.

Roland zignorował lekką dezaprobatę w głosie ranczera, patrząc, jak Jake zwija sznur. Benny leżał na ziemi, udając martwego, dopóki Ej nie polizał go po twarzy. Wtedy usiadł, chichocząc. Roland nie miał cienia wątpliwości, że gdyby chłopiec miał spaść na twardą ziemię, Andy z pewnością złapałby go w powietrze.

Część stodoły była przeznaczona na zagrodę dla liczącego około dwadziestu sztuk stada koni roboczych. Trzej poganiacze w kowbojskich spodniach i butach prowadzili tam kilka ostatnich zwierząt. Po drugiej stronie podwórza znajdowała się zagroda pełna młodych byczków. Za kilka tygodni zostaną zarżnięte i odpłyną rzeką na łodziach handlowych.

Jake cofnął się w głąb stryszku, a potem znów się pojawił.

— *Nowy Jork!* — krzyknął. — *Times Square! Empire State Building! Twin Towers! Statua Wolności!*

I rzucił się w dół, zataczając łuk w powietrze. Patrzyli, jak ze śmiechem znikł w stercie słomy.

— Czy był jakiś szczególny powód, że tych dwoje pozostałych zamieszkało u Jaffordsów? — zapytał Eisenhart. Powiedział to obojętnie, ale Roland odgadł, że bardzo go to interesuje.

— Musieliśmy się rozdzielić. Powinno nas zobaczyć jak najwięcej ludzi. Mamy mało czasu. Trzeba szybko podjąć decyzje.

To wszystko było prawdą, ale chodziło o coś więcej, a Eisenhart zapewne to odgadł. Był bystrzejszy od Overholsera. A także zdecydowanie przeciwny walce z Wilkami — przynajmniej dotychczas. Pomimo to Rolandowi podobał się ten człowiek... postawny, uczciwy, o zdrowym poczuciu humoru. Pomyślał, że

ranczer może jeszcze zmienić zdanie, jeśli dostrzeże szansę zwycięstwa.

Jadąc do Rocking B, odwiedzili kilka małych gospodarstw nad rzeką, gdzie główną uprawą był ryż. Eisenhart dość uprzejmie dokonywał prezentacji. Roland wszędzie zadawał dwa pytania, te same, które zadał poprzedniej nocy pod namiotem: *Czy otworzycie się przed nami, jeśli my otworzymy się przed wami? Czy widzicie w nas tych, którymi jesteśmy, i akceptujecie to, co robimy?* Wszędzie odpowiadano mu twierdząco. Roland wiedział jednak, że lepiej nie zadawać trzeciego pytania. Nie było takiej potrzeby, jeszcze nie. Wciąż mieli przed sobą ponad trzy tygodnie.

— My trwamy, rewolwerowcze — powiedział Eisenhart. — Pomimo ataków Wilków, trwamy. Niegdyś było Gilead, a teraz już go nie ma... o czym nikt nie wie lepiej od ciebie... lecz my wciąż trwamy. Jeśli staniamiy przeciwko Wilkom, to może się zmienić. Dla ciebie i twoich towarzyszy to wszystko, co się dzieje na terenach Półksiężycy, może być równie mało ważne jak pierdnięcie na wietrze. Jeśli zwyciężycie i przeżyjecie, odjedziecie stąd. Jeśli przegracie i zginiecie, my nie mamy dokąd pójść.

— Przecież...

Eisenhart uniósł rękę.

— Wysłuchaj mnie, błagam. Posłuchasz?

Roland z rezygnacją kiwnął głową. Zapewne tak będzie najlepiej. Obaj chłopcy znów wbiegali do stodoły, żeby po raz kolejny skoczyć. Wkrótce zapadający zmrok położył kres tej zabawie. Rewolwerowiec zastanawiał się, jak też poradzili sobie Eddie i Susannah. Czy już rozmawiali z dziadkiem Tiana? A jeśli tak, to czy powiedział im coś istotnego?

— Załóżmy, że przyślą tu pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, tak jak dotychczas. I załóżmy, że załatwimy ich wszystkich. A potem, tydzień lub miesiąc po waszym wyjeździe, wyślą przeciwko nam pięciuset?

Roland zastanowił się nad tym. Tymczasem dołączyła do nich Margaret Eisenhart. Była szczupłą, czterdziestoletnią kobietą o małym biuście. Miała na sobie dżinsy i koszulę z szarego jedwabiu. Jej czarne, upięte w kok włosy przetykały nitki siwizny. Jedną dłoń schowała pod fartuch.

— To dobre pytanie — powiedziała — ale może nie jest to odpowiednia chwila, żeby je zadawać. Daj mu i jego przyjacielom tydzień, niech rozejrzą się i sami zobaczą.

Eisenhart obrzucił swoją małżonkę na pół rozbawionym, na pół zirytowanym spojrzeniem.

— Czy ja ci mówię, co masz robić w kuchni, kobieto? Kiedy masz gotować, a kiedy zmywać?

— Robisz to tylko cztery razy w tygodniu — odparła. A potem, widząc, że siedzący obok jej męża Roland wstaje z fotela, zwróciła się do niego: — Nie, odpoczywaj sobie, proszę. Siedziałam na krześle przez ostatnią godzinę, obierając buraki z Edną, ciotką tego. — Ruchem głowy wskazała na Benny'ego. — Dobrze jest chwilę postać.

Z rozczeniem patrzyła, jak chłopcy skaczą na stertę słomy i lądują na niej ze śmiechem, a Ej biega wokół nich i szczeka.

— Vaughn i ja nigdy przedtem nie próbowaliśmy spojrzeć w twarz tej okropności, Rolandzie. Mieliśmy sześcioro dzieci, same bliźnięta, ale wszystkie dorosły między napadami. Dlatego może nie w pełni rozumiemy sytuację i nie jesteśmy w stanie podjąć takiej decyzji, jakiej od nas oczekujesz.

— Szczęściarz niekoniecznie musi być głupcem — rzekł Eisenhart. — Powiedziałbym, że wprost przeciwnie. Chłodnym okiem więcej widać.

— Być może — odparła, patrząc na wbiegających do stodoły chłopców. Popychali się i zaśmiewali, usiłując jak najprędzej wejść na górę po drabinie. — Może i tak. A jednak serce również ma swoje prawa, a ludzie niesłuchający go są głupcami. Czasem trzeba skoczyć, kiedy jest tak ciemno, że nie widać, czy na dole jest słoma, czy nie.

Roland wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

— Sam nie ująłbym tego lepiej.

Obdarzyła go nikłym, roztargnionym uśmiechem. Zaraz znowu skupiła uwagę na chłopcach, lecz to wystarczyło, żeby Roland zrozumiał, iż była bardzo przestraszona. Wręcz przerażona.

— Ben, Jake! — zawołała. — Dosyć zabawy! Czas umyć się i zjeść kolację. Dla tych, którzy jeszcze mogą jeść, jest ciasto z kremem!

Ben stanął w drzwiczkach.

— Mój tata mówi, że możemy nocować w moim namiocie na urwisku, *sai*, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Margaret Eisenhart spojrzała na męża. Ten skinął głową.

— W porządku — powiedziała. — Zatem do namiotu i czujcie się dobrze, ale jeśli chcecie dostać ciastko, to przyjdźcie tu teraz! To ostatnie ostrzeżenie! I umyćcie się przed jedzeniem! Ręce i buzie!

— Tak, dzięki ci, *sai* — odparł Ben. — Czy Ej dostanie ciasta?

Margaret Eisenhart klepnęła się lewą dłonią w czoło, jakby zabijała komara. Jej prawa dłoń, co z zainteresowaniem zauważył Roland, pozostała wsunięta pod fartuch.

— No tak, ciasto dla bumblebera, który z pewnością jest Arthurem Eldem w przebraniu i nagrodzi mnie za to klejnotami oraz złotem i swym uzdrawiającym dotknięciem.

— Dzięki, *sai*! — zawołał Jake. — Możemy skoczyć jeszcze raz? To najszybsza droga na dół.

— Złapię ich, jeśli polecą w bok, Margaret-sa/ — obiecał Andy.

Jego oczy błysnęły niebiesko i zgasły. Wydawało się, że się uśmiecha. Roland odniósł wrażenie, że robot ma dwie osobowości: starej panny i nieszkodliwej babuni. Rewolwerowcowi nie podobały się obie, i doskonale wiedział dlaczego. Nauczył się nie ufać wszelkim maszynom, a szczególnie tym, które chodziły i mówiły.

— No cóż — zauważył Eisenhart — nogę zazwyczaj łamię się przy ostatnim skoku, ale skoro musicie...

Skoczyli i nie połamali nóg. Obaj chłopcy trafili prosto w stertę słomy, wynurzyli się z niej ze śmiechem, patrząc na siebie, a potem pomknęli do kuchni, a Ej za nimi. Jak pies pasterski.

— To cudowne, jak szybko dzieci nawiązują przyjaźnie — powiedziała Margaret Eisenhart, lecz nie wyglądała jak ktoś rozmyślający o czymś cudownym. Miała smutną minę.

— Tak — przytaknął Roland. — To cudowne. — Położył swoją torbę na kolanach i wydawało się, że zaraz rozwiąże węzeł trzymający rzemyki, ale nie zrobił tego. — Z czym wasi ludzie lepiej sobie radzą? — zapytał Eisenharta. — Z łukiem czy kuszą? Bo na pewno nie z karabinem i rewolwerem.

— Wolimy kusze — odrzekł Eisenhart. — Założyć bełt, napiąć kuszę, wycelować, strzelić i po wszystkim.

Roland skinął głową. Właśnie tego się spodziewał. Niedobrze, bo kusza rzadko bywa skuteczna na odległość większą niż dwadzieścia pięć jardów, w dodatku w bezwietrzny dzień. Kiedy wieje silna bryza... albo, niech bogowie mają nas w opiece, zrywa się wichur...

Eisenhart spoglądał na żonę. Patrzył na nią z czymś w rodzaju niechętnego podziwu. A ona stała, z uniesionymi brwiami, spoglądając na swego męża. Pytająco. O co chodziło? Najwidoczniej miało to coś wspólnego z ręką skrytą pod fartuchem.

— Do licha, powiedz mu — rzekł Eisenhart. Potem niemal gniewnie wycelował palec w Rolanda, jak lufę rewolweru. — Przecież to niczego nie zmienia. Niczego! Dzięki ci!

Ostatnie słowa wypowiedział z wargami ściągniętymi w krzywym uśmiechu. Roland nie miał pojęcia, o co im chodzi, ale błysnął mu promyczek nadziei. Może się łudził, zapewne tak, lecz wszystko lepsze od niepokoju i niepewności, które razem z bólem stawów miały dręczyć go później.

— Nieee — odrzekła Margaret, z drażniącą skromnością. — To nie do mnie należy. Może mogłabym pokazać, ale nie powiedzieć.

Eisenhart westchnął, namyślił się.

— Tańczyłeś taniec ryżu — powiedział po chwili — więc znasz Panią Ryżu.

Rewolwerowiec skinął głową. Pani Ryżu w niektórych strojach była uważana za boginię, w innych za bohaterkę, a w jeszcze innych za obie naraz.

— I wiesz, jak poradziła sobie z Szarym Dickiem, który zabił jej ojca?

Roland ponownie skinął głową.

2

Według opowieści — bardzo dobrej, historii, którą będzie musiał opowiedzieć Eddiemu, Susannah i Jake'owi, kiedy (i jeśli) będą mieli trochę czasu na opowiadanie — Pani Ryżu zaprosiła Szarego Dicka, słynnego księcia banitów, na huczną

biesiadę w Waydon, jej zamku nad rzeką Send. Powiedziała, że chce mu wybaczyć to, że zamordował jej ojca, gdyż przyjęła do swego serca Jezusa-Człowieka, który tak każde czynić.

— Gdybym był taki głupi i przybył, schwytałabyś mnie i zabiła — powiedział Szary Dick.

— Nie, nie — zaprzeczyła Pani Ryżu — w żadnym razie. Wszelka broń zostanie za murami zamku. A kiedy zasiądziemy w sali biesiadnej, będziemy w niej sami, ty na jednym końcu stołu, a ja na drugim.

— Schowasz sztylet w rękawie albo *bola* pod suknią—rzekł Szary Dick. — A jeśli nie ty, to ja to zrobię.

— Nie, nie — powiedziała Pani Ryżu — w żadnym razie, gdyż oboje będziemy nadzy.

Gdy to usłyszał, Szary Dick poczuł pożądanie, bo Pani Ryżu była urodziwa. Podniecała go myśl, że członek stanie mu na widok jej nagich piersi i łona, i nie będzie miał na sobie bryczesów, które skryłyby jego podniecenie przed jej dziewiczym wzrokiem. I wydało mu się, że rozumie, dlaczego złożyła mu taką propozycję. *Zgubi go jego własna pycha*, powiedziała Pani Ryżu do swej dworki (która zwała się Marian i przeżyła wiele wspaniałych przygód).

Pani Ryżu miała rację. *Zabiłem lorda Zielonolistnego, naj-mądrzejszego lorda w nadrzecznych baroniach*, powiedział do siebie Szary Dick. *I któż pozostał, żeby go pomścić, poza jedną słabą córką? (Ale jakże urodziwą!). No więc chce pokoju. Może nawet małżeństwa, jeśli ma nie tylko urodę, lecz także odwagę i wyobraźnię.*

A zatem przyjął zaproszenie. Zanim przyjechał, jego ludzie przeszukali salę biesiadną na parterze i nie znaleźli żadnej broni — na stole, pod stołem, pod gobelinami. Nikt z nich nie wiedział, że przez długie tygodnie przed ucztą Pani Ryżu ćwiczyła rzucanie specjalnie obciążonym talerzem. Robiła to całymi godzinami. Była dobrze zbudowana i miała celne oko. Ponadto z całego serca nienawidziła Szarego Dicka i postanowiła odplacić mu za wszelką cenę.

Talerz był nie tylko ciężki, ale miał też zaostrzoną krawędź. Ludzie Dicka przeoczyli to, zgodnie z jej i Marian przewidywaniami. Zaczęli ucztę; jakże dziwna musiała to być biesiada: na jednym końcu stołu roześmiany, przystojny, nagi banita,

a trzydzieści stóp dalej, na drugim końcu, wstydliwie uśmiechnięta, lecz niezwykle piękna panna, również naga. Wznosili toasty najlepszym winem lorda Zielonolistnego. Panią Ryżu doprowadzał do szału widok banity wlewającego w siebie ten wspaniały trunek, jakby to była woda, i szkarłatnych kropli ściekających mu po brodzie i spadających na włochatą pierś, ale niczego nie dała po sobie poznać, tylko uśmiechała się kokieteryjnie i sączyła wino ze swojego pucharu. Czuła ciężkie spojrzenia na swoich piersiach. Jakby jakieś nieprzyjemne owady przechadzały się po jej skórze.

Jak długo to trwało? Niektórzy gawędziarze twierdzą, że pozbawiła Szarego Dicka życia po drugim toaście. (On: *Niechaj twa uroda nigdy nie przemija*. Ona: *Niech twój pierwszy dzień w piekle trwa dziesięć tysięcy lat i będzie najkrótszym*). Inni — gaduły lubiące zwlekać z wyjaśnieniem zagadki — opisywali złożony z dwunastu dań posiłek, po którym Pani Ryżu chwyciła swój specjalny talerz, patrząc Szaremu Dickowi w oczy i uśmiechając się do niego, a jednocześnie obracając talerz w palcach i szukając tego miejsca, w którym krawędź była tępa i można było bezpiecznie go uchwycić.

Obojętnie, jak długa jest ta opowieść, zawsze kończy się tak samo: Pani Ryżu rzuca talerzem. Ten ma pod spodem, tuż pod krawędzią, wyrzeźbione bruzdy, dzięki którym nie koziółkuje w powietrzu. Leci prosto, z upiornym świstem, rzucając swój cień na pieczoną wieprzowinę i indyka, na sterty warzyw, na piramidy świeżych owoców, ułożonych na kryształowych tacach.

I chwilę po tym, jak posłała talerz lekko wznoszącym się lotem, gdy jej ręka jeszcze jest wyciągnięta, a wskazujący palec i kciuk skierowane na zabójcę ojca, głowa Szarego Dicka spada z ramion i toczy się przez otwarte drzwi do przedsiönka. Przez moment ciało Szarego Dicka stoi wyprostowane, z peni-sem wycelowanym w nią w niemy oskarżeniu. Potem członek wiotczeje i jego właściciel z łoskotem pada na wielki kawał rostbefu i górę ryżu z przyprawami.

Pani Ryżu, którą Rolandowi podczas jego wędrówek czasem opisywano jako Panią z Talerzem, chwyciła kielich i wzniosła toast.

— Niechaj twój pierwszy dzień w piekle trwa dziesięć tysięcy lat — mruknął Roland.

Margaret skinęła głową.

— Tak, i niech będzie najkrótszy. Straszliwy toast, ale chętnie wzniosłabym go za wszystkie Wilki. Wszystkie razem i każdego z osobna! — Zaciśnęła dłoń. W gasnącym czerwonym blasku wyglądała na rozgorączkowaną i chorą. — Mieliliśmy sześcioro, wiesz. Równe pół tuzina. Czy powiedział ci, dlaczego żadnego tu nie ma, czemu nie pomagają nam przy żniwach i zarzynaniu byczków? Czy wyjaśnił ci to, rewolwerowcze?

— Margaret, nie trzeba—rzekł Eisenhart. Wiercił się na fotelu.

— Może jednak trzeba. To wiąże się z tym, o czym mówiliśmy przedtem. Może płaci się za zaniedbania, czasem jednak trzeba zapłacić wyższą cenę za troskę. Nasze dzieci rosły wolne i bezpieczne, nie obawiając się Wilków. Moją pierwszą dwójkę, Toma i Tessę, urodziłam niecały miesiąc przed ich ostatnią wizytą. Potem następnych, jak groszki w strączku. Najmłodsze były zaledwie piętnastoletnie, wiesz?

— Margaret...

Nie zwróciła na niego uwagi.

— Nie miałyby tyle szczęścia ze swoimi dziećmi i wiedziały o tym. Dlatego odeszły. Niektóre daleko na północ Łuku, inne daleko na południe. Szukając miejsca, gdzie nie ma Wilków. — Odwróciła się do Eisenharta i chociaż mówiła do Rolanda, to kończąc swoją wypowiedź, spoglądała na męża. — Jedno z dwojga... tak zabierają Wilki, kiedy przybywają raz na dwa-dzieścia parę lat, od bardzo dawna. Tylko nie nam. Nam odebrali wszystkie nasze dzieci. Co do jednego. — Pochyliła się i z emfazą klepnęła go w nogę powyżej kolana. — Rozumiesz?

Na ganku zapadła cisza. Skazane na śmierć byczki smętnie muczwały w zagrodzie. Z kuchni dolatywał chłopięcy śmiech po jakiejś uwadze Andy'ego.

Eisenhart opuścił głowę. Roland widział tylko bujne wąsy, ale nie musiał patrzeć na jego twarz, aby wiedzieć, że ranczer płacze albo powstrzymuje łzy.

— Nie sprawiłabym ci przykrości za cały ryż Łuku. — Margaret pogłaskała czule męża po ramieniu. — Nasze dzieci

mian swojej broni, Rolandzie. Sądzę, że jeśli Vaughn obdarzył cię zaufaniem, ja także mogę ci zaufać i powierzyć moją Panią Ryżu. Uważaj jednak, abyś nie stracił palca, na co chyba nie bardzo możesz sobie pozwolić, bo widzę, że u prawej ręki brakuje ci już dwóch.

Wystarczył mu jeden rzut oka na talerz — Panią Ryżu — aby przekonać się, jak słuszne było to ostrzeżenie. Jednocześnie poczuł dreszcz podniecenia i satysfakcji. Minęły lata od czasu, kiedy widział jakąś nową broń, która była coś warta, a z taką jak ta, jeszcze nigdy się nie spotkał.

Talerz był z metalu, a nie ze szkła — z jakiegoś lekkiego i wytrzymałego stopu. Miał wielkość zwyczajnego talerza o średnicy stopy (może odrobinę większej). Trzy czwarte krawędzi było ostre jak brzytwa.

— Nawet w pośpiechu łatwo znaleźć miejsce, gdzie trzeba go uchwycić — wyjaśniła Margaret. — Bo widzisz...

— Tak — odparł ze szczerym podziwem Roland.

Dwie krzyżujące się łodygi ryżu tworzyły Wysoką Literę JZn., oznaczającą *zi* (wieczność) i *teraz*. W miejscu, gdzie się krzyżowały (tylko bystre oko mogło dostrzec to w biegnącym wokół wzorze), krawędź talerza była nie tylko tępą, ale nieco grubsza, zapewniając dogodny chwyt.

Roland odwrócił talerz. Pod spodem, na środku, zobaczył metalowe wybrzuszenie. Jake'owi przypominałoby plastikową temperówkę, którą jako pierwszoklasista nosił w kieszeni do szkoły. Rolandowi, który nigdy nie widział temperówki, kojarzyło się ze skorupajeczka, które właśnie opuścił jego lokator.

— To wydaje świst, kiedy talerz leci w powietrzu — wyjaśniła.

Zauważyła niekłamany podziw Rolanda i zareagowała na to rumieńcem oraz błyskiem w oczach. Roland niejednokrotnie słyszał takie ochocze wyjaśnienia, lecz nie w ciągu ostatnich lat.

— Nie ma żadnego innego zastosowania?

— Żadnego — odparła. — Talerz jednak musi świszcząć, bo tak głosi opowieść, prawda?

Roland kiwnął głową. Oczywiście.

Siostry Pani Ryżu, wyjaśniła Margaret Eisenhart, to grupa kobiet, które lubią pomagać innym...

— I plotkować jak najęte — warknął dobrodusznie Eisenhart.
— To też — przyznała.

Gotowały dla gości na pogrzebach i festynach (to Siostry przygotowały jedzenie na bankiet, który poprzedniego wieczoru odbył się pod namiotem). Czasem zajmowały się szyciem i darcie pierza, gdy jakaś rodzina straciła swój dobytek w wyniku pożaru lub powodzi, które co sześć lub osiem lat zatapiały małe gospodarstwa leżące najbliżej Devar-Tete Whye. To Siostry utrzymywały porządek pod namiotem i w miejskiej sali zgromadzeń, a także wokół tych miejsc. Urządzały wieczorki taneczne dla młodzieży i pełniły podczas nich funkcję przyzwoitek. Czasami bywały wynajmowane przez bogatych ludzi („takich jak Tookowie i inni podobni do nich, wiesz”) do obsługi wesel, które zawsze doskonale się udawały i o których rozprawiano potem miesiącami. Margaret nie zaprzeczała, że czasem plotkują, a także grają w karty, punkty i zamki.

— I rzucacie talerzami — dopowiedział Roland.

— Ano — potwierdziła — ale musisz zrozumieć, że robimy to tylko dla zabawy. Polowania to rozrywka dla mężczyzn, a oni dobrze sobie radzą z kuszami.

Znów pogłaskała męża po ramieniu, zdaniem Rolanda trochę nerwowo. Doszedł do wniosku, że gdyby mężczyźni naprawdę dobrze sobie radzili z kuszami, nie przyszlaby tutaj z tym ślicznym, śmiercionośnym przedmiotem pod fartuchem. A Eisenhart nie zachęcałby jej do tych wyznań.

Roland otworzył kapciuch, wyjął jeden „zwitek”, który dostał od Rosality, i dotknął nim ostrego brzegu talerza. W następnej chwili listek kukurydzy opadł na deski ganku, przecięty na dwie połowy. *Tylko dla zabawy*, pomyślał Roland i o mało się nie uśmiechnął.

— Co to za metal? — zapytał. — Wiesz?

Lekko uniosła brwi, gdy zwrócił się do niej w tak bezpośredni sposób, ale nie skomentowała tego.

— Andy nazywa go tytanem. Pochodzi z wielkiego budynku starej fabryki, daleko na północy, w Calla Sen Chre. Jest tam wiele ruin. Nigdy nie byłam w tym miejscu, ale słyszałam o nim różne opowieści. Jest niesamowite.

Roland skinął głową.

... — A te talerze... kto je wyrabia? Andy?

Przecząco pokręciła głową.

— On nie umie lub nie chce, nie wiem. Robią je kobiety z Calla Sen Chre i rozsyłają po wszystkich okolicznych Calla. Aczkolwiek sędzę, że ich produkty nie docierają dalej niż do Divine na południu.

— Robią je kobiety — zastanawiał się głośno Roland. — Kobiety.

— Gdzieś musi być maszyna, która produkuje te talerze, to wszystko — powiedział Eisenhart. Lekko urażony ton jego głosu rozbałił Rolanda. — Pewnie wystarczy tylko nacisnąć guzik.

Margaret, spoglądająca na niego z typowo kobiecym uśmiechem, nie zareagowała na to, nie potwierdziła i nie zaprzeczyła. Może nie wiedziała, lecz z pewnością znała się na małżeńskiej dyplomacji.

— Zatem Siostry są na północ i na południe stąd, wzdłuż całego Łuku — rzekł Roland. — I wszystkie umieją rzucać talerzami.

— Tak, od Calla Sen Chre po Calla Divine na południe od nas. Nie wiem, jak jest dalej na południu i północy. Lubimy pomagać i rozmawiać. Rzucamy talerzami raz w miesiącu, upamiętniając to, co Pani Ryżu zrobiła Szaremu Dickowi, ale tylko niektóre z nas są w tym naprawdę dobre.

— A ty jesteś w tym dobra, *sail*
Milczała, lekko przygryzając wargę.

— Pokaż mu — burknął Eisenhart. — Pokaż mu i skończmy z tym.

5

Zeszli po schodkach. Żona ranczera szła pierwsza, Eisenhart za nią, a Roland na końcu. Za nimi kuchenne drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

— Rany boskie, pani Eisenhart będzie rzucała talerzem! — zawołał radośnie Benny Slightman. — Jake! Nie uwierzysz własnym oczom!

— Odeślij ich, Vaughn — powiedziała. — Nie powinni na to patrzeć.

— Nie, daj im popatrzeć — rzekł Eisenhart. — To nie zaszkodzi, jeśli chłopiec zobaczy, jak kobieta dobrze sobie radzi.

— Odeślij ich, Rolandzie, dobrze?

Spojrzała na niego, zaczerwieniona, zmieszana i śliczna.

Rolandowi wydała się dziesięć lat młodsza niż w chwili, gdy wszedł na ganek. Zastanawiał się, jak w takim stanie poradzi sobie z rzucaniem. Bardzo chciał to zobaczyć, gdyż atak z zaskoczenia to brutalna walka, wymagająca szybkości i nadzwyczajnego opanowania.

— Twój mąż ma rację — odparł. — Niech zostaną.

— Jak chcecie.

Roland widział, że była z tego zadowolona, chciała mieć widownię. To budziło nadzieję. Coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że ta ładna kobieta w średnim wieku, o małym biuście i przyprószonych siwizną włosach, ma serce myśliwego. Nie rewolwerowca, ale w obecnej sytuacji zadowoliliby się choćby kilkoma myśliwymi dowolnej płci — byle tylko umieli zabijać.

Szła w kierunku stodoły. Kiedy znaleźli się pięćdziesiąt jardów od kukieł stojących po obu stronach wrót, Roland zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

— Nie — zaprotestowała. — To za daleko.

— Widywałem, jak rzucałaś znacznie dalej — powiedział Eisenhart i bez zmruczenia oka wytrzymał jej gniewne spojrzenie. — Naprawdę.

— Wtedy nie stał przy mnie rewolwerowiec będący potomkiem Elda — odparła, lecz nie ruszyła się z miejsca.

Roland podszedł do wrót stodoły i zdjął uśmiechniętą buraczaną głowę z ramion kukły po lewej stronie. Wszedł do środka. Zobaczył przegrodę pełną świeżo wykopanych buraków, a obok drugą, z ziemniakami. Wziął ziemniak i umieścił go na ramionach kukły, w miejsce buraka. Ziemniak był spory, a mimo to strach na wróble wyglądał teraz zabawnie, jak kukła Pana Groszkogłowego na ulicznym festynie.

— Och, Rolandzie, nie! — zawołała szczerze wstrząśnięta. — Nie trafię!

— Nie wierzę ci — odparł i odsunął się na bok. — Rzucaj.

Przez moment myślał, że tego nie zrobi. Szukała wzrokiem męża. Roland pomyślał, że gdyby Eisenhart stał przy niej, wcisnęłaby mu talerz w ręce i uciekła do domu, nie zważając

na to, czy mąż pokaleczy sobie palce. Lecz Vaughn Eisenhart wycofał się na schody ganku. Chłopcy stali za nim. Benny Slightman patrzył z zaciekawieniem, Jake uważnie, ze zmarszczonymi brwiami i poważną miną.

— Rolandzie, ja...

— Proszę, *sai*, nic nie mów. Twoja opowieść o staraniach była bardzo zajmująca, teraz jednak pora działać. Rzucaj.

Styszac to, drgnęła i szeroko otworzyła oczy, jakby ją spoliczkował. Potem odwróciła się twarzą do stodoły i uniosła prawą rękę nad lewe ramię. Talerz lśnił w ostatnich promieniach słońca, bardziej różowych niż czerwonych. Zaciśnęła wargi. Wydawało się, że cały świat zastygł na moment.

— *Riza!* — krzyknęła przenikliwie i gniewnie, gwałtownie prostując rękę. Otworzyła dłoń i skierowała wskazujący palec dokładnie w tym kierunku, w jakim miał polecieć talerz. Pośród wszystkich, którzy znaleźli się na podwórzu (kowboje także przystanęli, żeby to zobaczyć) tylko Roland miał dostatecznie bystry wzrok, aby prześledzić jego lot.

Celny rzut! — triumfował w duchu. *Celny!*

Talerz z przeciągłym jękiem przeleciał nad zakurczonym podwórzem. Niecałe dwie sekundy po tym, jak wypuściła go z ręki, przeciął ziemniak na dwie połowy, które upadły po obu stronach kukły. Sam talerz wbił się w drewniane wrota stodoły.

Chłopcy zaczęli wiwatować. Benny uniosł rękę, jak nauczył go nowy przyjaciel, i Jake przybił mu piątkę.

— Wspaniała robota, *sai* Eisenhart! — zawołał Jake.

— Co za rzut! Piękne dzięki! — dodał Benny.

Roland zauważył, że entuzjastyczne pochwały sprawiły, iż kobieta ściągnęła wargi, odsłaniając zęby — jak koń na widok węża.

— Chłopcy — powiedział. — Na waszym miejscu wróciłbym do domu.

Benny przyjął to ze zdziwieniem, lecz Jake ponownie rzucił okiem na Margaret Eisenhart i zrozumiał. Robisz to, co musisz... reakcja przychodzi z opóźnieniem.

— Chodź, Ben — zwrócił się do swego kompana.

— Przecież...

— Chodź. — Jake chwycił nowego przyjaciela za rękaw koszuli i pociągnął w stronę kuchennych drzwi.

Roland pozwolił jej chwilę stać w miejscu, ze spuszczoną głową, i dygotać. Na policzkach miała jeszcze rumieńce, lecz poza tym była biała jak kreda. Miał wrażenie, że powstrzymała mdłości.

Podszedł do wrót stodoły, złapał za tępą krawędź talerza i pociągnął. Zdziwiło go, ile musiał włożyć w to siły, zanim talerz najpierw drgnął, a potem dał się wyciągnąć. Roland wrócił do kobiety.

— Twoja broń — wysunął do niej rękę.

Przez moment nawet nie drgnęła, tylko patrzyła na niego z uczuciem zbliżonym do nienawiści.

— Dlaczego ze mnie drwisz, Rolandzie? Skąd wiedziałeś, że pochodzę z klanu Mannich? Powiedz nam, proszę.

To dzięki róży — intuicji, jaką obdarzyło go dotknięcie róży — a także rysom jej twarzy, będącej kobiecą wersją oblicza starego Henchicka. Lecz to nie jej sprawa, skąd o tym wie.

Potrząsnął głową.

— Nie. I wcale z ciebie nie drwię.

Margaret Eisenhart nagle zarzuciła mu rękę na szyję. Dłonie miała suche i tak ciepłe, że wydawało się, że ma gorączkę. Przynęła lekko drżące wargi do jego ucha. Miał wrażenie, że wyczuwa każdy zły sen, jaki nawiedził ją, od kiedy postanowiła opuścić swoich i wyjść za bogatego ranczera z Calla Bryn Sturgis.

— Widziałam, jak zeszłej nocy rozmawiałeś z Henchickiem — wyszeptwała. — Będziesz znowu z nim rozmawiał? Będziesz, prawda?

Roland skinął głową, zaskoczony uściskiem. Jego siłą. Podmuchami jej oddechu, muskającymi jego ucho. Czy w głębi każdej duszy, nawet takiej kobiety jak ta, kryje się szaleństwo? Nie wiedział.

— Tak się cieszę. Piękne dzięki. Powiedz mu, że Margaret z klanu Redpath jest dobrze z jej poganinem, bardzo dobrze. — Ścisnęła go jeszcze mocniej. — Powiedz mu, że ona niczego nie żałuje! Zrobisz to dla mnie?

— Tak, pani, skoro tego chcesz.

Wyrwała mu talerz, nie obawiając się śmiercionośnego ostrza. Mając go w ręku, uspokoiła się. Spojrzała na Rolanda oczami, w których błyszczały łzy.

— Czy rozmawiałeś z moim ojcem o jaskini? O Jaskini Przejścia?

Roland skinął głową.

— Co chcesz na nas ściągnąć, człowieku z bronią?

Eisenhart dołączył do nich. Niepewnie spojrzął na żonę, która dla niego porzuciła swoich. Przez chwilę patrzyła na męża jak na kogoś obcego.

— Robię tylko to, co nakazuje mi *ka* — powiedział Roland.

— *Ka!* — zawołała, krzywiąc usta. Szyderczy grymas zmienił nie do poznania jej urodziwą twarz. Chłopcy przestraszyli się jej. — Wymówka każdego awanturnika! Wsadź sobie ją w tyłek!

— Zrobię to, co nakazuje *ka*, i wy również — rzekł Roland.

Spojrziała na niego, jakby nie rozumiała. Roland ujął jej ciepłą dłoń i ścisnął mocno, ale nie tak, żeby ją zabolalo.

— Wy również.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem opuściła wzrok.

— Ano — mruknęła. — Ano tak, my też. — Ponownie odważyła się na niego spojrzeć. — Przekażesz moją wiadomość Henchickowi?

— Tak, pani, już powiedziałem.

Na ciemnym podwórzu panowała cisza, przerywana tylko nawoływaniem wilgi. Kowboje wciąż stali oparci o płot zagrody dla koni. Roland podszedł do nich.

— Dobry wieczór, panowie.

— Mamy nadzieję, że dobrze się pan ma — odparł jeden i dotknął czoła.

— I wy również — powiedział Roland. — Pani rzuciła talerzem i zrobiła to dobrze, prawda?

— Dzięki Bogu — przytaknął drugi. — Ani trochę nie zardzewiała.

— Ani trochę — zgodził się Roland. — Powiem wam jeszcze coś, panowie. Coś, co dobrze schowacie sobie pod kapeluszami, jak powiadają.

Popatrzyli na niego czujnie. Roland z uśmiechem spojrzął na niebo. Potem znowu na nich.

— Słuchajcie uważnie. Pewnie chcielibyście o tym mówić. Opowiadać, co widzieliście.

Obserwowali go ostrożnie, nie chcąc się do tego przyznać.

— Jeśli będziecie o tym gadać, pozabijam was — oznajmił Roland. — Rozumiecie?

Eisenhart położył dłoń na jego ramieniu.

— Rolandzie, na pewno...

Rewolwerowiec, nie patrząc na niego, strącił jego rękę.

— Rozumiecie?

Skinęli głowami.

— I wierzycie mi?

Ponownie skinęli głowami. Wyglądali na wystraszonych. Roland był zadowolony. Mieli powody.

— Dziękuję wam.

— Dziękuję ci — odpowiedział jeden z nich. Pocił się.

— Ano — dodał drugi.

— Wielkie dzięki — rzekł trzeci i nerwowo splunął brązową od tytoniu śliną.

Eisenhart spróbował ponownie.

— Rolandzie, posłuchaj, proszę...

Rewolwerowiec jednak nie słuchał go. Właśnie przyszło mu do głowy kilka nowych pomysłów. Teraz już wiedział, jaką powinni obrać drogę. Przynajmniej po tej stronie bariery.

— Gdzie jest robot? — zapytał ranczera.

— Andy? Chyba poszedł do kuchni z chłopakami.

— Doskonale. Czy jest tam jakieś pomieszczenie na zapleczu? — Ruchem głowy wskazał stodołę.

— Ano.

— Chodźmy tam. Ty, ja i twoja pani.

— Wolałbym na chwilę zabrać ją do domu — powiedział Eisenhart.

Wolałbym zabrać ją jak najdalej od ciebie, wyczytał w jego oczach Roland.

— Nasza rozmowa nie potrwa długo — obiecał z przekonaniem.

Widział już wszystko, co chciał zobaczyć.

6

W pomieszczeniu na zapleczu było tylko jedno krzesło, to stojące za biurkiem. Usiadła na nim Margaret. Eisenhart usiadł

na zydelku. Roland przykucnął, opierając się plecami o ścianę, po czym otworzył swoją torbę. Pokazał gospodarzom mapę narysowaną przez bliźniaki. Eisenhart nie od razu zrozumiał, co Roland mu pokazuje (być może nie zrozumiał do końca), ale kobieta pojęła natychmiast. Roland pomyślał, iż nie dziwi go to, że nie została wśród Mannich. Ci byli nastawieni pokojowo. Margaret Eisenhart nie. W każdym razie nie w głębi serca.

— Zatrzymacie to dla siebie — powiedział.

— Albo zabijesz nas, tak jak naszych kowbojów? — zapytała.

Roland zmierzył ją spokojnym spojrzeniem, pod którym zarumieniła się.

— Przepraszam, Rolandzie, jestem wzburzona. To skutek rzucania talerzem w gniewie.

Eisenhart objął ją. Tym razem przyjęła ten gest z wdzięcznością i wsparła głowę na jego ramieniu.

— Kto jeszcze w waszej grupie umie tak dobrze rzucać? — spytał Roland. — Czy jest ktoś taki?

— Zalia Jaffords — odparła bez namysłu.

— Naprawdę?

Energicznie skinęła głową.

— Zalia trafiłaby w ten ziemniak dziesięć razy na dziesięć, w dodatku stojąc dwadzieścia kroków dalej.

— Jeszcze ktoś?

— Sarey Adams, żona Diega. I Rosalita Munoz. Słyszając to, Roland uniósł brwi.

— Tak — potwierdziła. — Ona jest prawie równie dobra jak Zalia. — A po namyśle dodała: — I chyba jak ja.

Roland poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu ogromny ciężar z ramion. Myślał już, że będą musieli sprowadzić jakąś broń z Nowego Jorku albo poszukać jej na wschodnim brzegu rzeki. Teraz wyglądało na to, że to nie będzie potrzebne. Doskonale. W Nowym Jorku mieli do załatwienia coś innego, coś, co wiązało się z Calvinem Towerem. Nie chciał mieszać tych dwóch spraw, jeśli nie będzie musiał.

— Spotkam się z wami czterema na plebanii Starego Człowieka. Tylko z wami czterema. — Zerknął na Eisenharta, a potem znów na jego *sai*. — Bez mężów.

— Do diabła, zaczekaj chwilę — zaprotestował Eisenhart.

Roland podniósł rękę.

— Jeszcze nic nie zostało przesądzone.

— I właśnie to mi się nie podoba — rzekł Eisenhart.

— Uciszyć się na chwilę — poprosiła go żona. — Kiedy chcesz się z nami spotkać?

Roland zastanowił się. Zostały dwadzieścia cztery dni, może tylko dwadzieścia trzy, a było tak wiele do zrobienia. I ta rzecz ukryta w kościele Starego Człowieka... z nią też trzeba coś zrobić. I stary Manni, Henchick...

Wiedział, że w końcu nadejdzie ten dzień i wydarzenia potoczą się z szokującą szybkością. Zawsze tak było. Pięć minut, może dziesięć, i będzie po wszystkim, na dobre czy złe.

Chodzi o to, żeby być przygotowanym na te pięć minut.

— Za dziesięć dni — powiedział. — Wieczorem. Chciałbym zobaczyć zawody między wami czterema.

— W porządku. Tyle możemy zrobić. Ale... Rolandzie, ja nie rzucę ani jednego talerza i nawet nie kiwnę palcem, jeśli mój mąż się nie zgodzi, żebyśmy walczyli z Wilkami.

— Rozumiem — odparł Roland, dobrze wiedząc, że ona wykona jego polecenie, czyje się to będzie podobało, czy nie. Gdy przyjdzie czas, wszyscy będą go słuchać.

W ścianie było tylko jedno okienko, brudne i zasnutę pajęczynami, zdołali jednak dostrzec Andy'ego, który maszerował przez podwórze, raz po raz błyskając elektrycznymi oczami w zapadającym mroku. Mamrotał coś do siebie.

— Eddie mówi, że roboty są zaprogramowane na wykonywanie pewnych zadań — rzekł. — Czy Andy robi to, co mu każecie?

— Przeważnie tak — odparł Eisenhart. — Nie zawsze. I nie zawsze jest w pobliżu.

— Trudno uwierzyć, że zbudowano go do śpiewania głupich piosenek i układania horoskopów — głośno myślał Roland.

— Może Dawni Ludzie wymyślili mu takie hobby — powiedziała Margaret Eisenhart — i teraz to go głównie zajmuje, bo już nie może wykonywać swoich podstawowych zadań, no wiesz, zupełnie o nich zapomniawszy w ciągu wieków.

— Myślicie, że zrobili go Dawni Ludzie?

— A któż by inny? — zapytał Vaughn Eisenhart.

Andy już znikł i podwórze znów było puste.

— Właśnie, któż by inny — wciąż głośno myślał Roland. — Kto miałby odpowiednie umiejętności i narzędzia? Tylko że Dawni Ludzie wymarli dwa tysiące lat przed tym, zanim Wilki zaczęły napadać na Calla. Dwa tysiące lub wcześniej. Dlatego chciałbym wiedzieć, kto, lub co, zaprogramował Andy'ego tak, żeby nic o nich nie mówił, a jedynie zapowiadał wam, że przybędą. No i następne pytanie, nie aż tak interesujące, ale również ciekawe: Dlaczego wam to mówi, jeśli nie może... albo nie chce... powiedzieć nic więcej?

Eisenhart i jego żona popatrzyli po sobie, oniemiaли. Pojęli tylko pierwszą połowę tego, co powiedział im Roland. Rewolwerowiec nie był tym zdziwiony, lecz lekko rozczarowany. Naprawdę, fakty mówiły same za siebie. Trzeba było tylko zaprząć umysł cło pracy. Aczkolwiek rozumiał, że aby oddać sprawiedliwość Eisenhartom, Jaffordsom i Overholserom, należy pamiętać, że tu chodzi o los ich dzieci.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść! — zawołał Eisenhart.

Był to Ben Slightman.

— Inwentarz oporzędzony, szefie. — Zdjął okulary i wytarł je w koszulę. — A chłopcy poszli rozbić namiot Benny'ego. Andy pilnuje ich z bezpiecznej odległości, więc wszystko jest w porządku. — Spojrzał na Rolanda. — Jest za wcześniej na skalne koty, ale gdyby jakiś się pojawił, Andy pozwoli mojemu chłopcu co najmniej raz strzelić z kuszy, tak mu kazałem i usłyszałem „Rozkaz zapisany”. Gdyby Benny chybił, Andy stanie między nim a kotem. Jest zaprogramowany wyłącznie na obronę i nigdy nie zdołaliśmy tego zmienić, ale gdyby kot próbował...

— Andy rozszarpie go na strzępy — dokończył Eisenhart.

Powiedział to z ponurą satysfakcją.

— Jest taki szybki? — zapytał Roland.

— Jak lichy — odparł Slightman. — Nie wygląda na takiego, no nie? Jest taki wysoki i chudy. Kiedy jednak chce, potrafi poruszać się szybko jak błyskawica. Szybciej od skalnego kota. Sądzimy, że musi mieć napęd anatomiczny.

— Bardzo możliwe — przytaknął z roztagnieniem Roland.

— Nieważne — rzekł Eisenhart. — Posłuchaj, Ben, jak sądzisz, dlaczego Andy nie chce nic powiedzieć o Wilkach?

— Jest zaprogramowany...

— Owszem, tak, ale, jak zauważył Roland na moment przed twoim przyjściem, a na co sami powinniśmy zwrócić uwagę znacznie wcześniej, jeśli to Dawni Ludzie uruchomili go, a potem wymarli albo odeszli gdzieś... na długo przed pojawieniem się Wilków... rozumiesz problem?

Starszy Slightman skinął głową, a potem znów nałożył okulary.

— W dawnych czasach też mogły być jakieś Wilki, nie sądzisz? W wystarczającym stopniu podobne do tych, no i Andy ich nie rozróżnia. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Naprawdę? — pomyślał Roland.

Wyjął mapę rodzeństwa Tavery, rozłożył ją i postukał palcem w miejsce oznaczające wąwóz przecinający wzgórze na północny wschód od miasta. Wąwóz wcinął się głęboko między wzniesienia, po czym kończył się przy jednej z dawnych kopalni granatów. Jej szyb zagłębiał się na trzydzieści stóp w bok wzgórze i urywał. Wprawdzie to miejsce nie przypominało kanionu Eyebolt w Mcjis (przede wszystkim w wąwozie nie było błony), ale łączyło je pewne podobieństwo: oba były ślepo zakończone. A Roland dobrze wiedział, że człowiek lubi korzystać z tego, co w przeszłości dobrze mu służyło. Pomysł wykorzystania tego wąwozu, ślepego zaułka z nieczynną kopalnią na końcu, do przygotowania zasadzki na Wilki, wydawał się bardzo sensowny. Za taki uznali go Eddie, Susannah, Eisenhartowie, a teraz ich zarządca. Byłby sensowny dla Sarey Adams i Rosalily Mimos. A także dla Callahana. Roland wyjawi tę część planu innym i im także wyda się sensowny.

A jeśli coś pominie? Jeśli część tego, co powiedział, jest kłamstwem?

Jeśli Wilki zwietrzą kłamstwo i uwierzą w nie?

To byłoby dobre, czyż nie? Gdyby rzuciły się, warcząc, we właściwym kierunku, ale na niewłaściwy cel?

Tak, lecz w końcu będę musiał powiedzieć komuś całą prawdę. Komu?

Nie Susannah, bo miała teraz podwójną osobowość, a on nie ufał tej drugiej.

Nie Eddiemu, bo mógł niechcący wygadać się przed Susannah, a wtedy dowiedziałaby się Mia.

Nie Jake'owi, ponieważ szybko zaprzyjaźnił się z Bennym Slightmanem.

Roland znów był zdany wyłącznie na siebie i jeszcze nigdy tak mu to nie doskwierało.

— Spójrzcie — powiedział, postukując palcem tam, gdzie na mapie był wąwóz. — Oto miejsce, o którym mógłbyś pomyśleć, Slightman. Łatwo tam wjechać, ale trudniej się wydostać. A gdybyśmy ukryli w tej kopalni wszystkie dzieci w wieku interesującym Wilki?

W oczach Slightmana dostrzegł rodzące się zrozumienie. I coś jeszcze. Może nadzieję.

— Jeśli ukryjemy dzieci, Wilki je znajdą — oświadczył Eisenhart. — Wyczują je, jak ogary z bajki.

— Tak mi mówiono — rzekł Roland. — Proponuję, żebyśmy to wykorzystali.

— Chcesz użyć ich jako przynęty. To okropne, rewolwerowce.

Roland, który nie miał zamiaru chować dzieci w tej opuszczonej kopalni granatów ani nigdzie w pobliżu niej, skinął głową.

— Świat czasem bywa okropny, Eisenhart.

— Dzięki ci, *sai* — odparł machinalnie ranczer z ponurą miną. Dotknął palcem mapy. — To może się udać. Tak, może... jeśli zwabimy tam wszystkie Wilki.

Gdziekolwiek ukryję dzieci, będę potrzebował do tego pomocnika, myślał Roland. Ktoś będzie musiał wiedzieć, dokąd ma iść i co robić. Znać plan. Lecz jeszcze nie teraz. Na razie muszę dalej grać w tę grę. To jak partia zamków. Ponieważ ktoś tu coś zataja.

Czy miał co do tego pewność? Nie miał.

Czy wyczuwał to? I owszem.

Dwadzieścia trzy, pomyślał Roland. Dwadzieścia trzy dni do przybycia Wilków.

Tyle czasu powinno wystarczyć.

Rozdział 6

OPOWIEŚĆ STAREGO JAFFORDSA

JC/ddzie, mieszczuch do szpiku kości, był niemal zaszokowany tym, jak bardzo spodobała mu się farma Jaffordsów przy drodze nad rzeką. *Mógłbym mieszkać w takim miejscu, pomyślał. Nie miałbym nic przeciwko temu. Dobrze bym się tu czuł.*

Długa chata z bali była starannie zbudowana i uszczelniona przed zimowymi wiatrami. W jednej ze ścian umieszczono duże okna, z których rozciągał się widok na łagodne zbocze, opadające ku ryżowym polom i rzece. Po drugiej stronie chaty znajdowała się stodoła i dziedziniec z ubitej ziemi, upiększony okrągłymi wysepkami trawy oraz kwiatów, a na lewo od ganku dość egzotyczny ogródek warzywny. Połowę jego powierzchni zajmowały grządki żółtego ziela zwanego madrygałem, które Tian miał nadzieję uprawiać w przyszłym roku.

Susannah spytała Zalię, jak udaje jej się trzymać kury z daleka od warzywniaka, a gospodyni uśmiechnęła się żałośnie, odgarniając włosy z czoła.

— Z ogromnym trudem, oto jak — odparła. — A jednak ten madrygał rzeczywiście rośnie, widzicie, a dopóki coś rośnie, zawsze jest nadzieja.

Eddiego cieszyło to, że wszystko zdawało się chodzić jak w zegarku, i podobała mu się panująca tutaj domowa atmosfera. Trudno powiedzieć, co wywoływało takie wrażenie, gdyż nie był to tylko jeden czynnik, ale...

Owszem, jest jeden czynnik. I to niemający nic wspólnego

z sielankowym widokiem tej chaty z bali, ogródkiem warzywnym, kurami czy klombami.

Dzieci. W pierwszej chwili Eddie był zaskoczony ich liczbą, kiedy pokazano całą gromadkę jemu i Suze, niczym pluton żołnierzy przeprowadzającemu inspekcję generałowi. I na Boga, początkowo wydawało się, że jest ich chyba pluton... a co najmniej drużyna.

— Tych dwoje na końcu to Heddon i Hedda — powiedziała Zalia, wskazując na parę dzieci o ciemnoblonde włosach. — Dziesięcioletni. Przywitajcie się jak należy.

Heddon ukłonił się niezgrabnie, jednocześnie przykładając do brudnego czoła jeszcze brudniejszą pięść. *Załatwia wszystko za jednym zamachem*, pomyślał Eddie. Dziewczynka dygnęła.

— Długich nocy i przyjemnych dni — powiedział Heddon.

— Ma być przyjemnych dni i długiego życia, tępaku — poprawiła go scenicznym szeptem Hedda, po czym znów dygnęła i powtórzyła pozdrowienie w sposób, który uważała za poprawny. Heddon był zbyt przejęty widokiem obcych, żeby przeszyć wzrokiem siostrę, czy choćby zwracać na nią uwagę.

— Tych dwoje maluchów to Lyman i Lia — ciągnęła Zalia.

Lyman, który wydawał się składać wyłącznie z wielkich oczu i rozdziawionej buzi, skłonił się tak energicznie, że o mało się nie przewrócił. Upadła natomiast Lia, która potknęła się, dygając. Eddie z trudem zachował poważną minę, gdy Hedda podniosła siostrę z ziemi, karcąc ją szeptem.

— A ten — mówiła dalej Zalia, całując niemowlę, które trzymała na rękach — to Aaron, moja kochana kruszyna.

— Jedynek — powiedziała Susannah.

— Ano, pani, to on.

Aaron zaczął się wyrywać, kopiąc i machając rączkami. Zalia postawiła go na ziemi. Aaron podciągnął pieluchę i potruczał wzdłuż ściany budynku, wołając tatę.

— Heddon, idź za nim i przypilnuj go — nakazała Zalia.

— Mamo, nie!

Jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że chce tutaj zostać, żeby słuchać obcych i pożerać ich wzrokiem.

— Mamo, tak — poprawiła go Zalia. — Zmykaj pilnować brata, Heddonie.

Chłopiec spierałby się dłużej, lecz w tym momencie Tian

Jaffords wyszedł zza rogu chaty i wziął malca na rękę. Aaron zagulgotał, strącił mu z głowy kapelusza i zaczął ciągnąć za spoczone włosy.

Eddie i Susannah ledwie to zauważyli. Całą uwagę skupili na ubranych w drelichowe kombinezony olbrzymach, idących za Jaffordsem. Podczas objazdu małych farm, leżących nad rzeką, widzieli chyba z tuzin pokurów, ale zawsze z daleka. (Większość z nich wstydzi się obcych, rozumiecie — powiedział Eisenhart). Tych dwoje znalazło się teraz niecałe trzy jardy od nich.

Mężczyzna i kobieta, czy chłopiec i dziewczynka? *Chyba jedno i drugie jednocześnie*, pomyślał Eddie. *Ich wiek nie ma znaczenia.*

Ona, spocona i roześmiana, miała ponad sześć stóp wzrostu i piersi dwukrotnie większe od głowy Eddiego. Na szyi nosiła drewniany krzyż na sznurku. On był co najmniej sześć cali wyższy od swojej szwagierki. Nieśmiało spojrzął na obcych, po czym zaczął ssać kciuk jednej ręki, a drugą ugniatć krocze. Dla Eddiego najbardziej zdumiewający był nie ich wzrost, ale upiorne podobieństwo do Tiana i Zalii. Jakby patrzył na niezdarne próbne szkice wspaniałych dzieł sztuki. Oto miał przed sobą dwoje idiotów, których rysy świadczyły o ich pokrewieństwie z zupełnie normalnymi Jaffordsami. Upiorni — tylko tak można było ich nazwać.

Nie, pomyślał Eddie. *Nazywają ich pokurami.*

— To mój brat Zalman — powiedziała dziwnie oficjalnym tonem Zalia.

— I moja siostra Tia — dodał Tian. — Przywitajcie się, fujary.

Zalman w dalszym ciągu ssał jedną część ciała i ugniatł drugą. Tia jednak zareagowała energicznym (i nieco kaczkowatym) dygnięciem.

— Długich dni, długich nocy, długich ziem! — zawołała. — MAMY ZIEMNIAKI Z SOSEM!

— To dobrze — zwróciła się do niej Susannah. — Ziemniaki z sosem są dobre.

— ZIEMNIAKI Z SOSEM SĄ DOBRE! — Tia zmarszczyła nos, unosząc górną wargę i odsłaniając zęby w przyjaznym grymasie. — ZIEMNIAKI Z SOSEM! ZIEMNIAKI Z SOSEM! DOBRE ZIEMNIAKI Z SOSEM!

Hedda niepewnie dotknęła dłoni Susannah.

— Ona może tak cały dzień, dopóki nie powiesz jej, żeby była cicho, *sai*.

— Cicho, Tia — powiedziała Susannah.

Tia parsknęła grzmiącym śmiechem, skrzyżowała ręce na wydatnym biuście i umilkła.

— Zal — odezwał się Tian. — Musisz zrobić siusiu, prawda? Brat Zalii nie odpowiedział, tylko wciąż ugniatał krocze.

— Idź zrób siusiu — rozkazał mu Tian. — Idź za stodołę. Podlej buraki, i dzięki ci za to.

Przez chwilę olbrzym nie reagował. Potem odszedł rozkołysanym, chwiejnym krokiem.

— Jako malcy byli... — zaczęła Susannah.

— Bystry jak woda w rzece, oboje — dopowiedziała Zalia. — Teraz ona jest głupia, a mój brat jeszcze głupszy.

Gwałtownie skryła twarz w dłoniach. Widząc to, Aaron zaśmiał się wesoło i zasłonił buzię rączkami, naśladując ją (*sisi be!* — zawołał przez palce), lecz reszta jego rodzeństwa patrzyła na to z powagą. Nawet z przestraczem.

— Co się stało mamie? — spytał Lyman, ciągnąc ojca za nogawkę.

Zalman, nie zwracając na nic uwagi, szedł w kierunku stodoły, wciąż trzymając kciuk w ustach, a drugą ręką ściskając krocze.

— Nic, synu. Twojej mamie nic nie jest. — Tian postawił chłopczyka na ziemi, po czym otarł oczy rękawem. — Wszystko w porządku. Prawda, Zee?

— Tak — odrzekła, opuszczając ręce. Oczy miała zaczerwienione, ale nie płakała. — Az boskim pozwoleniem, na prawdę tak będzie.

— Oby Bóg cię wysłuchał — westchnął Eddie, patrząc, jak olbrzym wlecze się za stodołę. — Oby cię wysłuchał.

2

— Czy twój dziadek ma dziś jeden ze swych lepszych dni? — spytał Eddie kilka minut później.

Tian zaprowadził go w miejsce, skąd mógł pokazać pole,

które nazywał Sukinsynem, pozostawiając Zalię i Susannah z dużymi i małymi dziećmi.

— Trudno powiedzieć — odparł Tian, pochmurniejąc. — W ciągu kilku ostatnich lat zupełnie zdziecinniał, a poza tym nie chce ze mną gadać. Z nią owszem, bo ona go karmi, ociera zaślinioną brodę i jeszcze mu dziękuje. Nie wystarczy, że mam dwoje dużych dzieci do wykarmienia? Muszę jeszcze znosić tego złośliwego starucha. Łeb mu zardzewiał jak stare zawiasy. Przeważnie nawet nie ma pojęcia, gdzie jest.

Szli przez wysoką trawę, ze świstem ocierającą się o nogawki spodni. Eddie dwukrotnie potknął się o kamienie, a w pewnej chwili Tian chwycił go za ramię i odciągnął od ukrytej w zielsku dziury, w której łatwo można było złamać sobie nogę. *Nic dziwnego, że nazywa to miejsce Sukinsynem*, pomyślał Eddie. Mimo to zauważył ślady orki. Trudno było uwierzyć, że ktoś zdołał przeciągnąć pług po tym ugorze, ale wyglądało na to, że Tian Jaffords próbował.

— Jeśli twoja żona ma rację, chyba powinienem z nim porozmawiać — rzekł Eddie. — Usłyszeć jego historię.

— Mój dziadek zna różne historie, w rzeczy samej. Zna ich chyba z tysiąc! Sęk w tym, że większość z nich od początku była łgarstwem, a teraz wszystko mu się pomieszało. Poza tym zawsze mówił niewyraźnie, a przez ostatnie trzy lata stracił trzy przednie zęby. Pewnie w ogóle nie zrozumiesz, co będzie mówił. Życzę ci dobrej zabawy, Eddie z Nowego Jorku.

— Do diabła, co on ci zrobił, Tianie?

— Nie chodzi o to, co zrobił mnie, ale mojemu ojcu. To długa historia i nie ma nic wspólnego z Wilkami. Daj temu spokój.

— Nie, to ty daj temu spokój — rzekł Eddie, przystając.

Tian spojrzał na niego ze zdziwieniem. Eddie ponuro skinął głową, co miało oznaczać: „słyszałeś”. Miał dwadzieścia pięć lat, więc był zaledwie o rok starszy niż Cuthbert Allgood w chwili śmierci na wzgórzu Jericho, lecz w gasnącym świetle dnia wydawał się pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Dojrzałym i twardym.

— Jeśli widział martwego Wilka, musi nam o tym opowiedzieć.

— Nie rozumiem, Eddie.

— Być może, ale sądzę, że dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Cokolwiek masz przeciwko niemu, teraz zapomnij o tym. Kiedy rozprawimy się z Wilkami, możesz go wepchnąć do kominka albo zrzucić z cholernego dachu. Do tego czasu trzymaj swoje zakichane urazy dla siebie. Dobrze?

Tian kiwnął głową. Stał z rękami w kieszeniach, patrząc na przekłete północne pole zwane Sukinsynem. Spoglądał na nie z niepokojem i nadzieją.

— Myślisz, że jego opowieść o zabiciu Wilka to kompletna bujda? Jeśli tak, to nie będę tracił czasu.

— W tę akurat jestem bardziej skłonny uwierzyć niż w inne.

— Dlaczego?

— Cóż, opowiada ją, od kiedy pamiętam, i prawie zawsze tak samo. Poza tym... — Tian mełł słowa, jakby cedził je przez zaciśnięte zęby. — Mojemu dziadkowi nigdy nie brakowało ikry. Jeśli ktoś miał jej tyle, żeby pójść na wschodnią drogę i walczyć z Wilkami... a także dosyć *trum*, aby namówić na to innych... to stawali bym na Jamiego Jaffordsa.

— *Trum!*

Tian zastanawiał się chwilę, jak to wyjaśnić.

— Gdybyś miał wetknąć głowę w paszczę skalnego kota, to wymagałoby odwagi, no nie?

Edie pomyślał, że raczej kompletnego idioty, ale skinął głową.

— Natomiast gdybyś potrafił namówić kogoś innego, żeby wsadził głowę w paszczę skalnego kota, świadczyłoby to, że masz *trum*. Wasz *dinh* ma *trum*, no nie?

Eddie przypomniał sobie niektóre rzeczy, na jakie namówił go Roland, i ponownie skinął głową. Roland miał *trum*, bez wątplenia. Miał tego do diabła. Eddie był przekonany, że dawni towarzysze Rolanda powiedzieliby to samo.

— Ano tak — mruknął Tian, znowu kierując spojrzenie na swoje pole. — W każdym razie jeśli chcesz wyciągnąć ze starego coś, co ma choć odrobinę sensu, powinieneś poczekać, aż zje kolację. Trochę poprawia mu się humor, kiedy sprzątnie swoją porcję i dostanie kwaterkę piwa. I niech moja żona usiądzie przy tobie, żeby mógł na nią patrzeć. Podejrzewam, że nie ograniczyłby się tylko do patrzenia, gdyby był trochę młodszy. Tian znów spochmurniał. Eddie klepnął go w ramię. — Cóż, nie jest młodszy. Ty jesteś. Więc nie przejmuj się tak, dobrze?

— Ano. — Tian starał się pójść za jego radą. — Co sądzisz o moim polu, rewolwerowcze? W przyszłym roku zamierzam obsadzić je madrygałem. Tym żółtym zielskiem, które widziałeś przed naszym domem.

Eddie uważał, że to pole wygląda jak przepis na zawał serca. Podejrzewał, że w głębi duszy Tian też tak sądzi. Nie nazywasz swego jedyne go nieuprawianego pola Sukinsynem, jeśli spodziewasz się po nim czegoś dobrego. Znał jednak ten wyraz twarzy. Henry miał taką minę, kiedy szykowali się do odlotu. Za każdym razem miał to być towar lepszy niż poprzednie, naj lepszy na świecie. Biały jak śnieg, i do diabła z tą brązową meksykańską mieszanką, od której boli głowa i skręca cię w brzuchu. Będą na haju przez tydzień, na najlepszym haju, łagodnym, a potem na zawsze przestaną ćpać. Tak nawijał Henry i równie dobrze to on mógłby stać teraz obok Eddiego, opowiadając mu, jakim cennym ziele m jest madrygał i jakie miny będą mieli w przyszłym roku ludzie, którzy mówili mu, że nie można go uprawiać tak daleko na północy. Wtedy kupi pole Hugh'a Anslema po drugiej stronie góry... a w porze żniw wynajmie kilku robotników, bo cała ta ziemia zmieni się w złoto, jak okiem sięgnąć... no cóż, może nawet przestanie uprawiać ryż i stanic się królem madrygału.

— Wygląda na ciężką orkę. Trzeba cholernie uważać na muły — powiedział Eddie, ruchem głowy wskazując ledwie wzruszoną lemieszem glebę.

Tian parsknął śmiechem.

— Nie ryzykowałbym tu muła, Eddie.

— No to jak...?

— Orzę moją siostrą.

Eddiemu opadła szczęka.

— Pierdzielisz!

— Wcale nie. Orałbym Żalem, bo widziałeś, że jest większy i silniejszy, lecz niestety głupszy. Więcej z nim kłopotu niż pożytku. Próbowałem.

Eddie kręcił głową, oszołomiony. Ich długie cienie padały na porośnięty chwastami ugór.

— Człowieku... przecież to twoja siostra!

— Tak, a co miałyby robić po całych dniach? Siedzieć przed wrotami stodoły i gapić się na kury? Spać i budzić się tylko na (alierz ziemniaków z sosem? Tak jest lepiej, wierz mi. Ona nie

ma nic przeciwko temu. Trochę trudno ją skłonić, żeby orała prosto, jeśli nawet co kilka kroków nie trafiasz na kamień lub dziurę, ale ciągnie jak diabli i śmieje się jak puszczyk.

Te szczerze słowa przekonały Eddiego. Tian nie próbował się bronić, a przynajmniej nie wprost.

— Poza tym zapewne i tak umrze najdalej za dziesięć lat. Niech nam pomoże, dopóki może, powiadam. Zalia też tak uważa.

— W porządku, ale dlaczego nie wykorzystacie Andy'ego, żeby zorał przynajmniej część pola? Założę się, że zrobiłby to szybciej niż wy. Pomyśleliście kiedyś o tym, że wszyscy właściciele drobnych gospodarstw mogliby korzystać z jego pomocy? Mógłby orać wasze pola, kopać studnie, stawiać stodoły... I oszczędzilibyście na ziemniakach i sosie. — Ponownie klepnął Tiana w ramię. — Stanęlibyście na nogi.

Tian uśmiechnął się.

— Piękny pomysł, bez dwóch zdań.

— Tylko niewykonalny? A raczej niewykonalny dla Andy'ego?

— On wykonuje niektóre zadania, ale nie orze pól i nie kopie studni. Kiedy go o to poprosisz, on zażąda hasła. Kiedy nie podasz mu hasła, zapyta, czy chcesz spróbować ponownie. A potem...

— Potem mówi ci, że miałeś gówniane szczęście. Zgodnie z dyrektywą dziewiętnastą.

— Skoro wiedziałeś, dlaczego pytasz?

— Wiedziałem, że tak reaguje na pytania o Wilki, ponieważ sam to sprawdziłem. Nie wiedziałem, że rozciąga tę regułę na inne sprawy.

Tian skinął głową.

— Tak naprawdę nie jest zbyt przydatny i potrafi być męczący... jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, to przekonasz się, zostając tu dłużej... ale zawsze mówi nam, kiedy pojawią się Wilki, i jesteśmy mu za to wdzięczni.

Eddie powstrzymał się od zadania pytania, które cisnęło mu się na usta. Za co byli mu wdzięczni, jeśli jego informacje były kompletnie bezużyteczne i tylko pogłębiały ich rozpacz? Oczywiście tym razem mogło być inaczej. Tym razem wiadomości Andy'ego rzeczywiście mogły coś zmienić. Czy właśnie o to

chodziło panu Spotkasz Interesującą Nieznajomą? Chciał skłonić mieszkańców, żeby podnieśli się z klęczek i walczyli? Eddie przypomniał sobie pełen samozadowolenia uśmiešek Andy'ego i zdecydował, że taki altruizm nie pasuje do robota. Trudno oceniać ludzi (a może nawet roboty) po sposobie, w jaki uśmiechają się i mówią, a mimo to wszyscy to robią.

A skoro już o tym mowa, to co z jego głosem? Co z tą pobrzmiwającą w nim nutą „ wiem coś, o czym ty nie wiesz ”? A może to też sobie wyobraziłem?

Najgorsze było to, że nie wiedział.

3

Słyszac śpiewny głos Susannah i towarzyszące mu śmiechy dzieci — dużych i małych — Eddie z Tianem wrócili na drugą stronę domu.

Zalman trzymał jeden koniec sznura, który wyglądał na postronek. Tia drugi. Leniwie kręcili nim, z szerokimi, zadowolonymi uśmiechami na twarzach, podczas gdy siedząca na ziemi Susannah recytowała towarzyszący zabawie skakanką wierszyk, który Edie słabo pamiętała z dzieciństwa. Zalia i czwórka jej starszych dzieci skakali razem. Mały Aaron stał obok, z pieluchą zwisającą prawie do kolan. Na buzi miał szeroki, radosny uśmiech i pulchną piąstką kręcił młynka w powietrzu.

— Pinky Pauper przyszedł w gości! Przyniósł w paczce kilo ości! Szybciej, Zalman! Szybciej, Tia! No już! Niech skaczą wyżej!

Tia natychmiast szybciej zakręciła sznurem, a po chwili Zalman także. Najwidoczniej była to czynność, którą mógł wykonywać. Susannah ze śmiechem zaczęła recytować, przyspieszając.

— Pinky Pauper ma kobierce! Ten zły chłopiec skradł jej serce! Hej, Zalia, widzę twoje kolana! Szybciej, chłopcy! Szybciej!

Czworo bliźniaków podskakiwało jak korki na falach. Heddon wepchnął pięści pod pachy i zwinnie przebierał nogami. Pokonawszy początkową nieśmiałość, która pozbawiła je gracji,

młodsze dzieci skakały teraz w idealnie zgodnym rytmie. Nawet włosy zdawały się falować tak samo. Eddiemu przypomniały się bliźnięta Tavery, które miały identyczne piegi.

— Pinky... Pauper... — Susannah urwała. — Do licha, Eddie! Dalej nie pamiętam!

— Szybciej — rzekł Eddie do dwojga olbrzymów kręcących skakanką.

Zrobili, co im kazał, Tia chichocząc wniebogłose. Eddie ocenił okiem odległość, lekko przebijając nogami, czekając na odpowiedni moment. Położył dłoń na rękojeści rewolweru Rolanda, upewniając się, że broń nie wypadnie z kabury.

— Eddie Deanie, nie dasz rady! — zawołała ze śmiechem Susannah.

Przy następnym obrocie sznura wskoczył między Heddę a jej matkę. Zwrócił się twarzą do Zalii, zarumienionej i spoconej. Skacząc w idealnie zgodnym rytmie z gospodynią, Eddie wyrecytował jedyny fragment, jaki zachował mu się w pamięci. Aby utrzymać rytm, musiał wypowiedzieć go niemal tak szybko jak najlepszy licytator. Dopiero później zdał sobie sprawę z tego, że zmienił imię niegrzecznego chłopca, nadając mu czysto brooklyńskie brzmienie.

— Piggy Pauper skradł mi klucze, czekaj zaraz go nauczę! Przyłapię śpiącego za płótem, ukradnę klucze z powrotem! Dalej, dalej! Kręćcie!

Posłuchali, obracając postronkiem tak szybko, że zmienił się w rozmazaną smugę. W świetle, który teraz zdawał się opadać i unosić na niewidzialnej gumce, Eddie ujrzał starego człowieka z przeredzonymi włosami i siwymi bokobrodami — wyszedł na ganek niczym jeź ze swej nory, postukując laską z żelaznego drzewa. *Cześć, dziadku*, pomyślał Eddie, ale zaraz o nim zapomniał. Teraz chciał tylko utrzymać rytm i nie zepsuć innym zabawy. Jako chłopiec zawsze uwielbiał skakankę i nie podobało mu się to, że kiedy poszedł do Szkoły Podstawowej imienia Roosevelta, musiał zrezygnować z tej rozrywki, inaczej zostałby uznany za mazgaja. Później, w sali gimnastycznej liceum, na nowo odkrył przyjemność ćwiczeń ze skakanką. Nigdy jednak nie bawił się tak dobrze jak teraz. Tak jakby odkrył (może ponownie) jakiś czar, który powiązał nowojorską egzystencję jego i Susannah z tutejszym życiem w sposób

niewymagający ani magicznych drzwi i kul, ani transu. Zaśmiewając się, zaczął robić nożyce nogami. Po chwili Zalia Jaffords poszła za jego przykładem, naśladowując każdy ruch. To było równie dobre jak taniec ryżu. Może lepsze, bo wszyscy robili to razem.

Dla Susannah natomiast miało to posmak magii; ze wszystkich przeszłych i przyszłych cudów te chwile na podwórku Jaffordsów na zawsze zachowały swój czarowny blask. Nie dwie, nie cztery, lecz aż sześć osób skaczących razem, podczas gdy dwoje bezmyślnie uśmiechniętych wielkoludów obracało skakanką tak szybko, jak pozwalały na to ogromne mięśnie przedramion.

Tian roześmiał się, tupnął roboczym buciosem i zawołał:

— To lepsze niż tańce! Naprawdę! Do licha!

A jego stojący na ganku dziadek zaśmiał się tak ochryple, że Susannah mimo woli zaczęła się zastanawiać, jak długo przechowywał ten dźwięk w kufrze z kulkami na mole.

Jeszcze przez jakieś pięć sekund udawało im się utrzymać tempo. Skakanką obracała się tak błyskawicznie, że nie można było nadążyć za nią okiem i istniała tylko jako cichy świst. Znajdujący się w jej zasięgu ludzie — od najwyższego Eddiego, od strony Zalmana, do pulchnego Lymana, po stronie Tii — podskakiwali i opadali jak tłoki silnika.

Nagle sznur zawadził o czyjąś piętę — Susannah miała wrażenie, że Hedдона, chociaż później każdy chciał wziąć winę na siebie, żeby nikomu nie było przykro — i wszyscy upadli, łapiąc powietrze i zaśmiewając się. Eddie, przyciskając ręce do piersi, pochwyił spojrzenie Susannah.

— Chyba mam atak serca, kochanie, zadzwoń pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Zbliżyła się do niego i pochyliła głowę, żeby go pocałować.

— Nie, nic podobnego — powiedziała. — Ale atakujesz moje serce, Eddie Deanie. Kocham cię.

Spojrzał na nią poważnie, nie podnosząc się z ziemi. Wiedział, że choćby nie wiem jak go kochała, on będzie kochał ją mocniej. I jak zawsze w takich chwilach pomyślał, że *ka* nie jest ich przyjacielem i wszystko między nimi może zakończyć się źle.

Jeśli tak, to powinieneś się starać, żeby było jak najlepiej i jak najdłużej. Chyba cię na to stać, Eddie?

— Z całą pewnością — powiedział.
Uniosła brwi.

— Naprawdę? — spytała, co miało oznaczać „słucham?”.

— Och tak — odparł z uśmiechem. — Wierz mi, tak.

Objął ramieniem jej szyję, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło, nos, a na końcu w usta. Bliźniaki śmiały się i klaskały. Malec chichotał. Stary Jamie Jaffords na ganku też.

4

Po tym wysiłku wszyscy byli głodni. Wraz z Susannah, która pomagała jej, siedząc na fotelu, Zalia Jaffords przygotowała suty posiłek na długim stole, który rozstawiono na kozłach za domem. Zdaniem Eddiego widok stamtąd był niesamowity. U stóp wzgórza rosnęło coś, co uznał za szczególnie wysoki gatunek ryżu, który sięgał dorosłemu mężczyźnie do ramienia. Dalej w zachodzącym słońcu lśniła rzeka.

— Odmów modlitwę, jeśli łaska, Zee — poprosił Tian.

Z wyraźnym zadowoleniem spełniła jego życzenie. Później Susannah powiedziała Eddiemu, że Tian niespecjalnie szanował religię, której wyznawcą była jego żona, lecz to się zmieniło, kiedy Callahan niespodziewanie poparł go podczas posiedzenia w miejskiej sali obrad.

— Pochylicie głowy, dzieci.

Cztery głowy opadły — sześć, wliczając dwoje dużych dzieci. Lyman i Lia tak mocno zaciskali powieki, że wyglądali, jakby dokuczał im straszny ból. Trzymali przed sobą rączki, czyste i zaróżowione od zimnej wody z pompy.

— Pobłogosław te dary, Panie, i uczyni nas wdzięcznymi. Dzięki ci za naszych gości i niechaj wiedzie się im i nam. Chroń nas przed niebezpieczeństwami grożącymi we dnie i w nocy. Dzięki ci, Panie.

— *Dzięki!* — zawołały chórem dzieci; Tia tak donośnie, że zdrząły szyby w oknach.

— W imię Ojca i Jego Syna, Jezusa-Człowieka.

— *Jezusa-Człowieka!* — powtórzyły dzieci.

Eddie z rozbawieniem zauważył, że dziadek, który miał na szyi krzyż niemal równie wielki jak Zamian i Tia, W czasie

modlitwy siedział z szeroko otwartymi oczami, spokojnie dębując w nosie.

— Amen.

— *Amen!*

— ZIEMNIAKI! — krzyknęła Tia.

5

Tian usiadł na jednym końcu długiego stołu, Zalia na drugim. Bliźniaków nie odesłano do getta — „stolika dla dzieci” (tak jak podczas rodzinnych uroczystości odsyłano kuzynki Susannah i ją, czego nienawidziła), tylko posadzono rzędem po jednej stronie stołu, a dwoje starszych obok młodszych. Heddon pomagał Lii, a Hedda Lymanowi. Susannah i Eddie siedzieli razem naprzeciw dzieciaków. Jeden młody olbrzym zajął miejsce po jej lewej, a drugi po jego prawej stronie. Małec najpierw dobrze się bawił na kolanach matki, a kiedy mu się znudziło, na kolanach ojca. Starzec siedział obok Zalii; to ona podawała mu jedzenie, kroїła mięso na drobne kawałki i rzeczywiście ocierała brodę, po której służywał sos. Tian spoglądał na to z ponurą miną; zdaniem Eddiego niezbyt dobrze to o nim świadczyło, ale nic nie mówił. Tylko raz zapytał dziadka, czy chce więcej chleba.

— Jeszcze mom ręka — odparł stary i na dowód tego chwycił koszyk z chlebem. Zrobił to bardzo zwinnie jak na takiego starca, zaraz jednak popsuł to dobre wrażenie, wywracając słoik z dżemem. — Szlak! — warknął.

Czwórka dzieci popatrzyła po sobie okrągłymi oczami, po czym zasłoniła usta rękami, chichocząc. Tia odchyliła głowę do tyłu i ryknęła śmiechem. Trąciła przy tym Eddiego łokciem w żebra, o mało nie zrzucając go z krzesła.

— Wolalabym, żebyś tak nie mówił przy dzieciach — zwróciła staremu uwagę Zalia, podnosząc słoik.

— Błagam o wybaczenie — wymamrotał dziadek.

Eddie zastanawiał się, czy zdobyłby się na równie miłą i pokorną odpowiedź, gdyby skarcił go wnuk.

— Pozwól, że trochę ci pomogę, dziadku — powiedziała Susannah, wyjmując słoik dżemu z rąk Zalii.

Stary spoglądał na nią zamglonym, niemal rozmarzonym wzrokiem.

— Nie widziałem brązowej kobity musi ze czterdzieści lat — odezwał się po chwili. — Kiedysi przyływały na stragano-
statkach, ale tera już ni.

— Mam nadzieję, że nie wywoła nadmiernego wstrząsu wieść, że jeszcze żyjemy — odparła z uśmiechem Susannah.

Stary kozioł odpowiedział jej szczerbatym uśmiechem.

Stek był twardy, ale smaczny, a kukurydza niemal równie dobra jak ta, którą Andy podał na skraju lasu. Miskę z ziemniakami, chociaż wielką jak miednica, napełniano dwukrotnie, a sosjerkę trzykrotnie, lecz dla Eddiego prawdziwą rewelacją był ryż. Zalia podała go na trzy różne sposoby i jego zdaniem każdy był lepszy od poprzedniego. Jednakże Jaffordsowie jedli go prawie machinalnie, tak jak ludzie piją wodę w restauracji. Posiłek zakończono słodkim koktajlem jabłkowym, po czym odesłano dzieci, żeby się bawiły. Dziadek podsumował ucztę donośnym beknięciem.

— Piękne dzięki — zwrócił się do Zalii i trzykrotnie stuknął palcem w szyję. — Smaczne jak zawsze, Zalia.

— Cieszę się, kiedy widzę, jak jesz, tato. Tian odchrząknął.

— Dziadku, ci dwoje chcą porozmawiać z tobą o Wilkach.

— Tylko Eddie, za pozwoleniem — pospiesznie zdecydowała Susannah. — Ja pomogę sprzątnąć ze stołu i pozmywać naczynia.

— Nie trzeba — powiedziała Zalia.

Eddie miał wrażenie, że daje oczami znaki Susannah — *zostań, spodobałaś mu się* — ale jego żona nie zauważyła tego albo wołała zignorować.

— Żaden problem — oświadczyła, z wieloletnią wprawą sadowiąc się na fotelu inwalidzkim. — Porozmawiasz z moim mężem, prawda, *sai* Jaffords?

— To było dawno i nieprawda — rzekł stary, lecz wyraźnie miał ochotę pogadać. — Nie wiem, czy pamiętam. Moja głowa już nie taka jak kiedyś.

— Chętnie wysłucham tego, co pamiętasz — zapewnił Eddie. — Każdego słowa.

Tia ryknęła śmiechem, jakby to był najśmieszniejszy żart,

jaki słyszała. Zał również, po czym dłonią wielkości stolnicy wygarnął z miski ostatniego rozgniecionego ziemniaka. Tian dał mu po łapie.

— Nigdy tak nie rób, ty wielka fujaro, ile razy mam ci powtarzać?

— Dobra — powiedział stary. — Pogadam chwilę, jeśli chcesz słuchać, chłopcze. Co innego mi pozostało? Pomóż mi wejść na ganek, bo po tych schodkach łatwiej zejść niż wejść. A jeśli przyniesiesz mi fajkę, dziewczyno, dobrze mi to zrobi, bo przy fajce człowiekowi lepiej się myśli.

— Oczywiście — zgodziła się Zalia, nie zważając na kwaśną minę męża. — Zaraz przyniosę.

6

— To wszystko było dawno temu, wiecie — rzekł dziadek Jaffords, gdy Zalia ulokowała go na fotelu z poduszką pod krzyżem i fajką w zębach. — Nie potrafię powiedzieć, czy Wilki były tu później dwa, czy trzy razy, bo chociaż miałem wtedy dziewiętnaście wiosen, to od tej pory straciłem rachubę lat.

Na północnym zachodzie czerwona linia zachodzącego słońca przybrała piękny karmazynowy odcień. Tian był w oborze przy zwierzętach, a Heddon i Hcdda pomagali mu. Młodsze bliźniaki pozostały w kuchni. Dwoje olbrzymów, Tia i Zalman, stało na drugim końcu podwórza, spoglądając na wschód, w milczeniu i bezruchu. Równie dobrze mogliby być posągami z Wyspy Wielkanocnej na fotografiach w „National Geographic”. Patrzącego na nich Eddiego przeszedł dreszcz. Mimo to wiedział, że dopisało mu szczęście. Dziadek Jaffords sprawiał wrażenie stosunkowo trzeźwo myślącego i chociaż mówił okropną gwara — niemal jak aktor z burleski — Eddie bez trudu mógł go zrozumieć — przynajmniej dotychczas.

— Nie sądzę, żeby te ostatnie lata były szczególnie ważne, proszę pana — powiedział.

Dziadek podniósł brwi. Parsknął ochryplym śmiechem.

— Proszę pana! Dawno tego nie słyszałem! Pewnie pochodzisz z północy!

— Chyba tak — odparł Eddie.

Stary Jaffords zamilkł na długą chwilą, zapatrzony na zachodzące słońce. Potem z lekkim zdziwieniem spojrzął na Eddiego.

— Czy już jedliśmy? Dostaliśmy nasze racje? Eddie stracił nadzieję.

— Tak, proszę pana. Przy stole po drugiej stronie domu.

— Pytam, bo jeśli mam ochotę uciąć sobie drzemkę, to zwykle po wieczery. Teraz nie chce mi się spać, dlatego pytam.

— Jedliśmy.

— Aha. A jak się nazywasz?

— Eddie Dean.

— Ach. — Stary pociągnął fajkę. Wypuścił nosem dwie smużki dymu. — Ta brązowoskóra twoja?

Eddie już miał poprosić o sprecyzowanie, gdy stary wyjaśnił:

— Ta kobieta.

— Susannah. Tak, to moja żona.

— Aha.

— Proszę pana... dziadku... a Wilki?

Eddie już nie wierzył, że uda mu się dowiedzieć czegoś istotnego. Może Suze mogłaby...

— Jeśli dobrze pamiętam, było nas czworo — rzekł stary.

— Nie pięcioro?

— Ni, ni, ale byliśmy tak zgrani, że tworzyliśmy zespół — powiedział sucho, beznamiętnie. Zaczął mówić trochę wyraźniej. — Byliśmy młodzi i dzicy, ni cholery nie dbaliśmy o to, czy zginiemy, czy nie, rozumiesz. I wkurzeni na tyle, żeby stanąć przeciwko tamtym, nie patrząc, czy pozostali powiedzą tak, nie albo może. Byłem ja... Pokey Slidell... to był mój najlepszy przyjaciel... a także Eamon Doolin i jego żona, ruda Molly. Istna diablina, kiedy przyszło do rzucania talerzem.

— Talerzem?

— Tak, rzucają nim Siostry Pani Ryżu. Zee też. Powiem, to ci pokaże. No wiesz, te talerze mają naostrzone krawędzie... oprócz jednego miejsca, żeby można je chwycić. Paskudna broń, ano! Przy nich gość z kuszą to pryszcz. Powinieneś sam zobaczyć.

Eddie zanotował w myśli, żeby powiedzieć o tym Rolandowi.

Nie był pewien, czy ta informacja o rzucaniu talerzami jest coś warta, ale wiedział, że bardzo przydałoby im się więcej broni.

— To Molly zabiła Wilka...

— Nie ty? — spytał z rozbawieniem Eddie, myśląc o tym, jak w legendach przekręca się fakty, tak że w końcu nikt nie jest w stanie oddzielić ich od zmyśleń.

— Ni, ni, chociaż... — Staremu rozbłyły oczy. — Od czasu do czasu mogłem mówić, że to ja, żeby zrobić wrażenie na jakiejś młódce, która nie chciała rozłożyć nóg, rozumiesz?

— Tak mi się zdaje.

— To Ruda Molly zrobiła to talerzem, oto jak było, ale stawiam wóz przed koniem. Widzieliśmy chmurę kurzu, jak nadjeżdżali. Potem, może sześć kół od miasta, rozdzielili się.

— Jak to? Nie rozumiem.

Stary pokazał Eddieму trzy wykręcone reumatyzmem palce, na znak, że Wilki rozdzielili się na trzy grupy.

— Największa z nich... sądząc po kurzu, rozumiesz... skierowała się do miasta i składu Tooka, co miało sens, bo niektórzy chcieli schować dzieci w magazynie na tyłach. Tooky miał tam ukryty pokój. Trzymał w nim pieniądze, kosztowności, kilka starych strzelb i inne wartościowe rzeczy, które zgromadził. Nie na darmo nazwali go Took! — Stary znowu parsknął ochryplym, starczym śmiechem. — To była dobra skrytka, nawet ludzie pracujący dla starego sępa nic o niej nie wiedzieli, a jednak kiedy przyszedł czas, Wilki skierowały się prosto do niej, zabrały dzieci i zabiły wszystkich, którzy próbowali stanąć im na drodze albo chociaż prosić. A odjeżdżając, zaczęły machać tymi swoimi kijami świetlnymi i podpaliły skład. Spaliły go do cna, ano, i szczęście, że nie puściły z dymem całego miasta, młody *sai*, bo płomień tryskające z tych kijów nie są takie jak inny ogień, który można ugasić wodą. Jak polejesz je wodą, ogień bucha jeszcze silniej! Wyżej! Pali się lepiej! Do licha! — Splunął przez poręcz, podkreślając wagę swych słów, po czym obrzucił Eddiego bystrym spojrzeniem. — Mówię to tylko z tego powodu: obojętnie kogo w tych stronach mój wnuk, ty lub twoja brązowoskóra namówicie do walki, Eben Took nigdy nie przyłączy się do was. Tookowie mają ten sklep od zarania i nigdy nie zechcą zobaczyć, jak znowu się pali. Raz wystarczy tym tchórzliwym łajzom, rozumiesz?

— Tak.

— Te dwie pozostałe chmury... Największa ruszyła na południe, ku ranczom. Najmniejsza przesuwiała się po wschodniej drodze do małych gospodarstw, gdzie byliśmy my i gdzie czekaliśmy na nich.

Twarz starca rozpromieniła się na to wspomnienie. Wprawdzie Eddie nie dostrzegł w nim młodzieńca, jakim niegdyś był (dziadek Jaffords był na to za stary), ale w tych wyblakłych oczach zobaczył mieszaninę podniecenia, determinacji i strachu, jaki zapewne czuł tamtego dnia. On i jego towarzysze. Eddie chłonał to jak wygłodniały człowiek pożywienie i stary chyba wyczytał coś z jego twarzy, gdyż napęczniał z dumy i nabrał wigoru. Z pewnością takiej reakcji nigdy nie doczekał się ze strony swego wnuka. Tianowi nie brakowało odwagi, dziękować bogom, ale nie miał ikry. Natomiast ten człowiek, ten Eddie z Nowego Jorku... może nie pożyje długo i skończy, gryząc piach, ale nie brak mu ikry, na Panią Ryżu!

— Mów dalej — zachęcił go Eddie.

— Jasne. Już mówię. Niektórzy z tych jadących ku nam oddzielili się przy nadrzecznej drodze i pojechali do stojących tam gospodarstw... widzieliśmy kurz... a jeszcze inni odbili przy Grochowej. Pamiętam, że Pokey Slidell odwrócił się do mnie z krzywym uśmiechem na ustach, podniósł rękę (tę, w której nie trzymał kuszy) i powiedział...

7

Pod rozpalonym jesiennym niebem, gdy granie ostatnich świerszczy płynie z wysokiej białej trawy po obu stronach, Pokey Slidell mówi: „Fajnie było cię poznać, Jamie Jaffords, naprawdę”. Na twarzy ma uśmiech, jakiego Jamie jeszcze nigdy nie widział, ale mając zaledwie dziewiętnaście lat i mieszkając w miejscu zwanym przez jednych Krańcem, a przez innych Półksiężycem, nie widział jeszcze mnóstwa rzeczy. I wygląda na to, że już nie zobaczy. To krzywy uśmiech, ale nie tchórzliwy. Jamie podejrzewa, że on sam też tak się uśmiecha. Oto czekają pod słońcem swoich ojców i niebawem pochłonie ich ciemność. Nadchodzi godzina śmierci.

Mimo to mocno ściska dłoń Pokeya.

— *Jeszcze zdążysz mnie poznać, Pokey — odpowiada.*

— *Mam nadzieję.*

Chmura pyłu płynie ku nim. Za minutę, może prędzej, zobaczą wzbijających ją jeźdźców. I — co ważniejsze — ci jeźdźcy zobaczą ich.

Eamon Doolin mówi:

— *Wiecie co, uważam, że powinniśmy wejść do tego rowu... — Pokazuje na prawą stronę drogi. — I schować się w nim. Potem, jak tylko przejadą, wyskoczymy i zaatakujemy.*

Molly Doolin ma na sobie obciste spodnie z czarnego jedwabiu i białą jedwabną bluzkę, rozpiętą pod szyją, na której lśni srebrny amulet: Pani Ryżu z zaciśniętą pięścią. W prawej dłoni Molly trzyma talerz o zaostrej krawędzi, z niebieskiej tytanowej stali, z namalowanym na nim delikatnym wzorkiem — splecionymi źdźbłami zielonego wiosennego ryżu. Na ramieniu ma torbę z sitowia, wyłożoną jedwabiem. Schowała w niej jeszcze pięć talerzy — dwa swoje i trzy należące do jej matki. Włosy Molly tak błyszczą w słońcu, że zdają się płonąć. Wkrótce naprawdę zapłoną, o tak.

— *Możesz robić, co chcesz, Eamonie Doolinie — odpowiada mu. — Co do mnie, zamierzam zostać tu, gdzie będą mogli mnie zobaczyć i usłyszeć imię mojej siostry bliźniaczki, kiedy je wykrzyczę. Może mnie stratują, ale wcześniej zabiję jednego z nich albo przynajmniej odetnę nogi któremuś z ich koni... tak postanowiłam.*

Nie ma czasu na nic więcej. Wilki wyłaniają się z dolinki znajdującej się przy wjeździe na drogę wiodącą do gospodarstwa Arra i czworo mieszkańców Cała Bryn Sturgis w końcu ich widzi i nie ma już mowy o chowaniu się. Jamie niemal się spodziewa, że Eamon Doolin, łagodny i już tysiącletni w wieku dwudziestu trzech lat, rzuci kuszę i skoczy w wysoką trawę, podnosząc ręce na znak poddania. Zamiast tego Eamon staje obok żony i zakłada belt. Słychać cichy warkot, gdy napina kołowrotkiem cięciwę.

Stoją na drodze, butami w pyle. Stoją, zagradzając przejazd. I Jamie czuje uniesienie płynące z poczucia słuszności tego, co robią. Zginą tutaj, ale tak trzeba. Lepsze to, niż stać i patrzeć beczynnym, jak tamci znów porywają dzieci. Każde z nich straciło brata lub siostrę, a Pokeyowi — który jest z nich najstarszy — Wilki zabrały brata i młodszego syna. Tak trzeba.

Wiedzą, że Wilki mogą zemścić się na innych za tę próbę oporu, lecz to nieważne. Tak trzeba.

— Chodźcie! — krzyczy Jamie i napina swoją kuszę. Raz, dwa, cichy szczeł. — Chodźcie tu, sępy! Wy tchórzliwe dranie, chodźcie tu, dostaniecie za swoje! Za Calla! Za Calla Bryn Sturgis!

Przez moment w skwarze dnia Wilki wydają się stać w miejscu, falując tylko w rozgrzanym powietrzu. Potem stukot końskich kopyt, dotychczas głuchy i stłumiony, staje się wyraźniejszy. Wilki sprawiają wrażenie płynących w dusznym powietrzu. Mają szare spodnie, jak skóra ich koni. Ciemnozielone płaszcze, rozwiane w pędzie. Spod zielonych kapturów wystają maski (to muszą być maski), które zmieniają głowy czterech jeźdźców w łby warczących, wygłodniałych wilków.

— Czterech na czworo! — krzyczy Jamie. — Czterech na czworo, równe szanse, damy im radę! Wytrzymajcie!

Cztery Wilki pędzą ku nim na swych siwych koniach. Mężczyźni unoszą kusze. Molly — czasem zwana Ognistą Molly ze względu na temperament, a nie kolor włosów — podnosi rękę, w której trzyma talerz. Teraz nie wygląda na rozgniewaną, wydaje się spokojna i opanowana.

Dwa Wilki po bokach mają kije świetlne. Podnoszą je. Ci dwaj w środku zaciskają okryte zielonymi rękawicami pięści, zamierzając coś rzucić. Brzęczki, myśli Jamie. Na pewno.

— Czekajcie, chłopcy... — mówi Pokey. — Czekajcie... czekajcie... teraz!

Z brzękiem cięciwy wypuszcza bełt i Jamie widzi, jak pocisk z kuszy Pokeya przelatuje tuż nad głową drugiego Wilka po prawej. Eamon trafia w szyję konia z lewej. Zwierzę przeraźliwie kwiczy i chwieje się; Wilki mają do pokonania ostatnie czterdzieści jardów. Ranny koń wpada na sąsiedniego wierzchowca w tej samej chwili, gdy jeździec rzuca to, co trzymał w dłoni. Istotnie, jest to brzęczyk, ale został rzucony na oślep i jego systemy naprowadzające nie zdołają namierzyć żadnego celu.

Bełt Jamiego trafia w pierś trzeciego jeźdźcy. Jamie otwiera usta, żeby wydać okrzyk triumfu, lecz ten zamiera mu w gardle. Pocisk odbija się od piersi napastnika, jakby odbił się od Andy'ego albo głazu na polu zwanym Sukinsynem.

Macie broje, parszywe dranie, macie broje **pod** tymi cholernymi...

Drugi brzęczyk trafia w cel, uderzając Eamona Doolina w twarz. Jego głowa eksploduje w rozprysku krwi, kości i szarej tkanki mózgowej. Brzęczyk przelatuje ze trzydzieści jardów dalej, po czym zawraca. Jamie robi unik i słyszy, jak kula z cichym brzękiem przelatuje tuż nad jego głową.

Molly nie cofnęła się o krok. nawet gdy obryzgała ją krew i tkanka mózgowa męża. Teraz wrzeszczy: **TO ZA MINNIE, SKURWYSYNY!** — i rzuca talerz. Napastnicy znajdują się już bardzo blisko — prawie o krok — ale Molly rzuca z całej siły i talerz leci po wznoszącym się torze.

Za mocno, moja droga, myśli Jamie, unikając ciosu kijem świetlnym (też wydaje ten głośny, złowieszczy brzęk). Za mocno, do licha.

Lecz Wilk, w którego rzuciła Molly, dosłownie wpada na leżącego talerz. Broń trafia w miejsce, gdzie kończy się zielony kaptur, a zaczyna wilcza maska. Słychać dziwny stłumiony dźwięk — plask! — i stwór spada z konia, szeroko rozkładając ręce w zielonych rękawiczkach.

Pokey i Jamie krzyczą z radości, a Molly spokojnie sięga do torby po następny z talerzy, starannie ułożonych tępymi krawędziami do góry. Wyjmuje go, lecz w tym momencie jeden ze świetlnych kijów odcina jej rękę. Molly chwieje się, jej ściągnięte wargi odsłaniają zęby, opada na jedno kolano; bluzka na niej staje w płomieniach. Jamie ze zdumieniem .. widzi, że dziewczyna sięga po talerz tkwiący w zaciśniętych palcach jej odciętej ręki.

Trzy pozostałe Wilki minęły ich. Ten trafiony talerzem Molly leży w pyłe, spazmatycznie podrygując, raz po raz wyciągając dłonie w rękawiczkach ku niebu, jakby pytał „ Co robić? Co robić z tymi przekłętymi wieśniakami? ”.

Pozostali sprawnie zawracają, jak dobrze wyćwiczeni kawalerzyści, i znów kierują się na nich. Molly udaje się wyrwać talerz z zaciśniętych palców, ale pada na ziemię, płonie.

— Wytrzymaj, Pokey! — krzyczy histerycznie Jamie, gdy śmierć pędzi ku nim pod rozprężonym stalowym niebem. — Wytrzymaj, niech cię szlag!

I wciąż ma to poczucie słuszności, nawet czując odór palących się ciał Doolinów. Tak powinni robić od początku, tak, wszyscy, ponieważ Wilka można zabić, chociaż zapewne nie przeżyją i nie zdołają tego powiedzieć innym, a Wilki zabiorą swego martwego kompana i nikt się o tym nie dowie.

Słychać brzęk, gdy Pokey wypuszcza następny bełt, a potem brzęczyk uderza go w pierś i jego ciało eksploduje tak, że krew i strzępy ciała tryskają z nogawek, rękawów i rozerwanego rozporoka. Gorąca fontanna opryskuje Jamiego. On też wypuszcza strzałę i widzi, jak ta wbija się w bok siwego konia. Wie, że uniki nic mu nie dadzą, a mimo to robi unik i coś przelatuje mu nad głową. Jeden z rozpędzonych koni potrąca go i odrzuca do rowu, w którym Eamon radził im się schować. Kusza wypada mu z dłoni. Leży tam z otwartymi oczami, nie ruszając się, wiedząc — gdy tamci znowu zawracają — że teraz może tylko udawać trupa i mieć nadzieję, że zostawią go w spokoju. Nie uda się, nie uda, ale nic innego nie może zrobić, więc stara się spoglądać nieruchomym wzrokiem w niebo. Wie, że za kilka sekund nie będzie musiał udawać martwego. Czuje zapach kurzu, słyszy granie świerszczy i stara się myśleć tylko o tym, wiedząc, że to ostatnie, co poczuje i usłyszy, bo ostatnią rzeczą, jaką zobaczy, będzie wilczy łeb pod zielonym kapturem. Słyszy tętent pędzących koni.

Jeden z Wilków odwraca się w siodle i dłonią w rękawicze ciska brzęczyk. W tej samej chwili jego koń przeskakuje przez ciało trafionego Wilka, który wciąż dygocze konwulsyjnie na drodze, chociaż teraz ledwie porusza rękami. Brzęczyk przelatuje nad głową Jamiego. Ten niemal czuje, jak zabójcza kula waha się, szukając ofiary. Potem odlatuje w dal nad polem.

Wilki odjeżdżają na wschód, wzbijając tuman kurzu. Brzęczyk powraca i znów omija Jamiego, tym razem przelatując wyżej i wolniej. Szare konie mijają zakręt drogi pięćdziesiąt jardów dalej na wschód i znikają mu z oczu. Razem ze swoimi jeźdźcami w powiewających zielonych płaszczach.

Jamie staje w rowie na uginających się nogach. Brzęczyk wykonuje jeszcze jeden nawrót i leci, tym razem prosto na niego, ale bardzo wolno, jakby źródło jego energii prawie się wyczerpało. Jamie gramoli się na drogę, pada na kolana obok płonącego ciała Pokeya i chwyta jego kuszę. Trzyma ją za

koniec, jak kij do gry w punkty. Brzęczyk nadlatuje. Jamie podnosi kuszę nad głowę i gdy kula zbliża się, strącając w locie niczym gigantycznego żuka. Brzęczyk upada w pył obok rozzerwanego buta Pokeya i leży tam, złowrogo brzęcząc, usiłując wzbąć się w powietrze.

— Masz, draniu! — wrzeszczy Jamie i szlochając, zaczyna zasypywać go ziemią. — Masz, draniu! Masz! Masz!

W końcu brzęczyk znika pod kopczykiem białego pyłu, który warczy i drży, aż wreszcie nieruchomieje.

Nie wstając — bo nie ma siły, aby podnieść się na nogi, jeszcze nie, jeszcze nie może uwierzyć w to, że żyje — Jamie Jaffords na klęczkach zbliża się do zabitego przez Molly potwora... który teraz jest martwy, a przynajmniej nie rusza się. Jamie chce zedrzeć mu maskę i zobaczyć jego twarz. Najpierw kopie go, jak rozkapryszone dziecko. Ciało Wilka lekko przetacza się na bok i znów nieruchomieje. Wokół rozchodzi się kwaśny odór zgnilizny. Z maski, która topi się jak w żarze ogniska, unosi się cuchnący dym.

Martwy, myśli chłopak, który kiedyś będzie dziadkiem, najstarszym mieszkańcem Calla Bryn Sturgis. Martwy, bez wątplenia. Do roboty, tchórze! Zedrzyj mu maskę!

Robi to. Pod prażącym jesiennym słońcem chwytą topiącą się maskę, która w dotyku przypomina metalową siatkę, ściąga ją i widzi...

8

Eddie dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że stary przestał mówić. Był jak urzeczony jego opowieścią. Widział każdy jej szczegół tak dokładnie, jakby to on był tam na wschodniej drodze, klęcząc w pyłe z kuszą uniesioną do uderzenia niczym kij bejsbolowy, szykując się do strącenia nadlatującego brzęczyka.

Susannah przejechała obok na swym fotelu, mając na kolanach miskę z karmą dla kur i kierując się w stronę kurnika. Posłała mu lekko zdziwione spojrzenie. Eddie otrząsnął się. Nie przyszedł tutaj, żeby dobrze się bawić. Zapewne to, że dał się tak zauroczyć tej opowieści, coś mówiło o nim samym.

— I? — zapytał starego, gdy Susannah znikła w kurniku. —
Co zobaczyłeś?

— Hę? — Stary obrzucił go tak pustym wzrokiem, że Eddie ponownie stracił nadzieję.

— Co zobaczyłeś? Kiedy zerwałeś mu maskę?

Jeszcze przez chwilę twarz Jaffordsa przypominała dom, w którym palą się światła, lecz nikogo w nim nie ma. Potem (Eddie miał wrażenie, że tylko siłą woli) stary wrócił do rzeczywistości. Spojrzał przez ramię na budynek. Popatrzył na czarny zarys stodoły i nikły błysk światła w jej oknie. Rozejrzał się po podwórku.

Przestraszony, pomyślał Eddie. Śmiertelnie.

Powtarzał sobie, że to tylko starcza paranoja, ale mimo woli przeszedł go zimny dreszcz.

— Nachyl się do mnie — mruknął stary i kiedy Eddie zrobił to, rzekł: — Powiedziałem to tylko mojemu chłopcu, Luke'owi... ojcu Tiana, wiesz. Wiele lat później. Poradził mi, żebym nigdy nikomu więcej o tym nie mówił. Zapytałem go: „Lukę, a jeśli to mogłoby pomóc? Gdyby pomogło nam, kiedy pojawią się znowu?”.

Stary ledwie poruszał wargami, ale teraz mówił prawie bez lokalnego akcentu i Eddie doskonale go rozumiał.

— A Lukę powiada: „Tato, jeśli naprawdę wierzysz, że to może coś pomóc, to czemu do tej pory nikomu nie mówiłeś?”. Ja nic nie mogłem na to powiedzieć, bo tylko intuicja kazała mi trzymać dziób na kłódkę. A poza tym co by to dało? Co zmieniło?

— Nie wiem — odparł Eddie. Siedzieli blisko siebie. Czuł oddech starego, przesycony wonią wołowiny i sosu. — Skąd mogę wiedzieć, jeśli nie powiedziałeś mi, co zobaczyłeś?

— „Karmazynowy Król zawsze znajdzie sobie siepaczy — oświadczył mój chłopak. — Lepiej jeśli nikt nie będzie wiedział, że tam byłeś, a jeszcze lepiej, jeśli nikt się nie dowie, co tam widziałeś. Inaczej wieść o tym może dotrzeć do Jądra Gromu”. I zauważyłem coś, co mnie zasmuciło.

Chociaż szalał z niecierpliwości, Eddie uznał, że najlepiej zrobi, jeśli pozwoli staremu opowiedzieć to po swojemu.

— Co takiego, dziadku?

— Zauważyłem, że Lukę mi nie wierzy. Myślał, że własny ojciec opowiada mu bajdy, podając się za uczestnika zabójstwa

Wilka. A przecież nawet półgłówek by zrozumiał, że gdybym to zmyślił, twierdziłbym, że to ja zabiłem Wilka, a nie żona Eamona Doolina.

To ma sens, pomyślał Eddie, a potem przypomniał sobie, jak stary napomknął, że czasami przypisywał sobie tę zasługę. Mimo woli uśmiechnął się.

— Lukey obawiał się, że ktoś może usłyszeć moją opowieść i uwierzyć w nią. A potem wieść o tym dojdzie do Wilków i zginę z powodu wyssanych z palca bajan. Nie miał racji. — W zapadającym zmroku błagalnie spojrzął wyblakłymi oczami na Eddiego. — Ty mi wierzysz, prawda?

Eddie skinął głową.

— Wiem, że mówisz prawdę, dziadku. A kto... — Eddie urwał. Chciał zapytać *kto by cię zakapował?*, lecz stary mógł go nie zrozumieć. — Kto by im powiedział? Kogo podejrzewałeś?

Stary obrzucił wzrokiem ciemne podwórze, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

— Powiedz mi — nalegał Eddie. — Powiedz, co...

Szeroka i sucha dłoń, drżąca ze starości, lecz wciąż zaskakująco silna, chwyciła go za kark i przyciągnęła bliżej. Sterczące bokobrody otarły się o małżowinę uszną Eddiego, który zadrżał i otrząsnął się.

W chwili gdy zgasły ostatnie promienie słońca i noc zapadła nad miasteczkiem, stary wyszeptał dziewiętnaście słów.

Eddie Dean zrobił wielkie oczy. Najpierw pomyślał, że teraz rozumie, o co chodziło Rolandowi, kiedy mówił o siwych koniach. A potem: *Oczywiście. To ma sens. Powinniśmy domyślić się od razu.*

Stary wyszeptał dziewiętnaście słów i zamilkł. Dłoń, którą ścisnął kark Eddiego, opuścił na kolana. Eddie spojrzął mu w oczy.

— To prawda?

— Ano, rewolwerowcze — odparł stary człowiek. — Szczerą prawdą. Nie mogę powiedzieć, jak jest z innymi, gdyż jednakowe maski mogą skrywać różne twarze, ale...

— Nie — rzucił Eddie, myśląc o siwych koniach. Nie wspominając już o jednakowych szarych spodniach. I zielonych płaszczach. To wszystko miało sens. Jak brzmiała ta stara piosenka, którą śpiewała matka? *Teraz jesteś w wojsku, nie*

zaciągaj po swojsku. Nigdy nie będziesz bogaty, najwyżej zbierzesz baty, bo teraz jesteś w wojsku.

— Będę musiał powiedzieć o tym naszemu *dinh* — rzekł Eddie.

Stary powoli pokiwał głową.

— Ano. Rób, jak chcesz. Kiepsko mi idzie z młodym, wiesz. Lukey chciół wykopać studnia, co to Tian wskazał patykiem.

Eddie pokiwał głową, udając, że rozumie. Potem Susannah wytłumaczyła mu: *Dziadek kiepsko dogaduje się z wnukiem, wiesz. Lukey próbował wykopać studnię w miejscu, które Tian wskazał mu różdżką.*

— Jest różdżkarzem? — zapytała Susannah z ciemności. Wróciła po cichu i teraz zrobiła znaczący gest rękami. Stary spojrzął na nią ze zdziwieniem, a potem kiwnął głową.

— Ano różdżka. Byłem temu przeciw, ale jak Wilki zabrały mu siostra, Tia, Lukey zrobił to, co chłopak chciał. Wyobrażał sobie ludziska, pozwalać takiemu chłystkowi pokazywać, gdzie kopać studnia? Lukey pozwolił i tam rzeczywiście była woda. Muszę przyznać, że wszyscy widzieliśmy ją i czulim jej zapach, zanim gliniane ściany zawaliły się i przysypały mojego chłopca. Wykopaliśmy go, ale już było po nim. W gardle i płucach miał pełno gliny i szlamu.

Powoli, bardzo powoli, starzec wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią oczy.

— Od tamtej pory nie zamieniłem z chłopcem ani słowa. Ta studnia tkwi między nami, wiesz? Ale ma rację, że chce walczyć z Wilkami, i jeśli możesz, przekaż mu, że dziadek go szanuje, jego i jego decyzję! Ma w żyłach krew Jaffordsów, ano ma! Nasi przodkowie nigdy nie poddawali się bez walki i teraz ich krew doszła do głosu! — Znów pokiwał głową, tym razem trochę mniej energicznie. — Idź i powiedz to swojemu *dinh*). Każde słowo! A jeśli to się rozejdzie... jeżeli Wilki zechcą wcześniej przybyć z Jądra Gromu po takiego starego piernika jak ja... — Pokazał resztki użębienia w uśmiechu, który Eddie uznał za zdecydowanie ponury. — Wciąż umiem napiąć kuszę — dodał. — I coś mi mówi, że twoja brązowoskóra kobita potrafiłaby rzucać talerzem, chociaż nie ma nóg. — Starzec zapatrzył się w ciemność. — Niech przyjdą — wyszeptał. — Najwyższy czas zapłacić im za wszystko. Najwyższy czas.

Rozdział 7

NOKTURN, GŁÓD

1

Włażka znów znalazła się w zamku, lecz tym razem było inaczej. Tym razem nie poruszała się wolno, bawiąc się ze swym głodem, wiedząc, że wkrótce zaspokoi go i naje się do syta, tak że oboje będą zadowoleni — ona i jej mały. Tym razem czuła rozpaczliwą potrzebę, jakby w jej brzuchu zamknięto jakieś dzikie zwierzę. Zrozumiała, że to, co czuła podczas poprzednich wypraw, wcale nie było głodem, tylko zdrowym apetytem. Teraz było inaczej.

Nadchodzi jego czas, pomyślała. Musi więcej jeść, żeby mieć siłę. I ja też.

Mimo to była wystraszona — nawet przerażona — że nie jest to tylko potrzeba obfitszych posiłków. Musiała coś zjeść, coś specjalnego. Mały potrzebował tego, żeby... no...

Zakończyć przemianę.

Tak, właśnie tak! Przemianę! I z pewnością znajdzie to w sali biesiadnej, ponieważ tam było wszystko: tysiąc dań, każde bardziej wyszukane od poprzedniego. Obejrzy je, a kiedy znajdzie odpowiednie — czy będzie to warzywo, przyprawa, mięso, czy ryba — wnętrzości i nerwy dadzą jej sygnał. Będzie jadła... och, będzie żarła...

Przyspieszyła kroku, a potem zaczęła biec. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że ten świst to odgłos ocierających się o siebie nogawek spodni. Dżinsowych spodni, jakie noszą kowboje. A zamiast pantofli miała na nogach ciężkie buty.

Buciorzy, podsunęła jej pamięć. Buciorzy, że daj zdrowie.

To wszystko jednak nie miało żadnego znaczenia. Ważne było tylko jedzenie, *żarcie*, i znalezienie odpowiedniego pokarmu dla małego. Pokarmu, który go wzmocni i wywoła poród.

Zbiegła po szerokich schodach w miarowy pomruk silników. Teraz powinna poczuć cudowne zapachy — pieczonego mięsiva, opiekane go drobiu, przyprawionych ziołami ryb — ale nie czuła nic takiego.

Może mam katar, pomyślała, gdy podeszwy jej butów wybiły werbel na schodach. *Na pewno mam katar. Nos mi spuchł i niczego nie czuję...*

A jednak nie. Czuła zapach kurzu i wieków, unoszący się wokół. I wilgoć, i nikłą woń oleju silnikowego, a także pleśni niestrudzenie pożerającej gobeliny i zasłony wiszące w zrujnowanych komnatach.

Czuła te zapachy, lecz nie wyczuwała pożywienia.

Przemknęła po czarnej marmurowej posadzce ku podwójnym drzwiom, nie wiedząc, że znowu jest śledzona — tym razem nie przez rewolwerowca, lecz chłopca o szeroko otwartych oczach i zmierzwionej czuprynie, ubranego w bawełnianą koszulkę i szorty. Mia przecięła przedsiónek z posadzką w czerwono-czarne kwadraty oraz posągami z marmuru i stali. Nie przystanąła, żeby dygnać, i nawet nie skinęła głową. Ona mogła znieść taki głód. Ale nie jej mały. Nie mały.

Zatrzymała się (tylko na kilka sekund) na widok swojego odbicia, mętnego i niewyraźnego, w chromowanej stali posągu. Miała na sobie dżinsy i białą koszulkę (*To jest podkoszulek*, podpowiedziała jej pamięć) z jakimś napisem i obrazkiem.

Obrazek przedstawiał tłustą świnkę.

Nieważne, co masz na koszulce, kobieto. Liczy się mały. Musisz go nakarmić!

Wpadła do sali biesiadnej i stanęła jak wryta. Sala była mroczna i pusta. Kilka elektrycznych pochodni wciąż się paliło, ale większość zgasła. Mia zobaczyła, jak jedna z nich, paląca się na drugim końcu pomieszczenia, zamigotała i zgasła. Białe talerze z *okazji* zostały zastąpione niebieskimi, ozdobionymi wzorem zielonych łodyżek ryżu. Te rośliny układały się w Wysoką Literę Zn, która — jak Mia wiedziała — oznaczała *wieczność, terażniejszość*, a także *chodźcie, chodźcie z nami*.

Talerze były nieważne. Dekoracje również. Ważne było tylko to, że półmiski oraz kryształowe tace były puste i zakurzone.

Nie, nie wszystkie: w jednym pucharze zauważyła zdechłego pająka, czarną wdowę z licznymi odnóżkami, przyciśniętymi do klepsydrowatego zwężenia pośrodku tułowia.

Dostrzegła szyjkę butelki sterzącą ze srebrnego kubelka i jej żołądek wydał kategoriyczny nakaz. Chwyciła butelkę, ledwie zauważając, że w wiaderku nie ma wody, nie mówiąc o lodzie: było zupełnie suche. Przynajmniej butelka miała właściwy ciężar i w środku dość płynu, aby...

Zanim jednak Mia włożyła szyjkę butelki do ust, poczuła tak silny zapach octu, że łzy napłynęły jej do oczu.

— Kuźwa! — wrzasnęła i rąbnęła butelką o podłogę. — Kuźwa!

Butelka rozbiła się o kamienną posadzkę. Coś, piszcząc ze zdziwienia, pierzchnęło pod stół.

— Tak, lepiej zmykaj! — wrzasnęła. — Wynos się, czymkolwiek jesteś! Przyszła Mia, córka niczyja, i nie jest w dobrym humorze! Tak, będę jeść! Tak! Będę!

Były to śmiałe słowa, lecz z początku nie dostrzegła pod stołem niczego, co nadawałoby się do jedzenia. Znalazła chleb, lecz ten kawałek, który podniosła, okazał się twardy jak kamień. Było tam coś, co wyglądało na resztki ryby, lecz na wpół rozłożonej i rojącej się od zielonkawobiałych robaków.

Jej brzuch głośno domagał się pokarmu, niezrażony tym widokiem. Co gorsza, coś poniżej brzucha zaczęło się wiercić, kopać i domagać jedzenia. Nie słowami, lecz naciskając pewne miejsca w najprymitywniejszych częściach układu nerwowego. Zaschło jej w gardle, wargi spierzchnęły, jakby napiła się tego skwaśniałego wina, a wszystko wyostrzyło się, gdy oczy wyszły jej z orbit. Każda myśl, każdy zmysł i instynkt były nastawione tylko na jedno: jedzenie.

Za odległym końcem stołu znajdował się parawan zdobiony obrazem ukazującym Arthura Elda z uniesionym mieczem, jadącego przez bagna w towarzystwie trzech rewolwerowców, rycerzy. Na jego szyi wisiał Saita, wielki wąż, którego zapewne właśnie zabił. Kolejna zakończona powodzeniem misja! Piękne dzięki! Mężczyźni i te ich misje! Phi! Co to dla niej, zabicie

jakiegoś magicznego węża? Ona nosi w brzuchu małego, a ten jest głodny.

Kłodny, napłynęła myśl, która nie była jej myślą. *Poprawnie jest kłodny.*

Za parawanem były podwójne drzwi. Otworzyła je pchnięciem i przeszła przez nie, w dalszym ciągu nie zdając sobie sprawy z obecności Jake'a, który stał w bieliźnie na końcu sali biesiadnej, spoglądając na nią z obawą.

Kuchnia też była pusta i zakurzona. Błaty szafek poznaczone tatuażami mysich śladów. Garnki, patelnie i sztucce leżały w nieładzie na podłodze. Za tą stertą znajdowały się cztery zlewy, jeden pełen zatęchłej wody, którą pokrywał kożuch glonów. To pomieszczenie oświetlały lampy fluorescencyjne. Tylko kilka z nich wciąż się paliło. Większość zapalała się i gasła, nadając temu bałaganowi surrealistyczny i koszmarny wygląd.

Mia przeszła przez kuchnię, kopniakami odrzucając z drogi garnki i patelnie. Dotarła do rzędu czterech piecyków. Drzwiczki trzeciego były uchylone. Przez szparę płynęło rozgrzane powietrze, jak znad paleniska, w którym przed sześcioma lub ośmioma godzinami zgasły ostatnie węgle, oraz zapach na nowo budzący protesty jej żołądka. Była to woń świeżo upieczonego mięsa. Mia otworzyła drzwiczki. W środku rzeczywiście była jakaś pieczeń. Pożywił się nią szczur wielkości rysia. Słyszając zgrzyt otwieranych drzwiczek, odwrócił łeb i spojrzał na nią nieustraszonymi ślepiami. Jego wąsy matowe od tłuszczu zadrgały. Potem znowu zajął się pieczeniem. Słyszała mlaskanie i odgłos rozdieranej tkanki.

Nie, panie Szczurze. Tego nie zostawiono dla ciebie. To dla mnie i mojego małego.

— To twoja ostatnia szansa, przyjacielu! — zawołała śpiewnie, odwracając się do szafek i stojących za nimi szaf. — Lepiej zmykaj, póki możesz! Ostrzegam cię!

Wiedziała, że nie usłucha. Pan Szczur też był *kłodny*. Wysunęła szufladę i nie znalazła nic prócz desek do krojenia chleba i wałka do ciasta. Przez chwilę zastanawiała się nad wałkiem, ale nie chciała umazać swojego obiadu szczurzą krwią bardziej niż to konieczne. Otworzyła szafkę i znalazła foremki do ciasta oraz miseczki do deserów. Przeszła na lewo, wysunęła kolejną szufladę i znalazła w niej to, czego szukała.

Przyjrzała się nożom, ale w końcu wzięła widelki do mięsa. Miały dwa sześciocalowe, stalowe zęby. Zaniosiła je do rzędu kuchenek, zawahała się i sprawdziła trzy pozostałe. Piecyki były puste, tak jak się spodziewała. Coś — opatrność, los, *ka* — zostawiło tutaj mięso, ale w ilości wystarczającej na jeden posiłek. Pan Szczur myślał, że dla niego. Pan Szczur popełnił błąd. Nie sądziła, żeby miał okazję popełnić następny. Nie po tej stronie polany.

Pochyliła się i jej nozdrza znów wypełnił zapach świeżo upieczonej wieprzowiny. Rozchyliła wargi w uśmiechu i ślina spłynęła jej z kącików ust. Tym razem pan Szczur nie odwrócił się. Pan Szczur uznał, że ona nie stanowi dla niego zagrożenia. Doskonale. Pochyliła się jeszcze bardziej, zaczerpnęła tchu i nadziała go na widelki. Szczurzy szaszłyk! Wyjęła go z piecyka i podniosła na wysokość oczu. Piszczął wściekle, przebierając łapami w powietrzu, podrzucając łbem, a jego krew ściekała na rączkę widełek i spływała na jej pięść. Zaniosiła go, wciąż wijącego się, do zlewu z zatęchłą wodą i zrzuciła z widełek. Z pluskiem wpadł w mętną ciecz i znikł. Jeszcze przez moment nad powierzchnię wystawał czubek drgającego ogona, a potem i on przepadł.

Przeszła wzdłuż zlewów, kręcąc kurkami, i z jednego kranu popłynęła cieniutka strużka wody. Zmyła pod nią szczurzą krew z palców. Potem wróciła do piecyka, ocierając dłoń o siedzenie. Nie widziała Jake'a, stojącego teraz w drzwiach kuchni i obserwującego ją, chociaż wcale nic próbował się ukryć. Całą jej uwagę absorbował zapach pieczystego. Mięsa nie było dużo i niezupełnie tego potrzebował jej mały, ale na razie wystarczy. Sięgnęła do środka, chwyciła brzegi brytfanny i z jękiem cofnęła ręce, potrząsając nimi i szczerząc zęby w uśmiechu. Był to grymas bólu, lecz nie całkiem pozbawiony humoru. Pan Szczur albo był od niej odporniejszy na żar, albo znacznie bardziej *łtodny*. Chociaż trudno uwierzyć w to, że ktoś lub coś może być *Modniejsze niż* ona teraz.

— Jeem *łtodna*! — wrzasnęła ze śmiechem, idąc wzdłuż szafek i pospiesznie otwierając i zamykając szuflady. — Mia bardzo *łtodna* dama, tak prósz pana! Nie poszłam do Morehouse ani do żadnego innego domu, ale jesem *łtodna*! I mój mały też jes *łtodny*!

W ostatniej szufladzie (czyż nie zawsze tak jest) znalazła •ękawice, których szukała. Pospieszyła z powrotem do piecyka, rzymając je w dłoniach, nachyliła się i wyjęła pieczeń. Jej jmiech nagle przeszedł w jęk zgrozy... a potem znów przeleciał 30 kuchni, jeszcze głośniejszy niż przedtem. Ależ z niej głupia *ęś! Przeklęta idiotka! Przez moment wydawało jej się, że nieśo, dobrze upieczone i nadgryzione przez pana Szczura ylko w jednym miejscu, to ciało dziecka. No tak, zapewne sieczone prosię trochę przypomina dziecko... niemowlę... ma-ego... ale teraz, kiedy wyjęła je z piekarnika i widziała zamknięte ślepią, zwęglone uszka oraz upieczone jabłko w pysku, lie było już żadnych wątpliwości.

Stawiając je na blacie szafki, ponownie pomyślała o odbiciu, itóre widziała w przedsiönku. No, teraz to nieważne. W brzuchu głośno burczało jej z głodu. Z tej samej szuflady, z której zabrała widelki, wyjęła nóż i odcięła nadgryzione przez pana Szczura miejsce, jak wycina się robaka z jabłka. Cisnęła ten kawałek arzez ramię, po czym podniosła całą pieczeń i wbiła w nią zęby.

Jake obserwował to, stojąc w drzwiach.

Zaspokoivszy pierwszy głód, Mia rozejrzała się po kuchni. Na jej twarzy zaduma walczyła o lepsze z rozpaczą. Co powinna zrobić, kiedy zje pieczeń? Co będzie jadła, kiedy następnym razem poczuje taki głód? I gdzie znajdzie to, czego jej mały naprawdę chciał, czego potrzebował? Zrobiłaby wszystko, żeby zlokalizować to coś i zdobyć odpowiedni zapas, czy będzie to pokarm, napój, witamina, czy cokolwiek. Wieprzowina była niezła (przynajmniej na tyle, żeby znów zasnął, dzięki niech będą wszystkim bogom i Jezusowi-Człowiekowi), ale to jeszcze nie to.

Na moment z traskiem odłożyła *sai* Świnkę do brytfanny, ściągnęła przez głowę koszulkę i odwróciła ją, żeby spojrzeć na jej przód. Obrazek przedstawiał świnkę, przypieczoną, lecz najwyraźniej zadowoloną, bo szeroko uśmiechniętą. Powyżej litery stylizowane na napis na stodole, głosiły: DIXIE PIG, LEX I UL. 61. A poniżej: NAJLEPSZE ŻEBERKA W NO-WYM JORKU WEDŁUG GOURMET MAGAZINE.

Dixie Pig, pomyślała. *Dixie Pig. Gdzie ja to już słyszałam?*

Nie wiedziała, ale sądziła, że w razie potrzeby potrafi znaleźć Lex.

— To musi być pomiędzy Trzecią a Park Avenue. Zgadza się, prawda?

Chłopiec, który odchodził, ale zostawił otwarte drzwi, usłyszał to i posępnie skinął głową. Lexington rzeczywiście znajdowała się dokładnie tam.

No cóż, pomyślała Mia. Teraz już w porządku, przynajmniej na razie, a jak powiedziała ta kobieta w książce, jutro dopiero przyjdzie. Wtedy będę się martwić. No nie?

Pewnie. Ponownie podniosła pieczeń i zaczęła jeść. W pustej kuchni odbijało się echem mlaskanie niewiele różniące się od odgłosów towarzyszących ucztowaniu szczura. Właściwie nie różniące się niczym.

2

Tian i Zalia chcieli oddać Eddiemu i Susannah swoją sypialnię. Niełatwo było ich przekonać, że goście naprawdę nie chcą w niej spać, bo byłoby im tam niewygodnie. W końcu udało się to Susannah, która niechętnie wyznała Jaffordsom, że coś okropnego przydarzyło im się w mieście Lud, coś tak nieprzyjemnego, że oboje nie mogą już teraz spokojnie spać w czterech ścianach. W stodole, w której w każdej chwili widać otwarte na oścież drzwi, będzie im znacznie wygodniej.

Była to dobra bajeczka i zręcznie opowiedziana. Tian i Zalia wysłuchali jej ze współczuciem, które obudziło w Eddiem wyrzuty sumienia. To prawda, że w mieście Lud przeżyli wiele nieprzyjemnych przygód, ale przez żadną z nich nie nabawili się lęku do spania pod dachem. A przynajmniej tak przypuszczał, bo od chwili gdy opuścili swój świat, oboje spędzili tylko jedną noc (tę poprzednią) pod prawdziwym dachem prawdziwego domu.

Teraz siedział ze skrzyżowanymi nogami na jednym z koców, które Zalia dała im do rozłożenia na sianie. Dwa pozostałe były odrzucone na bok. Spoglądał na podwórze, nad gankiem, na którym stary Jaffords opowiedział mu swoją historię, w kierunku rzeki. Księżyc wyłaniał się i chował za chmurami, to rozjaśniając wszystko swym srebrzystym blaskiem, to pogrążając w ciemności. Eddie ledwie to zauważał. Całą uwagę skupił na odgłosach dobiegających z dołu, gdzie były boksy dla zwierząt

i kojce dla kur. Ona była tam na dole, był tego pewien, ale — na Boga — poruszała się tak cicho.

A poza tym kim teraz była? Mia, powiedział Roland, lecz to tylko imię. Kim była naprawdę?

Tyle że nie było to tylko imię. W Wysokiej Mowie to słowo oznacza matkę, powiedział rewolwerowiec.

Matka.

No tak. Lecz nie matka mojego syna. Ten mały nie jest moim dzieckiem.

Na dole rozległ się cichy stuk i skrzywienie desek. Eddie zastygł. Naprawdę tam była. Już zaczął w to wątpić, ale była tam.

Obudził się po sześciu godzinach głębokiego i spokojnego snu, po czym odkrył, że jej nie ma. Podeszedł do drzwi stołody, które zostawili szeroko otwarte, i wyjrzał na zewnątrz. Była tam. Nawet w słabym blasku księżyca poznał, że siedząca na wózku kobieta to nie Susannah, nie jego Suze, ani nawet Odetta Holmes czy Detta Walker. Mimo to wyglądała znajomo. Ona...

Widziałeś ją w Nowym Jorku, tylko wtedy miała nogi i umiała się nimi posługiwać. Miała nogi, lecz nie chciała podejść bliżej do róży. Miała po temu powody, z pewnością uzasadnione, ale wiesz, jaka była prawdziwa przyczyna? Sądzę, że obawiała się, że róża uszkodzi to coś, co ona nosi w swoim brzuchu.

Mimo wszystko było mu żal tej kobiety na dole. Obojętnie kim była i co miała urodzić, wpakowała się w to, ratując Jake'a Chambersa. Zajęła się demonem w kamiennym kręgu, zatrzymując go w sobie, aby Eddie mógł skończyć rzeźbić klucz.

Czy kiedyś przyszło ci do głowy, że gdybyś skończył go wcześniej, gdybyś nie był takim nędznym gówniarzem, nigdy nie wpakowałaby się w takie bagno?

Eddie odepchnął od siebie tę myśl. Tak, tkwiła w niej odrobina prawdy — rzeczywiście stracił wiarę w siebie, kiedy rzeźbił klucz, i dlatego nie ukończył go do dnia przejścia Jake'a — ale nie zamierzał tego roztrząsać. Takie myślenie nie prowadziło do niczego dobrego, tylko raniło.

Kimkolwiek była, głęboko współczuł tej kobiecie, którą zobaczył na dole. W nocnej ciszy, na przemian w księżycowym

blasku i mroku, pchała fotel Susannah przez podwórze... i z powrotem... potem znowu... w lewo... i w prawo. Trochę przypomniała mu stare roboty na polance Shardika, te które Roland kazał mu zestrzelić. A co w tym dziwnego? Zasnął, rozmyślając o tych robotach i o tym, co wówczas powiedział Roland: *Myślę, że to bardzo smutne stworzenia, na swój sposób. Eddie skróci ich cierpienia.* I tak też zrobił po krótkich namowach: temu, który wyglądał jak długi wąż, podobnemu do traktora, jaki kiedyś Eddie dostał w prezencie urodzinowym, złośliwemu szczurowi z nierdzewnej stali. Zastrzelił je wszystkie oprócz ostatniego, latającego mechanizmu. Tego załatwił Roland.

Jak te stare roboty, kobieta na podwórzu chciała dokądś pójść, ale nie wiedziała dokąd. Chciała czegoś, ale nie wiedziała czego. Pytanie, co on powinien teraz zrobić?

Po prostu patrzeć i czekać. Wykorzystać ten czas na wymyślenie jakiejś bajeczki, na wypadek gdyby ktoś się zbudził i zobaczył ją na podwórku, pchającą fotel. Może następny objaw stresu przeżytego w mieście Lud.

— Cóż, przynajmniej ja w to wierzę — mruknął, ale w tym momencie Susannah zawróciła i skierowała fotel z powrotem do stodoły, najwyraźniej podjąwszy decyzję. Eddie położył się na sianie, zamierzając udać, że śpi, ona jednak nie wróciła na górę. Usłyszał cichy szczęk, stęknęcie, a potem skrzypienie desek, gdy zmierzała na tyły stodoły. Oczami duszy zobaczył, jak zsunęła się z fotela i ruszyła w tym kierunku swym wprawnym kalekim chodem. Po co?

Pięć minut ciszy. Już zaczął się denerwować, gdy usłyszał cichy pisk, krótki i przeraźliwy. Tak bardzo przypominał krzyk niemowlęcia, że dreszcz przeszedł mu po plecach, a na rękach i nogach dostał gęsiej skórki. Patrzył na prowadzącą na dół drabinę i czekał.

To świnka. Jedna z małych. Prosiak, nic innego.

Może, ale wciąż przychodziły mu na myśl młodsze bliźniaki gospodarzy. Szczególnie ta dziewczynka. Lia rymuje się z Mia. To jeszcze dziecko, szaleństwem jest myśleć, że Susannah mogłaby poderżnąć jej gardło, kompletnym szaleństwem, a jednak...

Ta kobieta na dole to nie Susannah i jeśli tego nie zrozumiesz, to robi ci krzywdę, tak jak kiedyś.

Krzywdą, akurat. O mało go nie zabiła. Niewiele brakowało, a homarokoszmary odgryzłyby mu twarz.

To Detta rzuciła mnie na żer tym odrażającym stworom. Ta na dole to nie ona.

Owszem, nie ona, i przeczuwał — tylko intuicyjnie — że może być o wiele miłsza od Detty, ale byłby głupcem, gdyby dawał za to głowę.

Albo życie dzieci. Tiana i Zalii?

Siedział, pocąc się, nie wiedząc, co robić.

W końcu, po długim jak wieczność wyczekiwaniu, usłyszał kolejne piski i poskrzypywania. Ostatnie z nich rozległo się tuż przy drabinie wiodącej na stryszek. Eddie znów wyciągnął się na sianie i zamknął oczy. Lecz nie całkiem. Zerkając przez rzęsy, zobaczył jej głowę pojawiającą się w otworze w podłodze. W tym momencie księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił stryszek. Eddie ujrzał krew w kącikach jej ust, ciemniak czekolada, i zanotował w pamięci, żeby zetrzeć ją rano. Nie chciał, żeby zauważył to ktoś z rodziny Jaffordsów.

Chcę zobaczyć bliźniaki, pomyślał Eddie. Obie pary, czworo, zdrowe i całe. Szczególnie Lię. Czego jeszcze chcę? Aby Tian wyszedł ze stodoły, marszcząc brwi. Żeby zapytał nas, czy słyszeliśmy coś w nocy, może lisa lub jednego z tych skalnych kotów, o których wciąż mówią. Bo brakuje nam jednego prosiaka. Mam nadzieję, że ukryłaś to, co z niego zostało, Mia — czy jak tam się teraz nazywasz. Mam nadzieję, że ukryłaś dobrze.

Podeszła do niego, położyła się, odwróciła na bok i zasnęła. Był tego pewien, słysząc jej miarowy oddech. Odwrócił głowę i spojrzął na pogrążony we śnie dom Jaffordsów.

Nie zbliżała się do tego domu.

Nie, chyba że przejechała fotelem przez stodołę i wyjechała tylnymi drzwiami. Podkraśniała się tędy... wślizgnęła przez okno... chwyciła jedno z młodszych dzieci... zabrała tę małą... zaniosiła ją do stodoły... i...

Nie zrobiła tego. Przede wszystkim miała za mało czasu.

Być może, ale mimo to poczuje się lepiej dopiero rano. Kiedy zobaczy wszystkie dzieci przy śniadaniu. Włącznie z Aaronem, chłopczykiem o pulchnych nóżkach i sterczącym brzuszku. Pomyślał o tym, co czasem mówiła jego matka, kiedy

na ulicy zobaczyła jakąś kobietę z równie ślicznym synkiem:
Jaki uroczy! Mogłabym go schrupać!

Daj spokój! Spij.

Minęła długa chwila, zanim Eddie zdołał zasnąć.

3

Jake z jękiem ocknął się z koszmarne go snu, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Usiadł, drżąc, i objął się rękami. Miał na sobie tylko zwykłą bawełnianą koszulę — za dużą na niego — i cienkie bawełniane szorty, nieco podobne do gimnastycznych, również za szerokie. Co u...?

Usłyszał westchnienie i ciche pierdnięcie. Poszukał wzrokiem źródła tych dźwięków i zobaczył Benny'ego Slightmana zakopanego po czubek nosa w koce. Natychmiast wszystko znalazło się na swoim miejscu. Miał na sobie podkoszulek i szorty Benny'ego. Leżeli w namiocie Benny'ego. Rozstawili go na nadrzecznym urwisku. Brzegi rzeki były tu kamieniste, powiedział Benny, nienadające się pod uprawę ryżu, ale doskonałe do łowienia ryb. Jeśli dopisze im szczęście, będą mogli wyłowić śniadanie z nurtów rzeki Devar-Tete Whye. I chociaż Benny wiedział, że Jake i Ej muszą wrócić do domu Starego Człowieka na dzień czy dwa lub dłużej, to może później uda im się przybyć tu ponownie. Tutaj były dobre łowiska, nieco w górze rzeki dobre miejsca do pływania i jaskinie ze ścianami połyskującymi w mroku i świecącymi jaszczurkami. Jake zasnął, ciesząc się perspektywą podziwiania tych cudów. Czuł się nieswojo, będąc tutaj bez broni (za dużo widział i zbyt wiele przeżył, żeby mógł czuć się bezpieczny bez broni), ale był pewny, że Andy ich pilnuje, więc pozwolił sobie zasnąć.

Miał sen. Okropny sen. Zobaczył w nim Susannah w olbrzymiej, brudnej kuchni opuszczonego zamku. Susannah trzymającą szczura nabitego na metalowy szpikulec. Trzymającą go w górze i zaśmiewającą się, gdy krew zwierzęcia ściekała po drewnianej rączce i spływała jej po palcach.

To nie sen i dobrze o tym wiesz. Musisz powiedzieć Rolandowi.

Myśl, która przyszła po tej, była jeszcze bardziej niepokojąca:
Roland już o tym wie. Eddie także.

Jake usiadł z kolanami podciągniętymi pod brodę, rękami chwytając za kostki nóg, czując się gorzej niż kiedykolwiek od czasu, gdy dokładnie się przyjrzał swojemu wypracowaniu, które napisał z języka angielskiego w klasie pani Avery. Było zatytułowane MOJE POJMOWANIE PRAWDY. Teraz rozumiał je znacznie lepiej — na przykład, w jakim stopniu było skutkiem tego, co Roland nazywał dotykiem — ale wówczas ogarnęło go przerażenie. Natomiast to, co czuł w tym momencie, było nie tyle zgrozą, ile...

Smutkiem, pomyślał.

Tak. Mieli być *ka-tet*, jednością, lecz obecnie ta ich jedność była stracona. Susannah stała się inną osobą i Roland nie chciał, żeby o tym wiedziała, nie teraz, kiedy Wilki zbliżają się zarówno w tym, jak i innym świecie.

Wilki z Calla, Wilki z Nowego Jorku. Chciał się złościć, ale nie potrafił wzbudzić w sobie gniewu. W końcu Susannah zaszła w ciążę, pomagając jemu, i jeśli Roland z Eddiem nic jej nie mówili, to dlatego, że chcieli ją chronić.

Tak, oczywiście. Chcą też mieć pewność, że ona będzie im pomagała, gdy Wilki przybędą z Jądra Gromu. Nie mogłaby strzelać, gdyby akurat wtedy poroniła, przeszła załamanie nerwowe albo coś w tym rodzaju.

Wiedział, że jest niesprawiedliwy, lecz ten sen okropnie nim wstrząsnął. Wciąż widział szczura wijącego się na szpi- kulcu do mięsa. I trzymającą go Susannah. Uśmiechniętą. Tego nie można zapomnieć. *Uśmiechała się.* W tym momen- cie nawiązał kontakt z jej umysłem i odczytał myśl: *szczurzy szaszłyk.*

Chryste — szepnął.

Chyba domyślał się, dlaczego Roland nie mówił Susannah o Mii — i tym dziecku, które Mia nazywała małym — lecz czy rewolwerowiec nie rozumiał, że stracili coś znacznie ważniej- szego i tracili to coraz bardziej z każdym kolejnym dniem?

Oni wiedzą lepiej, są dorośli.

Doszedł do wniosku, że to bzdura. Jeśli dorosłość naprawdę oznaczała mądrość, to dlaczego jego ojciec wypalał codziennie trzy paczki papierosów bez filtra i wąchał kokainę, aż krew leciała mu z nosa? Jeśli dorosłość oznacza świadomość właś-

ciwego postępowania, to czemu matka spała ze swoim masażystą, który miał wielkie bicepsy i zero mózgu? Dlaczego żadne z nich nie zauważyło, gdy wiosna tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku przechodziła w lato, że ich dzieciak (którego przezwisko Bama znała tylko gospodyni) traci pierzono

zmysły?
To nie to samo.

A jeśli jednak? Jeśli Roland i Eddie znajdowali się tak blisko problemu, że przestali dostrzegać prawdę? Czym jest prawda? Jak ty pojmujesz prawdę? Nie byli już *ka-tet*, tak wyglądała prawda.

Co Roland powiedział Callahanowi podczas pierwszej nara-
dy? *Jesteśmy kulą i toczymy się*. Wtedy tak było, lecz Jake nie sądził, żeby to w dalszym ciągu było prawdą. Przypomniał sobie stary żart, często cytowany przez ludzi, którzy złapali gumę: *Cóż, tylko na dole jest płaska*. Tak było teraz z nimi: tylko na dole uszło z nich powietrze. Przestali tworzyć *ka-tet*, bo jak mogli być jednością, jeśli mieli przed sobą tajemnice? I czy Mia oraz rosnące w brzuchu Susannah dziecko były jedynymi sekretami? Jake uważał, że nie. Było jeszcze coś. Coś, co Roland skrywał nie tylko przed Susannah, ale przed nimi wszystkimi.

Możemy pokonać Wilki, jeśli będziemy działać razem, pomyślał. *Jako ka-tet. Nie tak jak teraz. Tak nic nie wskóramy ani tutaj, ani w Nowym Jorku. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.* Zaraz potem przyszła mu do głowy następna myśl, tak okropna, że z początku usiłował odepchnąć ją od siebie. Szybko się jednak zorientował, że nie zdoła. Chociaż nie miał na to ochoty, musiał rozważyć tę myśl.

Mógłbym wziąć sprawy we własne ręce. Sam mógłbym z nią o tym porozmawiać.

I co wtedy? Co powiedziałby Rolandowi? Jak by to wyjaśnił? *Nie zdołałbym. Nie chciałby słuchać żadnych wymówek. Mógłbym tylko...*

Przypomniał sobie opowieść Rolanda o dniu, kiedy walczył z Cortem. Zahartowany stary weteran z laską, niedoświadczony młodzik z sokolem. Gdyby on, Jake, postąpił wbrew decyzji Rolanda i wyjawiał Susannah to, co przed nią ukrywano, prowadziłoby to prosto do próby męstwa.

A ja jeszcze nie jestem gotowy. Może Roland był — ledwie — ale ja nie jestem taki jak on. Nikt nie jest. Pokonałby mnie i wysłał samego na wschód, w Jądro Gromu. Ej próbowałby pójść ze mną, ale nie pozwoliłbym mu. Bo tam czeka śmierć. Może całe nasze ka-tet, a już na pewno jednego samotnego chłopca.

Mimo wszystko to nie w porządku, że Roland trzymał tę sprawę w tajemnicy. Co postanović? Znowu zbiorą się, żeby wysłuchać reszty opowieści Callahana i — może — zrobić coś z tym przedmiotem ukrytym pod podłogą kościoła. Co powinien wtedy uczynić?

Porozmawiać z nim. Spróbować przekonać, że źle postępuje.

W porządku. To może zrobić. Będzie trudno, ale może to zrobić. Czy powinien porozmawiać także z Eddiem? Jake uważał, że nie. Eddie jeszcze bardziej skomplikowałby wszystko. Niech Roland zdecyduje, czy powiedzieć Eddiemu. Przecież Roland to ich *dinh*.

Kłapa namiotu poruszyła się i Jake odruchowo sięgnął pod pachę, gdzie zwykle wisiał ruger w uchwycie dokera. Oczywiście teraz go nie było, ale tym razem nic się nie stało. To tylko Ej wetknął nos pod kłapę i odrzucił ją na bok, żeby wsadzić łebek do środka.

Jake wyciągnął rękę, chcąc pogłaskać bumblea. Ej delikatnie złapał go zębami za nadgarstek i pociągnął. Chłopiec dość chętnie ruszył za nim. Miał wrażenie, że sen odszedł o tysiąc mil.

Świat na zewnątrz namiotu składał się wyłącznie z czerni i bieli. Usiane głazami zbocze opadało ku rzece, w tym miejscu szerokiej i płytkiej. Księżyc palił się na wodzie niczym lampa. Jake dostrzegł dwie sylwetki na kamienistym zboczku. Zamarł. W tym momencie księżyc schował się za chmurę i świat pociemniał. Ej ponownie chwycił go zębami za dłoń i pociągnął. Jake poszedł za nim, natrafił na pięciostopowy występ i powoli zsunął się z niego. Ej stał teraz nad nim i trochę z tyłu, sapiąc mu do ucha jak mały silnik parowy

Księżyc znowu wyszedł zza chmury. Świat pojaśniał. Jake zobaczył, że Ej przyprowadził go do dużego granitowego głazu, który sterczał z ziemi jak dziób zatopionego statku. Dobra kryjówka. Chłopiec rozejrzał się wokół i popatrzył na rzekę.

Nie było cienia wątpliwości, kim jest jeden z tych dwóch: wzrost i błysk metalu wystarczyły, żeby rozpoznać w nim Andy'ego, Robota-Posłańca (I Wiele Innych Funkcji). Natomiast drugi... kim był ten drugi? Jake wyteżył wzrok, ale z początku bezskutecznie. Jego kryjówkę dzieliło od brzegu rzeki co najmniej dwieście jardów i chociaż księżycowe światło było jasne, to zarazem zwodnicze. Patrzący na robota mężczyzna miał twarz uniesioną i oświetloną blaskiem księżyca, lecz Jake nie mógł dostrzec jej rysów. Ale kapelusz, którym miał na głowie... Jake znał ten kapelusz...

Możesz się mylić.

Nagle mężczyzna lekko odwrócił głowę, promienie księżyca odbiły się od jego twarzy i Jake miał już pewność. W Calla Bryn Sturgis mogło być wielu kowbojów noszących takie kapelusze z okrągłym denkiem, ale tylko jeden z nich nosił okulary.

No dobrze, to ojciec Benny'ego. I co z tego? Nie wszyscy ojcowie są tacy jak mój, niektórzy bardzo martwią się o swoje dzieci, szczególnie jeśli już stracili jedno z nich... tak jak pan Slightman stracił bliźniaczą siostrę Benny 'ego. Na gorączkę płucną, powiedział Benny, co zapewne oznaczało zapalenie płuc. Sześć lat temu. Rozbiliśmy tu namiot, a pan . Slightman wysłał Andy'ego, żeby miał nas na oku, a potem zbudził się w środku nocy i postanowił sprawdzić sam. Może też miał zły sen.

Być może, lecz to nie wyjaśniało, dlaczego Andy i pan Slightman naradzali się na brzegu rzeki, prawda?

No cóż, może nie chcieli nas zbudzić. Może teraz przyjdzie zajrzeć do namiotu — tak więc lepiej będzie, jeśli wejdę do środka — a może uwierzy Andy'emu na słowo, że wszystko jest w porządku, i wróci na Rocking B.

Księżyc schował się za kolejną chmurę i Jake uznał, że najlepiej będzie nie ruszać się z miejsca, dopóki znowu nie wyjrzy. Kiedy tak się stało, zobaczył coś, co zaniepokoiło go równie mocno jak ten sen, w którym śledził Mię w komnatach opuszczonego zamczyska. Przez chwilę czepiał się myśli, że to też sen, następny zły sen, lecz wierzące go w podeszwy stóp kamyki i posapywanie Eja nad uchem były zdecydowanie realistyczne. To działa się naprawdę.

Pan Slightman nie ruszył w górę, gdzie chłopcy rozbili swój namiot, i nie ruszył z powrotem w kierunku Rocking B (choć zrobić to Andy, stawiając długie kroki). Nie, ojciec Benny'ego przeprowadził się przez rzekę. Brodził w wodzie, kierując się na wschód.

Może ma jakiś powód. Może ma bardzo dobry powód.

Naprawdę? A jakież to dobry powód? Jake wiedział, że tam nie ma żadnych zabudowań. Tam za rzeką były tylko ugory i pustkowia, strefa buforowa między pograniczem a królestwem zmarłych, jakim były góry Jądra Gromu.

Najpierw coś nie w porządku z Susannah —jego przyjaciółką Susannah. Teraz wyglądało na to, że coś jest nie tak z ojcem jego nowego przyjaciela. Jake uświadomił sobie, że ogryza paznokcie — paskudny nawyk z czasów Piper School, bo potem przestał to robić.

— To nie w porządku, wiesz? — powiedział do Eja. — To naprawdę nie w porządku.

Ej polizał jego ucho. Jake odwrócił się, objął bumbera i wtulił twarz w gęste futro przyjaciela. Bumber stał spokojnie, pozwalając na to. Po chwili Jake wciągnął się z powrotem na półkę, na której stał Ej. Poczł się nieco lepiej.

Księżyc skrył się za kolejną chmurą i świat pociemniał. Jake nie ruszał się. Ej cicho zaskomlał.

— Jeszce chwilę — mruknął chłopiec.

Chmura odpłynęła. Jake uważnie przyjrzał się miejscu, gdzie Andy naradzał się z Benem Slightmanem, notując szczegóły w pamięci. Zauważył spory owalny głaz o błyszczącej powierzchni. Obok niego leżał pień wyrzucony przez wodę na brzeg. Jake był pewien, że z łatwością znajdzie to miejsce, jeśli nawet nie będzie tu namiotu Benny'ego.

Zamierzasz powiedzieć Rolandowi?

— Nie wiem — mruknął.

— Wiem — powiedział siedzący przy jego nodze Ej i Jake drgnął.

A może bumber powiedział „nie”? Co właściwie powiedział?

Oszalałeś?

Nie oszalał. Kiedyś myślał, że postradał zmysły — stracił je albo tracił w błyskawicznym tempie — ale nie teraz. I wiedział, że czasem Ej naprawdę czyta w jego myślach.

Jake wśliznął się z powrotem do namiotu. Benny wciąż mocno spał. Jake spoglądał na niego — chłopca starszego wiekiem, lecz młodszego pod wieloma istotnymi względami — przez kilka sekund, przygryzając wargę. Nie chciał przysporzyć kłopotów ojcu Benny'ego. Przynajmniej dopóki nie będzie musiał.

Położył się i nakrył kocem po szyję. Nigdy w życiu nie miał tylu wątpliwości. Chciało mu się płakać. Prawie wstawał dzień, zanim znów udało mu się zasnąć.

Rozdział 8

SKLEP TOOKA; MEODKRYTE DRZWI

1

1 rzez pierwsze pół godziny po opuszczeniu Rocking B Roland i Jake w milczeniu jechali na wschód ku małym gospodarstwom. Ich wierzchowce truchtały przyjaźnie obok siebie. Roland wiedział, że Jake ma jakiś poważny problem — widać to było po jego minie. Mimo to rewolwerowiec zdziwił się, gdy Jake zacisnął pięść, przyłożył ją do piersi z lewej strony i rzekł:

— Rolandzie, zanim Eddie i Susannah dołączą do nas, czy mogę porozmawiać z tobą *dan-dinh*?

Czy mogę otworzyć przed tobą moje serce? Ten zwrot jednak miał bardziej skomplikowany podtekst, prastare znaczenie — wywodzące się z czasów wiele wieków przed rodzinami Arthura Elda, a przynajmniej tak twierdził Vannay. Oznaczał dzielenie się z *dinh* jakimś trudnym problemem emocjonalnym, zazwyczaj mającym coś wspólnego z kłopotami sercowymi. Robiąc to, on lub ona godzili się pójść za radą swego *dinh*, natychmiast i bez zastrzeżeń. Z pewnością jednak Jake Chambers nie miał kłopotów sercowych — chyba że zakochał się w przeszlicznej Francine Tavery — ale skąd w ogóle znał to wyrażenie?

Tymczasem Jake spoglądał na niego szeroko otwartymi oczami, z powagą, która nie spodobała się Rolandowi.

— *Dan-dinh...* gdzie to słyszałeś, Jake?

— Nigdzie. Chyba wyczytałem to w twoich myślach. — I natychmiast dodał: — Nie węszyłem w nich ani nic takiego, ale czasem po prostuje słyszę. Przeważnie nic istotnego, nieraz takie oderwane frazy.

— Chwytasz je jak wrona lub sroka zbiera błyskotki, które wpadną jej w oko.

— Chyba tak, rzeczywiście.

— Na przykład jakie? Podaj kilka przykładów. Jake wyglądał na zmieszanego.

— Niewiele pamiętam. *Dan-dinh* oznacza, że chcę otworzyć przed tobą serce i posłuchać twojej rady.

Wprawdzie było to nieco bardziej skomplikowane, lecz chłopiec utrafił w sedno. Roland skinął głową. Słońce miło grzało go w twarz, gdy jechali na wschód. Popis Margaret Eisenhart z talerzem uspokoił go, tak samo jak późniejsze udane spotkanie z jej ojcem, i Roland po raz pierwszy od dłuższego czasu zdołał się wypaść.

— Tak.

— Niech pomyślę. Na przykład „telefonuj” oznacza chyba plotkowanie o kimś, o kim nie powinno się plotkować. Utkwiło mi w pamięci, ponieważ zdaje się dobrze oddawać naturę plotki.

Jake przyłożył dłoń do ucha.

Roland uśmiechnął się. Tak naprawdę brzmiało to *telemei*, lecz Jake zrozumiał to po swojemu. Zdumiewające. Roland powiedział sobie, że w przyszłości powinien bardziej się pilnować. Były na to odpowiednie sposoby, bogom niech będą dzięki.

— Albo *dash-dinh*, co oznacza jakiegoś przywódcę religijnego. Chyba myślałeś o nim dziś rano... czy ze względu na starego Manniego? Czy on jest *dash-dinh*!

Roland skinął głową.

— Jak najbardziej. A jego imię, Jake? — Rewolwerowiec skupił się na nim. — Czy możesz odczytać w moich myślach jego imię?

— Jasne, to Henchick — odparł natychmiast Jake, niemal machinalnie. — Rozmawiałeś z nim... kiedy? Wczoraj późnym wieczorem?

— Tak.

Na tym się nie koncentrował i wolałby, żeby Jake o tym nie wiedział. Chłopiec jednak miał silnie rozwiniętą zdolność nawiązywania kontaktu i Roland wierzył mu, że wcale nie był wścibski. Przynajmniej nie rozmyślnie.

— Pani Eisenhart sądzi, że go nienawidzi, ale ty uważasz, że ona tylko się go boi.

— Tak — przyznał Roland. — Masz silnie rozwiniętą zdolność dotyku. W znacznie większym stopniu niż niegdyś Alain i silniejszą, niż miałeś je kiedyś. To przez różę, prawda?

Jake kiwnął głową. Przez różę, tak. Długą chwilę jechali w milczeniu, a kopyta ich koni wzbijały obłoczki kurzu. Choć słońeczny, dzień był chłodny, co zapowiadało rychłe nadejście prawdziwej jesieni.

— W porządku, Jake. Mów do mnie *dan-dinh*, jeśli chcesz, i dziękuję ci za zaufanie, jakie pokładasz w mojej mądrości.

Przez prawie dwie minuty Jake nie odzywał się. Roland spróbował podejrzeć jego myśli w taki sam sposób, w jaki chłopiec zaglądał do jego umysłu (i z równą łatwością), ale niczego nie znalazł. Niczego...

A jednak coś tam było. Szczur... wijący się, nadziany na coś ostrego...

— Gdzie jest ten zamek, do którego ona chodzi? — zapytał Jake. — Wiesz?

Roland nie zdołał ukryć zdziwienia. A nawet zaskoczenia. I podejrzewał, że również poczucia winy. Nagle zrozumiał... no, może nie wszystko, ale wiele.

— Nie ma żadnego zamku i nigdy nie było — powiedział chłopcu. — To miejsce, do którego udaje się w myślach, zapewne stworzone z przeczytanych opowieści i tych historii, które opowiadałem przy ognisku. Udaje się tam, żeby nie widzieć, co naprawdę je. Czego potrzebuje jej dziecko.

— Widziałem, jak ją adła pieczone prosię—rzekł Jake. — Gdy tam przyszła, pożerał je szczur. Nabiła go na szpikulec do mięsa.

— Gdzie to widziałeś?

— W zamku. — I po chwili dodał: — W jej śnie. Byłem w jej śnie.

— Widziała cię?

Rewolwerowiec przeszył chłopca przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu. Jego koń wyczuł zmianę nastroju jeźdźca, bo przystanął. Wierzchowiec Jake'a też. Byli na wschodniej drodze, niecałą milę od miejsca, gdzie ognista Molly Doolin zabiła kiedyś Wilka z Jądra Gromu. Stali tu, twarzami do siebie.

— Nie — odparł Jake. — Nie widziała mnie.

Roland przypomniał sobie noc, kiedy poszedł za nią na bagna. Wiedział, że w myślach była zupełnie gdzie indziej, wyczuwał

to, lecz nie miał pojęcia gdzie. Wszystkie obrazy czytane w jej umyśle były mętne. Teraz już wiedział. I zrozumiał coś więcej: Jake był zaniepokojony jego decyzją, to znaczy tym, że pozwolił Susannah na takie wyprawy. Może miał rację, że się niepokoił. A jednak...

— Nie patrzyłeś na Susannah, Jake.

— Wiem. Widziałem tę, która wciąż ma nogi. Nazywa się Mia. Jest w ciąży i jest śmiertelnie przerażona.

— Jeśli chcesz mówić ze mną *dan-dinh*, opowiedz mi o wszystkim, co widziałeś w swoim śnie, i o tym, co niepokoiło cię po przebudzeniu. Wtedy podzielę się z tobą całą skromną mądrością mojego serca.

— Nie... Rolandzie, nie złościsz się na mnie? Tym razem Roland nie zdołał ukryć zdumienia.

— Nie, Jake. Wcale nie. Może powinienem poprosić, żebyś to ty nie złościł się na mnie.

Chłopiec uśmiechnął się niepewnie. Koniec znowu ruszyły naprzód, tym razem trochę żwawiej, jakby wiedziały, że w tym miejscu kłopoty wisiały w powietrzu i chciały jak najprędzej zostawić je za sobą.

2

Dopóki nie zaczął mówić, Jake nie miał pojęcia, jak wiele dręczących go wątpliwości zamierza wyjawić Rolandowi. Po przebudzeniu nie wiedział, czy powiedzieć rewolwerowcowi o Andym i starszym Slightmanie. W końcu oparł się na tym, co przed chwilą powiedział Roland — *Opowiedz mi o wszystkim, co widziałeś w swoim śnie, i o tym, co niepokoiło cię po przebudzeniu* — i całkowicie przemilczał spotkanie nad rzeką. Prawdę mówiąc, rano wydawało mu się znacznie mniej ważne.

Powiedział Rolandowi o tym, jak Mia zbiegała po schodach i ojej przestraszu, gdy nie znalazła jedzenia w jadalni, czy też sali biesiadnej. Potem o kuchni. Jak znalazła pieczeń, na której zerował szczur. Jak zabiła konkurenta. I jak pożarła zdobycz. O tym jak się obudził kompletnie roztrzęsiony.

Zawahał się i spojrzął na Rolanda. Ten niecierpliwie zakręcił młynka palcami — no już, pospiesz się, dokończ.

Cóż, pomyślał Jake. *Obiecał się nie złościć i dotrzymuje słowa.*

To prawda, ale Jake w dalszym ciągu nie potrafił wyznać Rolandowi, że zastanawiał się, czy nie powiedzieć o wszystkim Susannah. Jednakże wyjawiał mu, czego obawiał się najbardziej: skoro oni trzej wiedzą, a ona nie, to ich *ka-tet* rozpadło się w chwili, gdy powinno być najtrwalsze. Nawet opowiedział Rolandowi stary żart o facecie, który złapał gumę i oświadczył, że jest płaska tylko na dole. Nie spodziewał się, że to rozśmieszy Rolanda, i rewolwerowiec nie sprawił mu zawodu. Jake przestraszył się, gdy wyczuł, że Roland jest trochę zawstydzony. Uważał, że uczucie wstydu jest zarezerwowane dla ludzi, którzy nie wiedzą, co czynią.

— A do ostatniej nocy było jeszcze gorzej — zauważył Jake. — Ponieważ mnie też próbowałeś trzymać z daleka. Prawda?

— Nie — odparł Roland.

— Nie?

— Po prostu zostawiłem sprawę jej własnemu biegowi. Powiedziałem Eddiemu, ponieważ obawiałem się, że dzieląc z nią pokój, odkryje jej nocne wyprawy i spróbuje ją obudzić. Bałem się tego, co mogłoby się stać im obojgu, gdyby to zrobił.

— Dlaczego po prostu jej tego nie powiesz? Roland westchnął.

— Posłuchaj, Jake. Kiedy byliśmy chłopcami, Cort dbał o naszą formę. Vannay o psychikę. Obaj usiłowali nauczyć nas takiej etyki, jaką znali. Lecz w Gilead to nasi ojcowie uczyli nas o *ka*. A ponieważ każdy ojciec jest inny, każdy z nas wyniósł z dzieciństwa inne poglądy na temat tego, czym jest *ka* i jak działa. Rozumiesz?

Rozumiem, że unikasz odpowiedzi na proste pytanie, pomyślał Jake, ale skinął głową.

— Mój ojciec wiele mi powiedział na ten temat i większość jego nauk wyleciała mi z głowy, ale jedną zapamiętałem bardzo dobrze. Powiedział, że kiedy masz wątpliwości, powinieneś pozwolić, żeby rozwinęła się *ka*.

— Zatem to *ka* — odparł z lekkim rozczarowaniem Jake. — Rolandzie, niewiele mi to pomaga.

W głosie chłopca usłyszał niepokój, któremu towarzyszyło

rozczarowanie; to go ubodło. Odwrócił się w siodle, otworzył usta, uświadomił sobie, że zamierza wygłosić jakiś banał, więc znów je zamknął. Zamiast się usprawiedliwiać, powiedział prawdę.

— Nie wiem, co robić. Chcesz mi poradzić?

Twarz chłopca przybrała alarmująco czerwony kolor i Roland pojął, że Jake uznał to za sarkastyczną uwagę, niech bogowie go mają w opiece. Pomyślał, że Roland się złości. Taki brak zrozumienia był przerażający. *On ma rację. Łącząca nas więź zerwała się. Na wszystkich bogów!*

— To nie tak — mówił dalej Roland. — Wysłuchaj mnie, błagam... wysłuchaj uważnie. W Calla Bryn Sturgis pojawią się Wilki. W Nowym Jorku Balazar i jego „dżentelmeni”. I jedni, i drudzy przybędą wkrótce. Czy dziecko Susannah zaczeka, aż te problemy zostaną rozwiązane w jakikolwiek sposób? Nie wiem.

— Przecież nawet nie widać, że ona jest w ciąży — wymamrotał Jake.

Rumieniec zaczął znikać z jego policzków, lecz chłopiec wciąż miał spuszczoną głowę.

— Nie — przyznał Roland. — Nie widać. Jej piersi są odrobinę pełniejsze, może biodra też, ale to jedyne objawy. Dlatego mogę mieć nadzieję. Muszę ją mieć, i ty również. Bo oprócz Wilków i sprawy z różą w waszym świecie jest jeszcze problem Czarnej Trzynastki... co z nią zrobić. Wydaje mi się, że wiem... mam nadzieję, że wiem... ale muszę znów porozmawiać z Henchickiem. I musimy wysłuchać reszty opowieści ojca Callahana. Zastanawiałeś się nad tym, czy powiedzieć Susannah?

— Ja... — Jake przygryzł wargę i zamilkł.

— Widzę, że tak. Zapomnij o tym pomysle. Jeśli coś mogłoby zerwać łączącą nas więź, to na pewno powiadomienie jej o tym bez mojego pozwolenia, Jake. Jestem twoim *dinh*.

— Wiem o tym! — prawie krzyknął Jake. — Myślisz, że nie wiem?

— A ty myślisz, że to mi się podoba? — zapytał Roland niemal z takim samym wzburzeniem. — Czy nie rozumiesz, o ile łatwiejsze było wszystko, zanim...

Zamilkł, wstrząśnięty tym, co o mało nie wyrwało mu się z ust.

— Zanim pojawiliśmy się my — dokończył Jakc. Powiedział to beznamiętnie. — Wiesz co? Nie prosiliśmy się, żadne z nas.

Tak jak nie prositem, żebyś pozwolił mi runąć w ciemność. Zginać.

— Jake... — westchnął rewolwerowiec. Podniósł ręce i z trzaskiem opuścił je na uda. Zbliżali się do zakrętu, za którym leżało gospodarstwo Jaffordsów, gdzie czekali na nich Eddie i Susannah. — Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem: kiedy ktoś nie jest pewien, najlepiej pozwolić rozstrzygnąć to samemu ka. Próbując się wtrącać, niemal zawsze pogarsza się sprawę.

— To brzmi jak coś, co w Królestwie Nowego Jorku nazywają wciskaniem kitu. Odpowiedź, która niczego nie wyjaśnia, a jedynie skłania ludzi, żeby robili to, czego od nich oczekujesz.

Roland rozważył jego słowa. Zaciśnął wargi.

— Prosiłeś mnie, żebym rozkazywał twemu sercu.

Jake ostrożnie skinął głową.

— Zatem są dwie rzeczy, które chcę ci powiedzieć *dan-dinh*. Po pierwsze to, że wszyscy trzej... ty, Eddie i ja... porozmawiamy *an-tet* z Susannah, zanim przybędą Wilki, i wyjawimy jej wszystko, co wiemy. O tym, że jest w ciąży, że jej dziecko jest niemal na pewno dzieckiem demona, a ona stworzyła kobietę imieniem Mia, która ma być jego matką. Po drugie, że nie będziemy więcej o tym mówić, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila.

Jake zastanowił się nad tym. Stopniowo rozpogodził się.

— Naprawdę? — zapytał z ulgą.

— Tak. — Roland starał się nie okazać, jak bardzo zraniło i rozgniewało go to pytanie. Mimo wszystko rozumiał, dlaczego chłopiec je zadał. — Obiecuję i przysięgam dotrzymać obietnicy. A ty?

— Ja także! To mi odpowiada!

Roland skinął głową.

— Nie decyduję się na to dlatego, że uważam to za słuszne, ale dlatego, że ty tak sądzisz, Jake. Ja...

— Zaraz, zaczekaj chwilę — zawołał Jake. Uśmiech zgasł mu na wargach. — Nie zrzucaj tego na mnie. Ja nigdy nie...

— Oszczędź mi tych bzdur — powiedział Roland suchym i obcym tonem, jaki Jake rzadko słyszał z jego ust. — Chciałeś uczestniczyć w podejmowaniu męskiej decyzji. Pozwoliłem na

to... musiałem pozwolić... ponieważ *ka* wybrało cię, żebyś walczył jak mężczyzna o wielką sprawę. Otworzyłeś te drzwi, kiedy zakwestionowałaś słuszość mojej decyzji. Chcesz temu zaprzeczać?

Jake zbladł, poczerwieniał i znowu zrobił się błąd. Wyglądał na ciężko przestraszonego i bez słowa potrząsnął głową. *O bogowie*, pomyślał Roland. *Nienawidzą tego. To cuchnie jak gówno umierającego*. Nieco spokojniejszym tonem dodał:

— Nie, nie prosiłeś się tutaj. A ja nie chciałem pozbawiać cię dzieciństwa. Mimo to jesteśmy tu, a *ka* patrzy na to z boku i śmieje się. Musimy zrobić to, czego od nas żąda, lub drogo zapłacić.

Jake opuścił głowę.

— Wiem — wyszeptał.

— Ty uważasz, że powinniśmy powiedzieć Susannah. Natomiast ja nie wiem, co począć... w tej sprawie zgubiłem mój kompas. Kiedy jeden wie, a drugi nie, ten niewiedzący musi pochylić głowę, a wiedzący wziąć na siebie odpowiedzialność. Rozumiesz mnie, Jake?

— Tak — odparł chłopiec i przyłożył do czoła zaciśniętą dłoń.

— To dobrze. Zostawimy to już i tyle. Masz bardzo silnie rozwiniętą zdolność dotyku.

— Wolałbym nie mieć! — wybuchnął Jake.

— To nie ma nic do rzeczy. Możesz nawiązać z nią kontakt?

— Tak. Nie szpieguję jej... ani ciebie... ale czasem odgaduję jej myśli. Wyłapuję strzępy piosenek, które jej się przypominają, albo wspomnienia o nowojorskim mieszkaniu. Tęskni za nim. Kiedyś pomyślała: „Chciałabym przeczytać tę nową powieść Allena Drury’ego, którą mieli mi przysłać z klubu dobrej książki”. Myślę, że Allen Drury to jakiś sławny pisarz z jej niegdyś.

— Innymi słowy, ślizgasz się po powierzchni.

— Tak.

— Lecz mógłbyś wejść głębiej.

— I pewnie mógłbym patrzeć, jak się rozbiera — rzekł ponuro chłopiec — ale to nie byłoby w porządku.

— W tych okolicznościach to jest w porządku, Jake. Myśl o niej jak o studni, do której musisz codziennie chodzić i nabić kubek wody, żeby się upewnić, czy jest zdatna do picia.

Jeśli ona się zmieni, chcę o tym wiedzieć. Szczególnie chcę wiedzieć, czy nie planuje ucieczki.

Jake zrobił wielkie oczy.

— Ucieczki? Dokąd miałyby uciec?

Roland potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Gdzie kotka chowa swoje młode? W szafie? Pod stodołą?

— A jeśli jej powiemy, a tamta okaże się silniejsza? Co będzie, jeśli Mia ucieknie i zabierze ze sobą Susannah?

Roland nie odpowiedział. Właśnie tego się obawiał i Jake był dostatecznie bystry, żeby to zrozumieć. Chłopiec spoglądał na niego z lekką, najzupełniej zrozumiałą niechęcią... ale także z pokorą.

— Raz dziennie. Nie częściej.

— Częściej, jeśli wyczujesz zmianę.

— W porządku — zgodził się Jake. — Nienawidzę tego, ale sam prosiłem o *dan-dinh*. Chyba mnie masz.

— To nie zapasy, Jake. Ani gra.

— Wiem. — Chłopiec pokręcił głową. — Mam wrażenie, że mną manipulujesz, ale trudno.

Rzeczywiście, manipulowałem. Pomyślał, jak to dobrze, że żadne z nich nie ma pojęcia, jaki czuje się teraz zagubiony, pozbawiony intuicji, która pozwalała mu wyjść cało z tyłu opresji. *Robiłem to... lecz tylko dlatego, że musiałem.*

— Teraz będziemy milczeć, ale powiemy jej, zanim przybędą Wilki — przypomniał Jake. — Przed walką. Umowa stoi?

Roland przytaknął.

— Jeśli będziemy musieli najpierw walczyć z Balazarem... w tamtym świecie... też powiemy jej, zanim zaczniemy. Dobrze?

— Tak — zgodził się Roland. — Dobrze.

— Nienawidzę tego — rzekł ponuro Jake.

— Ja też — powiedział Roland.

3

Kiedy Roland i Jake nadjechali, Eddie siedział i rzeźbił na ganku Jaffordsów, słuchając nieskładnej opowieści starego i mając nadzieję, że kiwa głową we właściwych momentach.

Na widok przyjaciół schował nóż i zbiegł po schodach, żeby ich przywitać, wołając przez ramię Suze.

Tego ranka czuł się wspaniale. Obawy z poprzedniej nocy rozwiały się, jak to często bywa z nocnymi koszmarami. Podobnie jak wampiry zaseregowane przez Callahana do pierwszej i drugiej kategorii, te lęki wydawały się uczulone na światło dnia. Po pierwsze, wszystkie dzieci Jaffordsów zdrowe i całe stawily się na śniadanie. Po drugie, z obory istotnie zginęło prosię. Tian pytał Eddiego i Susannah, czy słyszeli coś w nocy, i z ponurą satysfakcją pokiwał głową, gdy oboje przecząco pokręcili głowami.

— No tak. W tej części świata mutanty prawie wyginęły, ale nie na północy. Stada dzikich psów pojawiają się każdej jesieni. Dwa tygodnie temu mogły być w Calla Amity, a za tydzień już ich tu nie będzie i staną się problemem w Calla Lockwood. Są ciche. Nie tylko poruszają się bezszelestnie, ale są nieme. Nic tutaj nie mają. — Tian pokazał palcami na gardło. — Poza tym zrewanżowały się za prosiaka, oddając mi drobną przysługę. W stodole znalazłem cholernie wielkiego szczura. Martwego jak głaz. Jeden z psów prawie odgryzł mu łeb.

— Paskudztwo — odezwała się Hedda, z teatralnym grymasem odsuwając talerz.

— Jedz owsiankę, panienko — powiedziała Zalia. — Rozgrzeje cię przed wieszaniem prania.

— Mamoo, czemu ja?

Eddie pochwycił spojrzenie Susannah i mrugnął do niej. Odpowiedziała porozumiewawczym mrugnięciem i wszystko znów było w porządku. No dobrze, spacerowała po nocy. Podjadła sobie. Zakopała resztki. I owszem, trzeba będzie porozmawiać z nią o jej ciąży. Oczywiście. Eddie był jednak pewien, że wszystko ułoży się dobrze. I w dziennym świetle myśl o tym, że Susannah mogłaby skrzywdzić dziecko, wydawała się po prostu śmieszna.

— *Hile*, Rolandzie. Jake.

Eddie odwrócił się do Zalii, która wyszła na ganek. Dygnęła. Roland zdjął kapelusz, skłonił się jej i nałożył go z powrotem.

— *Sai* — zapytał ją — jeśli dojdzie do walki z Wilkami, staniesz u boku męża, tak?

Westchnęła, lecz nie umknęła wzrokiem.

— Tak, rewolwerowcze.

— Czy prosisz o pomoc i wsparcie?

To pytanie zostało zadane spokojnie — niemal mimochodem — lecz Eddie poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, i mocno ścisnął dłoń, którą podała mu Susannah. Oto trzecie pytanie, kluczowe pytanie, i nie zostało zadane bogatemu ranczerowi, farmerowi czy biznesmenowi. Zadano je żonie wieśniaka z mysimi włosami upiętymi w kok, kobiecie o śniadej skórze spękanej i stwardniałej od słońca, w wyblakłej od częstego prania sukience. I tak powinno być, właśnie tak. Ponieważ zdaniem Eddiego duch Calla Bryn Sturgis żył w tych czterech tuzinach małych gospodarstw. Niech Zalia Jaffords przemówi w ich imieniu. Czemu nie?

— Proszę o nie i dziękuję — odparła po prostu. — Niech was błogosławi Pan Bóg i Jezus-Człowiek.

Roland skinął głową, jakby prowadził beztruską rozmowę dla zabicia czasu.

— Margaret Eisenhart pokazała mi coś.

— Naprawdę? — zapytała Zalia z uśmiechem.

Tian wyszedł z za rogu budynku, zmęczony i spocony, chociaż była dopiero dziewiąta rano. Na ramieniu niósł zerwaną uprząż. Przywitał Rolanda i Jake'a, życząc im miłego dnia, po czym stanął przy żonie, obejmując ją jedną ręką.

— Owszem. I opowiedziała nam legendę o Pani Ryżu i Szarym Dicku.

— To dobra opowieść.

— Istotnie — zgodził się Roland. — Nie będę kluczył, *sai*. Czy staniesz przy nas z talerzem, gdy przyjdzie czas?

Tian zrobił wielkie oczy. Otworzył usta, po czym znów je zamknął. Spojrzał na żonę jak człowiek, który doznał nagłego objawienia.

— Tak — odparła Zalia.

Tian upuścił uprząż i uściskał żonę. Odpowiedziała takim samym uściskiem, krótkim i mocnym, po czym znów odwróciła się do Rolanda i jego przyjaciół.

Roland uśmiechał się. Jak zawsze na widok jego uśmiechu, Eddie przez chwilę miał wrażenie, że to wszystko jest nie-realne.

— Dobrze. Czy pokażesz Susannah, jak się rzuca talerzem?
Zalia z namysłem spojrzała na Susannah.

- Nauczy się tego?
- Nie wiem — **odpowiedziała Susannah.** — **A powinnam** się nauczyć, Rolandzie?
- Tak.
- Kiedy, rewolwerowcze? — zapytała Zalia. Roland policzył w myślach.
- Za trzy lub cztery dni, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Jeżeli nie wykaże zdolności, przyślij ją do mnie i spróbujemy z Jakiem.
- Chłopiec drgnął.
- Myślę jednak, że sobie poradzi. Jeszcze nie widziałem rewolwerowca, który nie ciągnąłby do nowej broni jak kaczkę do stawu. Muszę mieć co najmniej jedną osobę, która potrafi rzucać talerzem lub strzelać z kuszy, gdyż we czwórkę mamy tylko trzy sztuki broni palnej. Poza tym podoba mi się talerz jako broń. Bardzo mi się podoba.
- Nauczę cię wszystkiego, co umiem — obiecała Zalia, posyłając Susannah nieśmiały uśmiech.
- Potem, za dziewięć dni od dziś, przyjdiesz z Margaret, Rosalita i Sarey Adams do domu Starego Człowieka i wtedy zobaczymy.
- Masz jakiś plan? — zapytał Tian.
- W jego oczach pojawił się błysk nadziei.
- Do tej pory będę go miał — odparł Roland.

4

Ramię w ramię pojechali we czwórkę do miasta w tym samym spokojnym tempie, lecz w miejscu, gdzie wschodnia droga krzyżowała się z inną, biegnącą z północy na południe, Roland zatrzymał się.

— Tutaj opuszczę was na jakiś czas — powiedział towarzyszom. Wskazał na północ, w kierunku wzgórz. — Dwie godziny jazdy stąd jest coś, co niektórzy jasnowidzący nazywają Manni Calla, a inni Manni Redpath. To ich miejsce, małe miasteczko wewnątrz większego. Spotkam się tam z Henchickiem.

— To ich *dinh* — rzekł Eddie.
Roland skinął głową.

— Za wioską Mannich, jeszcze godziną jazdy lub mniej, jest kilka opuszczonych kopalń i wiele jaskiń.

— Czy to jest to miejsce, które wskazałeś na mapie bliźniąt Tavery? — zapytała Susannah.

— Nie, ale blisko niego. Jaskinia, która mnie interesuje, jest nazywana Jaskinią Przejścia. Callahan opowie nam o niej dziś wieczorem, kiedy dokończy swoją historię.

— Wiesz to na pewno, czy tylko przeczuwasz? — zaciekała się Susannah.

— Wiem o niej od Henchicka. Wyjawiał mi to zeszłego wieczoru. Mówił również o kapłanie. Mógłbym wam powiedzieć, ale będzie najłepiej, jeśli usłyszycie to z jego ust. W każdym razie ta jaskinia będzie dla nas ważna.

— To droga powrotna, czyż nie? — odezwał się Jake. — Myślisz, że tamtędy można wrócić do Nowego Jorku.

— I nie tylko — rzekł rewolwerowiec. — Mając Czarną Trzynastkę można tamtędy przenieść się dokądkolwiek i kiedykolwiek.

— Do Mrocznej Wieży też? — spytał Eddie ochryplym głosem, ledwie głośniejszym od szeptu.

— Tego nie wiem — odpowiedział Roland — ale sądzę, że Henchick pokaże mi tę grotę, a wtedy dowiem się więcej. A tymczasem wy troje macie sprawę u Tooka, w jego składzie.

— Naprawdę? — zawołał Jake.

— Tak.

Roland postawił swoją torbę na udach, otworzył ją i zaczął w niej grzebać. W końcu wyjął skórzany woreczek, którego nigdy przedtem im nie pokazywał.

— Dał mi to mój ojciec — powiedział z roztargnieniem. — Teraz to jedyna rzecz, poza ruiną mojej młodzieńczej urody, jaką miałem wtedy, kiedy przed wieloma laty pojechałem z towarzyszami do Mejis.

Z szacunkiem spojrzeli na skórzany woreczek, tknięci jedną i tą samą myślą: jeśli rewolwerowiec mówił prawdą, ten woreczek ma kilkaset lat. Roland otworzył go, zajrzał do środka i kiwnął głową.

— Susannah, wyciągnij ręce.

Zrobiła to. Wysypał na jej dłonie dziesięć sztuk srebra, opróżniając sakiewkę.

— Eddie, ty też.

— Hm, Rolandzie, skarbczyk jest chyba pusty.

— Wyciągnij.

Eddie wzruszył ramionami i usłuchał. Roland wysypał na nie tuzin sztuk złota, opróżniając woreczek.

— Jake?

Chłopiec wyciągnął ręce. Ej z zainteresowaniem patrzył na to z kieszeni poncha. Tym razem z woreczka wysypało się kilka lśniących klejnotów. Susannah westchnęła.

— To tylko granaty — powiedział niemal przepraszająco Roland. — Z tego, co słyszę, niespecjalnie tu cenione. Niewiele się za nie kupi, ale wystarczy na zaspokojenie chłopięcych potrzeb.

— Bomba! — szeroko uśmiechnął się Jake. — Piękne dzięki! Świetnie!

W cichym podziwiew spoglądali na pusty woreczek. Roland uśmiechnął się.

— Większość magii, jaką kiedyś znałem lub do jakiej miałem dostęp, przepadła, lecz tu widzicie jej resztki. Jak fusy na dnie filiżanki.

— Czy w sakiewce jeszcze coś jest? — zapytał Jake.

— Nie. Może będzie po pewnym czasie. Ta sakiewka pomnaża majątek. — Roland schował stary woreczek do torby, wyjął kapciuch z tytoniem otrzymanym od Callahana i zrobił sobie skręta. — Jedźcie do sklepu. Kupcie sobie, co się wam podoba. Może kilka koszul, w tym jedną dla mnie, dobrze, bo przydałaby mi się. Potem siadźcie na ganku i czekajcie, jak to robią tutejsi. *Sai Took* nie będzie tym zachwycony, bo niczego bardziej nie pragnie, jak zobaczyć nas odjeżdżających na wschód, w kierunku Jądra Gromu, ale nie ośmieli się was przegnać.

— Chciałbym widzieć, jak próbuje — mruknął Eddie i dotknął kolby rewolweru.

— Broń nie będzie ci potrzebna — powiedział Roland. — Zwyczaj każe mu pozostać za ladą i pilnować interesu. Zwyczaj i nastroje panujące w miasteczku.

— Wszystko przebiega po naszej myśli, tak? — zauważyła Susannah.

— Tak, Susannah. Gdybyś spytała ich prosto z mostu, tak jak zapytałem *sai Jaffords*, nie odpowiedzieliby. Więc lepiej

nie pytać, jeszcze nie teraz. Owszem, zamierzają walczyć. A raczej pozwolić, żebyśmy walczyli za nich. Czego nie można mieć im za złe. Walka za tych, którzy sami nie umieją się bronić, to nasze zadanie.

Eddie otworzył usta, żeby powiedzieć mu o tym, czego dowiedział się od dziadka Jaffordsa, ale znów je zamknął. Roland nie zadał mu pytania, chociaż właśnie po to posłał go do Jaffordsów. Nagle uświadomił sobie, że Susannah też go nie zapytała. W ogóle nie wspomniała o jego rozmowie ze starym Jamiem.

— A ty zapytasz Henchicka o to, o co pytałeś panią Jaffords? — spytał Jake.

— Tak — odparł Roland. — Jego zapytam.

— Ponieważ wiesz, co ci odpowie.

Roland kiwnął głową i znów się uśmiechnął. Nie był to sympatyczny uśmiech, lecz zimny jak promień słońca odbity od śniegu.

— Rewolwerowiec nigdy nie zadaje pytania, jeśli z góry nie zna odpowiedzi. Spotkamy się na kolacji w domu księdza. Jeśli wszystko sprawnie pójdzie, będę tam, kiedy słońce schowa się za horyzont. Wszyscy dobrze się czujecie? Eddie? Jake? — I po króciutkiej przerwie: — Susannah?

Skinęli głowami. Ej także.

— No to do wieczora. Bawcie się dobrze i niech słońce nigdy nie świeci wam w oczy.

Popędził konia i skręcił w zarośniętą dróżkę, wiodącą na północ. Odprowadzali go wzrokiem, aż zniknął im z oczu i jak zawsze, gdy zostawali zdani wyłącznie na siebie, wszyscy troje doznali dziwnego uczucia: trochę strachu, trochę samotności i nerwowej dumy.

Ruszyli w kierunku miasta, jadąc nieco bliżej siebie.

5

— Nieee, niee, nie wprowadzajcie tutaj tego paskudnego bumblera, nigdy! — zwołał Eben Took ze swojego miejsca za kontuarem. Miał piskliwy, niemal kobiecy głos, który niczym odłamki szkła rozdarł spokojną atmosferę składu. Wskazywał

na Eja, wystawiającego łebek z kieszeni poncha Jake'a. Kilka-naście obecnych w sklepie osób, głównie kobiety w samo-działalowych sukienkach, odwróciło głowy, by spojrzeć.

Dwaj robotnicy rolni, ubrani w brązowe koszule, brudne białe spodnie i chodaki, stali przy ladzie. Cofnęli się w po-śpiechu, jakby w obawie, że dwaj uzbrojeni obcy natychmiast poczęstują sklepikarza ołowiem, posyłając go do podnóża Calla Boot Hill.

— Tak, proszę pana — powiedział spokojnie Jake. — Prze-praszam. — Wyjął Eja z kieszeni poncha i posadził go na nagrzanym słońcem ganku, tuż przy drzwiach. — Zostaniesz tu, chłopcze.

— Ej zostanie — powiedział bumbler i usiadł, zawijając sprężysty ogon wokół swoich łap.

Jake dołączył do przyjaciół i razem weszli do sklepu. Susannah pomyślała, że unosi się w nim taki sam zapach, jaki czuła w Missisipi: woń solonego mięsa, skóry, przypraw, kawy, kulek na mole i odwiecznych oszustw. Przy kontuarze stała duża drewniana beczka z częściowo odsuniętą pokrywą, a na ścianie obok wisały na gwoździu szczypce. Z baryłki wydobywał się silny i wyciskający łyż zapach marynaty.

— Nie udzielam kredytu! — krzyknął Took tym samym piskliwym, irytującym głosem. — Nigdy nie udzielałem kredytu obcym i nigdy nie udzielię! Na bogów! Piękne dzięki!

Susannah ujęła dłoń Eddiego i ostrzegawczo ją ścisnęła. Eddie niecierpliwie uwolnił rękę, ale powiedział równie spokojnie jak Jake:

— Piękne dzięki, *sai* Took, wcale nie prosimy o kredyt. — I przypomniawszy sobie, co usłyszał od Callahana, dodał: — Nigdy w życiu.

Część obecnych w sklepie mieszkańców przyjęła to pomru-kiem aprobaty. Nikt z nich nawet już nie próbował udawać, że robi zakupy. Took poczerwieniał. Susannah ponownie ujęła Eddiego za rękę i tym razem nie tylko ją uściśnęła, ale uśmiech-nęła się do męża.

Z początku wybierali w milczeniu, ale zanim skończyli, kilku mieszkańców — którzy byli na festynie pod namiotem dwa dni wcześniej — przywitało się z nimi i zapytało (nie-śmiało), jak się mają. Trójka rewolwerowców odpowiedziała,

że świetnie. Kupili koszule, w tym dwie dla Rolanda, dzinsy, bieliznę i trzy pary roboczych butów, brzydkich, lecz wyglądających na solidne. Jake kupił paczkę słodczy, wskazawszy ją palcem, a Took denerwująco powoli zapakował je do plecionej z trawy torebki. Kiedy chciał kupić paczkę tytoniu i bibułki dla Rolanda, Took odmówił mu ze źle skrywaną przyjemnością.

— Nie, nie, nie sprzedaję tytoniu chłopcom. Nigdy.

— Bardzo słusznie — przytaknął Eddie. — To trucizna gorsza od czarciogo ziela i Ministerstwo Zdrowia na pewno jest ci wdzięczne. Ale sprzedasz go mnie, prawda, *sail* Nasz *dinh* lubi sobie zapalić wieczorem, kiedy zastanawia się, jak pomóc ludziom w potrzebie.

Wśród obecnych dały się słyszeć ciche śmiechy. W sklepie zrobiło się zdumiewająco tłoczno. Teraz rewolwerowcy występowali przed liczną widownią i Eddie nie miał nic przeciwko temu. Took wychodził na palanta, i nic dziwnego. Took najwyraźniej był palantem.

— Nigdy nie widziałem, żeby ktoś lepiej wykonał taniec ryżu! — zawołał jakiś mężczyzna z głębi sklepu, a inni odpowiedzieli na to pomrukiem aprobaty.

— Piękne dzięki — odparł Eddie. — Przekażę mu to.

— A twoja pani ładnie śpiewa — rzekł inny.

Susannah podziękowała za komplement, udając dygnięcie. Zakończyła swoje zakupy, odsuwając jeszcze bardziej dekiel beczki i wylawiając z niej szczypcami wielkiego ogórka. Eddie przyjrzał mu się.

— Może kiedyś wyciągnąłem sobie coś równie zielonego z nosa, ale nie jestem pewien — powiedział.

— Nie błażnuj, mój drogi — odparła Susannah, ale uśmiechnęła się słodko.

Eddie i Jake chętnie pozostawili jej targowanie się, czym zajęła się z przyjemnością. Took robił, co mógł, żeby policzyć im za dużo, Eddie domyślał się jednak, że nie był to przejaw niechęci do nich, lecz część tego, co Eben Took uważał za swoją pracę (a może święte powołanie). Z pewnością był na tyle sprytny, żeby ocenić nastrój swoich klientów, bo zanim zakończono transakcję, prawie przestał ich denerwować. To nie powstrzymało go od sprawdzenia monet przez uderzanie nimi

o prostokątny kawałek blachy, prawdopodobnie przeznaczonej tylko do tego celu, a także oglądania granatów Jake'a pod światło i odrzucenia jednego (który zdaniem Jake'a, Eddiego i Susannah niczym nie różnił się od pozostałych).

— Jak długo tu zostaniecie, ludzie? — zapytał fałszywie serdecznym tonem, gdy zakończyli zakupy.

Mierzył ich sprytnymi oczkami i Eddie nie miał cienia wątpliwości, że cokolwiek powiedzą, jeszcze tego samego dnia dotrze do uszu Eisenharta, Overholsera i każdego liczącego się obywatela miasteczka.

— No cóż, to zależy od tego, co zobaczymy — odparł Eddie. — A to, co zobaczymy, zależy wyłącznie od tego, co ludzie nam pokażą, nie sądzi pan?

— Ano tak — przyznał Took ze zdziwioną miną.

W przestronnym sklepie przemysłowo-spożywczym zebrało się prawie pięćdziesiąt osób, w większości gapiów. W powietrzu niemal wyczuwało się napięcie. Eddiemu podobało się to. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, ale bardzo mu się podobało.

— To także zależy od tego, czego chcą ludzie — dorzuciła Susannah.

— Powiem ci, czego chcą, czekoladko! — rzucił Took swym piskliwym głosem. — Chcą spokoju, nic poza tym! I żeby miasto wciąż tu stało, kiedy wy...

Susannah złapała jego kciuk i wygięła do tyłu. Zrobiła to błyskawicznie. Jake wątpił, czy zauważyły to więcej niż dwie lub trzy najbliższej stojące osoby, lecz twarz Tooka zrobiła się szara jak popiół, a oczy niemal wyszły mu z orbit.

— Mogę tolerować taki epitet w ustach starca, który już nie wie, co mówi — powiedziała — ale nie w twoich. Nazwij mnie jeszcze raz czekoladką, grubasie, a wyrwę ten twój jęzor i podrę ci nim dupę.

— Błagam o wybaczenie! — jęknął Took. Pot spływał mu po policzkach wielkimi i paskudnymi kroplami. — Błagam o wybaczenie, naprawdę!

— To świetnie — powiedziała Susannah i puściła jego palec. — Teraz wyjdziemy stąd i posiedzimy sobie na ganku, bo zakupy to bardzo męczące zajęcie.

Przed składem Tooka nie było Strażników Promienia, tak jak w znanym im z opowiadań Rolanda Mejs, lecz na długim ganku stały co najmniej dwa tuziny bujanych foteli. Każdy z trzech drewnianych schodków zdobyły dwie kukły, z okazji końca jesieni. Kiedy przyjaciele Rolanda wyszli ze sklepu, zajęli trzy fotele na środku ganku. Ej z zadowoleniem ułożył się u stóp Jake'a i zasnął z nosem nakrytym łapkami.

Eddie wskazał kciukiem za siebie, na skład Ebena Tooka.

— Szkoda, że nie było tu Detty Walker, która ukradłaby trochę towaru temu sukinsynowi.

— Nie myśl, że nie miałam ochoty jej wyręczyć — mruknęła Susannah.

— Nadchodzą jacyś ludzie — zauważył Jake. — Chyba chcą z nami pogadać.

— No pewnie — odparł Eddie. — Przecież po to tutaj jesteśmy. — Uśmiechnął się i jego urodziwa twarz jeszcze wyładniała. Mruknął pod nosem: — Chodźcie, chodźcie z nami. Jesteśmy rewolwerowcami. Ruszajcie z nami w tany, wkrótce sobie postrzelamy.

— Zamknij ten paskudny dziób, synu — powiedziała z uśmiechem Susannah.

Oni są stuknięci, pomyślał Jake. Tylko że jeśli on jest normalny, to dlaczego też się roześmiał?

W cieniu ogromnej skały Manni Henchick i Roland z Gilead zjedli południowy posiłek złożony z zimnego kurczaka z ryżem i placków kukurydzianych, popijając go lekkim cydrem z dzbanu, który podawali sobie na przemian. Zanim zaczęli jeść, Henchick pomodlił się do czegoś, co nazywał Mocą i Nadistotą, a potem milczał. Roland nie miał mu tego za złe. Starzec już odpowiedział twierdząco na jedyne pytanie, jakie rewolwerowiec chciał mu zadać.

Kiedy skończyli posiłek, słońce skryło się za wysokimi szczytami i graniami. Posuwali się w cieniu, w górę i w dół

kamienistą ścieżką, o wiele za wąską dla ich wierzchowców, które zostawili w kępie drżących osik o pożółkłych liściach. Dziesiątki maleńkich jaszczurek pierzchało przed nimi, czasem chowając się w pęknięciach skały.

W cieniu czy w słońcu, było tu gorąco jak w piekle. Po mili mozolnej wspinaczki Roland zaczął lekko dyszeć i ocierać chustką pot z czoła i policzków. Henchick, który chyba zbliżał się do osiemdziesiątki, szedł przed nim, zwinnie i bez wysiłku. Oddychał ze swobodą człowieka przechadzającego się po parku. Płaszcz zostawił na dole, przewieszony przez gałąź jakiegoś drzewa, ale na jego czarnej koszuli Roland nie dostrzegł plam potu.

Dotarli do zakrętu ścieżki i przez moment świat na północy i zachodzie rozpościerał się u ich stóp w swym mglistym splendorze. Roland widział olbrzymie nagie prostokąty pastwisk z maleńkimi sylwetkami pasących się krów. Na południu i wschodzie zieleniły się pola sięgające aż ku nadrzecznym nizinom. Widział miasteczko, a nawet — w sennej oddali na zachodzie — skraj wielkiego lasu, przez który przeszli, podążając tutaj. Podmuch wiatru owiewającego ich na tej skalnej ścieżce był tak zimny, że Roland zadrżał. Mimo to z ulgą nadstawił ku niemu twarz, przyzymkając oczy i uśmiechając się do zapachów, które składały się na Calla: krów, koni, zbóż, wody rzecznej oraz ryżu, ryżu i jeszcze raz ryżu.

Henchick zdjął swój kapelusz o szerokim rondzie i płaskiej główce, po czym także wystawił twarz na wiatr i przymknął oczy, niczym posąg uosabiający ciche podziękowanie. Wiatr rozwiewał mu włosy i tarosił sięgającą do pasa brodę. Stali tak przez jakieś trzy minuty, pozwalając chłodzić się wiatrowi. Potem Henchick energicznie nałożył kapelusz z powrotem. Spojrzał na Rolanda.

— Uważasz, że świat skończy w ogniu czy w lodzie, rewolwerowcze?

Roland zastanowił się.

— Ani w jednym, ani w drugim — odparł wreszcie. — Myślę, że w ciemności.

— Tak uważasz?

— Tak.

Henchick pomyślał przez chwilę, po czym odwrócił się, żeby

pójść dalej ścieżką. Roland chciał jak najszybciej dotrzeć do celu, ale mimo to położył dłoń na jego ramieniu. Obietnica jest obietnicą. Szczególnie złożona damie.

— Zeszłej nocy spałem u jednej z zapomnianych — rzekł Roland. — Czy nie tak nazywacie tych, którzy postanawiają opuścić wasze *ka-tetl*

— Nazywamy ich zapomnianymi, ano — odparł Henchick, uważnie go obserwując — ale nie używamy słowa *ka-tetl*. Znamy je, ale to nie nasze określenie, rewolwerowcze.

— W każdym razie...

— W każdym razie nocowałeś na farmie Rocking B u Vaughna Eisenharta i naszej córki Margaret. A ona rzucała dla ciebie talerzem. Nie mówiłem o tym podczas naszej rozmowy zeszłej nocy, gdyż wiem o nich tyle samo co ty. Poza tym mieliśmy do omówienia inne sprawy, czyż nie? Jaskinie i tym podobne.

— Mieliśmy — przytaknął Roland, starając się nie okazywać zdziwienia. Widocznie nie zdołał, gdyż Henchick lekko kiwnął * głową i jego wargi, ledwie widoczne w gąszczu brody, wykrzywiły się w uśmiechu.

— Manni mają swoje sposoby, rewolwerowcze, na dowiadywanie się o takich sprawach. Zawsze mieli.

— Nie chcesz mówić mi Rolandzie?

— Nie.

— Prosiła, bym przekazał ci wiadomość, że Margaret z klanu Redpath jest dobrze z jej poganinem, bardzo dobrze.

Henchick skinął głową. Jeśli to go zabolalo, to niczym się nie zdradził, nawet spojrzeniem.

— Jest potępiona.

Powiedział to tonem człowieka mówiącego: „Wygląda na to, że po południu może się rozpogodzić”.

— Chcesz, żebym jej to powtórzył? — zapytał Roland. Był jednocześnie rozbawiony i przerażony.

Niebieskie oczy Henchicka wyblakły i zmętniały z wiekiem, ale wyraźnie widać w nich było zdziwienie wywołane tym pytaniem. Podniósł krzaczaste brwi.

— Po co się fatygować? — odparł. — Ona wie. Kiedyś będzie musiała odpokutować za swego poganina w czeluści Na'ar. O tym też wie. Chodź, rewolwerowcze. Jeszcze ćwierć koła i będziemy na miejscu. Lecz czeka nas niezłe podejsie.

Istotnie było to niezłe podejście. Pół godziny później dotarli do miejsca, gdzie samotny głaz prawie zupełnie zagradzał drogę. Henchick ominął go. Czarne spodnie łopotały na wietrze, który rozwiewał mu brodę, a długie palce szukały uchwytów. Roland podążył za nim. Głaz był rozgrzany od słońca, lecz wiatr był tak zimny, że rewolwerowiec zadrżał. Czuł, że obcasy jego znoszonych butów do połowy wystają za krawędź mającego chyba ze dwa tysiące stóp urwiska. Gdyby starzec postanowił go zepchnąć, wszystko skończyłoby się przedwcześnie. I w zdecydowanie przyziemny sposób.

Wcale nie, pomyślał. Eddie zajęłoby moje miejsce, a dwoje pozostałych trwałoby przy nim do końca.

Po drugiej stronie kamienia ścieżka przechodziła w poszarpaną, ciemną dziurę, wysoką na jakieś dziewięć stóp i szeroką na pięć. Podmuch wiatru powiał z niej w twarz Rolanda. W przeciwieństwie do powietrza, które igrało z nimi, kiedy pięli się ścieżką, ten podmuch był cuchnący i lepki. Niósł jakieś dźwięki, których Roland nie mógł zidentyfikować. Były to jednak ludzkie głosy.

— Czy słyszemy głosy ludzi siedzących w Na'ar? — zapytał Henchicka.

Ledwie widocznych warg starca nie wykrzywił uśmiech.

— Nie żartuj sobie z tego — upomniał go. — Nie tutaj. Ponieważ znajdujesz się w obliczu nieskończoności.

Roland był skłonny w to uwierzyć. Ostrożnie ruszył naprzód, szurając butami po piargu i trzymając dłoń na rękojeści rewolweru. Teraz, jeśli już, to zawsze nosił go po lewej stronie, gdyż u lewej ręki miał wszystkie palce.

Smrodliwy oddech, wydobywający się z otwartych ust jaskini, stał się jeszcze silniejszy. Odurzający, jeżeli nie trujący. Okaleczoną prawą ręką Roland przycisnął chustkę do nosa i ust. Dostrzegł coś w głębi jaskini, w półmroku. Kości, tak kosteczki jaszczurek i innych małych zwierząt, ale jeszcze coś, znajomy kształt...

— Ostrożnie, rewolwerowcze — rzekł Henchick i stanął z boku, żeby Roland mógł wejść do jaskini, jeśli zechce.

To, co chcę, jest bez znaczenia, pomyślał Roland. Po prostu muszę to zrobić. Zapewne tak jest prościej.

Kształt w cieniu stał się wyraźniejszy. Roland nie zdziwił się, widząc, że to drzwi, dokładnie takie same jak te, które znalazł na plaży. No bo skąd nazwa Jaskinia Przejścia? Drzwi były zrobione z żelaznego (a może widmowego) drzewa i znajdowały się około dwudziestu stóp od wejścia do jaskini. Miały sześć i pół stopy wysokości, tak samo jak tamte na plaży. I tak samo jak tamte stały samotnie w mroku, z zawiasami nieprzymocowanymi do niczego.

A jednak z łatwością obrócić się na tych zawiasach, pomyślał. Zrobią to. Gdy przyjdzie czas.

W drzwiach nie było dziurki od klucza. Klamka wyglądała na kryształową i miała wrytą różę. Na plaży Morza Zachodniego troje drzwi nosiło napisy w Wysokiej Mowie: na jednych napisano WIEZIENI, na drugich WŁADCZYNI MROKU, a na trzecich POPYCHACZ. Na tych widniały hieroglify, które widział na szkatułce ukrytej pod podłogą kościoła Callahana:

— To oznacza „nieodkryte” — powiedział Roland. Henchick skinął głową, lecz kiedy Roland chciał obejść drzwi wokół, starzec zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

— Uważaj, inaczej sam się przekonasz, do kogo należą głosy, które słyszałeś.

Roland zrozumiał, co Henchick miał na myśli. Osiem lub dziewięć stóp za drzwiami podłoga jaskini opadała pod kątem pięćdziesięciu, a może nawet sześćdziesięciu stopni. Nie było się czego przytrzymać, a skała wydawała się gładka jak szkło. Trzydzieści stóp niżej ta ślizgawka opadała w przepaść. To z niej wydobywały się te płaczliwe głosy. Jeden z nich wybił się nad inne. Należał do Gabrielle Deschain.

— *Rolandzie, nie!* — wrzasnęła z ciemności jego martwa matka. — *Nie strzelaj, to ja! Twoja ma...*

Zanim jednak zdążyła dokończyć, jej słowa zagłuszył huk wystrzałów. Potworny ból przeszył głowę Rolanda. Rewolwerowiec tak mocno przyciskał chustkę do nosa, jakby chciał go sobie złamać. Usiłował rozluźnić mięśnie ręki, lecz nie od razu mu się to udało.

Potem z cuchnącego mroku nadleciał głos ojca.

— *Od kiedy zacząłeś chodzić, wiedziałem, że nie jesteś geniuszem — powiedział ze znużeniem Steven Deschain. — Do tej pory nie przypuszczałem jednak, że jesteś idiotą. Żeby pozwolić się tak podprowadzić, jak krowa na postronku! O bogowie!*

Nieważne. To nawet nie duchy. Myślę, że to tylko echa, w jakiś sposób podsłuchane w moich myślach i odtworzone.

Kiedy przeszedł na drugą stronę (uważając na przepaść, która teraz znalazła się po jego prawej ręce), drzwi znikły. Pozostał tylko stojący u wylotu jaskini Henchick, wycięta z czarnego papieru sylwetka o ostrych konturach.

Te drzwi wciąż tam są, ale można je zobaczyć tylko z jednej strony. Pod tym względem są dokładnie takie same jak inne drzwi.

— *Trochę niepokojące, prawda? — zagaił Walter z otchłani Jaskini Przejścia. — Daj sobie spokój, Rolandzie! Lepiej zrezygnować i umrzeć, niż odkryć, że komnata na szczycie Mrocznej Wieży jest pusta.*

Potem rozległo się ponaglające granie rogu Elda, od którego Rolandowi włosy stanęły dęba, a ramiona pokryły się gęsią skórką. Ostatni bitewny okrzyk Cuthberta Allgooda, gdy zbiegał ze wzgórza Jericho na spotkanie śmierci z rąk barbarzyńców o niebieskich twarzach.

Roland odjął chustę od ust i znów zaczął iść. Jeden krok, drugi, trzeci. Kości pękały z chrzęstem pod obcasami jego butów. Po trzecim kroku drzwi pojawiły się ponownie, z początku bokiem, z zasuwką wysuniętą w powietrze, tak samo jak zawiasy po przeciwnej stronie. Przystanął na moment, gapiąc się na nie, chłonąc ich obcość tak, jak chłonał obcość tych napotkanych na plaży. A tam był chory, niemal śmiertelnie chory. Kiedy lekko wysunął głowę do przodu, drzwi zniknęły. Gdy ją cofnął, pojawiły się znowu. Nie migotały, nie falowały. Po prostu to były tam, to ich nie było.

Zrobił krok do tyłu, oparł się obiema rękami o żelazne drewno i pchnął. Poczul słabe, lecz wyczuwalne drżenie, jak drgania potężnej maszynierii. Z mrocznej otchłani wrzeszczała na niego Rhea z Cóos, nazywając bękartem, który nigdy nie widział oblicza swego ojca, mówiąc, że jego dziewczce pękło gardło od wrzasków, gdy płonęła na stosie. Roland zignorował ją i położył dłoń na kryształowej klamce.

— Nie, rewolwerowcze, nie odważysz się! — **zawołał** przestraszony Henchick.

— A jednak — odparł Roland.

I zrobił to, lecz klamka ani drgnęła. Cofnął się.

— Te drzwi były otwarte, kiedy znaleźliście księdza? — zapytał Henchicka.

Rozmawiali o tym poprzedniej nocy, ale Roland chciał usłyszeć coś więcej.

— Ano. To ja i Jemmin znaleźliśmy go tutaj. Wiesz, że starsi Mannich szukają innych światów? Nie skarbów, lecz oświecenia?

Roland kiwnął głową. Wiedział także, że niektórzy wracali z tych wypraw bez zmysłów. Inni nie wracali wcale.

— Te wzgórza są magnetyczne i usiane drogami wiodącymi do wielu światów. Poszliśmy do jaskini znajdującej się w pobliżu starej kopalni granatów i tam znaleźliśmy wiadomość.

— Jaką wiadomość?

— U wylotu jaskini zostawiono urządzenie — odparł Henchick. — Po naciśnięciu guzika wydobywał się z niego głos. Ten głos kazał nam tu przyjść.

— Czy przedtem wiedzieliście o istnieniu tej jaskini?

— Ano wiedzieliśmy, lecz zanim przybył Pere, zwaliśmy ją Jaskinią Głosów. Teraz wiesz z jakiego powodu.

Roland skinął głową i dał Henchickowi znak, żeby mówił dalej.

— Ten głos z maszyny mówił z takim samym akcentem jak twoi towarzysze, rewolwerowcze. Powiedział, że mamy przyjść tutaj, Jemmin i ja, a znajdziemy drzwi, człowieka i cud. Tak też uczyniliśmy.

— Ktoś zostawił wam instrukcje. — Myślał o Walterze. Człowieku w czerni, który zostawił im także ciasteczka zwane przez Eddiego keeblerami. Walter był Flaggiem, a Flagg Martenem, Marten zaś... czy był Maerlynem, tym starym nieznośnym czarodziejem z legend? Tego Roland wciąż nie był pewien. — Czy zwracał się do was po imieniu?

— Nie, widocznie ich nie znał. Nazywał nas ludem Manni.

— Jak sądzisz, skąd ktoś wiedział, gdzie zostawić to urządzenie?

Henchick zacisnął wargi.

— Dlaczego przypuszczasz, że to był człowiek? Może bóg przemawiający ludzkim głosem? Albo jakiś jego sługa?

— Bogowie zostawiają znaki — odparł na to Roland. — Ludzie zostawiają maszyny. — I po chwili dodał: — Przynajmniej o ile mi wiadomo, ojcze.

Henchick machnął ręką, jakby chciał mu powiedzieć, żeby darował sobie takie pochlebstwa.

— Czy wszyscy wiedzieli, że ty i twój przyjaciel zamierzacie zbadać tę jaskinię, w której potem znaleźliście mówiącą maszynę?

Henchick ponuro wzruszył ramionami.

— Zapewne widziano nas. Ktoś mógł obserwować z daleka za pomocą magicznej kuli albo lornetki. Poza tym jest jeszcze ten mechaniczny człowiek. On wiele widzi i nieustannie gada do każdego, kto zechce go słuchać.

Roland uznał to za potwierdzenie. Pomyślał, że ktoś wiedział o przybyciu ojca Callahana. I o tym, że ksiądz będzie potrzebował pomocy, kiedy pojawi się niedaleko Calla Bryn Sturgis.

— Czy drzwi były uchylone? — zapytał Roland.

— To pytanie do Callahana — odparł Henchick. — Obiecałem pokazać ci to miejsce. Zrobiłem to. Powinno ci to wystarczyć.

— Czy był przytomny, kiedy go znaleźliście?

Po chwili padła niechętna odpowiedź:

— Nie. Mamrotał coś, jak śpiący człowiek, którego męczy zły sen.

— Zatem nie zdoła odpowiedzieć mi na to pytanie. On tego nie wie. Henchick, szukacie pomocy i wsparcia. Tak powiedziałeś mi w imieniu wszystkich waszych klanów. Zatem pomóż mi! Pomóż mi, żebym ja mógł pomóc wam!

— Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie.

Może nie miało żadnego, przynajmniej dla walki z Wilkami, które tak niepokoiły starca i wszystkich mieszkańców Calla Bryn Sturgis, ale Roland miał inne zmartwienia i obowiązki, inne ryby do usmażenia, jak czasem mawiała Susannah. Stał, patrząc na Henchicka, wciąż trzymając jedną rękę na kryształowej kłamce.

— Były lekko uchylone — rzekł w końcu Henchick. — Tak

jak pudełko. Ono też było niedomknięte. Ten, którego nazywają Starym Człowiekiem, leżał twarzą do ziemi w tamtym miejscu. — Wskazał na usiane kamieniami i kośćmi dno jaskini pod butami Rolanda. — Szkatułka leżała przy jego prawej ręce, z wiekiem uchylonym mniej więcej tyle. — Henchick kciukiem i wskazującym palcem odmierzył około dwóch cali. — Ze skrzynki wydobywał się dźwięk *kammen*. Słyszałem go już wcześniej, ale nigdy nie był tak donośny. Aż oczy zaczęły mnie piec i zawić. Jemmin krzyknął i ruszył do drzwi. Stary Człowiek leżał z szeroko rozrzuconymi rękami. Jemmin nadepnął na jedną z nich i nawet tego nie zauważył. Te drzwi były tylko lekko uchylone, tak jak szkatułka, ale wpadało przez nie oślepiająco jasne światło. Wiele podróżowałem, rewolwerowcze, do różnych *gdzieś i nigdyś*, widziałem inne drzwi i *takhen* transu, dziury w rzeczywistości, ale nigdy nie spotkałem takiego światła. Było czarne jak cała istniejąca pustka, lecz było w nim coś czerwonego.

— Oko — powiedział Roland.

Henchick spojrział na niego.

— Powiedziałeś „oko”? Tak uważasz?

— Tak sędzę — odparł Roland. — Tę ciemność, którą widziałeś, rzuca Czarna Trzynastka. Czerwień mogła być Okiem Karmazynowego Króla.

— Kim on jest?

— Nie wiem — odparł Roland. — Wiem tylko, że mieszka daleko na wschód stąd, w górach Jądra Gromu lub jeszcze dalej. Sędzę, że może być Strażnikiem Mrocznej Wieży. Być może uważa się za jej właściciela.

Na wzmiankę o Wieży starzec zakrył oczy rękami, gestem głęboko religijnej obawy.

— Co było potem, Henchick? Powiedz mi, błagam.

— Chciałem zatrzymać Jemmina, ale przypomniałem sobie, że nadepnął obcasem na dłoń nieprzytomnego, i rozmyśliłem się. Pomyślałem „Henchick, jeżeli to zrobisz, on pociągnie cię za sobą w otchłań”. — Stary przywarł wzrokiem do Rolanda. — My podróżujemy, o czym pewnie wiesz, i rzadko się boimy, gdyż ufamy Bogu. A jednak bałem się tego światła i dźwięku tych dzwonów. — Po krótkiej przerwie dodał: — Byłem przerażony. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

— Nawet

Callahanowi?

Henchick pokręcił głową.

— On nie rozmawiał z tobą, kiedy się ocknął?

— Zapytał, czy umarł. Powiedziałem mu, że jeśli tak, to my wszyscy też jesteśmy nieżywi.

— A co z Jemminem?

— Umarł dwa lata później. — Henchick postukał palcem w okrytą czarną koszulą pierś. — Na serce.

— Ile minęło lat od czasu, kiedy znaleźliście tu Callahana? Henchick energicznie pokręcił głową, gestem tak rozpowsechnionym wśród Mannich, jakby był dziedziczny.

— Nie mam pojęcia, rewolwerowcze. Przecież czas...

— Dryfuje, tak — dokończył niecierpliwie Roland. — Jak dawno to było, twoim zdaniem?

— Ponad pięć lat, bo od tego czasu ma już swój kościół i przesądnych głupców, którzy go zapełniają.

— I co zrobisz? Jak uratowałeś Jemmina?

— Upadłem na kolana i zamknąłem szkatułkę — odparł Henchick. — Nic innego nie przyszło mi do głowy. Sądzę, że gdybym zawahał się choć przez sekundę, byłbym zgubiony, gdyż sączyło się z niej takie samo czarne światło. Sprawiało, że poczułem się słaby i... *ciemny*.

— Z pewnością — rzekł posępnie Roland.

— Zrobiłem to błyskawicznie i kiedy zatrzasnąłem wieko szkatułki, drzwi też się zamknęły. Jemmin walił w nie pięściami, wrzeszczał i błagał, żeby pozwolić mu przejść. Potem zemdłał. Wyniosłem go z jaskini. Wyniosłem ich obu. Na świeżym powietrzu po chwili obaj odzyskali przytomność.

Henchick podniósł obie ręce, a potem opuścił, jakby chciał powiedzieć: „to wszystko”.

Roland jeszcze raz spróbował przekręcić klamkę. Ani drgnęła. Lecz mając kulę...

— Wracajmy — rzekł. — Chcę wrócić na kolację do domu Callahana. To oznacza szybki marsz do koni, a potem szybką jazdę.

Henchick skinął głową. Bujna broda dobrze skrywała uczucia malujące się na jego twarzy, ale rewolwerowiec miał wrażenie, że starzec przyjął to z ulgą. Roland też odchodził stąd z ulgą. Kto z przyjemnością słuchałby płynących z ciemności, oskar-

zycielskich okrzyków martwych rodziców? Nie mówiąc już o krzykach martwych przyjaciół?

— Co się stało z tym mówiącym urządzeniem? — zapytał, gdy ruszyli z powrotem.

Henchick wzruszył ramionami.

— Wiesz co to bajderie?

Baterie. Roland skinął głową.

— Dopóki działały, urządzenie w kółko powtarzało tę samą wiadomość, mówiąc nam, że powinniśmy pójść do Jaskini Głosów i znaleźć człowieka, drzwi oraz cud. I grało jakąś pieśń. Raz puściliśmy ją księdzu, a on zapłakał. Musisz go zapytać, gdyż to jego opowieść.

Roland ponownie kiwnął głową.

— Potem bajderie się wyczerpały. — Wzruszeniem ramion Henchick wyraził swój pogardliwy stosunek do maszyn, dawnego świata, a może obu tych spraw. — Wyjęliśmy je. Miały napis „Duracell”. Słyszałeś o Duracellu, rewolwerowcze?

Roland zaprzeczył.

— Zanieśliśmy je do Andy'ego i zapytaliśmy, czy potrafi je znów naładować. Wetknął je w siebie, ale kiedy znów je wyjął, był równie bezużyteczne jak przedtem. Andy powiedział, że jest mu przykro. Podziękowaliśmy mu. — Henchick znowu skwitował to pogardliwym wzruszeniem ramion. — Otworzyliśmy maszynę... naciskając inny guzik... i wystawiła język. Był taki długi. — Henchick pokazał na palcach mniej więcej pięć cali. — Miał dwie dziury. W środku było coś brązowego i błyszczącego, przypominało sznurek. Pere nazwał to „taśmą magnetofonową”.

Roland pokiwał głową.

— Dziękuję ci za to, że zaprowadziłeś mnie do tej jaskini, Henchick, i za to, że opowiedziałeś mi to wszystko.

— Zrobiłem to, co musiałem — odparł starzec. — Ty też zrobisz to, co obiecałeś. Prawda?

Roland z Gilead skinął głową.

— Niechaj Bóg wskaże zwycięzcę.

— Ano tak powiadamy. Mówisz, jakbyś niegdyś nas znał. — Zamilkł i przez chwilę mierzył Rolanda bystrym spojrzeniem. — Czy też tylko mnie naśladujesz? Każdy, kto kiedyś przeczytał Księgę Rodzaju, może cytować ją do upojenia.

— Pytasz, czy cię przedrzeźniam, w miejscu, gdzie prócz nich nikt nas nie słyszy? — Roland ruchem głowy wskazał rozbrzmiewającą głosami ciemność. — Mam nadzieję, że nie, bo jeśli tak, to jesteś głupcem.

Starzec zastanowił się nad tym, po czym wyciągnął smukłą dłoń o długich i sękatych palcach.

— Niechaj ci się wiedzie, Rolandzie. Masz dobre imię i pasuje do ciebie.

Roland wyciągnął prawą rękę. A kiedy starzec chwycił ją i uściśnął, rewolwerowiec poczuł ukłucie bólu w miejscu będącym dla niego ostatnim, w którym chciałby go poczuć.

Nie, nie całkiem tak. Ostatnim miejscem, w którym chciałbym poczuć ten ból, jest druga dłoń. Ta, która jeszcze jest cała.

— Może tym razem Wilki zabiją nas wszystkich — powiedział Henchick.

— Możliwe.

— A może jednak było to dobre spotkanie.

— Być może — odparł rewolwerowiec.

Rozdział 9

ZAKOŃCZENIE OPOWIEŚCI KSIĘDZA

(NIEODKRYTE)

1

Łóżka gotowe — oznajmiła Rosalita Munoz, kiedy wrócili. Eddie był tak zmęczony, że wydało mu się, iż powiedziała coś zupełnie innego — na przykład: „Czas opielić ogród” albo „W kościele czeka jeszcze pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób, które chcą się z wami zobaczyć”. W końcu kto mówi o łóżkach o trzeciej po południu?

— Hm? — zdziwiła się apatycznie Susannah. — Co mówisz, kochana? Nie dosłyszałam.

— Łóżka gotowe — powtórzyła gospodyni. — Wy dwoje położycie się tam, gdzie spaliście poprzedniej nocy, a młody człowiek może przespać się w łóżku ojca Callahana. Bumbler może spać z Jakiem, jeśli zechce... tak kazał mi powiedzieć Pere. Przekazałby wam to sam, ale dziś po południu odwiedza chorych, którzy pragną spożyć komunię.

Ostatnie słowa powiedziała z nieskrywaną dumą.

— Łóżka — rzekł Eddie. Nie docierał do niego sens jej słów. Rozejrzył się wokół, jakby upewniając się, że jest dopiero wczesne popołudnie i słońce jasno świeci. — Łóżka?

— Pere widział was przed sklepem — wyjaśniła Rosalita — i pomyślał, że po rozmowie z tymi wszystkimi ludźmi zechcecie się zdrzemnąć.

Eddie w końcu zrozumiał. Podejrzewał, że już kiedyś w swoim życiu musiał być bardziej wdzięczny za jakąś uprzejmość,

ale nie miał pojęcia ani kiedy, ani co to była za uprzejmość. Z początku ludzie, którzy podchodzili do siedzących na ganku składu Tooka rewolwerowców, zbliżali się powoli i niepewnie, małymi grupkami. Widząc jednak, że nikt z nich nie zamienił się w kamień i nie został poczęstowany ołowiem, słysząc ożywioną rozmowę, a nawet śmiechy, podchodzili coraz śmielej i liczniej. Kiedy z cienkiego strumyka zrobiła się w rzeka, Eddie w końcu odkrył, co to znaczy być publiczną osobą. Ze zdumieniem przekonał się, jakie to trudne i wyczerpujące. Ludzie pragnęli usłyszeć jasne odpowiedzi na tysiące trudnych pytań, z których najprostszymi były te dotyczące trasy ich wędrówki. Na niektóre można było odpowiedzieć szczerze, lecz zadawali wiele takich, że Eddie musiał kręcić jak szczywany polityk i słyszał, że jego przyjaciele robią to samo. Nie były to kłamstwa, ale propagandowy kit, udający prawdziwe wyjaśnienia. 1 wszyscy chcieli, by popatrzył im w oczy i pozdrowił serdecznym „wszystkiego najlepszego”. Nawet Ej musiał się udzielać: był nieustannie głaskany i zachęcany do mówienia, aż Jake wstał, wszedł do sklepu i poprosił Ebena Tooka o miseczkę z wodą. Sklepiarz dał mu blaszany kubek i powiedział, żeby nabrał sobie wody z koryta przed składem. Otaczający Jake’a mieszkańcy miasteczka zarzucali go pytaniami nawet wtedy, kiedy wykonywał tę prostą czynność. Ej wychłptał wodę, a potem został w kręgu zaciekawionych obywateli, podczas gdy Jake poszedł ponownie napełnić kubek.

Krótko mówiąc, było to pięć najdłuższych godzin w życiu Eddiego, który uznał, że nowe doświadczenie na zawsze odmieniło jego poglądy na sławę. Plusem było to, że zanim w końcu opuścili ganek i wrócili do domu Starego Człowieka, porozmawiali chyba z każdym mieszkańcem miasteczka i wieloma farmerami, ranczerami, kowbojami i najemnymi robotnikami mieszkającymi w tej okolicy. Wieść rozchodziła się szybko: obcy siedzą na ganku przed sklepem i możesz z nimi porozmawiać, jeśli chcesz.

A teraz, na Boga, ta kobieta — ten anioł — mówiła o łóżku.

— Ile mamy czasu? — zapytał Rosalitę.

— Pere powinien wrócić do czwartej — odpowiedziała — ale jemy dopiero o szóstej, oczywiście jeśli wasz *dinh* już tu będzie. Może zbudzę was o piątej trzydzieści? Będziecie mieli czas, żeby się umyć. Czy to wam odpowiada?

— Tak — odparł Jake i uśmiechnął się do niej. — Nie miałem pojęcia, że od samego gadania z ludźmi można być tak zmęczonym. I spragnionym.

Kiwnęła głową.

— W kuchni jest dzban z zimną wodą.

— Powinam ci pomóc przygotować posiłek — powiedziała Susannah i otworzyła usta w szerokim ziewnięciu.

— Sarey Adams przyjdzie mi pomóc — powiedziała Rosalita — a poza tym będą tylko zimne dania. No już, idźcie. Odpocznijcie. Jesteście wykończeni i widać to po was.

2

Jake poszedł do kuchni, ugasił pragnienie, a potem napełnił miseczkę wodą dla Ej a i zaniósł ją do sypialni Callahana. Miał poczucie winy z powodu tego, że z niej korzysta (razem z billy-bumblerem), ale narzuta na łóżku była odchylna, a poduszka spulchniona i obie przyzywały go z nieodpartą siłą. Postawił miskę na podłodze i Ej zaczął cicho chleptać. Jake przebrał się w czystą bieliznę, a potem położył się i zamknął oczy.

Pewnie nie zdołam zasnąć, pomyślał. Nigdy nie lubiłem popołudniowej drzemki, nawet wtedy, kiedy pani Shaw nazywała mnie „Bama”.

Po niecałej minucie lekko chrapał, z twarzą schowaną w zgięciu łokcia. Ej spał na podłodze obok łóżka, oparłszy nos na jednej łapce.

'3

Eddie i Susannah siedzieli obok siebie na łóżku w pokoju gościnnym. Eddie wciąż nie mógł w to uwierzyć: nie tylko drzemka, ale jeszcze na prawdziwym łóżku. Niewiarygodny luksus. Niczego nie pragnął bardziej, niż położyć się, wziąć Suze w ramiona i w tej pozycji zasnąć, ale najpierw musiał załatwić pewną sprawę. Męczyło go to przez cały dzień, nawet podczas zaimprovizowanej kampanii propagandowej.

— Suze, dziadek Tiana...

— Nie chcę tego słyszeć — przerwała mu.

Podniósł brwi, zdziwiony. Chociaż mógł się tego spodziewać.

— Moglibyśmy to roztrząsać — powiedziała — ale jestem zmęczona. Chcę spać. Powiesz Rolandowi to, co mówił ci ten stary. Jeśli chcesz, możesz teraz opowiedzieć Jake'owi, ale nie mnie. Nie teraz. — Siedziała tuż obok niego, jednym brązowym udem dotykając jego nogi i ciemnymi oczami spoglądając w jego piwne oczy. — Słyszysz?

— Słyszę bardzo dobrze.

— No to piękne dzięki.

Roześmiał się, wziął ją w ramiona i pocałował.

Wkrótce potem zasnęli, trzymając się w objęciach, twarzami do siebie. Rzucany przez zachodzące słońce prostokąt światła powoli przesunął się po ich ciałach. Złocista kula zapadała za horyzont na zachodzie, tam gdzie powinna. Roland też to zauważył, jadąc powoli w kierunku domu Starego Człowieka, wysunąwszy obolałe stopy ze strzemion.

4

Rosalita wyszła go powitać.

— *Hile*, Rolandzie! Długich dni i przyjemnych nocy. Skinął głową.

— A tobie dwakroć tyle.

— Wiem, że zamierzasz poprosić niektóre z nas, żebyśmy rzuciły talerzami w Wilki, kiedy tu przyjadą.

— Kto ci to powiedział?

— Och... jakiś mały ptaszek wyćwierkał mi to na ucho.

— Aha. I zrobisz to? Jeśli poproszę?

Pokazała zęby w złowrogim uśmiechu.

— Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. — Zęby znikły za pełnymi wargami, które rozciągnęły się w łagodniejszym uśmiechu. — Choć może we dwoje moglibyśmy odkryć niemal równie wielką przyjemność. Chcesz zobaczyć moją chatkę, Rolandzie?

— Tak. Czy natrzesz mnie tym swoim czarodziejskim olejkim?

— Mam cię natrzeć?

— Ano.

— Mocno czy delikatnie?

— Słyszałem, że najlepiej robić to na oba sposoby. Zastanowiła się, a potem parsknęła śmiechem i wzięła go za rękę.

— Chodź. Dopóki słońce jeszcze świeci i ten zakątek świata jest pogrążony we śnie.

Chętnie poszedł z nią tam, dokąd go zabrała. Miała otoczone miękkim mchem tajemne źródło, w którym się odświeżył.

5

Pere Callahan wrócił około piątej trzydzieści, kiedy Eddie, Susannah i Jake właśnie wstawali. O szóstej Rosalita i Sarey Adams podały złożoną z warzyw i kurczaka na zimno kolację, którą spożyli wspólnie na werandzie na tyłach plebanii. Towarzysze Rolanda jedli z apetytem, a on sam dokładał sobie nie raz, a dwa razy. Natomiast Callahan tylko rozgrzebywał jedzenie na talerzu. Opalenizna nadawała jego twarzy zdrowy wygląd, ale nie skrywała ciemnych kręgów pod oczami. Kiedy Sarey — miła i wesoła kobieta, trochę pulchna, lecz zwinna — przyniosła korzenny piernik, Callahan odmownie pokręcił głową.

Gdy na stole zostały tylko filiżanki i dzbanek z kawą, Roland wyjął kapciuch i pytająco uniósł brwi.

— Proszę — rzekł Callahan, a potem zawołał: — Rosie, przynieś naszemu gościowi coś do kiewpania! *

— Człowieku, mógłbym słuchać cię cały dzień — mruknął Eddie.

— Ja też — przyznał Jake.
Callahan uśmiechnął się.

— A ja was, chłopcy, przynajmniej tak mi się zdaje. — Nalał sobie pół filiżanki kawy. Rosalita przyniosła Rolandowi spodek na popiół. Kiedy odeszła, Callahan rzekł: — Powinienem dokończyć moją opowieść wczoraj. Przez pół nocy rzucałem się na łóżku, myśląc o tym, jak opowiedzieć resztę.

* Gasić niedopałek papierosa.

— Czy pomogłoby ci, gdybym powiedział, że częściowo już ją znam? — zapytał Roland.

— Pewnie nie. Byłeś z Henchickiem w Jaskini Przejścia, prawda?

— Tak. Wspomniał mi, że to mówiące urządzenie, które kazało im tam pójść i znaleźć ciebie, grało także jakąś melodię, która doprowadziła cię do płaczu. Czy to ta, o której nam opowiadałeś?

— Tak, *Someone Saved My Life Tonight*. I nie potrafię opisać, jak dziwnie się czułem, siedząc w chacie Mannich w Calla Bryn Sturgis, spoglądając na ciemne Jądro Gromu i słuchając Eltona Johna.

— Zaraz, zaraz — odezwała się Susannah. — Wyprzedzasz wydarzenia, Pere. Skończyłeś na tym, jak byłeś w Sacramento w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku i właśnie się dowiedziałeś, że twój przyjaciel został pocięty przez tak zwanych Braci Hitler. — Poważnym spojrzeniem obrzuciła Callahana, Jake'a i w końcu Eddiego. — Muszę zauważyć, panowie, że w kwestii spokoju społecznego nie poczyniliście znaczących postępów, od czasu gdy opuściłam Amerykę.

— Nie wiń mnie za to — powiedział Jake. — Chodziłem do szkoły.

— A ja byłem naćpany — dorzucił Eddie.

— W porządku, to moja wina — rzekł Callahan i wszyscy parsknęli śmiechem.

— Dokończ swoją opowieść — poradził Roland. — Może dziś będziesz lepiej spał.

— Być może — zgodził się Callahan. Namyślał się chwilę, po czym rzekł: — To, co pamiętam ze szpitala... co chyba każdy pamięta... to zapach środków dezynfekcyjnych i odgłosy pracującej aparatury. Głównie aparatury. To popiskiwanie. Poza szpitalem takie dźwięki można usłyszeć tylko w kabinie samolotu. Kiedyś zapytałem o to pewnego pilota, a on powiedział mi, że to odgłos pracy urządzeń nawigacyjnych. Pamiętam, że tamtej nocy pomyślałem sobie, że na tym oddziale intensywnej terapii muszą piekielnie dużo nawigować. Kiedy pracowałem w Domu, Rowan Magruder nie był żonaty, ale domyśliłem się, że to się zmieniło, ponieważ jakaś kobieta siedziała na krześle przy jego łóżku, czytając książkę. Dobrze ubrana, w ładnej

zielonej garsonce i butach na niskim obcasie. Przynajmniej spokojnie mogłem się jej pokazać: byłem umyty i uczesany i od Sacramento nie wypilem ani kieliszka. Kiedy jednak zobaczyłem jej twarz, opuścił mnie spokój. Widzicie, siedziała plecami do drzwi. Gdy zapukałem w futrynę, odwróciła się do mnie i oniemiałem. Cofnąłem się o krok i przeżegnałem się. Po raz pierwszy od tamtej nocy, kiedy Rowan i ja odwiedziliśmy Lupe'a w tym samym szpitalu. Domyślcie się dlaczego?

— Oczywiście — powiedziała Susannah. — Ponieważ wszystkie fragmenty łamigłówki dopasowały się do siebie. Zawsze tak jest. Widujemy to raz po raz. Tylko nie mamy pojęcia, co przedstawia ten obraz.

— Nie możemy go ogarnąć — dodał Eddie. Callahan kiwnął głową.

— Jakbym patrzył na Rowana, tylko mającego długie blond włosy i piersi. To była jego siostra bliźniacza. Roześmiała się. Zapytała, czy pomyślałem, że mam przed sobą ducha. Czuję się... dziwnie. Jakbym przeniósł się do jednego z innych światów, podobnego do rzeczywistego... jeśli taki istnieje... lecz nie całkiem takiego samego. Miałem nieodpartą chęć wyciągnąć portfel i sprawdzić, czyja podobizna jest na banknotach. Nie tylko z powodu niezwykłego podobieństwa tej kobiety do Rowana, ale jej śmiechu. Siedziała przy łóżku człowieka, który nosił jej twarz... zakładając, że pod tymi bandażami miał jeszcze jakąś twarz... i śmiała się.

— Witajcie w sali numer dziewiętnaście Szpitala Transu — mruknął Eddie.

— Słucham?

— Chciałem tylko zaznaczyć, że znam to uczucie, Don. Jak my wszyscy. Mów dalej.

— Przedstawiłem się i spytałem, czy mogę wejść. A kiedy o to pytałem, przypomniał mi się wampir Barlow. Pomyślałem: *Za pierwszym razem trzeba je zapraszać. Potem mogą przychodzić i odchodzić, kiedy chcą.* Powiedziała mi, że oczywiście mogę wejść. Powiedziała, że przyjechała z Chicago, żeby być przy nim, jak to określiła, „kiedy zwinie interes”. Potem, tym samym uprzejmym tonem oświadczyła: „Od razu odgadłam, kim pan jest. To przez tę bliznę na dłoni. W swoich listach Rowan pisał, że jest przekonany, iż w innym życiu był pan duchownym.

Zawsze nazywał innym życiem to, które ludzie wiedli przed tym, zanim zaczęli pić, zażywać narkotyki, tracić zmysły albo wszystko to jednocześnie. Ten w swoim innym życiu był cieślą. Tamta modelką. Czy miał rację co do pana?". Wszystko to tym miłym tonem. Jak kobieta prowadząca uprzejmą pogawędkę na przyjęciu. A Rowan leżał tam z głową owiniętą bandażem. Gdyby miał ciemne okulary, wyglądałby jak Claude Rains w *Niewidzialnym człowieku*. Wszedłem. Powiedziałem, że owszem, byłem kiedyś duchownym, ale to już przeszłość. Wyciągnęła rękę. Ja też. Ponieważ, widzicie, myślałem...

6

Wyciąga rękę, ponieważ ma wrażenie, że ona zamierza ją uścisnąć. Zwiódł go ten miły głos. Nie zauważył, że Rowena Magruder Rawlings nie wyciąga do niego ręki, ale podnosi ją. W pierwszej chwili nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, iż został spoliczkowany tak mocno, że zadzwoniło mu w lewym uchu i łza napłynęła do lewego oka. Przez głowę przemyka mu niedorzeczna myśl, że to nagłe pieczenie lewego policzka to rodzaj reakcji alergicznej, może na stres. Kobieta atakuje go, a po jej twarzy, niesamowicie podobnej do twarzy Rowana, płyną łzy.

— No już, podejdź i spójrz na niego — mówi. — Bo wiesz co? To jest inne życie mojego brata! Jedyne, jakie mu zostało! Podejdź i dobrze się przyjrzyj. Wykłuli mu oczy i odcięli jeden policzek, tak że można zobaczyć zęby. Policja pokazała mi zdjęcia. Nie chcieli, ale ich zmusiłam. Zrobili mu dziurę w sercu, ale lekarze chyba ją załatali. To wątroba go zabija. W niej też zrobili dziurę i ta rana jest śmiertelna.

— Panno Magruder, ja...

— Pani Rawlings — mówi kobieta — chociaż to dla pana i tak nieistotne. No już. Niech pan dobrze się przyjrzy. Zobacz, co mu pan zrobił.

— Byłem w Kalifornii... Przeczytałem w gazecie...

— Och, z pewnością — mówi kobieta. — Jestem tego pewna. Lecz jest pan jedynym, którego mogę dopaść, rozumie pan? Jedynym, który był Misko niego. Ten drugi umarł na pedalską chorobę, a inny tu nie ma. Pewnie obżerają się za darmo

w jego przytulku albo gwarzą sobie o tym na swoich zebraniach. O tym, co czują. No cóż, szanowny Callahanie... czy też powinienam powiedzieć „ojcze”, bo widziałam, jak się przeżegnałeś... powiem ci, co ja czuję. A... czuję... WŚCIEKŁOŚĆ.

Wciąż mówi tym uprzejmym tonem, lecz kiedy on otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ona przyciska palec do jego warg, i to dotknięcie jest na tyle silne, że Callahan rezygnuje. Niech mówi, czemu nie? Minęły długie lata, kiedy po raz ostatni słuchał spowiedzi, lecz niektóre rzeczy są jak umiejętność jazdy na rowerze.

— Skończył uniwersytet z najwyższymi notami — mówi kobieta. — Wiedział pan o tym? Zajął drugie miejsce w konkursie poetyckim Beloit w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, wiedział pan o tym? Jeszcze jako uczeń! Napisał powieść... piękną powieść... która kurzy się na moim strychu.

Callahan poczuł ciepłą wilgoć na policzku. Kobieta pryskała śliną.

— Prosiłam go... nie, błagałam... żeby pisał dalej, a on mnie wyśmiał, mówiąc, że jest do niczego. „Zostawmy to takim jak Mailer, O'Hara czy Irwin Shaw — powiedziały. — Ludziom, którzy naprawdę umieją pisać. Skończę w jakimś biurze w wieżowcu z kości słoniowej, pykając fajkę z morskiej pianki i wyglądając jak mister Chips”. To też byłoby niezłe — mówi kobieta — ale potem zainteresował się programem Anonimowych Alkoholików, a od tego łatwo było zrobić krok i zacząć prowadzić przytułek. I znaleźć nowych przyjaciół. Takich przyjaciół jak pan.

Callahan jest zdumiony. Jeszcze nigdy nie słyszał, aby w słowie przyjaciele zawarto tyle pogardy.

— / gdzie oni są teraz, kiedy leży ranny i umierający? — pyta go Rowena Magruder Rawlings. — Hm? Gdzie ci wszyscy ludzie, których wyleczył, wszyscy ci reporterzy, którzy okrzyknęły go geniuszem? Gdzie jest Jane Pauley? Przeprowadziła z nim wywiad dla „Today”, wie pan. Dwukrotnie! Gdzie ta pieprzona Matka Teresa? W jednym ze swoich listów napisał, że kiedy odwiedziła Dom, nazywali ją małą świętą. No, teraz przydałaby mu się święta, mojemu bratu przydałaby się święta, żeby uzdrowiła go przez dotyk, więc gdzie ona jest, do diabła?

Łzy spływają jej po policzkach. Pierś wznosi się i opada. Kobieta jest piękna i straszna. Callahanowi przypomina się

widziany kiedyś wizerunek Siwy, boga zniszczenia. Ma za mało rąk, myśli i z trudem opanowuje szaloną, samobójczą chęć parsknięcia śmiechem.

— Nie ma ich tu. Jesteśmy tylko my dwoje, no nie? I on. Mógł dostać literacką Nagrodę Nobla. Albo mógł uczyć czterystu studentów rocznie, przez trzydzieści lat. Podzielić się swoją wiedzą z dwunastoma tysiącami umysłów. Zamiast tego leży na szpitalnym łóżku z poharataną twarzą i będzie trzeba zadłużyć hipotekę jego pieprzonego przytułku, żeby zapłacić za jego chorobę... jeśli takie okaleczenie można nazwać chorobą... za trumnę i pogrzeb. — Patrzy na niego, spazmatycznie uśmiechnięta, policzki ma mokre od łez i z nosa cieknie jej śluz. — W swoim poprzednim, innym życiu, ojcie Callahanie, był Aniołem Ulicy. Lecz to jest jego ostatnie wcielenie. Wspaniale, no nie? Teraz zejść na dół do bufetu na kawę i kanapkę. Nie będzie mnie mniej więcej dziesięć minut. Mnóstwo czasu na krótką wizytę. Niech mi pan wyświadczy grzeczność i zniknie, zanim wrócę. Na widok pana i panu podobnych niedobrze mi się robi.

Kobieta wychodzi. Słychać stukanie jej niskich obcasów na korytarzu. Dopiero kiedy ten odgłos zupełnie cichnie, pozostawiając go sam na sam z monotonnym popiskiwaniem aparatury, Callahan uświadamia sobie, że cały drży. To raczej nie jest atak delirium tremens, ale tak właśnie się czuje.

Kiedy Rowan odzywa się spod sztywnego welonu bandaży, Callahan o mało nie wrzeszczy z przerażenia. Głos starego przyjaciela jest niewyraźny, lecz Callahan doskonale go rozumie.

— Dziś wygłosiła to swoje kazanie co najmniej osiem razy i ani razu nie wspomniała o tym, że tego roku, kiedy zająłem drugie miejsce, w konkursie Beloit brały udział jeszcze tylko cztery inne osoby. Podejrzewam, że wojna w znacznej mierze odebrała ludziom ochotę do pisania wierszy. Jak leci, Don?

Kiepska dykcja, a głos jest niewiele głośniejszy od ochryplego szeptu, ale to Rowan, bez wątplenia. Callahan podchodzi do łóżka i ujmuje dłonie leżące na kołdrze. Z zaskakującą siłą zaciskają się na jego dłoniach.

— A co do powieści... człowieku, to był trzeciorzędny James Jones, w dodatku kiepski.

— Jak się masz, Rowan? — pyta Callahan. Teraz i on płacze. Ten przekłety pokój wkrótce wypełni się wodą.

— No cóż, całkiem do dupy — mówi zabandażowany mężczyzna. I dodaje: — Dzięki, że wpadłeś.

— Nie ma za co — mówi Callahan. — Co mogę dla ciebie zrobić, Rowanie? Powiedz.

— Możesz trzymać się z daleka od Domu — mówi Rowan. Jego głos słabnie, ale ręce wciąż ściskają dłonie Callahana. — Oni nie chcieli mnie. Chodziło im o ciebie. Rozumiesz, Don? Szukali ciebie. Wciąż pytali mnie, gdzie jesteś, i w końcu powiedziałbym im to, gdybym wiedział, możesz mi wierzyć. Tylko że, oczywiście, nie wiedziałem.

Jeden z aparatów zaczyna popiskiwać szybciej, z częstotliwością, która niebawem osiągnie próg alarmowy. Callahan nie powinien tego wiedzieć, ale wie. Nie wiadomo skąd.

— Rowanie, czy oni mieli czerwone oczy? Czy nosili... sam nie wiem... długie płaszcze? Podobne do prochowców? Czy jeździli wielkimi i drogimi samochodami?

— Mc podobnego — szepcze Rowan. — Byli chyba po trzydziestce, ale ubrani jak nastolatki. I wyglądali na nastolatków. Ci faceci będą wyglądać na nastolatków jeszcze przez dwadzieścia lat... jeśli tak długo pożyją... a potem pewnego dnia od razu staną się starcami.

Po prostu paru oprychów, myśli Callahan. Czy to chce mi powiedzieć? Tak też było, niemal na pewno, ale to wcale nie oznacza, że Bracia Hitler nie zostali wynajęci do tej roboty przez tamtych. Nawet w tej krótkiej notatce prasowej zwrócono uwagę na to, że Rowan Magruder nie był typową ofiarą Braci.

— Trzymaj się z daleka od Domu — szepcze Rowan, lecz zanim Callahan zdąży mu to obiecać, włącza się alarm. Przez moment dłonie przyjaciela zaciskają się mocniej i Callahan czuje jego dawną energię, tę niepohamowaną siłę, dzięki której drzwi Domu zawsze pozostawały otwarte nawet wówczas, gdy stan konta w banku sięgał dna, tej energii, która przyciągała do niego ludzi mogących zrobić wszystko to, z czym Rowan Magruder nie był w stanie poradzić sobie sam.

Nagle w pokoju roi się od pielęgniarek, lekarz o aroganckiej twarzy domaga się karty pacjenta i niebawem siostra Rowana powróci, zapewne ziejąc ogniem. Callahan dochodzi do wniosku, że czas opuścić scenę, a także tę znacznie większą scenę, jaką jest Nowy Jork. Wygląda na to, że cisi wciąż się nim

interesują, bardzo interesują, a jeśli mają jakąś bazę operacyjną, to niemal na pewno znajduje się ona w mieście Nowy Jork. Tak więc powrót na Zachodnie Wybrzeże byłby doskonałym pomysłem. Nie stać go na następny bilet samolotowy, ale ma dość gotówki, aby pojechać Wielkim Szarym Psem. I nie pierwszy raz. Kolejna podróż na zachód, czemu nie? Już widzi się w autobusie, tego mężczyznę na fotelu numer 29 C, z nową i nieotwartą paczką papierosów w kieszeni koszuli, nową i nieotwartą butelką whiskey w papierowej torebce, z powieścią Johna D. MacDonalda, również nową i nieotwartą, na kolanach. Może będzie na drugim brzegu rzeki Hudson, przejeżdżając przez Fort Lee, zatopiony w lekturze drugiego rozdziału, pijąc drugiego drinka, zanim w końcu wyłączą wszystkie aparaty w pokoju 577 i jego stary przyjaciel odejdzie w mrok ku temu, co tam na nas czeka.

7

— Pięćset siedemdziesiąt siedem — powtórzył Eddie.

— Dziewiętnaście — powiedział Jake.

— Słucham? — zdziwił się Callahan.

— Pięć, siedem, siedem — wyjaśniła Susannah. — Dodaj je, a otrzymasz dziewiętnaście.

— Czy to coś oznacza?

— Licz spokojnie jak trusia, a wyjdzie ci mamusia, a to słowo wiele dla mnie znaczy — rzekł Eddie z rozmarzonym uśmiechem.

Susannah zignorowała go.

— Nie wiemy — odparła. — Nie opuścisz Nowego Jorku, prawda? Gdybyś to zrobił, nie miałbyś tego.

Wskazała bliźnę na czole.

— Och, opuściłem — zapewnił ją Callahan. — Tylko nie tak szybko, jak zamierzałem. Kiedy wychodziłem ze szpitala, naprawdę miałem zamiar wrócić do Port Authority i kupić bilet na czterdziestkę.

— A co to takiego? — zdziwił się Jake.

— W gwarze włóczęgów najdalszy możliwy kurs. Jeśli kupisz bilet do Fairbanks na Alasce, jedziesz czterdziestą linią.

447

—
—
—
—
—

— Tutaj to byłby autobus numer dziewiętnaście — mruknął Eddie.

— Szedłem, rozmyślając o dawnych czasach. O niektórych zabawnych wydarzeniach, takich jak wtedy, gdy banda pensjonariuszy Domu urządziła przedstawienie cyrkowe. I o przerażających, takich jak wtedy, gdy pewnego wieczoru tuż przed kolacją jeden facet mówi do drugiego „Przeastań dłubać w nosie, Jeffy, bo niedobrze mi się robi”, a Jeffy na to „No to podłubię ci tym, kmiecie” i wyciąga wielki nóż sprężynowy, i zanim ktoś zdążył kiwnąć palcem albo choćby zorientować się, co się dzieje, Jeffy podrzyna facetowi gardło. Lupę wrzeszczy, a ja krzyczę „Jezu Chryste!”, krew tryska wszędzie, bo gość ma przeciętą arterię... albo tętnicę szyjną... a Rowan przybiega z toalety, jedną ręką przytrzymuje spodnie, a w drugiej ma rolkę papieru toaletowego. I wiecie, co zrobił?

— Użył papieru — powiedziała Susannah. Callahan uśmiechnął się. Wyglądał przy tym młodziej.

— Do licha, tak. Przycisnął całą rolkę do miejsca, z którego tryskała krew, i wrzasnął na Lupe'a, żeby dzwonił pod dwieście jedenaście, bo wtedy tak się wzywało karetkę. A ja stoję tam, patrząc, jak ta rolka białego papieru toaletowego czerwienieje, gdy krew przesącza się do kartonowego środka. Rowan powiedział: „Myśl o tym jak o największym na świecie skaleczeniu przy goleniu” i zaczęliśmy się śmiać. Śmialiśmy się do łez. Przypominałem sobie wiele innych dni, wiecie. Dobrych, złych i paskudnych. Pamiętam... jak przez mgłę... że zaszedłem do Smiler's Market i kupiłem kilka puszek budweisera w papierowej torbie. Wypiłem jedno i szedłem dalej. Nic myślałem o tym, dokąd idę... przynajmniej nie świadomie... lecz moje nogi najwidoczniej miały własny rozum, ponieważ nagle rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że stoję przed lokalem, w którym kiedyś jadaliliśmy kolacje, jeśli... jak mówią... mieliśmy kasę. To było na rogu Drugiej i Pięćdziesiątej Drugiej.

— Mama Mniam-Mniam — rzekł Jake.

Callahan spojrział na niego ze szczerym zdumieniem, a potem popatrzył na Rolanda.

— Rewolwerowcze, twoi chłopcy zaczynają mnie trochę przerażać.

Roland znajomym gestem zakręcił palcami. *Mów dalej, kolego.*

— Postanowiłem wejść i zjeść hamburgera, żeby uczcić dawne czasy — ciągnął Callahan. — I jedząc hamburgera, zdecydowałem, że nie opuszczę Nowego Jorku, nie spojrzawszy na Dom, choćby przez frontowe okno. Mogłem przecież stanąć po drugiej stronie ulicy, tak jak robiłem to po śmierci Lupe'a. A czemu by nie? Przedtem nikt nigdy mnie nie zauważył. Ani wampiry, ani tamci. — Popatrzył na słuchaczy. — Nie potrafię powiedzieć, czy naprawdę w to wierzyłem, czy też był to po prostu przejaw samobójczych skłonności. Pamiętam większość tego, co czułem, zrobiłem i myślałem tamtej nocy, ale nie to. W każdym razie nigdy nie dotarłem do Domu. Zapłaciłem i poszedłem dalej Drugą Aleją. Dom znajdował się na rogu Pierwszej i Czterdziestej Siódmej, ale nie chciałem przechodzić przed nim. Postanowiłem dojść do rogu Pierwszej i Czterdziestej Szóstej, a tam przejść na drugą stronę.

— Dlaczego nie poszedłeś Czterdziestą Ósmą? — zapytał cicho Eddie. — Mogłeś skrócić w Czterdziestą Ósmą, tak byłoby szybciej. Miałbyś o jeden kwartał bliżej.

Callahan zastanowił się, a potem potrząsnął głową.

— Jeśli miałem jakiś powód, to nie pamiętam go.

— Miałeś — powiedziała Susannah. — Chciałeś przejść obok opuszczonej parceli.

— Dlaczego miałbym...

— Z tego samego powodu, z jakiego ludzie lubią przechodzić obok piekarni w chwili, gdy pieczywo jest wyjmowane z pieca — wytłumaczył Eddie. — Niektóre rzeczy po prostu są przyjemne, to wszystko.

Callahan przyjął to wyjaśnienie z wyraźnym powątpiewaniem, ale wruszył ramionami.

— Skoro tak twierdzisz.

— Twierdzę, *sai*.

— W każdym razie szedłem ulicą, popijając piwo z puszki. Prawie doszedłem do rogu Drugiej i Czterdziestej Szóstej, kiedy...

— A co tam było? — zapytał pospiesznie Jake. — Co było na tym rogu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku?

— Nie pa... — zaczął Callahan i urwał. — Ogrodzenie — powiedział. — Dość wysokie. Na dziesięć, może dwanaście stóp.

— To nie to, przez które skakaliśmy — rzekł Eddie do Rolanda. — Chyba że urosło o pięć stóp.

— Był na nim obrazek — rzekł Callahan. — To pamiętam. Jakiś rodzaj graffiti, ale nie mogłem dojrzeć wyraźnie, ponieważ latarnie na rogu ulicy nie paliły się. Natychmiast zrozumiałem, że coś jest nie tak. W mojej głowie odezwał się sygnał alarmowy. Brzmiał bardzo podobnie do tego, który ściągnął personel medyczny do szpitalnego pokoju Rowana, jeśli chcecie wiedzieć. Nagle wydało mi się niepojęte, że przyszedłem tutaj, w to miejsce. Przecież to szaleństwo. Jednocześnie pomyślałem, że...

8

Jednocześnie myśli: Wszystko w porządku, to tylko kilka zepsutych lamp, gdyby tu były wampiry, zobaczyłbyś je, a gdyby to byli tamci ludzie, słyszałbyś dzwony, czuł przypaloną cebulę i rozgrzany metal. Mimo wszystko postanawia opuścić tę okolicę, i to niezwłocznie. Dzwony czy nie, nagle każdy nerw w jego ciele napina się jak struna, grożąc pęknięciem.

Odwraca się, i tuż za nim są ci dwaj mężczyźni. Przez parę sekund są tak zaskoczeni tą niespodziewaną zmianą kierunku marszu, że zapewne mógłby przemknąć między nimi jak podstarzały napastnik rugby i pomknąć z powrotem Drugą Aleją. Lecz on też jest zaskoczony i przez kilka następnych sekund wszyscy trzej tylko stoją, gapiąc się na siebie.

To duży Brat Hitler i mały Brat Hitler. Ten mały ma nie więcej niż pięć stóp. Nosi luźną batystową koszulę, wypuszczoną na czarne spodnie. Na głowie baseballową czapeczkę, obróconą daszkiem do tyłu. Oczy ma czarne jak dwa kawałki smoły i niezdrową cerę. Callahan natychmiast nazywa go w myślach Lennie. Ten duży ma chyba sześć stóp wzrostu, podkoszulek w barwach Yankees, niebieskie dżinsy i tenisówki. Blond wąsy. Tego Callahan nazywa George.

Odwraca się, zamierzając przebiec przez Drugą Aleję, jeżeli będzie zielone światło albo mało jadących samochodów. Jeśli to okaże się niemożliwe, pobiegnie Czterdziestą Szóstą do oenzetowskiego hotelu Plaża i schroni się w ho...

Ten duży, George, łapie go za kołnierz koszuli i szarpie do tyłu. Kołnierz pęka, ale niestety nie całkiem, co pozwoliłoby Callahanowi uciec.

— Nie, nic z tego, koleś — mówi mały. — Mc z tego.

Po czym szybko jak owad omija Callahana i zanim ten zrozumie, co się dzieje, Lennie wyciąga rękę, łapie go za jądra i mocno ściska. Ból jest nagły i potworny, powoduje mdłości wzbierające jak fala roztopionego ołowiu.

— Podobna ci się, kochasiu czarnuchów? — pyta Lennie szczerze zatroskanym głosem, jakby chciał powiedzieć, że to ich boli tak samo jak jego. Gwałtownie szarpie i ból się nasila. Callahan ma wrażenie, że zardzewiałe zęby wielkiej piły wbijają mu się w brzuch, i myśli: wyrwie mi je, już zrobił z nich galaretę, a teraz mi je urwie, przecież trzymają się tylko na kawałku skóry i...

Zaczyna wrzeszczeć i George zatyka mu dłońią usta.

— Skończ z tym! — warczy na partnera. — Jesteśmy na pierdolonej ulicy, zapomniałeś?

Pomimo potwornego bólu Callahan dostrzega przedziwne odwrócenie ról: to George jest ważniejszym z Braci Hitler, nie Lennie. George jest mądrzejszy. Z pewnością nie tak jak u Steinbecka.

Nagle, gdzieś po prawej, słychać ciche brzęczenie. Z początku wydawało mu się, że to dzwony, lecz ten dźwięk jest przyjemny. I donośny. George i Lennie czują jego siłę. Nie podoba im się to.

— Co jest? — pyta Lennie. — Słyszalesz coś?

— Nie wiem. Zabierajmy go stąd. 1 trzymaj ręce z daleka od jego jaj. Potem będziesz mógł je sobie tarć do woli, ale teraz pomóż mi.

Biorą go między siebie i prowadzą z powrotem Drugą Aleją. Po ich prawej stronie biegnie wysoki płot. Te słodkie, mocne dźwięki dochodzą zza niego. Gdyby mógł przeskoczyć przez ten płot, myśli Callahan, byłbym bezpieczny. Tam coś jest, coś potężnego i dobrego. Nie odważyliby się do tego zbliżyć.

Może tak jest, ale wątpi, czy zdołałby wspiąć się na ten płot, nawet gdyby jądra nie przesyłały mu swej wiadomości bolesnym pulsowaniem Morse 'a, nawet gdyby nie czuł, jak puchną mu pod bielizną. Nagle głowa opada mu na pierś i Callahan zwraca na pół przetrawiony posiłek na przód koszuli i spodni. Czuje, jak ubranie przemaka i lepi się do ciała, ciepłe jak szczyną.

Z przeciwka nadchodzą dwie pary młodych ludzi, najwidoczniej razem. Mężczyźni są postawni i bez trudu mogliby zamieść Lennie ulicę, a może nawet poradzić sobie z George'em, gdyby zaatakowali go wspólnie, ale patrzą z obrzydzeniem i najwyraźniej chcą tylko czym prędzej zabrać swoje dziewczyny jak najdalej od Callahana.

— Trochę za dużo wypił — mówi George ze współczującym uśmiechem — i zmogło go. Każdemu się czasem zdarza.

To Bracia Hitler! — próbuje wrzasnąć Callahan. Ci faceci to Bracia Hitler! Zabili mojego przyjaciela, a teraz chcą zabić mnie! Wezwijcie policję! Oczywiście nie może wykrztusić słowa, jak to zwykle bywa w koszmarnych snach, i dwie młode pary odchodzą w swoją stronę. George i Lennie pospiesznie prowadzą Callahana po Drugiej Alei, między Czterdziestą Szóstą a Czterdziestą Siódmą. Stopami ledwie dotyka bruku. Hamburger Mamy Mniam-Mniam paruje na jego koszuli. O rany, czuć nawet zapach musztardy, którą go posmarował.

— Niech zobaczę jego rękę — mówi George, gdy zbliżają się do następnego skrzyżowania, a kiedy Lenny łapie za lewą dłoń Callahana, George mówi: — Nie, tępaku, drugą.

Lennie chwytą prawą rękę Callahana, który nie zdołałby go powstrzymać, nawet gdyby próbował. Ma wrażenie, że brzuch wypełnia mu gorący, płynny cement. Żołądek podchodzi mu do gardła i trzęsie się tam jak przestraszone zwierzątko.

George spogląda na bliznę na prawej dłoni Callahana i kiwa głową.

— Tak, to on. Nigdy nie zaszkodzi się upewnić. No już, chodźmy, Faddah. Pospiesz się, no!

Dochodzą do Czterdziestej Siódmej i skręcają w boczną uliczkę. U stóp wzgórza po lewej widać płamę jasnego światła: Dom. Widzi nawet kilku przygarbionych mężczyzn, stojących na rogu, rozmawiających o programie i palących papierosy. Może nawet znam niektórych z nich, myśli Callahan. Do diabła, na pewno znam.

A jednak nie dochodzą tak daleko. Zanim przejdą jedną czwartą drogi między Drugą Aleją a Pierwszą, George wciąga Callahana do bramy nieczynnego lokalu z wywieszką NA SPRZEDAŻ LUB DO WYNAJĘCIA w obu zamalowanych na biało witrynach. Lennie tylko krąży wokół nich, jak poszczekujący terier wokół powoli idących krów.

— Załatwię cię, pierdolony kochasiu czarnuchów! — bełkocze. — Załatwiliśmy tysiące takich ja ty i załatwimy miliony, rozprawimy się z każdym czarnuchem, nawet takim z wielkim brzuchem, to słowa piosenki, którą pisze, nazywa się „Zabić wszystkich pedałowatych kochasi czarnuchów ”, i kiedy skończę, wyślę ją Merle 'owi Haggardowi, on jest najlepszy, to on powiedział tym wszystkim hippisom, żeby siedzieli na tyłkach i robili pod siebie, pieprzony Merle dobry Amerykanin, a ja mam mustanga trzysta osiemdziesiąt i lugera Hermanna Góringa, rozumiesz, kochasiu czarnuchów?

— Zamknij się, ty mały dupku — odzywa się George, ale mówi to z czułym roztargnieniem, całą uwagę skupiając na szukaniu właściwego klucza w grubym pęku, a potem na otwieraniu drzwi pustego lokalu. Callahan myśli: dla niego Lennie jest jak wiecznie grające w warsztacie naprawczym lub barowej kuchni radio, którego już się nie słyszy, gdyż stało się częścią hałasu.

— Tak, Nort — mówi Lennie i znowu zaczyna. — Pieprzony luger pieprzonego Góringa, zgadza się, i mógłbym odstrzelić ci nim te pieprzone jaja, ponieważ znamy prawdę o takich kochasiach czarnuchów jak ty i oddajemy naszemu krajowi przysługę, prawda, Nort?

— Mówiłem ci, żadnych imion — odpowiada George/Nort obojętnym tonem i Callahan zna powód. Nigdy nie zdoła niczego powiedzieć policji, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem tych dwóch oprychów.

— Przepraszam, Nort. To wy, kochasie czarnuchów, pierdoleni żydowscy intelektualiści, spierdoliłście ten kraj, więc chcę, żebyś o tym myślał, kiedy wyrwę ci te pierdolone jaja z genitaliów...

— Jaja to genitalia, tępaku — poucza go z upiorną cierpliwością George/Nort, po czym woła: — Już!

Drzwi otwierają się. George/Nort wpycha w nie Callahana. W lokalu nie ma nic prócz zasnutych pajęczynami kątów pachnących wybielaczem, mydłem i krochmałem. Z dwóch ścian sterczą grube kable i rury. Widać jaśniejsze prostokąty na ścianach, w miejscach, gdzie kiedyś stały automaty pralnicze i suszarki. Na podłodze leży sztyl, ledwie czytelny w półmroku:
PRALNIA ZATOKI ŻÓŁWIA! PIERZESZ SAM LUB PIE-

RZEMY ZA CIEBIE, TAK CZY OWAK WSZYSTKO JEST CZYSTE!

Wszystko będzie czyste, myśli Callahan. Odwraca się do nich i bez zdziwienia zauważa, że George/Nort celuje do niego z broni. To nie jest luger Hermanna Góringa, raczej wygląda mu na tanią trzydziestkędwójkę, jaką można kupić za sześćdziesiąt doliców w każdym barze w śródmieściu, ale z pewnością wystarczy do mokrej roboty. George/Nort rozpina torebkę, nie spuszcżając go z oka — z pewnością robił to już nieraz, obaj to robili, starzy fachowcy, od dawna pracujący na własną rękę — i wyjmuje z niej rolkę taśmy izolacyjnej. Callahan przypomina sobie, że Lupę powiedział kiedyś, iż bez taśmy izolacyjnej Ameryka rozpadłaby się w ciągu tygodnia. Nazywał ją „tajną bronią”. George/Nort podaje ją Lenniemu, który bierze taśmę i z owadzią szybkością podbiega do Callahana.

— Ręce do tyłu, sługusie czarnuchów — mówi Lennie.

Callahan nie słucha. George/Nort macha rewolwerem.

— Zrób to albo wpakuję ci kulę w bebechy, Faddah. Obiecuję ci, że nigdy nie zaznałeś takiego bólu.

Callahan wykonuje polecenie. Nie ma wyboru. Lennie obiega go.

— Złącz je, sługusie czarnuchów — mówi. — Co, nie wiesz, jak się to robi? Nigdy nie byłeś w kinie?

Śmieje się głupkowato.

Callahan złącza ręce. Słychać cichy trzask, gdy Lennie odrywa taśmę i zaczyna owijać nią przeguby Callahana. Ten stoi, wdychając woń kurzu, wybielacza oraz przyjemny, trochę dziecinny zapach zmiękczacza do tkanin.

— Kto was wynajął? — pyta George 'a/Norta. — Czy to cisi ludzie?

George/Nort nie odpowiada, lecz Callahan ma wrażenie, że dostrzegł błysk w jego oczach. Na zewnątrz przetacza się falami uliczny ruch. Przechodzą piesi. Co by się stało, gdyby zaczął wrzeszczeć? No cóż, chyba zna odpowiedź na to pytanie, prawda? Biblia mówi, że kapłan i lewita minęli poranionego, nie słysząc jego krzyków, „lecz pewien Samarytanin... ulitował się nad nim”. Callahan potrzebuje dobrego Samarytanina, ale w Nowym Jorku rzadko można ich spotkać.

— Czy mieli czerwone oczy, Nort?

Mężczyzna znowu mimo woli mrugnął, lecz lufa rewolweru pozostała wycelowana w brzuch Callahana i nieruchoma jak głaz.

— Czy jeżdżą wielkimi i drogimi samochodami? Jeżdżą, prawda? Jak myślisz, ile będzie warte życie twoje i tego gównojada, kiedy...

Lennie znów łapie go za jądra i ściska, wykręca, ciągnie w dół jak roletę. Callahan wrzeszczy i świat ciemnieje mu w oczach. Nogi odmawiają posłuszeństwa i kolana uginają się pod nim.

— PADA! — krzyczy radośnie Lennie. — Mo-Hammerhead A-Lee PADA! WIELKA NADZIEJA BIAŁYCH NOKAUTUJE PYSKATEGO CZARNUCHA I KŁADZIE GO NA DESKI! NIE DO WIARYYY!

Naśladuje Howarda Cosella i robi to tak dobrze, że mimo bólu Callahanowi chce się śmiać. Słyszy kolejny trzask i czuje, że Lennie krępuje mu nogi w kostkach.

George/Nort wyciąga z kąta plecak. Otwiera go i wyjmuje polaroid. Pochyla się nad Callahanem i nagle świat ginie w oślepiającym rozbłysku. W mroku, który zapada potem, Callahan widzi tylko jakieś rozmazane sylwetki za błękitną kulą na środku pola widzenia. Słyszy zza niej głos George'a/Norta:

— Przymnij mi, żebyśmy potem zrobił drugie. Chcieli mieć oba.

— Tak, Nort, tak! — Ten mały niemal ślini się z podniecenia i Callahan wie, że prawdziwe cierpienia dopiero się zaczną. Przypomina sobie starą piosenkę Dylana, zatytułowaną A Hard Rairfs A-Gonna Fali / myśli, pasuje. Bardziej niż Someone Saved My Life Tonight, to pewne.

Otocza go opar cebuli i pomidorów. Ktoś tu jadł w włoskiej knajpie, zapewne wtedy, kiedy Callahan został spoliczkowany w szpitalu. Z blasku wyłania się jakaś postać. To ten duży.

— Nieważne, kto nas wynajął — mówi George/Nort. — Liczy się to, że zostaliśmy wynajęci, a jeśli o ciebie chodzi, Faddah, wszyscy będą uważali, że byłeś takim samym kochasiem czar-nuchów jak Magruder i załatwili cię Bracia Hitler. Lubimy naszą pracę, ale pracujemy za dolary, jak każdy dobry Amerykanin. — Po chwili uzupełnia to kompletnie absurdalnym stwierdzeniem: — Jesteśmy lubiani na Queensie, wiesz?

— Pieprz się — rzuca Callahan i nagle prawą stroną jego twarzy przeszywa potworny ból.

Lennie kopnął go buciorem ze stalowym noskiem, łamiąc mu szczękę w czterech — jak okazuje się później — miejscach.

— Niezła gadka — słyszy niewyraźny głos Lenniego, dobiegający z głębi oszalałego wszechświata, w którym Bóg umarł i leży cuchnący na podłodze splądrowanego nieba. — Niezła gadka.

Potem mówi głośniejszym głosem, błagając jak podekscytowane dziecko:

— Pozwól mi, Nort! No, daj mi to zrobić! Chcę to zrobić!

— Nie ma mowy — mówi George/Nort. — Ja wycinam swastyki na czołach, bo ty zawsze je pieprzysz. Możesz wyciąć te na dłoniach, dobra?

— Jest związany! Ręce ma oklejone tą pie...

— Kiedy już będzie martwy — wyjaśnia cierpliwie George/Nort. — Kiedy będzie martwy, odwinimy taśmę i wtedy będziesz mógł...

— Nort, proszę! Zrobię to tak jak ty. Posłuchaj! — woła Lennie weselszym tonem. — Powiem ci coś. Jeśli zacznę pieprzyć robotę, powiesz mi, a ja przerwę! Dobrze, Nort? Dobrze?

— Cóż... — Callahan słyszał już taki ton głosu. U zmęczonego ojca, który niczego nie potrafi odmówić ukochanemu, choć ograniczonemu umysłowo dziecku. — No dobrze.

Rozjaśnia mu się w oczach. Wołały niczego nie widzieć. Lennie wyjmuje z plecaka latarkę. George ze swojej torebki już wyjął składany skalpel. Wymieniają narzędzia. George kieruje światło latarki na szybko puchnącą twarz Callahana. Ten krzywi się i mruży oczy. Mimo to widzi, jak Lennie obraca skalpel w krótkich, lecz zręcznych palcach.

— To będzie dobre! — woła Lennie. Trzęsie się z podniecenia. — To będzie dobre!

— Tylko tego nie śpieprz — przypomina mu George.

Callahan myśli: gdyby to był film, teraz nadjechałaby kawaleria. Albo gliny. Albo pieprzony Sherlock Holmes w pieprzonym wehikule czasu H. G. Wellsa.

Lennie klęka przed nim, przy czym aż za dobrze widać, jak mu stoi, a kawaleria nie przybywa. Nachyla się ze skalpelem w rękę, i gliny nie pojawiają się. Callahan nie czuje od niego cebuli i pomidorów, ale pot i papierosy.

— *Zaczekaj chwilę, Bill — mówi George/Nort. — Mam pomysł. Najpierw narysuję ci ją. W kieszeni mam długopis.*

— *Pieprzyć to — syczy Lennie/Bill. Wyciąga rękę. Callahan widzi, jak ostry skalpel dygocze w drżącej z podniecenia dłoni, a potem znika mu z pola widzenia. Coś zimnego dotyka jego czoła, po chwili staje się gorące, i Sherlock Holmes nie przybywa. Krew zalewa mu oczy, nic nie widzi, a James Bond, Perry Mason, Travis McGee, Hercule Poirot i pieprzona panna Marple nie pojawiają się.*

Oczami duszy widzi końską, bladą twarz Barłowa. Wiatr rozwiewa wampirowi włosy. Barłów wyciąga rękę.

— *Chodź, fałszywy kapłanie — mówi — poznaj prawdziwą wiarę.*

Słychać dwa suche trzaski, gdy palce wampira odłamują ramiona krzyża, który dała Callahanowi matka.

— *Och, ty pieprzony świrze — jęczy George/Nort. — To nie swastyka, tylko pieprzony krzyż! Oddaj mi to!*

— *Czekaj, Nort, daj mi szansę! Jeszcze nie skończyłem!*

Spierają się nad nim jak dzieci, podczas gdy on czuje potworny ból jąder, pulsowanie złamanej szczęki i krew zalewa mu oczy. Wszystkie te spory z lat siedemdziesiątych o to, czy Bóg umarł... Chryste, spójrzcie teraz na mnie! Tylko spójrzcie! Czy ktoś może jeszcze mieć jakieś wątpliwości?

1 wtedy przybywa kawaleria.

9

— *Co dokładnie masz na myśli? — zapytał Roland. — Tę część twojej opowieści wysłucham bardzo uważnie, Pere.*

Wciąż siedzieli za stołem na werandzie, lecz już skończyli jeść, słońce zaszło i Rosalita przyniosła kaganki. Callahan na chwilę przerwał swoją opowieść i poprosił ją, żeby usiadła z nimi, co też zrobiła. Za szybami werandy na ciemnym podwórku plebanii bzycały owady spragnione światła.

Jake nawiązał kontakt z umysłem rewolwerowca. Nagle mając dość tych wszystkich niedopowiedzeń, sam zadał pytanie:

— *Czy to my byliśmy tą kawalerią, Pere?*

Roland przyjął to najpierw z zaskoczoną, a potem rozbawioną miną. Callahan był tylko zdziwiony.

— *Nie — odparł. — Nie sądzę.*

— *Nie widziałeś ich, prawda? — zapytał Roland. — Nawet nie widziałeś tych ludzi, którzy cię uratowali.*

— *Mówiłem wam, że Bracia Hitler mieli latarkę — powiedział Callahan. — To prawda. Ale ci drudzy faceci, ta kawale-*

Kimkolwiek są, mają szperacz. Ten wypełnia opuszczoną pralnię blaskiem jaśniejszym od błysku polaroidu, który — w przeciwieństwie do światła flesza — nie gaśnie. George/Nort i Lennie/Bill zasłaniają oczy. Callahan też by to zrobił, gdyby nie miał rąk skrzepowanych taśmą izolacyjną.

— Nort, rzuć rewolwer! Bill, rzuć skalpel! — głos dobiegający zza światła reflektora budzi lęk, ponieważ słychać w nim strach. To głos człowieka, który może zrobić wszystko. — Teraz policzę do pięciu, a potem zastrzelę was obu, na co w pełni zasługujecie.

I zaczyna liczyć, nie wolno i z namysłem, lecz z zatrważającą szybkością.

— Razdwatrzy'cztery...

Jakby właściciel głosu chciał jak najszybciej skończyć z tymi bzdurami i zacząć strzelać. George/Nort i Lennie/Bill nie mają czasu do namysłu. Rzucają rewolwer i skalpel i przy uderzeniu o brudne linoleum broń wypala z głośnym BACH, jak pistolecik, do którego naładowano podwójną porcję kapiszonów. Callahan nie ma pojęcia, gdzie poszła kula. Może trafiła w niego? Czy poczułby to? Wątpliwe.

— Nie strzelać, nie strzelać! — wrzeszczy Lennie/Bill. — My nie... my nie... my nie...!

Nie co? Lennie/Bill najwidoczniej nie wie.

— Ręce do góry. — To inny głos, lecz też dochodzący zza oślepiającego blasku. — Do góry! No już, śmiecie!

Bracia Hitler pospiesznie podnoszą ręce.

— Nie, zapomnijcie o tym — słychać pierwszy głos. Może to

wspaniali faceci, Callahan z pewnością umieści ich na swojej liście adresatów kartek bożonarodzeniowych, ale najwyraźniej jeszcze nigdy nie robili czegoś takiego. — Zdjąć buty! Ściągać spodnie! Już!

— Co do kur... — zaczyna George/Norton. — Jesteście glinami? Jeśli jesteście, to macie odczytać nam nasze prawa, te pieprzone prawa Mirandy...

Zza oślepiającego blasku pada strzał. Callahan dostrzega pomarańczowy błysk ognia. Zapewne jest to pistolet, ale przy nim skromna trzydziestkadwójka Braci Hitler jest jak korkowiec przy haubicy. Słychać potworny huk, któremu towarzyszy łoskot osypującego się tynku i chmura kurzu. George/Nort i Lennie/Bill krzyczą ze strachu. Callahan ma wrażenie, że jeden ze zbawców — pewnie ten, który nie strzelał — też wrzasnął.

— Ściągać buty i spodnie! Już! Już! Jak nie zdejmiecie ich, zanim doliczę do trzydziestu, będzie po was. Razdwatrzy-cztery pięć...

Ponownie szybkie odliczanie nie pozostawia czasu do namysłu, nie mówiąc o oporze. George/Nort próbuje usiąść, a wtedy rozlega się Głos Numer Dwa:

— Jeśli usiądziesz, zabijemy was.

Tak więc Bracia Hitler podskakują nad plecakiem, polaroidem, rewolwerem i latarką jak dwa cierpiące na płasawicę bociany, zdejmując buty, podczas gdy Głos Numer Jeden szybko odlicza czas. Buty i spodnie padają na linoleum. George preferuje bokserki, a Lennie slipy, z plamami od moczu. Po jego wzwodzie nie ma śladu — widocznie wzwód Lenniego postanowił na resztę nocy zrobić sobie wolne.

— A teraz wynocha — grzmi Głos Numer Jeden.

George stoi twarzą do światła. Podkoszulek w barwach Yankees opada mu na szorty, które sięgają prawie do kolan. Na brzuchu wciąż ma torebkę na pasku. Jego muskularne łydki drżą. Nagle uświadamia sobie coś i jego twarz wykrzywia grymas strachu.

— Słuchajcie, ludzie — mówi. — Jeśli odejdziemy, nie wykańczając tego faceta, zabiją nas. To bardzo niebez...

— Jeśli nie wyniesiecie się stąd, zanim doliczę do dziesięciu, szmondaki — przerywa mu Głos Numer Jeden — sam was zabiję.

A Głos Numer Dwa dodaje z historyczną pogardą:

— Gai cocknif en yom, tchórzliwe matkojebcy! Zostańcie i dajcie się zastrzelić, kogo to obchodzi?

Później, powtórzywszy to zdanie kilku Żydom, którzy tylko ze zdumieniem kręcili głowami, Callahan napotka w Topece pewnego starca, który przetłumaczy mu je. Gai cocknif en yom to mniej więcej „ idź się wysrać do morza ”.

Głos Numer Jeden znowu puszcza taśmę:

— Razdwatrzy cztery...

George/Nort i Lennie/Bill wymieniają niezdecydowane spojrzienia bohaterów kreskówek, po czym w gaciach biegną do drzwi. Szperacz odprowadza ich. Wypadają na zewnątrz i już ich nie ma.

— Wyrzrzyj — rzuca szorstko Głos Numer Jeden do partnera. — Jeśli przyjdzie im do głowy, żeby wrócić...

— Tak, tak — odpowiada Głos Numer Dwa i wychodzi. Oślepiające światło gaśnie.

— Obróć się na brzuch — mówi Głos Numer Jeden.

Callahan chce mu powiedzieć, że chyba nie da rady, że jądra napuchły mu jak banie, lecz ma złamaną szczękę i z jego ust wydobywa się tylko bełkot. Udaje mu się jednak obrócić na lewy bok.

— Nie ruszaj się — ostrzega Głos Numer Jeden. — Nie chcę cię skaleczyć.

To nie jest głos człowieka, który ciągle robi tego rodzaju rzeczy. Nawet w takim stanie Callahan jest tego świadom. Przyspieszony oddech mężczyzny chwilami alarmująco zamiera, a potem znowu daje się słyszeć. Callahan chce podziękować temu człowiekowi. Co innego ratować nieznanego, jeśli jesteś policjantem, strażakiem lub ratownikiem, a zupełnie co innego, jeśli jesteś tylko zwyczajnym obywatelem. Domyśla się, że jego zbawca, obaj jego zbawcy, są zwykłymi obywatelami, chociaż byli tak dobrze przygotowani, że trudno w to uwierzyć. Skąd znali imiona Braci Hitler? I gdzie dokładnie na nich czekali? Czy weszli z ulicy, czy przez cały czas kryli się w tej nieczynnej pralni? Callahan tego nie wie. I wcale go to nie obchodzi. Ponieważ ktoś ocalał, ponieważ ktoś ocalał, ponieważ ktoś ocalał mu życie dziś wieczorem — i tylko to jest ważne, i tylko to się liczy. George i Lennie już prawie go mieli, no nie, o rany, ale kawaleria przybyła w ostatniej chwili, tak jak na filmach z Johnem Wayne'em.

Callahan naprawdę chce podziękować temu facetowi. A także jak najszybciej znaleźć się w karetce i w drodze do szpitala, zanim te dwa oprychy na zewnątrz załatwią właściciela Głosu Numer Dwa albo właściciel Głosu Numer Jeden dostanie wywołanego emocjami zawału. Próbuje to zrobić i z jego ust znów wydobywa się bełkot. Pijackie bredzenie, które Rowan nazywał paplaniną.

Ktoś rozcina pęta na jego rękach i nogach. Facet jednak nie dostał zawału. Callahan ponownie obraca się na plecy i widzi pulchną białą dłoń trzymającą skalpel. Na środkowym palcu tkwi rodowy sygnet. W herbie ma otwartą księgę. Poniżej widnieją słowa *Ex Libris*. Nagle reflektor znowu się zapala i Callahan zasłania oczy przedramieniem.

— Chryste, człowieku, po co to robisz? — chce powiedzieć, lecz z jego ust wydobywa się tylko ochryple „chrr, gr”. Mimo to Głos Numer Jeden najwidoczniej go rozumie.

— Można by pomyśleć, że to oczywiście, mój ranny przyjacielu — mówi. — Jeśli spotkamy się znowu, wołałbym, żebyś mnie nie poznał. Jeżeli spotkamy się na ulicy, przejdź obok mnie obojętnie. Tak jest bezpieczniej.

Szmer kroków. Światło się oddala.

— Wezwiemy karetkę z budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy...

— Nie! Nie odchodźcie! A jeśli oni wrócą? — Strach sprawia, że te słowa wypowiada zadziwiająco wyraźnie.

— Będziemy obserwować — mówi Głos Numer Jeden. Od-dycha wyraźnie spokojniej. Facet odzyskuje panowanie nad sobą. To dobrze. — Myślę, że oni mogą wrócić, bo ten duży był naprawdę zaniepokojony, lecz jeśli Chińczycy mają rację, to teraz jestem odpowiedzialny za twoje życie. I zamierzam przyjąć tę odpowiedzialność. Jeśli się pojawią, pošlę im kulkę. I nie będę celował nad ich głowami. — Callahan widzi sylwetkę zbawcy. On też wygląda na postawnego mężczyznę. I ma broń, to pewne. — To byli Bracia Hitler, przyjacielu. Wiesz, o kim mówię?

— Tak — szepcze Callahan. — I nie powiecie mi, kim jesteście?

— Lepiej, żebyś tego nie wiedział — mówi pan *Ex Libris*.

— A wiecie kim ja jestem?

Chwila ciszy. Szmer kroków. Pan Ex Libris stoi teraz w drzwiach opuszczonej pralni.

— *Nie — odpowiada. Potem dorzuca: — Księdzem. To bez znaczenia.*

— *Skąd wiedzieliście, że tu będę?*

— *Zaczekaj na ambulans — mówi Glos Numer Jeden. — Nie próbuj się stąd ruszać. Straciłeś sporo krwi i możesz mieć jakieś obrażenie wewnętrzne.*

Potem znika. Callahan leży na podłodze, czuje zapach wybielacza, detergentu i słodką woń resztekmiękczacza do tkanin. Pierzesz sam lub pierzemy za ciebie, myśli, tak czy owak wszystko jest czyste. Jądra pulsują mu i puchną. Szczęka również pulsuje i puchnie. Czuje, jak pod wpływem opuchlizny napina mu się skóra na twarzy. Leży tam i czeka na przyjazd karetki oznaczającej życie albo na powrót Braci Hitler i śmierć. Na damę lub tygrysa. Skarb Diany lub śmiercionośne ukąszenie węża. I po jakimś bliżej nieokreślonym czasie czerwone migoczące światło pada na zakurzoną podłogę i Callahan wie, że tym razem to dama. Tym razem to skarb.

Tym razem to życie.

11

— I tak — rzekł Callahan — w tę noc znalazłem się ponownie w pokoju pięćset siedemdziesiąt siedem tego samego szpitala.

Susannah spojrzała na niego oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

— Poważnie?

— Równie poważnie jak poważny jest atak serca — odparł. — Rowan Magruder umarł, a ja zostałem ciężko pobity, więc wpakowali mnie do tego samego łóżka. Chyba ledwie zdążyli zmienić w nim pościel. Dopóki pielęgniarka nie przyszła z zastrzykiem morfiny, który mnie uspił, leżałem tam, zastanawiając się, czy siostra Magruderowa nie wróci i nie dokończy tego, co zaczęli Bracia Hitler. Tylko dlaczego was to dziwi? W naszych historiach jest mnóstwo takich dziwnych zbiegów okoliczności. Na przykład, czy nie zastanowiła was zbieżność nazwy miasteczka z moim nazwiskiem?

— Jasne, że tak — powiedział Eddie.

— Co było potem? — spytał Roland.

Callahan uśmiechnął się i w tym momencie rewolwerowiec zauważył, że obie połowy twarzy księdza nie są identyczne. Widać było, że miał złamaną szczękę.

— To ulubione pytanie gawędziarza, Rolandzie, ale sądzę, że powinienem trochę skrócić moją opowieść, inaczej siedzielibyśmy tu całą noc. Poza tym najważniejszą jej częścią, tą, która naprawdę was interesuje, jest zakończenie.

Cóż, może ty tak sądzisz, pomyślał Roland i wcale by się nie zdziwił, gdyby się dowiedział, że wszystkim trojgu jego przyjaciółom przyszła do głowy ta sama myśl.

— Leżałem w szpitalu przez tydzień. Kiedy mnie wypuścili, posłali mnie na rehabilitację do ośrodka opieki społecznej na Queensie. Z początku proponowali mi inny, znacznie bliżej, bo na Manhattanie, ale tamten współpracował z Domem... czasem podsyłaliśmy im pacjentów. Obawiałem się, że Bracia Hitler mogą mi tam złożyć następną wizytę.

— I złożyli? — zapytała Susannah.

— Nie. Odwiedziłem Rowana w pokoju pięćset siedemdziesiąt siedem szpitala Riverside, a potem sam się tam znalazłem dziewiętnastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku — powiedział Callahan. — A dwudziestego piątego maja pojechałem na Queens furgonetką razem z trzema lub czterema innymi inwalidami. Chcę powiedzieć, że jakieś sześć dni później, tuż przed tym zanim się wypisałem i znów ruszyłem w drogę, przeczytałem artykuł w „Post”. Był na początku, chociaż nie na pierwszej stronie. CIAŁA DWÓCH ZASTRZELONYCH MĘŻCZYŹN ZNALEZIONO NA CONEY ISLAND — głosił nagłówek. POLICJA TWIERDZI, ŻE TO WYGLĄDA NA PORACHUNKI MAFIJNE. Dlatego że ich twarze i dłonie spalono kwasem. Mimo to policji udało się zidentyfikować obu: Norton Randolph i William Garton, obaj z Brooklynu. Zamieszczono zdjęcia. Z policyjnej kartoteki, gdyż obaj byli wielokrotnie notowani. Moi dwaj napastnicy. George i Lennie.

— Sądzisz, że załatwili ich cisi, prawda? — zapytał Jake.

— Tak. Zapłacili im za spaprana robotę.

— Czy gazety rozpoznały w nich Braci Hitler? — zapytał

Eddie. — Bo wiesz, człowieku, za moich czasów wciąż straszono nimi dziećmi.

— W brukowej prasie spekulowano na ten temat—powiedział Callahan — i założyę się, że dziennikarze zajmujący się morderstwami i napadami Braci Hitler domyślali się, że były one dziełem Randolpha i Gartona, ponieważ po ich śmierci zdarzyło się tylko kilka okaleczeń, będących nieudolnymi próbami naśladownictwa. Lecz żaden dziennikarz prasy bulwarowej nie zabije potwora spod łożka, ponieważ dzięki potworom sprzedaje się nakład.

— Człowieku — mruknął Eddie. — Ty naprawdę jesteś weteranem.

— Jeszcze nie słyszeliście wszystkiego — odparł Callahan. — Najlepsze zostawiłem na koniec.

Roland znowu zawirował palcami, ale niezbyt ponagląjąco. Skręcił sobie papierosa i spojrział z tak zadowoloną miną, jakiej trójka jego przyjaciół chyba jeszcze nigdy nie widziała. Tylko Ej, śpiący u stóp Jake'a, wyglądał na spokojniejszygo.

— Kiedy po raz drugi opuszczałem Nowy Jork, jadąc autobusem po GWB z książką i butelką whiskey, szukałem kładki dla pieszych — rzekł Callahan — ale ta znikła. W ciągu kilku następnych miesięcy czasem widywałem ukryte drogi... i pamiętam, że kilkakrotnie otrzymywałem na nich dziesięciodolarowe banknoty z podobizną Chadbourne'a... ale bardzo rzadko. Widziałem wiele wampirów trzeciej kategorii i doszedłem do wniosku, że zaraza się rozprzestrzenia. A jednak nic nie robiłem. Straciłem zapał, tak jak Thomas Hardy stracił chęć do pisania powieści, a Thomas Hart Benton ochotę do malowania. *To tylko moskity*, myślałem. *Zostaw je w spokoju*. Starłem się jedynie dotrzeć do kolejnego miasta, znaleźć dorywczą pracę i bar, w którym poczuję się dobrze. Wybierałem te, które przypominały nowojorski Americano lub Blarney Stone.

— Innymi słowy, lubiłeś chlać w domowej atmosferze — zauważył Eddie.

— Zgadza się — rzekł Callahan, spoglądając na niego jak na bratnią duszę. — Rozumiesz. I chronięm te miejsca, dopóki nie przyszła pora ruszać dalej. Chcę powiedzieć, że wprawdzie urzyłem się w takim ulubionym barze, ale kończyłem wieczór... chodząc na czworakach, bełkocząc i rzygając jak kot... gdzie indziej. Zazwyczaj *al fresco*.

— Co to... — zaczął Jake.

— To oznacza na świeżym powietrzu, kochasiu — wyjaśniła Susannah. Zmierzyła mu włosy, a potem skrzywiła się i przycisnęła dłoń do swojego brzucha.

— Wszystko w porządku, *sail* — zapytała Rosalita.

— Tak, ale jeśli masz jakiś napój gazowany, to chętnie się napiję.

Rosalita wstała, jednocześnie klepiąc Callahana po ramieniu.

— Mów dalej, Pere, inaczej będzie druga w nocy i koty zaczną wyć, zanim skończysz.

— W porządku — rzekł. — Krótko mówiąc, piłem. Piłem co noc, i każdemu, kto chciał słuchać, opowiadałem o Lupie, Rowanie, Rowenie, o tym czarnoskórym mężczyźnie, który podwiózł mnie w Issaquena County, i o Rucie, który był zabawnym stworzeniem, ale z pewnością nic rasowym syjamskim kotem. A potem traciłem przytomność. Tak było, aż dotarłem do Topeki. Pod koniec zimy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Wtedy stoczyłem się na dno. Czy wiecie, co oznacza określenie „stoczyć się na dno”?

Zapadła długa chwila ciszy; pokiwali głowami. Jake myślał o zajęciach z panią Avery i końcowym wypracowaniu z angielskiego. Susannah wspominała miasteczko Oxford w Missisipi, a Eddie plażę nad Morzem Zachodnim, gdzie pochylał się nad człowiekiem, który później stał się jego *dinh*, gdzie zamierzał poderznąć mu gardło, bo Roland nie chciał przepuścić go przez jedno z tych magicznych drzwi, żeby zdobyć trochę heroiny.

— Ja stoczyłem się na dno w więziennej celi — powiedział Callahan. — Był wczesny ranek i byłem stosunkowo trzeźwy. Ponadto nie była to klatka dla pijaków, ale prawdziwa cela z kocem na pryczy i sedesem w kącie. W porównaniu z niektórymi miejscami, w których siedziałem, była to królewska rezydencja. Niepokojące było tylko nazwisko faceta... i piosenka.

Światło wpadające przez szybę ze zbrojonego szkła okienka celi jest szare, więc i jego skóra jest szara. A dłonie brudne i podrapane. Pod niektórymi paznokciami ma czarne obwódki

(brudu), a pod innymi rdzawe (zaschniętej krwi). Niejasno przypomina sobie szamotaninę z kimś, kto mówił mu per pan, tak więc domyśla się, że został zatrzymany na mocy artykułu czterdziestego ósmego — pod zarzutem napaści na funkcjonariusza. A przecież Callahan chciał tylko — dobrze to pamięta — przymierzyć czapkę tego chłopca, bardzo szykowną. Pamięta, że usiłował wytłumaczyć młodemu gliniarzowi (sądząc po jego wyglądzie, niedługo zaczną zatrudniać w policji dzieciaków, którzy jeszcze nie wyrosli z pieluch, przynajmniej w Topece), że zawsze potrzebuje porządnego nakrycia głowy, bez którego nie może się obejść, ponieważ nosi piętno Kaina na czole. „Wygląda jak kszysz — tak powiedział, a raczej próbował powiedzieć — ale to je pięta kina”. W tym stanie wyraźniej nie potrafił wymówić „piętno Kaina”.

Zeszłego wieczoru naprawdę się upił, lecz nie czuje się źle, siedząc na pryczy i przyglądając palcami rozczochrane włosy. Wprawdzie w ustach ma obrzydliwy posmak — jakby narobił mu w niesyjamski kot Ruta, jeśli chcecie wiedzieć — ale głowa prawie go nie boli. Gdyby tylko ci ludzie się zamknęli! Gdzieś w głębi korytarza ktoś monotonicznie recytuje niekończącą się listę nazwisk, w alfabetycznej kolejności. Gdzieś bliżej ktoś śpiewa jego ulubioną piosenkę: „Ktoś ocalił, ktoś ocalił, ktoś ocalił moje życie dziś wieczorem...”.

— NailorL. Naughton!... O'Connor!... O'Shaugnessy!... Osowski!... Osmer!

Właśnie uświadamia sobie, że to on sam śpiewa, kiedy zaczynają mu się trząść tydki. Drżenie dochodzi do kolan, a potem do ud, pogłębiając się i rozchodząc. Widzi, jak mięśnie nóg pracują niczym tłoki. Co się z nim dzieje?

— Palmer!... Palmgren!

Drżenie dochodzi do krocza i podbrzusza. Slipy ciemniej od moczu. Jednocześnie zaczyna pedałować nogami w powietrzu, jakby próbował obracać nimi dwie niewidzialne piłki jednocześnie. Mam atak, myśli. Na pewno. To już chyba koniec. Pa, pa, świecie. Usiłuje wezwać pomoc, lecz z jego ust wydobywa się tylko ciche rzężenie. Zaczyna unosić i opuszczać ręce. Teraz nogami podbija niewidzialne piłki, jednocześnie wyciągając ręce ku niebu, a facet w głębi korytarza zamierza recytować swoją litanię do końca tego wieku, a może do nadejścia nowej epoki lodowcowej.

— PeschierL. Peters!... Pike!... Polovik!... Rance!... Rancourt!
Górna połowa ciała Callahana zaczyna unosić się i opadać.

Przy każdym takim podrygu jest coraz bliższy utraty równowagi i upadku na podłogę. Unosi ramiona. Prostuje nogi. Nagle czuje rozchodzące się po pośladkach ciepło i uświadamia sobie, że narobił w gacie.

— Ricupero!... RobillardL. Rossi!...

Gwałtownie odchyła się do tyłu, aż do pobielonej ściany, na której ktoś nagryzł BANGO SKANK oraz Właśnie przeszedłem dziewiętnaste załamanie nerwowe! Potem znowu do przodu, tym razem całym ciałem, z entuzjazmem muzulmanina odprawiającego poranne modły. Przez moment widzi betonową posadzkę między swoimi gołymi kolanami, a potem traci równowagę i pada na twarz. Jego szczęka, która jakoś zrosła się podczas tych nocnych eskapad, ponownie łamie się w trzech z czterech miejsc. Żeby rachunek się zgadzał — bo cztery to magiczna liczba — tym razem łamie także nos. Podryguje na posadzce jak wyjęta z wody ryba, umazany krwią, odchodami i moczem. Taak, już po mnie, myśli.

— Ryan!... Sannelli!... Scher!

Stopniowo jednak potworny atak grand mai, wstrząsającej jego ciałem, przechodzi w petit mai, a potem w zwykłe dreszcze. Myśli, że ktoś powinien się zjawić, lecz nikt nie przychodzi, przynajmniej nie od razu. Dreszcze ustępują i teraz jest po prostu Donaldem Frankiem Callahanem, leżącym na podłodze więziennej celi w Topece, w stanie Kansas, podczas gdy gdzieś w głębi korytarza ktoś dalej recytuje w alfabetycznym porządku.

— Seavey!... Sharrow!... Shatzer!

Nagle, po raz pierwszy od wielu miesięcy, myśli o tym, jak kawaleria przybyła w ostatniej chwili, gdy Bracia Hitler zamierzali pokroić go w opuszczonej pralni przy Wschodniej Czerdziestej Szóstej. I naprawdę chcieli to zrobić — następnego dnia lub później ktoś znalazłby niejakiego Donalda Franka Callahana, martwego jak przysłowiowa makrela i zapewne noszącego własne jaj a jako klipsy. Kawaleria jednak przybyła i...

To nie była kawaleria, myśli, leżąc na posadzce, z ponownie puchnącą twarzą (będziesz miał nową twarz, dobrze ci znaną). To byli Głos Numer Jeden i Głos Numer Dwa. Chociaż nie całkiem. Właściwie byli to dwaj mężczyźni, co najmniej w śred-

nim wieku, może trochę starsi. Panowie Ex Libris i Gai Cocknif En Yom, cokolwiek to oznacza. Obaj śmiertelnie przestraszeni. I całkiem słusznie. Bracia Hitler może nie załatwili tysięcy ofiar, jak chełpił się Lennie, ale z pewnością okaleczyli ich mnóstwo, a kilka zabili. Byli parą świrów i panowie Ex Libris oraz Gai Cocknif całkiem słusznie się ich obawiali. Dla nich wszystko skończyło się dobrze, ale wcale nie musiało tak być. A gdyby George i Lennie zdobyli nad nimi przewagę, co by się stało? No cóż, zamiast jednego ciała w pralni Zatoki Żółwia przypadkowy przechodzień znalazłby ich trzy. Ta wiadomość z pewnością trafiłaby na pierwszą stronę „Post”. Tak więc ci faceci ryzykowali życie, i oto dla kogo, jak się okazało po sześciu lub ośmiu miesiącach: dla brudnego, wynędzniałego, nędznego pijaczyny, z gaciami zasikanyymi z przodu, a obfajdanymi z tyłu. Chłjęcemu codziennie i co noc.

I właśnie wtedy to się stało. W głębi korytarza monotennie recytujący doszedł do Spranga, Stewarda i Sudby 'ego, a w tej celi leżący na brudnej podłodze w prostokącie światła mężczyzna stoczył się na samo dno, a więc — z definicji — osiągnął poziom, z którego nie możesz upaść niżej, chyba że weźmiesz łopatę i zaczniesz kopać.

Leżąc tak i nie mogąc oderwać głowy od posadzki, patrzy na koty kurzu, wyglądające z tej perspektywy jak maleńkie kępy zarośli i kupki śmieci, podobne do wysypisk jakichś mikro-skopijnych kopalni. Myśli: Czy to luty? Luty tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku? Chyba tak. No cóż, powiem wam coś. Dam sobie jeszcze rok. Jeden rok na to, żeby zrobić coś — cokolwiek — co uzasadniałoby ryzyko, jakie podjęli ci dwaj ludzie. Jeśli zdołam coś zrobić, to dobrze. Jeśli jednak w lutym osiemdziesiątego trzeciego nadal będę pił, zabiję się.

W głębi korytarza monotony głos dochodzi w końcu do Targenfielda.

Callahan zamilkł na chwilę. Upił łyk kawy, skrzywił się i zamiast niej nalał sobie kieliszek słodkiego cydru.

— Wiedziałem, jak należy odbić się od dna — podjął. —

Bóg wie, że na East Side zaprowadziłem wystarczająco wielu pijacków na spotkania Anonimowych Alkoholików. Tak więc kiedy mnie wypuścili, znalazłem oddział AA w Topece i zacząłem codziennie tam przychodzić. Nigdy nie patrzyłem w przyszłość i nie oglądałem się za siebie. „Przeszłość jest historią, przyszłość tajemnicą” — jak powiadają. Tylko tym razem, zamiast siedzieć na końcu sali i milczeć, wychodziłem na środek i przedstawiałem się: „Jestem Don C. i nie chcę już pić”. Choć chciałem, każdego dnia miałem ochotę, lecz Anonimowi Alkoholicy mają sentencje na każdą okazję i jedna z nich brzmi „Udawaj, że możesz, aż ci się uda”. I powoli rzeczywiście mi się udało. Pewnego jesiennego dnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku obudziłem się i uświadomiłem sobie, że już nie chce mi się pić. Jak mówią, odeszła mnie ochota. Ruszyłem dalej. W pierwszym roku trzeźwości nie należy dokonywać wielkich zmian w życiu, lecz pewnego dnia, w parku Gage'a, a właściwie w Rosę Garden, Różanym Ogrodzie Reinisha... — Zamilkł, patrząc na nich. — Co jest? Znacie go? Nie mówcie mi, że znacie ten park!

— Byliście tam — wyjaśniła spokojnie Susannah. — Wdzieliśmy model pociągu.

— To zdumiewające — rzekł Callahan.

— Jest dziewiętnasta i wszystkie ptaki śpiewają — powiedział Eddie, bez uśmiechu.

— W każdym razie to w Różanym Ogrodzie zauważyłem pierwszy plakat. CZY KTOŚ WIDZIAŁ CALLAHANA, NASZEGO SETERA IRLANDZKIEGO? MA BLIŻNĘ NA ŁAPIE I NA CZOLE. SOWITA NAGRODA. I tak dalej, i tak dalej. W końcu poznali moje nazwisko. Zdecydowałem, że pora wynieść się, póki czas. Tak więc pojechałem do Denver, gdzie znalazłem przytułek zwany Lighthouse. Schronisko dla alkoholików. Był to Dom, tylko bez Rowana Magruderera. Wykonywali dobrą robotę, ale ledwie sobie radzili. Podjąłem tam pracę. I byłem tam w grudniu osiedemdziesiątego trzeciego roku, kiedy to się zdarzyło.

— Kiedy co się zdarzyło? — zapytała Susannah.

Odpowiedział jej Jake Chambers. On wiedział i chyba był jedynym z nich czworga, który mógł to wiedzieć. W końcu jemu też się to przytrafiło.

— Kiedy umarłeś — powiedział.

— Tak, właśnie — przytaknął Callahan, nie okazując zdziwienia. Tak jakby rozmawiali o ryżu albo „anatomowym” napędzie Andy’ego. — Właśnie wtedy umarłem. Rolandzie, mógłbyś skrócić mi papierosa? Chyba potrzebuję czegoś mocniejszego od cydru.

W Lighthouse jest taki zwyczaj, datujący się od... rany, chyba od całych czterech lat (bo schronisko istnieje zaledwie tyle czasu). Święto Dziękczynienia jest urządzane w sali gimnastycznej Liceum Imienia Pańskiego przy West Congress Street. Banda byłych pijaków dekoruje ją pomarańczową i brązową bibułką, tekturowymi indykami, plastikowymi owocami i warzywami. Innymi słowy, istne amerykańskie dożynki. Musisz być trzeźwy przez co najmniej dwa tygodnie, żeby dostąpić zaszczytu zaproszenia na tę uroczystość. A ponadto — jak ustalili między sobą Ward Huckman, Al McCowan i Don Callahan — żaden pijak nie jest dopuszczany do dekorowania sali, obojętnie jak długo pozostaje trzeźwy.

W dniu święta prawie setka najgorszych alkoholików, ćpunów i na pół oszalałych bezdomnych z Detroit zbiera się w szkolnej sali na wspaniały obiad złożony z indyka, ziemniaków i wszystkich dodatków. Są usadzeni przy tuzinie długich stołów na środku boiska do koszykówki (nogi stołów są zabezpieczone filcem, a biesiadnicy są w skarpetkach). Zanim zasiądą, każdy z nich zwyczajowo musi obejść stoły dookoła („Ten, komu zajmie to dłużej niż dziesięć sekund, zostanie usunięty z sali” — ostrzega Al) i powiedzieć, za co jest wdzięczny opatrności. Ponieważ jest to Święto Dziękczynienia, a ponadto jednym z głównych założeń programu AA jest to, że wdzięczny alkoholik nie pije, a wdzięczny narkoman nie ćpa.

Nie trwa to długo, więc gdy przychodzi na niego kolej, siedzący tam i niemyślący o niczym szczególnym Callahan o mało nie mówi czegoś, co mogłoby narobić mu kłopotów. W najlepszym wypadku uznano by go za człowieka o upiornym poczuciu humoru.

— Jestem wdzięczny za to, że nie... — zaczyna, a potem uświadamia sobie, co chciał powiedzieć, i gryzie się w język. Patrzą na niego wyczekująco, ci nieogoleni mężczyźni i blade kobiety o tłustych włosach, rozciągający wokół nieświeżą woń metra... zapachu ulicy. Niektórzy już nazywają go Faddah, a skąd mogą to wiedzieć? Jakim cudem się dowiedzieli? I jakby się czuli, gdyby wiedzieli, że kiedy to słyszy, przechodzi go dreszcz? Że przypomina sobie Braci Hitler i ten słodki, dziecięcy zapach miękkaczca do tkanin? Teraz patrzą na niego. Ci „klienci”. Ward i Al też na niego patrzą.

— Jestem wdzięczny za to, że dziś nie piłem i nie narkotyzowałem się — mówi, przypominając sobie tę starąformułkę, gdyż za to zawsze należy dziękować Bogu. Tamci przyjmują to pomrukiem aprobaty, a następny mężczyzna mówi, że jest wdzięczny opatrności za to, że siostra pozwoliła mu odwiedzić się w święta, i nikt nie wie, jak niewiele brakowało, a Callahan wyznałby: „Jestem wdzięczny losowi, że ostatnio nie widziałem żadnych wampirów trzeciej kategorii ani ich plakatów”.

Uważa, że dzieje się tak, bo Bóg przyjął go z powrotem, przynajmniej na okres próbny, i trucizna Barlowa w końcu straciła moc. Innymi słowy, sądzi, że stracił swój dar widzenia. Jednakże nie sprawdza tego, idąc do kościoła — wystarczy mu sala gimnastyczna Liceum Imienia Pańskiego. Nie przychodzi mu do głowy — przynajmniej nie świadomie — że tym razem chcą mieć pewność, że nie wymknie się z matni. W końcu zrozumie, że może uczyć się wolno, ale jednak czegoś się uczyć.

Potem, na początku grudnia, Ward Huckman otrzymuje wspólną wiadomość.

— Gwiazdka przysłała do nas prędej, Don! Zaraz coś wam pokażę, Al! — Triumfalnie wymachuje listem. — Jeśli dobrze to rozegramy, chłopcy, nie będziemy musieli się martwić o fundusze na przyszły rok!

Ał McCowan bierze list i kiedy go czyta, ostrożna rezerwa zaczyna go opuszczać. A gdy podaje list Donowi, uśmiecha się od ucha do ucha.

To list od korporacji mającej biura w Nowym Jorku, Chicago, Detroit, Denver, Los Angeles i San Francisco. Napisany na czerpanym papierze tak wyśmienitej jakości, że ma się ochotę go pokroić i uszyć z niego koszulę. Z treści wynika, że korporacja

zamierza przekazać dwadzieścia milionów dolarów dwudziestu instytucjom dobroczynnym w Stanach Zjednoczonych, po milio- nie każdej. Musi uczynić to do końca roku kalendarzowego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego. Do potencjalnych odbiorców należą darmowe jadłodajnie, schroniska dla bez- domnych, dwie kliniki odwykowe oraz prototypowa placówka leczenia AIDS w Spokane. Jednym ze schronisk jest Lighthouse. List podpisał Richard P Sayre, wiceprezes, w Detroit. Sprawa wygląda wiarygodnie, a fakt, że wszyscy trzej są zaproszeni do biura w Detroit, żeby omówić szczegóły, jeszcze to uwiarygod- nia. Datą spotkania — która będzie również datą śmierci Donalda Callahana — jest dziewiętnasty grudnia tysiąc dzie- więćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Poniedziałek. Nagłówek listu głosi: SOMBRA CORPORATION.

15

— Poszedłeś tam — odezwał się Roland.

— Wszyscy poszliśmy — powiedział Callahan. — Gdyby zaproszono tylko mnie, zorientowałbym się. Ponieważ jednak zapraszali nas trzech... i chcieli nam podarować milion dola- rów... Czy macie pojęcie, co milion dolców oznaczałby dla takiego ubożego schroniska jak Dom czy Lighthouse? Szczeg- ólnie za prezydentury Reagana?

Słyszac to, Susannah lekko drgnęła. Eddie posłał jej bez- wstydnie triumfalne spojrzenie. Callhan wyraźnie chciałby poznać powód tej wymiany spojrzeń, lecz Roland znowu popę- dził go, kręcąc młynka palcami, i teraz naprawdę zrobiło się późno. Dochodziła północ. Mimo to nikt z *ka-tet* Rolanda nie wyglądał na śpiącego: skupili uwagę na Callahanie, chłonic każde jego słowo.

— Oto do jakiego doszedłem wniosku — rzekł Callahan, pochylając się lekko. — Istnieje rodzaj luźnej współpracy między wampirami a cichymi. Sądzę, że gdyby prześledzić ich historię, odkryłoby się korzenie takiego stanu rzeczy w krainie ciemności. W Jądrze Gromu.

— Wcale w to nie wątpię — powiedział Roland. Oczy rozblęły mu w bladej i zmęczonej twarzy.

— Wampiry... poza wampirami pierwszej kategorii... są głupie. Cisi są sprytniejsi, ale niewiele. W przeciwnym razie nie zdołałbym wymykać im się tak długo. W końcu jednak zainteresował się mną ktoś inny. Podejrzewam, że był to agent Karmazynowego Króla, kimkolwiek lub czymkolwiek on jest. Cichym ludziom zabroniono się do mnie zbliżać. Wampirom również. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nie było plakatów ani wiadomości skreślonych kredą na chodnikach West Fort Street czy alei Jeffersona. Myślę, że ktoś wydał im dokładne rozkazy. Ktoś o wiele sprytniejszy. I ten milion dolarów! — Callahan potrząsnął głową. Nikły i gorzki uśmiech wykrzywił mu wargi. — W końcu to mnie zaślepiło. Po prostu pieniądze. „No pewnie, ale to dla biednych!”, mówiłem sobie... a tamci dwaj również. „Będziemy niezależni przez co najmniej pięć lat! Koniec z żebraniem u radnych miasta Detroit!”. Wszystko to prawda. Dopiero później uświadomiłem sobie pewien prosty fakt: chciwość nawet w dobrej sprawie pozostaje chciwością.

— I co się stało? — zapytał Eddie.

— No cóż, poszliśmy na to spotkanie — odparł Pere. Jego twarz wykrzywił niesamowity uśmiech. — W biurowcu Tishmana, przy alei Michigan dziewięćset osiemdziesiąt dwa, jednym z najszcawniejszych adresów w Detroit, dziewiętnastego grudnia o czwartej dwadzieścia po południu.

— Dziwna pora na spotkanie — zauważyła Susannah.

— My też tak uważaliśmy, ale kto zwraca uwagę na takie drobiazgi, jeśli w grę wchodzi milion dolarów? Po krótkiej dyskusji przyznaliśmy rację Alowi... a raczej jego matce. Jej zdaniem na takie ważne spotkania należy przychodzić pięć minut wcześniej, nie przedziej i nie później. Tak więc o czwartej dziesięć weszliśmy do holu wieżowca Tishmana, ubrani w najlepsze ciuchy. Znaleźliśmy Sombra Corporation na tablicy informacyjnej i wjechaliśmy na trzydzieste trzecie piętro.

— Sprawdziliście wcześniej tę korporację? — zapytał Eddie. Callahan spojrział na niego jak na idiotę.

— Zgodnie z tym, co znaleźliśmy w bibliotece, Sombra Corporation była zamkniętą firmą... innymi słowy, nie emitowała swoich akcji... która wykupywała inne firmy. Zajmowała się specjalistycznym sprzętem, nieruchomościami i budownictwem. Tylko tyle. Finanse były pilnie strzeżoną tajemnicą.

— Siedziba w Stanach? — zapytała Susannah.

— Nie. W Nassau na Bahamach.

Eddie drgnął, przypominając sobie czasy, kiedy był kurierem przewożącym kokainę, i jegomościa, od którego kupił ostatni ładunek.

— Byłem tam i robiłem różne rzeczy — mruknął. — Nie spotkałem jednak nikogo z Sombra Corporation.

Tylko czy na pewno? A jeśli ten jegomość o niezdrowej cerze i brytyjskim akcencie pracował właśnie dla Sombra Corporation? Czy trudno uwierzyć w to, że mogli być zamieszani w handel narkotykami, niezależnie od tego, czym zajmowali się dla niepoznaki? Eddie wiedział, że nie. To wskazywało co najmniej na ich powiązania z Enrikiem Balazarem.

— Poza tym figurowała we wszystkich spisach i wykazach — rzekł Callahan. — Tylko z nazwy, ale była w nich. Bogata firma. Nie wiem, czym naprawdę się zajmowała, i jestem prawie pewien, że większość ludzi, których widzieliśmy w biurach na trzydziestym trzecim piętrze, odgrywała rolę statystów... uwiarygodniających mistyfikację... ale Sombra Corporation na pewno istnieje. Wjechaliśmy windą na górę. Była tam piękna poczekalnia... z obrazami francuskich impresjonistów na ścianach, a jakże... a w niej piękna recepcjonistka. Kobieta z rodzaju tych... wybacz, Susannah... na widok których mężczyzna myśli, że dotknął jej piersi, mógłby żyć wiecznie.

Eddie parsknął śmiechem, zerknął na Susannah i natychmiast spowaźniał.

— Była czwarta siedemnaście. Poproszono nas, żebyśmy usiedli. Od czasu do czasu drzwi po lewej otwierały się i widzieliśmy przez nie pomieszczenie pełne biurek i boksów. Dzwoniące telefony, sekretarki przebiegające ze stosami papierów, odgłos pracującej kserokopiarki. Jeśli to był sztafaż... a myślę, że tak... to równie przekonujący jak dekoracje hollywoodzkiego filmu. Byłem lekko podenerwowany perspektywą spotkania z panem Sayre, ale nic więcej. Naprawdę, niesamowite. Od kiedy osiem lat wcześniej opuściłem Salem, niemal przez cały czas uciekałem i nauczyłem się instynktownie wyczuwać niebezpieczeństwo, tamtego jednak dnia nic mi nie zaświtało. Zapewne gdybyście skontaktowali się z Johnem Dillingermem za pośrednictwem spirytystów, powiedziały by

samo o swoim ostatnim wieczorze w kinie z Anną Sagę. O czwartej dziewiętnaście młody człowiek w koszuli w prążki i krawacie wyglądającym na produkt Hugona Bossa wyszedł i przywitał nas. Potem poprowadzono nas długim korytarzem obok wielu gabinetów... wyglądających na bardzo luksusowo urządzone... aż do podwójnych drzwi na jego końcu. Widniał na nich napis SALA KONFERENCYJNA. Nasz przewodnik otworzył je. Powiedział: *God tuck, gentlemen.*

Doskonale to pamiętam. Nie *good tuck*, tylko *god tuck*. W tym momencie włączył się mój system ostrzegania, ale za późno. Wszystko potoczyło się zbyt szybko. Oni nie...

16

Wszystko dzieje się szybko. Od bardzo dawna tropiły Callahana, ale nie tracą czasu na triumfowanie. Drzwi zatraskują się za nimi tak głośno i mocno, aż tynk sypie się z framugi. Asystenci, którzy zaczynają od skromnej pensji w wysokości osiemnastu tysięcy rocznie, zamykają drzwi w szczególny sposób — z szacunkiem dla pieniędzy i władzy — na pewno nie tak. W ten sposób zatraskują je rozgniewani pijacy i narkomani. A także wariaci. Wariaci najmocniej trzaskają drzwiami.

System alarmowy Callahana włączył się już całkowicie i nie piszczy, lecz wyje, a gdy Callahan rozgląda się po sali konferencyjnej, zdominowanej przez wielkie okno znajdujące się na jej przeciwległym końcu i ukazujące wspaniałą panoramę jeziora Michigan, pojmuje powód takiej reakcji i ma jeszcze czas pomyśleć: Dobry Boże i Matko Boska, jak mogłem być tak głupi? W tym pomieszczeniu jest trzynaście osób. Są tam trzej cisi ludzie i po raz pierwszy może dobrze się przyjrzeć ich topornym, niezdrowo wyglądającym rysom, czerwono lśniącem oczom i pełnym, kobiecym wargom. Wszyscy trzej palą. Dziewiąciu to wampiry trzeciej kategorii. Trzynasta osoba obecna w sali konferencyjnej nosi jaskrawą koszulę i kontrastujący z nią krawat, niewątpliwie strój cichych, lecz twarz ma wyrazistą i drapieżną, zdradzającą inteligencję i ponury humor. Na jej czole widnieje czerwony otwór, który nie broczy krwią ani się nie zasklepia.

Słysząc głośny trzask. Callahan błyskawicznie odwraca się i widzi, jak Al oraz Wardpadają na podłogę. Po obu stronach drzwi, przez które tutaj weszli, stoją cisi, kobieta i mężczyzna, trzymając w rękach elektryczne paralizatory.

— Twoim przyjaciołom nic się nie stanie, ojcze Callahanie.

Ponownie się odwraca. To mężczyzna z krwawą plamą na czole. Może mieć około sześćdziesiątki, ale trudno to ocenić. Nosi jasnożółtą koszulę i czerwony krawat. Gdy rozchyła w uśmiechu wąskie wargi, ukazuje ostre jak igły zęby. To Sayre, myśli Callahan. Sayre, czy jak się tam zwie ten, kto podpisał list. Kto zastawił tę pułapkę.

— W przeciwieństwie do ciebie — dodaje Sayre.

Cisi spoglądają na niego z ponurą niecierpliwością: oto w końcu tu jest, ich zagubiona maskotka z poparzoną łapą i pokaleczonym czołem. W ślepiach wampirów widzi zacieka-wienie. Niemal emanuje z ich błękitnej aury. I nagle Callahan słyszy bicie dzwonów. Trochę słabe, jakoś stłumione, ale wyraź-ne. Wzywające go.

Sayre — jeśli tak się zwie — zwraca się do wampirów.

— To ten — mówi obojętnie. — Zabił was setki w tuzinie różnych wersji Ameryki. Moi przyjaciele... — tu wskazuje na cichych — nie zdołali go wytropić, lecz oczywiście z natury rzeczy szukali innych, mniej podejrzliwych ofiar. W każdym razie jest teraz tutaj. No już, bierzcie go. Tylko nie zabijajcie!

Odwraca się do Callahana. Dziura w jego czole wypełnia się i lśni, ale nie broczy krwią. To oko, myśli Callahan. Krwawe oko. Do kogo należy? Kto nim patrzy i skąd?

— Wszyscy ci przyjaciele Króla — informuje Sayre —prze-noszą wirusa AIDS. Z pewnością o tym wiesz, prawda? Niech on cię zabije. W ten sposób na zawsze wypadniesz z gry, na tym świecie i wszystkich innych. To i tak nie jest gra dla ciebie. Takiego fałszywego kapłana jak ty.

Callahan nie waha się. Jeśli się zawaha, będzie zgubiony. Nie obawia się AIDS, lecz przede wszystkim dotyku ich nieczystych warg, pocałunków takich, jakie otrzymał w zaułku Lupę Delgado. Nie mogą zwyciężyć. Po tym wszystkim, co przeszedł, po wszystkich tych dorywczych zajęciach i pobytach w więziennych celach, po tym jak wreszcie wytrzeźwiał w Kansas, nie mogą zwyciężyć.

Nie próbuje z nimi dyskutować. Nie ma czasu na dyskusje.

Po prostu rzuca się sprintem wzdłuż ekstrawaganckiego mahoniowego stołu, stojącego na środku sali konferencyjnej. Mężczyzna w żółtej koszuli z nagłym przestraszeniem woła: „Łapcie go! Łapcie!”. Ręce chwytają go za marynarkę — na tę specjalną okazję kupioną w Grand River Menswear — ale ześlizgują się z niej. Jeszcze ma czas pomyśleć: To okno nie pęknie, jest zrobione z jakiegoś twardego, zbrojonego szkła, więc nie pęknie / zdąży jeszcze wezwać Boga po raz pierwszy, od kiedy Barlow zmusił go do wypicia jego zatrutej krwi.

— Pomóż mi! Proszę, pomóż! — woła ojciec Callahan i z rozbiegu uderza barkiem w okno. Jeszcze czyjaś dłoń spada na jego głowę, usiłując wczepić się we włosy, ale ześlizguje się. Okno rozpada się wokół niego, i nagle stoi w zimnym powietrzu, otoczony płatkami śniegu. Spogląda w dół, między czarnymi półbutami, również zakupionymi na tę szczególną okazję, i widzi aleję Michigan, samochody jak zabaweczki i ludzi jak mrówki.

Czuje jak tamci — Sayre, cisi i wampiry, które miały go zarazić i na zawsze wyłączyć z gry — tłoczą się przy wybitym oknie, patrząc z niedowierzaniem.

Myśli: teraz naprawdę wypadnę z gry na zawsze... no nie?

/ z dziecinnym zdziwieniem zauważa: To moja ostatnia myśl w życiu. Moje pożegnanie.

Potem spada.

Callahan urwał i niemal nieśmiało spojrzął na Jake'a.

— Czy ty to pamiętasz? — zapytał. — To, jak... — Odkaslnął. — Jak umarłeś?

Jake poważnie skinął głową.

— A ty nie?

— Pamiętam, że widziałem aleję Michigan między czubkami moich nowych butów. I to, że stałem w powietrzu... przynajmniej pozornie... w padającym śniegu. Pamiętam, że Sayre za moimi plecami wykrzykiwał coś w jakimś obcym języku. Kłął. Takie gardłowe słowa muszą być przekleństwami. I pamiętam, że pomyślałem: *on się boi*. To była moja ostatnia myśl, że Sayre się boi. A potem na pewien czas zapadła ciemność.

Unosiłem się. Słyszałem dzwony, ale w oddali. Później bliżej. Jakby były zamontowane na jakiejś maszynie, która pędziła ku mnie z niewiarygodną szybkością. Rozbłysło światło. Światło w ciemności. Pomyślałem, że to towarzyszące śmierci doznanie Kiiblera-Rossa i ruszyłem ku niemu. Było mi obojętnie, gdzie się znajdę, byle nie na alei Michigan, roztrzaskany i zakrwawiony, otoczony tłumem gapiów. Tylko nie miałem pojęcia, jak mógłbym tego uniknąć. Po upadku z trzydziestego trzeciego pietra nie odzyskuje się przytomności. Ponadto chciałem uciec od tych dzwonów. Biły coraz głośniej. Oczy zaczęły mi łzawić. Uszy boleć. Byłem rad, że mam oczy i uszy, lecz przez te dzwony moje zadowolenie pozostawało kwestią czysto akademicką. Pomyślałem: *muszę dotrzeć do tego światła* i rzuciłem się naprzód. I...

18

Otwiera oczy, ale zanim jeszcze to robi, czuje ten zapach. To zapach siana, lecz bardzo słaby, prawie zwiertzały. Można powiedzieć, zaledwie duch zapachu. A on? Czy też jest tylko duchem?

Siada i rozgląda się wokół. Jeśli to jest życie pozagrobowe, to wszystkie święte księgi tego świata, włącznie z tą, którą sam się posługiwał, były w błędzie. Ponieważ nie znalazł się w niebie czy piekle, ale w stajni. Na podłodze leżą białe źdźbła starego siana. Przez pęknięcia w deskach ścian sączy się oślepiająco jasne światło. Wydaje mu się, że jest to światło, ku któremu zdążył przez ciemność. I myśli: To światło pustyni. Czy ma jakiś konkretny powód, aby tak sądzić? Możliwe. Powietrze, które wciąga w nozdrza, jest bardzo suche. Jakby oddychał powietrzem jakiejś obcej planety.

Może tak jest. Może to Pośmiertna Planeta.

Wciąż słyszy dzwony, słodkie i straszne, ale te cichną... cichną... a potem milkną. Słyszy słaby świst gorącego wiatru, który jakoś przedostaje się przez szpary w deskach i kilka źdźbeł słomy unosi się z podłogi, wykonuje znużony płas i opada z powrotem.

Teraz słyszy inny dźwięk. Nieregularny łomot. Jakaś maszyna, sądząc po odgłosach, w nie najlepszym stanie. Podnosi się. Jest

gorąco i pot natychmiast zaczyna mu spływać po twarzy i rękach. Patrzy po sobie i spostrzega, że jego porządne nowe ubranie z Grand River Menswear znikło. Teraz ma na sobie dżinsy i niebieską samodzielną koszulę, wyblakłą i spraną. Na nogach parę sfatygowanych butów ze ściętymi obcasami. Wyglądają tak, jakby przeszły wiele mil. Pochyliła się i sprawdza stan swoich nóg. Nie znajduje żadnych złamań. Potem ramiona. Nic. Próbuje strzelać palcami, co przychodzi mu z zadziwiającą łatwością. Trzeszczenie stawów przypomina suche trzaski łamanych gałązek.

Czy całe moje życie było snem? A to jest rzeczywistość? Jeśli tak, to kim jestem i co tutaj robię?

Wtedy z głębokiego cienia za jego plecami nadlatuje znużony, miarowy dźwięk: ta-DA, ta-DA, ta-DA.

Odwraca się w tym kierunku i rozdziawia usta ze zdziwienia. Tuż za nim na środku pustej stajni znajdują się drzwi. Nie są osadzone w ścianie — po prostu stoją. Wprowadzie mają zawiasy, ale te najwidoczniej nie są do niczego przymocowane. W połowie ich wysokości widnieją jakieś hieroglify. Nie potrafi ich odczytać. Podchodzi bliżej, jakby to pomogło mu zrozumieć treść napisu. I w pewnym sensie tak się dzieje. Ponieważ zauważa, że klamka jest zrobiona z kryształu, na którym wyrzeźbiono różę. Czytał Thomasa Wolfe 'a: kamień, róża, nieodkryte drzwi — kamień, róża, drzwi. Nie ma tu kamienia, ale wyjaśniają to hieroglify.

Nie. Ten napis głosi: NIEODKRYTE. Może to ja jestem kamieniem.

Wyciąga rękę i dotyka kryształowej klamki. Jakby na ten sygnał (na znak, myśli)

Łoskot maszynierii cichnie. Bardzo słabe i bardzo dalekie — w oddali i cicho — biją dzwony. Próbuje przekręcić klamkę. Ta nie rusza się w żadną stronę. Ani drgnie. Równie dobrze mogłaby być osadzona w betonie. Kiedy zdejmuje z niej rękę, dzwony milkną.

Przechodzi za drzwi, a one znikają. Wraca do punktu wyjścia i pojawiają się ponownie. Obchodzi je trzykrotnie, notując w pamięci miejsca, w których drzwi znikają i pojawiają się znowu. Rusza w przeciwną stronę, zataczając nieco szersze kręgi. To samo. Co do licha?

Przez długą chwilę spogląda na drzwi, rozmyślając, po czym

idzie w głąb stajni, chcąc obejrzeć tę maszynę, którą słyszał. Kiedy idzie, nie czuje żadnego bólu, tak jakby do jego ciała jeszcze nie doszła wieść o upadku z tak ogromnej wysokości, ale, Panie Jezu, jakiż tu gorącz!

Widzi boksy dla koni, od dawna nieużywane. Stertę starego siana, a obok starannie złożony koc i coś przypominającego stolnicę. Leży na niej kawałek wyschniętego mięsa. Podnosi je, wacha i czuje zapach soli. Suszone, myśli i wrzuca je do ust. Niespecjalnie obawia się zatrucia. Jak można otruć kogoś, kto już nie żyje?

Żując, kontuuje poszukiwania. Na końcu stajni znajduje się maleńki pokój, jakby dobudowany tam po namyśle. W ścianach tego pomieszczenia także są szpary, wystarczająco szerokie, aby mógł przez nie dostrzec maszynę stojącą na betonowej płycie. Cały wygląd tej stajni świadczy o wieloletnim opuszczeniu, lecz to urządzenie przypominające elektryczną dojkę wygląda na nowiutkie. Bez śladu rdzy czy kurzu. Podchodzi bliżej. Z jednego boku maszyny sterczy chromowana rura. Poniżej znajduje się odpływ. Otaczający go stalowy kołnierz wydaje się wilgotny. Na górnej części maszyny jest metalowa tabliczka. Obok niej czerwony guzik. Na tabliczce widnieje napis:

LaMERK INDUSTRIES
834789-AA-45-776019

NIE USUWAĆ PRĘTA PALIWOWEGO
ZWRÓCIĆ SIĘ DO WYKWALIFIKOWANEGO
SERWISU

Czerwony guzik jest oznaczony literami ON. Callahan naciska go. Znów słysząc znużony łoskot i po chwili z chromowanej rury tryska woda. Nadstawia dłonie. Woda jest bardzo zimna, wprost lodowata dla jego rozgrzanej skóry. Pije. Nie jest słodka ani kwaśna. Myśli: na takich znacznych głębokościach nie ma czegoś takiego jak smak. To...

— Hej, Faddah.

Callahan wydaje cichy okrzyk przestrawu. Podrywa ręce

i przez moment klejnoty kropel skrzą się w mętnej smudze słońca, wpadającego przez szparę w dwóch spróchniałych deskach. Odwraca się na ściętym obcasie buta. Tuż przed otwartymi drzwiami przepompowni stoi człowiek w habicie z kapturem. Sayre. To Sayre, ścigał mnie, przeszedł przez te przeklęte drzwi...

— Uspokój się — mówi mężczyzna. — „Wyłącz silniki”... jak powiedziała by nowy przyjaciel rewolwerowca. — I poufnie: — Ma na imię Jake, ale gospodyni nazywa go „Bama”. — A potem, różnym tonem człowieka, który właśnie wpadł na wspaniałą pomysł: — Pokażę ci go! Ich obu! Może jeszcze nie jest za późno! Chodź!

Wyciąga rękę. Wyłaniające się z rękawa palce są długie i białe, o dziwnie nieprzyjemnym wyglądzie. Jak z wosku. Kiedy Callahan nie rusza się z miejsca, mężczyzna odzywa się tonem łagodnej perswazji:

— Chodź. Wiesz przecież, że nie możesz tu zostać. To tylko przydrożny zajazd i nikt nie zostaje tu długo. Chodź.

— Kim jesteś?

Człowiek w habicie niecierpliwie cmoka.

— Nie ma czasu na to wszystko, Faddahu. Imię, imię, co znaczy imię... jak ktoś kiedyś powiedział. Szekspir? Virginia Woolf? Kto to pamięta? Chodź, a pokażę ci cud. I nie dotknę cię. Będę szedł przed tobą. Widzisz?

Odwraca się. Skraj jego szaty okręca się jak wieczorowa suknia. Idzie z powrotem w głąb stajni, a Callahan po chwili wahania podąża za nim. Pomieszczenie z pompą to kiepskie miejsce — ślepy zaułek. Na zewnątrz może uda mu się uciec

Dokąd?

Cóż, to się zobaczy, no nie?

Mijając je, człowiek w habicie stuka w stojące na środku drzwi.

— Puk, puk, kto tam? Sto gram! — mówi wesoło i gdy wchodzi w jasny prostokąt światła wpadającego przez drzwi stajni, Callahan zauważa, że tamten trzyma coś w lewej ręce. To szkatułka, mniej więcej na stopę długa, szeroka i głęboka. Wygląda na zrobioną z tego samego drewna co drzwi. A może cięższej odmiany tego drewna. Z pewnością jest ciemniejsze i o drobniejszych słojach.

Czujnie obserwując człowieka w habicie, gotowy zatrzymać się, jeśli tamten przystanie, Callahan wychodzi na słońce. Natychmiast uderza go fala gorąca, takiego samego skwaru, jaki dokuczał mu w Dolinie Śmierci. No tak, gdy wychodzi ze stajni, spostrzega, że znajdują się na pustyni. Po jednej stronie stoi walący się budynek na fundamencie ze zmurszałych bloków piaskowca. Zapewne kiedyś był to zajazd. Albo dekoracja do jakiegoś westernu. Po drugiej stronie znajduje się zagroda dla koni, której większość słupków i poprzeczek leży na ziemi. Dalej widać mile skał i usianego kamieniami piasku. Nic prócz...

Tak! Tam coś jest! Niejedno, lecz dwa! Dwa punkciki poruszające się na horyzoncie!

— Widzisz ich! Masz doskonały wzrok, Faddahu!

Człowiek w habicie — czarnym, z oświetloną kapturem twarzą widoczną tylko jako błydy owal — stoi mniej więcej dwadzieścia kroków od niego. Chichocze. Callahanowi nie podoba się ten dźwięk tak samo jak woskowy wygląd jego palców. Jest niczym chrobot myszy buszujących wśród kości. Wprawdzie nie ma to sensu, ale...

— Kim oni są? — pyta sucho Callahan. — / kim ty jesteś? Co to za miejsce?

Człowiek w czerni teatralnie wzdycha.

— Tyle do opowiedzenia, a tak mało czasu — mówi. — Nazywaj mnie Walterem, jeśli chcesz. Co do tego miejsca, to opuszczony zajazd, jak już powiedziałem. Przystanek między zgiełkiem twojego świata a wrzawą innego. Och, sądziłeś, że odbywasz dalekie podróże, prawda? Podążając tymi twoimi ukrytymi drogami. Teraz jednak, Faddahu, odbywasz naprawdę daleką podróż.

— Przestań mnie tak nazywać! — krzyczy Callahan.

Już zaschło mu w gardle. Słoneczny skwar zdaje się ołowianym ciężarem kumulować w czubku jego głowy.

— Faddah, Faddah, Faddah! — powtarza człowiek w czerni. Ma urażoną minę, ale Callahan wie, że zaśmiewa się w duchu. Callahan ma wrażenie, że ten człowiek — jeśli jest człowiekiem — bardzo często zaśmiewa się w duchu. — No dobrze, chyba nie ma się o co kłócić. Będę mówił ci Don. Czy tak lepiej?

Czarne punkciki w oddali zaczynają falować: drgania powietrza sprawiają, że unoszą się, znikają i pojawiają się znowu. Niebawem znikną na dobre.

— Co to za jedni? — pyta Callahan.

— Ludzie, których niemal na pewno nigdy nie spotkasz — mówi sennie człowiek w czerni. Kaptur odchyła się i przez moment Callahan widzi woskową bladą nosa i łuk oczodołu, płytkiego zagłębienia wypełnionego ciemną cieczą. — Zginą u podnóża tych gór. A jeśli nie zginą w górach, w Morzu Zachodnim żyją stworzenia, które zjedzą ich żywcem. To-to-tak!

Znów chichocze. Lecz...

Chyba jednak nie jesteś taki pewny siebie, mój przyjacielu, myśli Callahan.

— A jeśli wszystko inne zawiedzie — mówi Walter — zabije ich to. — Podnosi szkatułkę. Callahan znowu słyszy nieprzyjemne bicie dzwonów. — A w jaki sposób wejdą w jego posiadanie? Dzięki ka, oczywiście, nawet ka potrzebuje przyjaciela, kai-mai. Ty nim będziesz.

— Nie rozumiem.

— Właśnie — mówi ze smutkiem człowiek w czerni — a ja nie mam czasu na wyjaśnienia. Jak ten Biały Królik z Alicji w krainie czarów, jestem spóźniony, jestem spóźniony na bardzo ważne spotkanie. Widzisz, oni idą moim tropem, ale musiałem zatoczyć łuk i porozmawiać z tobą. Jestem strasznie zajęty! Teraz znowu muszę znaleźć się przed nimi, bo jak inaczej zdołam ich zwabić? Musimy więc zakończyć naszą rozmowę, Don, choć z konieczności tak krótką. Wracaj do stajni, amigo. Zmykaj jak królik!

— A jeśli nie zechcę? — pyta bez przekonania. Nigdy niczego nie pragnął bardziej. A gdyby powiedział temu facetowi, żeby zostawił go w spokoju, i pójść za tymi znikającymi punkcikami? Gdyby powiedział człowiekowi w czerni: „ Chyba tam powinienem być, chyba tam wzywa mnie to, co nazywasz ka”? Raczej zna odpowiedź na te pytania. Równie dobrze mógłby pluć do oceanu.

Jakby potwierdzając to, Walter odpowiada:

— To, czego ty chcesz, nie ma znaczenia. Pójdiesz tam, gdzie każe ci Król, i będziesz tam czekał. Jeśli tamci dwaj umrą w drodze... co jest niemal pewne... będziesz wiódł spokojny żywot w miejscu, do którego cię wyślę, i tam umrzesz w podszłym wieku i zapewne w nieuzasadnionym, lecz niewątpliwie przyjemnym poczuciu odkupienia. Będziesz żył na swoim piętrze

Wieży jeszcze długo po tym, jak moje kości rozsypią się w proch. Mogę ci to obiecać, Faddahu, gdyż widziałem to w kryształach, który mówi prawdę! A jeśli oni będą szli dalej? Jeżeli odnajdą cię w miejscu, do którego podążasz? No cóż, w tym mało prawdopodobnym wypadku pomożesz im w miarę swych możliwości i w ten sposób ich zabijesz. To się nie mieści w głowie, no nie? Nie uważasz, że to się nie mieści w głowie?

Zaczyna iść w stronę Callahana. Ten cofa się w kierunku stajni, w której czekają nieodkryte drzwi. Nie chce tam iść, ale nie ma dokąd.

— Odejdź ode mnie — mówi.

— Mc z tego — odpowiada Walter. — Tego nie mogę zrobić, w żadnym razie.

Wyciąga szkatułkę do Callahana. Jednocześnie kładzie drugą dłoń na wieku skrzyneczki.

— Nie! — mówi ostro Callahan. Bo ten człowiek w czerni nie może otworzyć szkatułki. W środku znajduje się coś okropnego, coś co przeraziłoby nawet Barlowa, sprytnego wampira, który zmusił Callahana do wypicia jego zatrutej krwi, a potem wysłał na tułaczkę po bezdrożach Ameryki, niczym niesforne dziecko, którego towarzystwo stało się męczące.

— Ruszaj się, to może nie będą musieli — kusi Walter.

Callahan cofa się w nikły cień stajni. Zaraz znowu znajdzie się w środku. Nic nie może na to poradzić. I czuje, że te dziwne, widoczne tylko z jednej strony drzwi czekają tam na niego.

— Jesteś okrutny! — rzuca.

Walter robi wielkie oczy i przez chwilę wygląda na głęboko zranionego. Może to absurd, lecz patrząc mu w oczy, Callahan jest pewien, że to uczucie jest szczere. Ta pewność pozbawia go resztek nadziei, że to wszystko może być snem lub ostatnim przeblyskiem świadomości przed śmiercią. We snach — a przynajmniej w jego snach — źli faceci nigdy nie wykazują złożonych emocji.

— Jestem taki, jakim uczynili mnie ja, Król i Wieża. Wszyscy jesteście. Nie mamy wyjścia.

Callahan przypomina sobie zachód ze snu, przez który podróżował: zapomniane silosy, zaniedbane zachody słońca i długie cienie, gorzką radość, gdy włókł ze sobą swą pułapkę, podśpiewując, aż pobrzękiwanie pętających go łańcuchów zdało mu się słodką muzyką.

— *Wiem — mówi.*

— *Tak, widzę, że wiesz. Ruszaj się.*

Callahan jest z powrotem w stajni. Ponownie czuje ten słaby, prawie zwiędzły zapach starego siana. Detroit wydaje się majakiem, halucynacją. Tak jak wszystkie jego wspomnienia z podróży po Ameryce.

— *Nie otwieraj tego, a zrobię to, czego chcesz.*

— *Jakiż z ciebie wspaniały faddah, Faddahu.*

— *Obiecałeś nie nazywać mnie tak.*

— *Obietnice sapo to, żeby je łamać, Faddahu.*

— *Nie sądzę, żebyś zdołał go zabić — mówi Callahan. Walter krzywi się.*

— *To sprawa ka, nie moja.*

— *A może nie ka? A jeśli on jest ponad ka?*

Walter chwieje się jak pod ciosem. Powiedziałem bluźnierstwo, myśli Callahan. A mam wrażenie, że ten człowiek nie puszcza tego płazem.

— *Nikt nie jest ponad ka, fałszywy kapłanie — prycha człowiek w czerni. — A komnata na szczycie Wieży jest pusta. Wiem to na pewno.*

Chociaż Callahan nie bardzo wie, o czym mówi ten człowiek, odpowiada bez wahania i z przekonaniem:

— *Mylisz się. Bóg istnieje. On czeka i wszystko widzi ze swego tronu. On...*

Nagle mnóstwo rzeczy dzieje się jednocześnie. Pompa wodna włącza się, zaczynając swój znużony dudniący cykl. Callahan uderza plecami o ciężkie, gładkie drewno drzwi. Człowiek w czerni wyciąga ku niemu pudełko, jednocześnie otwierając je. Kaptur spada mu z głowy, ukazując bladą, szczerzą twarz, wykrzywioną groźnym grymasem. (To nie Sayre, lecz na czole Waltera, niczym u nietykalnego, widnieje taki sam czerwony znak, otwarta rana, która nigdy się nie zasklepia i nie broczy krwią). Teraz Callahan widzi, co znajduje się w szkatułce: widzi Czarną Trzynastkę przyczajoną na wyściółce z czerwonego aksamitu, niczym ślepie potwora, który wyrósł w cieniu Boga. I Callahan zaczyna wrzeszczeć na ten widok, gdyż wyczuwa niezmierną moc, która może cisnąć go gdziekolwiek, w najdalszy zakamarek nicości. Drzwi otwierają się z cichym szcękaniem. Nawet w tym stanie — a może dzięki niemu — Callahan notuje w pamięci:

Otwarcie szkatułki otworzyło drzwi. Chwiejnie przechodzi tyłem do jakiegoś innego miejsca. Słyszy krzyżące głosy. Jeden z nich należy do Lupę 'a, który pyta Callahana, dlaczego pozwolił mu umrzeć. Inny do Roweny Magruder, która mówi mu, że to jest jego drugie życie, i jak mu się podoba? On podnosi dłoń, chcąc zatkać sobie uszy, gdy zawadza o coś starym butem i traci równowagę. Padając na plecy, myśli: Do diabła, ten człowiek w czerni wepchnął mnie do piekła. A kiedy rozpaczliwie wyciąga ręce, mężczyzna o szczurzej twarzy wpycha w jego dłoń otwartą szkatułkę z tą straszliwą kulą. A ona porusza się. Obraca się jak prawdziwa żrenica w niewidzialnym oczodole. To żyje, myśli Callahan, to skradzione ślepie jakiegoś straszliwego potwora nie z tego świata i, o Boże, o dobry Boże, ono mnie widzi.

Mimo to chwyta szkatułkę. To ostatnia rzecz, jaką chciałby zrobić, lecz nie potrafi tego uniknąć. Zamknij ją, musisz ją zamknąć, myśli, ale spada, potknął się (albo popchnęło go ka człowieka w czerni) i spada, obracając się. Gdzieś z dołu napływają wszystkie głosy z jego przeszłości, karcąc go (matka chce wiedzieć, dlaczego pozwolił temu nędznemu Barlowowi połamać krzyż, który przywiozła dla niego aż z Irlandii). Nie-wiarygodne, lecz człowiek w czerni wesoło krzyczy za nim „ Bon voyage, Faddahl”.

Callahan pada na kamienie. Wokół walają się kości małych zwierzątek. Wieko szkatułki zamyka się i Callahan przez chwilę czuje bezgraniczną ulgę... lecz pokrywka zaraz znów się otwiera, bardzo powoli, ukazując to oko.

— Nie — szepcze Callahan. — Proszę, nie.

Nie jest w stanie zamknąć szkatułki, jakby opuściły go wszystkie siły, a ona sama się nie zamknie. W głębi czarnej żrenicy pojawia się czerwona plamka i rośnie... rośnie. Callahan wpada w przerażenie, które ściska mu gardło i mrozi chłodem groźącym zatrzymaniem akcji serca. To Król — myśli. To Oko Kar-mazyнового Króla, spoglądającego ze swej komnaty w Mrocznej Wieży. I patrzącego na mnie.

— NIE! — krzyczy Callahan, leżąc na dnies jaskini na północ od Calla Bryn Sturgis, miasteczka, które z czasem pokocha. — NIE! NIE! NIE PATRZ NA MNIE! OCH, NA MIŁOŚĆ BOS-KĄ, NIE PATRZ NA MNIE!

Oko jednak patrzy i Callahan nie może znieść jego upartego spojrzenia. Traci przytomność. Miną trzy dni, zanim ją odzyska, a wtedy będzie wśród Mannich.

Callahan spojrzął na nich ze znużeniem. Północ nadeszła i minęła, piękne dzięki, i teraz zostało dwadzieścia dwa dni do przybycia Wilków po dzieci. Opróżnił szklaneczkę z pozostałych w niej dwóch łyków cydru, skrzywił się, jakby wypił mocną whiskey, a potem odstawił szkło.

— Resztę, jak powiadają, już znacie. To Henchick i Jemmin mnie znaleźli. Henchick zamknął szkatułkę, a kiedy to zrobił, drzwi zamknęły się także. I teraz dawna Jaskinia Głosów jest nazywana Jaskinią Przejścia.

— A ty, Pere? — zapytała Susannah. — Co działo się z tobą?

— Zawieźli mnie do chaty Henchicka, jego *kra*. Gdy otworzyłem oczy, leżałem tam. Kiedy byłem nieprzytomny, jego żony i córki podawały mi wodę i rosół z kury, wyciskając ze szmatki do ust, kropla po kropli.

— Tak z ciekawości zapytam, ile on ma żon? — zagadnął Eddie.

— Trzy, ale tylko z jedną naraz może pozostawać w związku — odparł z roztargnieniem Callahan. — W zależności od gwiazd czy czegoś tam. Dobrze się mną opiekowały. Zacząłem spacerować po miasteczku i nazwali mnie Starym Człowiekiem. Niezbyt dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, gdzie się znalazłem, ale moje dotychczasowe wędrówki w pewnym sensie przygotowały mnie na to, co się stało. Zahartowały psychicznie. Bóg wie, że bywały takie dni, kiedy myślałem, że to wszystko dzieje się w ciągu dwóch lub trzech sekund mojego upadku z okna, przez które wyskoczyłem przy alei Michigan... że mój mózg przygotowuje się na śmierć, tworząc takie cudowne halucynacje, imitujące całe życie. A także dni, kiedy dochodziłem do wniosku, że w końcu stało się to, czego najbardziej obawiano się w Domu i Lighthouse: dostałem delirium. Myślałem, że może siedzę gdzieś w pokoju bez klamek i wyobrażam sobie to wszystko. Przeważnie jednak po prostu akceptowałem

tę sytuację. I cieszyłem się, że trafiłem do takiego przyjemnego miejsca, rzeczywistego czy urojonego. Kiedy odzyskałem siły, znów zacząłem zarabiać na życie, tak jak podczas długich lat wędrówek. W Calla Bryn Sturgis nie było biur pośrednictwa pracy, ale trafiłem na dobre lata i nie brakowało pracy dla człowieka, który chciał pracować. Jak mówią, były to ryżowe lata, chociaż dobre również dla innych zbóż i bydła. W końcu znowu zacząłem wygłaszać kazania. Nie poprzedziła tego żadna świadoma decyzja... Bóg wie, że robiłem to zupełnie spontanicznie... i odkryłem, że ci ludzie słyszeli o Jezusie. — Zaśmiał się. — Jak również o Pani Ryżu, Najwyższym i Gwieździe Buffalo... Słyszałeś o Gwieździe Buffalo, Rolandzie?

— Och, tak — odparł rewolwerowiec, wspominając kaznodzieję z Buff, którego kiedyś musiał zabić.

— Słuchali mnie — ciągnął Callahan. — A przynajmniej niektórzy, więc kiedy zaproponowali, że zbudują mi kościół, powiedziałem piękne dzięki. Oto cała historia Starego Człowieka. Jak widzicie, byliście jej częścią... A przynajmniej dwaj z was. Jake, czy to było po twojej śmierci?

Jake spuścił głowę. Ej, wyczuwając jego przygnębienie, zaskomlił niespokojnie. Chłopiec odpowiedział opanowanym głosem:

— Tak, po pierwszej. Przed drugą.

Callahan był wyraźnie wstrząśnięty i przeżegnał się.

— Chcesz powiedzieć, że to może zdarzyć się więcej niż raz? Maryjo, strzeż nas!

Rosalita opuściła werandę. Teraz wróciła, wysoko trzymając kaganek. Te stojące na stole prawie się wypaliły i werandę rozjaśniała tylko słaba i drżąca poświata, nadająca otoczeniu złowieszczy i trochę niesamowity wygląd.

— Łóżka pościelone — oznajmiła. — Chłopiec śpi dziś z ojcem Callahanem. Eddie i Susannah tam, gdzie poprzedniej nocy.

— A Roland? — spytał Callahan, unosząc krzaczastą brew.

— Mam dla niego łóżko — odparła bez zażenowania. — Pokazałam mu je wcześniej.

— Ach tak — mruknął Callahan. — No cóż, to wszystko jasne. — Wstał. — Nie pamiętam, kiedy byłem tak strasznie zmęczony.

— Zostaniemy tu jeszcze we czwórkę, jeśli **łaska** — rzekł Roland. — Tylko nas czworo.

— Jak chcecie — odparł Callahan.

Susannah impulsywnie chwyciła go za rękę i **pocałowała** ją.

— Dziękujemy ci za opowieść, Pere.

— Dobrze było w końcu ją opowiedzieć, *sai*.

— Szkatułka pozostawała w jaskini, dopóki nie zbudowano kościoła? Twojego kościoła? — spytał Roland.

— Tak. Nie wiem jak długo. Może osiem lat, może mniej. Trudno to dokładnie określić. Przyszedł jednak czas, że zaczęła mnie wzywać. Choć tak bardzo nienawidziłem i bałem się Oka, jakaś część mojego umysłu chciała znów je zobaczyć.

Roland pokiwał głową.

— Wszystkie kawałki Tęczy Czarnoksiężnika mają złowrogą moc, lecz Czarną Trzynastkę zawsze uważano za najgorszą z nich. Teraz chyba rozumiem dlaczego. Ona jest czujnym Okiem Karmazynowego Króla.

— Czymkolwiek jest, czułem, jak przyzywa mnie z powrotem do jaskini... i jeszcze dalej. Szepcząc, że powinienem znowu wyruszyć w drogę i wędrować bez końca. Wiedziałem, że mogę otworzyć te drzwi, uchylając wieko szkatułki. Te drzwi mogły doprowadzić mnie, dokądkolwiek bym chciał. I kiedykolwiek! Wystarczyło się skupić.

Callahan zastanowił się, a potem znów usiadł. Pochylił się i powiódł po nich wzrokiem znad sękatych knykci splecionych dłoni.

— Wysłuchajcie mnie, błagam. Mieliśmy prezydenta, nazywał się Kennedy. Został zamordowany mniej więcej trzynaście lat przed moją ucieczką z miasteczka Salem... zastrzelony na Zachodnim...

— Tak — powiedziała Susannah. — Jack Kennedy. Niech go Bóg ma w opiece. — Spojrzała na Rolanda. — On był rewolwerowcem.

Roland uniósł brwi.

— Tak twierdzisz?

— Tak. I mam rację.

— W każdym razie — podjął Callahan — zawsze zastanawiano się, czy jego zabójca działał sam, czy też był tylko jednym z wielu spiskowców. I czasem budzę się w środku nocy

i myślę: Dlaczego nie pójdziesz i nie sprawdzisz? Czemu nie staniesz przed tymi drzwiami ze szkatułką w dłoniach, myśląc „Dallas, dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku”? Gdybyś to zrobił, te drzwi otworzyłyby się i wpuściły cię tam, tak jak posiadacz wehikułu czasu z powieści pana Wellsa. I może mógłbyś zmienić bieg wydarzeń. Jeśli w dziejach Ameryki był jakiś decydujący moment, to z pewnością ten. Zmieniając go, zmieniłbyś wszystko, co było potem. Wietnam... zamieszki na tle rasowym... wszystko.

— Jezu — powiedział z szacunkiem Eddie. Ten pomysł, jeśli nawet nie budził entuzjazmu, to z pewnością zasługiwał na szacunek. Można go było postawić w jednym szeregu z jednonogim kapitanem uganiającym się za białym wielorybem. — Pere... a gdybyś tego dokonał i zmienił wszystko na gorsze?

— Jack Kennedy nie był złym człowiekiem — stwierdziła chłodno Susannah. — Jack Kennedy był dobrym człowiekiem. Wielkim.

— Być może. Tylko że wiesz co? Sądzę, że właśnie wielcy ludzie popełniają największe błędy. A ponadto pewnie załatwiłby go jakiś naprawdę zły człowiek. Na przykład jakiś łowca Wielkiej Trumny, który wcześniej nie miał okazji, ponieważ uprzedził go Lee Harvey Oswald lub ktoś inny.

— Kula nie pozwala snuć takich myśli — rzekł Callahan. — Uważam, że ona namawia ludzi do popełniania bardzo złych czynów, szepcząc im, że dokonają czegoś dobrego. Mówiąc im, że zmieniają na lepsze wszystko, a nie tylko fragment rzeczywistości.

— Właśnie — przytaknął Roland głosem przypominającym trzask gałęzi w ogniu.

— Sądysz, że takie podróżowanie naprawdę jest możliwe? — zapytał Callahan. — Czy też było to tylko perfidne kłamstwo kryształu? Przejaw jego zła?

— Tak sądę — odparł Roland. — I wierzę, że kiedy opuścimy Calla Bryn Sturgis, zrobimy to przez te drzwi.

— Jeśli tak, chciałbym pójść z wami! — rzekł Callahan. Powiedział to zaskakującym stanowczym tonem.

— Może pójdziesz — odrzekł Roland. — W każdym razie w końcu umieścisz szkatułkę i znajdującą się w niej kulę w swoim kościele. Chcąc ją uciszyć.

— Tak. I udało mi się. Przeważnie śpi.

— Mówiłeś, że dwukrotnie wprowadziła cię w stan transu.

Callahan skinął głową. Wzburzenie buchnęło ogniem i wypaliło się jak garść szpilek w kominku. Teraz wyglądał tylko na zmęczonego. Bardzo, bardzo zmęczonego. I naprawdę bardzo starego.

— Za pierwszym razem trafiłem do Meksyku. Pamiętacie początek mojej opowieści? O pisarzu i chłopcu, który wierzył?

Kiwnęli głowami.

— Pewnej nocy kula dosięgła mnie, kiedy spałem, i przeniosła do Los Zapatos w Meksyku. Na pogrzeb. Tego pisarza.

— Bena Mearsa — rzekł Eddie. — Tego od *Powietrzego tańca*.

— Tak.

— Czy ludzie cię widzieli? — spytał Jake. — Bo nas nie. Callahan zaprzeczył.

— Nie. Wyczuwali jednak moją obecność. Kiedy szedłem ku nim, odsuwali się. Tak jakbym zmienił się w zimny podmuch. W każdym razie ten chłopiec, Mark Petrie, tam był. Tylko że nie był już chłopcem. Stał się młodzieńcem. Domyśliłem się, że to połowa lat dziewięćdziesiątych, widząc to, a także słysząc, w jaki sposób mówił o Benie: „Był taki czas, kiedy pięćdziesięciodziesięcioletniego człowieka nazwałbym starym”, tak zaczął swoją mowę pogrzebową. Nie zostałem tam długo... ale wystarczająco, żeby dojść do wniosku, że mój młody przyjaciel z tamtych czasów dobrze sobie radzi w życiu. Może jednak udało mi się czegoś dokonać w miasteczku Salem. — A po chwili milczenia dodał: — W swojej mowie pogrzebowej Mark mówił o Benie jako o swoim ojcu. To bardzo mnie wzruszyło.

— A kiedy kula po raz drugi wprawiła cię w trans? — zapytał Roland. — Kiedy posłała cię do zamku Króla?

— Tam były ptaki. Wielkie, tłuste, czarne ptaszyska. Nic więcej nie powiem. Nie w środku nocy — rzekł Callahan sucho, tonem wykluczającym jakąkolwiek dyskusję. Znowu wstał. — Może innym razem.

Roland zaakceptował to skinieniem głowy.

— Dzięki ci.

— A wy nie idziecie spać, ludzie?

— Niebawem — odparł Roland.

Wszyscy podziękowali mu za opowieść (nawet Ej dodał jedno senne warknięcie) i życzyli dobrej nocy. Patrzyli, jak odchodzi, i przez kilka sekund nic nie mówili.

20

Milczenie przerwał Jake.

— Ten cały Walter był za nami, Rolandzie! Kiedy opuściliśmy zajazd, szedł za nami! Pere Callahan też!

— Owszem, tak — przyznał Roland. — Callahan już wtedy był częścią naszej opowieści. Na myśl o tym kręci mi się w głowie.

Eddie udał, że ociera oczy.

— Ilekroć dajesz taki upust swoim emocjom, Rolandzie — rzekł — nogi uginają się pode mną ze wzruszenia. — A kiedy Roland spojrział na niego, Eddie dodał: — No, daj spokój, przestań się śmiać. Wiesz, że uwielbiam, jak docenia się moje żarty, ale to już przesada.

— Błagam o wybaczenie — odparł Roland z nikłym uśmiechem. — Moje poczucie humoru wcześniej chodzi spać.

— A moje przez całą noc jest na nogach — rzucił raźnie Eddie. — Nie daje mi zasnąć. Opowiada kawały. Puk, puk, kto tam, partyzanci, a ilu was, *zwei und zwanzig*, he, he, he!

— Skończyłeś? — zapytał go Roland.

— Tak, na razie. Nie martw się, Rolandzie, zawsze mi to wraca. Mogę zadać ci pytanie?

— Głupie?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

— No to pytaj.

— Ci dwaj ludzie, którzy uratowali Callahanowi tyłek w pralni na East Side... Sądzisz, że to byli ci, o których myślę?

— A o których myślisz?
Eddie popatrzył na Jake'a.

— A ty, o synu Elmera? Masz jakiś pomysł?

— Jasne — rzekł Jake. — To był Calvin Tower i ten drugi facet z księgarni, jego przyjaciel. Ten, który zadał mi zagadkę Samsona i tę o rzece. — Pstryknął palcami raz i drugi, po czym dodał: — Aaron Deepneau.

— A co z tym pierścieniem, o którym wspomniał Callahan? — zapytał go Eddie. — Tym z napisem *Ex Libris*! Nie zauważyłem, żeby któryś z nich nosił taki pierścień.

— A dobrze się przyjrzałeś? — spytał Jake.

— Nie, niespecjalnie. Jednak...

— I pamiętaj, że widzieliśmy go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym — przypomniał mu Jake. — A ci faceci uratowali Callahanowi życie w osiemdziesiątym pierwszym. Może w ciągu tych czterech lat ktoś podarował pierścień panu Towerowi. Albo sam go sobie kupił.

— To tylko domysł — rzucił Eddie.

— Taak — przyznał Jake. — Lecz Tower jest właścicielem księgarni, więc pierścień z napisem *Ex Libris* pasowałby do niego. Chcesz mi powiedzieć, że nie?

— Nie. To co najmniej prawdopodobne. Tylko skąd mogli wiedzieć, że Callahan... — Eddie urwał, zastanowił się, a potem zdecydowanie pokręcił głową. — Nie, teraz nie zamierzam się w to zagłębiać. Za chwilę zaczniemy omawiać zabójstwo Kennedyego, a ja jestem zmęczony.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni — powiedział Roland — i w nadchodzących dniach mamy dużo do zrobienia. A jednak opowieść Callahana wzbudziła we mnie niepokój. Nie potrafię powiedzieć, czy przyniosła więcej odpowiedzi, czy pytań.

Nikt nie skomentował jego słów.

— Jesteśmy *ka-tet*, a teraz siedzimy razem *an-tet* — oznajmił Roland. — Radząc. Mamy późną porę, ale czy jest coś, co powinniśmy przedyskutować, zanim się rozejdziemy? Jeśli tak, musicie mi powiedzieć. — Ponieważ nikt się nie odezwał, Roland odsunął krzesło. — W porządku, zatem życzę wam wszystkim...

— Zaczekaj.

To była Susannah. Nie odzywała się od tak dawna, że prawie o niej zapomnieli. I powiedziała to cichutkim głosikiem, niepodobnym do jej zwykłego głosu. Z pewnością nienależącym do kobiety, która powiedziała Ebenowi Tookowi, że jeśli jeszcze raz nazwie ją czekoladką, to wyrwie mu jęzor i podetrze mu nim dupę.

— Może jest coś. — Tym samym cichym głosem. — Coś innego. — Jeszcze ciszej. — Ja...

Spojrzała na nich, na każdego po kolei, a kiedy popatrzyła na rewolwerowca, ujrzała w jej oczach smutek, przyganę i znużenie. Nie dostrzegł gniewu. *Gdyby się złościła*, pomyślał później, *nie byłbym taki zawstydzony*.

— Sądzę, że możemy mieć pewien problem — mówiła dalej. — Nie wiem jak... jak to możliwe... jednak bardzo możliwe, że będę miała dziecko.

SEKRETY

1

Zja chatą Rosality Munoz była wysoka wygodka, pomalowana na niebiesko. Gdy rewolwerowiec wszedł do niej późnym porankiem po nocy, podczas której Pere Callahan skończył swoją opowieść, zobaczył sterczącą ze ściany po lewej zwykłą żelazną obręcz i osadzony mniej więcej osiem cali niżej stalowy krążek. W tym prowizorycznym wazonie tkwiły dwie gałązki ogórecznika. Ich cytrynowy, lekko kwaskowaty zapach był jedynym, jaki unosił się w wygodce. Na ścianie nad sedesem, oprawiony w oszkloną ramkę, wisiał obrazek Jezusa modlącego się z dłońmi złożonymi tuż pod brodą, rudawymi lokami, sięgającymi ramion, i oczami wzniesionymi do Boga Ojca. Roland słyszał, że niektóre szczepy powolnych mutantów nazywały Ojca Jezusowego Wielkim Tatusiem z Nieba.

Jezus był namalowany z profilu, co ucieszyło Rolanda. Gdyby był pokazany *en face*, rewolwerowiec chyba nie mógłby skorzystać z wygodki, chociaż miał pełny pęcherz. *Dziwne miejsce na umieszczenie wizerunku Syna Bożego*, pomyślał, a potem pojął, że wcale nie. Zazwyczaj tylko Rosalita korzystała z tej wygodki, więc Jezus nie widziałby niczego prócz jej prostych pleców.

Roland Deschain parsknął śmiechem i zaczął sikać.

2

Kiedy się zbudził, Rosality już nie było; musiała wstać znacznie wcześniej, gdyż pościel po jej stronie była zimna.

Teraz, stojąc przed wysoką, niebieską wygódką i zapinając rozporek, Roland spojrzął na słońce i ocenił, że dochodzi południe. Ostatnimi czasy coraz trudniej było określić porę dnia bez zegarka, klepsydry czy wahadła, ale w dalszym ciągu dało się ją ustalić, starannie obliczając i uwzględniając pewien margines błędu. Cort byłby wstrząśnięty, gdyby zobaczył jednego ze swych uczniów —jednego ze swych byłych uczniów, rewolwerowca — zabierającego się do czegoś takiego, śpiąc prawie do południa. A początek był najważniejszy. Reszta to tylko rytuał i przygotowania, konieczne, ale niekoniecznie pomocne. Coś w rodzaju tańca ryżu. To już na szczęście za nim. A co do późnego wstawania...

— Nikt nie zasłużył sobie bardziej na dłuższy sen — mruknął i zaczął schodzić zboczem. Na dole płót oznaczał granicę poletka Callahana (który zapewne uważał je za boże poletko). Dalej płynął strumyk, szepczący z ożywieniem, niczym mała dziewczynka opowiadająca sekrety swej najlepszej przyjaciółce. Jego brzegi były gęsto porośnięte ogórecznikiem, tak więc została rozwiązana kolejna (aczkolwiek mało istotna) tajemnica. Roland wciągnął w płuca orzeźwiający zapach.

Przytąpał się na tym, że myśli o *ka*, co rzadko mu się zdarzało. (Eddie, który sądził, że Roland rzadko myśli o czymś innym, byłby zdumiony). Jediną zasadą *ka* było: *odsuń się i daj mi zrobić swoje*. Dlaczego, na Boga, tak trudno było się tego nauczyć? Skąd brała się ta idiotyczna chęć ingerowania? Każdy z nich to robił. Wszyscy wiedzieli, że Susannah jest w ciąży. Roland wiedział o tym niemal od chwili poczęcia, kiedy Jake przeszedł przez drzwi w domu na Dutch Hill. Sama Susannah też wiedziała, mimo zakrwawionych wkładek, które zakopywała w krzakach. Dlaczego więc tak długo zwlekali z tą rozmową, którą przeprowadzili dopiero tej nocy? Dlaczego robili z tego taką wielką sprawę? I jakie szkody przyniesie to postępowanie?

Roland miał nadzieję, że niewielkie. A jednak trudno powiedzieć, czyż nie?

Może najlepiej byłoby dać temu spokój. Tego ranka wydawało się to najkorzystniejszym rozwiązaniem, ponieważ czuł się doskonale. Przynajmniej fizycznie. Prawie nic go nie bolało i...

— Myślałem, że pójdziecie spać zaraz po tym, jak was

nie okaże się to niezbędne. Znalazłem troje drzwi. Za drugimi była kobieta, która została żoną Eddiego, chociaż wówczas nie nazywała się Susannah...

3

I Roland opowiedział Callahanowi tę część ich opowieści, która bezpośrednio dotyczyła Susannah i kobiet, którymi była przedtem. Skupił się na tym, jak uratowali Jake'a przez tynkowym dozorcą i przeciągnęli chłopca do Świata Pośredniego. Opowiedział, jak Susannah (która chyba w tym momencie była Dettą), zatrzymała demona kręgu, żeby mogli zrobić swoje. Wyznał Callahanowi, że zdawał sobie sprawę z grożących im niebezpieczeństw i nabrał pewności — jeszcze wtedy, gdy jechali na pokładzie Blaine'a Mono — że ona zaszła w ciążę. Powiedział o tym Eddiego, który wcale nie był zdziwiony. Potem Jake powiedział *jemu*. A nawet miał mu za złe. Dodał, że pokornie przyjął naganę, ponieważ uważał, że na nią zasłużył. Natomiast nikt z nich aż do minionej nocy nie zdawał sobie sprawy, że Susannah też wie, w dodatku chyba od tak dawna jak Roland. Po prostu energiczniej odpychała od siebie tę myśl.

— I co o tym sądzisz, Pere?

— Mówisz, że jej mąż zgodził się zachować to w tajemnicy — odparł Callahan. — I nawet Jake, który najwyraźniej uważa...

— Tak — przerwał mu Roland. — Owszem, tak. I kiedy zapytał mnie, co powinniśmy zrobić, źle mu poradziłem. Powiedziałem, że najlepiej zrobimy, jeśli pozwolimy rozwiązać to *ka*, i przez cały czas trzymałem ją w garści, jak schwytanego ptaka.

— Sprawy zawsze wydają się prostsze, kiedy spojrzymy na nie przez ramię, prawda?

— Tak.

— Czy zeszłej nocy powiedziałaś Susannah, że w jej łonie rośnie owoc demona?

— Ona wie, że to nie jest dziecko Eddiego.

— Zatem nie powiedziałaś. A Mia? Czy powiedziałaś jej o Mii i sali biesiadnej?

— Tak — odparł Roland. — Mam wrażenie, że ta wiadomość zmartwiła ją, ale nie zaskoczyła. Od czasu wypadku, w którym straciła nogi, czasem stawała się inną kobietą... Detta.

Wprowadzie to nie był wypadek, lecz Roland nie widział powodu, żeby opowiadać Callahanowi o tym, co zrobił Jack Mort.

— Detta Walker doskonale ukrywała się przed Odettą Holmes. Eddie i Jake mówią, że to był objaw schizofrenii.

Roland starannie wymówił to ostatnie, egzotyczne słowo.

— Wyleczyłeś ją jednak — rzekł Callahan. — W jednym z tych przejść doprowadziłeś do spotkania obu jej osobowości. Prawda?

Roland wzruszył ramionami.

— Można usunąć brodawki, malując je srebrzystym metalem, ale jeśli ktoś ma skłonność do brodawek, one powrócą.

Callahan zaskoczył go, odchylając głowę do tyłu i parszkając wyjąć z tylnej kieszeni spodni chusteczkę i otrzeć nią sobie oczy.

— Rolandzie, może jesteś szybki i odważny jak sam szatan w sobotę, ale nie jesteś psychiatrą. Porównywać schizofrenię z brodawkami... o rany!

— A jednak Mia jest prawdziwa, Pere. Sam widziałem. Nie we śnie, jak Jake, ale na własne oczy.

— O to mi chodzi — odparł Callahan. — To nic jest tylko pewna strona kobiety, która urodziła się jako Odetta Susannah Holmes. To inna osoba.

— Czy to coś zmienia?

— Tak sędzę. Jedno mogę ci powiedzieć na pewno: obojętnie jak poradzicie sobie z tym wy... wasze *ka-tet*... musicie zachować to w sekrecie przed mieszkańcami Calla Bryn Sturgis. Na razie wszystko przebiega po waszej myśli. Gdyby jednak rozeszła się wieść, że brązowoskóra kobieta, rewolwerowiec, może nosić dziecko demona, wszyscy odsunęliby się od was w pośpiechu. Z Ebenem Tookiem na czele. Wiem, że ostatecznie sam podejmiesz decyzję, co robić, opierając się na własnej ocenie sytuacji w miasteczku, lecz we czwórkę nie zdołacie pokonać Wilków, bez względu na to, jak sprawnie postugujecie się bronią, którą macie. Jest ich zbyt wielu.

Roland nie odpowiedział. Callahan miał rację.

— Czego najbardziej się obawiasz? — zapytał.

— Rozpadu *tet* — odparł bez namysłu Roland.

— Masz na myśli przejęcie przez Mię władzy nad wspólnym ciałem, żeby odejść i urodzić dziecko?

— Jeśli stałoby się to w nieodpowiedniej chwili, byłoby źle, ale nawet wtedy mogłoby się dobrze skończyć, gdyby wróciła Susannah. Lecz to, co nosi pod sercem, to żywa trucizna. — Roland smętnie spojrzął na odzianego w czarny strój kapłana. — Mam wszelkie powody by wierzyć, że zacznie od zabicia swojej matki.

— Rozpadu *tet* — głośno myślał Callahan. — Nie śmierci przyjaciółki, ale rozpadu *tet*. Zastanawiam się, czy twoi towarzysze wiedzą, jakim jesteś człowiekiem?

— Wiedzą — rzekł Roland i nie rozwijał tego tematu.

— Czego oczekujesz ode mnie?

— Przede wszystkim odpowiedzi na pytanie. Zauważyłem, że Rosalita zna podstawowe zasady udzielania pomocy lekarskiej. Czy potrafiłaby wywołać przedwczesny poród? I znieść to, co by zobaczyła?

Oczywiście, musieliby być przy tym wszyscy — on i Eddie, a także Jake, choć ta perspektywa podobała się Rolandowi najmniej. Stwór w jej brzuchu rozwijał się coraz szybciej i chociaż jeszcze nie przyszedł jego czas, będzie niebezpieczny. *A jego czas z pewnością się zbliża, pomyślał. Nie wiem dlaczego, ale wyczuwam to. I...*

Nagle zdał sobie sprawę, że na twarzy Callahana maluje się przerażenie, obrzydzenie i rosnący gniew.

— Rosalita nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Dobrze to sobie zapamiętaj. Wołałaby umrzeć.

Roland zdumiał się.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest katoliczką!

— Nie rozumiem.

Callahan pojął, że rewolwerowiec naprawdę tego nie rozumie, i jego gniew odrobinę osłabł. Mimo to Roland wyczuwał, że pozostał w nim, jak grot strzały, która utkwiała w ciele.

— Mówisz o aborcji!

— Tak?

— Rolandzie... Rolandzie. — Callahan pochylał głowę, a kie-

dy ją podniósł, jego twarzy już nie wykrzywił gniew. Zastąpił go zaciekle upór, dobrze znany rewolwerowcowi. Roland prędkiej podniósłby gołymi rękami górę, niż skłonił księdza do zmiany zdania. — Mój Kościół rozróżnia dwa rodzaje grzechów: powszednie, które są wybacalne w oczach Boga, i śmiertelne, niewybacalne. Aborcja jest grzechem śmiertelnym. To morderstwo.

— Pere, mówimy o demonie, a nie o istocie ludzkiej.

— Tak twierdzisz. To sprawa Boga, nie moja.

— A jeśli on ją zabije? Czy wtedy powiesz to samo i umyjesz od tego ręce?

Roland nigdy nie słyszał przypowieści o Poncjuszu Piłacie i Callahan dobrze o tym wiedział. Mimo to skrzywił się, słysząc te słowa. Lecz odpowiedział stanowczo:

— Ty mi to mówisz? Ty, który bardziej przejmujesz się rozpadem *tet* niż jej śmiercią? Wstydz się. Wstydz.

— Moją misją... misją mojego *ka-tet* jest Mroczna Wieża, Pere. Nie chodzi nam o uratowanie świata czy nawet wszechświata, lecz wszystkich wszechświatów. Wszystkiego.

— Nie obchodzi mnie to — rzekł Callahan. — Nie może mnie obchodzić. Posłuchaj, Rolandzie, synu Stcvena, bo chcę, żebyś dobrze rozumiał, co ci powiem. Słuchasz?

Roland westchnął.

— Taak, piękne dzięki.

— Rosa nie wykona zabiegu aborcyjnego na tej kobiecie. Nie wątpię, że w tym mieście znalazłbyś kogoś, kto by to zrobił... nawet tutaj, gdzie co dwadzieścia kilka lat potwory z krainy ciemności porywają dzieci, zachowała się ta nikczemna wiedza. Jeśli jednak zwrócisz się do kogoś takiego, nie będziesz musiał martwić się Wilkami. Na długo przed ich przybyciem zwrócę wszystkich mieszkańców Calla Bryn Sturgis przeciwko wam.

Roland spoglądał na niego z niedowierzaniem.

— Chociaż dobrze wiesz... jestem tego pewien... że możemy uratować setki innych dzieci? Istot ludzkich, których pierwszą czynnością na tej ziemi nie będzie pożarcie własnych matek?

Callahan jakby go nie słyszał. Był błąd jak chusta.

— Zrobię więcej, rozumiesz, zrobię wszystko... Chcę mieć twoje słowo, przysięgę na oblicze twego ojca, że nigdy nie będziesz namawiał tej kobiety na aborcję.

Rolandowi przyszła do głowy dziwna myśl: teraz, kiedy

poruszyliśmy ten temat — który wyskoczył nagle jak diabeł z pudełka — Susannah przestała być dla tego człowieka Susannah. Stała się *tą kobietą*. A poza tym: ile potworów zabił sam Pere Callahan własnymi rękami?

Jak to często zdarzało się w trudnych chwilach, Roland usłyszał głos ojca: *Jeszcze nie wszystko jest stracone, ale będzie, jeżeli posuniesz się dalej — jeśli powiesz to, co myślisz.*

— Chcę, żebyś mi obiecał, Rolandzie.

— Inaczej zbuntujesz przeciwko nam miasto.

— Tak.

— A jeśli Susannah sama podejmie tę decyzję? Kobiety robią to, a ona nie jest głupia. Zna stawkę.

— Mia... prawdziwa matka dziecka... nie pozwoli na to.

— Nie bądź taki pewny. Susannah Dean ma bardzo silny instynkt samozachowawczy. A podejrzewam, że jej oddanie naszej misji jest jeszcze silniejsze.

Callahan zawahał się. Odwrócił oczy i zacisnął wargi. Potem znów spojrzął na Rolanda.

— Ty na to nie pozwolisz — powiedział. — Jako jej *dinh*. *Właśnie zamknął mnie w zamku*, pomyślał Roland.

— W porządku — rzekł. — Powtórzę *jej* naszą rozmowę i postaram się, żeby zrozumiała, w jakiej postawiłeś nas sytuacji. I ostrzegę ją, żeby nie mówiła o tym Eddiemu.

— Dlaczego?

— Ponieważ zabiłby cię, Pere. Zabiłby cię za to, że się wtrącasz.

Roland z lekką satysfakcją zobaczył zaskoczoną minę Callahana. Napomniał się w duchu, że nie powinien mieć tego za złe człowiekowi, który po prostu był tym, kim był. Czy nie mówił im o pułapce, jaką wszędzie wlecze za sobą?

— Posłuchaj mnie tak uważnie, jak ja wysłuchałem ciebie, ponieważ teraz jesteś odpowiedzialny za nas wszystkich. Szczególnie za *tę kobietę*.

Callahan skrzywił się, jakby go spoliczkował. Mimo to skinął głową.

— Powiedz mi, czego chcesz.

— Przede wszystkim chcę, żebyś ją obserwował. Czujnie jak żuraw! Wypatruj, czy nie zaczną pocierać palcami tego miejsca... — Roland potarł czoło nad lewą brwią. — Albo te-

go — teraz potarł lewą skroń. — Słuchaj, jak mówi. Uważaj, czy nie zaczyna mówić coraz szybciej. Czyjej ruchy nie stają się nerwowe. — Roland gwałtownie poderwał dłoń, podrapał się po głowie i opuścił rękę. Potem odwrócił głowę w prawo i znów spojrzął na Callahana. — Widziałeś?

— Tak. Czy to są oznaki zapowiadające nadejście Mii? Roland przytaknął.

— Nie chcę, żeby znów została sama, kiedy stanie się Mią. Nigdy więcej.

— Rozumiem — rzekł Callahan. — Posłuchaj, Rolandzie, trudno mi uwierzyć, żeby noworodek, obojętnie kim lub czym był jego ojciec...

— Cicho — przerwał mu Roland. — Cicho, słyszysz? — A kiedy Callahan posłusznie zamilkł, rewolwerowiec dodał: — Nie interesuje mnie, w co wierzysz lub nie. Masz swoje sprawy i życzę ci jak najlepiej. Gdyby jednak Mia lub jej małe skrzywdzili Rosalitę, Pćre, ciebie będę winił. I zapłacę ci za to moją zdrową ręką. Rozumiesz?

— Tak, Rolandzie.

Callahan był jednocześnie stropiony i spokojny. Przedziwne połączenie.

— W porządku. Teraz druga rzecz, jaką możesz dla mnie zrobić. Kiedy pojawią się Wilki, będę potrzebował sześciu mieszkańców, zaufanych mieszkańców. Chciałbym, żeby to były trzy kobiety i trzech mężczyzn.

— Czy mogą wśród nich być ci, których dzieci są zagrożone?

— Mogą. Lecz nie wyłącznie tacy. I żadna z tych pań, które potrafią rzucać talerzami... Sarey, Zalia, Margaret Eisenhart, Rosalita. One będą potrzebne gdzie indziej.

— Po co ci te sześć osób?

Roland nie odpowiedział. Callahan patrzył na niego przez chwilę, a potem westchnął.

— Reuben Cawerra — rzekł. — Reuben nigdy nie zapomniał o swojej siostrze, którą bardzo kochał. Dianę Cawerra, jego żona... a może nie chcesz małżeństw?

Nie, małżeństwo bardzo się przyda. Roland zakręcił młynka palcem, dając księdzu znak, żeby mówił dalej.

— Może Cantab z Mannich. Dzieci idą za nim, jakby miał zaczarowany flet.

— Nic rozumiem.

— Nie musisz. Pójdą za nim, tylko to jest ważne. Bucky Javir i jego żona... A co powiesz na twojego chłopca, na Jake'a? Dzieciaki z miasta już go słuchają, a podejrzewam, że kilka dziewczynek podkochuje się w nim.

— Nie, jest mi potrzebny.

Czy raczej nie chcesz spuścić go z oka? — zastanawiał się Callahan... lecz nie powiedział tego głośno. I tak już dostatecznie rozdrażnił Rolanda, wystarczy na dziś. A może nawet na kilka dni.

— A co z Andym? Dzieci też go uwielbiają. A on będzie bronił ich ze wszystkich sił.

— Taak? Przed Wilkami?

Callahan stropił się. Prawdę mówiąc, myślał o skalnych kotach. O nich i wilkach, które biegają na czterech nogach. Co zaś do tych, które przybywały z Jądra Gromu...

— Nie — rzekł Roland. — Nie Andy.

— Dlaczego nie? Przecież te sześć osób nie ma walczyć z Wilkami, prawda?

— Nie Andy — powtórzył Roland. Wprawdzie to było tylko przecucie, ale jego przecucia były odpowiednikiem dotyku. — Mamy czas do namysłu... więc możemy dobrze się zastanowić, Pere.

— Wybierasz się do miasta.

— Owszem, tak. Dziś i przez kilka następnych dni. Callahan uśmiechnął się.

— Twoi przyjaciele i ja nazwalibyśmy to *schmooz*. To słowo z jidysz.

— Tak? Co to za plemię?

— Najwyraźniej pechowe. Tutaj takie pogaduszki nazywają pitoleniem. To określenie może oznaczać wszystko.

Callahan był lekko rozbawiony tym, jak bardzo chciał ugłaskać rewolwerowca. I trochę zniesmaczony swoim zachowaniem.

— W każdym razie życzę ci powodzenia.

Roland kiwnął głową. Callahan ruszył w kierunku plebanii, gdzie Rosalita zdążyła już zaprząć konie do bryczki i teraz niecierpliwie czekała, aż Pere podejdzie i będą mogli ruszyć, by nieść słowo Boże. W połowie stoku Callahan odwrócił się.

— Nie przepraszam za moje przekonania — zawołał — ale jeśli utrudniłem ci zadanie, to przykro mi.

- W kwestiach kobiet ten twój Pan Jezus wygląda mi na kawał sukinsyna — rzekł Roland. — Czy On był żonaty? Callahan uśmiechnął się kącikiem ust.
- Nie — odparł — ale Jego dziewczyna była dziwką.
- Cóż — powiedział Roland. — Zawsze to coś.

4

Roland ponownie oparł się o płot. Późna pora zachęcała do działania, ale chciał puścić Callahana przodem. Zrobił to bez żadnego konkretnego powodu, tak samo jak odrzucił kandydaturę Andy'ego: kierując się wyłącznie przeczuciem.

Wciąż tam stał i skręcał sobie kolejnego papierosa, gdy Eddie zszedł ze wzgórza w rozpiętej koszuli, niosąc buty w jednej ręce.

— *Hile*, Eddie — przywitał go Roland.

— *Hile*, szefie. Widziałem, jak rozmawiałeś z Callahanem. Nie ma jak u przyjaciół, Wilmy i Freda.

Roland pytająco podniósł brwi.

— Nieważne — rzekł Eddie. — Rolandzie, w tym zamieszaniu nie miałem kiedy ci powiedzieć, czego dowiedziałem się od dziadka Tiana. A myślę, że to ważne.

— Czy Susannah już wstała?

— Tak. Myje się. Jake zajada coś, co wygląda na omlet z dwunastu jaj.

Roland pokiwał głową.

— Nakarmiłem konie. Możemy je osiodłać i w tym czasie opowiesz mi, czego dowiedziałeś się od starego Jaffordsa.

— To chyba nie zajmie aż tyle czasu — odparł Eddie i miał rację.

Doszedł do puenty — którą starzec wyszeptał mu na ucho — kiedy wkroczyli do stajni. Roland odwrócił się do Eddiego, zapominając o koniach. Oczy mu rozbłyły. Położył dłonie na ramionach młodzieńca i mocno je zacisnął.

— Powtórz to!

Eddie nie miał mu tego za złe.

— Kazał mi się nachylić. Zrobiłem to. Powiedział, że nigdy nie mówił o tym nikomu poza swoim synem, w co wierzę. Tian

i Zalia wiedzieli, że tam był... albo twierdził, że był... ale nie mieli pojęcia, co ujrzał, kiedy ściągnął stworowi maskę. Nie sądzę, żeby wiedzieli, że to Ruda Molly zabiła Wilka. A potem szepnęła...

Eddie jeszcze raz powiedział Rolandowi, co dziadek Tiana podobno wtedy zobaczył.

Roland przyjął to triumfalnym uśmiechem, tak promiennym, że aż przerażającym.

— Siwe konie — powiedział. — Wszystkie rumaki dokładnie tej samej maści! Czy teraz rozumiesz, Eddie? Rozumiesz?

— Taak — mruknął Eddie. Pokazał zęby w uśmiechu. Nie był to miły uśmiech. — Już to znamy, jak powiedziała chórzystka do biznesmena.

5

Standardowym amerykańskim słowem mającym największą liczbę znaczeń jest chyba słowo *run*. Słownik wydawnictwa Random House podaje sto siedemdziesiąt osiem odcieni znaczeniowych, poczynając od „poruszać się szybko, poruszając nogami energiczniej, niż idąc”, a kończąc na „stopiony lub półpłynny”. W miasteczkach Półksiężycy, na pograniczu Świata Pośredniego i Jądra Gromu, błękitna wstążka za największą liczbę znaczeń przypadłaby wyrazowi *comma/a*. Gdyby zamieszczono je w pełnym wydaniu słownika Random House, pierwszą definicją (przy założeniu, że jak zwykle, podano by je, zaczynając od najbardziej rozpowszechnionych) byłaby „odmiana ryżu rosnąca na najdalej na wschód wysuniętym krańcu świata”. Drugą byłby „stosunek seksualny”. Trzecią „orgazm”, jak w pytaniu „Czy miał *comma/a*?”. (Oczekiwaną odpowiedzią było „Tak, piękne dzięki, wspaniały *commala*”). Moczyć *comma/a* oznaczało nawadniać ryż podczas suszy, a także onanizować się. *Comma/a* to komentarz do obfitego i smacznego posiłku, na przykład z okazji jakiejś rodzinnej uroczystości (i nie podczas jedzenia, lecz przed jego rozpoczęciem). Łysiejący mężczyzna (jak ostatnio Garrett Strong) dostawał *commala*. Prowadzenie zwierząt do wodopoju to wilgotne *commala*. Kastrowane zwierzęta to suche *commala*, chociaż nikt nie potrafi

wyjaśnić dlaczego. Dziewica to zielona *commala*, miesiączkująca kobieta — czerwona *commala*, starzec, w którego piecu diabeł przestał już palić, to — przykro powiedzieć — miękki *commala*. Stać *commala* to stać oko w oko albo slangowe określenie wymieniania sekretów. Seksualne konotacje tego słowa są oczywiste, ale dlaczego skaliste wąwozy na północ od miasteczka zwano ciągami *commala*? A skoro o tym mowa, to czemu widelec czasem bywa *commala*, lecz łyżka lub nóż nigdy? To słowo nie ma stu siedemdziesięciu ośmiu znaczeń, ale na pewno z siedemdziesiąt. Dwukrotnie więcej, jeśli uwzględnić różne niuanse. Jednym ze znaczeń — z pewnością zajmującym miejsce w pierwszej dziesiątce — było to, co Pere Callahan określił mianem *schmooz*. Ściśle mówiąc, było to coś w rodzaju „iść Sturgis *commala*” albo „iść Bryn *commala*”. Dosłownie oznaczało to bezpośredni kontakt z całą społecznością.

Przez pięć następných dni Roland i jego *ka-tet* starali się umacniać kontakty nawiązane podczas rozmów na ganku składu Tooka. Z początku ciężko im to szło („Jak rozpalanie ogniska wilgotnym chrustem” — powiedziała zirytowana Susannah po pierwszym wieczorze), ale powoli obywatele miasteczka zaczęli się otwierać. A przynajmniej oswoili się z obecnością przybyszów. Co wieczór Roland i Deanowie wracali na plebanię, Jake zaś na ranczo Rocking B. Andy czekał na niego w miejscu, gdzie droga na ranczo odchodziła od wschodniego traktu, żeby go odprowadzić, i za każdym razem kłaniał się i mówił:

— Dobry wieczór! Chciałbyś poznać swój horoskop? Ta pora roku jest czasem zwana żniwami *charyoul*. Spotkasz starego przyjaciela! Pewna młoda dama ciepło o tobie myśli!

I tak dalej. Jake ponownie zapytał Rolanda, dlaczego musi spędzać tyle czasu z Bennym Slightmanem.

— Czyżbyś narzekał? — zapytał rewolwerowiec. — Już go nie lubisz?

— Lubię go, Rolandzie, ale jeśli mam tam zrobić coś więcej, niż tylko skakać na siano, uczyć Eja fikać koziołki albo sprawdzać, kto płaskim kamieniem puści więcej kaczek na rzece, to chyba powinienesz mi to powiedzieć.

— Nie masz — odparł Roland. I po namyśle dorzucił: — Powinienesz dobrze się wyspać. Dorastający chłopcy potrzebują dużo snu.

— Więc po co mam tam tkwić?

— Ponieważ wydaje mi się, że powinieś — powiedział Roland. — Chcę tylko, żebyś miał oczy otwarte i zawiadomił mnie, jeśli zauważysz coś, co ci się nie spodoba lub wyda dziwne.

— Poza tym, mały, czy nie wystarczy ci to, że oglądasz nas całymi dniami? — zapytał Eddie.

Istotnie, byli razem przez pięć następných dni, które strasznie się im dłużyły. Entuzjazm, z jakim przyjęli możliwość używania koni Overholsera, szybko im przeszedł, w przeciwieństwie do bólu mięśni i pęcherzy na tyłkach. Podczas jednej z tych przejażdżek, gdy zbliżali się do miejsca, gdzie czekał na Jake'a Andy, Roland bez ogródek zapytał Susannah, czy rozważała możliwość aborcji.

— Cóż — odparła, z zaciekawieniem spoglądając na niego z siodła. — Nie powiem, że ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

— Zapomnij o tym — rzekł. — Żadnej aborcji.

— Możesz podać mi jakiś powód?

— *Ka* — rzucił Roland.

— *Kaka* — natychmiast dodał Eddie.

Żart był stary, ale wszyscy troje roześmiali się i Roland z zadowoleniem zawtórował. Na tym temat aborcji został zamknięty. Roland nie mógł w to uwierzyć, ale był rad. Fakt, że Susannah nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o Mii i dziecku, niezmiernie go cieszył. Podejrzewał, że będzie dla niej lepiej, jeśli nie dowie się o pewnych sprawach, o bardzo wielu sprawach.

Mimo wszystko nie brakowało jej odwagi. Roland był pewien, że zada pytania pręcej czy później, lecz po pięciu dniach krążenia po mieście we czwórkę (w piątkę, licząc Eja, który zawsze towarzyszył Jake'owi), Roland zaczął w południe odsyłać ją do gospodarstwa Jaffordsów, żeby poćwiczyła rzucanie talerzem.

Osiem dni po długiej naradzie na werandzie plebanii — tej, która trwała prawie do czwartej rano — Susannah zaprosiła przyjaciół do Jaffordsów, żeby zobaczyli, jakie poczyniła postępy.

— To pomysł Zalii — powiedziała. — Chyba chce sprawdzić, czy się przydam.

Roland wiedział, że wystarczyłoby mu zapytać Susannah, żeby poznać odpowiedź na to pytanie, ale był ciekaw. Kiedy przybyli na miejsce, zastali zgromadzoną na werandzie całą rodzinę Jaffordsów, a także kilku sąsiadów Tiana: Jorge'a Estradę z żoną, Diega Adamsa (w skórzanych ochraniaczach na spodniach) i Javierów. Wyglądali jak widzowie przyglądający się treningowi graczy w punkty. Zalman i Tia, para pokurów, stali z boku, wytrzeszczając oczy na gości. Andy też tam był, trzymając na rękach małego Aarona (który spał).

— Rolandzie, jeśli chciałeś zachować to w tajemnicy, to widzisz, co osiągnąłeś? — mruknął Eddie.

Ta uwaga nie stropiła rewolwerowca, choć uzmysłowiła mu, że groźby, jakie skierował pod adresem kowbojów przyglądających się rzucającej talerzem *sai* Eisenhart, okazały się zupełnie nieskuteczne. Ludzie na wsi gadają i tyle. Czy na pograniczu, czy w baroniach, plotkowanie wszędzie jest jednym z ulubionych zajęć. *Przynajmniej*, pocieszał się, *ci plotkarze rozgłoszą, że Roland to twardy facet, silny commala, z którym nie ma żartów.*

— Trudno — odparł. — Mieszkańcy Calla Bryn Sturgis od niepamiętnych lat wiedzieli, że Siostry Pani Ryżu umieją rzucać talerzami. Jeśli zobaczą, że Susannah też to robi... w dodatku dobrze... może nam to pomóc.

— Mam tylko nadzieję — zauważył Jake — że... no wiecie... uda jej się trafić.

Zebrani z szacunkiem powitali Rolanda, Eddiego i Jaka'a, gdy ci wchodzili po schodach na werandę. Andy powiedział Jake'owi, że pewna młoda dama szaleje za nim. Jake zaczerwienił się i odparł, że wolałby nie słuchać takich głupot, jeśli Andy nie ma nic przeciwko temu.

— Jak chcesz. — Jake zaczął przyglądać się słowom i literom wygrawerowanym niczym stalowy tatuaż na tułowiu Andy'ego i kolejny raz zadał sobie pytanie, czy naprawdę znajduje się w tym świecie robotów i kowbojów, czy też jest to jakiś nadzwyczajnie realistyczny sen. — Mam nadzieję, że to dziecko obudzi się niebawem, naprawdę. I zacznie płakać! Ponieważ znam kilka ładnych kotysanek...

— Cicho bądź, ty skrzypiący stalowy bandyto! — warknął dziadek Jaffords, po czym Andy poprosił starego o wybaczenie (swoim zwykłym lekko drwiącym i bynajmniej nieprzeprasza-

jącym tonem) i usłuchał. *Postaniec (I Wiele Innych Funkcji)*, pomyślał Jake. *Czyżby jedną z nich było drwienie z ludzi, Andy, czy też tak tylko mi się wydaje?*

Susannah była w chacie z Zalią. Kiedy wyszły, Susannah miała nie jeden upleciony z trzciny koszyk, lecz dwa. Zawiesiła je sobie na biodrach na plecionych szelkach. Eddie dostrzegł, że jeszcze jeden taki pasek otacza jej talię i przytrzymuje koszyki. Jak troki olster.

— Niezła uprząż, piękne dzięki — zauważył Diego Adams.

— Susannah ją wymyśliła — powiedziała Zalia, gdy Susannah sadowała się na swoim wózku. — Nazywa to uchwytem dokera.

No niezupełnie, pomyślał Eddie, ale prawie. Poczuł, że kąciki ust unoszą mu się w uśmiechu podziwu i podobny zobaczył na wargach Rolanda. I Jake'a. Na Boga, nawet Ej zdawał się uśmiechać.

— Zastanawiam się tylko, czy to się do czegoś przyda — rzekł Bucky Javier.

Te słowa zdaniem Eddiego podkreślały różnicę między rewolwerowcami a mieszkańcami Calla Bryn Sturgis. Jemu i jego towarzyszom wystarczył jeden rzut oka, aby się zorientować, do czego służy ta uprząż i jak ma działać. Natomiast Javier był zwykłym farmerem i postrzegał świat w zupełnie inny sposób.

Potrzebujecie nas, pomyślał Eddie, patrząc na grupkę zebranych na werandzie ludzi — farmerów w brudnych białych spodniach, Adamsa w ochraniaczach i unurzanych w gnoju buciorach. *Tak, bez wątpienia.*

Susannah wyjechała przed werandę i podwinęła kikuty nóg pod siebie, tak że wydawała się stać na fotelu. Eddie wiedział, jak trudno jest jej wytrzymać w tej pozycji, ale niczym tego nie okazywała. Tymczasem Roland przyglądał się jej koszykom. W każdym tkwiły cztery talerze, zwyczajne i bez żadnych ozdób. Ćwiczebne.

Zalia podeszła do stodoły. Roland i Eddie zauważyli przypięty tam koc zaraz po przybyciu na farmę, lecz pozostali zwrócili nań uwagę dopiero wtedy, kiedy Zalia zdjęła go ze ściany. Na deskach widniała narysowana kredą sylwetka z groźnym uśmiechem na twarzy i zarysem rozwianego płaszcza. Nie było to dzieło bliźniąt Tavery, nawet w przybliżeniu, lecz zebrani na

werandzie od razu rozpoznali Wilka. Starsze dzieci cicho jęknęły. Estradowie i Javierowie bili brawo, ale z lekkim niepokojem, jak ludzie obawiający się obudzić licha. Andy wyrecytował kilka komplementów pod adresem twórcy („kimkolwiek ona jest” — dodał sprytnie), a dziadek Jaffords ponownie kazał mu się zamknąć. Potem zawołał, że Wilki, które on widział, były znacznie większe. Głos miał piskliwy z podniecenia.

— Cóż, narysowałam cel wielkości człowieka — wyjaśniła Zalia (nadała sylwetce wzrost męża). — Jeśli prawdziwe Wilki okażą się większe, to tym lepiej. Wysłuchajcie mnie, błagam.

Ostatnie słowa wypowiedziała niepewnie, niemal pytająco. Roland skinął głową.

— Dzięki ci.

Zalia popatrzyła na niego z wdzięcznością, po czym odsunęła się od sylwetki na ścianie. Spojrzała na Susannah.

— Zaczynaj, pani.

Susannah przez chwilę nawet nie drgnęła, pozostając prawie sześćdziesiąt jardów od stodoły. Dłonie miała złożone na pierśsiach i spuszczoną głowę. Jej towarzysze dobrze wiedzieli, o czym teraz myślała: *Będę celowała okiem, strzelała ręką, zabijała sercem*. Byli przy niej, wspierając ją, życząc powodzenia, dzieląc się swoim podnieceniem za pomocą umiejętności Jake'a i miłości Eddiego. Roland obserwował ją w skupieniu. Czy jedna silna ręka z talerzem mogła zwiększyć ich szanse? Może nie. Rewolwerowiec jednak nie byłby sobą, gdyby całym sercem nie życzył jej powodzenia.

Podniosła głowę. Spojrzała na sylwetkę narysowaną kredą na ścianie stodoły. Dłonie trzymała złożone na piersi. Nagle wydała donośny okrzyk, podobny do tego, jaki Roland słyszał z ust Margaret Eisenhart na podwórzu rancza Rocking B. Serce zaczęło mu szybciej bić. W tym momencie przed oczami stanął mu piękny obraz Davida, jego sokoła, składającego skrzydła na błękitnym letnim niebie i spadającego jak gład na otiarę.

— *Riza!*

Jej ręce zaczęły poruszać się tak szybko, że trudno było nadążyć za nimi wzrokiem. Tylko Roland, Eddie i Jake zauważyli, że skrzyżowała je na wysokości talii, prawą wyjmując talerz z lewego koszyka, a lewą z tego na prawym boku. *Sai* Eisenhart rzucała znad ramienia, poświęcając szybkość na rzecz

siły i celności. Susannah krzyżowała ręce poniżej klatki piersiowej i tuż nad poręczami fotela, tak że talerze rozpoczynały swój lekko wznoszący się ruch na wysokości jej łopatek. Potem ze świstem przecinały powietrze i z łoskotem uderzały o ścianę stoły.

W ostatniej fazie ruchu ręce Susannah prostowały się, tak że wyglądała jak impresario zapowiadający występy swojego artysty. Zaraz jednak opadały ku biodrom po dwa następne talerze. Rzuciła je, chwyciła kolejne, po czym to samo zrobiła z trzecią parą. Pierwsze dwa jeszcze drżały, gdy ostatnie dwa wbiły się w deski, jeden nad drugim.

Przez chwilę na podwórzu Jaffordsów panowała głęboka cisza. Nawet ptaki umilkły. Osiem talerzy tworzyło idealnie równą linię, od szyi narysowanej postaci aż do połowy jej ciała. Wyglądały jak guziki koszuli, rozmieszczone co dwa i pół do trzech cali. Susannah rzuciła osiem talerzy w czasie krótszym niż trzy sekundy.

— Zamierzacie użyć talerzy w walce z Wilkami? — spytał Bucky Javier dziwnie zduszonym głosem. — Tak?

— Jeszcze nie zdecydowaliśmy — odparł wymijająco Roland.

Ledwie słyszalnym głosem, zdradzającym zdumienie i podziw, Deelle Estrada powiedziała:

— Gdyby to był człowiek, pocięłoby go na kotlety.

To dziadek Jaffords podsumował sytuację, jak chyba przystało seniorowi rodu.

— Do diaska! — wykrzyknął.

6

Kiedy wracali do głównej drogi (Andy szedł spory kawałek przed nimi, niosąc złożony fotel inwalidzki i odtwarzając jakąś melodię przez swój układ audio), Susannah powiedziała:

— Może dam sobie spokój z rewolwerem, Rolandzie, i skupię się na rzucaniu talerzami. Wydawanie tego przeraźliwego okrzyku, a potem rzucanie, sprawiło mi pewną prymitywną satysfakcję.

— Przypominasz mojego sokoła — wyznał Roland.

Susannah błysnęła białymi zębami w uśmiechu.

— Rzeczywiście czułam się jak sokół. *Riza! O-riza!* Już wypowiadając to słowo, mam ochotę rzucać.

Pamięć podsunęła Jake'owi niemiłe wspomnienie Gashera („Twojego starego kumpla Gashera” — jak lubił mawiać ten poczciwy dżentelmen) i chłopiec zadrżał.

— Naprawdę zrezygnowałabyś z rewolweru? — zapytał Roland. Sam nie wiedział, czy jest rozbawiony, czy przerażony.

— A ty skręcałbyś sobie papierosy, gdybyś mógł dostać gotowe? — zapytała i zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: — Nie, skądże. Lecz talerz to wspaniała broń. Kiedy przybędą Wilki, mam nadzieję rzucić ze dwa tuziny. Tyle, ile zdołam zmieścić w koszykach.

— Czy nie zabraknie talerzy? — zapytał Eddie.

— Nie — odparła. — Nie ma dużo zdobionych, takich jak ten, którym *sai* Eisenhart rzucała przed tobą, Rolandzie, ale mają setki ćwiczebnych. Rosalita i Sarey Adams przeglądają je, odrzucając te, które są lekko zwichrowane. — Zawahała się i zniżyła głos. — Widziałam, jak one rzucają, Rolandzie, i chociaż Sarey ma lwie serce i stawiałyby czoło nawałnicy...

— Nie ma do tego drygu, co? — zapytał ze współczuciem Eddie.

— Nie bardzo — przyznała Susannah. — Jest dobra, ale nie tak jak pozostałe. I nie dość zawzięta.

— Może będę miał dla niej inne zadanie — rzekł Roland.

— Jakie, kochasiu?

— Na przykład eskortowanie dzieci. Pojutrze zobaczymy, jak umieją strzelać. Odrobina rywalizacji zawsze poprawia wyniki. O piątą po południu. Czy one o tym wiedzą, Susannah?

— Tak. Przyszłaby większość mieszkańców, gdyby im tylko pozwolić.

Niedobrze, a przecież należało się tego spodziewać. *Za długo pozostawałem z daleka od świata ludzi, pomyślał. Za długo.*

— Nie chcę widzieć nikogo prócz tych dam i nas — rzekł stanowczo Roland.

— Gdyby mieszkańcy zobaczyli, jak dobrze kobiety umieją rzucać, może to przeciągnęłoby na naszą stronę tych, którzy wciąż się wahają.

Roland pokręcił głową. Wcale nie chciał, żeby wszyscy się

dowiedzieli, jak dobrze kobiety umieją rzucać. Ale może powinni wiedzieć, że rzucają talerzami... Może to nie jest taki zły pomysł.

— Czy one są w tym dobre, Susannah? Powiedz. Zastanowiła się.

— Zabójczo dobre. Wszystkie — odparła z uśmiechem.

— Mogłabyś nauczyć je rzucać obiema rękami?

Myślała przez chwilę. Mając dużo czasu, można każdego nauczyć niemal wszystkiego, lecz oni go nie mieli. Zostało im tylko trzynaście dni, a od dnia, w którym Siostry Pani Ryżu (włącznie z ich najnowszą członkinią, Susannah z Nowego Jorku) spotkają się na pokazie na podwórzu Starego Człowieka, zostanie tylko półtora tygodnia. Rzucanie obiema rękami przychodziło jej z łatwością, tak samo jak strzelanie. Lecz innym...

— Rosalita nauczy się — powiedziała w końcu. — Margaret Eisenhart też mogłaby, ale nie wiem, czy nie pogubiłaby się w decydującej chwili. Zalia? Nie. Lepiej żeby rzucała po jednym i tylko prawą ręką. Jest trochę wolna, ale gwarantuję, że każdy rzucony przez nią talerz trafi w cel.

— Taak — mruknął Eddie. — Chyba że namierzy ją znicz i zrobi z niej marmoladę.

Susannah zignorowała tę uwagę.

— Możemy dać im popalić, Rolandzie. Wiesz o tym Skinął głową. To, co widział, dodało mu otuchy, szczególnie po tym, co powiedział mu Eddie. Susannah i Jake również poznali już tajemnicę dziadka Jaffordsa. A skoro mowa o chłopcu...

— Jesteś dziś bardzo milczący — zwrócił się Roland do Jake'a. — Czy wszystko w porządku?

— Tak, dzięki ci — odparł Jake. Obserwował Andy'ego. Myślał o tym, w jaki sposób robot niańczy małego chłopczyka.

To tym, że gdyby Tian i Zalia zginęli wraz ze starszymi dziećmi i Andy musiał wychowywać Aarona, małeć zapewne umarłby przed upływem sześciu miesięcy. Umarłby albo stał się najdziwniejszym dzieciakiem we wszechświecie. Robot przewijałby go, karmił odpowiednimi pożywkami, przebierał w razie potrzeby i klepał po plecach, żeby dziecku się odbiło, a także śpiewał mu różne kołysanki. Wszystkie byłyby melodyjne, ale w żadnej nie byłoby matczynej czułości. Ani ojcowskiej. Andy

był tylko Andym, Robotem Pośląncem (I Wiele Innych Funkcji). Małemu Aaronowi byłoby lepiej wychowywać się u... no, między wilkami.

Ta myśl przywiodła mu wspomnienie nocy, gdy wraz z Benym spali pod namiotem. Widział wówczas Andy'ego rozmawiającego z ojcem Benny'ego. A potem Ben Slightman przeprowił się na drugi brzeg rzeki. I ruszył na wschód.

Zmierzając w kierunku Jądra Gromu.

— Jake, na pewno wszystko w porządku? — spytała Susannah.

— Tak, psze pani — powiedział, wiedząc, że to ją rozbawi.

Tak też się stało i Jake roześmiał się z nią, ale nie przestawał myśleć o ojcu Benny'ego. I tych jego okularach. Jake był całkowicie pewien, że nosił je jako jedyny w mieście. Zapytał go o nie kiedyś, gdy we trójkę wybrali się na jedno z dwóch północnych pastwisk Rocking B w poszukiwaniu zbłąkanego bydła. Ojciec Benny'ego opowiedział bajeczkę o tym, jak dał za nie pięknego żrebaka czystej krwi ludziom z jeziornego targowiska, kiedy jeszcze żyła siostra chłopca, niech ją Pani Ryżu ma w opiece. Kupił je, chociaż wszyscy kowboje — a nawet sam Vaughn Eisenhart, wiecie — mówili mu, że takie okulary do niczego się nie nadają i jest z nich tyle pożytku, co z przepowiedni Andy'ego. Mimo to Ben Slightman nałożył je na nos i wszystko się zmieniło. Nagle, po raz pierwszy od kiedy skończył siedem lat, dobrze widział otaczający go świat.

Jadąc, wytarł swoje okulary o koszulę, spojrzął na nie pod słońce, tak że dwie bliźniacze plamy światła zatańczyły mu na policzkach, a potem znowu je nałożył.

— Gdybym kiedyś zgubił lub zepsuł te okulary — rzekł — nie wiedziałbym, co począć. Wprawdzie doskonale obywatłem się bez nich przez dwadzieścia lat, ale człowiek szybko przyzwyczaja się do tego co dobre.

Jake uważał, że to doskonała bajeczka. Był pewien, że Susannah uwierzyłaby w nią (zakładając, że w ogóle dostrzegłaby coś dziwnego w tym, że Slightman nosi okulary. Podejrzewał, że Roland też by mu uwierzył. Slightman opowiedział ją jak należy: z miną człowieka, który cieszy się z uśmiechu szczęścia i nie ma nic przeciwko temu, by powiedzieć ludziom, że miał rację w tej sprawie, podczas gdy wiele osób, a wśród

nich jego szef, bardzo się mylili. Może nawet Eddie by to przełknął. Zdaniem Jake'a jedyną wadą opowieści Slightmana było to, że została zmyślona. Nie wiedział, o co chodzi, tak głęboko nie potrafił sięgnąć dotykem, ale był przekonany, że została zmyślona. I to go niepokoiło.

To pewnie nic takiego. Pewnie zdobył je w jakiś inny, może mniej uczciwy sposób. Na przykład jakiś Manni mógł przenieść okulary z innego świata, a ojciec Benny 'ego je ukraść.

Była to tylko jedna z możliwości. W razie potrzeby Jake mógłby wymyślić tuzin innych. Natura obdarzyła go wyobraźnią. Istotne było to, że okulary niepokoiły go, a już szczególnie po tym, co widział nad rzeką. Jakie sprawy mógł załatwiać zarządca Eisenharta na drugim brzegu rzeki Whye? Jake nie miał pojęcia. A mimo to, ilekroć zbierał się, żeby porozmawiać o tym z Rolandem, coś go powstrzymywało.

I to ty miałeś mu za złe, że nie mówi ci wszystkiego!

No tak, tak. Jednak...

Jednak co, pętaku?

Benny. To o niego chodziło. Benny stanowił problem. A może raczej to Jake miał problem sam z sobą. Nigdy nie umiał zawierać przyjaźni, a teraz miał dobrego przyjaciela. Prawdziwego. Na myśl o tym, że mógłby narobić kłopotów ojcu Benny'ego, robiło mu się niedobrze.

7

Dwa dni później o piątej po południu Rosalita, Zalia, Margaret Eisenhart, Sarey Adams i Susannah Dean zebrały się na polu na zachód od czyściutkiwej wygodki Rosality. Zrobiły to wśród chichotów, a nawet wybuchów głośnego, nerwowego śmiechu. Roland trzymał się z daleka i to samo zalecił Eddiemu oraz Jake'owi. Lepiej nie rzucać się w oczy.

Pod płótnem, rozmieszczone co dziesięć stóp, stały kukły o buraczanych głowach, owiniętych kawałkiem worka mającego wyglądać jak kaptur. U stóp każdej kukły stały trzy kosze. W jednym były buraki. W drugim ziemniaki. Zawartość trzeciego wywołała jęki i okrzyki protestu. Był wypełniony korzeniami pietruszki. Roland powiedział paniom, żeby przestały

biadolić, bo zastanawiał się nad ziarnkami grochu. Żadna z dam (z Susannah włącznie) nie była pewna, czy tylko żartował.

Callahan, tego dnia ubrany w dżinsy i ranczerską kurtkę z wieloma kieszeniami, wyszedł na ganek, na którym siedział Roland, paląc i czekając, aż kobiety będą gotowe. Jake i Eddie grali opodał w bierki.

— Vaughn Eisenhart czeka przy frontowych drzwiach — powiedział Pere do Rolanda. — Mówi, że wybiera się do Tooka na piwo, ale najpierw chce zamienić z tobą słówko.

Roland westchnął, wstał i przeszedł przez dom do frontowych drzwi. Eisenhart siedział w dwukółce, oparty buciory o deskę błotnika, posępnie spoglądając na kościółek Callahana.

— Dzień dobry, Rolandzie — odezwał się.

Kilka dni wcześniej Wayne Overholser podarował Rolandowi kowbojski kapelusz z szerokim rondem. Rewolwerowiec uchylił go przed ranczerem i czekał.

— Sądzę, że wkrótce roześlesz wici — zaczął Eisenhart. — Żeby zwołać posiedzenie, bardzo proszę.

Roland przyznał, że myśli o tym. Mieszkańcy miasteczka nie będą mówić rycerzom El da, jak mają wykonywać swoje obowiązki, ale Roland postanowił powiedzieć, co zamierza zrobić. Przynajmniej tyle był im winien.

— Chcę, żebyś wiedział, że gdy przyjdzie czas, dotknę pióra i poślę je dalej. I przyjdę na zebranie powiedzieć „tak”. /

— Piękne dzięki — odparł Roland. Był szczerze poruszony. Najwidoczniej od kiedy połączył siły z Jakiem, Eddie i Susannah, częściej odczuwał emocje. Czasem tego żałował. Ale przeważnie nie.

— Took nie zmieni zdania.

— Nie — przyznał Roland. — Dopóki interes kwitnie, Tookowie tego świata nigdy nie dotkną wici. I nie powiedzą „tak”.

— Cwerholser też.

To był cios. Niezupełnie niespodziewany, lecz Roland liczył na to, że Cwerholser zmieni zdanie. Aczkolwiek miał wystarczająco silne poparcie, żeby mógł się bez niego obejść, i Overholser zapewne zdawał sobie z tego sprawę. Jeśli jest mądry, będzie po prostu siedział i czekał, aż wszystko się rozstrzygnie

tak czy inaczej. Jeśli spróbuje przeszkadzać, prawdopodobnie nie zobaczy przyszłorocznych plonów w swoich stodołach.

— Chciałem, żebyś wiedział jedno — rzekł Eisenhart. — Przyłączyłem się ze względu na moją żonę, a ona przyłączyła się, bo chce polować. Tak kończą się te zabawy z talerzami: kobieta zaczyna mówić mężczyźnie, jak ma być... To nienaturalne. Mężczyzna powinien rozkazywać swej kobiecie. Oczywiście we wszystkich sprawach, które nie dotyczą małych dzieci.

— Ona zrezygnowała ze wszystkiego, kiedy za ciebie wyszła — przypomniał Roland. — Teraz twoja kolej, żeby odrobinę ustąpić.

— Sądzisz, że o tym nie wiem? Jeśli jednak przez ciebie zginie, Rolandzie, wyjedziesz z Calla z moim przekleństwem. Jeśli wyjedziesz w ogóle. Nieważne, ile dzieci uratujesz.

Roland, którego już nieraz przeklinano, pokiwał głową.

— Jeśli *ka* zechce, Vaughn, ona wróci cała i zdrowa.

— Tak. Pamiętaj jednak, co ci powiedziałem.

— Będę pamiętał.

Eisenhart trzepnął konia lejcami po zadzie i dwukółka pomknęła naprzód.

8

Każda z kobiet przecięła buraczany łeb na dwie połowy z odległości czterdziestu, pięćdziesięciu i sześćdziesięciu jardów.

— Mierźcie w górną część kaptura, jak najwyżej — poradził Roland. — Trafiając niżej, niczego nie osiągniecie.

— Mają broje? — spytała Rosalita.

— Tak — odparł Roland niezupełnie szczerze. Nie zamierzał wyjawiać im całej prawdy, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Następnie rzucały do kartofli. Sarey Adams trafiła do celu z odległości czterdziestu jardów, musnęła z pięćdziesięciu i chybiła z sześćdziesięciu — jej talerz przeleciał za wysoko. Zakląła, bynajmniej nie jak dama, po czym ze zwieszoną głową wróciła na miejsce obok wygodki. Usiadła tam, aby przyglądać się reszcie zawodów. Roland podszedł i usiadł obok niej.

Dostrzegł łzę spływającą z kącika oka po spierzchniętym od wiatru policzku.

— Zawiodłam cię, przybyszu. Przykro mi. Roland ujął jej dłoń i lekko uściśnął.

— Nie, pani, nie. Mam dla ciebie zadanie. Inne niż dla pozostałych. I być może będziesz musiała rzucać talerzem.

Posłała mu nikły uśmiech i podziękowała.

Eddie umieścił na kukłach nowe buraczane „głowy”, a potem na każdej postawił pietruszkę. Te ostatnie prawie ginęły w płóciennych kapturach.

— Powodzenia, dziewczyny — zawołał. — Lepiej, że to wy niż ja.

Cofnął się.

— Tym razem zacznijcie z odległości dziesięciu jardów! — krzyknął Roland.

Z dziesięciu wszystkie trafiły. I z dwudziestu. Przy trzydziestu Susannah rzuciła swój talerz nieco za wysoko, tak jak polecił jej Roland. Chciał, żeby tę rundę wygrała jedna z miejscowych kobiet. Rzucając z odległości czterdziestu jardów, Zalia Jaffords odrobinę za późno wypuściła z palców talerz, który rozciął na dwie połowy buraczany łeb, a nie stojącą na nim pietruszkę.

— Pieprzyć to! — krzyknęła, po czym zasłoniła rękami usta i zerknęła na Callahana, który siedział na schodkach werandy. Duchowny uśmiechnął się i wesoło pomachał ręką, udając, że tego nie słyszał.

Gniewnie pomaszerowała do Eddiego i Jake'a, zaczerwieniona po korzonki włosów i wściekła.

— Musicie mu powiedzieć, żeby dał mi jeszcze jedną szansę, błagam was — zwróciła się do Eddiego. — Poradzę sobie, wiem, że potrafią...

Eddie położył dłoń na jej ramieniu, zapobiegając powodzi łez.

— On też o tym wie, Zee. Wchodzisz w to. Zmierzyła go pałającym wzrokiem, tak mocno zaciskając wargi, że stały się prawie niewidoczne.

— Jesteś pewien?

— Tak — rzekł Eddie. — Mogłabyś rzucać dla Metsów, kochana.

Teraz zostały tylko Margaret i Rosalita. Obie trafiły w pietruszki z pięćdziesięciu jardów.

— Wiesz, co, koleś? Gdybym tego nie widział, powiedziałbym, że to niemożliwe — mruknął Eddie do Jake'a.

Rzucając z odległości sześćdziesięciu jardów, Margaret Eisenhart nie trafiła do celu. Rosalita uniosła talerz wysoko nad prawe ramię — gdyż była leworęczna — zawahała się, a potem krzyknęła *Riza!* Nawet sokolooki Roland nie był pewien, czy krawędź talerza trąciła pietruszkę, czy też wyrzucił ją podmuch. W każdym razie Rosalita podniosła ręce nad głowę i potrząsnęła nimi ze śmiechem.

— Wygrałaś gęś! Wygrałaś gęś! — zawołała Margaret. Inni zawtórowali jej. Wkrótce nawet Callahan przyłączył się do owacji.

Roland podszedł do Rosy i uściskał ją, przelotnie, lecz mocno. Robiąc to, szepnął jej do ucha, że chociaż nie ma gęsi, to może wieczorem znajdzie dla niej innego ptaka o długiej szyi.

— No cóż — odparła z uśmiechem — na starość trzeba z wdzięcznością przyjmować każdy dar losu. Prawda?

Zalia zerknęła na Margaret.

— Co on jej powiedział? Jak sądzisz?

Margaret Eisenhart uśmiechnęła się.

— Z pewnością nic takiego, czego jeszcze nie słyszałaś — odparła.

9

Potem panie odeszły. Pere Callahan również, z powodu takich czy innych spraw. Roland z Gilead usiadł na ostatnim schodku werandy, spoglądając na zbocze, na którym przed chwilą rozebrano zawody. Kiedy Susannah zapytała go, czy jest zadowolony, skinął głową.

— Tak, myślę, że z tym wszystko jest w porządku. A przynajmniej taką musimy mieć nadzieję, gdyż zostało nam mało czasu. Teraz wydarzenia potoczą się szybciej.

Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie miał do czynienia z takim splotem zbiegów okoliczności... lecz od czasu gdy Susannah przyznała się, że jest w ciąży, trochę się uspokoił.

Twój leniwy umysł przypomniał sobie o ka. / to tylko dlatego, że ta kobieta zdobyła się na odwagę, na jaką was nie było stać, pomyślał.

— Rolandzie, czy mam wracać na Rocking B? — zapytał - Jake.

Roland zastanowił się, a potem wzruszył ramionami.

— A masz ochotę?

— Tak, ale tym razem chcę wziąć rugera. — Jake lekko poczerwieniał, lecz nawet się nie zająknął. Obudził się z tym pomysłem, jakby bóg snu zwany przez Rolanda Nisem przyniósł mu go w nocy. — Owinę go zapasową koszulą i kocem. Nikt nie będzie wiedział, że mam go przy sobie. — I szybko dodał: — Nie zamierzam pokazywać go Benny'emu, jeśli o to mnie podejrzewasz.

Taka myśl nie przyszła Rolandowi do głowy. A czy przyszła Jake'owi? Zapytał o to i otrzymał odpowiedź, która sprawiała wrażenie wcześniej przygotowanej, na wypadek gdyby rozmowa przybrała właśnie taki obrót.

— Pytasz jako mój *dinh*

Roland otworzył usta, żeby przytaknąć, lecz zobaczył, jak uważnie obserwują go Eddie z Susannah, i zmienił zamiar. Jest różnica między dochowywaniem sekretu (tak jak każdy z nich na swój sposób utrzymywał w tajemnicy ciężę Susannah) a kierowaniem się tym, co Eddie nazywa „przeczcuciem”. Podtekstem pytania Jake'a była prośba o większą swobodę ruchów. Po prostu. A Jake z pewnością zasłużył na większą swobodę ruchów. Nie był to ten sam chłopiec, który przybył do Świata Pośredniego przerażony, rozdygotany i prawie nagi.

— Nie — odparł. — A co do rugera, możesz brać go dokądkolwiek i kiedykolwiek chcesz. Czyż nie jest twoją własnością?

— Ukradłem go — wyznał cicho Jake. Spuścił głowę.

— Wziąłeś to, co było ci potrzebne, aby przetrwać — poprawiła Susannah. — A to ogromna różnica. Posłuchaj, kochasiu, chyba nie zamierzasz nikogo zastrzelić, co?

— Nie, nie zamierzam.

— Uważaj — mruknęła. — Nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale bądź ostrożny.

— I cokolwiek to jest, lepiej załatw sprawę w ciągu nadchodzącego tygodnia — poradził mu Eddie.

Jake kiwnął głową, a potem spojrzął na Rolanda.

— Kiedy zamierzasz zwołać zebranie mieszkańców?

— Według słów robota, mamy dziesięć dni do przybycia Wilków. Tak więc... — Roland pospiesznie policzył. — Zwołam zebranie za sześć dni. Czy to ci odpowiada?

Jake ponownie przytaknął.

— Na pewno nie chcesz nam powiedzieć, co ci chodzi po głowie?

— Nie, chyba że zapytasz jako *dinh* — odparł Jake. — To zapewne nic ważnego, Rolandzie. Naprawdę.

Roland z powątpiewaniem skinął głową i zaczął skręcać sobie kolejnego papierosa. Cudownie mieć świeży tytoń.

— Macie coś jeszcze? Bo jeśli nie...

— Owszem, tak — rzekł Eddie. Powiedział to niedbale, jakby proponował wyprawę do sklepu po marynaty albo lukrecjową pałeczkę, lecz w oczach miał błysk podniecenia. — I tym razem muszę się tam udać we własnym ciele. Co chyba oznacza konieczność wykorzystania kryształu. Czarnej Trzynastki. Mam nadzieję, że potrafisz to zrobić, Rolandzie.

— Dlaczego musisz wrócić do Nowego Jorku? Pytam jako *dinh*.

— No jasne — odparł Eddie — i zaraz ci to powiem. Dlatego że miałeś rację, mówiąc, że mamy mało czasu. I dlatego że Wilki z Calla nie są naszym jedynym zmartwieniem.

— Chcesz sprawdzić, kiedy będzie piętnasty lipca — domyślił się Jake. — Prawda?

— Taak — przyznał Eddie. — Kiedy wpadliśmy w trans, przekonaliśmy się, że w tamtej wersji Nowego Jorku z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego czas biegnie szybciej. Pamiętacie datę na tym kawałku „The New York Timesa”, który znalazłem w bramie?

— Drugiego czerwca — powiedziała Susannah.

— Właśnie. Ponadto przekonaliśmy się już, że nie zdołamy nadrobić opóźnienia. Za każdym razem, gdy tam wracamy, jest nieco później. Mam rację?

Jake energicznie kiwnął głową.

— Ponieważ tamten świat jest niepodobny do innych... no, chyba że tylko nam się tak wydawało pod wpływem transu, w jaki wprowadziła nas Czarna Trzynastka.

— Nie sądzę — rzekł Eddie. — Ten mały kawałek Drugiej

Aleja między opuszczoną parcelą a Sześćdziesiątą to bardzo ważne miejsce. Myślę, że to przejście. Jedno duże przejście. Jake Chambers wyglądał na coraz bardziej podekscytowanego.

— Nie do Sześćdziesiątej. Nie aż tak daleko. Druga Aleja między Czterdziestą Szóstą a Pięćdziesiątą Czwartą Ulicą, tak mi się zdaje. Tego dnia, kiedy opuściłem Piper School, po dojściu do Pięćdziesiątej Czwartej poczułem, że coś się zmienia. To tylko osiem przecznic. Ciąg handlowy ze sklepem z nagraniami. Mama Mniam-Mniam i Manhattańska Restauracja Ducha. I opuszczona parcela, rzecz jasna. To druga strona drzwi. One... sam nie wiem...

Eddie odpowiedział mu:

— Będąc tam, przechodzisz do innego świata. Jakiegoś *kluczowego* świata. Myślę, że to właśnie dlatego czas zawsze biegnie...

Roland podniósł rękę.

— Dość.

Eddie zamilkł, wyczekująco patrząc na Rolanda i uśmiechając się. Roland nie odpowiedział uśmiechem. Stracił dobry humor. Zbyt wiele do zrobienia, niech to licha. 1 za mało czasu.

— Chcesz sprawdzić, ile jeszcze zostało tam czasu do dnia, w którym umowa straci ważność i wygaśnie — rzekł. — Dobrze zrozumiałem?

— Dobrze.

— Przecież nie musisz wracać do Nowego Jorku, Eddie. Możesz to zrobić w transie.

— Trans wystarczyłby do sprawdzenia dnia i miesiąca, ale to nie wszystko. Najwyraźniej zgłupieliśmy, jeśli chodzi o tę opuszczoną parcelę. Kompletnie zgłupieliśmy.

Eddie uważał, że mogą stać się właścicielami opuszczonej parceli, nie ruszając odziedziczonej przez Susannah fortuny. Sądził, że opowieść Callahana jasno wskazywała im sposób, w jaki mogą ją zdobyć. Nie różę, tej nikt nie mógł posiadać na własność (ani oni, ani nikt inny). Można było tylko ją chronić. A to mogli robić. Być może.

Przestraszony czy nie, Calvin Tower czekał w opuszczonej pralni, żeby uratować tyłek Callahana. I wystraszony czy nie, Calvin Tower odmówił — przynajmniej trzydziestego pierwszego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku — sprzedaży ostatniej części swojej nieruchomości Sombra Corporation. Eddie uważał, że Calvin Tower — mówiąc słowami piosenki — czeka na bohatera.

Przypomniał sobie również, jak Callahan ukrył twarz w dłoniach, kiedy po raz pierwszy wspomniano o Czarnej Trzynastce. Chciał pozbyć się jej z kościoła... ale do tej pory przechowywał ją pod podłogą. Tak samo jak właściciel księgarni, Pere czekał na zbawcę. Byli głupcami, zakładając, że Calvin Tower zażąda milionów za swoją parcelę! On też chciał się jej pozbyć. Oddać pierwszej odpowiedniej osobie. Albo odpowiedniemu *ka-tet*.

— Suziella, ty nie możesz tam iść, ponieważ jesteś w ciąży — powiedział Eddie. — Jake nie może, bo jest chłopcem. Pomijając wszelkie inne kwestie, Jake, jestem pewien, że nie mógłbyś podpisać umowy, o jakiej myślimy, od kiedy Callahan opowiedział nam swoją historię. Mógłbym wziąć cię ze sobą, ale mam wrażenie, że zamierzasz coś sprawdzić tutaj. A może się mylę?

— Nie mylisz się — odparł Jake. — Chociaż prawie jestem gotów z tego zrezygnować, żeby pójść z tobą. Ta wyprawa zapowiada się naprawdę niezłe.

Eddie uśmiechnął się.

— „Prawie” ma znaczenie tylko w wypadku granatów lub końskich kopyt. Co do posyłania Rolanda, to bez urazy, szefie, ale wyraźnie czujesz się nieswojo w naszym świecie. Brak ci... hm... pewnego wyczucia realiów.

Susannah parsknęła śmiechem.

— Ile zamierzasz mu zaproponować? — zapytał Jake. — Chcę powiedzieć, że chyba musisz mu coś dać, no nie?

— Dolara — odparł Eddie. — Pewnie będę musiał poprosić Towera, żeby mi go pożyczył, ale...

— Nie, chyba nie będzie tak źle — rzekł z powagą Jake. — Jestem pewien, że mam w plecaku pięć czy sześć dolców. — Uśmiechnął się. — I możemy mu obiecać, że później dostanie więcej. Kiedy tutaj trochę się uspokoi.

— Jeśli przeżyjemy — dorzuciła Susannah, lecz i ona wy-

glądała na podeksycytowaną. — Wiesz co, Eddie? Jesteś genialny.

— Balazar i jego przyjaciele nie będą zadowoleni, jeśli *sai* Tower sprzeda nam tę działkę — oświadczył Roland.

— Taak, ale może uda nam się przekonać Balazara, żeby zostawił go w spokoju — odrzekł Eddie. Kąciki jego ust uniosły się w ponurym uśmiechu. — Skoro o tym mowa, Rolandzie, to Enrico Balzar jest facetem, którego chętnie zabiłbym po raz drugi.

— Kiedy chcesz wyruszyć? — spytała Susannah.

— Im prędzej, tym lepiej. Doprowadza mnie do szału to, że nie mam pojęcia, jak szybko płynie czas w Nowym Jorku. Rolandzie? Co ty na to?

— Moim zdaniem powinieneś wyruszyć jutro. Zabierzemy kulę do jaskini i wtedy zobaczymy, czy zdołasz przenieść się do niegdyś Calvina Towera. To dobry pomysł, Eddie, i dzięki ci.

— A jeśli kryształ przeniesie cię w inne miejsce? — zapytał Jake. — Do innej wersji tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku albo... — Nie wiedział, jak to ująć. Pamiętał, że wszystko wydawało się *cienkie*, gdy Czarna Trzynastka po raz pierwszy wprowadziła ich w trans, i pamiętał tę bezkresną ciemność, zdającą się czekać tuż pod powierzchnią otaczającej ich rzeczywistości... — ...albo gdzieś jeszcze dalej? — dokończył.

— W takim wypadku przyślę wam pocztówkę — odparł Eddie z uśmiechem i wzruszeniem ramion, lecz przez moment Jake dostrzegł błysk strachu w jego oczach. Widocznie Susannah też to zauważyła, bo ujęła dłoń Eddiego w obie ręce i ucisnęła ją.

— Hej, nic mi się nie stanie — zapewnił Eddie.

— Postaraj się, żeby tak było — odparła Susannah. — Postaraj się.

Rozdział 2

DOGAN, CZĘŚĆ 1

1

Jłjedy Roland i Eddie weszli następnego ranka do kościoła Naszej Łaskawej Pani, słoneczny blask był niczym plotka głosząca, że ukaże się za horyzontem na północnym wschodzie. Eddie oświetlał drogę kagankiem, mocno zaciskając wargi. To, po co tu przyszli, cicho mruczało. Był to senny pomruk, a mimo to nienawistny. Kościół też sprawiał dziwne wrażenie. Wydawał się zbyt wielki. Eddie nie mógł się pozbyć wrażenia, że zaraz ujrzy jakieś widmowe postacie (albo gromadę błędzących zmarłych), siedzących na ławkach i spoglądających na nich z upiorną dezaprobatą.

Ten pomruk jednak był gorszy.

Doszli do prezbiterium; Roland otworzył torbę i wyjął sportowy worek, który Jake do poprzedniego dnia nosił w swoim plecaku. Rewolwerowiec przez moment trzymał go w wyciągniętych rękach, tak że obaj mogli odczytać napis na boku: ANI CHWILI NUDY W ŚWIECIE POŚREDNIM.

— Od tego momentu ma być cisza, dopóki nie dam znać — rzekł Roland. — Zgoda?

— Tak.

Roland wepchnął kciuk w szparę między dwiema deskami i skrytka się otworzyła. Odchylił wieko. Eddie widział kiedyś w telewizji film o saperach rozbijających niewypały podczas nalotów na Londyn — chyba nosił tytuł *UXB* — i teraz ruchy Rolanda przypomniały mu ten film. A czemu nie? Jeśli nie

mylili się co do przedmiotu ukrytego w tej skrytce — a Eddie wiedział, że się nie mylą — to była istna bomba.

Roland odchylił białą Inianą komżę, odsłaniając szkatułkę. Pomruk ucichł. Eddie wstrzymał oddech. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Gdzieś w pobliżu niewiarygodnie złośliwy potwór otworzył jedno oko.

Z pudełka ponownie popłynęło senne mruczenie i Eddie zaczął oddychać. Roland podał mu sportowy worek i pokazał, jak ma go trzymać. Z ociąganiem wykonał polecenie (przez cały czas mając ochotę szepnąć Rolandowi na ucho, że powinni zapomnieć o całej tej sprawie i wynieść się stąd w diabły). Roland wyjął szkatułkę ze skrytki. W jasnym, choć wąskim kręgu światła kaganka Eddie dostrzegł krople potu na czole rewolwerowca. Czuł, że sam też się spocił. Jeśli Czarna Trzynastka zbudzi się i pośle ich w jakąś czarną otchłań...

Nie pójde. Będę walczył, żeby zostać z Susannah.

Z pewnością. Mimo to ulżyło mu, kiedy Roland wsunął kunsztownie rzeźbioną szkatułkę do metalowego pojemnika, który znaleźli na opuszczonej parceli. Mruczenie nie umilkło całkowicie, ale przycichło do lekkiego pomruku. A kiedy Roland delikatnie ściągnął sznurek, zamykając worek, pomruk zmienił się w ledwie słyszalny szmer. Jakbyś przyłożył muszlę do ucha.

Eddie nakreślił w powietrzu znak krzyża. Z krzywym uśmiechem Roland zrobił to samo.

Kiedy wyszli z kościoła, horyzont na północnym wschodzie już pojaśniał. Najwidoczniej miał nadejść świt.

— Rolandzie.

Rewolwerowiec odwrócił się do niego, unosząc brwi. Lewą ręką zaciskał wylot worka, nie zamierzając zapewne powierzyć ciężaru pudełka sznurkowi, chociaż ten wyglądał solidnie.

— Jeżeli byliśmy w transie, kiedy znaleźliśmy ten worek, to jak zdołaliśmy go zabrać?

Roland zastanowił się.

— Widocznie ten worek również jest w transie.

— W dalszym ciągu?

Roland kiwnął głową.

— Tak, teraz.

— Och. To niesamowite.

— Odechciało ci się wycieczki do Nowego Jorku, Eddie?

Przecząco pokręcił głową. Był jednak przestraszony. Chyba bardziej niż kiedykolwiek od czasu, gdy stał w przejściu wagonu i zadawał zagadki Blaine'owi Mono.

2

Zanim przebyli połowę drogi ścieżką wiodącą do Jaskini Przejścia (to wysoko, rzekł Henchick i rzeczywiście), minęła dziesiąta i zrobiło się stosunkowo ciepło. Eddie przystanął, otarł chustką kark i spojrzał na kręte parowy na północy. Tu i ówdzie widział zięjące czarne dziury. Zapytał Rolanda, czy to stare kopalnie granatów. Rewolwerowiec potwierdził.

— W której z nich zamierzasz ukryć dzieciaki? Widać ją stąd?

— Prawdę mówiąc, tak. — Roland wyjął z kabury rewolwer i wycelował. — Patrz wzdłuż lufy.

Eddie zrobił to i ujrzał głęboki wąwóz w kształcie poszarpanej litery S. Aż po krawędzie wypełniały go aksamitne cienie. Domyślił się, że słońce oświetla jego dno tylko przez jakieś pół godziny dziennie. Dalej na północy wąwóz zdawał się ślepo zakończony wysoką ścianą skalną. Eddie podejrzewał, że znajduje się w niej wylot kopalnianego szybu, skrytego w mroku. Od południowego wschodu wąwóz prowadził do pylistej drogi, która wiodła z powrotem do wschodniego traktu. Za wschodnim traktem były pola, powoli opadające ku blednącym, lecz wciąż zielonym ryżowym łanom, za którymi płynęła rzeka.

— To mi przypomina historię, którą nam opowiadałeś — powiedział Eddie. — 1 kanion Eyebolt.

— Zrozumiałe.

— Tylko że tu nie ma błony, która wykonałaby brudną robotę.

— Nie — przyznał Roland. — Nie ma.

— Powiedz mi prawdę, czy rzeczywiście zamierzasz upchać dzieciaki z miasta w kopalni na końcu takiego ślepego zaułka jak ten kanion?

— Nie.

— Mieszkańcy myślą, że chcesz... że my chcemy to zrobić. Nawet panie od rzucania talerzami tak sądzą.

— Wiem — odpowiedział Roland — Chciałem, żeby tak myśleli.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie wierzę w to, że Wilki odnajdują dzieci dzięki swoim nadprzyrodzonym umiejętnościom. A skoro o tym mowa, to po wysłuchaniu opowieści starego Jaffordsa sądzę, że w Wilkach nie ma nic nadprzyrodzonego. Nie, Eddie, w tym worku z kukurydzą jest szczur. Ktoś donosi tym, którzy czają się w Jądrze Gromu.

— Myślisz, że donosicieli było kilku. Za każdym razem inny, skoro napady zdarzały się co dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata.

— Tak.

— Tylko kto? — pytał Eddie. — Kto byłby do tego zdolny?

— Nie mam pewności, jedynie podejrzania.

— Took? W ramach tradycji przekazywanej z ojca na syna?

— Jeśli odpocząłeś, Eddie, to chyba powinniśmy już ruszać.

— Overholser? Może ten Telford, wyglądający jak kowboj z telewizji?

Roland minął go bez słowa, chrzęszcząc podeszwami butów na kamkach i żwirze. W zdrowej lewej ręce trzymał różowy worek sportowy. Ukryta w nim kula wciąż szeptała swoje mroczne sekrety.

— Gadatliwy jak zwykle, piękne dzięki — mruknął Eddie i poszedł za nim.

3

Pierwszy głos, który wydobył się z głębi jaskini, należał do wielkiego mędrca i znanego ćpuna.

— Och, patrzajta na tego mazgaja! — jęczał Henry. Eddiemu przypominał martwego partnera Ebenezera Scrooge'a z *Opowieści wigilijnej*, jednocześnie zabawnego i przerażającego. — Czy mały mazgaj myśli, że wróci se do Njujorka? Jeśli spróbujesz, zawędrujesz znacznie dalej, braciszku. Lepiej zostań tam, gdzie jesteś... strugaj sobie drewnienka... i bądź grzecznym człowieczkiem...

Nieżyjący brat zachichotał. Żyjący zdrzątał.

— Eddie? — odezwał się Roland.

— Słuchaj brata, Eddie! — rozpoznał głos matki nawołującej z ciemnej i przepastnej gardzieli jaskini. Na skalistym dnie lśniły kupki kosteczek. — Oddał za ciebie życie, poświęcił się, więc mógłbyś przynajmniej go wysłuchać!

— Eddie, dobrze się czujesz?

Teraz usłyszał Csabę Drabnika, znanego kumplom Eddiego jako Szalony Popieprzony Węgier. Csaba mówił Eddiemu, żeby dał mu papierosa, bo inaczej ściągnie mu spodnie. Eddie z trudem odepchnął od siebie tę przerażającą, lecz fascynującą wizję.

— Tak — odparł. — Chyba tak.

— Te głosy rozbrzmiewają w twojej głowie. Jaskinia wychwytuje je i w jakiś sposób wzmacnia. Emituje. Wiem, że to trochę irytujące, ale bez znaczenia.

— Czemu pozwoliłeś im mnie zabić, braciszku? — szlochał Henry. — Myślałem, że przyjdiesz, ale nie przyszedłeś!

— Bez znaczenia — powtórzył Eddie. — W porządku, kapuję. I co robimy?

— Według informacji, jakie otrzymaliśmy o tym miejscu... od Callahana i Henchicka... te drzwi otworzą się, kiedy uchylę wieko szkatułki.

Eddie zaśmiał się nerwowo.

— Wolałbym, żebyś nawet nie wyjmował jej z torby, wiesz?

— Jeśli zmienisz zdanie...

Eddie pokręcił głową.

— Nie. Chcę doprowadzić to do końca. — Nagle błysnął zębami w uśmiechu. — Nie obawiasz się, że mógłbym zawieść, co? Znaleźć dilerę i naćpać się?

Z głębi jaskini rozległ się głos Henry'ego:

— To chińska porcelana, braciszku! Te czarnuchy sprzedają najlepszą!

— Wcale — odparł Roland. — Martwię się o wiele rzeczy, ale nie o to, że mógłbyś powrócić do dawnych przyzwyczajeń.

— To dobrze. — Eddie wszedł nieco głębiej, przyglądając się stojącym na środku drzwiom. Nie licząc hieroglifów z przodu i kryształowej klamki z wrytą na niej różą, wyglądały dokładnie tak samo jak te na plaży. — A jeśli je obejdę...?

— Jeśli je obejdiesz, drzwi znikną — wyjaśnił Roland. —

Pamiętaj, że tam naprawdę można zlecieć, może aż do Na'ar. Na twoim miejscu uważałbym.

— Dobra rada. Szybki Eddie dziękuje ci.

Spróbował przekręcić kryształową klamkę, lecz nawet nie drgnęła. Tego też się spodziewał. Cofnął się.

— Chyba powinienes myśleć o Nowym Jorku, Eddie — poradził Roland. — A dokładnie o Drugiej Alei. A także o dacie. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

— Jak mam myśleć o roku?

Roland odparł z lekkim zniecierpliwieniem:

— Myśl o tym, jak było, kiedy razem z Jakiem śledziliście jego wcześniejszą wersję.

Eddie chciał powiedzieć, że to nie ta data, za wcześnie, ale ugryzł się w język. Jeżeli dobrze pojęli reguły, po prostu nie mógł powrócić do tego dnia ani w transie, ani przez drzwi. Jeśli mieli rację, bieg czasu był w jakiś sposób związany z jego upływem tutaj, tyle że tam płynął szybciej. Jeśli prawidłowo rozumieli zasadę... jeśli w ogóle istniała jakaś zasada...

No cóż, może po prostu pójdziesz tam i sprawdzisz?

— Eddie, czy chcesz, żebym spróbował cię zahipnotyzować? — Roland wyjął z pasa jeden nabój. — Dzięki temu mógłbyś wyraźniej zobaczyć przeszłość.

— Nie. Chyba będzie lepiej, jeśli zachowam przytomność i trzeźwość.

Kilkakrotnie zacisnął pięści, jednocześnie robiąc głębokie wdechy i wydechy. Serce nie biło mu szybko... a nawet dość wolno... lecz każde uderzenie zdawało się wstrząsać całym jego ciałem. Chryste, wszystko to byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby można było poustawiać jakieś kontrolki, tak jak w wehikule czasu profesora Peabody z filmu o Mori okach!

— Hej, czy dobrze wyglądam? — zapytał Rolanda. — No wiesz, jeśli wyląduję w samo południe na Drugiej Alei, czy wywołam tam zbiegowisko?

— Jeśli pojawisz się komuś przed nosem — rzekł Roland — to z pewnością. Radzę ci, zignoruj każdego, kto zechce o tym z tobą rozmawiać, i natychmiast opuść ten teren.

— Tyle to i ja wiem. Pytam, czy mój strój nie wywoła sensacji? Roland wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. To twoje miasto, nie moje.

Eddie mógł z tym polemizować. W końcu jego miastem był Brooklyn. Przynajmniej kiedyś. Bardzo rzadko bywał na Manhattanie i myślał o nim niemal jak o zagranicy. Pomimo to chyba domyślał się, że co chodziło Rolandowi. Sprawdził swój strój i stwierdził, że ma na sobie zwykłą flanelową koszulę z rogowymi guzikami oraz ciemnoniebieskie dżinsy z oksydowanymi nikielowymi, a nie mosiężnymi nitami, a także zapinanym na guziki rozporkiem. (Eddie widział zamki błyskawiczne w mieście Lud, ale od tej pory już nie). Uznał, że nie wzbudzi sensacji na ulicach. Wyglądał najzupełniej normalnie, przynajmniej jak na Nowy Jork. Każdy, kto przyjrzy mu się uważniej, weźmie go za kelnera i niespełnionego artystę, udającego hippisa w wolne dni. Nie sądził, żeby ktoś zechciał dokładnie mu się przyglądać, no i dobrze. Mógł jednak coś poprawić...

— Czy masz kawałek rzemienia? — zapytał Roland.

Z głębi jaskini pan Tubther, jego nauczyciel w piątej klasie, zawołał z posępnym przekonaniem:

— Masz potencjał! Byłeś wspaniałym uczniem, i spójrz, kim się stałeś! Dlaczego pozwoliłeś, żeby brat sprowadził cię na manowce?

Na co Henry odparł, szlochając z wściekłości:

— Pozwolił mi umrzeć! Zabił mnie!

Roland zdjął torbę z ramienia, postawił ją na dnie jaskini obok różowego worka, otworzył i zaczął w niej grzebać. Eddie nie miał pojęcia, co jeszcze zawiera ta torba. Wiedział tylko, że jeszcze nigdy nie dostrzegł jej dna. W końcu rewolwerowiec znalazł i wyjął to, o co prosił Eddie.

Kiedy Eddie wiązał włosy kawałkiem rzemyka (uważał, że to doskonałe uzupełnienie jego artystyczno-hippisowskiego wyglądu), Roland zaczął opróżniać sakwę, którą nazywał swoim tobołkiem. Wyjął częściowo opróżniony kapciuch z tytoniem otrzymanym od Callahana, różne rodzaje banknotów i monet, przyborek do szycia, grzybek do cerowania, z którego niedaleko polany Shardika zrobił prowizoryczny kompas, starą mapę i nową, sporządzoną przez bliźnięta Tavery. Kiedy sakwa była pusta, wyjął z kabury na lewym biodrze wielki rewolwer z rękojeścią z sandałowego drewna. Pokręcił bębenkiem, sprawdził naboje, pokiwał głową i z cichym trzaskiem wprowadził cylinder na miejsce. Potem umieścił rewolwer w sakwie, zaciąg-

nał rzemienie i zawiązał je na płaski węzeł, który dawał się rozwiązać jednym pociągnięciem. Podał sakwę Eddiemu, trzymając ją za wytarty pasek.

Z początku Eddie nie chciał jej wziąć.

— Nie, człowieku, to twoja broń.

— Przez ostatnie tygodnie nosiłeś ją równie często jak ja. Pewnie częściej.

— Owszem, zgadza się, ale mówimy o Nowym Jorku, Rolandzie. W Nowym Jorku wszyscy kradną.

— Ciebie nikt nie okradnie. Bierz broń.

Eddie przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem wziął tobolek i zarzucił go sobie na ramię.

— Masz jakieś podejrzenia? ,

— Raczej przeczucie.

— Znów działa kał

Roland wzruszył ramionami.

— Zawsze działa.

— No dobrze — ustąpił Eddie. — I jeszcze coś, Rolandzie... Jeśli nie wrócę, zaopiekuj się Suze.

— Ty masz się postarać, żeby nie musiał tego robić.

Nie, pomyślał Eddie. Ja mam chronić różą.

Ruszył do drzwi. Miał jeszcze tysiąc innych pytań, ale Roland nie mylił się — czas ich zadawania minął.

— Eddie, jeśli naprawdę nie chcesz...

— Daj spokój — rzekł. — Chcę. — Podniósł lewą rękę i uniósł w górę kciuk. — Kiedy tak zrobię, otworzysz szkatułkę.

— Dobrze.

Głos Rolanda doleciał zza pleców Eddiego. Teraz był tylko Eddie i były drzwi. Te drzwi z napisem NIEODKRYTE w jakimś obcym i cudownym języku. Kiedyś czytał powieść zatytułowaną *Drzwi do lata*, napisaną przez... kogo? Jednego z tych autorów science fiction, których książki zawsze znosił z biblioteki, ze starej gwardii, idealnych na długie popołudnia letnich wakacji. Murray Leinster, Poul Anderson, Gordon Dickson, Isaac Asimov, Harlan Ellison... Robert Heinlein. To chyba Heinlein napisał *Drzwi do lata*. Henry zawsze dokuczał mu z powodu tych znoszonych do domu książek, nazywając mazgajem, molem książkowym, pytając, czy potrafi jednocześnie czytać i trzepać kapucyna, dopytując się, jak można tak choler-

nie długo siedzieć z nosem w jakimś gównianym czytadle o raketach i wehikułach czasu. Jego starszy brat Henry. O twarzy pokrytej pryszczami, które zawsze lśniły od maści i płynu przeciwróżdzikowego. Henry szykujący się do wojska. I młodszy od niego Eddie. Przynoszący do domu książki z biblioteki. Trzynastoletni Eddie, w takim samym wieku, w jakim teraz jest Jake. To rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy, on ma trzynaście lat, jest na Drugiej Alei i taksówki błyszczą jasnożółto w słońcu. Czarnoskóry mężczyzna z walkmanem przechodzi obok Mamy Mniam-Mniam. Eddie widzi go i wie, że ten czarny mężczyzna słucha piosenki Eltona Johna — a jakże — *Someone Saved My Life Tonight*. Na chodniku jest tłoczno. Jest późne popołudnie i ludzie wracają do domów po kolejnym dniu w stalowych wąwozach Nowego Jorku, gdzie zbierają nie ryż, lecz pieniądze, i to w dużych ilościach. Nieco dziwnie wyglądające kobiety w drogich garsonkach i tenisówkach, ze szpilkami schowanymi w torebkach, ponieważ zakończyły dzień pracy i wracają do domów. Wszyscy zdają się uśmiechać, gdyż dzień jest słoneczny i ciepły, to lato w mieście, i gdzieś słychać huk młota pneumatycznego, jak w tym starym songu zespołu Lovin Spoonful. Ma przed sobą drzwi do lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem, taksiarze biorą dolara i ćwierć za zżmanie chorągiewki, a potem trzydzieści centów co jedną piątą mili, przedtem brali mniej, a potem będą brać więcej, ale teraz to teraz — ruchomy punkt teraźniejszości. Prom kosmiczny z nauczycielką na pokładzie jeszcze nie eksplodował. John Lennon jeszcze żyje, choć nie pożyje długo, jeśli nie zaprzestanie eksperymentów z tą paskudną heroiną, chińską porcelaną. Co do Eddiego Deana... Edward Cantor Dean nic nie wie o heroinie. Papierosy to jego jedyny nałóg (nie licząc prób brandzlowania się, nieudanych jeszcze przez prawie rok). Ma trzynaście lat. Jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy i Eddie ma na piersi dokładnie cztery włosy, które w nabożnym skupieniu liczy codziennie rano, w nadziei znalezienia piątego. To lato rok po Lecie Wysokich Okrętów. Jest późne czerwcowe popołudnie i słyszy wesołą melodię. Płynie z głośników nad drzwiami sklepu muzycznego Wieża Mocnych Nagrań. Mungo Jerry śpiewa *In the Summertime* i...

Nagle to wszystko staje się realne, a przynajmniej tak rzeczwiście, jak powinno być. Eddie podnosi lewą rękę i pokazuje

uniesiony kciuk: *dalej*. Za jego plecami Roland usiadł i wyjął już z różowej torby szkatułkę. Kiedy Eddie pokazuje mu kciuk, rewolwerowiec otwiera pudełko.

Uszy Eddiego atakuje słodkie i nieskładne bicie dzwonów. Łzy stają mu w oczach. Znajdujące się przed nim drzwi otwierają się z cichym szczęknięciem i jaskinię zalewa rzeka słonecznego blasku. Słychać jazgot klaksonów i łoskot młota pneumatycznego. Niedawno tak bardzo pragnął przejść przez te drzwi, że z tego powodu o mało nie zabił Rolanda. A teraz, kiedy przed nimi stanął, jest śmiertelnie przerażony.

Dzwony transu zdawały się rozrywać mu czaszkę. Gdyby posłuchał ich jeszcze przez chwilę, chyba by oszalał. *Ruszaj, jeśli masz tam iść.*

Zrobił krok do przodu i załzawionymi oczami zobaczył trzy ręce, wyciągające się i ujmujące klamkę. Przyciągnął drzwi do siebie i oślepił go złocisty słoneczny blask późnego popołudnia. Poczł zapach spalin, rozgrzanego powietrza i czyjegoś płynu po goleniu.

Niemal na oślepił przeszedł przez nieodkryte drzwi w lato świata, którego teraz był *fan-gon*, wyгнаńcem.

4

Rzeczywiście była to Druga Aleja: przed sobą miał Blimpie's, a z tyłu dobiegały wesole dźwięki piosenki Munga Jerry'ego w karaibskim rytmie. Wokół płynęła ludzka rzeka — do centrum, z centrum, wokół centrum. Nikt nie zwracał uwagi na Eddiego, częściowo dlatego, że większość przechodniów chciała jak najprędzej wydostać się ze śródmieścia po całym dniu pracy, a głównie dlatego, że w Nowym Jorku niezauważanie innych to sposób na życie.

Eddie poruszył prawym ramieniem, poprawiając pasek sakwy Rolanda, a potem obejrzał się za siebie. Drzwi do Calla Bryn Sturgis były na swoim miejscu. Widział rewolwerowca siedzącego u wylotu jaskini z otwartą szkatułką na kolanach.

Te pieprzone dzwony pewnie doprowadzają go do szaleństwa, pomyślał Eddie. Zaraz jednak zobaczył, jak rewolwerowiec wyjmuje z pasa dwie kule i wkłada je do uszu. Eddie uśmiechnął

się. *Dobry ruch, człowieku.* W ten sposób udało im się uciszyć werbel błony na siedemdziesiątce. Czy zadziałało to teraz, czy nie, Roland musiał sam sobie z tym poradzić. Eddie miał co innego do roboty.

Powoli obrócił się w miejscu, po czym ponownie zerknął przez ramię, aby upewnić się, że drzwi obróciły się wraz z nim. Tak. Jeśli były takie jak inne, to podążą za nim wszędzie. A jeśli nawet nie, Eddie nie widział żadnego problemu. Nie zamierzał odchodzić daleko. Zauważył jeszcze coś: wrażenie czającej się wszędzie ciemności minęło. Dlatego że przeniósł się tu naprawdę, a nie tylko w transie. Jeśli w pobliżu czaili się jacyś zabłąkani zmarli, to nie zdołała ich dostrzec.

Poprawiwszy pasek sakwy na ramieniu, Eddie ruszył w kierunku Manhattańskiej Restauracji Ducha.

5

Ludzie omijali go, kiedy szedł, lecz to jeszcze nie dowodziło, że naprawdę tu jest: w transie również schodzili mu z drogi. W końcu Eddie sprowokował zderzenie z młodzieńcem niosącym nie jedną dyplomatkę, ale dwie. Istny Łowca Wielkiej Trumny świata biznesu.

— Hej, uważaj, jak chodzisz! — pisnął ten młody człowiek, kiedy wpadli na siebie.

— Przepraszam, człowieku, przepraszam — odezwał się Eddie. Był tutaj, naprawdę. — Może mógłbyś mi powiedzieć, jaki dziś mamy...

Pan Biznesmen już odszedł, goniąc zawał, który zapewne złapie w wieku czterdziestu pięciu lub pięćdziesięciu lat, sądząc po wyglądzie. Eddie przypomniał sobie puentę starego nowojorskiego żartu: „Przepraszam pana, czy może mi pan powiedzieć, jak dostać się do ratusza, czy też mam się odpieprzyć?”. Mimo woli parsknął śmiechem.

Kiedy przestał się śmiać, poszedł dalej. Na rogu Drugiej Alei i Pięćdziesiątej Czwartej ujrzał mężczyznę oglądającego wystawę sklepu obuwniczego. Ten facet też miał na sobie garnitur, ale wyglądał na mniej spiętego. Ponadto trzymał w ręku tylko jedną dyplomatkę, co Eddie uznał za dobry omen.

— Najmocniej przepraszam — rzekł Eddie — ale czy mógłby mi pan powiedzieć, jaki mamy dziś dzień?

— Czwartek — odparł przechodzień. — Dwudziesty trzeci czerwca.

— Siedemdziesiątego siódmego roku?

Przechodzień zareagował półuśmiechem, zdziwionym i cynicznym zarazem, oraz uniesieniem brwi.

— Zgadza się, siedemdziesiątego siódmego. Za... o rany, za osiem miesięcy będzie siedemdziesiąty ósmy. Coś takiego.

— Dzięki, *sai* — powiedział Eddie.

— Dzięki co?

— Nic — odparł Eddie i pospiesznie odszedł.

Tylko trzy tygodnie do piętnastego lipca, mniej więcej, pomyślał. O wiele za mało czasu.

Owszem, tak, ale jeśli zdoła namówić Calvina Towera, żeby sprzedał mu dziś parcelę, kwestia czasu stanie się nieistotna. Kiedyś, dawno temu, brat Eddiego przechwalał się przed kumpłami, że jego młodszy braciszek potrafiłby namówić samego diabła, żeby przysmażył sobie dupę. Eddie miał nadzieję, że wciąż ma choć odrobinę tej siły perswazji. Zawrze umowę z Calvinem Towerem, zainwestuje w nieruchomości, a potem może robi sobie półgodzinną przechadzkę po nowojorskiej dżungli. Świętując. Może wtrząchnie krem czekoladowy albo...

Nagle wyrwany z tych przyjemnych rozważań zatrzymał się tak gwałtownie, że ktoś wpadł na niego i zaklął. Eddie ledwie to poczuł i nie usłyszał przekleństwa. Ciemnoszary lincoln znowu stał zaparkowany przy krawężniku, tym razem nie przed hydrantem, ale kilka bram dalej.

Samochód Balazara.

Eddie ruszył. Teraz był zadowolony z tego, że Roland namówił go, żeby wziął jego rewolwer. I z tego, że broń jest nabita.

6

Tablica wróciła na wystawę (specjalnością dnia był nowoangielski obiad złożony z Nathaniela Hawthorne'a, Henry'ego Davida Thoreau i Roberta Frosta, a na deser do wyboru Mary McCarthy albo Grace Metalious), lecz wywieszka na drzwiach

głosiła PRZEPRASZAMY ZAMKNIĘTE. Według cyfrowego zegara na ścianie banku opodal Wieży Mocnych Nagrań była trzecia czternaście. Kto zamyka sklep kwadrans po trzeciej w sobotnie popołudnie?

Ktoś, kto ma ważnego klienta, domyślił się Eddie. Oto kto.

Ostaniając oczy przed bocznym światłem, zajął do Manhattańskiej Restauracji Ducha. Zobaczył okrągły stoliczek z książeczkami dla dzieci. Na prawo od niego stała lada wyglądająca na przeniesioną z dziewiętnastowiecznej kafejki, tylko że teraz nikt przy niej nie siedział, nawet Aaron Deepneau. Przy kasie również nie było nikogo, chociaż Eddie odczytał napis na pomarańczowym tle w jej okienku: NO SALE.

W środku nie było nikogo. Widocznie Calvin Tower otrzymał pilne wezwanie, może w sprawach rodzinnych...

Otrzymał wezwanie, pewnie, Eddie usłyszał chłodny głos rewolwerowca. Z tego szarego powozu. 1 spojrz jeszcze raz na tę ladę, Eddie. Tylko tym razem postaraj się użyć swoich oczu, a nie tylko je wybałuszać!

Czasem słyszał w myślach głosy innych osób. Podejrzał, że zdarza się to wielu ludziom — w ten sposób zmienia się perspektywę i spogląda na sytuację pod innym kątem. To jednak nie było tego rodzaju wrażenie. Naprawdę usłyszał głos starego wysokiego brzydala.

Eddie ponownie spojrzął na kontuar. Tym razem zauważył porzucane na marmurze figurki szachowe i przewróconą filiżankę. Dostrzegł okulary z jednym rozbitym szkłem, leżące na podłodze między dwoma stołkami.

Poczuł pierwsze pulsowanie gniewu, gdzieś głęboko pod czaszką. Jeśli oceniać sytuację przez pryzmat dotychczasowych doświadczeń, ten powolny rytm miał się nasilić i wzmocnić. W końcu zagłuszy wszelkie inne myśli, a wtedy niech Bóg ma w opiece każdego, kto znajdzie się w zasięgu rewolweru Rolanda. Kiedyś Eddie zapytał Rolanda, czy jemu też się to przydarzyło, a rewolwerowiec odparł: *To zdarza się nam wszystkim*. A kiedy Eddie pokręcił głową i rzekł, że on nie jest taki jak Roland — ani on, ani Suze czy Jake — rewolwerowiec nic nie powiedział.

Tower i jego ważni goście sana zapleczu, doszedł do wniosku, w tym magazynie pełniącym jednocześnie rolę biura. I tym razem zapewne nie przyszli tylko na pogaduszki. Eddie domyś-

łał się, że dżentelmeni Balazara przyszedli dać panu Towerowi lekcję i przypomnieć, że piętnasty lipca zbliża się i pan Tower powinien podjąć jedyną słuszną decyzję.

Przemykające przez głowę Eddiego słowo *dżentelmeni*, wywołało kolejny gwałtowny przypływ gniewu. Ciekawe określenie facetów, którzy rozbijają okulary grubemu i nieszkodliwemu księgarzowi, a potem zabierają go na zaplecze i terroryzują. Dżentelmeni! Pieprzone dranie!

Pchnął drzwi księgarni. Były zamknięte, ale zamek musiał być lichej, bo zadrżały we framudze jak obluźowany ząb. Stojąc w zagłębieniu drzwi i wyglądając (przynajmniej taką miał nadzieję) na bardzo zainteresowanego jakąś książką klienta, Eddie zaczął napierać na drzwi, najpierw tylko naciskając klamkę. Opierając się o nie ramieniem, starał się nie robić tego zbyt ostentacyjnie.

/ tak niemal na pewno nikt nie zwróci na to uwagi. Przecież to Nowy Jork, no nie? Może mi pan powiedzieć, jak dostać się do ratusza, czy też mam się odpieprzyć?

Naparł mocniej. Jeszcze pozostał mu spory zapas siły, gdy usłyszał trzask i drzwi ustąpiły. Eddie wszedł bez wahania, jakby miał do tego niekwestionowane prawo, po czym przymknął drzwi. Zamek nie chwycił. Eddie wziął ze stoliczka dla dzieci książkę *Jak Grinch ukradł święta*, wyrwał z niej ostatnią kartkę (*/ tak nie podobało mi się zakończenie*, pomyślał), złożył ją na trzy i wepchnął w szparę między drzwiami a futryną. Wystarczy, żeby się same nie otworzyły. Potem rozejrzał się wokół.

W księgarni było pusto. Teraz, gdy słońce schowało się za wieżowce West Side, wydawała się mroczna. Ciszy nie przerywał żaden dźwięk...

A jednak. Na zapleczu rozległ się stłumiony krzyk. *Uwaga, dżentelmeni pracują*, pomyślał Eddie i poczuł kolejny przypływ gniewu. Tym razem gwałtowniejszy.

Szarpnął troczek sakwy Rolanda, po czym ruszył w kierunku drzwi na końcu sklepu, tych z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Zanim tam dotarł, musiał ominąć bezładną stertę broszurowych wydań i przewrócony obrotowy stojak, staromodnego typu, używany w drugstore'ach. Calvin Tower próbował przytrzymać się go, kiedy ludzie Balazara wlekli go do magazynu. Eddie nie widział tego, ale nie musiał.

Drzwi na zaplecze nie były zamknięte. Wyjął rewolwer Rolanda z sakwy i przesunął ją tak, żeby nie przeszkadzała mu w decydującym momencie. Cał po calu uchylił drzwi, przypominając sobie, gdzie stoi biurko Towera. Gdyby go zauważyli, runąłby do ataku, wrzeszcząc co sił w płucach. Według Rolanda zawsze powinienes wrzeszczeć ile sił w płucach, kiedy i jeśli zostaniesz odkryty. W ten sposób możesz zaskoczyć przeciwnika i zyskać sekundę lub dwie, a czasem jedna sekunda lub dwie stanowi całą różnicę między życiem a śmiercią.

Tym razem nie musiał wrzeszczeć i atakować. Ludzie, których szukał, znajdowali się w części biurowej. Na ścianie znów poruszały się ich groteskowe, długie cienie. Tower siedział na krześle, lecz to nie stało już za biurkiem. Zostało wepchnięte między dwie z trzech szaf na akta. Bez okularów dobroduszną twarz księgarza wydawała się naga. Jego dwaj goście patrzyli na niego, co oznaczało, że stali plecami do Eddiego. Tower mógłby go zobaczyć, ale on patrzył na Jacka Andoliniego i George'a Biondiego, nie mogąc oderwać od nich oczu. Na widok przerażonego księgarza, Eddiego przeszył kolejny dreszcz gniewu.

W powietrzu unosił się odór benzyny, zapach, który — zdaniem Eddiego — przeraziłby nawet najtwardszego sklepiarza, a szczególnie właściciela takich stosów papieru. Obok wyższego z dwóch mężczyzn — Andoliniego — stała oszklona szafka, wysoka na prawie pięć stóp. Jej otwarte drzwiczki ukazywały cztery lub pięć półek z książkami. Wszystkie tomy były oprawione w przezroczyste okładki, chroniące przed kurzem. Andolini trzymał jeden z nich w sposób, który absurdalnie upodabniał go do telewizyjnego recenzenta. Niższy mężczyzna — Biondi — w podobny sposób trzymał szklany słój pełny bursztynowego płynu. Nie było wątpliwości, co to za ciecz.

— Proszę, panie Andolini — powiedział Tower. Mówił pokornie, wyraźnie wstrząśnięty. — Proszę, to bardzo cenna książka.

— Oczywiście — rzekł Andolini. — Jak wszystkie w tej szafce. O ile mi wiadomo, ma pan podpisany egzemplarz *Uliksesa*, który jest wart dwadzieścia sześć tysięcy dolarów.

— Co ty gadasz, Jack? — zapytał George Biondi. W jego głosie słyhać było podziw. — Jaka książka może być warta dwadzieścia sześć kawałków?

— Nie wiem — odparł Andolini. — Może pan nam to powie, panie Tower? A może mam panu mówić Cal?

— Mój *Ulisses* jest zamknięty w sejfie — odparł Tower. — Nie jest na sprzedaż.

— Ale te książki są — rzekł Andolini. — Prawda? I tu na obwolucie widzę napisane ołówkiem siedem tysięcy pięćset. Wprawdzie nie jest to dwadzieścia sześć kawałków, ale i tak wystarczyłoby na nowy samochód. Tak więc powiem ci, co zrobimy, Cal. Słuchasz mnie?

Eddie podchodził do nich i chociaż starał się iść po cichu, nie próbował się kryć. Mimo to żaden z nich go nie zauważył. Czy on też był taki nieudolny, kiedy należał do tego świata? Czy tak łatwo było go zaskoczyć, nawet nie zastawiając pułapki? Podejrzewał, że tak. Nic dziwnego, że z początku Roland nim gardził.

— Ja... słucham.

— Masz coś, co pan Balazar pragnie mieć tak samo, jak ty chcesz mieć swój egzemplarz *Ulissesa*. I chociaż książki w tej oszklonej szafce teoretycznie są na sprzedaż, założę się, że sprzedałeś niewiele z nich, ponieważ... po prostu... trudno ci się z nimi rozstać. Tak samo jak nie chcesz się rozstać z tą pustą parcelą. Tak więc oto co się stanie. George poleje benzyną tę książkę za siedem tysięcy pięćset, a ja ją podpalę. Potem wyjmę z twojego skarbczyka kolejną książkę i poproszę cię, żebyś zobowiązał się sprzedać nieruchomość Sombra Corporation w południe piętnastego lipca. Kapujesz?

— Ja...

— Jeśli złożysz mi tę obietnicę, nasze spotkanie dobiegnie końca. Jeśli nie, spalę tę drugą książkę. A potem trzecią. I czwartą. Po czwartej, szanowny panie, obawiam się, że mój asystent może stracić cierpliwość.

— Jesteś pieprzonym idiotą — powiedział George Biondi. Eddie podszedł już tak blisko, że prawie mógłby dotknąć go wyciągniętą ręką, a mimo to nikt się nie zorientował.

— Myślę, że wtedy po prostu polejemy benzyną całą zawartość tej szafki i spalimy wszystkie te twoje cenne ksią...

W końcu Jack Andolini dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Spojrzał nad lewym ramieniem partnera i zobaczył młodego mężczyznę o orzechowych oczach, tkwiących w ogorzalej twarzy. Mężczyzna trzymał w ręku coś, co wyglądało na naj-

starszą i największą na świecie atrapę rewolweru. Bo to po prostu *musiała* być atrapa.

— Kim, do kur... — zaczął Jack.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, urodziwa twarz Eddiego Deana rozpromieniła się w radosnym uśmiechu, przybierając uduchowiony wyraz.

— *George!* — wykrzyknął tonem, jakim zazwyczaj wita się starego i dobrego znajomego, którego dawno się nie widziało. — *George Biondi!* Człowieku, masz chyba największy kinol po tej stronie rzeki Hudson! Miło cię widzieć!

W każdym z nas jest coś, co każe nam reagować, kiedy ktoś wymawia nasze nazwisko. Jeśli wymawia je z sympatią, niemal zawsze czujemy się zobowiązani ją odwzajemnić. Nawet w tej niezwyklej sytuacji, George „Wielki Nochal” Biondi z uśmiechem na ustach odwrócił się w stronę, z której płynęły tak życzliwe pozdrowienia. Ten uśmiech nie zdążył zgasnąć mu na ustach, gdy Eddie z całej siły rąbnął go kolbą rewolweru Rolanda. Andolini miał sokoli wzrok, ale nie zdążył spojrzeć za ruchem ręki nieznanego, która zmieniła się w rozmazaną smugę, gdy Eddie trzykrotnie uderzył Biondiego — najpierw między oczy, potem nad prawym okiem i w końcu w prawy policzek. Pierwszym dwóm ciosom towarzyszyły głuche stuknięcia. Trzeciemu cichy, obrzydliwy trzask. Biondi runął na podłogę jak wór ziemniaków, pokazując białka wywróconych oczu i wydymając usta tak, że wyglądał jak dziecko wołające nianię. Stoik wypadł mu z ręki, uderzył o cementową podłogę i rozbił się. Wokół rozszedł się jeszcze silniejszy zapach benzyny, duszący i lepki.

Eddie nie dał partnerowi Biondiego żadnych szans. Zanim Wielki Nochal wyciągnął się na posadzce w kałuży rozlanej benzyny i potłuczonego szkła, Eddie dopadł Andoliniego i odepchnął go do tyłu.

7

Calvin Tower (który rozpoczął swój żywot jako Calvin Toren) nie poczuł w tym momencie ulgi i nie pomyślał: *Dzięki Bogu, jestem uratowany*. Wpadło mu natomiast do głowy, że *tamci są źli, ale ten jest jeszcze gorszy*.

W mrocznym wnętrzu magazynu nowo przybyły stąpił się ze swoim cieniem i zmieniał w dziesięciostopową zjawę. O płonących oczach i ściągniętych wargach odsłaniających olśniewająco białe zęby, wyglądające niemal jak kły. W jednej ręce trzymał rewolwer z lufą jak tunel, broń przywodząca na myśl tę, którą w siedemnastowiecznych powieściach przygodowych nazywano garłaczem. Drugą złapał Andoliniego za koszulę i klapę sportowej marynarki, po czym rzucił nim o ścianę. Bandzior zawadził biodrem o szklaną witrynę, wywracając ją. Tower wydał bolesny jęk, na który obaj mężczyźni nie zwrócili uwagi.

Oprych Balazara próbował umknąć w lewo. Nowo przybyły, ten z szyderczym uśmiechem i czarnymi włosami związanymi rzemykiem, pozwolił na to, a potem podciął mu nogi i przycniótł całym ciężarem ciała, wciskając kolano w pierś łotra. Wbił lufę garłacza pod brodę gangstera. Ten obrócił głowę, usiłując złagodzić nacisk. Nowo przybyły wbił lufę jeszcze mocniej.

Zduszonym głosem, który brzmiał jak głos Kaczora Donalda, pomagier Balazara wykrztusił:

— Nie rozśmieszaj mnie, cwaniaku. To nie jest prawdziwy rewolwer.

Nowo przybyły — ten, który zdawał, się stapać z własnym cieniem i zmieniać w olbrzyma — oderwał lufę od brody oprycha, odciągnął kciukiem kurek i wycelował w głąb magazynu. Tower otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Bóg wie co, lecz zanim zdążył wykrztusić choć słowo, rozległ się ogłuszający huk, niczym z moździerzowego pocisku wybuchającego pięć stóp od okopu jakiegoś nieszczęsnego żołnierza. Z lufy garłacza wyrzelił długi, żółty płomień. W następnej chwili nieznajomy znów wbił ją w szyję gangstera.

— No i co, Jack? — warknął. — W dalszym ciągu myślisz, że to atrapa? Powiem ci, co ja myślę. Kiedy nacisnę spust po raz drugi, twój mózg będą musieli zdrapywać ze ścian.

Eddie ujrzał w oczach Andoliniego strach, ale pozbawiony paniki. To go nie zdziwiło. Przecież właśnie Jack Andolini przycisnął go po tym, jak transport kokainy z Nassau diabli

wzięli. Ta jego wersja była młodsza — o dziesięć lat — lecz nie przyjemniejsza. Andolini, niegdyś przez wielkiego mędrca i znanego ćpuna nazywany Starym Brzydalem, miał niskie czołko jaskiniowca oraz masywną szczękę buldoga. I karykaturalnie wielkie łapska. Z kępkami włosów na knykciach. Wyglądał nie tylko na starego brzydala, ale także na starego durnia, ale bynajmniej nie był głupi. Głupcy nie awansowali na zastępców takich facetów jak Enrico Balazar. I chociaż Jack być może jeszcze nim nie był, to miał być w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy Eddie wylądował na lotnisku JFK, mając pod koszulą boliwijskie prochy warte dwieście tysięcy dolców. W tamtym świecie, w tamtym niegdyś, // Roche awansuje go na marszałka polnego. Natomiast na tym świecie Andolini miał — zdaniem Eddiego — duże szanse na wcześniejsze przejście w stan spoczynku. Wiecznego. Oczywiście, jeśli nie będzie grzeczny.

Eddie jeszcze głębiej wbił lufę rewolweru pod brodę Andoliniego. W powietrzu unosił się silny odór spalonego prochu, w tym momencie maskujący zapach książek. Gdzieś w mroku rozległo się gniewne parsknięcie Sergia, kota Towera. Najwyraźniej Sergio nie lubił takich hałasów na swoim terenie.

Andolini skrzywił się i obrócił głowę w lewo.

— Człowieku, nie... to parzy!

— Nie aż tak, jak tam, gdzie zaraz się znajdziesz — powiedział Eddie. — Chyba że mnie usłuchasz, Jack. Masz niewielkie szanse na to, by wyjść z tego cało, ale masz. Wysłuchasz mnie?

— Nie znam cię. Skąd nas znasz?

Eddie cofnął rękę z rewolwerem Rolanda i zobaczył czerwone kółko pod brodą Starego Brzydala, pozostawione przez lufę. *A gdybym ci powiedział, że twoim ka jest znowu mnie spotkać za dziesięć lat? I zostać pożartym przez homarokoszmary? Które najpierw odetną ci stopy w butach od Gucciego, a potem zajmą się resztą?* Andolini nie uwierzyłby mu, oczywiście, tak samo jak nie wierzył w to, że rewolwer Rolanda jest prawdziwy, dopóki Eddie mu tego nie zademonstrował. A poza tym w tej rzeczywistości — na tym piętrze Wieży — Andolini może nie zostanie pożarty przez homarokoszmary. Ponieważ ten świat

różni się od wszystkich innych. To dziewiętnaste piętro Wieży. Eddie przeczuwał to. Może później zastanowi się nad tym, ale nie teraz. W tym momencie myślenie przychodziło mu z trudem. Teraz miał ochotę zabić obu tych facetów, a potem ruszyć na Brooklyn i załatwić resztę *tet* Balazara. Postukał lufą rewolweru w wystającą kość policzkową Andoliniego. Z trudem powstrzymywał chęć rozkwazzenia tej wrednej gęby, i Andolini widział to. Zamrugnął i oblizał wargi. Eddie w dalszym ciągu przyciskał mu kolanem pierś. Czuł, jak ta unosi się i opada niczym miech.

— Nie odpowiedziałeś — ciągnął Eddie. — Zamiast tego sam zadałeś mi pytanie. Jeśli zrobisz to jeszcze raz, Jack, przefasonuję ci facjatę lufą tego rewolweru. Potem przestrzelę ci jedno kolano i zamienię w kuternogę do końca życia. Mogę odstrzelić ci różne części ciała tak, żebyś mógł mówić. I nie udawaj głupka. Nie jesteś głupi... może z wyjątkiem wyboru pracodawcy... o czym dobrze wiem. Tak więc zapytam jeszcze raz: będziesz mnie słuchał?

— A mam wybór?

Takim samym, niesamowicie szybkim ruchem Eddie uderzył Andoliniego w twarz lufą rewolweru. Rozległ się głośny trzask łamanej kości policzkowej. Krew zaczęła płynąć z prawego nozdrza, które zdaniem Eddiego miało szerokość tunelu Queens Midland. Andolini krzyknął z bólu, Tower z przerażenia.

Eddie ponownie wepchnął lufę rewolweru pod brodę gangstera. Nie odrywając od niego oczu, powiedział do księgarza:

— Niech pan ma na oku tego drugiego, panie Tower. Proszę mi powiedzieć, jeśli zacznie się ruszać.

— Kim pan jest? — wychrypiął Tower.

— Przyjacielem. Jedyńm, który może uratować pański tyłek. Teraz patrz pan na tamtego i pozwól mi robić swoje.

— D-dobrze.

Eddie Dean ponownie skupił całą swoją uwagę na Andolinim.

— Ogłuszyłem George'a, ponieważ George jest głupi. Nawet gdyby potrafił przekazać moją wiadomość, nie potrafiłby w nią uwierzyć. A jak człowiek, który sam nie wierzy w swoje słowa, mógłby przekonać innych?

— Masz rację — wykrztusił Andolini.

Spoglądał na Eddiego z przerażeniem i czymś w rodzaju fascynacji, być może w końcu zrozumiał, z kim ma do

czynienia. Roland pojął to od razu, wtedy kiedy Eddie Dean był jeszcze nędznym ćpunem, wstrząsanym drgawkami heroinowego głodu. Jack Andolini zobaczył w nim rewolwerowca.

— Możesz być tego pewien — rzekł Eddie. — A oto wiadomość, którą masz przekazać: Tower jest nietykalny.

Jack pokręcił głową.

— Nie rozumiesz. Tower ma coś, co ktoś chce mieć. Mój szef zgodził się to dostarczyć. Obiecał. A mój szef zawsze...

— Dotrzymuje obietnic — dokończył Eddie. — Wiem. Tylko że tym razem nie będzie mógł, i to nie ze swojej winy. Pan Tower postanowił nie sprzedawać Sombra Corporation pustej parceli przy tej samej ulicy. Zamiast tego zamierza sprzedać ją... hmm... Tet Corporation. Kapujesz?

— Człowieku, nie znam cię, ale znam mojego szefa. On nie odpuści.

— Ależ tak. Ponieważ Tower nie będzie miał niczego na sprzedaż. Ta parcela nie będzie już jego własnością. A teraz posłuchaj jeszcze uważniej, Jack. Słuchaj *ka-me*, nie *ka-mai*. Mądrze, nie głupio.

Eddie pochylił się nad Andolinim, który jak zahipnotyzowany gapił się w te bezlitosne oczy — piwne i lekko przekrwione — oraz drwiąco wykrzywione usta, które teraz były tak blisko, jakby nieznamomy zamierzał go pocałować.

— Pan Calvin Tower znalazł się pod opieką ludzi potężniejszych i bardziej bezlitosnych, niż jesteś to w stanie sobie wyobrazić, Jack. Ludzi, przy których // *Roche* wyglądałby jak dziecię kwiat z Woodstock. Musisz go przekonać, że jeśli nadal będzie niepokoił pana Towera, niczego nie zyska, a może wszystko stracić.

— Ja nie...

— Co do ciebie, wiedz, że ten człowiek nosi znak Gilead. Jeśli tkniesz go choćby palcem, jeśli twoja noga jeszcze raz postanie w tym sklepie, zjawię się na Brooklynie i zabiję twoją żonę i dzieci. Potem znajdę twoją matkę i ojca i ich też zabiję. Potem zabiję siostry twojej matki i braci twojego ojca. A potem twoich dziadków, jeśli jeszcze żyją. Ciebie zostawię na koniec. Wierzysz mi?

Jack Andolini nie odrywał wzroku od jego twarzy — od nabiegłych krwią oczu i drwiąco wykrzywionych ust. Wpat-

rywał się w Eddiego z rosnącym przerażeniem, ponieważ naprawdę uwierzył. Kimkolwiek był ten facet, wiedział wystarczająco dużo o Balazarze i jego interesach. A o tym interesie być może wiedział więcej niż sam Andolini.

— Jest nas wielu — rzekł Eddie — i wszyscy mamy tylko jedno zadanie: chronić...

O mało nie powiedział *chronić różę*.

— Chronić Calvina Towera. Będziemy pilnować tej księgarni, będziemy pilnować Towera, będziemy pilnować jego przyjaciół... takich jak Deepneau. — Eddie z satysfakcją zauważył błysk zdziwienia w oczach Andoliniego. — Jeśli ktoś przyjdzie tutaj i choćby podniesie głos, zarżniemy mu całą rodzinę, a jego na końcu. To dotyczy George'a, 'Cimiego Dretta, Tricksa Postina... i twojego brata Claudia też.

Przy każdym nazwisku Andolini szerzej otwierał oczy, a potem skrzywił się i na moment zamknął je, na wzmiankę o jego bracie. Eddie pomyślał, że chyba w końcu jego słowa wywarły pożądany skutek. Natomiast czy Andolini zdoła przekonać Balazara, to zupełnie inna sprawa. *Tylko że to nie ma znaczenia*, pomyślał trzeźwo. *Kiedy Tower sprzeda nam działkę, nie będzie ważne, co mu zrobią, no nie?*

— Skąd tyle wiesz? — zapytał Andolini.

— Nieważne. Ty tylko przekaz wiadomość. Przekaż Balazarowi, żeby powiedział swoim przyjaciołom z Sombra, że działka już nie jest na sprzedaż. Przynajmniej dla nich. I powiedz, że Towera chronią teraz ludzie z Gilead, dużego kalibru.

— Dużego...?

— Mówię o ludziach groźniejszych niż wszyscy, z którymi Balazar miał kiedykolwiek do czynienia — rzekł Eddie. — Włącznie z facetami z Sombra Corporation. Powiedz mu, że jeśli nie posłucha, Brooklyn pokryje się trupami tak, że nie zmieszczą się na Grand Army Plaża. I wiele z nich to będą wasze kobiety i dzieci. Przekonaj go.

— Ja... człowieku, spróbuję.

Eddie wstał i cofnął się. Leżący w kałuży benzyny i potłuczonego szkła George Biondi zaczął się ruszać i mamrotać. Eddie skinął na Jacka lufą rewolweru Rolanda, każąc mu wstać.

— Postaraj się.

Tower napełnił dwie filiżanki kawą, ale nie był w stanie wypić swojej. Za bardzo trzęsły mu się ręce. Obejrzawszy kilka bezskutecznych prób (i myśląc o tym facecie — któremu puściły nerwy — z drużyny saperów w *UXB*), Eddie zlitował się nad nim i odlał połowę kawy do swojej filiżanki.

— Spróbuj teraz — powiedział i podsunął właścicielowi księgarni pozostałą połowę.

Tower ponownie nałożył okulary, lecz oprawka była lekko zgięta i krzywo siedziały mu na nosie. Ponadto przez lewe szkło biegło zygzakowate pęknięcie, podobne do błyskawicy. Siedzieli przy marmurowym kontuarze — Tower za ladą, Eddie na jednym ze stołków. Tower przyniósł książkę, którą Andolini zamierzał spalić, i położył ją obok ekspresu do kawy. Tak jakby nie chciał spuścić jej z oczu.

Drżącą ręką (na której nie miał nawet obrączki, tak samo jak na drugiej ręce) podniósł filiżankę z kawą i opróżnił ją. Eddie nie mógł zrozumieć, jak człowiek może pić takie świństwo. Jego zdaniem najlepsza jest kawa pół na pół z mlekiem. Po kilku miesiącach spędzonych w świetle Rolanda (a może i całych latach) smakowała jak bita śmietana.

— Lepiej? — spytał Eddie.

— Tak.

Tower spojrzął za okno, jakby w każdej chwili oczekiwał powrotu szarego lincolna, który pospiesznie odjechał stąd przed dziesięcioma minutami. Potem znów zerknął na Eddiego. Wciąż bał się tego młodzieńca, ale przynajmniej przestał dygotać, gdy Eddie wepchnął swój wielki rewolwer w to, co nazywał „tobółkiem przyjaciela”. Sakwa była zrobiona z wytartej, niebarwionej skóry i zamykana na troczki, a nie na ekler. Calvin Tower miał wrażenie, że wraz z bronią młodzieniec schował w tej sakwie najbardziej przerażające aspekty swojej osobowości. To dobrze, gdyż dzięki temu Tower mógł uwierzyć, że przybysz blefował, mówiąc, że zabiłby nie tylko gangsterów, ale całe ich rodziny.

— Gdzie jest dziś twój kumpel Deepneau? — zapytał Eddie.

— U onkologa. Przed dwoma laty Aaron przy załatwianiu się zobaczył krew w muszli klozetowej. Jako młody człowiek

mówisz wtedy „przekłete hemoroidy” i kupujesz sobie paczkę czopków. Mając prawie siedemdziesiątkę, myślisz o najgorszym. W jego przypadku jest źle, ale nie tragicznie. W tym wieku rak rozwija się wolniej. Nawet nowotwór się starzeje. Zabawne, no nie? W każdym razie wypalili mu go naświetlaniem i twierdzą, że już po sprawie, ale Aaron mówi, że raka nie można lekceważyć. Co trzy miesiące robi sobie badania kontrolne i dziś właśnie na nie poszedł. Cieszę się. To wyleniały kocur, ale wciąż zapalczywy.

Powiniennem przedstawić Aarona Deepneau staremu Jafford-sowi, pomyślał Eddie. Mogliby grać w zamki, zamiast w szachy, i wspominać dawne dni.

Tymczasem Tower uśmiechał się smutno. Poprawił okulary na nosie. Przez moment siedziały prosto, a potem znowu się przekrzywiły. Nie wiedzieć czemu, to było gorsze niż pęknięte szkło. Nadawało Towerowi bezbronny i lekko zwariowany wygląd.

— On jest zapalczywy, a ja jestem tchórzem. Może właśnie dlatego się przyjaźnimy... doskonale się uzupełniamy, tworząc lepszą całość.

— Chyba jesteś dla siebie trochę zbyt surowy — powiedział Eddie.

— Nie sędzę. Mój psychoanalityk twierdzi, że każdy, kto chce się dowiedzieć, jakie cechy dziedziczy dziecko apodyktycznego ojca i potulnej matki, powinien zapoznać się z moim przypadkiem. Mówi również...

— Wybacz mi, Calvinie, ale gównu mnie obchodzi zdanie twojego psychoanalityka. Nie ustąpięś w sprawie tej parceli, i to mi wystarczy.

— To żadna zasługa — odparł ponuro Calvin Tower. — To tak jak z tą książką... — Podniósł tomik, który położył obok ekspresu. — Iz innymi, które zamierzali spalić. Po prostu czekałem na obrót spraw. Kiedy moja pierwsza żona zażądała rozwodu, a ja zapytałem o powód, powiedziała: „Ponieważ wychodząc za ciebie, nie rozumiałam. Uważałam cię za mężczynę. Okazuje się, że jesteś zwykłym szcurem”.

— Ta parcela to nie książka — rzekł Eddie.

— Czyżby? Naprawdę tak uważasz?

Tower patrzył na niego, zafascynowany. Kiedy podniósł

swoją filiżankę z kawą, Eddie z zadowoleniem zauważył, że drzenie niemal ustało.

— A ty nie?

— Czasem mi się śni — wyznał Tower. — Nie byłem tam, od kiedy delikatesy Tommy'ego Grahama splajtowały i zapłaciłem za ich rozbiórkę. I oczywiście za postawienie ogrodzenia, które kosztowało mnie prawie tyle samo, co brygada wyburzeniowa. Śni mi się, że tam jest pole kwiatów. Całe pole róż. I nie kończy się przy Pierwszej Alei, lecz ciągnie w nieskończoność. Zabawny sen, no nie?

Eddie był pewien, że Calvin Tower istotnie miewa taki sen, lecz wydało mu się, że w ukrytych za pękniętymi i przekrzywionymi okularami oczach dostrzega coś jeszcze. Pomyślał, że Tower maskuje tym snem wszystkie inne, o których woli nie mówić.

— Zabawny — zgodził się Eddie. — Myślę, że mógłbyś nalać mi jeszcze jedną porcję tej czarnej, dobrze? Musimy pogawędzić.

Tower uśmiechnął się i ponownie wziął do ręki książkę, którą Andolini chciał spalić.

— Pogawędzić. W tej książce zawsze tak mówią.

— Rzeczywiście?

— Uhm.

Eddie wyciągnął rękę.

— Pozwól mi zajrzeć.

Tower zawahał się i Eddie zauważył, jak twarz księgarza stężała pod wpływem miotającej nim burzy uczuć.

— No, Cal, przecież nie zamierzam się nią podetrzeć.

— No tak. Oczywiście. Przepraszam. — Przez chwilę Tower wyglądał tak, jakby naprawdę było mu przykro, niczym alkoholik po szczególnie ciężkim pijaństwie. — Po prostu... niektóre książki są dla mnie szczególnie ważne. A ta to prawdziwy biały kruk.

Podał ją Eddiemu, który spojrzał na zabezpieczoną plastikową folią okładkę i doznał szoku.

— Co? — zapytał Tower. Z traskiem odstawił filiżankę. — Co się stało?

Eddie nie odpowiedział. Ilustracja na okładce ukazywała okrągłą chatę podobną do baraku z blachy falistej, tylko zbu-

dowaną z bali i nakrytą dachem z sosnowych gałęzi. Obok niej stał Indianin w spodniach z jeleniej skóry. Był półnagi i do piersi przyciskał tomahawk. W tle staroświecka lokomotywa pędziła po prerii, śląc w błękitne niebo kłęby szarego dymu.

Książka nosiła tytuł *Dogan*. Jej autorem był Benjamin Slightman Jr.

Eddie usłyszał dochodzący z daleka głos Towera pytającego, czy zamierza zemdleć. Potem, tylko odrobinę bliżej, jego własny głos, gdy odpowiedział, że nie. Benjamin Slightman Jr. Czyli Benjamin Slightman młodszy. Tak więc...

Odsunął pulchną dłoń Towera, gdy ten próbował zabrać mu książkę. Wodząc palcem po okładce, Eddie policzył litery w nazwisku autora. Było ich, oczywiście, dziewiętnaście.

10

Wypił kolejną filiżankę kawy, tym razem bez mleka. Potem znowu wziął w rękę obłożoną w folię książkę.

— Dlaczego jest taka cenna? — zapytał. — Chcę powiedzieć, że dla mnie jest ważna, ponieważ niedawno spotkałem kogoś, kto nosi takie samo nazwisko jak autor tej książki. A jednak...

Coś przyszło Eddiemu do głowy i ponownie obejrzał obwołutę, szukając zdjęcia autora. Zamiast niego zobaczył krótką, dwuwierszową biografię: „BENJAMIN SLIGHTMAN JR. Jest farmerem w Montanie. To jego druga powieść”. Poniżej umieszczono rysunek orła i napis: KUPUJCIE OBLIGACJE WOJENNE!

— Dlaczego ona jest taka ważna dla ciebie? Czemu jest warta siedem i pół tysiąca dolców?

Tower rozpromienił się. Patrząc na niego teraz, pomyślał Eddie, nikt by się nie domyślił, że zaledwie przed piętnastoma minutami bał się o swoje życie. Teraz dał się porwać pasji. Roland miał swoją Mroczną Wieżę, a ten człowiek swoje białe kruki.

Podał książkę Eddiemu, tak by ten mógł sobie obejrzeć okładkę.

— *Dogan*, tak?

— Zgadza się.

Tower otworzył książkę i wskazał na pierwszą stronę, również zabezpieczoną plastikiem, na której zamieszczono streszczenie.

— Atu?

— *Dogan* — przeczytał Eddie. — Pasjonująca opowieść o heroicznej walce pewnego Indianina o przetrwanie. I co z tego?

— A teraz spójrz na to! — rzekł triumfalnie Tower i pokazał mu stronę tytułową. Eddie przeczytał:

Hogan

Benjamin Slightman Jr

— Nie chwytam — mruknął Eddie. — O co tu chodzi?., Tower przewrócił oczami.

— Dobrze popatrz.

— Dlaczego po prostu nie powiesz mi, czego...

— Nie, sam patrz. Nalegam. Radość tkwi w szukaniu, panie Dean. Każdy kolekcjoner panu to powie. Czy to znaczki, monety, czy książki, radość płynie z odkrywania.

Znów odwrócił kartkę i tym razem Eddie dostrzegł to.

— Przekreślono tytuł na pierwszej stronie, tak? *Dogan* zamiast *Hogan*.

Tower z satysfakcją pokiwał głową.

— *Hogan* to indiańska chata, taka jak ta na tej ilustracji. *Dogan*... no cóż, to nic nie oznacza. Błąd na okładce podnosi wartość książki, ale teraz... niech pan spojrzy na to...

Otworzył książkę na stronie ze stopką i podał tomik Eddiemu. Nota copyright była opatrzona datą 1943, co oczywiście wyjaśniało orła i slogan na stronie z biografią autora. Jako tytuł książki podano *Hogan*, tak więc chyba był prawidłowy. Eddie miał już znów zapytać, gdy wreszcie sam znalazł rozwiązanie.

— Opuścili „Jr” przy nazwisku autora, prawda?

— Tak! Tak! — ucieszył się Tower. — Tak jakby tę książkę napisał ojciec autora! Istotnie, kiedyś na zjeździe bibliografów w Filadelfii przedstawiłem związany z tą książką problem pewnemu prawnikowi, który miał prelekcję o prawach autor-skich, i ten facet powiedział mi, że w wyniku tego zwykłego

błędu maszynowego ojciec Slightmana Juniora mógł nabyć prawa autorskie do tej książki! Zdumiewające, nie sądzi pan?

— Zdecydowanie — przyznał Eddie, myśląc: *Slightman starszy i Slightman młodszy*. Myśląc też o tym, jak szybko Jake zaprzyjaźnił się z tym ostatnim, i zastanawiając się, dlaczego czuje się tak nieswojo, siedząc tutaj i pijąc kawę w pocziwym starym Calla New York.

Przynajmniej wziął rugera, pocieszał się.

— Chcesz mi powiedzieć, że wystarczy coś takiego, żeby książka nabrała wartości? — zapytał Towera. — Jeden błąd na okładce, kilka innych w środku i nagle książka jest warta siedem i pół tysiąca dolców?

— Bynajmniej — odparł wyraźnie wstrząśnięty Tower. — Tylko że pan Slightman napisał trzy naprawdę doskonale powieści z Dzikiego Zachodu, wszystkie z indiańskiego punktu widzenia. *Hogan* jest środkową częścią tego cyklu. Po wojnie Slightman stał się grubą rybą w Montanie; miało to coś wspólnego z wodą i prawem do eksploatacji minerałów... a potem, o ironio losu, zabiła go grupka Indian. Nawet go oskalpowali. Pili przed sklepem spożywczym...

Przed składem towarów Tooka, pomyślał Eddie. *Założę się o mój zegarek i ostrogi*.

— Najwidoczniej pan Slightman powiedział coś, co ich uraziło, więc... no cóż, załatwili go.

— Czy z każdą z twoich książek wiąże się jakaś ciekawa opowieść? — spytał Eddie. — Chciałem spytać, czy są takie cenne ze względu na jakiś szczególny zbieg okoliczności, a nie samą treść?

Tower roześmiał się.

— Młodzieńcze, większość kolekcjonerów książek nigdy nawet nie otwiera swoich nabytków. Od otwierania i zamykania książki niszczy się grzbiet okładki. A uszkodzenia obniżają wartość.

— Nie uważasz, że to chore?

— Wcale nie — odparł Tower, lecz zdradził go lekki rumieniec. Widocznie do pewnego stopnia podzielał zdanie Eddiego. — Jeśli klient wydaje osiem tysięcy dolarów na podpisane pierwsze wydanie *Tessy d'Urberville* Hardy'ego, to zdrowy rozsądek nakazuje mu trzymać je w bezpiecznym miejscu, tak by można

podziwiać, lecz nie dotykać. Jeśli ktoś naprawdę chce przeczytać tę książkę, niech sobie kupi tanie wydanie w miękkich okładkach.

— Ty w to wierzysz — zauważył zafascynowany Eddie. — Ty naprawdę tak uważasz.

— No... tak. Książki mogą mieć ogromną wartość. Ta wartość powstaje w rozmaity sposób. Czasem wystarczy sam autograf autora. Czasami... tak jak w tym wypadku... błąd drukarski. Czasem niezwykle niski nakład pierwszego wydania. A co to wszystko ma wspólnego z pańską wizytą tutaj, panie Dean? Czy właśnie o tym chciał pan... pogawędzić?

— Nie, chyba nie.

Tylko o czym naprawdę zamierzał porozmawiać? Przecież wiedział — to było najzupełniej jasne w chwili, gdy wyprowadził Andoliniego i Blondiego z pomieszczenia na zapleczu, a potem stał w progu, patrząc, jak wloką się do lincolna, podtrzymując nawzajem. Nawet w cynicznym, pilnującym własnego nosa Nowym Jorku przyciągnęli wiele spojrzeń. Obaj byli zakrwawieni, a ich oczy miały ten zdziwiony wyraz typu CO, DO DIABŁA, SIĘ STAŁO? Tak, wtedy to było oczywiste. Ta książka — i nazwisko jej autora — znów zamąciły mu w głowie. Wziął ją od Towera i położył okładką do spodu na ladzie, żeby na nią nie patrzeć. Potem zabrał się do porządkowania swoich myśli.

— Pierwsza i najważniejsza sprawa, panie Tower. Musi pan opuścić Nowy Jork i nie wracać do piętnastego lipca. Ponieważ oni wrócą. Zapewne nie ci sami, ale inni faceci Balazara. I będą bardzo chcieli dać nauczkę panu i mnie. Balazar to despota.

Eddie nauczył się tego określenia od Susannah, która w ten sposób określiła Tik-Taka.

— On wierzy w eskalację przemocy. Spoliczkujesz go, odda dwa razy mocniej. Dasz mu w nos, złamie ci szczękę. Rzucisz granat, to podłoży bombę.

Tower jęknął. Był to teatralny dźwięk (choć zapewne niezamierzenie) i w innych okolicznościach Eddie zapewne uśmiełby się. Nie teraz. Ponadto przypomniał sobie wszystko to, co chciał powiedzieć księgarzowi. Może załatwi ten interes, na Boga! Na pewno załatwi.

— Mnie raczej nie zdołają dopaść. Mam pilne sprawy do

załatwienia gdzie indziej. Za górami, za lasami, można by rzec. Pan powinien zatroszczyć się o to, żeby nie dorwali pana.

— Przecież... po tym, co pan zrobił... jeśli nawet nie uwierzą w to o kobietach i dzieciach...

Oczy Towera, szeroko otwarte za przekrzywionymi okularami, błagały Eddiego o zapewnienie, że nie mówił poważnie, grożąc wymordowaniem połowy mieszkańców Brooklynu. Eddie nie mógł mu go dać.

— Cal, posłuchaj. Tacy faceci jak Balazar ani wierzą, ani nie wierzą. Oni po prostu sprawdzają, jak daleko mogą się posunąć. Czyja przeraziłem Wielkiego Nochala? Nie, po prostu go ogłuszyłem. Czy straszylem Jacka? Tak. I udało mi się, ponieważ on ma odrobinę wyobraźni. Czy na Balazarze zrobi wrażenie fakt, że udało mi się wystraszyć Brzydkiego Jacka? Owszem, zrobi... ale nie aż takie, żeby trzymał się z daleka.

Eddie nachylił się nad ladą, patrząc Towerowi w oczy.

— Nie chcę zabijać dzieci, rozumiesz? Wyjaśnijmy to sobie. W... powiedzmy to tak: w pewnym miejscu ja i moi przyjaciele zamierzamy ryzykować nasze życie, żeby uratować dzieci. Lecz to są istoty ludzkie. Tacy jak Jack, Tricks Postiono i sam Balazar to zwierzęta. Wilki w ludzkiej skórze. Czy wilki płodzą istoty ludzkie? Nie, raczej następne wilki. Czy basior parzy się z kobietą? Nie, z waderą. Tak więc gdybym to zrobił, gdybym musiał to zrobić, uważałbym, że wybijam stado wilków, aż do najmniejszego szczenięcia. Nic więcej. I nie mniej.

— Mój Boże, on naprawdę tak myśli — jęknął Tower. Powiedział to szeptem, mówiąc do siebie.

— Właśnie tak, ale to nie ma nic do rzeczy — rzekł Eddie. — Chodzi o to, że oni tu przyjdą. Nie po to, by cię zabić, ale zmusić do zmiany zdania. Jeśli tu zostaniesz, Cal, sądzę, że grozi ci w najlepszym razie ciężkie kalectwo. Czy masz jakieś miejsce, gdzie mógłbyś się ukryć do piętnastego lipca? Czy masz dość pieniędzy? Ja ich nie mam, ale w razie potrzeby chyba mogę je zdobyć.

Myślam Eddie był już na Brooklynie. Wszyscy wiedzieli, że Balazar organizuje nielegalne partyjki pokera na zapleczu salonu fryzjerskiego Berniego. Może w ten weekend nie będzie tam gry, lecz z pewnością znajdzie się ktoś z gotówką. Wystarczy...

— Aaron ma trochę pieniędzy — przyznał niechętnie To-

wer. — Wiele razy proponował mi pożyczkę. Zawsze odmawiałem. Ponadto wciąż mi powtarza, że powinienem zrobić sobie wakacje. Myślę, że w ten sposób chciał powiedzieć, że powinienem umknąć przed tymi, których właśnie pan pogonił. Ciekawi go, czego chcą, lecz nigdy mnie nie zapytał. Narwaniec, ale przy tym dżentelmen. — Tower uśmiechnął się. — Może Aaron i ja moglibyśmy razem gdzieś pojechać. W końcu może już nie mieć okazji.

Eddie był najzupełniej pewien, że dzięki chemioterapii i naświetlaniom Aaron Deepneau będzie sprawny i żywy jeszcze co najmniej cztery lata, nie był to jednak odpowiedni moment, żeby o tym mówić. Spojrzał w kierunku wyjścia z Manhattańskiej Restauracji Ducha i ujrzał inne drzwi. Za nimi znajdował się wylot jaskini. Dalej zobaczył sylwetkę rewolwerowca, siedzącego tam ze skrzyżowanymi nogami, niczym jakiś jogin z kreskówki. Eddie zastanawiał się, jak długo tam tkwi, od jak dawna Roland słucha stłumionego, lecz wciąż doprowadzającego do szału bicia dzwonów transu.

— Jak pan sądzi, czy Atlantic City to wystarczająco daleko? — zapytał nieśmiało Tower.

Eddie Dean o mało się nie wzdrygnął na samą myśl. Przez moment oczami duszy widział dwie pulchne owieczki — w podeszłym wieku, owszem, ale jeszcze niczego sobie — wchodzące nie między stado wilków, lecz w całe wilcze miasto.

— Nie tam — rzekł Eddie. — Wszędzie, byle nie tam.

— Może Maine albo New Hampshire? Moglibyśmy wynająć chatkę nad jakimś jeziorem i zostać w niej do piętnastego lipca.

Eddie skinął głową. Znał mieszcuchów. Trudno mu było wyobrazić sobie oprychów Balazara myszkujących w odległych północnych hrabstwach, noszących kraciaste czapeczki, puchowe kurtki, zajadających kanapki i popijających je sokiem.

— Tak już lepiej — przyznał. — A będąc tam, rozejrzyj się za jakimś prawnikiem.

Tower parsknął śmiechem. Eddie spojrział na niego, lekko przechylając głowę na bok, i też się uśmiechnął. Zawsze dobrze patrzeć, jak ludzie się cieszą, ale jeszcze lepiej wiedzieć, kurwa, z czego.

— Przepraszam — rzekł Tower po chwili lub dwóch. — Chodzi o to, że Aaron był prawnikiem. Jego siostra i dwaj bracia, wszyscy młodszy od niego, są prawnikami. Lubią się chwalić, że używają w swoich biurach papieru listowego z najkrótszym nagłówkiem w Nowym Jorku, a może w całych Stanach. Głosi po prostu DEEPNEAU.

— To przyspieszy sprawę — powiedział Eddie. — Niech pan Deepneau przygotuje umowę, kiedy będziecie spędzać wakacje w Nowej Anglii.

— Raczej ukrywać się w Nowej Anglii — poprawił Tower. Nagle znów miał ponurą minę. — Chować się w Nowej Anglii.

— Nazywaj to, jak chcesz — mruknął Eddie — ale przygotujcie tę umowę. Sprzedasz parcelę mnie i moim przyjaciółom. Tet Corporation. Na początek dostaniesz za nią dolara, ale gwarantuję ci, że w końcu otrzymasz dobrą cenę rynkową.

Miał jeszcze wiele do powiedzenia, ale na tym poprzestał. Kiedy wyciągnął rękę po książkę zatytułowaną *Dogan, Hogan* czy jakoś tak, na twarzy Towera pojawiła się głęboka niechęć. Jeszcze bardziej nieprzyjemna była kryjąca się pod nią głupota... i to irytująca. *O Boże, zamierza się ze mną spierać. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, on zamierza się spierać. A dlaczego? Bo naprawdę jest szcurem.*

— Możesz mi zaufać, Cal — ciągnął Eddie, dobrze wiedząc, że tu nie chodzi o zaufanie. — Postawić na to swój zegarek i ostrogi. Posłuchaj mnie. Posłuchaj, proszę.

— Przecież ja wcale cię nie znam. Przychodzisz tu prosto z ulicy...

— I ratuję ci życie, nie zapominaj o tym. Na twarzy Towera malował się zacięty upór.

— Wcale nie zamierzali mnie zabić. Sam tak powiedziałeś.

— Ale zamierzali spalić twoje ulubione książki. Twoje najcenniejsze książki.

— Wcale nie najcenniejsze. Poza tym mogli blefować.

Eddie zrobił głęboki wdech i wydech, mając nadzieję, że opuści go albo przynajmniej osłabnie nagła chęć przechylenia się przez kontuar i zaciśnięcia palców na tłustej szyi Towera. Przypomniawszy sobie, że gdyby Tower nie był uparty, zapewne już dawno sprzedałby parcelę Sombra Corporation. I róża

zostałaby wyrwana z korzeniami. A Mroczna Wieża? Eddie domyślał się, że po śmierci róży Mroczna Wieża po prostu rozsypałaby się jak wieża Babel, kiedy Bóg miał jej dość i trącił ją Swoim palcem. Nie byłoby następnych stu lub tysiąca lat oczekiwania, aż zatrzyma się maszyna napędzająca Promienie. Po prostu proch i upadek. A potem? Sławcie Karmazynowego Króla, pana ciemności.

— Cał, jeśli sprzedasz tę parcelę mnie i moim przyjaciółom, nic nie będzie ci już grozić. A ponadto będziesz miał dość pieniędzy, żeby prowadzić tę księgarnię do końca życia. — Nagle coś przyszło mu do głowy. — Hej, czy znasz firmę, która nazywa się Holmes Dental?

Tower uśmiechnął się.

— Kto jej nie zna? Używam ich nici dentystycznych. I pasty do zębów. Próbowałem płynu do płukania ust, ale jest za silny. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ Odetta Holmes jest moją żoną. Może wyglądam jak skrzyżowanie ropuchy z gremlinem, ale tak naprawdę jestem istnym zaczarowanym księciem.

Tower milczał przez długą chwilę. Eddie pohamował niecierpliwienie i pozwolił mu się namyślać.

— Uważasz mnie za głupca. Za Silasa Marnera albo gorzej, za Ebenezera Scrooge'a — odezwał się Tower.

Eddie nie miał pojęcia, kim był Silas Mamer, ale uchwycił sens wypowiedzi Towera.

— Ujmijmy to tak. Po tym, co przed chwilą przeszedłeś, chyba jesteś wystarczająco mądry, żeby wiedzieć, co będzie dla ciebie najlepsze.

— Czuję się zobowiązany powiedzieć ci, że z mojej strony nie jest to tylko bezduszne skąpstwo, ale przejaw ostrożności. Wiem, że ten fragment Nowego Jorku ma dużą wartość, jak każdy kawałek Manhattanu, ale nie chodzi tylko o to. Mam na zapleczu sejf. Coś w nim jest. Być może cenniejszego od mojego egzemplarza *Uliksesa*.

— Czemu więc nie zdeponowałeś tego w banku?

— Ponieważ to powinno być tutaj — odparł Tower. — Zawsze tu było. Może czekało na ciebie albo kogoś takiego jak ty. Niegdyś, panie Dean, do mojej rodziny należała niemal cała Zatoka Zółwia oraz... No cóż, proszę zaczekać. Zaczeka pan?

— Tak —
A miał inne wyjście?

powiedział

Eddie.

11

Kiedy Tower odszedł, Eddie wstał ze stołka i zbliżył się do drzwi, które tylko on widział. Zajrzał w nie. Usłyszał słabe bicie dzwonów. Nieco wyraźniej głos matki.

— Dlaczego stamtąd nie wrócisz? — wołała żałośnie. — Tylko pogorszysz sytuację, Eddie, jak zawsze.

Cała mama, pomyślał i zawołał rewolwerowca.

Roland wyjął kulę z jednego ucha. Eddie zauważył dziwnie niezgrabny sposób, w jaki to zrobił, z trudem poruszając palcami, jakby mu zeszytywniały, ale teraz nie miał czasu zastanawiać się nad tym.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Tak. A u ciebie?

— Też, ale... Rolandzie, mógłbyś tu przejść? Może będę potrzebował pomocy.

Roland zastanowił się i pokręcił głową.

— Gdybym to zrobił, szkatułka mogłaby się zatrasnąć. Niemal na pewno tak by się stało. A wtedy drzwi zamknęłyby się również. 1 zostalibyśmy uwięzieni po drugiej stronie.

— A nie mógłbyś ich zablokować kamieniem, kawałkiem kości albo czymś takim?

— Nie — odrzekł Roland. — To nic by nie dało. Kryształ ma zbyt wielką moc.

/ działa na ciebie, pomyślał Eddie. Roland wyglądał tak mizernie jak wtedy, kiedy trucizna homarokoszmarów trawiła jego ciało.

— W porządku.

— Postaraj się wrócić jak najszybciej.

— Dobrze.

12

Obejrzał się i zobaczył, że Tower patrzy na niego ze zdziwieniem.

— Z kim rozmawiałeś?

Eddie odsunął się na bok i wskazał na drzwi.

— Widzisz tam coś, *sai*?

Calvin Tower spojrzął, już chciał zaprzeczyć, ale przyjrzał się uważniej.

— Jakieś falowanie — powiedział w końcu. — Jak rozgrzanego powietrza nad piecem. Kto tam jest? Co tam jest?

— Na razie powiedzmy, że nikt. Co tam masz?

Tower podniósł rękę. Trzymał w niej kopertę, bardzo starą. Widniały na niej pięknie wykaligrafowane słowa *Sujan ^oizn* i *Jlił nudoiączatny*. Poniżej, równie starannie napisane wyblakłym atramentem, znajdowały się te same symbole, które były na drzwiach i szkatułce:)@^j@ ()@^ Teraz może narzecie do czego dochodzimy, pomyślał Eddie.

— Kiedyś ta koperta zawierała ostatnią wolę mojego pradziadka — wyjaśnił Calvin Tower. — Spisaną dziewiętnastego marca tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku. Teraz jest w niej tylko kartka papieru z pewnym nazwiskiem. Jeśli powiesz mi, młodzieńcze, co to za nazwisko, zrobię to, o co prosisz.

No tak, mamy następną zagadkę. Tylko że tym razem od odpowiedzi nie zależy życie czterech osób, ale istnienie wszechświata.

Dzięki Bogu, że to łatwa zagadka, pomyślał.

— Deschain — odparł. — Albo Roland... takie imię ma mój *dinh*... albo Steven, czyli imię jego ojca.

Krew odpłynęła z twarzy Towera. Eddie nie miał pojęcia, jak księgarzowi udało się utrzymać na nogach.

— Dobry Boże w niebiesiech — wykrztusił.

Drżącymi palcami wyjął z koperty stary i kruchy kawałek papieru — podróżnika w czasie. Mającego za sobą stutrzydziestojednoletnią podróż do tego niegdyś. Kartka była złożona. Tower rozwinął ją na kontuarze, tak że obaj mogli przeczytać słowa skreślone przez Stefana Torena tym samym kaligraficznym pismem:

Roland Deshain z Gilead

Potomek Elda

REWOLWEROWIEC

Rozmowa trwała jeszcze chwilę, mniej więcej piętnaście minut, i Eddie przypuszczał, że przynajmniej jej część była istotna, lecz umowa została zawarta w chwili, kiedy podał Towerowi nazwisko, które prapradziadek księgarza zapisał na kawałku papieru czternaście lat przed wybuchem wojny secesyjnej.

Podczas tej rozmowy z Towerem Eddie odkrył coś niepokojącego. Wprawdzie darzył tego człowieka szacunkiem (jak każdego, kto potrafił dłużej niż dwadzieścia sekund opierać się oprychom Balazara), ale niespecjalnie go lubił. Raził go głupi upór tego człowieka. Eddie doszedł do wniosku, że zapewne jest to mechanizm obronny, być może wzmocniony namowami psychoanalityka, który powtarzał księgarzowi, że powinien dbać o siebie, urzeczywistniać swoje pragnienia, być kapitanem swojego statku, kowalem swego losu i tym podobne brednie. Wszystkie te pseudonaukowe slogany sprowadzały się do tego, że człowiek ma prawo być samolubnym palantem. Wręcz obowiązek. Eddie wcale się nie zdziwił, kiedy Tower wyznał, że Deepneau jest jego jedynym przyjacielem. Dziwiło go tylko to, że Tower w ogóle ma jakiegoś przyjaciela. Taki człowiek nigdy nie mógł być *ka-tet* i Eddiego niepokoiło to, że ich losy są tak mocno związane ze sobą.

Musisz po prostu zaufać *ka*. W końcu po to jest *ka*, no nie?

Jasne, ale to wcale nie oznaczało, że Eddiemu musi się to podobać.

Eddie zapytał Towera, czy ma pierścień z napisem *Ex Liveris*. Tower zrobił zdziwioną minę, a potem roześmiał się i powiedział Eddiemu, że zapewne miał na myśli *Ex Libris*. Poszperał na jednej z półek, zdjął z niej książkę i pokazał Eddiemu pieczęć na pierwszej stronie. Eddie skinął głową.

— Nie mam — rzekł Tower. — Lecz pasowałby do kogoś takiego jak ja, prawda? — Obrzucił Eddiego bystrym spojrzeniem. — Dlaczego pytasz?

cego teraz ukrytymi drogami różnych wersji Ameryki wiązał się z tematem, którego Eddie nie czuł się na siłach omawiać. Już wystarczająco namieszał księgarzowi w głowie, a ponadto musiał wrócić przez nieodkryte drzwi, zanim Czarna Trzynastka wykończy Rolanda.

— Nieważne. Jeśli jednak znajdziesz taki, powinieneś go podnieść. Jeszcze jedno i już mnie nie ma.

— Tak?

— Chcę, żebyś mi obiecał, że znikniesz stąd natychmiast po moim zniknięciu.

Tower znów miał niepewną minę. Eddie wiedział, że z czasem zniechędziłby go za to.

— Cóż... prawdę mówiąc, nie wiem, czy mogę. Późnym popołudniem często jest tu spory ruch... ludzie lubią sobie poszperać po całym dniu pracy... a pan Brice ma przyjść po pierwsze wydanie *Zakłóceń w eterze*, powieści Irwina Shawa o czasach radia i macCarthyizmu... Musiałbym przynajmniej zajrzeć do terminarza i...

Nudził, z coraz większym przekonaniem wymieniając różne prozaiczne czynności. Eddie przerwał mu, mówiąc łagodnie:

— Lubisz swoje jaja, CaWinie? Czy jesteś z nimi równie mocno związany jak one z tobą?

Tower, który właśnie głośno zastanawiał się, kto nakarmi Sergia, jeśli on zwinie manatki i zwieje, urwał i ze zdumieniem spojrzął na swego gościa, jakby jeszcze nigdy nie słyszał tego dwusylabowego słowa.

Eddie cierpliwie skinął głową.

— Twoje jaja. Twój wór. Twoje klejnoty rodowe. Twoje *cojones*. Wytwórnice spermy. Genitalia.

— Nie rozumiem, co...

Eddie wypił już kawę. Teraz nalał sobie do filiżanki mleka i wypił je zamiast niej. Było bardzo smaczne.

— Mówiłem ci, że jeśli tu zostaniesz, możesz zostać inwalidą. Nie żartowałem. Zapewne właśnie od nich zaczną, od twoich jaj. Żeby dać ci nauczkę. Kiedy to nastąpi, zależy tylko od natężenia ruchu ulicznego.

— Ruchu ulicznego — powtórzył jak automat Tower.

— Właśnie — rzekł Eddie, sącząc mleko, jakby to była

wyśmienita whiskey. — A konkretnie od tego, ile czasu zajmie Jackowi Andoliniemu powrót na Brooklyn, a potem od tego, jak szybko Balazar zbierze furgonetkę lub ciężarówkę swoich ludzi i przywiezie ich tutaj. Mam nadzieję, że Jack jest zbyt oszołomiony, żeby zatelefonować. Myślałeś, że Balazar będzie czekał do jutra? Zwoła naradę i urządzi burzę mózgow z takimi geniuszami, jak Kevin Blake i 'Cimi Dretto? — Eddie podniósł najpierw jeden palec, a potem drugi. Pod paznokciami miał kurz z innego świata. — Po pierwsze, to bezmózgowcy, a po drugie, Balazar im nie ufa. Zrobi to, Cal, co robi każdy despota: zareaguje natychmiast, szybko jak błyskawica. Godzina szczytu trochę ich zatrzyma, ale jeśli nadal będziesz tu o szóstej, najpóźniej szóstej trzydziści, możesz pożegnać się ze swoimi jajami. Obetną ci je scyzorykiem, a potem skauteryzują ranę lutownicą albo opalarką...

— Prześlą — przerwał mu Tower. Teraz nie był już błąd, lecz zielonkawy. Nie wyglądało to najlepiej. — Znajdę jakieś miejsce w Village. Jest tam kilka hoteli, w których zatrzymują się pisarze i artyści bez grosza, tanich, ale znośnych. Zadzwoń do Aarona i jutro rano pojedziemy na północ.

— Świetnie, lecz najpierw musisz powiedzieć mi dokąd. Możliwe, że będziemy musieli się z wami skontaktować... ja lub ktoś z moich przyjaciół.

— A skąd mam wiedzieć? Nie znam żadnego miasta w Nowej Anglii na północ od Westport w stanie Connecticut!

— Kiedy już będziesz w tym hotelu w Village — poradził Eddie — skorzystaj z telefonu. Wybierz jakieś miasteczko, a jutro rano, zanim opuścisz Nowy Jork, wyślij swojego kumpla Aarona na pustą parcelę. Niech napisze na płocie kod adresowy.

Nagle Eddiemu przyszła do głowy nieprzyjemna myśl.

— Macie kody adresowe, prawda? Pytam, czy zostały wprowadzone.

Tower spojrział na niego jak na wariata.

— Oczywiście, że tak.

— Doskonale. Niech napisze go przy Czterdziestej Szóstej Ulicy, na samym końcu ogrodzenia. Rozumiesz?

— Tak, ale...

— Zapewne nie obstawią jutro rano księgarni, zakładając, że nie jesteś głupi i zwiąłeś, jeśli jednak tak, to nie obstawią

parceli, a nawet gdyby to zrobili, będą pilnowali Drugiej Alei. A jeżeli obstawią Czterdziestą Szóstą Ulicę, to będą wypatrywali ciebie, a nie jego.

Tower mimo woli uśmiechnął się. Eddie odprężył się i odpowiedział uśmiechem.

— A jeśli... jeśli będą szukali Aarona?

— Niech ma na sobie ubranie, jakiego zwykle nie nosi. Jeśli przeważnie nosi dżinsy, niech włoży garnitur. Jeżeli nosi garnitury...

— ...niech ma na sobie dżinsy.

— Właśnie. Okulary przeciwsłoneczne też nie byłyby złe, zakładając, że dzień nie będzie tak pochmurny, żeby rzucały się w oczy. Powiedz mu, żeby użył czarnego flamastra. Niech podejdzie do płotu, jakby chciał przeczytać jakieś ogłoszenie. Napisze numer i odejdzie. I powiedz mu, żeby tego nie spieprzył.

— A jak nas znajdziecie, nawet mając ten kod pocztowy?

Eddie pomyślał o sklepie Tooka i prowadzonych na ganku rozmowach z mieszkańcami. Kiedy każdy, kto chciał, mógł ich oglądać i pytać, o co chciał.

— Idź do miejscowego sklepu spożywczego. Pogadaj tam trochę i mów każdemu, kto zechce słuchać, że przyjechałeś do tego miasteczka napisać książkę albo malować obrazy więcierzy do łowienia homarów. Znajdę cię.

— W porządku — rzekł Tower. — To dobry plan. Masz dobre pomysły, młodzieńcze.

Jestem do tego stworzony, pomyślał Eddie, ale nie powiedział tego.

— Muszę już iść. I tak za długo tu siedzę — oświadczył.

— Zanim pójdziesz, mógłbyś jeszcze coś dla mnie uczynić. Kiedy to wyjaśnił, Eddie zrobił wielkie oczy.

— Żartujesz, kurwa!

Tower ruchem głowy wskazał na drzwi księgarni, za którymi widział to lekkie falowanie powietrza. Sprawiało, że przechodzący po Drugiej Alei ludzie wyglądali jak zjawy.

— Tam są drzwi. Prawie mi to powiedziałeś i ja ci wierzę. Wprawdzie nie mogę ich dostrzec, ale coś widzę.

— Jesteś stuknięty — zawołał Eddie. — Kompletny świr. Nie myślał tak — niezupełnie — ale jeszcze mniej podobało

mu się to, że jego los jest tak ściśle związany z losem człowieka, który prosi o coś takiego. Stawia takie żądania.

— Może tak, a może nie — odparł Toren. Założył ręce na szerokiej, lecz słabo umięśnionej piersi. Mówił cicho, w jego oczach malował się upór. — Tak czy inaczej, tylko pod takim warunkiem zrobię, co mi proponujesz. Innymi słowy, tylko wtedy popełnię to szaleństwo.

— O rany, Cal! Dobry Boże i Panie Jezu! Przecież ja jedynie chcę, żebyś zrobił to, co kazał ci zrobić Stefan Toren!

Tower nie umknął spojrzeniem w bok tak jak wtedy, kiedy zaczynał kręcić i marudzić. Teraz mierzył Eddiego nieustępliwym wzrokiem.

— Stefan Toren umarł, a ja żyję. Powiedziałem ci, pod jakim warunkiem zrobię to, czego chcesz. Teraz tylko od ciebie zależy, czy...

— Tak, tak, TAK! — krzyknął Eddie i wypił resztę mleka ze swojej filiżanki. Potem podniósł karton i też go opróżnił. Wyglądało na to, że powinien się wzmocnić. — No to chodź — powiedział. — Zróbmy to.

15

Roland widział wewnątrz sklepu, ale tak jakby patrzył na dno wartkiego strumienia. Miał nadzieję, że Eddie się pospieszy. Pomimo wetkniętych do uszu kul wciąż słyszał dzwony transu, a nic nie tłumilo okropnych zapachów: to rozgrzanego metalu, to przypalonego boczku, to starego topionego sera, to znów smażonej cebuli. Oczy mu łzawiły, co prawdopodobnie przynajmniej w pewnym stopniu było powodem falowania wszystkiego, co widział za drzwiami.

Znacznie gorszy od bicia dzwonów i odorów był sposób, w jaki kryształ oddziaływał na jego i tak obolałe stawy, zdając się wypełniać je tłuczonym szkłem. Na razie nie poczuł nic poza lekkim mrowieniem lewej ręki, ale nie miał żadnych złudzeń: ból w tej kończynie i całym ciele będzie narastał, dopóki szkatułka pozostanie otwarta, a Czarna Trzynastka odsłonięta. Po zaniknięciu pudełka ból stawów częściowo minie, lecz nie od razu. A to mógł być dopiero początek.

Jakby gratulując mu intuicji, potworny ból ulokował się w prawym biodrze i zaczął pulsować. Roland miał wrażenie, że ktoś wepchnął mu tam worek z topionym ółowiem. Próbował masować biodro prawą ręką... jakby to mogło coś pomóc.

— Rolandzie! — usłyszał bełkocliwy i odległy okrzyk, zdający się dochodzić spod wody... tak jak wszystko widoczne za tymi drzwiami... ale niewątpliwie należący do Eddiego. Roland oderwał wzrok od swojego biodra i zobaczył Eddiego oraz Towera, zbliżających się do nieodkrytych drzwi i niosących jakąś skrzynkę. Była pełna książek. — Rolandzie, możesz nam pomóc?

Ból osiadł tak głęboko w jego biodrach i kolanach, że Roland nie był pewien, czy zdoła wstać... a jednak zrobił to, w dodatku zwinnie. Nie wiedział, czy Eddie swymi bystrzymi oczami już spostrzegł, w jakim rewolwerowiec jest stanie, ale nie chciał, żeby zauważył więcej. Przynajmniej dopóki nie zakończy się ich przygoda w Calla Bryn Sturgis.

— My popchniemy, a ty pociągnij!

Roland skinął głową i skrzynkę wepchnięto w drzwi. Przez jedną krótką i dziwną chwilę połowa znajdująca się już w jaskini była wyraźnie widoczna, podczas gdy ta pozostająca w Manhattańskiej Restauracji Ducha falowała i migotała w sposób wywołujący zawrót głowy. Potem Roland mocno chwycił pudło i pociągnął. Podskoczyło i zazgrzytało na dnie jaskini, roztrącając na boki kopczyki kamieni i kości.

Gdy tylko skrzynka przeszła przez drzwi, wieko szkatułki zaczęło się zamykać. Drzwi również.

— Nie, nic z tego — mruknął Roland. — Nie zamkniesz się, suko.

Wsunął pozostałe dwa palce prawej ręki w zwężającą się szparę. Drzwi natychmiast przestały się zamykać i pozostały uchylone. Więcej nie mógł zrobić. Teraz czuł mrowienie nawet w zębach. Eddie kończył pogawędkę z Towerem, ale Roland nie dbał już o to, choćby nawet omawiali największe tajemnice wszechświata.

— Eddie! — ryknął. — Eddie, do mnie!

I Eddie na szczęście złapał sakwę i wrócił. Gdy tylko przeszedł na tę stronę, Roland zamknął szkatułkę. Sekundę później nieodkryte drzwi zatrzasnęły się z cichym i pozbawionym

dramatyzmu trzaskiem. Dzwony umilkły. Znikł również potworny ból szarpiący stawy Rolanda. Rewolwerowiec poczuł tak ogromną ulgę, że nie zdołał powstrzymać jęku. Przez kilka następnych sekund mógł jedynie siedzieć z kolanami podciągniętymi pod brodę i zamkniętymi oczami, powstrzymując szloch ulgi.

— Dzięki ci — wymamrotał w końcu. — Dzięki ci, Eddie.

— Nie ma o czym mówić. Jak myślisz, chyba lepiej wynieść się z tej jaskini? y

— Też tak myślę — odparł Roland. — Na bogów, tak.

16

— Niezbyt ci się spodobał, co? — zapytał Roland.

Od powrotu Eddiego minęło dziesięć minut. Odeszli kawałek od jaskini, a potem przystanęli w miejscu, gdzie ścieżka omijała niewielki występ skalny. Ryczący wicher, który rozwiewał im włosy i przylepiał ubrania do ciał, tutaj przycichł do sporadycznych podmuchów. Roland był z tego rad. Miał nadzieję, że podmuchy usprawiedliwią jego powolne i niezgrabne ruchy przy skręcaniu papierosa. Czuł jednak na sobie wzrok Eddiego, a młodzian z Brooklynu — niegdyś równie mało spostrzegawczy jak Andolini i Bióndi — teraz zauważał wszystko.

— Masz na myśli Towera.

Roland odparł z sardonicznym uśmiechem:

— A kogóż innego? Kota?

Eddie mruknął coś pod nosem, prawie z rozbawieniem. Wciąż z lubością wdychał świeże powietrze. Jak dobrze było wrócić. Pod pewnym względem dobrze było być w Nowym Jorku osobiście, a nie tylko w transie — nie miało się wrażenia, że wszędzie kryje się mrok, i towarzyszącego mu uczucia, że wszystko jest *cienkie* — ale, do licha, jak tam śmierdziało! Głównie spalinami (przy czym najgorszy był smród spalonej ropy), którym towarzyszyło tysiąc innych paskudnych woni. Nie najmilszy był też zapach zbyt wielu ludzkich ciał stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, ani trochę nie dający się zamaskować przez stosowane przez nowojorczyków perfumy i aerozole. Czy oni nie zdawali sobie sprawy z tego, jak śmierdzą

stłoczeni wszyscy razem? Eddie podejrzewał, że nie. On kiedyś też tego nie dostrzegał. Kiedyś nie mógł się doczekać powrotu do Nowego Jorku i był gotów zabić, żeby tam wrócić.

— Eddie? Wracaj z Nis! — rzekł Roland, pstrykając palcami przed nosem Eddiego Deana.

— Przepraszam — powiedział młodzian. — Co do Towera... Nie, niezbyt mi się spodobał. Boże, przenosić książki przez drzwi między światami! Żądać zabezpieczenia paru parszywych pierwszych wydań w zamian za pomoc w ratowaniu świata! "

— On nie patrzy na to w ten sposób... chyba że w snach. Poza tym wiesz, że oni spalą księgarnię, kiedy tam wrócą i przekonają się, że dał nogę. Niemal na pewno to zrobią. Wleją / benzynę przez szparę pod drzwiami i podpalą. Wybiją szybę i wrzucą granat albo koktajl Mołotowa. Chcesz mi powiedzieć, że nie przyszło ci to do głowy? Oczywiście, że przyszło.

— Cóż, może.

Teraz Roland skwitował to rozbawionym pomrukiem.

— Żadne może. Dlatego postanowił ratować swoje książki. I teraz w Jaskini Przejścia mamy pod czym schować skarb Callahana. Chociaż to chyba także nasz skarb.

— Moim zdaniem jego dzielność to nie odwaga — odparł Eddie. — Raczej chciwość.

— Nie każdy jest powołany dzierżyć miecz, rewolwer czy ster okrętu — przypomniał Roland — ale wszyscy służymy *ka*.

— Naprawdę? Karmazynowy Król też? Albo cisi... mężczyźni i kobiety, o których mówił Callahan?

Roland nie odpowiedział.

— Chyba robi to, co do niego należy. Mówię o Towerze, nie o kocie.

— Bardzo zabawne — mruknął sucho Roland. Potarł zapałkę o siedzenie spodni, osłonił dłonią płomień i zapalił papierosa.

— Dzięki, Rolandzie. Twoje poczucie humoru wyraźnie się polepsza. Teraz zapytaj mnie, czy moim zdaniem Towerowi i Deepneau uda się niepostrzeżenie opuścić Nowy Jork.

— A jak uważasz?

— Nie, sądzę, że pozostawią trop. My potrafilibyśmy za nim pójść, ale mam nadzieję, że ludzie Balazara nie zdołają.

Obawiam się tylko Jacka Andoliniego. To sprytny **drań**. Co <k>> Balazara, to zawarł umowę z Sombra Corporation.

— Jest na usługach króla.

— Tak, pewnie jest, w taki czy inny sposób — rzekł Eddie. Wydało mu się, że Roland mówi o Karmazynowym Królu. — Balazar wie, że kiedy zawiera się taką umowę, trzeba się z niej wywiązać albo mieć bardzo dobre usprawiedliwienie. Niepowodzenie odbija się głośnym echem. Zaczynają krążyć opowieści, że taki a taki wymięka, nie ma jaj. Mają jeszcze trzy tygodnie, żeby znaleźć Towera i zmusić go do sprzedania parceli. Wykorzystajaje. Balazar to nie FBI, ale ma swoje kontakty i... Rolandzie, najgorsze jest to, że Towerowi to wszystko wydaje się nierealne. Jakby życie pomyliło mu się z jedną jego książek. Myśli, że wszystko musi się dobrze skończyć, ponieważ pisarza wiąże kontrakt.

— Uważasz, że będzie nieostrożny.
Eddie zaśmiał się.

— Och, ja wiem, że on będzie nieostrożny. Pytanie tylko, czy Balazar zdoła to wykorzystać.

— Będziemy musieli obserwować pana Towera. Pilnować go dla jego własnego dobra. Tak sądzisz, prawda?

— Tak, do diaska! — odparł Eddie i po chwili milczenia obaj parsknęli śmiechem. Kiedy się uspokoiłi, Eddie powiedział: — Sądzę, że powinniśmy wysłać Callahana, jeśli tylko zechce. Pewnie pomyślisz, że oszalałem, ale...

— Wcale nie — odparł Roland. — On jest... albo mógłby być jednym z nas. Przeczynałem to od początku. I przywykł do podróžowania w różnych dziwnych miejscach. Powiem mu to dzisiaj. Jutro przyjdę tu z nim i otworzę mu drzwi...

— Pozwól mi to zrobić — poprosił Eddie. — Ten jeden raz ci wystarczy. Przynajmniej na razie.

Roland spojrział na niego czujnie, a potem rzucił papierosa w przepaść.

— Dlaczego tak twierdzisz, Eddie?

— Twoje włosy stały się bielsze w tym miejscu — Eddie poklepał się po czubku głowy. — Poza tym poruszasz się trochę sztywno. Nie w tym momencie, ale domyślam się, że stary reumatyzm znów dał o sobie znać. Powinieneś odpocząć.

— W porządku, odpocznę — obiecał Roland. Jeśli Eddie myśli, że to tylko pocziwy pan Reumatyzm, to nie jest źle.

— Prawdę mówiąc, mógłbym przyprowadzić go tu dziś wieczorem, dostatecznie wcześniej, żeby zdążył sprawdzić ten kod pocztowy — zauważył Eddie. — Założę się, że tam będzie już nowy dzień.

— Nikt z nas nie powinien chodzić tą ścieżką po ciemku, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Eddie spojrzał na strome zbocze ze sterczącym skalnym występem, zmieniającym piętnaście stóp ścieżki w spacer po linie.

— Masz rację.

Roland zaczął się podnosić. Eddie chwycił go za rękę.

— Zostań jeszcze kilka minut, Rolandzie. Proszę.

Rewolwerowiec ponownie usiadł, patrząc na młodzieńca.

Eddie nabrał tchu, a potem powoli wypuścił powietrze z płuc.

— Ben Slightman to kapuś — oznajmił. — Donosiciel. Jestem tego prawie pewny.

— Tak, wiem.

Eddie popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Wiesz? Skąd możesz...?

— Powiedzmy, że podejrzewałem go od początku.

— Dlaczego?

— Nosi okulary — powiedział Roland. — Ben Slightman starszy jest w Calla Bryn Sturgis jedyną osobą noszącą okulary. Chodź, Eddie, czas ucieka. Możemy porozmawiać, idąc.

A jednak nie mogli, przynajmniej nie od razu, gdyż ścieżka była zbyt stroma i wąska. Później, kiedy dotarli do dna wąwozu, stała się szersza i łatwiejsza. Rozmowa znów była możliwa i Eddie opowiedział Rolandowi o książce zatytułowanej *Dogan* lub *Hogan* oraz o pomyłce z nazwiskiem autora. Opisał dziwną stronę tytułową (nie wiedząc, czy Roland go rozumie) i powiedział, że to kazało mu się zastanawiać, czy coś nie wskazuje na współdziałanie syna. Wprawdzie wydawało się to nieprawdopodobne, ale...

— Sądzę, że gdyby Benny Slightman pomagał swemu ojcu nas śledzić — zawyrokował Roland — Jake dowiedziałby się o tym.

— A jesteś pewien, że nie wie? — spytał Eddie. Roland zastanawiał się chwilę. Potem przecząco **pokręcił** głową.

— Jake podejrzewa jego ojca.

— Powiedział ci to?

— Nie musiał.

Już prawie dochodzili do koni, które czujnie uniosły łby i zdawały się zadowolone z powrotu panów.

— Znow wrócił na Rocking B — powiedział Eddie. — Może powinniśmy tam pojechać. Wymyślić jakiś powód i zabrać go z powrotem do Callahana... — Zamilkł, uważnie spoglądając na Rolanda. — Nie?

— Nie.

— Czemu nie?

— Ponieważ na tym polega zadanie Jake'a.

— To niewdzięczna rola, Rolandzie. On i Benny Slightman lubią się. Bardzo. Jeśli w końcu to Jake zawiadomi mieszkańców Calla Bryn Sturgis, co robi jego ojciec...

— Jake zrobi to, co będzie musiał — rzekł Roland. — Jak my wszyscy.

— Przecież to jeszcze dziecko, Rolandzie. Nie widzisz tego?

— Już niedługo nim będzie — odparł rewolwerowiec i wsiał na konia. Miał nadzieję, że Eddie nie zauważył nagłego skurczu bólu na jego twarzy, gdy przerzucił prawą nogę przez siodło, ale oczywiście zauważył.

Rozdział 3
DOGAN, CZĘŚĆ 2

1

Jake i Benny Slightman przez cały ranek tego dnia przynosili bele słomy z poddaszy trzech stodół Rocking B do dolnych pomieszczeń i rozrzucali je. Popołudnie przeznaczyli na pływanie i zapasy w rzece Whye, rozrywkę wciąż przyjemną, jeśli unikać głębokich miejsc, w których woda już zrobiła się zimna. Pomiedzy tymi zajęciami zjedli lunch w baraku z półtuzinem pracowników (nie było wśród nich starszego Slightmana, który pojechał na należące do Telforda ranczo Buckhead w sprawach związanych z hodowlą).

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ten chłopak Bena tak ciężko pracował — zauważył Cookie, stawiając na stole kotlety, na które chłopcy rzucili się z apetytem. — Zamęczysz go, Jake.

Oczywiście Jake właśnie taki miał zamiar. Po porannym przerzucaniu słomy, popołudniowym pływaniu i kilkunastu skokach na siano w czerwonym blasku zachodzącego słońca Benny powinien spać jak zabity. Niestety on sam również. Kiedy poszedł umyć się pod pompą — do tego czasu słońce zdążyło już zejść, pozostawiając tylko czerwone i szybko czerniejące zgliszcza — zabrał ze sobą Ej a. Umył sobie twarz i popryskał Ej a, który zręcznie łapał krople wody w powietrzu. Potem Jake przyklęknął i delikatnie ujął w dłonie pyszczek bumblea.

— Posłuchaj mnie, Ej.

— Ej!

— Zamierzam pójść spać, ale chcę, żebyś mnie obudził, kiedy wzejdzie księżyc. Po cichu, rozumiesz?

— Esz!

Mogło to coś oznaczać albo nie. Gdyby miał się założyć, Jake obstawiłby tę pierwszą możliwość. Wierzył w Eja. A może go kochał. A może było to jedno i to samo.

— Kiedy wzejdzie księżyc. Powiedz księżyc, Ej.

— Księżyc!

Brzmiało to obiecująco, ale Jake i tak zamierzał nastawić swój wewnętrzny budzik na porę wschodu księżyca. Zamierzał pójść tam, gdzie poprzednio widział ojca Benny'ego rozmawiającego z Andym. W miarę upływu czasu to dziwne spotkanie niepokoiło go coraz bardziej. Nie chciał uwierzyć w to, że ojciec Benny'ego albo Andy jest powiązany z Wilkami, lecz musiał się upewnić. Ponieważ tak postąpiłby Roland. Choćby z tego powodu.

2

Obaj chłopcy spali w pokoju Benny'ego. Było tam jedno łóżko, które Benny oczywiście chciał odstąpić swojemu gościowi, ale Jake odmówił. Zamiast tego opracowali system, zgodnie z którym Benny spał na łóżku w „parzyste”, a Jake w „nieparzyste” noce. Tym razem Jake miał spać na podłodze i był z tego zadowolony. Wypełnione gęsim puchem pierzyny Benny'ego były za miękkie. Jeśli zamierzał wstać o wschodzie księżyca, podłoga zapewne była lepszym miejscem. Bezpieczniej.

Benny leżał z rękami pod głową, wpatrując się w sufit. Zwabił Eja do łóżka i bumbler spał już przy nim, zwinęty w kłębek, wetknąwszy nos w swój zabawny ogon.

— Jake? — szepnął Benny. — Śpisz?

— Nie.

— Ja też nie. — A po chwili: — To wspaniale, że tu jesteś.

— Ja też tak myślę — odparł Jake i naprawdę tak uważał.

— Czasem jednak czuje się bardzo samotny.

— Jakbym o tym nie wiedział... Ja zawsze byłem sam. — Jake zamyślił się, a potem dodał: — Założę się, że było ci smutno, kiedy twoja siostra umarła.

— Czasem jeszcze bywa mi smutno. — Powiedział to nie-dbałym tonem, dzięki któremu łatwiej było go wysłuchać. — Myślisz, że zostaniecie tutaj, kiedy pokonacie Wilki?

— Zapewne niedługo.

— Wypełniacie misję, tak? ;

— Tak sądzę.

— Jaką?

Ich misją było ocalić Mroczną Wieżę w tym niegdyś, a różę w tym Nowym Jorku, z którego przybyli on, Eddie i Susannah, ale Jake wolał nie mówić tego Benny'emu, chociaż bardzo go lubił. Wieża i róża to tajemnica. Sprawy *ka-tet*. Nie chciał go okłamywać.

— Roland niewiele o tym mówi — powiedział.

Jeszcze dłuższa przerwa. Benny mościł się na łóżku, robiąc to po cichu, żeby nie zbudzić Eja.

— On trochę mnie przeraża, ten wasz *dinh*. Jake zastanowił się nad tym.

— Mnie też trochę przeraża — odparł.

— Mój ojciec boi się go.

Jake nagle czujnie nadstawił uszu.

— Naprawdę?

— Tak. Mówi, że wcale by się nie zdziwił, gdybyście po przepędzeniu Wilków zwrócili się przeciwko nam. Potem dodał, że tylko żartował, ale ten stary kowboj o kamiennej twarzy go przeraża. Myślę, że to wasz *dinh*, prawda?

— Taak — mruknął Jake.

Już sądził, że przyjaciel zasnął, gdy Benny zapytał:

— Jak wyglądał twój pokój tam, skąd przybyłeś?

Jake pomyślał o swoim pokoju i nagle uświadomił sobie, że zaskakująco trudno mu go opisać. Już od dawna o nim nie myślał. A poza tym nie mógł spełnić prośby Benny'ego. Jego przyjacielowi powodziło się całkiem nieźle, jak na standard Calla. Jake podejrzewał, że tutaj niewielu chłopców w wieku Benny'ego miało własne pokoje, ale gdyby opisał mu swój, przyjaciel uznałby go za księcia z bajki. Telewizor? Stereo, wszystkie nagrania i słuchawki? Plakaty Stevie Wondera i The Jackson Five? Mikroskop, za pomocą którego mógł zobaczyć rzeczy niezauważalne gołym okiem? Czy miał opowiadać temu chłopcu o takich dziwach i cudach?

— Był podobny do tego, tylko miałem w nim **biurko** — powiedział w końcu.

— Do *pisania*? — Benny podniósł się na łokciu.

— No tak — rzekł Jake tonem mówiącym *a do czegożby innego?*

— I papier? Ołówki? Gęsie pióra?

— Papier — przytaknął Jake. Przynajmniej ten cud Benny był w stanie zrozumieć. — I pióra, ale nie gęsie. Wieczne.

— Wieczne pióra? Nie rozumiem.

Jake zaczął mu wyjaśniać, lecz w połowie wywodu usłyszał pochrapywanie. Spojrzał na Benny'ego i zobaczył, że leży zwrócony twarzą do niego, ale ma zamknięte oczy. Ej otworzył swoje — świecące w ciemności — i mrugnął do Jake'a. Potem znowu zasnął.

Chłopiec przez długą chwilę wpatrywał się w Benny'ego, głęboko zaniepokojony czymś, co niezupełnie rozumiał... i nie chciał zrozumieć.

W końcu też zasnął.

3

Po jakimś czasie z mroków snu bez snów wyrwało go lekkie potrząsanie. Coś uciskało jego przegub. Coś ostrego. Zęby. Eja.

— Ej, nie, daj spokój — wymamrotał, ale bumble nic przestał. Trzymał przegub Jake'a w zębach i delikatnie potrząsał jego ręką, od czasu do czasu szarpiąc nieco mocniej. Przestał dopiero wtedy, kiedy Jake w końcu usiadł i popatrzył sennie w rozszebrzoną księżycem noc.

— Księżyc — powiedział Ej. Siedział na podłodze obok Jake'a, z pyskiem otwartym w szerokim uśmiechu i świetlistymi ślepiami. Nic dziwnego, że były świetliste: w obu odbijał się biały krąg. — *Księżyc!*

— Tak — przytaknął Jake, a potem zacisnął dłońią pyszczek bumbera. — Cii!

Puścił Eja i spojrzał na Benny'ego, zwróconego teraz twarzą do ściany i głośno chrapiącego. Jake wątpił, czy obudziłby go wybuch pocisku z haubicy.

— Księżyc — powiedział znacznie ciszej Ej. Spoglądał przez okno. — Księżyc, księżyc, księżyc.

4

Jake pojechałby na oklep, ale chciał zabrać Eja, a z bumberem jazda na oklep byłaby trudna, może nawet niemożliwa. Na szczęście wypożyczony przez Overholsera kuc był łagodny jak kociak, w stajni zaś Jake znalazł stare ćwiczebne siodło, z którym poradziłoby sobie nawet dziecko.

Osiadł konia, po czym przywiązał zrolowany koc z tyłu siodła, do tej części, którą kowboje z Calla nazywali rufą. Poczł wagę ukrytego w nim rugera, a kiedy pomacał koc, także jego kształt. Na gwoździu wisiał obszerny płaszcz z kieszenią na piersi. Jake włożył go i mocno ściągnął w tali szerokim pasem. Dzieciaki z jego szkoły czasem nosiły w taki sposób flanelowe koszule. Tak jak wspomnienie pokoju, to również wydawało się bardzo odległe, niczym fragment cyrkowej parady, która przeszła przez miasto i znikła.

Tamto życie było bogatsze, szeptał głos z głębi jego umysłu.

To jest prawdziwsze, odpowiadał inny, pewniejszy.

Wierzył temu drugiemu, a mimo to z sercem ciężkim od smutku i niepokoju wyprowadzał kuca tylnymi drzwiami stajni i dalej. Ej deptał mu po piętach, raz po raz spoglądając w niebo i mrużąc „księżyc, księżyc”, ale przeważnie obwąchując najróżniejsze ślady na ziemi. Ta wycieczka mogła wplątać go w kłopoty. Już sama przeprawa przez Devar-Tete Whye — z bezpiecznego brzegu miasteczka na drugi, bliższy Jądra Gromu — była niebezpieczna i Jake zdawał sobie z tego sprawę. Najbardziej jednak niepokoił go ciężar, który nosił na sercu. Myślał o Bennym, mówiącym, jak dobrze mieć Jake'a w Rocking B za towarzysza. Zastanawiał się, czy Benny powtórzy to za tydzień.

— Nieważne — westchnął. — To *ka*.

— *Ka* — powtórzył po nim Ej i zerknął w niebo. — Księżyc. *Ka*, księżyc. Księżyc, *ka*.

— Zamknij się — powiedział łagodnie Jake.

— Zamknij się, *ka* — rzekł przyjaźnie Ej. — Zamknij się,

księżyc. Zamknij się, Ej. Zamknij się, Ej. — Była to najdłuższa kwestia, jaką wygłosił w ciągu kilku miesięcy i powiedziawszy to, zamilkł.

Jake prowadził swego konia jeszcze przez kilka minut, mijając barak z jego chórem pochrapywań, pochrząkiwań i pierdnięć, aż za najbliższe wzgórze. Kiedy tam dotarł i zobaczył wschodni trakt, uznał, że może już dosiąść konia. Wsadził Eja do kieszeni płaszcza i pojechał.

5

Był przekonany, że bez trudu zdoła odnaleźć miejsce, w którym Andy i Slightman przeprawili się przez rzekę, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie będzie miał już drugiej takiej okazji, a jakby powiedział Roland, w takich wypadkach przekonanie to za mało. Tak więc wrócił tam, gdzie biwakowali z Bennym, a stamtąd podjechał do granitowej skały, przypominającej dziób tonącego statku. Ej znów sapał mu do ucha. Jake bez trudu odnalazł głąz o błyszczącej powierzchni. Uschnięte drzewo wyrzucone na brzeg wciąż tam było, ponieważ przez kilka ostatnich tygodni poziom wody w rzece się obniżał. Deszcz nie padał od wielu dni i Jake miał nadzieję, że to ułatwi mu zadanie.

Wspiął się na płaskowyż, na którym obozowali z Bennym. Tam wtedy zostawił kuca, uwiązawszy go do krzaka. Teraz podprowadził go do rzeki, po czym wziął Eja na ręce i przeprawił się na drugi brzeg. Kuc był mały, ale i tak woda sięgała mu zaledwie do pęcin. Nim minęła minuta, znaleźli się po drugiej stronie rzeki.

Brzeg wyglądał tam samo jak ten po stronie Calla, ale był inny. Jake natychmiast to spostrzegł. Choć księżyc jasno świecił, było tu jakby ciemniej. Nie tak jak w Nowym Jorku widzianym w transie, i nie było słycać dzwonów, ale mimo to wydawało się jakoś podobnie. Miał wrażenie, że ktoś tu na niego czeka i zauważy go, jeśli tylko Jake nieopatrnie zwróci na siebie uwagę. Znalazł się na skraju Końca Świata. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach i Jake zadrżał. Ej spojrzął na niego.

— W porządku — szepnął chłopiec. — Musiałem się z tego otrząsnąć.

Zsiadł z konia, postawił Eja na ziemi i położył płaszcz

w cieniu skały. Nie sądził, żeby miał mu być teraz potrzebny, bo i tak pocił się ze zdenerwowania. Rzeka głośno bulgotała i raz po raz spoglądał w kierunku drugiego brzegu, upewniając się, że nikt stamtąd nie nadjeżdża. Nie chciał dać się zaskoczyć. Nie opuszczało go wrażenie czyjejś obecności, silne i nieprzyjemne. Po tej stronie Devar-Tete Whye nie można było oczekiwać niczego dobrego — tego Jake był pewien. Poczuł się lepiej, kiedy wyjął schowany w kocu uchwyt dokera, nałożył go i wepchnął rugera do kabury. Ruger zmieniał go w inną osobę, którą Jake nie zawsze lubił. Lecz tutaj, po drugiej stronie Whye, z zadowoleniem czuł ciężar broni i był rad z tego, że jest tym, kim jest: rewolwerowcem.

Gdzieś od wschodu nadleciał przeraźliwy wrzask, niczym krzyk torturowanej kobiety. Jake wiedział, że to tylko skalny kot — słyszał już takie odgłosy, kiedy biwakował nad rzeką z Bennym, łowiąc ryby lub pływając — a mimo to trzymał dłoń na rękojeści rugera, dopóki krzyk nie ucichł. Ej pochylił się, rozkładając przednie łapy, opuszczając łeb i wystawiając zad w górę. Zwykle przybierał taką pozę, kiedy chciał się bawić, lecz teraz jego wyszczerzone zęby wcale nie wskazywały na ochotę do zabawy.

— W porządku — uspokoił go Jake.

Ponownie poszperał w zawiniątku (nie chciało mu się zabierać juków), aż znalazł kraciatą chustkę. Należała do starszego Slightmana i ukradł ją cztery dni wcześniej. Leżała w baraku pod stołem, gdzie zarządca upuścił ją i zapomniał podnieść.

Jestem drobnym złodziejaszkiem, pomyślał Jake. Najpierw spluwa ojca, teraz smarkatka starego Slightmana. Trudno powiedzieć, czy się rozwijam, czy staczam.

Usłyszał głos Rolanda: *Robisz to, co do ciebie należy. Może przestaniesz wreszcie bić się w pierś i weźmiesz się do roboty?*

Trzymając chustkę w palcach, Jake spojrział na Eja.

— Na filmach to zawsze działa — powiedział do bumble-ra. — Nie mam pojęcia, czy uda się teraz... szczególnie że minęło kilka miesięcy.

Podsunał chustkę Ejowi, który wyciągnął długą szyję i delikatnie obwąchał materiał.

— Znajdź ten zapach, Ej. Znajdź go i idź za nim.

— Ej!

Mimo to bumbler nie ruszył się z miejsca i patrzył na Jake'a.

— Wąchaj, Dumbo — zachęcił chłopiec, ponownie podsuwając mu chustkę pod nos. — Szukaj! Już!

Ej wstał, dwukrotnie zakręcił się wkoło, a potem pomaszerował na północ, wzdłuż brzegu rzeki. Od czasu do czasu obwąchiwał kamienistą ziemię, ale wydawał się bardziej zainteresować wrzaskami skalnego kota. Jake z gasnącą nadzieją obserwował poczynania przyjaciela. No cóż, przecież widział, w jakim kierunku poszedł Slightman. Spróbuje ruszyć w tę stronę i pokręcić się po okolicy. Może coś odkryje.

Ej zawrócił, zaczął biec do chłopca i nagle przystanął. Uważniej obwąchał ziemię. Czyżby to było miejsce, w którym Slightman wyszedł z wody? Możliwe. Ej wydał gardłowy, zadowolony pomruk, a potem skręcił w prawo — na wschód. Śmignął jak wąż między dwa głazy. Jake, któremu znów rozbłysła iskierka nadziei, dosiadł kuca i pojechał za nim.

6

Niebawem Jake zdał sobie sprawę z tego, że Ej podąża ścieżką wijącą się przez pagórkowaty, skalisty, jałowy teren po tej stronie rzeki. Zaczął dostrzegać ślady obecności człowieka: zapomniany zwój zardzewiałego drutu, sterczącą z piasku płytę główną jakiegoś urządzenia, odłamki i kawałki szkła. W stworzonym przez księżyc cieniu wielkiego głazu zauważył coś, co wyglądało jak butelka. Zsiadł z konia, podniósł ją, wysypał ze środka Bóg wie przez ile dziesięcioleci (albo wieków) nagromadzony piasek i obejrzał ją. Wypukłe litery układały się w znajome słowo: nozz-a-la.

— Napój każdego prawdziwego dżentelmena — mruknął Jake i postawił butelkę na ziemi. Obok leżało zgniecione opakowanie po papierosach. Rozprostował je i zobaczył obrazek przedstawiający kobietę o pełnych czerwonych ustach, w fikuśnym kapelusiku na głowie. W dwóch niezwykle długich palcach trzymała papierosa. Najwidoczniej te nazywały się PARTI.

Ej zatrzymał się dziesięć czy dwanaście jardów dalej i spoglądał na chłopca.

— W porządku — rzucił Jake. — Już idę.

Ze ścieżką, którą podążał, zaczęły łączyć się inne, i chłopiec szybko zrozumiał, że znajduje się na przedłużeniu wschodniego traktu. Znalazł tylko kilka śladów butów oraz mniejsze, głębsze ślady stóp. Znajdowały się w miejscach osłoniętych przez wysokie skały, gdzie nie zdołały ich zatrzeć porywiste wiatry. Domyślił się, że ślady butów należały do Slightmana, a stóp do Andy'ego. Nie było żadnych innych. Ale będą za kilka dni. Ślady kopyt szarych koni Wilków, nadjeżdżających ze wschodu. To także będą głębokie ślady, pomyślał Jake. Równie głębokie jak pozostawione przez Andy'ego.

Przed nim ścieżka pięła się na szczyt wzgórza. Po obu jej stronach rosły gigantyczne kaktusy o fantastycznych kształtach i grubych jak beczki ramionach sterczących na wszystkie strony. Ej przystanął, przypatrując się czemuś, i znów zdawał się uśmiechać. Gdy Jake podchodził do niego, poczuł zapach kaktusów. Gorzki i ostry. Przypomniwał mu aromat martini, które pijał jego ojciec.

Podjechał do Eja i nie zsiadając z konia, spojrzął w dół. U stóp wzgórza znajdował się popękany betonowy podjazd. Przesuwana brama zastygła na pół otwarta przed wiekami, zapewne na długo przed tym, zanim Wilki zaczęły napadać pograniczne miasteczka i porywać dzieci. Za nią wznosił się budynek nakryty metalową kopułą. W ścianie od strony Jake'a znajdował się rząd okienek i chłopiec z satysfakcją zobaczył sączący się przez nie blask. Nie rzucały go kaganki ani żarówki (które Roland nazywał „iskrówkami”). Tylko świetlówki mogły dawać takie białe światło. W Nowym Jorku lampy jarzeniowe kojarzyły mu się głównie z nudnymi i nieciekawymi rzeczami: hipermarketami, w których było wszystko i nigdy nie można było znaleźć tego, czego się szukało, z sennymi popołudniami w szkole, kiedy nauczyciel nudził bez końca o starożytnych szlakach handlowych do Chin lub bogactwach naturalnych Peru, a na zewnątrz lał deszcz i wydawało się, że dzwonek na przerwę nigdy nie zadzwoni, z gabinetami lekarskimi, w których zawsze siedzisz w gaciach na pokrytej ceratą kozetce, zziębnięty i zawstydzony, i dziwnie pewny tego, że zaraz zrobią ci zastrzyk.

Teraz jednak widok tego światła ucieszył go.

— Hej, mądralo! — pochwalił bumbera.

Zamiast zareagować tak jak zwykle, powtarzając swoje imię, Ej spojrzął na coś za plecami Jake'a i cicho warknął. Jedno-

cześnie kuc zatańczył i nerwowo zarżał. Jake ściągnął wodze i nagle poczuł, że ten gorzki (ale i przyjemny) zapach dżinu i jałowca przybrał na sile. Obejrzał się i zobaczył, że dwa najeżone kolcami odnogi kaktusa powoli wyciągają się ku niemu. Towarzyszył temu cichy chrzęst, a strużki białego soku ściekały po głównym pniu kaktusa. W świetle księżyca złowrogo błyszcząły igły na wyciągających się ku chłopcu ramionach. Stwór wyczuł jego obecność i był głodny.

— Chodź—powiedział Jake do Eja i lekko trącił piętami boki kuca. Ten nie potrzebował innej zachęty. Ruszył w dół prawie kłusem, w kierunku oświetlonego budynku. Ej jeszcze raz nieufnie zerknął na poruszający się kaktus, po czym podreptał za nimi.

7

Jake dotarł do podjazdu i wstrzymał konia. Mniej więcej pięćdziesiąt jardów dalej drogę (gdyż niewątpliwie była to szosa, przynajmniej kiedyś) przecinały tory biegnące ku Devar-Tete Whye, przez którą przechodziły po niskim moście. Tutejsi nazywali go kładką. Callahan mówił, że starsi mieszkańcy nazywali go diabelską kładką.

— Przejeżdżają tędy pociągi przywożące pokury z Jądra Gromu — mruknął Jake do Eja.

Czyżby mu się zdawało, czy też poczuł działanie Promienia? Jake był pewien, że tak. Przypuszczał, że kiedy — a raczej jeśli — opuszczą Calla Bryn Sturgis, pójdą wzdłuż tych torów.

Jeszcze przez chwilę siedział tam, wyjąwszy stopy ze strzemion, po czym skierował kuca po popękany podjeździe, w stronę budynku. Pomyślał, że wygląda jak barak z blachy falistej w jakiejś bazie wojskowej. Ej na swych krótkich łapkach z trudem poruszał się na poprzecinanej szczelinami nawierzchni, która była niebezpieczna także dla konia. Minąwszy niedomkniętą bramę, Jake zsiadł i rozejrzał się za dogodnym miejscem, w którym mógłby przywiązać kuca. Opodał rosły krzaki, ale coś mu mówiło, że są za blisko. Za bardzo na widoku. Poprowadził wierzchowca dalej, przystanął i rzucił okiem na Eja.

— Zostań!

— Stań! Ej! Ej!

Za sterą głazów przypominających stos ogromnych i zerodowanych kłocków znalazł jeszcze więcej krzaków. Tam uwiązał konia. Zrobiwszy to, poklepał go po długim, miękkim jak aksamit pysku.

— Niedługo wrócę — powiedział. — Będziesz grzeczny?

Kuc parsknął przez nos i kiwnął łbem. Jake wiedział, że to nic nie znaczy. Poza tym te środki ostrożności pewnie były zupełnie zbyteczne. A jednak lepiej przesadzić z ostrożnością, niż potem żałować. Wrócił na podjazd i pochylił się, żeby podnieść bumblea. Kiedy się wyprostował, nagle zapalił się rząd reflektorów, przyszpilając go smugami światła jak owada na szkiełku mikroskopu. Trzymając Eja w zgięciu łokcia, Jake drugą ręką osłonił oczy. Bumbler zaskomlił i zamrugał.

Nie było żadnego ostrzeżenia, żaden stanowczy głos nie domagał się hasła. Słyszał tylko cichy świst wiatru. Jake domyślił się, że reflektory były sprzężone z detektorami ruchu. Co teraz? Seria z karabinu maszynowego kierowanego przez bipolarnie komputery? Zgraja małych, lecz śmiercionośnych robotów, takich jak te, które Roland, Eddie i Susannah zniszczyli na polance, skąd wiódł Promień, za którym podążali? Ogromna sieć spadająca z góry, tak jak na filmie o łowach w dżungli, który widział w telewizji?

Jake spojrzął w górę. Nie było żadnej sieci. Ani karabinów maszynowych. Znow ruszył naprzód, omijając największe dziury. Przeskoczył przez studzienkę odpływową. Dalej nawierzchnia była powybrzuszana i popękana, ale prawie cała.

— Teraz możesz iść na własnych nogach — powiedział do Eja. — Chłopie, ale jesteś ciężki. Uważaj albo zaczniesz się turlać.

Spojrzał przed siebie, mrużąc oczy i osłaniając je dłonią w oślepiającym świetle. Rząd reflektorów znajdował się tuż pod okapem kopulastego dachu. Rysowały cień chłopca na betonie, długi i czarny. Zauważył ścierwa skalnych kotów, dwa po lewej i jeszcze dwa po prawej. Z trzech pozostały tylko szkielety. Czwarty był w stanie daleko posuniętego rozkładu, lecz Jake dostrzegł ranę — zbyt dużą na otwór wlotowy kuli. Wyglądała na pozostawioną przez bełt kuszy. Jake od razu poczuł się lepiej. Najwidoczniej koty nie zostały zabite za pomocą jakiejś superbroni. Mimo to byłby szalony, gdyby nie wziął ogona pod siebie i nie czmychnął z powrotem ku rzece i leżącemu za nią Calla Bryn Sturgis. No nie?

- Szalony — mruknął.
— Lony — przytaknął Ej, znów drepczący przy jego nodze. Minutę później dotarli do drzwi baraku. Nad nimi, na zardzewiałej stalowej tabliczce widniał napis:

NORTH CENTRAL POSITRONICS, LTD
Korytarz północno-wschodni
Kwadrant Łuku

POSTERUNEK NR 16

Średni poziom bezpieczeństwa
WSTĘP PO PODANIU HASŁA

Na samych drzwiach, teraz wiszących krzywo na jednym zawiasie, znajdował się następny napis. Czy to żart? A może kod? Jake uznał, że jedno i drugie, po trosze. Litery były pokryte rdzą i zatarte przez Bóg wie ile lat działania niesionego wiatrem piasku i kurzu, ale wciąż czytelne:

WITAMY W DOGAN

8

Przypuszczał, że drzwi będą zamknięte, i nie pomylił się. Klamka ledwie dawała się poruszyć. Domyślił się, że kiedy te drzwi były nowe, nie ruszała się wcale. Na lewo od nich znajdował się skorodowany stalowy panel z przyciskiem i kratką mikrofonu. Poniżej widniał napis HASŁO. Jake wyciągnął rękę do przycisku i nagle reflektory pod dachem budynku zgasty, pogrążając go w ciemności. *Wyłącznik czasowy*, pomyślał, czekając, aż oczy oswoją się z mrokiem. *Nastawiony na krótki czas. A może po prostu się zepsuł, jak większość urządzeń pozostawionych przez Dawnych Ludzi.*

Po chwili odzyskał zdolność widzenia i w świetle księżycy znów zobaczył bramofon. Domyślał się, jak brzmi hasło. Nacisnął guzik.

— WITAJ NA POSTERUNKU NUMER SZESNAŚCIE KWADRANTU ŁUKU — rozległ się głos. Jake odskoczył, tłumiąc krzyk. Spodziewał się, że usłyszy jakiś głos, ale nie aż tak upiornie podobny do głosu Blaine'a Mono. Niemał oczekiwał, że mechanizm zaraz zabulgocze drawłem w stylu Johna Wayne'a i nazwie go pętakiem. — POSTERUNEK ŚREDNIEGO POZIOMU BEZPIECZEŃSTWA. PROSZĘ PODAĆ HASŁO. MASZ DZIESIĘĆ SEKUND. DZIEWIĘĆ... OSIEM...

— Dziewiętnaście — powiedział Jake.

— NIEPRAWIDŁOWE HASŁO. MOŻESZ SPRÓBOWAĆ JESZCZE RAZ. PIĘĆ... CZTERY... TRZY...

— Dziewięćdziesiąt dziewięć — rzucił Jake.

— DZIĘKUJĘ.

Drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem.

9

Jake i Ej weszli do pomieszczenia przypominającego chłopcu ogromną sterownię, przez którą Roland przeniósł go w podziemiach miasta Lud, kiedy podążali za stalową kulą, prowadzącą ich do Blaine'a. Oczywiście to pomieszczenie było mniejsze od tamtego, ale wiele tarcz i paneli wyglądało podobnie. Przy niektórych konsolach stały fotele na kółkach, dzięki którym pracujący tu ludzie mogli, nie wstając, przemieszczać się z miejsca na miejsce. Jake słyszał cichy szum napływającego świeżego powietrza, ale także to, że tłocząca je maszyna chwilami dostawała zadyszki. I chociaż trzy czwarte paneli świeciło się, zauważył wiele zgaszonych. Te urządzenia były stare i zmęczone, tak jak przypuszczał. W kącie szczyrzył zęby w uśmiechu szkielet w strzępach brązowego munduru.

Jedną ścianę pomieszczenia zajmowały monitory. Trochę przypominały Jake'owi telewizory w gabinecie ojca, chociaż ten miał ich tylko trzy, a tu było... Policzył. Trzydzieści. Trzy z nich pokazywały całkowicie nieostry obraz. Na dwóch innych obraz przez cały czas przewijał się w górę, jakby wysiadło w nich odchylenie. Cztery były zupełnie czarne. Na dwudziestu jeden ekranach były obrazy; Jake spoglądał na nie z rosnącym zdumieniem. Na kilku widoczne były różne miejsca pustyni, włącznie ze

szczytem wzgórza strzeżonego przez dwa groźne kaktusy. Dwa inne pokazywały posterunek — Dogan — z tyłu i z boku podjazdu. Trzy monitory poniżej prezentowały wnętrze bazy. Na pierwszym było pomieszczenie wyglądające na bufet lub kuchnię. Na drugim mała sypialnia z piętrowymi łózkami dla ośmiu osób (na jednym, górnym, Jake zauważył następny szkielet). Trzeci z tych monitorów ukazywał sterownię widzianą z góry. Jake zobaczył siebie i Eja. Był też monitor ukazujący tory kolejowe i drugi z widokiem Małej Whye z tego brzegu, wysrebrzonej księżycem i pięknej. W oddali, po prawej, był niski most kolejowy.

Najbardziej zaskoczyły Jake'a obrazy na ośmiu innych monitorach. Jeden pokazywał skład towarów Tooka, teraz ciemny i pusty, zamknięty na noc. Na drugim ujrzał rynek miasteczka. Na kolejnych dwóch główną ulicę Calla Bryn Sturgis. Na następnym był kościół Naszej Łaskawej Pani, a na jeszcze innym pokój stołowy na plebanii... Widziany od środka! Jake zobaczył kota Callahana, drzemiącego przy kominku. Pozostałe dwa ukazywały obraz czegoś, co Jake uznał za wioskę Mannich (choć tam nie był).

Do diabła, gdzie schowano te wszystkie kamery? — zastanawiał się. Jak to możliwe, że nikt ich nie zauważył?

Pewnie są za małe, domyślił się. A ponadto ukryte. *Uśmiechnij się, jesteś w ukrytej kamerze.*

Kościół... plebania... Przecież te budynki jeszcze przed paroma laty nawet nie istniały. I kamera na plebanii? Kto ją tam umieścił i kiedy?

Jake nie wiedział kiedy, ale podejrzewał już kto. Dzięki Bogu, większość ich narad odbyła się na werandzie albo na trawniku. Jak wiele dowiedziały się Wilki — albo ich panowie? Co zarejestrowały urządzenia, cholerne urządzenia tego posterunku?

I co przekazały?

Zabolały go dłonie i uświadomił sobie, że tak mocno zaciska pięści, iż paznokcie wbijająmu się w ciało. Z trudem rozprostował palce. Spodziewał się, że zaraz rozlegnie się głos z głośników — tak bardzo podobny do głosu Blaine'a — i usłyszy pytanie o to, co robi w tym miejscu. Lecz w tym pomieszczeniu opuszczonej bazy panowała cisza, przerywana tylko szumem urządzeń i sporadycznym chrypieniem wymienników powietrza. Obejrzał się na drzwi i zobaczył, że zamknęły się za nim na pneumatycznych zawiasach.

Nie przejął się tym. Zapewne od tej strony z łatwością dadzą się otworzyć. Jeśli nie, pocziwie stare haselko dziewięćdziesiąt dziewięć znowu je otworzy. Przypomniał sobie, jak przedstawił się mieszkańcom tamtej pierwszej nocy pod namiotem, nocy, która wydawała się już odległą przeszłością. *Jestem Jake Chambers, syn Elmera, z linii Elda, ka-tet Dziewięćdziesiąt Dziewięć.* Dlaczego tak powiedział? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że pewne rzeczy wciąż się pojawiają. W szkole pani Avery czytała im wiersz zatytułowany *Drugie nadejście* Williama Butlera Yeatsa. Było w nim coś o jastrzębiu zataczającym coraz szersze koła, które — według pani Avery — miały symbolizować zamknięty krąg. Tutaj jednak wydarzenia tworzyły spiralę, nie zamknięty krąg. Dziewiętnaste *ka-tet* (albo dziewięćdziesiąt dziewięć, gdyż Jake domyślał się, że to jedno i to samo) miał coraz węższe pole manewru, w miarę jak otaczający ich świat starzał się, pękał w szwach i rozłaził się, rozpadał na kawałki. Jakby znaleźli się w oku cyklonu, który przeniósł Dorotkę do krainy Oz, gdzie żyły czarownice i rządzili czarnoksiężnicy. Jake uważał za najzupełniej naturalne to, że będą raz po raz oglądać te same widoki, w dodatku coraz częściej, gdyż...

Kątem oka zauważył jakiś ruch na jednym z ekranów. Spojrzał nań i ujrzał ojca Benny'ego i Andy'ego, Robota-Posłańca, wchodzących na szczyt wzgórza pilnowanego przez kaktusy. Zobaczył, jak kolczaste ramiona usiłują zagrozić drogę — i może nabić ofiarę. Andy jednak nie miał powodu obawiać się ostrych igieł. Machnął ręką i złamał jedną odnogę w połowie jej długości. Upadła w pył, brocząc białą mazią. Może to wcale nie sok, pomyślał Jake. Może to ich krew. Tak czy inaczej, kaktus po drugiej stronie ścieżki pospiesznie się odwrócił. Andy i Ben Slightman przystanęli na chwilę, może omawiając ten fakt. Obraz nie był dostatecznie ostry, żeby udało się dostrzec, czy poruszają wargami, czy nie.

Jake poczuł ściskający gardło strach. Nagle jego ciało stało się zbyt ciężkie, jakby przyciągała je siła grawitacji jakiejś wielkiej planety, takiej jak Jupiter lub Saturn. Nie mógł złapać tchu. *Pewnie tak czułaby się Złotowłosa, pomyślał ospale i niepewnie, gdyby zbudziła się w tym małym łóżeczku i usłyszała wracające do domu trzy niedźwiedzie.* Wprawdzie nie zjadł owsianki i nie połamał krzeselka małego niedźwiadka, ale

poznał zbyt wiele tajemnic. A wszystkie sprowadzały się do jednej. Do jednego potwornego sekretu.

Tamci nadchodzili drogą. Zbliżali się do Dogan.

Ej spoglądał na niego niespokojnie, wyciągając długą szyję, ale Jake ledwie go zauważał. Przed oczami zawirowały mu czarne płatki. Zaraz zemdleje. Znajdą go leżącego na podłodze. Ej pewnie spróbuje go bronić, ale jeśli Andy nie zabije bumbera, zrobi to Ben Slightman. Na zewnątrz leżały cztery martwe skalne koty i co najmniej jednego z nich ojciec Benny'ego załatwił swoją wypróbowaną kuszą. Jeden mały i warczący bumber to dla niego żaden problem.

Okażesz się tchórzem? — usłyszał w myślach głos Rolanda. Dlaczego miałoby zabijać takiego tchórzeza jak ty? Może po prostu odeślą cię na zachód razem z pokurami, które zapomniały oblicza swych ojców?

Ta myśl sprawiła, że wziął się w garść. Przynajmniej częściowo. Nabrał tchu, aż zakłuło go w piersi. Potem hałaśliwie wypuścił powietrze z płuc. I wymierzył sobie mocny policzek.

— Ej! — zawołał karcąco zaszokowany Ej.

— W porządku — mruknął chłopiec. Spojrzał na monitory ukazujące kuchnię oraz sypialnię i wybrał tę drugą. W kuchni nie miałby się gdzie ukryć. Być może znajdzie tam jakąś szafę, ale jeśli nie? Byłby załatwiony.

— Ej, do mnie — powiedział i przeszedł przez pomieszczenie pod jasnymi świetlówkami.

10

W sypialni przetrwał nikły zapach starych przypraw: cynamonu i goździków. Jake zastanawiał się — bezwiednie, podświadomie — czy tak pachniały komnaty grobowe piramid, kiedy po raz pierwszy wdarli się do nich odkrywcy. Z górnej pryczy w kącie szkielet wyszczerzył do niego zęby w powitalnym uśmiechu. *Masz ochotę na drzemkę, pętaku? Ja ucinam sobie bardzo długą!* Między jego żebrami Jake dostrzegł srebrzyste warstwy pajęczyn i równie machinalnie zadał sobie pytanie, ile pokoleń pajaków zrodziło się w tej klatce piersiowej. Na poduszce leżała dolna szczeka trupa, przywołująca upiorne,

na wół zatarte wspomnienie. Kiedyś, w świecie, w którym Jake umarł, rewolwerowiec znalazł taką kość. I wykorzystał.

Jake zastanawiał się nad odpowiedzią na dwa znacznie istotniejsze pytania i nad jeszcze ważniejszą decyzją. Pytania: jak prędko tamci dwaj tutaj dotrą, a także czy znajdą jego kuca, czy nie? Gdyby Slightman przyjechał konno, Jake był pewien, że kucyk już zarżałby przyjaźnie na powitanie. Na szczęście Slightman przybył tu pieszo, tak jak poprzednim razem. Jake też wybrałby się tutaj na piechotę, gdyby tylko wiedział, że cel jego wyprawy znajduje się niecałą milę na wschód od rzeki. Oczywiście kiedy wymykał się z rancza Rocking B, jeszcze nie miał pojęcia, że w ogóle ma jakiś cel. Zdecydował, że w razie potrzeby zabije zarówno metalowego człowieka, jak i tego z krwi i kości. Naturalnie jeśli zdoła. Andy był silny, ale te wytupiane oczy z niebieskiego szkła chyba są jego słabym punktem. Jeżeli Jake zdoła go oślepić...

Jeśli Bóg da, będzie woda, rzekł rewolwerowiec, który teraz już zawsze tkwił w jego umyśle, na dobre i złe. *Teraz powinieneś się ukryć, jeśli tylko zdołasz. Gdzie?*

Nie na łóżkach. Wszystkie były widoczne na ekranie ukazującym to pomieszczenie, a przecież nie mógł udawać szkieletu. Pod jednym z dwóch ostatnich łóżek? Ryzykowne, ale mogłoby się udać... chyba że...

Jake dostrzegł jeszcze jedne drzwi. Podbiegł do nich, nacisnął klamkę i otworzył je na oścież. Była to szafa, a szafy to zazwyczaj doskonale kryjówki, lecz ta była zapchana zakurzonym sprzętem elektronicznym, od góry do dołu. Kilka elementów wypadło na podłogę.

— Cholera! — zaklął chłopiec. Podniósł to, co wypadło, powrzucał z powrotem do szafy i zamknął drzwi. No dobrze, trzeba będzie wejść pod łóżko...

— WITAJ NA POSTERUNKU NUMER SZESNAŚCIE KWADRANTU ŁUKU — zahuczał nagrany głos. Jake drgnął i w tym momencie zobaczył następne drzwi. Te znajdowały się po jego lewej ręce i były uchylone. Spróbować schować się tam czy pod jednym z łóżek na końcu pomieszczenia? Miał czas, żeby skorzystać tylko z jednej z tych możliwości, nie z obu. — POSTERUNEK ŚREDNIEGO POZIOMU BEZPIECZEŃSTWA.

Jake wybrał drzwi, i dobrze, że nie zastanawiał się dłużej, ponieważ Slightman nie dał nagrzanemu głosowi dokończyć.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć — rozległo się w głośnikach i automat podziękował mu.

Drzwi skrywały drugą szafę, tym razem pustą, nie licząc dwóch spleśniałych koszul w jednym kącie i zakurzonego poncha, wiszącego na kołku. W powietrzu również unosił się kurz i wchodząc do środka, Ej trzy razy cicho kichnął.

Jake przyklęknął i objął smukłą szyję bumbera.

— Nie rób już tak, bo obaj zginiemy — powiedział. — Bądź cicho, Ej.

— Icho, Ej — wyszeptał bumber i mrugnął.

Jake wyciągnął rękę i przymknął drzwi szafy, pozostawiając je uchylone na szparę o szerokości dwóch cali, czyli taką samą jak przedtem. Przynajmniej taką miał nadzieję.

11

Słyszał ich wyraźnie — aż nazbyt dobrze. Nagle uświadomił sobie, że wszędzie tu były mikrofony i głośniki. Ta myśl bynajmniej go nie uspokoiła. Bo jeśli on i Ej słyszą tamtych, to oni...

Rozmawiali o kaktusach, a raczej mówił o nich Slightman. Nazywał je kaktojeżami i chciał wiedzieć, co je tak podnieciło.

— Niemal na pewno znów skalne koty — powiedział Andy tym zadowolonym z siebie, nieco wyniosłym tonem.

Eddie mówił, że Andy przypomina mu robota C3PO z *Gwiezdnych wojen*, filmu, który Jake tak chciał obejrzeć. Wszedł na ekrany niecały miesiąc po tym, jak chłopiec opuścił Nowy Jork.

— To ich pora godowa, wiesz?

— Ołać to — rzekł Slightman. — Chcesz mi powiedzieć, że kaktojeże biorą skalne koty za coś, co są w stanie zjeść? Ktoś tutaj był, mówię ci. I chyba niedawno.

Jake zdrętwiał, gdy przez głowę przemknęła mu nowa myśl: czy podłoga bazy jest zakurzona? Był zbyt zajęty gapieniem się na panele kontrolne i ekrany monitorów, żeby zwrócić na to uwagę. Jeśli zostawili z Ejem ślady, tamci pewnie już je zauważyli. Może tylko udają, że rozmawiają o kaktusach, skradając się do drzwi sypialni.

Jake wyjął z kabury rugera i trzymał go w prawej ręce, opierając kciuk o bezpiecznik.

— Nieczyste sumienie z każdego czyni tchórza — rzekł Andy swym napuszonym („myślałem, że o tym wiesz”) głosem. — To mój swobodny przekład...

— Zamknij się, ty kupo śrubek i drutów — warknął Slightman. — Ja...

Nagle wrzasnął. Jake poczuł, że przytulony do niego Ej zesztyniał i zjeżył się. Bumbler cicho warknął. Jake zacisnął dłoń na jego pysku.

— Puszczaj! — zawołał Slightman. — Puść mnie!

— Oczywiście, *sai* Slightman — rzekł Andy, tym razem zatroskanym tonem. — No wiesz, ja tylko ucisnąłem malutki nerw w twoim łokciu. To nie spowoduje trwałego urazu, jeśli nie nacisnę z siłą przynajmniej dwudziestu funtów na cal.

— Dlaczego to zrobiłeś, do diabła?! — w głosie Slightmana słychać było urazę i ból. — Czy nie robię wszystkiego, czego żądasz, a nawet więcej? Czy nie ryzykuję życia dla mojego chłopca?

— Nie wspominając o kilku dodatkach — rzucił gładko Andy. — O twoich okularach... tej muzycznej maszynie, którą masz schowaną głęboko w jukach... i oczywiście...

— Dobrze wiesz, dlaczego to robię i co by się ze mną stało, gdybym został zdemaskowany — odpowiedział Slightman. Już nie skomlił. Teraz mówił z godnością i lekkim znużeniem. Jake słuchał go z rosnącym niepokojem. Jeśli wyjdzie z tego cało i będzie musiał zdemaskować ojca Benny'ego, to chciał zdemaskować łobuza. — Taak, dostałem kilka drobiazgów, to prawda, piękne dzięki. Okulary, żebym lepiej widział i mógł zdradzać ludzi, których znam od dziecka. Muzyczną maszynę, żebym nie musiał słuchać wyrzutów sumienia, o których tyle gadasz, i mógł w nocy spać. Albo wbijasz mi w ramię coś, po czym mam wrażenie, że moje pieprzone oczy wyjdą mi z pieprzonej głowy!

— Pozwalam na to innym — odezwał się Andy zupełnie odmiennym tonem. Jake'owi znów przypomniał się Blaine Mono i jego niepokój jeszcze wzrósł. A gdyby Tian Jaffords usłyszał ten głos? Albo Vaughn Eisenhart? Lub Overholser? Inni mieszkańcy? — Nieustannie piętrzą się w mojej głowie

jak stos rozżarzonych węgli, ale ja nigdy nie protestuję i nie podnoszę na nich ręki. „Chodź tutaj, Andy. Idź tam, Andy. Skończ z tymi głupimi przyśpiewkami, Andy. Zamknij się. Nic przepowiadaj nam przyszłości, bo nie chcemy jej znać”. Tak więc nie przepowiadałam, mówię tylko, kiedy przybędą Wilki, bo tego słuchają i to ich smuci, więc mówię im chętnie, bo dla mnie każda łza jest jak kropla złota. „Jesteś tylko głupią kupą światełek i drutów”, mówią. „Podaj prognozę pogody, ukołysz dziecko do snu, a potem się wynoś”. I ja na to pozwalam. Jestem głupi Andy, zabawka wszystkich dzieci, łatwy cel wszystkich słownych ataków. Ale nie zamierzam znosić zniewag z twoich ust, *sai*. Masz nadzieję pomieszkać jeszcze trochę w Calla Bryn Sturgis po tym, jak Wilki zrobią swoje, prawda?

— Wiesz, że tak — powiedział Slightman tak cicho, że Jake ledwie go dosłyszał. — I zasłużyłem na to.

— Ty i twój syn... dzięki tobie, żyjący spokojnie w Calla... zdrowi i cali! Może tak się stanie, ale to nie zależy tylko od śmierci zaziemców. To zależy także od mojego milczenia. Jeśli chcesz je sobie zapewnić, domagam się szacunku.

— To absurd — oświadczył po chwili Slightman. Ukryty w szafie Jake w pełni się z nim zgadzał. Robot domagający się szacunku to rzeczywiście absurd. Takie sam jak olbrzymi niedźwiedź patrolujący pusty las, Morlok próbujący odkryć tajemnice bipolarnych komputerów albo pociąg pragnący tylko poznać i rozwiązywać nowe zagadki. — A poza tym, wysłuchaj mnie, błagam, jak mogę darzyć cię szacunkiem, jeśli nie mam go nawet dla siebie?

Odpowiedział mu mechaniczny szcęk, bardzo głośny. Jake słyszał, jak Blaine wydawał podobny dźwięk, kiedy wyczuwał jakieś nielogiczne stwierdzenie, grożące usmażeniem jego obwodów. Potem odezwał się Andy:

— Bez odpowiedzi, dziewiętnaście. Połącz się i zdej raport, *sai* Slightman. I skończmy z tym.

— W porządku.

Przez trzydzieści lub czterdzieści sekund słychać było stukanie klawiszy, a później wysoki, wibrujący trzask, który sprawił, że Jake się skrzywił, a Ej cichutko zaskomlił. Jake nigdy nie słyszał takiego dźwięku. Pochodził z Nowego Jorku lat siedemdziesiątych i słowo *modem* nic mu nie mówiło.

Trzask urwał się jak ucięty nożem. Przez moment panowała cisza. Potem usłyszeli:

— TU ALGUL SIENTO. MÓWI FINLI O'TEGO. PROSZĘ PODAJ HASŁO. MASZ DZIESIĘĆ SE...

— Sobota — powiedział Slightman i Jake zmarszczył brwi. Czy po tej stronie słyszał kiedyś to kojarzące się z weekendem słowo? Chyba nie.

— DZIĘKUJĘ. ALGUL SIENTO POTWIERDZA. JESTEŚMY NA LINII. — Kolejna, tym razem krótsza, seria pisków. A po nich: — RAPORTUJ, SOBOTA.

Slightman opowiedział, jak obserwował Rolanda i „tego młodszego” udających się do Jaskini Głosów, gdzie teraz znajdowały się jakieś drzwi, zapewne wyczarowane przez Mannich. Powiedział, że użył lunety i dzięki niej dobrze się przyjrzał...

— Teleskopu — poprawił Andy. Znów mówił nadętym, pełnym samozadowolenia głosem. — To się nazywa teleskop.

— Chcesz zdać ten raport za mnie, Andy? — spytał sarkastycznie Slightman.

— Błagam o wybaczenie — odparł Andy zbolalym tonem. — Błagam, błagam o wybaczenie. Mów dalej, proszę.

Chwila ciszy. Jake wyobrażał sobie, jak Slightman mierzy robotą gniewnym wzrokiem, trochę pozbawionym siły przez konieczność wykręcania głowy i spoglądania przez ramię. W końcu zarządca podjął przerwany raport.

— Zostawili konie na dole i resztę drogi pokonali pieszo. Nieśli jakiś różowy worek, który przekładali z ręki do ręki, jakby był ciężki. To, co w nim mieli, było kanciaste. Widziałem przez lunetę. Mogę podać dwie teorie?

— TAK.

— Pierwsza... chcieli schować w bezpiecznym miejscu kilka najcenniejszych ksiąg księdza. W takim wypadku po zakończeniu głównej misji należy wysłać tam jakiegoś Wilka, żeby je zniszczył.

— PO CO? — rozległ się zimny głos. Jake nabrał pewności, że nie jest to głos człowieka. Słuchając go, czuł się słaby i wystraszony.

— Dla przykładu, oczywiście — odparł Slightman, jakby to nie ulegało wątpliwości. — Jako ostrzeżenie dla księdza!

— CALLAHANA WKRÓTCE NIE BĘDZIE JUŻ TRZEBA OSTRZEGAĆ. A DRUGA TEORIA?

Kiedy Slightman znów się odezwał, sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Jake miał nadzieję, że ten sukusyn, zdrajca, naprawdę jest wstrząśnięty. To prawda, że chronił swojego syna, jedyne go syna, ale dlaczego uważał, że ma prawo...

— To mogły być mapy — powiedział Slightman. — Od dawna przypuszczałem, że człowiek mający książki może mieć i mapy. Mógł dać im mapy Wschodnich Terytoriów, obejmujące Jądro Gromu, bo wcale nie ukrywali, gdzie zamierzają udać się potem. Jeśli to były mapy, na nic im się nie zdadzą, nawet gdyby uszli z życiem. Za rok północ będzie na wschodzie, a rok później pewnie zamieni się miejscami z południem.

W ciemnej szafie Jake nagle zobaczył Andy'ego, który obserwował składającego raport Slightmana. Błękitne oczy robota migotały. Slightman nie wiedział — nikt nie miał pojęcia — że to szybkie migotanie u DNF-4482I-V-63 oznacza rozbawienie. Robot śmiał się ze Slightmana.

Ponieważ wie lepiej, pomyślał Jake. Ponieważ wie, co naprawdę było w tym worku. Założą się o paczkę ciastek.

Czy mógłby się upewnić? Czy zdołałby użyć swoich zdolności, żeby nawiązać kontakt myślowy z robotem?

Jeśli on myśli, powiedział mu głos rewolwerowca, to możesz.

Cóż... możliwe.

— Cokolwiek to było, wyraźnie wskazuje na to, że zamierzają zabrać dzieci do parowów — ciągnął Slightman. — Chociaż niekoniecznie akurat do tej jaskini.

— Nie, nie, nie do tej — wtrącił Andy i choć jego głos brzmiał zupełnie normalnie, Jake wyobraził sobie, że niebieskie oczy migoczą mu jeszcze szybciej. W zawrotnym tempie. — W tej jaskini jest zbyt wiele głosów, które przeraziłyby dzieci! Do licha!

DNF-4482I-V-63, Robot-Posłaniec. Posłaniec! Można oskarżyć o zdradę Slightmana, ale Andy'ego? Przecież każdy mógł przeczytać, kim jest. Miał to wypisane na piersi. Zupełnie otwarcie. Na bogów!

Tymczasem ojciec Benny'ego sumiennie składał swój raport Finli o'Tego, znajdującemu się w miejscu zwanym Algul Siento.

— Kopalnia, którą pokazał nam na mapie narysowanej przez

bliźnięta Tavery, to Gloria, a ta znajduje się zaledwie milę od Jaskini Głosów. Ale to cwany drań. Mogę zgadywać?

— TAK.

— Jakieś ćwierć mili od wylotu wąwóz prowadzący do kopalni Gloria rozwidła się. Na końcu krótkiej odnogi, biegnącej na południe, znajduje się inna stara kopalnia. Nazywa się Rudzik Dwa. Ich *dinh* mówi, że zamierza umieścić dzieci w Glorii, i sądzę, że to samo powie mieszkańcom na zebraniu, które zwoła pod koniec tego tygodnia. Będzie się domagał pozwolenia na walkę z Wilkami. Przypuszczam jednak, że gdy przyjdzie na to czas, ukryje dzieci w kopalni Rudzik Dwa. Na straży postawi Siostry Pani Ryżu... zarówno na dole, jak i na górze... i nie powinniście ich lekceważyć.

— ILE ICH BĘDZIE?

— Myślę, że pięć, jeśli weźmie Sarey Adams. Oraz paru mężczyzn z kuszami. Czarnoskóra będzie rzucała razem z nimi, a słyszałem, że jest w tym dobra. Może najlepsza. Tak czy inaczej, wiemy, gdzie będą dzieci. Ukrycie ich w takim miejscu to błąd, lecz on nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest niebezpieczny, ale myśli schematycznie. Zapewne taka strategia kiedyś okazała się skuteczna.

Rzeczywiście tak było. W kanionie Eyebolt, przeciwko ludziom Latiga.

— Teraz najważniejsze to dowiedzieć się, gdzie będzie on, chłopak i ten młodszy mężczyzna, kiedy pojawią się Wilki. Może wyjawi to na zebraniu. Jeśli nie, może powie potem Eisenhartowi.

— ALBO OVERHOLSEROWI.

— Nie. Eisenhart opowie się po jego stronie. Overholser nie.

— MUSISZ SIĘ DOWIEDZIEĆ, GDZIE ONI BĘDĄ.

— Wiem — odparł Slightman. — Dowiemy się tego, Andy i ja, a potem jeszcze raz odwiedzimy to przekłete miejsce. Wtedy, klnę się na Panią Ryżu i Jezusa-Człowieka, kończę z tym. Czy możemy już iść?

— Jeszcze chwilę, *sai* — powiedział Andy. — Jak wiesz, ja też muszę złożyć raport.

Znów rozległy się te przeciągłe, przeraźliwe piski, Jake zacisnął zęby, czekając, aż się skończą. Po chwili tak się stało. Finli oTego rozłączył się.

— Możemy już iść? — zapytał Slightman.

— Jeśli nie masz jakiegoś powodu, żeby tu zostać, to chyba tak — odparł Andy.

— Czy nie wydaje ci się, że coś się tu zmieniło? — zapytał nagle Slightman i Jake miał wrażenie, że krew ścina mu się w żyłach.

— Nie — powiedział Andy — ale mam wiele szacunku dla ludzkiej intuicji. Czy tak podpowiada ci intuicja, *sai*?

Zapadła cisza, która zdawała się trwać pół minuty, chociaż Jake wiedział, że z pewnością była znacznie krótsza. Przycisnął łebek Eja do swojego uda i czekał.

— Nie — odezwał się w końcu Slightman. — Teraz, kiedy zbliża się decydująca chwila, chyba robię się nerwowy. Boże, chciałbym, żeby już było po wszystkim! Jak ja tego nienawidzę!

— Robisz to, co powinienesz. — Jake nie wiedział, co myśli Slightman, ale słysząc fałszywe współczucie w głosie Andy'ego, miał ochotę zgrzytać zębami. — To, co naprawdę słuszne. To nie twoja wina, że w Calla Bryn Sturgis jesteś ojcem jedyne go chłopca, który stracił rodzeństwo. Znam pewną piosenkę, która mówi o tym w szczególnie poruszający sposób. Może chciałbyś posłuchać...

— Zamknij się! — krzyknął Slightman zduszonym głosem. — Zamknij się, ty mechaniczny diable! Zaprzedałem moją duszę, czy to ci nie wystarczy? Musisz jeszcze ze mnie drwić?

— Jeśli cię obraziłem, przepraszam z całego... przyznaję, że hipotetycznego... serca — rzekł Andy. — Innymi słowy, błagam o wybaczenie.

Zabrzmiało to najzupełniej szczerze. Jakby naprawdę tak myślał. Gładko jak po maśle. Mimo to Jake nie miał cienia wątpliwości, że niebieskie oczy Andy'ego migoczą w ataku cichego śmiechu.

12

Spiskowcy wyszli. Z wysoko zawieszonych głośników popłynęła jakaś dziwna, zgiełkliwa muzyka (przynajmniej taka wydała się Jake'owi), po czym zapadła cisza. Czekał, aż odkryją jego kuca, wrócą, znajdą go i zabiją. Kiedy doliczył do stu dwudziestu, a tamci nie pojawili się ponownie w Dogan, wstał (nadmiar adrenaliny w organizmie sprawił, że zeszywniał jak staruszek)

i wrócił do sterowni. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak wyłącznik czasowy gasi reflektory uruchamiane przez czujniki ruchu. Spojrzał na monitor ukazujący wierzchołek pagórka i ujrział niedawnych gości Dogan, przechodzących między kaktusami. Tym razem się nie poruszyły. Widocznie dostały nauczkę. Jake patrzył, jak Slightman i Andy odchodzą, złośliwie rozbawiony różnicą ich wzrostu. Ilekroć jego ojciec zobaczył na ulicy podobną parę, mówił: „Obsadźcie ich w wodewilu”. Był to chyba najlepszy żart, na jaki potrafił się zdobyć Elmer Chambers.

Gdy ten szczególnie duet znikł mu z oczu, Jake spojrzął na podłogę. Oczywiście nie było kurzu. Kurzu i śladów. Powinien zauważyć to od razu. Roland na pewno by to zauważył. Nic nie uchodziło jego uwagi.

Jake też pragnął stąd odejść, ale powstrzymał tę chęć. Gdyby zauważyli poświatę reflektorów, zapewne pomyśleliby, że to skalny kot (albo stworzenie, które Benny nazywał „pancerzownikiem”), ale chłopiec wolał nie ryzykować. Zabijał czas, oglądając panele kontrolne. Na wielu z nich widniała nazwa LaMerk Industries. Znalazł również inne znajome nazwy, takie jak GE czy IBM, oraz jedną nieznaną — Microsoft. Na tych trzech ostatnich znajdował się napis Madę in USA. Na produktach LaMerk nie było takiego oznaczenia.

Miał całkowitą pewność co do tego, że część konsoli — z co najmniej dwóch tuzinów, które tu widział — to klawiatury komputerów. Jakie jeszcze urządzenia mogły się tu znajdować? Ile z nich w dalszym ciągu działało? Czy była tu gdzieś ukryta broń? Nie wiadomo czemu, ale był przekonany, że odpowiedź na ostatnie pytanie brzmi „nie”. Gdyby przechowywano tu broń, niewątpliwie zostałaby zdemontowana lub zawłaszczona, być może przez Andy’ego, Robota-Posłańca (I Wiele Innych Funkcji).

W końcu zdecydował, że może bezpiecznie opuścić bazę... Oczywiście jeśli zachowa ostrożność, powoli przeprawi się przez rzekę i wróci na ranczo Rocking B tą samą drogą, którą je opuścił. Był już prawie przy drzwiach, gdy przyszło mu do głowy coś jeszcze. Czy wizyta jego i Eja została nagrana? Czy kamery uwieczniły ją na taśmie wideo? Popatrzył na ekrany ukazujące wnętrze Dogan, szczególnie uważnie przyglądając

się temu, który pokazywał sterownię. Znów zobaczył na nim siebie i Eja. Sądząc po kącie widzenia kamery, musiała obejmować całe pomieszczenie.

Zostaw to, Jake, poradził mu rewolwerowiec. Mc nie wskórasz, więc zostaw to. Jeśli zaczniesz tu węszyć i szperać, na pewno pozostawisz jakieś ślady. Może nawet uruchomisz alarm.

Ta ostatnia myśl przekonała chłopca. Podniósł Eja — czerpiąc pociechę z dotknięcia miękkiego futra — i wyszedł z budynku. Jego kuc stał dokładnie tam, gdzie go zostawił, sennie ogryzając krzaki przy świetle księżyca. Na twardej ziemi nie było żadnych śladów. Jake zauważył, że on sam też ich nie zostawia. Pod ciężarem Andy'ego twarda skorupa załamaby się na tyle, by odcisnęły się w niej ślady jego stóp, ale nie pod chłopcem. Był zbyt lekki. Zapewne ojciec Benny'ego też.

Przestań. Gdyby cię wywęszyli, już byłiby z powrotem.

Jake podejrzewał, że to prawda, a mimo to czuł się jak Złotowłosa, uykająca na paluszkach z chatki trzech niedźwiedzi. Wyprowadził swojego wierzchowca na pustynny trakt, po czym włożył płaszcz i umieścił Eja w szerokiej przedniej kieszeni. Gdy dosiadał konia, mocno uderzył bumberem o łęk siodła.

— Au, Ej! — pisnął Ej.

— Cicho, mały — powiedział Jake, kierując konia w stronę rzeki. — Teraz musisz być cicho.

— Icho — zgodził się Ej i mrugnął.

Jake przesunął palcami po gęstym futerku bumbera i podrapał go tam, gdzie Ej najbardziej lubił. Bumber zamknął ślepią, zabawnie wyciągnął szyję na całą długość i pokazał zęby w uśmiechu.

Kiedy dotarli do rzeki, Jake zsiadł z kuca i zza głazu rozejrzał się na boki. Nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa, ale, przeprawiając się na drugi brzeg, i tak serce miał w gardle. Wciąż próbował wymyślić jakąś bajeczkę, którą opowiedziałby Slightmanowi, gdyby ten nagle zastąpił mu drogę i zapytał, co tu robi po nocy. Nic nie przychodziło mu do głowy. Chociaż na lekcjach angielskiego zawsze miał najwyższe noty za kreatywność, teraz odkrył, że strach i twórcza wena nie idą w parze. Gdyby ojciec Benny'ego zastąpił mu drogę, Jake byłby przyłapany. I tyle.

Nikt nie wyłonił się z ciemności, kiedy Jake przeprowiał się przez rzekę, wracał na Rocking B, a potem rozsiadł konia i wytarł go. Świat był pogrążony we śnie, co odpowiadało chłopcu.

Jak tylko Jake położył się pośnaniu i podciągnął koc pod brodę, Ej wskoczył na łóżko Benny'ego i znów zwinął się w kłębek. Benny wymamrotał coś przez sen, wyciągnął rękę i pogłaskał bumblera.

Jake leżał, z zakłopotaniem patrząc na śpiącego chłopca. Lubił Benny'ego —jego wylewność, chęć do zabawy, gotowość do ciężkiej pracy, kiedy trzeba było coś zrobić. Lubił gromki śmiech rozbawionego przyjaciela, a także to, że pod wieloma względami byli do siebie podobni. Poza tym...

Do tego wieczoru Jake lubił także ojca Benny'ego.

Próbował sobie wyobrazić, jak Benny spojrzy na niego, kiedy się dowie, że, po pierwsze, jego ojciec jest zdrajcą, a po drugie, że wydał go Jake, jego przyjaciel. Trudno będzie mu się z tym pogodzić.

Sądziysz, że trudno będzie mu się z tym pogodzić? Tylko tyle? Lepiej dobrze się zastanów. Świat Benny'ego Slightmana nie opiera się na wielu podporach, a ty pozbawisz go wszystkich. Co do jednej.

To nie moja wina, że jego ojciec jest szpiegiem i zdrajcą.

Lecz nie była to również wina Benny'ego. Gdyby zapytać starego Slightmana, zapewne powiedziałby, że to nawet nie jego wina, że został zmuszony. Jake podejrzewał, że to częściowo byłoby prawdą. *Całą* prawdą, jeśli spojrzeć na sprawę z punktu widzenia ojca Benny'ego. Co takiego miały w sobie bliźniacze rodzeństwa z Calla? Prawdopodobnie chodziło o coś w ich mózgach. Jakiś rodzaj enzymu lub innej substancji produkowanej wyłącznie przez bliźnięta, być może coś, co odpowiadało za hipotetyczne zjawisko „telepatii bliźniąt”. Cokolwiek to było, Wilki mogły pozbawić tego Benny'ego Slightmana, gdyż on tylko formalnie był jedynakiem. Przecież miał siostrę, która umarła, no nie? Cóż, to niedobrze, prawda? Bardzo

niedobrze, szczególnie dla ojca, który kochał pozostałego przy życiu syna. I nie mógł znieść myśli o tym, że mógłby go stracić.

A jeśli Roland go zabije? Jak wtedy spojrzy na niego Benny?

Rozdział 4

SZCZUROŁAP

1

J esteśmy *ka-tet* — przypomniał rewolwerowiec. — Jednością z wielu. — Dostrzegł powątpiewanie Callahana, czego nie sposób było nie zauważyć, i skinął głową. — Tak, Pere, jesteś jednym z nas. Nie mam pojęcia na jak długo, ale wiem. I moi przyjaciele też.

Jake skinął głową. Eddie i Susannah również. Dzisiaj siedzieli pod namiotem, gdyż po wystłuchaniu opowieści Jake'a rewolwerowiec nie chciał już naradzać się na plebanii, nawet na werandzie. Uważał za nazbyt możliwe to, że Slightman lub Andy albo jeszcze inny nieznanymi sprzymierzeniec Wilków umieścił tam nie tylko kamery, ale także urządzenia podsłuchowe. Niebo było szare, grożące deszczem, lecz wciąż odczuwało się zdumiewające ciepło, jak na tę porę roku. Kilka pań lub panów o społecznikowskim zacięciu wygrażyło zeschnięte liście wokół podium, na którym nie tak dawno Roland i jego przyjaciele przedstawiali się mieszkańcom, tak więc teraz scenę otaczał szeroki krąg zielonej trawy. W parku byli obywatele puszczający latawce, spacerujące i trzymające się za ręce pary, kilku straganiarzy wypatrujących jednym okiem klientów, a drugim zerkających na nisko wiszące chmury. Na podium dla orkiestry zespół muzyków, który witał przybywających do Calla Bryn Sturgis rewolwerowców, ćwiczył nowe kawałki. Od czasu do czasu ktoś zamierzał podejść do Rolanda i jego przyjaciół, żeby chwilę pogawędzić, lecz szybko zmieniał zamiar i odchodził, gdy Roland posępnie i odmownie kręcił głową. Czas

zdobywania popularności minął. Teraz trzeba było stawić czoło przykrej rzeczywistości.

— Za cztery dni odbędzie się kolejne zebranie, tym razem chyba wszystkich mieszkańców, nie tylko mężczyzn — oświadczył Roland.

— Cholerna racja, że powinni być na nim wszyscy mieszkańcy — powiedziała Susannah. — Jeśli liczysz na to, że kobiety pomogą nam, rzucając talerzami, to chyba powinny znaleźć się na tej sali.

— Jeżeli przyjdą wszyscy, to nie zmieszczą się w sali — oświadczył Callahan. — Jest za mała. Zapalimy pochodnie i spotkamy się tutaj.

— A jeśli będzie padać? — zapytał Eddie.

— Wtedy ludzie zmokną — odparł Callahan, wzruszając ramionami.

— Cztery dni do zebrania i dziewięć do przybycia Wilków — mówił dalej Roland. — Teraz, siedząc tutaj, możemy spokojnie się naradzić. Nie pozostaniemy tu długo, więc przyłożmy się. — Wyciągnął ręce. Jake ujął jedną, Susannah drugą. Po chwili wszyscy pięcioro trzymali się za dłonie, tworząc krąg. — Czy dobrze się widzicie?

— Widzę cię bardzo dobrze — powiedział Jake.

— Bardzo dobrze, Rolandzie — rzekł Eddie.

— Jasno i wyraźnie — zapewniła z uśmiechem Susannah. Ej, który obwąchiwał coś w trawie, nic nie powiedział, ale obejrzał się na nich i mrugnął.

— Pere? — zapytał Roland.

— Widzę i słyszę cię doskonale — odparł z uśmiechem Callahan — i cieszę się, że jestem jednym z was. Przynajmniej na razie.

2

Roland, Eddie i Susannah znali już większą część historii Jake'a, a chłopiec i Susannah usłyszeli prawie całą opowieść Rolanda i Eddiego. Teraz Callahan poznał ich dzieje; później nazwał je „istną bombą”. Słuchał z szeroko otwartymi oczami i ustami. Przeżegnał się, kiedy Jake opowiadał o tym, jak schował się w szafie.

— Oczywiście nie miałeś zamiaru zabijać kobiet i dzieci, prawda? To był tylko bluff? — zapytał Eddiego.

Eddie spojrzał w ołowiane niebo, z krzywym uśmiechem zastanawiając się nad odpowiedzią. Potem znów popatrzył na Callahana.

— Roland mówił mi, że jak na faceta, który nie chce, by nazywano go księdzem, w pewnych sprawach zająłeś ostatnio bardzo katolickie stanowisko.

— Jeśli myślisz o zamiarze przerywania ciąży...

Eddie nie pozwolił mu dokończyć, podnosząc dłoń.

— Powiedzmy, że nie mówię o żadnym konkretnym przypadku. Po prostu mamy tu zadanie do wykonania i chcemy, żebyś nam pomógł. Wdawanie się w jakieś bezsensowne teologiczne dysputy jest nam całkowicie niepotrzebne. Tak więc owszem, blefowałem, i na tym poprzestaśmy. Czy to ci wystarczy? Ojczy?

Uśmiech Eddiego był wyraźnie wymuszony. Na policzkach wykwitły mu różowe plamy rumieńca. Callahan zastanowił się nad jego słowami, a potem skinął głową.

— Tak — powiedział. — Blefowałeś. Oczywiście poprzestaśmy na tym i zamknijmy ten temat.

— Dobrze — rzekł Eddie. Spojrzał na Rolanda.

— Pierwsze pytanie zadam Susannah — zaczął rewolwero-
wicz. — To proste pytanie. Jak się czujesz?

— Świetnie — odpowiedziała.

— Naprawdę?

Kiwnęła głową.

— Zaiste, piękne dzięki.

— Nie boli cię głowa? — Roland potarł miejsce nad lewą skronią.

— Nie. I ten dziwny niepokój, który męczył mnie przed wschodem lub zachodem słońca, już minął. Spójrzcie! — Przesunęła dłonią po biuście, brzuchu i prawym biodrze. — Trochę schudłam, Rolandzie. Czytałam, że czasem organizm dzikiego zwierzęcia, zarówno przedstawiciela drapieżnych dzikich kotów, jak i zwierząt roślinożernych, takich jak sarny czy króliki, w wybitnie niesprzyjających warunkach może wchłonać płód. Czy nie sądzisz...

Zamilkła, spoglądając na niego z nadzieją w oczach.

Roland chciałby poprzec tę cudowną ideę, ale nie mógł. Nie był w stanie ukrywać prawdy przed żadnym z członków swego *ka-tet*. Potrząsnął głową. Susannah posmutniała.

— O ile mi wiadomo, sypia spokojnie — rzekł Eddie. — Ani śladu Mii.

— Rosalita też tak mówi — dodał Callahan.

— Kazaleś swojej gospodyni mnie śledzić? — zapytała Susannah tonem podejrzenia przypominającym dawną Dettę. Ale uśmiechała się przy tym.

— Od czasu do czasu — przyznał się Callahan.

— Zostawmy już ten temat, jeśli łaska — powiedział Roland. — Musimy porozmawiać o Wilkach. O nich i tylko o nich.

— Ależ, Rolandzie... — zaprotestował Eddie. Rewolwerowiec machnął ręką.

— Wiem, że jest wiele innych spraw. I wiem, jakie są ważne. Lecz wiem także to, że jeśli się nie skupimy, możemy tu zginąć, a martwi rewolwerowcy już nikomu nie pomogą. I już nigdzie nie pójdą. Zgadza się ze mną?

Obrzucił ich wzrokiem. Nikt mu nic odpowiedział. Gdzieś w oddali słychać było chóralny śpiew. Wysokie, wesole i niewinne dziecięce głosy. Śpiewały coś o ryżu.

— To, co musimy teraz załatwić, dotyczy ciebie, Pere. Oraz miejsca, które obecnie jest nazywane Jaskinią Przejścia. Przejdziesz przez te drzwi i wrócisz do swojej krainy?

— Żartujesz? — Callahanowi zabłyśły oczy. — Miałbym szansę powrotu, choćby na krótko? Powiedz kiedy.

Roland skinął głową.

— Dziś po południu. Ty i ja zrobimy sobie spacer w góry i zaprowadzę cię do tych drzwi. Wiesz, gdzie jest ta pusta parcela, prawda?

— Jasne. W tamtym życiu przechodziłem koło niej chyba z tysiąc razy.

— I wiesz, o co chodzi z kodem pocztowym? — zapytał Eddie.

— Jeśli pan Tower zrobił to, co mu kazaleś, kod będzie na końcu ogrodzenia od strony Czterdziestej Szóstej Ulicy. Nawiasem mówiąc, to był doskonały pomysł.

— Dowiedz się, jaki to kod... a także sprawdź datę — polecił

Roland. — Eddie ma rację, mówiąc, że w miarę możliwości powinniśmy sprawdzać bieg czasu w tamtym świecie. Zdobądź te informacje i wróć. Później, po spotkaniu z mieszkańcami miasteczka, będziesz musiał jeszcze raz przejść przez te drzwi.

— Tym razem udając się do Nowej Anglii, tam gdzie zaszyją się Tower i Deepneau — domyślił się Callahan.

— Tak — potwierdził Roland.

— Kiedy ich znajdziesz, będziesz rozmawiał głównie z panem Deepneau — wtrącił Jake. Zacerwienił się, widząc, że wszyscy spojrzeli na niego, ale nie odrywał oczu od Callahana. — Pan Tower może być uparty...

— To niedopowiedzenie stulecia — rzekł Eddie. — Zanim tam dotrzesz, on pewnie znajdzie tuzin antykwariatów i Bóg wie ile pierwszych wydań *Dziewiętnastego załamania nerwowego Indiany Jonesa*.

— ...ale pan Deepneau cię wysłucha — dokończył Jake.

— Ucha, Ej — powiedział Ej i przeturlał się na grzbiet. — Ucha, ich!

Drapiąc go po brzuchu, Jake dodał:

— Jeśli ktoś może namówić pana Towera, żeby coś zrobił, to tylko pan Deepneau.

— W porządku — odparł Callahan, kiwając głową. — Słyszę cię dobrze.

Śpiew dzieci przybliżał się. Susannah zerknęła przez ramię, ale jeszcze nie było ich widać. Domyśliła się, że nadchodzą drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Jeśli tak, to znajdą się w polu widzenia, kiedy miną stajnię i skręcą w główną ulicę przy składzie Tooka. Niektórzy z siedzących tam obywateli już wstawali, żeby dobrze się im przyjrzeć.

Tymczasem Roland z uśmiechem patrzył na Eddiego.

— Kiedyś, gdy użyłem słowa *zakładając*, zacytowałeś mi pewne powiedzenie z waszego świata. Chciałbym znów to usłyszeć, jeśli je pamiętasz.

Eddie uśmiechnął się.

— Zakładanie robi ośła z ciebie i mnie*, o tym mówisz?

Roland kiwnął głową.

* Gra słów, oparta na fonetycznym podobieństwie określenia *assume* do słów *ass*, *you* oraz *me*.

— To dobre powiedzenie. Mimo to chciałbym teraz przyjąć pewne założenie i oprzeć na nim wszystkie nasze nadzieje. Nie podoba mi się to, ale nie widzę innego wyjścia. Zakładam, że tylko Ben Slightman i Andy szpiegują dla naszych wrogów. Tak więc jeśli wyeliminujemy ich w odpowiedniej chwili, będziemy mogli swobodnie działać.

— Nie zabijajcie go — poprosił Jake tak cicho, że prawie niedosłyszalnie. Przytulił Eja i zawzięcie głaskał go po długiej szyi. Bumbler znosił to cierpliwie.

— Najmocniej przepraszam, Jake — powiedziała Susannah, pochylając się i przykładając dłoń do ucha. — Nie słyszę, co...

— Nie zabijajcie go! — Tym razem jego głos był ochrypły i drżący. — Nie zabijajcie ojca Benny'ego. Proszę.

Eddie wyciągnął rękę i delikatnie położył ją na karku chłopca.

— Jake, ojciec Benny'ego zamierza wydać dziesiątki dzieci na pastwę Wilków, byle tylko ocalić swojego syna. A wiesz, w jakim stanie one wrócą z Jądra Gromu.

— Tak, ale on uważa, że nie ma innego wyjścia, ponieważ...

— Miał wyjście. Mógł stanąć po naszej stronie — rzekł Roland.

Powiedział to głośno i wyraźnie. Beznamiętnie.

— Ale...

Ale co? Jake nie wiedział. Długo o tym rozmyślał i wciąż nie wiedział. Nagle łzy pociekły mu z oczu i spłynęły po policzkach. Callahan chciał go objąć. Jake odepchnął jego rękę. Roland westchnął.

— Postaramy się go oszczędzić. Tylko tyle mogę ci obiecać. Nie wiem, czy to im wyjdzie na dobre, czy nie, bo jeśli pod koniec przyszłego tygodnia to miasto nadal będzie istniało, to Slightmanowie i tak będą tu skończeni, lecz może przeniosą się gdzieś na północ lub południe i zaczną życie od nowa. 1 jeszcze jedno, Jake. Twój przyjaciel wcale nie musi wiedzieć, że zeszłej nocy podsłuchiłeś jego ojca i Andy'ego.

Jake spoglądał na niego z nadzieją w oczach. Nie przejmował się losem starego Slightmana, nie chciał jednak, żeby Benny się dowiedział, że to on go zdemaskował. Może był tchórzem, ale nie chciał, żeby Benny wiedział.

— Naprawdę? Jesteś pewien?

— W tej sprawie niczego nie można być pewnym, lecz...

Zanim zdążył dokończyć, śpiewające dzieci wyszły zza rogu ulicy. Prowadził je Andy, Robot-Posłaniec. Jego złoty korpus i srebrzyste kończyny lśniły w słońcu. Szedł tyłem. W jednej ręce trzymał bełt kuszy, owinięty wstążkami z kolorowego jedwabiu. Susannah pomyślała, że wygląda jak tamburmajor idący na czele parady z okazji Czwartego Lipca. Wesół machał pałeczką, prowadząc dzieci i akompaniując im dźwiękami kobzy, płynącymi z głośników na piersi i głowie.

— Jasna cholera — mruknął Eddie. — Istny Szczurołap z Hameln.

3

*Chodźcie, raz i dwa!
Mamusia ma synka!
Już tatko się raduje
Ze szczęścia podśpiewuje!*

Tę zwrotkę Andy zaśpiewał sam, po czym skinął pałeczką na dzieci. Hałaśliwie przyłączyły się do niego.

*Chodźcie, raz i dwa!
Już tatko ma synka!
A mama się raduje
Ze szczęścia podśpiewuje!*

Wesołe śmiechy. Dzieci było mniej, niż Susannah się spodziewała, sądząc po robionym przez nie hałasie. Kiedy przyglądała się prowadzącemu je Andy'emu, przeszedł ją zimny dreszcz. Jednocześnie poczuła pulsowanie na szyi i lewej skroni. Prowadził dzieci ulicą! Jak Szczurołap. Eddie miał rację — Andy był jak Szczurołap z Hameln.

Teraz wskazał prowizoryczną batutą na śliczną, trzynasto- lub czternastoletnią dziewczynkę. Susannah miała wrażenie, że mała jest jednym z dzieci Anslema, mającego niewielkie gospodarstwo na południe od farmy Tiana Jaffordsa. Dziewczynka czysto i wyraźnie zaśpiewała następną zwrotkę, w tym

Na co chór odpowiedział:

*Chodźcie, raz, dwa, trzy!
Ryż sprawia, żeś wolny!
Kiedy sadzisz sobie ryż
Wiesz, co trzeba robić tyż!*

Andy zauważył *ka-tet* Rolanda i wesoło pomachał im batutą. Dzieci też do nich pomachały... Dzieci, z których połowa zmienia się w debilne pokury, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem ich wodzireja. Osiągną wzrost olbrzymów, krzycząc z bólu, a potem poumierają młodo.

— Pomachajcie do nich — powiedział Roland i podniósł rękę. — Zróbcie to, wszyscy, na pamięć waszych ojców.

Eddie posłał Andy'emu wesoły, szeroki uśmiech.

— Jak leci, ty gówniana, popieprzona, tandetna radiolo? — wycedził cicho przez zęby. Pokazał Andy'emu uniesiony w górę kciuk. — Jak leci, ty mechaniczny psycholu? Świetnie? Piękne dzięki? Ugrzyź mnie w dupę!

Słyszając to, Jake parsknął śmiechem. Wszyscy razem machali i uśmiechali się. Dzieci odpowiadały im tym samym. Andy też im pomachał. Poprowadził wesołą gromadkę główną ulicą, śpiewając: *Chodźcie, raz, dwa, trzy! Rzeka podchodzi pod drzwi!*

— One go uwielbiają — zauważył Callahan. Na jego twarzy malowała się głęboka odraza. — Całe pokolenia dzieci uwielbiały Andy'ego.

— To wkrótce się zmieni — oświadczył Roland.

4

— Czy są jeszcze jakieś pytania? — zapytał Roland, kiedy Andy i dzieci znikły im z oczu. — Jeśli tak, zadawajcie je teraz. To może być ostatnia szansa.

— Co z Tianem Jaffordsem? — odezwał się Callahan. — Tak naprawdę to on wszystko zaczął. Powinien mieć swój udział w zakończeniu.

Roland skinął głową.

— Mam dla niego zadanie. Wykona je razem z Eddiem. Pere, obok chaty Rosality stoi wygodka. Wysoka. Mocna.

Callahan podniósł brwi.

— A owszem, piękne dzięki. Zbudował ją Tian Jaffords ze swoim sąsiadem, Hugh Anselmem.

— Czy w ciągu paru następnych dni mógłbyś przymocować do drzwi porządny zamek od zewnątrz?

— Mógłbym, ale...

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zamek nie będzie potrzebny, lecz nigdy niczego nie można być pewnym.

— No tak — przyznał Callahan. — Chyba nie można. Zrobię to, o co prosisz.

— Jaki masz plan, słodziutki? — zapytała Susannah dziwnie cichym i łagodnym głosem.

— Bardzo prosty. Przeważnie takie są najlepsze. Wam mogę wyjawić, żebyście nie wierzyli w to, co powiem, kiedy wstaniemy, strzepniemy kurz z siedzeń i dołączymy do mieszkańców. A szczególnie w to, co powiem, kiedy stanę na podium, trzymając w ręku wici. Przeważnie będą to kłamstwa. — Uśmiechnął się do nich, ale wyblakłe oczy rewolwerowca pozostały twarde jak kamienie. — Mój ojciec i ojciec Cuthberta mieli taką zasadę: najpierw się uśmiechać, a później kłamać. Dopiero potem strzelać.

— No, to już prawie weszliśmy w tę fazę, no nie? — zauważyła Susannah. — Strzelaniny.

Roland skinął głową.

— A ta zacznie się tak nagle i skończy tak szybko, że będziecie się zastanawiać, po co było tyle planować i radzić, jeśli wszystko sprowadziło się do pięciu minut przelewu krwi, bólu i głupoty. — Zamilkł, a po chwili dodał: — Ja potem zawsze mam mdłości. Tak jak wtedy, kiedy poszliśmy z Bertem zobaczyć wisielca.

— Mam pytanie — rzekł Jake.

— Pytaj — zachęcił go Roland.

— Zwyciężymy?

Roland milczał tak długo, że Susannah zaczęła się niepokoić.

— Wiemy więcej, niż przypuszczają — odezwał się w końcu. — Znacznie więcej. Stali się zbyt pewni siebie. Jeśli Andy i Slightman to jedyne zgniłe jabłka w koszyku, jeśli stado

Wilków nie będzie zbyt liczne, jeśli nie zabraknie nam talarzy i nabojów... wtedy owszem, Jake'u, synu Elmera, zwyciężymy.

— Jak liczne musiałyby być stado, żeby było zbyt liczne? Roland zastanowił się, patrząc na wschód.

— Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić — odparł wreszcie. — I myślę, że o wiele liczniejsze, niż naprawdę jest!

5

Nieco później tego popołudnia Donald Callahan stanął przed nieodkrytymi drzwiami, usiłując skupić myśli na Drugiej Alei z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego. Koncentrował się na lokalu Mama Mniam-Mniam, do którego czasem chodzili z George'em i Lupe'em Delgado.

— Zawsze zamawiałem tam szponder, jeśli tylko był w jadłospisie — rzekł Callahan, starając się ignorować krzyki matki, dobiegające z ciemnej czeluści jaskini. Kiedy przyszedł tutaj z Rolandem, najpierw jego spojrzenie przykuły książki Calvina Towera. Tyle książek! Na ich widok serce wielkodusznego Callahana ścisnęło się (i odrobinę skurczyło). Jednakże to zainteresowanie nie trwało długo, choć wystarczająco, aby wyciągnął pierwszą lepszą i zobaczył, że jest to *Wirginczyk* Owena Wistera. Trudno szperać w książkach, kiedy martwi przyjaciele i znajomi krzyczą na ciebie i przeklinają.

Matka właśnie pytała go, dlaczego pozwolił jakiemuś wampirowi, parszywemu krwiopijcy, połamać krzyż, który mu dała.

— Zawsze byłeś słabej wiary — stwierdziła ze smutkiem. — Słaba wiara i mocna głowa. Założę się, że teraz też jesteś taki, no nie?

Dobry Boże, czy jest taki? Whiskey. Dawne dzieje. Callahan poczuł pot na czole. Serce waliło mu dwa razy szybciej. Nie, trzy razy.

— Szponder — wymamrotał. — Posmarowany tą brązową musztardą.

Widział już nawet plastikową butelkę, z której wyciskano musztardę. I przypomniał sobie nazwę producenta. Plochman.

— Co takiego? — zapytał za jego plecami Roland.

— Powiedziałem, że jestem gotowy — rzekł Callahan. — Rany boskie, jeśli zamierzasz to zrobić, zrób to teraz.

Roland otworzył wieczko szkatułki. Dźwięk dzwonów natchmiast wdarł się do uszu Callahana, przypominając cichych ludzi w ich hałaśliwych samochodach. Żołądek skurczył mu się, a z oczu popłynęły łzy wściekłości.

Drzwi już się uchyliły i klin światła wdarł się przez szparę, rozpraszając panujący w jaskini mrok.

Callahan nabrał tchu i pomyślał: *och, Maryjo, Niepokalanie Poczęta, módl się za nami grzesznymi*. I wszedł w lato tysięcy dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku.

6

Oczywiście było południe. Pora lunchu. I oczywiście stał przed restauracją Mama Mniam-Mniam. Najwyraźniej nikt nie zauważył jego nagłego pojawienia się. Na tablicy, wystawionej na stojaku przed lokalem, napisano kredą:

HEJ, TY, WITAJ U MAMY MNIAM-MNIAM!
SPECJALNOŚĆ DNIA 24 CZERWCA

BOEUFSTROGANOW
SZPONDER (Z KAPUSTĄ)
TACOS RANCHO GRANDE -
ROSÓŁ

SPRÓBUJ NASZEJ SZARLOTKI! ;;

W porządku, przynajmniej poznał już odpowiedź na jedno pytanie. Znalazł się w Nowym Jorku nazajutrz po wizycie Eddiego. Co do następnego pytania...

Callahan na razie zostawił za plecami Czterdziestą Szóstą Ulicę i poszedł Drugą Aleją. Raz zerknął przez ramię i zobaczył, że drzwi do jaskini podążają za nim równie wiernie jak bumblebee za chłopcem. Dostrzegł siedzącego tam Rolanda, który wkładał sobie coś do uszu, żeby zagłuszyć doprowadzające do szaleństwa bicie dzwonów.

Minął dwie przecznice, zanim przystanął, wytrzeszczając

oczy i rozdziawiając usta ze zdumienia. Zarówno Roland, jak i Eddie mówili mu, że powinien się tego spodziewać, lecz w głębi serca Callahan im nie uwierzył. Sądził, że zobaczy Manhattańską Restaurację Ducha zupełnie nietkniętą w ten piękny letni dzionek, tak odmienny od jesiennego i zachmurzonego Calla, które opuścił. Och, może oczekiwał wywieszki w oknie, głoszącej URLOP, NIECZYNNE DO SIERPNI — w każdym razie czegoś w tym rodzaju. No tak.

Niczego tam nie było. A raczej było... niewiele. Z księgarni została wypalona ruina otoczona żółtą taśmą z nadrukiem CZYNNOSCI POLICYJNE. Kiedy podszedł bliżej, poczuł smród zwęglonego drewna, spalonego papieru i... bardzo słaby... zapach benzyny.

Przed pobliskim sklepem obuwniczym rozłożył swoje graty stary pucybut.

— Szkoda, prawda? Dzięki Bogu, że w środku nikogo nie było — odezwał się do Callahana.

— Tak, Bogu dzięki. Kiedy to się stało?

— W nocy, a kiedy? Myślisz, że te skurwiele rzucają swoje koktajle Molly w biały dzień? Wprawdzie nie są geniuszami, ale mają choć tyle rozumu.

— Nie mogło to być spięcie? Albo samozapłon?

Stary pucybut obrzucił go cynicznym spojrzeniem. *Och, daj spokój, mówiło.* Umazanym pastą paluchem wskazał na dymiące zgliszcza.

— Widzisz tę żółtą taśmę? Myślisz, że oblepiają taką taśmą z napisem CZYNNOSCI POLICYJNE każde miejsce, gdzie coś się samo sfajczyło? Nie ma mowy, przyjacielu. Żadne takie. Cal Tower siedział w kieszeni u paskudnych facetów. Każdy w parafii o tym wie. — Pucybut zmarszczył brwi, gęste, siwe i nastroszone. — Wolę nie myśleć, ile tu poszło z dymem. Miał na zapleczu sporo cennych książek. Bardzo cennych.

Callahan podziękował pucybutowi za te wyjaśnienia, po czym zawrócił i poszedł Drugą Aleją. Od czasu do czasu ukradkiem szczypał się w udo, upewniając się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Głęboko wdychał wielkomiejskie powietrze, nasycone węglowodorami, i cieszył się odgłosami miasta — od warkotu autobusów (na niektórych znajdowały się reklamy *Aniołków Charliego*) do łoskotu młotów pneu-

matycznych i niemilkącego wycia klaksonów. Zbliżając się do Wieży Mocnych Nagrań, przystanął na moment, urzeczony muzyką płynącą z głośników umieszczonych nad drzwiami. Standard, którego nie słyszał od lat, jeden z tych, które były przebojami z czasów Lowell. Coś o podążaniu za Szczurołapem.

— Crispian St. Peters — mruknął. — Tak się nazywał ten gość. Dobry Boże, och Jezus, naprawdę tu jestem. *Naprawdę jestem w Nowym Jorku!*

Jakby na potwierdzenie tego usłyszał kłótiwy, kobiecy głos.

— Może niektórzy ludzie mogą tak sobie stać przez cały dzień, ale inni chcą tędy przejść. Może by się pan ruszył, a przynajmniej zszedł na bok?

Callahan wymamrotał przeprosiny, które zapewne nie zostały wysłuchane (a jeśli nawet, to z pewnością niezakceptowane), i poszedł dalej. Dopóki nie dotarł do Czterdziestej Szóstej, wciąż miał wrażenie, że to wszystko sen — nadzwyczaj realistyczny sen. Nagle usłyszał różę i całe jego życie się zmieniło.

7

Z początku był to tylko cichy pomruk, lecz kiedy podszedł bliżej, wydało mu się, że słyszy wiele głosów, *anielskich* głosów. Śpiewały. Stały ku niebu żarliwe, radosne psalmy. Nigdy nie słyszał równie słodkiego śpiewu. Zaczął biec. Zatrzymał się przy ogrodzeniu i oparł o nie dłonie. Rozpłakał się i nie mógł powstrzymać łez. Ludzie pewnie gapili się na niego, ale nie przejmował się tym. Nagle zrozumiał Rolanda i jego przyjaciół i po raz pierwszy poczuł się jednym z nich. Nic dziwnego, że tak bardzo starali się przeżyć i wypełnić swoją misję! Nic dziwnego, jeśli stawką było to! Za tym oblepionym podartymi plakatami ogrodzeniem było coś... coś tak niesamowicie i ab-solutnie pięknego...

Jakiś młodzieniec z długimi włosami związanymi z tyłu gumką i w wymiętoszonym kowbojskim kapeluszu przystanął i klepnął Callahana w ramię.

— Miło tutaj, prawda? — powiedział ten hippis-kowboj. —

Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Przychodzę tu raz dziennie. I wie pan co?

Callahan odwrócił się do młodzieńca, ocierając łzy.

— Tak, słucham.

Młodzieniec przesunął dłonią po czole, a potem po policzku.

— Miałem okropny trądzik. No wie pan, trądzik to mało powiedziane. Miałem facjatę jak pizza. Potem zacząłem przychodzić tutaj, chyba pod koniec marca lub na początku kwietnia... i wszystkie pryszczki mi zeszyły. — Młodzian roześmiał się. — Dermatolog, do którego wysłał mnie ojciec, twierdzi, że to działanie tlenku cynku, ale ja myślę, że to dzięki temu miejscu. Coś w nim jest. Słyszysz pan to?

Chociaż wciąż słyszał te słodko śpiewające głosy i czuł się tak, jakby był w katedrze Notre Dame i słuchał kościelnych chórów, Callahan przecząco pokręcił głową. Zrobił to zupełnie instynktownie.

— Nie — rzekł hippis w kowbojskim kapeluszu — ja też nie. A jednak czasem wydaje mi się, że coś słyszę. — Podniósł prawą rękę, pokazując Callahanowi dwa palce w geście zwyczajstwa. — Pokój, bracie.

— Pokój — rzekł Callahan, robiąc taki sam gest.

Kiedy hippis-kowboj odszedł, Callahan przesunął dłonią po zadziorowatych deskach parkanu i postrzępionym plakacie reklamującym *Wojnę zombi*. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak przeskoczyć przez ten płot i zobaczyć różę... a także paść przed nią na kolana i wielbić ją. Lecz wokół było mnóstwo ludzi, a już i tak przyciągnął wiele zaciekawionych spojrzeń, w tym niewątpliwie i tych, którzy — podobnie jak hippis-kowboj — wiedzieli coś o magii tego miejsca. Najlepiej przysłuży się tej potężnej i śpiewającej mocy (Czy to naprawdę tylko róża? Czy to możliwe?), ochraniając ją. A to oznaczało, że powinien ochronić Calvina Towera przed tymi, którzy spalili jego księgarnię.

Wodząc dłonią po szorstkich deskach, skręcił w Czterdziątą Szóstą Ulicę. Na jej końcu znajdował się błyszczący zielonym szkłem budynek Plaża Hotel — siedziba ONZ. *Calla, Callahan*, pomyślał, a potem: *Calla, Callahan, Cahin*. A w końcu: *Calla, chodź z nami, tam jest róża za drzwiami, Calla, Callahan, raz, dwa, spotkasz tam Cahina!*

Doszedł do końca ogrodzenia. W pierwszej chwili niczego nie znalazł i zaniepokoił się. Potem spojrzął niżej i dostrzegł coś na wysokości swoich kolan: pięć cyfr napisanych czarnym flamastrem. Callahan wyjął z kieszeni ołówek, który zawsze miał przy sobie, a potem oderwał róg plakatu zapowiadającego spektakl, który nigdy nie wszedł na sceny Broadwayu, rewię *Rabuś lochów*. Zapisał numer na tym skrawku papieru.

Nie miał ochoty stąd odchodzić, ale wiedział, że musi. W pobliżu róży nie był w stanie trzeźwo myśleć.

Wróć tu, obiecał jej i ku swemu zachwyconemu zdziwieniu usłyszał w myślach odpowiedź, jasną i wyraźną: *Tak, ojcze, kiedy tylko chcesz. Chodź, chodź do mnie.*

Na rogu Drugiej Alei i Czterdziestej Szóstej Ulicy obejrzał się za siebie. Drzwi wciąż tam były. Ich dolna krawędź unosiła się mniej więcej trzy cale nad powierzchnią chodnika. Jakaś para w średnim wieku, zapewne turyści, sądząc po przewodnikach, które trzymali w rękach, nadeszła od strony hotelu. Zajęci rozmową, doszli do drzwi i ominęli je. *Nie widzą ich, ale czują*, pomyślał Callahan. A gdyby chodnik był zatłoczony i nie mogli ominąć drzwi? Przypuszczał, że w takim wypadku przeszliby prosto przez nie, być może odczuwając przy tym jedynie lekki chłód i zawrót głowy. Możliwe usłyszeliby ciche bicie dzwonów i poczułi swąd przypalonej cebuli lub zwęglonego mięsa. A w nocy zapewne mieliby męczące sny o miejscu znacznie dziwniejszym od Nowego Jorku.

Mógł już wracać, a nawet powinien to zrobić, bo zdobył to, po co tu przybył. Ale stąd miał tylko parę kroków do miejskiej biblioteki publicznej. Tam, za strzeżoną przez kamienne lwy bramą, nawet człowiek bez pieniędzy może uzyskać pewne informacje. Na przykład dowiedzieć się, jaka miejscowość kryje się za zapisanym kodem pocztowym. A poza tym — chociaż wstyd się do tego przyznać — na razie nie miał ochoty wracać.

Zaczął machać rękami, dopóki nie zwrócił na siebie uwagi rewolwerowca. Nie zważając na spojrzenia przechodniów, Callahan pokazał mu na palcach, ile czasu zamierza tu jeszcze zostać. Nie był pewien, czy Roland zrozumie, ale najwyraźniej rewolwerowiec pojął, o co chodzi. Energicznie kiwnął głową, a potem podniósł kciuk, życząc mu powodzenia.

Callahan ruszył żwawym truchtem. Nie powinien się ociągać, obojętnie jak miłą odmianą był dla niego Nowy Jork. Czekanie z pewnością nie było przyjemne dla Rolanda. A zdaniem Eddiego mogło być również niebezpieczne.

8

Rewolwerowiec bez trudu rozumiał wiadomość Callahana. Trzydzieści palców, trzydzieści minut. Pere chciał zostać jeszcze pół godziny po tamtej stronie. Roland przypuszczał, że Callahan wymyślił jakiś sposób na rozszyfrowanie numeru, który znalazł napisany na płocie. Gdyby mu się to udało, byłaby to dobra wiadomość. Wiedza to potęga. Ale czasem, gdy brakuje czasu, decyduje szybkość.

Naboje w uszach całkowicie blokowały głosy. Bicie dzwonów przechodziło przez nie, lecz przyciszone. To dobrze, gdyż ich dźwięki były o wiele gorsze niż werble błony. Podejrzał, że po kilku dniach słuchania ich nadawałby się do domu wariatów, ale trzydzieści minut jakoś wytrzyma. W najgorszym razie rzuci czymś przez drzwi, żeby zwrócić uwagę księdza i skłonić go do szybszego powrotu.

Jeszcze przez chwilę Roland patrzył na pojawiającą się przed Callahanem ulicę. Spoglądając przez drzwi na plaży miał wrażenie, że widzi wszystko oczami tych trojga: Eddiego, Odetty i Jacka Morta. Te były nieco inne. Przez cały czas widział za nimi plecy Callahana albo jego twarz, gdy ksiądz się odwracał, co robił dość często.

Aby zabić czas, Roland wstał i zaczął oglądać książki, które tak wiele znaczyły dla Calvina Towera, że od ich ocalenia uzależniał swoją współpracę. Pierwsza, którą Roland wyciągnął ze stosu, miała na okładce zarys męskiej głowy. Mężczyzna palił fajkę i miał na głowie sportową czapkę. Cort też miał taką. Będąc chłopcem, Roland uważał ją za znacznie bardziej elegancką od starego kapelusza ojca, z plamami od potu i wystrzępionymi tasiemkami. Na okładce widniały słowa z nowojorskiego świata. Roland był przekonany, że po drugiej stronie przeczytałby je bez trudu, ale znajdował się po tej. Tak więc zdołał odcyfrować

tylko niektóre i rezultat był prawie tak irytujący jak bicie dzwonów.

— Sir-lock Hones — przeczytał głośno. — Nie, *Holmes*. Jak ojciec Odetty. Cztery... krótkie... spowiedania. Spowiedania? Nie, to słowo pisze się przez SB „Sirlock Holmes, cztery krótkie opowiadania”.

Otworzył książkę, z szacunkiem dotknął strony tytułowej, a potem powąchał ją. Poczł korzenny, słodkawy zapach dobrego starego papieru. Zdołał odczytać tytuł jednego z czterech opowiadań: *Znak czterech*. Poza słowami *Pies* oraz *Studium* wszystkie pozostałe nie miały dla niego sensu.

— Znak to symbol — rzekł. I roześmiał się, kiedy przyłapał się na tym, że liczy litery, z których składał się tytuł.

Było ich tylko dwanaście. Odłożył książkę i wziął następną, tym razem z rysunkiem żołnierza na okładce. Zdołał rozszyfrować jedno ze słów: *martwi*. Spojrzał na inną. Całująca się para. No tak, w opowieściach zawsze są całujące się pary — ludzie to lubią. Odłożył i tę książkę, po czym sprawdził, co robi Callahan. Otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył, jak Pere wchodzi do wielkiej sali pełnej książek i tego, co Eddie nazywał Magda-synami... Roland wciąż się zastanawiał, czy tych synów Magdy naprawdę było tak wielu i czy dokonali tylu rzeczy godnych opisanía.

Podniósł następną książkę i uśmiechnął się na widok okładki. Był na niej kościół na tle zachodzącego słońca. Budowla trochę przypominała kościółek Naszej Łaskawej Pani. Otworzył książkę i przekartkował ją. Mnóstwo słów, z których mógłby odczytać najwyżej jedno na trzy. Żadnych obrazków. Już miał ją odłożyć, gdy nagle któreś z nich przykuło jego wzrok. *Rzucilo* mu się w oczy. Rolandowi na moment zaparło dech.

Wyprostował się, nie słysząc już dzwonów transu, nie patrząc na wielką salę pełną książek, do której wszedł Callahan. Zaczął czytać książkę z kościółkiem na okładce. A raczej próbował czytać. Słowa wirowały mu przed oczami i nie był pewien, czy dobrze rozumie ich sens. Nie był tego pewien. A jednak, na bogów! Jeśli naprawdę wzrok go nie mylił, to...

Intuicja podpowiadała mu, że znalazł klucz. Tylko do jakich drzwi?

Nie wiedział, nie był w stanie odszyfrować tylu słów, żeby

zrozumieć. A jednak książka, którą trzymał w dłoniach, zdawała się pulsować. Roland pomyślał, że może ta księga jest jak róża... Tylko że bywają również czarne róże.

— Rolandzie, znalazłem! To miasteczko w środku Maine, zwane East Stoneham, około czterdziestu mil na północ od Portlandu i... — Urwał, widząc minę rewolwerowca. — Co się stało?

— To te dzwony — odparł pospiesznie Roland. — Choć zatkąłem sobie uszy, wciąż je słyszałem.

Teraz drzwi były zamknięte i dzwony ucichły, ale wciąż było słychać głosy. Ojciec Callahana właśnie pytał, czy zdaniem Donniego porządny katolicki chłopiec powinien czytać takie magazyny, jakie znalazł pod jego łóżkiem, i co by było, gdyby odkryła je matka? Kiedy Roland zaproponował, żeby opuścić jaskinię, Callahan przystał na to z ochotą. Aż nazbyt dobrze pamiętał tamtą rozmowę z ojcem. Zakończyła się wspólną modlitwą na klęczkach przy łóżku, a trzy numery „Playboya” powędrowały do pieca na tyłach domu.

Roland włożył rzeźbioną szkatułkę do różowej torby i ponownie starannie ukrył ją w pudle z cennymi książkami Towera. Już schował tam tom z kościółkiem na okładce, obróciwszy go stroną tytułową w dół, tak by później szybko mógł znaleźć.

Wyszli na zewnątrz i stanęli ramię w ramię, wdychając świeże powietrze.

— Jesteś pewien, że to tylko przez dzwony? — spytał Callahan. — Człowieku, wyglądasz tak, jakbyś zobaczył ducha.

— Dzwony transu są gorsze od duchów — rzekł Roland.

Prawdziwe czy nie, to wyjaśnienie najwyraźniej zadowoliło Callahana. Gdy zaczęli schodzić ścieżką, Roland przypomniał sobie obietnicę, jaką złożył pozostałym, a co najważniejsze, także sobie. Nigdy więcej żadnych tajemnic przed członkami *teł*. Jak szybko był gotów złamać tę obietnicę! Uważał jednak, że tym razem postępuje słusznie. Znał przynajmniej niektóre nazwiska z tej księgi. Tamci też by je rozpoznali. Później będzie

im musiał o tym powiedzieć, jeśli ta książka jest tak ważna, jak przypuszczał. Teraz odwróciłoby to ich uwagę od najważniejszego — walki z Wilkami. Jeśli wygrają bitwę, może wtedy...

— Rolandzie, na pewno dobrze się czujesz?

— Tak. — Klepnął Callahana w ramię. Tamci potrafią odczytać tę książkę i odkryć, co oznacza. Może to tylko opowieść... ale jak to możliwe, skoro...

— Pere?

— Tak, Rolandzie?

— Powieść to rodzaj opowieści, prawda? Wymyślonej?

— Tak, to taka długa opowieść.

— Zmyślona?

— Owszem, opisująca fikcyjne wydarzenia. Zmyślone.

Roland rozważył to. Historia opisana w książeczce *Charlie Puf-Puf* też była zmyślona, a jednak pod wieloma względami, bardzo istotnymi względami, jak najbardziej prawdziwa. I nazwisko autorki zmieniało się. Istniało wiele różnych światów podtrzymywanych przez Wieżę. Może...

Nie, nie teraz. Teraz nie powinien zaprzętać tym sobie głowy.

— Powiedz mi coś o miasteczku, do którego udał się Tower i jego przyjaciel — powiedział.

— Niewiele wiem. Znalazłem tylko książkę adresową stanu Maine, to wszystko. A także schematyczną mapkę pokazującą lokalizację.

— Dobrze. Bardzo dobrze.

— Rolandzie, na pewno nic ci nie jest? *Calla*, pomyślał Roland. *Callahan*.

Ponownie zmusił się do uśmiechu. Znów klepnął Callahana w ramię.

— Czuję się doskonale — zapewnił. — A teraz wracajmy do miasta.

Rozdział 5

ZEBRANIE MIESZKAŃCÓW

1

1 ian Jaffords nigdy w życiu nie był tak przestraszony jak teraz, stojąc na podium pod namiotem i spoglądając na mieszkańców Calla Bryn Sturgis. Wiedział, że nie ma ich tu więcej niż pięćuset — no, najwyżej sześćuset — lecz wydawało mu się, że to nieprzeliczone mrowie, a napięte milczenie zgromadzonych działało mu na nerwy. Spojrzał na żonę, szukając u niej wsparcia, ale nie znalazł. Twarz Zalii była ściągnięta i posępna, bardziej podobna do twarzy staruszki niż kobiety w wieku odpowiednim do rodzenia dzieci.

Pogoda tego późnego popołudnia również nie pomagała odnaleźć spokoju ducha. Wprawdzie niebo było bezchmurne i błękitne, ale zbyt ciemne jak na piątą po południu. Na południowym zachodzie wisiały gęste chmury, za którymi słońce skryło się właśnie wtedy, kiedy Tian wchodził po schodach na podium. Taką pogodę dziadek nazywał niesamowitą: *złowieszcą*, piękne dzięki. W zalegającym nad Jądrem Gromu mroku migotały błyskawice, niczym ogromne iskry.

Gdybym wiedział, że do tego dojdzie, nie zaczynałbym tego wszystkiego, pomyślał z rozpaczą. / tym razem nie będzie Callahana, który uratuje mój tyłek. Callahan był tutaj, razem z Rolandem i jego przyjaciółmi — rewolwerowcami — stojąc z rękami założonymi na piersi, w czarnej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i swoim Jezusem-Człowiekiem na zawieszonym na szyi krzyżu.

Powtarzał sobie, że przecież Callahan mu pomoże, tak samo jak ci przybysze z innego świata. Przyszli tutaj, żeby pomóc. Kodeks honorowy, jakim się kierowali, zobowiązywał ich do tego, nawet gdyby to oznaczało dla nich zgubę i kres tajemniczej misji. Powtarzał sobie, że on ma tylko przedstawić Rolanda i oddać mu głos. Rewolwerowiec już raz stanął na tej scenie, odańczył taniec ryżu i zdobył serca zebranych. Czy Tian nie wierzył, że może dokonać tego znowu? Prawdę mówiąc, Tian nie wątpił w to. Natomiast w głębi serca obawiał się, że tym razem będzie to taniec śmierci, a nie życia. Ponieważ śmierć była rzemiosłem tych ludzi, ich chlebem i winem. Sorbetem, którym przepłukiwali sobie gardła po posiłku. Podczas tamtego pierwszego spotkania (czy to możliwe, że niecały miesiąc temu?) Tian mówił pod wpływem gniewu i rozpacz, ale miesiąc to dużo czasu, żeby oszacować koszty. A jeśli popełniali błąd? Jeśli Wilki spalą Calla swoimi świetlnymi prętami, po raz ostatni zabiorą wszystkie potrzebne im dzieci, a potem zabiją pozostałych — starych i młodych — świszczącymi kulami śmierci?

Stali, czekając, aż zacznie, wszyscy mieszkańcy Calla Bryn Sturgis. Eisenhartowie, Overholserowie, Javiersowie oraz liczni Tookowie (choć nie było wśród nich bliźniąt w wieku interesującym Wilki, o nie, takie mieli szczęście); Telford stojący wśród mężczyzn, a jego pulchna żona o zawziętej twarzy między kobietami; Strongowie, Rossiterowie, Slightmanowie, Handowie, Rosariowie i Posellowie; trzymający się razem Manni, niczym plama inkaustu, ich patriarcha Henchick obok młodego Cantaba, którego tak lubiły dzieci; Andy, inny ulubieniec dzieciaków, trzymający się na uboczu, z opuszczonymi cienkimi metalowymi rękami i migoczącymi w półmroku niebieskimi lampkami oczu; Siostry Pani Ryżu, skupione blisko siebie, jak ptaki na drucie (wśród nich żona Tiana), oraz kowboje, najemni robotnicy, a nawet stary Bernardo, znany pijaczyna.

Po prawej ręce Tiana niespokojnie kręcili się ci, którzy trzymali wici. Zazwyczaj jedna para bliźniąt zupełnie wystarczała do ich roznoszenia. Przeważnie ludzie wiedzieli o zwołowanym zebraniu i roznoszenie wici było zwykłą formalnością. Tym razem (był to pomysł Margaret Eisenhart) rozesłano trzy

pary bliźniąt, żeby zaniósł tę wieść do wszystkich gospodarstw i farm. Pojechały bryczką powożoną przez Cantaba, który siedział dziwnie cichy i ponury, poganiając dwójkę brązowych mułów, niesprawiających mu żadnych kłopotów. Najstarszymi bliźniętami byli dwudziestotrzyletni Hagengoodowie, urodzeni zaraz po poprzednim napadzie Wilków (i zdaniem wielu ludzi brzydki jak noc, chociaż bardzo robotni, a jakże). Młodsze od nich było rodzeństwo Tavery, bliźniaki, które narysowały Rolandowi piękną mapę. Trzecią parę (najmłodszą, choć najstarszą wśród potomstwa Tiana) stanowili Heddon i Hedda. To właśnie Hedda podtrzymała go na duchu. Tian pochwycił jej spojrzenie i zauważył, że jego dobra (choć pospolitej urody) córka wyczuła obawę ojca i jest bliska teź.

Eddie i Jake nie byli jedynymi, którzy słyszeli w myślach inne głosy. Tian słyszał teraz głos swojego dziadka. Nie takiego, jakim był Jamie obecnie, swarliwego i niemal bezzębego, ale takiego, jakim był przed dwudziestoma laty: starego, lecz wciąż mogącego solidnie ci przyłożyć, jeśli pyskowałes albo próbowałeś się objąć. Tego Jamiego Jaffordsa, który kiedyś stanął przeciwko Wilkom. Był czas, że Tian w to powątpiewał, ale teraz już nie. Ponieważ Roland wierzył staremu.

Do diaska, zrób to! Nad czym tak długo myślisz, ty tępaku? Masz tylko powiedzieć, jak się zwie, i odejść na bok, no nie? A potem, na dobre czy złe, dasz mu robić swoje.

Mimo to Tian jeszcze przez chwilę spoglądał na milczący tłum, oświetlony blaskiem pochodni, które dziś nie zmieniały barw — bo to nie festyn — rzucając tylko pomarańczowe światło. Bo chciał coś powiedzieć, a może po prostu musiał coś powiedzieć. Choćby wyznać, że częściowo on jest za wszystko odpowiedzialny. Na dobre i złe.

Ciemne niebo na wschodzie przecięła błyskawica bezgłośniejszej eksplozji.

Roland, stojący z rękami założonymi na piersi tak samo jak Pere, pochwycił spojrzenie Tiana i skinął głową. Nawet w ciepłym blasku pochodni niebieskie oczy rewolwerowca wydawały się zimne. Równie zimne jak oczy Andy'ego. A jednak dodały Tianowi otuchy.

Wziął wici. Tłum wstrzymał oddech. Gdzieś wysoko nad miastem wrzasnęła wrona, jakby chciała odstraszyć noc.

— Nie minęło wiele czasu od dnia, gdy stałem tutaj i mówiłem wam, co myślę — rzekł Tian. — O tym, że kiedy przyjdą Wilki, nie zabrają nam tylko naszych dzieci, ale nasze serca i dusze. Za każdym razem gdy to robią, a my nie stawiamy oporu, ranią nas głębiej. Jeśli głęboko zranić drzewo, ono umiera. Mocno zranione miasto także umrze.

Z półmroku nadleciał jasny i zdecydowany głos Rosality Munoz, bezdzietnej przez całe życie.

— Prawdę mówisz, dzięki ci! Słuchajcie go, ludzie! Słuchajcie go dobrze!

— Słuchajcie go, słuchajcie, słuchajcie dobrze! — zawołali zebrani.

— Tamtej nocy Pere stanął tu i powiedział, że z północnego zachodu zbliżają się rewolwerowcy, idąc przez Las Pośredni ścieżką Promienia. Niektórzy w to wąpili, lecz Pere mówił prawdę.

— Dzięki ci — odparli. — Pere mówił prawdę.

— Chwała Jezusowi! Chwała Maryi, Matce Boskiej! — krzyknęła jedna z kobiet.

— Od tego czasu przebywają wśród nas. Każdy, kto chciał z nimi porozmawiać, mógł to zrobić. Obiecali, że nam pomogą...

— I odjadą, zostawiając za sobą krew i zgłiszcza, jeśli na to pozwolimy! — wrzasnął Eben Took.

Tłum zaszemrał, zaskoczony. Kiedy ucichł, odezwał się Wayne Overholser:

— Zamknij ten niewyparzony dziób!

Took z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami spojrzął na Overholsera, najbogatszego farmera w okolicy i swojego najlepszego klienta.

— Ich *dinh* to Roland Deschain z Gilead — ciągnął Tian. Wprawdzie wiedzieli o tym, ale słysząc tę legendarną nazwę, i tak westchnęli z nabożnym podziwem. — Z Dawnego Świata. Czy wysłuchacie go? Co wy na to, ludzie?

Odpowiedział mu gromki okrzyk:

— Wysłuchamy go! Wysłuchamy! Wysłuchamy każdego słowa! Posłuchajcie go, ludzie!

Towarzyszył temu cichy, rytmiczny łoskot, którego w pierwszej chwili Tian nie rozpoznał. Potem zrozumiał, co to takiego, i o mało się nie roześmiał. Tak brzmiało miarowe tupanie

buciorów nie o deski podłogi w sali narad, lecz na zielonej trawie.

Tian wyciągnął rękę. Roland wystąpił naprzód. Tupanie przybrało na sile. Kobiety dołączyły do mężczyzn, przytupując miękkimi podeszwami odświętnych butów. Roland wszedł po schodkach na podium. Tian oddał mu wici i opuścił scenę, biorąc Heddę za rękę i dając pozostałym dzieciom znak, żeby poszły zanim. Roland stał, trzymając przed sobą wici, ściskając ich stary lakierowany uchwyt dłońmi, które miały już tylko osiem palców. W końcu tupanie butów i buciorów ucichło. Pochodnie syczały i prychały, oświetlając skupione twarze, na których malowała się nadzieja i lęk — oba uczucia wyraźnie widoczne. Gawron wrzasnął i zamilkł. Na wschodzie potężny błysk przeciął ciemności.

Rewolwerowiec stał, spoglądając na zebranych.

2

Przez długą chwilę tylko na nich patrzył. We wszystkich spojrzeniach czytał tę samą wiadomość. Widział ją już wiele razy i doskonale rozumiał. Ci ludzie byli głodni. Pragnęli stawy, która napelni ich puste brzuchy. Przypominał sobie ciastkarza, który w najgorętsze dni lata przemierzał ulice podzamcza Gilead, a którego matka Rolanda nazywała *seppe-sai* ze względu na to, że od takich ciastek ludzie mogą się ciężko pochorować. *Seppe-sai* to sprzedawca śmierci.

Tak, pomyślał, aleja i moi przyjaciele nie bierzemy zapłaty.

Pod wpływem tej myśli jego twarz rozpromienił uśmiech. Starł wiele lat z tej kamiennej maski i sprawił, że tłum odetchnął z ulgą. Roland zaczął tak samo jak poprzednio.

— Zostaliśmy dobrze przyjęci w Calla Bryn Sturgis, wysłuchajcie mnie, błagam.

Cisza.

— Otworzyliście się przed nami. A my przed wami. Czy nie tak?

— Tak, rewolwerowcze! — zawołał Vaughn Eisenhart. — Tak jest!

— Czy wiecie, kim jesteśmy, i akceptujecie to, co robimy?

Tym razem odpowiedział mu Henchick z Mannich.

— Tak, Rolandzie, na Świętą Księgę, i piękne dzięki. Jesteście z linii Elda, Bieli przybywającej stawić czoło Czerni.

Tłum westchnął przeciągle. Któraś ze stojących z tyłu kobiet załkała.

— Mieszkańcy Calla, czy chcecie naszej pomocy i wsparcia?

Eddie zdrętwiał. Podczas tych kilku tygodni spędzonych w Calla Bryn Sturgis zadali to pytanie wielu osobom, ale uważał, że zadawanie go publicznie jest bardzo ryzykowne. A jeśli powiedzą nie?

W następnej chwili Eddie zrozumiał, że niepotrzebnie się obawiał; obserwując swoje audytorium, Roland jak zawsze dobrze ocenił sytuację. Niektórzy z zebranych istotnie zawołali „nie” — kilku Haycoksów, paru Tooków i grupka Telforda przewodzili opozycji — lecz większość mieszkańców natychmiast gromko zawołała: TAK, DZIĘKI CI! Paru innych — a wśród nich Cwerholser — wcale się nie odezwało. Eddie pomyślał, że zazwyczaj takie zachowanie jest najrozsądniejsze. A przynajmniej najbardziej dyplomatyczne. To jednak nie była zwyczajna sytuacja, lecz chwila najtrudniejszego wyboru, przed jakim ci ludzie stanęli, najtrudniejszego w całym ich życiu. Jeśli *ka-tet dziewiętnaście* pokona Wilki, mieszkańcy miasteczka będą pamiętać, kto powiedział nie i kto nic nie powiedział. Leniwie zastanawiał się, czy za rok Wayne Dale Cwerholser nadal będzie najbogatszym farmerem w okolicy.

Roland otworzył naradę i Eddie całą uwagę skupił na nim. Podziwiał go. Dorastając w swoim niegdyś, Eddie słyszał wiele kłamstw. Sam też wiele ich wygłosił, niektóre bardzo dobre. Zanim Roland dotarł do połowy swej przemowy, Eddie zrozumiał, że aż do tego wieczoru w Calla Bryn Sturgis nigdy nie spotkał prawdziwie genialnego łgarza. A ci ludzie...

Rozejrzał się wokół, po czym z satysfakcją kiwnął głową.

Łykali każde słowo Rolanda.

— Kiedy ostatnio stałem na tej scenie przed wami — mówił Roland — tańczyłem taniec ryżu. Dzisiaj...

George Telford przerwał mu. Eddie nie lubił tego gładkiego, śliskiego drania, ale nie mógł podejrzewać go o brak odwagi. Telford miał jej dość, żeby wyrazić swoje zdanie, chociaż było ono sprzeczne z nastawieniem ogółu.

— Ano pamiętamy, i tańczyłeś dobrze! Powiedz mi, błagam, jak tańczysz taniec śmierci, Rolandzie!

Tłum zareagował niechętnym pomrukiem.

— Nieważne, jak go tańczę — odparł bez cienia zmieszania Roland — gdyż dni mojego tańcowania w Calla minęły. Mamy w tym mieście zadanie do wykonania, ja i moi towarzysze. Przyjęliście nas gościnnie, i dzięki wam za to. Poprosiliście nas o pomoc i wsparcie, więc teraz proszę, żebyście dobrze mnie posłuchali. Za niecały tydzień przybędą tu Wilki.

Tłum przytaknął mu głośnym westchnieniem. Wprawdzie ostatnio czas umykał zbyt szybko, ale nawet najmniej rozgarnięci mieszkańcy miasteczka potrafili pojąć, co znaczy pięć dni.

— Wieczorem w dniu poprzedzającym ich przybycie chcę zobaczyć tu wszystkie bliźnięta w wieku do siedemnastu lat.

Roland wskazał na lewo, gdzie Siostry Pani Ryżu rozstawiły namiot. Tego wieczoru było w nim sporo dzieci, chociaż z pewnością ich liczba nawet w przybliżeniu nie dochodziła do setki. Starsze miały zaopiekować się młodszymi w czasie zebrania, a od czasu do czasu któraś z Sióstr sprawdzała, czy wszystko jest w porządku.

— Ten namiot nie pomieści ich wszystkich, Rolandzie — zauważył Ben Slightman.

Roland uśmiechnął się.

— Zmieszczą się w większym, Ben, a założę się, że Siostry znajdą taki.

— Pewnie, i ugościmy ich kolacją, której nigdy nie zapomną! — zawołała śmiało Margaret Eisenhart.

Zebrani przyjęli jej słowa z dobrodusznym śmiechem, który jednak szybko ucichł. Wielu z nich niewątpliwie pomyślało, że jeśli Wilki zwyciężą, to połowa tych dzieci po tygodniu lub dwóch nie będzie pamiętać nawet swoich imion, nie mówiąc już o tym, co kiedyś jady.

— Chcę, żeby tu spały, byśmy mogli wyruszyć wcześniej rano — mówił dalej Roland. — Z tego, co usłyszałem, wynika, że Wilki równie dobrze mogą pojawić się rankiem, wieczorem

lub w południe. Wyszlibyśmy na głupców, gdyby pojawiły się o świcie i przyłapały je tutaj, na otwartej przestrzeni.

— A czemu nie mogą pojawić się tu dzień wcześniej? — zawołał z uporem Eben Took. — Albo o północy?

— Nie mogą—odparł krótko Roland. Opierając się na relacji Jamiego Jaffordsa, byli tego prawie pewni. Właśnie opowieść dziadka Tiana była powodem tego, że pozwolili Andy'emu i Benowi Slightmanowi działać jeszcze przez pięć następných dni i nocy. — Przybywają z daleka i nie całą tę drogę pokonują na koniach. Działają według z góry wytyczonego planu.

— Skąd wiesz? — spytał Louis Haycox.

— Wolę nie mówić — odparł Roland. — Wilki mogą mieć długie uszy.

Zebrani w milczeniu zastanawiali się nad tymi słowami.

— Tej samej nocy... w wigilię Dnia Wilka... chciałbym zobaczyć tu tuzin wozów, największych jakie macie, żeby wywieźć na nich dzieci na północ. Sam wyznaczę woźniców. Potrzebni będą również opiekunowie, którzy pojedą i zostaną z nimi, kiedy przyjdzie czas. I nie pytajcie mnie, dokąd pojedą. O tym również lepiej nie mówić.

Oczywiście większość mieszkańców myślała, że dzieci zostaną wywiezione do starej kopalni zwanej Gloria. Takie wieści zwykle szybko się rozchodzą, o czym Roland doskonale wiedział. Ben Slightman domyślał się czegoś i wytypował inną kryjówkę — kopalnię Rudzik Dwa, na południe od Glorii — z czego rewolwerowiec był rad.

George Telford zawołał:

— Nie słuchajcie go, ludzie, błagam was! A jeśli go słuchacie, to, na wasze dusze i to miasto, nie róbcie tego! To, co proponuje, to szaleństwo! Już nieraz próbowaliśmy ukryć nasze dzieci i nigdy się nie udało! A gdyby nawet się udało, Wilki na pewno przyjechałyby i spaliły z zemsty miasto, spaliły do cna...

— Milcz, tchórze — przerwał mu Henchick, głosem suchym jak trzask bata.

Telford mimo to mówiłby dalej, lecz najstarszy syn uciszył go, chwytając za ramię. I dobrze, bo zebrani znowu zaczęli tupać. Telford z niedowierzaniem patrzył na Eisenharta. Z jego twarzy wyraźnie można było wyczytać pytanie: *Chyba nie zamierzasz poprzeć tego szaleństwa, co?*

Ranczer potrząsnął głową.

— Nie masz co tak na mnie patrzeć, George. Ja popieram moją żonę, a ona popiera Elda.

Jego słowa przyjęto owacjami. Roland zaczekał, aż ucichną.

— Ranczer Telford mówi prawdę. Wilki zapewne dowiedzą się, gdzie ukryliśmy dzieci. I kiedy po nie przyjadą, moje *ka-tet* będzie tam, żeby ich powitać. Nie po raz pierwszy stawimy czoło takiemu przeciwnikowi.

Głośnie wiwaty. Tupanie. Rytmiczne brawa. Telford i Eben Took spoglądali wokół szeroko otwartymi oczami, jak ludzie, którzy nagle odkryli, że obudzili się w domu wariatów.

Kiedy pod namiotem znów zrobiło się cicho, Roland mówił dalej:

— Niektórzy umiejący posługiwać się bronią mieszkańcy postanowili przyłączyć się do nas. I o tym lepiej teraz za dużo nie mówić.

Oczywiście, rozstawiony przez kobiety namiot i tak wszystko powiedział tym, którzy jeszcze nie słyszeli, o Siostrach Pani Ryżu. Eddie znów musiał podziwiać sposób, w jaki Roland manipulował tłumem. Zręcznie to mało powiedziane. Zerknął na Susannah, która przewróciła oczami i uśmiechnęła się do niego. Dłoń, którą trzymała na jego ramieniu, była zimna. Susannah chciała, żeby to jak najprędzej się skończyło. Eddie doskonale ją rozumiał.

Telford spróbował jeszcze raz:

— Ludzie, posłuchajcie mnie! Wszystkiego już próbowano! Tym razem odezwał się Jake Chambers:

— Nie próbowali tego rewolwerowcy, *sai* Telford.

Odpowiedział mu chóralny krzyk aprobaty, tupanie i oklaski.

Roland w końcu musiał podnieść ręce, żeby uciszyć zebranych.

— Większość Wilków uda się tam, gdzie ich zdaniem będą dzieci. Z tą grupą rozprawimy się my — powiedział. — Mniejsze grupki istotnie mogą napaść na farmy lub rancza. Niektóre mogą wjechać do miasta. I rzeczywiście mogą spalić kilka budynków.

Słuchali w milczeniu, kiwając głowami, już domyślając się, co zaraz powie. Właśnie takiej reakcji oczekiwał.

— Spalony budynek można odbudować. Pokura nie da się wyleczyć.

— Ano! — zawołała Rosalita. — Tak jak złamanego serca!

Tym razem przytakiwały głównie kobiety. W Calla Bryn Sturgis (tak jak niemal wszędzie) trzeźwi mężczyźni niezbyt lubią mówić o swoich uczuciach.

— Słuchajcie, bo powiem wam jeszcze coś. Dobrze wiemy, z jakim przeciwnikiem będziemy mieli do czynienia. Jamie Jaffords powiedział nam to, co już podejrzewaliśmy.

Szmer zdziwienia. Poruszenie. Stojący obok wnuka Jamie zdołał na chwilę wyprostować zgarbione plecy, a nawet wypiąć zapadniętą pierś. Eddie miał tylko nadzieję, że ten stary sęp zachowa spokój jeszcze przez chwilę. Gdyby zaczął się wtrącać i poprawiać Rolanda, bardzo utrudniłoby to im zadanie. W najlepszym razie musieliby wcześniej unieszkodliwić Andy'ego i Slightmana. A gdyby Finli o'Tego — czyli głos, któremu Slightman składał raport z Dogan — nie miał od nich wiadomości przed przybyciem Wilków, nabrałby podejrzeń. Eddie poczuł ruch palców, które spoczywały na jego ramieniu. Susannah zaciskała kciuki.

4

— Pod tymi maskami nie kryją się żywe istoty — rzekł Roland. — Wilki to żywe trupy na służbie wampirów władających Jądnem Gromu.

Pomruk zgrozy powiał to starannie przemyślane kłamstwo.

— Eddie, Susannah i Jake nazywają takie stwory zombi. Nie można ich zabić strzałą, beltem ani kulą, chyba że trafi się w mózg lub serce. — Roland podkreślił wagę tych słów, stukając palcem w lewą pierś. — A oczywiście podczas napadów noszą pod ubraniami pancerze.

Henchick pokiwał głową. Kilka osób w podeszłym wieku — mieszkańcy pamiętający niejedną, ale dwa napady Wilków — zrobiło to samo.

— To wiele wyjaśnia — rzekł. — Tylko jak...

— Przed strzałami wymierzonymi w mózg chronią ich hełmy, które noszą pod kapturami — ciągnął Roland. — My jednak spotkaliśmy takie stworzenia w mieście Lud. Ich słabe miejsce jest tu. — Ponownie postukał się palcem w pierś. — Wprawdzie zombi nie oddycha, lecz nad sercem ma coś przy-

pominającego skrzela. Gdyby zakrył je pancerzem, umarłby. Właśnie tam będziemy celować.

Zebrani szeptali między sobą, rozważając te słowa. Nagle rozległ się głos dziadka Jaffordsa, piskliwy z podniecenia:

— To prawda, co do słowa. Molly Doolin uderzyła jednego talerzem i choć nie trafiła dokładnie w to miejsce, to załatwiła stwora!

Susannah zacisnęła dłoń na ramieniu Eddiego, tak że poczuł jej ostre, choć krótkie paznokcie, ale kiedy na nią popatrzył, zobaczył, że się uśmiecha. Podobny wyraz ujrzał na twarzy Jake'a. *Kiedy zaczyna się gra, masz olej w głowie, stary*, pomyślał Eddie. *Przepraszam, że w ciebie wątpiłem. Niech Andy i Slightman wracają za rzekę i przekażą te bzdury!* Zapytał Rolanda, czy tamci (bezimienni wrogowie, których reprezentował ktoś przedstawiający się jako Finli o'Tego) uwierzą w te bajania. *Napadali na miasteczka po tej stronie Whye przez ponad sto lat i przez ten czas stracili tylko jednego ze swoich*, odparł Roland. *Sądzę, że uwierzą we wszystko. W tym momencie naprawdę czułym punktem jest ich pewność siebie.*

— W wigilię Dnia Wilka przyprowadźcie tu wasze bliźnięta — mówił dalej Roland. — Będą tu kobiety... znane wam Siostry Pani Ryżu... ze spisem dzieci. Odznaczą każdą przybywającą parę. Mam nadzieję, że do dziewiątej godziny uporają się z tym, bo już będą tu wszystkie.

— Nie bendzieta skreślać moich! — zagrział gniewny głos z tyłu. Jego właściciel precisnął się i wyszedł naprzód. Był przysadzistym mężczyzną i zajmował się uprawą ryżu daleko na południe od miasteczka. Roland poszperał w zagraconym magazynie swojej pamięci (zagraconym, owszem, bo nigdy niczego stamtąd nie wyrzucał) i po chwili przypomniał sobie jego nazwisko: Neil Faraday. Jeden z niewielu tych, którzy byli nieobecni — lub nieosiągalni — kiedy Roland odwiedzał wszystkich ze swoim *ka-tet*. Według Tiana był to człowiek ciężko pracujący, ale i tego popijający. Niewątpliwie wyglądał na takiego. Miał ciemne kręgi pod oczami i siateczkę popękanych żyłek na obu policzkach. Grubianin, łagodnie mówiąc. Mimo to Telford i Took posłali mu zdziwione, pełne wdzięczności spojrzenia. *Jeszcze jest tu ktoś zdrowy na umyśle. Bogom niech będą dzięki.*

— Une i tak wezmom dzieciów i spałom miasto — powiedział z tak ciężkim akcentem, że prawie niezrozumiale. — Nawet jeśli wezmom mi parę to i tak będę miał trzy i może moja chata nie taka fikuśna jak wasze, ale będę jom mio! — Z szyderczą wzdardą obrzucił spojrzeniem mieszkańców miasteczka. — Spałom was do cna i dobrze wom tak — dodał na koniec. — Tempaki!

Po tych słowach wmieszał się w tłum, pozostawiając zdumiewająco wiele osób wstrząśniętych i wahających się. Jego pogardliwa i (przynajmniej dla Eddiego) niemal niezrozumiała tyrada narobiła więcej szkody niż połączone wysiłki Telforda i Tooka.

Może być biedny jak mysz kościelna, ale w przyszłym roku bez trudu uzyska kredyt u Tooka, pomyślał Eddie. Jeśli skład nadal będzie istniał.

— Sai Faraday ma prawo do własnego zdania, ale mam nadzieję, że zmieni je w ciągu kilku najbliższych dni — odparł Roland. — Mam nadzieję, że pomożecie mu w tym. Bo jeśli nie, to nie zostanie mu troje dzieci. Nie zostanie mu ani jedno. — Podniósł głos, kierując swoje słowa do stojącego w tłumie Faradaya. — Wtedy zobaczy, czy łatwo jest uprawiać ziemię, mając do pomocy tylko dwa muły i żonę.

Telford podszedł do podium, czerwony z wściekłości.

— Czy jest coś, czego nie powiedziałbyś, żeby osiągnąć swój cel, niegodziwcze? Czy jest jakieś kłamstwo, przed którym byś się cofnął?

— Nie kłamię i niczego nie zmyślam — odparł Roland. — Jeśli ktoś odniósł wrażenie, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania, chociaż zaledwie przed miesiącem nawet nie wiedziałem o istnieniu Wilków, to najmocniej przepraszam. Zanim jednak was pożegnam, życząc dobrej nocy, pozwólcie mi opowiedzieć pewną historię. Kiedy byłem chłopcem w Gilead, przed nadejściem Dobrego Człowieka i czasem pożogi, na wschodnim krańcu baronii była wielka plantacja drzew.

— Kto kiedy słyszał, żeby uprawiać drzewa? — zawołał ktoś drwiąco.

Roland uśmiechnął się i skinął głową.

— To nie były zwyczajne drzewa, nawet nie żelazne, lecz biosy, dające cudownie lekkie i wytrzymałe drewno. Najlepsze

drewno na łodzie. Cienkie deski niemal unoszą się w powietrzu. Rosły na tysiącu akrach ziemi, dziesiątki tysięcy biosów w równych rzędach, pilnowanych przez głównego leśniczego baronii. I zawsze przestrzegano jednej, nienaruszalnej zasady: wycinać dwa, sadzić trzy.

— Ano — powiedział Eisenhart. — Tak samo jest z hodowlą. W wypadku rasowych zwierząt najlepiej zatrzymać cztery na każde jedno, które się sprzedaje lub zabija. Chociaż mało kto może sobie na to pozwolić.

Roland wodził wzrokiem po zebranych.

— Kiedy miałem dziesięć lat, w lecie na plantacji wybuchła zaraza. Pająki zasnuwały białymi pajęczynami dolne gałęzie niektórych drzew, a te zaczynały obumierać, poczynając od czubków i próchniejąc, po czym łamały się pod własnym ciężarem, zanim choroba dotarła do korzeni. Leśniczy zauważył, co się dzieje, i rozkazał natychmiast ściąć wszystkie zdrowe drzewa. Chciał uratować drewno, dopóki jeszcze się do czegoś nadawało, rozumiecie? Nie mógł zastosować zasady ścinać dwa, a sadzić trzy, ponieważ nie miała już sensu. Do następnego lata lasy biosów na wschodzie Gilead przestały istnieć.

Zapadła głucha cisza. Dzień zmienił się w przedwczesny wieczór. Syczały pochodnie. Zgromadzeni nie odrywali oczu od twarzy rewolwerowca.

— Tutaj, w Calla, Wilki też zbierają plon... dzieci. I nawet nie muszą ich rozmnażać, gdyż tym zajmują się kobiety i mężczyźni. „Tatę czeka robotą! Mama sadi dzisiaj ryż, bo wie, jak to robić tyż”.

Mieszkańcy szeptali między sobą.

— Wilki porywają dzieci i czekają. Zbierają plon... i czekają. Mogą tak robić, ponieważ mężczyźni i kobiety wciąż płodzą nowe dzieci, niezależnie jaki czeka je los. Nagle jednak pojawia się coś nowego. Wybucho zaraza.

— Tak, to prawda, a tą zarazą jesteście... — warknął Took.

Ktoś strącił mu z głowy kapelusz. Eben Took odwrócił się, szukając winnego, i zobaczył pięćdziesiąt nieprzyjaznych twarzy. Podniósł kapelusz, przycisnął do piersi i więcej się nie odezwał.

— Jeśli zobaczą, że to już koniec z zabieraniem dzieci — podjął Roland — nie ograniczą się do rozdzielania bliźniąt.

Tym razem porwą każde dziecko, które wpadnie im w ręce. Tak więc przyprowadźcie je tu wszystkie. To najlepsza rada, jaką mogę wam dać.

— A zostawiłeś im jakiś wybór? — spytał Telford. Był błądy ze strachu i wściekłości.

Roland miał go już dość. Podniósł głos do krzyku i Telford cofnął się przed gniewnym błyskiem jego niebieskich oczu.

— Ty nie musisz się tym przejmować, *sai*, ponieważ twoje dzieci są dorosłe, o czym każdy w tym mieście dobrze wie. Powiedziałeś już swoje. Może teraz wreszcie się zamkniesz!?

Zgromadzeni przyjęli to głośnym aplauzem i tupaniem. Telford jeszcze przez chwilę znosił szydercze okrzyki i gwizdy, chowając głowę w ramiona niczym szykujący się do szarży byk. Potem odwrócił się i zaczął przeciskać przez tłum. Took poszedł za nim. Po chwili już ich nie było. Wkrótce po tym narada się zakończyła. Bez głosowania. Roland nie dał mieszkańcom takiej szansy.

Nie, pomyślał znów Eddie, popychając fotel Susannah w kierunku stołu z napojami. Zręcznie to naprawdę mało powiedziane.

5

Niedługo potem Roland podszedł do Bena Slightmana. Zarządca stał pod jedną z płonących na słupach pochodni, trzymając kubek z kawą i talerzyk z kawałkiem ciasta. Roland także miał kawę i ciastko. Po drugiej stronie trawnika namiot błyskawicznie zmienił się ze świetlicy w bufet. Przed nim wił się długi wąż czekających w kolejce ludzi. Słysząc było cichy gwar rozmów, ale mało śmiechów. Nieco bliżej Benny i Jake rzucali sobie piłkę, od czasu do czasu pozwalając odbić Ejowi. Bumbler wesoło powarkiwiał, lecz chłopcy byli równie poważni jak ludzie czekający w kolejce.

— Wygłosiłeś dobre przemówienie — powiedział Slightman i trącił kubkiem o kubek Rolanda.

— Tak uważasz?

— Ano. Oczywiście byli już urobieni, o czym wiedziałeś, ale Faraday z pewnością cię zaskoczył, a mimo to dobrze sobie z nim poradziłeś.

— Mówiłem prawdę — rzekł Roland. — Jeśli Wilki poniosą tu ciężkie straty, zabiorą tyle dzieci, ile zdołają, i wycofają się. Fakty szybko obrastają w legendy, a dwadzieścia trzy lata to szmat czasu. Mieszkańcy sądzą, że w Jądrze Gromu są tysiące albo miliony Wilków. Ja uważam, że nie.

Slightman patrzył na niego jak urzeczony.

— Dlaczego nie?

— Dlatego że wszystko się rozpada — odparł po prostu Roland. — Chcę, żebyś mi coś obiecał.

Slightman spojrzał na niego czujnie. Szkła okularów błysnęły w mroku.

— Jeśli to tylko będzie w mojej mocy.

— Dopilnuj, żeby twój chłopak był tu za cztery dni. Jego siostra nie żyje, ale wątpię, żeby to uchroniło go przed Wilkami. Zapewne wciąż ma to, czego potrzebują.

Slightman nie próbował ukrywać ulgi.

— Owszem, będzie tutaj. Nigdy nie dopuszczałem innej możliwości.

— To dobrze. I mam dla ciebie zadanie, jeśli chcesz.

Slightman znów czujnie spojrzał na rewolwerowca.

— Jakie zadanie?

— Z początku myślałem, że sześć osób wystarczy do opieki nad dziećmi, podczas gdy my będziemy walczyć z Wilkami, ale potem Rosalita zapytała mnie, co zrobię, jeśli się przestraszą i wpadną w panikę.

— No cóż, przecież będą w jaskini, no nie? — zapytał Slightman, ścisząc głos. — Dzieci nie zdołają uciec z jaskini, jeśli nawet spanikują.

— Mogą powpadać na skały i rozbić sobie głowy lub runąć w jakąś przepaść. Gdyby któreś z nich wywołało zbiorową histerię, na przykład krzycząc, że się pali, *wszystkie* mogą runąć w przepaść. Zdecydowałem, że do pilnowania dzieci potrzeba mi dziesięć osób. Chciałbym, żebyś był jedną z nich.

— Rolandzie, jestem zaszczycony.

— Czy to oznacza tak?

Slightman skinął głową. Roland zmierzył go wzrokiem.

— Czy wiesz, że jeśli przegramy, opiekunowie dzieci niemal na pewno zginą?

— Gdybym myślał, że możecie przegrać, nie zgodziłbym

się tam pojechać z dziećmi. — I po chwili dodał: —
I z moim synem.

— Dziękuję ci, Ben. Jesteś dobrym człowiekiem.
Slightman jeszcze bardziej zniżył głos.

— Która to będzie kopalnia? Gloria czy Rudzik? — A kiedy
Roland nie odpowiedział natychmiast, dodał: — Oczywiście
rozumiem, że wolisz tego nie mówić...

— Nie o to chodzi — odparł Roland. — Po prostu jeszcze
nie zdecydowałem.

— Ale będzie to jedna z nich.

— Och tak, jakżeby inaczej? — odrzekł machinalnie Roland,
skręcając sobie papierosa.

— A wy zajmiecie stanowiska nad jej wylotem?

— To na nic — powiedział Roland. — Nie ten kąt.
Poklepał się po lewej piersi.

— Pamiętaj, że musimy celować tutaj. W inne miejsca... na
nic. Jeśli nawet kula przebije pancerz, nic nie zrobi zombi.

— To poważny problem, no nie?

— Raczej okazja — poprawił go Roland. — Pamiętasz
piargi, które znajdują się poniżej wejść do obu tych kopalni
granatów? Wyglądające jak śliniaczki?

— Aha?

— Tam się ukryjemy. Pod jednym z tych urwisk. A kiedy
nadjadą, wyskoczmy i...

Roland wycelował w Slightmana wskazujący palce i udał, że
pociąga za spust.

Twarz zarządcy rozpromieniła się w uśmiechu.

— Rolandzie, to genialne!

— Nie — sprostował rewolwerowiec. — To proste. A proste
plany są zazwyczaj najskuteczniejsze. Myślę, że ich zaskoczy-
my. Uderzymy zniemacka i wybijemy do nogi. Kiedyś podobny
plan się powiódł. Nie widzę powodu, żeby miał się nie udać
teraz.

— Jasne. Nie ma powodu.
Roland rozejrzał się wokół.

— Lepiej nie rozmawiać tu o takich sprawach, Ben. Wiem,
że z tobą mogę o tym mówić, ale...

Ben energicznie pokiwał głową.

— Nic już nie mów, Rolandzie. Rozumiem.

Piłka potoczyła się do nóg Slightmana. Jego syn z uśmiechem wyciągnął rękę.

— Tato! Rzuć!

Ben zrobił to z całej siły. Piłka śmignęła w powietrzu jak talerz Molly z opowiadania dziadka Jaffordsa. Chłopak podskoczył, złapał ją jedną ręką i roześmiał się. Ojciec uśmiechnął się do niego czule, a potem zerknął na Rolanda.

— Niezła z nich para, no nie? Wasz chłopak i mój?

— Tak — odparł Roland z leciutkim uśmieszkiem. — Prawie jak bracia, nieprawdaż?

6

Ka-tet wracało na plebanię, jadąc ramię w ramię, czując na sobie spojrzenia wszystkich mieszkańców miasteczka, którzy obserwowali ich odjazd.

— Jesteś zadowolony, złociutki? — zapytała Susannah Rolanda.

— Może być — odparł i zaczął skręcać sobie papierosa.

— Też chciałbym spróbować — powiedział nagle Jake. Susannah obrzuciła go zaszokowanym i zdumionym spojrzeniem.

— Daj sobie spokój, chłopcze. Jeszcze nie masz trzynastu lat.

— Mój ojciec zaczął palić, kiedy miał dziesięć.

— 1 pewno nie dożyje do pięćdziesiątki — rzekła surowo Susannah.

— Niewielka strata — mruknął Jake, ale porzucił ten temat.

— A co z Mią? — spytał Roland, pocierając zapałkę o paznokieć kciuka. — Spokojna?

— Gdyby nie wy, chłopcy, pewno nawet nie uwierzyłabym w jej istnienie.

— Twój brzuch też się nie odzywa?

— **Nie.**

Susannah podejrzewała, że każdy ma swoje własne reguły opowiadania kłamstw: ona wyznawała zasadę, że jeśli już musisz kłamać, staraj się mówić jak najmniej. Jeśli miała w brzuchu jakiegoś potwora, to razem będą się tym martwić za tydzień. Oczywiście, jeżeli będą jeszcze w stanie martwić się

.... <
*
'■■'■"■,■■■"

czymkolwiek. A na razie nie muszą nic wiedzieć o lekkich skurczach, które odczuwała.

— To dobrze — rzekł rewolwerowiec. Przez chwilę jechali w milczeniu, a potem dodał: — Mam nadzieję, że potraficie kopać, chłopcy. Bo trzeba będzie trochę pokopać. -

— Groby? — spytał Eddie.

Sam nie wiedział, czy żartuje.

— Groby będą później. — Roland spojrział w niebo, lecz od zachodu nadciągnęły chmury i zasłoniły gwiazdy. — Tylko pamiętajcie o tym, że kopiają zwycięzcy.

Rozdział 6

PRZED BURZĄ

1

Z ciemności wydobywał się żaloszny i oskarżycielski głos Henry'ego Deana, wielkiego mędrca i znanego ćpuna.

— Jestem w piekle, braciszku! Jestem w piekle, nie mam działki i *to wszystko twoja wina!*

— Jak długo będziemy musieli tu tkwić, jak myślisz? — zapytał Eddie Callahana.

Właśnie weszli do Jaskini Głosów i braciszek wielkiego mędrca już potrząsał dwoma nabojami, które położył na dłoni, jak kostki do gry. Szóstka przegrywa, siódemka wygrywa, człowiek potrzebuje trochę spokoju. Kiedy rankiem nazajutrz po zebraniu Eddie i Pere wyjeżdżali z miasteczka, na głównej ulicy było prawie pusto. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy chowali się przed sobą, przygnębieni tym, co postanowili zrobić.

— Obawiam się, że to trochę potrwa — odparł Callahan. Był ubrany schludnie (i żywił nadzieję, że w sposób nierzucający się w oczy). W kieszeni koszuli miał wszystkie amerykańskie pieniądze, jakie zdołał zebrać: jedenaście pomiętych jednodolarówek i dwie dwudziestopięciocentówki. Pomyślał, że byłby to doskonały żart, gdyby wylądował w tej wersji Ameryki, w której Lincoln był na jednodolarówkach, a Waszyngton na pięćdziesiątkach. — Myślę jednak, że możemy to robić etapami.

— Dzięki ci, Boże, za twe drobne łaski — rzekł Eddie i wyciągnął różową torbę zza skrzynki z książkami. Chwycił

ją oburącz i zaczął odwracać, ale nagle zastygł. Zmarszczył brwi.

— Co się stało? — zapytał Callahan.

— Tu coś jest.

— Owszem tak, szkatułka.

— Nie, w tej torbie. Chyba zaszyte w dnie. Jakby kamień. Może jest tu jakaś ukryta kieszeń.

— Może — zauważył Callahan — ale nie jest to odpowiednia chwila na sprawdzanie.

Mimo to Eddie lekko nacisnął nieznaną przedmiot przez materiał. To coś nie wyglądało na kamień. Zapewne jednak Callahan miał rację. Pozostało im za dużo zagadek do rozwiązania. Ta może poczekać na inny dzień.

Kiedy Eddie wyjął z torby szkatułkę z widmowego drzewa, poczuł mdlący strach, przenikający jego myśli i serce.

— Nienawidzę tego draństwa. Mam wrażenie, że zaraz rzuci się na mnie i pożre mnie jak... jak naleśnik.

— Pewnie by mogło — odparł Callahan. — Jeśli poczujesz, że coś jest nie tak, Eddie, zamknij to cholerstwo.

— Gdybym to zrobił, utknąłbyś po drugiej stronie.

— Tam też byłbym u siebie — stwierdził Callahan, mierząc wzrokiem nieodkryte drzwi. Eddie słyszał głos swojego brata, a Callahan swoją matkę, nieustannie utyskującą i nazywającą go Donnie. — Po prostu zaczekałbym, aż znów się otworzą.

Eddie wepchnął sobie naboje do uszu.

— Dlaczego mu na to pozwalasz, Donnie? — jęknęła z ciemności matka Callahana. — Kule w uszach, przecież to niebezpieczne!

— No już — oznajmił Eddie. — Zróbmy to. Otworzył szkatułkę.

Bicie dzwonów zaatakowało uszy Callahana. I jego serce. Drzwi do wszechświata otwarły się z cichym szcękaniem.

2

Przeszedł przez nie, myśląc o dwóch rzeczach: roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym i męskiej toalecie w głównym budynku nowojorskiej biblioteki publicznej. Wszedł

do kabiny o ściankach pomazanych graffiti (był tu BANGO SKANK) i czekał, aż ucichnie szum splukiwanego gdzieś na lewo pisuaru. Kiedy się upewnił, że toaleta jest pusta, wyszedł z kryjówki.

Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu zaledwie dziesięć minut. Wrócił przez drzwi do jaskini, z książką pod pachą. Poprosił Eddiego, żeby wyszedł z nim na zewnątrz, i nie musiał tego powtarzać. Na świeżym powietrzu, w porannym słońcu (chmury z poprzedniego wieczoru przepędził wiatr), Eddie wyjął z uszu naboje i obejrzał książkę. Nosiła tytuł *Amerykańskie drogi*.

— Jest ojciec bibliotecznym złodziejaszkiem — zauważył Eddie. — Przez takich wciąż rosną podatki.

— Kiedyś ją zwrócę — obiecał Callahan i naprawdę miał taki zamiar. — Istotne jest to, że szczęście uśmiechnęło się do mnie już za drugim razem. Spójrz na stronę sto dziewiętnastą.

Eddie zrobił to. Zdjęcie ukazywało bieluteńki kościół, przycupnięty na pagórku obok wiejskiej drogi. „Miejsce spotkań metodystów w East Stoneham” — głosił podpis. „Zbudowany w 1819”. Eddie pomyślał: *Po dodaniu tych cyfr wychodzi dziewiętnaście. Oczywiście.*

Wspomniał o tym Callahanowi, który uśmiechnął się i pokiwiał głową.

— Zauważyłeś jeszcze coś?
No pewnie.

— Wygląda dokładnie tak samo jak sala narad w Calla.

— No właśnie. Niemal jak jej siostra bliźniaczka. — Callahan zaczerpnął tchu. — Jesteś gotowy stoczyć drugą rundę?

— Chyba tak.

— Ta będzie trwała dłużej, ale czymś się zajmiesz przez ten czas. Masz tu mnóstwo książek.

— Nie sądzę, żebym miał ochotę na lekturę — odparł Eddie. — Jestem zbyt zdenerwowany, cholera, przepraszam za moją francuszczyznę. Może sprawdzę, co jest pod podszewką torby.

Eddie zapomniał jednak o przedmiocie zaszytym pod podszewką różowej torby. To Susannah znalazła go później, a wtedy nie była już sobą.

Myśląc o roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym i trzymając książkę otwartą na zdjęciu kościoła metodystów w East Stoneham, Callahan po raz drugi przeszedł przez nieodkryte drzwi. Wyszedł na cudownie słoneczny nowoangielski poranek. Kościółek tam był, lecz od kiedy zrobiono mu zdjęcie do *Amerykańskich dróg*, został pomalowany i wybrukowano mu podjazd. W pobliżu znajdował się inny budynek, którego nie było na zdjęciu: sklep w East Stoneham.

Callahan poszedł tam, odprowadzany przez unoszące się w powietrzu drzwi, przypominając sobie w duchu, że nie powinien wydawać jednej z dwóch dwudziestopięciocentówek, jeśli nie będzie musiał. Ta od Jake'a pochodziła z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, więc była w porządku. Tymczasem jego moneta została wybita w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, więc mogła wpakować go w tarapaty. Mijając stację benzynową Mobil (na której normalną sprzedawano po czterdzieści dziewięć centów za galon), przełożył ją do tylnej kieszeni.

Kiedy wszedł do sklepu — gdzie unosił się niemal taki sam zapach, jak w składzie Tooka — zadzwonił dzwonek. Po lewej leżała sterta portlandzkiego „Press-Heralda” z datą, która lekko nim wstrząsnęła. Kiedy zabrał książkę z nowojorskiej biblioteki publicznej, na oko zaledwie pół godziny wcześniej, był dwudziesty szósty czerwca. Ta gazeta była z dwudziestego siódmego.

Wziął jedną, przeczytał nagłówki (powódź w Nowym Orleanie, jak zwykle niepokoję wśród maniakalnych morderców na Środkowym Wschodzie) i sprawdził cenę. Dziesiątak. Dobrze. Dostanie resztę ze swojej ćwiartki z sześćdziesiątego dziewiątego roku. Może kupi sobie porządny kawałek salami Madę in USA. Ekspedient spojrzał na niego życzliwie, gdy Callahan podszedł do lady.

— Czy mogę służyć? — zapytał.

— Cóż, powiem panu, czym — powiedział Callahan. — Przydałyby mi się namiary na pocztę, jeśli łaska.

Ekspedient uniósł brwi i uśmiechnął się.

— Mówi pan tak, jakby pochodził z tych stron.

— Zatem tak tu się mówi? — spytał Callahan, również z uśmiechem.

— Taa. No cóż, poczta... to proste. Milę stąd, przy drodze, po lewej.

Powiedział to tak, jakby cytował dziadka Jaffordsa.

— Dobrze. Sprzedajecie salami na plasterki?

— Mogę sprzedać panu, ile pan zechce — odparł przyjaźnie ekspedient. — Jest pan letnikiem, tak?

Zabrzmiało to jak bulgotanie gotującego się makaronu i Callahan niemal spodziewał się, że facet doda: „Powiedz mi, błagam”.

— Chyba można tak powiedzieć — rzekł.

W jaskini Eddie zmagął się z cichym, lecz doprowadzającym do szału biciem dzwonów i zerkał przez uchylone drzwi. Callahan szedł wiejską drogą. To dla niego bułka z masłem. Tymczasem chłopiec pani Dean może spróbuje sobie poczytać. Zimną (i lekko drżącą) dłonią sięgnął do skrzyni i wyjął z niej drugą z książek leżących pod tą, którą Roland położył z okładką odwróconą w dół, a która z pewnością zmieniałaby wszystko, gdyby to ją wziął do ręki. Zamiast niej wyjął *Cztery krótkie opowiadania o Sherlocku Holmesie*. Ach, Holmes, jeszcze jeden wielki mędrzec i znany ćpun. Eddie otworzył *Stadium w szkartacie* i zaczął czytać. Od czasu do czasu przyłapywał się na tym, że zerka do szkatułki, w której Czarna Trzynastka emanowała swoją niesamowitą mocą. Widział tylko kryształową kulę. Po chwili przerwał czytanie i zaczął wpatrywać się w kryształ, coraz bardziej zafascynowany. Dzwony cichły... i dobrze, no nie? Po pewnym czasie prawie ich już nie słyszał. Jeszcze później jakiś głos przedarł się przez naboje w jego uszach.

Eddie słuchał.

Przepraszam panią?

— Taa?

Poczmistrzyni była kobietą pod sześćdziesiątkę lub starszą, ubraną i uczesaną tak, że wyglądała jak laleczka z chińskiej porcelany.

— Chciałbym zostawić list dla moich przyjaciół — powiedział Callahan. — Są z Nowego Jorku i zapewne korzystają z usługi poste restante.

Spierał się z Eddiem, że Calvin Tower, uciekający przed bandą niebezpiecznych bandytów, którzy niemal na pewno wciąż chcieli zatknąć jego głowę na tyczce, nie zrobiłby czegoś tak głupiego. Eddie przypomniał mu, że Tower idiotycznie upierał się przy ratowaniu pierwszych wydań, i Callahan w końcu przyznał Deanowi rację.

— Letnicy?

— A jak — przytaknął Callahan, lecz trochę mu to nie wyszło. — Chciałem powiedzieć taa — poprawił się. — To Calvin Tower i Aaron Deepneau. Domyślam się, że takich informacji nie podaje się pierwszemu lepszemu wchodzącemu tu z ulicy, ale...

— Och, w tych stronach nie przejmujemy się za bardzo takimi rzeczami — odparła. „Bardzo” zabrzmiało jak „bahdzo”. — Niech sprawdzę na liście... mamy tu tylu tymczasowych odbiorców między Dniem Pamięci a Świętem Pracy...

Podniosła leżący po jej stronie lada notatnik z trzema czy czterema postrzępionymi kartkami. Z mnóstwem ręcznie wpisanym nazwisk. Odwróciła najpierw pierwszą, a potem drugą kartkę.

— Deepneau! — powiedziała. — Taa, to ten. Zaraz... niech sprawdzę, czy znajdę tego drugiego...

— Nie trzeba — powiedział Callahan.

Nagle poczuł niepokój, jakby coś się stało po drugiej stronie drzwi. Zerknął przez ramię i nie dostrzegł niczego prócz drzwi, jaskini, i Eddiego, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i książką na podolku.

— Ktoś pana ściga? — spytała z uśmiechem poczmistrzyni. Callahan roześmiał się. Ten śmiech wydał mu się wymuszony

i głupekowaty, lecz poczmistrzynie nie wyczuła w nim niczego dziwnego.

— Gdybym napisał kartkę do Aarona i włożył ją do koperty ze znaczkiem, czy mogłaby pani dopilnować, żeby ją dostał, kiedy tu przyjdzie? Albo gdy przyjdzie tu pan Tower?

— Och, nie musi pan naklejać znaczka — zapewniła go. — Chętnie to zrobię.

No tak, tu rzeczywiście było jak w Calla Bryn Sturgis. Nagle polubił tę kobietę. Bardzo.

Callahan podszedł do kontuaru przy oknie (drzwi zwinnie obróciły się razem z nim) i skreślił wiadomość, najpierw przedstawiając się jako przyjaciel człowieka, który pomógł Towerowi pozbyć się Jacka Andoliniego. Poleciał panom Deepenau i Towerowi zostawić samochód w garażu i zapalone światła w domu, a następnie przenieść się gdzieś — do stodoły, opuszczonego obozu, nawet szopy. *Zostawcie wiadomość, gdzie jesteście, w samochodzie pod wycieraczką kierowcy albo pod schodami z tyłu domu. Będziemy w kontakcie.* Miał nadzieję, że dobrze to wymyślił, bo nie omówili tego tak dokładnie, a nigdy się nie spodziewał, że będzie musiał bawić się w konspiratora. Podpisał list tak, jak poradził mu Roland: *Callahan, z linii Elda.* Potem, pomimo rosnącego niepokoju, dodał jeszcze jedno zdanie, niemal rozdzierając przy tym papier: */ niech ta wycieczka na pocztą będzie OSTATNIA. Czy wyście kompletnie zgłupieli?*

Włożył kartkę do koperty, zakleił ją i zaadresował: AARON DEEPNEAU LUB CALVIN TOWER, POSTE RESTANTE. Zaniósł ją do okienka.

— Chętnie kupię znaczek — zwrócił się ponownie do poczmistrzynie.

— Niie, wystarczy dwa centy za kopertę i będziemy kwita.

Dał jej piątaka, którego wydano mu w sklepie, wziął trzy centy reszty i ruszył do drzwi. Tych zwyczajnych.

— Powodzenia! — zawołała za nim poczmistrzynie.

Callahan obejrzał się i podziękował. Robiąc to, kątem oka dostrzegł nieodkryte drzwi, wciąż otwarte. Natomiast nie ujrzał za nimi Eddiego. Znikł.

Zaraz po wyjściu z urzędu pocztowego Callahan odwrócił się do nieodkrytych drzwi. Zwykle nie można było tego zrobić, zwykle obracały się wraz z tobą, zwinnie jak partner w tańcu, ale w jakiś sposób wiedziały, kiedy chcesz przez nie przejść. Wtedy mogłeś stanąć twarzą do nich.

Wrócił i dzwony natychmiast zaatakowały go, zdając się rzeźbić wzory w jego mózgu. Z trzewi jaskini dochodził głos matki:

— No i widzisz, Donnie, poszedłeś sobie i pozwoliłeś temu miłemu chłopcu popełnić samobójstwo! Spędzi wieczność w czyścisku, a to wszystko twoja wina!

Callahan ledwie ją słyszał. Pomknął do wylotu jaskini, wciąż trzymając pod pachą egzemplarz „Press-Heralda”, zakupionego w sklepie w East Stoneham. Ledwie zdążył zauważyć, dlaczego szkatułka nie zamknęła się, pozostawiając go uwięzionego w East Stoneham w stanie Maine, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym: sterczała z niej gruba książka. Callahan zdołał nawet przeczytać jej tytuł — *Cztery opowiadania o Sherlocku Holmesie* — i natychmiast wypadł na zewnątrz.

W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego na kamienistej ścieżce wiodącej do jaskini i z rozpaczą pomyślał, że matka mówiła prawdę. Potem spojrzał w lewo i zobaczył Eddiego dziesięć stóp dalej, na końcu wąskiej ścieżki, idącego skrajem przepaści. Wypuszczona na spodnie koszula łopotała na wietrze wokół kolby wielkiego rewolweru Rolanda. Twarz Deana, zwykle wyrazista i urodziwa, teraz była obrzmiała i bez wyrazu. Wyglądał jak ślaniający się na nogach bokser. Włosy miał rozwiane. Zachwiał się... ale zacisnął wargi i na moment jakby odzyskał przytomność umysłu. Chwycił się skalnego występu i złapał równowagę.

Walczy z tym, pomyślał Callahan. Jestem pewien, że walczy z tym ze wszystkich sił, ale przegrywa.

Callahan nie krzyknął, gdyż Eddie mógłby runąć w przepaść. Podpowiedziała to Callahanowi intuicja rewolwerowca, zawsze bystra i niezawodna w kryzysowych sytuacjach. Zamiast krzyknąć, przebiegł kilka jardów dzielących go od Eddiego i złapał za koszulę akurat w chwili, gdy Eddie ponownie się zachwiał, tym razem zdejmując dłoń ze skalnego występu i zakrywając

nią oczy mimowolnie komicznym gestem: *Zegnaj, okrutny świecie.*

Gdyby koszula się rozdarła, Eddie z pewnością odpadłby z wielkiej gry *ka*, lecz najwidoczniej nawet poły samodzielnych koszul (gdyż właśnie taką nosił) w Calla Bryn Sturgis służyły *ka*. W każdym razie koszula nie pękła, a Callahan trzymał ją z całej siły, jakiej nabrał podczas długich lat wędrówek. Szarpnął Eddiego do tyłu i chwycił go w ramiona tuż po tym, jak młodzieniec uderzył głową o występ skalny, którego kilka sekund wcześniej się trzymał. Eddie zamrugnął i spojrzał na Callahana, oszołomiony. Powiedział coś, czego Callahan nie zrozumiał:

— *Mówiło sze mog polecieć.*

Callahan chwycił go za ramiona i potrząsnął nim.

— Co mówisz? Nie rozumiem! — I wcale nie chciałem, ale musiałem nawiązać z nim kontakt, sprowadzić z powrotem z miejsca, do którego zabrała go ta przekłeta szkatułka. — *Nie... rozumiem!*

Tym razem usłyszał wyraźniejszą odpowiedź:

— To powiedziało, że mogę polecieć do Wieży. Możesz mnie puścić. Chcę tam polecieć!

— Ty nie umiesz latać, Eddie. — Nie był pewien, czy to dotarło do niego, więc pochylił głowę... nisko, tak że niemal dotykali się z Eddiem czołami, jak kochankowie. — To próbowało cię zabić.

— Nie... — zaczął Eddie, ale nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Oddalone o cal od oczu Callahana, rozszerzyły się pod wpływem szoku. — Tak.

Callahan podniósł głowę, lecz wciąż mocno trzymał ramiona Eddiego.

— Już oprzytomniałeś?

— Taak. Chyba tak. Czuję się świetnie, ojczy. Przysięgam, że tak. Chcę powiedzieć, że to bicie dzwonów mnie wykańczało, ale poza tym czuję się świetnie. Nawet wziąłem jakąś książkę i zacząłem czytać. — Rozejrzył się wokół. — Jezu, mam nadzieję, że jej nie zgubiłem. Tower by mnie oskalpował.

— Nie zgubiłeś. Wetknąłeś ją do szkatułki i cholernie dobrze zrobiłeś. W przeciwnym razie drzwi zatrzasnęłyby się, a z ciebie zostałaby dżem truskawkowy siedemset stóp niżej.

Eddie zerknął za krawędź i zbladł jak prześcieradło. Callahan ledwie zdążył pożałować swej szczerości, gdy Eddie zwymiotował na jego nowe buty.

7

— Podeszło mnie, ojczy — powiedział, kiedy znowu mógł mówić. — Uśpiło moją czujność i zaatakowało.

— Tak.

— Jak ci poszło w twoich czasach?

— Jeśli dostaną mój list i zrobią to, co im kazałem, to doskonale. Miałeś rację. Deepneau wpisał się na listę odbiorców poste restante. Nie wiem, czy Tower też. — Callahan gniewnie pokręcił głową.

— Sądzę, że się dowiemy, iż to Tower namówił na to Deepneau — oświadczył Eddie. — Cał Tower wciąż nie rozumie, w co się wpakował, a po tym, co mi się przydarzyło... a raczej o mało nie przydarzyło... potrafię zrozumieć takie postępowanie. — Spojrzał, co Callahan ściska pod pachą. Co to?

— Gazeta — odparł Callahan i podał mu ją. — Chcesz poczytać o Goldzie Meir?

8

Tego wieczoru Roland uważnie wysłuchał opowieści Eddiego i Callahana o ich doświadczeniach w Jaskini Przejścia i dalej. Rewolwerowca najwyraźniej mniej interesowała niebezpieczna przygoda Eddiego niż podobieństwa między Calla Bryn Sturgis a East Stoneham. Nawet poprosił Callahana, żeby odtworzył mu akcent, z jakim mówili ekspedient i poczmistrzyni. Tę prośbę Callahan (w końcu w innym niegdyś mieszkający w stanie Maine) spełnił bez trudu.

— No taa — powtórzył Roland. — Bahdzo dobrze. Taa.

Siedział, rozmyślając, oparłszy jedną obutą stopę o poręcz ganku plebanii.

— Jak myślisz, nic im na razie nie grozi? — spytał Eddie.

— Mam nadzieję — odparł Roland. — Jeśli chcesz martwić się o czyjeś życie, to martw się o Deepneau. Jeżeli Balazar nie zrezygnował z tej pustej parceli, musi utrzymać Towera przy życiu. Natomiast Deepneau jest w tej grze tylko pionkiem.

— Czy możemy zostawić ich samym sobie, dopóki nie uporamy się z Wilkami?

— Nie widzę innego wyjścia.

— Moglibyśmy rzucić to wszystko i obronić go! — rzekł z zapalem Eddie. — Co ty na to? Posłuchaj, Rolandzie, powiem ci, dlaczego Tower namówił swojego przyjaciela, żeby wpisał się na listę odbiorców poczty. Ktoś ma książkę, która go interesuje, o to co. Właśnie negocjował jej kupno i rozmowy weszły w bardzo delikatną fazę, kiedy pojawiłem się i przekonałem go, żeby opuścił miasto. Lecz Tower... Człowieku, on jest jak szympanś z garścią ziaren. Nie puści. Jeśli Balazar o tym wie, a zapewne wie, nie będzie potrzebował kodu adresowego, żeby go odnaleźć. Wystarczy mu wykaz osób, z którymi Tower robił interesy. Mam tylko nadzieję, że jeśli była taka lista, to spaliła się w pożarze.

Roland kiwał głową.

— Rozumiem, ale nie możemy stąd odejść. Obiecaliśmy. Eddie rozważył to, westchnął i potrząsnął głową.

— Do licha, jeszcze tylko trzy i pół dnia tutaj, a tam siedemnaście do wygaśnięcia podpisanej przez Towera umowy. Zapewne tyle mogą poczekać. — Zamilkł, przygryzając wargę. — Może.

— Czy *może* to najlepsze, na co nas stać? — zapytał Callahan.

— Tak — mruknął Eddie. — W tym momencie tak.

9

Następnego ranka bardzo przestraszona Susannah Dean siedziała w wygodce u stóp wzgórza, pochylona, czekając, aż ustąpią skurcze. Miewała je już od ponad tygodnia, ale te były dotychczas najsilniejsze. Przyłożyła dłonie do podbrzusza. Było niepokojąco twarde.

Och, dobry Boże, a jeśli urodzą teraz? Co wtedy?

Próbowała przekonywać siebie, że to niemożliwe, że wody nie odeszły, a nie można urodzić, dopóki się to nie zdarzy. Tylko co ona tak naprawdę wiedziała o dzieciach? Bardzo mało. Nawet Rosalita Munoz, doświadczona akuszerka, niewiele mogła jej pomóc, gdyż Rosalita odbierała ludzkie dzieci, matek z dobrze widoczną ciążą. Natomiast Susannah wyglądała teraz dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przybyli do miasteczka. A jeśli Roland ma rację co do tego dziecka...

To nie dziecko. To mały, i nie mój. To mały Mii, kimkolwiek ona jest. Mia, córka niczyja.

Skurcze minęły. Mięśnie brzucha rozluźniły się, przestały być twarde jak kamień. Przesunęła palcem wzdłuż wejścia do pochwy. Żadnych zmian. Z pewnością nic się nie zmieni przez kilka następných dni. Musi być w formie. I chociaż zgadzała się z Rolandem, że członkowie *ka-tet* nie powinni mieć przed sobą tajemnic, czuła, że tę musi zachować dla siebie. Kiedy w końcu dojdzie do walki, będą w siódmkę przeciwko czterdziestu lub pięćdziesięciu. Może nawet siedemdziesięciu, jeśli Wilki będą się trzymać razem. Trzeba będzie dać z siebie wszystko i maksymalnie się skupić. Nic nie powinno rozpraszać uwagi rewolwerowców. A ona, Susannah, powinna być wśród nich i zrobić to, co do niej należy.

Podciągnęła spodnie, pozapinała guziki i wyszła na jasne słońce, bezwiednie pocierając lewą skroń. Zauważyła nowy zamek na wygodce — zamontowany na prośbę Rolanda — i uśmiechnęła się. Nagle ujrzała swój cień i uśmiech zgasł jej na ustach. Kiedy weszła do wygodki, mroczny towarzysz sięgał daleko, jak zawsze o dziewiątej rano. Teraz na jego widok pojęła, że jeśli jeszcze nie minęło południe, to nastąpi to lada chwila.

To niemożliwe. Siedziałam tam zaledwie chwilę... żeby się wysikać.

Może to prawda. Może to Mia siedziała tam przez resztę czasu.

— Nie — powiedziała sobie. — To niemożliwe.

A jednak Susannah wiedziała, że to jest możliwe. Mia nie rosta w siłę — jeszcze nie — ale się czytała. Szykując się do przejęcia władzy, jeśli tylko zdoła.

Proszę, modliła się w myślach, oparta ręką o ścianę wygodki.

Jeszcze tylko trzy dni, Boże. Daj mi jeszcze trzy dni, pozwól wypełnić obowiązek względem tych dzieci, a potem bądź wola Twoja. Będzie, jak zechcesz. Tylko proszę...

— Jeszcze tylko trzy dni — wymamrotała. — A jeśli nas tu zabiją, to już będzie bez znaczenia. Trzy dni, Boże. Wysłuchaj mnie, błagam.

Dzień później Eddie i Tian Jaffords szukali Andy'ego i znaleźli go stojącego samotnie na szerokim skrzyżowaniu wschodniego i nadrzecznego traktu, śpiewającego ile sił w...

— Nic z tego — stwierdził Eddie, podchodząc do niego z Tianem. — Nie możesz powiedzieć „płucach”, ponieważ on ich nie ma.

— Przepraszam? — zdziwił się Tian.

— Nic, nic — dodał Eddie. — Nieważne. — Płuca jednak skojarzyły mu się z anatomią, a to zrodziło nowe pytanie. — Tianie, czy w Calla Bryn Sturgis jest jakiś lekarz?

Tian spojrzął na niego ze zdziwieniem i lekkim rozbawieniem.

— To nie dla nas, Eddie. Konowały są dla ludzi, którzy mają czas i pieniądze. Jeśli ktoś z nas zachoruje, idzie do którejś z Sióstr.

— Sióstr Pani Ryżu.

— Taak. Jeśli lekarstwo poskutkuje... a najczęściej tak jest... chory wyzdrowieje. W przeciwnym razie... Cóż, ziemia przyjmuje wszystkich, no nie?

— Tak — rzekł Eddie, myśląc, jak trudno pogodzić taki punkt widzenia z istnieniem pokurów. Te w końcu umierały, ale przez długie lata... po prostu wegetowały.

— Poza tym każdy człowiek składa się z trzech pudeł — powiedział Tian, gdy zbliżali się do samotnego śpiewającego robota. Daleko na wschodzie, między Calla Bryn Sturgis a Jądem Gromu, Eddie dostrzegł kłęby pyłu wzbijające się w błękitne niebo, chociaż nie wiał nawet najłżejszy wietrzyk.

— Pudeł?

— Tak, właśnie — odparł Tian i kolejno dotknął czoła,

piersi oraz tyłka. — Pudła do rozmyślania, oddychania i srania. — Wybuchnął śmiechem.

— Tak się u was mówi? — spytał Eddie.

— No... tylko między nami mężczyznami — rzekł Tian — bo sędzę, że żadna kobieta nie chciałaby usłyszeć takich wyrażań przy stole. — Ponownie dotknął głowy, torsu i pośladka. — Raczej mówi się czacha, klata i zadek, jeżeli już.

Eddie usłyszał „klucz”.

— Co masz na myśli? Klucz do otwierania tyłka?

Tian zatrzymał się. Znajdowali się już w polu widzenia Andy'ego, ale robot zupełnie ich ignorował, śpiewając coś, co przypominało arię operową w jakimś nieznanym Eddiemu języku. Od czasu do czasu Andy wyciągał ręce ku niebu lub spletał je na piersi, gestami najwidoczniej ilustrującymi tę pieśń.

— Posłuchaj mnie — powiedział uprzejmie Tian. — Człowiek składa się z warstw, rozumiesz. Górna to jego myśli i ta jest najlepszą częścią mężczyzny.

— Lub kobiety — podsunął z uśmiechem Eddie.

Tian poważnie skinął głową.

— Owszem, lub kobiety, ale mówimy o mężczyźnie, ponieważ kobieta zrodziła się z jego oddechu.

— Tak uważacie? — zapytał Eddie, myśląc o paru feministkach, które poznał przed porzuceniem Nowego Jorku na rzecz Świata Pośredniego. Wątpił, czy ta wersja spodobałaby im się bardziej od biblijnej, zgodnie z którą Ewa została stworzona z żebra Adama.

— Właściwie tak — przyznał Tian — chociaż to Pani Ryżu zrodziła pierwszego mężczyznę, jak powiedzieliby ci starzy ludzie. *Can-ah, can-ah, annah, Oriza*, czyli „Wszelki oddech pochodzi od kobiety”.

— Opowiedz mi o tym, z czego składa się człowiek.

— Najlepszą i najwyżej położoną częścią ciała jest głowa, z wszystkimi pomysłami i snami. Niżej jest serce, pełne miłości, smutku, radości i szczęścia...

— Uczuć.

Tian spojrział na niego ze zdumieniem i podziwem.

— Tak uważacie?

, — Powiedzmy, że tak, przynajmniej tam, skąd pochodzę.

— Aha. — Tian skinął głową, jakby było to interesujące, ale niezbyt rozumiał zagadnienie. Tym razem zamiast dotknąć pośládka, klepnął się w krocze. — Najniżej jest to, co skłania nas do pieprzenia, wydalania albo krzywdzenia kogoś bez powodu.

— A jeśli ma się powód?

— Och, wtedy to nie byłoby takie niskie, no nie? — dodał z rozbawieniem Tian. — W takim wypadku płynęłoby z głowy lub serca.

— Niesamowite — mruknął Eddie. Ale chyba takie nie było, wcale nie. Oczami duszy zobaczył trzy równo ustawione skrzynki: tę z głową nad tą z sercem, a serce ponad wszystkimi zwierzęcymi instynktami, jakie czasem kierują ludźmi. Szczególnie zafascynował go sposób, w jaki Tian ujął chęć krzywdzenia innych, jakby była uwarunkowana behawioralnie. Czy to miało sens, czy nie? Będzie musiał wszystko dobrze przemyśleć, na co teraz nie było czasu.

Andy stał, błyszcząc w słońcu i donośnie wyśpiewując. Eddie przypomniał sobie, że jakieś dzieci na jego ulicy wykrzykiwały: *Jestem cyrulik z Seville, pochlastam cię w jednej chwili*, po czym uciekały, rycząc ze śmiechu.

— Andy! — rzucił i robot natychmiast przestał śpiewać.

— *Hile*, Eddie, dobrze cię widzę! Długich dni i przyjemnych nocy!

— Tobie też — odparł Eddie. — Jak się masz?

— Świetnie, Eddie! — powiedział wesoło Andy. — Zawsze lubię sobie pośpiewać przed pierwszym seminonem.

— Seminonem?

— Tak nazywamy porywiste wiatry, które wieją przed zimą — wyjaśnił Tian i wskazał na chmury pyłu daleko za Whye. — Tam nadciąga pierwszy z nich. Sądzę, że dotrze tu wraz z Wilkami albo dzień po nich.

— Dzień później, *sai* — rzekł Andy. — Seminon nadchodzi, ciepły dzień odchodzi. Tak powiadają. — Nachylił się do Eddiego. Z wnętrza jego błyszczącej głowy dochodziło ciche tykanie. Niebieskie oczy zapalały się i gasły. — Eddie, mam dla ciebie wspaniały horoskop, długi i skomplikowany, przewidyjący walne zwycięstwo nad Wilkami! Wielkie zwycięstwo, zaiste! Pokonasz wrogów, a potem poznasz piękną damę!

— Ja już mam piękną damę — odparł Eddie, starając się zachować spokój. Dobrze wiedział, co oznacza to szybkie migotanie niebieskich lampek. Ten sukinsyn naśmiewał się z niego. *Cóż, pomyślał, może niedługo zaczniesz się śmiać baraním głosem, Andy. Przynajmniej taką mam nadzieję.*

— No tak, ale wielu żonatych mężczyzn lubi zrobić skok w bok, jak niedawno mówiłem *sai* Jaffordowski.

— Nie ci, którzy kochają swoje żony — rzekł Tian. — Powiedziałem ci to wtedy i powtarzam teraz.

— Andy, stary kumplu — rzucił serdecznie Eddie — przyszliśmy tu w nadziei, że wesprzesz nas tej nocy przed przybyciem Wilków. No wiesz, że nam pomożesz.

W głębi torsu Andy'ego rozległ się szereg głośnych trzasków i jego oczy zaczęły błyskać jak światła alarmowe.

— Pomógłbym, gdybym mógł — odparł Andy. — Och, niczego bardziej nie pragnę, jak pomóc moim przyjaciółom, ale jest wiele rzeczy, których nie mogę zrobić, choćbym nawet bardzo chciał.

— Ze względu na oprogramowanie.

— Tak.

Głos Andy'ego stracił dotychczasowe wesołkowate brzmienie, typu „miło mi was widzieć”. Teraz bardziej przypominał głos maszyny. *Tak, zajęłeś pozycję obronną, pomyślał Eddie. Oto Ostrożny Andy. Widziałeś już wszystko, prawda? Czasem nazywają cię bezużyteczną kupą złomu i przeważnie ignorują, ale ty i tak w końcu tańczysz na ich grobach, śpiewając swoje piosenki, no nie? Lecz nie tym razem, koleś. Nie tym razem.*

— Kiedy cię skonstruowano, Andy? To mnie ciekawi. Kiedy zszedłeś z taśmy produkcyjnej LaMerk?

— Dawno temu, *sai*.

Niebieskie lampki migotały teraz bardzo wolno. Robot już się nie śmiał.

— Przed dwoma tysiącami lat?

— Chyba wcześniej. *Sai*, znam piosenkę o picciu, która może ci się spodoba, jest bardzo zabawna...

— Może innym razem. Słuchaj, kolego, jeśli masz kilka tysięcy lat, to jak to możliwe, że twoje oprogramowanie uwzględnia istnienie Wilków?

Z wnętrza Andy'ego wydobył się głuchy i donośny szcęk, jakby coś tam pękło. Kiedy robot znów się odezwał, mówił suchym i beznamiętnym głosem, jaki Eddie już słyszał na skraju lasu. Głosem Bosca Boba, kiedy stary Bosco był gotów ci przyłożyć.

— Podaj hasło, *sai* Eddie.

— Chyba już to przerabialiśmy, no nie?

— Hasło. Masz dziesięć sekund. Dziewięć... osiem... siedem...

— Ten kit z paszportem to wygodna sprawa, prawda?

— Błędne hasło, *sai* Eddie.

— Coś jak powoływanie się na Piątą Poprawkę.

— Dwie... jedna... zero. Możesz spróbować powtórnie.

Chcesz spróbować ponownie, *sail*

Eddie posłał mu promienny uśmiech.

— A czy seminon wieje w lecie, stary kumplu?

Znów szcęki i zgrzyty. Przechylona na bok głowa Andy'ego teraz odchyliła się w przeciwną stronę.

— Nie nadażam za tobą, Eddie z Nowego Jorku.

— Przykro mi. Jestem tylko głupim człowieczkiem, prawda? Nie, nie mam zamiaru próbować ponownie. A przynajmniej nie teraz. Pozwól, że ci powiem, czego od ciebie chcemy, a wtedy ty nam powiesz, czy twoje oprogramowanie pozwala ci na to. Czy to ci odpowiada?

— Jak świeże powietrze, Eddie.

— W porządku. — Eddie wyciągnął rękę i chwycił cienkie metalowe ramię Andy'ego. Gładka powierzchnia była dziwnie nieprzyjemna w dotyku. Tłusta. Śliska. Mimo to Eddie nie puszczał i zniżył głos do poufnego szepotu. — Mówię ci to tylko dlatego, że potrafisz dochować tajemnicy.

— Och tak, *sai* Eddie! Nikt nie potrafi tak dochować tajemnicy jak Andy!

Robot znowu pewnie stanął na nogach i znów był zarozumiałym i nadętym Andym.

— No cóż... — Eddie wspiął się na palce. — Nachyl się do mnie.

Serwosilniczki cicho zawarczały w obudowie robota, w tej części, która u człowieka byłaby klatką piersiową. Pochylił się. Tymczasem Eddie wyciągnął szyję, czując się jak chłopczyk, który zamierza wyjawić ojcu jakiś sekret.

— Pere przyniósł trochę broni z naszego poziomu Wieży — szepnął. — Potężnej broni.

Głowa Andy'ego odwróciła się. Oczy rozbłyły mu w sposób, który nie mógł być niczym innym jak zdumieniem. Eddie zachował pokerową twarz, ale zaśmiewał się w duchu.

— Naprawdę, Eddie?

— Bogom niech będą dzięki.

— Pere mówi, że to potężna broń — dodał Tian. — Jeśli zadziała, wybijemy Wilki do nogi. Musimy jednak przewieźć ją na północ od miasta... a ona jest ciężka. Czy w Dniu Wilka pomożesz nam załadować ją na wóz, Andy?

Cisza. Trzaski i piski.

— Założę się, że oprogramowanie nie pozwoli mu na to — powiedział ze smutkiem Eddie. — No cóż, jeśli zbierzemy dość ludzi...

— Mogę wam pomóc — oznajmił Andy. — Gdzie jest ta broń, *sail*

— Na razie lepiej o tym nie mówić — odparł Eddie. — W wigilię Dnia Wilka spotkamy się na plebanii, dobrze, Andy?

— O której godzinie mam tam być?

— Może o szóstej?

— O szóstej po południu. Ile jest tej broni? Powiedzcie mi chociaż tyle, żebym mógł obliczyć niezbędne zużycie energii.

Przyjacielu, potrzeba naprawdę dobrego łgarza, żeby rozpoznać łgarstwo, pomyślał wesoło Eddie, ale zachował kamienny wyraz twarzy.

— Tuzin sztuk. Może piętnaście. Po kilkaset funtów każda. Wiesz co to funt, Andy?

— Tak, piękne dzięki. Funt to w przybliżeniu czterysta pięćdziesiąt gramów. Szesnaście uncji. „Pint to funt, jak wiecie, na calutkim świecie”. To potężna broń, Eddie, naprawdę! Będzie strzelać?

— Jesteśmy przekonani, że będzie — odparł Eddie. — Prawda, Tian?

Tian skinął głową.

— Pomożesz nam?

— Tak, z przyjemnością. O szóstej, na plebanii.

— Dziękuję ci, Andy — powiedział Eddie. Prawie się odwrócił, ale jeszcze się obejrzał. — Nie powiesz o tym nikomu, prawda?

— Nie, *sai*, skoro sobie tego nie życzysz.

— Właśnie, nie życzę sobie. Nie chcemy, żeby Wilki dowiedziały się, że mamy broń dużego kalibru i że zamierzamy użyć jej przeciwko nim.

— Oczywiście — przyznał Andy. — To wspaniała wiadomość. Życzę miłego dnia, *sai*.

— My tobie też, Andy — odparł Eddie. — Tobie też.

11

Kiedy wracali do domu Jaffordsów — znajdującego się zaledwie dwie mile od miejsca, gdzie spotkali Andy'ego — Tian zapytał:

— Uwierzył?

— Nie wiem — rzekł Eddie — ale to go cholernie zaskoczyło, zauważyłeś?

— Tak — przyznał Tian. — Zauważyłem.

— Przyjdzie, żeby to zobaczyć. Gwarantuję.

Tian z uśmiechem skinął głową.

— Wasz *dinh* jest sprytny.

— Owszem, jest — zgodził się Eddie.

12

Jake leżał i gapił się w sufit pokoju Benny'ego. Ej leżał na łóżku Benny'ego, zwinięty w kłębek z nosem nakrytym podkręconym ogonem. Jutrzejszą noc Jake spędzi w domu ojca Callahana, razem ze swoim *ka-tet*. Już nie mógł się tego doczekać. Pojutrze będzie Dzień Wilka, ale to dopiero za dwa dni i Roland uważał, że Jake powinien spędzić jeszcze jedną noc na ranczu Rocking B.

— Nie chcemy, żeby w ostatniej chwili nabrali podejrzeń — powiedział.

Jake rozumiał to, ale miał tego dość. Perspektywa walki

z Wilkami była wystarczająco nieprzyjemna. Jeszcze gorsza była myśl o tym, jak Benny popatrzy na niego za dwa dni.

Może wszyscy zginiemy, pomyślał Jake. Wtedy moje obawy okażą się niepotrzebne.

Był tak przygnębiony, że ta smutna alternatywa wydawała się dość atrakcyjna.

— Jake? Śpisz?

Chłopiec przez chwilę zastanawiał się, czy nie udać śpiącego, ale coś nie pozwalało mu postąpić tak tchórzliwie.

— Nie — odparł. — Chociaż powinienem, Benny. Wątpię, czy następnej nocy zdołam się wyspać.

— Pewnie nie — szepnął z szacunkiem Benny, a potem dodał: — Boisz się?

— Oczywiście — powiedział Jake. — Myślisz, że jestem stuknięty, czy co?

Benny podniósł się na łokciu.

— Jak sądzisz, ilu zdołasz zabić?

Jake zastanawiał się nad tym. Ta myśl przyprawiała go o mdłości, ale mimo to zastanawiał się.

— Nie wiem. Jeśli będzie ich siedemdziesięciu, chyba spróbuję załatwić dziesięciu.

Przyłapał się na tym, że wspomina (z lekkim zdziwieniem) zajęcia z angielskiego z panią Avery. Te zwisające żółte kule z upiornymi martwymi muchami leżącymi w ich brzuchach. Lucasa Hanlona, który zawsze próbował podstawić mu nogę, kiedy Jake szedł przejściem między ławkami. Regułki wypisane na tablicy. Wystrzegaj się przestawiania przydawki. Petrę Jasserling, która nosiła pulowerki i podrywała go (tak przynajmniej twierdził Mikę Yanko). Monotonny głos pani Avery. Pauzy w południe — które w zwykłej szkole publicznej byłyby po prostu przerwami śniadaniowymi. 1 to jak siedział w ławce, starając się nie zasnąć. Czy ten chłopiec, ten schludny uczeń Piper School, naprawdę wyruszał na północ z rolniczego miasteczka Calla Bryn Sturgis, żeby walczyć z potworami porywającymi dzieci? Czy ten chłopiec mógł za trzydzieści sześć godzin leżeć martwy obok sterty własnych dymiących wnętrzności, wyrwanych z jego ciała przez coś nazywanego zniczem? Przecież to niemożliwe, prawda? Gospodyni, pani Shaw, odkrawała skórki z kromek chleba w jego kanapkach i czasem

nazywała go Bama. Ojciec nauczył go obliczać piętnastoprocentowe napiwki. Przecież tacy chłopcy nie umierają z bronią w rękę. Prawda?

— Założę się, że załatwisz dwudziestu! — zawołał Benny. — Chłopie, chciałbym tam z tobą być! Walczylibyśmy ramie w ramie! Paf! Paf! Paf! Przeladować!

Jake usiadł i ze szczerym zdziwieniem spojrzął na Benny'ego.

— Zrobiłbyś to? — zapytał. — Gdybyś mógł?

Benny zastanowił się. Nagle jego twarz zmieniła wyraz, stała się twarzą dojrzałego i mądrzejszego mężczyzny. Potrząsnął głową.

— Nie. Bałbym się. A ty się nie boisz? Powiedz prawdę.

— Boję się — odparł szczerze Jake.

— Śmierci?

— Tak, ale jeszcze bardziej tego, że coś schrzanię.

— Nie schrzaniasz.

Łatwo ci mówić, pomyślał Jake.

— Jeśli mam jechać z małymi dziećmi, to przynajmniej dobrze, że mój ojciec też tam będzie — powiedział Benny. —* On weźmie kuszę. Widziałeś kiedyś, jak strzela?

— Nie.

— No, robi to naprawdę dobrze. Jeśli jakiś Wilk przedrze się przez waszą obronę, on się nim zajmie. Wyceluje w tę szczelinę na piersi i paf!

Jake zastanawiał się, co by zrobił Benny, gdyby się dowiedział, że ta szczelina na piersi Wilka to bujda? Fałszywa informacja podsunięta w nadziei, że jego ojciec przekaze ją dalej? Gdyby wiedział...

W myślach usłyszał głos Eddiego, mówiącego z silnym brooklyńskim akcentem. *Taak, a gdyby ryby miały rowery, w każdej pieprzonej rzece byłby Tour de France.*

— Benny, naprawdę muszę się trochę przespać.

Benny wyciągnął się na łóżku. Jake zrobił to samo i znów zaczął gapić się w sufit. Zaczęło go irytować to, że Ej leży na łóżku Benny'ego, że bumble tak łatwo przyzwyczył się do innego chłopca. Nagle wszystko zaczęło być denerwujące. Kilka godzin dzielących go od poranka, kiedy się spakuje, dosiądzie pożyczonego kuca i wróci do miasteczka, wydawało mu się wiecznością.

— Jake?

— Co, Benny, co?

— Przepraszam. Ja tylko chciałem powiedzieć, że cieszę się, że tu przyjechałeś. Dobrze się bawiliśmy, no nie?

— Taak — mruknął Jake i pomyślał: *Nikt by nie uwierzył, że jest starszy ode mnie. Mówi jak... sam nie wiem... jakby miał pięć lat albo co.* Był złośliwy, ale czuł, że tylko takie złośliwości powstrzymają go od płaczu. Nienawidził Rolanda, który skazał go na tę ostatnią noc na ranczu Rocking B. — Tak, wspaniale.

— Będę za tobą tęsknił. Facet, założę się, że postawią wam pomnik w parku albo coś w tym rodzaju.

„Facet” to słowo, którego Benny nauczył się od Jake'a i często używał.

— Ja też będę tęsknił za tobą — obiecał Jake.

— Masz szczęście. Będiesz podróżował ścieżką Promienia i zobaczysz różne miejsca. A ja pewnie do końca życia będę tkwił w tym zaszranym mieście.

Nie, na pewno nie. Ciebie i twojego ojca czeka długa tułaczka... jeśli będziecie mieli szczęście i przeżyjecie. Myślę, że przez resztę życia będziesz śnił o tym zaszranym miasteczku. O miejscu, które było twoim domem. I to moja wina. Zobaczyłem... i powiedziałem o tym. A co miałem zrobić?

— Jake?

Nie mógł już tego znieść. To doprowadzało go do szaleństwa.

— Śpij już, Benny. I daj mi pospać.

— W porządku.

Benny odwrócił się twarzą do ściany. Po krótkiej chwili zaczął wolniej oddychać. Wkrótce pochrapywał. Jake długo nie mógł zmrużyć oka i zasnął dopiero po północy. Miał sen. W tym śnie Roland kłęczał w pyle wschodniego traktu przed ogromną hordą nadciągających Wilków, wypełniających całą równinę aż po brzeg rzeki. Próbował załadować rewolwer, ale ręce mu zesztyniały i przy jednej dłoni brakowało dwóch palców. Naboje wypadły mu z rąk. Wciąż usiłował załadować swój wielki rewolwer, gdy pochłonęła go fala jeźdźców.

Ranek przed Dniem Wilka. Eddie i Susannah stali przy oknie w pokoju gościnnym Callahana, spoglądając na trawiaste zbocze opadające w stronę chaty Rosality.

— Znalazł w niej ukojenie — powiedziała Susannah. — Cieszę się.

Eddie pokiwał głową.

— Jak się czujesz?

Uśmiechnęła się do niego.

— Dobrze — powiedziała i naprawdę tak było. — A ty, złotko?

— Będzie mi brakowało spania na łóżku oraz dachu nad głową, i to mnie niepokoi, ale poza tym ja też czuję się doskonale.

— Jeśli nam się nie uda, nie będziesz musiał martwić się o dach nad głową.

— To prawda — odparł Eddie — ale nie sądzę, żeby do tego doszło. A ty?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podmuch wiatru potrząsnął domem i zaświstał pod okapem. Eddie domyślił się, że to seminon mówi im dzień dobry.

— Nie podoba mi się ten wiatr — powiedziała. — Jest nieprzewidywalny.

Eddie otworzył usta.

— A jeśli powiesz teraz coś o *ka*, to walnę cię w nos.

Zacisnął wargi i udał, że zamyka je na ekler. Susannah i tak trąciła go knykциями w nos, lekko jak piórkiem.

— Mamy szansę na zwycięstwo. Tamtym udawało się tak długo, że zapyzieli. Jak Blaine.

— Taak. Jak Blaine.

Położyła dłoń na jego biodrze i odwróciła do siebie.

— Coś jednak może pójść nie tak, więc wysłuchaj mnie, dopóki jesteśmy tylko we dwoje, Eddie. Chcę ci wyznać, jak bardzo cię kocham.

Powiedziała to zwyczajnie, bez patosu.

— Wiem o tym — odparł — ale niech mnie licho, jeśli wiem dlaczego.

— Ponieważ dzięki tobie poczułam, że jestem cała. Kiedy byłam młodsza, zastanawiałam się, czy miłość to wspinała

i cudowna tajemnica, czy też coś, co banda producentów filmowych z Hollywood wymyśliła w czasach Wielkiego Kryzysu, żeby sprzedać więcej biletów do kina. — Eddie roześmiał się. — Teraz myślę, że każdy z nas rodzi się z dziurą w sercu i przez całe życie szuka kogoś, kto wypełniłby tę pustkę. Ty... ty ją wypełniłeś, Eddie. — Wzięła go za rękę i zaczęła prowadzić z powrotem do łóżka. — A teraz chciałabym, żebyś wypełnił mnie w inny sposób.

— Czy to ci nie zaszkodzi, Suze?

— Nie wiem — odpowiedziała — i nic mnie to nie obchodzi.

Kochali się powoli, przyspieszając dopiero pod koniec. Krzyknęła cicho nad jego ramieniem i w tym ułamku chwili, zanim orgazm sprawił, że zapomniał o wszystkim, Eddie pomyślał: *Stracę ją, jeśli nie będę ostrożny. Nie wiem, skąd to wiem... ale wiem. Ona po prostu zniknie.*

— Ja też cię kocham — wyszeptał, kiedy znowu leżeli obok siebie.

— Tak. — Wzięła go za rękę. — Wiem. Cieszę się.

— Dobrze jest sprawić komuś radość — rzekł. — Kiedyś tego nie wiedziałem.

— Nie ma sprawy — powiedziała Susannah i pocałowała go w kącik ust. — Szybko się uczysz.

14

W saloniku Rosy stał mały bujak. Rewolwerowiec siedział na nim nagi, trzymając w ręku gliniany spodek. Palił papierosa i patrzył na wschód słońca. Nie był pewien, czy jeszcze kiedyś będzie go oglądać z tego miejsca.

Rosa wyszła z sypialni, również naga, i stanęła w progu, spoglądając na niego.

— Jak twoje kości, powiedz mi, proszę?
Roland kiwnął głową.

— Ten twój olejek sprawia cuda.

— Nie będzie działał długo.

— Nie — powiedział Roland. — Jest jednak inny świat, świat moich przyjaciół, i może tam mają coś, co podziała. Przeczuję, że wkrótce się tam znajdziemy.

— Żeby znów walczyć?
— Tak sądzę, tak.
— I już nigdy tu nie wróćcie, prawda?
Roland spojrział na nią.
— Nie.
— Jesteś zmęczony, Rolandzie?
— Śmiertelnie — odparł.
— No to wróc na chwilę do łóżka, dobrze?
Zduślił papierosa i wstał. Uśmiechnął się. Był to uśmiech
młodego mężczyzny.
— Dzięki ci.
— Jesteś dobrym człowiekiem, Rolandzie z Gilead.
Zastanowił się, a potem pokręcił głową.
— Przez całe życie umiałem szybko porwać za broń, **ale**
w innych sprawach nie byłem tak dobry.
Wyciągnęła do niego rękę.
— Chodź, Rolandzie. Chodź do mnie.
I poszedł.

15

Wczesnym popołudniem Roland, Eddie, Jake i Callahan odjechali wschodnim traktem — który w rzeczywistości w tym miejscu wiódł na północ wzdłuż krętej Devar-Tete Whye — z łopatami schowanymi w zrolowanych kocach, przywiązanych do siodeł. Susannah zwolniono z tego obowiązku ze względu na jej ciążę. Dołączyła do Sióstr Pani Ryżu w parku, gdzie wzniesiono większy namiot i już rozpoczęto przygotowania do obfitej wieczerzy. Kiedy odjeżdżali, w Calla Bryn Sturgis robiło się gwarnie jak podczas festynu. Lecz nie było wiwatów ani braw, kanonady sztucznych ogni ani zabaw na murawie. Nie spotkali Andy'ego ani Bena Slightmana, z czego byli zadowoleni.

— A Tian? — zapytał Roland Eddiego, przerywając niezręczne milczenie.

— Spotkam się z nim na plebanii. O piątej.

— Dobrze — rzekł Roland. — Jeśli nie skończymy do czwartej, możesz wracać sam.

— Pojadę z tobą, jeśli chcesz — powiedział Callahan. Chińczycy uważali, że jeśli uratujesz komuś życie, jesteś już zawsze za niego odpowiedzialny. Callahan nigdy nie zastanawiał się nad tym, ale po tym jak odciągnął Eddiego ze skrajów przepaści przed Jaskinią Przejścia, zaczął podejrzewać, że jest w tym sporo prawdy.

— Lepiej zostań z nami — poradził Roland. — Eddie sam się tym zajmie. Mam dla ciebie inne zadanie. Tutaj. Poza kopaniem, oczywiście.

— Ach tak? A jakież to?

Roland wskazał na kolumny kurzu, powstające i wirujące przed nimi na drodze.

— Módl się, żeby ten przeklęty wiatr ucichł. Im prędzej, tym lepiej. A na pewno przed jutrzejszym rankiem.

— Martwisz się o wykop? — zapytał Jake.

— Wykopowi nic się nie stanie — odparł Roland. — Martwię się o Siostry Pani Ryżu. Rzucanie talerzem nawet w sprzyjających warunkach wymaga precyzji. Jeśli będzie wiał silny wiatr, kiedy przybędą tu Wilki, niebezpieczeństwo niepowodzenia... — Machnął ręką w kierunku zamglonego horyzontu, podkreślając swoje słowa fatal i stycznym, miejscowym gestem. — *Delah*.

Mimo to Callahan uśmiechnął się.

— Chętnie się pomodłę — rzekł — ale spójrzcie na wschód, zanim zaczniesz się zamartwiać. Zróbcie to, błagam.

Odwrócili się w siodłach. Kukurydza już została zebrana i łany pozostałych po niej, pozaginanych łodyg ciągnęły się aż do pól ryżowych. Za poletkami płynęła rzeka. A za rzeką kończyło się pogranicze. Tam wirowały czterdziestostopowe kolumny pyłu, drgając i czasem wpadając na siebie. W porównaniu z nimi te po tej stronie rzeki wyglądały jak niegrzeczne dzieci.

— Seminon często dociera do Whye, a potem zawraca — oznajmił Callahan. — Starzy ludzie mówią, że docierając do rzeki, lord Seminon błaga lady Orizę, żeby go przyjęła, a ona często z zazdrości zagradza mu drogę. Widzicie...

— Seminon ożenił się z jej siostrą — powiedział Jake. — Lady Riza chciała sama za niego wyjść... byłby to mariaż wiatru i ryżu... i wciąż jest na niego wkurzona.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał rozbawiony i zdziwiony Callahan.

— Benny mi mówił — odparł Jake i nie powiedział już nic więcej.

Wspomnienie długich rozmów z przyjacielem (czasem na stryżku, czasem leżąc na brzegu rzeki) oraz legend, które sobie opowiadali, budziło smutek i żal.

Callahan pokiwał głową.

— Właśnie tak. Sadzę, że w rzeczywistości jest to zjawisko meteorologiczne... masy zimnego powietrza, ciepłe powietrze unoszące się znad wody, coś w tym rodzaju... ale cokolwiek to jest, teraz wygląda na to, że zamierza wrócić tam, skąd przybyło.

Wiatr sypnął mu pyłem w twarz, jakby chciał dowieść, że się myli, i Callahan roześmiał się.

— Skończy wiać do rana, jestem prawie pewien. Tylko...

— Prawie to za mało, Pere.

— Chciałem powiedzieć, Rolandzie, że zdaję sobie z tego sprawę i chętnie się pomodłę.

— Dzięki ci. — Rewolwerowiec odwrócił się do Eddiego i wskazał dwoma palcami lewej dłoni na swoją twarz. — Oczy, tak?

— Oczy — przytaknął Eddie. — I hasło. Nie dziewiętnaście, raczej dziewięćdziesiąt dziewięć.

— Tego nie wiesz.

— Wiem — rzekł Eddie.

— Mimo wszystko... uważaj.

— Będę.

Po kilku minutach dotarli do miejsca, gdzie po ich prawej stronie kamienisty szlak zagłębiał się w usianą wąwozami krainę, w kierunku kopalni Gloria i Rudzik Dwa. Mieszkańcy zakładali, że tu zostawią wozy, i mieli rację. Zakładali również, że dzieci i ich opiekunowie pójdą dalej szlakiem do jednej lub drugiej kopalni. W tej kwestii się mylili.

Niebawem trzech z nich zaczęli kopać po zachodniej stronie drogi, a czwarty stał na straży. Nikt się nie pojawił — bo ludzie mieszkający tak daleko już schronili się w mieście — i praca szła dość żwawo. O czwartej Eddie zostawił towarzyszy i wrócił do miasta na spotkanie z Tianem Jaffordsem. Na biodrze miał jeden z wielkich rewolwerów Rolanda.

Tian miał kuszę. Kiedy Eddie kazał mu zostawić ją na progu plebanii, farmer obrzucił go niespokojnym i niepewnym spojrzeniem.

— On się nie zdziwi, widząc mnie z rewolwerem, ale może nabrać podejrzeń, jeśli zobaczy cię z kuszą — wyjaśnił Eddie. Właśnie taki miał być początek tej kampanii i teraz, kiedy się zaczęła, Eddie był zupełnie spokojny. Serce biło mu wolno i miarowo. Wszystko widział jaśniej i wyraźniej, każdy cień rzucany przez poszczególne źdźbła trawy na trawniku plebanii. — Słyszałem, że jest bardzo silny. I w razie potrzeby bardzo szybki. To będzie mój występ.

— To dlaczego tu jestem?

Ponieważ nawet najsprytniejszy robot nie spodziewałby się kłopotów, widząc mnie w towarzystwie takiego wieśniaka — tak brzmiałaby prawdziwa, ale niezbyt dyplomatyczna odpowiedź.

— Na wszelki wypadek — odparł Eddie. — Chodź.

Podeszli do wygodki. W ciągu kilku minionych tygodni Eddie korzystał z niej wiele razy i zawsze z przyjemnością — unosił się tam zapach miękkiej trawy i nie trzeba było się obawiać trującego bluszczu — ale dotychczas nigdy nie przyglądał się jej z zewnątrz. Była drewniana, wysoka i mocna, lecz nie wątpił, że Andy może roznieść ją w mgnieniu oka, jeśli zechce. Jeśli mu na to pozwolą.

Rosa stanęła w tylnych drzwiach swojej chaty i spojrzała na nich, osłaniając oczy dłonią.

— Jak leci, Eddie?

— Na razie nieźle, Rosie, ale lepiej wejść do środka. Będzie nieprzyjemnie.

— Naprawdę? Mam tu kilka talerzy...

— Nie sądzę, żeby w tym wypadku broń Pani Ryżu na coś się zdała — rzekł Eddie. — Myślę jednak, że nie zawadzi, jeśli zostaniesz w pobliżu.

Skinęła głową i bez słowa wróciła do chaty. Mężczyźni usiedli obok otwartych drzwi wygodki, zaopatrzonych w nowy rygiel. Tian usiłował skręcić papierosa. Pierwszy rozpadł mu się w drżących palcach i musiał spróbować ponownie.

— Nie jestem w tym dobry — powiedział i Eddie domyślił się, że nie mówi o sztuce skręcania papierosów.

— W porządku.

Tian spojrział na niego z nadzieją w oczach.

— Tak uważasz?

— Tak, więc nie ma o czym mówić.

Dokładnie o szóstej (*Ten drań ma pewnie gdzieś w sobie zegar odmierzający czas z dokładnością do jednej milionowej sekundy*, pomyślał Eddie) Andy wyszedł zza rogu plebanii, wyprzedzany przez swój długi i cienki cień. Zobaczył ich. Niebieskie oczy rozbłyły. Podniósł rękę w powitalnym geście. Jego ramię połyskiwało w zachodzącym słońcu, które nadało mu wygląd unurzanego we krwi. Eddie też powitał go, podnosząc rękę, i wstał, uśmiechając się. Zastanawiał się, czy wszystkie myślące maszyny, które jeszcze działały na tym, zrujnowanym świecie, zwróciły się przeciwko swoim panom, a jeśli tak, to dlaczego.

Zachowaj spokój i pozwól mi mówić — wycedził kątem ust.

— Tak, w porządku.

— Eddie! — wykrzyknął Andy. — I Tian Jaffords! Jak miło was widzieć! I broń do obrony przed Wilkami! O rany! Gdzie ona jest?

— Złożona w kiblu — odparł Eddie. — Kiedy ją stamtąd wyjmemy, będziemy mogli załadować ją na wóz, lecz jest ciężka... a w środku jest ciasno i trudno się obrócić...

Odsunął się. Andy ruszył naprzód. Oczy mu błyskały, ale nie ze śmiechu. Jarzyły się tak jasno, że Eddie musiał zmrużyć powieki — jakby patrzył w migające flesze.

— Na pewno zdołam ją wyciągnąć — zapewnił Andy. — Jak dobrze być pomocnym! Często żałowałem, że oprogramowanie nie pozwala mi...

Stał w drzwiach wygodki, lekko uginając nogi, żeby wetknąć swoją metalową głowę w drzwi. Eddie sięgnął po broń Rolanda. Chłodna i gładka rękojeść z sandałowego drewna wydawała się idealnie dopasowana do jego dłoni.

— Błagam o wybaczenie, Eddie z Nowego Jorku, ale nie widzę tu żadnej broni.

— Nie — przyznał Eddie. — Ja też nie. Prawdę mówiąc,

widzę tylko pieprzonego zdrajcę, który uczy dzieci piosenek, a potem posyła je...

Andy odwrócił się, niesamowicie zwinnie i szybko. Szum serwośników w jego karku wydał się Eddiemu przeraźliwie głośny. Stali niecałe trzy stopy od siebie.

— To ci dobrze robi, ty stalowy sukinsynu — warknął Eddie i wypalił. Dwa wystrzały huknęły ogłuszająco w wieczornej ciszy. Oczy Andy'ego eksplodowały i zgasły. Tian krzyknął.

— NIE! — wrzasnął Andy spotęgowanym przez wzmocniacz głosem, tak donośnym, że w porównaniu z nim huk wystrzałów był jak odgłos towarzyszący otwieraniu szampana. — NIE, MOJE OCZY, NIC NIE WIDZĘ, OCH NIE, WIDOCZNOŚĆ ZERO, MOJE OCZY, MOJE OCZY..!

Cienkie metalowe ramiona uniosły się do rozbitych oczodołów, w których chaotycznie przelatowały błękitne iskry. Andy wyprostował nogi i głową rozbił górną framugę drzwi, sypiąc na prawo i lewo kawałkami desek.

— NIE, NIE, NIE, NIC NIE WIDZĘ, WIDOCZNOŚĆ ZERO, COŚCIE MI ZROBILI, ZASADZKA, ATAK, JESTEM ŚLEPY, KOD SIEDEM, KOD SIEDEM, KOD SIEDEM!

— Pomóż mi go popchnąć, Tianie! — krzyknął Eddie, wsuwając rewolwer do olstra. Lecz Tian skamieniał, gapiąc się na robota (którego głowa teraz znikła we wnętrzu wygodki).

Eddie nie miał czasu czekać. Dосkoczył, wyciągnął ręce i oparł je o tabliczkę z nazwą, funkcją i numerem seryjnym Andy'ego. Robot był zaskakująco ciężki (w pierwszej chwili Eddie miał wrażenie, że usiłuje poruszyć piętrowy garaż), ale był także ślepy, zaskoczony i wytrącony z równowagi. Wtoczył się do wygodki i nagle wzmocniony głos ucichł. Zastąpiła go niemiłosiernie wyjąca syrena. Eddiemu wydawało się, że zaraz pęknie mu głowa. Złapał drzwi i zatrasnął je. W górnej części futryny ział poszarpany otwór, lecz drzwi się zamknęły. Eddie zatrasnął nowy rygiel, grubości jego przedramienia.

W wygodce wyła i zawodziła syrena.

Rosa przybiegła, trzymając w obu rękach talerze. Zrobiła wielkie oczy.

— Co to? Na Boga i Jezusa-Człowieka, cóż to takiego? Zanim Eddie zdążył jej odpowiedzieć, potężne uderzenie

wstrząsnęło wygodką, która przesunęła się nieco w prawo, odsłaniając skraj otworu.

— To Andy — wyjaśnił Eddie. — Chyba wyszedł mu horoskop, który niezbyt przypadł mu do gustu...

— WY DRANIE! — Ten głos był całkowicie niepodobny do tych, jakimi dotychczas przemawiał Andy; nie pobrzmiwała w nim kpina, samozadowolenie czy fałszywa służalczość. — WY DRANIE! PODSTĘPNE DRANIE! POZABIJAM WAS! JESTEM ŚLEPY, OCH, JESTEM ŚLEPY, KOD SIEDEM! KOD SIEDEM!

Głos zamilkł i znów odezwała się syrena. Rosa upuściła talerze i zakryła uszy rękami.

Kolejne uderzenie wstrząsnęło wygodką i tym razem dwie grube deski wygięły się. Następny cios je złamał. W otworze błysnęło ramię Andy'ego, czerwono lśniące w słońcu, zakończone czterema palcami, które spazmatycznie zaciskały się i otwierały. W oddali Eddie słyszał przeraźliwe ujadanie psów.

— Wydostanie się! — zawołał Tian, łapiąc Eddiego za koszulę. — Wydostanie się!

Eddie strząsnął jego rękę i skoczył do drzwi. Andy zadał kolejny potężny cios. Wygiął następne deski w bocznej ścianie wygodki. Trawnik był już usłany ich odłamkami. Nie mógł przekrzyczeć ryku syreny, więc nawet nie próbował. Czekał. Zanim Andy ponownie rąbnął w ścianę wygodki, na moment wyłączył syrenę.

— DRANIE! — wrzasnął. — POZABIJAM WAS! DYREKTYWA DWADZIEŚCIA, KOD SIEDEM! JESTEM ŚLEPY, WIDOCZNOŚĆ ZERO, WY TCHÓRZLIWE...

— Robocie Andy! — krzyknął Eddie. Na jednym z kilku cennych kawałków papieru należących do Callahana ołówkiem księdza zapisał numer seryjny robota i teraz go odczytał. — DNF-CZTERY CZTERY OSIEM DWA JEDEN-V-SZEŚC-DZIESIĄT TRZY! Hasło!

Potworne uderzenia i przeraźliwe wrzaski ucichły, gdy tylko Eddie skończył podawać numer seryjny, a jednak nawet cisza nie była kompletnie cicha, gdyż w uszach wciąż brzmiało przeraźliwe wycie syreny. Eddie usłyszał metaliczny szcęk i popiskiwanie. A potem:

— Tu DNF-CZTERY OSIEM DWA JEDEN-Y-SZEŚĆ-

DZIESIĄT TRZY. Proszę podać hasło. — Chwila ciszy, po czym beznamytnie: — Eddie Deanie, ty podstępny draniu z Nowego Jorku. Masz dziesięć sekund. Dziewięć...

— Dziewiętnaście — powiedział Eddie przez drzwi.

— Nieprawidłowe hasło. — W głosie blaszanego potwora słychać było gniewną satysfakcję. — Osiem... siedem...

— Dziewięćdziesiąt dziewięć.

— Nieprawidłowe hasło.

Teraz Eddie słyszał w głosie robota triumf. Zdążył pożałować swoich przechwałek na drodze. I dostrzec przerażone spojrzenia, jakie wymienili Rosa i Tian. Usłyszeć, że psy wciąż szczekają.

— Pięć... cztery...

Nie dziewiętnaście i nie dziewięćdziesiąt dziewięć. Co zostaje? Boże, jak wyłączyć tego drania?

— Trzy...

Nagle oczami duszy zobaczył, jarzący się jak oczy Andy'ego, zanim zgasiły je kule z rewolweru Rolanda, napis nabazgrany na płocie pustej parceli, namalowany ciemnoróżowymi literami: *Och Susannah Mio, moja dziwna dziewczyno, siedzisz w Dixie Pig, zwiedzasz stare kąty, w tysiąc dziewięćset dziewięć...*

— Dwa...

Niejedno lub drugie, ale oba. To dlatego ten przeklęty robot nie przestał odliczać po pierwszej błędnej odpowiedzi. Ponieważ nie była błędna, tylko niepełna.

— Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć! — wrzasnęła Eddie przez drzwi.

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza. Eddie czekał, czy syrena nie odezwie się znowu, czy Andy nic zacznie rozbijać wygodki. Trzeba powiedzieć Tianowi i Rosie, żeby uciekali, trzeba spróbować ich osłonić...

Głos, który rozległ się teraz w zniszczonej budce, był bezbarwny i obojętny: głos maszyny. Znikła gdzieś udawana służalczość i nieskrywana wściekłość. Andy, jakiego znaly całe pokolenia mieszkańców Calla Bryn Sturgis, odszedł — i to na dobre.

— Dziękuję. Jestem Andy, Robot-Posłaniec I Wiele Innych Funkcji. Numer seryjny DNF-CZTERY CZTERY OSIEM DWA ✓ JEDEN-V-SZEŚĆDZIESIĄT TRZY. W czym mogę pomóc?

— Możesz się wyłączyć.

W wygodce zapadła cisza.

— Rozumiesz, co mówię?

Cichy, przerażony głosik pisnął:

— Proszę, nie każ mi tego robić. Ty niedobry człowieku. Och, niedobry człowieku.

— Wyłącz się natychmiast.

Nieco dłuższa chwila ciszy. Rosa stała z dłonią przyciśniętą do gardła. Zza plebanii wyszła grupka mężczyzn, uzbrojonych pospiesznie w to, co im wpadło w ręce. Rosa odprawiła ich machnięciem ręki.

— DNF-CZTERY CZTERY OSIEM DWA JEDEN-V-SZEŚĆDZIESIĄT TRZY, wykonaj polecenie!

— Tak, Eddie z Nowego Jorku. Wyłączę się. — W nowym, cichym głosie Andy'ego słysząc było żalną nutę. Eddiego przeszły ciarki. — Andy jest ślepy i wyłączy się. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że mając główne źródło zasilania wyczerpane w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach być może nigdy nie będę mógł się wyłączyć?

Eddie przypomniał sobie dwoje ogromnych pokurów, które widział w gospodarstwie Jaffordsa — Tię i Zalmana — a potem wszystkie inne, które od lat cierpiały w tym nieszczęsnym miasteczku. Pomyślał o bliźniakach Tavery, tak bystrych, zręcznych i czynnych. I tak pięknych.

— Nigdy to i tak za krótko — powiedział — ale chyba musi wystarczyć. Koniec pogawędki, Andy. Wyłącz się.

W na pół rozwalonej wygodce znowu zapadła cisza. Tian i Rosa stanęli po bokach Eddiego i we trójkę stali przed zamkniętymi drzwiami. Rosa chwyciła Eddiego za rękę. Natychmiast się uwolnił. Chciał mieć swobodę ruchów, w razie gdyby musiał sięgnąć po broń. Chociaż nie miał pojęcia, w co mógłby mierzyć teraz, kiedy Andy nie miał już oczu.

Robot odezwał się, tym razem beznamytnym i donośnym głosem, na dźwięk którego Tian i Rosa mimo woli cofnęli się o krok. Eddie nie ruszył się z miejsca. On już słyszał taki głos i słowa na polance wielkiego niedźwiedzia. Głos Andy'ego nie był identyczny, ale podobny w stopniu wskazującym na tego samego producenta.

— DNF-CZTERY CZTERY OSIEM DWA JEDEN-V-SZEŚĆDZIESIĄT TRZY WYŁĄCZA SIĘ! WSZYSTKIE

OGNIWA ATOMOWE I OBWODY PAMIĘCI KOŃCZĄ PRACĘ! PROCEDURA WYŁĄCZANIA ZREALIZOWANA W TRZYNASTU PROCENTACH! JESTEM ANDY, ROBOT POSŁANIEC I WIELE INNYCH FUNKCJI! PROSZĘ ZAWIADOMIĆ O MOIM MIEJSCU POBYTU LAMERK INDUSTRIES LUB NORTH CENTRAL POSITRONICS, LTD! ZADZWOŃ POD JEDEN-DZIEWIĘĆSET-PIĘĆDZIESIĄT CZTERY! CZEKA NAGRODA! POWTARZAM, CZEKA NAGRODA! — Cichy szczeł i wiadomość zaczęła się odtwarzać od nowa. — DNF-CZTERY CZTERY OSIEM DWA JEDEN-V-SZEŚCZDZIESIĄT TRZY WYŁĄCZA SIĘ! WSZYSTKIE OGNIWA ATOMOWE I OBWODY PAMIĘCI KOŃCZĄ PRACĘ! PROCEDURA WYŁĄCZANIA ZREALIZOWANA W TRZYNASTU PROCENTACH! JESTEM ANDY...

— Byłeś Andym — mruknął Eddie. Odwrócił się do Tiana i Rosy. Nie zdołał powstrzymać uśmiechu na widok ich wystraszonych min. — W porządku — powiedział. — Już po wszystkim. Będzie trąbił tak przez jakiś czas, a potem przestanie. Możecie zrobić z niego... sam nie wiem... doniczkę albo coś takiego.

— Sądzę, że zerwiemy podłogę i zakopimy go tam — powiedziała Rosa, ruchem głowy pokazując wygódkę.

Uśmieszek Eddiego zmienił się w szeroki uśmiech. Podobał mu się pomysł pochowania Andy'ego w gównie. Bardzo mu się podobał.

Kiedy zmierzch przeszedł w mrok, Roland usiadł na podium dla orkiestry i patrzył, jak mieszkańcy Calla Bryn Sturgis jedzą wystawną kolację. Wszyscy wiedzieli, że może to być ostatni posiłek spożywany razem, że nazajutrz o tej porze ich ciche i piękne miasteczko może zmienić się w zgliszcza, a mimo to weselili się. I nie tylko, pomyślał Roland, ze względu na dzieci. Podjąwszy w końcu właściwą decyzję, najwyraźniej poczuli ulgę. Czuli ją, chociaż dobrze wiedzieli, że zapewne drogo za to zapłacą. Większość tych ludzi spędzi tę noc w parku, niedaleko namiotu, w którym śpią ich dzieci

i wnuki, a potem zostaną tutaj, spoglądając na północny wschód i czekając na rezultat bitwy. Padną strzały (dźwięki, których wielu z nich nigdy nie słyszało), chmura pyłu wzbijana przez hordę Wilków rozwieje się, zawróci tam, skąd przyszła, albo popłynie ku miastu. W tym ostatnim wypadku ludzie rozpierchną się i będą czekać na wybuch pożaru. Potem staną się bezdomnymi w swym rodzinnym mieście. Czy odbudują je, jeśli zostanie spalone? Roland wątpił w to. Nie mając dzieci, dla których warto budować — rewolwerowiec był pewien, że jeśli Wilki zwyciężą, to tym razem zabiorą wszystkie dzieci — nie będą mieli motywacji. Pod koniec następnego cyklu Calla stanie się wymarłym miastem.

— Błagam o wybaczenie, *sai*.

Roland odwrócił się. Zobaczył Wayne'a Overholsera, trzymającego w rękach kapelusz. Stojąc tak, wyglądał raczej na włóczęgę, którego opuściło szczęście, niż na największego farmera w okolicy. Oczy miał szeroko otwarte i lekko wilgotne.

— Nie musisz błagać mnie o wybaczenie, skoro mam na głowie kapelusz, który mi dałeś — powiedział uprzejmie Roland.

— No taa, ale — Overholser urwał, szukając odpowiednich słów, a potem najwidoczniej postanowił walić prosto z mostu. — Reuben Caverra był jednym z tych, którzy mieli pilnować dzieci, prawda?

— No i?

— Dziś rano pękły mu trzewia. — Cwerholser dotknął swojego wydatnego brzucha w miejscu, gdzie powstała przepuklina. — Leży w domu i gorączkuje. Pewnie umrze na zakażenie krwi. Niektórzy z tego wychodzą, ale niewielu.

— Przykro mi to słyszeć — odparł Roland, zastanawiając się, kim zastąpić Caverę, rosnącego mężczyznę, który sprawiał wrażenie człowieka niewiele wiedzącego o lęku i zapewne jeszcze mniej o tchórzostwie.

— Weź mnie zamiast niego, dobrze? — Roland zmierzył go wzrokiem. — Proszę, rewolwerowcze. Nie mogę stać na uboczu. Sądziłem, że powinienem... a nawet muszę... ale nie. Mdli mnie od tego.

Owszem, pomyślał Roland, na to wygląda.

— Czy twoja żona o tym wie, Wayne?

— I zgadza się?

— Ano.

Roland kiwnął głową.

— Bądź tu pół godziny przed świtem.

Na twarzy Overholsera malowała się głęboka wdzięczność, ujmująca mu wiele lat.

— Dzięki, Rolandzie! Piękne dzięki!

— Cieszę się, że będziecie z nami. Teraz posłuchaj.

— Słucham.

— Nie będzie tak, jak mówiłem im na zebraniu.

— Z powodu Andy'ego.

— Owszem, częściowo z jego powodu.

— Ale nie tylko? Chyba nie chcesz powiedzieć, że jest jeszcze jeden zdrajca? Co?

— Chcę tylko powiedzieć, że jeśli pojedziesz z nami, musisz trzymać się blisko. Rozumiesz?

— Ano, Rolandzie. Bardzo dobrze.

Overholser ponownie podziękował mu za to, że mógł teraz zginąć na północ od miasta, a potem pospiesznie odszedł, ściskając w dłoniach kapelusz. Pewnie obawiając się, że Roland zmieni zdanie.

Eddie podszedł do rewolwerowca.

— Overholser też chce zatańczyć z Wilkami?

— Na to wygląda. Miałeś jakieś problemy z Andym?

— Wszystko dobrze się skończyło — odparł Eddie, nie chcąc przyznać, jak niewiele brakowało, a robot zrobiłby grzanki z niego, Tiana i Rosality. W oddali wciąż słyszeli jego ryk. Zapewne niedługo ucichnie, gdyż wzmocnionym głosem oznajmiał, że procedura wyłączenia została zrealizowana w siedemdziesięciu dziewięciu procentach.

— Uważam, że bardzo dobrze się spisałeś.

Taki komplement z ust Rolanda zawsze sprawiał, że Eddie czuł się jak król całego świata, ale starał się tego nie okazywać.

— Oby równie dobrze poszło nam jutro.

— Susannah?

— Wygląda nieźle.

— Nie...? — Roland znacząco potarł się nad lewym okiem.

— Nie, a przynajmniej nie zauważyłem.

— I nie mówi krótkimi, urywanymi zdaniami?

— Nie, wcale. Kiedy wy kopaliście, ona przez cały ten czas ćwiczyła rzucanie talerzami. — Eddie ruchem brody wskazał na Jake'a, który siedział na huśtawce z Ejem u stóp. — O chłopca się martwię. Będę zadowolony, kiedy go stąd zabierzemy. To nie było dla niego łatwe.

— Tamtemu drugiemu chłopcu będzie jeszcze trudniej — rzekł Roland i wstał. — Wracam na plebanię. Zamierzam trochę się przespać.

— Zdołasz zasnąć?

— Och tak — zapewnił go Roland. — Dzięki olejki Rosalitty będą spał jak kamień. Ty, Susannah i Jake też powinniście spróbować.

— Dobrze.

Roland pośpiesznie skinął głową.

— Obudzę was jutro rano. Przyjedziemy tu razem.

— I będziemy walczyć.

— Tak — powiedział Roland. Spojrzał na Eddiego. Niebieskie oczy błyszcząły w świetle pochodni. — Będziemy walczyć. Do śmierci... ich albo naszej.

Rozdział 7

WILKI

1

X atrzcie teraz, patrzcie dobrze:

Oto droga równie szeroka i dobrze utrzymana jak każda drugorzędna droga w Ameryce, o nawierzchni z ubitej gliny, którą mieszkańcy Calla Bryn Sturgis nazywają *oggan*. Po obu jej stronach biegną rowy melioracyjne, a od czasu do czasu pod drogą przechodzą spore i dobrze utrzymane, drewniane przepusty. W słabym, niesamowitym świetle przedświtów po tej drodze toczy się tuzin wozów — z rodzaju takich, jakimi jeżdżą Manni, nakrytych brezentowymi plandekami. Płótno plandek jest oślepiająco białe, aby w gorące letnie dni odbijało promienie słoneczne i utrzymywało chłód w środku. Wozy wyglądają jak dziwne, nisko płynące obłoki. Jak cumulusy, wiecie. Każdy wóz jest zaprzężony w sześć mułów lub cztery konie. Na koźle każdego siedzi dwóch obrońców lub opiekunów dzieci. Pierwszym wozem powozi Overholser, a obok niego siedzi Margaret Eisenhart. Za nimi jedzie Roland z Gilead w towarzystwie Bena Slightmana. W piątym Tian i Zalia Jaffordsowie. W siódmym Eddie i Susannah Deanowie. Złożony fotel inwalidzki Susannah leży na wozie za jej plecami. Dziesiątym wozem powożą Bucky i Annabelle Javier. Na koźle ostatniego siedzą ojciec Donald Callahan i Rosalita Munoz.

Dzieci nic nie mówią. Niektóre młodsze znów zasnęły i trzeba będzie je zbudzić niebawem, kiedy dotrą do miejsca przeznaczenia. Przed nimi, już niecałą milę dalej, znajduje się miejsce, gdzie wiodąca w góry droga rozwidła się. Po prawej schodzi łagodnym stokiem ku rzece. Wszyscy woźnice spoglądają na wschód, ku wiecznym ciemnościom Jądra Gromu. Wypatrują zbliżającej się chmury kurzu. Nie ma jej. Jeszcze. Nawet seminon przestał wiać. Wygląda na to, że modlitwy Callahana zostały wysłuchane, przynajmniej w tej kwestii.

2

Ben Slightman, siedzący na koźle obok Rolanda, odezwał się tak cicho, że rewolwerowiec ledwie go usłyszał:

— I co zamierzasz ze mną zrobić?

Gdyby ktoś go zapytał, kiedy wozy wyruszą z Calla Bryn Sturgis, jakie Slightman ma szanse na przeżycie nadchodzącego dnia, Roland powiedziałby, że najwyżej pięć na sto. Z pewnością nie większe. Zależało to od dwóch pytań, które trzeba było zadać, a potem otrzymać właściwe odpowiedzi. Pierwsze powinien zadać sam Slightman. Roland nie spodziewał się, że ten człowiek się na to zdobędzie, a jednak właśnie padło z jego ust. Roland odwrócił głowę i spojrzał na niego.

Zarządca Vaughna Eisenharta był błydy jak kreda, ale zdjął okulary i napotkał wzrok Rolanda. Rewolwerowiec nie uznał tego za akt nadzwyczajnej odwagi. Slightman starszy z pewnością miał czas, aby poznać Rolanda, i wiedział, że musi spojrzeć mu w oczy, jeśli chce wyjść z tego z życiem.

— Taa, wiem — ciągnął Slightman. Głos mu nie drżał, przynajmniej na razie. — O czym? O tym, że ty wiesz.

— Zapewne od kiedy załatwiliśmy twojego współnika — rzekł Roland. Powiedział to z wystudiowanym sarkazmem (który był jedynym rodzajem żartu, na jaki było go stać) i Slightman skrzywił się. Wspólnik. Jego współnik. Mimo to skinął głową, wciąż patrząc Rolandowi w oczy.

— Domyśliłem się, że jeśli wiecie o Andym, musicie wiedzieć i o mnie. Chociaż on nigdy by mnie nie wydał. Nie był na to zaprogramowany. — Slightman nie mógł już dłużej znieść

kontakt wzrokowy i spuścił oczy. Wbił wzrok w deski, przygryzając wargę. — Zorientowałem się, widząc zachowanie Jake'a.

Roland nie zdołał ukryć zdziwienia.

— Zmienił się. Nie chciał tego, bo jest równie sprytny jak odważny, lecz jego zachowanie zmieniło się. Nie wobec mnie, ale wobec mojego chłopca. Przez ostatni tydzień, może półtora. Benny był trochę... no cóż, chyba można powiedzieć zdziwiony. Wyczuwał coś, lecz nie wiedział, o co chodzi. Ja wiedziałem. To wyglądało tak, jakby wasz chłopak miał dość naszego towarzystwa. Zadałem sobie pytanie dlaczego. Odpowiedź była jasna. Jasna jak małe piwo.

Wóz Rolanda zaczął zostawać w tyle za wozem Overholsera. Rewolwerowiec smagnął lejcami po zadach mułów. Zaprzęg przyspieszył. Za plecami słyszeli ciche głosy dzieci, rozmawiających lub pochrapujących, oraz stłumione pobrząkiwanie uprzęży. Roland poprosił Jake'a, żeby zabrał trochę przedmiotów należących do dzieci, i widział, że chłopiec wywiązał się z tego zadania. Jake był dobrym chłopcem, który nigdy nie wykręcał się od pracy. Tego ranka miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, osłaniający oczy przed słońcem, a pod pachą rugera ojca. Jechał na koźle jedenastego wozu, razem z Estradą. Roland domyślał się, że Slightman też ma dobrego chłopca, i z jego powodu pograżył się tak bardzo.

— Jake był w Dogan pewnej nocy, kiedy przyszłście tam z Andym, żeby Honosić na swoich sąsiadów — powiedział Roland.

Siedzący obok niego Slightman skrzywił się jak człowiek, którego niespodziewanie uderzono w brzuch.

— Tak — mruknął. — Tak, prawie czułem... a raczej wydawało mi się, że czuję... — Zamilkł na długą chwilę, a potem dodał: — Kurwa.

Roland spojrział na wschód. Trochę tam pojaśniało, ale w dalszym ciągu nie było chmury kurzu. Dobrze. Gdy pojawią się kłęby pyłu, wkrótce potem nadjadą Wilki. Ich siwe konie gnają jak wiatr. Kontynuując rozmowę, Roland niemal z roztargnieniem zadał drugie pytanie. Gdyby Slightman odpowiedział na nie przecząco, nie dożyłby przyjazdu Wilków, obojętnie jak szybkie były ich rumaki.

— Gdybyście go tam znaleźli, Slightman... gdybyście znaleźli mojego chłopca... zabilibyście go?

Szukając odpowiedzi, Slightman z powrotem nałożył okulary. Roland nie wiedział, czy zarządca rozumie znaczenie odpowiedzi. Cierpliwie czekał na słowa, które zadecydują o życiu lub śmierci ojca przyjaciela Jake'a. Powinien się pospieszyć, ponieważ zbliżali się do miejsca, gdzie wozy zatrzymają się i dzieci będą musiały wysiąść.

Slightman w końcu podniósł głowę i ponownie napotkał wzrok Rolanda. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie mógł. Wyjaśnienie było proste: mógł odpowiedzieć na pytanie rewolwerowca albo patrzeć mu w oczy, ale nie był w stanie robić obu tych rzeczy jednocześnie.

Wbiwszy wzrok w nieheblowane deski pod nogami, Slightman powiedział:

— Tak, sądzę, że zabilibyśmy go. — Milczał chwilę. Kiwnął głową. Gdy nią poruszył, łza spłynęła mu z oka i spadła na podłogę obok jego nogi. — Taa, jakże inaczej? — Podniósł głowę i spojrzał Rolandowi w oczy. Gdy to zrobił, zrozumiał, że jego los już został przesądzony. — Zrób to szybko — dodał — i tak, żeby mój chłopiec nie widział. Błagam cię.

Roland znów trzepnął lejcami po zadach mułów.

— To nie ja sprawię, że twoje nikczemne serce przestanie bić.

Slightman miał wrazenie, że serce już na moment przestało mu bić. Kiedy wyznał rewolwerowcowi, że owszem, zabiłby dwunastoletniego chłopca, żeby uniknąć zdemaskowania, jego twarz miała zgnębiony, ale godny wyraz. Teraz pojawiła się na niej nadzieja i odarła ją z resztek godności. Uczyniła niemal groteskową. Slightman przeciągle westchnął.

— Bawisz się ze mną. Kpisz. Przecież zamierzasz mnie zabić. Jak mogłoby być inaczej?

— Tchórz mierzy wszystko własną miarką — zauważył Roland. — Nie zabiję cię, jeśli nie będę musiał, Slightman, ponieważ kocham mojego chłopca. Chyba jesteś to w stanie zrozumieć, co? To, że chodzi mi o chłopca?

— Taa.

Slightman znów spuścił głowę i zaczął pocierać opalony kark. Tę szyję, na której —jak przypuszczał — po tym dniu nie będzie już tkwiła jego głowa.

— A jednak musisz coś zrozumieć. Zarówno dla twojego własnego dobra, jak i Benny'ego. Jeśli Wilki zwyciężą, umrzesz. Możesz być tego pewny. „Masz to jak w banku” —jak powiedział Eddie i Susannah.

Slightman spoglądał na niego, mrużąc oczy za szklami okularów.

— Dobrze mnie posłuchaj, Slightman, i weź sobie do serca to, co ci powiem. Ani nas, ani dzieci nie będzie tam, gdzie spodziewają się Wilki. Przegramy czy wygramy, tym razem poniosą ciężkie straty. I jeśli nawet zwyciężą, będą wiedzieli, że zostali oszukani. Kto z Calla Bryn Sturgis mógł ich zwieść? Tylko dwie osoby. Andy i Ben Slightman. Andy jest wyłączony i nie mogą już się na nim zemścić. — Posłał Slightmanowi uśmiech tak zimny, jak północny kraniec ziemi. — Ale mogą się zemścić na tobie. I na jedynej osobie, dla której żywisz trochę uczucia w swoim nędznym sercu.

Slightman zastanowił się nad tym. Najwidoczniej dotychczas nie przyszło mu to do głowy, lecz natychmiast zrozumiał nieodpartą logikę tego rozumowania.

— Pomyślą, że przeszedłeś na naszą stronę i zrobiłeś to celowo — ciągnął Roland — ale nawet gdybyś zdołał ich przekonać, że to był przypadek, i tak by cię zabili. A także twojego syna. Z zemsty.

Słuchając rewolwerowca, Slightman powoli zrobił się czerwony jak burak — rumieniąc się ze wstydu, zdaniem Rolanda — lecz teraz, kiedy pomyślał o ewentualnej śmierci syna z rąk Wilków, znowu zbladł jak chusta. A może sprawiła to wizja Benny'ego zabranego na wschód i zamienionego w pokura.

— Przepraszam — powiedział. — Przepraszam za to, co zrobiłem.

— Pieprzyć twoje przeprosiny — odparł Roland. — *Ka*
działa i świat idzie naprzód.
Slightman milczał.

— Zamierzam odesłać cię z dziećmi, tak jak powiedziałem — poinformował go Roland. — Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, nawet nie zobaczysz żadnego Wilka. Jeżeli coś pójdzie nie tak, to pamiętaj, że waszą grupą dowodzi Sarey Adams i kiedy później ją zapytam, lepiej żeby powiedziała mi,

że robiłeś wszystko, co ci kazano. — A kiedy Slightman w dalszym ciągu milczał, rewolwerowiec rzucił ostro: — Powiedz, że rozumiesz, do diabła! Chcę usłyszeć: „Tak, Rolandzie, rozumiem”.

— Tak, Rolandzie, rozumiem cię bardzo dobrze. — I po chwili dodał: — Jeśli zwyciężymy, czy ludzie się dowiedzą? Dowiedzą się o... mnie?

— Nie od Andy'ego, to pewne — odparł Roland. — Ten już przestał gadać. I nie ode mnie, jeśli zrobisz to, co obiecałeś. Ani od nikogo z mojego *ka-tet*. Nie z szacunku dla ciebie, ale dla Jake'a Chambersa. A jeśli Wilki wpadną w zasadzkę, którą na nich zastawiłem, dlaczego ludzie mieliby podejrzewać, że był jeszcze jeden zdrajca? — Zmierzył Slightmana chłodnym spojrzeniem. — To porządni ludzie. Ufni. Powinieneś o tym wiedzieć. Przecież to wykorzystywałeś.

Slightman znów się zaczerwienił. Wbił wzrok w deski podłogi. Roland spojrzął przed siebie i zobaczył, że miejsce, do którego jechali, znajduje się już zaledwie ćwierć mili dalej. Dobrze. Na wschodzie wciąż nie było widać chmury pyłu, ale oczami duszy już widział, jak się wzbija. Wilki zbliżały się... na pewno. Gdzieś za rzeką wysiedli z pociągu, dosiedli koni i pomknęli jak wszyscy diabli. Dobre porównanie.

— Zrobiłem to dla mojego syna — rzekł Slightman. — Andy przyszedł do mnie i powiedział, że na pewno go zabiorą. Gdzieś tam, Rolandzie... — Wskazał na wschód, w kierunku Jądra gromu. — Gdzieś tam mieszkają nieszczęsne stworzenia zwane Niszczycielami. Więźniowie swych ciał. Andy mówi, że mają telepatyczne i psychokinetyczne zdolności i chociaż nie znam tych słów, wiem, że mają coś wspólnego z umysłem. Niszczyciele to istoty ludzkie i żywią się tym samym co my, ale potrzebują również innego pokarmu, *szczególnego* pożywienia, które zapewnia im te szczególne umiejętności.

— Pokarmu dla umysłu — powiedział Roland.

Przypomniał sobie, że matka nazywała ryby pokarmem dla umysłu. A potem, nie wiadomo dlaczego, przypomniały mu się nocne wyprawy Susannah. Tylko że to nie Susannah odwiedzała nocami tę swoją salę biesiadną. Robiła to Mia. Córka niczyja.

— Taa, chyba tak — zgodził się Slightman. — W każdym razie to jest coś, co mają tylko bliźnięta, coś, co umożliwia im

kontakt myślowy. A tamci... nie Wilki, ale ci, którzy przysyłają ich tutaj... zabierają. Bez tego dzieci stają się debilami. Pokurami. Dla nich to pokarm, Rolandzie, rozumiesz? Dlatego to zabierają! Po to, żeby nakarmić swych przeklętych Niszczycieli! Nasycić ich umysły, a nie brzuchy! A ja nawet nie wiem, co chcą zniszczyć!

— Te dwa Promienie, które podtrzymują Wieżę — oznajmił Roland.

Slightman był zaskoczony. I przerażony.

— Mroczną Wieżę? — wyszeptał. — Tak uważasz?

— Tak — odparł Roland. — Kim jest Finli? Finli o'Tego.

— Nie wiem. Głosem, który odbiera moje raporty, to wszystko. To chyba *taheen*. Wiesz, co to takiego?

— A ty?

Slightman pokręcił głową.

— Zatem zostawmy to. Może kiedyś go spotkam, a wtedy odpowie mi za to wszystko.

Slightman nic nie powiedział, ale Roland wyczuł jego powątpiewanie. Nic nie szkodzi. Już prawie skończyli i rewolwero-wiec poczuł, jak rozluźnia się niewidzialna obręcz, ściskająca mu piersi. Po raz pierwszy odwrócił się do zarządcy.

— Zawsze był ktoś taki jak ty, Slightman, kogo Andy namawiał do zdrady. Jestem pewien, że głównie po to go tutaj zostawiono, tak jak jestem pewien tego, że twoja córka a siostra Benny'ego nie umarła naturalną śmiercią. Był im potrzebny bliźniak bez pary i jego słaby ojciec.

— Nie...

— Zamknij się. Powiedziałeś już wszystko, co powinieneś powiedzieć.

Slightman zamilkł.

— Wiem, co to zdrada. Sam też czasem zdradzałem, kiedyś nawet Jake'a. To jednak nie zmienia faktów. Powiedzmy sobie jasno: jesteś padlinożercą. Krukiem, który zmienił się w sępa.

Rumieńce powróciły na policzki zarządcy, barwiąc je jak czerwone wino.

— Zrobiłem to dla mojego chłopca — powtórzył z uporem.

Roland splunął na dłoń, a potem podniósł ją i otarł o policzek Slightmana, nabiegły krwią i gorący. Zdjął mu okulary i poma-chał nimi przed jego nosem.

— Nie zmyjesz tego — powiedział bardzo cicho. — Przez

te okulary. Tak cię nazaczyli, Slightman. To jest ich piętno. Wmawiasz w siebie, że zrobiłeś to dla swojego chłopca, ponieważ w ten sposób możesz spokojnie spać. Ja mówiłem sobie, że zdradziłem Jake'a, żeby nie stracić szansy dotarcia do Wieży... i dzięki temu mogę w nocy spać. Różnica między nami, cała różnica między nami polega na tym, że ja nigdy nie wziąłem okularów. — Otarł dłoń o spodnie. — Zaprzedałeś się, Slightman. I zapomniałeś oblicza swego ojca.

— Daruj mi — szepnął Slightman. Stał z policzka ślinę rewolwerowca. Na jej miejscu pojawiły się łzy. — Ze względu na mojego chłopca.

Roland kiwnął głową.

— To wszystko z powodu twojego chłopca. Wleczesz go za sobą jak zabitą kurę. No nic. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziesz mógł mieszkać razem z nim w Calla i dożyć późnej starości, szanowany przez sąsiadów. Będziesz jednym z tych, którzy podjęli walkę z Wilkami, kiedy rewolwerowcy przyszli do miasta ścieżką Promienia. A gdy już nie będziesz mógł chodzić, on będzie ci pomagał i stanie się twoją podporą. Widzę to, i niezbyt mi się to podoba. Ponieważ człowiek, który sprzedał swoją duszę za parę okularów, sprzedaje ją ponownie za jakąś inną błyskotkę... albo taniej... i prędzej czy później twój syn i tak się dowie, kim jesteś. Dla twego syna najlepiej byłoby, gdybyś poległ dzisiaj jak bohater. — A potem, zanim Slightman zdążył odpowiedzieć, Roland zawołał: — Hej, Overholser! Hej tam, na wozie! Overholser! Zatrzymaj się! Jesteśmy na miejscu!

— Rolandzie... — zaczął Slightman.

— Nie — uciął Roland, owijając lejcami poręcz. — Koniec pogawędki. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem: jeśli będziesz miał dziś okazję umrzeć jak bohater, oddaj przysługę swojemu synowi i skorzystaj z niej.

3

Z początku wszystko szło zgodnie z planem i mówili, że to *ka*. Kiedy sprawy przybrały zły obrót i zaczęli umierać, też mówili o *ka*. Rewolwerowiec mógłby im powiedzieć, że *ka* często jest ostatnią rzeczą, nad którą należy się wznieść.

Jeszcze gdy byli w parku, w blasku płonących pochodni Roland wyjaśnił dzieciom, czego od nich oczekuje. Teraz, pod szarzącym o świcie niebem (choć słońce jeszcze nie wyrzało zza horyzontu), sprawnie ustawiły się na drodze według wieku, parami od najstarszych do najmłodszych, trzymając się za ręce. Wozy ustawiono po lewej stronie drogi, wzdłuż krawędzi rowu, pozostawiając lukę tylko w tym miejscu, gdzie od wschodniego traktu odchodził szlak do wąwozów. Obok dzieci w równych odstępach stanęli opiekunowie, których liczba wzrosła teraz sporo ponad tuzin — wliczając Tiana, Callahana, Slightmana i Wayne'a Overholsera. Po drugiej stronie drogi, wzdłuż rowu po prawej, stanęli Eddie, Susannah, Rosa, Margaret Eisenhart i żona Tiana, Zalia. Każda z kobiet miała wyłożony jedwabiem trzciny koszyk z talerzami. W rowie za ich plecami umieszczono skrzynki zawierające zapas broni Pani Ryżu. Łącznie dwieście talerzy.

Eddie spojrzął za rzekę. W dalszym ciągu ani śladu chmury kurzu. Susannah posłała mu nerwowy uśmiech, na który odpowiedział takim samym. To była najtrudniejsza część planu — i najgorsza. Wiedział, że później gniew porwie go i poniesie. Teraz myślał zbyt trzeźwo. I doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że są odstępni i bezbronni jak żółw bez skorupy.

Jake przeszedł wzdłuż dwuszeręgu dzieci, niosąc pudło zawierające różne drobiazgi: kolorowe wstążki, grzechotkę dla niemowlęcia, gwizdek zrobiony z gałązki cisu, stary but prawie bez podeszwy, skarpetkę bez pary. W pudle były dwa tuziny podobnych przedmiotów.

— Benny Slightman! — zawołał Roland. — Frank Tavery! Francine Tavery! Do mnie!

— Zaraz, chwilę! — powiedział zaalarmowany ojciec Benny'ego. — Po co potrzebny ci mój...

— Ma wypełnić swój obowiązek tak samo jak ty — uciął Roland. — Dość gadania.

Czworo dzieci, które wywołał, stanęło przed nim. Bliźniaki Tavery były zarumienione i zdyszane. Miały błyszczące oczy i wciąż trzymały się za ręce.

— Słuchajcie uważnie, żebym nie musiał powtarzać — przykazał Roland.

Benny i rodzeństwo Tavery nadstawili uszu. Jake, chociaż chciał jak najszybciej zabrać się do dzieła, nie słuchał równie uważnie. Dobrze znał swoje zadanie i wiedział, co ma się stać. A przynajmniej co ma się stać według Rolanda.

Rewolwerowiec przemówił do dzieci, ale dostatecznie głośno, żeby usłyszeli go również ustawieni rzędem opiekunowie.

— Pójdziecie ścieżką w górę — rzekł — i co kilka kroków zostawicie coś, żeby wyglądało na upuszczone podczas szybkiego i forsownego marszu. Szybkiego i forsownego marszu oczekuję od waszej czwórki. Nie biegnijcie, ale poruszajcie się szybko. Patrzcie pod nogi. Macie dotrzeć do rozwidlenia dróg... to pół mili stąd... ale nie dalej. Rozumiecie? Ani kroku dalej.

Energicznie pokiwali głowami. Roland przeniósł spojrzenie na czekających w napięciu dorosłych.

— Ta czwórka wyruszy dwie minuty wcześniej. Po nich pójdą pozostałe dzieci, najpierw starsze, potem młodsze. Nie zajądą daleko. Ostatnie pary ledwie zejdą z drogi. — Roland podniósł głos i zawołał stanowczo: — Dzieci! Kiedy usłyszycie ten dźwięk, natychmiast wracajcie! Wracajcie do mnie jak najszybciej!

Włożył dwa palce lewej ręki do ust i zagwizdał tak donośnie, że kilkoro malców zatkało rączkami uszy.

— *Sai*, jeśli zamierzasz ukryć dzieci w jaskini, to po co mają tu wracać? — zapytała Annabelle Javier.

— Ponieważ nie ukryją się w jaskini — wyjaśnił Roland. — Pójdą tam. — Wskazał na wschód. — Zajmie się nimi Pani Ryżu. Schowają się na polu, tuż nad rzeką.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku i wtedy wszyscy jednocześnie ujrzeni chmurę kurzu. Nadjeżdżały Wilki..

5

— Wkrótce będziemy mieli towarzystwo, kochasiu — powiedziała Susannah.

Roland skinął głową, a potem zwrócił się do Jake'a:

— Ruszaj, Jake. Rób, co mówiłem.

Chłopiec wyjął z pudła dwie garści drobiazgów i wręczył je bliźniakom Tavery. Potem zwinnie jak jeleń przesadził rów po

lewej stronie drogi i razem z Bennym ruszył szlakiem wiodącym do parowu. Frank i Francine podążali tuż z nimi. Roland dostrzegł, jak Francine upuszcza na ziemię czapeczkę.

— W porządku — rzekł Cwerholser. — Zaczynam rozumieć. Wilki zobaczą te ślady i będą pewne, że dzieci są w wąwozie. Tylko po co posyłać resztę dzieci na północ, rewolwerowcze? Dlaczego od razu nie skierować ich nad rzekę?

— Ponieważ musimy zakładać, że Wilki potrafią wywęszyć ofiary tak jak prawdziwe wilczyska — odparł Roland. Ponownie podniósł głos. — Dzieci, idźcie ścieżką w górę! Najstarsi niech idą pierwsi! Trzymajcie się za ręce! Wróćcie, kiedy zagwizdże!

Dzieci ruszyły, a Callahan, Sarey Adams, Javierowie i Ben Slightman pomogli im przejść przez rów. Wszyscy dorośli byli zaniepokojeni, ale ojciec Benny'ego stał się dodatkowo podejrzliwy.

— Wilki pojedą tam, bo mają powody sądzić, że dzieci są w wąwozie — wyjaśnił Roland. — Nie mamy jednak do czynienia z głupcami, Wayne. Będą szukać śladów, a my im je zostawimy. Jeśli mają dobry węch... a założę się o cały tegoroczny zbiór ryżu, że mają, wyczują zapach dzieci, a także znajdą pozostawione wstążki i buty. Po pewnym czasie zapach głównej grupy dzieci będzie słabszy, ale pojedą dalej za tym, który pozostawiła tamta czwórka. Może zorientują się dopiero po dłuższej chwili, a może prędzej. Tak czy inaczej, nie będzie to już miało znaczenia.

— Ale...

Roland zignorował go. Odwrócił się do nielicznej grupki obrońców. Razem będzie ich siedmiu. *To dobra liczba. Jest w niej moc.* Spojrzał dalej, na chmurę kurzu. Wznosiła się wyżej niż tumany wzbijane przez seminon i pędziła z zatrważającą szybkością. Mimo to Roland uznał, że mają jeszcze trochę czasu.

— Posłuchajcie mnie dobrze — zwrócił się do Zalii, Margaret i Rosy. Członkowie jego *ka-tet* już o tym wiedzieli, przynajmniej od chwili, gdy na werandzie domu Jaffordsów stary Jamie wyjawiał Eddiemu swoje długo utrzymywane w tajemnicy rewelacje. — Wilki nie są ludźmi ani potworami. To roboty.

— *Roboty!* — wykrzyknął Overholser, ale ze zdumieniem, a nie z niedowierzaniem.

— Właśnie. W dodatku roboty, z jakimi moje *ka-tet* już się wetknęło — mówił dalej Roland. Myślał o pewnej polance, na której resztki niedźwiedziej skóry bez końca kręciły się w kółco. — Noszą kaptury, żeby ukryć małe wypukłości obracające się na czubkach ich głów. Te rzeczy prawdopodobnie mają taką wielkość. — Roland pokazał palcami dwa cale wysokości około pięciu szerokości. — Kiedyś Molly Doolin trafiła w taką wypukłość i odcięła ją. Zrobiła to przypadkowo. My natomiast jedziemy celować w nie.

— Bez tych czapeczek nie mogą myśleć — dodał Eddie. — Ani porozumiewać się ze swoimi panami. Bez nich są martwi jak psia kupa.

— Celujcie tu.

Roland podniósł dłoń i trzymał ją cał nad głową.

— A piersi... te szpary na piersiach... — zaczęła Margaret ze zdumieniem w głosie.

— To bzdura — powiedział Roland. — Celujcie w czubki kapturów.

— Pewnego dnia — rzekł Tian — będę chciał się dowiedzieć, czemu musieliśmy wysłuchiwać tyłu wierutnych bzdur.

— Mam nadzieję, że ten dzień nadejdzie — odparł Roland.

Ostatnie dzieci — te najmłodsze — właśnie ruszały szlakiem, posłusznie trzymając się za ręce. Najstarsze zapewne uszły już jedną ósmą mili, a grupka Jake'a znajdowała się co najmniej kolejną jedną ósmą mili przed nimi. To powinno wystarczyć. Roland skupił uwagę na opiekunach.

— Dzieci zaraz tu wrócą. Przeprowadźcie je przez rów, a potem parami przez pole kukurydzy. — Nie odwracając się, wskazał kciukiem za siebie. — Czy mam wam tłumaczyć, jak ważne jest to, żeby nie kołysać łodygami, szczególnie w pobliżu traktu, z którego Wilki mogą was zauważyć?

Pokręcili głowami.

— Na skraju ryżowego poletka — ciągnął Roland — każcie im wejść do jednego ze strumieni. Zaprowadźcie nad rzekę i każcie im się ukryć w trawie, która tam jest jeszcze zielona i wysoka. — Rozłożył ręce. Oczy mu błyszczały. — Rozproście się. Niech dorośli zajmą stanowiska wzdłuż brzegu rzeki. Gdybyście mieli jakieś problemy... z Wilkami lub czymś, czego

nie przewidzieliśmy... to powinniście wypatrywać ich z tamtej strony.

Nie dając im czasu na zadawanie pytań, Roland włożył dwa palce do ust i gwizdnął. Vaughn Eisenhart, Krella Anselm i Wayne Overholser dołączyli do pozostałych przy rowie i zaczęli popędzać dzieci, żeby wracały na trakt. Tymczasem Eddie obejrzał się za siebie i zdumiał się, widząc, jak blisko rzekę pojawiła się chmura kurzu. Tak szybki pochód nie powinien go dziwić, gdyż znał tajemnicę: te siwe rumaki wcale nie były końmi tylko pojazdami imitującymi wierzchowce. *Jak karawana rządowych chevroletów*, pomyślał.

— Rolandzie, jadą szybko! Jak diabli!
Rewolwerowiec spojrział.

— Zdażymy — rzekł.

! — Jesteś pewien? — zapytała Rosa. ^

— Tak.

Najmłodsze dzieci właśnie przebiegały z powrotem przez drogę, trzymając się za ręce, z oczami szeroko otwartymi ze strachu i podniecenia. Prowadzili je Cantab z Mannich i Ara, jego żona. Kaząła im maszerować prosto między rzędami kukurydzy i nie potrącić ani jednej suchej łodygi.

— Dlaczego, *sail* — zapytał jeden maluch, najwyżej czteroletni. Z przodu na spodenkach miał podejrzenie wyglądającą, ciemną plamę. — Przecież kolby już pozrywane.

— To taka zabawa — odparł Cantab. — Gramy w grę nie dotknij kukurydzy.

Zaczął śpiewać. Niektóre dzieci przyłączyły się do niego, ale większość była zbyt zaskoczona i przestraszona.

Gdy kolejne pary przechodziły przez drogę, coraz starsze i wyższe, Roland ponownie spojrział na wschód. Ocenił, że Wilki dzieli jeszcze dziesięć minut jazdy od brzegu rzeki Whye. Te dziesięć minut powinno wystarczyć, ale tamci naprawdę nadjeżdżali bardzo szybko! Przyszło mu do głowy, że może nie powinien wysłać młodego Slightmana i bliźnięt Tavery. Wprawdzie nie było tego w planie, lecz w miarę rozwoju sytuacji często trzeba zmieniać plany. Prawie zawsze.

Ostatnie dzieci przebiegły przez drogę i teraz pozostali na niej tylko Overholser, Callahan, starszy Slightman oraz Sarey Adams.

— Ruszajcie — polecił im.

— Chcę zaczekać na mojego chłopca! — sprzeciwił się Slightman.

— Ruszaj!

Slightman chciał się spierać, ale Sarey Adams ujęła go pod jedno ramię, a Overholser pod drugie.

— Chodź — powiedział. — On zajmie się twoim chłopcem tak samo jak swoim.

Slightman obrzucił Rolanda jeszcze jednym nieufnym spojrzeniem, po czym przeszedł przez rów i razem z Overholserem oraz Sarey dołączył do gromady dzieci.

— Susannah, pokaż im kryjówkę — powiedział Roland.

Zadbali o to, żeby dzieci przechodziły przez rów daleko od miejsca, w którym kopali poprzedniego dnia. Ochroniaczem kikuta Susannah rozrzuciła teraz stertę liści, gałęzi i suchych kukurydzianych łodyg — z rodzaju tych, które często widuje się na poboczu drogi — odsłaniając mroczny otwór.

— To tylko okop — powiedziała niemal przepaszająco. — Nakryty deskami. Lekkimi, łatwymi do odrzucenia. Schowamy się tutaj. Roland zrobił... Nie wiem, jak wy to nazywacie, ale tam, skąd ja pochodzę, mówimy na to peryskop. To takie urządzenie z dwoma lustrami w środku... Kiedy przyjdzie czas, wstaniemy, odrzucając deski na boki.

— Gdzie jest Jake i tamtych troje? — zapytał Eddie. — Powinni już tu być.

— Jeszcze za wcześnie — powiedział Roland. — Uspokój się, Eddie.

— Nie uspokoję się i nie jest za wcześnie. Powinniśmy ich już widzieć. Pójdę tam i...

— Nie, nie pójdziesz — przerwał mu Roland. — Musimy załatwić jak najwięcej wrogów, zanim zrozumieją, co się stało. A to oznacza, że musimy tu mieć jak największą siłę ognia.

— Rolandzie, coś jest nie tak.

Rewolwerowiec zignorował go.

— Moje panie, wejdźcie tu, proszę. Skrzynki z dodatkowymi talerzami będą tutaj. Tylko przykryjemy je liśćmi.

Patrzył na drogę, gdy Zalia, Rosa i Margaret zaczęły gramolić

się do odsłoniętej przez Susannah jamy. Szlak do wąwozu był już pusty. W dalszym ciągu nie było widać Jake'a, Benny'ego i bliźniaków. Zaczął podejrzewać, że Eddie ma rację: coś poszło nie tak.

6

Jake i jego towarzysze szybko i bez trudu dotarli do rozgałęzienia szlaku. Jake'owi zostały jeszcze dwa drobiazgi i kiedy znaleźli się na rozdrożu, rzucił zepsutą grzechotkę w kierunku Glorii, a plecioną dziewczęcą bransoletkę w kierunku Rudzika Dwa. *Wybierzcie sobie*, pomyślał, i w którąkolwiek stronę pojedziecie, niech was trafi szlag.

Odwrócił się i zobaczył, że bliźniaki Tavery już zawrócili. Benny czekał na niego, blady, lecz z błyszczącymi oczami. Jake skinął głową i odwzajemnił jego uśmiech.

— Chodźmy — powiedział.

Nagle usłyszeli gwizd Rolanda i bliźniaki rzuciły się biegiem, nie zważając na piargi i spore kamienie, którymi usiany był szlak. Wciąż trzymały się za ręce, omijając duże głazy, których nie mogły przeskoczyć.

— Hej, nie biegnijcie! — krzyknął Jake. — Mówił, żeby nie biec i patrzeć pod no...

W tym momencie Frank Tavery wpadł w jakąś dziurę. Jake usłyszał nieprzyjemny trzask łamiącej się w kostce nogi i widząc przerażoną minę Benny'ego, zrozumiał, że przyjaciel też słyszał ten dźwięk. Frank wydał głuchy, przeraźliwy jęk i zachwiał się. Francine chwyciła go za ramię i usiłowała podtrzymać, ale był zbyt ciężki. Wypadł jej z rąk jak worek owsa. Łoskot, z jakim uderzył głową o granitowy głaz, był znacznie głośniejszy od trzasku łamanej nogi. Z rany natychmiast zaczęła płynąć krew, jasnoczerwona w świetle poranka.

Mamy kłopoty, pomyślał Jake. *W dodatku w połowie drogi.*

Benny gapił się na to z otwartymi ustami i twarzą koloru wiejskiego sera. Francine klęczała nad bratem, który leżał z nogą wygiętą pod nienaturalnym kątem i stopą wciąż tkwiącą w dziurze. Wydawała piskliwe, zawodzące jęki. Nagle przestała jęczeć.

Postawiła oczy w słupek i runęła na omdlałego brata bliźniaka, tracąc przytomność.

— Chodźmy — powiedział Jake, a kiedy Benny nie ruszył się, stojąc z rozdziawionymi ustami, trącił go w ramię. — Na oblicze twego ojca!

Słyszając to, Benny w końcu poderwał się z miejsca.

7

Jake ocenił sytuację zimnym i trzeźwym okiem rewolwerowca. Krew na kamieniu. Przylepiony do niej kosmyk włosów. Tkwiąca w dziurze stopa. Ślina na ustach Franka Tavery'ego. Wypukłość dziewczęcych piersi jego nieprzytomnej siostry, leżącej na nim. Wilki zbliżały się. Powiedział mu o tym nie tylko gwizd Rolanda, ale i intuicja. *Eddie*, pomyślał. *Eddie chce tu przyjść.*

Jeszcze nigdy nie próbował wykorzystać swoich zdolności nawiązywania kontaktu do przesyłania wiadomości, zrobił to jednak teraz. *Zostań tam, gdzie jesteś! Jeśli nie zdołamy wrócić na czas, spróbujemy się ukryć i zaczekać, aż przejadą, lecz NIE PRZYCHODŹ TUTAJ! NIE PSUJ WSZYSTKIEGO!*

Nie miał pojęcia, czy ta wiadomość dotarła do Eddiego, ale wiedział, że na nic więcej nie ma już czasu. Tymczasem Benny był... zaraz. Co oznacza *le motjustel*? Pani Avery z Piper School była w tym bardzo dobra. A teraz znowu go to dopadło. Bełkot. Benny bełkotał.

— Co teraz zrobimy, Jake? Jezusie-Człowieku, oboje! A tak dobrze szło. Biegli i nagle... A jeśli zaraz nadjadą Wilki? Jeżeli pojawią się i zobaczą nas? Może powinniśmy ich tu zostawić, jak myślisz?

— Nie zostawimy ich — powiedział Jake. Pochylił się i wziął Francine Tavery za ramiona. Podniósł ją do pozycji siedzącej, głównie po to, żeby nie przygniatała brata, utrudniając mu oddychanie. Głowa opadła jej do tyłu, a czarne włosy jedwabistą falą spłynęły na ramiona. Zatrzepotała rękami, ukazując białka oczu. Bez namysłu Jake spoliczkował ją. Mocno.

— Au! — Szeroko otworzyła oczy, niebieskie, piękne i zaszkowane.

— Wstań! — rozkazał Jake. — Zejdź z niego!
Ile minęło czasu? Teraz, kiedy dzieci odeszły, wokół było tak cicho! Nie odezwał się żaden ptak, nawet wrona. Czekał na ponowny gwizd Rolanda, lecz nie doczekał się. Po co miałby gwizdać? Byli zdani na siebie.

Francine przetoczyła się na bok, a potem chwiejnie wstała.

— Pomóż mi... proszę, *sai*, błagam...

— Benny. Musimy wyjąć jego nogę z tej dziury.

Benny przyklęknął z drugiej strony nieprzytomnego chłopca. Wciąż był błądy, ale zaciskał wargi w sposób, który dodał otuchy Jake'owi.

— Złap go za ramię.

Chłopiec chwycił prawe ramię Franka Tavery'ego. Jake lewe. Ich oczy spotkały się nad jego ciałem. Jakie skinął głową.

— Teraz.

Pociągnęli razem. Frank Tavery otworzył oczy — równie niebieskie i piękne jak oczy jego siostry — i wydał tak przeraźliwy, że prawie bezdźwięczny krzyk. Lecz jego stopa nie wysunęła się z dziury.

Utkwiła zbyt głęboko.

8

Chmura kurzu zaczęła przybierać szarozielony kształt i słyszeli już tętent uderzających o twardą ziemię kopyt. Trzy kobiety ukryły się w wykopie. Tylko Roland, Eddie i Susannah pozostali w rowie. Mężczyźni stali, a Susannah klęczała, rozstawiwszy muskularne uda. Spoglądali na drugą stronę drogi, na szlak wiodący do wąwozu. Wciąż nie było na nim nikogo.

— Słyszałam coś — powiedziała Susannah. — Myślę, że jedno z nich jest ranne.

— Pieprzyć to, Rolandzie, idę do nich — oświadczył Eddie.

— Czy to Jake tego chce, czy ty? — spytał Roland.

Eddie zaczerwienił się. W myślach usłyszał głos Jake'a — wprawdzie nie rozróżnił słów, ale pojął ich sens — i Roland zapewne też.

— Tam jest setka dzieci, a tutaj tylko czworo — rzekł Roland. — Schowaj się, Eddie. Ty też, Susannah.

— A co z tobą? — zapytał Eddie.

Roland nabrał tchu, a potem powoli wypuścił powietrze.

— Pomógłbym im, gdybym mógł.

— Nie zamierzasz po niego iść, prawda? — Eddie z rosnącym niedowierzaniem patrzył na Rolanda. — Naprawdę nie zamierzasz.

Roland spojrzął na tuman kurzu i szarozieloną masę poniżej, z której za niecałą minutę mieli wyłonić się poszczególni jeźdźcy i konie. Jeźdźcy o wilczych pyskach pod zielonymi kapturami. Nie tyle jechali, co gnali ku rzece.

— Nie — powiedział Roland. — Nie mogę. Schowajcie się.

Eddie jeszcze przez moment nie ruszał się z miejsca, błąd i wstrząśnięty, trzymając dłoń na rękojeści rewolweru. Potem bez słowa odwrócił się plecami do Rolanda i chwycił Susannah za ramię. Uklęknął obok niej i wślizgnął się do wykopu. Teraz tylko Roland, z wielkim rewolwerem na lewym biodrze, spoglądał ponad drogą na pusty szlak do wąwozu.

9

Benny Slightman był dobrze zbudowanym chłopcem, ale nie zdołał ruszyć kawałka skały, który przygniótł stopę Tavery'ego. Jake zrozumiał to od razu. Jego umysł (chłodny, jakże chłodny) oszacował wagę rannego chłopca i ciężar kamienia. Ocenił, że kamień jest cięższy.

— Francine.

Spojrzała na niego niewidzącymi oczami, wilgotnymi od łez.

— Kochasz go? — zapytał.

— Tak, całym sercem!

On jest twoim sercem, pomyślał Jake. *Dobrze.*

— Zatem pomóż nam. Kiedy powiem, pociągnij go z całej siły. Nieważne, że będzie krzyczał. Ciągnij.

Skinęła głową, jakby zrozumiała. Jake miał nadzieję, że naprawdę tak jest.

— Jeśli tym razem go nie uwolnimy, będziemy musieli go tu zostawić.

— Nigdy! — krzyknęła.

Nie było czasu na spory. Jake dołączył do Benny'ego przy płaskim białym głazie. Tuż za jego poszarpaną krawędzią zakrwawiona łydka Franka zniknęła w czarnym otworze. Chłopicz był teraz zupełnie przytomny i ciężko dyszał. Z przerażenia przewracał lewym okiem. Prawe było niewidoczne pod zalewającą je krwią. Nad uchem zwiślał mu płat oderwanej skóry.

— My podniesiemy ten głaz, a ty wyciągniesz Franka — powiedział Jake do dziewczyny. — Na trzy. Gotowa?

Kiwnęła głową i włosy opadły jej na twarz. Nie próbowała ich odgarnąć, tylko chwyciła brata pod pachy.

— Francie, to boli! — jęknął.

— Zamknij się! — rzuciła.

— Raz — zaczął Jake. — Ciągnij to cholerstwo, Benny, nawet gdyby miały pęknąć ci jaja. Słyszysz?

— Dobra, tylko licz.

— Dwa, trzy!

Pociągnęli, krzycząc z wysiłku. Głaz poruszył się. Francine z całej siły szarpnęła brata do tyłu, też krzycząc.

Frank Tavery wrzasnął najgłośniejszym głosem, gdy wreszcie wyciągnęli jego stopę z pułapki.

10

Roland słyszał chrapliwe okrzyki wysiłku, zagłuszone przez wrzask bólu. Coś się tam stało i Jake usiłował temu zaradzić. Pytanie tylko, czy jego wysiłki okażą się wystarczające?

W porannym brzasku trysnęły fontanny wody, gdy horda Wilków galopem wjechała w rzekę Whye i zaczęła przeprowadzać się na drugi brzeg. Teraz Roland widział ich już wyraźnie, nadjeżdżających falami po pięciu lub sześciu, popędzających wierzchowce. Doliczył się około sześćdziesięciu. Wjechawszy w wodę, znikli mu z oczu, zasłonięci przez trawiastą skarpgę. Za chwilę pojawią się znowu, niecałą milę od niego. Po raz ostatni znikną za pagórkiem — wszyscy jednocześnie, jeśli nadal będą jechać taką zwartą grupą — i wtedy Jake ze swoimi towarzyszami będą mieli ostatnią szansę powrotu i ukrycia się.

Roland spoglądał na szlak, czekając na pojawienie się dzieci — czekając na pojawienie się Jake'a — lecz ścieżka pozostała pusta.

Wilki wjeżdżały już na zachodni brzeg rzeki, a ich konie strząsały z siebie deszcz kropel, które w porannym słońcu lśniły niczym złoto. Spod kopyt tryskały pecyny ziemi i piach. Tętent zmienił się w gromowy łoskot.

11

Jake zarzucił sobie na szyję jedno ramię, a Benny drugie. W ten

sposób znieśli Franka Tavery'go, zbiegając na złamanie karku, nie zważając na sterty kamieni. Francine biegła tuż za nimi.

Wypadli zza ostatniego zakrętu i Jake ucieszył się na widok Rolanda, którego dostrzegł w rowie po drugiej stronie drogi. Rewolwerowiec stał nieruchomo na straży, trzymając lewą dłoń na rękojeści rewolweru, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy,

— To mój brat! — zawołała do niego Francine. — On upadł! Noga wpadła mu do dziury!

Roland nagle znikł im z oczu. Francine rozejrzała się wokół, właściwie nie przestraszona, lecz zaskoczona.

— Co...?

— Czekajcie — zawołał Jake, ponieważ nie wiedział, co powiedzieć. Nic innego nie przyszło mu do głowy. Jeśli rewolwerowcowi także nie, to pewnie zaraz tu umrą.

— Moja kostka... boli! — jęknął Frank Tavery.

— Zamknij się — uciszył go Jake.

Benny zaśmiał się. Był to lekko drżący śmiech, ale szczerzy. Jake spojrzał na niego ponad szlochającym, zakrwawionym chłopcem... i mrugnął. Benny odpowiedział mrugnięciem. I nagle znów byli przyjaciółmi.

12

Leżąc w ciemnej kryjówce, mając po lewej Eddiego, a w nosie kwaśny zapach liści, Susannah nagle poczuła skurcz brzucha.

Jej zmysły ledwie zdążyły go zarejestrować, gdy sztylet po-

twornego bólu wbił jej się w lewą skroń, pozbawiając czucia całą tę stronę twarzy. Jednocześnie umysł wypełniła wizja sali biesiadnej: dymiących pieczeni, nadziewanych ryb, wędzonych sznek, kubelków szampa, sosjerek pełnych sosów, rzek czerwonego wina. Usłyszała dźwięki fortepianu i śpiew. Głos śpiewał przeraźliwie smutnie: „Ktoś ocalił, ktoś ocalił, ktoś ocalił mi życie dziś wieczorem”.

Nie! — krzyknęła w myślach do tej siły, która próbowała nad nią zapanować. Czy ta siła miała jakieś imię? Oczywiście. Zwała się Matką, to jej dłoń poruszała kołyską, a dłoń poruszająca kołyską panuje nad...

Nie! Musisz pozwolić mi to skończyć! Później, jeśli tego chcesz, pomogę ci! Pomogę ci go mieć! Jeśli jednak spróbujesz zmusić mnie do tego teraz, będę walczyła zębami i pazurami! I jeśli będę musiała zabić siebie, a razem ze mną twojego droгоценnego małego, zrobię to! Słyszysz mnie, suko?

Przez moment była tylko ciemność, dotyk nogi Eddiego, odrętwienie lewej połowy twarzy, tętent zbliżających się koni, kwaśny zapach liści oraz oddechy Sióstr szykujących się do walki. Potem Mia przemówiła do niej po raz pierwszy, wyraźnie formułując słowa w jej umyśle.

Stocz swoją walkę, kobieto. Nawet pomogę ci, jeśli zdołam. A potem dotrzymaj obietnicy.

— Susannah? — szepnęła leżący obok niej Eddic. — Wszystko w porządku?

— Tak — odparła. I tak się poczuła. Przeszywający ból znikł. Głos zamilkł. Okropne odrętwienie ustąpiło. Mia czekała w pobliżu.

Roland leżał na brzuchu w rowie, obserwując Wilki oczami duszy i wyobraźni. Najeźdźcy znajdowali się w połowie drogi między brzegiem rzeki a wzgórzem, jadąc pełnym galopem w rozwianych zielonych płaszczach. Zaraz znikną za szczytem pagórka na prawie siedem sekund. Oczywiście jeśli nadal będą jechali zwartą gromadą i ich przywódcy nie wysforują się do przodu. I jeśli dobrze obliczył ich prędkość. Jeżeli tak, to

będzie miał pięć sekund na przywołanie tu Jake'a i pozostałych. Najwyżej siedem. I jeśli dobrze to wykalkulował, w ciągu tych pięciu sekund będą musieli przebiec przez drogę. A jeśli się pomylił (albo grupka Jake'a nie będzie mogła poruszać się tak szybko), Wilki zauważą człowieka w rowie, dzieci na drodze, a nawet ich wszystkich. Z tak dużej odległości pewnie nie będą mogli użyć broni, lecz to bez znaczenia, gdyż odkryją starannie przygotowaną zasadzkę. Postąpiłby rozsądnie, nie wychylając się i pozostawiając dzieci ich własnemu losowi. Do diabła, czworo dzieci na drodze do wąwozu tylko upewniłoby Wilki, że reszta kryje się dalej, w jednej ze starych kopalń.

Dość marudzenia, odezwał się w jego myślach Cort. *Jeśli chcesz coś zrobić, robaku, teraz masz ostatnią szansę.*

Zerwał się z ziemi. Naprzeciw niego, osłonięci przez stertę głazów leżących w miejscu, gdzie szlak do wąwozu odchodził od wschodniego traktu, stali Jake z Bennym Slightmanem, podtrzymując Tavery'ego. Chłopak był cały zakrwawiony. Bóg wie, co mu się stało. Siostra wychylała się zza jego ramienia. W tym momencie wyglądali nie jak zwykle bliźniaki, ale jak sjamskie.

Roland energicznie podniósł obie ręce nad głowę i machnął nimi, jakby zagarniał powietrze w tył. *Do mnie, szybko! Szybko!* Jednocześnie spojrzął na wschód. Nie zobaczył Wilków. Dobrze. Wzgórze na moment zastłoniło ich.

Jake i Benny przebiegli przez drogę, wciąż taszcząc chłopca. Wlokące się po ziemi buciory Franka Tavery'ego pozostawiły dwie bruzdy. Roland mógł tylko mieć nadzieję, że Wilki nie zwrócą na nie uwagi.

Dziewczyna przybiegła ostatnia, lekko jak duch.

— Kryć się!—warknął Roland, łapiąc ją za ramię i rzucając na ziemię. — Kryć się, kryć!

Wylądował obok niej, a Jake na nim. Przez jego i swoją koszulę Roland z ulgą poczuł, jak mocno bije chłopcu serce.

Tętent był coraz głośniejszy, z każdą sekundą przybierając na sile. Czy nie zauważyli ich jeźdźcy jadący na przedzie? Trudno powiedzieć, ale tak czy inaczej, zaraz się okaże. Na razie powinni postępować zgodnie z planem. W kryjówce, która musiała pomieścić trzy dodatkowe osoby, zrobiło się ciasno,

a jeśli Wilki zauważyły przebiegającą przez drogę grupkę, to usmażą ich wszystkich, zanim zdążą wystrzelić lub rzucić jednym talerzem, lecz teraz nie pora, żeby się tym przejmować. Została im najwyżej minuta, ocenił Roland, a może tylko czterdzieści sekund, i ta odrobina czasu gwałtownie się kurczyła.

— Złaz ze mnie i schowaj się — powiedział do Jake'a. — Już.

Ciężar znikł. Jake wślizgnął się do dziury.

— Teraz ty, Frań — syknął Roland do Tavery'ego. — I bądź cicho. Za dwie minuty będziesz mógł wrzeszczeć do woli, ale teraz trzymaj dziób na kłódkę. To dotyczy wszystkich.

— Będę cicho — wychrypiał chłopiec.

Benny i siostra Franka kiwnęli głowami.

— Za chwilę wstaniemy i zaczniemy strzelać — mówił dalej Roland. — Wy troje, czyli Frank, Francine i Benny, nie podnoście głów. — I zaraz dodał: — Jeśli wam życie miłe, nie pokazujcie się.

14

Roland leżał w cuchnącej liśćmi i ziemią ciemności, słuchając zdyszanych oddechów dzieci znajdujących się po jego lewej ręce. Łoskot uderzających o ziemię kopyt szybko zagłuszył ten dźwięk. Rewolwerowiec ponownie spojrzął oczami duszy i intuicji. Za trzydzieści sekund — a może tylko piętnaście — bitewna furia przesłoni mu wszystko prócz kolejnych celów, lecz teraz miał przed sobą cały obraz sytuacji, która rozwijała się dokładnie tak, jak tego chciał. A czemu nie? Jaki sens wyobrażać sobie fiasko starannie opracowanego planu?

Zobaczył wszystkie bliźnięta leżące nieruchomo w najgęstszej i najwilgotniejszej części ryżowego pola, w szybko nasiąkających błotem koszulach i spodniach. Ujrzał ich opiekunów, którzy zajęli stanowiska przy samym brzegu rzeki. Widział Sarey Adams z talerzami i Arę z Mannich, żonę Cantaba, podobnie uzbrojoną (ona również umiała rzucać, lecz wywodząc się z Mannich, nie mogła być jedną z Sióstr Pani Ryżu). Ujrzał kilku mężczyzn — Estradę, Anselma, Overholsera — ścis-kających kusze. Yaught Eisenhart zamiast kuszy trzymał karabin

wyczyszczony przez Rolanda. Drogą ciągnęły szeregi jeźdźców w zielonych płaszczach, jadących na siwych koniach. Teraz zwalniali. Słońce wreszcie weszło i odbijało się od metalu ich masek. Najzabawniejsze było to, że pod tymi metalowymi maskami kryły się metalowe twarze. Roland pozwolił oczom wyobraźni spojrzeć z wysoka i poszukać innych jeźdźców — na przykład oddziału wjeżdżającego do miasta od niebronionej południowej strony. Nie dostrzegł. Przynajmniej oczami duszy widział wszystkich najeźdźców tutaj. Bo jeśli połknęli przynętę, tak starannie przygotowaną przez Rolanda i *ka-tet* dziewięćdziesiąt dziewięć, powinni być tu wszyscy. Zobaczył wozy, stojące rzędem na poboczu drogi, i pożałował, że nie wyprzęgli mułów oraz koni, choć oczywiście tak wyglądało to lepiej, jakby porzucono je w pośpiechu. Widział szlak wiodący w głąb wąwozu, do opuszczonych i czynnych kopalń, a także leżących dalej jaskiń. Zobaczył, jak jadące na przedzie Wilki ściągają wodze dłońmi w rękawicach, a ich wierzchowce szczerzą zęby. Ujrzał wszystko ich wzrokiem, obrazy nie rejestrowane przez ludzkie oczy, lecz zimne ślepie robotów, jak te w Magda-synach. Dostrzegł czapeczkę, upuszczoną przez Francine Tavery. Jego umysł wyczuł nikły, lecz charakterystyczny zapach dzieci. Silną i aromatyczną woń tego czegoś, co Wilki odbierały porwanym dzieciom. Jego umysł nie tylko wyczuwał, lecz również słyszał ciche szmery i trzaski, takie jakie wydawał Andy, ten sam cichy szum przekładników, serwomechanizmów, pomp hydraulicznych i bogowie wiedzą czego jeszcze. Oczami wyobraźni spostrzegł Wilki najpierw patrzące na gmatwaninę śladów na drodze (przynajmniej miał nadzieję, że były dla nich tylko gmatwaniną), a później na szlak wiodący w głąb wąwozu. Lepiej było nie wyobrażać sobie, że mogą spoglądać w przeciwnym kierunku, szykując się do usmażenia całej ukrytej w wykopie dziesiątki. Nie, na pewno patrzyły na wąwóz. Wyczuwały dzieci — być może ich strach, jak również tę niezwykłą substancję, wciąż obecną w ich mózgach — i widziały porzucone w popłochu różne śmieci i zabawki. Siedziały na swych mechanicznych rumakach. Rozglądały się.

Jedźcie, poganiał w duchu Roland. Poczł, jak Jake poruszył się niespokojnie, i wyczuł jego myśli. Niemal modlitwę. *No już. Ruszajcie. Za nimi. Za tym, po co tu przybyliście.*

Jeden z Wilków wydał donośny szczęk. Potem krótko zawyła syrena. Po niej rozległ się nieprzyjemny gwizd, który Jake słyszał już w Dogan. Później konie pojechały dalej. Najpierw słyszać było łoskot kopyt uderzających o *oggan*, a następnie o znacznie twardszy grunt kamienistego szlaku. Nic więcej: konie nie parskały nerwowo, tak jak te zaprzężone do wozów. To wystarczyło Rolandowi. Tamci połknęli haczyk. Wyjął rewolwer z kabury. Leżący obok Jake poruszył się i Roland wiedział, że chłopiec zrobił to samo.

Uprzedził swoich towarzyszy, czego mogą się spodziewać, kiedy wyskoczą z kryjówki: mniej więcej jedna czwarta Wilków zostanie po jednej stronie szlaku, patrząc ku rzece, a jedna czwarta skieruje się do miasta. Może nawet pojedzie ich tam nieco więcej, gdyż w razie jakichś kłopotów właśnie w miasteczku Wilki — a raczej ich programiści — będą oczekiwać oporu. A pozostałe? Trzydziestu lub więcej? Już jadące szlakiem. Ściśnięte w wąwozie.

Roland zaczął liczyć w myślach do dwudziestu, lecz przy dziewiętnastu doszedł do wniosku, że wystarczy. Podkulił nogi — teraz wcale nie dokuczał mu reumatyzm — i poderwał się z ziemi, trzymając w dłoni rewolwer swego ojca.

— *Za Gilead i Calla!* — ryknął. — *Teraz, rewolwerowcy! Teraz, Siostry Ryzu! Dalej! Zabić ich! Bez pardonu! Zabić wszystkich!*

Wyskoczyli spod ziemi niczym rosnące smocze kły. Deski odleciały na boki, w fontannach łądyg i liści. Roland i Eddie mieli wielkie rewolwery z rękojeściami z sandałowego drewna, Jake rugera swojego ojca. Margaret, Rosa i Zalia miały talerze, Susannah trzymała dwa, skrzyżowawszy ręce na piersi, jakby było jej zimno.

Wilki były rozstawione dokładnie tak, jak to widział Roland swoim chłodnym okiem wyobraźni. Na ten widok poczuł przelotną satysfakcję, o której natychmiast zapomniał, gdy bitewna furia przesłoniła mu wszystkie inne myśli i uczucia. Nigdy tak bardzo nie cieszył się życiem jak wtedy, gdy szykował się do

zadawania śmierci. *Pięć minut przelewania krwi* — mówił im i to pięć minut właśnie się zaczęło. Mówił im również, że potem zawsze jest mu niedobrze, i chociaż powiedział prawdę, to nigdy nie czuł się tak wspaniale jak na początku walki, nigdy w takim stopniu nie był sobą. Oto wzbijał się pod obłoki chwały! Nieważne, że przeciwnikami były roboty! Istotne było tylko to, że przez całe pokolenia żerowały na bezbronnych i tym razem zostały całkowicie zaskoczone.

— *W czubki głów!* — ryknął Eddie. Rewolwer, który trzymał w prawej ręce, huknął i plunął ogniem. Zaprzężone do wozów konie i muły stawały dęba, niektóre rżały z przerażenia. — *W czubki głów, w antenki!*

Jakby potwierdzając słuszność tej rady, zielone kaptury trzech jeźdźców po prawej stronie ścieżki poderwały się niczym szarpnięte niewidzialnymi palcami. Wszyscy trzej jeźdźcy bezwładnie zsunęli się z siodła i runęli na ziemię. W opowieści starego Jaffordsa trafiony przez Molly Doolin Wilk długo prężył się w skurczach agonii, lecz te trzy legły nieruchome jak głązy pod kopytami swych spłoszonych koni. Molly pewnie tylko zawadziła o ukryty pod kapturem „kapelusik”, ale Eddie dobrze wiedział, w co celować.

Roland też rozpoczął ogień, strzelając z biodra, niemal nie-dbale, lecz każda jego kula trafiała w cel. Mierzył do tych na szlaku, chcąc spiętrzyć tam stertę ciał, która zatarasuje drogę.

— *Oriza nie chybia!* — wrzasnęła Rosa Munoz. Jej talerz z przenikliwym świstem przeleciał nad wschodnim traktem. Ściął wierzchołek kaptura jeźdźca znajdującego się na początku szlaku do wąwozu, udaremniając jego rozpaczliwe wysiłki obrócenia wierzchowca. Trafiony spadł z konia, wysoko zadzierając nogi, i z łoskotem uderzył łbem o twardą ziemię.

— *Riza!* — krzyknęła Margaret Eisenhart.

— *Za mojego brata!* — zawołała Zalia.

— *Pani Ryżu dobrała się wam do tyłków, dranie!* — Susanah wyprostowała obie ręce, wypuszczając dwa talerze. Poleciały ze świstem i oba trafiły do celu. Strzępy zielonych kapturów powoli opadły na ziemię. Ich właściciele wylądowali na niej znacznie szybciej.

Jasne smugi ognia przecięły powietrze, gdy zbici po obu stronach drogi jeźdźcy wyjęli swoje świetlne pręty. Jake od-

strzelił antenkę pierwszemu, który to zrobił, i Wilk runął na swój złowrogo skwierczący miecz, w mgnieniu oka stając w ogniu. Jego koń odskoczył w bok, prosto pod strumień ognia z pręta jeźdźca po lewej. Promień odciął mu łeb, ukazując snop iskier i przewodów. Teraz syreny nie milkły, wyjąc niczym jakiś piekielny alarm przeciwwłamaniowy.

Roland sądził, że Wilki znajdujące się najbliżej Calla Bryn Sturgis spróbują wymknąć się z zasadzki i pojechać w stronę miasta. Zamiast tego dziewięć pozostałych — bo sześć Eddie załatwił pierwszymi sześcioma strzałami — popędziło wierzchowce w kierunku okopu. Dwa lub trzy Wilki cisnęły warczące srebrzyste kule.

— Eddie! Jake! Znicze! Po prawej!

Natychmiast odwrócili się we wskazanym kierunku, zostawiając pozostałe Wilki kobietom, które rzucały talerzami tak szybko, jak mogły wyjąć je z wyłożonych jedwabiem koszyków. Jake stał na szeroko rozstawionych nogach, z rugerem w wyciągniętej prawej ręce, lewą podtrzymując nadgarstek. Wiatr rozwiewał mu włosy. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy i uśmiechał się. Wystrzelił trzykrotnie, raz za razem. Przypominał sobie ten dzień w lesie, kiedy strzelał do rzucanych talerzy. Teraz miał przed sobą znacznie groźniejsze cele i cieszył się. Cieszył się. Pierwsze trzy latające kule eksplodowały w oślepiających błyskach niebieskawego światła. Czwarta odleciała w bok, a potem pomknęła prosto na niego. Jake uchylił się i usłyszał, jak przeleciała mu tuż nad głową, warcząc jak jakiś wkurzony toster. Chłopiec wiedział, że zaraz zawróci.

Zanim kula zdążyła to zrobić, Susannah odwróciła się i rzucała talerzem. Pocisk ze świstem pomknął do celu. Uderzył i znikł wraz z kulą w rozbłysku eksplozji. Odłamki posypały się na uschnięte łodygi kukurydzy, zapalając niektóre z nich.

Roland przeladowywał rewolwer, na moment kierując dymiącą lufę w ziemię między swoimi stopami. Jake i Eddie robili to samo.

Jakiś Wilk w rozwianym zielonym płaszczu przeskoczył przez stertę ciał przy wylocie wąwozu i talerz Rosy zdał mu kaptur z głowy, na moment odslaniając talerz radaru. Antenki członków niedźwiedziego orszaku poruszały się powoli i z trudem, lecz ta wirowała tak szybko, że widać było tylko metalicz-

ną smugę. Teraz znikła i Wilk runął na ziemię, wpadając na zaprzęg pierwszego wozu, należącego do Overholsera. Konie odskoczyły i popchnięty przez nie wóz wpadł na zaprzęg stojący za nim, miażdżąc cztery wierzgające i kwiczące zwierzęta. Próbowaly uciec, ale nie miały dokąd. Wóz Overholsera zachybotał się i przewrócił. Koń trafionego Wilka wypadł na trakt, potknął się o ciało innego Wilka i rozciągnął się w pyłe drogi, łamiąc sobie jedną nogę.

Roland przestał myśleć, ale widział wszystko. Załadował broń. Te Wilki, które wjechały do wąwozu, były zablokowane przez stertę ciał, tak jak na to liczył. Z piętnastu znajdujących się na drodze od strony miasta pozostały tylko dwa. Te z prawej usiłowały objechać rów, w którym zajęły stanowiska trzy Siostry Pani Ryżu i Susannah. Roland pozostawił ostatnie dwa Wilki po swojej stronie Eddiemu i Jake'owi. Przebiegł kawałek rowem, stanął za plecami Susannah i zaczął pluć ogniem do dziesięciu nacierających napastników. Jeden podniósł rękę, chcąc rzucić znicz, lecz w tym momencie kula Rolanda odcięła mu antenkę. Rosa położyła drugiego, a Margaret trzeciego.

Margaret schyliła się po następny talerz, a kiedy się wyprostowała, promień świetlny ściał jej głowę, która potoczyła się do rowu w aureoli płonących włosów. Dla Benny'ego była niemal drugą matką, więc jego reakcja wydawała się zupełnie zrozumiała. Odepchnął płonącą głowę, która upadła przy nim, i w panice wyskoczył z rowu, wrzeszcząc z przerażenia.

— Benny, nie, wracaj! — krzyknął Jake.

Dwa pozostałe Wilki rzuciły srebrzyste kule śmierci w uciekającego z krzykiem chłopca. Jake zestrzelił jedną, ale drugiej nie zdażył. Trafiła Benny'ego Slightmana w pierś i ciało chłopca dosłownie eksplodowało. Oderwana ręka wylądowała na środku drogi, otwartą dłońią do góry.

Susannah jednym talerzem odcięła antenkę Wilka, który zabił Margaret, a drugim załatwiła tego, który zabił przyjaciela Jake'a. Wyjęła z koszyka dwa następne i odwróciła się z powrotem do atakujących Wilków w chwili, gdy pierwszy wskoczył do rowu, a jego koń wpadł na Rolanda, obalając go. Napastnik zamierzył się świetlnym prętem na rewolwerowca. Ta broń przypominała Susannah czerwoną neonówkę.

— Mc z tego, skurwielu! — wrzasnęła i cisnęła talerzem,

który trzymała w prawej ręce. Pocisk przeciął lśniące ostrze i rękojeść miecza eksplodowała, odrywając Wilkowi rękę. W następnej chwili rzucony przez Rosę talerz odciął mu antenkę. Stwór zachwiał się i z łoskotem runął na ziemię, lśniącą maską ku oniemiałym ze strachu bliźniakom Tavery, które leżały na dnie rowu. W następnej chwili zaczął się dymić i topić.

Nawołując Benny'ego, Jake poszedł traktem; przeładowywał rugera i bezwiednie stąpał po kałużach krwi martwego przyjaciela. Po jego lewej Roland, Susannah i Rosa rozprawiali się z pięcioma Wilkami pozostałymi z tej grupki napastników, która w chwili ataku tworzyła północne skrzydło. Jeźdźcy bezradnie krążyli w kółko, najwidoczniej nie wiedząc, co robić w takiej sytuacji.

— Mogę ci towarzyszyć? — zapytał go Eddie.

Po ich prawej wszystkie Wilki, które znajdowały się na drodze od strony miasta, leżały pokotem. Tylko jeden zdołał dotrzeć do rowu: teraz leżał z zakapturzoną głową wbitą w ścianę wykopu i nogami na drodze. Zielony płaszcz spowijał całe jego ciało. Wyglądał jak owad, który zdechł w swoim kokonie.

— Jasne — odparł Jake. Powiedział to, czy tylko pomyślał? Nie miał pojęcia. Ryk syren rozdzierał powietrze. — Jak chcesz. Zabili Benny'ego.

— Wiem. Cholera.

— To powinien być jego pierdolony ojciec — rzekł Jake. Czy płakał? Sam nie wiedział.

— Też tak uważam. Masz tu prezent.

Eddie wcisnął mu do ręki dwie kule o średnicy około trzech cali. Wyglądały na stalowe, lecz kiedy Jake je ścisnął, poczuł, że lekko się uginają, jak dziecięce zabawki zrobione z bardzo twardej gumy. Mała tabliczka głosiła:

ZNICZ
MODEL HARRY POTTER

Numer seryjny 465-11 -AA HPJKR

UWAGA!
MATERIAŁ WYBUCHOWY

Po lewej stronie tabliczki był przycisk. Jakaś część umysłu Jake'a zastanawiała się, kim też był Harry Potter. Prawie na pewno wynalazcą znicza.

Dotarli do sterty martwych Wilków przy wylocie wąwozu. Być może maszyny nie mogą być martwe, ale patrząc na ten stos postaci, Jake nie potrafił znaleźć innego określenia. Martwe i już. I cieszył się z tego. Gdzieś za ich plecami rozległ się huk eksplozji, a po nim krzyk bólu lub radości. W tym momencie nic go to nie obchodziło. Całą uwagę skupił na pozostałych Wilkach, uwięzionych w wąwozie. Było ich około dwudziestu.

Pierwszy trzymał w ręku uniesiony skwierczący pręt. Stał bokiem do swych kompanów i machnięciem świetlnego pręta wskazał na drogę. *Tylko że to nie jest pręt*, pomyślał Eddie. *Miecz laserowy, podobny do jednego z tych z „Gwiezdných wojen”. Lecz te nie są rekwizytami — naprawdę zabijają. Co tu się dzieje, do diabła?* No cóż, ten na przedzie najwyraźniej próbował poderwać pozostałych do ataku. Eddie postanowił przerwać mu zabawę. Nacisnął kciukiem przycisk jednej ze zdobycznych kul. Znicz warknął i zadygotał mu w dłoni. Jak wibrator.

— Hej, słoneczko! — zawołał Eddie.

Przywódca Wilków nie obejrzał się, więc Eddie po prostu cisnął w niego zniczem. Lekko rzucona kula powinna upaść na ziemię dwadzieścia lub trzydzieści jardów przed grupką pozostałych Wilków i znieruchomieć. Zamiast tego przyspieszyła, uniosła się i uderzyła wodza Wilków prosto w wykrzywiony zastygłym uśmiechem pysk. Stwór znikł od szyi w górę, z antenką i wszystkim.

— No już — zachęcił Eddie. — Spróbuj. Wykorzystywanie przeciwko nim ich własnego sprzętu sprawi ci sporą fraj...

Nie zwracając na niego uwagi, Jake upuścił otrzymane od Eddiego znicze, wdrapał się na stertę pokonanych robotów i poszedł dalej szlakiem.

— Jake? Słuchaj, to nie jest dobry pomysł...

Ktoś złapał Eddiego za ramię. Odwrócił się, podnosząc broń, ale opuścił ją, gdy zobaczył, że to Roland.

— On cię nie słyszy — rzekł rewolwerowiec. — Chodź. Powinniśmy być przy nim.

— Zaczekaj, Rolandzie, zaczekaj! — zawołała Rosa. Była usmarowana krwią i Eddie domyślił się, że to krew biednej *sai Eisenhart*. Rosa najwidoczniej nie była ranna. — Chcę pójść z wami.

Dogonili Jake'a w chwili, gdy Wilki przypuściły ostatni atak. Kilka rzuciło znicze. Roland i Eddie z łatwością je zestrzelili. Jake dziewięć razy strzelił celnie, przytrzymując lewą dłonią przegub prawej ręki. Po każdym strzale jeden Wilk wylatywał z siodła albo zsuwał się na ziemię, gdzie tratowały go kopyta jadących za nim jeźdźców. Kiedy wystrzelił wszystkie naboje, Rosa, z imieniem *Pani Ryżu* na ustach, załatwiła dziesiątego Wilka. *Zalia Jaffords* dołączyła do nich i jedenasty przypadł jej w udziale.

Kiedy Jake ładował rugera, Roland i Eddie, stojąc ramię w ramię, zabrali się do pracy. Z pewnością mogli wystrzelać pozostałych ośmiu napastników (Eddie wcale się nie zdziwił, stwierdziwszy, że w tej ostatniej grupie było dziewiętnaście Wilków), ale ostatnich dwóch zostawili dla Jake'a. Gdy nadjechali, wywijając świetlnymi mieczami w sposób, który niewątpliwie przeraziłby farmerów, chłopiec odstrzelił antenkę temu po lewej. Potem odskoczył w bok, unikając ciosu, który bez przekonania chciał mu zadać ostatni Wilk.

Wierzchowiec napastnika przeskoczył przez stertę na końcu szlaku. *Susannah* była po drugiej stronie drogi, siedząc między zniszczonymi, odzianymi w zielone płaszcze maszynami i topiącymi się, dymiącymi maskami. Ona też była zbroczona krwią *Margaret Eisenhart*.

Roland zrozumiał, że Jake zostawił ostatniego jeźdźcę dla *Susannah*, której ze względu na brak nóg byłoby trudno wejść razem z nimi do wąwozu. Rewolwerowiec skinął głową. Chłopiec widział tego ranka straszne rzeczy i przeżył wstrząs, ale Roland uznał, że nic mu nie będzie. Ej — czekający na nich na plebanii *Callahana* — za pewnością pomoże mu pogodzić się ze stratą.

— *Pani Ryżu!* — wykrzyknęła *Susannah* i rzuciła ostatni

talerz, gdy Wilk skierował swego rumaka na wschód, chcąc uciec tam, skąd przybył. Talerz śmignął ze świstem i odciął czubek zielonego kaptura. Porywacz dzieci jeszcze przez moment trzymał się w siodle, wyjąc syreną i nadaremnie wzywając pomocy. Potem runął do tyłu, wywinął kozła w powietrzu i z łoskotem uderzył o ziemię. Syrena natychmiast zamilkła.

/ w ten sposób, pomyślał Roland, skończyło się nasze pięć minut. Tępo spojrzął na dymiącą lufę rewolweru, a potem wsunął go do kabury. Jeden po drugim wyłączały się syreny alarmowe zniszczonych robotów.

Zalia patrzyła na niego, nie pojmując.

— Rolandzie! — powiedziała.

— Tak, Zalio.

— Czy już ich nie ma? Czy to możliwe? Naprawdę?

— Nie ma — rzekł Roland. — Naliczyłem ich sześćdziesiąt jeden i wszystkie leżą tutaj, na drodze lub w naszym rowie.

Przez chwilę żona Tiana stała oniemiała, przetrawiając tę wiadomość. Potem zrobiła coś, co zdumiało nawet rewolwerowca, którego niewiele rzeczy było w stanie zadziwić. Rzuciła się na niego, uściskała i obsypała gorączkowymi, wilgotnymi pocałunkami. Roland znosił to przez chwilę, po czym odsunął się. Już robiło mu się niedobrze. Czuł się beзуzyteczny. Miał to doskonale znane wrażenie, że będzie toczył tę lub podobną do tej bitwę raz po raz przez całe wieki, tu tracąc obcięty przez homarokoszmary palec, tam wylupione przez sprytną wiedźmę oko, a po każdej walce Mroczna Wieża zamiast bliżej, będzie odrobinę dalej. W tym czasie choroba będzie nieubłaganie zmierzać w kierunku jego serca.

Przestań, nakazał sobie. To nie ma sensu i dobrze o tym wiesz.

— Przyślą następnych, Rolandzie? — zapytała Rosa.

— Może już nie mają następnych — odparł Roland. — A jeśli nawet, to niemal na pewno będzie ich mniej. A teraz już wiecie, jak je zabijać, prawda?

— Tak — powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Jej oczy obiecywały więcej niż kilka pocałunków, jeśli tylko zechce.

— Idź nad rzekę — powiedział Roland. — Zabierz ze sobą Zalię. Powiedz im, że już mogą wyjść. Pani Ryżu była dziś łaskawa dla Calla. I dla potomków Elda też.

— Nie pójdziesz do nich? — zapytała go Zalia. Odsunęła się, mocno zarumieniona. — Nie pójdziesz, żeby mogli ci podziękować?

— Może później posłuchamy ich wiwatów — rzekł Roland — teraz musimy porozmawiać *an-tet*. Chłopiec przeżył poważny wstrząs, wiesz.

— Tak — odparła Rosa. — No tak. Chodź, Zee. — Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Zalii. — Pomóż mi zanieść dobrą nowinę.

17

Obie kobiety przeszły przez drogę, szerokim łukiem obchodząc leżące na niej krwawe szczątki biednego Bena Slightmana. Zalia pomyślała, że to, co z niego zostało, trzyma się tylko dzięki ubraniu, i wzdrygnęła się na myśl o rozpaczy jego ojca.

Kobieta młodego rewolwerowca przeszła na drugim koniec wykopu i oglądała porzucane tam ciała Wilków. Znalazła jednego z nie całkiem odciętą antenką, która wciąż usiłowała się obrócić. Okryte zielonymi rękawiczkami ręce Wilka dygotały jak w ataku konwulsji. Na oczach Rosy i Zalii Susannah podniosła spory kamień i — spokojnie jakby tłukła uprzykrzoną muchę — spuściła go na resztki antenki. Wilk natychmiast znieruchomiał. Cichy warkot dochodzący z jego wnętrza ustał.

— Pójdziemy zawiadomić innych, Susannah — powiedziała Rosa. — Najpierw jednak chcemy podziękować ci za dobrą robotę. Kochamy cię, naprawdę!

Zalia kiwnęła głową.

— Dzięki ci, Susannah z Nowego Jorku. Dziękujemy ci bardziej, niż to można wyrazić słowami.

— Tak, piękne dzięki — przytaknęła Rosa.

Kobieta popatrzyła na nie i uśmiechnęła się słodko. Przez moment Rosalita miała niepewną minę, jakby dostrzegła w tej brązowej twarzy coś, czego nie powinno tam być. Na przykład zauważyła, że nie jest to już Susannah Dean. Zaraz jednak uspokoiła się.

— Idziemy zanieść dobrą nowinę, Susannah — zawołała.

— Bawcie się dobrze — odparła Mia, córka niczyja. — I przyprowadźcie ich z powrotem. Powiedzcie, że niebezpieczeństwo minęło, a ci, którzy w to nie uwierzą, niech policzą trupy.

— Masz mokre nogawki spodni, wiesz — zauważyła Zalia.

Mia poważnie skinęła głową. Kolejny skurcz zmienił jej brzuch w kamień, ale nie okazała tego po sobie.

— Obawiam się, że to krew. — Ruchem głowy wskazała na bezgłowe ciało żony bogatego ranczera. — Jej.

Kobiety poszły przez pole, trzymając się za ręce. Mia patrzyła, jak Roland, Eddie i Jake przechodzą przez drogę, zmierzając ku niej. Teraz nadchodziła niebezpieczna dla niej chwila. Może jednak niezbyt groźna, bo przyjaciele Susannah byli oszołomieni po bitwie. Jeśli jej zachowanie będzie trochę dziwne, może to samo pomyślą o niej.

Uznała, że po prostu będzie musiała poczekać na odpowiedni moment. Zaczekać... a potem uciec. Na razie pozwoliła unosić się skurczom, niczym łódź na falach.

Będą wiedzieli, dokąd poszła, usłyszała głos. Nie płynął z jej głowy, lecz z brzucha. Głos małego. I miał rację.

Zabierz kulę ze sobą. Odchodząc, zabierz kulę ze sobą. Nie zostawiaj im drzwi, przez które mogliby za tobą pójść.

Tak.

Trzasnął pojedynczy strzał z rugera i koń wyzionął ducha.

Znad rzeki, z ryżowego pola, nadleciał chóralny krzyk radości z pobrzmiwającą w nim nutą niedowierzania. Zalia i Rosa przekazały dobrą nowinę. Potem gwar radosnych głosów zagłuszył przeraźliwy krzyk rozpaczny. Najwidoczniej przekazały również złe wieści.

Jake Chambers siedział na kole przewróconego wozu. Wyprzął już te konie, którym nic się nie stało. Czwartry leżał z dwiema złamanymi nogami, tocząc pianę i szczerząc zęby, wypatrując pomocy u chłopca. Ten udzielił mu jej. Teraz siedział, patrząc na martwego przyjaciela. Krew Benny'ego wsiąkała w pył drogi. Dłoń na końcu oderwanej ręki była

otwarta, jakby zabity chłopiec chciał podać ją Bogu. Jakiemu Bogu? Powszechnie uważano, że ostatnie piętro Mrocznej Wieży jest puste.

Na ryżowym polu rozległ się kolejny krzyk rozpacz. Który wyrwał się z ust Slightmana, a który z ust Vaughna Eisenharta? Z daleka, pomyślał Jake, nie można odróżnić farmera od zarządcy, pracodawcy od pracownika. Czy tkwił w tym jakiś morał, czy też było to coś, co pani Avery w starej pocztowej Piper określiłaby jako FEAR — fałsz ewidentnie aproksymujący rzeczywistość?

Ta zwrócona ku niebu dłoń niewątpliwie była rzeczywista.

Teraz mieszkańcy zaczęli śpiewać. Jake rozpoznał pieśń. Była to nowa wersja tej, którą Roland śpiewał pierwszej nocy po przybyciu do Calla Bryn Sturgis.

*Chodź, chodź z nami
Bo dziś ryż zbieramy
Dalej, bracia i siostry
Spotkał ich los żaloszny
Bo dobrze nas skrywa
O-riza sativa...*

Łany ryżu kołysały się wokół przechodzących ludzi, jakby przyłączając się do ich radosnego tańca, tak jak Roland tańczył dla nich w blasku pochodni. Niektórzy nieśli dzieci na rękach, ale mimo to szli tanecznym krokiem. *Dziś rano tańczyliśmy wszyscy, pomyślał Jake. Nie miał pojęcia, co to oznacza, lecz wiedział, że tak było naprawdę. To był taniec. Jedyny, jaki znamy. A Benny Slightman? Umarł, tańcząc. Sai Eisenhart też umarła, tańcząc.*

Roland i Eddie podeszli do niego. Susannah również szła w jego stronę, ale pozostała nieco w tyle, jakby nabrała przekonania, że — przynajmniej na razie — mężczyźni powinni pozostać sami. Roland palnął i Jake ruchem głowy wskazał na papierosa.

— Skręć mi jednego, dobrze?

Roland obejrzał się na Susannah, unosząc brwi. Wzruszyła ramionami i skinęła głową. Skręcił chłopcu papierosa, podał mu go, a potem potarł zapałkę o siedzenie spodni i dał mu ogień. Jake usiadł na kole wozu, paląc niespiesznie, prze-

trzymując dym w ustach i wypuszczając. Ślina napłynęła mu do ust. Nie zrażało go to. W przeciwieństwie do niektórych rzeczy śliny można się pozbyć. Nie próbował się zaciągać*

Roland spojrzął w dół z boczna, gdzie pierwszy z dwóch biegnących mężczyzn już dotarł do łanów kukurydzy.

— To Slightman — rzekł. — Dobrze.

— Dlaczego dobrze, Rolandzie? — zapytał Eddie.

— Ponieważ *sai* Slightman będzie rzucał oskarżenia — odparł rewolwerowiec. — W rozpaczy nie będzie zważał na to, kto go słucha, ani na to, jakie wyciągnie wnioski co do jego roli w wydarzeniach, które doprowadziły do dzisiejszej potyczki.

— Raczej tańca — rzekł Jake.

Odwrócili się i popatrzyli na niego. Siedział blady i zamyślony na kole wozu, trzymając w palcach papierosa.

— Dzisiejszego tańca — dodał.

Roland zastanowił się nad tym, po czym kiwnął głową.

— Jego roli w dzisiejszym tańcu. Jeśli dotrze tu dostatecznie szybko, może zdołamy go uciszyć. Jeśli nie, śmierć syna będzie dopiero początkiem udręki Bena Slightmana.

19

Slightman był prawie piętnaście lat młodszy od ranczera i znacznie go wyprzedził w drodze na pobojowisko. Przez moment stał jak wryty na brzegu wykopu, spoglądając na zmasakrowane ciało leżące na drodze. Teraz nie było już tam tyle krwi — *oggan* łapczywie ją wchłonał — lecz oderwana ręka mówiła wszystko. Roland prędzej rozpiąłby rozporek i nasikał na zwłoki chłopca, niż ruszyłby tę rękę przed przybyciem Slightmana. Młody Slightman dotarł do kresu swojej życiowej drogi. Jego ojciec, najbliższy krewny, miał prawo zobaczyć, gdzie i jak się to stało.

Mężczyzna przez prawie pięć sekund stał w milczeniu, po czym nabrał tchu i przeraźliwie wrzasnął. Ten krzyk mroził krew w żyłach. Eddie obejrzał się na Susannah i odkrył, że nie ma jej w pobliżu. Nie winił żony za to, że czmychnęła. To była przykra scena. Jedna z najgorszych.

Slightman spojrział w lewo, spojrział w prawo, a potem prosto przed siebie. Zobaczył Rolanda stojącego z założonymi rękami obok przewróconego wozu. Opodal na kole siedział Jake, paląc swojego pierwszego w życiu papierosa.

— TY! — wrzasnął Slightman. Na ramieniu niósł kuszę. Teraz ją zdjął. — TY TO ZROBIŁEŚ! TY!

Eddie zręcznie wyjął broń z rąk Slightmana.

— Nie, nic z tego, współniku — mruknął. — Teraz już nie jest ci potrzebna, więc może pozwolisz, że ją przechowam.

Slightman jakby tego nie zauważył. Niewiarygodne, ale jego dłoń wciąż obracała się w powietrzu, jakby napinał kuszę do strzału.

— ZABIŁEŚ MOJEGO SYNA! ŻEBY MI ODPŁACIĆ! TY DRANIU! PARSZYWY MOR...

Poruszając się z niesamowitą, niewiarygodną szybkością, która wciąż zdumiewała Eddiego, Roland jedną rękę otoczył szyję mężczyzny i gwałtownie przyciągnął go do siebie. Mocny chwyt sprawił, że potok oskarżeń urwał się, jak ucięty nożem.

— Posłuchaj mnie — powiedział Roland — i słuchaj dobrze. Nie obchodzi mnie twoje życie i honor; to pierwsze jest nędzne, a drugiego dawno nie ma. Lecz twój syn nie żyje, a jego honor jest dla mnie bardzo ważny. Jeśli natychmiast się nie zamkniesz, ty obrzydliwy robaku, sam zamknę ci usta. Więc jak będzie? Dla mnie to obojętne. Powiem ludziom, że oszalałeś na jego widok, wyrwałeś mi broń z kabury i wpakowałeś sobie kulę w łeb, żeby do niego dołączyć. Jak wolisz? Decyduj.

Eisenhart był zasapany, ale wciąż chwiejnie przedzierał się przez pole kukurydzy, ochrypłym głosem nawołując żonę.

— Margaret! Margaret! Odpowiedz mi, kochana! Powiedz choć słowo, błagam!

Roland puścił Slightmana i zmierzył go surowym spojrzeniem. Zarządca zwrócił pełne szaleństwa oczy na Jake'a.

— Czy twój *dinh* zabił mojego syna, żeby się na mnie zemścić? Powiedz mi prawdę, chłopcze.

Jake skończył palić papierosa i rzucił go na drogę. Niedopałek upadł w pył obok zabitego konia.

— Czy dobrze mu się przyjrzałeś? — zapytał ojca Benny'ego. — Żadna kula nie zrobiłaby czegoś takiego. Głowa sai

Eisenhart upadła tuż przy Bennym, a on wyskoczył na drogę z... z przerażenia. — Nagle uświadomił sobie, że nigdy głośno nie wypowiedział tego słowa. Nigdy *nie musiał* go użyć. — Tamci rzucili w niego dwa znicze. Zestrzeliłem jeden, ale... — Przeknął ślinę. Ścisnęło go w gardle. — Ten drugi... jego też... próbowałem, ale... — Grymas wykrzywił mu twarz. Głos się łamał. Mimo to oczy chłopca były suche. I równie straszne jak oczy Slightmana. — Nawet nie zdążyłem wycelować — zakończył, a potem spuścił głowę i zaczął szlochać. Roland patrzył na Slightmana, unosząc brwi.

— W porządku—rzekł zarządca. — Teraz już rozumiem. Tak. Powiedz mi, czy do tego czasu był dzielny? Powiedz mi, błagam.

— Razem z Jakiem sprowadzili tu tych dwoje — powiedział Eddie, wskazując na bliźniaki Tavery. — Chłopiec był półprzytomny. Złamał sobie nogę. Jake i Benny uwolnili go z pułapki, a potem przynieśli tutaj. Twój chłopak miał jaja. Jak stąd do rzeki.

Slightman kiwnął głową. Zdjął z nosa okulary i spojrzał na nie tak, jakby nigdy wcześniej ich nie widział. Przez sekundę lub dwie trzymał je w ręku, a potem rzucił na drogę i rozdeptał obcasem. Niemal przepaszająco spojrzał na Rolanda i Jake'a.

— Sądzę, że widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć — powiedział i podszedł do swojego syna.

Vaughn Eisenhart wybiegł z kukurydzy. Zobaczył ciało żony i zawył. Potem rozdarł na sobie koszulę i zaczął uderzać pięścią w zwiotczałą pierś z lewej strony, za każdym razem wykrzykując imię żony.

— O rany — mruknął Eddie. — Rolandzie, powinieś go powstrzymać.

— Nie ja — odparł rewolwerowiec.

Slightman podniósł oderwaną rękę syna i ucałował z czułością, która dla Eddiego była niemal nie do zniesienia. Ułożył ją na piersi syna, a potem wrócił do nich. Bez okularów jego twarz wydawała się naga i dziwnie nieforemna.

— Jake, pomożesz mi znaleźć jakiś koc?

Chłopiec podniósł się, żeby pomóc mu w poszukiwaniach tego, czego potrzebował. W odsłoniętym rowie, który był ich kryjówką, Eisenhart tulił do piersi osmaloną głowę żony. W kukurydzy słychać było głosy zbliżających się dzieci i ich opiekunów, śpiewających pieśń ryżu. W pierwszej chwili Eddie pomyś-

łał, że nadlatujące od strony miasta dźwięki są echem tej pieśni, a potem zrozumiał, że to śpiewają mieszkańcy Calla. Usłyszeli pieśń ryżu i wiedzieli, co to oznacza. Nadchodzili.

Pere Callahan wyszedł z kukurydzy, niosąc na rękach Lię Jaffords. Pomimo zgiełku dziewczynka spała. Callahan spojrzął na sterty zabitych Wilków, wyciągnął jedną drżącą dłoń i nakreślił w powietrzu znak krzyża.

— Bogu niech będą dzięki — powiedział.

Roland podszedł do niego i chwycił go za rękę.

— Pobłogosław i mnie — poprosił.

Callahan spojrzął na niego ze zdziwieniem. Roland wskazał na Vaughna Eisenharta.

— On zapowiedział, że mnie przeklnie, jeśli jego żonie coś się stanie.

Powiedziałby więcej, ale nie musiał. Callahan zrozumiał i nakreślił znak krzyża na czole Rolanda. Rewolwerowiec jeszcze długo czuł ciepły dotyk jego palca. I chociaż Eisenhart nie spełnił swej groźby, Roland nigdy nie żałował, że poprosił Callahana o tę przysługę.

20

Na wschodnim trakcie zapanował radosny nastrój, mimo smutku z powodu śmierci dwóch powszechnie lubianych osób. Nawet ten fakt nie zdołał przyćmić blasku zwycięstwa. Nikt nie uważał, że straty choćby w przybliżeniu dorównują zyskom. Eddie doszedł do wniosku, że tak jest istotnie. Oczywiście jeśli nie straciło się żony lub syna.

Śpiew od strony miasta słychać było coraz bliżej. Po chwili ujrzeni tuman kurzu. Kobiety i mężczyźni padali sobie w ramiona. Ktoś próbował odebrać głowę Margaret Eisenhart jej mężowi, ale ten nie chciał jej oddać.

Eddie podszedł do Jake'a.

— Nigdy nie widziałeś *Gwiazdnych wojen*, prawda? — zapytał.

— Nie, przecież ci mówiłem. Chciałem, ale...

— Opuściłeś Nowy Jork przed premierą. Wiem. Te miecze, którymi wywijali... Jake, one były z tego filmu.

— Jesteś pewien?

— Tak. A te Wilki... Jake, te Wilki...

v

Chłopiec powoli pokiwał głową. Już widzieli **ludzi** nadchodzących od strony miasta. Nowo przybyli ujrzeli dzieci — wszystkie całe i zdrowe — i wydali chóralny okrzyk radości, [dący na przedzie zaczęli biec.

— Wiem.

— Naprawdę? — zapytał Eddie, niemal z błaganiem w oczach. — Naprawdę wiesz? Ponieważ... chociaż to wydaje się niemożliwe...

Jake spojrzał na leżące pokotem Wilki. Na zielone kaptury. Szare spodnie. Czarne buty. Groźne, rozkładające się maski. Eddie zdążył już zerwać jedną z nich i sprawdzić, co kryje się pod spodem. Ujrzał tylko gładki metal, dwie soczewki oczu, zakryty siatką okrągły otwór niewątpliwie pełniący funkcję nosa, a na skroniach dwa mikrofony zamiast uszu. Nie, wszelkie podobieństwo tych stworów do ludzi kończyło się na maskach i ubraniach.

— Możliwe czy nie, ja wiem, kim one są, Eddie. Albo skąd się wzięły. Z komiksów Marvela.

Na twarzy Eddiego pojawiła się bezgraniczna ulga. Pochylił się i cmoknął Jake'a w policzek. Chłopiec uśmiechnął się kącikiem ust. Był to zaledwie cień uśmiechu, ale zawsze to jakiś początek.

— Cykl o Spidermanie — powiedział Eddie. — Kiedy byłem chłopcem, zaczytywałem się w nich.

— Ja ich nie kupowałem — wyjaśnił Jake — ale Timmy Mucci z kręgielni miał bogaty zbiór komiksów Marvela. O człowieku-pająku, fantastycznej czwórce, Hulku, Kapitanie Ameryka, wszystkie. Te Wilki...

— Wyglądają jak Dr Doom — dokończył Eddie.

— Taak — rzekł Jake. — Może niedokładnie tak samo. Wydaje mi się, że ich maski zostały trochę przerobione, żeby upodobnić je do wilków, ale poza tym... Takie same zielone kaptury, zielone płaszcze. Tak, to Dr Doom.

— I te znicze — dodał Eddie. — Słyszałeś o Harrym Potterze?

— Nie sądzę. A ty?

— Nie, i powiem ci dlaczego. Ponieważ znicze są z przy-

szłości. Pewnie z jakiegoś komiksu, który ukaże się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym albo dziewięćdziesiątym piątym roku. Rozumiesz, o czym mówię? Jake skinął głową

— Wszędzie jest dziewiętnaście, prawda?

— Taak — mruknął Jake. — Dziewiętnaście Sto dziewięćdziesiąt dziewięć albo tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Eddie rozejrzał się wokół.

— Gdzie Suze?

— Pewnie poszła po swój fotel — domyślił się Jake.

Zanim jednak zaczęli dociekać, gdzie podziała się Susannah

Dean (choć w tym momencie i tak było już za późno), pierwsi mieszkańcy Calla dotarli na miejsce. Eddiego i Jake'a porwała wezbrana fala entuzjazmu: obejmowano ich, całowano, ściskano im dłonie, uśmiechano się do nich, płakano i dziękowano bez końca.

21

Dziesięć minut po tłumnym przybyciu mieszkańców miasteczka Rosalita zdołała przedrzeć się do Rolanda. Rewolwero-wiec ucieszył się na jej widok. Eben Took uczeplił się go i powtarzał raz po raz, że się mylił, on oraz Telford strasznie się mylili, i kiedy Roland oraz jego *ka-tet* zechcą opuścić miasteczko, Eben Took zaopatrzy ich na drogę i nie policzy sobie za to ani pensa.

— Rolandzie! — zawołała Rosa.

Rewolwero-wiec przeprosił sklepikarza, wziął ją pod rękę i odprowadził na bok. Wszędzie leżały ciała Wilków, teraz bezlitośnie ograbiane ze wszystkiego przez roześmianych, pijanych szczęściem mieszkańców. Od strony miasteczka wciąż nadchodzili spóźnialscy.

— Rosa, co się stało?

— Chodzi o waszą Suze — powiedziała Rosalita. — O Susannah.

— Co z nią? — zapytał Roland. Marszcząc brwi, rozejrzał się wokół. Nigdzie nie dostrzegł Susannah i nie mógł sobie przypo-

mnieć, kiedy ostatnio ją widział. Gdy dawał Jake'owi papierosa? Tak dawno? Tak mu się wydawało. — Gdzie ona jest?

— Właśnie o to chodzi — odparła Rosa. — Nie wiem. Zajrzałam do wozu, na który weszła. Myślałam, że może położyła się tam, żeby odpocząć. Przyszło mi do głowy, że zasłabła albo rozboleła ją brzuch. Lecz nie było jej tam. A poza tym, Rolandzie... jej fotela też nie ma.

— Bogowie! — zawołał Roland i uderzył pięścią w udo. — O Bogowie!

Rosalita cofnęła się o krok, przestraszona.

— Gdzie jest Eddie? — zapytał.

Pokazała mu. Eddiego otaczał tak zwarty krąg zachwyconych mężczyzn i kobiet, że Roland nie zauważyłby go, gdyby nie siedzące mu na karku dziecko: uśmiechnięty od ucha do ucha Heddon Jaffords.

— Na pewno jest ci potrzebny? — spytała nieśmiało Rosa. — Może ona tylko odeszła na chwilę, żeby dojść do siebie.

Odeszła, powtórzył w myślach Roland. Poczuł, jak serce ściska mu się z rozpacz. Rzeczywiście odeszła. I dobrze wiedział, kto pojawił się na jej miejscu. Po walce na chwilę zapomnieli o czujności, zajęci cierpieniem Jake'a... gratulacjami mieszkańców... w całym tym zamieszaniu, śpiewach i radości... To jednak żadne usprawiedliwienie.

— *Rewolwerowcy!* — krzyknął i rozradowany tłum natychmiast ucichł. Gdyby dobrze się przyjrzał, na twarzach ludzi zobaczyłby strach kryjący się pod ulgą i radością. Nie było to dla niego niczym nowym: zawsze obawiano się ludzi, którzy noszą broń. Kiedy ucichły strzały, chcieli tylko nakarmić ich na drogę, może pójść z wdzięczności do łóżka, a potem pomachać im na pożegnanie i wrócić do spokojnego uprawiania roli.

No cóż, pomyślał Roland, nie zostaniemy tu długo. W rzeczy samej, jedno z nas już odeszło. Na bogów!

— Rewolwerowcy, do mnie! Do mnie!

Eddie pierwszy dotarł do Rolanda. Rozejrzał się.

— Gdzie Susannah? — zapytał.

Roland wskazał na kamienistą pustynię usianą skałami i parowami, po czym podniósł palec, wskazując na czarny otwór w skalnym urwisku.

— Myślę, że tam — powiedział.

Krew odpłynęła z twarzy Eddiego Deana.

— To Jaskinia Przejścia. Tak?

Roland kiwnął głową.

— A kula... Czarna Trzynastka... Susannah nawet nie chciała się do niej zbliżyć, kiedy w kościele Callahana...

— Nie — powiedział rewolwerowiec. — Susannah nie chciała. Tylko że teraz nie ona decyduje.

— Mia? — spytał Jake.

— Tak. — Roland wyblakłymi oczami spoglądał na wejście do jaskini. — Mia chce urodzić dziecko. Chce mieć swego małego.

— Nie. — Eddie wyciągnął ręce i chwycił go za koszulę. Otaczający ich tłum milczał, obserwując. — Rolandzie, powiedz, że to nieprawda.

— Pójdziemy za nią. Miejmy nadzieję, że nie będzie za późno — rzekł Roland.

W głębi serca wiedział, że już jest za późno.

EPILOG

JASKINIA PRZEJŚCIA

. . 1

Podążali szybko, ale Mia była szybsza. Miłą od miejsca, gdzie rozwidła się szlak, znaleźli fotel. Popychała go z całą siłą swoich muskularnych rąk, nie zważając na nierówności terenu. W końcu z impetem wpadła na wystający głaz. Lewe koło odkształciło się i fotel nie nadawał się już do dalszej jazdy. I tak graniczyło z cudem, że dotarła na nim tak daleko.

— Pieprzyć to — mruknął Eddie, spoglądając na fotel. Na wygięcia, wyszczerbienia i rysy. Potem uniósł głowę, przyłożył dłonie do ust i zawołał: — Walcz z nią, *Susannah!* Walcz! Idziemy!

Przecisnął się obok fotela i poszedł ścieżką w górę, nie oglądając się na pozostałych.

— Ona nie zdoła dotrzeć do jaskini, prawda? — zapytał Jake. — Chcę powiedzieć, że przecież nic ma nóg.

— Można by tak sądzić, no nie? — odparł Roland. Miał ponurą minę. I utykał. Jake już chciał to skomentować, ale rozmyślił się.

— Czego ona tam szuka? — spytał Callahan. Roland obrzucił go chłodnym wzrokiem.

— Drogi do innego świata. Ty chyba powinienes to rozumieć. Chodźcie.

2

Kiedy zbliżali się do miejsca, od którego ścieżka pięła się pionowo w górę, Roland dogonił Eddiego. Gdy za pierwszym

razem położył dłoń na jego ramieniu, młodzieniec strząsnął ją. Za drugim razem odwrócił się — niechętnie — i spojrzął na niego. Roland zobaczył krew na gorsie koszuli Eddiego. Zastanawiał się, czy była to krew Benny'ego, Margaret, czy ich obojga.

— Jeśli to Mia, to może byłoby lepiej zostawić ją na jakiś czas w spokoju — powiedział Roland.

— Oszalałeś? Czy walcząc z Wilkami, postradałeś zmysły?

— Może jeśli zostawimy ją w spokoju, zrobi swoje i zniknie. Mówiąc te słowa, Roland sam w to nie wierzył.

— Taak — odparł Eddie, mierząc go pałającym wzrokiem. — Zrobi swoje, pewnie. Najpierw urodzi małego. Potem zabije moją żonę.

— To byłoby samobójstwo.

— Mimo to. Musimy ją powstrzymać.

Roland rzadko poddawał się, ale opanował tę umiejętność i w tych nielicznych okolicznościach, kiedy było to konieczne, potrafił się nią wykazać. Ponownie spojrzął na bladą, zawziętą twarz Eddiego Deana, a potem zrobił to jeszcze raz.

— W porządku — ustąpił — ale musimy zachować ostrożność. Będzie stawiała opór. Zabije, jeśli będzie musiała. Ciebie nawet prędzej niż któregokolwiek z nas.

— Wiem — odparł Eddie. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Spojrzął w górę na ścieżkę, lecz ćwierć mili dalej znikła z oczu za załomem urwiska. W pewnym miejscu wracała zygzakiem na południową ścianę, wiodąc tuż poniżej wejścia do jaskini. Nigdzie nie było widać Susannah, ale czego to dowodziło? Mogła być gdziekolwiek. Eddiemu przyszło do głowy, że może udała się w zupełnie innym kierunku, a uszkodzony fotel był takim samym fortem jak dziecięce drobiazgi, które Roland kazał zostawiać na szlaku w wąwozie.

Nie wierzą. W tej okolicy jest milion kryjówek i jeśli przyjąć, że schowała się w jednej z nich...

Callahan z Jakiem doszli do nich i stali, patrząc na Eddiego.

— Chodźmy — rzekł. — Nie obchodzi mnie, kim ona jest, Rolandzie. Jeśli czterech silnych mężczyzn nie zdoła złapać jednej beznogiej damy, to powinniśmy złożyć broń i przejść na emeryturę.

Jake uśmiechnął się.

- Słyszałeś go?
- Nie.
- To skąd możesz wiedzieć?
- A jednak wiem — powiedział Roland. — Ktoś ją stąd zabrał. Albo coś.
- Nie możesz tego wiedzieć, niech cię szlag!
- Andy mógł zostawić jej jakiś środek transportu — zauważył Jake. — Jeśli ktoś mu kazał.
- Kto kazałby mu zrobić coś takiego? — wycodził Eddie.
- Finli*, pomyślał Jake. *Finli o 'Tego, kimkolwiek on jest. A może Walter.* A jednak nie wspomniał o tym słowie. Eddie i tak był już zdenerwowany.
- Ona odeszła. Pogódź się z tym — mówił dalej Roland.
- Pierdol się! — warknął Eddie i ruszył ścieżką w górę. — Chodźcie!

4

W głębi serca wiedział, że Roland ma rację. Ruszył do Jaskini Przejścia nie z nadzieją, lecz z rozpaczliwą determinacją. W miejscu, gdzie leżał wielki głaz, niemal zagradzając ścieżkę, znaleźli porzucony trzykołowy pojazd na balonowych oponach. Jego elektryczny silnik jeszcze cicho mruczał miarowym „mmm”. Eddiemu przypominał jeden z tych małych pojazdów terenowych, jakie sprzedają w sklepie Abercrombie & Fitch. Miał manetkę gazu i ręczne hamulce. Eddie pochylił się i odczytał napis wytłoczony na stalowej ręczce:

HAMULCE SZCZĘKOWE PRODUKCJI NORTH CENTRAL
POSITRONICS

Za rowerowym siodełkiem znajdował się niewielki pojemnik. Eddie otworzył go i wcale się nie zdziwił na widok sześciopaków nozz-a-li, ulubionego napoju wścibskich obiboków. Z opakowania wyjęto jedną puszkę. Oczywiście, chciało jej się pić. Szybki marsz powoduje pragnienie. Szczególnie w czasie ciąży.

— Ten pojazd pochodzi z bazy za rzeką — mruknął Jake. — Z Dogan. Gdybym sprawdził, co jest na tyłach, na pewno

zauważyłbym go. Pewnie stoi ich tam kilka. Założę się, że przyprowadził go tu Andy.

Eddie musiał przyznać, że ta teoria ma sens. Dogan najwyraźniej był jakiegoś rodzaju posterunkiem, zapewne zbudowanym na długo przed pojawieniem się obecnych nieprzyjemnych mieszkańców Jądra Gromu. Właśnie w tego rodzaju pojazdy należało wyposażać patrole na takim terenie jak tutaj.

Stojąc obok wielkiego głazu, Eddie widział to miejsce na wschodnim trakcie, gdzie niedawno walczyli z Wilkami za pomocą talerzy i kul. Było tam tyle ludzi, że przypominało mu to paradę z okazji Święta Dziękczynienia. Wszyscy mieszkańcy Calla Bryn Sturgis świętowali teraz, a Eddie w tym momencie nienawidził ich. *Moja żona odeszła przez was, tchórzliwe sukiny, pomyślał.* Była to idiotyczna myśl, potwornie niesprawiedliwa, a mimo to przynosząca rodzaj nieprzyjemnej satysfakcji. Jak brzmiał wiersz Stephena Crane'a, który czytali w liceum? „Podoba mi się, bo goryczy pełne, i dlatego że to moje serce”. No, coś w tym stylu.

Roland stał teraz przy pozostawionym, cicho pomrukującym trójkołowcu i jeśli w oczach rewolwerowca Eddie widział współczucie — albo gorzej, litość — to niech je sobie wsadzi gdzieś.

— Chodźcie, ludzie. Znajdźmy ją.

5

Tym razem głos, który -..., napłynął z głębi Jaskini Przejścia, należał do kobiety, której Eddie nigdy nie spotkał, aczkolwiek słyszał o niej — och, tak, aż za dużo, piękne dzięki — i natychmiast domyślił się, kto mówi.

— Nie ma jej, ty myślący kutasem łajzo! — zawołała z ciemności Rhea z Cóos. — Poszła rodzić gdzie indziej, rozumiesz? I nie wątpię, że gdy w końcu jej mały kanibal przyjdzie na świat, schrupie mamusię, poczynając od cipy! — Roześmiała się, złośliwym (i nieprzyjemnym) śmiechem starej wiedźmy. — On nie będzie ssał cycka, ty tępaku! Potrzebuje mięsa!

— Zamknij się! — rzucił w ciemność Eddie. — Zamknij się, ty... ty pieprzona zjawo!

O dziwo, zjawą posłuchała.

Eddie rozejrzał się. Zobaczył przekłete pudło z książkami Towera — pierwsze wydania pod szkłem, piękne dzięki — ale nie dostrzegł różowej torby z napisem ŚWIAT POŚREDNI ani rzeźbionej szkatułki z widmowego drzewa. Nieodkryte drzwi były, z zawiasami wciąż tkwiącymi w powietrzu, lecz teraz wyglądały dziwnie zwyczajnie. Nie tylko nieodkryte, ale nieużywane: jeszcze jeden bezużyteczny przedmiot świata, który poszedł naprzód.

— Nie — powiedział Eddie. — Nie pogodzę się z tym. Moc jeszcze tu jest. Jeszcze jest.

Odwrócił się i spojrzał na Rolanda, który jednak nie patrzył na niego. Zdziwiałające, ale oglądał książki. Jakby znudziły go poszukiwania Susannah i szukał dobrej lektury, żeby zabić czas. Eddie chwycił Rolanda za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

— Co się stało, Rolandzie? Wiesz?

— To, co się stało, jest oczywiste — odparł Roland. Callahan stanął przy nim. Tylko Jake, który po raz pierwszy znalazł się w Jaskini Przejścia, zatrzymał się przy wejściu. — Wjechała na fotelu najwyżej jak mogła, potem na czworakach dotarła do podnóża urwiska, co nie było łatwe dla kobiety, która niebawem będzie rodzić. Na początku ścieżki ktoś... zapewne Andy, jak uważa Jake... zostawił jej pojazd.

— Jeśli to był Slightman, wróć tam i zabiję go. Roland pokręcił głową.

— To ^{nie} *Lecz Slightman z pewnością o tym wiedział*, pomyślał. Być ^{on} może nie miało to znaczenia, ale nie lubił niedopracowanych szczegółów, tak jak nie lubił krzywo wiszących obrazów.

— Hej, braciszku, przykro mi to mówić, ale twoja kaleka suka nie żyje — zawołał Henry Dean z głębi jaskini. W jego głosie nie było słycać współczucia, tylko radość. — To cholerastwo zeżarło ją całą, od krocza po mózg! Zatrzymało się tylko na chwilę, żeby wypluć zęby!

— *Zamknij się!* — wrzasnął Eddie.

— Jak wiesz, mózg zawiera najwięcej fosforu — powiedział Henry łagodnym, pouczającym tonem. — Dlatego jest tak ceniony przez wszystkich ludożerców. Nieźłego małego sobie zafundowała, Eddie! Sprytny, ale nienażarty.

— Cicho bądź, na Boga! — zawołał Callahan i brat Eddiego ucił. Na moment wszystkie głosy zamilkły.

— Dotarła tutaj — ciągnął Roland, jakby nie słyszał tej wymiany zdań. — Wzięła torbę. Otworzyła szkatułkę, żeby Czarna Trzynastka mogła uchylić drzwi. Zrobiła to Mia... nie Susannah, lecz Mia. Córka niczyja. A potem, niosąc otwartą szkatułkę, przeszła przez drzwi. Po drugiej stronie zamknęła szkatułkę, zamykając drzwi. Przed nami.

— Nie! — krzyknął Eddie i chwycił kryształową gałkę z wrytym na niej geometrycznym wzorem róży. Nie obróciła się. Nawet nie drgnęła.

— Gdybyś się pospieszył, synu, uratowałbyś swoją przyjaciółkę. To twoja wina — napłynął z ciemności głos Elmera Chambersa.

I zamilkł.

— To nie jest prawdziwy głos — rzekł Eddie i przesunął palcem po róży. Na palcu pozostał mu kurz. Jakby te drzwi stały tutaj nie tylko nieodkryte, ale i nieużywane, przez wiele wieków. — Po prostu powtarza najgorsze myśli, jakie przychodzą ci do głowy.

— Zawsze cię nienawidziłam, palancie! — krzyknęła triumfalnie Delta z mrocznej czeluści za drzwiami. — I cieszę się, że w końcu się od ciebie uwolniłam!

— Właśnie takie — rzekł Eddie, wskazując kciukiem w kierunku, z którego dobiegał ten głos.

Jake kiwnął głową, blady i zamyślony. Tymczasem Roland znów przeglądał książki Towera.

— Rolandzie? — Eddie starał się powstrzymać irytację, a przynajmniej zdobyć na odrobinę cierpkiego humoru, ale nie udało mu się ani jedno, ani drugie. — Czy my cię nudzimy?

— Nie — odparł rewolwerowiec.

— Zatem wołałbym, żebyś przestał oglądać te książki i pomógł mi znaleźć jakiś sposób, żeby otworzyć te chol...

— Ja wiem, jak je otworzyć — powiedział Roland. — Chodzi jedynie o to, dokąd nas zaprowadzą teraz, kiedy nie ma kryształu. No i o to, dokąd chcemy się udać. Czy za Mią, czy tam, gdzie Tower i jego przyjaciel ukrywają się przed Balazarem i jego kumplami?

— Ruszymy za Susannah! — wykrzyknął Eddie. — Nie słyszałeś tych przeklętych głosów? To kanibal! Moja żona może właśnie teraz rodzi jakiegoś żarłocznego potwora i jeśli uważasz, że jest coś ważniejszego...

— Wieża jest ważniejsza — oznajmił Roland. — A gdzieś po drugiej stronie tych drzwi znajduje się człowiek, który tak się nazywa. Człowiek będący właścicielem pewnej pustej parceli i rosnącej na niej róży.

Eddie spojrział na niego niepewnie. Jake i Callahan też. Roland ponownie spoglądał na pudło z książkami. Stojąc w ciemnej jaskini, wyglądało naprawdę dziwnie.

— I jest właścicielem tych książek — głośno myślał Roland. — Wiele ryzykował, żeby je ocalić.

— Taak, ponieważ jest nawiedzonym popaprańcem.

— A jednak wszystko służy *ka* i podąża ścieżką Promienia — rzekł Roland i wyjął jakiś tomik. Eddie zauważył, że książka była odwrócona do góry nogami, co uznał za niepodobne do Calvina Towera.

Roland trzymał książkę w swych opalonych, silnych dłoniach, jakby się zastanawiał, komu ją dać. Spojrział na Eddiego... na Callahana... a potem podał książkę Jake'owi.

— Przeczytaj mi to, co jest napisane na okładce — poprosił. — Od słów z waszego świata boli mnie głowa. Łatwo wpadają w oko, ale gdy usiłuję uchwycić ich sens, umyka mi.

Jake słuchał go jednym uchem. Wpatrywał się w okładkę przedstawiającą wiejski kościółek o zachodzie słońca. Callahan ominął go, żeby lepiej przyjrzeć się stojącym w mrocznej jaskini drzwiom. W końcu chłopiec podniósł głowę.

— Przecież... Rolandzie, czy to nie jest to miasteczko, o którym opowiadał nam Pere Callahan? To, w którym wampir zламаł jego krzyż i zmusił go do wypicia swej krwi?

Callahan gwałtownie się odwrócił.

— Co

Jake bez słowa podał mu książkę. Callahan wziął ją. Prawie wyrwał. takiego?

— *Miasteczko Salem* — przeczytał. — Powieść **Stephena** Kinga.

Popatrzył na Eddiego, a potem na Jake'a.

— Słyszeliście o nim? Obaj? Sądzę, że on chyba nie jest z moich czasów.

Jake pokręcił głową. Eddie też zamierzał to zrobić, ale nagle coś zauważył.

— Ten kościół — powiedział. — Wygląda jak świetlica w Calla Bryn Sturgis. Jest do niej bliźniaczo podobny.

— A także do kaplicy metodystów w East Stoneham, zbudowanej w tysiąc osiemset dziewiętnastym roku — zauważył Callahan. — Tak więc w tym wypadku mamy do czynienia z trojczkami.

Własny głos brzmiał głucho w jego uszach, głucho jak urojone głosy dobiegające z dna jaskini. Nagle sam poczuł się nierzeczywisty, urojony. Jak *dziewiętnastka*.

6

To żart, podpowiadała mu cześć jego umysłu. *To na pewno żart, na okładce tej książki napisano, że to powieść, ale...*

Nagle nowa myśl przyszła mu do głowy, przynosząc ulgę. Wprawdzie niewielką, ale lepsze to niż nic. Przypomnił sobie, że czasem ludzie piszą zmyślane historie o prawdziwych miejscach. Na pewno tak było i w tym wypadku. Na pewno.

— Spójrz na stronę sto dziewiętnaście — powiedział Roland. — Część słów zdołałem odczytać, ale nic wszystkie. Zdecydowanie za mało.

Callahan odszukał tę stronę.

— „Na początku pobytu w seminarium przyjaciel ojca...”.

Zamilkł, przesuwając wzrokiem po następnych liniijkach tekstu.

— Dalej — zachęcił go Eddie. — Czytaj, ojcze, albo ja to zrobię.

Callahan zaczął powoli czytać:

— „...przyjaciel ojca Callahana sprezentował mu haftowaną makatkę, która wówczas budziła w nim śmiech i zgrozę, lecz z biegiem lat wydawała się coraz prawdziwsza, a mniej bluźniercza: *Boże, daj mi POGODĘ DUCHA, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, WYTRWAŁOŚĆ w zmienianiu tego, co zmienić mogę, oraz SZCZĘŚCIE, żebyśmy zbyt często*

nie pieprzył roboty. Teraz, stojąc przed... przed żałobnikami przybyłymi na pogrzeb Danny'ego Glicka, przypomniał sobie tę złotą myśl".

Dłoń trzymająca książkę opadła. Gdyby Jake go nie chwycił, tom zapewne upadłby na dno jaskini.

— Miałeś ją, prawda? — rzekł Eddie. — Miałeś makatkę z tym tekstem.

— Dał mi ją Frankie Foyle — powiedział szeptem Callahan. — Jeszcze w seminarium. A Danny Glick... Odprawiałem jego ceremonię pogrzebową, chyba mówiłem wam o tym. To właśnie wtedy wszystko zaczęło się zmieniać. Ale to jest powieść! Fikcja! Jak... jak to... — Nagle zawył niczym potępieniec. Jego głos dziwnie przypominał Rolandowi urojone dźwięki dochodzące z otchłani. — *Niech to szlag, ja nie jestem fikcyjną postacią!*

— Tu jest ten fragment, w którym wampir złamał twój krzyż — zauważył Jake. — „Wreszcie razem! — rzekł z uśmiechem Barlow. Jego twarz była wyrazista, inteligentna i urodziwa w niepokojący, złowrogi sposób, a jednak... w tym niepewnym świetle... zdawała się przybierać...”.

— Przestań — poprosił ponuro Callahan. — Boli mnie od tego głowa.

— Tu jest napisane, że jego twarz przypominała ci straszdyłło, które mieszkało w twojej szafie, kiedy byłeś dzieckiem. Pana Flipa.

Twarz Callahana była teraz tak blada, jakby padł ofiarą wampira.

— Nigdy nikomu nie mówiłem o panu Flipie, nawet mojej matce. Te słowa nie mogą być w tej książce. Nie mogą.

— A jednak są — rzekł po prostu Jake.

— Wyjaśnijmy to sobie — powiedział Eddie. — Kiedy byłeś dzieckiem, był taki pan Flip i pomyślałeś o nim, kiedy zobaczyłeś tamtego wampira pierwszej kategorii, Barlowa. Zgadza się?

— Tak, ale...

Eddie zwrócił się do rewolwerowca.

— Sądzisz, że w ten sposób zbliżamy się do Susannah?

— Tak. Dotarliśmy do jądra wielkiej tajemnicy. Być może tej tajemnicy. Uważam, że Mroczna Wieża jest tak blisko,

że niemal można jej dotknąć. A jeśli Wieża jest blisko, to Susannah też.

Nie zważając na jego słowa, Callahan kartkował książkę. Jake zaglądał mu przez ramię.

— Czy wiesz, jak otworzyć te drzwi? — Eddie wskazał na nie ręką.

— Tak — odparł Roland. — Będzie mi potrzebna pomoc, ale myślę, że mieszkańcy Calla Bryn Sturgis są nam coś winni, nie sądzisz?

Eddie kiwnął głową.

— W porządku, lecz pozwól, że coś ci powiem. Jestem prawie pewien, że już gdzieś widziałem nazwisko tego Stephena Kinga, co najmniej raz.

— Na tablicy ze specjałami dnia — oznajmił Jake, nie odrywając oczu od książki. — Tak, pamiętam. Było na tablicy ze specjałami dnia, kiedy pierwszy raz wpadliśmy w trans.

— Na tablicy? — powtórzył Roland, marszcząc brwi.

— W księgarni Towera — rzekł Eddie. — Tej na wystawie, pamiętasz? Należała do wystroju Manhattańskiej Restauracji Ducha.

Roland kiwnął głową.

— Coś wam powiem — rzekł Jake i teraz oderwał wzrok od książki. — To nazwisko było tam, kiedy Eddie i ja wpadliśmy w trans, ale z pewnością nie było go na tablicy, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz. Kiedy pan Deepneau zadał mi zagadkę o rzece, tam było inne nazwisko. Zmieniło się, tak samo jak nazwisko autorki *Charliego Puf-Puf*.

— Ja nie mogę być bohaterem książki — powtarzał Callahan. — Przecież nie jestem fikcyjną postacią... A może jestem?

— Rolandzie — powiedział Eddie. Rewolwerowiec odwrócił się do niego. — Ja muszę ją znaleźć. Nie obchodzi mnie, kto jest prawdziwy, a kto nie. Nie obchodzi mnie Calvin Tower, Stephen King ani papież w Rzymie. Ona jest jedynym interesującym mnie aspektem rzeczywistości. *Muszę znaleźć moją żonę*. — I po chwili dodał cicho: — Pomóż mi, Rolandzie.

Roland wyciągnął lewą rękę i wziął książkę. Prawą dłonią dotknął drzwi. *Jeśli ona jeszcze żyje*, pomyślał. *Jeśli ją znajdziemy i jeśli ona dojdzie do siebie. Same „jeśli”*.

Eddie chwycił Rolanda za rękę.

— Proszę. Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym szukał jej sam.
Tak bardzo ją kocham. Pomóż mi ją znaleźć.

Roland uśmiechnął się. Uśmiech odmłodził go. Wydawał się rozświetlać mrok jaskini. W tym uśmiechu była cała pradawna moc Elda: siła Bieli.

— Tak — odparł. — Idziemy.

A potem powtórzył z całym przekonaniem potrzebnym w tym mrocznym miejscu:

— *Tak.*

OD AUTORA

Bangor, Maine
15 grudnia 2002

Wpływy westernu na powieści cyklu *Mrocznej Wieży* powinny być widoczne nawet bez moich wyjaśnień; z pewnością ostatni człon s< (lekką zniekształconej) nazwy miasteczka Calla nie zawdzięcza przypadkowi. Należy jednak zauważyć, że przynajmniej dwa źródła z jakich korzystałem, wcale nie są amerykańskie. Sergio Leone (*garść dolarów, Za garść dolarów więcej, Dobry, zły i brzydki* itd.) i Włochem. A Akira Kurosawa (*Siedmiu samurajów*) był, oczywiście Japończykiem. Czy te książki mogłyby powstać bez filmowej spuścizny Kurosawy, Leone, Peckinpaha, Howarda Hawksa i Johna Sturgesa? Zapewne nie bez Leone. Twierdzę jednak, że bez tych innych i byłoby Leone.

Jestem również winien podziękowania Robin Furth, która zawsze potrafiła dostarczyć mi każdą potrzebną informację, i oczywiście mojej żonie Tabicie, wciąż cierpliwie zapewniającej mi czas, światło i przestrzeń, potrzebne, bym mógł wykonywać moją pracę, najlepiej jak potrafię.

POSŁOWIE

Zanim przeczytacie to krótkie posłowie, poproszę was, żebyście poświęcili chwilę (piękne dzięki) i ponownie spojrzeli na dedykację

na początku tej opowieści. Zaczekam.

Dziękuję. Chcę, żebyście wiedzieli, iż Frank Muller nagrał wiele moich książek dla radia, poczynając od *Skazanych na Shawshank*. W tym czasie poznałem go w Nowym Jorku i natychmiast się polubi-
liśmy. Ta przyjaźń przetrwała dłużej niż życie niektórych moich
czytelników. W trakcie naszej znajomości Frank nagrał pierwsze
cztery

powieści z cyklu *Mrocznej Wieży*, a ja wysłuchałem wszystkich na-
grań — sześćdziesiąt kaset — przygotowując się do zakończenia
opowieści o rewolwerowcu. Nagranie jest idealnym medium do
takich

intensywnych przygotowań, ponieważ zmusza do przyswajania
wszyst-

kich szczegółów — zmęczone oczy (a czasem zmęczony umysł) nie
ominą ani jednego słowa. Właśnie tego potrzebowałem, całkiem
pogrążyć się w świecie Rolanda, i Frank mi to umożliwił. Dał mi też
coś jeszcze, coś cudownego i nieoczekiwanego. Wrażenie nowości
i świeżości, które zdążyłem stracić w trakcie pisania; poczucie, że
Roland i jego przyjaciele są *prawdziwymi ludźmi*, żyjącymi swoim
życiem. Pisząc w dedykacji, że Frank słyszy głosy w mojej głowie,
mówię dokładnie to, co myślę. I jak dobrotliwa wersja Jaskini
Przejścia,

budzi je do życia. Pozostałe książki cyklu są już ukończone (jedna
całkowicie, dwie ostatnie prawie), co w znacznej mierze
zawdzięczam

Frankowi Mullerowi i jego natchnionym nagraniom.

Miałem nadzieję, że Frank będzie na pokładzie, żeby nagrać dla
radia ostatnie trzy tomy cyklu *Mrocznej Wieży* (w wersjach
nieskróco-

nych, bo z zasady nie pozwalam na skracanie moich tekstów), a
on

chętnie się na to zgodził. Omawialiśmy to podczas kolacji w Bangor w październiku 2001 roku i w trakcie tej rozmowy nazwał cykl *Wieży* swoim ulubionym. Ponieważ nagrał dla radia ponad pięćset książek, była to dla mnie nadzwyczaj pochlebna opinia.

Niecały miesiąc po tej kolacji i optymistycznej, wybiegającej w przyszłość rozmowie, Frank miał okropny wypadek motocyklowy na autostradzie w Kalifornii. Zdarzyło się to zaledwie kilka dni po tym, gdy dowiedział się, że po raz drugi zostanie ojcem. Miał na głowie kask i zapewne to uratowało mu życie — słuchajcie, motocyk-

liści! — ale mimo to doznał licznych poważnych obrażeń, w tym wielu neurologicznych. Tak więc jednak nie nagra na taśmę końcowych

tomów *Mrocznej Wieży*. Jego ostatnim dziełem niemal na pewno pozostanie natchnione nagranie *Kanionu Zimnego Serca Clive'a Bar-*

kerą, które ukończył we wrześniu 2001 roku, tuż przed wypadkiem.

Pomijając ewentualność cudu, Frank Muller zakończył swoją karierę

zawodową. Dopiero rozpoczął rehabilitację, która z pewnością potrwa

wiele lat. Będzie potrzebował fachowej opieki i wielu zabiegów. Takie rzeczy kosztują sporo pieniędzy, a pieniądze z reguły nie są czymś, czego artysta i wolny strzelec ma dużo. Tak więc razem z kilkoma przyjaciółmi założyliśmy fundację, aby pomóc Frankowi — i być może

innym artystom, których spotka podobne nieszczęście. Wszystkie honoraria uzyskane za radiową wersję *Wilków z Calla* zostaną przekaza-

ne na konto tej fundacji. To nie wystarczy, lecz tworzenie The Wavedan-

cer Foundation (*Wavedancer* — tak nazywała się żaglówka Franka), dopiero się zaczyna, tak samo jak jego rehabilitacja. Jeśli macie kilka zbędnych dolarów i chcecie pomóc zabezpieczyć przyszłość The Wavedancer Foundation, nie przysyłajcie ich mnie, wyślijcie je na konto

The Wavedancer Foundation

c/o Mr. Arthur Greene
101 Park Avenue
New York, NY 10001

Żona Franka, Erika, dziękuje wam. Ja również.

Frank też by to zrobił, gdyby mógł.

Bangor,
15 grudnia 2002

Maine